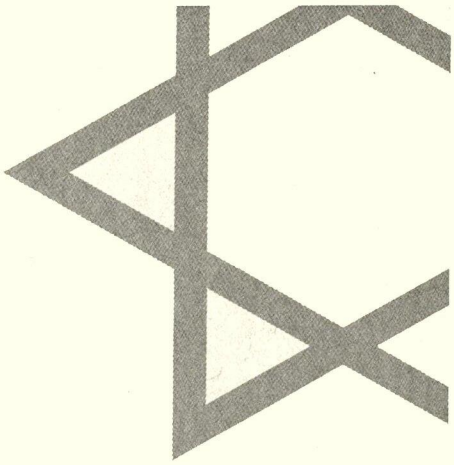
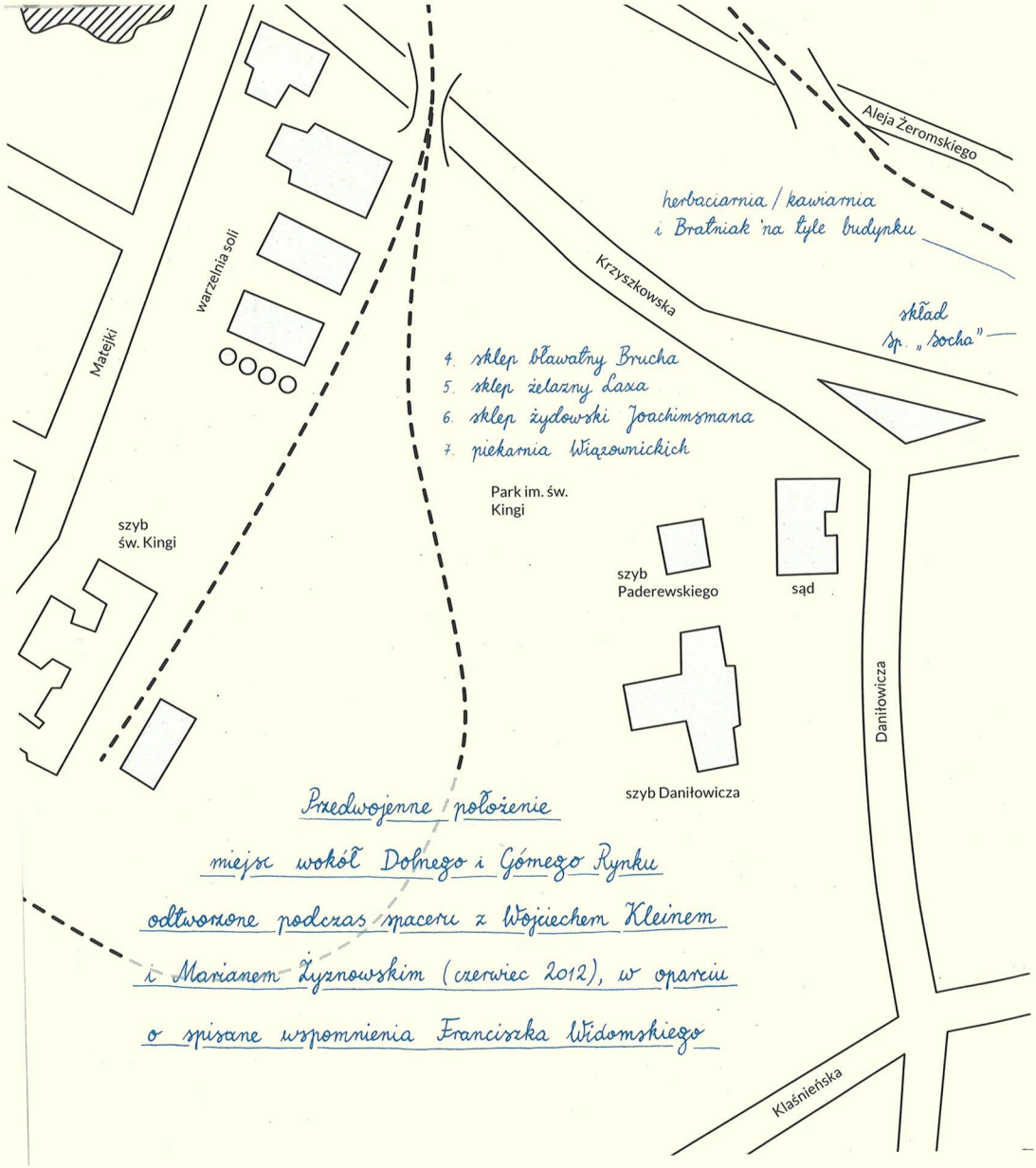


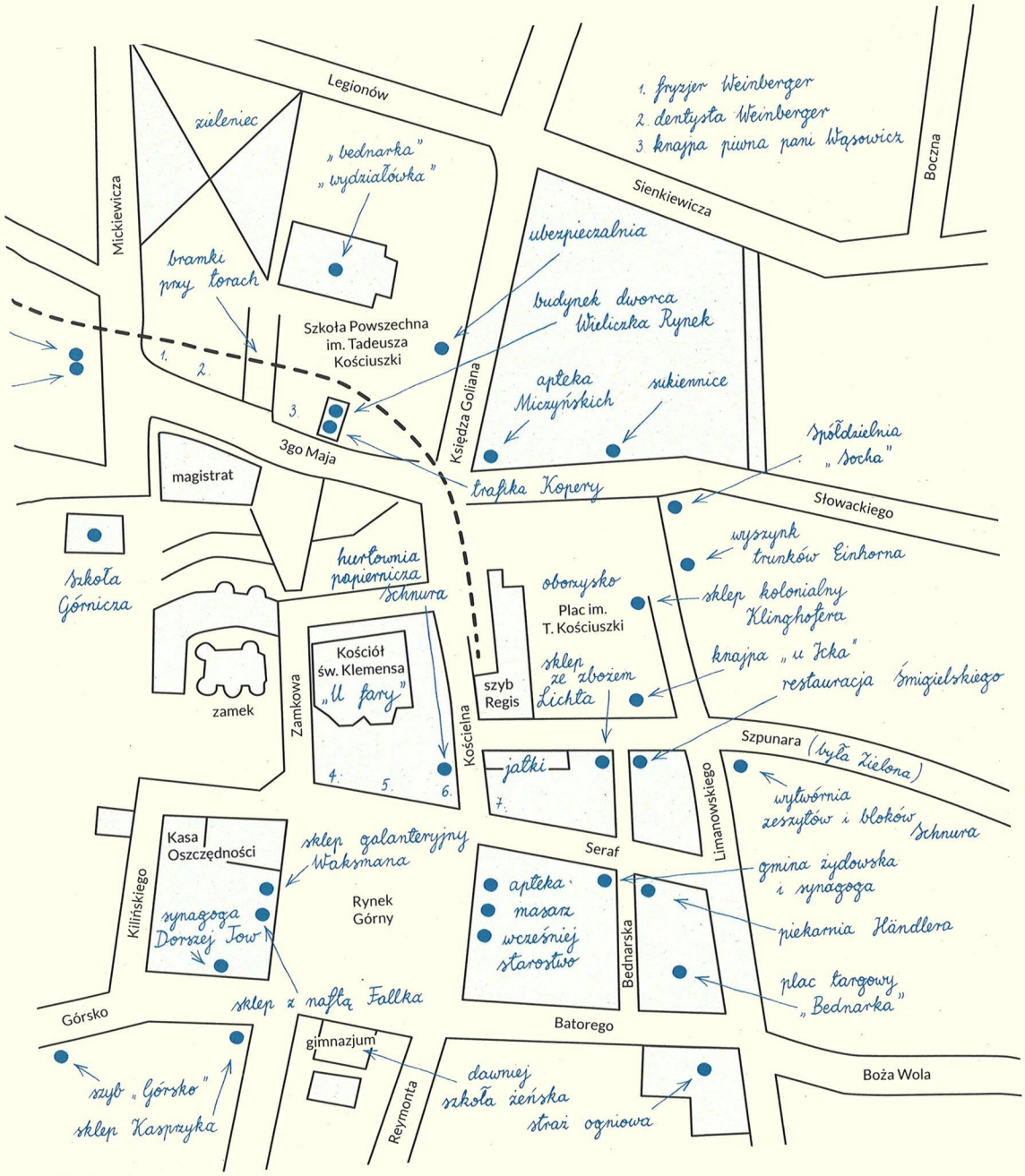
ŻYDZI

Wieliczki i Klasna

1872–2012

teksty i fotografie


Aleja Żeromskiego
herbaciarnia / kawiarnia
i Bratniak na tyle budynku
Krzyszkowska
skład
sp. „Socha"
Matejki
warzelnia soli
4. sklep bławatny Brucha
5. sklep żelazny Laxa
6. sklep żydowski Joachimsmana
7. piekarnia Wiązownickich
Park im. św.
Kingi
szyb
św. Kingi
szyb
Paderewskiego
sąd
Daniłowicza
szyb Daniłowicza
Przedwojenne położenie
miejsc wokół Dolnego i Górnego Rynku
odtworzone podczas spaceru z Wojciechem Kleinem
i Marianem Żyznowskim (czerwiec 2012), w oparciu
o spisane wspomnienia Franciszka Widomskiego
Klaśnieńska


Legionów
Mickiewicza
zieleniec
„bednarka"
„wydziałówka"
bramki przy torach
Szkoła Powszechna im. Tadeusza Kościuszki
1. 2. 3.
1. fryzjer Weinberger
2. dentysta Weinberger
3. knajpa piwna pani Wąsowicz
Sienkiewicza
Boczna
ubezpieczalnia
budynek dworca
Wieliczka Rynek
apteka Miczyńskich
sukiennice
Księdza Goliana
3go Maja
magistrat
trafika Kopery
Spółdzielnia „Socha"
Słowackiego
wyszynk trunków Einhorna
sklep kolonialny Klinghofera
Szkoła Górnicza
hurtownia papiernicza Schnura
obornisko
Plac im. T. Kościuszki
sklep ze zbożem Lichta
krajna „u Icka"
restauracja Śmigielskiego
zamek
Zamkowa
Kościół św. Klemensa „Il fary"
szyb Regis
Kościelna
4. 5. 6.
jatki
7.
Szpunara (była Zielona)
wytwórnia zeszytów i bloków Schnura
Limanowskiego
Kasa Oszczędności
sklep galanteryjny Waksmana
Seraf
gmina żydowska i synagoga
Kilińskiego
synagoga Dorszej Jow
Rynek Górny
apteka
masarz
wcześniej starostwo
piekarnia Händlera
Bednarska
plac targowy „Bednarka"
sklep z naftą Falka
Batorego
Górsko
gimnazjum
szyb „Górsko"
sklep Kasprzyka
Reymonta
dawnej szkoła żeńska
straż ogniowa
Boża Wola

ŻYDZI

Wieliczki i Klasna

ŻYDZI
Wieliczki i Klasna
1872–2012

teksty i fotografie

OPRACOWANIE
Urszula Żyznowska
Anna Krzeczkowska

Siercza 2012

Digitized by Project Zikaron
Touro University-NY Libraries
www.zikaron.tourolib.org
2026

Projekt graficzny i skład
Karolina Wałaszek

Redakcja
Urszula Żyznowska
Anna Krzeczkowska

Redakcja merytoryczna i językowa
Karolina Wałaszek

Konsultacja historyczna i językowa
Uri Shmueli

Retusz fotografii
Magister Lemur s.c.

Opracowanie map na wyklejkach
Maria Gromek

Adiustacja i korekta
Justyna Rojek

Druk i oprawa
Drukarnia Know-How, ul. Chełmońskiego 255, 30-001 Kraków

© by Wiesław Żyznowski, 2012

Nakład – 700 egz.

ISBN: 978-83-922716-5-9

ŻYZNOWSKI

Wydawca Wiesław Żyznowski
32-020 Wieliczka, Siercza 1
tel. (12) 651 59 08 (w. 33), faks (12) 651 56 68
e-mail: redakcja@zyznowski.pl
www.zyznowski.pl

Wiesław Życznowski, Urszula Życznowska, Wstęp // 11

Anna Krzeczkowska, Karolina Wałaszek, Noty redaktorskie // 34

Uri Shmueli, Od ocalałego z zagłady w Wieliczce // 38

PRZED ZAGŁADĄ

Anna Jakimyszyn, Żydzi wieliccy w latach 1900–1939 // 43

Wieliczka w *Księdze adresowej Polski (wraz z W. M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa, Warszawa 1929* // 81

Mosze Yahrblum, Wieliczka, solne miasto // 85

Tsipora Kleinman, Klasno, ojczyzna moja // 99

Z prasy haskali // 105

Jehoszua Ofer, Syjonizm w naszym mieście w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku // 115

Henoch Holcer, O ruchu młodzieży syjonistycznej Bejtar // 123

Lewi Frenkel, Ruch Rewizjonistów-Syjonistów i Bejtar w Wieliczce // 125

Jehoszua Ofer, Komórka młodzieży syjonistycznej Akiwa // 127

Tsipora Kleinman, Haszomer Hadati oraz Poalej Agudat Israel // 131

Heniek Salomon, Moniek Salomon, Wspomnienia // 137

Miriam Gafni, Sara Gafni, Dwie siostry // 139

Izaak Birnbaum, Dom rodzinny na Klaśnie // 143

Izaak Birnbaum, Opis Klasna // 155

Larry Zellner, Na Klaśnieńskiej 3 i 5 // 159

Justyna Kutrzeba, Rodzina Friedmanów w Wieliczce // 165

Józef Rozewicz, Wszystko zależy od przypadku // 181

Alfreda Friedman-Künstler, Dom na ul. Kilińskiego // 189

Alfred Borowicz, Rodzina Horowitzów // 193

Władysława Drożdż, Moje wspomnienie o Horowitzach // 203

Jack Wimmer, Wimmerowie Rynek Górny 15 // 205

Uri Shmueli, O wielickich Seidenfrauach // 209

Nathan Kleinberger, Moja rodzina w Wieliczce // 213

Wojciech Klein, Żydzi wieliccy, których zapamiętałem // 221

Tsipora Kleinman, Typowe rodziny w miasteczku // 227

Lena Küchler, Mosze Klinghofer błogosławionej pamięci // 231

Giza Frenkel, Z moich wspomnień o Wieliczce. Riesela Farber // 237

ZAGŁADA

Michał Zellner, Opis zbrodni niemieckich wobec ludności żydowskiej w Wieliczce w okresie od 6 września 1939 roku do końca 1942 roku // 243

Protokół przesłuchania Józefa Prokopa // 253

Lena Küchler, Wieliczka – miasto bez mężczyzn (Od 1 września do końca listopada 1939) // 257

Protokół przesłuchania Michała Zellnera // 261

Michał Zellner, Zeznanie dotyczące zagarnięcia mienia żydowskiego przez Niemca nazwiskiem Hauptman Brandt // 263

Syda Srebro, O zgrozie i okropnościach, których dopuścili się naziści // 265

Jakub Tiles, Świadectwo historyczne // 269

Alfreda Friedman-Künstler, Pamiętam ten plac // 275

Maria Perlberger-Shmuel, W chowanego ze śmiercią // 279

Uri Shmueli, Sein Kampf albo ewolucja Holokaustu // 289

Hirsz Grossbard, Protokół zeznania dotyczącego pracy w wielickim Judenracie // 295

Menasze Hollander, Wysiedlenie Żydów z Wieliczki // 307

Maria Bill-Bajorkowa, Urywek z pamiętnika // 313

Mieczysław Skulimowski, Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w 1942 roku // 329

Julian Fleiszer, Jak trafiłem do obozu koncentracyjnego dla Żydów, tak zwanego Vernichtungslagru w Rozwadowie // 335

Josef Herzog, Śmierć rabina Frenkla z Wieliczki koło Krakowa // 339

Jack Wimmer, Jom Kippur 1942. Pierwsza ofiara // 341

Daniel Schloss, Przesłuchanie w rozprawie przeciwko Josefowi Schwammbergerowi // 343

Nathan Kleinberger, Nie potrafiłem cieszyć się z wyzwolenia // 347

Izaak Birnbaum, Przeżyłem w ukryciu // 357

Janina Sejdak, Żydzi w Lednicy Górnej // 365

Larry Zellner, Wojna: obóz, ukrycie, podróż // 371

Alfred Lax, Niesamowita wojna Adama Oki // 375

Michał Zellner, Zeznanie złożone w Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej // 383

Zygmunt Gelband, Zeznanie złożone przed Wojewódzką Komisją Historyczną w Łodzi 7 września 1945 roku // 397

Henryk Vogler, Autoportret z pamięci // 401

Natan Gross, Kim pan jest, panie Grymek? // 413

Henryk Schönker, Dotknięcie anioła // 417

Janina Ekier, To byli Polacy // 439

Nathan Gutman, Na wygnaniu w Wieliczce // 443

Zelig Goldstein, O jednym ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata // 447

Jan Jabłoński, Himmelkommando // 449

Wojciech Klein, Wojenne migawki z Wieliczki // 457

Imiona i nazwiska wielickich Żydów, których zgładzono w Szoach // 461

PO ZAGŁADZIE

Miriam Skóra, Było miasto i patrzcie, już go nie ma // 467

Lena Küchler, Do domu, do domu... // 469

Syda Srebro, Po wojnie // 477

J. Kornhauser, Czas znoju // 479

I. Klein, Moja tułaczka przez Rosję w czasie Holokaustu // 481

Jehoszua Freifeld, Z Polski do Izraela przez Rosję // 487

Henryk (Chaim) Brand, Moja droga do Izraela // 489

Wspomnienie o Zygmuncie Rozewiczu // 491

Maria Perlberger-Shmuel, Ich miłość mnie odnalazła // 493

Salomea Gemrot, Wspomnienia // 501

Ozjasz Wolf, W sprawie Celiny Sobel // 505

Fajga Birnbaum, W sprawie Celiny Sobel // 507

Maria Gawęda, Ostatni Żydzi wieliccy po II wojnie światowej // 509

Sprawiedliwa wśród Narodów Świata – Anna Gaczoł // 517

Anna Krzeczkowska, Opowieść Celiny // 521

Alfred Lax, Jak najdalej od Europy // 527

Alfreda Friedman-Künstler, Między Tel Awiwem a Antwerpią // 529

Izaak Birnbaum, Nie dało się zostać w Polsce // 533

Larry Zellner, Wybrałem Amerykę // 541

Nathan Kleinberger, W moim kraju, Izraelu // 545

Uri Shmueli, Powrót // 551

ANEKS

Leszek Hońdo, Inskrypcje nagrobne na cmentarzu żydowskim // 563

Bibliografia // 574

Źródła ilustracji // 577

Indeks // 580

WSTĘP

– Dzisiejsza Wieliczka jest taka, jakby nigdy nie było w niej Żydów.

– To dziwne, bo ja w rozmowach z mężem przez te wszystkie lata odnosiłam wrażenie, że w Wieliczce byli głównie Żydzi.

Te słowa padły podczas naszej rozmowy z państwem Zofią i Izaakiem Birnbaumami w ich domu w Hajfie 14 marca 2012 roku[1]. Wypowiedziała je pani Zofia, która nigdy nie mieszkała w Wieliczce, ale rozmawia o niej z mężem nieprzerwanie od ponad sześćdziesięciu lat. Pan Izaak urodził się w wielickim, niemal całkowicie żydowskim Klaśnie w 1922 roku i mieszkał w nim – z przerwą na pobyt w ukryciu podczas wojny – przez dwadzieścia cztery lata. Jest on bodaj jedynym żyjącym przedwojennym mieszkańcem Klasna pochodzenia żydowskiego. To przywielickie skupisko miejskie, przed wojną dzielnica Wieliczki, a wcześniej samodzielne miasteczko na wzgórzu, wykazywało wiele cech typowego sztetla[2]. Wieliczka przetrwała wojnę, ale należący do niej sztetl został zlikwidowany, jak pośrednio napisała o Klaśnie Tsipora Kleinman, w jednym

---

1 Wspomnienia państwa Birnbaumów, zob. s. 143–153, 357–364, 533–538.

2 Sztetl – małe skupisko miejskie zachowujące tradycyjną obyczajowość żydowską.

z publikowanych w naszej książce tekstów. Odsetek Żydów uratowanych z Zagłady jest niższy w wypadku Klasna niż Wieliczki, prawdopodobnie dlatego, że to pierwsze miało wyraźnie żydowski charakter. Zniknęła też gmina żydowska[3] w mieście.

Także sama Wieliczka w oczach zamieszkujących ją przed wojną Żydów bywała żydowska. Potwierdzają to wypowiedzi jej byłych mieszkańców: „Wokół panowała świąteczna atmosfera, można było odnieść wrażenie, że w mieście nie było żadnych gojów"[4]. „Polacy mieszkali wokół dzielnic żydowskich, a także na przedmieściach, w willach otoczonych ogrodami. Każda polska dzielnica miała swoją nazwę. Ludność żydowska zamieszkiwała głównie centrum miasta, wokół Dolnego i Górnego Rynku. Pomiędzy tymi dwoma placami znajdował się chrześcijański kościół, a łącząca je ulica nosiła nazwę ulicy Kościelnej. Tu i ówdzie Żydzi zamieszkiwali także peryferie miasta"[5].

Niech cytowana na początku wymiana zdań będzie mottem całej książki *Żydzi Wieliczki i Klasna 1872–2012. Teksty i fotografie*. Dlaczego nasza książka ma właśnie taki tytuł?

Mieszkający niegdyś w Wieliczce Żydzi zostawili tu kawał serca, „żydowskiego serca" – jak mógłby o nich powiedzieć piewca sztetla sprzed I wojny światowej Julian Stryjkowski[6]. W jednym z zamieszczonych w książce tekstów czytamy: „Było miasto, miasto i matka dla ludu Izraela, nazywano ją Wieliczką, i już jej nie ma"[7]. Wieliccy Żydzi zniknęli z historii swojego miasta w sposób tragiczny – nagle i wbrew swej woli. I to o nich jest ta książka. Jeszcze przez kilka powojennych dekad w Izraelu regularnie spotykała się stopniowo topniejąca grupa ludzi, którzy mieli emocjonalne podejście do Wieliczki. Ich spotkania organizował obecny na kartach tej książki Jehoszua Ofer (wcześniej Klinghofer). To ci ludzie stworzyli publikację pod tytułem *The Jewish Community of Wieliczka*[8], której teksty w większości wchodzą w skład naszej antologii.

Mieszkający w różnych krajach potomkowie wielickich Żydów będą się chcieli prędzej czy później dowiedzieć czegoś o pochodzeniu ich ojców i dziadków. To samo czeka potomków ich sąsiadów, gdziekolwiek mieszkają. Historie Żydów wielickich, klaśnieńskich, a także krakowskich i innych, którzy licznie przybyli tu podczas wojny, są częścią historii Wieliczki, historii Polski i światowej historii Żydów. Nieusuwalność Żydów z krajowych dziejów trafnie wyrażają słowa Henryka Grynberga: „Polska bez Żydów. Już nigdy takiej nie będzie. Są w tej ziemi i powietrzu na zawsze. Polaków, którym trudno się z tym pogodzić, mogę pocieszyć, że Żydom też nie jest łatwo"[9]. Indywidualne historie Żydów wielickich przybliżają ogólne dzieje Wieliczki do historii pisanej wielką literą. A ta nie istnieje bez różnorodności perspektyw. Zdarzają

3 Gmina żydowska (kahał) – forma organizacji społeczności żydowskiej; skupisko ludności, wewnętrznie zorganizowane i posiadające władze.

4 M. Yahrblum, *Wieliczka, solne miasto*, s. 94 w niniejszej książce.

5 *Ibidem*, s. 89.

6 J. Stryjkowski, *Austeria*, Warszawa 1993, s. 32.

7 M. Skóra, *Było miasto i patrzcie, już go nie ma*, s. 468 w niniejszej książce.

8 *The Jewish Community of Wieliczka. A Memorial Book*, ed. M. Shmuel, Tel Awiw 1980.

9 H. Grynberg, *Żyję dla przeszłości*, wywiad Donaty Subbotko z Henrykiem Grynbergiem [w:] „Duży Format" (dodatek do „Gazety Wyborczej") 2011, 13 października, s. 16–18.

się w niej bohaterowie, ludzie wielkiego ducha i serca, ale też zdrajcy, tchórze, mordercy, złodzieje, ludzie bezwzględnie źli. Jeśli od czasów opisanych przez Homera za bohatera uznaje się tego, kto naraża własne życie dla innych, to za kogo uznać tego, kto dobrowolnie dołącza do żony wywożonej do obozu śmierci? Jeśli za zdrajcę uznaje się tego, kto zdradza tajemnice sprzymierzeńców, to jak nazwać kogoś, kto bezinteresownie wydaje okupantowi na śmierć nieznajomych, do których nie czuje nic osobistego?

Dzisiejsza Wieliczka skutecznie buduje swą tożsamość, odrębną od metropolii krakowskiej, w której skład, chcąc nie chcąc, coraz bardziej wchodzi. Nie może być mowy o pełnej tożsamości miejsca bez opracowania, ujawnienia i przyswojenia jego pełnej historii, a nie ma pełnej historii Wieliczki bez historii Żydów, którzy w niej mieszkali, bez historii „jej Żydów", to jest Żydów, którzy uważali ją za swoją. W innym zamieszczonym w książce tekście Uri Shmueli napisał o Wieliczce: „miasto mamy [Niny Szmulewicz]"[10]. Współcześnie chyba nie byłoby łatwo spotkać Żydów, którzy powiedzieliby o Wieliczce: „moje miasto". Natomiast żyją ci, którzy określiliby ją jako: „moje byłe miasto" albo „(byłe) miasto moich rodziców, dziadków, wujków". Raczej rzadko mówi się o jakimś miejscu „miasto moich pradziadków", nie wspominając o jeszcze dalszych przodkach, dlatego Wieliczka prawdopodobnie zniknie kiedyś z osobistej perspektywy Żydów.

Chyba że Żydzi znów zaczną się tu osiedlać, jak wieki temu. Wtedy nieaktualne mogłoby się stać stwierdzenie z maila, który prof. Shmueli przysłał nam w reakcji na sugestię, że gdyby uruchomiono turystycznie synagogę w Klaśnie[11], mogliby się tam modlić żydowscy turyści: „W Wieliczce (obecnie) nie ma nawet minjanu"[12]. Zdezaktualizowałyby się też słowa wypowiadane w Wieliczce przez Niemców i ich współpracowników 27 sierpnia 1942 roku, kiedy zabijali bądź wywozili wszystkich nieukrywających się Żydów, przebywających wówczas w Wieliczce (i w należącym do niej Klaśnie) – tysiące na śmierć w Puszczy Niepołomickiej i obozie bełżeckim, a kilkuset na roboty. Piotr Głuchowski i Marcin Kowalski zrekonstruowali ich słowa, podobnie jak całe tragiczne zdarzenie, w fabularyzowanej formie w książce *Apte. Niedokończona powieść*: „Opustoszałe jeszcze przed pół godziną ulice zapełniają się teraz Polakami. Jest czwartek, dzień targowy, dużo chłopów z okolicy. Niemiecki porucznik kierujący Ortschutzem zbiera Polaków z nocnej i dziennej zmiany, a potem wygłasza krótką przemowę, którą na polski tłumaczy jego pomocnik – folksdojcz z Katowic. Oto dziś kończy się wielusetletni, smutny okres wykorzystywania rodowitych mieszkańców tej ziemi przez żydowską zarazę. Kończy się czas ekonomicznego ucisku, nieuczciwej konkurencji, roznoszenia chorób, lichwy i komunistycznej agitacji. Dzisiaj Żydów w Wieliczce już nie ma i nigdy więcej ich nie będzie"[13]. Nowa wspólnota żydowska w Wieliczce w dzisiejszych czasach, zapewne nieporównywalnie mniejsza od tej przedwojennej, mogłaby z pewnością wiele wnieść do życia miasta.

---

10 U. Shmueli, *Sein Kampf albo ewolucja Holokaustu*, s. 291 w niniejszej książce.

11 Większość współczesnych wieliczan powie raczej „na Klaśnie" niż „w Klaśnie".

12 Minjan – w judaizmie kworum modlitewne składające się z dziesięciu dorosłych mężczyzn (mających co najmniej trzynaście lat).

13 M. Kowalski, P. Głuchowski, *Apte. Niedokończona powieść*, Kraków 2010, s. 78–79.

Całe przedwojenne bogactwo społeczne, kulturowe i gospodarcze Klasna ogranicza się dziś do jednej, traktowanej przez niemieszkających tam przelotowo, ulicy Klaśnieńskiej z kilkunastoma domami i kilkoma zakładami w bocznych uliczkach. Mało kto zwraca uwagę na fortyfikowany budynek byłej bożnicy, którą kiedyś dumnie nazywano Dużą Synagogą[14]. W swoim czasie miała chronić w obszernym wnętrzu wszystkich Żydów klaśnieńskich. Rozpada się czerwono-ceglasty budynek małej bożnicy[15], używanej kiedyś na co dzień, i niedługo ma zostać zburzony. Ale wystarczy stanąć nieopodal wylotu ulicy Stromej, na nieistniejącym już małym wirażu ulicy Klaśnieńskiej, stanowiącym kiedyś coś na kształt ryneczku klaśnieńskiego[16], rozejrzeć się i uruchomić wyobraźnię. Ukazuje się jakby sztetl. To, co pozostało z jego architektury i układu urbanistycznego – odpowiednio wyeksponowane – mogłoby przydać sporo blasku turystycznej twarzy Wieliczki.

W jednym dniu, 27 sierpnia 1942 roku, zniknęła wspólnota o niezliczonej liczbie wewnętrznych więzi. Zniknęło osobne miasteczko, a nawet dwa, całe Klasno i żydowska część Wieliczki. Do tamtego dnia w Wieliczce żyły obok siebie dwa światy zasadniczo nieprzenikające się wzajemnie w sferach najważniejszych dla ludzi, takich jak przyjaźń, miłość, marzenia, sny, wspólnota doli, wyznanie, światopogląd. Większości Polaków i Żydów nie łączyło to, o czym czytamy w jednym z zamieszczonych dalej tekstów: „Z wieloma, z którymi wychowywaliśmy się w młodości i razem działaliśmy dla wspólnego celu, przeszliśmy szmat ciekawej drogi, pełnej burz, konfliktów, żaru serca i uniesień"[17]. W przedwojennej Wieliczce potrafili żyć obok siebie doprawdy różni ludzie. Jedni – przeważnie Polacy – przeżywszy całe życie, pozostawili tu dzieci i wnuki. Drudzy śnili o *Erec Israel*[18] i nie ma już po nich w Wieliczce żywego śladu. Jednych i drugich zapewne różnił stosunek do tego miasta i ziemi wielickiej. Być może najmniej różnili się pod tym względem Polacy, jeśli założyć, że odznaczali się w miarę jednorodnym patriotyzmem, i najbardziej zasymilowani Żydzi.

Te różne światy stanowiły wszakże jedną społeczność wielicką, która, różnorodna mentalnie, tworzyła wspólnie kulturę materialną i duchową miasteczka. Nagle wydarto w sposób skrajnie brutalny około połowy stałych, a licząc z przyjezdnymi – około dwóch trzecich mieszkańców. Ci, którzy zostali, w większości nie żywili ciepłych uczuć wobec Żydów, którzy zniknęli, bo nie mieli tych uczuć już wcześniej, gdy jeszcze Żydzi byli wśród nich. Wraz z wydartymi z miasta zniknęło natychmiast to, co z natury delikatne – ich obyczaje i aura, którą emanowali. Za to ich dotychczasowe miejsca w nieznoszącej próżni substancji materialnej łatwo zajęli niektórzy spośród tych, którzy tu zostali.

JAK POLACY DŹWIGALI SIĘ SPOŁECZNIE Z POMOCĄ MIENIA ŻYDOWSKIEGO

Wiele zawłaszczeń przestrzeni mieszkaniowej i gospodarczej należącej wcześniej do Żydów klaśnień-

[14] Zob. s. 64–66.

[15] Zob. s. 65–66.

[16] Można go zobaczyć na mapie zamieszczonej na wyklejce kończącej książkę.

[17] L. Frenkel, *Ruch Syjonistów-Rewizjonistów i Bejtar w Wieliczce*, s. 126 w niniejszej książce.

[18] *Erec Israel* (hebr. Ziemia, Kraj Izraela) – nazwa Palestyny, ziemi, którą Żydzi kojarzyli ze swoją przeszłością, przedmiot ich tęsknoty w okresie diaspory.

sko-wielickich wpłynęło na życie tych, którzy ich dokonali, i nadal wpływa na życie ich potomków i spadkobierców. Wielu beneficjentów takich zawłaszczeń nigdy nie było i nadal nie jest świadomych tego, że ich życie mogło się potoczyć inaczej, gdyby nie mienie pozostawione tutaj przymusowo przez Żydów.

Oto przykład dwóch małżeństw i wywodzących się od nich dwóch rodzin, na których połączenie miały wpływ między innymi: kobieta, niech będzie jej na imię Nadrabiająca – miała ona dwóch mężów; Wieliczka jako miejsce, gdzie się wszystko zaczęło; a także nieruchomości należące przed Zagładą do Żydów. Nazwijmy mężów Nadrabiającej: pierwszego Czekającym, a drugiego Uciekającym. I w pierwszym, i w drugim małżeństwie było po dwoje dzieci. Dostęp do co najmniej trzech nieruchomości należących wcześniej do Żydów okazał się dla obu rodzin ważny. Członek naszego zespołu wydawniczego Henryk Ostrowski zebrał dane o właścicielach owych trzech nieruchomości.

Uciekający już w 1945 roku, w wieku piętnastu lat, uniezależnił się finansowo od rodziców i od pracy na wsi. Dostał zajęcie w Wieliczce u niejakiego Mariana Majtyki, który zajmował się biznesem jeszcze podczas wojny. Interes ten, więc i praca Uciekającego, miały miejsce w jednym z lokalów w kamienicy przy Rynku Górnym w Wieliczce. Na temat tej nieruchomości Henryk Ostrowski mówi: „W 1867 roku w monarchii austro-węgierskiej zatwierdzono powszechne równouprawnienie Żydów. Zniosło ono zakaz osiedlania się Żydów w miastach. W Wieliczce dopiero dziesięć lat później, po pożarze śródmieścia w 1877 roku, Żydzi – przede wszystkim klaśnieńscy – zaczęli wykupywać domy i kamienice. Zmieniło to zasadniczo stosunki własnościowe w mieście. Interesującą nas kamienicę przy Rynku Górnym Piotr i Maryanna Nodzyńscy sprzedają 13 kwietnia 1881 roku Sarze Joachimsmanowej. Własność nieruchomości zostaje w rękach spadkobierców i rodziny Sary. Od 1932 roku właścicielkami są po równo Sara Adela Kronfeldowa i Ida Kornfeldowa. W czasie wojny w 1941 roku wynajmują one lokale jedenastu lokatorom o nazwiskach: (?) Wolf, Izrael Szymon Stiet, Wolf Rubin, Samuel Perlberger, (?) Katz, Eliasz Küchler, Sara Joachimsman, Salomon Zimmetbaum, Eisig Koss, Ester Rakower, Efraim Goldstein. Dane te pochodzą z księgi bierczej, w której w zapisie z lat 1943–1944 figuruje już dziesięć nazwisk polskich należących do zamieszkujących kamienicę po sierpniu 1942 roku. Jedno z nich brzmi «Marian Majtyka [zatrudniający po wojnie Uciekającego]». W wykazie zakładów pracy obejmującym Wieliczkę w 1944 roku zapisano, że w omawianej kamienicy znajduje się sklep «Sprzedaż farb» należący do Anieli Wymiatałek oraz sklep «Towary mieszane» Mariana Majtyki. W księgach wieczystych z 1946 roku widnieje właściciel o nazwisku Markus Dawid Bodenstein. Odtąd nieruchomość przestaje być własnością żydowską. W księgach wieczystych z końca lat siedemdziesiątych XX wieku właścicielami kamienicy jest sześć osób o nazwiskach nieżydowskich. Podobnie jest obecnie".

O drugiej posesji wiemy tyle: „Parcela, na której stoi jeden z budynków przy ulicy Legionów, ma rodowód polski do 1936 roku. Ostatni spadkobierca Stanisław Kasprzyk sprzedał działkę Fajgli z Krauzów Weinbergerowej w dniu 22 maja 1936 roku. W 1937 roku wybudowano kamienicę. Według wykazu niemieckiego sprzed 27 sierpnia 1942 roku całą kamienicę zamieszkiwało sześć rodzin żydowskich. Uchwałą władz niemieckich z dnia 9 lutego 1943 roku nastąpiła jej konfiskata na rzecz Generalnego Guber-

natorstwa. Na podstawie dekretu przyznania spadku z 12 października 1946 roku ustalono spadek na rzecz Józefa Krauzego, którego los jest nieznany. W dalszych latach powojennych w wykazach miejskich kamienica ta wraz z parcelą figuruje jako własność należąca do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Po 1975 roku pojawiają się nowi właściciele".

Małżeństwo Czekającego i Nadrabiającej szukało znajomości wśród urzędników, by zdobyć jakieś mieszkanie w Wieliczce. Zameldowało się ono w dozorcówce kamienicy na Legionów 10 sierpnia 1945 roku w zamian za podjęcie dozorstwa. Spieszyli się, ponieważ chcieli, by ich pierwsze dziecko po urodzeniu zameldowano pod nowym adresem. Pomogła protekcja kuzyna Nadrabiającej, którego ojciec był podczas wojny granatowym policjantem – cała ich rodzina mieszkała w przestronnym mieszkaniu w tej samej kamienicy od końca wojny przez mniej więcej sześćdziesiąt lat. Nowa powojenna władza przejęła po swojej poprzedniczce, władzy niemieckiej, dysponowanie lokalami należącymi jeszcze trzy lata wcześniej do Żydów. Zajęcie lokalu niepozornego z perspektywy całej kamienicy oznaczało dla obojga młodych małżonków przeniesienie się ze wsi, z której oboje pochodzili, do miasta, o którym marzyli. Na początku lat pięćdziesiątych władze przyznały małżeństwu prawo do użytkowania w owej kamienicy jeszcze jednego osobnego pokoju położonego piętro wyżej niż dozorcówka.

Awans do miasta umożliwił Czekającemu i Nadrabiającej zajęcie się biznesem. Mężczyzna, początkowo pracownik w sklepie, po niedługim czasie został w nim wspólnikiem, a następnie jego właścicielem. Zyskał prawo do użytkowania jednego z czterech lokali na parterze trzeciej z omawianych kamienic. Z wiejskiego handlarza obwoźnego podczas wojny i równolegle pracownika krakowskiej firmy „Morvita", należącej do pewnego Żyda, gdzie „dzienna płaca starczała na paczkę papierosów", awansował w kolejnych latach na właściciela sklepu w mieście. Z czasem zatrudnił do pomocy młodego Uciekającego, którego także fascynowało zarabianie pieniędzy na własny rachunek. Ten ostatni uczył się tego z pasją od pewnego małżeństwa Żydów, mieszkającego po wojnie w Wieliczce. Więź między nimi przetrwała dekady, aż do śmierci pary. Witryna sklepu Czekającego, jak i witryny pozostałych lokali, wychodziły na pl. Tadeusza Kościuszki, niegdyś potocznie nazywany „na oborzysku". W jednym z tych lokali córka małżeństwa Czekającego i Nadrabiającej pracowała jeszcze na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Na temat historii kamienicy, w której się mieściły, Henryk Ostrowski mówi: „W 1891 roku właścicielem realności jest Rudolf Kurzweil. Od 1908 aż po rok 1946 kamienica należy do rodziny żydowskiej Königsbergerów. Jej członkowie prowadzą w czasie wojny pod tym adresem przedsiębiorstwo «Mojżesz Königsberger i S-ka». Z zapisów pod tytułem Danina od mieszkańców. Księga biercza 1943–1944[19] wynika, że po sierpniu 1942 roku mieszkańcami kamienicy jest już dziesięć osób o nazwiskach niewskazujących na pochodzenie żydowskie. Natomiast w zapisach hipotecznych z 1946 znajduje się informacja, że właścicielami kamienicy są Henryk[20], Maurycy i Herman Königsbergerowie, ale już w 1947 roku są to dwie osoby narodowości najprawdopodobniej polskiej.

19 Archiwum Państwowe w Krakowie (dalej: AP Kr), sygn. 29/117/296, Danina od mieszkańców. Księga biercza 1943–1944.

20 Zob. Henryk Königsberger na zdjęciu z Izaakiem Birnbaumem, s. 486.

W księgach wieczystych z końca lat siedemdziesiątych XX wieku zapisano czworo współwłaścicieli polskich. Obecnie jest to osiem osób".

Nadrabiająca rozwiodła się z Czekającym i przeprowadziła się z Uciekającym do Krakowa, gdzie udali się na tułaczkę po mieszkaniach w centrum miasta z przydziałów kwaterunkowych władzy komunistycznej. Jeden z nich przypadł na ulicy Lwowskiej w Krakowie, jest więc prawdopodobne, że przed wojną należał do Żydów. Być może tak samo było z dwoma innymi mieszkaniami otrzymanymi z przydziału przez ową parę, będącą już małżeństwem. W Krakowie doczekali się oni własnego mieszkania w bloku wybudowanym po wojnie.

Ze wspomnianej wcześniej dozorcówki i pokoju rodzina wywodząca się od Czekającego i Nadrabiającej korzystała przez mniej więcej sześćdziesiąt lat. Z lokali należących do kamienicy przy pl. Kościuszki Czekający i jego córka korzystali zawodowo około kilkunastu lat. Z lokalem w budynku przy Rynku Górnym kontakt członków obu rodzin urwał się szybko. Krakowskie – być może niegdyś należące do Żydów – mieszkania służyły drugiej rodzinie przez kilka lat.

W latach siedemdziesiątych dorosły już syn Czekającego i Nadrabiającej miał pomysł na biznes. Szukając w Wieliczce lokalu do wynajęcia, udał się wraz z Uciekającym do wspomnianego mężczyzny z żydowskiego małżeństwa. Chodziło o wolny wówczas lokal przy ulicy Seraf. Na pytanie o możliwość wynajmu właściciel odpowiedział pytaniem: „A co on by tu robił?". Młody człowiek, który miał być biznesmenem przez całe życie zawodowe, nie chciał zdradzić swego pomysłu.

Obecnie, po niemal siedemdziesięciu latach od chwili, gdy ta historia się zaczęła, żyją trzy generacje potomków obu małżeństw Nadrabiającej, Czekającego i Uciekającego. Wśród dwóch pokoleń ich dorosłych dzieci i wnuków robienie biznesu na własny rachunek zdarza się znacznie częściej niż u potomków rodzeństwa tejże trójki, które po wojnie zostało, i w części nadal mieszka, na wsi. W obu rodzinach nie wspominano raczej o Żydach jako byłych właścicielach lokali, których użytkowanie kiedyś im pomogło. Nie było w tym nic z antyżydowskości.

Podobne historie można by opowiedzieć o większości mienia nieruchomego i ruchomego, które zostało w Wieliczce po Żydach wielickich i klaśnieńskich. Utrzymuje się pogląd, że ludzie pochodzący ze wsi awansowali po wojnie do miasta dzięki nowej władzy komunistycznej. O wiele rzadziej się przypomina, że często w owych awansach pomagało zajmowanie majątku opuszczonego i porzuconego pod przymusem przez Żydów. Gdyby ci pozostali w swoich domach i sklepach, nie byłoby miejsca dla nowych użytkowników. Zapewne niektórzy spośród beneficjentów takich zmian zachowują wdzięczną pamięć o swoich mimowolnych wspomożycielach, inni natomiast wspominają ich źle lub w ogóle o nich nie pamiętają. Można przypuszczać, że w większości nie wiedzą oni o pochodzeniu mienia, z którego korzystają. Materia, którą tu pozostawili Żydzi, zmieniła właścicieli z naturalną dla siebie zimną obojętnością. W określeniu mienia przymiotnikiem „pożydowskie" zawiera się przede wszystkim stwierdzenie, że nie należy ono już do Żydów, niezależnie od tego, jak prawomocna i moralna była zmiana właściciela. Tenże przymiotnik wskazuje także na to, że zmiana właściciela mienia może się różnić co do sposobu i konsekwencji ze względu na narodowość.

W rozumieniu, czym było masowe przejęcie majątku żydowskiego przez Polaków, pomaga lektura

fragmentów *Życia na niby* Kazimierza Wyki[21]. Andrzej Kijowski nazwał tego mieszkającego podczas wojny w podkrakowskich Krzeszowicach i stamtąd przyglądającego się całemu polskiemu „życiu na niby" wybitnego humanistę „Tacytem krzeszowickiego powiatu"[22]. Wyka daje żywe świadectwo, co znaczy, że spisywał je na bieżąco, na podstawie naocznych obserwacji i pod wpływem emocji, które wyraził w sposób poświadczający ich autentyczność. Jego obserwacje dotyczą nie tyle stosunku Polaków do Żydów, co kondycji moralnej tych pierwszych. Obowiązująca obecnie w głównym nurcie publicystycznym poprawność nie pozwala używać tak ostrych i szczerych sformułowań, jakie znajdują się w jego książce. Adam Michnik komentuje postawę Wyki w posłowiu do *Życia na niby* – dzieła, które nazywa legendarnym. Swój tekst tytułuje on na cześć Wyki: *Polski rachunek sumienia*. „Ileż trzeba było odwagi cywilnej, by wtedy, w 1945 r. napisać pamiętne frazy o stosunku części społeczeństwa polskiego do Zagłady Żydów. Te słowa pozostaną na zawsze chlubą humanistyki polskiej"[23].

Wyka zaczyna fragment zatytułowany *Żydzi i handel polski* tak: „Centralnym faktem psychogospodarczym lat okupacji pozostanie niewątpliwie zniknięcie z handlu i pośrednictwa milionowej masy żydowskiej. Zniknięcie, kiedy dzisiaj liczyć niedobitków, definitywne i ostateczne. Ten fakt jest główny i stały. Natomiast faktem mniej stałym, chociaż równie ważnym, jest próba inercyjnego i automatycznego wejścia żywiołu polskiego na miejsce opróżnione przez Żydów"[24]. Wyka ma na myśli przejęcia pozbawione przedsiębiorczości, to jest bez inicjatywy, wysiłku i szerszych horyzontów gospodarczych. Sądzi on, że upodobnienie się psychologii „warstwy, która weszła w takie żerowisko" do psychologii „warstwy zniszczonej przez okupanta" pociąga negatywne konsekwencje moralne. Polacy nie są winni eliminacji Żydów, ale są winni „form, w jakich się ta eliminacja dokonała, i sposobu, w jaki społeczeństwo nasze pragnęło i pragnie ją zdyskontować"[25]. Godne potępienia podejście autor oddaje słowami: „Na Niemców wina i zbrodnia, dla nas klucze i kasa"[26]. Wskazuje on, że pozwolenie Niemców na przejęcie handlu po Żydach przez Polaków w Generalnym Gubernatorstwie było „doraźnym", „okrutnym", a zarazem „łaskawym" kaprysem okupanta. Miało się skończyć podobnie jak w wypadku Gdyni, Poznania czy Łodzi, gdzie handel był „zarezerwowany dla żołnierzy frontowych"[27]. Wchodząc w handlowe role Żydów za zgodą Niemców, Polacy akceptowali w jakimś stopniu to, co Niemcy zrobili z Żydami, i tym samym zgadzali się na takie samo przyszłe traktowanie siebie przez okupantów, gdyby do niego doszło.

Wyka nie zajął się w *Życiu na niby* powojennym użytkowaniem żydowskiego mienia gospodarczego przez Polaków. Wiemy, że następująca władza polska przejęła po władzy niemieckiej instrumentalne, fikcyjne i „kapryśne" podejście do sklepów żydowskich i ich nowych użytkowników. Ograniczyła ową symbiozę do czasu potrzebnego jej na organizację handlu tak, by ona sama stała się jego wyłącznym dys-

21 K. Wyka, *Życie na niby*, Kraków 2010.
22 *Ibidem*, s. 364–365.
23 *Ibidem*, s. 374.
24 *Ibidem*, s. 291–292.
25 *Ibidem*, s. 292.
26 *Ibidem*, s. 293.
27 *Ibidem*, s. 295.

ponentem i faktycznym właścicielem. Czas ten przypadł w Polsce na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. W ciągu niecałych dziesięciu lat doszło do trzeciego już, po tym wojennym i tużpowojennym, zatarcia – Wyka może powiedziałby „wyłączenia"[28] – prawowitej własności wielu składników mienia należącego do Żydów przed rokiem 1942, najpóźniej 1943. Wiemy także, że z kolei do czwartego takiego zatarcia (czy „wyłączenia") doszło po 1989 roku. Prawowitość własności zacierano wiele razy, pozostaje kwestia postaw, które do tego doprowadzały i na to pozwalały. Przypominanie o nich jest, zdaniem Michnika, rzucaniem „wyzwania powszechnemu stereotypowi martyrologii i heroizmu" Polaków[29].

Nazywany „polskim rachunkiem sumienia" Wyka pisał o postawach Polaków wobec martyrologii Żydów, ale jak zauważa Michnik, nie pisał o martyrologii Polaków związanej z działaniami Stalina, z Katyniem, z deportacjami. Pod rządami dyktatury Wyka nie mógł pisać o wydarzeniach, za które była ona winna. W 2012 roku można pisać i o jednych, i o drugich rzeczach, ale dominują te związane z cierpieniem Polaków, być może ze względu na trwające dziesiątki lat oficjalne milczenie na ich temat. Elżbieta Janicka pisze w swojej książce zatytułowanej *Festung Warschau*[30] o dominacji architektonicznych upamiętnień martyrologii polskiej względem upamiętnień martyrologii żydowskiej na terenie Warszawy. W Wieliczce nie mogło być dotychczas mowy o takich porównaniach ze względu na brak upamiętnień lokalnej martyrologii Żydów w przestrzeni miasta. Obecnie, wczesnym latem 2012 roku, toczą się rozmowy i formalne procedury związane z upamiętnieniem wydarzeń z 27 sierpnia 1942 roku tablicą naścienną w Rynku Górnym. Jeśli zawiśnie, zaważy nieco na uwiecznieniu martyrologii wieliczan-Żydów.

Niniejsza antologia jest zamierzona jako litania w sensie, jaki nadał temu słowu Leopold Unger w wypowiedzi nazywanej jego kadiszem[31]: „Dlatego ta moja litania [...] nie należy do martyrologii, ale należy do [...] pamięci. Żyjemy w epoce powszechnej akcji poszukiwania i utrwalania miejsc wspólnej pamięci. [...] To niezbędny czynnik budowy europejskiej tożsamości"[32].

Powrót do przedwojennej świetności gospodarczej, kulturalnej i oświatowej zajął Wieliczce wiele lat. Miasto po wojnie istniało bodaj w jednym wymiarze międzynarodowym, to jest dzięki Kopalni Soli. Niedawno usłyszano o nim jako goszczącym włoskich piłkarzy uczestniczących w mistrzostwach Euro 2012. Ale przed wojną Żydzi umiędzynarodowili Wieliczkę pod innymi względami, na przykład dzięki ruchom syjonistycznym. Rozpatrywano i realizowano tu idee, o których można powiedzieć, że wciąż promieniują na cały świat, niezależnie od

28 *Ibidem*. Omawiamy i cytowany tu podrozdział pracy Wyki zatytułowany *Żydzi i handel polski* znajduje się w rozdziale *Gospodarka wyłączona*, s. 274 i 291.

29 *Ibidem*, s. 375.

30 E. Janicka, *Festung Warschau. Raport z oblężonego miasta*, Warszawa 2012.

31 Kadisz – jedna z najważniejszych modlitw żydowskich, odprawiana zbiorowo. Do jej odmówienia niezbędny jest minjan.

32 Wystąpienie Leopolda Ungera z 2 września 2007 roku w Nowej Synagodze w Berlinie podczas otwarcia wystawy *Gdzie jest Lwów*, J. Kurski, *Kadysz dla Intruza*, [w:] „Gazeta Wyborcza" (wydanie internetowe) 2011, 22 grudnia, http://wyborcza.pl/1,76842,10857745,Kadysz_dla_Intruza.html.

oceny zarówno ich, jak i ich skutków. Parafrazując Leopolda Ungera, Wieliczka była w międzywojniu miastem dwóch narodów, trzech języków (polskiego, jidysz, hebrajskiego), wielu aspiracji i filozofii oraz „nieskończonej liczby krzyżujących się konfliktów"[33]. Obecnie Wieliczka nie jest szczęśliwsza dlatego, że nie ma w niej Żydów i na nią bezpośrednio nie wpływają. O ile można mówić o szczęściu czy nieszczęściu miejscowości. Nowy Jork wygląda na szczęśliwszy, dlatego że ma dzielnice, w których można dziś poczuć się przez moment niczym we współczesnym sztetlu. W jakimś stopniu podobnym do tego, jakim kiedyś było Klasno.

Z perspektywy większości dzisiejszych mieszkańców Wieliczki jej przedwojenna żydowska część była jak z innej planety. A przecież nadal żyją ludzie, którzy przed wojną mieszkali tu z Żydami, pracowali, robili interesy. Niniejszą książkę wydajemy więc w czasie jeszcze ocierającym się o możliwość uzyskania żywego świadectwa naocznych świadków tamtej epoki. Niedługo będzie można o nich pisać wyłącznie na podstawie martwych świadectw. Skądinąd historia, zarówno pisana, jak i mówiona, zawsze oszukuje, choćby dlatego, że tworzą ją ci, którzy przeżyli, co w wypadku ocalałych z Zagłady ma szczególne znaczenie. Żadna historia nie wyczerpuje „najmniejszego choćby wycinka rzeczywistości. Liczba i rodzaj przyczyn, które określiły jakieś pojedyncze zdarzenie, jest przecież zawsze nieskończona"[34].

O PRZYCZYNACH POWSTANIA KSIĄŻKI

Wydawnictwo Żyznowski specjalizuje się w historii Wieliczki i okolic, a do niej należą dzieje żyjących tu niegdyś Żydów. Książka wzięła się z przekonania, że dobre jest to, co służy zachowaniu pamięci o tym, co było. Powstała więc w celu pomnożenia dobra, jakkolwiek to brzmi. Wydawana antologia stanowi niejako kontynuację i rozwinięcie tego, co o Żydach wielickich można znaleźć w *Wieliczanach na opisanych fotografiach*[35]. Andrzej Piotrowski, z zamiłowania historyk i żeglarz, jest zdania, że zamieszczone w tamtej książce teksty, opisujące sytuacje ze zdjęć, są jak „meldunki", pełne wydarzeń, a zatem stosują się do nich słowa Janusza Przymanowskiego ze *Studzianek*: „Nauczmy się czytać meldunki"[36]. Materiał zamieszczony w niniejszej książce rozwija „meldunki", które się znajdują w rozdziale *Wieliczan* zatytułowanym *W opresji*. Powstanie antologii jest także wyrazem protestu przeciw nadal dość powszechnemu w Polsce zjawisku, o którym wspomniała Hanna Świda-Zięba, tłumacząc, dlaczego kolejne rządy wolnej Polski nie traktowały priorytetowo zwrócenia obywatelstwa Żydom, którzy wyjechali z kraju w 1968 roku: „To się nie stało i dalej nie dzieje dlatego, że dla naszych rządów wypędzenie było sprawą obojętną, albo incydentalną. Bo dotyczyło – obcych. Byli, wyjechali, gdzieś żyją, niech żyją, my ich nie potrzebujemy"[37].

[33] J. Kurski, *Kadysz dla Intruza*, *op. cit.*

[34] M. Weber, *„Obiektywność poznania w naukach społecznych* [w:] *Problemy socjologii wiedzy*, Warszawa 1985, s. 22.

[35] W. Żyznowski, *Wieliczanie na opisanych fotografiach*, Siercza 2009.

[36] J. Przymanowski, *Studzianki*, Warszawa 1979.

[37] *Antysemityzm nasz powszechny*. Wywiad Teresy Torańskiej z Hanną Świdą-Ziembą [w:] „Gazeta Wyborcza" (wydanie internetowe) 2009, 3 marca, http://wyborcza.

Stanowiący większość w społeczności powinni traktować współegzystujących z nimi przedstawicieli mniejszości jako nieobcych, nawet jeśli nie doznają tego samego ze strony tamtych. Choć niechęć ze strony większości bywa przysługą dla mniejszości, bo pobudza ją do stania się większością inaczej lub gdzie indziej, tak jak stało się w przypadku Żydów w Izraelu. Taki rozwój wypadków w świecie trafnie przewidział w odniesieniu do Żydów wybitny lider syjonistyczny Zeew Żabotyński, wspomniany tu w jednym z tekstów[38]. Mniejszość żydowska w Wieliczce przeminęła. Dlatego zasługuje ze strony pozostałej tu większości na coś więcej niż brak obcości, zasługuje na czułość.

O ZAWARTOŚCI KSIĄŻKI

Książka ta jest zbiorem tekstów, fotografii i dokumentów dotyczących Żydów wielickich, klaśnieńskich i częściowo tych, którzy otarli się o Wieliczkę podczas wojny. Zamieściliśmy tutaj prawie wszystkie teksty, do których udało się nam dotrzeć lub spowodować ich powstanie dzięki dokumentom archiwalnym i świadectwom osób żyjących. Natomiast głównie ze względu na wymogi objętościowe nie publikujemy wszystkich fotografii, którymi dysponujemy. Mamy nadzieję, że zostaną one wykorzystane w przyszłości z innej okazji, czy przez nas, czy przez kogoś innego.

W całej książce słów „Polak", „pochodzenie polskie", „Żyd", „pochodzenie żydowskie" oraz ich synonimów i odmian językowych używa się dość konsekwentnie w znaczeniu potocznym. Odpowiada ono z grubsza określeniu danych osób zgodnie z tym, za kogo one same siebie uznają, zwłaszcza jeśli przyjdzie im to określić jednoznacznie. Takie podejście nie uwzględnia dystynkcji, których życzyliby sobie wszyscy ci, którzy uznają się za „Polaków pochodzenia żydowskiego" lub „Żydów pochodzenia polskiego", a tym bardziej tych, którzy uważają się zarazem za „Żydów i Polaków" czy „Polaków i Żydów". Nie uwzględnia ono więc być może wystarczająco wszystkich licznych kontekstów kulturowych, etnicznych i religijnych, które nie dopuszczają stosowanych tu uproszczeń. O trudności tego zagadnienia można przeczytać w rozdziale *Polak czy Żyd* z książki *Pan Doktor i Bóg. Marek Edelman: bohaterski, genialny, nieznośny*[39]. Z nazywaniem w niniejszej książce niektórych osób Żydami Edelman mógłby się nie zgodzić. Jego „myślenie zakładało, że Żydami byli przede wszystkim robotnicy albo rzemieślnicy mieszkający w Polsce przed wojną, i co bardzo ważne – mówiący w jidysz. Oni niemal wszyscy zostali wymordowani. [...] Otóż, on wciąż jest Komendantem powstania w getcie – m.in. dlatego ma własną definicję Żyda. Dla niego Żydem jest każdy, kto jest prześladowany – niezależnie od tego, gdzie i kiedy dotykają go represje"[40]. Żydzi wieliccy i klaśnieńscy, którzy przeżyli wojnę, byli w większości pochodzenia inteligenckiego lub mieszczańskiego i mówili w jidysz słabo albo nie mówili wcale.

Mimo komplikacji w kwestii tożsamości żydowskiej zdecydowaliśmy się na jednoznaczność co do

pl/1,76842,6337913,Antysemityzm_nasz_powszechny.html.

38 L. Frenkel, *Ruch Syjonistów-Rewizjonistów i Bejtar w Wieliczce*, s. 125–126 w niniejszej książce.

39 V. Ozminkowski, M. A. Olczak, *Pan Doktor i Bóg. Marek Edelman: bohaterski, genialny, nieznośny*, Warszawa 2012, s. 177.

40 *Ibidem*, s. 179–181.

niej, ponieważ uznaliśmy, że na potrzeby tego opracowania to wystarcza i nie wprowadza czytelnika w błąd. Zdecydowana większość, jeśli nie wszyscy bohaterowie zamieszczonych tu tekstów okazują się niedwuznacznie albo Polakami, albo Żydami. Kiedy pytaliśmy naszych rozmówców mieszkających w Izraelu o to, jak by określili samych siebie w kontekście narodowości, przynależności kulturowej i mentalności, odpowiadali tak samo: „Jestem urodzonym w Polsce Żydem, obywatelem Izraela (Izraelczykiem)". Określenia „w kraju" używali oni w odniesieniu do Izraela. Kraj ten wydał się nam, urodzonym i mieszkającym w Polsce, całkiem niepolski. Zamieszkują go w większości ludzie odlegli mentalnie i etnicznie od Polaków. Stopień niepolskości Izraela mówi coś o determinacji Żydów polskich, którzy dążyli do życia w „swoim" kraju. Podczas pobytu w Izraelu wyzbyliśmy się jakichkolwiek pretensji do trwałego wpływu polskości na ten kraj dzięki alijom[41] Żydów z Polski. Przekonaliśmy się, że Izrael nie jest „nasz" w najmniejszym stopniu.

Zasadniczą treść książki podzieliliśmy na trzy główne części, w których skład wchodzą teksty różne pod względem zamysłu, pochodzenia oraz czasu i miejsca powstania. Część zatytułowana *Przed Zagładą* obejmuje okres od najwcześniejszego opisanego w źródłach dostępnych dla autorów tekstów po początek II wojny światowej. Głównie tam można czytać o Żydach wielickich i klaśnieńskich takich, jakimi żyjąc w Polsce, byli oni zwyczajnie i prawdziwie, czy to jako jednostki, czy we wspólnocie. Druga część obejmuje cały okres II wojny światowej. Być może zamiast tytułu *Zagłada* należałoby użyć słów *Wojna i Zagłada*, których autorzy używają w kilku tekstach wymiennie. Z wyjątkiem pewnej liczby drastycznych epizodów więcej niż pierwsze dwa lata wojny można uznać za względnie spokojne dla Żydów przebywających w Wieliczce. Świadczy o tym choćby to, jak wielu Żydów spoza Wieliczki osiadło wówczas w mieście. Trzecia część książki obejmuje okres powojenny, aż do dziś. Dotyczy mniej Żydów wielickich i klaśnieńskich jako wspólnoty, a bardziej indywidualnych losów tych, którzy przeżyli Zagładę.

Niektóre teksty napisano z okazji innych niż niniejsza książka – są tu przedrukowane z różnych publikacji (część z nich to tłumaczenia) lub drukowane po raz pierwszy. Pozostałe powstały specjalnie ze względu na tę publikację.

Gdybyśmy nawet mogli doprowadzić do napisania spójnej historii Żydów wielicko-klaśnieńskich, być może nie udałoby się w ten sposób oddać różnorodności zamieszczonych tu tekstów pod względem emocji i ducha ludzkiego. A to w tym wypadku wydaje się nam najważniejsze, stąd antologia, a nie napisana od nowa zwarta opowieść. Utwory zawarte w każdej antologii może dzielić wszystko, oprócz tego, co jej twórcy uznali za wspólne dla nich. Teksty, które oddajemy do rąk czytelników, wiele łączy i wiele dzieli.

Najstarszy, dotyczący Wieliczki i Klasna, powstał w 1872 roku, najnowsze – w 2012. Zdarzają się rozprawy historyczne o charakterze naukowym, jak ta autorstwa dr Anny Jakimyszyn. Ale są też teksty o wielkim ładunku emocji osobistych, jak na przykład wypowiedź emerytowanego sędziego Nathana Kleinbergera[42], nagrana przez nas w Tel Awiwie między 12 a 17 marca 2012 roku. Są też

[41] Alija – żydowska imigracja do Palestyny, a po 1948 roku do współczesnego państwa Izrael. Tak Żydzi określają „powrót do ojczyzny swoich ojców".

[42] Zob. s. 213–219, 347–356, 545–550.

fragmenty spisów urzędowych, jak wypis z *Księgi adresowej Polski*[43]. W większości teksty powstały na piśmie z myślą o publikacji, ale niektóre wzięły się z wywiadów przeprowadzonych podczas osobistego spotkania lub telefonicznie, w sposób zaplanowany bądź spontaniczny. Niektóre można by traktować jako służące agitacji politycznej, inne jako bardzo osobiste wyznania. Część wypowiedzi powstawała na bieżąco w czasie wydarzeń, których dotyczą, i jako takie są najbardziej źródłowe. Z tego powodu, i z wielu innych, na szczególną uwagę zasługuje sprawozdanie o charakterze pamiętnikowym autorstwa Marii Bill-Bajorkowej[44]. To jedyna znana, spisywana na bieżąco, relacja z zamordowania na miejscu lub wywiezienia z Wieliczki na śmierć w sumie około jedenastu tysięcy osób. Znów inne zamieszczone tu relacje są wywołaniem z pamięci rzeczy po wielu dekadach, zdarza się, że po ponad ośmiu, jak w wypadku Izaaka Birnbauma[45], który podczas rozmów w Hajfie w marcu 2012 roku dzielił się z nami szczegółami życia klaśnieńskiego z lat trzydziestych XX wieku. Przesunięcie ujęć w czasie nie umniejsza ich wartości, tylko zmienia ich przeznaczenie: do traktowania w mniejszym stopniu jako źródłowe, a w większym jako interpretacyjne. Czytelnik zainteresowany interpretacją wojennych i powojennych dziejów Żydów wielickich dużo by stracił, gdyby nie poznał wypowiedzi na ten temat prof. Uriego Shmueli[46].

Duża różnorodność publikowanych wypowiedzi spowodowała pewne niezgodności historyczne i historiograficzne. Zaznaczaliśmy ich istnienie tam, gdzie je dostrzegliśmy, weryfikowaliśmy je tam, gdzie to było możliwe. Zachodzi obawa, że wiele bardziej i mniej ważnych kwestii dotyczących Żydów wielickich i klaśnieńskich nie zostanie już ani poruszona, ani wyjaśniona. Charakter tej antologii, zawierającej obok tekstów także kopie fotografii i dokumentów, wpłynął na różnorodność metod stosowanych przy powstawaniu poszczególnych fragmentów, a niekiedy na szczupłość założeń metodologicznych. Kierowaliśmy się przede wszystkim kilkoma podstawowymi zasadami. Dzieje zachowane w pamięci ludzkiej są nie mniej – choć może inaczej – wartościowe od tych zapisanych w dokumentach urzędowych lub innych. Emocje nie są mniej ważne od zdarzeń. Interpretacje są istotne, nawet jeśli dotyczą nieweryfikowalnych faktów. Najwięcej emocji przekazali nam ci, których o to specjalnie prosiliśmy. Im bardziej się nimi dzielili, tym przyjaźniejsi stawali się wobec nas. Dr hab. Tomasz Sikora, autor wielu zamieszczonych tu tłumaczeń tekstów hebrajskich i wykładowca języka hebrajskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, twierdzi, że już samo zapytanie Żyda o jego przeszłość czyni go przyjaznym, zgodnie ze znaczeniem hebrajskiego słowa *zechor* – „pamiętaj"[47]. Przy wyborze materiałów kierowaliśmy się jeszcze dwoma kryteriami: zgodnością treści z obraną linią tematyczną i oryginalnością. Podczas zbierania przekazów, zarówno współczesnych, jak i starszych, interesowało nas wszystko, co było do osiągnięcia.

[43] Zob. *Wieliczka w Księdze adresowej Polski (wraz z W. M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa, Warszawa 1929*, s. 81–83 w niniejszej książce.

[44] Zob. s. 313–328.

[45] Zob. s. 143–153, 357–364, 533–538.

[46] Zob. s. 289–294, 551–560.

[47] Hebrajskie słowo „zechor" jest formą czasownika rodzaju męskiego w trybie rozkazującym.

Tekstom zawartym w niniejszej książce można zarzucić jednostronność w pewnych względach. O braku perspektywy tych, którzy nie przeżyli, wspomniano wcześniej. Wypowiedzi byłych wielickich Żydów – zarówno wcześniejsze, jak i najnowsze – w większości prezentują stanowisko tych, którzy w Wieliczce (czy w Polsce) ani nie mieszkają, ani nie chcieliby już mieszkać. Tę przewagę mogłoby równoważyć przedstawienie poglądów Poli i Szymona Schnurów[48] na temat powojennego życia Żydów w Wieliczce[49], gdybyśmy je znali szerzej. Mieszkali oni tutaj do 1983 roku, kiedy oboje zmarli.

Jest więcej rzeczy, których mogłoby nie brakować w niniejszej książce, powstałej w latach 2009–2012.

Nie udało się nam porozmawiać twarzą w twarz z byłymi wieliczanami pochodzenia żydowskiego, którzy mieszkają poza Polską, ale nie w Izraelu. Bowiem tylko ten kraj odwiedziliśmy. Nie powiodło się namawianie byłych wieliczan na próbę odtworzenia choćby małego fragmentu oryginalnej mowy, jakiej Żydzi używali w Wieliczce, w tym lokalnych przysłów i powiedzonek. Nie natrafiliśmy na fotografię, która ukazywałaby coś z *genius loci* przedwojennego żydowskiego Klasna. Nie oddają tego zdjęcia z tamtego okresu, którymi dysponujemy[50]. Przyczyny braku zdjęć przedwojennego Klasna mogą być prozaiczne. W albumie pod tytułem *Wieliczka na dawnych pocztówkach*[51] w opracowaniu Marka Sosenki i Piotra Kurowskiego, który stanowi bogate źródło starych wielickich widoków, czytamy: „Turyści odwiedzający dzisiaj solny gród mogą nabyć współczesne pocztówki przedstawiające przede wszystkim kopalnię i jej skarby. Widoki samego miasta ograniczają się do kilku standardów, a dawniej? Należy wątpić, by turyści z początkiem XX wieku zapuszczali się do miasteczka pozbawionego chodników i brukowanych ulic, szczególnie w słotne dni"[52].

Nie zdołaliśmy namówić przedstawicieli Muzeum Żup Krakowskich na wydanie wspólnego opracowania na temat Żydów Wieliczki i Klasna. Urzędnicy tej ufundowanej i utrzymywanej przez podatników szacownej instytucji nie udostępnili również materiałów, którymi dysponują, zarówno redagującym ten tom, jak i dr Annie Jakimyszyn, specjalistce młodego pokolenia w dziedzinie judaistyki.

Nie pytaliśmy o przeszłość tych spośród żyjących w Polsce osób pochodzenia żydowskiego, których rodziny być może pochodzą z Wieliczki lub jej okolic, ale które prawdopodobnie nie chciałyby rozmawiać na ten temat. Nie znaleźliśmy poza Wojciechem Kleinem nikogo z Polaków pamiętających wojnę, kto dałby świadectwo najtragiczniejszym wydarzeniom końca sierpnia 1942 roku, które rozszerzyłoby materiał uzyskany przez nas w inny sposób.

Nie stworzyliśmy na podstawie zachowanych dokumentów kompletnej mapy byłych nieruchomości należących do Żydów przed wojną i podczas niej. Po pierwsze precyzyjne wykonanie tego zadania byłoby trudne ze względu na ciągłe transakcje kupna-sprzedaży, które miały miejsce także podczas wojny. Po drugie wskazanie na transakcje tego typu, których dokonano podczas wojny, mogłoby postawić ich polskich uczestników w niezręcznej sytuacji, na co

[48] Właśc. Sznur, jak pisano to nazwisko po wojnie.

[49] Zob. s. 509–514.

[50] Zob. s. 144, 154, 157 oraz W. Żyznowski, *op. cit.*, s. 309.

[51] M. Sosenko, P. Kurowski, *Wieliczka na dawnych pocztówkach*, Kraków 1999.

[52] *Ibidem*, s. IX.

w większości wypadków by nie zasługiwali. Delikatność tego zagadnienia ukazuje wypowiedź Nathana Kleinbergera na stronie 349. Po trzecie najważniejsza jest reakcja naszych rozmówców Żydów, kiedy zagadywaliśmy ich o niezamknięte sprawy majątkowe w Polsce. Niezależnie od opinii innych wykazywali oni taką samą daleko posuniętą obojętność wobec majątków, które ich rodziny pozostawiły w Polsce. Obojętności tej towarzyszył raczej brak niechęci wobec tych, którzy być może skorzystali z tych okazji. Jeśli mówić o jakichkolwiek nielicznych śladach braku wyrozumiałości ze strony naszych rozmówców, to odzywał się on raczej podczas wspominania jawnych aktów wrogości, jakich doznawali ze strony Polaków, kiedy tu mieszkali. Jednak od razu wszyscy oni dodawali, że ich kontakty z Polakami bynajmniej nie składały się wyłącznie z takich zdarzeń.

Materiały, które zamieszczamy, pochodzą w większości od Żydów i wyrażają ich punkt widzenia – jeśli w ogóle można mówić o takim zjawisku ze względu na narodowość. Z pewnością całości dopełniłoby więcej wypowiedzi Polaków stykających się kiedyś z Żydami Wieliczki i Klasna. Długo po wojnie, ale kiedy jeszcze żyły odpowiednie osoby, Alicja Małeta z Muzeum Etnograficznego w Krakowie zrobiła wywiady na ten temat; korzystała z nich w swojej pracy dr Anna Jakimyszyn. Nie powtórzyliśmy dziś podobnego przedsięwzięcia ze względu na zacierający pamięć upływ czasu, malejącą wciąż liczbę świadków oraz nieszczególną chęć do rozmów na ten temat u części z tych, do których się zwróciliśmy.

Książkę tę wydajemy po polsku, a być może więcej czytelników znalazłaby ona w wersji angielskiej. W różnych krajach świata żyje kilkaset, jeśli nie więcej, osób należących do kilku generacji potomków Żydów wielickich i klaśnieńskich. Tylko niektórzy z nich, i to spośród najstarszego pokolenia, mówią po polsku, choć już niekoniecznie czytają. Jedną z wielu miłych niespodzianek, które nas spotkały podczas wizyty w Izraelu, było to, że Izraelczycy, przynajmniej ci o polskich korzeniach, mają w domach dużo książek, czytają je i o nich rozmawiają. Tradycyjne przywiązanie przedstawicieli narodu żydowskiego do świętych ksiąg przeszło w ich podejście do książek. Nie zniknął w Izraelu duch prowadzącej gospodę Żydówki, trwożącej się o księgę, którą widzi w rękach „sztukmistrza z Lublina", pół-Żyda, udającego akurat Polaka. Jeśli warto poświęcić komuś niekomercyjną książkę antologiczną, to właśnie Żydom.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta nie powstałaby, gdyby nie pomoc i wkład wielu osób prywatnych oraz instytucji. Wiele z nich współpracowało z nami już przy powstawaniu *Wieliczan na opisanych fotografiach*. Wszystkim serdecznie dziękujemy.

Prof. Uri Shmueli w wieku młodzieńczym ocalał z Zagłady w Wieliczce. Mieszka i pracuje w Izraelu. Jest współautorem i współtłumaczem niniejszej antologii. Przez cały okres prac nad nią był w stałym kontakcie z naszą redakcją. Oddał do druku własne teksty. Przetłumaczył wybrane przez siebie teksty hebrajskie. Miał wpływ na zawartość książki. Był naszym konsultantem w kwestii znaczenia słów hebrajskich, kultury i obrzędów żydowskich. Pomógł nam dotrzeć do wielu osób mieszkających w Izraelu i innych krajach, którym rekomendował nasz projekt i które wiele do niego wniosły. Odnalazł wnuczki Moszego Klinghofera i skontaktował się z nimi. Zdobył skany zdjęć wielickich Żydów z 1902 i 1915 roku.

Nie rezygnował w trudnych momentach. Zachęcał nas w różny sposób, na przykład słowami: „To, co robicie, my nazywamy po hebrajsku «świętą pracą». Jeżeli mogę być w tym pomocnym, zrobię to bardzo chętnie i bezinteresownie!". Podjął się wielu niezbędnych czynności technicznych i organizacyjnych, których wykonanie w Polsce byłoby trudne lub niemożliwe. Przyjął nas życzliwie w swoim kraju, cierpliwie tłumaczył meandry stosunków żydowsko-polskich, uprzejmie pokazywał, jak funkcjonuje państwo izraelskie, oprowadzał po nim, pomagał w wielu różnych sytuacjach. Jest jednym z zaangażowanych inicjatorów upamiętnienia w postaci tablicy wydarzeń w Wieliczce z 27 sierpnia 1942 roku, przez które osobiście przeszedł.

W wielu wymienionych wyżej czynnościach prof. Shmueli pomagała Magda Leuchter. Bez jej zaangażowania pomoc pana Uriego miałaby prawdopodobnie skromniejszy wymiar. Bez jej życzliwości i gościnności nasz pobyt w Izraelu byłby uboższy.

Sędzia Nathan Kleinberger po tym, jak przeczytał *Wieliczan na opisanych fotografiach*, zatelefonował do nas, żeby powiedzieć, że chciałby nas poznać osobiście, ale to my musimy przyjechać do niego, ponieważ on z pewnością nie będzie mógł się udać do nas. Gdyby nie te słowa nie pojechalibyśmy do Izraela po ponad dwóch latach od ich wypowiedzenia. Nasze dwa spotkania w domu pochodzącej z Oświęcimia Heli i wieliczanina Nathana Kleinbergerów były pełne wzruszeń. Widać to w zamieszczonych w naszej antologii wypowiedziach państwa Kleinbergerów. Angażowali się oni także w ostateczną redakcję tekstów opartych na ich wspomnieniach. To u nich w domu zobaczyliśmy wyraźnie, czym jest przejście godności Żyda polskiego w godność Żyda izraelskiego. Brak obu rąk i jednego oka oraz bardzo osłabione drugie oko i słuch nie przeszkodziły Nathanowi Kleinbergerowi w ukazaniu nam serdecznego i rozentuzjazmowanego ducha kogoś, kto zaczął normalne życie rodzinne i zawodowe oraz zrobił poważną karierę po tym, jak przeżył w dzieciństwie i młodości śmierć ojca, rozstanie z matką i młodszym rodzeństwem wywożonymi jawnie na śmierć, kilka obozów niemieckich, śmierć ukochanego brata, który nieraz uratował mu życie, czynny udział na froncie wojny izraelsko-arabskiej, wreszcie tak duże okaleczenie. Wiele łatwiej w życiu nie było i nadal nie jest jego żonie Heli, która zdaje się osobą podobnego usposobienia i hartu ducha. Wypowiedzi Nathana Kleinbergera należą do jednych z najważniejszych w książce ze względu na ich ładunek emocjonalny i niezwykłość jego losów. Pan Nathan, wraz z panem Urim Shmuelim, konsultował z nami treść napisu na wspomnianą wcześniej tablicę. Ustalili wspólnie, że umieszczenie na niej nazwisk ich oraz dwóch innych osób jako „ocalałych z Zagłady wielickiej" obok podpisu „wieliczanie", co im proponowaliśmy, byłoby zbyteczne, ponieważ „mieli po prostu szczęście, że zostali przy życiu".

Gościnność domu Kleinbergerów przechodziła płynnie w gościnność domu ich córki i jej męża oraz syna tych pierwszych. Miriam Kleinberger-Attar i jej mąż Ron Attar pomogli także w kontaktach z ojcem, przy wymianie mailowej, w zdobywaniu informacji do opisów zdjęć, a także skanowaniu zdjęć rodzinnych. Rami Ben-Nathan, syn państwa Kleinbergerów, podjął się wytłumaczenia nam skomplikowanego stosunku jego pokolenia do Polski i do Polaków.

Dom Izaaka i Zofii Birnbaumów w Hajfie to polski dom Żydów przeniesiony z Polski do Izraela. Po przestąpieniu jego progów poczuliśmy się jak u siebie, tyle że urodzeni wcześniej o lat więcej, niż

sobie liczymy. Przedwojenna gościnność, serdeczność, szyk, nienaganna polszczyzna, ujmująca bezpośredniość, ciągle zastawiony stół. Wbrew prawom biologii ta para dziewięćdziesięciolatków pomogła nam w pracy nad książką tyle, co sześciu innych trzydziestolatków. Po pierwszych sześciu godzinach wywiadu nagrywanego na wideo pan Izaak dopiero się rozkręcił. Doskonale rozumiał, że pewne rzeczy powie albo on, albo nikt, albo teraz, albo nigdy. Dzięki tej sympatycznej parze potrafiącej rzewnie wspominać Polskę, choć niekoniecznie stosunek Polaków do nich, uzyskaliśmy wywiady nagrywane w ciągu dwóch dni, archiwalne zdjęcia, nowe namiary na kolejnych potomków byłych wieliczan, a także możliwość konsultacji telefonicznych z nimi, w tym ustaleń redakcyjnych do tekstów. „Przywileju doświadczenia Zagłady", jak powiedziałby Isaac Singer, pan Izaak Birnbaum dostąpił, a pani Zofia się o niego otarła.

Życzliwość i chęć pomocy córki państwa Birnbaumów, Ruth Hoffman, nie odstawała od wzoru wyznaczonego przez jej rodziców. W naszych kontaktach mailowych z jej rodzicami pomagała z przerwami przez cztery lata. Chętnie sama rozmawiała przez telefon, posługując się bardzo dobrą polszczyzną. Podjęła się wszystkich czynności technicznych w związku z udziałem jej rodziców w naszym przedsięwzięciu.

Dom Marii Perlberger-Shmuel w Hajfie to polski dom przeniesiony z Polski do Izraela. Można w nim buszować po bogatym księgozbiorze – w dużej części polskim. Pani Maria mówi w tym języku tak, jakby nigdy nie wyemigrowała. Znajomością różnych kruczków językowych mogłaby zawstydzić niejednego Polaka w kraju. Doskonała znajomość polszczyzny pozwala jej być tłumaczką książek napisanych po hebrajsku[53]. Pani Maria opisała ostatnie dni sierpnia 1942 roku w Wieliczce widziane oczami dziecka. Zły los targował się z lepszym losem o jej dziewięcioletnie życie dosłownie do ostatniej godziny o poranku w dniu akcji. Oprócz przyjemności i satysfakcji z poznania tak interesującej osoby zawdzięczamy jej wiele innych rzeczy. Cenne literackie teksty. Kilka unikalnych starych zdjęć. Jedno z nich, znajdujące się również w posiadaniu jej kuzynek, wnuczek Moszego Klinghofera, przedstawia dżentelmenów wielickich z cylindrami na głowach, co prawdopodobnie otwiera nowy rozdział w historii fotografii wielickiej. Pani Maria umożliwiła nam również wgląd w osobistą korespondencję wojenną i powojenną. Wskazała na wielickie wspomnienia Janiny Ekier zawarte w *Ustnej harmonijce*[54].

Orna i Tal Azarowie, córka i zięć Marii Perlberger-Shmuel, udostępnili do opracowania drzewo genealogiczne rodziny Perlbergerów z Wieliczki.

Anna Oganesov jest córką jedynaczką Poli i Szymona Schnurów, którzy po wojnie żyli w Wieliczce. To dzięki niej poznaliśmy Celinę Tadanier, która opowiedziała o nas Romanowi Leatonowi, ten z kolei polecił nas byłym wieliczanom mieszkającym w Izraelu. Pani Anna udostępniła nam skany zdjęć i inne materiały rodzinne. Pomogła rozpoznać osoby na fotografiach. Konsultowała tekst autorstwa Marii Gawędy o swojej rodzinie. Ciekawie opowiadała o swoich rodzicach i ich powojennym życiu w Wieliczce. Współpracowała przy formalnych staraniach o tablicę upamiętniającą Zagładę.

---

53 Przetłumaczyła z jęz. hebrajskiego pamiętnik I. Sternberga *Pod przybraną tożsamością*, Warszawa 2004.

54 *Ustna harmonijka. Relacje Żydów, których uratowali od Zagłady Polacy*, red. E. Isakiewicz, Warszawa 2000.

Zgodziła się na użyczenie ściany budynku w Rynku Górnym 7, gdzie tablica zawiśnie.

Dobrym duchem naszych prac nad historiami Żydów wielickich jest od początku Roman Leaton (wcześniej: Roman Licht). To on wskazał nam większość wieliczan pochodzenia żydowskiego i zapoznał nas z nimi. Opowiedział nam o swoich niezwykłych losach. Mimo że ocalał z Zagłady, jest zdania, że los niektórych innych ocalałych wieliczan jest ważniejszy niż jego. Pan Roman udzielił nam tylu wywiadów telefonicznych, o ile go prosiliśmy. Autoryzował także tekst o Celinie Tadanier (z domu Lax) po jej śmierci. Pomógł w opisywaniu fotografii.

Zachowujemy sympatyczną i wdzięczną pamięć o Celinie Tadanier, zmarłej w Krakowie 6 lipca 2011 roku w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Jest jedną z najważniejszych bohaterek *Wieliczan na opisanych fotografiach*. W ciągu ostatnich dekad była raczej jedyną Żydówką z Wieliczki mieszkającą na pobliskim krakowskim Kazimierzu, utożsamiającą się w pełni i jawnie ze światem, w którym wyrosła. Dzięki temu czuliśmy się u niej w domu jak przeniesieni w świat przedwojennej żydowskiej Wieliczki, podobnie jak w domu państwa Birnbaumów. Dużo jej zawdzięczamy, od kiedy w 2008 roku zajęliśmy się wieliczanami i wielickimi Żydami. Wypożyczyła nam swój bezcenny album z przedwojennymi zdjęciami rodzinnymi i zgodziła się na publikację jego zawartości bez ograniczeń. Sporo nam opowiedziała o dawnych czasach. Pozowała do zdjęć. Polubiła nas, a my ją. Utrzymywaliśmy z nią kontakt do końca.

Alfred Lax zachował dobrą pamięć o minionych czasach mimo przekroczonej dziewięćdziesiątki i zmiany otoczenia na australijskie dziesiątki lat temu. Historia jego ocalenia z akcji w Wieliczce i późniejszego życia wojennego jest tak niezwykła, że byłaby wiarygodna nawet bez poświadczających ją dokumentów, a właściciel ma ich sporo. Stał się on w czasie wojny bardziej skutecznym Odyseuszem niż heroicznym Achillesem. Pan Alfred zgodził się na tłumaczenie i publikację fragmentów swoich wspomnień. Chętnie udzielał wywiadów telefonicznych, rozmawiając po polsku, osobiście korespondował mailowo, przesłał skany zdjęć i podczas rozmów opisał ich zawartość, pomógł w rozpoznaniu na fotografiach niektórych osób żyjących dawno temu w Wieliczce.

Józef Rozewicz spędził w Wieliczce dziewięć pierwszych lat życia. Zgodził się na opublikowanie części swoich wspomnień dotyczących Wieliczki, zawartych w książce *Wszystko zależy od przypadku*. Chętnie z nami korespondował. Udostępnił fotografie rodzinne, wskazał na artykuły prasowe o swoim wuju dr. inż. Izaaku Rosenzweigu i swoim bracie dr. inż. Zygmuncie Rozewiczu.

Zainteresowanie naszym przedsięwzięciem okazała także Alfreda Künstler, do której dotarliśmy za pośrednictwem Romana Leatona. Udzieliła wywiadów telefonicznych. Użyczyła fotografii rodzinnych z Wieliczki, opisała uwiecznione na nich osoby i zgodziła się na ich publikację. Konsultowała tekst nagranego z nią wywiadu.

Z Nathanem Gutmanem nawiązaliśmy kontakt dość późno. Umożliwił nam to prof. Uri Shmueli. Pan Nathan udostępnił swoje spisane wspomnienia i zgodził się na ich tłumaczenie oraz publikację. Zechciał także uzupełnić wspomnienia o wątki, na które wskazaliśmy. Przekazał nam kopię zdjęcia zrobionego podczas jego pobytu w Wieliczce podczas wojny.

Dr Jack Wimmer przeżył Zagładę, po czym osiągnął bardzo dużo w konkurencyjnym świecie za-

chodnim. Mimo zbliżającej się dziewięćdziesiątki i terminarza wypełnionego po brzegi chętnie z nami współpracował, to odpowiadając pisemnie na pytania związane ze swoim życiem, to rozmawiając telefoniczne. Przesłał także do naszej redakcji kopie zdjęć oraz swoich zeznań spisanych przez jego wnuka Daniela Schlossa, które w 1991 roku złożył w Ambasadzie Niemieckiej w Nowym Jorku podczas procesu przeciwko Josephowi Schwammbergerowi.

Larry Zellner, szczęśliwie mieszkający z żoną Anną od lat również w Nowym Jorku, bardzo życzliwie ustosunkował się do naszego projektu. Opowiedział podczas kilkugodzinnego wywiadu telefonicznego historię swego życia i udostępnił za pośrednictwem syna Jamesa Zellnera skany zdjęć i dokumentów.

Nica Dekel i Ilana Zohar są wnuczkami wspominanego wcześniej Moszego Klinghofera. Udostępniły nam kilka z najstarszych zdjęć wielickich ukazujących rodziny Klinghoferów i Perlbergerów, jednocześnie przekazując nazwiska zapamiętanych osób. Podały także kluczowe daty z życia dziadków i ich potomków.

Henryk Schönker jest autorem książki zatytułowanej *Dotknięcie anioła*[55], która zyskała spory rozgłos. Jej część poświęcona wojennemu pobytowi autora z rodziną w przywielickim Klaśnie jest bardzo ważna dla całości. Tytułowy anioł dotknął rodziny podczas ucieczki z Wieliczki, kiedy zaczął się dla nich straszny czas. Szanowny autor pozwolił przedrukować fragmenty swojej książki dotyczące właśnie okresu wielickiego.

Tova Aran-Friedman przychyliła się do opublikowania fragmentów pracy Justyny Kutrzeby, o której jest mowa dalej, i uzupełniła je o kolejne detale. Zgodziła się także na zamieszczenie fotografii dawnej cegielni i młyna należących niegdyś do rodziny Friedmanów.

Neil Kaplan z własnej inicjatywy nawiązał kontakt z naszą redakcją, po czym bezinteresownie podjął się trudu zeskanowania i przesłania zdjęcia i dokumentów dotyczących Izaaka Schreibera. Dowiedział się, że szukamy materiałów o Żydach z Wieliczki, a na dokumentach, które posiadał, widniała właśnie taka nazwa – więc postanowił się nimi podzielić, mimo że nie znał wskazywanej osoby.

Antologia *Żydzi Wieliczki i Klasna* byłaby znacznie skromniejsza, gdyby pozbawić ją wkładu osób mieszkających w Polsce.

Bez zaangażowania członkini naszego zespołu Anny Krzeczkowskiej w prace redakcyjne, tłumaczenia z języka angielskiego, kwerendy, wywiady, korespondencję, spotkania i mnóstwo innych rzeczy, książka ta by nie powstała. Bez entuzjastycznego wsparcia i wytężonej redaktorskiej współpracy ze strony Karoliny Wałaszek, na co dzień redaktorki w Wydawnictwie Austeria, książka ta nie nabrałaby odpowiedniego kształtu przed symboliczną datą 27 sierpnia 2012 roku, kiedy przypada siedemdziesiąta rocznica Zagłady Żydów wielickich. Karolinie Wałaszek powierzyliśmy również całą oprawę graficzną książki. Nawiązaliśmy z nią współpracę dzięki Wojciechowi Ornatowi z Wydawnictwa Austeria. Pan Wojciech sekunduje naszemu zaangażowaniu w upamiętnianie Żydów wielickich już od wydania przez nas *Wieliczan*. Książka ta znalazłaby, jego zdaniem, więcej czytelników, gdybyśmy ją wydali w języku angielskim.

Obróbkę i przygotowanie fotografii do druku oddaliśmy w ręce współpracujących z nami od kilku lat

[55] H. Schönker, *Dotknięcie anioła*, Warszawa 2006.

Katarzyny Wojtygi, Joanny Szumiec i Krzysztofa Radoszka z Magister Lemur S.C. O adiustację i korektę tekstów poprosiliśmy obecną z nami przy większości publikacji Justynę Rojek. Otrzymaliśmy od niej także wsparcie i pomoc korektorską przy redagowaniu treści napisu na tablicę upamiętniającą wspomnianą rocznicę.

Dr Anna Jakimyszyn jest autorką monografii historycznej o Żydach wielickich obejmującej lata 1900–1939. Tekst znalazł się w książce w całości. Maria Gawęda napisała barwne wspomnienie o rodzinie Schnurów, w którym przy okazji przywołuje to, co z atmosfery żydowskiej pozostało po wojnie w Wieliczce. Przekazała również do publikacji zdjęcia z Rynku Górnego. Justyna Kutrzeba napisała pracę magisterską o wielickiej rodzinie Friedmanów, wykorzystujemy fragmenty tego tekstu. Dr hab. Tomasz Sikora przetłumaczył większość tekstów hebrajskich zamieszczonych w *The Jewish Community of Wieliczka*, które postanowiliśmy przedrukować.

Wojciech Klein mieszkał w Wieliczce w czasie okołowojennym. Wskazali go nam jego wieliccy krewni Dorota i Piotr Dymkowie. Pan Wojciech zdał relację z tego, co pamiętał, ze szczególnym uwzględnieniem Żydów żyjących w miasteczku. Udostępnił nam zdjęcia z własnych zbiorów. Pomógł także, wspólnie z Marianem Żyznowskim, w odtworzeniu mapy zapamiętanych miejsc w okolicy Dolnego i Górnego Rynku. Marian Żyznowski dodał także kilka wspomnień, których nie ma w *Wieliczanach na opisanych fotografiach*. Panowie Wojciech i Marian odbyli kilkugodzinny spacer z Urszulą Żyznowską po Wieliczce, wskazując związane z Żydami miejsca, lokale sklepowe, domy i opowiadając o ich zwyczajach i powiedzonkach przed 1939 rokiem, podczas wojny oraz po wyzwoleniu.

Maria Gromek, ilustratorka, naniosła zarówno wymienione powyżej, jak i klaśnieńskie obiekty na odpowiednie fragmenty planu miasta. Zamieszczamy je na wyklejkach do książki.

Leszek Hońdo opracował szkic o cmentarzu żydowskim na Grabówkach jeszcze do monografii Sierczy, wydanej przez nasze wydawnictwo w roku 2005. Na potrzeby niniejszej książki uzupełnił go o dodatkowe zdjęcia i opisy macew. Janina Sejdak udzieliła wywiadu na temat przeżyć swoich i rodziny związanych z ukrywaniem Izaaka Birnbauma, Frydy Katz i Dzidka Alstera oraz przekazała zdjęcia. Jan Jabłoński zgodził się na powtórną publikację swoich wspomnień poświęconych obozowi pracy w kopalni soli w Wieliczce, gdzie przebywał w 1944 roku. Władysława Drożdż poświęciła czas na dwugodzinną rozmowę, która posłużyła do zredagowania wspomnienia o rodzinie Horowitzów.

Andrzej Gaczoł wspomaga nasze wydawnictwo przy każdej książce dotyczącej Wieliczki lub okolic swoją wiedzą, zbiorami, czasem, zaangażowaniem. Tym razem pomógł przywołać stare nazwy ulic, służył wielickimi szczegółami topograficznymi, sprawdził część tekstów pod tym kątem, udostępnił do publikacji unikalne zdjęcia Wieliczki oraz plan orientacyjny miasta z 1939 roku. Podzielił się także materiałami dotyczącymi swojej mamy i ukrywającej się u niej podczas wojny rodziny Küchlerów.

Przytaczany i wspomniany wcześniej Henryk Ostrowski rozjaśnił dzieje trzech nieruchomości własności niegdyś żydowskiej, przyczynił się także do powstania innych kwerend, brał udział w wywiadach, zdobył mapę Wieliczki z 1944 roku, pomógł w pracach przygotowawczych przy tablicy poświęconej Zagładzie wielickich Żydów.

Szczepan Stanek wsparł nas w ustalaniu faktów dotyczących wspomnianych trzech nieruchomo-

ści na podstawie materiałów archiwalnych urzędu miasta, ksiąg wieczystych i zasobów geodezyjnych starostwa.

Jadwiga Duda przyczynia się do zachowania dla potomnych historii Wieliczki i okolic. Od początku wspiera nasze projekty. Okazała żywe zainteresowanie tematem wielickich Żydów. Poświęciła mu sesję Stowarzyszenia „Klub Przyjaciół Wieliczki". Przekazała nam kontakty do wielu pomocnych osób. Poparła inicjatywę utworzenia tablicy, o której mowa wyżej.

Rodzeństwo Krystyna Forssander i Kazimierz Kozik spędzili w Wieliczce dzieciństwo i młodość. Dzięki temu przysłużyli się niniejszej antologii opowieścią o szczegółach powojennego życia w mieście, które mogły być znane tylko miejscowym dzieciom i młodzieży.

Tadeusz Jakubowicz, przewodniczący Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Krakowie, nakreślił obecną sytuację nieruchomości wielickich należących do Gminy i wskazał na nowy dla nas kontakt wśród wielickich Żydów – Larry'ego Zellnera. Gerard Piasecki wyraził zgodę na opublikowanie grafik Ryszarda Aptego. Andrzej Kasprzyk użyczył zdjęć oraz dokumentów odziedziczonych po swoim ojcu, Stanisławie. Zofia Starma udostępniła zdjęcia i dokumenty dotyczące Celiny Sobel oraz rodzeństwa Amalii i Zygmunta Gelbandów, podzieliła się także wieloma spostrzeżeniami na temat życia Żydów w Wieliczce. Barbara Sosin użyczyła zdjęcia saliny, które wykonał jej ojciec Klemens. Marek Sosenko zgodził się na opublikowane w naszej książce pocztówek z Dolnego i Górnego Rynku. Krzysztof Widomski udostępnił zdjęcie z budowy kolektora kanalizacyjnego w mieście. Maria Łuszczkiewicz wyraziła zgodę na publikację widoków wielickich ulic i panoramy miasta. Jakub Wierzchowski, młody fotograf, o wschodzie słońca udał się na cmentarz żydowski na Grabówkach, by fotografować macewy; wykorzystujemy jedno ze zrobionych wtedy zdjęć. Aldona Pikul dokonała błyskawicznych transkrypcji wielogodzinnych wywiadów nagranych w Izraelu i w Polsce oraz rozmów telefonicznych.

Życzliwie przysłużyli się naszemu projektowi, poświęcając czas na rozmowę z nami, dzieląc się wspomnieniami, uzupełniając szczegóły – Maria Porąbka, Kazimierz Ścigalski, Adam Pietras, Yocheved Isbih.

Otrzymaliśmy także pomoc i wsparcie od wielu osób pracujących w różnych organizacjach i instytucjach.

Urząd Miasta i Gminy Wieliczka w osobach burmistrza Artura Kozioła i wiceburmistrz Urszuli Ruseckiej poparli ideę książki osobiście – i w pośredni sposób – urzędowo. Zgodzili się także w imieniu Urzędu ufundować tablicę poświęconą Zagładzie Żydów z Wieliczki i okolicznych miejscowości. Agnieszka Szczepaniak, pracująca w Wydziale Kultury i Turystyki tegoż Urzędu, poparła nasze przedsięwzięcie.

W Żydowskim Instytucie Historycznym Agnieszka Reszka, kierownik Archiwum, udostępniła kopie unikalnych dokumentów, Jan Jagielski, kierownik archiwum fotografii, przekazał cyfrowe kopie zdjęć, prof. Paweł Śpiewak udzielił zgody na publikację materiałów. Instytut okazał się znakomicie zorganizowany. Zatrudnia on ludzi chętnych do szybkiej, profesjonalnej współpracy oraz do udostępniania zbiorów.

W Muzeum Historii Żydów Polskich Joanna Fikus, program manager, pomogła w udostępnieniu dokumentów i zdjęć o Żydach wielickich, między innymi dotyczących Salomei Gemrot. Spotkaliśmy się tam z miłą atmosferą i inicjatywą we współpracy.

W Centropie Edward Serotta brał udział w udostępnieniu dokumentów i zdjęć poświęconych ro-

dzinie Horowitzów. Obsłużono nas tam chętnie, sympatycznie i szybko. Ich idea zbierania świadectw – łącznie ze zdjęciami i drzewami genealogicznymi – i zamieszczania ich w internetowej bazie danych zasługuje na uznanie.

W Wirtualnym Sztetlu wyrażono zgodę na publikację przez nas niektórych zdjęć z ich zbiorów, wskazano także instytucje dysponujące zdjęciami na interesujący nas temat. Jan Grądzki skontaktował się także z właścicielami zdjęć, by wyrazili zgodę na ich publikację. Wszystko odbyło się szybko i bez problemów.

W Archiwum Państwowym w Krakowie Tomasz Wroński, kierownik Oddziału III, zgodził się na współpracę z nami, a Bożena Lesiak-Przybył ją prowadziła. Uzyskaliśmy tam materiały przydatne do naszego projektu.

W Archiwum Państwowym w Poznaniu Krzysztof Stryjkowski udzielił nam zgody na publikację mapy niemieckiej Wieliczki z 1944 roku.

Instytut Pamięci Narodowej okazał się całkowicie przychylny wobec naszych próśb. Paweł Skorut z Biura w Wieliczce zaangażował się w przekazanie dokumentów i fotografii, pomagał także w kwerendzie.

Agata Chabior-Opidowicz, specjalista ds. prawnych, wyraziła zgodę w imieniu Wydawnictwa Literackiego na przedruk fragmentów wspomnień Natana Grossa, Henryka Voglera i Ireny Bronner. Niestety nie udało się skontaktować nas ze spadkobiercami autorów.

W Wydawnictwie Ośrodek Karta Aleksandra Janiszewska zgodziła się na przedruk fragmentów *Dotknięcia anioła* Henryka Schönkera. Hanna Antos z Fundacji Ośrodka Karta przychyliła się do przedruku relacji Jana Jabłońskiego o obozie pracy w kopalni soli. Agnieszka Uścińska, redaktorka tego tekstu, zgodziła się na przedruk i przysłała dodatkowe materiały.

W Fundacji Shalom użyczono nam dwóch zdjęć. Przyczyniła się do tego Gołda Tencer, dyrektor generalny. Korporacja Ha!art reprezentowana przez Piotra Mareckiego udostępniła skany grafik Ryszarda Aptego. Naama Shilo z Jad Waszem przekazała mailem skany zdjęć i zgodziła się na ich publikację. Renata Balewska z Narodowego Archiwum Cyfrowego przesłała nam skany zdjęć Wieliczki do publikacji. Izabela Wanat z Agencji Forum, koordynator współpracy z wydawnictwami, zorganizowała przekazanie zdjęć z kolekcji Tomasza Wiśniewskiego. Alicja Małeta z Muzeum Etnograficznego w Krakowie udostępniła materiały archiwalne dotyczące tego, jak mieszkańcy Wieliczki zapamiętali społeczność żydowską.

***

W książce zatytułowanej *Czasami trudno się bronić. Uwarunkowania postaw Żydów podczas okupacji hitlerowskiej w Polsce* Grzegorz Kołacz pisze o tym, że Niemcom udało się zerwać solidarność między Polakami a Żydami, która miała miejsce jeszcze podczas kampanii wrześniowej[56]. Każdy zatem okruch odbudowywania owej solidarności po latach zmniejszy ciągle żywy, jak widać, wpływ ówczesnych Niemców na dzisiejszych Polaków i Żydów, ponieważ on im dobrze nie służy. Nathan Gutman otarł się o Wieliczkę

56 G. Kołacz, *Czasami trudno się bronić. Uwarunkowania postaw Żydów podczas okupacji hitlerowskiej w Polsce*, Warszawa 2008, s.103.

podczas wojny i jest autorem jednej z zamieszczonych tu wypowiedzi. W napisanym po angielsku i przesłanym do naszej redakcji mailu zapytał: „Dlaczego teraz książka o Żydach z Wieliczki? Kogo interesowałoby coś takiego?". We wstępie do antologii *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*[57] Adam Michnik powołuje się na Leona Poliakova, autora fundamentalnej *Historii antysemityzmu*, który zapytany, dlaczego napisał swoją książkę, odpowiedział: „Chciałem wiedzieć, dlaczego chciano mnie zabić. To była prawie sprawa osobista"[58]. My podobnie do Poliakova potraktowaliśmy osobiście pytanie: „Dlaczego my żyjemy w Wieliczce, a Żydzi nie?".

Wiesław Żyznowski, Urszula Żyznowska

---

57 Adam Michnik, *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*, Kraków 2010.

58 L. Poliakov, *Historii antysemityzmu*, Kraków 2008, t. I, s. V.

NOTY REDAKTORSKIE

Zaczęło się od końca. Od pozostałości po innej, wcześniej wydanej książce. Może dlatego początkowo trudno było nam zdecydować o tym, jaki kształt ma przybrać ta publikacja.

Po wydaniu w 2009 roku *Wieliczan na opisanych fotografiach* zostało sporo materiałów, które nie weszły do książki z różnych względów – aby nie zaburzać proporcji, nie powtarzać, nie „rozpychać" na siłę i tak opasłego (jak na czas tekstowego pigularstwa i literackiego skrótu) tomiska. Stare zdjęcia, napoczęte historie, których fragmenty udało się wykorzystać, skrawki, które w naszej świadomości miały potencjał nieodkrytego skarbu. Zastanawiając się nad tym, czego o Wieliczce i okolicy jeszcze nie napisano, okazało się, że temat żydowski nie został jeszcze szerzej opracowany, przy czym był nam bliski już od jakiegoś czasu. Pozostało więc przejrzenie materiałów, które uzbieraliśmy do tej pory, oraz rozglądnięcie się w możliwościach – co jeszcze możemy zdobyć, z kim się skontaktować, gdzie sięgnąć? A przede wszystkim – jaką książkę chcemy wydać – monografię, szkic historyczny, naukowe opracowanie? Zdecydowaliśmy najpierw spróbować zebrać materiały, a następnie zastanowić się nad sposobem ich wykorzystania, układu i opracowania. Początkowo nawet nie przypuszczaliśmy, że zdobytych

tekstów i zdjęć wystarczy na publikację, mieliśmy nadzieję, że może na jakiś szkic.

Zaczątkiem naszych żydowskich zbiorów stała się nazywana przez nas od koloru okładki „czarną książeczką" *The Jewish Community of Wieliczka. The Memorial Book*, opracowana w trzech językach: hebrajskim, angielskim i polskim, którą zamieszczamy tutaj prawie w całości. Początkowo, przy braku innych tekstów, książka ta miała się stać – i *de facto* stała się – osnową dla naszej publikacji o wielickich Żydach. Rozpoczynając poszukiwania, nie mieliśmy jeszcze wyobrażenia, ile opowieści krąży po świecie w różnej – pisanej i niezapisanej formie, ile uda nam się zdobyć, ile ocalić na czas. I chociaż zawarte w „czarnej książeczce" teksty znaleźliśmy później także w innych źródłach – na przykład w dzienniku Marii Bill-Bajorkowej czy w artykule doktora Skulimowskiego – to nie da się ukryć, że na przykład teksty o polityce w przedwojennej Wieliczce po przetłumaczeniu z języka hebrajskiego okazały się prawdziwym rarytasem. Dzięki tłumaczeniom z hebrajskiego emerytowanego prof. Uriego Shmueli z Uniwersytetu w Tel Awiwie oraz dr. hab. Tomasza Sikory z Uniwersytetu Jagiellońskiego teksty utrzymały pewną przedwojenną manierę, współgrającą z estetyką językową tamtego czasu, widoczną zwłaszcza w publicystyce („Ha-Magid"), ale równie mocno we wspomnieniach czy artykułach historycznych. Zachowanie tej estetyki umożliwiło także wydobycie emocjonalnego stosunku autorów do tematu, o którym pisali. Zarówno podczas tłumaczeń, jak i redakcji staraliśmy się zachować pierwotną prostotę i bezpretensjonalność języka.

Szkic dr Anny Jakimyszyn stworzył dla pierwszej części książki ramy historycznej poprawności, oparł się między innymi na tekstach przedrukowanych tutaj w zredagowanych wersjach oryginalnych lub jako tłumaczenia – toteż część informacji powtarza się, jednak z różnych względów (walory językowe, emocjonalny stosunek autora do tematu, relacja z pierwszej ręki) zdecydowaliśmy o zostawieniu niektórych niedosłownych powtórzeń. Esej historyczny znakomicie wypełnił puste przestrzenie pomiędzy tekstami z *The Jewish Community* (oraz między dodanymi później), wprowadził pojęcia, narzucił chronologię, pogrupował zdarzenia, miejsca, instytucje, osoby. Wprowadził także dane archiwalne i metrykalne, uzupełniające i weryfikujące ustne i spisane przekazy.

Tekst autorstwa Justyny Kutrzeby stanowił pierwszą kompleksową relację o rodzinie żydowskiej z Wieliczki – później uzupełniły ją także mieszkające za granicą członkinie rodziny, poznaliśmy dokładnie łączące wszystkich koneksje. A że w Wieliczce każdy był spokrewniony z każdym, jeśli nie więzami krwi – to więzami przyjaźni, sąsiedztwa, wzajemnej pomocy – to wkrótce i losy tej rodziny obrosły innymi – Rozewiczów, Lichtów, Laxów, podobnie było z rodzinami Birnbaumów, Perlbergerów i Schenkerów. Wszystkie te powiązania staraliśmy się wyodrębnić, pokazując Czytelnikowi sieć wzajemnych zależności zarówno tych między ludźmi, jak i czasowych czy przestrzennych. Dlatego też w każdej z trzech części książki układ tekstów został zaplanowany w ten sposób, aby tworzyły splecione ze sobą historie, opowiedziane przez różnych członków rodziny, nawiązujące do siebie wzajemnie i przenikające się. W takich wypadkach zostawiliśmy także niektóre powtórzenia, tj. te fragmenty, gdy wiele osób opowiada o tym samym zdarzeniu. Bo każda z nich zapamiętała inaczej, czego innego się w danym momencie bała, z czego innego ucieszyła – i te uczucia oraz inaczej zapamiętane szczegóły są obecne w ich relacjach. Wcześniej spisane wspomnienia zostały uzupełnione o histo-

ryczne i współczesne detale, pozyskane w trakcie serii wywiadów: cofnięcie się o siedemdziesiąt lat nie przytępiło spojrzenia relacjonujących: pojawiło się mnóstwo nazwisk, dat, rodzinnych anegdot – wszystko zostało pieczołowicie zanotowane i zredagowane, możliwie najwierniej, z zachowaniem charakterystycznych zwrotów, powiedzonek, oryginalnego nazewnictwa. Opowieści, które powstały jedynie na podstawie wywiadów, celowo zachowały rys języka mówionego, może bardziej żywego niż pisany, w każdym razie bardziej nieokiełznanego i emocjonalnego, dosadnego.

Bogatym źródłem bezcennych dla nas archiwaliów okazał się Żydowski Instytut Historyczny, dostarczając głównie powojennych zeznań świadków Zagłady. Te także przedrukowujemy z dużymi skrótami, głównie rezygnując z powtórzeń, wykreślając je z chirurgiczną precyzją, aby nie uszkodzić delikatnej tkanki cudzych wspomnień, zachować ciągłość, nie pozbawić sensu i nie zrobić niepotrzebnej luki chronologicznej, czasowej, logicznej. Ale i wśród dramatycznych relacji zarówno pisanych, jak i fotograficznych z okresu okupacji zdarzają się takie, jak te o działalności żydowskiej organizacji samopomocowej, które skupiają się na trwaniu w niełatwej codzienności. Oddają one klimat wojennej Wieliczki – gdy utrzymywanie status quo dawało poczucie bezpieczeństwa, a wypełnianie poleceń Niemców – mrzonkę o nienaruszalności trwającego porządku.

Książka *Żydzi Wieliczki i Klasna 1872–2012* ostatecznie otrzymała kształt antologii, w której poprzez dobór i układ treści chcieliśmy stworzyć spójny obraz życia społeczności żydowskiej w trzech okresach jej istnienia w Wieliczce i na Klaśnie. W tym celu wykorzystaliśmy także materiały, które były już wcześniej publikowane, między innymi przez Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo Ośrodek „Karta", Norbertinum oraz Niezależne Wydawnictwo Polskie. Za zgodą autorów i wydawców wybraliśmy z bardzo obszernych czasami wspomnień fragmenty poświecone epizodom wielickim, zostały do nich także wprowadzone drobne zmiany redaktorskie oraz odnośniki w postaci przypisów. Niektóre z nich zostały uzupełnione relacjami o najnowszych dziejach autora lub szczegółami pominiętymi w pierwszym wydaniu.

Większość tekstów została opatrzona krótkimi notkami biograficznymi autorów.

Teksty zostały opatrzone przypisami wyjaśniającymi poszczególne zwroty, tłumaczącymi tytuły, przywołującymi źródła. W książce znajdują się także odsyłacze, które umożliwią czytelnikowi odnalezienie dalszego ciągu danej historii w innej części książki, odniesienie do losów innych członków rodziny lub też porównanie sprzecznych informacji zawartych w różnych dokumentach.

Jest tutaj także wiele filiacji z książką *Wieliczanie na opisanych fotografiach* – można je prześledzić dzięki odsyłaczom do odpowiednich tekstów lub fotografii. Najbardziej dramatyczne zdjęcie, które tutaj zamieszczamy, a które znalazło się także w *Wieliczanach*, ukazuje Żydów zamiatających płytę Rynku Górnego. Zaraz zostaną zamordowani – jeszcze o tym nie wiedzą, a my już tak. Patrzę na to zdjęcie tak, jakby rzeczywistość ludzi na nim zatrzymanych była moją rzeczywistością. Jakby nie było teraz. W ten sam sposób spoglądam na wiele innych fotografii w książce. Trzy lata pracy nad materiałem, który oddajemy do rąk Czytelnika, to wystarczający czas, aby móc współodczuwać z bohaterami książki jako bliskimi ludźmi, a nie patrzeć na nich jak na tryby w maszynie historii.

Anna Krzeczkowska

***

Subiektywizm i selektywność pamięci ludzkiej, a już szczególnie pamięci naznaczonej silnym przeżyciem, oraz różnorodność dostępnych materiałów dla redaktora przygotowującego antologię tekstów stanowią spore wyzwanie. Im więcej dokumentów, wspomnień i relacji, tym bogatszy przekaz i szersza perspektywa, ale równocześnie większa ilość informacji, które należy okiełznać i uczynić przystępnymi dla czytelnika.

Gdy każdy tekst ma innego autora, z różną dokładnością opisującego wydarzenia, redaktor dąży do ujednolicenia i uporządkowania danych. Przykładowo kilku piszących, świadków opisywanych wydarzeń, z przekonaniem stwierdza, że wysiedlenie Żydów z Wieliczki miało miejsce dzień później, niż wynika to z badań historyków. Autorzy podają różniące się od siebie daty, liczby i formy nazwisk – w niniejszej antologii starano się stworzyć sieć przypisów, porównujących i objaśniających te dane. Formy imion i nazwisk spotykane w dokumentach pochodzących z różnych źródeł i czasów także nierzadko mają wariantywną pisownię. Dążono więc do ujednolicenia ich brzmienia, jednak tylko tych najpopularniejszych albo tych, które doczekały się odrębnych opracowań. Za wzór obrano zachowane dokumenty w języku polskim z okresu międzywojennego (zwłaszcza *Księgę adresową Polski* z 1929 roku oraz metryki urodzin) i polskojęzyczne teksty zamieszczone w *The Jewish Community of Wieliczka*.

W wypadku wariantywności dat, danych liczbowych oraz terminów odwoływano się do opracowań historycznych, w tym dotyczących dziejów lokalnych (pomocna była zwłaszcza wydana ponad dwie dekady temu książka *Wieliczka. Dzieje miasta (do roku 1980)*[1]), oraz publikacji z dziedziny judaistyki (ważnym źródłem, z którego pochodzi wiele definicji pojęć, jest *Polski słownik judaistyczny*[2]).

Innym zagadnieniem, które wymaga szczególnej uwagi, jest forma przekazu. Redaktorowi nie wolno zapomnieć, że powinien pozostać niewidzialną tubą – jego zadaniem jest tylko dyskretne ułatwienie odbioru głosu autorów i dodanie mu siły. Dla wielu bohaterów tej książki to, co przeżyli, było imperatywem sięgnięcia – nierzadko po raz pierwszy – po pióro lub wypowiadania się w języku, którym posługują się rzadko. Ten czasami toporny, zgrzytający język dodaje ich świadectwom autentyzmu i wzbogaca je o szczególny ładunek emocjonalny.

Na co dzień pracuję w Wydawnictwie Austeria, które w kategoriach misji postrzega kultywowanie żydowskiej tożsamości i historii, stąd wysiłek, który podjęło Wydawnictwo Żyznowski, zdobył moją gorącą aprobatę i duże – nie tylko zawodowe – zainteresowanie. Podczas dziewięciomiesięcznej pracy nad *Żydami Wieliczki i Klasna* nie opuszczało mnie poczucie, że publikując świadectwa ostatnich uczestników przedwojennego żydowskiego świata Wieliczki i ocalałych ze szczęk tragicznej historii, w ostatniej chwili łapiemy i utrwalamy coś naprawdę ważnego. Nie tylko *wydajemy książkę*, porządkujemy informacje i zestawiamy dane, ale także *tworzymy pamięć*.

Dziękuję za zaproszenie mnie do udziału w tym przedsięwzięciu i tak cenne doświadczenie.

Karolina Wałaszek

---

1 *Wieliczka: dzieje miasta (do roku 1980)*, red. S. Gawęda, A. Jodłowski, J. Piotrowicz, Kraków 1990.

2 *Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie*, t. I–II, red. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, Warszawa 2003.

OD OCALAŁEGO Z ZAGŁADY W WIELICZCE

Niniejsza książka jest poświęcona historii Żydów wielickich przed Zagładą, podczas Zagłady i po niej. Pierwszy okres dotyczy przedwojennych dziejów całego żydowskiego społeczeństwa Wieliczki i pod koniec też okolicy. Punktem kulminacyjnym drugiego okresu był 27 sierpnia 1942 roku, kiedy prawie cała żydowska ludność Wieliczki i okolicy została brutalnie wysłana do obozu natychmiastowej śmierci; okres ten trwał do końca wojny. W tym czasie uciekinierzy z tego transportu byli wyłapywani i mordowani. Trzeci okres, jeszcze niezakończony, obejmuje losy nielicznych wielickich Żydów, którzy przeżyli II wojnę światową w obozach koncentracyjnych, zostali uratowani przez Polaków albo wysłani na Syberię przez sowiecką władzę, co nieoczekiwanie okazało się dla nich ratunkiem.

Byłem naocznym świadkiem początku drugiego okresu i wrócę do niego dalej. W tym miejscu chciałbym poświęcić kilka słów temu, jaką wartość ma dla mnie ta książka. Teksty dotyczące pierwszego okresu w historii wielickich Żydów bardzo mnie interesują, ponieważ moja mama i całe jej rodzeństwo pochodzą z Wieliczki (właściwie z Lednicy Górnej) i bywałem w tym mieście u dziadka i wujków jako dziecko. Z zainteresowaniem czytam o wydarzeniach opisanych w tej książce z punktu widzenia ówczesnych dorosłych. Teksty o Zagładzie zawie-

rają wiele cennych informacji – choć w kilku miejscach sprzecznych – i przedstawiają bardzo dobitnie grozę tamtego czasu. Dla mnie nie zawierają nowości, ponieważ przeżyłem to sam, ale z pewnością mają wielką wartość historyczną, mimo że nie ma w nich setek odnośników jak w profesjonalnych źródłach dotyczących tego smutnego tematu. Muszę zaznaczyć, że przypisy w książkach o Zagładzie autorstwa zawodowych historyków odnoszą się w dużej mierze do wspomnień ludzi, którzy przeżyli, a opis drugiego okresu w tej książce składa się właśnie z takich wspomnień. Teksty opisujące trzeci okres są bardziej optymistyczne i dobrze, że tak się dzieje. Wskazują one na to, że renesans żydostwa w jego własnym, niepodległym państwie jest *fait accompli*.

W maju 2011 roku odwiedziłem pana Wiesława Żyznowskiego w Sierczy. Czekał mnie bardzo interesujący i wzruszający dzień, który tu opiszę, ponieważ wiąże się on z wyróżnionym tu drugim okresem w historii wielickich Żydów. Odwiedziliśmy cmentarz żydowski i po walce z pokrzywami i ostami objawiła się nam tablica upamiętniająca około tysiąca Żydów zamordowanych w latach 1939–1942. Nie było tam szczegółów, ale wiadomo, że ogromna większość z nich została zamordowana po wspomnianej akcji z 27 sierpnia 1942 roku. Szkoda, że tak trudno się do tej tablicy dostać!

Kolejnym punktem była stacja towarowa Wieliczki (jeden przystanek przed stacją Wieliczka Rynek, jadąc z Krakowa). Nie powiem, że coś mi się przypomniało, ponieważ ja nigdy tego nie zapomniałem. Około siedemdziesięciu lat temu była tam długa bocznica, a na niej pociąg towarowy. Po jednej stronie toru była wielka łąka, na której siedziało prawie całe żydowskie społeczeństwo Wieliczki. Odbywały się tam selekcje prowadzone przez esesmanów Kundego i Heinricha oraz ich podwładnych: kilkuset młodych mężczyzn do pracy, więcej starych i słabych do Puszczy Niepołomickiej na natychmiastowe rozstrzelanie, a reszta licząca wiele tysięcy do pociągu, którego miejscem przeznaczenia był obóz śmierci w Bełżcu. Na tej łące zaczęła się Zagłada ogromnej większości Żydów z Wieliczki i okolic. Tej łąki już nie ma, została całkowicie zabudowana, ale budynek stacji towarowej jeszcze istnieje, choć już pewnie niedługo.

Z takim jakościowym, krótkim wspomnieniem tego strasznego dnia zgodzą się chyba świadkowie i badacze tego okresu. Ilościowy opis to inna sprawa i widać to w niniejszej książce, a także w literaturze przedmiotu. Na przykład znany badacz Holokaustu Martin Gilbert[1] pisze o ośmiu tysiącach deportowanych 27 sierpnia 1942 roku z Wieliczki do Bełżca, a według autora nowej monografii o Bełżcu, Roberta Kuwałka[2], liczba ta wynosi sześć tysięcy trzysta. W niniejszej książce też pojawiają się sprzeczne dane, mówi się w każdym razie o wielu tysiącach Żydów i Żydówek wysłanych w ostatnią drogę.

Zdaje mi się jednak, że taki jakościowy opis wydarzeń, jaki pojawił się wyżej, jest najważniejszy, jeżeli chcemy uczcić pamięć tych niewinnych ofiar w naszym wirtualnym kirkucie. Mam nadzieję, że niniejsza książka da czytelnikowi dobry wgląd w dzieje wielickich Żydów.

Uri Shmueli

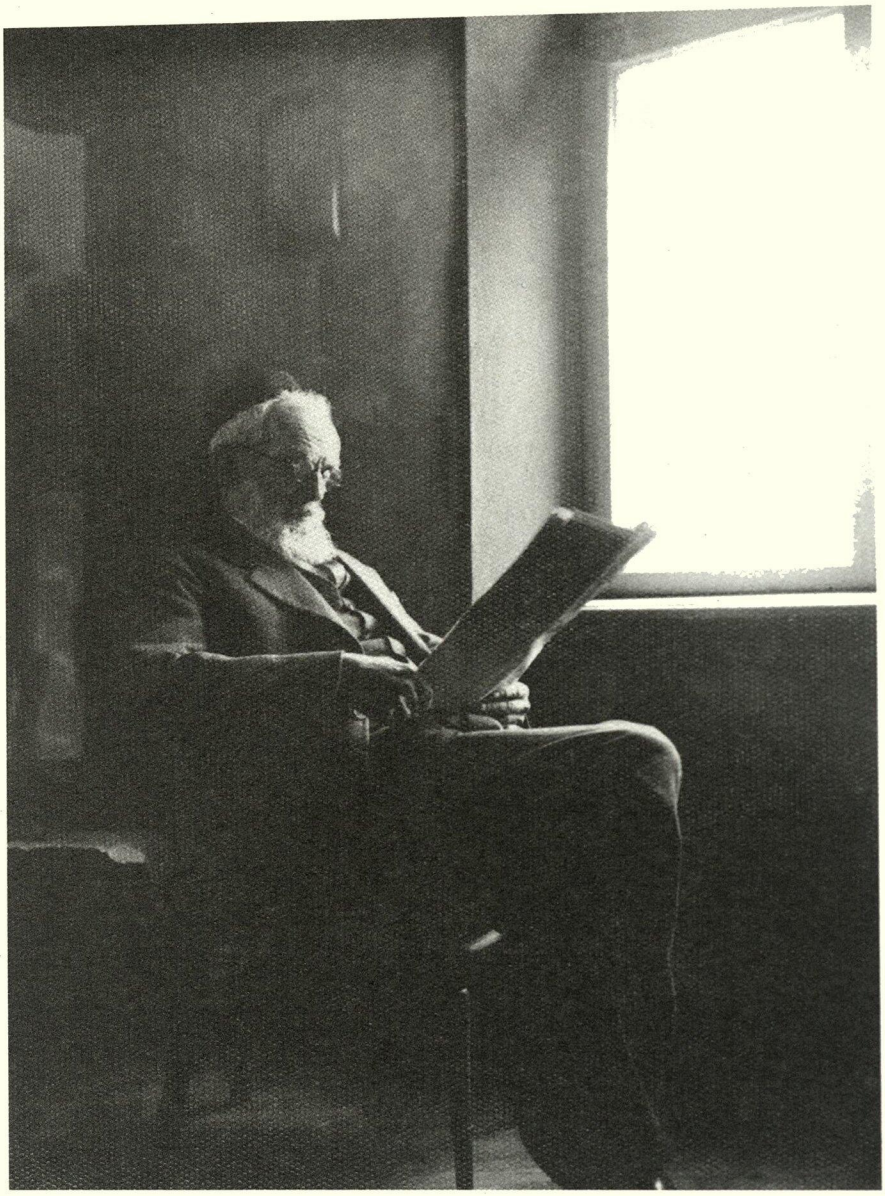
---

1 M. Gilbert, *The Routledge Atlas of the Holocaust*, London–New York 2002. Mapa 141 przedstawia deportacje z zachodniej Galicji do Bełżca w sierpniu 1942 roku.

2 R. Kuwałek, *Obóz zagłady w Bełżcu*, Lublin 2010. O wysiedleniu z Wieliczki zob. przyp. 17, s. 170 i s. 243.

PRZED ZAGŁADĄ

Anna Jakimyszyn
Mosze Yahrblum
Tsipora Kletnman
Jehoszua Ofer
Henoch Holcer
Lewi Frenkel
Heniek Salomon, Moniek Salomon
Miriam Gafni, Sara Gafni
Izaak Birnbaum
Larry Zellner
Justyna Kutrzeba
Józef Rozewicz
Alfreda Friedman-Künstler
Alfred Borowicz
Władysława Drożdż
Jack Wimmer
Uri Shmueli
Nathan Kleinberger
Wojciech Klein
Lena Küchler
Giza Frenkel



Izrael Lax w domu przy ul. Kilińskiego 11/13, okres międzywojenny

ŻYDZI WIELICCY W LATACH 1900–1939

Anna Jakimyszyn

Historia leżącej kilkanaście kilometrów na południowy wschód od Krakowa Wieliczki wiąże się ze znajdującymi się na jej terenie pokładami soli kamiennej. Te wpłynęły na rozwój miasta oraz przyciągały do niego przedstawicieli różnych religii i narodowości, w tym także i Żydów. Jednak historia samej gminy wielickiej nie jest równie długa jak dzieje Wieliczki i jej kopalni.

Stałe osadnictwo żydowskie w tym mieście datuje się dopiero od drugiej połowy XIX wieku. W 1566 roku[1] Wieliczka została objęta prawem *de non tolerandis Judaeis*[2]. Brak zezwolenia na osiedlanie się nie był jednak równoznaczny z całkowitą nieobecnością Żydów[3]. Ci byli związani

---

1 F. Zacny, *Żydzi w dziejach miasta i saliny wielickiej (do 1914 roku)*, [w:] „Studia i Materiały do Dziejów Żup Solnych w Polsce", t. XX, Wieliczka 1997, s. 106.

2 Był to przywilej nadawany przez władcę miastu, ziemi lub większemu obszarowi, na mocy którego Żydzi nie mogli się osiedlać na danym terenie.

3 Zakaz kupczenia przez Żydów solą pozostawał martwą literą prawa, o czym świadczy ponowne uchwalanie przepisów oraz informacje o współuczestniczeniu Żydów w handlu, J. Piotrowicz, *Wieliczka w latach 1520–1657*, [w:] *Wieliczka: dzieje miasta...*, *op.cit.*, s. 110–111.

z Wieliczką już w średniowieczu, głównie za sprawą kupców, którzy od XIV wieku przewijali się przez nią, czerpiąc korzyści z żupy. Jednocześnie zakaz osadnictwa obejmował wyłącznie miasto, w konsekwencji czego Żydzi, choć nie mieszkali w samej Wieliczce, zasiedlali okoliczne, niejednokrotnie graniczące z Wieliczką wsie. Zresztą wielu z nich ściągało do pobliskich wiosek i folwarków nie tylko z uwagi na możliwość czerpania korzyści z działalności kopalni. Nierzadko przybywali na życzenie szlachciców, by trudnić się po wsiach intratnym interesem, jakim było wytwarzanie i sprzedaż piwa oraz wódki[4].

Miejscem, które społeczność żydowska upodobała sobie najbardziej i gdzie powstała osada, było Klasno, pozostające we władaniu Lubomirskich, którzy jawnie popierali Żydów. Ten wielicki przysiółek przekształcił się z czasem w prężnie działającą gminę i stanowił największe skupisko żydowskie w całej okolicy[5].

Dopiero pod panowaniem austriackim położenie cywilno-prawne Żydów uległo zmianie. Przestały obowiązywać przepisy przywileju *de non tolerandis Judaeis*. W 1867 roku, na mocy konstytucji z 21 grudnia, ludność żydowska została zrównana w prawach z innymi mieszkańcami cesarstwa. Tym samym nic nie hamowało już żydowskiego osadnictwa w Wieliczce.

Pierwszymi, którzy przenieśli się tam w większej grupie, byli Żydzi klaśnieńscy. Jednak dopiero dwa wydarzenia – pożar, który zniszczył w 1877 roku zabudowę w centrum miasta[6], oraz pożoga, która niewiele później strawiła Klasno[7] – znacząco wpłynęły na zmianę stosunków własnościowych w Wieliczce. Gdy wiedeński zakład asekuracyjny, w którym było ubezpieczonych wiele klaśnieńskich nieruchomości należących do Żydów, wypłacił ich właścicielom wysokie odszkodowania, zaczęli oni nabywać od zubożałych mieszczan tanie parcele przy Górnym i Dolnym Rynku[8].

Pożary zapoczątkowały także zmianę stosunków wyznaniowych w mieście. Przed nimi grono wieliczan żydowskiego pochodzenia było niewielkie (dla przykładu w 1867 roku w mieście mieszkało zaledwie dwudziestu trzech Żydów), jednak już w 1890 roku ich liczba wzrosła do sześciuset czternastu[9]. W ciągu kolejnych dziesięcioleci z uwagi na przyrost naturalny osiadłej ludności, jak również napływ nowych mieszkańców żydowskiego pochodzenia nastąpił dalszy rozwój demograficzny populacji[10]. W 1900 roku do

4 K. Pająk, *Wieliczka, stare miasto górnicze*, Kraków 1968, s. 47–48.

5 Oprócz Klasna społeczność żydowska zasiedlała również Podklasno i Bańkowskie. Zob. F. Zacny, *Żydzi w dziejach miasta...*, *op. cit.*, s. 118.

6 W wyniku pożaru zniszczony został Rynek Górny z przyległymi do niego ulicami, magistrat, apteka, dwie szkoły oraz wiele budynków mieszkalnych. Zob. S. Gawęda, *Wieliczka pod rządami austriackimi*, [w:] *Wieliczka: dzieje miasta...*, *op. cit.*, s. 213; artykuł z „Ha-Magid" z 22 sierpnia 1877, s. 107–108 niniejszej książki.

7 Brak jednoznacznej informacji na temat daty wybuchu pożaru w Klaśnie. Zdaniem niektórych historyków, np. Stanisława Gawędy, miał on miejsce w 1878 roku, natomiast *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* podaje rok 1880. S. Gawęda, *Wieliczka pod rządami...*, *op. cit.*; *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. IV, Warszawa 1883, s. 119. Zob. artykuł z „Ha-Magid" z 18 sierpnia 1880, s. 108 niniejszej książki.

8 S. Gawęda, *Wieliczka pod rządami...*, *op. cit.*, s. 213.

9 *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego...*, *op. cit.*, t. XIII, s. 320.

10 K. Pająk, *Wieliczka, stare miasto...*, *op. cit.*, s. 107.

religii mojżeszowej przyznawało się dziewięciuset osiemdziesięciu jeden mieszkańców[11].

Rozwojowi demograficznemu żydowskiej wspólnoty towarzyszył także wzrost odsetka Żydów wśród ogółu mieszkańców Wieliczki. W 1890 roku co dziesiąty wieliczanin legitymował się żydowskim pochodzeniem, natomiast w 1900 roku odsetek żydowskich mieszkańców sięgnął już szesnastu procent[12] (przy czym musimy pamiętać, że procent ten wyraźnie wzrośnie, jeśli weźmiemy pod uwagę także Żydów klaśnieńskich[13]).

Coraz większa liczba Żydów przenosiła się do Wieliczki, a tamtejsza wspólnota coraz bardziej się rozwijała i rozrastała, pamiętając jednak o swych korzeniach. Klaśnieńscy i wieliccy Żydzi utrzymywali ze sobą bardzo bliskie, codzienne kontakty. W sensie administracyjnym wielicka wspólnota należała do żydowskiej gminy wyznaniowej Klasno, która pełniła nie tylko rolę gminy-matki, ale była także siedzibą żydowskiego okręgu metrykalnego i sądu okręgowego.

W 1900 roku gmina wyznaniowa Klasno, w skład której poza Wieliczką wchodziło jeszcze kilkadziesiąt innych miasteczek i wsi[14], skupiała 2643 członków, co plasowało ją w grupie średnich gmin[15]. Na jej obszarze, poza najważniejszymi żydowskimi instytucjami: mykwą, synagogami oraz cmentarzem, znajdowały się także cztery chedery – w tym jeden w Wieliczce[16]. Nadto Klasno wyróżniał spośród innych gmin fakt posiadania, założonego w 1780 roku, szpitala – pozostałe tego typu instytucje, a było ich w 1900 roku osiemnaście, znajdowały się w najludniejszych i najbogatszych żydowskich gminach[17].

Dominująca pozycja gminy klaśnieńskiej względem wielickiej została zachwiana, gdy Polska odzyskała niepodległość. Wieliczka była miastem powiatowym, co przyczyniło się do jej dalszego rozwoju, a w konsekwencji przełożyło na wzrost liczebny jej żydowskiej wspólnoty. Ta, według spisu powszechnego z 1921 roku, liczyła już 1135 członków. Nie zmienił się natomiast stosunek procentowy między ludnością żydowską a nieżydowską, gdyż także i w 1921 roku utrzymywał się na poziomie szesnastu procent[18]. Kolejna zmiana w historii obu ośrodków zaszła w 1932 roku, kiedy Klasno zostało włączone do Wieliczki. Taka sytuacja nie była czymś niezwykłym, jednak inkorporacja pokazała, że młodsza wielicka gmina – na terenie której skupiała się żydowska inteligencja, podczas gdy w Klaśnie przeważała ludność chasydzka – stała się gminą dominującą względem starszej społeczności.

Niniejszy artykuł ma na celu prześledzenie losów wielickiej wspólnoty aż do wybuchu II wojny światowej. Nie chodzi jednak tylko i wyłącznie o samo odtworzenie historii gminy, lecz o zebranie informacji o jej mieszkańcach, tak by artykuł stanowił pomnik ich pamięci. Tylko w ten sposób dziś, gdy nie istnie-

---

11 *Encyclopaedia Judaica*, tom XXI, Detroit 2007, s. 45.

12 *Ibidem*.

13 Dla przykładu społeczność klaśnieńska w 1888 roku liczyła pięciuset pięćdziesięciu ośmiu członków. Zob. F. Zacny, *Żydzi w dziejach miasta...*, *op. cit.*, s. 119.

14 J. Michalewicz, *Żydowskie okręgi metrykalne i żydowskie gminy wyznaniowe w Galicji doby autonomicznej*, Kraków 1995, s. 160.

15 Za średnie gminy uznawano takie, które liczyły od dwóch i pół do dziesięciu tysięcy mieszkańców. K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy żydowskie i ich społeczność w województwie krakowskim (1918–1939)*, Kraków 2005, s. 59.

16 Pozostałe chedery znajdowały się w Gdowie (dwa) i w Dobczycach (jeden).

17 J. Michalewicz, *Żydowskie okręgi metrykalne...*, *op. cit.*, s. 97.

18 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 58.

je żydowska Wieliczka, gdy zrujnowane są synagogi i cmentarz, można uczcić pamięć wielickich Żydów.



WARUNKI ŻYCIA

Ludność żydowska zamieszkiwała głównie centrum miasta, wokół Dolnego i Górnego Rynku, oraz peryferie – Klasno. Dzieliła przestrzeń z ludnością chrześcijańską, domy jednych i drugich sąsiadowały ze sobą. Żydowska zabudowa była bardzo zróżnicowana – niskie drewniane domki stały obok murowanych, najczęściej jednopiętrowych kamienic[19]. W centrum były też duże domy czynszowe, należące do zamożniejszych wieliczan żydowskiego pochodzenia (m.in. Goldsteinów, Laxów, Goldów, Lichtów i Folków). Mieszkali w nich zarówno Żydzi, jak i katolicy, którym dzierżawiono część pięter lub pomieszczeń.

Warunki życia obu grup praktycznie niewiele się różniły. Nie były też łatwe. Często całe rodziny mieszkały w jednopokojowych, ciasnych mieszkaniach, bez dostępu do najbardziej podstawowych urządzeń sanitarnych[20].

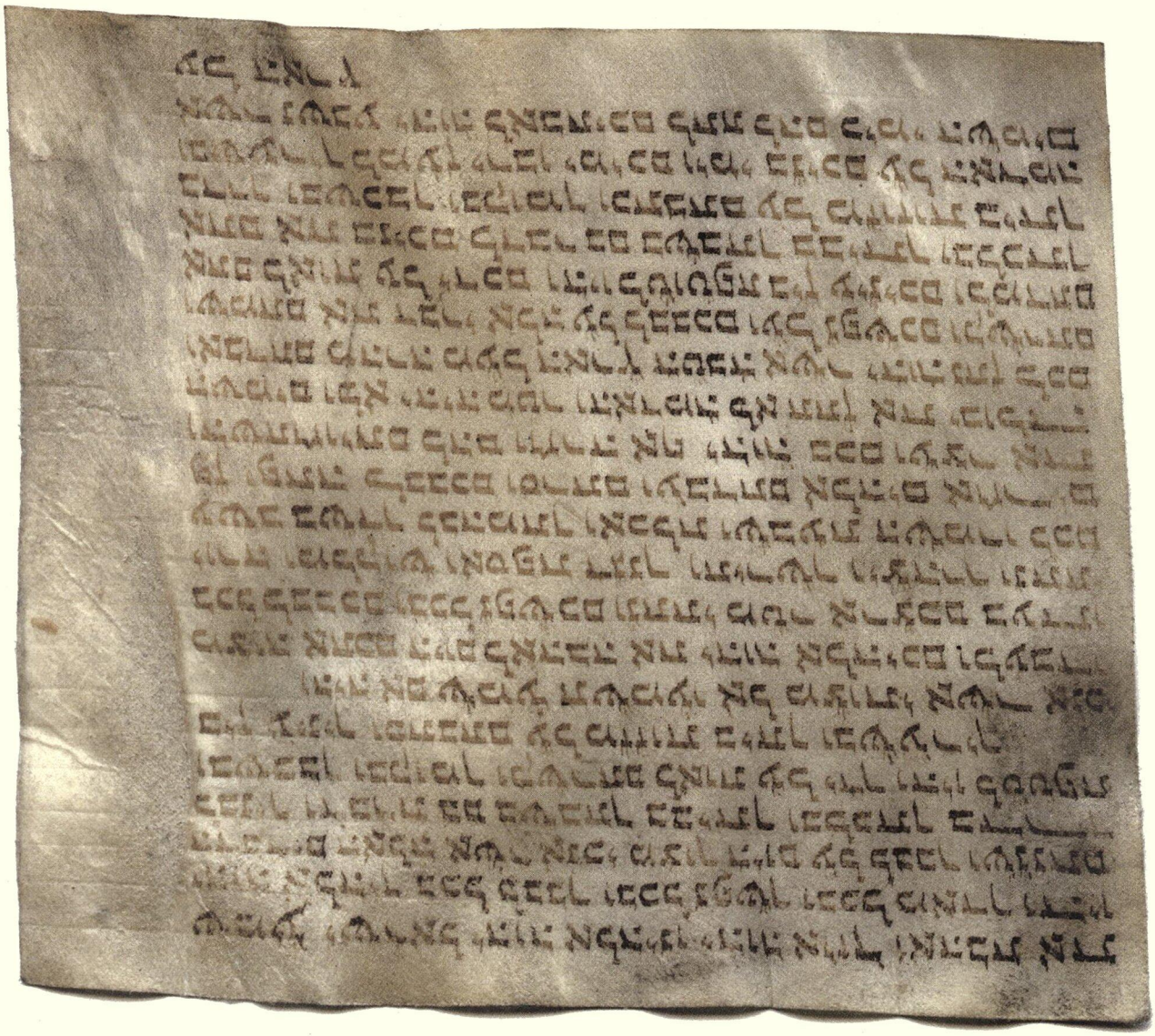
Trudności dotyczyły jednak nie tylko warunków lokalowych. Wprawdzie zamożniejsi Żydzi mogli sobie pozwolić na zajmowanie mieszkań o większym metrażu lub nawet całych domów czy willi, jednak oni także musieli się borykać z trudnościami sanitarnymi[21].

Jeszcze innym dość poważnym problemem było oświetlenie. Doprowadzenie elektryczności do mieszk-

[19] Muzeum Etnograficzne (dalej: ME), sygn. 760 II, zeznanie Sabiny Połeć i Józefa Nowaka.

[20] Zob. także wspomnienia M. Yahrbluma, s. 89–90.

[21] *Ibidem*.



Pergamin będący częścią mezuzy należącej do Celiny Sobel, zawierający fragment modlitwy: *Słuchaj Izraelu! Haszem Bóg nasz, Haszem jest Jedyny. Będziesz miłował Haszem Boga twego, z całego serca swego i z całej duszy swojej, i z całej siły swojej. Niechaj słowa te, które Ja ci dziś nakazuję, będą na twoim sercu. Będziesz je wpajał twoim dzieciom i będziesz o nich mówił, przebywając w swoim domu, idąc drogą, kładąc się i wstając. I przywiążesz je jako znak do swojej ręki, i będą między twoimi oczyma, i napiszesz je na bramach i na odrzwiach domu twego*

kań było dla wielu momentem przełomowym i ogromnym ułatwieniem życia. Bowiem do tego czasu domy oświetlały świece i lampy naftowe.

O wygląd domów specjalnie nie dbano, co najwyżej tyle, ile wymagały tego władze Wieliczki. Dla wielu nie-Żydów widocznym znakiem owego braku troski był fakt, że w żydowskich oknach nie było kwiatów i firanek[22]. Przy większości budynków nie było też, jakże często spotykanych przy katolickich domostwach, grządek kwiatowych czy jarzynowych[23]. Ogrody należały wyłącznie do bogatych, wykształconych Żydów. Jeden z nich – znajdujący się przy domu rodziny Friedmanów[24] – jawił się niczym ogród z bajki i zapisał się w pamięci wielu mieszkańców.

[Wokół ogrodu] eleganckie sztachety, brama wjazdowa; wkoło ogrodzenia biegał pies na łańcuchu. W środku altana, kwiaty, alejki bukszpanem obsadzone, drzewa bzu: bordowe, białe, lila; lipa z Wiednia sprowadzona [...]. Z tyłu był ogród jarzynowy. Ogrodnik był dochodzący. Kara się nazywał, on to wszystko utrzymywał. Stróże dochodzili chyba z zakładu. Było tak czysto, że igłę by można było znaleźć. Dzieci miały sarenkę i kucyka. Gdy było ich [dzieci] święto, to wszyscy do ogrodu wychodzili, wypuszczali zwierzęta. Dorośli siedzieli, spacerowali, a dzieci bawiły się z sarenką i kucykiem. [...] Gospodarstwo było spore: obory, stajnie, kurnik – indyczki, kaczki, kury. Była wozownia: piękne powozy: bryczka na dwanaście osób, bryczka na cztery osoby, lando czarne, kryte i oszklone, sanki na zimę[25].

Niewiele różniło się od siebie także wyposażenie żydowskich i nieżydowskich domów; jedynie u zamożnych Żydów pojawiały się piękne meble czy obrazy. Gdy takie wnętrze wizytowała osoba, której dom nie był aż tak dostatni, musiało ono robić na gościu duże wrażenie. Jeden z wieliczan tak wspominał wizytę u majętnego żydowskiego kolegi:

Otworzyła służąca w fartuszku białym, obszytym falbanką. Chyba kazała zdjąć buty. Zostaliśmy zaprowadzeni do jakiegoś pokoju. Przepych, meble, chyba tak na bordowo było... A gdzież mogłem przypuszczać, że dziecko może mieć swój pokój![26].

Istniały jednak elementy wystroju wnętrza charakterystyczne wyłącznie dla żydowskich domów. Pierwszy z nich rzucał się w oczy jeszcze przed przestąpieniem progu. Była to mezuza – zwitek pergaminu zawierający ręcznie przepisane dwa pierwsze akapity modlitwy *Słuchaj Izraelu*, umieszczony w pudełeczku i umocowany z prawej strony drzwi wejściowych[27]. Mezuza, będąca dosłownym wypełnieniem nakazu zawartego w Księdze Powtórzonego Prawa, wedle którego imię Boga winno być wypisane na odrzwiach domu, była całowana przez wchodzących i wychodzących. Kolejną różnicę zauważali nieżydowscy goście już po wejściu do domu, w kuchni. Były to dwa komplety naczyń, sztućców, a nawet

22 ME, sygn. 760 II, zeznania Stanisława Kasprzyka.

23 *Ibidem*, zeznania Władysława Woronia.

24 W tekstach źródłowych spotyka się dwie formy zapisu tego nazwiska: starszą „Friedmann" oraz bardziej współczesną „Friedman". W niniejszej książce przyjęto jednolitą formę z jednym „n" na końcu.

25 ME, nr inw. 95 733 760/302–303, s. 2–3.

26 ME, nr inw. 95 735 760/309, s. 4.

27 A. Unterman, *Encyklopedia legend i tradycji żydowskich*, Warszawa 1998, s. 178.

szafek i kredensów – pierwszy do potraw i produktów mięsnych, drugi do mlecznych – pozwalające zachować trzecią zasadę kaszrutu[28]. Następną różnicę stanowiła obecność książek. Praktycznie w każdym żydowskim domu była, chociażby niewielka, biblioteczka w języku hebrajskim.

STATUS MATERIALNY, ŹRÓDŁA UTRZYMANIA I PROFESJE

Społeczność wielickich Żydów była niezwykle zróżnicowana, należała do niej zarówno biedota, jak i bogacze. Środki na utrzymanie zdobywano w różnoraki sposób. Wieliczka żyła głównie z kopalni soli oraz wszelkich inicjatyw i działań z nią związanych. Niemały był udział Żydów w tym sektorze. W okresie międzywojennym handlem i spedycją soli trudnił się m.in. Salomon Dominitz, którego przedsiębiorstwo mieściło się przy Rynku pod numerem 15. Podobną działalność prowadził także Rubin Perlberger, którego firma spedycyjna zlokalizowana była na Klaśnie pod numerem 45[29].

Prócz kopalni w Wieliczce istniało także wiele mniejszych zakładów przemysłowych. Z żupą związane były tartaki, do których dostarczano drewno z okolicznych lasów. Jeden z nich, połączony z heblarnią, był własnością rodziny Friedmanów, która zajmowała się również obrotem drewnem[30]. Do nich należał także kantor oraz jedna z trzech wielickich cegielni, w której – jak czytamy w reklamie zakładu – produkowano „dachówkę szwajcarską, żłobkowaną i dwufelcową, cegłę ręczną i maszynową, rurki drenowe w różnych rozmiarach"[31].

Z kolei Perlbergerowie byli właścicielami innego dużego zakładu – garbarni. Założył ją Rubin Perlberger, który przeznaczył pod zakład działkę w północnej części Klasna. Początkowo zatrudniał wyłącznie członków swojej rodziny (w tym czterech synów)[32]. Z czasem zakład się rozwinął, pojawiły się nowe budynki, baseny i maszyny. Wyroby garbarni cieszyły się powodzeniem, a chłonność rynku powodowała, że zakład był liczącym się pracodawcą – na krótko przed wybuchem wojny pracowało w nim sto osób, w tym siedemnastu Żydów, resztę stanowili Polacy[33].

W latach trzydziestych rządy w garbarni przejął jeden z zięciów Perlbergera nazwiskiem Schenker[34], rodzina nadal jednak kontrolowała obrót skórami, m.in. pośrednikiem w zbieraniu skór w powiecie wielickim był Markus Perlberger[35].

---

28 ME, sygn. 760 II, zeznania Eleonory Szymskiej.

29 *Urzędowy spis abonentów państwowej sieci telefonicznej okręgu krakowskiej i katowickiej dyrekcyj poczt i telegrafów oraz sieci zagłębia dąbrowskiego polskiej akcyjnej spółki telefonicznej i abonentów miast niemieckich Bytomia, Gliwic i Zabrza według stanu z dnia 1 stycznia 1930 r.*, s. 239.

30 *Ibidem*. Szerzej na ten temat zob. J. Kutrzeba, *Rodzina Friedmanów w Wieliczce*, s. 165–179.

31 *Skorowidz przemysłowo-handlowy Królestwa Galicyi*, Lwów 1912, s. 42.

32 Rozmowa z Izaakiem Birnbaumem przeprowadzona przez Wiesława Żyznowskiego 30 września 2008 roku.

33 *Ibidem*.

34 Tak podaje Lilianna Syrkiewicz (*Rozwój społeczno-gospodarczy miasta Wieliczki w latach 1918–1939*, Kraków 2005, s. 31), natomiast Izaak Birnbaum (zob. s. 145) wspomina, że kierownictwo w połowie lat trzydziestych przejął jego ojciec, Hirsz Birnbaum.

35 L. Syrkiewicz, *Rozwój...*, *op. cit.*, s. 31.

W Wieliczce mieszkała także inna rodzina Perlbergerów, niespokrewniona z garbarzami, która z kolei przyczyniła się do rozwoju przemysłu spirytusowego w mieście. Chaim Szymon Perlberger założył bowiem na Klaśnie fabrykę spirytusu. Wyrobem wódek, likierów i koniaku zajmowała się również fabryka należąca do Blumenfelda, samymi likierami – zakład Pinkusa Müllera na ul. Górskiej 343, zaś wódkami – fabryczka Dawida Seidenfraua przy Lwowskiej 156[36], przy czym dwaj ostatni panowie parali się również sprzedażą i wyszynkiem. Z kolei Szymon Mehl prowadził przy ul. Strzelców 435 hurtowy skład piwa okocimskiego. Na małą skalę wyszynkiem trudnili się też inni; w międzywojniu na dwadzieścia siedem karczm wielickich dwadzieścia trzy należały do Żydów lub były przez nich prowadzone[37].

W Wieliczce istniał także młyn – jego właścicielami byli Friedmanowie. Ponadto do dużych interesów znajdujących się w rękach wieliczan wyznania mojżeszowego należała Krajowa Fabryka Wyrobów Papierowych i Przyborów Piśmiennych „Postęp" Markusa Golda, której biuro mieściło się przy Rynku Górnym 12, czy zlokalizowana przy ul. Słowackiego fabryka wyrobów cukierniczych Mojżesza Rabera. Liczącym się zakładem była fabryczka Rafała Reichenthala, która specjalizowała się w wyrobie materiałów budowlanych (pl. Kościuszki 133)[38]. W Wieliczce funkcjonowała też drukarnia Abrahama Perbrotha[39].

Działało także wielu pomniejszych przemysłowców. Zaliczali się do nich: Sussman Rosenzweig, Saul Sobel, Izrael Josefsthal, Aron Schnur, Hirsz Atterman, Izrael Dawid Beidaff czy Salomon Węgielnik[40].

W żydowskich rękach skupiała się również większość wielickiego handlu, a żydowscy kupcy, handlarze i przemysłowcy byli zrzeszeni w Związku Handlu i Przemysłu, na czele którego stali przedstawiciele rodziny Friedmanów[41]. Żydzi handlowali praktycznie wszystkim: artykułami spożywczymi, piśmienniczymi, farbami, suknem, galanterią, obuwiem etc. Przy czym istniały zarówno sklepy jednobranżowe, jak i wielobranżowe, sprzedające przysłowiowe szwarc, mydło i powidło. Ich zaopatrzenie pochodziło z dużych składów i hurtowni, m.in. od Samuela Perlbergera i jego wspólnika Brunona Hoffmana, którzy przy pl. Kościuszki 453 prowadzili hurtowy skład mąki i artykułów spożywczych; od Dawida Korna, który miał hurtownię ziemiopłodów i przetworów tychże oraz skład towarów korzennych przy ul. Górskiej 26; a także Jakuba Schinagla, bankiera i właściciela składu mąki, wiktuałów i nafty, o którym dalej będzie kilka słów[42].

Handel detaliczny koncentrował się wokół Górnego i Dolnego Rynku. Można tam było nabyć nabiał, owoce i warzywa, kwiaty, nasiona, tekstylia i konfekcję, wyroby kołodziejskie, bednarskie czy zabawki. Na „oborzysku" naprzeciw sukiennic stały stragany i stoły. Od 1918 roku w każdy drugi poniedziałek miesiąca odbywał się tam targ. Ponadto dniem targowym

36 *Urzędowy spis abonentów...., op. cit.*, s. 239.

37 ME, sygn. 760 II, zeznania Stanisława Kaczora.

38 *Urzędowy spis abonentów...., op. cit.*, s. 239.

39 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1929–1937.

40 USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno 1917–1927.

41 *Spis organizacji gospodarczych 1939. Opracowany na podstawie materiałów ankietowych zebranych przez Izby Przemysłowo-Handlowe*, red. S. Wysocki, Warszawa 1939.

42 *Urzędowy spis abonentów...., op. cit.*, s. 239.



Dzień targowy na Rynku Górnym. Na zdjęciu ujęto jego północno-zachodnią część, lata trzydzieste XX wieku

był czwartek[43]. Wówczas u Żydów można było kupić m.in. ryby z Zatora: „karpie, pstrągi, węgorze"[44].

We wszelkie towary zaopatrywano się również w okolicznych sklepach. Oprowadzi nas po nich Mieczysław Śmigielski, wieliczanin:

> *Sukiennice – ile łuków, tyle sklepów, razem chyba z dziesięć i większość żydowska: Nusbaum i Hinder – artykuły rowerowe, Flachs – artykuły spożywcze sprzedawane hurtowo i detalicznie, szynk Attermana – szynkwas, trzy–cztery stoliki, był też Atterman szklarz, dalej sklep papierniczy i Küchler miał małą cukiernię. Dalej*[45] *stała buda kryta papą, gdzie dwie stare siostry modniarki – Hönig sprzedawały kapelusze. Po przeciwnej stronie ulicy żydowska spółka Ziarno – sprzedawali zboże hurtowo i detalicznie – na woreczki, kilogramy... Do góry*[46]*... Aisen miał restaurację, a po drugiej stronie sklep spożywczy. Miejsce, które dawniej nazywało się oborzysko*[47] *– tu odbywał się jarmark, co dwa tygodnie, plac cały wyłożony kocimi łbami, była tu stara ozdobna studnia... Stąd brali wodę do pojenia koni przy furmankach. Dalej w narożnym domu Klinghoferowie mieli ładny sklep spożywczy, w oknie była palarnia kawy. [...] Wertheimer miał sklep z obuwiem męskim, damskim i dziecięcym – trzy ściany pudełek drewnianych od podłogi do sufitu, a w nich buty. Jak nie miał takiej pary butów, jakiej życzył sobie klient, zapisywał zamówienie, po czym wsiadał w kolejkę do Krakowa i przywoził stamtąd buty. Licht – wymiana zboża, hurt, detal. W tym samym domu [...] na dole dwa sklepy oraz galanteryjka Teitelbauma [...]. Dalej jatki – dwudziestu kilku rzeźników. Na Rynku [Górnym] był też sklep żelazny Laxa, Aberbach miał sklep z tekstyliami, Gold miał olbrzymi sklep papierniczy, długi na jakieś trzydzieści metrów, wszystko, co tylko można pomyśleć z tej branży, dalej Bruch – sklep z materiałami z Bielska, Łodzi, wszystko, wełny, półwełny [...] po drugiej stronie Rynku na pierwszym piętrze był Żyd krawiec – Wołkowski, na dole inny Żyd miał sklep i maleńką cukierenkę, Ebersman miał sklep spożywczy, taki ze śledziami, naftą*[48].

Prowadzeni przez Mieczysława Śmigielskiego natknęliśmy się na kilku żydowskich rzemieślników. W wielickiej społeczności nie brakowało przedstawicieli różnych zawodów: rzeźników, szewców, krawców, blacharzy itp. U Chiela Feigenbauma, introligatora, można było oprawić książki i zeszyty, u Józefa Weitschnera naprawić zegarki i zegary, a u Arona Marguliesa zamówić parasolkę[49]. Było też kilku piekarzy. Najwyżej ceniony przez klientów był Händler, którego piekarnia mieściła się przy ul. Seraf. Jego pieczywo, bardzo różnorodne: chleby duże, małe, bułki wodne, rogaliki, plecionki, chałki, rozwożono każdego ranka po okolicy[50].

Trzeba ponadto pamiętać, że tak wśród handlarzy, jak i rzemieślników istniała dość spora grupa osób

43 L. Syrkiewicz, *Rozwój...*, *op. cit.*, s. 33.

44 ME, sygn. 760 I, zeznania Anny Ruseckiej.

45 Za sukiennicami w stronę ul. Słowackiego.

46 Rynek Dolny od sukiennic w stronę ul. Limanowskiego.

47 Plac między sukiennicami, solnym młynem przy szybie Regis a kamienicą Śmigielskiego.

48 ME, sygn. 760 II, zeznanie Mieczysława Śmigielskiego.

49 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1929–1937.

50 ME, sygn. 760 II, zeznanie Ireny Szwenk.

o niezwykle niskich dochodach, utrzymujących się z drobnego straganiarstwa czy domokrąstwa.

W Wieliczce mieszkali także przedstawiciele wolnych zawodów: adwokaci i lekarze. W czasach austriackich praktykę adwokacką prowadził dr Schabse Samuel Königsberger. Następnie dołączyli do niego doktorzy Eliasz Weinberger i Gwido Friedberg. Pierwszy przyjmował przy ul. Krzyszkowskiej 28, drugi – przy Rynku Górnym 22[51]. Adwokatami byli dr Izaak Kraus i dr Edward Königsberger. Sprawami notarialnymi zajmował się mgr Herman Königsberger. Jednak najbardziej zasłużony spośród wielickich prawników był dr Mojżesz (Maurycy) Horowitz, notabene współwłaściciel wielickiego kina[52] i wieloletni wiceburmistrz Wieliczki[53].

Z kolei do grona wielickich lekarzy należał dr Jakub Spitzel, który praktykował aż do śmierci w 1913 roku[54]. W okresie międzywojennym działał dr Leon Königsberger – lekarz kolejowy, który „w zimie, co piątek, na narty do Zakopanego jeździł"[55], dr Szymon Tune, który pracował w miejskiej kasie chorych i mieszkał przy Rynku Dolnym 121[56], oraz dr Molkner – pediatra, co „zagadywał dzieci, by się nie bały"[57]. Byli i dentyści: zmarły w 1913 roku Berl Blau[58], praktykujący w okresie międzywojnia Meilech Schlang[59] i znany całemu miastu dowcipniś – Feiwel Weinberger, technik-dentysta. Weinberger mieszkał naprzeciw magistratu, na piętrze, a na dole miał pracownię. Ojciec jego był fryzjerem, a żona Fajgla Krauz[60] była stomatologiem. Stale były mu w głowie figle: pewnego razu kupił szczep gruszy, posadził w ogrodzie, pozawieszał nań gruszki. Następnie pobiegł po miejskiego ogrodnika, żeby mu pokazać, jakich owoców doczekał się na młodziutkim drzewku. Ten się nie spostrzegł i ogłosił cud przyrody. Żartował także ze swoich pacjentów. Niejednemu zdarzyło się, że „gdy dawał gips na miarę, to kazał zęby wbić i szedł na piwo! A jego zostawił, stwardniało mu, później musiał młotkiem walić!"[61].

Do grona wielickich lekarzy należeli także weterynarze: dr Alfred Ramer, powiatowy lekarz weterynarii, i Herman Hirsch, lekarz miejski.

Wśród wykształconych Żydów byli także bankowcy: Hirsz Friedman, Salomon Rosenzweig i Jakub Schinagel, skupieni wokół Banku dla Handlu i Przemysłu[62], oraz nauczyciele, m.in. Szulim Szapire, kwalifikowany nauczyciel religii mojżeszowej, oraz dr Helena Szpringer, germanistka i polonistka, udzielająca prywatnych lekcji w swoich specjalnościach[63].

51 *Józefa Czecha kalendarz krakowski*, rok 1911, s. 219.

52 ME, sygn. 760 II, zeznanie Eleonory Drożdż.

53 *Ibidem*, zeznanie Mieczysława Śmigielskiego.

54 USC Wieliczka, Metryki śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1912–1923.

55 ME, sygn. 760 II, zeznanie Stanisława Kasprzyka.

56 *Urzędowy spis abonentów...., op. cit.*, s. 239.

57 ME, sygn.760 II, zeznanie Mieczysława Śmigielskiego, zeznanie Ireny Szwenk.

58 USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1912–1923.

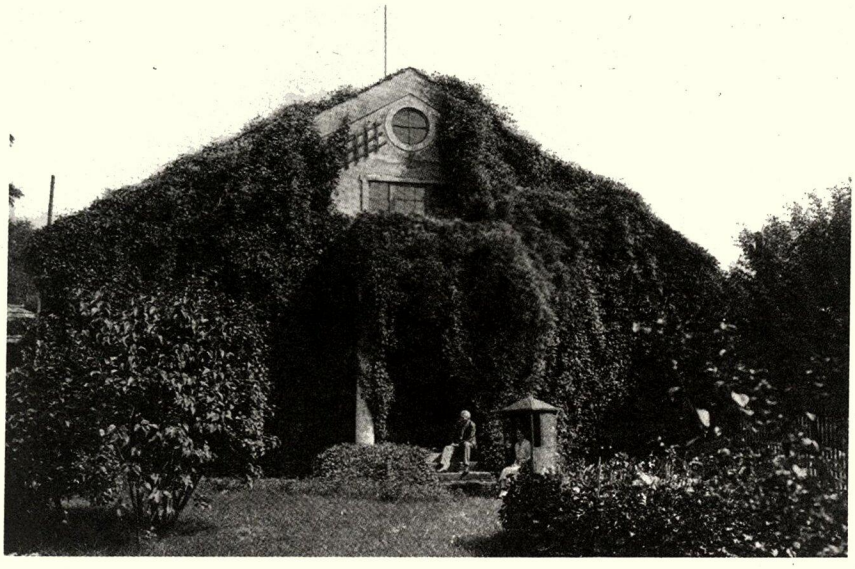
59 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1929–1937.

60 *Ibidem*, 1923–1928.

61 ME, sygn. 760 I, zeznanie Stefanii Kaszowskiej i Anieli Zasadnej.

62 *Józefa Czecha kalendarz krakowski*, rok 1910, s. 220.

63 ME, sygn. 760 II, zeznanie Mieczysława Śmigielskiego.



Willa doktora Gwidona Friedberga w Wieliczce, lata trzydzieste XX wieku

WYKSZTAŁCENIE

Podziały klasowe nie były jedynymi widocznymi wśród wielickich Żydów – mieszkańcy różnili się także wykształceniem.

Na początku XX wieku horyzonty większości wielicko-klaśnieńskich Żydów kształtowała edukacja religijna. Naukę zagadnień religijnych oraz języka hebrajskiego rozpoczynano w wieku trzech–czterech lat, w chederze. Lekcje odbywały się w pokoju lub budynku przy synagodze bądź w mieszkaniu nauczyciela.

W Wieliczce istniało kilka chederów. Jeden znajdował się na ul. Seraf, za synagogą. Był to parterowy, ceglany budynek w kształcie prostokąta[64], który musiał zostać wzniesiony przed 1818 rokiem, gdyż od tego czasu pojawiał się na planach katastralnych. Drugi cheder mieścił się na ul. Berka Joselewicza[65] i powstał prawdopodobnie około 1929 roku[66].

Nauka miała trzy etapy. Najpierw trzyletni chłopcy poznawali alfabet hebrajski, uczyli się wymowy i czytania. Pięciolatkowie przechodzili do lektury Tory z komentarzem Rasziego. Nauka kończyła się studiami nad Gemarą.

Samo przyswajanie materiału polegało na uczeniu się na pamięć przez wielokrotne powtarzanie. Dzieci spędzały w chederze większość dnia (lekcje

[64] J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza, dach Wieliczki. Monografia wsi*, Siercza 2005, s. 167; ME, sygn. 760 II, zeznanie Józefa Tylka, zeznanie Kazimierza Garyckiego.

[65] Nazwa ulicy figuruje m.in. na planie orientacyjnym Wieliczki z 1939 roku autorstwa Józefa Matyki. Nie została ona zachowana po II wojnie światowej. Obecnie ulica ta nazywa się Wiejska.

[66] ME, sygn. 760 II, zeznania Marii Horobik, zeznanie Stanisława Kaczora.



Żydowscy chłopcy na Rynku Górnym u zbiegu ulic Kopernika i Górsko, w miejscu zwanym szpicem, lata trzydzieste XX wieku

rozpoczynały się wcześnie rano i trwały do późnych godzin wieczornych).

Zajęcia prowadził nauczyciel zwanym mełamedem. Mógł nim zostać każdy dorosły Żyd legitymujący się wiedzą z zakresu prawa i religii. Nauczaniem trudnili się Hirsz Wachsberger, Mendel Bochner[67], Menasze Chaskiel Blaugrund, Jakub Lejb Brenner, Abraham Natan Rosenwasser, Majer Szulem Rothenberg[68]. Ten ostatni był nauczycielem w wielickiej Talmud-Torze, czyli szkole religijnej, która była utrzymywana z funduszy gminnych i przeznaczona dla sierot i ubogich dzieci, których rodzice lub opiekunowie nie mogli sobie pozwolić na opłacenie nauki w chederze.

Nauka w chederze czy Talmud-Torze trwała około dziesięciu lat. Wiedzę religijną pogłębiano później w jesziwie – wyższej szkole talmudycznej. W Wieliczce nie było takiej szkoły, dlatego zainteresowani wyjeżdżali do większych miast, by tam kontynuować edukację. Ci, którzy tego nie zrobili, poszerzali wiadomości, studiując indywidualnie lub w małych grupach Talmud i Torę.

W społeczności wielickich Żydów taka ścieżka edukacji była przeznaczona praktycznie dla wszystkich dzieci płci męskiej. Religijni Żydzi, nawet jeśli posyłali swoje córki do szkół państwowych, synów kształcili w chederze i jesziwie.

Wykształcenie religijne nie było jedynym, jakie mogli odebrać tamtejsi Żydzi. Do wybuchu I wojny światowej mieli możliwość podjęcia nauki w szkole

[67] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[68] USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1910–1914, 1915–1916, 1917–1927; Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1924–1942.

pospolitej, której uzupełnienie stanowiła szkoła wydziałowa. Absolwenci tej ostatniej mogli się ubiegać o przyjęcie do szkół zawodowych, a potem do szkół realnych i gimnazjów, których ukończenie otwierało z kolei drogę na studia[69].

Zamieszkały w Wieliczce Markus Weiss musiał przejść przez szkołę pospolitą i wydziałową, a następnie szkołę zawodową kształcącą nauczycieli, by później samemu uczyć religii mojżeszowej w szkołach ludowych[70]. Podobną drogę przeszedł Albert Dreyfus, legitymujący się tytułem kwalifikowanego nauczyciela szkół hirschowskich, a więc placówek o profilu rzemieślniczo-rolniczym przeznaczonych dla galicyjskich Żydów, których nazwa pochodziła od nazwiska założyciela i inicjatora, barona Maurice'a de Hirscha. Dreyfus nie uczył długo. W 1905 roku popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły brzytwą[71].

W okresie międzywojennym w dziedzinie edukacji zaszły poważne zmiany. Powstały nowoczesne żydowskie szkoły – tak świeckie, jak i religijne. Wspólnym elementem był język wykładowy – hebrajski. Także ortodoksyjne nauczanie bardzo się zmieniło. Przede wszystkim nie było już chederów w prywatnych mieszkaniach nauczycieli. Zajęcia odbywały się wyłącznie w specjalnych budynkach przeznaczonych na potrzeby szkolne, w których starano się zapewnić uczniom odpowiednie warunki do nauki, porządek i higienę. Nie było też mełamedów w przedwojennym wydaniu. Od nauczyciela oczekiwano bowiem wykształcenia zarówno w naukach świeckich, jak i religijnych oraz umiejętności pedagogicznych. Program nauczania obejmował również edukację dziewcząt[72].

Coraz większa liczba dzieci kształciła się w szkołach publicznych. W międzywojniu w Wieliczce działały szkoły czteroklasowe, wydziałowe i gimnazja[73].

W planie zajęć znajdowały się różne przedmioty, w tym także lekcje religii: katolickiej i mojżeszowej. Matylda Hillerowa pamięta, że gdy odbywały się te pierwsze, „Żydówki wychodziły z klasy i czekały na korytarzu albo szły do domu"[74]. Z kolei te drugie prowadził wspomniany już Szulim Szapire[75], legitymujący się uprawnieniami nauczyciela religii mojżeszowej w szkole wydziałowej.

Po dalszą wiedzę wyjeżdżano na uniwersytety. Najbliżej znajdował się Uniwersytet Jagielloński, na którym w latach 1918–1939 naukę podjęło pięćdziesięciu wielickich Żydów[76]. Między innymi w roku akademickim 1925/1926 studia na wydziale prawa rozpoczął Edward Königsberger (syn Chaskiela i Róży z Ehrlichów, szynkarzy), czyli wspomniany już wielicki adwokat[77]. Rok później na prawo zapi-

69 M. J. Adamczyk, *Edukacja a przeobrażenia społeczności żydowskiej w Monarchii Habsburskiej 1774–1914*, Wrocław 1998, s. 45.

70 AP Kr, sygn. USC KL-MK4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

71 AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryki śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1904.

72 Zob. także wspomnienia M. Yahrbluma, s. 94.

73 L. Syrkiewicz, *Rozwój...*, *op. cit.*, s. 34.

74 ME, sygn. 760 II, zeznania Matyldy Hillerowej.

75 Rozmowa z Celiną Tadanier przeprowadzona przez Henryka Ostrowskiego i Wiesława Żyznowskiego 10 lipca 2008 roku.

76 M. J. Kulczykowski, *Żydzi – studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego w Drugiej Rzeczypospolitej (1918–1939)*, Kraków 2004, s. 501–732.

77 Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego (dalej: AUJ), sygn. S II 328-329, Katalog studentów UJ, rok akadem. 1925/1926.

sał się również Izrael Spira, syn Henryka Heinricha, dyrektora zakładów przemysłowych E. H. Friedman w Wieliczce, i Gitl ze Spirów[78]. Dwa lata przed wybuchem wojny studia na wydziale prawa rozpoczęła także Irena Szapirówna, córka Szulima Szapire[79]. Z kolei na wydziale lekarskim studiował Aleksander Schinagel, syn wspomnianego już Jakuba, dyrektora Banku dla Handlu i Przemysłu, i Chany Sary z Rosenzweigów, który rozpoczął studia w roku akademickim 1928/1929[80].

ŚWIATOPOGLĄD

Wieliccy Żydzi reprezentowali szerokie spektrum poglądów. Ortodoksi, chasydzi i bardzo bogobojni Żydzi wyróżniali się swoim strojem. Nosili długie kapoty, na nogach białe skarpety i wsuwane buty. Głowy nakrywali kapeluszami, spod których wystawały skręcone pejsy. Twarze okalały długie, niestrzyżone brody. Z kolei Żydówki chodziły w długich sukniach. Zamężne goliły głowy i nosiły peruki z prawdziwych włosów. Pozostałe okrywały głowy czepcami lub chustami. Wielu wieliczan porzuciło jednak taki strój na rzecz ubioru bardziej „europejskiego". Nosiło się tak, jak Szulim Szapire – ciemny garnitur i biała koszula[81].

Różnice były widoczne także w języku. Jidysz był dla większości językiem dnia codziennego, natomiast hebrajski zaczął się przeobrażać z języka liturgii i modlitwy w język literatury i postępu. Posługiwano się też niemieckim i polskim, jednak ich znajomością mogła się pochwalić głównie grupa postępowców i asymilatorów.

Odmienności widoczne były także w poglądach politycznych. W związku z tym warto zatrzymać się na chwilę przy rywalizacji między syjonistami i ortodoksami o przejęcie rządów nad gminą.

Na początku XX wieku na czele klaśnieńsko-wielickiej gminy stał urodzony w 1872 roku Alter Pinkas Tiefenbruner, syn Salomona Tiefenbrunera i Marjem z Perlbergerów oraz mąż Sary Scharf z Kalwarii. Przedstawiał się jako przemysłowiec[82]. Po nim przewodnictwo w gminie, która zajmowała budynek przy ul. Seraf, przejął Jakub Ebersman.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości władze państwowe wyznaczyły na rok 1924 pierwsze wybory do władz gmin żydowskich, uznając tym samym za legalne zarządy i rady wyznaniowe wybrane za rządów austriackich. Dopuszczono, by w gminach, które zwróciły się z prośbą o zgodę na wybranie nowych władz, przeprowadzono wcześniejsze głosowanie. Wśród nich znalazła się również Wieliczka[83]. Wybory odbyły się 2 września 1919 roku. Do głosowania uprawnionych było czterysta siedemnaście osób. W rezultacie do dwunastoosobowego zarządu gminy weszło dziesięciu ortodoksów oraz po jednym syjoniście i postępowcu.

[78] AUJ, sygn. S II 336–337, Katalog studentów UJ, rok akadem. 1926/1927.

[79] AUJ, sygn. WP II 366–368, Katalog studentów UJ, rok akadem. 1937/1938.

[80] AUJ, sygn. 353–354, Katalog studentów UJ, rok akadem. 1928/1929.

[81] *Ibidem*.

[82] AP Kr, sygn. USC KL-MK4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[83] K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 186–187.

Zarząd, w którym zasiadali m.in. Markus Gold i Mojżesz Margulies[84], utrzymał się do kolejnych wyborów. Te zaś rozpisano na 1928 rok, przy okazji wprowadzając zmiany w ordynacji wyborczej, m.in. zniesiono cenzus wykształcenia i majątkowy. Bardziej demokratyczna forma wyborów miała zwiększyć szansę powodzenia ugrupowań syjonistycznych, które w poprzednich wyborach przegrały w województwie krakowskim z ortodoksją. Tym samym celom służyła także rozbudowana struktura organizacyjna partii syjonistycznych i ich organizacji satelickich: oświatowych, dobroczynnych i młodzieżowych[85]. W Wieliczce wybory odbyły się 1 lipca 1928 roku[86]. Syjoniści, a także Aguda i ortodoksi uzyskali po cztery mandaty. W rezultacie do zarządu gminy weszli reprezentujący ruch syjonistyczny Adolf Hirsch[87], Izrael Bajdas[88], Berl Frenkel i Mojżesz Klinghofer[89], natomiast z ramienia ortodoksów i Agudy – Aleks Dembitzer, Markus Gold, Baruch Nehbenzahl i Chaim Hendier z Dobczyc[90].

Kolejna tura miała się odbyć w 1932 roku. Przed wyborami syjoniści wytrwale walczyli o zdobycie głosów za pomocą publikacji prasowych. Na łamach „Nowego Dziennika" – syjonistycznego organu – poza drukiem programów wyborczych przedstawiano również dokonania syjonistów i zmiany, jakie zaszły pod ich rządami. I tak gazeta chwaliła narodowo-żydowski zarząd w Wieliczce za wyprowadzenie kahału z długów, dokupienie parceli cmentarnej, odnowienie łaźni, zmianę nieudolnego kierownictwa domów modlitwy, uczestnictwo w akcjach socjalnych i pomocowych oraz przekazywanie dochodów na fundusze narodowe[91].



Żydowska rodzina w wielickim atelier fotograficznym Władysława Gargula, mieszczącym się przy ul. Mickiewicza 8, lata trzydzieste XX wieku

84 AP Kr, sygn. UWKr 32, Urząd Wojewódzki w Krakowie.

85 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 193.

86 „Nowy Dziennik" (dalej: ND) 1928, 4 lipca.

87 W tekstach spotyka się dwie formy tego nazwiska: „Hirsch" lub spolszczoną „Hirsz". W niniejszej książce zdecydowano się na ujednolicony zapis „Hirsch", by nazwisko odróżnić od imienia Hirsz.

88 W niniejszej książce nazwisko to występuje także w wersji Beidaff. O Izraelu Dawidzie Beidaffie można przeczytać także na s. 174 i 178.

89 W niniejszej książce Mojżesz Klinghofer występuje także jako Mosze lub Maurycy.

90 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 203.

91 ND 1932, 25 listopada.

Wybory odbyły się 27 listopada 1932 roku. W ich wyniku pięć z ośmiu osób zasiadających w gminie reprezentowało grupę ortodoksów[92], co umożliwiało blokowanie wielu działań syjonistów.

ŻYCIE RELIGIJNE: RABIN I URZĘDNICY GMINNI

Najważniejszym wybieranym i opłacanym przez wspólnotę urzędnikiem gminnym był rabin. Do jego obowiązków należało sprawowanie posług religijnych (prowadzenie modlitw, wygłaszanie kazań w czasie żydowskich świąt czy też okolicznościowych uroczystości), orzekanie w kwestiach prawa i rytuału (rozstrzyganie kwestii spornych i niejasnych, nadzorowanie koszerności, kontrolowanie przygotowywania mąki paschalnej, atestowanie łaźni i młyna), ogłaszanie zapowiedzi, udzielanie ślubów, separacji i rozwodów, ogłaszanie imion nowo narodzonych i zmarłych, nadto poświadczanie kompetencji innych funkcjonariuszy gminnych oraz ubóstwa osób ubiegających się o pomoc materialną.

Obowiązki rabinackie w Wieliczce sprawowali przedstawiciele rodziny Frenklów[93]. Frenklowie, powiązani z cadycką rodziną Halbersztamów, dzierżyli także urzędy rabinackie w Podgórzu, Skawinie, Tuchowie i Jaworznie. W Podgórzu w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku urząd ten objął Szymon Frenkel, po nim przejął go Jakub Frenkel, zaś w latach trzydziestych XX wieku – Ozjasz Feiwel (Szyja) Frenkel. Z kolei w Skawinie od 1919 roku rabinem był Szymon Alter Frenkel, który od 1928 roku zasiadał w charakterze asesora również w składzie rabinatu podgórskiego. W Tuchowie urząd od 1892 roku sprawował Izaak Frenkel, zaś w Jaworznie od 1935 roku – nieznany z imienia [M.] Frenkel[94].

Klaśnieńsko-wielicką dynastię rabinów z tej rodziny zapoczątkował Chaskiel Szaja Frenkel, który sprawował w Klaśnie urząd od lat siedemdziesiątych XIX wieku do 1885 roku. Przez kilka kolejnych lat gmina klaśnieńska nie miała rabina. W rezultacie funkcje rabinackie wypełniali rabini z okolicznych miast (Podgórza, Gdowa, Dobczyc czy Jordanowa), spośród których najczęściej wzmiankowany w źródłach był Szymon Frenkel z Podgórza[95]. Taki stan rzeczy utrzymał się do początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to starania o przejęcie obowiązków rabinackich podjął, urodzony 20 września 1867 roku w Bukowsku[96] i spokrewniony z Chaskielem Szają Frenklem, Szmelke Frenkel. Początkowo pełnił on funkcję zastępcy klaśnieńskiego rabina[97],

92 ND 1932, 30 listopada.

93 W źródłach to nazwisko, podobnie jak Friedman, jest różnie zapisywane: Fränkel, Frenkel, Frankl, Frankel, Fraenkel. W niniejszej publikacji przyjęto formę Frenkel.

94 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 108.

95 Rabin Szymon Frenkel z Podgórza był wymieniany jako pełniący urząd rabinacki w Klaśnie lub jako zastępca rabina klaśnieńskiego w latach 1885–1888; AP Kr, sygn. USC KL UK-4 Klaśno, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1877–1899.

96 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1911–1916.

97 Godność zastępcy (bądź tymczasowego) rabina została wprowadzona na mocy ustawy z 21 marca 1890 roku. Stworzono ją po to, by zapewnić ciągłości rabinatu w sytuacji, gdy po śmierci rabina gmina nie wybrała jego następcy lub gdy prawowity rabin nie mógł, z przy-

a od 1894 roku jest już wymieniany jako urzędujący rabin[98] – przy czym pierwotnie tytułowano go rabinem Klasna[99], zaś z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości – rabinem Wieliczki[100].

Mimo że rabin powinien świecić przykładem, Szmelke Frenkel miał niezwykle barwne życie. Przez pewien czas żył w nieusankcjonowanym wedle obowiązującego prawa związku z klaśnieńską Żydówką. Owocem tej zażyłości było dziecko, które przyszło na świat w 1895 roku[101]. Para nie była ze sobą długo, gdyż już rok później Szmelke się ożenił. Jego wybranką została córka poprzednika na urzędzie – Chaskiela Szai Frenkla – Frymet[102]. W 1898 roku Frenklom urodziła się córka Jachmed. Po śmierci Frymet Szmelke ożenił się ponownie ze starszą o rok Sarą Frenkel, z którą doczekał się kolejnej córki – Taube Ruchel. Sara zmarła 17 lutego 1913 roku[103]. Niedługo potem Szmelke związał się z kolejną niewiastą, młodszą o osiemnaście lat Ittel Halbersztam, córką rabina Naftalego i Racheli z Halbersztamów z Chrzanowa. Początkowo i ten związek pozostawał nielegalny w świetle obowiązujących przepisów, lecz gdy Ittel zaszła w ciążę, Szmelke pojął ją za żonę[104]. Powiła mu kilkoro dzieci – w źródłach zachowały się informacje o dwóch synach: Pinkasie Löblu (Lejbie) i Dawidzie[105] oraz zmarłej tuż po narodzinach córce Drezel[106].

Szmelke Frenkel piastował urząd rabina przez ponad czterdzieści lat. Zmarł 11 listopada 1933 roku[107]. Jego następcą został Pinkas Löbl (Lejb) Frenkel, syn Szmelke Frenkla i jednocześnie czwarty, a zarazem ostatni rabin klaśnieńsko-wielicki z rodziny Frenklów. Urodził się 6 stycznia 1895 roku w Klaśnie; tam też odebrał wykształcenie. To zaś oraz szacunek, jakim cieszyła się jego rodzina, spowodowało, że od 1926 roku odciążał ojca, pełniąc obowiązki zastępcy wielickiego rabina[108]. Zresztą sytuacja, w której urząd przechodził z ojca na syna, nie była niczym niezwy-

czyn losowych, wypełniać powierzonych mu obowiązków. J. Michalewicz, *Żydowskiego okręgi metrykalne...*, *op. cit.*, s. 48.

98 AP Kr, sygn. USC KL UK-4 Klaśno, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1877–1899.

99 Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Ukrainy (dalej: CDIA), f. 146, op. 51b, d. 611.

100 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928, 1929–1937.

101 AP Kr, sygn. USC KL UK-1 Klaśno, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1888–1896.

102 J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 165–167.

103 USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1912–1923.

104 Wedle zapisów w metrykach ślub odbył się w 1914 roku.

105 Dawid Frenkel urodził się 31 lipca 1914 roku (USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1911–1916).

106 Drezel urodziła się 20 sierpnia 1922 roku (USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922).

107 Przyczyną śmierci była choroba wrzodowa żołądka. Pogrzeb odbył się 13 listopada. Zmarły spoczął na cmentarzu w Wieliczce (USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1924–1942).

108 USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1927; Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1928–1942.

kłym – dziedziczenie tej posady było bowiem powszechną praktyką. W 1936 roku Pinkas Löbl (Lejb) Frenkel ożenił się z Ruchlą (urodzona 11 grudnia 1902 roku w Jasienicy Rosieckiej), córką Chaima Parnesa, kupca, i Heny z Halbersztamów[109]. Para doczekała się dwóch synów: Chaskiela (urodzony 10 maja 1938 roku) i Szmelke (urodzony 5 maja 1940 roku). W czasie II wojny światowej rodzina Frenklów zajmowała jednopokojowy lokal przy ul. Kilińskiego 11[110]. W sierpniu 1942 roku Pinkas Löbl (Lejb) Frenkel został wywieziony do Rozwadowa w transporcie wielickich Żydów, skąd trafił do obozu pracy na Młodyniu[111]. Po okrutnych torturach[112] został zastrzelony przez nazistów w Jom Kippur[113].

Oprócz rabina do grona urzędników gminnych należeli także jego zastępcy i asesorowie rabinaccy, kantorzy, szkolnicy, rzezacy, akuszerki, oglądacze zwłok, pracownicy cmentarza, prowizorzy zakładów prowadzonych przez gminę, nauczyciele, kancelaryści, woźni i służba gminna. Ten kilkudziesięcioosobowy zespół opłacanych przez gminę pracowników uzupełniali jeszcze działacze wypełniający przeróżne społeczne, decydenckie czy kontrolne funkcje bezpłatnie i honorowo.

Nie sposób opisać wszystkich, którzy należeli do tego grona. Więcej zatem jedynie o zastępcy rabina i asesorach rabinackich.

W sytuacji, gdy rabin nie był w stanie, z jakichkolwiek przyczyn losowych, wypełnić powierzonych mu zadań, w jego imieniu wykonywał je zastępca. Jednocześnie rabin, zastępca rabina oraz asesorzy rabinaccy tworzyli wielicki rabinat, do którego obowiązków, poza zaspokajaniem podstawowych potrzeb religijnych współwyznawców, należały także kwestie sądownictwa. Z uwagi na swe wykształcenie i rozeznanie w kwestiach talmudycznych, a także szacunek, jakim cieszyli się wśród innych, zasiadali oni w sądzie religijnym (bejt din), który rozstrzygał nie tylko sprawy natury religijnej, ale i spory codzienne, z którymi zwracali się doń członkowie gminy.

Od 1891 roku obowiązki zastępcy rabina pełnił Löbl Rosenberg[114]. Jego nazwisko pojawiało się do 1901 roku – zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat, 14 kwietnia. W latach 1907–1909 obowiązki zastępcy rabina, a do 1930 roku asesora rabinackiego wypełniał Menachem Mendel Waldman[115]. Po jego śmierci (zmarł w Wieliczce 26 grudnia 1931 roku, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat)[116] obowiązki asesora rabinackiego przejął Iro Mes[117].

[109] Ślubu udzielił Chaim Baruch Halbersztam, rabin z Frysztaka, zaś w roli świadków występowali Meilech Kurz i Simon Westreich z Wieliczki (USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1928–1942).

[110] AP Kr, sygn. MW 263, Numeracja realności w Wieliczce.

[111] *Rozwadów Memorial Book*, http://www.jewishgen.org/yizkor/rozwadow/rozwadow.html [dostęp: 5.06.2012].

[112] Zachowało się kilka świadectw tortur i męczeńskiej śmierci rabina. Zob. s. 339–345.

[113] Zob. także wspomnienia M. Yahrbluma, s. 87.

[114] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[115] USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1907–1909, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1929–1937.

[116] USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1924–1942.

[117] Zob. także wspomnienia T. Kleinman, s. 102.

KASZRUT I RZEZACY

Przestrzeganie kaszrutu, a więc zasad odżywiania się ustalonych na podstawie Tory, jest jednym z podstawowych obowiązków wyznawcy judaizmu. Ma on trzy główne reguły. Pierwszą jest zakaz spożywania krwi, z czego wynika nakaz specjalnego przygotowania mięsa. Druga dotyczy rodzaju zwierząt, ptaków i ryb nadających się do spożycia[118]. Trzecia nakazuje z kolei oddzielne przechowywanie, przygotowywanie i spożywanie potraw mięsnych i mlecznych[119].

By sprostać tym zasadom, każda wspólnota winna była zapewnić swym członkom dostęp do koszernego mięsa, którego ubojem zajmowali się rytualni rzezacy (szocheci). Szochetem mógł być jedynie dorosły Żyd płci męskiej, który został zatwierdzony na to stanowisko przez władze rabinackie oraz legitymował się odpowiednim wykształceniem talmudycznym i wiedzą z zakresu anatomii, co było konieczne, by uniknąć zadawania zwierzętom bólu i cierpienia oraz właściwie sklasyfikować mięso[120].

Liczba szochetów w każdej, także wielickiej gminie była ściśle określona. Dzięki temu unikano dokonywania potajemnego uboju przez osoby niemające odpowiednich kwalifikacji oraz utrzymywano rzezaka pod nadzorem gminy i rabina. W Wieliczce prawo do dokonywania rytualnego uboju mieli Baruch Markus Spielman, Schulem Sztrojsberg, Izrael Dembitzer oraz Naftali Hirsz Galicer[121]. Pierwszy z nich miał najdłuższy staż pracy – rozpoczął ją w 1902 roku i kontynuował przez kolejne trzydzieści dwa lata, do śmierci w 1934 roku[122].

Po zabiciu zwierzęcia następowały oględziny jego organów wewnętrznych. Każda anomalia kwalifikowała mięso jako trefne, a więc niezdatne do spożycia. Jeśli zwierzę było zdrowe, uznawano je za koszerne i zdatne do sprzedaży, aczkolwiek sprzedać je można było dopiero po usunięciu tłuszczu i żył[123].

Wielickie gospodynie nabywały mięso w jatkach, znajdujących się przy Rynku Dolnym. Zaopatrywały się tam zarówno Żydówki, jak i chrześcijanki. Mięso kupione przez Żydówki nie od razu nadawało się do spożycia, gdyż uprzednio należało wymoczyć je w wodzie, po odsączeniu posypać solą, która winna wchłonąć resztki krwi, a następnie ponownie kilkakrotnie wypłukać. Dopiero wówczas można było przystąpić do przygotowania potrawy. Lecz i tu proces był złożony, gdyż wymagał rozdzielenia potraw mlecznych i mięsnych nie tylko podczas jedzenia, ale również przechowywania i przyrządzania. Ta wspomniana już reguła kaszrutu znana była także ludno-

[118] Do zwierząt zdatnych do spożycia zaliczano zwierzęta przeżuwające pokarm i posiadające jednocześnie rozszczepione kopyta, z ptaków zaś wykluczano drapieżne i śpiewające, zaś spośród ryb za zdatne uznaje się te, które mają płetwy i łuski.

[119] N. Kameraz-Kos, *Święta i obyczaje żydowskie*, Warszawa 1997, s. 91–94; A. Unterman, *op. cit*, s. 230–231.

[120] *Ibidem*.

[121] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902; USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1907–1909, 1911–1916, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928, 1929–1937.

[122] Baruch Markus Spielman zmarł w 1934 roku w wieku siedemdziesięciu lat. Jako przyczynę zgonu podano sklerozę (USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1924–1942).

[123] A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 266–267.



Widok na ul. Kościelną (dziś Sikorskiego): drugi budynek po prawej to jatki, za nimi szyb Regis

ści katolickiej i przetrwała we wspomnieniach wielu starych wieliczan[124].

Jednocześnie warto zaznaczyć, że nie wszyscy żydowscy mieszkańcy Wieliczki przestrzegali koszernej kuchni. Wyłamywali się z niej wykształceni i zasymilowani Żydzi. Jednym z domów, w którym reguł tych nie przestrzegano, był dom wspomnianego już Mojżesza (Maurycego) Horowitza, wielickiego adwokata, u którego – jak relacjonowała jego pracownica Eleonora Drożdż – kuchnia była wykwintna, acz nie koszerna[125].

SYNAGOGI

Problem koszernych produktów przywołuje na myśl inny temat. Żydowskie jatki były bowiem jedną z kilku żydowskich instytucji czy obiektów niezbędnych do funkcjonowania gminy. Wśród nich trzy najważniejsze to: synagoga, cmentarz i mykwa.

W wielickiej gminie przed wybuchem II wojny światowej istniało kilka synagog – miejsc modlitw, studiów nad Torą, spotkań i zebrań społeczności. Pierwsza i najważniejsza z nich, uznawana za główną bożnicę i z tego powodu nazywana niekiedy Dużą, znajdowała się na Klaśnie. Powstała w XVIII wieku; niewykluczone, że po 1772 roku[126]. Była murowana, najprawdopodobniej przykryta wysokim, zapewne gontowym dachem[127]. Przed nią znajdowało się wybrukowane podwórko, z którego wchodziło się do przedsionka, a stamtąd – do głównej sali bożnicy, przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn. Na jej wschodniej ścianie umieszczony był aron hakodesz, czyli szafa ołtarzowa, w której przechowywano zwoje Tory. Szafa była zamykana, jej drzwi artystycznie zdobione i dodatkowo przysłonięte specjalną zasłoną, zwaną parochetem. Do aron hakodesz podchodziło się po czterech schodkach, otoczonych z obydwu stron żelazną poręczą. W pobliżu znajdowało się miejsce dla chazana (kantora). Na środku sali głównej stało otoczone pięknie zdobioną miedzianą poręczą podwyższenie – bima, do której prowadziły trzy schodki z dwóch przeciwległych stron i z której celebrowano centralny punkt nabożeństwa, a więc odczytywanie Tory.

[124] ME, sygn. 760 II, zeznanie Eleonory Szymskiej.
[125] *Ibidem*, zeznanie Eleonory Drożdż.
[126] J. Piotrowski, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 164.
[127] *Ibidem*, s. 165–167.



Ruiny Małej Synagogi przy ul. Wiejskiej, 2005 rok

W zachodniej części budynku znajdowała się drewniana empora dla kobiet, nazywana babińcem, która wraz ze znajdującym się pod nią przedsionkiem zajmowała mniej więcej trzecią część synagogi[128]. Mężczyźni i kobiety nie siedzieli bowiem koło siebie w jednym pomieszczeniu, gdyż kobiety nie brały bezpośredniego udziału w liturgii i nie pełniły w niej żadnej funkcji.

Duża Synagoga była dumą całej społeczności, dlatego starano się ją utrzymywać w jak najlepszym stanie. W wyniku opisywanych na wstępie pożarów, które w latach 1878–1880 zniszczył Klasno, doznała jednak szkody. Do kolejnych zniszczeń doszło na początku I wojny światowej, kiedy rosyjski pocisk trafił w ścianę bożnicy[129]. Uszkodzenia i potrzeba odświeżenia spłowiałych malowideł ściennych doprowadziły do renowacji synagogi. Prace zlecono Gabrielowi Wasserbergerowi[130], malarzowi pokojowemu rodem z Wieliczki. Na temat samego Wasserbergera wiadomo niewiele; z wpisów do ksiąg metrykalnych wynika, że był synem Salomona, po którym poza nazwiskiem przejął także fach, oraz mężem Rebeki z Krausów, z którą miał cztery córki: Esterę Braindl[131], Gittel, Feigel i Dobe[132].

Wspaniały wystrój oraz wartościowe przedmioty liturgiczne pozostające na wyposażeniu synagogi

[128] *Ibidem*, s. 166.

[129] Zob. także wspomnienia T. Kleinman, s. 102.

[130] Zob. s. 102–103.

[131] AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1900–1904.

[132] AP Kr, sygn. USC Izr. ZaK-2, Księga zapowiedzi okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1923–1939.

przyciągały złodziei. W 1923 roku w województwie krakowskim miała miejsce seria grabieży w bożnicach. Ofiarą jednej z nich padła również Duża Synagoga, z której wyniesiono niektóre sprzęty[133]. Sprawa doczekała się pozytywnego zakończenia – udało się schwytać sprawcę w osobie Zygmunta Schimscheinera i oddać go pod sąd, a skradzione mienie zwrócić[134].

W niewielkiej odległości od Dużej Synagogi znajdowała się druga, zwana Małą. Pierwsza służyła wiernym w najważniejsze święta i uroczystości, gdyż mogła pomieścić wszystkich zainteresowanych, Mała pełniła zaś funkcję synagogi „codziennej", w której dorośli Żydzi spotykali się w dni powszednie. Służyła przede wszystkim wspólnocie chasydzkiej, której członkowie musieli zebrać przepisowy minjan (grono dziesięciu dorosłych mężczyzn), by móc zanosić modły do Boga[135].

Trzecia synagoga mieściła się nie na Klaśnie, lecz w Wieliczce. Usytuowana na ul. Górsko bożnica Dorszej Tow różniła się od pozostałych tym, że należała do synagog postępowych, zwanych templami. Większość ortodoksyjnej ludności mieszkała poza centrum miasta i to ona korzystała z dwóch pierwszych bożnic. Natomiast w tempel modlili się Żydzi reformowani, do których zaliczano zamożną i wykształconą żydowską inteligencję[136].

W gminie wielickiej istniały również bejt hamidrasze, a więc publiczne izby szkolne, zawsze dostępne, zawsze otwarte, w których dzień i noc mężczyźni pogłębiali studia nad Pismem[137]. Niejedną godzinę spędzili tam z pewnością, zaliczani do grona wielickich talmudystów, Fiszel Blaser, Salomon Rakower, Mendel Federman[138], Chaim Pinter[139], Mojżesz i Izaak Paliborscy[140], Baruch Nehbenzahl[141], Abraham Anschel Perlman[142] i Izrael Brenner[143].

Niezależnie od lokalizacji i wielkości wszystkie synagogi były zarządzane przez przełożonych, zwanych prowizorami synagogalnymi. Jednym z nich był Salomon Hirsch, który został wymieniony jako zarządca synagogi w Wieliczce w księdze metrykalnej z lat dwudziestych XX wieku[144].

Z synagogami związani byli kantorzy (chazani) oraz szamesi. Kantorami, a więc osobami, do których obowiązków należało prowadzenie modlitw oraz odczytywanie *Sefer Tora*[145], byli Jakub Mandel (w latach 1900–1901)[146] oraz Baruch Markus Spielman

133 Ograbiono również synagogi w Grybowie, Dąbrowie, Tarnowie i Krzeszowicach.

134 „Ilustrowany Kurier Codzienny" 1923, 2 lutego.

135 ME, sygn. 760 II, zeznanie Marii Horobik.

136 Archiwum Żup Solnych (dalej: AŻS), F. Widomski, *Wspomnienia* (maszynopis), s. 16.

137 A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 44.

138 AP Kr, sygn. USC KL-MK4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

139 AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

140 AP Kr, sygn. USC Izr. ZaK-2, Księga zapowiedzi okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1923–1939.

141 AP Kr, sygn. KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

142 AP Kr, sygn. USC KL ZK-5, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1905–1908.

143 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

144 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928.

145 A. Unterman, *op. cit*, s. 56.

146 AP Kr, sygn. USC KL-MK4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

(w latach 1902–1910)[147]. Z kolei do grona szamesów, zwanych inaczej sługami synagogalnymi lub bożniczymi, którzy należeli do personelu pomocniczego i byli zobowiązani do utrzymywania sprzętów oraz sali modlitw w należytym porządku[148], zaliczano Mendla Waldmana, Izaaka Krimana, Dawida Ehrenhalta[149], Berischa Mandla (lata 1900–1909)[150], Jonasza Hormana, Salomona Lejba Zimetbauma (lata 1917–1922)[151], ponadto Wolfa Krimana (lata 1917–1928)[152] i Markusa Schmiedta (rok 1923)[153].

CMENTARZ

Gmina wielicka użytkowała cmentarz należący do wspólnoty klaśnieńskiej. Dokładna data jego założenia nie jest znana; powstał prawdopodobnie równolegle z gminą, gdyż jego ustanowienie było nieodzownym warunkiem otrzymania zgody na istnienie zorganizowanej wspólnoty[154]. Na początku XIX wieku oficjalnie wyznaczono jego granice, a jego położenie zaczęto zaznaczać na planach katastralnych[155].

Cmentarz, zwany kirchofem, kirkutem, kierkowem lub okopiskiem, był usytuowany w zachodniej części „żydowskiego miasteczka" na Klaśnie, na wzgórzu między Wieliczką a Grabówkami, i dlatego nazywano go cmentarzem na Grabówkach[156]. Znajdował się na otoczonej kamiennym murem[157] działce o powierzchni około dwóch hektarów. Powierzchnia ta, począwszy od XVIII wieku do lat trzydziestych XX wieku, sukcesywnie się zwiększała. Później nabyto nową działkę przeznaczoną na cmentarz[158].

Stróżem na kirchofie na Grabówkach był przez długie lata Michał Halko[159], zwany Harkuzem[160], „grekokatolik ze wschodu, co po rusku gadał i siedem lat za Austrii przechodził [przesłużył]"[161]. Na krótko przed wybuchem wojny i w jej trakcie jako dozorcę cmentarnego wymienia się Szymona Westreicha mieszkającego przy ul. Berka Joselewicza[162]. Halko pełnił również funkcję pomocnika grabarzy – sam nie kopał grobów, gdyż tym zajmowali się wyłącznie Żydzi[163], ale ponieważ dysponował wozem konnym, był wykorzystywany, gdy należało kogoś lub coś przewieźć[164].

147 *Ibidem*; USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1908–1909, 1910–1914, 1915–1916.

148 A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 263.

149 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1907–1909.

150 *Ibidem*.

151 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

152 *Ibidem*.

153 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928.

154 J. Michalewicz, *Żydowskie okręgi metrykalne...*, *op. cit.*, s. 54.

155 J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 131–132.

156 ME, sygn. 760 II, zeznanie Józefy Kurek.

157 *Ibidem*, zeznanie Kazimierza Garyckiego.

158 ND 1932, 25 listopada.

159 ME, sygn. 760 II, zeznanie Władysława Woronia.

160 *Ibidem*, zeznanie Stanisława Szymoniaka.

161 *Ibidem*, zeznanie Władysława Woronia.

162 AP Kr, sygn. MW 263, Numeracja realności w Wieliczce.

163 ME, sygn. 760 II, zeznanie Stanisława Szymoniaka.

164 *Ibidem*, zeznanie Władysława Woronia.

Cmentarz był własnością gminy, choć zarząd i opiekę nad nim sprawował kahał oraz bractwo pogrzebowe zwane Chewra Kadisza. Skupiało ono członków obojga płci, do zadań których należała opieka nad chorymi, czuwanie przy nich w godzinie śmierci oraz wykonywanie wszystkich czynności związanych z przygotowaniem ciała do pogrzebu[165]. Większość członków bractwa należała do niego praktycznie przez całe swoje dorosłe życie, m.in. Rejzla Berberowa, która w 1932 roku obchodziła pięćdziesięciolecie swej posługi w kobiecej sekcji wielickiej Chewry Kadiszy[166].

Członkowie wykonywali powierzone im obowiązki dobrowolnie i całkowicie bezpłatnie, przynależność do bractwa była ogromnym zaszczytem i honorem. Pomoc chorym i posługę przy zmarłych uznawano bowiem za przejaw najdalej posuniętego miłosierdzia względem bliźniego i ceniono niezwykle wysoko. Na przykład wspomniana Rejzla Berberowa została za swoją działalność uhonorowana specjalnym dyplomem, który jubilatce wręczyli uroczyście przedstawiciele władz gminnych i bractwa[167].

Ciała złożone na cmentarzu winny w spokoju oczekiwać nadejścia Mesjasza. Nie zawsze jednak udawało się zapewnić zmarłym ów spokój. Zdarzało się, że na cmentarzu dochodziło do przykrych incydentów. Jeden z nich miał miejsce w Wieliczce w 1932 roku, kiedy to rodzina zmarłego Alfreda Rahmanera zastała w czasie pogrzebu zasypaną mogiłę, którą uprzednio przygotowano do pochówku. Gdy ponownie wykopano grób i przystąpiono do składania zwłok, „wpadli na cmentarz ortodoksi [...], pobili uczestników pogrzebu, w tym pana Klinghofera, członka komisji cmentarnej. Następnie obstawili grób i twierdzili, że tutaj nie pozwolą na pochówek". Ostatecznie ciało zmarłego zostało złożone w innym miejscu, dla uniknięcia skandalu i większego zgorszenia[168].

Miejsce pochówku, za które wnosiło się specjalną opłatę na rzecz gminy i bractwa pogrzebowego, oznaczano pionową płytą nagrobną, zwaną macewą. Przez pokolenia ustawiono ich tysiące. Dziś pozostało kilkadziesiąt, ale jedynie kilka z nich zachowało się w całości. Należy do nich macewa upamiętniająca zmarłego w 1921 roku Abrahama Meira Polaka, syna Efraima, której hebrajskojęzyczna inskrypcja głosi: „Tu został pochowany mąż stary, zacny i prawy [...] nasz nauczyciel, pan i mistrz Abraham Meir Polak [...]. Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia!"[169].

ŁAŹNIA

Rozważania o życiu wiecznym łączą się jakoś z czystością, a ta z kolei prowadzi do tematu mykwy. Mykwa to zbiornik z bieżącą, pochodzącą z opadów lub ze źródła wodą, służącą do oczyszczania przyborów kuchennych zakupionych u nie-Żydów[170] oraz rytualnych ablucji. Obrzędową kąpiel w mykwie winny odbywać kobiety po każdej menstruacji, a także przed ślubem i po porodzie. Mężczyźni z kolei zobowią-

[165] A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 60.

[166] ND 1932, 23 września.

[167] *Ibidem*.

[168] ND 1932, 27 listopada.

[169] Dokumentację fotograficzną wraz z przekładem tej oraz dwunastu innych inskrypcji sporządził Leszek Hońdo; J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 369–382, zob. również Aneks, s. 563–572.

[170] W mykwie zanurza się sprzęty przed pierwszym użyciem; A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 193.

zani są do oczyszczenia przed świętem Jom Kippur, chasydzi natomiast korzystają z mykwy codziennie przed rozpoczęciem porannych modlitw. Nadto kąpiel w mykwie jest obowiązkowa dla prozelitów i prozelitek przechodzących na judaizm[171].

Wielicka łaźnia mieściła się przy ul. Klaśnieńskiej[172], w nieotynkowanym budynku z czerwonej cegły[173]. Składała się z dwóch części – osobnej dla kobiet, osobnej dla mężczyzn. By się oczyścić, trzeba całkowicie zanurzyć się w wodzie, dlatego też znajdował się tam basen z wodą[174]. W osobnym pomieszczeniu za przepierzeniem ustawione były wanny (początkowo drewniane, później porcelanowe). Tam też znajdowały się prysznice. Odrębne pokoje pełniły funkcję przebieralni[175].

W 1929 roku przystąpiono do gruntownego remontu łaźni. Uznano bowiem, że jej stan urąga wszelkim, nawet najbardziej prymitywnym zasadom higieny i czystości. Remont był ponadto podyktowany wymogami wprowadzonymi przez rozporządzenie ministra zdrowia publicznego z 1921 roku, w którym ściśle określono zasady dopuszczające łaźnie do użytku[176].

By dostosować istniejący budynek do obowiązujących przepisów, powzięto decyzję o instalacji światła elektrycznego i nowoczesnej instalacji wodociągowej[177] oraz wystawieniu przy łaźni, od strony ulicy, przy stawie przeznaczonym na jej użytek, budynku mieszczącego pompę, piec oraz kocioł do grzania wody[178]. Remont zakończono w 1932 roku, o czym poinformowała ówczesna prasa[179].

Na początku XX wieku pieczę nad łaźnią przy ul. Klaśnieńskiej sprawowali Eliazar Huppert oraz jego żona Chawa z Laksbergerów[180]. Później opiekę przejęło małżeństwo Lajzerów[181]. Zarówno Huppertowie, jak i zajmujący mieszkanie na piętrze łaźni Lajzerowie byli zatrudnieni w charakterze łaziebnego i łaziebnej. Do ich obowiązków należało służenie pomocą kąpiącym się. Ponadto odpowiadali za porządek w łaźni oraz przestrzeganie przepisów żydowskiego prawa podczas kąpieli. Korzystanie z łaźni było odpłatne. Uzyskane środki przeznaczano na wynagrodzenie dla łaziebnych oraz utrzymanie budynku, wymianę i podgrzewanie wody lub zakup niezbędnego wyposażenia[182].

Mykwa była własnością gminy, jednak jej budynek oddawano w dzierżawę. Dzierżawca był zobowiązany do wniesienia ściśle określonej kwoty na rzecz gminy, którą odbierał sobie później z opłat. Jednymi z arendarzy wielickiej łaźni byli Leisor Huppert, zmarły w Wieliczce 15 stycznia 1932 roku w wieku

[171] *Ibidem*, s. 193.

[172] AP Kr, sygn. MW 263, Numeracja realności w Wieliczce.

[173] ME, sygn. 760 II, zeznanie Janiny Guzik.

[174] Basen musiał być głęboki, gdyż prawo żydowskie nakazuje, by podczas kąpieli doszło do zanurzenia całego ciała w wodzie; A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 193.

[175] ME, sygn. 760 II, zeznanie Janiny Guzik.

[176] Rozporządzenie ministra zdrowia publicznego z dn. 5 VII 1921, DzU, nr 65, poz. 416.

[177] ND 1929, 2 czerwca.

[178] ME, sygn. 760 II, zeznanie Janiny Guzik.

[179] ND 1932, 25 listopada.

[180] Huppertowie są wspomniani w dokumentach metrykalnych przy okazji śmierci syna Samuela Löbla (wpis z 25 lutego 1904 roku. AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryki śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1904).

[181] ME, sygn. 760 II, zeznanie Janiny Guzik.

[182] *Ibidem*.

sześćdziesięciu ośmiu lat na udar serca[183], oraz Jakub Dawid Kornhauser[184].

W 1929 roku podjęto pierwsze kroki w celu stworzenia drugiej łaźni i przygotowano projekt budowy nowych „żydowskich łazienek" w centrum miasta[185]. Stało się tak, gdyż jak już wspominano, w centrum mieszkali postępowi Żydzi, tam także znajdowały się wszystkie instytucje gminne, natomiast na terenie Klasna lokowała się ludność chasydzka. Rywalizacja między obiema grupami sprawiła, że ludność postępowa dążyła do umieszczenia w centrum synagogi czy mykwy. Brak jednak szczegółowych informacji na ten temat.

NARODZINY

Wieliczanie wyznania mojżeszowego przychodzili na świat w domach rodzinnych lub, co zdarzało się dużo rzadziej, poza nimi, np. w szpitalu. Położnicy, poza najbliższymi niewiastami z rodziny, towarzyszyła w tej niezwykłej chwili akuszerka. Dzieci, które przyszły na świat w latach 1900–1909, były przyjmowane przez Hendel Schmeidler[186], Temę Perlman[187] oraz Mariannę Żelazko, odbierającą porody do 1922 roku[188], co do której nie ma pewności, czy była Żydówką, czy katoliczką. (Jeśli byłaby katoliczką, to nie jedyną odbierającą żydowskie porody. W księgach metrykalnych z lat 1900–1902 wspomniana jest bowiem inna akuszerka-katoliczka Maria Wojnarowska, zaś z lat 1907–1909 – Cholewina). W latach 1917–1922 odbierały porody także nieznana z imienia Weinertowa oraz Sussel Lanzerer, która legitymowała się długim stażem pracy (pracowała jako akuszerka od 1907 do 1928 roku)[189]. Równie długo obowiązki położnej wykonywała Paulina Weinberger, która odbierała porody w latach 1917–1938[190].

Przyjście na świat dziecka było ogromną radością, ale też obowiązkiem. Potomka należało wprowadzić do wspólnoty. Odbywało się to na dwa sposoby: urzędowy i religijny. Pierwszy polegał na zgłoszeniu narodzin urzędnikowi – Markusowi Weissowi lub jego następcy, a zarazem synowi, Józefowi – który dokonywał odpowiedniego wpisu do izraelickich ksiąg metrykalnych. Zapis obejmował dzień, miesiąc, rok, miejsce i numer domu, w którym dziecko przyszło na świat; dzień, miesiąc, rok obrzezania lub nadania imienia dziecku; jego płeć; związek, z jakiego pochodziło (urodzenie ślubne, rzekome ślubne lub nieślubne); imię i nazwisko, stan zatrudnienia, miejsce zamieszkania ojca, matki i jej rodziców, dane akuszerki lub akuszera oraz – jeśli był to chłopiec – osób uczestniczących w ceremonii obrzezania[191].

[183] USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1924–1942.

[184] *Ibidem*.

[185] ND 1929, 2 czerwca.

[186] USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1907–1909.

[187] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[188] USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1907–1909.

[189] *Ibidem*; USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1911–1916, 1917–1922.

[190] *Ibidem*; USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928, 1929–1937.

[191] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902; USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izra-

Kolejnym krokiem było wprowadzenie dziecka do grona wyznawców judaizmu. W wypadku potomków płci męskiej widomym znakiem przynależności do żydostwa było obrzezanie, dlatego też osiem dni po narodzinach chłopców poddawano zabiegowi usunięcia napletka. W ceremonii, poza rodzicami dziecka oraz kumami, uczestniczyli także sandak i mohel. Funkcja sandaka – mężczyzny trzymającego dziecko na kolanach w czasie dokonywania zabiegu obrzezania – była niezwykle zaszczytna. Z tego też względu pełnili ją rabini – Szmelke Frenkel lub Pinkas Löbl (Lejb) Frenkel – szamesi lub inni poważani członkowie starszyzny gminnej[192]. Zdarzało się również – gdy dziecko było owocem nieformalnego związku – że jako sandak występował jego ojciec[193]. Z kolei dokonanie samego aktu obrzezania wymagało dużej sprawności w operowaniu nożem. Odznaczali się nią rzezacy (szocheci), dlatego też to oni dość często występowali w roli mohelów[194].

Pod koniec ceremonii obrzezania nadawano chłopcu imię i podawano je do publicznej wiadomości. Imię dziewczynki ogłaszano z kolei w pierwszy szabat po narodzinach, informując tym samym społeczność o pojawieniu się nowej członkini, przy czym robiono to najczęściej w Małej Synagodze w Klaśnie.

Dziecko otrzymywało imię po zmarłym krewnym lub po osobie zacnej, bogobojnej i uczciwej. Do I wojny światowej w wielickiej społeczności dominowały imiona hebrajskie, stopniowo jednak wkraczały imiona chrześcijańskie (szczególnie często dla dziewczynek wybierano: Amalia, Adela, Balbina, Bronisława, Celina, Eleonora, Ernestyna, Felicja, Irena, Malwina czy Regina, zaś dla chłopców – Aleksander, Arnold, Artur, Bernard, Edward, Ignacy, Marceli, Romuald czy Ryszard)[195]. Chrześcijańskie imię – Halina – wybrał dla córki dr Gwido Friedberg, adwokat. Podobnie postąpił jego kolega po fachu dr Eliasz Weinberger, który nadał synowi aż dwa chrześcijańskie imiona – Marceli Ryszard[196]. W użyciu były również chrześcijańskie odpowiedniki imion hebrajskich (Ewa zamiast Chawy czy Leon zamiast Lejba)[197]. Wiele dzieci nosiło dwa imiona hebrajskie (na przykład córka Barucha Goldschmieda, wielickiego handlarza, i Hindy z Arjanów – Sara Lea, oraz syn Mendla Mordke Brandysa, urzędnika prywatnego, i Goldy z Grunspanów – Joel Dawid) lub jedno hebrajskie, a drugie chrześcijańskie (np. Henryk Heinrich Spira, pomocnik handlowy, i Gittel Spira nazwali córkę Helena Mindel[198]).

Co roku wpisywano do ksiąg metrykalnych około czterdzieścioro dzieci, w każdym roku kilkoro też

elickiego Klasno, 1907–1909, 1911–1916, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce 1923–1928, 1929–1937.

192 *Ibidem.*

193 *Ibidem.*

194 *Ibidem.*

195 *Ibidem,* USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce 1923–1928, 1929–1937.

196 *Ibidem,* USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1929–1937.

197 *Ibidem,* USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922; Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1923–1928, 1929–1937.

198 AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902; USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

umierało – odchodziły najczęściej dzieci małe, nieprzekraczające pierwszego roku życia. Jako przyczynę zgonu podawano brak sił do życia, wady wrodzone lub zapalenie płuc[199].

ŚLUB

Kolejnym wydarzeniem, przy okazji którego dokonywano wpisów do ksiąg metrykalnych, było zawarcie małżeństwa. W świetle żydowskiego prawa za dorosłego, a więc uprawnionego do wstąpienia w związek małżeński, uchodził już trzynastoletni chłopiec po bar micwie[200] – ceremonii, podczas której po raz pierwszy odczytywał w synagodze wybrany fragment Tory. Mieszkańcy Wieliczki jednak zawierali małżeństwa dużo później. Średnia wieku dla kobiet wynosiła dwadzieścia jeden, a dla mężczyzn – dwadzieścia siedem lat[201]. Ale na przykład w 1901 roku siedemdziesięcioześcioletni Mojżesz Nichthauser, handlarz, starał się o rękę (z pozytywnym skutkiem) sześćdziesięciodwuletniej Witte Linzer[202].

Małżeństwa kojarzone były przez swatów (szadchenów), parających się tym zawodowo, lub bezpośrednio przez same zainteresowane rodziny. Jak wynika z ksiąg zapowiedzi z lat 1905–1939, kandydatów poszukiwano zarówno w kraju, jak i za granicą: w Czechosłowacji, Holandii, Austrii, Wielkiej Brytanii czy na Węgrzech (np. o rękę Węgierki Rozalii Karoliny Segner starał się Mojżesz Bernstein, pracownik młyński)[203]. Przeważali jednak mieszkańcy okolicznych miast i miasteczek (Białej, Bochni, Chrzanowa, Dąbrowy, Dębicy, Dobrej, Gdowa, Krakowa, Nowego Sącza, Oświęcimia, Wadowic, Zawoi)[204]. Także sami wieliczanie – Schustermanowie, Perlbergerowie, Laxowie, Klinghoferowie, Wimerowie, Perlmanowie, Joachimsmanowie, Friedlichowie, Weitschnerowie, Laulichtowie, Hirschowie, Ebersmanowie, Ramerowie, Weintraubowie, Bienenstockowie, Herstahlowie, Armerowie etc. – koligacili się ze sobą, przez co jeszcze zacieśniali więzy wewnątrz wspólnoty i gmatwali, już i tak bardzo złożone, zapisy w księgach metrykalnych.

Zawarcie związku małżeńskiego poprzedzano zapowiedziami, które również odnotowywano w odpowiedniej księdze. Wpis, oprócz roku ogłoszenia, obejmował miejsce urodzenia, zamieszkania i profesję oraz stan cywilny narzeczonego i narzeczonej wraz z danymi rodziców[205].

[199] AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1904; sygn. USC KL ZK-5, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1905–1908; USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelskiego Klasno, 1909–1911, 1912–1923, 1924–1942.

[200] Bar micwa – uroczystość związana z ukończeniem przez żydowskiego chłopca pełnoletniości. Zwyczajowo odbywa się w synagodze w pierwszy szabat po ukończeniu przez chłopca trzynastu lat i jednego dnia.

[201] AP Kr, sygn. USC KL-UK5, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[202] AP Kr, sygn. USC KL-MK4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1902.

[203] AP Kr, sygn. USC Izr. ZaK-1, Księga zapowiedzi izraelickiego okręgu metrykalnego Klasno, 1905–1922; sygn. USC Izr. ZaK-2, Księga zapowiedzi izraelickiego okręgu metrykalnego Klasno, 1923–1935; sygn. USC Izr. ZaK-3, Księga zapowiedzi izraelickiego okręgu metrykalnego Klasno, 1935–1939.

[204] *Ibidem, passim.*

[205] *Ibidem.*

Kiedy strony dopełniły wszelkich formalności i koniecznych ustaleń, odbywała się ceremonia zaślubin. Była niezwykłym wydarzeniem o charakterze religijno-obyczajowym i składała się z kilku etapów, określonych przez rytuał mojżeszowy[206]: przywitania pana młodego z rodziną panny młodej, wprowadzenia młodych pod chupę, czyli baldachim ślubny, odmówienia błogosławieństwa nad winem, wypicia wina, obdarowania panny młodej pierścieniem, odczytania ketuby, czyli kontraktu małżeńskiego, stłuczenia kielicha po winie i zabawy weselnej. Jednak dodatkowe warunki wprowadzały także ustawy cywilne. Aby można było uznać ślub za ważny, należało jeszcze złożyć: metrykę urodzenia narzeczonego i narzeczonej, metrykę ślubu jej rodziców, zezwolenie na ślub wydane przez jej ojca, dowód ogłoszenia zapowiedzi, pisemne oświadczenie woli nowożeńców oraz świadectwo zamieszkania narzeczonego.

Gdy wszystkie te wymogi zostały spełnione, związek uznawano za ważny i wpisywano do ksiąg metrykalnych. Wpis obejmował imię i nazwisko, miejsce urodzenia, zatrudnienia, zamieszkania wraz z numerem domu narzeczonego i jego rodziców, wiek (rok, miesiąc), stan cywilny (wolny, wdowiec); imię i nazwisko, miejsce urodzenia, zatrudnienia, zamieszkania wraz z numerem domu narzeczonej i jej rodziców, wiek (rok, miesiąc), stan cywilny (wolna, wdowa); dzień, miesiąc, rok i miejsce zaślubin; podpis obecnego przy zaślubinach rabina, świadków oraz ich zatrudnienie[207].

W świetle przepisów prawa żydowskiego ślubu mógł udzielać każdy dorosły mężczyzna posiadający odpowiednią wiedzę religijną. W praktyce jednak był to rabin. Tak było też w Wieliczce, gdzie ceremonie prowadzili albo Szmelke Frenkel czy Pinkas Löbl (Lejb) Frenkel[208], albo jakiś inny rabin, sprowadzony specjalnie na okoliczność zaślubin (dla przykładu Irenie Horowitz, córce dr. Mojżesza (Maurycego) Horowitza i Mirl z Grünwaldów[209], a także inżynierowi Rudolfowi Propstowi z Sambora, synowi dr. Wilhelma Propsta, adwokata, ślubu udzielił dr Samuel Hipschfeld, rabin z Białej)[210].

ŚMIERĆ

Trzecim, a zarazem ostatnim wydarzeniem, które odnotowywano w księgach metrykalnych, był zgon. Władze wymagały potwierdzenia śmierci przez lekarza pełniącego obowiązki „oglądacza zwłok". W tej roli występowali zarówno Żydzi, jak i chrześcijanie. W latach 1900–1908 zajmowali się tym Eisig Dawidowicz, policjant w Klaśnie, oraz doktorzy Podobiński i Steiner[211], do których od 1905 roku dołączył dr

206 N. Solomon, *Judaizm*, przeł. J. Mytkowska, Warszawa 1997, s. 103.

207 USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1908–1909, 1917–1927; Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1928–1942.

208 *Ibidem*.

209 Alfred Borowicz posługuje się spolszczoną wersją imienia matki: Maria. Zob. s. 195.

210 USC Wieliczka, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego w Wieliczce, 1928–1942.

211 AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1904; sygn. USC KL ZK-5, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1905–1908.

Karzlich, a od 1907 roku – dr Ziembiński[212]. W latach 1912–1923 w roli „oglądaczy zwłok" oprócz dr. Ziembińskiego występowali również doktorzy Pałczyński, Wróblewski, Baraniecki i Stroka[213]. Dwaj ostatni potwierdzali zgony aż do II wojny światowej[214]. Wspomagali ich także doktorzy Tune i Wojtaszek[215].

Co roku mniej więcej jedna trzecia wpisów do ksiąg metrykalnych (około dwadzieścia, dwadzieścia pięć) dotyczyła Żydów z Wieliczki i Klasna. Od czasu I wojny światowej obserwujemy wyraźne wydłużenie średniej długości życia – wcześniej wynosiła ona około pięćdziesięciu pięć lat i wzrosła o dziesięć. Przy czym w gminie wielickiej odnajdujemy również osoby dożywające sędziwego wieku – praktycznie w każdym roku pojawia się wpis dotyczący zgonu osoby, która przekroczyła osiemdziesiąty rok życia[216].

W karcie zgonu wpisywano przyczynę śmierci. Najczęściej była to angina lub powikłania pogrypowe, gruźlica, krwotok wewnętrzny, niedomoga serca, nowotwór płuc, rak wątroby lub jelit i otrzewnej, zapalenie płuc. W wypadku najstarszych mieszkańców podawano z kolei uwiąd starczy lub sklerozę[217].

Po dokonaniu oględzin i ustaleniu przyczyny zgonu przekazywano ciało członkom Chewry Kadiszy, którzy przygotowywali je do pochówku. Czynności te wykonywano w domu przedpogrzebowym, który, jak relacjonowała jedna z przedwojennych mieszkanek Wieliczki Maria Horobik, znajdował się niedaleko Dużej Synagogi na Klaśnie[218].

Z natury rzeczy dom przedpogrzebowy był nieogrzewany i zimny. Wiązała się z tym historia „zmartwychwstania" Kacpra, pomocnika piekarskiego. Sypiał on na piecu w piekarni Händlera i jak się wydawało, pewnej nocy zaczadział. Lekarz stwierdził zgon, Kacpra przygotowano do pochówku. Jednak formalności przedłużały się i trzeba było zostawić ciało w domu przedpogrzebowym. Zimne powietrze „ożywiło" niedoszłego nieboszczyka, który ku przerażeniu wszystkich pojawił się w piekarni na nocnej zmianie[219].

W domu przedpogrzebowym ciała nie trzymano długo; wszystkie czynności starano się wykonać możliwie szybko, bowiem żydowską tradycją jest jak najrychlejsze grzebanie zmarłych. Na miejsce wiecznego spoczynku – cmentarz na Grabówkach – odprowadzał zmarłego kondukt pogrzebowy, w którym obok członków Chewry Kadiszy, krewnych i przyjaciół szły także zawodowe płaczki, których obecność wyryła się w pamięci również nieżydowskich mieszkańców Wieliczki[220]. Ciało niesiono na marach, przypominających „pakę zbitą"[221], zaś trumnę z nieheblowanych desek składano bez gwoździ i stawiano bezpośrednio przy grobie. Po umieszczeniu ciała

212 *Ibidem*; USC Wieliczka, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelskiego Klasno, 1909–1911.

213 *Ibidem*, 1912–1923.

214 *Ibidem*, 1924–1942.

215 *Ibidem*.

216 AP Kr, sygn. USC KL-ZK-4, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1900–1904; sygn. USC KL ZK-5, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1905–1908; USC Wieliczka, Metryki śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno 1912–1923; Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klaśno, 1924–1942.

217 *Ibidem*.

218 ME, sygn. 760 II, zeznanie Marii Horobik. Zob. także wspomnienia Larry'ego Zellnera, s. 162.

219 Historia ta przewija się w wielu zeznaniach; ME, sygn. 760 I, sygn. 760 II, *passim*.

220 *Ibidem, passim*.

221 ME, sygn. 760 II, zeznanie Władysława Grzywacza.



Przedstawienie purimowe, 1942 rok

w grobie odmawiano modlitwy i wygłaszano mowy na cześć zmarłego. Częścią ceremonii pogrzebowej była również stypa[222].

Cmentarz był uznawany za miejsce rytualnie nieczyste, dlatego też po jego opuszczeniu myto ręce, niejednokrotnie wykorzystując w tym celu wodę z kranów znajdujących się przy drodze do domów[223].

ŻYCIE SPOŁECZNO-KULTURALNE

Oprócz organizacji związanych z życiem religijnym, takich jak bractwo pogrzebowe, istniały także inne odrębne żydowskie stowarzyszenia o charakterze kulturalnym, społecznym czy sportowym. Zatrzymajmy się przy dwóch z nich – teatrze i klubie sportowym.

W przedwojennym ruchu teatralnym w Wieliczce widoczne są dwa nurty. Pierwszy z nich miał wielowiekową tradycję i wiązał się ze świętem Purim. Od czasów średniowiecza istniał bowiem zwyczaj, że z okazji tego święta dzieci i dorośli dawali amatorskie przedstawienia dla swej społeczności bądź wędrując od domu do domu, prezentowali krótkie parodie scenek pochodzących z Księgi Estery[224].

Dla wielickich Żydów przedstawienia purimowe stanowiły doskonałą okazję do przypomnienia ważnych wydarzeń z dziejów narodu żydowskiego, a także zabawy. Były także wyrazem przywiązania do tradycji oraz szansą na zdobycie pieniędzy na działalność społeczną. W tym ostatnim celowała głównie młodzież syjonistyczna, która zbierała datki na fun-

[222] N. Kameraz-Kos, *Święta i obyczaje...*, *op. cit.*, s. 120–121, natomiast Izaak Birnbaum we wspomnieniach stwierdza, że „po pogrzebie nie piło się ani nie jadło wspólnie", zob. s. 152.

[223] ME, sygn. 760 II, *passim*.

[224] A. Unterman, *Encyklopedia legend...*, *op. cit.*, s. 226.



Charakterystyczne dla obchodów Purim jest popełnianie drobnych wykroczeń przez świętujących go Żydów, jak choćby palenie papierosów czy picie alkoholu, 1942 rok

dusze narodowe. Jednocześnie tej właśnie grupie przypisuje się zorganizowanie największej liczby przedstawień purimowych, wzbogacanych śpiewem i akompaniamentem muzycznym. Przedstawień, których tradycja zapadła w pamięć nawet nieżydowskim mieszkańcom Wieliczki, wspominającym z sentymentem: „Były Żydki, co się przebierały. [...] To się wysmarowali, tak chodzili, w te święta. [...] Oj, były, były"[225].

Drugi nurt to świecki teatr żydowski, który od czasów I wojny światowej stał się jedną z najpopularniejszych rozrywek, a zarazem nośnikiem nowoczesnej kultury żydowskiej.

Początki amatorskiego teatru w Wieliczce były jednak dużo późniejsze – przez długie lata ortodoksi dość skutecznie przeciwstawiali się wszelkim próbom publicznych przedstawień świeckich sztuk teatralnych. W rezultacie pierwsze inicjatywy podjęto dopiero w latach trzydziestych XX wieku pod wypływem doraźnych potrzeb oraz zainteresowań młodzieży. To właśnie wówczas przy Stowarzyszeniu Żydowskiej Młodzieży im. błp. Adolfa Hirscha powstało kółko dramatyczne. Sekcja ta specjalizowała się w sztukach autorów żydowskich – jednym z pierwszych spektakli była, wystawiana od 24 stycznia 1931 roku, sztuka Szaloma Asza *Got fun nekome* (*Bóg zemsty*) w reżyserii Hugo Königsbergera[226].

Jeśli zaś chodzi o zupełnie inną dziedzinę – piłkę nożną – to najprawdopodobniej w połowie lat dwudziestych XX wieku w Wieliczce powstał amatorski Żydowski Klub Sportowy Ari. Jak wynika z zachowanych doniesień prasowych, w 1929 roku zawiesił swą działalność, by wznowić ją 31 marca 1931 roku i kontynuować do wybuchu II wojny światowej[227]. Klub mieścił się przy ul. Sienkiewicza[228]. Miał własny, w pełni niezależny zarząd[229]. Wiadomo, że przez cały okres działalności KS Ari obowiązki jego kierownika (prezesa) pełnił Hugo Königsberger, zastępcą był Herman Schnur, zaś sekretarzem – Jozue Klinghofer[230].

---

225 ME, sygn. 760 I, zeznanie Henryka Pawlika.

226 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 259.

227 AP Kr, sygn. UWKr 358.

228 ME, sygn. 760 II, zeznanie Józefa Nowaka.

229 *Ibidem*.

230 AP Kr, sygn. UWKr 358. Wspomniany Jozue Klinghofer w niniejszej książce występuje także pod nazwiskiem Jehoszua Ofer (zmienił je po wyjeździe do Palestyny) i jest autorem artykułów znajdujących się na s. 115–122, 127–129.

W klubie istniało kilka sekcji, w tym sekcja piłki nożnej. Na przeszkodzie jej działalności stał brak własnego boiska – problem szybko jednak rozwiązano dzięki uprzejmości władz Kolejowego Klubu Sportowego Wieliczanka, które zezwoliły zawodnikom KS Ari na treningi na własnym boisku. Żydowska drużyna piłkarska odnosiła niemałe sukcesy na szczeblu lokalnym. W pamięci mieszkańców Wieliczki zachowały się nazwiska niektórych graczy – prawoskrzydłowego Jozuego Klinghofera oraz Wasserbergera[231], Szapire i Wimmera[232].



Izrael i Oskar Laxowie ze znajomym Schinaglem (imię nieznane), właścicielem dworu koło Swoszowic, którego syn Nolek przyjaźnił się z Alfredem Laxem, Karlsbad, 1913 rok

RELACJE ŻYDZI – KATOLICY

Do niedzielnych tradycji w przedwojennej Wieliczce należały mecze rozgrywane pomiędzy drużyną Ari a Wieliczanką[233]. Była to jedna z płaszczyzn, na których spotykali się Żydzi i katolicy. Chodziło jednak o spotkania dwóch światów, a nie ich integrację, jedynie żydowska inteligencja starała się zintegrować z resztą wielickiego społeczeństwa.

Żydzi i katolicy zajmowali te same budynki, spotykali się na ulicach, kontaktowali ze sobą na płaszczyźnie gospodarczej. U Izraela Laxa przy Rynku Górnym zaopatrywali się miejscowi chłopi, wysoko ceniący towar i solidność tego kupca. Po latach jego wnuk, Alfred Lax, wspominał:

> *Dziadek miał taką opinię, że on wiedział, jaka kosa jest dobra, jaka nie. On brał tę kosę i uderzał o jakieś żelazo i ona wydawała dźwięk. Chłopi do niego przychodzili, żeby im powiedział, jaka kosa jest dobra. On miał w sklepie wszystko – klamki, zawiasy, wszystko. Wtedy chłopi budowali dom sami przeważnie i chłop przychodził i chciał wszystkie okucia do domu – klamki, zawiasy, zamki, gwoździe. Gwoździe ważyli, płaskie żelazo (rajfy) sprzedawali do kół, takie rzeczy*[234].

231 ME, sygn. 760 II, zeznanie Mieczysława Śmigielskiego.

232 *Ibidem*, zeznanie Józefa Nowaka.

233 ME, sygn. 760 II, zeznanie Stanisława Kaczora.

234 Rozmowa z Alfredem Laxem przeprowadzona przez Wiesława Żyznowskiego 5 sierpnia 2008 roku.



Rodzina Laxów w ogrodzie na tyłach domu przy ulicy Kilińskiego 11/13. Stoją od lewej: Berta Zellner (żona Michała nieobecnego na zdjęciu); Adolf Lax (ojciec Henryka Marcelego i Celiny); Albina (Bisia) Lax, z domu Seidenbeutel; Oskar Lax, mąż Albiny; Golda (Dziuńka) Licht, z domu Lax; Eliasz (Olek) Licht, mąż Goldy; Henryk Marceli Lax, brat siedzącej poniżej Celiny. Siedzą: Irena Szapire, Ryszard Lax, Celina Lax, Roman Licht, początek lat trzydziestych XX wieku

Żydowscy handlarze dbali o klientów – gdy ktoś nie mógł zapłacić należnej kwoty, wpisywano ją do zeszytu[235]. Inna osoba ręczyła, że należność za zakupy na „borg" lub „kreskę", jak powszechnie je nazywano, zostanie uregulowana w ustalonym przez strony terminie. W ten sposób sklepikarz nie musiał się obawiać, że klient nie zapłaci, zaś sam kupujący mógł od ręki odebrać towar, po który przyszedł. Inną dogodnością było dostarczanie zamówionych towarów do domu klienta[236] czy możliwość dokonywania zakupów w sobotę. By uniknąć łamania prawa nakazującego Żydom wstrzymanie się w tym dniu od pracy, towary z żydowskich sklepów sprzedawali zaprzyjaźnieni i zaufani katolicy. Nigdy jednak taki handel nie odbywał się w samym sklepie, lecz w sieni domu czy budynku, w którym ten się mieścił. Sklep zaś otwierano po zakończeniu szabatu, a więc w sobotni wieczór[237].

Żydzi i katolicy kontaktowali się również na płaszczyźnie pracodawca – pracownik. Przy czym relacje te odnosiły się zarówno do sfery domowej, jak i zawodowej. W bogatych żydowskich domach pracowały pomoce domowe, opiekunki, ogrodnicy etc. katolicy. Opłacano również szabes-gojów, a więc osoby, które w szabat wykonywały najniezbędniejsze, a zakazane dla Żydów czynności, np. rozpalały ogień pod kuchnią. Katolików zatrudniano także w żydowskich sklepach, warsztatach, fabryczkach, Polacy pracowali na przykład w garbarni. Nie był to jednak jedyny taki zakład w Wieliczce.

Kontakty dotyczyły również sfery publiczno-administracyjnej. Katolicy leczyli się u żydowskich lekarzy, korzystali z pomocy adwokatów. Żydzi zasia-

[235] ME, sygn. 760 I, zeznanie Anny Ruseckiej.

[236] ME, sygn. 760 II, zeznanie Władysława Grzywacza.

[237] *Ibidem*, zeznanie Stanisława Kaczora.

dali również we władzach miejskich. Wspomniano już o Mojżeszu (Maurycym) Horowitzu, który pełnił obowiązki wiceburmistrza. Nie był jednak jedynym członkiem rady miejskiej żydowskiego pochodzenia. Do tego grona należeli także Eliasz Hirsz Friedman, Salomon Rosenzweig, Efroim Joachimsman, dr Jakub Spitzel, Majer Lax, Pinkas Zimmels, Josef Perlberger, dr Gwido Friedberg oraz dr Feiwel Weinberger[238]. Żydzi wchodzili również do rady powiatowej. Wśród jej członków znajdziemy Salomona Rosenzweiga, radcę cesarskiego, oraz dr. Gwidona Friedberga[239] i Leopolda Epsteina[240].

Obie społeczności, katolicka i żydowska, utrzymywały kontakty również na płaszczyźnie szkolnej i prywatnej. Oczywiście nie oznacza to, że wzajemne relacje były pozbawione różnego rodzaju zatargów. Jednak nawet wtedy, gdy wśród wieliczan pojawili się endecy, gdy hasła „Bij Żyda", „Nie kupuj u Żyda" wcielane były w innych zakątkach Polski w czyn, w Wieliczce nie było poważniejszych rozruchów.

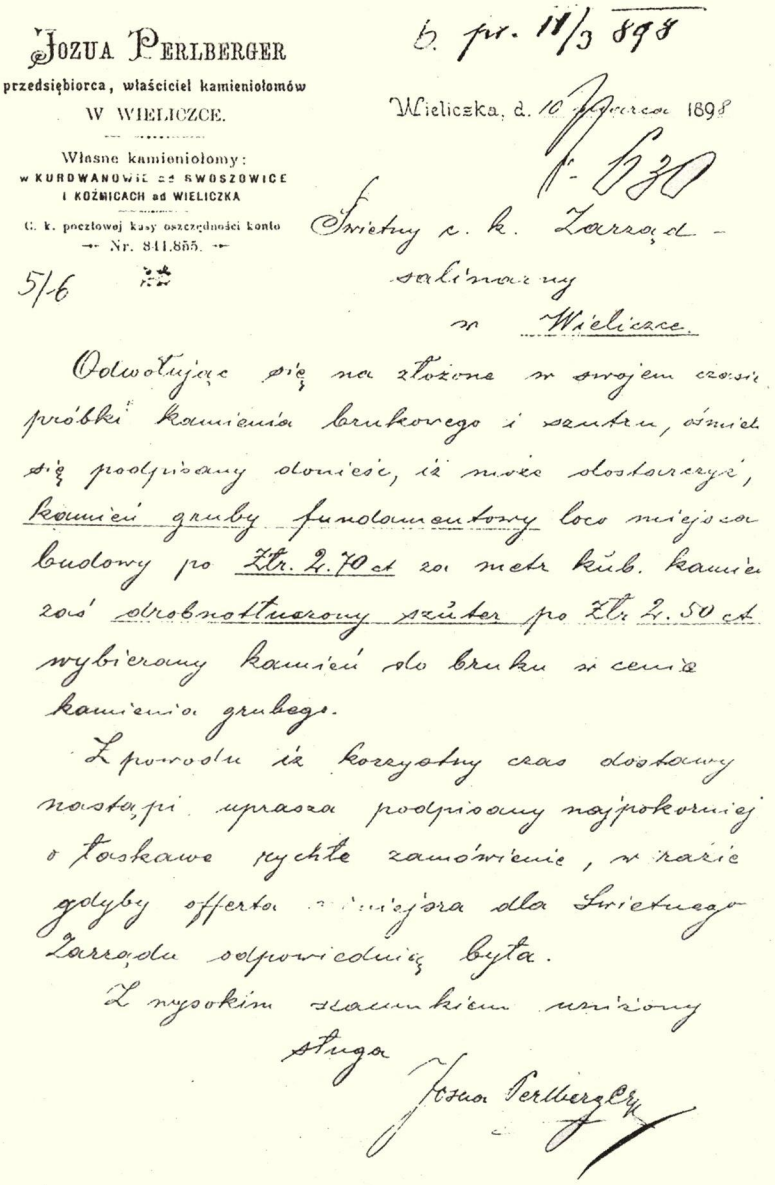
Wybuch II wojny światowej wszystko zniszczył. Zniknęła żydowska Wieliczka, zginęli jej mieszkańcy. Wstrząsające dzieje gehenny i zagłady wielickich Żydów to już jednak temat na inną opowieść...

Anna Jakimyszyn (ur. 1979) – adiunkt w Katedrze Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk judaista, lektor i tłumacz z języka jidysz. Autorka monografii *Żydzi krakowscy w dobie Rzeczypospolitej Krakowskiej. Status prawny. Przeobrażenia gminy. System edukacyjny* oraz wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych. Zainteresowania naukowe koncentruje na dziejach polskich gmin żydowskich, w szczególności historii gminy krakowskiej. Członek Komisji Historii i Kultury Żydów Polskiej Akademii Umiejętności, Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa oraz Polskiego Towarzystwa Studiów Jidyszystycznych.

[238] *Józefa Czecha Kalendarz Krakowski*, rok 1908, s. 203; rok 1910, s. 219; rok 1911, s. 229; rok 1913, s. 203.

[239] *Ibidem*, rok 1913, s. 203.

[240] *Ibidem*, rok 1910, s. 219.



JOZUA PERLBERGER
przedsiębiorca, właściciel kamieniołomów
W WIELICZCE.

Własne kamieniołomy:
w KURDWANOWIE od SWOSZOWICE
i KOŹMICACH od WIELICZKA

C. k. pocztowej kasy oszczędności konto
Nr. 841.855.

5/6

b. pr. 11/3 898

Wieliczka, d. 10 Marca 1898

L. 630

Świetny c. k. Zarząd
salinarny
w Wieliczce

Odwołując się na złożone w swojem czasie próbki kamienia brukowego i szutru, ośmiela się podpisany donieść, iż może dostarczyć kamień gruby fundamentowy loco miejsca budowy po Złr. 2.70 ct za metr kub. kamień zaś drobnotłuczony szuter po Złr. 2.50 ct wybierany kamień do bruku w cenie kamienia grubego.

Z powodu iż korzystny czas dostawy nastąpi uprasza podpisany najpokorniej o łaskawe rychłe zamówienie, w razie gdyby oferta niniejsza dla Świetnego Zarządu odpowiednią była.

Z wysokim szacunkiem uniżony
sługa
Jozua Perlberger

Korespondencja Jozuego Perlbergera, właściciela kamieniołomu w Wieliczce, z zarządem kopalni soli z 10 marca 1898 roku: *Odwołując się na złożone w swojem czasie próbki kamienia brukowego i szutru, ośmiela się podpisany donieść, iż może dostarczyć kamień gruby fundamentowy loco miejsca budowy po zł 2.70 ct za metr kubiczny kamienia, zaś drobnotłuczony szuter po zł 2.50 ct, wybierany kamień do bruku w cenie kamienia grubego. Z powodu iż korzystny czas dostawy nastąpi, uprasza podpisany najpokorniej o łaskawe rychłe zamówienie, w razie gdyby oferta niniejsza dla Świetnego Zarządu odpowiednią była. Z wysokim szacunkiem uniżony sługa Jozua Perlberger*

WIELICZKA W KSIĘDZE ADRESOWEJ POLSKI 1929

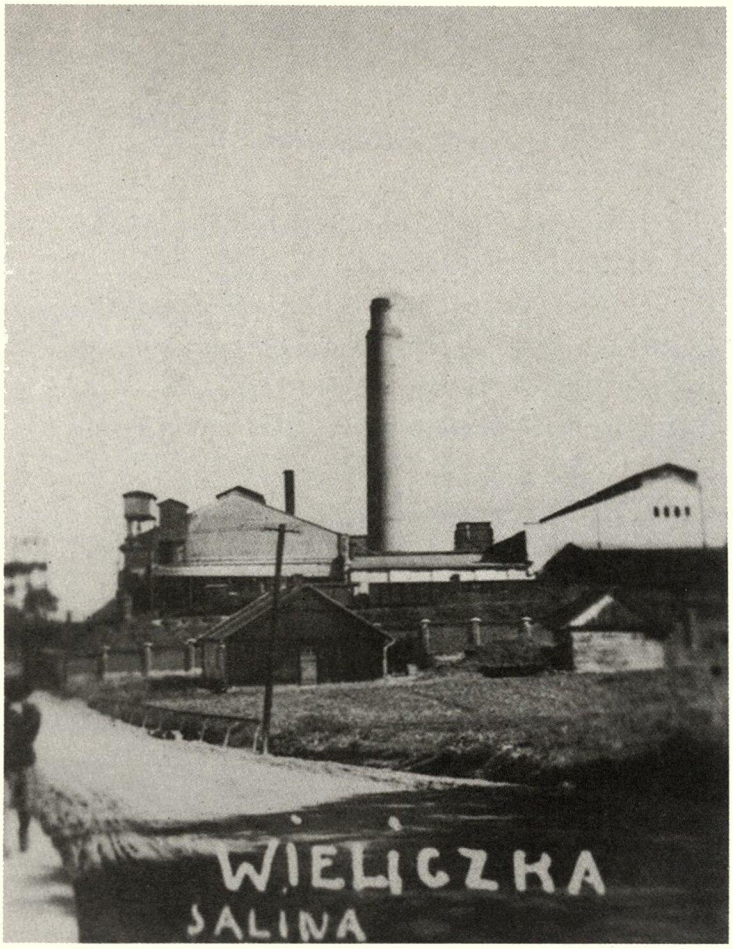
Miasto pow. 227 m. n. p. morza, siedziba Sądu Powiatowego, Sądu Okręgowego Kraków, 7834 mieszkańców, linia kolejowa Kraków – Wieliczka, władze i urzędy państwowe i samorządowe: Starostwo, Komenda Powiatowa Policji Państwowej, Urząd Skarbowy Podatków i Opłat Skarbowych, Kasa Skarbowa, Zarząd Salinarny, Inspektorat Szkolny, Magistrat, Wydział Powiatowy, kościoły i szkoły: 2 kat., klasztor oo. reformatów, Gimnazjum Realne, Gimnazjum Żeńskie, Seminarium Nauczycielskie. Instytucje: Powiatowa Kasa Chorych, Dom Ubogich, związki i stowarzyszenia: Stow. Kupców Okr., Towarzystwo Rolnicze, Koło Zw. Ziemian, Zw. Pow. Kółek Rolniczych, Towarzystwo Sadowo-Ogrodnicze, Zw. Sztygarów, Zw. Urzędników Państw. Żup Solnych, oddział Zw. Zaw. Robotników Przem. Spożyw., Cech Ogólny. Targi co tydzień w czwartki. Jarmarki ogólne co dwa tygodnie w poniedziałki. Słynne kopalnie soli, największe w Polsce. Fabr. słomianek, młyny.

Starosta: Władysław Olszewski
Burmistrz: Fr. Aywas
Rzeźnia miejska, dyrektor: Herman Hirsch
Elektrownia miejsca, zarządca: J. Golczyk

Pełna nazwa dokumentu: *Księga adresowa Polski (wraz z W. M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*, Warszawa 1929.

Straż ogniowa ochotn. Komendant: Jan Sendur
Lekarze: Dygdoń dr, Molkner Wł. dr (wen.), Stroka Rom. dr (gin.), Tune Sim. dr, Wojtaszek dr, Baraniecki R. dr
Lekarze dentyści: Weinberger, Krauze
Lekarze weterynarii: Herman Hirsch, Ramer Alfr.
Adwokaci: Bierczyński Tad. dr, Friedberg G. dr, Horowitz Maur. dr, Łuszczkiewicz Mich. dr, Pachoński Tad. dr, Timberg dr
Notariusze: Braun Kar
Agentury: Hirsch A.
Akuszerki: Barnaś J., Colosetti St., Weinert T., Załęska M., Dębowska A., Lawiczer S., Pawlik W., Stryszowska M., Taborska K.
Apteki: Miczyńskiego Z. Sukc., Pelz J.
Banki: Bank Ludowy sp. z n.o.
Blacharze: Bernstein S., Kornhauser I., Kornhauser L.
Bławaty: Aberbach F., Armer L., Bruch P., Danzig S., Ebersman S., Goldstein J., Kamer S. i Dembitzer A., Mandel J., Schneider Ch., Schörmau F., Schusterman J.
Budowlane materiały: Goldman H., Plattner P. i Ska
Cegielnie: Cegielnia Parowa Miejska, Friedman E.
Cement: Wimmer M.
Cukiernicze wyroby: Raber M.
Delikatesy: Engel E., Feiwebs P.
Drogerie: Stehlik Z., Jabłońska Wł.
Drukarnie: Litwiński J., Perlroth A.
Drzewo: Frenkel B., Friedman H., Löffelholz Ch., Plattner P.
Ekspedycyjne biura: Mydlarczyk M.
Elektrotechniczne przedsięb.: Jasiński P.
Elektrownie: Elektrownia Miejska
Farby: Goldstein E., Wimmer M.
Fotograficzne zakł.: Gargul Wł., Karaś J.
Fryzjerzy: Grünbaum F., Grzebielucha J., Herbst Sz., Weinberger A.
Galanteria: Brenner B., Fallek L., Goldsmidt B., Horowitz R., Koss A., Laulicht J., Mazurkiewicz A., Melzer N., Orbach R., Rakower L., Unger, Wachsmann F., Albińska M., Neiger K. i Baruch Sz.
Geometrzy: Cepak T., Krzanowski Wł., Górak, Witkowski Wł.
Hotele: Weissblum N.
Instalacyjne zakłady: Elektrownia Miejska
Introligatorzy: Baron M., Feigenbaum M.
Kafle – fabr.: Dunikowski L.
Kasy pożyczkowo-oszczędnościowe: Kasa Oszczędn.
Kinematografy: Związek Legjonistów.
Kolonialne artykuły: Eisen R., Klinghofer M., Korn D., Ozga J., Panzer N., Perlberger S., Sapiński T., Schinagel A.,
Kominiarze: Rybowicz
Kooperatywy: Składnica Kółek Rolniczych, „Socha" Sp. z o.o.
Kosmetyczne wyroby: Leserkiewicz R.
Kowale: Giza
Krawcy: Armer K., Durek M., Klapa W., Kot M.
Kuchenne naczynia: Kummer E., Rakower D.
Malarze: Wasserberger G., Wymiatałek J.
Mleczarnie: Wyporek W.
Młyny: Friedman E., Państwowa Żupa Solna „Wieliczka"
Murarze: Paciorkowski L.
Muzyczne instrumenty: Pacuro H.
Nabiał: Förster S.
Obuwie: Manne P.
Ogrodnicze zakłady: Kwerko M., „Piast"
Okucia do łóżek – fabr.: Kornhauser Leon, Serafińska 106

Owoce: Jordan A., Zacna M.
Papierowe wyroby: Gold M., Rynek Główny 12
Pasza: Waldmann M.
Piekarnia: Bochenek P., Händler P., Machaczka W., Wiązownicki F.
Piśmienne materiały: Gold A., Königsberger M., Scharf
Piwo: Mehl S., Wolf E.
Pogrzebowe przeds.: Fryt Fr., Gamoń K.
Restauracje: Hampal J., Jarosz W., Kordula W., Krzemień F., Malinowski K., Palmowska R., Reich L.
Rolnicze artykuły: Licht E., „Socha" Sp. z o.o.
Różne towary: Abrachamowicz I., Anker E., Buchsbaum H., Dembizer S., Ebersman E., Fass Ch., Fisch R., Gamoń A., Gleitman F., Gross N., Jarzębiński E., Januszkiewicz S., Klinghofer M., Kornhauser Z., Kółko Rolnicze, Lasatowicz B., Lauzarer F., Leitner J., Löffelholz D., Müller L., Piechociński W., Pierowski F., Polec W., Reicher Ch., Rosenberg L., Rusecki W., Sapinski T., Stiel J., Uterbuch F., Walkman J., Wimer G., Wimer R., Wolf Ch., Zimmer, Kampel R.
Rzeźnicy: Bąbała K., Bąbała S., Bittmar F., Broniowski K., Gasiński B., Gasiński Kasp., Geminder J., Grossman S., Grubecki B., Grubecki S., Kraus M., Kraus S., Okulski A., Ścigalski J., Zimmerspitz Ch.
Samochodowa komunikacja: Krzemień F.
Siodlarze: Łapo W.
Skóry: Blicher H., Flachs W., Joachimsman R., Perlberger M., Pistol W.
Słomianki do opakowania – fabr.: Pierwsza Kraj. Fabryka Słomianek do opak. flaszek
Sól: Dominitz S. i Szczęsnowicz S., Związek Inżynierów Żup Solnych
Spożywcze artykuły: Spira Ch., Wimmer A.
Stolarze: Sikora F.
Szewcy: Colosetti S., Gazek J., Kraus J., Strzelecki K., Szymski J.
Szkło i porcelana: Kummer E., Rakower D., Wiśnicki B.
Ślusarze: Flak J., Lasotowicz A. Sukc.
Tartaki: Friedman E. H.
Techniczne artykuły: Schenker J., Wimmer S.
Tytoniowe wyroby: Dietze I., Dobrzańska M., Korpak A., Rychel A., Zellner J., Zw. Inw. Woj.
Ubezpieczeniowe biura: „Florjanka", Polska Dyr. Ubez. Wzaj., „Wisła"
Ubrania gotowe: Manre J., Schusterman J.
Węgiel: Hirsch Adolf i S-ka, Pinier M., Zellner J., „Socha" Sp. z o.o.
Wódki: Atterman J., Einhorn J., Eisen M., Goldberger A., Goldlust E., Goldman H., Königsberger Ch., Liebersbach A., Müller E., Müller P., Müngelgrün M., Palmowska R., Seidenfrau D., Seidenfrau J., Weinberger C., Węgielnik S., Wimmer M., Zollman A.
Wydawnictwa: „Przewodnik Adresowy Ogrodnictwa i Działów Pokrewnych"
Wyszynk trunków: Grzegorczyk A.
Zboże: Atterman I., Licht M.
Zegarmistrze: Schusterman H., Sobel J.
Zgrzebła – fabr.: Kornhauser Leon, Serafińska 106
Żelazne wyr.: Lax I.
Żelazo: Kornhauser L., Spira A.
Żupy solne: Państwowa Żupa Solna „Wieliczka"



Zabudowania wielickiej kopalni soli,
lata trzydzieste XX wieku

WIELICZKA, SOLNE MIASTO

Mosze Yahrblum

SPOŁECZNOŚĆ ŻYDOWSKA W WIELICZCE

Społeczność żydowska w Polsce liczy sobie mniej więcej tyle lat, co polskie państwo. Żydzi zamieszkiwali Polskę już w X wieku. Przeżywali swoje wzloty i upadki, czasy równego traktowania i okrutnych prześladowań, odegrali natomiast kluczową rolę w tworzeniu krajowej gospodarki, zwłaszcza w rozwoju handlu. Byli przeważnie witani z otwartymi ramionami przez polskich władców, którzy realistycznie postrzegali ich jako przydatny składnik społeczeństwa. Wpływowa klasa wyższa nie myślała jednak w taki sposób; nienawidziła ona Żydów i robiła wszystko, co było w jej mocy, aby podciąć im skrzydła. Na czele prześladowców stał kler z odwiecznym przekonaniem, że Żydzi ukrzyżowali Jezusa. Kolejnym przeciwnikiem była arystokracja, która nienawidziła Żydów, ignorując fakt, że łączyły ją z Żydami przynoszące korzyści relacje handlowe. Kolejną warstwą nastawioną nieprzyjaźnie z powodu konfliktu interesów byli mieszczanie. Bywało też tak, że wszystkie te grupy jednoczyły się przeciwko Żydom i inicjowały wydawanie złych i niesprawiedliwych rozporządzeń, rzucały oszczerstwa i zniewagi, działając tym samym przeciwko woli władcy, który zazwyczaj chronił

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 7–29. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

Żydów. Nie chcę tutaj mówić o prześladowaniach, które dotknęły Żydów.

W wyniku objęcia Wieliczki przywilejem *de non tolerandis Judaeis* to stare miasteczko (liczące sobie przeszło tysiąc[241] lat i posiadające kopalnię liczącą siedemset) stało się dla Żydów strefą zakazaną. Jednak czytelnik nie powinien odnieść wrażenia, że Żydzi w ogóle nie mogli postawić stopy w mieście. Z historii wiemy, że pośród polskich najemców, którzy dzierżawili kopalnię od króla Polski pomiędzy XIV a XVIII wiekiem, byli także Żydzi. Najbardziej znani z nich to: Lewko, mianowany żupnikiem przez króla Kazimierza Wielkiego w 1368 roku[242], Saul Wahl, który dzierżawił ją od Stefana Batorego w 1580 roku[243], i w końcu teść rabbiego Dow Bera Maiselsa, Zalman Borenstein z Krakowa. Borenstein razem z dwoma innymi Żydami z Warszawy – Berkiem Szmulewiczem (synem Samuela Zbitkowera) i jego szwagrem Samuelem Frenklem dzierżawili kopalnię. Na tej podstawie można wysnuć wniosek, że Żydzi od czasu do czasu przyjeżdżali do Wieliczki w interesach. Na stałe zaczęli się tu osiedlać dopiero w drugiej połowie XIX wieku.

WIELICZKA-KLASNO

Nie jest to rzadkie zjawisko spotkać dwa graniczące ze sobą miasta, które połączyły się, zachowując jednocześnie oryginalne nazwy. Wystarczy wspomnieć dwie pary sąsiadujących ze sobą (aczkolwiek rozdzielonych przez Wisłę) dużych miast w Polsce: Kraków-Podgórze, Warszawa-Praga. Ale dlaczego zapędzamy się tak daleko, podczas gdy najbliższym przykładem może być Tel Awiw-Jaffa w Izraelu? To ostatnie jest liczącym kilka tysięcy lat miastem portowym z czasów Salomona, które zostało wchłonięte przez swoje siostrzane miasto Tel Awiw – większe z dwojga, które niedawno obchodziło swoją siedemdziesiątą rocznicę[244]. Wspomniane wcześniej Wieliczka i Klasno podzieliły ten sam los: drugie z nich, starsze o kilkaset lat[245], zostało wchłonięte przez żydowską gminę w Wieliczce, założoną dopiero około 1870 roku.

---

[241] Nie jest pewne, od którego momentu Mosze Yahrblum liczy tysiąc lat. Co prawda pierwsze ślady warzelnictwa (i osadnictwa) w tym rejonie pochodzą z IX–XI wieku (zob. K. Pająk, *Stare miasto…*, *op. cit.*, s. 7; A. Jodłowski, *Początki osadnictwa na terenie Wieliczki*, [w:] *Wieliczka: dzieje…*, *op. cit.*, s. 50), bogate ślady osadnictwa w kotlinie wielickiej zachowały się dopiero z młodszej fazy wczesnego średniowiecza (poł. X wieku do końca XIII) (*ibidem*, s. 50–51), jednak miasto założono na terenach ulokowanej przy żupie solnej osady Wielka Sól, spalonej w najazdach tatarskich kilka dziesięcioleci wcześniej, dopiero w 1290 roku (K. Pająk, *Stare miasto…*, *op. cit.*, s. 15, 17).

[242] Lewko był żupnikiem w Wieliczce i Bochni. F. Zacny, *Żydzi w dziejach…*, *op. cit.*, s. 105.

[243] *Encyclopaedia Judaica*, *op. cit.*, t. XX, s. 597.

[244] Tj. w 1979 roku.

[245] Trudno jednoznacznie wyznaczyć datę założenia osady w Klaśnie. Jeśli uznawać początki żydowskiego osadnictwa wokół Wieliczki, wynikające z zakazu osiedlania się w mieście, także za początki samego Klasna, wówczas można rzeczywiście mówić o ośrodku starszym o kilka stuleci. Natomiast J. Piotrowicz i B. Krasnowolski w monografii wsi Siercza piszą, że znani ze wspierania żydowskiego osadnictwa Lubomirscy osadzali tu pierwszych Żydów już w wieku XVII, w pobliżu szybu Kunegunda, ale „jak zdaje się wynikać z planu Wieliczki, opracowanego w 1742 przez I. F. Mülendorfa, osada żydowska na Klaśnie jeszcze wówczas nie istniała. Wniosek ten może być jednak zawodny, gdyż

Podczas gdy przybliżona data początku żydowskiego osadnictwa w Wieliczce jest znana, zagadką pozostaje wiek osady na Klaśnie. W rozwikłanie tego problemu włożono sporo wysiłku. Z reguły wiek osadnictwa na danym terenie jest możliwy do ustalenia na kilka sposobów:

– poprzez znalezienie nazwisk (wywiedzenie linii) rabinów, którzy przewodzili danej wspólnocie,

– poprzez prześledzenie malowideł ściennych i pozostałości sztuki sakralnej w synagodze,

– na podstawie dowodów zebranych od najstarszych osadników, poprzez prześledzenie dat na nagrobkach na lokalnym cmentarzu.

Naziści zniszczyli naszą wspólnotę. Ich okrucieństwo nie znało granic, zbezcześcili groby, wyrywając płyty nagrobne i przeznaczając je do budowy chodników. Oto historia naszego ziomka M. Szinagla, który wyemigrował do Belgii przed wojną, a obecnie mieszka w Kalifornii. Przybył do Wieliczki z krótką wizytą w 1947 roku. Po przyjeździe do miasta urzędnik gminny pokazał mu pomnik, który przyozdabiał rynek przed magistratem, a który postawiono, aby uczcić jakąś rosyjską osobistość. Urzędnik wyjawił mu, że cenny kamień pozyskano z żydowskiego cmentarza z nagrobka I. Laxa[246].

Niemcy zamienili wspaniałą synagogę w magazyn. Tak więc ze wszystkich wymienionych wcześniej sposobów ustalenia daty osadnictwa pozostał tylko jeden: odnalezienie danych o linii rabinów. Korespondencja z rabinami w Izraelu nie przyniosła żadnych rezultatów. Natomiast udało nam się nawiązać kontakt z Meirem Vanderem, bibliotekarzem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, który przekazał informację, że pierwszym rabbim na Klaśnie, około połowy XIX wieku, był pan Leichtal. Po nim tę funkcję objął rabbi Jecheskiel Szraga Frenkel, autor *Słów Ezechiela*[247]. Na pierwszej stronie książki znajdujemy adnotację, że był rabbim nie tylko Klasna, ale Klasna-Wieliczki (Klasno pisane wielką literą, po nim Wieliczka – małą). Było to spowodowane faktem, że Wieliczka była stosunkowo młoda, a Klasno – starsze. Autor *Słów Ezechiela* zmarł w 1885 roku. Zastąpił go jego zięć Samuel Szmelke Frenkel, który pełnił tę funkcję do około 1930 roku[248]. Po jego śmierci jego obowiązki przejął syn, Pinkas Lejb. Błogosławionej pamięci Pinkas Lejb po wcześniejszych okrutnych torturach został zamordowany przez nazistów w noc poprzedzającą święto Jom Kippur[249]. Wciąż jednak pozostaje wątpliwość, czy wspólnota żydowska w Klaśnie wzięła swój początek w połowie XIX wieku i czy faktycznie rabbi Leichtal był pierwszym rabinem.

Po intensywnych poszukiwaniach z pomocą naszego ziomka pana A. Friedmana[250] dotarliśmy do

plan ten jest szczegółowy odnośnie do centrum miasta, a pogranicze z Sierczą przedstawia nader schematycznie. Kolejne plany [...] pochodzą z ok. 1778 i 1785 i rejestrują najstarszą zabudowę osady wraz z bożnicą. Jak wynika z powyższych przesłanek, osada na Klaśnie powstała najpóźniej bezpośrednio po I rozbiorze" (J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 163–164).

246 Izraela Laxa.

247 Autor łączy tu dwie osoby: Chaskiela Szaję Frenkla, rabina z dynastii Frenklów, oraz Jecheskiela Szragę z Sieniawy (1815–1899), wywodzącego się z rodziny Halbersztamów, autora *Diwrej Jechezkel* (*Słów Ezechiela*) – zbioru listów i komentarzy do Tory.

248 Do 1933 roku (zob. A. Jakimyszyn, *Żydzi wieliccy w latach 1900–1939*, s. 61, także przyp. 107 tamże).

249 Zob. teksty poświęcone śmierci rabina Frenkla, s. 339–345.

250 Arie Friedmana. Historia rodziny Friedmanów została przedstawiona na s. 165–179.

instytutu YIVO[251] w Nowym Jorku, gdzie udało nam się znaleźć *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*; w czwartym tomie, który ukazał się w Warszawie w 1883 roku, pod hasłem „Klasno" napisano:

> *[...] miasteczko, a raczej osobna gmina izraelicka, licząca 558 mieszkańców, leżąca w południowej stronie Wieliczki, przy drodze do Dziekanowic, ma kilka dużych kamienic zamożnych izraelitów, trudniących się hurtowym handlem. Mieszkańcy wyłącznie wyznania mojżeszowego trudnią się handlem. Odrębność Klasna od Wieliczki pochodzi z czasów, kiedy żydom w tem mieście nie było dozwolonem się osiedlać. R. 1880 spłonęły tu 22 domy*[252].

Z tego fragmentu dowiadujemy się, ilu żydowskich mieszkańców liczyło Klasno, a także, że osiągnęli oni dobry status ekonomiczny. Mimo to wciąż nie znamy wieku tej społeczności.

Podczas dalszych poszukiwań udało nam się odnaleźć dodatkowe materiały, według których to Klasno było ważnym skupiskiem ludności żydowskiej w XVIII wieku. We wspomnianym wyżej *Słowniku geograficznym* na stronie 320 znajdujemy informację, że wspólnota klaśnieńska zbudowała szpital dla ubogich w 1780 roku[253]. Z tomu siódmego książki historycznej Dubnowa *Divre Yemei 'Am 'Olam*[254] dowiadujemy się o wydaniu patentu tolerancyjnego przez Józefa II, cesarza Austrii, w którym obiecał on galicyjskim Żydom przyznanie praw pod warunkiem, że otworzą dla żydowskich dzieci niemieckie szkoły. I rzeczywiście takie szkoły zostały w miastach Galicji założone. Na ich czele stanął Naftali Herz Homberg, naśladowca i przyjaciel Mendelssohna, czym sprawił, że Mendelssohn, który wtedy jeszcze żył (zmarł w 1786 roku), miał nieprzyjemności[255].

Historyk Majer Bałaban w książce *Historia Żydów w Krakowie i na Kazimierzu 1304–1868* na stronie 540 włącza Klasno do grupy miast, w których otwarto niemieckie szkoły pod koniec XVIII wieku. Wniosek jest oczywisty: Klasno było kilkusetletnim miasteczkiem, z synagogą o wspaniałym wnętrzu, ufortyfikowaną z zewnątrz, zbudowaną z dużym architektonicznym smakiem i w taki sposób, że mogła służyć jako schronienie dla wspólnoty w ciężkich czasach.

LUDNOŚĆ

Pozornie nasza gmina nie różniła się niczym od innych gmin w Galicji, gdzie panował podobny styl życia.

Jednak wygląda na to, że życie Żydów w naszym mieście było bardziej rozwinięte z powodu bliskości Krakowa, największego miasta zachodniej Galicji. Wciąż pamiętam dwa pierwsze dziesięciolecia tego wieku, kiedy to wycieczka do Krakowa (w sumie

---

251 YIVO Institute for Jewish Research – od 1940 z siedzibą w Nowym Jorku, powstały w 1925 w Wilnie jako Żydowski Instytut Naukowy.

252 *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego...*, *op. cit.*, t. IV, s. 119.

253 *Ibidem*, t. XIII, Warszawa 1893, s. 320.

254 Tytuł oryginalny: S. Dubnow, *Weltgeschichte des Jüdischen Volkes*, Berlin 1925–1929. Wydanie hebrajskie: S. Dubnow, *Divre Yemei 'Am 'Olam*, przeł. B. Krupnik, Tel Awiw 1923–1940, s. 219–221.

255 Mojżesz Mendelssohn – żydowski i niemiecki filozof, pisarz, językoznawca, prekursor i przedstawiciel haskali.

czternaście kilometrów) była dla wielu z nas dużym wydarzeniem. Z jakiego powodu? Bez wątpienia odległość do stacji kolejowej, która znajdowała się poza miastem, sprawiała, że był to spory spacer na piechotę. Pociąg do Krakowa odchodził dwa lub trzy razy dziennie. Nagle dotarła do nas dobra wiadomość: powolna kolejka zostanie zastąpiona pociągiem z silnikiem Diesla, który będzie dojeżdżał do centrum miasta co godzinę. Zmiana była znaczna. Komunikacja pomiędzy miasteczkiem i metropolią stała się znacznie szybsza – wielu wieliczan często spędzało czas w Krakowie – dla rozrywki lub w interesach. To wywarło znaczący wpływ na nasze życie. W przeciwieństwie do innych miasteczek, które żyły swoimi sprawami, mieszkańcy Wieliczki przywozili z miasta do domu podmuch świeżego powietrza, który powoli zmieniał ich życie. Aby lepiej zilustrować zmianę, która zaszła, przytoczę historię, jaka mi się przydarzyła. Któregoś wieczoru ja – student jesziwy, ubrany w tradycyjny strój, z pejsami i śladami brody – znalazłem wymówkę, aby pojechać do Krakowa. I – co za nieszczęście dla oczu, które to zobaczyły – pierwszy raz w życiu przekroczyłem próg teatru jidysz, aby obejrzeć przedstawienie, coś, co dla wielu wieliczan było niemożliwe do osiągnięcia. Opisanie, jaki wpływ wywarła na mnie sztuka i artystyczna oprawa teatralna, wydaje się niemożliwe.

Wieliczka była pięknym miastem. Zanurzona w morzu zieleni ogrodów i kwiatów, z bulwarami i pięknym parkiem. Polacy mieszkali wokół dzielnic żydowskich, a także na przedmieściach w willach otoczonych ogrodami. Każda polska dzielnica miała swoją nazwę. Ludność żydowska zamieszkiwała głównie centrum miasta, wokół Dolnego i Górnego Rynku. Pomiędzy tymi dwoma placami znajdował się chrześcijański kościół, a łącząca je ulica nosiła nazwę ul. Kościelnej. Tu i ówdzie Żydzi zamieszkiwali także peryferie miasta.

WARUNKI ŻYCIA

Większość Żydów ze społeczności wielickiej była biedna i ciężko było im związać koniec z końcem. Całe rodziny mieszkały w nędznych lokalach, cierpiąc z braku najpotrzebniejszych urządzeń sanitarnych. Zwykle mieszkania te składały się z pokoju i kuchni. Ten jeden pokój służył do wielu celów: jako jadalnia, sypialnia, pokój gościnny i do nauki. Natomiast w lokalach, w których nie było kuchni – także jako kuchnia. Takie jednopokojowe mieszkanie mieściło często duże rodziny, dwoje lub troje dzieci spało w jednym łóżku. Moja siedmioosobowa rodzina także zajmowała jednopokojowe mieszkanie z kuchnią. Ci najbiedniejsi bytowali na strychach albo w piwnicach, cierpieli na astmę i gruźlicę z powodu wilgoci ścian. Do tych mieszkań nie została jeszcze doprowadzona woda i trzeba ją było przynosić w wiadrach z publicznych ujęć na ulicy, aby wypełnić beczki, które znajdowały się w domu. Gorąca woda do zmywania? Kąpiel? Coś takiego nie istniało. Do tego celu była przeznaczona, jedna dla całej gminy żydowskiej, łaźnia publiczna. Wciąż pamiętam, jak kładziono rury, którymi miała popłynąć woda do mieszkań. I pamiętam także wielką zmianę, która zaszła wraz z dociągnięciem do naszych mieszkań elektryczności. Do tego czasu jedyne oświetlenie zarówno w domu, jak i na zewnątrz stanowiły świece i lampy naftowe. Bez wątpienia wielu czytelników pamięta jeszcze swoją drogę z chederu z lampą w ręce. Żarówka miała jedyne dwadzieścia pięć watów, ale mimo tego oślepiała nas, przywołując na myśl świa-



Rynek Dolny podczas dnia targowego. Po prawej stronie widoczny budynek magistratu, lata trzydzieste XX wieku

tło siedmiu legendarnych dni. Warto podkreślić, że pomimo szybkiego rozwoju elektryczności świeca wciąż miała swoje miejsce w każdym tak żydowskim, jak i gojskim domu, a także w miejscach publicznych oraz jako znak świętości i obrzędowości w miejscach kultu religijnego.

Przedstawiciele klasy średniej i wyższej zamieszkiwali bardziej przestronne mieszkania, co najmniej dwupokojowe, wyposażone w urządzenia sanitarne. Jednak co do warunków sanitarnych w ich najczulszym punkcie – wszystkie klasy odczuwały brak toalet przylegających do ich mieszkań, może z wyjątkiem bardzo bogatych, którzy mieszkali w willach i nowoczesnych domach. Większość udogodnień sanitarnych mieściła się bowiem na podwórkach i była w opłakanym stanie, co wystawiało na niebezpieczeństwo zdrowie ludności.

EKONOMIA

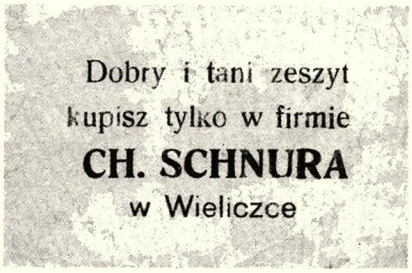
Handel detaliczny stanowił podstawowe źródło dochodu wielickich Żydów. Prawie wszystkie sklepy przy Rynku Górnym, na przedmieściach i w centrum znajdowały się w rękach żydowskich. Większość klientów była związana z przemysłem górniczym. Na co dzień handel odbywał się zwyczajnym, spokojnym trybem, ale w dwa dni targowe (poniedziałek i czwartek), kiedy chłopi przywozili na sprzedaż wozy wyładowane drobiem, warzywami, owocami i ziarnem, by w zamian nabyć towary, które były dostępne w mieście: cukier, produkty spożywcze, ubrania, dobra przemysłowe itp., był tumult i hałas.

W żydowskiej społeczności nie brakowało rzemieślników różnych zawodów: szewców, krawców, kowali, piekarzy, blacharzy itp. Byli tam także spra-

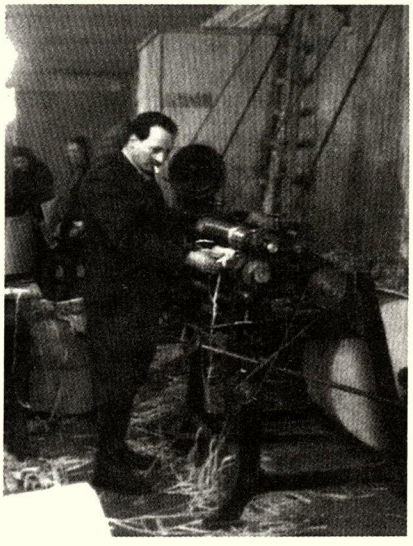
wujący funkcje religijne (rabini, szocheci, nauczyciele i inni). Zdarzało się też, że zdolny i pomysłowy rzemieślnik, aby poprawić swój status materialny, angażował się czasem także do innych prac. Pamiętam jednego blacharza Lephelholtza, który umiał grać na skrzypcach, więc był zapraszany, aby grywać na weselach, ku uciesze młodej pary.

W Wieliczce było zaledwie kilku wykwalifikowanych specjalistów. W mieście funkcjonowały też przemysł ciężki i lekki, a także były w nim reprezentowane wszystkie gałęzie gospodarki. Chociaż niewielu mieszkańców miało godziwy przychód. Większość obywateli Wieliczki z powodu kłopotów finansowych żyła w ubóstwie.

Amerykańscy socjologowie ustanowili jakiś czas temu regułę, według której można podzielić klasę średnią na osiem kategorii, od najniższej do najwyższej. Zgodnie z nią moglibyśmy zakwalifikować większość wielickich Żydów jako klasę średnią, ale najniższego szczebla.



Ulotka reklamowa wyrobów papierniczych firmy Chaima Schnura, lata trzydzieste XX wieku



Wnętrze fabryki papieru należącej do rodziny Schnurów mieszczącej się przy ulicy Limanowskiego w Wieliczce, lata trzydzieste XX wieku

SPOŁECZNOŚĆ ŻYDOWSKA I JEJ STOSUNEK DO TRADYCJI

Wieliccy Żydzi reprezentowali wszystkie rodzaje poglądów: począwszy od ultraortodoksyjnych, zbliżonych do ruchu Neturei Karta (Żydzi odrzucający syjonizm i protestujący przeciwko istnieniu państwa Palestyna), skończywszy na zasymilowanych Żydach. Z początku dominowała ortodoksja; mieściła w sobie wszystkie ruchy religijne: chasydyzm, misnagdyzm (przeciwieństwo chasydyzmu) oraz innych bogobojnych Żydów. Ortodoksja była wyraźnie dostrzegalna głównie dzięki zewnętrznym oznakom: brodzie i pejsom, owalnemu, aksamitnemu kapeluszowi z wąskim lub szerokim rondem i długiemu płaszczowi. W szabat ortodoksyjni Żydzi nosili długie, czarne suknie, przewiązane na biodrach jedwabnymi pasami.

Ale podmuch zachodniej cywilizacji od strony Wiednia, stolicy Austrii, służba wojskowa w armii austriackiej, kłopoty ekonomiczne i częste podróże pociągami w interesach, żeby nie wspomnieć presji wywieranej przez środowisko – wszystko to powoli, lecz nieodwracalnie podkopywało fundamenty tradycji, osłabiając podwaliny żydowskiego sposobu życia i zwyczaje. Toczyła się ukryta, lecz nieustająca walka



Żydzi na stacji kolejowej w Wieliczce, 1928 rok

pomiędzy tradycją i postępem. Rozwój klasy kupieckiej i wzrost liczby osób wykształconych wspomogły zmiany. Wielu Żydów przestało praktykować zwyczaje religijne. Większość z nich przywykła do noszenia zachodnich ubiorów, na modłę niemiecką. Ciągle mieli brody, ale były to brody dobrze przystrzyżone, a ich koszule ze sztywnymi białymi kołnierzykami zyskały krawaty w stylu oświeceniowym. Idąc do synagogi w szabat, zakładali jednak tradycyjne stroje, natomiast w dni robocze wielu z nich nosiło krótkie marynarki i niejeden był zdziwiony, widząc ich ubranych zupełnie „na Niemców".

Prawdą jest jednak, że zmiana w wizerunku zewnętrznym nie pociągała za sobą innych zmian: zewnętrzne przystosowanie się Żydów nie zmniejszyło nienawiści gojów do nich – ani do tych ortodoksyjnych, ani do tych postępowych.

Asymilacja Żydów przeniknęła także do języka. Jidysz ustąpił na rzecz polskiego, jako języka macierzystego. Język niemiecki, który dominował wśród postępowców w XIX wieku, stracił na wartości po odrodzeniu się państwa polskiego. Starsi intelektualiści wciąż zaczytywali się w Goethem, Schillerze i Heinem; czerpali przyjemność z lektury felietonów Herzla w „Die Neue Freie Presse" oraz recenzji Maxa Nordaua. Hebrajscy intelektualiści czytali „Hamitzpeh" wydawany przez Menahema Lazara albo lwowski „Tagblatt" w jidysz, publikowany przez Moszego Kleinmana (późniejszego wydawcę „Haolam"). Syjoniści czytywali „Die Welt", wydawany przez dr. Herzla po niemiecku, na równi z wersją hebrajską. U zasymilowanych Żydów język polski zastąpił język niemiecki. Syjoniści także dali się ponieść tej fali i zaczęli wydawać w Galicji w latach dwudziestych XX wieku dwie gazety w języku polskim: „Nowy Dziennik" w Krakowie i „Chwilę" we Lwowie.

Ogólnie jednak patrząc, nasza społeczność była naznaczona przez swoją religijność. Szabat i święta żydowskie zmieniały oblicze miasta. W takie dni nie pracowano, wszelkie transakcje handlowe ustawały wraz z zapaleniem świec w piątek i były wstrzymane aż do wzejścia gwiazd w sobotni wieczór. Nikt nie ośmielił się znieważyć publicznie szabatu.

Pomiędzy tymi dwiema skrajnościami – ortodoksyjnymi Żydami z jednej i zasymilowanymi z drugiej – znajdowała się masa prostych, wiernych tradycji i zwyczajom w różnym stopniu ludzi, którzy łączyli życie religijne i świeckie.

WYKSZTAŁCENIE

Jak wspomniano wcześniej, pęknięcia pojawiły się w masywie religijnym już na początku XX wieku. Chasydzi, misnagdim i prości ortodoksyjni Żydzi nadal stanowili większość. Ich codziennym językiem, w przeciwieństwie do ludności zasymilowanej, był ciągle jidysz. Jednak nawet najbardziej ortodoksyjni

posyłali swoje córki do państwowych szkół, gdzie ich codziennym językiem był polski, synowie natomiast otrzymywali wykształcenie w chederze lub jesziwie. Istniała także w naszej społeczności mniejszość, która posyłała synów do państwowych szkół w ciągu dnia, a popołudniami do chederu – niemniej jednak trwało to zaledwie do dziesiątego roku życia dzieci. Zarówno pierwsi z wymienionych, jak i ci ostatni nie kontynuowali edukacji, poza jednostkami, które bezcześciły święto szabatu.

Bycie nauczycielem w staromodnym znaczeniu było uznawane za wyuczoną profesję, pomimo że mełamed nie był specjalnie wykształcony do pełnienia swoich obowiązków. Zdarzało się, że był on pisarzem zdolnym nauczać i edukować, ale bywało, że nie nadawał się do nauczania, a nauczycielem zostawał dopiero wtedy, gdy poniósł porażkę, próbując wcześniej sił w innych dziedzinach. Pierwszy z wymienionych widział owoce swojej pracy i uczniów, którzy czerpali z jego nauk, drugi natomiast zawodził swoich podopiecznych.

Mełamedowie żyli w biedzie. Nauczanie przeważnie odbywało się w jednopokojowym mieszkaniu nauczyciela. Jego żona gotowała posiłki i wychowywała dzieci w tym samym pokoju, podczas gdy zaledwie cienkie przepierzenie dzieliło ją od klasy chederu.

Życie żydowskiego dziecka w miasteczku było bardzo ciężkie, zarówno w zimie, jak i latem. Podczas mroźnych zim dzieci wlokły się w śniegu lub głębokim błocie o ósmej wieczorem do domu, oświetlając sobie drogę słabym światłem latarenek. Także latem dzieci uczyły się do ósmej wieczorem, w duszącym upale, z potem spływającym strumieniami, tęskniąc za swobodą, zielenią i świeżym powietrzem. Bywały także oczywiście dobre dni, głównie wakacyjne, ale było ich bardzo niewiele. Kary cielesne były uznawane za oczywistość przez rodziców rozumujących w myśl zasady: „Ten, kto oszczędza rózgi na swojego syna, ten go nienawidzi".

Nie było w naszym mieście szkoły żydowskiej łączącej religijne i świeckie nauczanie. Nie było także jesziwy dla absolwentów najwyższego stopnia chederu. Ci chłopcy przeważnie kontynuowali naukę w domu nauki[256] lub chasydzkim sztyblu, gdzie studiowali indywidualnie lub w małych grupach prawa mówione[257], dopóki nie przekroczyli określonej granicy wieku. Dorośli także studiowali w bejt hamidraszu, ojcowie i synowie, wieczorami, po godzinach pracy. Dobrze pamiętam noc 15 aw[258], kiedy dni zaczęły się robić krótsze, a noce dłuższe. Tego wieczoru, po modlitwie, wszystkie miejsca w domu nauki były zajęte, a głosy uczniów brzmiały tradycyjnym: „Ho, ho, ammar Ravah, ho tanu rabbanan". Głosy studiujących Torę zmieszały się z głosami powtarzających prawa mówione, przedostając się przez ściany Domu Nauki. Zbierali się tam także prości ludzie, uczący się Miszny lub *Ejn Jaakow*[259] pod okiem uczonego.

Okres międzywojenny był bardzo burzliwy, życie społeczne wrzało. Powstawały nowe partie i życie polityczne stało się bardziej ekscytujące. Doszło nawet do tego, że członkowie jednej rodziny reprezentowali kil-

---

256 Hebr. *bejt hamidrasz* – rodzaj synagogi, w której spełniano religijny obowiązek studiowania Talmudu. Łączył funkcję miejsca studiów i odprawiania modłów. Każdy dom nauki posiadał własny księgozbiór.

257 Tora ustna, hebr. *Tora szebealpe*, rozwinięcia i komentarze przekazywane w ramach ustnej tradycji, spisane następnie w Misznie i Talmudzie. Nieodłączna część Tory pisanej.

258 W kalendarzu gregoriańskim aw odpowiada miesiącom letnim – lipcowi i sierpniowi.

259 Zbiór legend i kazań.

ka różnych opozycyjnych partii: ojciec był chasydem i członkiem Agudat Israel, najstarszy syn – syjonistą, kolejny – komunistą, a trzeci – członkiem Bundu[260].

Upolitycznione życie i zmiany, które za sobą pociągnęło, doprowadziły do prawdziwej rewolucji w nauczaniu. Powstały nowoczesne szkoły – tak świeckie (Tarbut), jak i religijne (Tachkemoni i Yavneh). Elementem łączącym oba typy był język wykładowy – hebrajski, oraz fakt, że były przesiąknięte duchem syjonizmu. Także ortodoksyjny Agudat Israel przeszedł fundamentalną zmianę. Chedery przeniesiono z prywatnych mieszkań nauczycieli do przestronnego budynku, gdzie utrzymywano porządek i higienę. Nie było już mełameda, tylko nauczyciel – pobożny i oddany swojemu zajęciu, wykształcony zarówno w naukach świeckich, jak i religijnych, posiadający umiejętności pedagogiczne. Program nauczania zastosowano również w edukacji dziewcząt. W szkołach żeńskich Bejt Jaakow[261] nauczano także: Pięcioksięgu, języka hebrajskiego i literatury etycznej – celem tych szkół było wychowanie posłusznych i ułożonych córek.

ZWYCZAJE I STYL ŻYCIA

W wigilię szabatu, po południu, z tego, co pamiętam, zamierało świeckie życie. Szkoły, sklepy, warsztaty, instytucje przemysłowe zamykano jeszcze za dnia. Żydzi przygotowywali się na nadejście Królowej Szabat. Wokół panowała świąteczna atmosfera, można było odnieść wrażenie, że w mieście nie było żadnych gojów. Do szabatu przygotowywali się nawet niereligijni Żydzi. O zachodzie słońca Żydzi wraz z dziećmi, umytymi i ubranymi w stroje szabatowe, szli do synagogi. Światło świec w miedzianych świecznikach przedzierało się przez szyby, kiedy matki wymawiały ponad świecami słowa błogosławieństwa. Synagoga była wysprzątana, jasno oświetlona i przepełniona świąteczną atmosferą. Kiedy zapadał zmierzch, kantor zaczynał nucić *Lekhu N'ranenah*[262], pieśń pochwalną dla Królowej Szabat, po czym przyłączali się do niego wszyscy zebrani.

Śpiewy i modlitwy można było usłyszeć na zewnątrz. Nabożeństwo dobiegało końca wraz z dochodzącym zewsząd błogosławieństwem *Szabat szalom*. Wierni rozchodzili się do swoich domów w towarzystwie wędrownych żebraków, których zwykle zapraszano jako szabatowych gości. Po pobłogosławieniu domostwa głowa rodziny zaczynała *Szalom alejchem* („Pokój z tobą"), a kończyła *Eszet Chajil*, pochwalnym hymnem dla żony. Po błogosławieństwie nad winem nadchodziła pora na szabatową kolację, przy wtórze pieśni, w przyjemnej rodzinnej atmosferze.

W sobotni poranek, kiedy ojciec wracał z kąpieli w rytualnej łaźni, siadał przy stole i czytał fragmenty przeznaczone na dany tydzień (dwa razy po hebrajsku, raz po aramejsku), potem była poranna modlitwa w synagodze, czytanie Tory i kolejna modlitwa (musaf)[263]. Po powrocie z synagogi ojciec odmawiał błogosławieństwo nad kielichem wina[264] i rozpoczynał

260 Szersze omówienie działalności Agudat Israel znajduje się na s. 133.

261 Bejt Jaakow (hebr. Dom Jakuba) – powstała w 1918 roku ortodoksyjna organizacja kobieca związana z Agudat Israel.

262 Ps 96(95), zaczynający się słowami „Śpiewajcie Panu pieśń nową".

263 Musaf (hebr. dodatek) – dodatkowa modlitwa odmawiana w święta, zazwyczaj zaraz po szachrit, składają się na nią modlitwy: *Szmone esre* i jej powtórzenie oraz hymny: *Alejnu leszabeach* i kadisz.

264 Tzw. kidusz.

się drugi obiad szabatowy. Ten obiad miał specjalne znaczenie z powodu gorącego i smacznego czulentu[265], który był serwowany prosto z piekarnika, gdzie został umieszczony w przeddzień szabatu.

Po drzemce nadchodziła godzina studiowania *Pirke Awot*[266] w lecie, *Barchi Nafszi*[267] w zimie lub recytowania psalmów. Istniał zwyczaj, że ojcowie, krewni lub nawet obcy przepytywali dzieci z fragmentów tygodnia, a one jako nagrodę otrzymywały szabatowe owoce i słodycze. Ja także byłem wielokrotnie przepytywany przez uczonego z naszego miasteczka, Kalmana Seidenfraua.

Powoli dzień zbliżał się ku końcowi. Nadchodził czas wieczornych modlitw, a z nim pora trzeciego posiłku, tym razem lekkiego[268]. Przy zapadającym zmroku znowu udaliśmy się do synagogi, gdzie wszyscy śpiewaliśmy ostatnie już pieśni szabatowe. Wkrótce miało się ściemnić zupełnie i smutek miał spowić znowu wszystko dookoła. Dzieciom było przykro, że musiały nazajutrz wracać do chederu, ojcowie martwili się nadchodzącymi dniami handlowymi i tym, jak utrzymać rodziny. Wkrótce Królowa Szabat miała się zbierać do drogi, a książę zamienić się w psa (w myśl klasycznego opisu Mendla Mojchra Sforima w opowieści *Pies i Książę*). Na niebie rozbłyskały pierwsze gwiazdy. Ojciec odmawiał błogosławieństwo nad kielichem napełnionym winem, wąchał przyprawy, jakby chciał osłodzić sobie trochę tę gorzką pigułkę. Ciężko było kończyć szabat, zwlekano z tym jeszcze trochę, przystępując do kolejnego posiłku (czwartego) – meławe malka[269] przy wtórze śpiewu i tańca. Wszyscy jednak pocieszali się myślą, że wkrótce znów nadejdzie szabat z całym swoim splendorem.

PRZESĄDY

Strach przed diabłami i złymi duchami, głównie po zmierzchu, zaklinanie przed złym wzrokiem i kalectwem, wiara, że zmarli opuszczają swoje groby o północy i owinięci w tałesy zmierzają do synagogi, wiara w istnienie dybuka[270] – to jest przekona-

[265] Czulent – popularna potrawa przeznaczona na szabat, zwykle spożywana w sobotę. Ze względu na obowiązujący w szabat zakaz pracy (w tym także rozpalania ognia) musiała być przechowywana w ciepłym miejscu od piątkowego popołudnia do soboty. Z czasem czulent zaczął oznaczać rodzaj zapiekanki z mięsem, której składniki dobierano w zależności od lokalnej tradycji i zamożności danej rodziny.

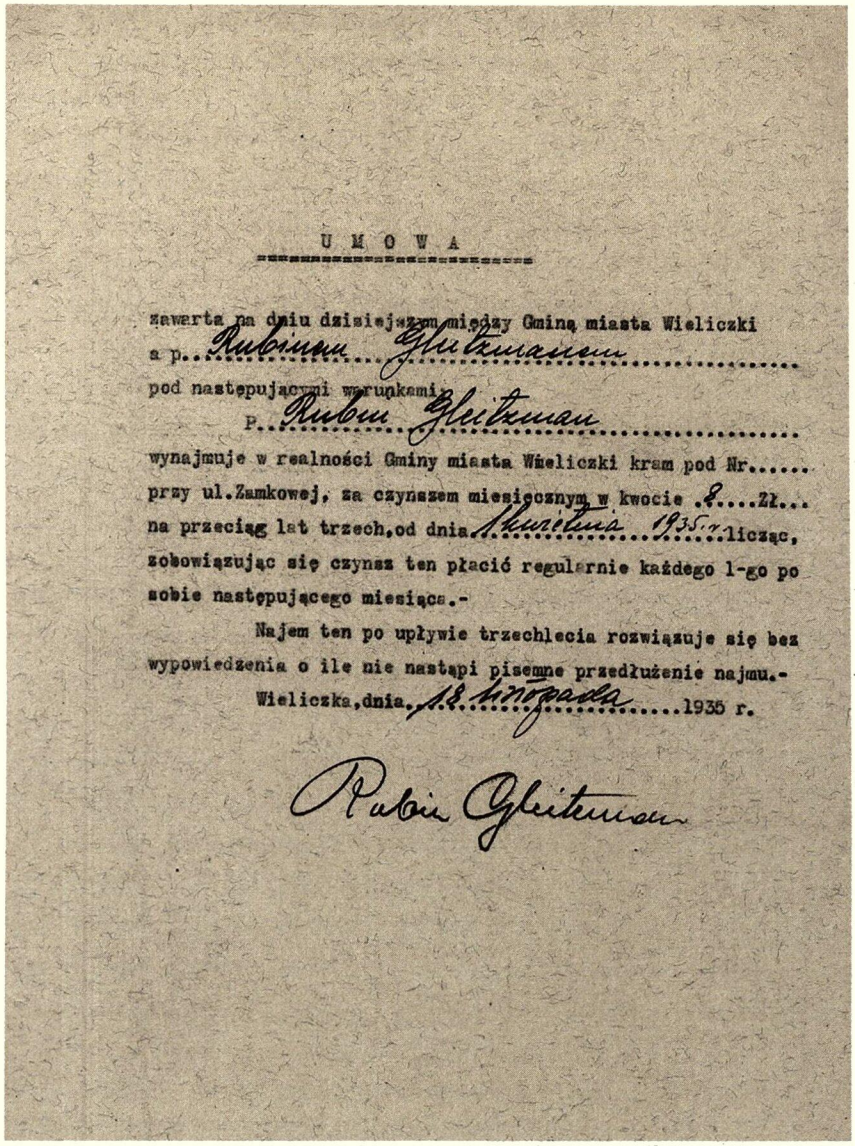
[266] *Pirke Awot* (dosł. Rozdziały Ojców, przen. Nauki Ojców) – jeden z najważniejszych traktatów Talmudu, prezentuje dorobek etyczny myśli żydowskiej od ok. 300 r. p.n.e. do 200 r. n.e.

[267] Modlitwa w oparciu o dwa pierwsze wersy Ps 104(103), rozpoczynającego się słowami „Błogosław, duszo moja, Pana!".

[268] Dla uhonorowania święta, jakim był szabat, oprócz dwóch posiłków – jednego w piątek wieczorem, drugiego w sobotnie przedpołudnie – późnym popołudniem w sobotę spożywano trzeci, szalosz seudot, który miał charakter lekkiej przekąski.

[269] Meławe malka (hebr. odprowadzający Królową) – nazwa dodatkowego, czwartego posiłku, spożywanego ze śpiewem, a nawet z tańcami w sobotę wieczorem, po hawdali, już po zakończeniu szabatu (po zachodzie słońca).

[270] Zjawisko zawładnięcia ciałem żywej osoby przez złego ducha. Zgodnie z żydowskimi wierzeniami wejścia w obce ciało dokonują dusze, które ze względu na ogrom popełnionych grzechów próbują oczyścić się w ciałach żyjących ludzi. Obca dusza opanowuje część osobowości człowieka, przemawia jego ustami, powodując cierpienie i chorobę.



U M O W A

zawarta na dniu dzisiejszym między Gminą miasta Wieliczki
a p. Rubinem Gleitzmanem
pod następującymi warunkami.
P. Rubin Gleitzman
wynajmuje w realności Gminy miasta Wieliczki kram pod Nr.....
przy ul. Zamkowej, za czynszem miesięcznym w kwocie 8....zł...
na przeciąg lat trzech, od dnia 1 kwietnia 1935 r. licząc,
zobowiązując się czynsz ten płacić regularnie każdego 1-go po
sobie następującego miesiąca.-
Najem ten po upływie trzechlecia rozwiązuje się bez
wypowiedzenia o ile nie nastąpi pisemne przedłużenie najmu.-
Wieliczka, dnia 18 listopada 1935 r.

Rubin Gleitzman

Umowa zawarta na dniu dzisiejszym między Gminą miasta Wieliczki a p. Rubinem Gleitzmanem pod następującymi warunkami. P. Rubin Gleitzman wynajmuje w realności Gminy miasta Wieliczki kram pod nr. przy ul. Zamkowej, za czynszem miesięcznym w kwocie 8 zł, na przeciąg lat trzech, od dnia 1 kwietnia 1935 licząc, zobowiązuje się czynsz ten płacić regularnie każdego pierwszego po sobie następującego miesiąca. Najem ten po upływie trzechlecia rozwiązuje się bez wypowiedzenia o ile nie nastąpi pisemne przedłużenie najmu. Wieliczka, dnia 18 listopada 1935 r.

nie, że dusza może wstąpić w obce ciało i tylko sąd rabiniczny może tę duszę z niego wyciągnąć dzięki swojej władzy, dmąc w barani róg – wszystkie te przekonania były zaledwie częścią przesądów, które poniekąd ukształtowały naszą społeczność. Jeśli chodzi o mnie, to do dzisiaj nie wyzwoliłem się zupełnie od tego typu przekonań. Pamiętam, że kiedy byłem w Wiedniu w 1937 roku, zdecydowałem się odwiedzić grób Herzla (zanim jego szczątki przewieziono do Izraela). Tak się stało, że dotarłem na miejsce dopiero przed wieczorem. Nikogo nie było w pobliżu, zorientowałem się, że tylko ja błądzę pomiędzy grobami, szukając tego właściwego. Poczułem się wtedy bardzo niepewnie. Musiałem dodawać sobie otuchy, żeby kontynuować poszukiwania. Po odnalezieniu grobu Herzla opuściłem cmentarz najszybciej, jak to było możliwe...

Częścią kolorytu naszego miasteczka był wariat Israel Mosze. Twierdził, że cały świat zwariował, tylko niewielu ludzi pozostało przy zdrowych zmysłach, i jako że nie sposób było pozamykać szaleńców ze względu na ich liczbę, w odosobnieniu znaleźli się tylko ci przy zdrowych zmysłach.

Israel Mosze powiedział kiedyś do Bericha Mandla, niewidomego na jedno oko woźnego w domu nauki Dorszej Tow: „Wiedz, że Twoja śmierć będzie łatwa". „Dlaczego tak myślisz?" – zapytał woźny. „Bo będziesz musiał zamknąć tylko jedno oko" – brzmiała odpowiedź.

OSOBOWOŚCI

Nasza gmina była bardzo mała (około dwieście pięćdziesiąt, trzysta rodzin) i bardzo młoda (około siedemdziesiąt lat). Nic dziwnego więc, że nie wyszli z niej żadni znani ludzie. Jednak znalazły się w niej osoby, które zajmowały wysokie stanowiska w urzędach gminy i miasta. Było tutaj także kilku syjonistów pracujących na rzecz gminy. Najważniejsi z nich to dwie, trzy osoby, których sława wykroczyła poza granice miasteczka: Eliasz Cwi Friedman[271], Adolf Hirsch i Naftali Gross. Pierwszy doszedł do wszystkiego sam. Był ogólnie znany jako przemysłowiec i filantrop. Drugi był przywódcą syjonistycznym, jednak nieznanym szerzej poza obrębem miasta. Trzeci był znakomicie wykształcony – w mieście było wielu uczonych ludzi, jednakże on przewyższał ich wszystkich. Oddał całe swoje życie studiowaniu Tory i starał się szerzyć wiedzę. Zgromadził wokół siebie grupy, które nauczał Tory ustnej i *Ejn Jaakow*.

Mój szkic, poświęcony pamięci ofiar z naszego miasta, których jedynym grzechem było to, że urodzili się Żydami, dobiegł końca. Po naszej gminie nie pozostał żaden ślad, cmentarz został kompletnie zdewastowany, a jego nagrobki wyrwane. Pozwólmy temu skromnemu wspomnieniu posłużyć jako dowód pamięci o naszej gminie.

---

[271] Eliasz Hirsz Friedman, właściciel sieci tartaków we wschodniej i zachodniej Galicji. Historię jego i jego rodziny przedstawia J. Kutrzeba, *Rodzina Friedmanów w Wieliczce*, s. 165–179.



Budynek Dużej Synagogi mieszczącej się przy ul. Wiejskiej,
1961 rok

KLASNO, OJCZYZNA MOJA

Tsipora Kleinman

POCZĄTKI KLASNA

Nie mamy historycznych źródeł wspominających dzieje Klasna. Tylko wspaniała bożnica, wybudowana w stylu renesansowym, wskazuje, że Klasno to stare osiedle. Koncentrowało się wokół jednej głównej ulicy, od której odchodziły przecznice w różnych kierunkach. Ulica ta była wybudowana przez radę rejonu Wieliczki, żeby połączyć Wieliczkę z Klasnem i okolicznymi wsiami. Jedną z największych przyległych wsi była Siercza, której ziemie należały do szlachcica. Ten pewnego dnia postanowił sprzedać część tych ziem klasztorowi, a część Żydom. W ten sposób rozrosło się żydowskie osiedle w Klaśnie.

Żydzi skupili się w Klaśnie, gdyż znajdowało się względnie blisko kopalni soli w Wieliczce, a w samym mieście przez wiele pokoleń nie wolno było Żydom mieszkać. Pod koniec XIX wieku, gdy już zezwolono Żydom na handel w Wieliczce, miejscem ich pobytu stało się Klasno. Gdy w Klaśnie zrobiło się ciasno, pomału zaczęli się też osiedlać w Wieliczce.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 31–36. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.

Wniosek na mocy K.K.B. pow. Kraków

POWSZECHNY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Dział Przymusowych Ubezpieczeń budowli od ognia

Inspektor powiatowy w KRAKOW

DOWÓD UBEZPIECZENIOWY Nr 67

Powiat KRAKOW gmina Wieliczka

miejscowość Wieliczka ulica Włosnicowska-2

WŁAŚCICIEL BUDOWLI:
(Nazwisko i imię)

Sobłowa Róża
Löffelholz Samuel

Budowle, wymienione w niniejszym dowodzie, są ubezpieczone w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych od dnia 20 grud. 19 41 r. na sumę zł 35 530-

słownie zł trzydzieści pięć tysięcy pięćset trzydzieści -

ze składką roczną zł 27 gr 62

Poprzedni dowód ubezpieczeniowy na imię [illegible] j.w. , z datą ważności od dnia 1.1. 19 41 r., na podstawie którego obowiązywała w rejestrze poborowym bież. roku suma ubezp. zł 22050 ze składką roczną zł 17 gr 59, unieważnia się.

Należności, które wejdą do rejestru poborowego 1942 r.

Składka roczna . 1/2 zł 28 gr 43

Składka uzupełniająca za czas
od dn. 20.XII 19 41 r.
do dn. 31.XII 19 41 r. zł 0 gr 90

Zwrot składki za
— miesięcy 19 — r. zł — gr —

M. P.

Dnia 21. I. 1942 19 — r.

pieczęć i podpis wystawiającego dowód ubezpieczeniowy

Opłata stemplowa pobrana zostanie w wysokości, jaka obowiązywać będzie ustawowo w czasie uiszczania niniejszej należności.

Podana w niniejszym dowodzie ubezpieczeniowym suma ubezpieczenia oraz składka może się zmienić w razie dokonania przez P. Z. U. W. ogólnej obniżki lub podwyżki sum oszacowania, stosownie do przepisów art. 27, ust. 4 rozp. Prezydenta Rzplitej z dnia 27. V. 1927 r.

O ogólnych obniżkach lub podwyżkach szacunków P. Z. U. W. ogłasza za pomocą publicznych obwieszczeń. Zmieniona suma ubezpieczenia oraz składka wykazana jest corocznie w kwitach na opłaconą składkę.

Wzór Nr PO 1 200 000

«« s. 100:
Dokument ubezpieczenia od pożaru budynku znajdującego się przy ul. Klaśnieńskiej 2, należącego do Róży, Soblowej i Samuela Loffelholza, 1942 rok

HISTORIA KAHAŁU

Do kahału Klasna należały też kahały Dobczyc i Gdowa i w Klaśnie prowadzono ich gminne sprawy. Na jego czele stał Jakub Ebersman, aktywny i mądry Żyd, który też troszczył się o środki egzystencji mieszkańców. Nawiązał stosunki z odpowiedzialnymi za kopalnię soli i dostał od nich sól w dzierżawę. Podzielił bryły soli między mieszkańców Klasna, a ci mełli sól żarnami, i tę drobno zmieloną sól sprzedawał w innych miastach i krajach. Jego syn, Abraham, kontynuował tę działalność. Kiedyś przybył do Klasna mądry Żyd, Chaim Szymon Perlberger. Kupił od szlachcica działkę w południowej części Klasna i wybudował fabrykę spirytusu. Postawił wspaniały budynek, przywiózł specjalne zbiorniki i wykopał dwa baseny. W tym celu sprowadził do Klasna inżyniera Kronfelda, delikatnego, wykształconego i dobrodusznego Żyda, który mieszkał w mieście ze swoją rodziną.

Wyroby przedsiębiorstwa były bardzo dobre i znajdowały rynek zbytu w innych krajach. Dzięki ich powodzeniu w 1928 roku do Klasna przybył z Holandii nie-Żyd o nazwisku Bols[272]. Kupił dużą działkę na głównej ulicy Klasna i na niej założył rafinerię spirytusu, gdzie przerabiał go na likier. W tym celu wzniesiono duży budynek, przywieziono nowoczesny sprzęt, a kierownikiem mianowano jednego z Żydów z Klasna. Ten swojego zadania nie zdołał wykonać i dlatego fabryka przestała funkcjonować, a jej budynek stał się domem mieszkalnym.

W tym czasie przybył do Klasna z Dobczyc inny Żyd o imieniu Israel Perlberger (ojciec Rubina Perlbergera). Kupił on wielką działkę w północnej części Klasna i założył na wzgórzu małą garbarnię[273]. Jego pilność i fachowość przyczyniły się do rozwoju tego zakładu. Na początku zatrudniał tam tylko członków swojej rodziny, ale w krótkim czasie fabryka się rozwinęła, pojawiły się nowe budynki, baseny i maszyny, a liczba zatrudnionych wzrosła do około osiemdziesięciu osób, Żydów i Polaków[274]. Wyroby garbarni były przeważnie eksportowane do Niemiec i na Słowację, a także kupowane przez polskie wojsko.

Jego [Israela – przyp. tłum.] syn Rubin stał na czele kahału Klasna, a jego wnuk Mosze Josef spełniał tę samą funkcję i ponadto założył pierwszy bank w Wieliczce.

Inny bogaty Żyd, który kupił działkę we wschodniej części Klasna (obok bożnicy), to Tisch. Założył on fabrykę piwa, która po krótkim czasie przeszła w ręce Zeliga Wolfa, który był agentem fabryki piwa Żywiec; Tisch założył też fabrykę sody. W jego zakładach byli zatrudnieni członkowie jego rodziny, a także polscy i żydowscy pracownicy.

Garbarnia[275] oraz fabryki piwa i sody funkcjonowały do wybuchu II wojny światowej.

[272] Nazwisko to nie zostało odnalezione w dokumentach archiwalnych dotyczących Klasna.

[273] Garbarnię założył na początku XX wieku Rubin Perlberger. Zob. A. Jakimyszyn, *Żydzi wieliccy...* (s. 50) oraz wspomnienia Izaaka Birnbauma (s. 145).

[274] Anna Jakimyszyn, opierając się na danych podanych przez Izaaka Birnbauma, pisze o stu osobach. Zob. s. 50.

[275] Garbarnia funkcjonowała także podczas wojny, a w 1946 roku została upaństwowiona. Zob. s. 533.

Oprócz właścicieli fabryk było w Klaśnie wielu rzemieślników: krawców, szewców i innych zajmujących się handlem. Do 1920 roku Klasno zasiedlali wyłącznie Żydzi. Kahał był bardzo dobrze zorganizowany. Istniała też w Klaśnie rada, poczta obsługująca całą okolicę, był też żydowski policjant o nazwisku Dawidowicz, który oficjalnie należał do policji miasta Wieliczki.

Ostatnim prezesem rady był Herstahl. Klasno zostało przyłączone do rady rejonu Wieliczki w latach 1934–1935 i wtedy rada w Klaśnie przestała istnieć.

Prezes kahału Klasna Abraham Ebersman wybrał Szmelke Frenkla na rabina Klasna. Rabin Frenkel służył mieszkańcom przez około pięćdziesiąt lat. Został wysłany do Klasna przez rabina z Sieniawy jeszcze jako młodzieniec, a razem z nim przyjechał nauczyciel z Berdiowa (Słowacja) zwany Menachem – Mendel Waldman. Po latach Waldman został mianowany sędzią Klasna i pełnił swoją funkcję aż do śmierci. Nowym sędzią obrano Iro Mesa. W 1895 roku rabin Szmelke Frenkel przeniósł swoją funkcję do Wieliczki, wówczas kahał Klasna jako taki przestał istnieć i połączył się z kahałem Wieliczki[276].

Wśród mieszkańców Klasna byli bogacze i biedacy. Społeczeństwo wiedziało, kto jest ubogi, i dyskretnie ich wspierało; dobre słowo, wzajemna pomoc, wspaniałe święta i ranne modlitwy w bożnicy to nić łącząca wszystkich.

Klasno otaczały wioski, między innymi Taszyce, Gorzków i Janowice, w których byli żydowscy rolnicy, po kilka rodzin w każdej wiosce. Z tęsknotą czekali ci drodzy Żydzi na okres świąt. W dzień poprzedzający Nowy Rok i w Sądny Dzień przybywali do Klasna, żeby się w nim gościć i brać udział w świątecznych modlitwach wraz z wszystkimi Żydami z Klasna. Byli przyjmowani z radością i miłością i wszyscy się cieszyli, że im umożliwiają spełnienie tego przykazania [gościnności – przyp. tłum.]. Pomimo że na Klaśnie było dość ciasno, zawsze się znalazło miejsce dla kogoś, kto chciałby tam zamieszkać.

BOŻNICA

Bożnica klaśnieńska została wybudowana w stylu bożnic sprzed setek lat: wspaniała wewnątrz i fortyfikowana z zewnątrz. W roku 1880[277], gdy wybuchł na Klaśnie pożar, została uszkodzona. Drugi wstrząs zdarzył się w 1914 roku na początku I wojny światowej. Armia rosyjska zbliżała się do naszego miasta i dotarłszy do „białego posągu" koło Wieliczki, została odepchnięta. Podczas wycofywania się Rosjanie wystrzelili w stronę Wieliczki kilka pocisków i jeden z nich trafił w ścianę bożnicy. Pożar i pocisk, a także upływ czasu sprawiły, że bożnica wymagała remontu.

Zabrał się do tego dobrego czynu prezes kahału Klasna i zaprosił do tego projektu artystę malarza

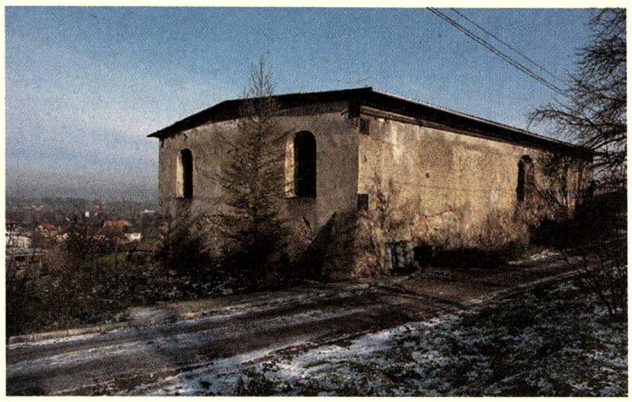
[276] Informacje podawane przez Tsiporę Kleinman różnią się od danych z dokumentów urzędowych, na których opiera się Anna Jakimyszyn. Zgodnie z nimi Szmelke Frenkel (Fränkel) początkowo pełnił funkcję zastępcy rabina w Klaśnie, by od 1894 roku stać się urzędującym rabinem, natomiast rabinem Wieliczki zaczęto go tytułować po uzyskaniu przez Polskę niepodległości. Podane przez Kleinman pięćdziesiąt lat posługi wydaje się zawyżone o kilka lat (Frenkel zaczął starania o podjęcie obowiązków rabinackich na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, zmarł natomiast w 1933).

[277] Zob. A. Jakimyszyn, *Żydzi wieliccy...*, przyp. 7.

Gabriela Wasserbergera. Ten prosty Żyd oddał się całą mocą, całym sercem tej świętej pracy i zdołał zrekonstruować wszystkie rysunki na ścianach i dobrać oryginalne kolory. Tematy tych rysunków były wzięte z Biblii, np. sześć dni stworzenia, Adam i Ewa w raju, chytrość węża, arka Noego, Mojżesz i płonący krzew, wyjście z Egiptu, dwanaście szczepów itd.

Nad wejściem do bożnicy były wyryte dwa lwy, a między nimi królewska korona – artystyczna robota. Przed bożnicą było wybrukowane podwórko. Z niego schodziło się po dwóch schodkach do szerokiego przedsionka, po prawej stronie był lawuar, a po lewej mała bożnica na dni powszednie. Z przedsionka schodziło się po dwóch schodkach do głównej sali bożnicy. Wznosiła się ona na wysokość dziesięciu, dwunastu metrów, a światło wnikało do niej przez wysokie okna, ozdobione kolorowymi witrażami. Na wschodniej ścianie głównej sali była święta arka, do której prowadziły cztery schodki. Po prawej stronie arki było podium przeznaczone do modlitwy dla chazana. W środku głównej sali było podwyższenie. Na suficie wisiało siedem miedzianych lamp, na każdej znajdowało się siedem świeczników. Na prawej ścianie głównej sali było wyjście prowadzące na zadbany trawnik. Było to miejsce odpoczynku dla modlących się, szczególnie w dni Nowego Roku i w Sądny Dzień, gdy przebywali w bożnicy wiele godzin[278].

Synagoga na Klaśnie była chlubą naszego miasta. Gdy w 1945 roku wróciłam z obozów do mojego ojczystego Klasna, znalazłam tę wspaniałą świątynię zbezczeszczoną – zrobiono z niej magazyn paszy.



Budynek dawnej bożnicy przy ul. Wiejskiej zwanej Dużą Synagogą, 2005 rok



Zdewastowane wnętrze dawnej Dużej Synagogi przy ul. Wiejskiej, 2005 rok

[278] Zob. *ibidem*, s. 64–65.

No. 7. **HAMAGID.** **שנת ארבע עשרה.**

המגיד

חדשות וקורות הימים.

יגיד ליעקב מהנעשה והנשמע בכל חלקי תבל בין כל יושבי חלד אשר ינעם ואשר ראוי לדעת לכל איש ישראלי לתועלתו ולתועלת השפה העבריה.

מאתי

אליעזר ליפמאן זילבערמאן.

והאמת והשלום אהבו. (זכריה ח׳).

ה'ה'ר'ל. ליק, ט"ז אדר ראשון **Lyck, den 16. Februar** **1870.**

הוכן העניגים.

על המדינית בו יאמר. פרייסען; נעלק. כשלין. עסטרייך; [illegible]

[illegible]

נוטים לאהבה לבריה הצפון וחפצים לחיות בשלום ובמישור עם פרייסען העומדת בראש ארצות הבריה, ען חפצים באחדות אשכנז כלה, וחצי העם והם יושבי הכפרים הנפתים לדברי הכהנים ובעלי

Fragment strony tytułowej tygodnika „Ha-Magid" 1870, 16 lutego (15 adar 5630), nr 7

Z PRASY HASKALI

„HA-MAGID"[279] 1865, 5 KWIETNIA (9 NISAN 5625), NR 14, S. 107

Tarnów

Szanowni Czytelnicy będą jeszcze pamiętać, że w wyniku pożaru w Wiśniczu 1500 Żydów pozostało bez środków do życia i wielu spośród nich wyniosło się na tułaczkę po kraju. Rzecz zdarzyła się w 1863 roku (zob. „Magid" 1863, nr 23, s. 226). Teraz, po dwóch latach, to samo czasopismo (A. I. Heiman) donosi z radością, że około dwustu rodzin rozbiło namio-

Artykuły prasowe pochodzą z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 21–31. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

[279] „Ha-Magid" (hebr. kaznodzieja) – pierwszy tygodnik w jęz. hebrajskim, wydawany w Ełku w latach 1856–1890. Pismo było przeznaczone głównie dla Żydów rosyjskich, ale ze względu na carski zakaz nie mogło być w Rosji drukowane. Jako umiarkowanie konserwatywne było poczytne w kręgach ortodoksyjnych. Z czasem tygodnik osiągnął popularność wśród Żydów innych krajów.

Haskala (hebr. edukacja, nauczanie, erudycja) – nurt w kulturze żydowskiej, rozwijający się w Europie od lat osiemdziesiątych XVIII wieku, powstały pod wpływem szerzenia się haseł oświeceniowych w krajach europejskich, jak również tradycji nurtu racjonalistycznego filozofii żydowskiej.

ty w mieście Bochnia, w pobliżu Wiśnicza. Miasto to jest znane i sławne za sprawą sprzedaży soli, z którego to powodu było zamknięte przed Żydami od czasów rządów polskich królów. Aktualnie rząd otworzył jego bramy, a oni osiedlili się tam zgodnie z własną wolą. Ktokolwiek był w stanie, zakupił pole z domem. Pośród nich znajdują się przedstawiciele różnych rzemiosł, jednak większość zajmuje się handlem.

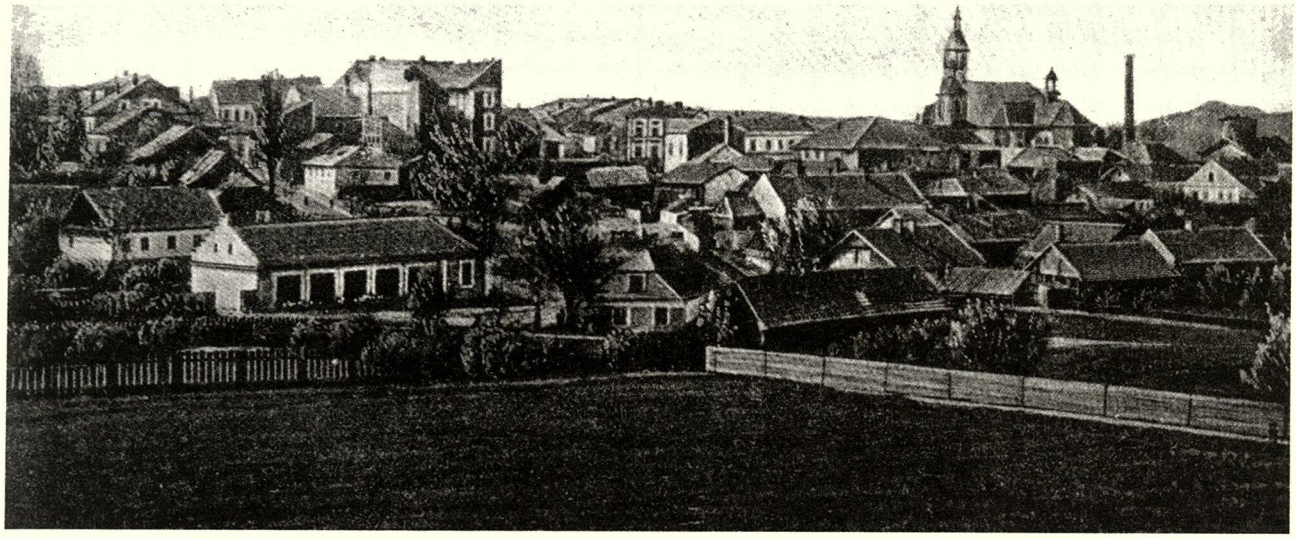
A. I. Heiman

„HA-MAGID" 1872, 11 CZERWCA (5 SIWAN 5632), NR 23, S. 270

Klasno – Wieliczka

W minioną środę u schyłku dnia chmury i ciemności pokryły niebo naszego małego miasta i rozeszła się informacja, że wielce wartościowy, szlachetny dobroczyńca i szanowany przez wszystkich człowiek, przywódca obywateli, naczelnik, nasz nauczyciel, rabin Cwi Ferlberger zmarł i odszedł na spoczynek. Z każdej strony dał się słyszeć lament i krzyk. Dzieci, mężczyźni i kobiety wołali gorzko z powodu niepowetowanej straty! Ach, niedola nasza wielka niczym morze, pociecha nasza zniknęła sprzed naszych oczu, gdyż wraz z tym człowiekiem w mieście naszym umarła dobroczynność, skończyła się sprawiedliwość. Wielkiej karty nie starczy, aby opowiedzieć chociaż część tych pochwał. Prawie w każdym mieście w Galicji jego imię zasługuje na pochwały, gdyż dom jego zawsze był szeroko otwarty. Gdy biedak stawał na jego progu, przyjmował go z wielką życzliwością, dawał mu po bożemu szczodrobliwą jałmużnę i życzliwymi słowami umacniał i dodawał otuchy strapionemu ubogiemu. Doznaniem sprawiedliwości było stać po prawicy człowieka, który gardził sukcesem, śpieszył pomóc, aby potrzebujący nie odszedł z pustymi rękami, nie skąpił nikomu i przychylał się do woli proszącego. Był wcieleniem pokory. Przy całej jego wielkości i bogactwie umiłował sobie obcowanie z biedakiem i udręczonym, kapiąc kroplami pociech na jego zdruzgotane serce. Cieszył się wielką przychylnością i uznaniem ze strony obywateli chrześcijan. Gdy spoczywał na łożu, odwiedził go wojewoda, szanowny pan Potaczek, i dyrektor kopalni soli (Bargreta). Ten pierwszy przybył także po zgonie błogosławionej pamięci nieboszczyka do jego domu, aby pocieszyć wdowę i sieroty. Dnia następnego z wyrazami żalu i słowami rozpaczy przybyli ważni i szanowani obywatele z Krakowa, a pośród nich Wielka Światłość, przenikliwy rabin, nasz nauczyciel Abraham Janaer. Zamknięto wszystkie sklepy i całe miasto od najmniejszego do największego zebrało się, aby oddać ostatnią cześć temu wielkiemu człowiekowi. Gdy ludność zgromadziła się przed synagogą, zaczął przemawiać nasz nauczyciel rabin Abraham Janaer (rabina Dimty nie było wtedy w domu), mówiąc rozdzierająco: „Wspaniałości Izraela, pustka po twojej śmierci!". Przy jego pierwszych słowach wszyscy wybuchli płaczem, który wzmagał się w miarę, jak uświadamiali sobie wartość nieobliczalnej straty, gdyż wraz z jego śmiercią zabrał wszystko, społeczeństwo utraciło coś chwalebnego i wspaniałego, chlubę jego dostojeństwa. Pośród szeregu innych jego sprawiedliwych czynów był i ten, że przekazał pięćset złotych na wsparcie Towarzystwa Studiów Toranicznych i czterysta złotych na Towarzystwo Ostatniej Posługi. Dożył sześćdziesięciu jeden lat, chorował od siedmiu miesięcy. Pozostawił po sobie błogosławieństwo dobroczynności i dotrwał do kresu swoich dni, niech jego dusza spocznie w źródle życia.

Pinkas Cimlam



Przedwojenna panorama Wieliczki

„HA-MAGID" 1877, 22 SIERPNIA (5 AW 5637), NR 33, S. 300

Kraków

Pośród miast dotkniętych przekleństwem ognia, których wołanie o pomoc pojawiło się na pierwszych stronach gazet żydowskich, pisano także o mieście Wieliczka, miejscu wydobycia soli, będącym własnością cesarską. Miasto to jest znane na świecie z powodu tego wielkiego błogosławieństwa. Minęło osiem dni od czasu, gdy do naszego miasta dotarł telegram, że w centrum Wieliczki wybuchł straszny pożar, który szybko rozprzestrzenił się w różnych częściach miasta. Towarzystwo Strażackie z naszego miasta zorientowało się w rozprzestrzenianiu się ognia i zrozumiało niezdolność strażaków z Wieliczki do jego ugaszenia. Oddziały strażackie pośpieszyły na miejsce wydarzenia, aby dopomóc w opanowaniu ognia i po ponaddziesięciogodzinnym zmaganiu się z żywiołem zdołały ugasić pożar. Spłonęło około czterdziestu domów stojących przy centralnej ulicy miasta. Gdy oglądałem Wieliczkę, moim oczom ukazał się straszny widok miasta, które Pan spustoszył w swoim gniewie. Gnieżdżące się liczne rodziny, ludzie opłakujący swoich bliskich i cały dobytek swojego życia. Szkody oszacowano na około pół miliona złotych. Rada Miejska Wieliczki sporządziła przedwczoraj pismo do magistratu naszego miasta z podziękowaniem dla naszego Towarzystwa Strażackiego za pomoc i ratunek okazane nieszczęsnej Wieliczce. Gdyby nie one, niechybnie spłonęłoby całe miasto. Mam silną nadzieję, że nasi żydowscy bracia z oddali, szczególnie z Galicji,

nie cofną swojej ręki przed wspomożeniem pogorzelców, okazaniem im wielkoduszności, a nieszczęście za sprawą Boga stanie się błogosławieństwem i obfitością.

Dawid Halewi Birnbojm

„HA-MAGID" 1880, 18 SIERPNIA (11 ELUL 5640), NR 33, S. 281

Głos wołającego o pomoc

Klasno

Do szlachetnych synów Izraela, uczonych w czynieniu w wierze dobra. Mężowie czyniący sprawiedliwość, sędziowie opowiadający się za prawdą i wielkoduszną pokorą, oto mamy tu swoje miejsce i nie jesteśmy rozproszeni po różnych krajach. Usłyszcie gorzki głos waszych braci lamentujących z powodu domostw waszych osad, które padły pastwą pożogi wraz z całym waszym majątkiem (za sprawą przewin wszystkich nas). Dzięki poczynionym ustaleniom wiemy już, że w niedzielę, niczym całkowita zagłada Sodomy i Gomory, w jednej chwili miasto spłonęło w strasznym pożarze ku naszemu wielkiemu zasmuceniu i utrapieniu naszej duszy. Ich kobiety i dzieci nadzy uciekali z domów niczym z łona matki i niczego nie zdołali uratować. Pozostały im tylko ich ciała, gdyż ogień uderzył nagle. Cały naród ubolewa nad ich duszami i wszyscy płaczą ze współczucia dla nich, mówiąc: Pochylmy się nad nimi i prześlijmy naszym braciom, synom Izraela, wsparcie i słowa współczucia, aby byli dla nas jak ocalona reszta. Ratujmy nasze kobiety i dzieci od głodu i pragnienia.

Oto teraz bracia nasi, synowie Izraela, bliscy i dalecy, szczodrobliwi i prawi, zwróćcie ku nim swoje serca, wspomóżcie radą i oddajcie sprawiedliwość zniszczonemu miastu, w którym nie ma dość chleba ani wody, gdzie nie ma gdzie się ukryć przed żarem słońca i żarem, który zniszczył domostwo Jakubowe. Żałujcie ich wraz z nami i spójrzcie na utrapienie waszych braci. Przysiądźcie, by pochylić się z pomocą pieniężną i żywnością. Ze względu na Imię Pana i jego dziedzictwo, zbierzmy dla nich ofiarę, wszyscy uczyńmy im dar, który będzie błogosławieństwem od Pana, zbawiającego swój lud. Nie ociągajcie się i pośpieszajcie z czynami. Czyż oczy wasze nie widzą, że wielce cierpimy, obnażeni i pozbawieni wszystkiego. Niech rychło nadejdzie wasza pomoc i niech śpieszy wasze miłosierdzie. Sam Miłosierny będzie strzegł was i waszych domów za sprawą tej dobroczynności na wieki. Czym prędzej przysyłajcie wyrazy waszej szczodrości i dobroci na hasło: „Koltos – Vorstand". Syn pana Hirsza Farlewargera w Klaśnie koło Wieliczki jest naczelnikiem i przywódcą w naszej okolicy i wybrał trzech ludzi, ludzi poważanych, aby podzielili pieniądze z datków zgodnie z ich wiedzą i rozeznaniem, pośród pogorzelców i ofiary.

Oto słowa mówiących w imię sprawiedliwości, wtorek, roku 5640, w Klaśnie.

Rabin Jecheskiel Szraga Frenkel, przewodniczący sądu wspomnianej wyżej społeczności, autor dzieła *Baruch taam chajim* (*Błogosławiony smak życia*) Szymon Falberger, Abraham Awersman, asesor

„HA-MAGID" 1898, 24 MARCA (1 NISAN 5658), NR 12, S. 94

Skandal w Wieliczce

Wieliczka, miejscowość położona w pobliżu Krakowa. Również w naszym mieście, w którym zawsze

panowała sprawiedliwość i pokój, w mieście, w którym zawsze Żydzi cieszyli się spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, nagle uderzyła złoczynna ręka bezimiennych osobników, tak że po raz pierwszy zawisło nad nami poczucie zagrożenia. Jak wiadomo, Żydzi poparli kandydaturę księdza Szpondera na posła sejmu austriackiego. Ten zaś, chcąc się przypochlebić, zapewnił, że zawsze będzie ich bronił i wypowiadał się na ich temat nad wyraz pozytywnie. Atoli biada! Gdy tylko Szponder wystąpił w wieńcu chwały jako poseł, nagle stali się dla niego zawadą i niczym nieszczęście z ręki Wszechmogącego przybył do nas w towarzystwie swojego kolegi Stawiłowskiego, znanego już od kilku miesięcy, i zebrawszy tłum, ciskali na Żydów obrzydliwości, wyzywając ich od złodziei i pijawek ssących na zgubę ich chrześcijańskich braci. O ile Stawiłowskiemu tylko rzadko udawało się zebrać zgromadzenia przeciwko Żydom, o tyle jego przyjaciel, Szponder, każdego dnia wygłaszał kazania w ich domu modlitwy i wczesnym rankiem rzucał z kazalnicy pośród lud nasiona nienawiści, mówiąc słowa niszczące, rozpalające ogień nienawiści i rywalizacji przeciwko Żydom. Jednakże ten nienawistnik nie ograniczył się wyłącznie do słów, lecz także rozdawał wszystkim przybyłym do kościoła paszkwilancką księgę, *Tajemnice Żydów*, pełną wstrętnych kłamstw o ludzie Izraela. W tym zaś nieszczęście, że jego słowa i czyny nie chybiły celu. Iskry nienawiści do ludzi, które tchnął w serce tłumu, rozpaliły się w cztery strony naszego miasta. Popędliwcy i lekkoduchy, wykonujący jego wolę, wciskali głupcom oszczerstwa i przekonali ważne osobistości, że Żydzi zamierzali podnieść rękę na księdza Szpondera, przebrali się, zamaskowali i będą czekać na jego przybycie z Krakowa po to, aby go ukamienować. Inni zaś twierdzili, że Żydzi już faktycznie wyprawili się i zamordowali, i porąbali na kawałki jednego z księży, którego ciało zakopali w piasku. To straszne oszczerstwo rozniosło się poza granice miasta, a oto jego owoce. W piątek zeszłego tygodnia, wieczorem, zebraliśmy się w naszym domu modlitwy na śpiewy i modlitwę i oto, nagle, przed domem pojawił się tłum wrzeszczący: „Śmierć Żydom! Mord i zagłada tym pijawkom!". Wielkimi kamieniami porozbijali i połamali okna, zamierzając także wyłamać drzwi, które nas od nich odgradzały. Spadło na nas wielkie, straszne zagrożenie. Starzy i młodzi krzyczeli w przerażeniu, gdyż nie mogliśmy uciec cali, jako że barbarzyńcy otoczyli dom z przodu i z tyłu. Odległa była również perspektywa ocalenia ze strony wojewody. Dwukrotnie odmówił on przyjęcia delegacji przywódców naszej społeczności, którzy przybyli do niego jeszcze tego samego dnia, aby prosić o miłosierdzie, i powrócili też wieczorem z prośbą o obronę. Niszczący wszystko tłum nie przestawał rzucać w nas kamieniami. Głośno nawoływano do atakowania i rabowania Żydów. Działo się tak, dopóki nie powstała pewna energiczna kobieta, słynąca tu z dobroczynności i pobożności, stawiła się przed wojewodą i błagała go, aby wybawił nas od nieszczęścia. Natychmiast dał jej posłuch, wsiadł w powóz i osobiście zajechał przed dom modlitwy i nakazał atakującemu tłumowi natychmiastowe zaniechanie działań. W przypadku, gdyby nie posłuchali jego komendy, zagroził wezwaniem wojska i surowym ukaraniem sprawców. Jego słowa wywarły silne wrażenie na barbarzyńcach, którzy stopniowo się wycofali. Gdyby nie pomoc kobiety, która rozdzieliła nas i nie pozwoliła bandytom w nas uderzyć, z pewnością wielu poległoby od kamieni, którymi w nas rzucali. Tak zaś, dzięki Bogu, tylko kilku ludzi zostało lekko rannych. W szabat żaden Żyd nie ośmielił się opuścić swojego domu, gdyż tłum zgromadził się ponownie

i zaczął znów obrzucać kamieniami domostwa synów Izraela, jednak policja otoczyła ich i kilka osób tymczasowo zatrzymano. Jednak w niedzielę zebrało się mnóstwo ludzi, aby wysłuchać kazania księdza Szpondera. Po opuszczeniu kościoła nawoływali do rabunku i napadli na kilka sklepów. Rzucali kamieniami i porozbijali resztę okien, które zachowały się po zajściach z szabatu. Bity był każdy, kto wieczorem odważył się opuścić swój dom lub interes. Na nasze szczęście ponownie pojawił się wojewoda z burmistrzem i rozproszyli zbiegowisko. Wieczorem do miasta powrócił spokój.

Jakow Singel

Zamieszki przeciwko Żydom w Wieliczce w roku 1898

W korespondencji dla dziennika „Neue Freie Presse", ukazującego się w Wiedniu, którą opublikowano w „Die Welt" (pod redakcją dr Herzla), nr 11, s. 11, 14.3.1898, ponownie relacjonuje się wydarzenia z szabatowego wieczoru 11.3.98 i 13.3.98, kiedy to zorganizowano zamieszki antyżydowskie i tylko dzięki odważnej interwencji zarządzającego okręgiem, pana Strzerbińskiego, zdołano zapanować nad szaleństwem i nie było ofiar w ludziach.

Wspomniana korespondencja obudziła reakcję Z. Rosenzweiga, przewodniczącego kahału w Wieliczce, którego cesarz Austrii Franciszek Józef I wyróżnił za zasługi w działalności dobroczynnej tytułem radcy cesarskiego. Opublikował on artykuł w „Die Welt" (nr 12, s. 6; nr 22, s. 5–6, marzec 1898).

Na początku artykułu autor stwierdza, że można założyć, iż jak ustaliła „Neue Freie Presse", przyczyną zamieszek tłumu przeciwko Żydom były rozpowszechnianie idiotycznych ulotek i konkretność perswazji. Gdy mowa o nienawiści do Izraela, jej korzenie są o wiele głębsze, jak również szersze jest jej tło. Antysemityzm to bardzo starożytne zjawisko. Ktoś może zadać pytanie, dlaczego do tej pory nie słyszeliśmy o zamieszkach antysemickich w Galicji, skoro w innych krajach prześladowania Żydów są zjawiskiem stałym? Zdaniem autora odpowiedź na to pytanie jest prosta. Jest faktem, że arystokracja zawsze akceptowała antysemityzm, jednak jad nienawiści pochodził z warstw niższych. Duma i wyniosłość polskiej szlachty odrzucała z pogardą grubiański antysemityzm. Dodatkowo starała się ona uniknąć niebezpieczeństwa przypisania jej nienawiści do Izraela, a to z powodu ścisłej więzi pomiędzy Żydami i szlachtą. Jej pogorszenie musiało prowadzić do finansowego osłabienia szlachty. Możliwe też, że gdzieś w sercach arystokracji mimo wszystko kryła się odrobina wstydu.

Na pomoc chełpliwej szlachcie pośpieszył polski szlachcic, hrabia Tarnowski, który w czasie wojny ekonomicznej przeciwko Żydom zdołał ukryć odczuwaną do nich nienawiść pod płaszczykiem współczucia i miłosierdzia okazywanego warstwom najuboższym pochodzącym z miasteczek i wiosek. W „Dniu katolickim" w Krakowie zaproponował on, ku zadowoleniu wszystkich zgromadzonych, aby w każdym miasteczku i wiosce założyć „kółka rolnicze" przygotowane na wszelkie okoliczności. „Kółka" otrzymały subwencje i ulgi na wozy, co dawało im możliwość skutecznego konkurowania z Żydami. Co powiedział, to też uczynił. W każdej miejscowości szybko powstały takie koła rolnicze, których celem było wsparcie biednych potrzebujących pomocy... Cel był jasny: zniszczyć podstawę utrzymania drobnych żydowskich sklepikarzy.

Jednakże szlachta polska czuła wstręt do wulgarnego, jawnego antysemityzmu i maskowała nie-

nawiść do Izraela pozorem współczucia do warstw upośledzonych. Brak było człowieka odważnego, który bez ogródek rozciągnie flagę wulgarnego antysemityzmu. Wtedy pojawił się właściwy człowiek, zdeklarowany wróg Izraela, agitator, ksiądz Stawiłowski i jego towarzystwo. Od tego momentu propagandyści antysemickiej trucizny rozpłomieniają wyobraźnię mas, rozprzestrzeniając fałszywe oskarżenia na temat Żydów i prowadząc do zamieszek i przemocy.

W dalszym ciągu autor ukazuje pełną galerię postaci szlachty polskiej, religijnej i świeckiej, a także organizacje zbiorowe, jak na przykład: Partia Socjaldemokratyczna, Polski Klub współpracujący z najeźdźcą (Austria), Partia Stańczyków, wrogów rządu okupanta; księża: Stawiłowski, Szponder, Danielak – wszyscy podjudzacze z ich ambicją dojścia do władzy i wpływów w kraju podbitym przez obcych (Austria). Czynnikiem, który jednoczy ich wszystkich, jest nienawiść do Izraela. Konflikt [między nimi – przyp. tłum.] szczególnie zaostrzył się w dniach wyborów do austriackiego Reichstagu. Wtedy to paradoksalnie „zniknęła" nienawiść do Żydów. Danielak całował się z Żydami, a Szponder oznajmił przed delegacją żydowską z Makowa, że nie różnicuje ludzi według ich religii, lecz postępuje zgodnie z pierwszym przykazaniem chrześcijańskim, jakim jest łaska, miłosierdzie i miłość do istoty ludzkiej. Wszystko to jednakże miało tylko jeden cel, jakim było pozyskanie głosów żydowskich. Minęły jednak dni wyborów i ponownie zaczął panować stary duch. Ujawniły się antysemickie oblicza w całej ich podłości. Kogo obchodzi zdrada poczynionych obietnic? Na pewno nie ludzi tego pokroju! Co do nich, cel uświęca środki, a w szczególności te najbardziej podłe. W międzyczasie pojednali się z rządem austriackim, z Klubem Polskim i z klerem. Agitator Stawiłowski dobrze pojął, że spoiwem łączącym wszystkie odłamy jest koniec końców nienawiść do Izraela i na tym obszarze powinien podjąć działania. Wraz z innymi opublikował następującą odezwę: „Polacy i chrześcijanie! Powstrzymajmy się obecnie od rodzinnych waśni. Kroczmy razem przeciwko wspólnemu wrogowi, z którym należy walczyć i powstrzymać go". Tak zaczęła się propaganda antysemicka polegająca na rozprzestrzenianiu fałszywych posądzeń. Wspomniano już o propagowaniu oskarżenia w sprawie zamierzonego mordu żydowskiego na osobie księdza Szpondera, skierowanego przeciwko Żydom z Wieliczki i podchwyconego przez miejscowy tłum. Oto zaś inny kłamliwie wulgarny zarzut. W celu zniechęcenia resztki chrześcijańskich klientów do sklepów żydowskich puszczono pogłoskę, że Żydzi zatruli żywność przeznaczoną dla klientów chrześcijańskich, co z ich strony miało stanowić zemstę za zamieszki. To grubiańskie oszczerstwo było jednak wyraźnie widoczne i ciężko było w nie uwierzyć. Jednak głupi tłum z łatwością dał się na nie nabrać i tylko dzięki zdecydowanej postawie władz, które zatrzymały wielu spośród czyniących zamęt, zdołano przywrócić porządek. Mimo to tu i ówdzie dochodziło do sporadycznych ekscesów.

Pod koniec artykułu autor rozlicza się gruntownie z posłami zasymilowanymi, posłańcami narodu żydowskiego do Klubu Polskiego, i zadaje im pytanie, czy ich zadaniem jako posłów nie jest danie wsparcia w nieszczęściu i pośpieszenie z pomocą w czas utrapienia? Dlaczego nie sprzeciwili się zamiarom hrabiego Tarnowskiego, których celem było zniszczenie osiedli żydowskich? Wszak były on sprzeczne z prawem państwowym. Dlaczego nie protestowali stanowczo przeciwko podżeganiu do działań antyżydowskich ze strony kleru przemawiającego w kościołach z ambon? Jest to wszak działanie wichrzycielskie

z punktu widzenia panującego w tym kraju prawa. Zakazuje ono agitacji prowadzącej do tumultów pomiędzy istniejącymi częściami społeczeństwa. Oczywiście, że konflikt pomiędzy mniejszością a większością nie należy do rzeczy przyjemnych, jednak wybrano ich, aby udaremniali zamysły wrogów Izraela i troszczyli się o dobro swojego ludu! Zasymilowani posłowie to tchórze, którzy martwią się tylko o własne stołki i boją się narazić swoją pozycję pośród swoich chrześcijańskich kolegów. W przyszłości będą jednak musieli się z tego rozliczyć.

Zusman Rosenzweig

„HA-MAGID" 1898, 5 KWIETNIA (13 NISAN 5658), NR 114

Nasi prześladowcy ponieśli dwie porażki: (1) Antysemicka gazeta „Głos Narodu" rozpowszechniająca pogłoskę, że grupa Żydów przygotowywała się do zamordowania księdza Szpondera, została zmuszona przez wojewodę Strzerbińskiego do szybkiego zaprzeczenia temu fałszywemu posądzeniu. (2) Prokurator Windycki wstrzymał dystrybucję książki *Tajemnice Żydów*. Ta książka posłużyła jako narzędzie perswazji w rękach naszych prześladowców.

„HA-MAGID" 1898, 18 SIERPNIA (30 AW 5658), NR 32, S. 261

Wydaje się, że nasi przywódcy państwowi przekonali się ostatnio, że popełnili głupstwo, pozwalając kapłanom poprowadzić lud ku złemu, przed którym ten nie mógł się cofnąć. Widać to po tym, że wycofano stąd księdza Szpondera, który poszedł na księdza do Chochołowa koło Zakopanego. Ten kapłan z partii Stawiłowskiego czynił wiele, aby szerzyć nienawiść do Żydów. Robił to pośród ludu w naszej okolicy, również w Kalwarii – wszędzie prześladował żydostwo. Wszędzie w tych miejscach czuć ślad jego ręki. W jego nowej miejscowości nie będzie już mógł folgować swojej wściekłości na Żydów. Graf Zamojski martwił się już, że nie znajdzie na tym obszarze żadnego Żyda. Naszym zdaniem, skoro zmiany miejsca kapłanów zachodzą tylko za sprawą kardynałów, można sobie wyobrazić, że także kardynał Puzyna uświadomił sobie, że ciągła nienawiść tłumu do Żydów nie jest dobra dla żadnego miasta.

„HA-MAGID DLA IZRAELA"[280] 1900, 25 STYCZNIA (25 SZEWAT 5660), NR 4, S. 41

Wieliczka

Z powodu interesów w Krakowie chciałem odwiedzić tam Towarzystwo Literackie „Ezra". Jakże się zdziwiłem, gdy przekraczając próg ich siedziby, usłyszałem od pewnego człowieka, że prosi się tam o zdjęcie jarmułki. Szybko jednak pojawiła mi się pewna idea i osądziłem, że zyskam na tym i że z pewnością dozwolony jest mały kapelusz. Natychmiast sięgnąłem do walizki, aby wyciągnąć z niej melonik. Jednak nie znalazłem go, gdyż w domu o nim zapomniałem, i ku mojemu wielkiemu zasmuceniu musiałem opuścić to miejsce, nie mogąc zbadać jego atmosfery i rządzących nim reguł. Jednak gdy wychodziłem, złapała mnie jakaś mocarna dłoń i nie pytając o nic, nawet

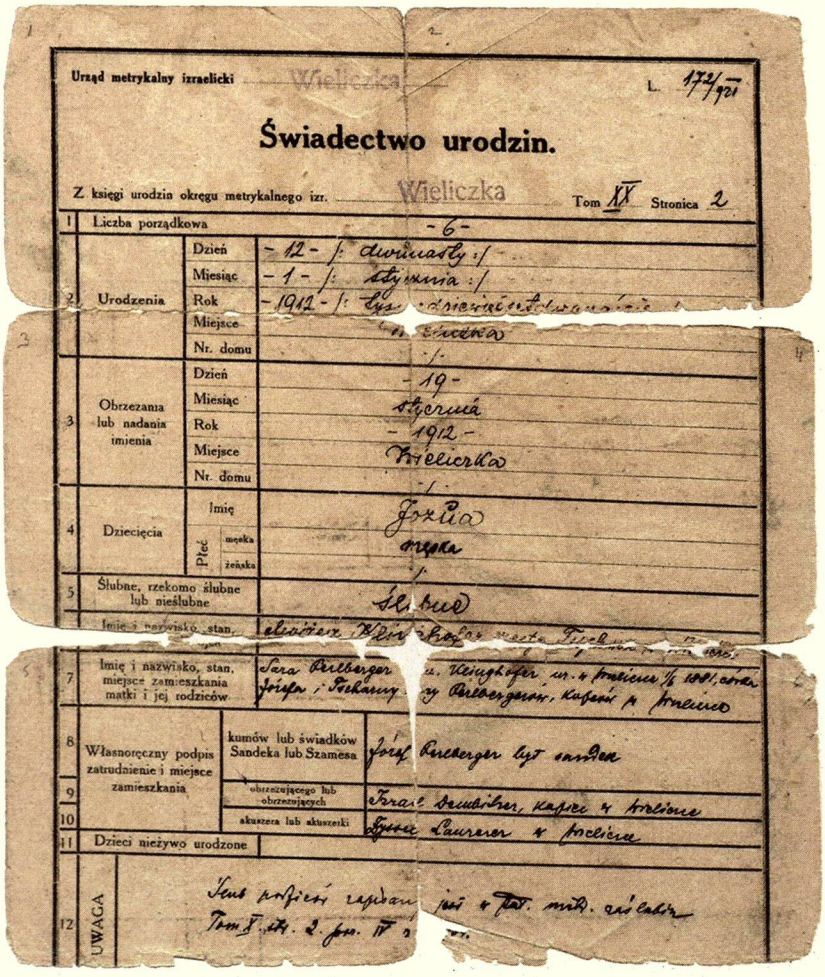
[280] „Ha-Magid dla Izraela" – jeden z dodatków literackich ukazujących się przy tygodniku „Ha-Magid".

o pochodzenie, ktoś rozdziawił usta, jakby chciał mnie połknąć: „Szeigic – zawołał głośno – czy nie wiedziałeś, że tutaj jest piekło, siedziba Lilit? Co sprawiło, że ośmieliłeś się skierować swoje nogi do miejsca tak nieczystego?".

Przez chwilę stałem jak przybity gwoździami, przerażony tym, co zobaczyłem. Nie wiedziałem, co znaczą jego słowa. Zobaczyłem, że jego gniew nieco osłabł i zapytałem niewinnie: „Na czym polega moja wina, mój panie, że okazujesz mi swój gniew, i czym zgrzeszyło Towarzystwo, że ciskasz na nie słowa tak mocne?". „Czyż nie wiesz – odpowiedział mi chłodno – że wyłom wielki powstał w murze żydowskim wraz z powstaniem tego heretyckiego Towarzystwa? Celem jego założycieli jest odwrócenie serc członków naszej społeczności od czystego judaizmu. Dzisiaj pozwalają sobie na siedzenie z odkrytą głową, a jutro zmuszą wszystkich do ścięcia brody. Jak tak dalej pójdzie, z naszej społeczności zniknie żydowska płeć męska". „Cóż skłania cię, mój panie, do wydawania tak skrajnego osądu? Przecież nie mogą nakazać siedzenia z odkrytą głową ani zakazać noszenia nakrycia". „Ach! – krzyknął z politowaniem – czyżbyś i ty potajemnie należał do tych obłudników i trzymał ich stronę? Niech i ciebie pochłonie ognisty piec śmierci".

Nie chcąc słuchać tych słów i kontynuować rozmowy, pozostawiłem go z najlepszymi życzeniami. Jednak myśląc o tym później, uświadomiłem sobie, że nie chodziło mu o perfidne ośmieszenie Towarzystwa, lecz o osądzenie tego, co słyszał i widział. Na ścianie zobaczył napis: „Ściągnijcie nakrycia i siadajcie z odkrytą głową". Pomyślałem, że przecież każdy może usiąść w „Kafel". Zastanawiam się, czy nie zwrócić się do zarządców Towarzystwa z prośbą, aby łaskawie rozważyli, czy ortodoksyjnym Żydom wolno siedzieć w ich „czapeczce", i aby nie odrzucali tych, którzy są im bliscy. Z tego właśnie powodu poczułem się zmuszony zająć pana uwagę, szanowny Redaktorze, aby usunął pan tę przeszkodę stojącą na drodze rozwoju Towarzystwa, gdyż wielu ludzi oddala się od niego. Czy nakaz odkrycia głowy jest najnowszym środkiem służącym rozbudzeniu miłości do naszego świętego języka? To pytanie pozostaje pytaniem.

Kalman Seidenfrau



Urząd metrykalny izraelicki Wieliczka L. 172/921

Świadectwo urodzin.

Z księgi urodzin okręgu metrykalnego izr. Wieliczka Tom XX Stronica 2

1	Liczba porządkowa		-6-
2	Urodzenia	Dzień	-12- /: dwunasty :/
		Miesiąc	-1- /: stycznia :/
		Rok	-1912- /: tysiąc dziewięćset dwunasty :/
		Miejsce	m. Wieliczka
		Nr. domu	/.
3	Obrzezania lub nadania imienia	Dzień	-19-
		Miesiąc	stycznia
		Rok	-1912-
		Miejsce	Wieliczka
		Nr. domu	/.
4	Dziecięcia	Imię	Józia
		Płeć męska	męska
		Płeć żeńska	/.
5	Ślubne, rzekomo ślubne lub nieślubne		ślubne
6	Imię i nazwisko, stan, miejsce zamieszkania ojca i jego rodziców		Herszel Klinghofer ur. w Wieliczce [illegible]
7	Imię i nazwisko, stan, miejsce zamieszkania matki i jej rodziców		Sara Perlberger ur. Klinghofer ur. w Wieliczce [illegible] córka Józefa i Fredzi z Perlbergerów, Kupców w Wieliczce
8	Własnoręczny podpis kumów lub świadków Sandeka lub Szamesa i zatrudnienie i miejsce zamieszkania		Józef Perlberger był zaocz
9		obrzezującego lub obrzezujących	Izrael Perlberger, Kupiec w Wieliczce
10		akuszera lub akuszerki	Ignacy Laurenz w Wieliczce
11	Dzieci nieżywo urodzone		
12	UWAGA		Ten przyjęci [illegible] Tom I. str. 2. [illegible]

Świadectwo urodzin Jehoszuy (Jozuego) Klinghofera,
Wieliczka, 12 stycznia 1912 roku

SYJONIZM W NASZYM MIEŚCIE W LATACH DWUDZIESTYCH I TRZYDZIESTYCH XX WIEKU

Jehoszua Ofer

Moje wspomnienia biegną wstecz, do dni, kiedy w naszym mieście działały organizacje syjonistyczne, czyli do lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. W tamtym czasie istniał już ruch syjonistyczny Heatid, ale nie wiem, kiedy i przez kogo został założony.

Pierwsza wzmianka o istnieniu Światowej Organizacji Syjonistycznej[281] w Wieliczce na początku XX wieku pojawiła się na stronie 268 „Wochenschrift Vienna" z 1905 roku wydawanego przez doktora Blocka[282].

Ruch wynajmował pokoje na działalność klubu w domu Hirscha i Lichta i wszystkie zajęcia tak starych, jak i młodych tam właśnie się odbywały. Jeden z klubowych pokoi zastawiony był małymi stolikami i krzesełkami, służąc jako sala wykładowa i czytelnia, ponieważ znajdowały się w nim wszystkie syjonistyczne gazety.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 29–36. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

[281] W angielskim oryginale używane są wymiennie dwie nazwy: Jewish Zionist Organisation oraz Zionist Organisation – obie odnoszą się do Światowej Organizacji Syjonistycznej (World Zionist Organisation).

[282] Prawdopodobnie chodzi o Józefa Samuela Blocha (ur. w 1850 w Dukli, zm. w 1923 roku w Wiedniu), rabina i działacza społecznego, założyciela wydawanego w Wiedniu tygodnika „Österreichische Wochenschrift", ukazującego się w latach 1884–1921.

Wykłady na tematy ogólne i narodowe odbywały się całkiem często, zwłaszcza w sezonie zimowym. Prelegenci pochodzili głównie z Krakowa, a wśród bardziej znanych mówców byli: dr Schwarzbard, dr Feldman, dr Terlo, magister Salpeter, Szmulewicz i Hofsztandter. Miejscowy komitet spotykał się tam od czasu do czasu i organizował wszystkie syjonistyczne uroczystości. Partie syjonistyczne jeszcze w tamtym czasie nie istniały, dlatego komitet występował w imieniu wszystkich. W pokoju obok znajdowała się biblioteka wypełniona sporą ilością półek zawalonych książkami w języku polskim i jidysz. Książki wypożyczano dwa razy w tygodniu, czytelników było sporo.

Wraz z rozwojem Organizacji Syjonistycznej i jej podziałem na poszczególne frakcje ruch Heatid rozproszył się i musiał wyprowadzić się z klubu.

Powstały następujące kluby dla dorosłych i młodzieży: WIZO[283], Ari – niepartyjny klub sportowy, Akademickie Stowarzyszenie im. A. Hirscha oraz stowarzyszenia zrzeszające młodzież: Bejtar[284], Akiwa[285], Dror[286], później także ruch założony przez Meira Grossmana – Żydowska Partia Państwowa[287] oraz ruch Gordonia[288]. Bund[289] jeszcze wówczas nie

---

283 Właściwa nazwa: Women's International Zionist Organisation – jedna z pomocniczych kobiecych organizacji syjonistycznych, utworzona w Londynie w 1920 roku, powołana do przygotowania dzieła odbudowy Palestyny. W Polsce WIZO pojawiła się w 1925 roku; tutaj znajdowała się pod silnym wpływem Ogólnej Organizacji Syjonistycznej i funkcjonowała pod nazwą Zrzeszenie Kobiet Żydowskich WIZO.

284 Właściwa nazwa: Stowarzyszenie (Młodzieży Żydowskiej) im. Trumpeldora w Polsce; używano również nazwy Bejtar – syjonistyczna organizacja młodzieżowa związana z rewizjonistami, powstała w 1923 roku kierowana przez W. Żabotyńskiego, nawiązująca do wzorów skautingu. W Polsce Bejtar zabiegał bezskutecznie (ze względu na sprzeciw Naczelnictwa ZHP) o uznanie go za organizację skautową. Zwalczał idee walki klasowej. Przed wojną Bejtar liczył około stu tysięcy członków w dwudziestu sześciu krajach, z czego większość stanowili Żydzi polscy.

285 Akiwa (Związek Młodzieży Hebrajskiej Akiwa) – młodzieżowa niesocjalistyczna organizacja syjonistyczna zarejestrowana w 1934 roku.

286 Dror (hebr. Wolność) – socjalistyczna młodzieżowa organizacja, założona w Polsce we wrześniu 1938 roku. Powstała z połączenia organizacji Hechaluc Hacair i Frajhajt; było to związane z tendencją do jednoczenia partii syjonistycznych i organizacji młodzieżowych.

287 Żydowska Partia Państwowa – określana również jako grossmaniści, od nazwiska założyciela Meira Grossmana (1888–1964), powstała w 1933 wskutek odejścia większości syjonistów ze Światowej Organizacji Syjonistycznej. Grossman stanął na czele grupy rewizjonistów, którzy pozostali w ŚOS.

288 Właściwa nazwa: Ludowy Chalucowy Związek Młodzieży „Gordonia" – pionierska organizacja młodzieżowa, związana z partią Hitachdut, założona w Galicji pod koniec 1923 roku. Podstawowymi celami ruchu były: budowa ojczyzny, wychowanie członków ruchu w duchu wartości humanistycznych, stworzenie narodu pracującego, renesans kultury hebrajskiej oraz własna praca. Podstawowym celem indywidualnym było spełnienie poprzez aliję i pracę w systemie kolektywnym.

289 Właściwa nazwa: Ogólnożydowski Związek Robotniczy „Bund" na Litwie, w Polsce i w Rosji – najliczniejsza i najsilniejsza żydowska partia robotnicza w Polsce w okresie międzywojennym, utworzona w Wilnie w 1897 roku. Autor artykułu pisząc, że Bund „jeszcze wtedy (tj. w okresie międzywojennym) nie istniał",

istniał – pośród wszystkich Żydów w mieście było zaledwie kilku komunistów.

DZIAŁALNOŚĆ SYJONISTÓW

Pierwszym i najważniejszym zadaniem syjonistów było zbieranie funduszy na rzecz Żydowskiego Funduszu Narodowego[290] oraz Funduszu Odbudowy[291] – The United Jewish Appeal. Jako że UJA stał się podstawą budżetu Światowej Organizacji Syjonistycznej oraz zaczął domagać się zbierania znacznych sum pieniędzy, był w rękach wpływowych ludzi, którzy egzekwowali od zamożnych coroczne zobowiązania. Z drugiej zaś strony Żydowski Fundusz Narodowy uważany był za fundusz ludowy, który obejmował każdy żydowski dom i znajdował się głównie w rękach młodych działaczy, którzy zbierali datki z dużymi sukcesami. Działalność ŻFN polegała przede wszystkim na umieszczaniu skarbonek ŻFN w jak największej liczbie żydowskich domów razem z tradycyjną skarbonką rabbiego Meira Baala Nesa[292], która stanowiła nieodłączną część każdego żydowskiego domostwa przez lata. W każdy szabat i wigilię świąt gospodyni domu wrzucała drobne do skarbonki Baala Nesa i jej biało-niebieskiej towarzyszki. Było to nie lada osiągnięcie, zważywszy na fakt, że większość Żydów w mieście była ortodoksyjna i bojkotowała działalność syjonistyczną. Skarbonka ŻFN znalazła się w stu pięćdziesięciu na sto siedemdziesiąt domów.

ŻFN poprzez swoją działalność dawał upust entuzjazmowi młodzieży. Nie działał na zasadach podobnych do UJA, gdzie zbierano duże datki i gdzie za każdym sukcesem stały rozległe działania. Wykładowcy z zewnątrz często byli zapraszani, aby zaapelować do serc Żydów. Podczas takiej kampanii w 1925 roku dr Terlo z Krakowa został poproszony o wygłoszenie wykładu w Dużej Synagodze na Kląśnie na temat znaczenia funduszu i jego działalności. Po odczytaniu Tory wykładowca został zaproszony na podium. Gdy tylko zajął swoje miejsce, ortodoksyjni Żydzi z sąsiadującego domu nauki wtargnęli do synagogi i próbowali powstrzymać mówcę, ale im się nie udało. Następnego dnia lokalny komitet syjonistyczny odwiedził domy i sklepy żydowskie,

miał najwidoczniej na myśli, że nie było miejscowego oddziału Bundu w Wieliczce.

290 Żydowski Fundusz Narodowy (Keren Kajemet le-Israel) – fundusz stworzony 29 grudnia 1901 roku na Światowym Kongresie Syjonistycznym, w celu nabywania ziemi w Palestynie i zagospodarowywana jej. Finansował również rozbudowę Tel-Awiwu, powstawanie szkół i działalność Biura Palestyńskiego Organizacji Syjonistycznej.

291 Keren Hajesod (Fundusz Podwalin lub Fundusz Odbudowy) – centralna instytucja finansująca działalność Agencji Żydowskiej dla Palestyny. Od 1925 roku Fundusz działał w Stanach Zjednoczonych w ramach United Jewish Appeal. Zbierał fundusze na finansowanie emigracji żydowskiej do Palestyny i budowanie tam tzw. żydowskiej siedziby narodowej oraz budownictwa mieszkaniowego, inwestował w przemysł żydowski, powstawanie nowych osiedli rolniczych, utrzymanie i rozbudowę sieci instytucji wychowawczych, przeznaczał środki na samoobronę.

292 Właśc. Meir Baal (ha-)Nes (hebr. Meir Cudotwórca) – popularna w literaturze hagadycznej postać rabbiego Meira czyniącego cuda. Od XVIII wieku wysłannicy zbierający fundusze dla Żydów w Palestynie rozprowadzali skarbonki Meira Baal Nesa, które z czasem pojawiły się w wielu żydowskich domach.


1.
WIELICZ



Wizyta Chaima Nachmana Bialika w Wieliczce, zdjęcie zbiorowe przed szybem Daniłowicza. Rozpoznano czternastu wieliczan w towarzystwie honorowego gościa: (1) Ryszard Wertheimer, (2) Nina Szmulewicz (mama Uriego Shmueli), (3) Chaim Bialik, (4) Janina Reichental, (5) Maurycy Klinghofer, (6) Oskar Lax, (7) Maurycy Horowitz, (8) Eliasz (Olek) Licht, ojciec Romana Lichta, (9)Golda (Dziuńka) Licht (z domu Lax), (10) Berta Zellner, (11) Mosze Szmulewicz (ojciec Uriego Shmueli), (12) Jakub Seidenfrau, (13) Herman Schnur (Cwi), mąż Balki Licht (siostry Bronisławy Friedman), (14) Dawid Licht, brat taty Romana Lichta, (15) Izrael Dawid Beidaff– spokrewniony z rodziną Friedmanów, 19 października 1931 roku

aby zebrać datki na fundusz, w czym osiągnęli znakomite rezultaty.

Po podziale, który nastąpił w Światowej Organizacji Syjonistycznej, i założeniu Nowej Organizacji Syjonistycznej[293] został powołany kolejny fundusz, Tel-Chai. Rewizjoniści byli bardzo oddani pracy na jego rzecz, co naturalnie spowodowało straty dla ŻFN.

„AKCJA SZEKLOWA" I KONGRES SYJONISTÓW

Kolejną istotną inicjatywą było wprowadzenie niewielkiej opłaty podatkowej znanej jako szekel[294]. Światowa Organizacja Syjonistyczna obejmowała rozległe kręgi żydowskiej populacji żyjącej w rozproszeniu. Szekle służyły jako dowód tożsamości i uprawniały posiadacza do głosowania na kongresie syjonistycznym. Około dwóch miesięcy przed wyborami aktywność syjonistów skupiała się na propagandzie szeklowej, dystrybucji ulotek i organizowaniu zbiórek pieniędzy.

SZKOLENIE PIONIERÓW

Najważniejszym celem ruchów młodzieżowych była emigracja[295] Żydów do Palestyny (*Erec Israel*) i udział w budowaniu państwa. Zasadniczym warunkiem otrzymania certyfikatu do wzięcia udziału w alii było odpowiednie przygotowanie do nowego życia. Było to możliwe do osiągnięcia podczas kibucowych treningów pionierskich prowadzonych na wsi i w miastach. Już w latach 1925–1926 utworzono kibuc i w naszym mieście. Młodzieżowe ruchy: Dror, Bejtar, Hechaluc[296], Hanoar Hacioni i Akiwa organizowały grupy szkoleniowe, które następnie były wysyłane przynajmniej na rok do kibuców. Większość pierwszych pionierów zostało tam na kilka lat, żyjąc według wzorów panujących w kibucach *Erec Israel*. Wykonywali oni wszystkie możliwe prace, prowadzili bogate życie towarzyskie i kulturalne. Tylko w naszym mieście były cztery takie grupy: Dror, Bejtar, Partia Narodowa i Poalej Agudat Israel. Syjoniści wieliccy starali się znaleźć zajęcie dla pionierów, stąd niektórzy z nich pracowali w tartaku, cegielni itp.

Lokalna młodzież często odwiedzała te grupy i brała udział w ich dyskusjach i pracach. To zachęcało ich do przystępowania do podobnych zgromadzeń

[293] Organizacja funkcjonowała także pod nazwami: Rewizjoniści, Syjoniści-Rewizjoniści. Był to prawicowy odłam w ruchu syjonistycznym, którego twórcą i wieloletnim przywódcą był W. Żabotyński; wyodrębnił się w 1925 roku.

[294] Szekel – jednostka wagi srebra przyjęta przez Żydów w okresie Machabeuszy jako moneta, następnie zaczął funkcjonować jako opłata podatkowa. Do tej koncepcji nawiązali syjoniści, wprowadzając szekel jako opłatę związaną z uczestnictwem w tym ruchu i udziałem w wyborach do Kongresu. Podczas I Światowego Kongresu Syjonistycznego w Bazylei (1897) wprowadzono go jako niewielką opłatę mającą być wyrazem poparcia dla bazylejskiego programu i związków z ruchem. Z czasem jej zbieranie przerodziło się w wielką „akcję szeklową". Na podstawie liczby wykupionych szekli syjoniści określali liczbę członków swego ruchu.

[295] Alija, zob. przyp. 41 Wstępu.

[296] Hechaluc (hebr. Pionier) – ponadpartyjna młodzieżowa organizacja syjonistyczna o charakterze pionierskim (dla młodzieży żydowskiej powyżej osiemnastu lat), przygotowująca młodzież do pracy w Palestynie.

w innych miejscach. Wielu z nich znalazło swoją drogę do *Erec Israel.*

WYBORY MIEJSKIE

Żydzi osiągali dobre rezultaty w wyborach członków władz miasta Wieliczki; na dwadzieścia cztery miejsca zwykle osiem–dziewięć zajmowali Żydzi. Tak więc wybór dr. Horowitza na wiceburmistrza był tu możliwy – osiągnięcie, które zaowocowało wydobyciem na światło dzienne interesów żydowskich.

Kiedy powstał narodowy ruch syjonistyczny, natychmiast zrozumiał anomalię, jaką było życie Żydów w rozproszeniu, i chociaż jego głównym celem było poprowadzenie emigracji ludności żydowskiej do Palestyny, nie zaniedbywał swojej roli w diasporze, wręcz przeciwnie – wpływał na życie społeczności. Także na tym polu ruch syjonistyczny spotkał się z dużym sprzeciwem ze strony starszyzny i ortodoksyjnych członków społeczności.

SYJONISTYCZNY BANK POŻYCZKOWY

Żydzi w naszym mieście mieli dwa źródła utrzymania. Wieliczka była miastem gminnym i jej jurysdykcji podlegało ponad sto wsi. Chłopi przywozili swoje produkty na sprzedaż lub na wymianę w zamian za niezbędne dobra przemysłowe. Drugie źródło stanowili górnicy zatrudnieni w kopalni soli [po wypłacie udający się do szynków – przyp. tłum.]. Zwyczajowo płacono im w soboty – w dniu, kiedy wszystkie sklepy żydowskie były zamknięte. Jako że sklepy były również zamknięte w niedziele, tradycyjny dzień odpoczynku chrześcijan, do poniedziałku, kiedy sklepy otwierano, w rękach górników nie było już ani grosza. Taka sytuacja stawiała w trudnym położeniu żydowskich przedsiębiorców. Zdarzało się często, że właściciele małych sklepików, kiedy przyszło do płacenia rachunków, nie mieli w swoich kasach gotówki. Na ratunek przychodził im bank pożyczkowy, udzielając nisko oprocentowanych kredytów.

KLUB SPORTOWY ARI

Klub Sportowy Ari został założony przez braci Szinaglów i Aptowiczów w 1921 roku. Jedyny sport, w jaki się zaangażowali, to piłka nożna. Zawodnicy byli amatorami, większość z nich stanowili studenci, ale radzili sobie całkiem dobrze. Po kilku latach drużyna rozpadła się z powodu mało wydajnego treningu. Gdy klub znów odżył, otwarto dwie sekcje – tenisa stołowego oraz rowerową. Sekcja tenisa była najlepsza w mieście, pokonywała wszystkie polskie drużyny. Sekcja piłki nożnej była bardzo aktywna. Jej członkowie, studenci i pracownicy, sami kupowali niezbędny sprzęt. Często pokonywali polskie drużyny, dlatego też polscy kibice często pod koniec meczu rzucali w zawodników kamieniami. Sekcja rowerowa organizowała wyprawy oraz brała udział w wyścigach.

OSOBISTOŚCI ODWIEDZAJĄCE WIELICZKĘ

Nasze miasto było sławne dzięki kopalni soli oraz wspaniałym rzeźbionym zdobieniom podziemnych korytarzy i sal, a także wspaniałej kaplicy ozdobionej wyrzeźbionymi w soli żyrandolami, prawdziwymi dziełami sztuki. To przyciągało turystów ze wszystkich zakątków świata. Pośród nich mogliśmy zoba-

czyć światowe znakomitości i wielkie osobowości zarówno żydowskie, jak i syjonistyczne. Te wizyty w dużym stopniu wzmacniały naszą działalność i sprawiały, że byliśmy dumni z syjonizmu. Wśród ważnych gości byli m.in. pułkownik Windham Dyds, który był szefem departamentu politycznego generała Allenby'ego; generał Orde Charles Wingate[297], geniusz strategiczny, który poświęcił swój talent w służbie Palestyny. Żydzi czuli się zaszczyceni wizytą generała Wingate'a. Byliśmy także pod wrażeniem wizyty generała Smutsa[298], premiera Południowej Afryki, wspaniałego człowieka i wielkiego przyjaciela Żydów.

Wypada też wspomnieć o naszym największym poecie Chaimie Nachmanie Bialiku[299], który podczas wizytowania polskich miast w 1931 roku przyjechał także do Wieliczki. Dzieła sztuki w kopalni zrobiły na Bialiku duże wrażenie. Poeta był bardzo szczęśliwy, zauważywszy hebrajską inskrypcję witającą go tradycyjnym błogosławieństwem „Baruch Haba" („Witaj!"). Podekscytowany, wykrzyknął: „Jak wspaniale! Nawet w czeluściach ziemi znajduję język hebrajski!".

Te wizyty spotęgowały i wzmocniły działalność syjonistyczną w Wieliczce.

Jehoszua Ofer (ur. 12 stycznia 1912 roku w Wieliczce, zm. 24 kwietnia 2004 roku w Izraelu) – poślubił Hindę Waksman z Klimontowa, w 1933 roku wyjechał z żoną do Palestyny do Kfar Bilu, gdzie prowadził farmę. Miał troje dzieci: Nicę (ur. 1938), Noama (ur. 1944) i Dindi (ur. 1949).

[297] Orde Charles Wingate (ur. w 1903 roku, zm. w 1944 roku) – brytyjski generał, pomysłodawca ochotniczych oddziałów zwanych Special Night Squads, w skład których wchodzili Żydzi zamieszkujący Palestynę.

[298] Jan Christiaan Smuts (ur. w 1870 roku, zm. w 1950 roku) – południowoafrykański polityk, filozof i wojskowy, premier Związku Południowej Afryki w latach 1919–1924, 1939–1948.

[299] Chaim Nachman Bialik (ur. w 1873 roku, zm. w 1934 roku) – zwany „Odnowicielem poezji hebrajskiej". Poeta piszący w języku jidysz i hebrajskim, prozaik, tłumacz, wydawca, redaktor w czasopiśmie literackim. Najistotniejsze wątki jego twórczości to: odrodzenie narodu żydowskiego i powrót do Syjonu, duże znaczenie tradycyjnych centrów nauki talmudycznej i in.

O RUCHU MŁODZIEŻY SYJONISTYCZNEJ BEJTAR

Henoch Holcer

Wobec skonsolidowania się w całej Polsce w latach 1934–1935 ruchu rewizjonistycznego liczącego tysiące członków, w szczególności zaś ruchu młodzieżowego Bejtar, którego większość członków dążyła do urzeczywistnienia idei syjonistycznej przez akt emigracji do Palestyny, w różnych miejscach w Polsce założono ośrodki szkoleniowe. Także w Wieliczce powstała lokalna sekcja Bejtaru o nazwie Oddział Szkoleniowy im. Józefa Trumpeldora. Początkowo uczestniczyła w nim zaledwie garstka towarzyszy, lecz w letnich miesiącach 1933 roku dołączyła do nich większa grupa kolegów i wtedy również wybrano dowództwo, w którego skład wchodzili: Jehiel Englender, Zeew Kaplan błogosławionej pamięci oraz Henoch Holcer. Oddział powstał w domu rodziny Wilderów, na osiedlu Lednica. Miejsca pracy znajdowały się w fabryce szczotek Reichentala, wypalarni cegieł Friedmana, w garbarni Perlbergera oraz przy okresowych robotach w składach drzewnych Frenkla, Platnera i in. W połowie 1933 roku pierwsi towarzysze z oddziału udali się do Palestyny. Pośród nich znaleźli się: Kupler błogosławionej pamięci, Frister błogosławionej pamięci, Wertheim, Gilzel i inni, którzy również już odeszli.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 75–77. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

Po rozłamie w ruchu Syjonistów-Rewizjonistów (1933 rok) doszło również do podziału w Oddziale Szkoleniowym w Wieliczce[300]. Większość kolegów z Holcerem pozostało w Bejtarze: Jehiel Englender wraz z małą grupą towarzyszy odeszli i rozpoczęli szkolenie ruchu grossmanistów. Jednakże do oddziału Bejtaru dołączyli następni członkowie, pojawiły się problemy z miejscem i oddział przeniósł się do nowego, większego miejsca w Klaśnie. Obok znajdował się ośrodek szkoleniowy młodzieżówki Poalej Syjon[301] Dror. Z ich strony pojawiło się w stosunku do nas uczucie nienawiści, w szczególności po zamordowaniu Arlozorowa[302]. Spory przybierały na sile i czasami przeradzały się w otwartą przemoc. Przy jednym z konfliktów interweniował czynnie pan Frenkel z rady społeczności. Zorganizował on spotkanie pojednawcze, w którym uczestniczyli: Holcer z Bejtaru i mgr Szternberg z Droru. Moderatorem był Frenkel. Po dyskusji osiągnięto ugodę pomiędzy stronami i wszystko się uspokoiło.

Po tych wydarzeniach nasz oddział zaczął się rozwijać. Zarząd Bejtaru w Krakowie przysłał do nas wielu kolegów, co stało się przyczyną wynajęcia willi z ośmioma pokojami, ogrodem i podwórkiem, w sąsiedztwie willi rodziny Sternlicht na osiedlu Zabawa. W nowym miejscu oddział wzmocnił się, prowadząc zarazem działalność kulturalną i fizyczną. Przewodniczący Bejtaru z Krakowa ustalił skład nowego zarządu naszego oddziału: Henoch Holcer, przewodniczący, członkowie zarządu: Lonberg Mojżesz, Szeifmann i Gottfreund. Zgodnie z żądaniem zarządu zorganizowano w naszym oddziale pierwszy kongres oddziałów szkoleniowych Bejtaru z zachodniej Galicji i Śląska. Warto również odnotować wizyty znaczących postaci ruchu, między innymi: dr Dama, dr Badera, Gutmana, Lotara Schmidlera i innych. Pojawili się także miejscowi członkowie ruchu: dr Kraus, Händler i inni. W tym miejscu należy wspomnieć wielką pomoc, którą oddziałowi okazali niektórzy lokalni działacze ruchu, szczególnie Hela Wilder, Motak Wilder i Lewi Frenkel.

W końcu wszyscy członkowie Oddziału Szkoleniowego w Wieliczce wyemigrowali do Palestyny. Część z nich miała stosowne dokumenty, część zaś udała się tam „na czarno"[303]. Obecnie wszyscy działają aktywnie w różnych dziedzinach życia w naszej ojczyźnie.

[300] Od Syjonistów-Rewizjonistów oderwała się wówczas grupa pod przywództwem Meira Grossmana; zob. przyp. 287.

[301] Hebr. Poalej Cijon – Robotnicy Syjonu; ruch robotniczy łączący w swojej ideologii hasła syjonistyczne i socjalistyczne.

[302] Chaim Arlozorow, stojący na czele wydziału politycznego Agencji Żydowskiej, został w 1933 roku zamordowany w Tel Awiwie. O popełnienie tego zabójstwa oskarżono rewizjonistów.

[303] Istniało kilka dróg nielegalnej emigracji, np. przez Rumunię, docierano do brzegów Morza Czarnego, gdzie czekały zakupione bądź wynajęte przez bejtarowców statki, którymi dopływano do brzegów Palestyny, omijając patrole brytyjskiej marynarki wojennej.

RUCH SYJONISTÓW-REWIZJONISTÓW I BEJTAR W WIELICZCE

Lewi Frenkel

By dokonać przeglądu dziejów, rozwoju i działalności ruchu Żabotyńskiego[304] w naszym mieście, należy podsumować ostatnie pięćdziesiąt lat. W 1930 roku miała miejsce pierwsza wizyta Zeewa Żabotyńskiego w Krakowie w ramach cyklu wykładów propagandowych w dużych polskich miastach, w których znajdowały się odpowiednie centra żydowskie. Ich znakiem rozpoznawczym była wierność idei syjonizmu i wiara w ustanowienie państwa Izrael w ziemi Izraela. Ta wizyta Żabotyńskiego i jego słowa obudziły wśród mas żydowskich wielki entuzjazm, stając się dźwignią ponownego rozbudzenia syjonistycznego. Stało się to po zamieszkach w ziemi Izraela z 5689 (1929) roku, które spowodowały głęboki wstrząs i przygnębienie w środowisku Syjonu, Żydów polskich, którzy z całej duszy pragnęli emigrować do ziemi Izraela. Przeszkodą na ich drodze do urzeczywistnienia snu o powrocie były prawa imigracyjne władz mandatowych, które zamykały bramy przed pragnącymi powrotu Żydami z diaspory.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 77–79. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

[304] Włodzimierz Żabotyński (Władimir Zeew) (ur. w 1880 roku, zm. w 1940 roku) – działacz syjonistyczny, twórca i przywódca Nowej Organizacji Syjonistycznej, pisarz, poeta, tłumacz i publicysta.

Ziarno zasiane przez Żabotyńskiego pobudziło do zorganizowania się tych spośród żydowskich mas w Polsce, które wierzyły w jego polityczną metodę i socjalistyczne nauczania. Dodatkowe kręgi ogłosiły swoją zgodność z jego poglądami i przystąpiły do jego nowego ruchu. Z inicjatywy młodych przedsiębiorców z szeregów aktywistów syjonistycznych w naszym mieście ukształtował się zalążek organizacji Syjonistów- Rewizjonistów i Bejtaru. Spośród ich działaczy należy wymienić następujące osoby: dr Jakub Dam, dr Kraus, Samuel Perlberger (wcześniej przewodniczący oddziału Związku Syjonistów-Rewizjonistów w naszym mieście), Aszer Szafira, Lea Szteil, Hela Szpringer, Mordechaj Wilder, Cwi Schnur, bracia Solomon, Händler, Józef Liket i inni. Z biegiem czasu dołączyła także młodzież i inne osoby. Członkowie ruchu uczestniczyli żywiołowo we wszelkich formach działalności syjonistycznej, zbieraniu datków na fundusze syjonistyczne, dystrybuowanie cegiełek syjonistycznych itp. W ramach działalności komórki Bejtaru pod przewodnictwem mgr Wildera zorganizowano ożywioną, systematyczną działalność w różnych formach, takich jak: wykłady, pogadanki grupowe na tematy żydowskie, syjonistyczne i ogólne. Grupy złożone z działaczy tej komórki uczestniczyły w zlotach ruchu urządzanych poza naszym miastem, w kursach i obozach letnich młodzieży Bejtaru w różnych miejscach zachodniej Galicji i Górnego Śląska, wszędzie, gdzie je organizowano.

W naszym mieście działał Oddział Szkoleniowy Bejtaru, który objął kilkudziesięciu pionierów. Jednak z powodu ograniczeń imigracyjnych tylko niewielu z jego absolwentów zdołało wyemigrować do Palestyny przed Holokaustem. Nieliczni zdołali to uczynić w czasie II wojny światowej lub po niej. Większość naszych towarzyszy podzieliło gorzki los Żydów polskich, których pochłonęła Zagłada.

Z perspektywy odległych generacji trudno jest objąć wszystkich, których należałoby uwiecznić. Z wieloma, z którymi wychowywaliśmy się w młodości i razem działaliśmy dla wspólnego celu, przeszliśmy szmat ciekawej drogi, pełnej burz, konfliktów, żaru serca i uniesień.

Wszystkich tych, którzy byli i już ich nie ma, wszystkich, którzy marzyli, lecz nie zdołali urzeczywistnić syjonistycznego marzenia – wszystkich wspominajmy na wieki.

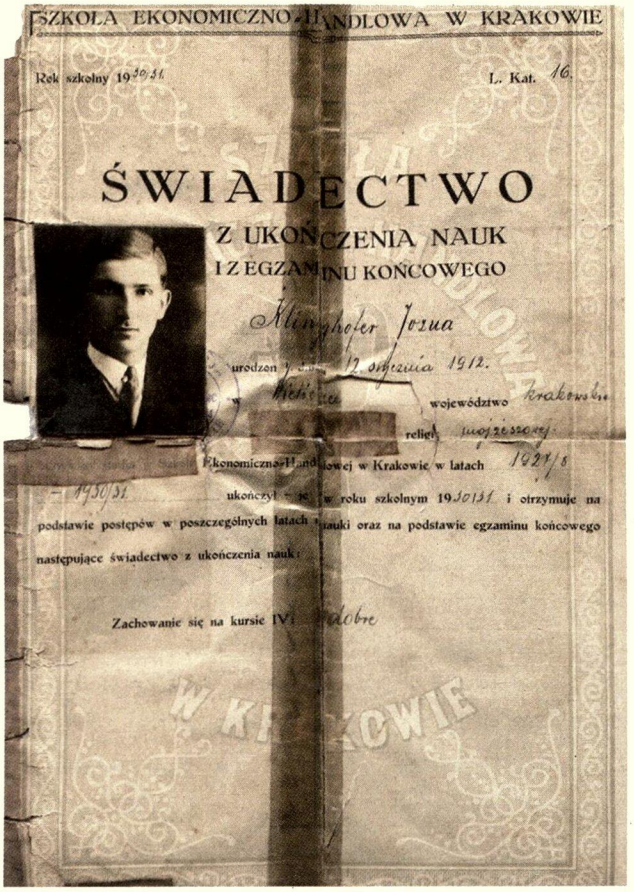
KOMÓRKA MŁODZIEŻY SYJONISTYCZNEJ AKIWA

Jehoszua Ofer

Do 1929 roku w naszym miasteczku nie było partyjnych organizacji młodzieżowych, cała zaś działalność syjonistyczna koncentrowała się na nadchodzących wyborach na Kongres Syjonistyczny. Jednak w 1929 roku wszystkie partie zaczęły tworzyć ruchy młodzieżowe. Pierwsi byli rewizjoniści, którzy skupili u siebie większość pełnoletniej młodzieży. Niewielka grupa ogólnie zorientowanej młodzieży syjonistycznej postanowiła utworzyć komórkę ruchu Akiwa, której celem była działalność wychowawcza, od najmłodszego wieku ukierunkowana na rozwijanie miłości do ziemi Izraela i przygotowanie młodzieży do wyjazdu na szkolenie i późniejszą emigrację. Komórka była podzielona na trzy drużyny w zależności od wieku. Zajęcia odbywały się przeważnie w wieczór rozpoczynający szabat i w szabat.

Akiwa była ruchem o charakterze harcerskim, stąd też najmłodsza drużyna zajmowała się głównie działalnością harcerską, w odróżnieniu od pierwszej drużyny młodzieży pełnoletniej, gdzie skupiano się na nauczaniu języka hebrajskiego, geografii ziemi Izraela, nauczaniu historii judaizmu i syjonizmu. Niemało osób z tej drużyny udawało się na szkolenie. Wszyscy szczególnie zapamiętali wieczory szabatowe, ludowe tańce izraelskie do późnych godzin i rozkoszowanie się szabatem z nadejściem

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community…*, *op. cit.*, s. 79–81. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.



SZKOŁA EKONOMICZNO-HANDLOWA W KRAKOWIE

Rok szkolny 1930/31. L. Kat. 16.

ŚWIADECTWO

Z UKOŃCZENIA NAUK I ZEGZAMINU KOŃCOWEGO

Klinghofer Jozua

urodzon[y] 17 stycznia 1912.

[Wieliczce] województwo Krakowskie

religii mojżeszowej.

Ekonomiczno-Handlowej w Krakowie w latach 1927/8

1930/31 ukończył [...] w roku szkolnym 1930/31 i otrzymuje na podstawie postępów w poszczególnych latach nauki oraz na podstawie egzaminu końcowego następujące świadectwo z ukończenia nauk:

Zachowanie się na kursie IV: dobre

W KRAKOWIE

Świadectwo ukończenia przez Jehoszuę Klinghofera Szkoły Ekonomiczno-Handlowej w Krakowie w 1931 roku. Na rewersie świadectwa wymieniono przedmioty, m.in.: język niemiecki i korespondencję, historię powszechną i gospodarczą, arytmetykę handlową, chemię handlową, korespondencję handlową, pisanie na maszynie, ćwiczenia kantorowe



L. p. 2387

Jehoszua Klinghofer
Imię Nazwisko

zamieszkały
jest członkiem żydowskiej organizacji skautowej
AGUDAT HANOAR HAIWRI „A K I B A"
w Wieliczce
Kraków, 1/VI. 1934.

Dr. J. OHRENSTEIN prezes
J. LÖFFELHOLZ sekretarz

Wyciąg ze statutu stowarzyszenia zarejestrowanego pod nazwą Agudat Hanoar Haiwri „Akiba" czyli żydowska organizacja skautowa „Akiba".
(Rozkr. Woj. Krak. z dn. 23. V. 34. Nr. Bl². V/1. Kr. m/72/34.)
Celem stowarzyszenia jest:

I. Krzewienie i wykonywanie skautingu wedle systemu Baden Powella, wśród młodzieży żydowskiej.
II. Podniesienie stanu umysłowego i fizycznego tejże młodzieży.
III. Środkami działania stowarzyszenia są:
a) wykłady z dziedziny etyki, literatury, higjeny, przyrodoznawstwa.
b) prowadzenie kursów językowych.
c) kolonje sprawnościowe, obozy, zabawy sportowe, wycieczki krajoznawcze, ćwiczenia fizyczne.
d) utrzymanie bibljoteki, czytelni, chóru, wystaw amatorskich, zespołów scenicznych i muzycznych.
e) zakładanie w łonie stowarzyszenia wzgl. kół poszczególnych sekcji. Urządzanie wspólnych zjazdów członków kół.
f) wydawanie pism propagujących cele stowarzyszenia.

Legitymacja członka ruchu Akiwa należąca do Jehoszuy Klinghofera (Ofera), 1934 rok



Paszport należący do Jehoszuy Klinghofera

dnia wolnego od pracy. Koledzy z komórki często urządzali wycieczki, na przykład w lecie do osiedli związanych z ruchem. Zajmowali się też zbieraniem pieniędzy na Żydowski Fundusz Narodowy.

Komórka zyskała pozytywną ocenę ze strony środowisk syjonistycznych, głównie ze względu na cele edukacyjne organizacji, pozytywne podejście do tradycji izraelskiej i fakt, że skupialiśmy się na działaniach wśród najmłodszych.



Widok na centrum Wieliczki z dawnej alei wzdłuż
torów kolejowych

HASZOMER HADATI ORAZ POALEJ AGUDAT ISRAEL

Tsipora Kleinman

HASZOMER HADATI

Haszomer Hadati był w Polsce ruchem młodzieży religijnej i pionierskiej, która dążyła do utworzenia społeczeństwa opartego na Torze i pracy w ziemi Izraela. Tam ruch zmienił swoją nazwę na Bnej Akiwa[305].

Podobnie jak w większości miast w Polsce, również w naszym mieście panował w tych latach ferment syjonistyczno-religijny. W 1931 roku zorganizowano naradę terenową ruchu Haszomer Hadati i jako uczestniczka tej narady postanowiłam utworzyć jego sekcję w Wieliczce. Sprawę udało się wprowadzić w życie w 1935 roku. Na mojej drodze piętrzyły się liczne trudności. Nie mieliśmy środków finansowych, brak było wsparcia publicznego. Ponieważ większość dorosłych religijnych

Teksty pochodzą z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 81–84. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

[305] Bnej Akiwa (Synowie Akiwy) – ruch zainicjowany w 1929 roku w Jerozolimie. Polska gałąź organizacji za cel postawiła sobie wychowanie młodzieży żydowskiej w duchu ideologii syjonistycznej i zarazem wierności tradycji żydowskiej. Członkostwo w organizacji miało chronić przed odchodzeniem od tradycyjnych wartości i modelu życia.

mieszkańców naszego miasta związała się z Agudat Israel[306], sprzeciwiała się postępującemu ruchowi syjonistycznemu. Od razu też mieliśmy konkurentów. W tym samym roku w Wieliczce powstał ruch Poalej Agudat Israel i Bejt Jaakow. Jednak założenie sekcji zakończyło się sukcesem dzięki naszej wierze w słuszność obranej drogi polegającej na nauczaniu młodzieży pionierskiej.

Było nas około dwadzieścioro chłopców i dziewcząt z religijnych rodzin. Przekroczyliśmy zamknięte ramy rodzinnych domów, aby poświęcić się urzeczywistnianiu szlachetnego ideału. Pan Zellner[307] wynajął nam piwnicę i pozwolił korzystać ze swojego obszernego podwórza. Wychowankowie z wielkim entuzjazmem zabrali się do pracy. Każdy zgodnie z własnymi uzdolnieniami do rysunku, zdobnictwa, robót stolarskich czy zdobywania datków. Z pomocą ich wszystkich udało nam się rozwinąć i postępować w stronę realizacji naszych celów. Działalność naszej sekcji rozwijała się na kilku płaszczyznach: dwa razy w tygodniu spotykaliśmy się na nauce języka hebrajskiego, lekcjach z geografii ziemi Izraela i historii naszego narodu.

Istota naszej działalności przypadała na szabat. W każdy szabat spotykaliśmy się we wczesnych godzinach na naukę z ksiąg *Pirke Awot*, a następnie *Oneg Szabat*[308], zawsze otwartej na pieśni: „Będziesz miłował twojego bliźniego jak siebie samego". Później słuchaliśmy jakiegoś zasadniczego wykładu na temat judaizmu lub dyskusji pomiędzy podopiecznymi. O zmierzchu w dal niosła się wspaniała pieśń naszych wychowanków, a później aż do rana odbywały się tańce. W krótkim czasie wytworzyła się ścisła więź pomiędzy wszystkimi naszymi podopiecznymi. Nasza droga stała się mniej wyboista. Działalność syjonistyczna wzmagała się, a pragnienie emigracji do ziemi Izraela stało się naszym snem. Wychowankowie z radością poświęcili się zbieraniu datków dla Żydowskiego Funduszu Narodowego i Funduszu Podstawowego. W czasie letnim uczestniczyliśmy w obozach terenowych pomyślanych jako przygotowanie do wyjazdu. Wracający z letnich obozów entuzjastycznie opowiadali o najrozmaitszych przeżyciach.

Ubolewam nad tym, że okres działalności naszej sekcji był tak krótki i zakończył się w 1939 roku wraz z wybuchem II wojny światowej. W przededniu Zagłady nasi wychowankowie rozpierzchli się we wszystkie strony. Tylko nieliczni przeżyli.

Jeden z naszych najdroższych podopiecznych, Meir Friedenfeld, zdołał po wielu perypetiach dotrzeć do ziemi Izraela w 1941 roku. Dzięki edukacji, którą otrzymał w naszym ruchu, opanował ducha poświęcenia i stawiania czoła cierpieniom i trudnościom. Po przybyciu do Palestyny dołączył do brygady żydowskiej walczącej u boku aliantów i walczył w Europie. W 1946 roku, jako żołnierz brygady, przyjechał do Wieliczki, aby odnaleźć swoją rodzinę i kolegów. Gdy zrozumiał, że wszystkich wymordowano, opuścił Polskę, powrócił do ziemi Izraela i przystąpił do akcji zalesiania. Był lubiany przez wszystkich i z oddaniem wypełniał wszystkie swoje zadania. Zginął 13 maja 1948 roku – błogosławiona jego pamięć.

---

306 Hebr. Związek Izraela – założona w 1912 roku w Katowicach antysyjonistyczna organizacja skupiająca Żydów ortodoksyjnych.

307 Michał Zellner.

308 Hebr. radość, rozkosz soboty – akt spełnienia nakazu simchy (radości) i odpoczynku podczas szabatu. Nie była to księga, jak pisze autorka. Przytoczony przez nią cytat pochodzi z Tory (Wajikra [Kpł] 19,18).

Inny z naszych wychowanków, Jakub Klein, rozstał się z życiem, gdy po wielu przygodach, w różnych krajach europejskich, w końcu przybył do Izraela.

Piękne były te lata i bogata była nasza działalność, którą wspominamy z rozrzewnieniem.

POALEJ AGUDAT ISRAEL

W 1935 roku w Wieliczce zorganizowała się sekcja Poalej Agudat Israel. Zebrała się w niej religijna młodzież, która podjęła decyzję o emigracji do ziemi Izraela. Dołączyli do niej ludzie z różnych warstw społecznych, inteligencja i osoby niewykształcone. Ta silna grupa postanowiła urzeczywistnić ideał studium Tory i pracy w ziemi Izraela. W tym celu zorganizowaliśmy szkolenie, które objęło około czterdziestu entuzjastycznych mężczyzn, którzy z oddaniem pracowali, wykonując prace ręczne i chcąc w ten sposób przygotować się na życie w Palestynie. Wewnętrzne życie na szkoleniu polegało na sprawiedliwym podziale zadań zgodnie z fizycznymi zdolnościami towarzyszy. Silniejsi wcześnie rano wychodzili do pracy. Część z nich była zatrudniona w garbarni Perlbergera w Klaśnie, inni u Kelnera w składach drzewnych lub u Wolfa w piwiarni lub wytwórni sody. Słabsi fizycznie zajmowali się przygotowaniem pożywienia, porządkowaniem, sprzątaniem, praniem i innymi potrzebami materialnymi. Ci zaś, którzy nie byli w stanie wykonywać żadnej pracy, poświęcali swój czas studiowaniu świętych pism. Wszyscy przyjmowali ten podział ze zrozumieniem i z zadowoleniem.

Wieczorem wszyscy razem uczestniczyli w zajęciach z Talmudu, halachy i judaizmu. Członkowie Poalej Agudat Israel założyli z biegiem czasu fundację, którą nazwali Keren Ha-jiszuw. Pieniądze zbierano przy różnych okazjach. Pamiętam na przykład przedstawienie *Sprzedanie Józefa* i inne sztuki. Rozogniały one szerszą publiczność, która nie skąpiła szczodrych datków. Pieniądze przekazywano bezpośrednio Poalej Agudat Israel i wykorzystywano je do zakładania kibuców i moszawów[309] pracowników Poalej Agudat Israel w Palestynie. W tym samym czasie otwarto także w Wieliczce sekcję Benot Agudat Israel – Bejt Jaakow, w której zebrały się dziewczęta z religijnych domów i miały własną nauczycielkę od spraw religijnych. Również one przygotowywały przedstawienia na święta Purim lub Chanuki, a zebrane pieniądze przekazywano na Keren Ha-jiszuw i przesyłano do ziemi Izraela.

W przededniu Zagłady w 1938 roku ustała działalność szkoleniowa. Moi wychowankowie, członkowie Poalej Agudat Israel, różnymi drogami docierali do Palestyny. Część przyjeżdżała z wymaganymi dokumentami, część inaczej, nielegalnie, jak Nachman Sobel. W Izraelu niektórzy przyłączali się do moszawów i zakładali oddane tej ziemi religijne rodziny, które realizowały ich zasadniczy cel – budowania i bycia zbudowanym.

309 Moszaw – typowa spółdzielnia rolnicza tworzona przez syjonistów napływających masowo do Palestyny na początku XX wieku.

STROJE SPACEROWE BUFET OBFITY

Potektorat obejmują:

JWP. Dr. F. Bernwaldowa
I. Bittnerowa
C. Bodnerowa
E. Brandowa
R. Englenderowa
F. Goldbergerowa
R. Gdańska
T. Kornfeldowa
S. Küchlerowa
H. Küchlerowa
H. Kleinmanowa
D. Kleinmanowa
G. Libenheimerowa
M. Medamowa
R. Neigerowa
B. Schleichkornowa
R. Weizenhoffowa
R. Windholzowa

JAZ BAND



KOMITET LOKALNY ORGANIZACJI SJONSKIEJ
W GDOWIE.

URZĄDZA

DNIA 26 GRUDNIA 1932 ROKU W SALACH MAGISTRATU
W GDOWIE.

Zabawę Chanukową

POŁĄCZONĄ Z WIECZOREM HUMORU, KONKURSEM PIĘKNOŚCI, TAŃCÓW
I INNYCH NIESPODZIANEK.

Na który ma zaszczyt zaprosić

WP. *Fitzlowie*

KOMITET.

Zaproszenie na zabawę chanukową dla państwa Fitzke z Wieliczki od rodziny Küchlerów mieszkającej wówczas w Gdowie, 26 grudnia 1932 roku



Panorama Wieliczki. W tle Kraków

WSPOMIENIA

Heniek Salomon, Moniek Salomon

Nasza rodzina składała się z ojca Aleksandra (Sendek), matki Felicji z Königsbergerów, starszego brata błp. Abrahama (Zylka) i nas bliźniaków.

Nasza rodzina była tradycyjna, matka zapalała świece w sobotę, a jedzenie było koszerne. Od czternastego roku życia należeliśmy do organizacji Heatid. Rozwijała ona wszechstronną działalność syjonistyczną i kulturalną. Posiadała bogatą bibliotekę i można było z niej wypożyczyć do domu książki, organizowała kursy języka hebrajskiego. W każdy sobotni wieczór interesujące referaty przedstawiali znani mówcy z Krakowa, tacy jak: dr Feldblum, dr Schwarzbrat, mgr Salpeter, prof. Szmulewicz, Romek Hofsteter i inni. Referaty te cieszyły się wielką popularnością i sala zawsze była pełna. W niedzielę urządzano wycieczki do Puszczy Niepołomickiej, Dobczyc, Myślenic i okolicznych wsi.

Z ramienia Heatid założono organizację chalucową, której celem była hachszara[310], tzn. przygotowanie się do wyjazdu do *Erec Israel*.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 91–93.

[310] Hachszara – nazwa ośrodka dla przyszłych osadników, którzy mieli zamiar emigrować do Palestyny. Przygotowywali się w nich do warunków pionierskiego życia w nowym kraju. Najczęściej były to gospodarstwa rolne.

Zbierano też pieniądze dla KKL[311]. Rozdawano puszki i opróżniano je. Sprzedawano szekel jako dowód przynależności do organizacji syjonistycznej. Szczególnie czynny w tej pracy był Jehoszua Klinghofer.

Po kilku latach młodzież żydowska podzieliła się na kilka ugrupowań syjonistycznych: Ogólnych Syjonistów, Mizrachi[312], Bejtar. Wszystkie te ugrupowania stanowiły przeciwwagę sączącego się już wtedy w młodzież żydowską komunizmu, jak i fanatyzmu religijnego. W 1930 roku odbyły się wybory do polskiego sejmu. Aguda w Wieliczce głosowała wtedy razem z antysemitami na rządową listę chadeków, a nie na syjonistyczną listę z rabinem dr. Ozjaszem Thonem, znanym przywódcą syjonistycznym w Małopolsce. Podczas tych wyborów po raz pierwszy doszło do kłótni i rękoczynów między młodzieżą syjonistyczną a Agudą, na skutek czego ja znalazłem się w areszcie. Dzisiaj wydaje mi się to niewłaściwe, że zawsze na czele gminy żydowskiej stał człowiek bogaty, a nie osobowość, która mogłaby godnie reprezentować miejskie społeczeństwo żydowskie.

Młodzież żydowska zajmowała się w tym czasie rzemiosłem, pomocą w handlu, ale duża jej część również studiowała, co umożliwiała bliskość Krakowa (dwadzieścia minut jazdy motorówką!) i jego szkół, jak gimnazjum hebrajskie, Uniwersytet Jagielloński i szkoły zawodowe.

Z naszych walk z antysemitami utrwalił mi się w pamięci jeden incydent: wielickim Żydom dał się we znaki wybitny antysemita nazwiskiem Młynek. Był on nauczycielem w gimnazjum i redaktorem antysemickiej gazety, w której podżegał miejscową ludność polską przeciw Żydom. Nosił długą, siwą brodę i wyglądał jak Żyd. Razu pewnego kilku chłopców żydowskich nałożyło mu worek na głowę i krzycząc „bij Żyda!", porządnie go pobiło. Nie pomogły jego krzyki, że nie jest Żydem. To była nasza satysfakcja w tych czasach przed wojną. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jaka tragiczna epoka nas czeka.

Trudno byłoby pominąć imię błp. Moszego Klinghofera[313], który był przewodnikiem charytatywnym. Jego ręka zawsze była otwarta dla ubogich lub chodził od obywatela do obywatela zbierać dla ludzi, którzy byli w potrzebie, mimo jego ciężkiej pracy w interesie. Był też jedynym, który w starszym wieku wyjechał do Palestyny.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o pewnej rodzinie z Wieliczki, której wielu wieliczan nie znało, nazwiskiem Lusgarten. Mieszkali oni tam, gdzie krótką drogą szło się na Kozi Rożek koło gimnazjum żeńskiego. Ojciec zajmował się szewstwem i miał dwóch synów i córkę. Srulek pracował razem z ojcem, a drugi, Moniek, był zatrudniony u Lewingerberga w piekarni. Chłopców tych poznałem w Samarkandzie.

Srulek, który pracował jako cholewkarz w spółdzielni, odznaczał się nadzwyczajnym charakterem i dobrocią, pomagał każdemu w potrzebie, bo miał znajomości w milicji, a zawód jego był w Rosji bardzo popularny. Były wypadki, że wstawał o dwunastej w nocy, leciał na milicję i wyciągał ludzi z więzienia, i to bezinteresownie.

---

311 Keren Kajemet le-Israel, czyli Żydowski Fundusz Narodowy. Do gromadzenia datków używano specjalnych niebieskich skarbon. Zob. s. 117, także przyp. 290.

312 Mizrachi (Organizacja Syjonistów-Ortodoksów „Mizrachi") – religijny ruch syjonistyczny, którego cele wyrażało motto: „Ziemia Izraela dla ludu Izraela, zgodnie z Torą [Prawem – przyp. red.] Izraela".

313 O Moszem Klinghoferze opowiada także Lena Küchler, zob. s. 231–236.

DWIE SIOSTRY

Miriam Gafni, Sara Gafni

Nasza rodzina, Sztrojsberg, zamieszkiwała małą, starą osadę żydowską – Klasno. Urodziłyśmy się w wielce pobożnym domu. Stąd też zrozumiałe jest, że nie należałyśmy do ruchu syjonistycznego, który był u nas tematem całkowicie zakazanym. Nasz dom oddany był wyłącznie religii i tradycji żydowskiej. Mój dziadek, Szalom Sztrojsberg, błogosławionej pamięci, był rzezakiem, szanowanym i lubianym przez całą społeczność. Babcia, pokój z nią, była wielce szlachetną kobietą, nieustannie zatroskaną o dom jak kura o swoje pisklęta. Mój ojciec, Gerszon Sztrojsberg, świętej pamięci, należał do chasydów z Bełżca i często opuszczał dom i rodzinę, aby udać się do swojego rabina i wzmocnić się jego nauczaniem i mądrością. Nasza mama, pokój z nią, była kobietą uzdolnioną i pracowitą, dbającą o sprawy domu. Mieliśmy dużą piekarnię, którą kierował ojciec. Miał pracowników, którzy mieszkali razem z nami w naszym domu. Panowała rodzinna atmosfera. Pracownicy zasiadali z nami przy wspólnym stole i byli traktowani jak członkowie rodziny. Piekarnia zaopatrywała w chleb i strucle całe miasto i okoliczne wioski. Nawet my, dzieci, przyjmowaliśmy na siebie część obowiązków związanych z pracą w niej. Często udawaliśmy się do okolicznych wiosek, aby sprzedawać wyroby naszej piekarni. W naszym domu wypiekano także

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 61–65. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

koszerną macę na święto Pesach i pomagaliśmy ojcu w jej sprzedaży w okolicznych miasteczkach.

W naszym domu dzieci były błogosławieństwem. Było nas siedmioro: dwóch synów i pięć córek.

Całe miasto było niczym jedna wielka rodzina, dzieląca radości i smutki. W tych czasach nie było jeszcze sal weselnych i przyjęło się, że często przed ślubem pan młody i pani młoda przebywali jakiś czas u nas. Jako dzieci widzieliśmy w tym wielki zaszczyt dla naszej rodziny. Żydowski zwyczaj dawania prezentu po kryjomu był w naszym domu również czymś normalnym. W każdy szabatowy wieczór mama posyłała nas do ubogich domów z szabatową struclą i winem dla uświęcenia szabatu. To było prawo związane ze świętami. Mama przygotowywała „przesyłkę z posiłkami", opakowując je skromnie, i z naszą pomocą posyłała je do biedaków. W ogóle nasz dom, który stał obok synagogi, był domem otwartym dla wszystkich. Na święta Rosz Haszana[314] i Jom Kippur, gdy wszyscy z całej okolicy zbierali się na modlitwę, przechodząc, zachodzili do naszego domu i dzielili się swoimi troskami, a czasami nawet łzami. Dla wszystkich było miejsce. Taka panowała u nas atmosfera, którą jako dzieci nosiliśmy w naszym wnętrzu.

Jak wspomniałyśmy, było nas pięć sióstr i wszystkie otrzymałyśmy wykształcenie ludowe w szkole powszechnej. W szabat i święta zwalniano nas z lekcji. Gdy byłyśmy nieobecne, jedna z naszych chrześcijańskich przyjaciółek przekazywała nam ich treść i zadania domowe. W domu mówiło się w dwóch językach: oczywiście z rodzicami rozmawialiśmy w jidysz, a między sobą po polsku. W szkole uczono nas także niemieckiego jako drugiego języka. Gdy moja siostra Miriam zakończyła naukę w szkole powszechnej, kontynuowała edukację w Krakowie, w Żydowskiej Szkole Handlowej[315], uznanej przez władze polskie, i zdołała ją ukończyć. Gdy ja ukończyłam szkołę powszechną, mój starszy brat, Menasze Sztrojsberg, zaproponował, abym podjęła naukę w seminarium dla nauczycielek prowadzonym przez Agudat Israel. Nie pamiętam już, co skłoniło mnie do odmowy. Poszłam w ślady mojej siostry i podjęłam, a po pięciu latach zakończyłam, naukę w Żydowskiej Szkole Handlowej w Krakowie. Spośród nas pięciu tylko my ukończyłyśmy szkołę średnią. Po zakończeniu nauki nasze życie ułożyło się zgodnie z ustalonym porządkiem. Miriam, która skończyła szkołę wcześniej, otrzymała posadę urzędniczki, ja zaś tymczasowo pozostałam w domu, pomagając we wszystkim.

Wtedy w naszym życiu nastąpił przełom. W Wieliczce zorganizowała się grupa szkoleniowa pod nazwą Dror i niektórzy z jej członków pracowali u nas jako robotnicy sezonowi przy wypieku macy. Było rzeczą naturalną, że jako młode dziewczyny zainteresowałyśmy się tym towarzystwem i jego działalnością. Byli odmienni od wszystkiego, co do tej pory poznałyśmy. W ten sposób moja siostra i ja zaczęłyśmy przychodzić do ich grupy w Wieliczce. Udawałyśmy się tam piechotą przed szabatem, po obiedzie, gdy ojciec szedł z wizytą do rabina, i następnego dnia, w szabat, po kolacji, gdy ojciec odpoczywał, biegłyśmy dystans siedmiu kilometrów do pobliskiego

[314] Rosz Haszana – święto Nowego Roku (nazywane też w Polsce Świętem Trąbek) obchodzone pierwszego i drugiego dnia miesiąca tiszri (wg kalendarza gregoriańskiego wrzesień–październik), będące początkiem Jamim Noraim (Dziesięciu Dni Pokuty), które kończą się w dniu Jom Kippur.

[315] Prywatne Żydowskie Koedukacyjne Gimnazjum Kupieckie w Krakowie – mieściło się na ul. Stradom 10.

Płaszowa, gdzie znajdowało się centrum ich kibucu. Zarówno podczas wizyt w wielickim oddziale, jak również następnego dnia w centrum w Płaszowie zawsze starałyśmy się wrócić do domu przed ojcem, przed zakończeniem szabatu.

Było z naszej strony wielką naiwnością myśleć, że zdołamy ukryć całą rzecz przez dłuższy czas. Rzeczywiście, koniec końców sprawa naszych związków z kibucem wydała się, jak również to, że zamierzamy przejść w nim przeszkolenie. Wtedy w domu zapanował smutek. Mama pierwsza podniosła się na duchu. Jako kobieta czynu rozumiała, co się z nami dzieje, i pogodziła się z rzeczywistością. Odmiennie było w wypadku ojca. Przeżył ciężki kryzys. My, córki, czułyśmy, że nasza droga jest słuszna, mimo to byłyśmy zagubione i nie wiedziałyśmy, co dalej czynić. Jak możemy chodzić na szkolenie pomimo zdecydowanego sprzeciwu ojca? Ciężko było nam się z tym uporać i w rodzinie odbyła się niejedna narada w kwestii tego, co robić. Ojciec całkowicie zamilkł. Myślał, że zamierzamy opuścić dom i udać się na szkolenie. Przed nami pojawił się problem, w jaki sposób się z nim rozstać.

Na nasze szczęście ojcu urodziła się wtedy wnuczka, której ojcem był Menasze. Postanowiłyśmy wykorzystać tę chwilę radości do naszych celów. Plan polegał na tym, że przyjdziemy do naszego brata, aby cieszyć się wraz z nim, a przy okazji pożegnamy się z ojcem, po tym, jak nasz brat przygotuje go na to i ułatwi mu bolesne rozstanie. Gdy przyszłyśmy do brata, zastałyśmy ojca płaczącego na stojąco. Też stałyśmy i płakałyśmy wraz z nim. Koniec końców rozstaliśmy się. Powiedziałyśmy mu „Szalom", lecz on nie odpowiedział i nadal płakał. Mimo wszystko jego serce było z nami nadal. Szłyśmy w kierunku stacji pociągu elektrycznego do Krakowa. Gdy dotarłyśmy do niej, po raz pierwszy popatrzyłyśmy za siebie i zobaczyłyśmy, że ojciec towarzyszy nam z daleka. Był rok 1934.

Miejsce szkolenia znajdowało się w miasteczku Kamionka w pobliżu Lwowa. Jednak gdy przyjechałyśmy do centrum Lwowa, nie pozwolono nam jechać dalej i tam pozostałyśmy. Na szkoleniu panowały straszne warunki: głód, zimno, brakowało wszystkiego, warunki mieszkaniowe nie do zniesienia. Halę warsztatową zamieniono na barak mieszkalny dla sześćdziesięciu, siedemdziesięciu osób. Panowało bezrobocie i wiele osób było dosłownie bez ubrania. Gdy zobaczyli nasze wielkie walizki pełne wszelkiego dobra, cieszyli się, jakby znaleźli skarb. Od razu podzielono nasze odzienie. Następnego dnia rano zobaczyłyśmy kibucnice w tych ubraniach. Po pewnym czasie przeprowadziłyśmy się do porzuconego domu z małymi pokojami, co rozwiązało w znacznej mierze problem przeludnienia, chociaż nadal w jednym łóżku spały po dwie osoby. Na dodatek w tym domu roiło się od szczurów i pluskiew, a sytuacja materialna pogorszyła się krańcowo. Jeszcze trochę i ten pożałowania godny stan ogarnąłby również nas. Wobec panującego głodu paczki z domu, od mamy, miały dla nas wielkie znaczenie. Mama, która z oddali wyczuwała naszą trudną sytuację, przysyłała nam znaczki pocztowe, abyśmy mogły posyłać listy do domu. Nieraz zdarzało się, że musiałyśmy kupować znaczki za jedzenie...



Młodzież wielicka przed wojną: od lewej Wimer (imię nieznane), Szymon Schnur, Izaak Birnbaum i Maks Farber

DOM RODZINNY NA KLAŚNIE

Izaak Birnbaum

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Izaakiem i Zofią Birnbaumami w Hajfie 14 i 16 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Często myślę o Polsce i wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj.

Mój ojciec Hirsz Birnbaum z Krakowa ożenił się z Pauliną Perlberger z Wieliczki. Jego rodzice, Pinkas i Rózia, pobrali się w Łodzi, gdzie urodziło się im dwóch synów, Hirsz i Józef. Następnie całą rodziną przyjechali do Krakowa, mieszkali na ulicy Mostowej. Po ślubie z mamą około 1921 roku ojciec przeprowadził się do Wieliczki do domu na Garbarskiej na Klaśnie. Rodzice zamieszkali z dziadkiem Rubinem Perlbergerem i babką Teresą, z domu Labin, która pochodziła z Bielska Białej i w związku z tym rozmawiała tylko po niemiecku i po żydowsku. U rodziny Labinów byłem raz przed wojną w odwiedzinach. Dziadka Rubina nie pamiętam, zmarł w 1925 roku jak miałem trzy lata, nie dożył sześćdziesięciu lat, został pochowany na cmentarzu na Grabówkach, na kierkowie. Wiem, że miał pięciu braci, ale znałem tylko jednego z nich, Markusa Perlbergera, mieszkającego w domu na Klaśnieńskiej 25, miał też jedną siostrę. Perlbergerowie, którzy mieszkali w dużym, białym domu na Klaśnieńskiej 28 i mieli rafinerię wódek, nie byli naszymi krewnymi, to była inna rodzina. Moi dziadkowie Perlbergerowie mieli jedenaścioro dzieci: czterech synów i siedem córek – najstarszy syn nazywał się Mojżesz, drugi Hercel (jako dorosły zamieszkał w Nowym Sączu, nie został w Wieliczce), po-



Dom przy ulicy Klaśnieńskiej 25 w Wieliczce przed wojną należący do Markusa Perlbergera, lata siedemdziesiąte XX wieku



Rita Birnbaum, siostra Izaaka, około 1940 roku

tem były córki Regina, Felicja i Paulina, czyli moja mama, następnie synowie Markus i Aleksander, a na końcu Helena, Matylda i Fryda. Bracia mamy oprócz Hercla zostali w Wieliczce i pracowali w garbarni, a siostry różnie, jedna wyszła za mąż w Berlinie i tam mieszkała do wojny, potem wyjechała do Francji i uratowała się w ukryciu w Paryżu, druga mieszkała w Bielsku-Białej, a reszta w Wieliczce. Jedna ciotka na początku wojny wyjechała z Polski na Węgry i tam się uratowała. Ciotka Fela wyszła za mąż za Chaima Schenkera i mieszkała na ulicy Janieńskiej 1, w domu Roga, Polaka, który pojechał do Ameryki, był tam pięć lat i po powrocie wybudował dwupiętrową kamienicę, a z tyłu za nią długi parterowy drewniany domek, w którym mieszkał ze swoją rodziną; znałem jego syna Bolesława. Wujek Schenker razem z moim ojcem pracowali w garbarni. Jego krewni mieszkali w Nowym Jorku, mieli fabrykę czekolady.

Kiedy się urodziłem, 10 stycznia 1922 roku, były ponoć takie śniegi, że w urzędzie zarejestrowano mnie dopiero po kilku dniach, bo nie dało się dojść do magistratu. Nasz dom przy Garbarskiej 9 wybudował jeszcze dziadek Rubin pod koniec XIX wieku, moja mama też się w nim urodziła, powstał dużo wcześniej niż budynki garbarni. Był drewniany, dopiero dobudówki po obu stronach domu częściowo murowano. W jednej z nich na dole było biuro garbarni, z tyłu kuchnia i pokoje na górze, tam mieszkał brat mamy Markus, który był kawalerem. W drugiej części na dole były magazyny i kuchnia – jedna była u nas mięsna, a osobno mleczna – musiało być koszernie. W dwóch pokojach na górze mieszkali rodzice i ja z siostrami: Ritą młodszą ode mnie o pięć lat i Gizą młodszą o dziesięć. W każdym pokoju stał piec kaflowy i opalało się węglem, przywożonym w dużych ilościach do garbarni. Mieliśmy łazienkę z ubikacją na parterze, a w niej duży piec z mosiądzu, gdzie grzało się wodę, a następnie kąpano w wannie. Wodę laliśmy z kranu, z wodociągu, bo był w Wieliczce, odkąd pamiętam mieliśmy doprowadzoną wodę. Była też jeszcze jedna ubikacja z drugiej strony. Nasz dom był jedynym na Klaśnie z łazienką, wszędzie dookoła ludzie stawiali wychodki na zewnątrz (mówiło się na nie ule), a myli się w miednicach. W domu mieliśmy własny prąd, robiliśmy go na miejscu w dużym kotle w garbarni albo pobieraliśmy z elektrowni miejskiej, bo Wieliczka miała elektrownię, nie pamiętam mieszkania bez światła.

Jako jedyni na Klaśnie założyliśmy też telefon. Jak go nam doprowadzali, pamiętam, że przez jakiś czas mieliśmy ostatni numer w Wielicz-

ce, dziewiąty – u nas była garbarnia, to musiał być telefon. Poza tym kopalnia soli miała, policja, straż ogniowa, apteka, może Friedman i jakiś lekarz, nie wiem dokładnie, kto jeszcze. Kręciło się korbką; jak się chciało rozmawiać w Wieliczce, to dzwoniło się na pocztę i mówiło: proszę mnie połączyć z numerem na przykład trzy albo wymieniało się nazwisko. A do Krakowa czy do Warszawy po zamówieniu rozmowy trzeba było odłożyć słuchawkę i czekać na połączenie przez pocztę; do Warszawy to i pół dnia się czekało, do Krakowa po paru minutach było połączenie. Ja przed wojną rozmawiałem przez telefon z dziadkiem z Krakowa. Przychodzili też sąsiedzi dzwonić, pamiętam, jak zawołałem jednego, bo dzwoniła rodzina z informacją o śmierci kogoś bliskiego, a on prosił mego ojca: „Niech pan rozmawia, bo ja nie umiem mówić przez telefon".

Z jednej strony domu na drugą prowadził drewniany korytarz. Wewnątrz domu wszystko było koszerne, pobożne. W kuchni mieliśmy duży piec, na nim się gotowało. Do pomocy były dwie kobiety Polki, jedna Józefa spoza Wieliczki, druga z Żywca, Aniela, miała siedemnaście lat. Pracowała aż do wojny, nawet nauczyła się mówić po żydowsku, wyszła za mąż za naszego pracownika Tomasza Zasadnego z Sierczy. Do gotowania była Żydówka ze Śląska, Maria, bo musiało być koszerne jedzenie; rozmawiała po niemiecku, tak jak babka Teresa, która rozumiała też po polsku, może nawet trochę rozmawiała, ale przeważnie słyszałem u niej niemiecki. Poza tym wszyscy w domu dobrze mówiliśmy po polsku, choć mężczyźni między sobą rozmawiali po żydowsku, w jidysz.

Mieszkaliśmy przy samej garbarni. Założył ją dziadek Rubin na początku XX wieku. Zaczynał od garbowania skór w szopie obok domu, w czterech niewielkich beczkach, przy których pracował on sam z czterema synami, potem dołączył do nich mój ojciec, jeden wujek wyjechał do Nowego Sącza. Już po śmierci dziadka ojciec z wujkami kupili konia i mogli zawozić skóry wozem do Krakowa, na początku lat trzydziestych było tych koni sześć, trzy pary. A z czasem powstała duża garbarnia, która w 1939 roku zatrudniała ponad sto osób. Stopniowo trzeba było stawiać nowe budynki. Pamiętam, jak kupiliśmy od sąsiada, nazywał się Sobel, działkę ze starym domem, który zburzono i postawiono najpierw nieduży budynek garbarni, potem pomału, pomału cały czas ją rozbudowywano. Zaczął nią kierować mój ojciec, który około 1935–1936 roku do wyrobu skór sprowadził z Czechosłowacji majstra o nazwisku Alojzy Samohyr. Wujkowie założyli dodatkowe interesy, skupowali surowe skóry z okolicy Wieliczki i dostarczali nam. Na parterze w budynku garbarni była produkcja podstawowa, w ziemi było wkopane coś w rodzaju basenu z wapnem, gdzie zanurzało się krowie skóry związane za dwie nogi, wiszące na patyku, jedna obok drugiej w partiach po pięćdziesiąt sztuk. W kolejnych miejscach je obrabiano i wykańczano, z czasem na piętrze, bo zakład był piętrowy.

Wyrabialiśmy skóry juchtowe i podeszwowe, dostarczaliśmy je Wojsku Polskiemu; odsyłane były na ulicę Szlak 5 w Krakowie do magazynów wojskowych. Twarde skóry przeznaczało się na podeszwy, a juchtowe, takie żółte, farbowało się na czarno i wykorzystywano na buty dla żołnierzy. Jak była gotowa większa partia skór, przyjeżdżali z wojska, czasami nawet oficer w mundurze z cywilem, i oglądali każdą skórę, jeśli jakaś miała dziury albo była nieładna, to odrzucali, wtenczas sprzedawało się ją na prywatnym rynku do sklepów w Krakowie. Mieliśmy auto ciężarowe i drugie osobowe, czarnego Mercedesa, z taką budą, którą można było odkryć. Szoferami byli Żyd

Warman i Polak Korpak, ja nie prowadziłem, miałem siedemnaście lat, ojciec też nie, tylko wujek Markus. Pracowali u nas głównie Polacy, zatrudnialiśmy też siedemnastu Żydów, między innymi Wasserlaua. Z Polaków pamiętam Tomasza Zasadnego, Franciszka Przetaczka, Żołnierczyka, Jędrzejczyka, Frankowskiego – prowadził ślusarnię, był jednym z majstrów.

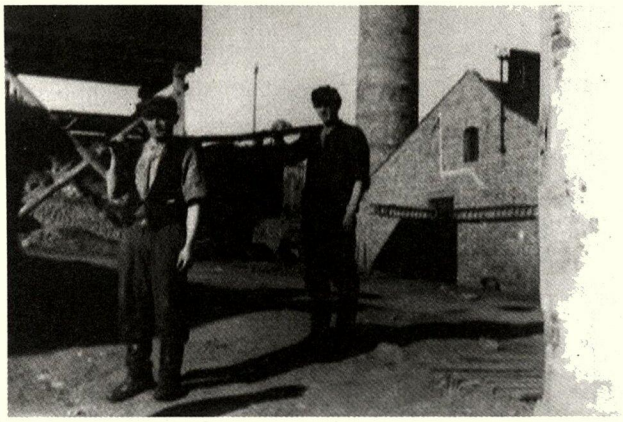
Przed samą wojną, jak wróciłem ze szkoły garbarskiej z Wiednia, zaczęliśmy też produkować skóry szewro, z kóz albo z owcy, delikatne, na półbuty i pantofle, i skóry boksowe z krów z przeznaczeniem na mocniejsze wierzchnie buty.

W garbarni była jadalnia, duże dwa pokoje z długimi stołami i ławkami, pracownicy jedli w południe, ojciec przychodził do domu, na wpół do pierwszej przeważnie. U nas na obiad podawało się dwa dania i piło się kompot. Na śniadanie około ósmej jedliśmy chleb, masło, śledzie, kiełbasę – wtedy gdy nie jedliśmy masła, bo nie wolno było mieszać, piliśmy kawę, herbatę. Mięso jedliśmy osobno i masło osobno. Na kolację, około szóstej, był chleb z masłem, jarzyny. Mieliśmy dwie krowy, sami robiliśmy masło. W soboty jedliśmy rosół, czulent, czyli groch z kaszą, który się w garnku w piątek niosło do piekarza i całą noc tam grzało, albo rybę po żydowsku.

Nie czuliśmy różnicy między Żydami klaśnieńskimi a pozostałymi w Wieliczce, nikt jej nie robił. Duża większość była pobożna, wszyscy wierzyli, że istnieje Bóg i kieruje tym wszystkim, że nas prowadzi. Chodzili się modlić. Do wojny często widywałem w Wieliczce i na Klaśnie Żydów w tradycyjnych strojach, w chałatach i kapeluszach, z brodami.

Chodziłem codziennie do szkoły do Wieliczki z Klasna, nie było chodników ani drogi brukowanej, buty miało się brudne, po deszczu ludzie gubili kalosze w błocie, potem widziało się tu kalosz, tam







1. Tomasz Zasadny, pracownik garbarni, przed jej budynkiem, lata trzydzieste XX wieku
2. i 3. Zabudowania garbarni Perlbergerów i Birnbaumów, lata trzydzieste XX wieku.



Pracownicy na zapleczu garbarni Perlbergerów i Birnbaumów. Stoją od lewej: Żołnierczyk, Wasserlau i Jędrzejczyk, lata trzydzieste XX wieku

kalosz. W Wieliczce też nie było brukowanej drogi, tylko z motorówki do kopalni soli kocie łby z kamieni, takie same były jeszcze na Górnym i Dolnym Rynku, poza tym wszędzie błoto po deszczu. Za to na Klaśnie nie było ciemno, stały słupy co jakieś sto metrów i jak się zapaliło lampy, to świeciły.

Jako dziecko grałem z chłopcami w piłkę nożną, bawiliśmy się w kryjówki, chodziliśmy pływać nad staw na Czubinowie, biegaliśmy po całym Klaśnie i okolicy, najbliżej po sąsiedzku miałem kolegów Sobla i Windaka, zapuszczaliśmy się też na Sierczę, tam mieszkali chłopcy z klasy, Baran, Frankowski, Zasadny. Dziewczyny bawiły się osobno, a chłopcy osobno.

Mówiliśmy: „idę na Klasne", „byłem na Klasnej"[316], „idę na Sierczę", „na Rożnowe", „na Grabówki", „idę do Wieliczki albo do miasta", „jadę do Krakowa", ale często do Krakowa szło się pieszo, bo nie było na motorówkę, która kosztowała sporo, choć na pewno nie złotówkę, bo złotówka to było bardzo dużo.

Do szkoły powszechnej chodziłem do „bednarki"[317], razem ze mną było siedmiu Żydów na trzydzieścioro jeden uczniów w klasie. Nasz nauczyciel nazywał się Dyrkacz, a dyrektorem szkoły był Guzik. Uczyły mnie nauczycielki Smrokowska, Kwarciakówna. Chodziłem do jednej klasy z Zygmuntem Kleinbergerem[318], przez siedem lat, on był najlepszym uczniem. Bywałem u niego w domu. Nasze mamy też się razem uczyły i moja mama, jak o niej mówiła, to nigdy Kleinberger, tylko używała jej panieńskiego nazwiska Einhorn. Inni żydowscy koledzy to Zygmunt Waldman[319], Markus Küchler, Wertheimer, Mojżesz Zellner. Ojciec Waldmana miał dwór w Sułkowie, podczas wojny byliśmy razem w getcie krakowskim, chciałem, żeby szedł ze mną do kryjówki do Polaka, ale on się nie zdecydował, ponoć zginął dzień przed zakończeniem wojny w obozie, chyba w Skarżysku.

316 Formy „Klasne" i „Klasnej" – lokalne.

317 Szkoła Powszechna im. Tadeusza Kościuszki.

318 Zob. s. 217.

319 Zob. s. 360.



Izaak Birnbaum w Wiedniu na ławce z napisem „Tylko dla Aryjczyków", 1938 rok

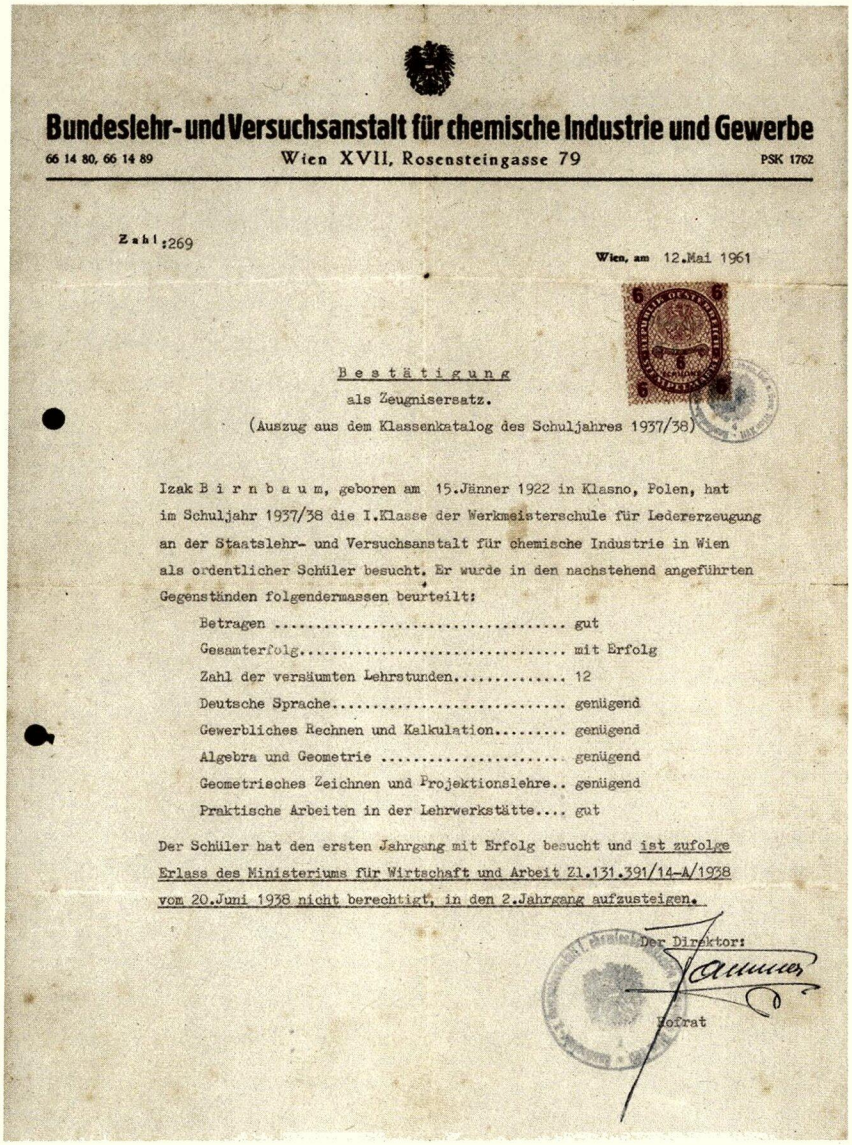
Podczas przerwy żydowscy chłopcy stawali zazwyczaj koło bramy szkolnej albo koło budynku. Chociaż nauczyciele byli obok, to baliśmy się wychodzić na boisko, żeby nas Polacy nie zaczęli bić, poza tym przezywali nas, dokuczali. Jak byłem w siódmej klasie, to raz szedłem ulicą i jeden z moich szkolnych kolegów, taki najsilniejszy, Zygmunt Rynduch, krzyknął na mnie „ty Żydzie parszywy!" i buch mnie w twarz. Tak go wtenczas zbiłem, że aż krzyczał „rany boskie!". Przestałem i od tego czasu byliśmy dobrymi kolegami, a Żydzi mogli wychodzić na boisko, bo jak ja go zbiłem, to się teraz mnie bali. Inni moi koledzy z klasy to Baran i Batko – byli przede mną w dzienniku – Jędrzejczyk i Sikora. Nie lubiłem się uczyć, wolałem grać w piłkę.

Po ukończeniu „bednarki" poszedłem do średniej szkoły handlowej[320] na ulicy Stradom 10 w Krakowie. To była żydowska szkoła, nauka trwała cztery lata, po niej zdawało się małą maturę. Chodziłem tam rok. Jeździłem nadal z Zygmuntem Kleinbergerem, trochę mieszkałem u dziadka w Krakowie na Mostowej, a poza tym dojeżdżałem codziennie z Wieliczki pociągiem, w którym odbywały się regularne bijatyki z Polakami, podobnie na stacji. Jeździło kilku Żydów z Wieliczki, wszyscy nas znali, jak się szło po ulicy, to było prawie zawsze wiadomo, kto jest Polakiem, a kto Żydem, większość Żydów w Wieliczce chodziła w innych ubraniach, już stroje wskazywały, kim jesteś.

Na ulicach Krakowa też miałem do czynienia z Polakami. Szedłem z pociągu na ulicę Stradom – wysiadałem na głównej stacji w Krakowie i przechodziłem ulicą Gertrudy. Tam często się z nimi spotykałem, zawsze od razu mnie rozpoznawali, chociaż byłem ubrany tak jak oni.

Po roku nauki na Stradomiu zdecydowałem się wyjechać do zawodowej szkoły garbarskiej do Wiednia, ze względu na specjalizację. Mieszkała tam moja ciotka, siostra mamy, Fryda, po mężu Szmelces, zatrzymałem się u niej. Mam stamtąd legitymację szkolną, świadectwo i zdjęcie, jak siedzę w 1938 roku na ławce w parku z napisem: „Tylko dla Aryjczyków", choć Żydom nie wolno było na nich siadać. W szkole nie odczuwało się jakiegoś szczególnego antysemityzmu, chociaż uczniów żydowskich z Austrii od

[320] Zob. przyp. 315.



Bundeslehr- und Versuchsanstalt für chemische Industrie und Gewerbe

66 14 80, 66 14 89 — Wien XVII, Rosensteingasse 79 — PSK 1762

Zahl: 269

Wien, am 12. Mai 1961

Bestätigung

als Zeugnisersatz.

(Auszug aus dem Klassenkatalog des Schuljahres 1937/38)

Izak Birnbaum, geboren am 15. Jänner 1922 in Klasno, Polen, hat im Schuljahr 1937/38 die I. Klasse der Werkmeisterschule für Ledererzeugung an der Staatslehr- und Versuchsanstalt für chemische Industrie in Wien als ordentlicher Schüler besucht. Er wurde in den nachstehend angeführten Gegenständen folgendermassen beurteilt:

Betragen	gut
Gesamterfolg	mit Erfolg
Zahl der versäumten Lehrstunden	12
Deutsche Sprache	genügend
Gewerbliches Rechnen und Kalkulation	genügend
Algebra und Geometrie	genügend
Geometrisches Zeichnen und Projektionslehre	genügend
Praktische Arbeiten in der Lehrwerkstätte	gut

Der Schüler hat den ersten Jahrgang mit Erfolg besucht und ist zufolge Erlass des Ministeriums für Wirtschaft und Arbeit Zl. 131.391/14-A/1938 vom 20. Juni 1938 nicht berechtigt, in den 2. Jahrgang aufzusteigen.

Der Direktor:

Hofrat

Odpis świadectwa Izaaka Birnbauma ze szkoły garbarskiej w Wiedniu, 12 maja 1961 roku

razu wyrzucono. Ja byłem obcokrajowcem i mogłem skończyć rok oraz otrzymać świadectwo ukończenia jednej klasy, na podstawie którego zostałem przyjęty do szkoły garbarskiej w Radomiu na rok szkolny 1938/1939, potem wybuchła wojna.

Moja rodzina należała raczej do ortodoksyjnych, chociaż wujkowie, bracia matki, nie byli zbyt pobożni, ale wszyscy się modlili, wierzyli, że jest Bóg. Ojciec jak wszyscy chodził do bożnicy, ubierał się w tradycyjne stroje, ja nigdy się tak nie ubierałem i nie nosiłem pejsów, jedynie nakładałem jarmułkę do synagogi, bo nie wolno było wchodzić bez nakrycia głowy.

Na Klaśnie było bardzo mało takich Żydów, którzy golili brody, mój ojciec co najwyżej strzygł, miał bardzo krótką. Ale byli też tacy całkowicie ortodoksyjni, którzy przestrzegali wszystkich zasad: nasz sąsiad Geminder z długą brodą, nauczyciel żydowskiego Chaim Handwerk, co uczył w chajderze[321] na Klaśnie. Był też jeden taki starszy, Ebersman, który przychodził do małej bożnicy, na środku stały cztery słupy murowane, on miał ławeczkę koło jednego słupa i cały czas się go trzymał, gadając z Bogiem. Myśmy też zazwyczaj się modlili w tej małej bożnicy, tam mieściło się więcej niż sto osób. Mój dziadek i ojciec tam chodzili, to ja też, prawie całe Klasno, może dlatego, że do niej uczęszczali bardziej pobożni, co się dużo modlili, mieli wprost połączenie z Bogiem, a Duża Synagoga była na większe święta. W Wieliczce było kilka bożnic: na ulicy Seraf, druga jak się szło do Górnego Rynku z Klasna, koło szybu Górsko, trzecia w prywatnym mieszkaniu Joachimsmana na samym Rynku, on oddał część mieszkania na bożnicę, szło się schodami do góry. Rabin Frenkel mieszkał w Wieliczce przy ulicy Kilińskiego, nie na Klaśnie. On miał swoją bożnicę w mieście. Myśmy się modlili w klaśnieńskiej małej w każdy piątek i sobotę bez rabina. Wchodziło się do niej od strony ulicy, był mały korytarzyk, na prawo znajdowały się drzwi do środka, była parterowa. Druga bożnica obok była wysoka, schodziło się do niej schodkami, kilka stopni, jakby korytarzem, potem była sień, z której schodami w prawo wchodziło się do babińca, który był tak jakby w kształcie litery „L". W sieni przed główną salą stała ściana do samej góry. Mężczyźni wchodzili tam, były ławki z wszystkich czterech stron, a w środku miejsce, gdzie się czytało Torę i odprawiało modły.

Na ścianach były różne niezwykłe malowidła, sufit był jeden, rozpościerał się i nad męską częścią, i nad damską, taka jakby kopuła. Dużo światła wpadało do wewnątrz. Obok bożnicy był też ogród.

Ja niespecjalnie lubiłem się modlić i nie przepadałem też za świętami, choć po modlitwach spotykaliśmy się zawsze całą rodziną u nas w domu, wszyscy przychodzili.

Obok bożnicy po drugiej stronie stał mały budynek chajderu, dość ciemny w środku, też się schodziło po schodkach trochę. Jako dziecko, mając pięć, sześć lat, zacząłem uczęszczać do niego i do szkoły powszechnej: rano do szkoły, a po południu do chajderu albo na odwrót, zależy, jak były lekcje. I tak codziennie do dwunastego czy trzynastego roku życia, nie pamiętam dokładnie, w każdym razie nie chodziłem chętnie ani tu, ani tu. W chajderze nauka religii odbywała się w jidysz, nie było hebrajskiego, nikt go nie znał. Razem chodziło nas może piętnastu, może dwudziestu, na parę godzin, tylko dzieci z Klasna. Znaliśmy się wszyscy, byli chłopcy o dwa, trzy lata starsi albo o dwa lata młodsi, nie większa różnica, bawiliśmy się razem, czasami biliśmy się ze sobą: Wolf,

[321] Inaczej: cheder.



Ortodoksyjny Żyd w tradycyjnym odświętnym stroju: chałacie (*kapote*), skórzanych butach z cholewami i czapce obszytej futrem, zwanej kołpakiem (*strejml*) przed szybem Górsko, lata trzydzieste XX wieku

Sobel, Sztrojsberg, Herstahl, Armer, Geminder, inni. Wszyscy musieliśmy chodzić, nie było rady, rodzice nas posyłali. Pamiętam, raz nauczyciel mnie zbił, przyszedłem do domu i powiedziałem o tym ojcu, a on zapytał, za co mnie zbił. Odpowiedziałem, że za nic, bo nic złego nie zrobiłem, ale ojciec odpowiedział, że nauczyciel za nic nie bije. Rebe mieszkał na Klaśnie, niedaleko nas, jak się schodziło z góry, z garbarni w stronę Wieliczki, to jakieś sto metrów od nas przy głównej drodze. Chajder mieścił się w jego domu, uczyliśmy się w dwóch małych pokojach. Co miesiąc zanosiłem pięć złotych jako zapłatę za naukę, ale nie wszyscy płacili tyle, byli tacy, którzy nie mieli. Wielka bieda była u tego nauczyciela, drewniane schody do mieszkania na pierwszym piętrze były połamane, w każdą sobotę dodatkowo zanosiłem mu dwa garczki jedzenia na obiad, zawsze czekali, aż przyniosę to jedzenie. Miał około czterdziestu lat, nosił czarną bródkę, był bardzo szczupły, ledwo chodził, jakby go popchnąć, przewróciłby się. Miał dwie córki i syna Dawida, który był w podobnym wieku co ja. Częściej się z nim biłem niż bawiłem, córki były młodsze. W chajderze stał długi stół i ławki, wszyscy siedzieliśmy przy stole, rebe miał pasek i trzcinkę, którymi od czasu do czasu nas lał. Jak jeden do drugiego zaglądał, to zaraz uderzał. Czytało się na głos Torę po hebrajsku i tłumaczyło na żydowski. Hebrajskie i żydowskie litery były te same, natomiast pisaliśmy po żydowsku, była tablica do pisania. Rozumiałem, co czytam, bo tłumaczyłem to od razu. Chajder dał mi też wychowanie, rebe uczył nas, jak się zachowywać w określonych sytuacjach. W wieku trzynastu lat miałem bar micwę, odbyła się u nas w domu, zebrało się pół Klasna, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu mężczyzn.

Inne uroczystości religijne wiązały się z pogrzebami. Ludzie rzadko dożywali siedemdziesiątki. Gdy umarł sąsiad w wieku sześćdziesięciu lat, to mówili: „Wyżył swoje lata, młodszy, żeby nie umierał". Byłem na cmentarzu na Grabówkach na kilku pogrzebach. Gmina żydowska na ulicy Seraf w Wieliczce miała kilku pracowników, którzy kopali groby i chowali ciała. Ludzie zbierali się koło domu zmarłego, on już był pozawijany w prześcieradła, w białe płótno, u Żydów nie było trumien. Leżał na czarnej płycie z desek, po obu stronach kładziono kamienie, a potem przykrywano ciało deskami i czarną tkaniną. Dorośli wchodzili do środka, dzieci nie. Po wyniesieniu z domu zmarły był wieziony na specjalnych kółkach, które pchali krewni lub inni ludzie, co najmniej cztery osoby, zmieniały się, bo było ciężko. Za nimi szedł kondukt żałobny, czasami kilka osób, innym razem ze trzydzieści, zależy, kto umarł. Z Klasna na kierków szło się najpierw na dół na Bańkowskie i potem do góry na Grabówki. Na cmentarzu wkładało się zmarłego do grobu, zasypywało piaskiem i odmawiano kadisz – zawsze robili to synowie, a jeśli zmarły nie miał synów, to ktoś z rodziny. Natomiast jeśli było dwóch synów lub więcej, to wszyscy mówili tę modlitwę. Do jednego grobu chowano tylko jedną osobę i stawiano macewę. Byli tacy, którzy dostawali z gminy żydowskiej pieniądze co miesiąc, bogaci nie byli, i robili macewy, dbała o to gmina, która była w każdym mieście. Jak ktoś chciał lepszy pomnik, to sam go finansował. Tak się złożyło, że nie musiałem być w Wieliczce na pogrzebie nikogo z rodziny, tylko sąsiadów. Kiedy umarł ktoś z Klasna, to chodzili wszyscy sąsiedzi i znajomi. Pogrzeby odbywały się w różnych porach – rano, w południe, po południu i pod wieczór, tylko w sobotę nie wolno było chować, chyba że dopiero, jak już było ciemno. Po pogrzebie nie piło się ani nie jadło wspólnie.

Co innego na ślubie i weselu – była piękna muzyka, grali na fujarkach i na skrzypcach.

Mama miała sześć sióstr i czterech braci, tylko jeden został kawalerem, pozostali pożenili się i mie-

li dzieci. Najlepiej pamiętam ślub najmłodszej ciotki Frydy, tej, której mąż pochodził z Wiednia, miał austriackie obywatelstwo i z którym ona wyjechała. Ich ślub był w Wieliczce na Klaśnie, mogłem wtedy mieć jedenaście lat. Mężczyźni nie tańczyli z kobietami, kobiety bawiły się osobno, a mężczyźni osobno. Wesele trwało parę godzin, raczej nie do rana, przychodziło dużo ludzi, pito wino, było koszerne jedzenie, ludzie siedzieli przy stołach, rozstawiano talerze, widelce, noże. Przyjęcia wyprawiano w domach albo jak ktoś miał stodołę, to się ją sprzątało i tam było wesele. Tańczyło się w izbach.

Prawie nie było kontaktów towarzyskich między Polakami a Żydami. Żyliśmy obok siebie, ale oddzielnie. Polacy Żydów nigdy nie lubili. A Żydzi musieli żyć wśród nich, nie mieli możności wyjechać. Dużo było takich, którym się bardzo dobrze powodziło i nie chcieli wyjeżdżać. Czasami nazywaliśmy Polaków gojami.

Żydzi nie mogli pracować w urzędach, niby były w Polsce ustawy, że Żydzi mieli równouprawnienie, ale nie pracowali w kopalni soli, gdzie zatrudniano dwa tysiące ludzi, ani w magistracie, w policji czy na poczcie. To było równouprawnienie na papierze. Wśród Żydów nie mówiło się dużo o dyskryminacji, bo to było zrozumiałe, że Żyd w wielu miejscach nie może pracować, choć często był dobrze wykształcony. W Wieliczce na przykład, jak była dentystka Polka Guzik i była dentystka Żydówka Weinberger, to katolicy szli do Żydówki, a do Polki zawsze można było przyjść, nie czekać, od razu przyjmowała. Chętniej chodzili do Żydów, nie wiem dlaczego, może dlatego, że ci brali dziesięć groszy mniej. Jak przychodziłem do Weinbergera, to siedzieli przeważnie katolicy i może jakiś jeden Żyd.

Przed wojną pojawiły się w Wieliczce na kamienicach i płotach napisy kredą: „Żydzi do Palestyny", „Precz z Żydami", „Precz z Żydami, Żydówki z nami", na Klaśnie też się pokazały. Ale u nas w domu nie mówiło się w ogóle o wyjeździe do Palestyny, mieliśmy prężnie działający interes, tylko jeden kuzyn, syn najstarszego brata mojej mamy, Norbert Perlberger, wyjechał przed wojną; wujek Aleksander Perlberger dotarł do Palestyny podczas wojny, z armią Andersa, a po wojnie sprowadził swoją żonę Czesławę, która uratowała się w Rosji.

Mieszkając na Klaśnie wśród prawie samych Żydów, nie czuliśmy, że jesteśmy w obcym kraju, nie czuliśmy się obcy, każdy miał gdzieś swoje pomieszczenie, czuliśmy się jak u siebie w domu.



Fasada budynku przy ul. Klaśnieńskiej 29 z zachowanym malowanym szyldem hurtowni i składu wódek oraz wyszynku Herstahla z 1898 roku, lata sześćdziesiąte XX wieku

OPIS KLASNA

Izaak Birnbaum

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Izaakiem Birnbaumem w Hajfie 16 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Biorąc po uwagę całe Klasno, nasz dom i garbarnia stały na wzniesieniu powyżej ulicy Klaśnieńskiej, od której odchodziła w górę ulica Garbarska. Nad nami, zanim wybudowaliśmy zakład, mieszkał Sobel, który handlował końmi. Stale przychodzili do niego ludzie z okolicznych wsi, kupowali i sprzedawali. Koło niego żył Kempler. Obok nas był rzeźnik, masarz Geminder w długim, parterowym domu, z podwórkiem i stajnią, gdzie trzymano bydło. Z racji jego fachu ludzie sprowadzali do niego krowy i cielęta, kilka razy widziałem, jak się je zarzyna, a potem wiesza się i obrabia. Z drugiej strony na niewielkim pagórku mieszkał Windak, nie-Żyd, i wyżej już sami Polacy: Iskra, Kasprzycka. Następnie w górę szło się nad Czubinów, mały staw z wyspą w środku, uczyłem się tam pływać. Za stawem rozciągała się duża polana, po drodze mieszkał Gniadek i na samej górze wychodziło się przy kapliczce na Rożnowej. W tej wsi była rodzina żydowska, Goldberger, prowadzili szynk, restaurację, mieli duży zajazd na skrzyżowaniu dróg. Ich dom był drewniany, parterowy, a szynk przy domu. Zachodziliśmy do nich często z rodzicami; jak szło się na spacer, to się tam dochodziło, za polaną za Czubinowem w lewo i aż do Rożnowej. Znałem ich jednego syna, Emila, było jeszcze dwóch i jedna albo dwie córki, ale nikt z nich chyba wojny nie przeżył. Jak górnicy dostawali pieniądze, to przede wszystkim chodzili do szynków. Gdy

wychodziłem z domu, nieraz słyszałem, że idzie ktoś wesoły, pijany i śpiewa.

Poniżej naszej garbarni, jak się schodziło w dół do ulicy Klaśnieńskiej, na rogu na prawo był szynk Wolfa, a naprzeciwko po drugiej stronie ulicy sklep Armera na dole w kamienicy. Miał on dużo dzieci, mieszkał z rodziną na piętrze. Przechodząc na drugą stronę i kierując się w lewo, szło się w stronę bożnic. W drugim piętrowym budynku za Armerem mieszkali pobożni Żydzi, jeden o nazwisku Raber, innych nie pamiętam. Trochę wyżej po lewej stronie stała piekarnia Sztrojsberga, do której wchodziło się po schodach. I dalej po prawej stały jedna obok drugiej dwie bożnice, duża i przed nią mała, blisko siebie, tak że wóz z końmi by nie przejechał pomiędzy. Obydwie po tej samej stronie drogi, jedna była z ogrodem. Tuż za Dużą Synagogą po lewej stronie mieliśmy chajder, a jak się szło dalej, po prawej była rozlewnia piwa Wolfa i fabryka wody sodowej w parterowym, długim budynku, potem jeszcze jakieś niskie domy.

Wracając w stronę narożnego domu Armera, na rogu Klaśnieńskiej i drogi, która prowadziła w dół, schodziło się na Bańkowskie. Po lewej stronie tej drogi był stary, drewniany dom jedynego Polaka na Klaśnie – Kuzaja, on miał capa i przyprowadzano do niego kozy do pokrycia. Utrzymywał się z tego, ludzie płacili po dwadzieścia groszy, może więcej. Umiał mówić po żydowsku. Dalej był dom przedpogrzebowy, gdzie myto i nacierano ziołami ciała przed pochówkiem, tędy szło się też na cmentarz na Grabówki. Dalej po tej samej stronie był staw, a koło niego, już na samym dole, dość duża fabryka likierów i wódek w piętrowym budynku – zdaje się, że należała do Perlbergerów z Klaśnieńskiej 28. Dalej mieszkał Polak Markowski, miałem tam kolegę z klasy. Za zakrętem, jadąc w przeciwną stronę niż w kierunku Grabówek, duże gospodarstwo miał Mydlarczyk, z którym moja rodzina utrzymywała ścisły kontakt z racji tego, że oni prowadzili rzeźnię, a my pozyskiwaliśmy od nich skóry.

Wracając z powrotem do góry, na rogu z ulicą Klaśnieńską po lewej stronie był szynk, prowadził go Herstahl, a naprzeciw ulicy stał szynk Wolfa, o którym już wspomniałem. Schodzili się tu górnicy, jak dostawali pensje; zamiast iść od razu do domu z pieniędzmi, to najpierw szli wypić. Wtedy zbierało się tak dużo ludzi, że trudno było przejść. Idąc dalej Klaśnieńską w stronę Wieliczki, za domem piętrowym Herstahla stały dwie kamienice po lewej stronie, w pierwszej mieszkał Kwalwasser i żona Goldsteina z dziećmi, jej mąż zmarł, ona prowadziła sklep. A pod numerem 25 żył mój wujek Markus Perlberger, brat dziadka Rubina, na dole miał jakiś sklep z różnymi rzeczami, a z rodziną mieszkali na górze. Było dużo małych sklepików na Klaśnie, konkurowały ze sobą, ale bogate nie były. Przy Klaśnieńskiej po przeciwnej stronie Herstahla, za szynkiem Wolfa, stały trzy, może cztery niskie murowane sklepiki Piekarczyka, Żyda z taką długą brodą. Kolejny duży, biały budynek pod numerem 28 to była rafineria wódki Perlbergerów, wchodziło się do niej od podwórza. Dalej płynęła rzeczka i w pobliżu mieszkała rodzina Brandysów, której ojciec był pobożnym Żydem, a syn komunistą. Później po lewej stronie Klaśnieńskiej był ogród i sad z drzewami owocowymi, za nim fabryka wody sodowej i jeszcze jakieś niskie domy, w tym jeden długi.

Po przeciwnej stronie w piętrowym budynku przed zakrętem w kierunku rynku miał fabrykę likierów Szmelke Blumenfeld. Drugą taką prowadził on w mieście, ale nie produkował bardzo dużo wódki– bo nie wysyłał jej nigdzie poza Wieliczkę – tyle tylko, ile miejscowi pijacy potrzebowali.



Ul. Klaśnieńska na styku z ul. Wiejską, widok od strony Wiejskiej, lata sześćdziesiąte XX wieku

Za zakrętem w prawo ulica Klaśnieńska, skąd w lewo odchodziła Janieńska, ciągnęła się w dół aż do ulicy Daniłowicza. Na tym odcinku po lewej stronie stały kamienice Jakuba Zellnera i Hirsza Goldmana, jego teścia, a po przeciwnej mieściła się łaźnia publiczna. Były też łazienki miejskie przy samej kopalni, gdzie ludzie przychodzili albo przyjeżdżali kąpać się w solance, w wodzie z solą.

W sumie na Klaśnie mieszkało pewnie około pięćdziesięciu rodzin żydowskich. Były takie domy, w których mieszkała jedna rodzina, ale przeważnie po kilka rodzin w jednym budynku, nawet po sześć.

Nie pamiętam żadnych innych nazw ulic w Wieliczce, tylko Garbarską i Klaśnieńską, bo mówiło się: tam, gdzie jest szynk albo gdzie motorówka, gdzie kościół albo bożnica, koło Górnego albo Dolnego Rynku, koło sukiennic, tartaku, a nie wymieniało się nazw ulic.

Chodziłem się strzyc do fryzjera Weinbergera, a z bólem zęba do jego syna dentysty-technika albo do synowej stomatologa, przyjmowali obok stacji motorówki w Wieliczce, przy ulicy, co szła od magistratu do sukiennic, dalej była też apteka. Pamiętam adwokatów Horowitza i Feldmana. Było dwóch dorożkarzy w Wieliczce, Żyd Kornhauser i jeden Polak, jeździły dwie dorożki z koniem po ulicach. Koło motorówki zawsze stał taksówkarz Nawrot, który miał eleganckie auto.



Od lewej: kuzyn Larry'ego Zellnera, Józef Zellner (brat Larry'ego), Teofila Zellner (mama Larry'ego), Jakub Zellner (ojciec Larry'ego), Larry Zellner, Mala Zellner (siostra Larry'ego) w domu na Klaśnieńskiej 5, około 1941 roku

NA KLAŚNIEŃSKIEJ 3 I 5

Larry Zellner

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadów telefonicznych przeprowadzonych z Larrym Zellnerem przez Urszulę Żyznowską w kwietniu 2012 roku. Red. Anna Krzeczkowska.

Mój dziadek od strony ojca miał na imię Lazar, ja mam imię właśnie po nim – nazywam się Lazar Zellner. Moja babka Mala była z domu Selenfreund, *Freund* po niemiecku oznacza przyjaciela. Dziadkowie pochodzili z Limanowej koło Nowego Sącza, gdzie od czasów austriackich prowadzili sklep tytoniowy i szynk, w którym sprzedawali też alkohol. Nie znałem ich, kiedy się urodziłem, już nie żyli. Mój dziadek miał dwie żony. Z pierwszą podobno miał dwóch synów, a z drugą – siedmiu synów i trzy córki. Mój ojciec miał na imię Jakub. Urodził się około 1890 roku, dokładnej daty nie pamiętam. Do Wieliczki sprowadził się po ślubie z mamą. W Wieliczce zamieszkał jeszcze jeden z braci tatusia, Michał Zellner[322]. Kolejny z braci ojca, Mordechaj, mieszkał w Niepołomicach. Miał pięć córek. Jego żona wspaniale gotowała. Często jeździłem rowerem z Wieliczki do Niepołomic. Kolejny brat mieszkał w Krakowie – najpierw na Paulińskiej, a potem na Długiej, nazywał się Lipa Zellner. Miał siedmiu synów i jedną córkę, która umarła kilka lat temu w Australii. Wujek Johanan mieszkał w Grybowie, miał dwóch synów: Jozefa i Arona.

[322] Zeznania Michała Zellnera znalazły się w części książki poświęconej Zagładzie, zob. s. 243–251, 261–262, 383–395.



Od lewej: Teofila Zellner, Mojżesz Zellner (brat Larry'ego), Larry Zellner, Jakub Zellner, Wieliczka, około 1925 roku

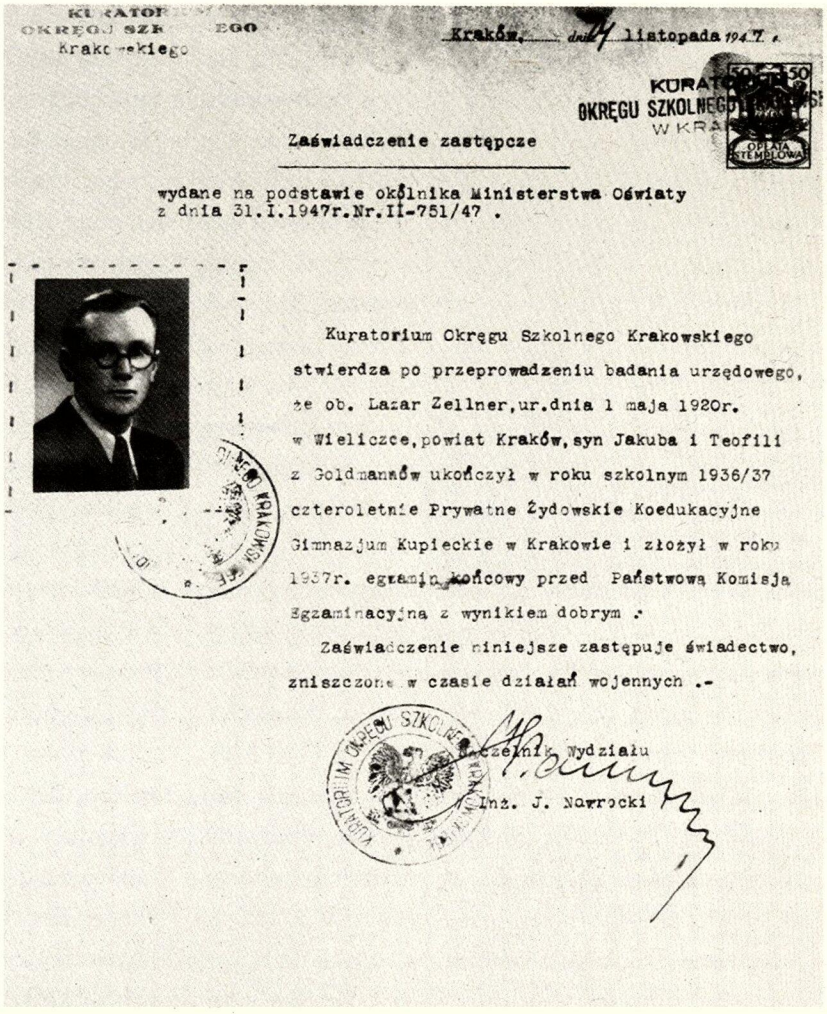
Z Grybowa nikt się nie uratował. Trzech z braci Zellnerów wyjechało do Ameryki w 1920 roku, dwóch z nich poznałem dopiero po przyjeździe do Stanów w 1950 roku. Jeden nazywał się Julius, Julek, a drugi William.

Moja mama nazywała się Teofila Goldman i była jedynaczką. Urodziła się jakoś na początku wieku. Była młodsza od taty o pięć, może sześć lat. Rodzice mamy pochodzili z Wieliczki. Dziadek nazywał się Hirsz Goldman, babcia – Golda, z domu Perlberger. Mieszkali, razem z nami, na Klaśnieńskiej, pod trójką. Tam też prowadzili szynk. Zawsze było w nim pełno ludzi: pili, jedli przekąski. My mieliśmy oddzielne mieszkanie, na parterze, z osobnym wejściem. Na końcu naszej parceli, na granicy z działką Roga, była kapliczka Chrystusa Króla, ludzie przychodzili, modlili się przed nią i śpiewali pieśni. Ten dom i kapliczka stoją do dzisiaj. Od strony ulicy Daniłowicza mieliśmy duży ogród z drzewami owocowymi: jabłoniami, śliwami i gruszami. Był tam też duży plac, na którym składowało się deski i materiały budowlane. Na Klaśnieńskiej 1 był taki mały, stary domek, w którym mieszkała nasza gospodyni, Marianna, z córką. Dziadek miał brata, który mieszkał w Krakowie. Jedna z sióstr babci mieszkała z nami na Klaśnieńskiej 3, nazywała się Hönig, po mężu. Druga z sióstr mieszkała w drodze na Zadory, nazywała się po mężu Rosenberg, a na imię miała chyba Cerka. To była bardzo duża rodzina. Obie ciocie zginęły w czasie wojny.

Rodzice pobrali się w 1918 lub 1919 roku. Ja urodziłem się 1 maja 1920 roku. Następny był Mojżesz, który później zginął w Rosji, urodził się jakieś półtora roku po mnie. Potem była siostra Malka, urodzona bodajże w 1927 roku, i brat Józef – rocznik 1929.

Jak już wspomniałem, najpierw mieszkaliśmy przy Klaśnieńskiej 3, dom przy Klaśnieńskiej 5 został wybudowany dopiero w 1935 roku.

Zanim powstał, była tam obszerna przestrzeń, na której składowaliśmy deski i belki, taki skład materiałów. Budowaliśmy domy dla ludzi z okolicy, także na Sierczy, dostarczaliśmy drewno do wszystkich wiosek wokół Wieliczki. Skład prowadził ojciec, mama zajmowała się domem. Nasza rodzina, z wyjątkiem dziadka, nie była bardzo ortodoksyjna, ale byliśmy



KURATOR[illegible]
OKRĘGU SZK[illegible]EGO
Krako[illegible]ekiego

Kraków, dnia 14 listopada 1947 r.

KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO W KRA[illegible]
OPŁATA STEMPLOWA 50 50

Zaświadczenie zastępcze

wydane na podstawie okólnika Ministerstwa Oświaty
z dnia 31.I.1947r.Nr.II-751/47 .

Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego stwierdza po przeprowadzeniu badania urzędowego, że ob. Lazar Zellner,ur.dnia 1 maja 1920r. w Wieliczce,powiat Kraków,syn Jakuba i Teofili z Goldmannów ukończył w roku szkolnym 1936/37 czteroletnie Prywatne Żydowskie Koedukacyjne Gimnazjum Kupieckie w Krakowie i złożył w roku 1937r. egzamin końcowy przed Państwową Komisją Egzaminacyjną z wynikiem dobrym .

Zaświadczenie niniejsze zastępuje świadectwo, zniszczone w czasie działań wojennych .-

KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO W KRAKOWIE

Naczelnik Wydziału
Inż. J. Nowocki

Zaświadczenie o ukończeniu przez Lazara Zellnera Prywatnego Żydowskiego Koedukacyjnego Gimnazjum Kupieckiego w Krakowie, 14 listopada 1947 roku

koszerni. Tatuś był mizrachistą, takim bardziej postępowym ortodoksem. Naturalnie modliliśmy się codziennie, przestrzegaliśmy tradycji żydowskich. Z rodzicami rozmawialiśmy po polsku, a z dziadkami po żydowsku. Mój dziadek był szalenie pobożny i mnie, najbardziej z rodzeństwa, też próbował tak ukształtować. Ja byłem bardziej pobożny niż reszta rodziny. Nawet dodatkowo studiowałem Talmud w wyższej szkole talmudycznej.

W Wieliczce chodziłem do „bednarki" – do trzynastego roku życia. Niedaleko szkoły mieszkała moja ciotka, Cerka Rosenberg, o której już wspominałem. Gdy chodziłem do szkoły, to pejsy zakładałem sobie za uszy.

Byłem bardzo lubiany przez moich nauczycieli w Wieliczce. Moją wychowawczynią była piękna, wspaniała nauczycielka, nazywała się Scheuring. Była Polką, a ja byłem dosyć dobrym uczniem. W okresie szkolnym moimi najlepszymi kolegami byli: Idek Wolf, Julek Schenker i Pinek Bruch. Byli jeszcze bardziej pobożni niż ja. Nie chodzili do szkoły powszechnej, tylko musieli zdawać, ja ich przygotowywałem i co nieco zarabiałem w ten sposób. Byliśmy jak bracia.

Rodzina Bruchów miała dom w Rynku Górnym naprzeciwko gimnazjum i duży sklep tekstylny w pobliżu. Wszyscy z Wieliczki u nich kupowali. A Julek był z rodziny Perlbergerów, właścicieli garbarni. Jeden z tych Perlbergerów, Moniek, mieszkał u nas, w nowym domu przy Klaśnieńskiej 5. Z Polaków przyjaźniłem się z Bolkiem Rogiem, synem sąsiadów, którzy pobudowali się na Janińskiej 1, na skrzyżowaniu z Klaśnieńską, po powrocie ojca z Ameryki w latach trzydziestych. U nich mieszkał Julek Schenker. Z Bolkiem czasami się odwiedzaliśmy.

Naprzeciwko domu Bolka Roga była mykwa. Tam wszyscy Żydzi chodzili się kąpać, szczególnie w piątek. My mieliśmy łazienkę, więc tam nie chodziłem, ale mój dziadek chodził. Nasz dom po przebudowie był bardzo nowoczesny, wewnątrz wszystko było pięknie.

Na Daniłowicza moja mamusia miała przyjaciółkę, nazywała się Uryć, bardzo często się widywały. Jej mąż pracował w sądzie. Byliśmy też bardzo zaprzyjaźnieni z rodziną Horowitzów. Niedaleko nas mieszkał pan Pamuła, który pracował dla kolei, miał tam wysoką pozycję. Jego rodzina była dosyć zaprzyjaźniona z moimi rodzicami. To my wybudowaliśmy im dom.

Pamiętam, że po drodze od nas na cmentarz było miejsce, w którym przygotowywano zwłoki do pogrzebu, w takim małym budynku. Skręcało się z Klaśnieńskiej w prawo w wąską uliczkę obok szynku Herstahla. Rzadko tam chodziłem. Z Klasna pamiętam jeszcze rodzinę Soblów, która mieszkała obok Dużej Synagogi. Trochę dalej mieszkali Wolfowie, którzy mieli piwo. Jeden z synów Wolfa, mój najlepszy kolega Idek, zginął. To był bardzo przystojny, fajny chłopak.

Pamiętam też cmentarz żydowski na Klaśnie. Każdy Żyd, który zmarł do 1939 roku, tam był pochowany. Z mojej bliskiej rodziny pochowano tam babcię, która umarła kilka tygodni przed wojną. Moja rodzina jest wymieniona na pomniku, który stoi na kirkucie.

Do Prywatnego Żydowskiego Koedukacyjnego Gimnazjum Kupieckiego w Krakowie jeździłem motorówką. Szkoła mieściła się przy ulicy Stradom pod numerem 10. Nauka w gimnazjum trwała cztery lata. Zimy zawsze były dosyć srogie. Pamiętam, że dwa razy złamałem rękę, gdy goniłem do pociągu, do tej motorówki. W zimie była ślizgawica, potknąłem się. Naturalnie w Wieliczce nie było ortopedy, który by mi tę rękę złożył. Ale był taki chłop, mieszkał

w Czarnochowicach, nazywał się Jagła. Przyszedł, złożył mi rękę, polał maślanką i podłożył deskę. Zrosło się dobrze.

Później, po skończeniu gimnazjum, zacząłem pracować z tatą. On koniecznie chciał, żebym prowadził rodzinny biznes, a ja chciałem dalej studiować, byłem bardzo dobry w matematyce. Na Uniwersytet Jagielloński zapisałem się jednak dopiero, gdy wróciłem z Palestyny w 1947 roku. Jeszcze mam gdzieś legitymację studencką.

Mój brat Mojżesz ukończył szkołę w 1939 roku. To była szkoła rzemieślnicza, zawodowa, związana z Żydowskim Koedukacyjnym Gimnazjum w Krakowie, oddział dla młodzieży, która chciała mieć zawód. Byliśmy zupełnie różni od siebie. Mojżesz nie był tak pobożny. Siostra była dużo młodsza, gdy wojna się zaczęła, miała może dwanaście lat.

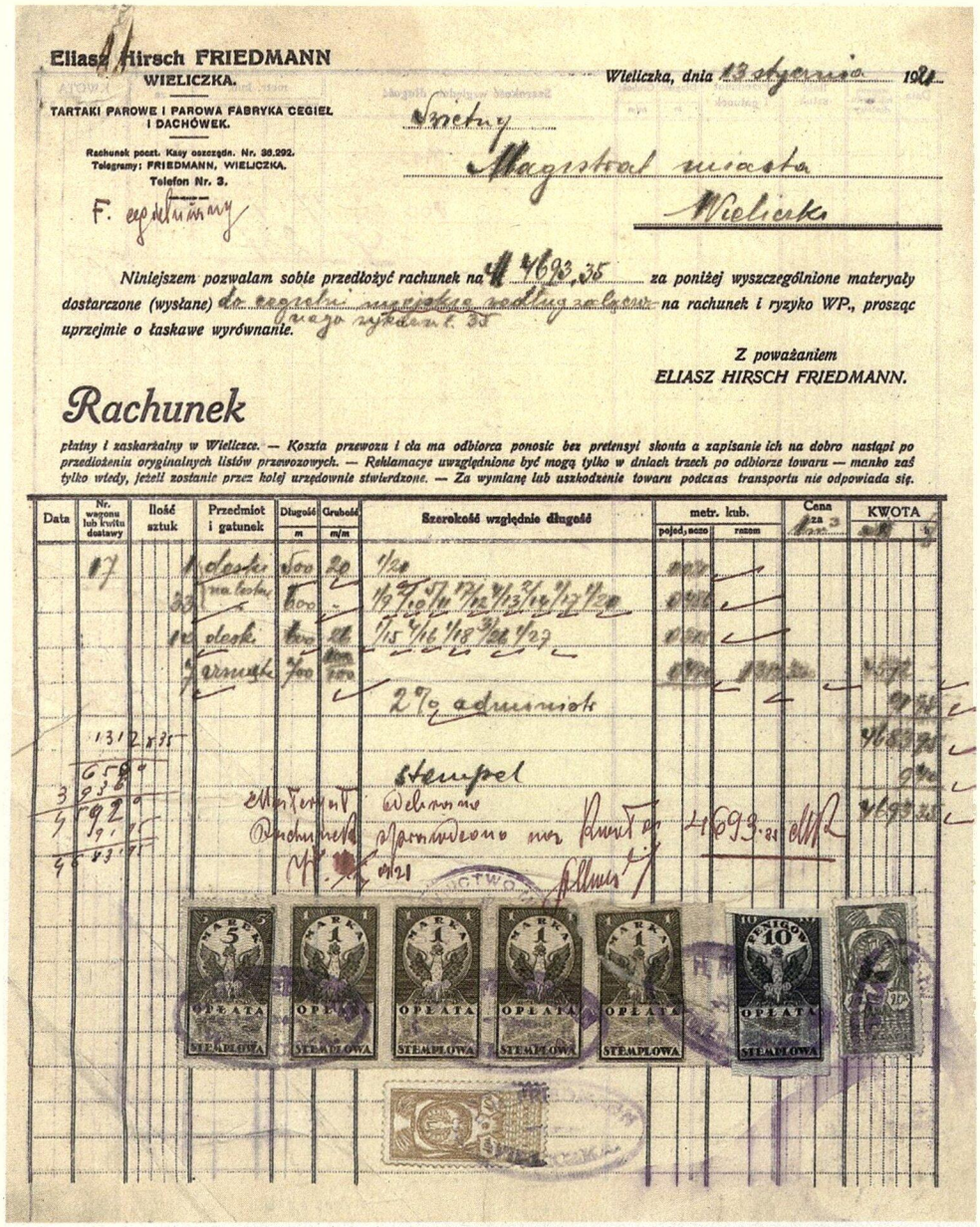
Marszałek Piłsudski zmarł w 1935 roku, wszyscy z gimnazjum poszli na jego pogrzeb na Wawelu. Ja też byłem na tym pogrzebie. Marszałek był bardzo przychylny Żydom, a przy tym bardzo wpływowy. Do jego śmierci Żydzi dobrze się czuli w Polsce, ale później wszystko się zmieniło. Polacy bardzo nie chcieli Żydów i krzyczeli „Żydzi do Palestyny". W Krakowie zawsze zdarzały się jakieś nieprzyjemne sytuacje; w Wieliczce nie odczuwaliśmy tego tak mocno.

Zwykle chodziłem do tej synagogi, która znajdowała się przy zejściu z Rynku Górnego[323]. Chodziłem tam z moim tatusiem. Tatuś był bardzo mądry i dużo wiedział o sprawach wiary, ale był jednocześnie postępowy. Ta bożnica nazywała się Dorszej Tow, co oznaczało „pragnący dobra". Przychodziło do niej wielu ludzi, wszyscy Żydzi z Górnego i Dolnego Rynku; znane rodziny z ulicy Kilińskiego: Beidaffowie i Friedmanowie. Na tym polegało życie Żydów w Wieliczce przed wojną. Lubiłem wszystkie święta. W 1933 roku odbyła się moja bar micwa. Byłem niemal zakochany w żydowskiej religii. Bardzo poważnie o tym myślałem i zawsze było to dla mnie ważne. Wszystko mocno przeżywałem. Aż przyszła wojna.



Jakub Zellner, około 1930 roku

[323] Na ul. Górsko.



Eliasz Hirsch FRIEDMANN
WIELICZKA.

TARTAKI PAROWE I PAROWA FABRYKA CEGIEŁ I DACHÓWEK.

Rachunek poczt. Kasy oszczędn. Nr. 36.292.
Telegramy: FRIEDMANN, WIELICZKA.
Telefon Nr. 3.

F. eg. [illegible]

Wieliczka, dnia 13 stycznia 1921

Metry

Magistrat miasta

Wieliczki

Niniejszem pozwalam sobie przedłożyć rachunek na 4693,35 za poniżej wyszczególnione materyały dostarczone (wysłane) do cegielni miejskiej według zalecenia na rachunek i ryzyko WP., prosząc uprzejmie o łaskawe wyrównanie.

Z poważaniem
ELIASZ HIRSCH FRIEDMANN.

Rachunek

płatny i zaskarżalny w Wieliczce. — Koszta przewozu i cła ma odbiorca ponosić bez pretensyi skonta a zapisanie ich na dobro nastąpi po przedłożeniu oryginalnych listów przewozowych. — Reklamacye uwzględnione być mogą tylko w dniach trzech po odbiorze towaru — manko zaś tylko wtedy, jeżeli zostanie przez kolej urzędownie stwierdzone. — Za wymianę lub uszkodzenie towaru podczas transportu nie odpowiada się.

Data	Nr. waggonu lub kwitu dostawy	Ilość sztuk	Przedmiot i gatunek	Długość m	Grubość m/m	Szerokość względnie długość	metr. kub. pojed. sztuk	metr. kub. razem	Cena za 1 m.	KWOTA
	17	1	deski	5.00	20	1/20				
		33	na łaty	6.00		1/9 7/10 7/11 7/12 7/13 7/14 7/17 7/20				
		12	deski	6.00	22	1/15 4/16 4/18 3/20 4/23				
			garnitr	5.00	4.00					
						2% administr.				
						stempel				
						Wekslowe				
						Rachunek		4693.35		

Rachunek dla magistratu miasta Wieliczki wystawiony przez firmę Eliasz Hirsz Friedman – Tartaki parowe i parowa fabryka cegieł i dachówek, 1921 rok

RODZINA FRIEDMANÓW W WIELICZCE

Justyna Kutrzeba

SYTUACJA POLITYCZNA POLSKI W XIX WIEKU

Początek XIX wieku, kiedy urodził się Hirsz Friedman, był czasem wielkich nadziei dla mieszkańców Polski. W 1795 roku w wyniku rozbiorów dokonanych przez Austrię, Prusy i Rosję utraciła ona niepodległość[324]. Jednak triumfalny przemarsz wojsk Napoleona przez Europę pozwolił Polakom snuć wizje odbudowy państwowości u boku cesarza Francuzów. Marzenia powoli zaczynały stawać się rzeczywistością: 7 lipca 1807 powstało Księstwo Warszawskie. Ludność żydowska stanowiła w nim dziewięć procent ogółu (po przyłączeniu Galicji – siedem i dwie dziesiąte procent)[325]. Była zobowiązana płacić specjalne podatki[326], a jej prawa polityczne były zawieszone na dziesięć lat, w czasie których miała się ucywilizować i zintegrować z chrześcijanami[327]. Klęska Napoleona

Niniejszy tekst jest fragmentem rozdziału *Rodzina Friedmanów w Wieliczce* z pracy magisterskiej: J. Kutrzeba, *Friedmanowie (1810–1939)*, Kraków–Tel Awiw 2009 (niepublikowany maszynopis).

[324] A. Chwalba, *Historia Polski 1795–1918*, Kraków 2001, s. 18.

[325] A. Eisenbach, *Emancypacja Żydów na ziemiach polskich 1785–1870 na tle europejskim*, Warszawa 1988, s. 144.

[326] *Ibidem*, s. 157–158.

[327] A. Chwalba, *Historia Polski...*, *op. cit.*, s. 239–240.

przypieczętowała los ziem polskich, które na powrót zostały podzielone między Rosję, Prusy i Austrię.

Pierwsze lata życia Hirsza Friedmana przypadają zatem na okres istnienia Księstwa Warszawskiego, a potem Królestwa Polskiego, zwanego też Kongresowym. Zostało ono powołane w 1815 roku, a jego władcą był car Rosji. Polacy nie byli zadowoleni z jego rządów, ponieważ nie przestrzegał konstytucji obowiązującej na ziemiach polskich. W wyniku niezadowolenia społecznego w 1830 roku wybuchło powstanie listopadowe, które było skierowane przeciwko caratowi. Ludność żydowska zachowywała postawy od życzliwości i chęci udziału w walkach (zwłaszcza młodzież) lub udzielenia pomocy finansowej, przez neutralność, aż po wrogość.

Tereny ówczesnego Królestwa Polskiego w pierwszej połowie XIX wieku nie należały do spokojnych. W obliczu powracających konfliktów zbrojnych życie codzienne dla zwykłej rodziny żydowskiej na pewno nie było łatwe. Być może dlatego młody Hirsz Friedman w 1840 roku zdecydował się wyemigrować wraz z żoną i dziećmi do sąsiedniej Rzeczpospolitej Krakowskiej. To minipaństwo powstało na mocy ustaleń kongresu wiedeńskiego. Rzeczpospolita Krakowska cieszyła się większą swobodą i całkiem nieźle prosperującą gospodarką, a to za sprawą przywilejów handlowych. Towar wwożony na terytorium wolnego miasta nie był obłożony cłem. Kraków stał się ważnym ośrodkiem tranzytowym, jak również prawdziwym rajem dla kupców, bankierów i przemytników[328].

Wydawałoby się, że Hirsz Friedman postąpił słusznie, decydując się na przeprowadzkę do spokojniejszego państwa. Jednak lata 1846–1849 były czasem burzliwych wydarzeń w Galicji. Zapoczątkował je powstańczy zryw niepodległościowy, który przerodził się nieoczekiwanie w rabację galicyjską, będącą krwawą rozprawą chłopów ze szlachtą. Rewolucjoniści krakowscy, na czele których stał Rząd Narodowy, głosili hasła równości wszystkich obywateli wobec prawa. Odezwa rządowa *Do braci Izraelitów* została ochoczo przyjęta przez ludność żydowską, której część pragnęła zasilić szeregi Gwardii Narodowej. W powstanie zaangażowali się i postępowcy, i ortodoksi. Po tym kilkudniowym epizodzie przyszedł czas na Wiosnę Ludów, która niosła ze sobą poważne nadzieje na ostateczną emancypację Żydów. Konstytucja ogłoszona w 1849 roku przez młodego Franciszka Józefa potwierdzała równość wobec prawa, dawała tym samym pełnię swobód obywatelskich ludności żydowskiej. Izraelici mogli zatem zmieniać miejsce zamieszkania, czego dotychczas nie wolno im było robić. Konstytucja jednak nie weszła w życie. Upadek Wiosny Ludów oznaczał powrót do konserwatywnej polityki Wiednia. Żydzi nie mogli piastować urzędów w sądownictwie i notariacie, nie mogli być profesorami na uniwersytetach. Ponownie byli zobowiązani do płacenia dawnych podatków[329]. Pod tym względem zarówno car Rosji, jak i cesarz austriacki byli jednogłośni. Ze wspomnianych wyżej restrykcji rodziny Hirsza Friedmana dotyczyło tylko płacenie podatków, gdyż sam Hirsz był zwykłym rzemieślnikiem, a zatem zakaz wykładania na uniwersytecie nie był dla niego szczególnie dotkliwy.

[328] *Ibidem*, s. 253.

[329] T. Gąsowski, *Między gettem a światem. Dylematy ideowe Żydów galicyjskich na przełomie XIX i XX wieku*, Kraków 1997, s. 15–16.

FRIEDMANOWIE W WIELICZCE

Hirsz Friedman początkowo planował osiedlić się na Kazimierzu obok Krakowa lub w innym pobliskim miasteczku. Kazimierz w tym czasie był miastem żydowskim, oddzielonym Wisłą od Krakowa. Napotkane trudności – być może brak zezwolenia na osiedlenie się w Krakowie – uniemożliwiły Friedmanom realizację tego planu, w związku z czym zamieszkali w żydowskiej dzielnicy Klasno, która znajdowała się na wzgórzu tuż obok Wieliczki. Hirsz Friedman trudnił się kowalstwem, dlatego nie zwlekając, otworzył na Klaśnie sprzedaż towarów żelaznych. Interes po ojcu, który zmarł w 1880[330], przejął jego syn Abraham. Dzięki swej zaradności i otwarciu na sprzyjające okoliczności rozwinął działalność, stając się równocześnie dostawcą niezbędnych artykułów dla kopalni soli w Wieliczce. Warto dodać, że był jedynym dostarczycielem żelaza w mieście. Abraham Friedman od 1892 roku zajmował się również prowadzeniem restauracji w Wieliczce[331]. Dbał także o swoich bliskich. Zakupił duży obszar ziemi przy drodze do Wieliczki, by wybudować duży, trzypiętrowy murowany dom. Był to jeden z pierwszych budynków na ul. Kilińskiego. Na parterze prowadził skład żelaza, który prosperował do wybuchu II wojny światowej[332].

Życie jednak nie składa się tylko z interesów. Abraham Friedman był pobożnych chasydem, zwolennikiem *Sandzere rebe*, czyli rabina-cudotwórcy z Nowego Sącza – Chaima Halbersztama[333], z którego zdaniem bardzo się liczył. Po śmierci rabina w 1876 roku schedę po ojcu przejął Jecheskiel Halbersztam[334]. Do zwyczajów przywódców chasydzkich należały objazdy po miejscowościach zamieszkiwanych przez zwolenników, dlatego też Abraham Friedman niejeden raz gościł samego Chaima, a potem jego syna w progach swego domu na Klaśnie[335].

Abraham wraz z żoną Małką (z domu Guttman) miał syna Eliasza Hirsza[336], który urodził się 7 listopada 1856 roku[337]. Oprócz niego miał jeszcze trzy córki. Jedna z nich wyszła za mąż za Szlomo Weinberga, który był *grojse Talmud hochen*, czyli uczonym talmudystą, zwolennikiem haskali, w przeciwieństwie do swojego szwagra – Eliasza Hirsza. Druga córka – Brucha – wyszła za mąż za Mechela Spirę[338]. Z trzecią, której imię nie jest znane, ożenił się Greenbaum.

O ślubie Abrahama i Małki można się dowiedzieć z ksiąg metrykalnych. Wiek „nowożeńców" wskazuje, że była to ceremonia cywilna, a ślub religijny mieli już dawno za sobą, ponieważ Abraham liczył wówczas sześćdziesiąt siedem lat, a jego żona – sześćdziesiąt cztery. Abraham był znany jako „od dawniejszego czasu właściciel realności nr 35 w Wieliczce", a „Małka Guttman, uczona w Klaśnie, od dawniejszego cza-

330 Według wspomnień Ariego Friedmana.

331 J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 198.

332 Według wspomnień Ariego Friedmana.

333 *Polski słownik judaistyczny...*, *op. cit.*, t. I, s. 547.

334 Jecheskiel Szraga z Sieniawy, zob. także wspomnienia M. Yahrbluma, s. 87.

335 Według wspomnień Ariego Friedmana.

336 Według tradycji żydowskiej dzieci otrzymują imiona po swoich zmarłych przodkach, a ponieważ w wypadku syna Abrahama dziadek Hirsz jeszcze żył, dlatego Eliasz otrzymał po nim drugie imię.

337 AP Kr, sygn. USCKL UP-2, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno-Podgórze, 1843–1876.

338 USC Wieliczka, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1903–1906.

su zamieszkała w Wieliczce, córka Salomona i Racheli Guttman w Klaśnie". Ślub odbył się 26 grudnia 1892 roku w Wieliczce w obecności zastępcy rabina Löbla Rosenberga[339]. Nowoczesne państwo wymagało od swoich obywateli zapisu faktu zaślubin w aktach metrykalnych. Jednak dla ortodoksyjnych wyznawców judaizmu był to obowiązek zbyteczny, dla nich liczyła się bowiem ceremonia w obecności rabina. Stąd też problemy z małżeństwami rytualnymi (w księgach metrykalnych była nawet na nie osobna rubryka). Najczęściej to właśnie rabin był zobowiązany prowadzić księgi zaślubin, które potem przesyłał do pełnomocnika magistratu z Żydowskiego Urzędu Metrykalnego w Krakowie. Obowiązkiem gminy było prawne zatwierdzanie ślubów rytualnych i legitymizacja potomstwa z tych małżeństw[340]. Abraham zawarł cywilny związek małżeński właściwie na krótko przed śmiercią. Zmarł 22 marca 1895 roku, o szesnastej trzydzieści. Został pochowany na klaśnieńskim cmentarzu dzień później. Miał siedemdziesiąt dwa lata[341].

Warto wrócić do Eliasza Hirsza Friedmana, który zaręczył się, mając lat piętnaście, a ożenił się z Rachelą Hirschfeld w wieku lat szesnastu. W księgach metrykalnych znajduje się zapis o ślubie, gdy mieli już po trzydzieści lat – zapewne chodzi o ślub cywilny, który jednak odbywał się w obecności „Markusa Weissa, nauczyciela religii mojżeszowej przy szkołach ludowych w Wieliczce, uprawnionego przez wielebnego rabina Simona Frankela z Podgórza". Ceremonia odbyła się 11 marca 1887 roku w Wieliczce. Eliasz figuruje wtedy jako „uczony w Klaśnie, obecnie kupiec w Wieliczce [...] właściciel realności nr 35", jego żona zaś jako „uczona w Krakowie córka Markusa i Prywy Hirschfeld z domu Rakowerów, handlowców w Krakowie nr 60"[342]. Wspomniany Rakower był ponoć bardzo zamożnym człowiekiem. Tradycja rodzinna podaje, że młody Eliasz Hirsz Friedman dał się poznać jako bardzo zdolny i przedsiębiorczy chłopak. Miał wszakże bardzo dobry przykład w ojcu, który, jak wspomniano wcześniej, odznaczał się zaradnością. Na początku pomagał ojcu w prowadzeniu składu żelaza, w realizowaniu zamówień dla salin, przyjmował zlecenia, prowadził rachunki, załatwiał konieczne sprawy. Tak zarabiał na utrzymanie swojej rodziny.

Należy tu wspomnieć o przekonaniach religijnych domu, z którego wywodziła się Rachela. W przeciwieństwie do swego męża i jego rodziców jej bliscy byli zwolennikami misnagdim – zatem nie wspierali chasydyzmu. Teść Eliasza Hirsza Friedmana prowadził sklep z tekstyliami w Krakowie, handlował z kupcami w Czechach i Słowacji (wówczas były to tereny należące do Austro-Węgier). Ojciec Racheli widząc zdolności młodego zięcia, chętnie zaangażowałby go do pomocy w sklepie, a później zapewne przekazał mu intratny interes. Ku takiemu pomysłowi – również po to, by zamieszkać w prestiżowym Krakowie – skłaniała się Rachela. Eliasz Hirsz nie kwapił się jednak do przeprowadzki, gdyż, jak już zaznaczono wcześniej, był zaangażowany w pracę w składzie żelaza.

339 AP Kr, sygn. USC KL MK-4, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1877–1895.

340 A. Żbikowski, *Żydzi krakowscy i ich gmina w latach 1869–1919*, Warszawa 1994, s. 180–181.

341 AP Kr, sygn. USC KLZK-2, Metryki śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1895.

342 AP Kr, sygn. USC KL MK-3, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1877–1895.

W tym czasie do Klasna, jak każdej zimy, zawitał Rabin Jecheskiel z Sieniawy – dokąd przeniósł się z Sącza. Najpierw tańczono i śpiewano na przyjęciu, a potem nadszedł czas na rozmowy. Eliasz Hirsz napomknął, że żona pragnie przenieść się do Krakowa, a on już niekoniecznie. Racheli zależało głównie na tym, aby się usamodzielnili finansowo. Rabin poparł jednak zamysł Eliasza Hirsza, by zostać u ojca, ale podał propozycję kompromisową: niech młody Friedman dostarcza drewna do salin i zrobi sobie oddzielny skład. Niech to będzie jego samodzielny interes. I rzeczywiście, idąc za radą rabina, Eliasz Hirsz założył własny skład drzewa przy samym zjeździe przed Wieliczką[343].

POCZĄTKI I ROZWÓJ DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ ELIASZA HIRSZA FRIEDMANA

Inni mieszkańcy Klasna widząc korzyści płynące z prowadzenia składu, poszli za przykładem Friedmana. Niestety, konkurencja pogorszyła dobrą koniunkturę młodego Eliasza Hirsza, na czym skorzystała niewątpliwie salina. Można przypuszczać, że ponownie pojawiły się naciski ze strony krakowskiej rodziny Hirschfeldów, by młodzi Friedmanowie przeprowadzili się do miasta. I znów z pomocą przybył – jak zawsze w zimie – rabin Jecheskiel, któremu znowu skarżyła się Rachela, że w Wieliczce interes nie idzie, że nie ma tu przyszłości. Rabin uspokoił ją, mówiąc: „Jeszcze zobaczysz, on będzie kiedyś wielkim bogaczem!"[344].

[343] Według wspomnień Ariego Friedmana.

[344] *Ibidem.*

DZIAŁALNOŚĆ FIRMY ELIASZ HIRSZ FRIEDMAN

Firma Eliasza Hirsza przez szereg lat zajmowała się dostawą drzewa dla kopalni soli, znajdując się w samej czołówce dostawców. Warto dodać, że musiała spełniać odpowiednie wymogi, aby wygrywać przetargi ogłaszane przez salinę.

Eliasz Hirsz zaopatrywał się w drzewo z lasów właściciela Gdowa i Wiśniowej, którym był przedstawiciel rodziny Fihauserów[345]. Gdy właściciel zmarł, jego synowie nie chcieli się zajmować sprawami leśnymi, a znając Eliasza Hirsza jako człowieka uczciwego, zaproponowali mu wydzierżawienie lasów na wykarczowanie tego obszaru. Były to szczęśliwe początki kariery młodego Friedmana. Interes zaczął się rozwijać. Dzięki zatrudnieniu przez salinę jako jeden z pierwszych Żydów mógł się przenieść i zamieszkać w Wieliczce w około 1870 roku[346].

Z biegiem czasu Eliasz Hirsz Friedman nawiązał dobre stosunki z namiestnictwem we Lwowie, który był stolicą Galicji. Jednym z wydziałów namiestnictwa było nadleśnictwo, w którym znano już wielickiego przedsiębiorcę. Dzięki temu, że dobrze wywiązał się z zadania powierzonego mu przez synów Fihausera, zlecono mu kolejne. W Galicji Środkowej dostał następne lasy do wycinki: w okolicach Sambora, Trzebini i Sanoka. Tam zakładał małe tartaki. W nich zatrudniany był Pinkus Müller, który był zięciem Weinberga – męża siostry Eliasza Hirsza. Skład

[345] M. Korzec, *W gminie Gdów*, Krosno 2003, s. 99. Nie udało się ustalić imienia.

[346] Według wspomnień Ariego Friedmana.

drzewa Friedmana dostarczał surowca aż do Niemiec i Holandii[347].

W 1900 roku obok składu drzewa powołano do działania również tartak. Słowa rabina Halbersztama nabierały realnych kształtów – Eliasz Hirsz rozkręcał wielki interes. Dzierżawił lasy od Grecko-Ortodoksyjnego Funduszu Religijnego we Lwowie. Zakładał tartaki w Galicji i Bukowinie: miał swoje filie w Suczawie, Gurze Humora, Watrze Dornej i Czudymie[348], Skolem, Bolechowie. Były to miasteczka zamieszkane przede wszystkim przez duże wspólnoty ludności żydowskiej.

W 1909 roku w „Gazecie Lwowskiej" można było przeczytać zawiadomienie w formie ogłoszenia z 25 grudnia o wpisie do rejestru handlowego firm kupców pojedynczych i spółek. Firma Eliasz Hirsz Friedman zajmująca się dotąd handlem drzewem i artykułami żelaznymi poszerzała swoją działalność o fabrykę parową dachówek. Wpisu dokonano już w październiku 1909 roku w Krakowie[349].

Firma przyjmowała i wykonywała zlecenia wydawane przez Magistrat Miasta Wieliczki w latach 1912–1919, czyli w dobie rozkwitu i największej prosperity przedsiębiorstwa. Z pewnością wielka wojna zmniejszyła liczbę zamówień i spowolniła rozwój firmy, choć jak widać z przytaczanych przykładów – nie do końca.

Z zachowanych materiałów i dokumentów wynika, że Eliasz Hirsz zmarł pod koniec kwietnia 1914 roku. Najprawdopodobniej był ciężko chory i przeczuwał zbliżającą się śmierć. W kwietniu udzielił notarialnie szerokiego pełnomocnictwa do prowadzenia firmy synowi Markusowi (Motkowi) i zięciowi Abrahamowi Rosenzweigowi[350].

ELIASZ HIRSZ FRIEDMAN W PAMIĘCI ŻYDOWSKICH SĄSIADÓW

Eliasz Hirsz Friedman zachował się w pamięci żydowskich mieszkańców miasta. Wiadomo było, że zaczynał od handlu drzewem, by potem założyć firmę z siecią tartaków w zachodniej i wschodniej Galicji, dzięki filiom sięgającą aż do Rumunii. Był powszechnie znanym w Galicji przemysłowcem i filantropem[351], drugim obok Horowitza. Wspierał nie tylko żydowską działalność dobroczynną[352]. Chętnie dawał posag ubogim dziewczętom. W księgach metrykalnych izraelickich okręgu Klasno przynajmniej trzy razy widnieje nazwisko Eliasza Hirsza jako sandaka. Pełnił tę zaszczytną funkcję wobec Izraela Altera dwojga imion Weinberga w 1906 roku, w parę miesięcy później wobec Izraela Spiry (najprawdopodobniej byli to jego wnukowie) i w 1908 roku wobec Salomona Dawida Wassenberga[353].

---

347 *Ibidem*.

348 Prawdopodobnie Czudej na Ukrainie w obwodzie czerniowieckim. Nazwy wymienione w tekście pochodzą z zapisków Ariego Friedmana.

349 AP Kr, RH7 – A I 204.

350 AP Kr, Repertorium, t. IV, sygn. 66, Akta notarialne Emanuela Wintera z Wieliczki, s. 182.

351 M. Yahrblum, *Outline for the image of community in Wieliczka at the beginning of the 20th century*, [w:] *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 28–29.

352 Z. Frankel, *Mama*, [w:] *Siberian Diary. An Autobiography*. Publikacja dostępna w Internecie na stronie http://www.zygmuntfrankel.com.

353 USC w Wieliczce, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1903–1906.



Tartak będący własnością rodziny Friedmanów, okolice dworca kolejowego w Wieliczce, lata trzydzieste XX wieku

SPADKOBIERCY ELIASZA HIRSZA FRIEDMANA

Po jego śmierci firma miała się całkiem dobrze. Stała się spółką jawną, którą zawiadywali w 1926 roku Markus (Motek) Friedman, dr Abraham Markus Rosenzweig i Salomon Friedman. Dziedzicami i jawnymi współwłaścicielami były dzieci Eliasza Hirsza: Sara Rosenzweig, Wolf Friedman, Chaja Friedman, rytualnie Rossbach, Doba Lewin, Berta (Bluma) Breit, Lieba (Polda) Beidaff, Estera Hirschfeld, Markus (Motek) Friedman i Salomon Friedman.

W maju 1930 roku Sara Rosenzweig, Chaja Friedman, Bluma Breitowa, Lieba Beidaffowa i Estera Hirschfeld jako współwłaścicielki firmy handlowej Eliasz Hirsz Friedman wystąpiły o wykreślenie ich z rejestru handlowego, podobnie uczyniła Doba Lewinowa w sierpniu 1931 roku[354]. W 1934 roku zmarł Markus (Motek) Friedman, w spółce zatem zostali: Abraham Marek Rosenzweig, Salomon Friedman[355] i cichy wspólnik Wolf Friedman.

STATUS RODZINY FRIEDMANÓW

Szeroko rozumiana familia Friedmanów (z Rosenzweigami włącznie) należała do wyższych sfer w Wieliczce. Byli wymieniani wśród innych bogatych przedsiębiorców, takich jak Perlberger czy Licht. O zasobności rodziny wiele mówi wykaz właścicieli nieruchomości miasta. Przy ulicy Kilińskiego pod numerami 29, 33 i 34 znajdowały się aż trzy murowane domy należące do spadkobierców Eliasza Hirsza Friedmana. Jeden nowo wybudowany liczył pięć pokoi, pozostałe odpowiednio po dwadzieścia osiem i dwadzieścia jeden. Kolejna nieruchomość należąca

[354] *Ibidem*, s. 51.

[355] *Polski słownik judaistyczny...*, *op. cit.*, t. I, s. 547.

do Friedman Spadkobiercy i Spółka była zlokalizowana na przy ulicy Górsko 35 – był to dom murowany z siedemnastoma pokojami. Na ulicy Krakowskiej mieściły się budynki firmowe: cegielnia, tartak i młyn.

DZIECI I WNUKI ELIASZA HIRSZA FRIEDMANA

Eliasz Hirsz i Rachela mieli dziewięcioro dzieci, możemy zatem mówić o tradycyjnym modelu rodziny. Sara była najstarszą córką, która urodziła się 20 czerwca 1878 roku[356]. Potem kolejno, rok po roku, na świat przychodzili: Wolf, Doba i Chaja. Blima (Berta) urodziła się cztery lata później, w 1885 roku. Rok po niej na świat przyszła Estera, a prawdopodobnie w 1888 roku – Lieba (Polda).

Markus (Motek) urodził się tuż po Liebie, 6 czerwca 1889 roku, siedem dni później został obrzezany. Imię otrzymał po dziadku ze strony matki: Markusie Hirschfeldzie[357]. Najmłodszy syn Salomon, zwany w rodzinie Ślamkiem, urodził się 11 października 1890 roku, sandakiem przy jego obrzezaniu, które odbyło się 18 października, był dziadek Abraham Friedman[358]. Imię otrzymał najprawdopodobniej po pradziadku Salomonie – ojcu swej babki Małki z domu Guttman.

RODZINA SARY ROSENZWEIG

Najstarsza Sara wyszła za mąż za Sussmana (Zygmunta) Rosenzweiga w młodym wieku – miała osiemnaście lat. Jej mąż miał wówczas dwadzieścia trzy lata, był synem Salomona i Ryfki Chai z Singerów Rosenzweig, kupców z Wieliczki. Ślub odbył się 10 grudnia 1896 roku przy udziale rabina Szmelke Frenkla[359]. Pierwszy zięć Eliasza Hirsza i Racheli pomagał przy prowadzeniu firmy. Mieszkali w Wieliczce[360].

RODZINA WOLFA FRIEDMANA

Wolf – pierwszy syn Eliasza Hirsza – ożenił się z Esterą Leą Rapaport. Wkrótce po ślubie przenieśli się do Krakowa. Żona Wolfa była córką Majera Rapaporta, rabina pomocniczego w krakowskim rabinacie, i Cerki (Cecylii) z domu Margulies. Estera pochodziła z rodziny, która korzeniami sięgała samego Rasziego i Lurii, a w ówczesnym Krakowie jej krewni Ehrenpreisowie prowadzili kamieniołom na Krzemionkach.

Wolf pracował jako kierownik tartaku rodzinnego w Wieliczce[361] i z powodzeniem[362] zajmował się interesami handlowymi w Krakowie. Zaangażował się mocno w życie wspólnoty żydowskiej miasta, zasiadając w radzie wyznaniowej gminy. Współpracował z Jointem (American Jewish Joint Distribution

[356] AP Kr, sygn. USCKL MK-3, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1896–1899.

[357] AP Kr, sygn. USCKL MK-1, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1888–1890.

[358] *Ibidem*, s. 69.

[359] AP Kr, sygn. USC KLMK-3, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1896–1899.

[360] Szerzej na temat tej gałęzi rodziny: wspomnienia J. Rozewicza, s. 181–188.

[361] AP Kr, Spis ludności z 1921 roku, nr 8366.

[362] Według wspomnień Ariego Friedmana.

Committee)[363], działał w różnych stowarzyszeniach, takich jak Stowarzyszenie Mędrców oraz Stowarzyszenie na Rzecz Sierot. Wolf Friedman poświęcał tym instytucjom nie tylko swój czas, energię i zdolności, ale również hojnie wspierał je finansowo. Odegrał dużą rolę w pomocy dla żydowskich uchodźców z Rzeszy w 1938 roku[364]. Dał się poznać również jako działacz polityczny – w 1922 roku kandydował w wyborach do Sejmu. Programem najbliższa była mu ortodoksyjna partia Agudat Israel[365]. To ona właśnie podjęła inicjatywę powołania religijnych szkół dla dziewcząt Bejt Jaakow, których pomysłodawczynią była krakowianka Sara Szenirer. Wolf Friedman nie tylko te szkoły wspierał, ale również należał do fundatorów ich seminarium nauczycielskiego.

RODZINA CHAI (EHAI) ROSSBACH

Chaja (Ehaja) wyszła za mąż 21 maja 1929 roku w wieku czterdziestu siedmiu lat za czterdziestosiedmioletniego Markusa Rossbacha, przemysłowca z Wieliczki. Jego rodzina pochodziła z Krakowa. Ślubu udzielał im doktor rabin Samuel Hirschfeld (mąż Estery – siostry Chai). Księgi metrykalne podają, że Markus zmarł na raka dosłownie kilka dni po ślubie, 26 maja 1929 roku[366].

RODZINA DOBY LEWIN

Doba wyszła za rabina Arona Lewina. Był on synem ortodoksyjnego Żyda Natana Lewina z Rzeszowa. Pobrali się przed 1906 rokiem. W księgach metrykalnych Aron widnieje jako „kandydat rabinacki w Wieliczce" – w 1904 roku był sandakiem dla Salomona Spiry, czyli kuzyna swojej żony[367]. Lewinowie wkrótce przenieśli się do Sambora, gdzie Aron Lewin zasiadał w Radzie Miejskiej i uzyskał zaszczytny tytuł radcy cesarskiego. Był aktywnym działaczem i przewodniczącym Agudy w Polsce. Ponadto w latach 1922–1935 pełnił funkcję posła na sejm w Warszawie. W 1927 roku objął po ojcu stanowisko rabina w Rzeszowie[368]. Ich synami byli bliźniacy Szmuel i Markus.

RODZINA BLIMY (BERTY) BREIT

Z Blimą (Bertą) ożenił się Izaak Breit. Zamieszkali w Wieliczce. Ich synem był Olek (Joel) urodzony w 1910 roku, który podczas II wojny światowej oże-

[363] *Ibidem*; Joint – organizacja charytatywna założona w Stanach Zjednoczonych w 1914 roku, mająca rozprowadzać środki zebrane przez organizacje dobroczynne wśród Żydów w ogarniętej wojną Europie. W Polsce początkowo prowadził akcje pomocy ofiarom I wojny światowej; od 1920 roku podjął działania zmierzające do przekształcenia struktury społecznej i zawodowej ludności żydowskiej.

[364] 29 października 1938 roku Niemcy brutalnie wypędzili kilkanaście tysięcy obywateli polskich narodowości żydowskiej. Przebywali oni przez kilka tygodni w obozie przejściowym w Zbąszyniu na granicy polsko-niemieckiej. Za: Cz. Brzoza, A. Sowa, *Historia Polski 1918–1945*, Kraków 2007, s. 135.

[365] Według wspomnień Ariego Friedmana.

[366] USC w Wieliczce, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1924–1929.

[367] USC w Wieliczce, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1903–1906.

[368] *Polski słownik judaistyczny...*, *op. cit.*, t. II, s. 37–38.

nił się z Blanką z domu Kaftal. Urodziło się im dwoje dzieci: Andy (Izaak) i Genne. Olek zmarł po wojnie w Nowym Jorku. Kilka lat później w tym samym mieście zmarła Berta.

RODZINA ESTERY HIRSCHFELD

19 stycznia 1921 roku w Wieliczce Estera wyszła za Samuela Hirschfelda z Przemyśla. W tym czasie Samuel był „kandydatem rabinackim, zamieszkałym w Wieliczce". W dniu ślubu miał dwadzieścia siedem lat[369]. Z czasem został rabinem w Białej i prezesem syjonistycznej partii religijnej Mizrachi. Z Esterą mieli troje dzieci: pierworodnego Eliasza (być może Eliasza Hirsza, ale drugie imię wykreślone w księdze metrykalnej), urodzonego w 1917 roku[370], Felicję[371], urodzoną 18 grudnia 1920 roku, i o cztery lata młodszą od niej Rachelę Tilę[372].

RODZINA LIEBY (POLDY) BEIDAFF

Lieba (Polda) wyszła za Izraela Dawida Beidaffa, przemysłowca z Wieliczki, w 1914 roku. Izaak pochodził z Kołomyi, gdzie urodził się w 1889 roku. Osiedlili się w rodzinnym mieście Lieby – w Wieliczce, gdzie Izrael piastował stanowisko prezesa gminy żydowskiej[373]. Mieli córkę Prywę, która przyszła na świat w 1911 roku. Uważani byli za zamożnych i dobrych ludzi[374]. Prywa w 1937 roku wyszła w Krakowie za Feliksa Grossa. Ich córka Eva wyszła za mąż za Scheldona Friedmana, który nie jest spokrewniony z Friedmanami z Wieliczki. Mieszkają w Kalifornii, w USA.

RODZINA MARKUSA (MOTKA) FRIEDMANA

Markus (Motek) Friedman poślubił Friedę Gittel Licht. Istnieją jednak dwa dokumenty mówiące o tym wydarzeniu. W pierwszym mówi się o zaślubinach w Cieszynie w 1913 roku (przy okazji wpisu narodzin córki Eleonory), a w drugim – w Wieliczce w 1919 roku[375]. Markus (Motek) miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat, a jego wybranka – dwadzieścia jeden. W grudniu 1920 roku urodziła się im Eleonora[376], a cztery lata później, 1 lutego – syn Eliasz Hirsz[377], w rodzinie zwany Elkiem. Frieda Gittel zmarła najprawdopodobniej przy tym porodzie. Po śmierci żony Markus (Motek) poślubił jej siostrę Bronisławę Licht. Wraz z rodziną mieszkał na ul. Lwowskiej 135 (w dwudziestu dwóch pokojach)[378].

---

369 USC w Wieliczce, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1927.

370 USC w Wieliczce, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

371 *Ibidem*.

372 *Ibidem*, 1923–1928.

373 K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy...*, *op. cit.*, s. 203.

374 ME, nr inw. 95 733 760/302, s. 2.

375 USC w Wieliczce, Metryka zaślubin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1927.

376 USC w Wieliczce, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

377 *Ibidem*, 1923–1928.

378 AP Kr, MW 47, Akta Miasta Wieliczki, 1926. Alfreda Friedman-Künstler nie potwierdza tego adresu, zob. s. 189.

Zmarł tragicznie w 1934 roku, został pochowany na Klaśnie[379].

RODZINA SALOMONA FRIEDMANA

Najmłodszy syn Eliasza Hirsza i Racheli, Salomon, studiował prawo. Ożenił się z Symą Elką z Backenrothów. Syma pochodziła z Drohobycza. Ich ślub odbył się w 1920 roku w Krakowie. Rok później, 14 czerwca, urodził się Eliasz Hirsz[380]. Drugi syn, Izrael Szymon, urodził się 7 stycznia 1930 roku. Sandakiem przy jego obrzezaniu był Samuel Hirschfeld[381]. Salomon Friedman z rodziną zamieszkał w Wieliczce, gdzie pracował w rodzinnym przedsiębiorstwie.

WSPOMNIENIA MIESZKAŃCÓW WIELICZKI O FRIEDMANACH

W latach 1980–1990 przeprowadzono badania etnograficzne wśród mieszkańców Wieliczki, pytając ich o wspomnienia na temat żydowskich sąsiadów sprzed wojny. Dzięki temu uzyskano bogaty materiał faktograficzny dotyczący konkretnych rodzin żydowskich, między innymi Friedmanów.

Rodzina Rosenzweigów, jak wynika z wypowiedzi wieliczan, należała do bardziej znanych w Wieliczce. Tak ją wspomina jedna z sąsiadek:

> *Rosenzweigowa miała kilkoro dzieci: Idźka, Romka (czyli Abrahama Marka), Zygmunta, Idę i Gizę. To wszystko [wy]kształcone: Idziek był inżynierem od samolotów. Jak Niemcy wkroczyli, to zaraz go aresztowali. Giza wyszła za Frenkla, mieszkali we Lwowie. Chyba też we Lwowie mieszkała Ida [Judyta] Wulkanowa. Romek mieszkał w Wieliczce. Zmienił nazwisko na Rozewicz. Był dyrektorem kopalni czy fabryki. Miał dwóch synów. Żona Romka z młodszym synem Józkiem wyjechała do Palestyny*[382].

Kolega z lat szkolnych Józefa (syna Abrahama Marka) zapamiętał go w ten sposób:

> *[Józef] był synem adwokata krakowskiego. Rosenzweigowie mieszkali na stałe w Wieliczce. Była to bogata rodzina. [Józef był] ładnie ubrany, z eleganckim tornistrem. Należał do bardzo dobrych uczniów. Nawet nas wyprzedzał w czytaniu i matematyce. Mówił dobrze po polsku.*

Jeszcze inna wieliczanka pamięta czasy przedwojenne z dzieciństwa. Siostra jej bratowej pracowała jako opiekunka do dzieci u Rosenzwiegów.

> *Helena pracowała jako gospodyni, a Antocha była bardziej do dzieci. Frydmani [zachowano spolszczoną wersję nazwiska] byli bogaci, mieli młyn, cegielnię i dwór w Sułkowie, tam jeździli na letnisko.*

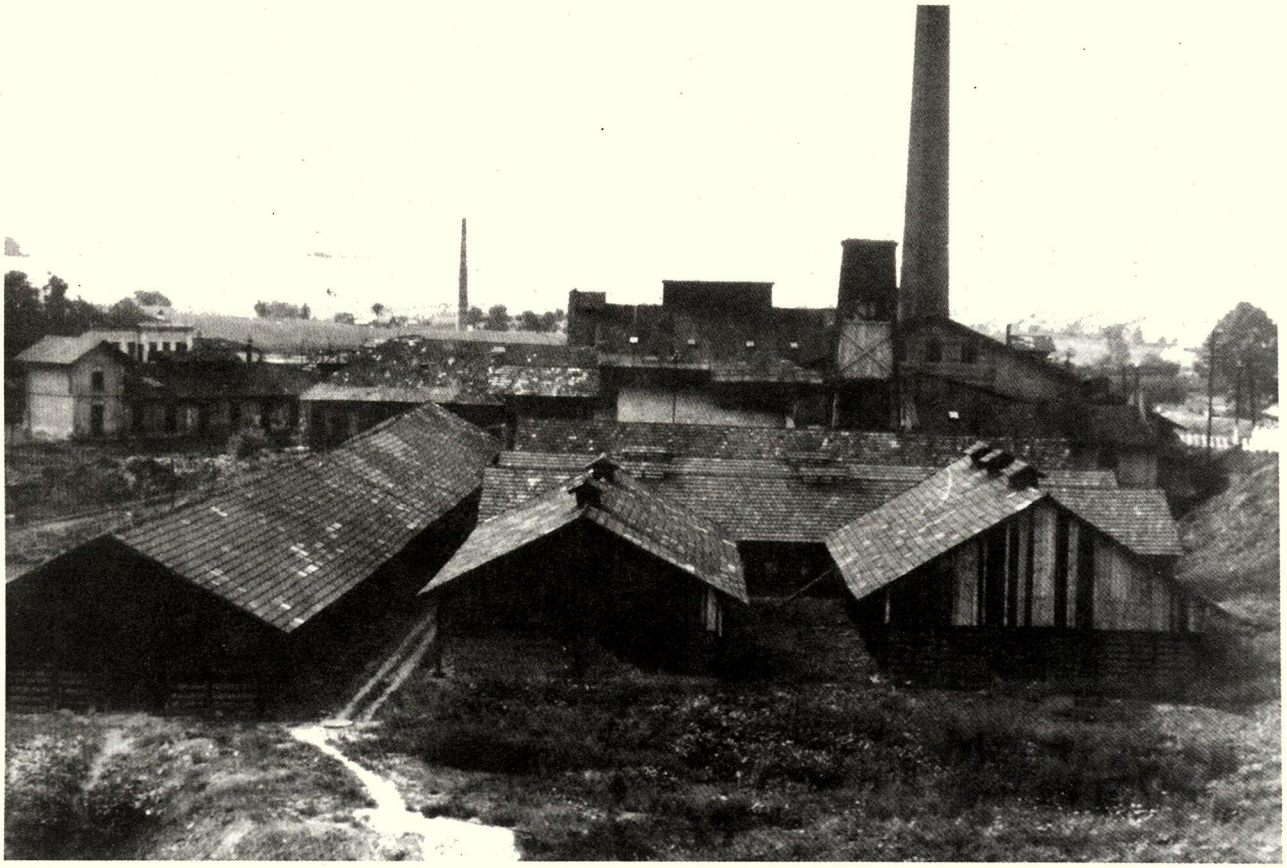
Właśnie z wyjazdami do Sułkowa wiążą się jedne z najmilszych wspomnień z dzieciństwa informatorki. Latem często zdarzało się, że Helena zabierała tam

[379] USC w Wieliczce, Metryka śmierci okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1924–1942.

[380] USC w Wieliczce, Metryka urodzin okręgu metrykalnego izraelickiego Klasno, 1917–1922.

[381] *Ibidem*, 1929–1937.

[382] ME, nr inw. 95 733 760/302, s. 2.



Zabudowania cegielni należącej do rodziny Friedmanów,
ul. Narutowicza, lata trzydzieste XX wieku

dzieci Friedmanów na huśtawki. Były to wyjazdy na kilka godzin, sobotnie lub niedzielne.

> *Rodzina Frydmanów miała kilka pojazdów wyjazdowych, w tym wóz z nakryciem wycinanym po bokach, w zęby. Powoził woźnica Frydmanów – Józef. Wszystkie dzieci bawiły się razem, biegały, huśtały na huśtawkach, potem wracały do Wieliczki.*

Wieliczanka jako dziecko była kilka razy w willi Friedmanów. Nawet raz nocowała, gdy Helena została sama w willi, a Friedmanowie wyjechali. W jej pamięci pozostał z tego pobytu widok dziecinnego pokoju, który był cały na biało, z białymi mebelkami. Helena przed spaniem rozpyliła „leśną wodę". W willi było jedno piętro, na dole dwa, trzy pokoje i kuchnie dla gospodyni[383].

Kolejną dobrze zapamiętaną gałęzią rodziny była familia Markusa (Motka) Friedmana. Jego pierwsza żona, Frieda, cieszyła się sympatią polskich mieszkańców Wieliczki: „piękna, wysoka kobieta, włosy piękne, w gretkę[384] czesała"[385], inna wieliczanka wtóruje:

> *[pierwsza żona była] dobra. Skromnie ubrana, ale piękna, pięknie uczesana. Był zwyczaj, że pracownik Frydmanów dostawał za darmo powóz i konie, gdy się żenił, a dziewczyna wychodziła za mąż. Znajoma przed ślubem poszła poprosić o powóz, wyszła żona Frydmana i powiedziała: „Będzie panienka miała powóz i konie" – taka skromna była [...]. Frydman był elegancki*[386].

> *Motek był dwukrotnie żonaty. [...] Druga żona, Bronisława, z domu Licht, też niebrzydka była. Motek pracował w przedsiębiorstwie Frydmanów, ale bardzo lubił gospodarstwo. Hodowali dwie–trzy krowy. Jedna była cała czerwona, mleka mało dawała, ale piękna była. Trzymali ją dla urody. Motek bardzo ją lubił*[387].

Kolejna z wieliczanek zapamiętała córkę Markusa (Motka) Eleonorę, czyli Lenę:

> *To była moja koleżanka Lena Frydman, to tam było już naprawdę bogato. [Mieszkała] w murowanym domu. Ale pamiętam pokoik Leny. No według mnie to był wtedy luksus. No i piękne biureczko tam było. To wtedy jeszcze nie było znane, i taka kozetka. Tu jakaś taka serweta była, koronkowa na tym nałożona, no ślicznie, no kwiaty, czyściutko było. Byłam u niej [...] to pamiętam, wtedy umarła nasza wychowawczyni, nauczycielka Marysia Bem, no i wtedy robiłam wieniec, poszłyśmy po kwiaty do wieńca.*

Jak wspomina dalej wieliczanka, mama Leny (czyli Frieda) zaprosiła dziewczynki na smaczne bułeczki plecione z makiem, posmarowane masłem. „Matka Leny – elegancka, przystojna, uczesana gładziutko do tyłu, tutaj śliczny, ten ciężki, kruczoczarny warkocz"[388].

---

383 ME, nr inw. 95 718 760/203–204, s. 1–2.

384 Uczesanie „w gretkę" to warkocz francuski (dobierany) pleciony dookoła głowy.

385 ME, nr inw. 95 733 760/301–303, s. 2.

386 ME, nr inw. 95 718 760/204, s. 2.

387 ME, nr inw. 95 733 760/301–303, s. 2.

388 ME, nr inw. 95 713 760/157–159, s. 20–22.

O Chai Rossbach i Blimie (Bercie) Breit mówiono razem: „Hacia Rozbachowa – tęga fest! Inne panie w rodzinie były szczupłe, wszystkie eleganckie"[389].

„Berta Brajtowa miała jednego syna Olka. Chyba wyjechał stąd wcześniej przed Zagładą"[390]. „Rozbachowa i Brajtowa bardzo przestrzegały koszerności. Ryby gotowali. Gotowanego jedli więcej jak pieczonego. Kucharka mieszkała tu. Inne kobiety zmieniały się, były dochodzące ze wsi"[391].

Zachowało się również wspomnienie o rodzinie Beidaffów:

> *Bajdafówna, tak chodziła do gimnazjum i syna miała [z dokumentów zgromadzonych przez rodzinę wynika, że Lieba (Polda) Beidaff miała jedną córkę Evę], i on ten [Izrael Dawid] Beidaff [mąż Lieby (Poldy)], pracował jako między innymi zarządca tych wszystkich fabryk, i taki główny ich zaufany człowiek – u Friedmanów. [...] To jest jego dom, do dzisiaj stoi przy dworcu kolejowym. [...] Na dole tam miał cukiernię, jeden Żyd wynajmował, a on mieszkał na pierwszym piętrze*[392].

Dzięki wspomnieniom wieliczanki, która jako dziecko mieszkała w willi Friedmanów i której rodzice pracowali u nich na służbie, można odtworzyć atmosferę panującą w posiadłości rodziny, wygląd domu i ogrodu[393].

Obecny dom przy Kilińskiego 19 w niczym nie przypomina domu z okresu międzywojennego, zadbanego, otoczonego ogrodem. Zamiast ogrodu pozostał nierówny teren porośnięty chaszczami. Z dawnego ogrodu zachowała się tylko stara lipa. Dom miał piękną, drewnianą werandę, każda szybka była inna [w innym kolorze]. Zamieszkiwały w nim trzy siostry z rodzinami: na górze Rosenzweigowa – trzy pokoje z kuchnią, Breitowa na dole – dwa pokoje z kuchnią, Rozbachowa od tyłu – mały pokój i kuchnia. Na górze dwa pokoje dla gości. Drzwi frontowe piękne. Wszędzie parkiety, w korytarzach posadzki. Białe piece kaflowe były, firanki, zasłony... wysprzątane. [...]

U Rosenzweigowej na jednej ścianie biblioteka. Niemcy wszystko wywieźli... Ściany tapetowane, piękne, eleganckie, meble, dywany, obrazy na ścianach. Kwiatów nie pamiętam. Na górze była do kuchni woda doprowadzona. To było przewdzięcznie! [W ogrodzie] eleganckie sztachety, brama wjazdowa, wokoło ogrodzenia biegał pies na łańcuchu. W środku altana, kwiaty, alejki bukszpanem obsadzone, drzewa bzu: bordowe, białe, lila; lipa z Wiednia sprowadzona. Co roku w lipcu jestem jeszcze na Dolnym Rynku, a czuję, że na Frydmanówce lipa kwitnie. Tu w tenis grali. Z tyłu był ogród jarzynowy. Ogrodnik był dochodzący. Kara się nazywał, on to wszystko utrzymywał. Stróże dochodzili chyba z zakładu. Było tak czysto, że igłę by można było znaleźć. Dzieci miały sarenkę i kucyka. Gdy było ich [dzieci] święto, to wszyscy do ogrodu wychodzili, wypuszczali zwierzęta. Dorośli siedzieli, spacerowali, a dzieci bawiły się z sarenką i kucykiem. [...] Gospodarstwo było spore: obory, stajnie, kurnik – indyczki,

[389] ME, nr inw. 95 733 760/301, s. 1.

[390] *Ibidem.*

[391] ME, nr inw. 95 733 760/303, s. 3.

[392] ME, nr inw. 95 751 760/ 410, s. 25.

[393] Dla współczesnych potomków rodziny Friedmanów jest to bezcenne świadectwo, ponieważ żadna z osób, które mogły coś wiedzieć na ten temat, nie żyje, a ich wspomnienia się nie zachowały.

kaczki, kury. Była wozownia: piękne powozy – bryczka na dwanaście osób, bryczka na cztery osoby, lando czarne, kryte i oszklone, sanki na zimę. Potrzebne było, bo Frydmani dowozili do tartaku, do młyna, do cegielni. Była para koni cugowych na wyjazd do pracy. Dzieci do szkoły odwozili[394].

W oczach mieszkańców Wieliczki rodzina do końca zachowywała swój status zamożnych. Silne więzi łączące członków rodziny i wzajemna pomoc nie pozwalały na dramatyczne zubożenie którejś z gałęzi rodu. Powodziło im się bardzo dobrze, byli uważani za bardzo majętnych, a przy tym cieszyli się opinią dobrych pracodawców i hojnych sąsiadów, co dobrze ilustruje wypowiedź jednego z mieszkańców Wieliczki: „Friedman [prowadził] cegielnię i młyn. Stosunek do Polaków [miał] przychylny. Pracownicy czuli się u niego dobrze. On chował też konie. Jak kupowano u niego konie, to furmankę dawał"[395]. I kolejne wspomnienie:

No tak jak dzisiaj to wygląda. Młyn – nowoczesny, tak samo i tartak z gatrami, z piłami, ze wszystkim, z ludźmi, z robotnikami. I cegielnia: piece, wózki, wypalanie, sprzedaż i wszystko... normalnie tak jak dzisiaj to wygląda. [...] był i człowiek, który prowadził sprzedaż. [...] Przychodziło się. – Proszę mi sprzedać sto sztuk cegły. Ile płacę? – Tyle i tyle. – Ma pan tutaj. Do widzenia. Koniec[396].

[394] ME, nr inw. 95 733 760/302–303, s. 2–3.

[395] ME, nr inw. 95 750 760/ 383, s. 11.

[396] ME, nr inw. 95 751 760/404, s. 19.



Uczniowie pierwszej klasy podczas zakończenia roku szkolnego w Szkole Powszechnej im. Tadeusza Kościuszki („bednarce"), czerwiec 1936 roku. Po prawej stronie wychowawcy Stanisława Spiechowicza stoi Józef Rozewicz, po lewej – Tadeusz Walosik. Józef Rozewicz wspomina: „Wstąpiłem do pierwszej klasy w maju i widocznie nie miałem jeszcze szkolnej czapki, rogatywki z bordowo-niebieskim otokiem. Powinien tu jeszcze być syn burmistrza, Andrzej Jagielski, ale nie mogę go rozpoznać"

WSZYSTKO ZALEŻY OD PRZYPADKU

Józef Rozewicz

Pierwsze dziewięć lat życia spędziłem w Wieliczce, niewielkim mieście słynnym z jednej z najstarszych w Europie kopalni soli. Pierwsze wzmianki o podziemnych skarbach Wieliczki znaleziono w dokumentach pochodzących z 1124[397] roku. Sól była wówczas jednym z najbardziej poszukiwanych i najdroższych surowców. W XIII wieku żupy solne zostały przejęte na własność przez króla i w XIV wieku dawały trzecią część dochodu skarbu państwa.

Jednym z pierwszych Żydów zamieszkałych w tym mieście był Abraham Friedman zajmujący się handlem żelazem. Jego syn, a mój pradziadek – Eliasz Hirsz Friedman rozwinął to niewielkie przedsiębiorstwo, tworząc dobrze prosperującą firmę, która oprócz handlu żelazem oraz drewnem prowadziła w Wieliczce zakłady przemysłowe: cegielnię, młyn i tartak. Pradziadek był bardzo inteligentnym przedsiębiorcą, utrzymującym doskonałe stosunki z dostawcami, klientami oraz miejscowymi władzami. Ofiarowywał szczodre dotacje na cele dobroczynne i to nie

Tekst pochodzi z: J. Rozewicz, *Wszystko zależy od przypadku*, Lublin 2009, s. 5–13.

[397] Dokument legata Idziego, wymieniający dochody z soli dla klasztoru benedyktynów w Tyńcu, datowane na lata 1123–1127 (A. Jodłowski, *Początki osadnictwa...*, *op. cit.*, s. 56).

tylko dla żydowskich instytucji charytatywnych, ale także dla miejscowego klasztoru reformatów. W tym ostatnim wypadku przypuszczalnie oprócz motywów miłości bliźniego chodziło także o podtrzymywanie dobrych kontaktów z ojcami franciszkanami, których klasztor znajdował się niedaleko cegielni. Glinę na cegły dostarczano właśnie z terenów w pobliżu klasztoru. Na początku XX wieku przedsiębiorstwo zatrudniało dwustu pracowników. Mówiono, że połowa Wieliczki żyje z kopalni soli, a druga połowa z „frydmanówki". Fabryki zostały zmodernizowane; zakupiono lokomobilę, maszynę parową i generator elektryczny do napędu maszyn w cegielni, młynie i tartaku. Pierwsze żarówki elektryczne w mieście zostały zainstalowane w domach naszej rodziny.

Eliasz Hirsz i jego żona Rachela mieli trzech synów i sześć córek. Najstarsza z rodzeństwa, moja przyszła babcia Sara Salomea, wyszła za mąż za Zygmunta Rosenzweiga, syna miejscowego kupca. Został on dokooptowany do zarządu firmy i szybko awansował na czołowe stanowisko w dyrekcji. Miał szerokie, jak na owe czasy, wykształcenie, a także szczególne uzdolnienia handlowe i towarzyskie. Dużo podróżował, reprezentując firmę i inicjując transakcje handlowe. Często jeździł do Wiednia i nawet zamieścił kilka artykułów w wiedeńskiej prasie.

Na krótko przed I wojną światową Zygmunt Rosenzweig został uhonorowany tytułem radcy cesarskiego, przyznawanym za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury, nauki i handlu. Wręczenie dyplomu wymagało audiencji u cesarza, przebiegającej dokładnie według dworskich zasad. Dziadek przybył do pałacu w Wiedniu i został zaprowadzony do westybulu przy cesarskich komnatach. Stanął przed kotarą, którą po chwili odciągnięto na bok; głośno zapowiedziano jego imię i nazwisko, po czym przeszedł on do



Na drabinie opartej o starą gruszę w ogrodzie Friedmanów przy ul. Kilińskiego 13/15 stoją od góry: Elek Friedman, Rózia (nazwisko nieznane), Zygmuś i Józik Rosenzweigowie, 1935 rok

salonu, gdzie za biurkiem stał cesarz Franciszek Józef. Dziadek opowiadał, że cesarz wyglądał dokładnie tak jak na portretach, tylko nieco starzej. Po zatrzymaniu się w przepisowej odległości przed biurkiem dziadek pokłonił się i wyrecytował standardowe podziękowanie. Cesarz skłonił lekko głowę, powiedział kilka uprzejmych słów o Wieliczce, wspomniał aktualną liczbę ludności żydowskiej w Wieliczce, co dziadek potwierdził, po czym cesarz ponownie skłonił głowę, a dziadek z głębokim pokłonem opuścił pokój, wycofując się tyłem. Wkrótce po zakończeniu I wojny światowej Eliasz Friedman zmarł, pozostawiając kierownictwo fabryki w rękach zarządu składającego się z trzech synów i dwóch zięciów pod przewodnictwem mojego dziadka.

W czasie I wojny światowej mego ojca powołano do austriackiej armii; odbył kurs oficerski i został mianowany na pierwszy stopień oficerski. Po odrodzeniu Polski przeszedł do Wojska Polskiego w randze podporucznika; brał udział w kampanii 1918–1920 i został nagrodzony medalem za wojnę z bolszewikami. Przeniesiony do rezerwy w 1920 roku, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim i otrzymał dyplom doktora praw. Później odbywał aplikanturę adwokacką z zamiarem otwarcia własnej kancelarii. Gdy w roku 1926 dziadek nagle zmarł na atak serca, ojciec musiał przejąć kierownictwo rodzinnych przedsiębiorstw.

Mieszkanie przy ulicy Kilińskiego 17, w którym urodziłem się 3 lipca 1930 roku, przypominam sobie jak przez sen; pamiętam tylko długi drewniany ganek wychodzący na ogród. Gdy miałem cztery lata, nasza rodzina przeprowadziła się do odnowionego jednopiętrowego domu przy ulicy Kilińskiego 6. Nasze mieszkanie zajmowało parter. Obszerny pokój jadalny, z jednym oknem wychodzącym na podwórze, był dość ciemny. W pokoju tym znajdował się mahoniowy stół z sześcioma krzesłami i duży kredens. Na małym stoliku w pobliżu okna stało radio, które wtedy wydawało się cudem nowoczesnej techniki; był to bakelitowy odbiornik marki Philips, z małym okienkiem ukazującym cylindryczną skalę z zaznaczoną długością fal. Nastawienie radia polegało na przekręcaniu skali, aby wybrana stacja radiowa znalazła się pod kreską na okienku. Zainstalowaną na dachu antenę połączono z odbiornikiem przewodem przechodzącym przez ramę okienną, na której znajdował się przełącznik. Podczas burzy, dla uniknięcia uderzenia pioruna w dom, należało przestawić przełącznik, odłączając antenę od odbiornika i zwierając ją z uziemieniem. Pozostałe trzy pokoje miały okna wychodzące na ulicę. W pokoju dziecinnym, który dzieliłem z bratem Zygmuntem, oprócz dwóch łóżek stały szafa i komoda. Sąsiedni pokój był sypialnią rodziców. W trzecim, frontowym pokoju, gabinecie ojca, znajdowało się duże biurko, szafa biblioteczna i dokoła podłużnego, niskiego stolika stała ciemnobrązowa skórzana sofa z dwoma fotelami. Obok biurka na ścianie wisiał portret dziadka, a po przeciwnej stronie – reprodukcja obrazu Kossaka *Marszałek Józef Piłsudski na Kasztance.*

W mieszkaniu na piętrze mieszkała siostra dziadka – pani Szynaglowa z dwoma dorosłymi synami i córką. Starszy, Altek, dość często przychodził do nas w sobotę po południu lub w niedzielę i grał z ojcem w szachy przy stoliku w gabinecie. Ja wówczas stałem i cierpliwie się przypatrywałem. Ojciec wytłumaczył mi zasady ruchów figur i w ten sposób nauczyłem się grać w szachy. Później grywałem z bratem, a także z ojcem. Ojciec dawał mi na początku „fora" królówkę (hetmana), ale później tylko wieżę. Młodszy, mieszkający nad nami kuzyn ojca Alek studiował medycynę i to bardzo długo, bo bardziej interesował się sztukami pięknymi niż naukami medycznymi:

malował obrazy olejne i rzeźbił. Pewnego razu spotkał jakiegoś bezdomnego żebraka, zaprosił go do mieszkania i rzeźbił jego popiersie. To trwało kilka tygodni; przez cały czas ten człowiek mieszkał u nich.

Rodzina Friedmanów zajmowała kilka innych domów przy ulicy Kilińskiego. Pod numerem 19, w dużym budynku na pierwszym piętrze, w czteropokojowym mieszkaniu mieszkała babcia. Była ona w stosunku do nas bardzo surowa; nie pamiętam, by kiedykolwiek się uśmiechała. Odwiedzaliśmy ją rzadko i to tylko z ojcem. W jej dużym salonie stał czarny fortepian oraz oszklone szafy biblioteczne. Naszą największą ciekawość wzbudzała encyklopedia. Mnie z bratem nie wolno było wyjmować książek z szafy, ale ojciec pokazywał nam barwne ilustracje przykryte przeźroczystym papierem dla ochrony przed zniszczeniem kolorów. Była to niemiecka encyklopedia, więc nie mogliśmy rozumieć tekstu.

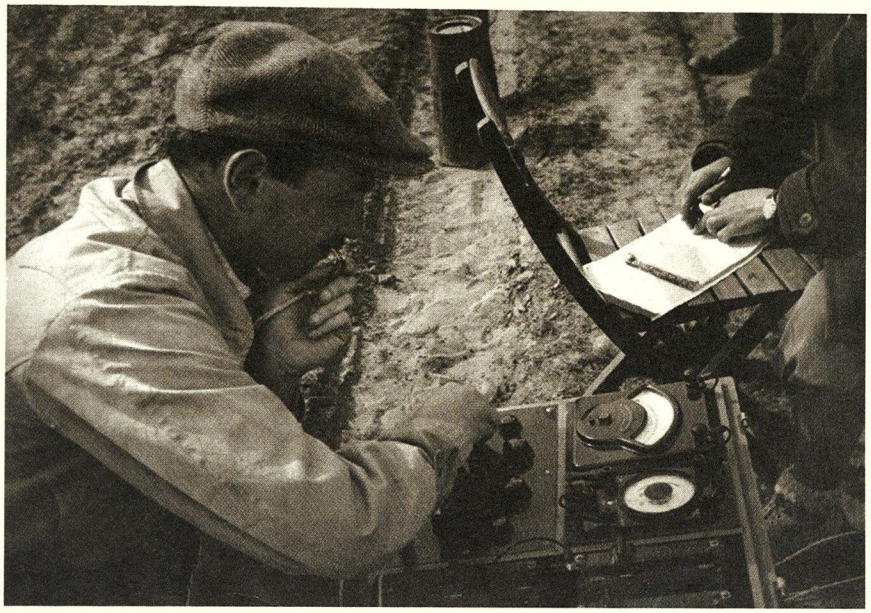
Przychodziliśmy do babci raz do roku na seder – wieczór święta Pesach, zbiegającego się zawsze ze Świętami Wielkanocnymi. Kolacja świąteczna była w pięknej, dużej, prawie nieużywanej w ciągu roku jadalni. Na święta przyjeżdżała z Bielska siostra ojca – Ida z mężem Samkiem i synkiem Zygusiem. Wujek Samek prowadził modlitwy i uroczystości świąteczne, których głównym punktem było czytanie Hagady – opowieści o wyjściu Żydów z Egiptu.

Na początku wieczoru najmłodszy uczestnik umiejący czytać po hebrajsku, a na dwa lata przed wojną byłem nim ja, czterokrotnie zadaje pytanie „Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy?". Prowadzący ceremonię odpowiada na te pytania, czytając Hagadę, co z przerwą na spożycie kolacji może trwać ponad trzy godziny. Dla dzieci ciekawy punkt uroczystości stanowiło napełnienie winem kieliszka dla proroka Eliasza i otwarcie drzwi w oczekiwaniu na jego przybycie. Lubiliśmy obserwować, czy po otwarciu drzwi ubyło wina w kieliszku.

Na parterze domu babci znajdowały się dwa mieszkania, w których mieszkały jej siostry. Po lewej stronie od wejścia – ciocia Berta, rozwiedziona lub żyjąca w separacji ze swym mężem przebywającym w Krakowie, podobno bardzo bogatym i skąpym. Posiadał on pięciopokojowe mieszkanie, ale używał tylko jednego pokoju; w pozostałych meble przykryto prześcieradłami dla ochrony przed kurzem. Ich syn Olek był zapalonym fotografem i producentem filmowym. Jego największe osiągnięcie stanowił film *Zapomniana melodia* z muzyką Warsa. Piosenki z tego filmu bardzo się spopularyzowały i często nadawano je przez radio.

W drugim mieszkaniu na parterze mieszkała ciocia Helcia, wdowa z dorosłą córką Felą. Dość często odwiedzał je pewien krakowski lekarz, zawsze bardzo elegancko ubrany, i rozumiano, że jest on narzeczonym Feli. Gdy nagle przestał przyjeżdżać, wówczas prawie trzydziestoletniej już Feli szybko wyswatano krakowskiego urzędnika i po krótkim narzeczeństwie wzięli ślub. Po raz pierwszy miałem okazję obserwować ślub w synagodze. Nowożeńcy zamieszkali razem z ciocią Helcią. Ich synek, Markus, urodził się 2 maja 1936 roku. Mówiliśmy, że jest to doskonały dzień na obchodzenie urodzin – pomiędzy dwoma świętami: nieoficjalnym świętem robotniczym i świętem Konstytucji 3 Maja (niestety dane mu było obchodzić urodziny tylko kilka razy – w wieku sześciu lat zginął w Bełżcu).

Sutereny, z wejściem wychodzącym na duże podwórze, zajmował fabryczny woźnica Józef z żoną i dorosłymi dziećmi. Żonę nazywano Józefową, a córkę Józefką. Raz widziałem w ich mieszkaniu ich syna w mundurze wojskowym, na urlopie. Najstarszy syn służył w armii austriackiej w okresie wielkiej wojny



Przeprowadzanie pomiarów geoelektrycznych w celu poszukiwania złóż ropy naftowej poprzez zastosowanie elektromagnetycznej metody indukcyjnej, ok. 1936 roku. Obecny na zdjęciu Izaak Rosenzweig urodził się 25 stycznia 1907 roku w Wieliczce jako jedno z czworga dzieci Sary Salomei Friedman i Zygmunta Rosenzweiga. Tam także uczęszczał do szkoły realnej i w 1924 roku uzyskał świadectwo dojrzałości z wynikiem celującym. Ukończył studia na Politechnice Lwowskiej i otrzymał dyplom inżyniera elektryka, następnie pracował tam jako asystent i wykładowca. W 1939 roku otrzymał stopień naukowy doktora. Na początku II wojny światowej, po przejęciu jesienią 1939 roku Politechniki Lwowskiej przez władze radzieckie i przemianowaniu jej na Lwowski Instytut Politechniczny, Izaak Rosenzweig rozpoczął pracę na tej uczelni jako wykładowca.

W opinii kolegów był pracowity, dokładny i sumienny. Niezwykle uzdolniony, wykazywał dużą inicjatywę badawczą i prowadził ożywioną działalność naukową.

Wkrótce po inwazji Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki Izaak Rosenzweig z racji swego żydowskiego pochodzenia zmuszony był się ukrywać. Przez pewien czas przebywał w domu profesora Fryzego. Jednak na początku lipca 1941 roku w ramach szeroko zakrojonej akcji eksterminacyjnej został aresztowany. Był torturowany, po czym prawdopodobnie został zastrzelony wraz z innymi współtowarzyszami niedoli na peryferiach Lwowa, gdyż odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Odszedł w pełni rozwoju sił twórczych, w wieku trzydziestu pięciu lat. Jego żona Sydonia, córka Ruta i drugie dziecko, które przyszło na świat po jego śmierci, we wrześniu 1941 roku, przyjechali do Wieliczki, skąd zostali wywiezieni do Bełżca w 1942 roku. Siostra Izaaka, Giza Frenkel, w kwietniu 1940 roku została wywieziona do Kazachstanu, skąd w 1946 roku wróciła do Polski z synem Zygmuntem i córką Stellą. W 1950 roku wyjechała do Izraela. Jej mąż, doktor praw Leon Frenkel, były legionista, w 1939 roku został aresztowany przez NKWD i w maju 1940 roku rozstrzelany na Ukrainie na podstawie „katyńskiej" decyzji Stalina z marca 1940 roku. Druga siostra, Ida Wulkan, w czasie wojny przeprowadziła się do Wieliczki (z Bielska-Białej, gdzie mieszkała z rodziną) i w sierpniu 1942 została wywieziona do Bełżca wraz z synami Zygmuntem i Sewerynem. Jej mąż Samuel zginął na Łotwie.



Rynek Górny na styku z ul. Kilińskiego, okres międzywojenny

i poległ na froncie rosyjskim. Po drugiej stronie podwórza były stajnie dla kilku koni, używanych głównie do transportu cegieł i mąki z młyna. W wozowni stały powóz, bryczka oraz nigdy nieużywane czarne lando pokryte kurzem. Bardzo stary pies Nero leżał w budzie na krańcu podwórza. W ciągu dnia przywiązywano go do budy krótkim łańcuchem, natomiast na noc przyczepiano do dłuższego łańcucha przesuwającego się na drucie umocowanym dość wysoko i biegnącym przez całą długość podwórza. Stanowiło to ochronę stajni i kurników przed złodziejami.

Naprzeciwko naszego domu pod numerem 11 w dużym budynku mieszkał brat babci Szlamek z żoną Elą i synami Elkiem i Lulkiem. Szlamek faktycznie był wujkiem mojego ojca, ale był tylko o trzy czy cztery lata starszym od niego. Młodszy syn Lulek miał tyle samo lat, co ja i często bawiliśmy się razem. Przy ul. Kilińskiego 5 mieszkał drugi brat babci – Motek. Jego pierwsza żona zmarła bardzo młodo; później ożenił się on z jej siostrą Bronką. Miał dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa: Lenę i Elka, oraz córkę Figę z Bronką. Motek zmarł nagle w styczniu 1936 roku[398]; powiedziano mi o tym, gdy leżałem w łóżku

[398] J. Kutrzeba podaje w swoim artykule (*Rodzina Friedmanów w Wieliczce*, s. 175) rok 1934.

chory na koklusz, dlatego dokładnie to zapamiętałem. W tym samym domu na piętrze zamieszkiwał brat Bronki – Olek Licht z żoną i synem Romkiem[399].

Dzieci naszej rodziny bawiły się razem. Częstymi towarzyszami moich zabaw byli Lulek i Figa, obydwoje w moim wieku. Mój brat Zygmunt miał wspólne zainteresowania z Elkiem, przyrodnim bratem Figi, i Romkiem. Siostra Elka – Lena, znacznie starsza od nas licealistka, nie brała udziału w naszych zabawach. W czasie wojny przebywała „na aryjskich papierach" w Warszawie i zginęła jako sanitariuszka w powstaniu warszawskim w 1944 roku.

W okresie przedwojennym na lato zjeżdżała czasem do Wieliczki ze Lwowa siostra ojca, ciocia Gizia, z synem i córką. Stelka była w moim wieku, ale miała inne zainteresowania, więc nie spędzałem z nią dużo czasu, natomiast starszy ode mnie o dwa lata jej brat Zygmunt, nazywany po lwowsku Bobek, był moim ulubionym kompanem zabaw i płatania figli. Pewnego wieczoru znaleźliśmy w ogrodzie kilka dużych ślimaków, które zostały podłożone pod kołdrę w łóżku Stelki. Innym razem wymalowaliśmy kolorowymi farbkami dwie śnieżnobiałe kaczki spacerujące po podwórzu.

Latem spędzaliśmy dużo czasu w ogrodach. Przy domu babci znajdował się niewielki ogród, który uważaliśmy za własny. Pośrodku był klomb kwiatowy, a po bokach grządki, przeważnie z kwiatami, ale czasem sadzono na bocznych rabatach truskawki. Najczęściej bawiliśmy się w dużym ogrodzie przy domu wujka Szlamka, pełnym drzew owocowych, grządek z warzywami oraz krzewów porzeczek i agrestu przy płocie; znajdował się tam też duży trawnik.

Pewnego lata, chyba rok przed wojną, mój ojciec odwiedzając majątek leśny firmy w Niebieszczanach pod Sanokiem, dostał od leśniczego małą sarenkę. Ku naszej wielkiej uciesze biegała ona po ogrodzie przez całe lato, karmiąc się trawą, ale dodatkowo przynosiliśmy jej marchewkę i inne sarnie przysmaki. Nie było dla sarenki odpowiednich warunków na okres zimowy, więc oddano ją do zwierzyńca w Lasku Wolskim pod Krakowem.

Jesienią urządzaliśmy w tym ogrodzie ognisko, w którym piekliśmy kartofle. Pewnego letniego, gorącego dnia postanowiliśmy urządzić kąpielisko w ogrodzie przy domu cioci Bronki. Pod przewodnictwem Elka pracowała nad tym przedsięwzięciem cała młodzież bez względu na różnicę wieku. Wyryliśmy w ziemi dół o dwóch poziomach: jeden poziom na głębokości siedemdziesięciu centymetrów, drugi – jednego metra. Ściany boczne i dno pokryto cementem. Wiadrami naznosiliśmy wody. Wymiary naszego kąpieliska były tylko nieco większe niż wanny, ale to nie umniejszało naszej dumy z osiągnięcia, mimo że woda w tajemniczy sposób wyciekała do gruntu.

Ojciec lub matka kilka razy w roku zabierali mnie i Zygmunta do Krakowa. Jazda pociągiem trwająca pół godziny stanowiła wielką atrakcję. A w Krakowie były tramwaje, Planty z preclami, lody Pingwin i lody Pingwin w czekoladzie oraz kremówki w kawiarni Noworolskiego na Rynku! W tych podróżach nauczyłem się czytać i pisać słowo „peron" – napis widoczny na Dworcu Głównym w Krakowie. Drugim słowem, które pisałem, było „Kalodont" – marka pasty do zębów. Stopniowo poznawałem także trudniejsze pojęcia – tytuły gazet, jak „Ilustrowany Kurier Codzienny". Mając pięć lat, umiałem już czytać drukowane litery.

Zwykle do pierwszej klasy zapisywano dzieci w wieku siedmiu lat. Mój brat Zygmunt zaczął naukę w szkole o rok wcześniej. Panna Jadzia zatrudniona

[399] Roman Licht (Leaton), zob. s. 189.

u nas jako „panna do dzieci" odprowadzała brata do szkoły. Gdy Zygmunt uczęszczał do klasy trzeciej, przychodziłem do szkoły razem z nią odebrać brata po lekcjach. Wychowawca jego klasy, pan Spiechowicz, rozmawiał czasem ze mną i zauważył, że umiem czytać i rachować. Rano uczył on trzecią klasę w Szkole Powszechnej im. św. Jana Kantego[400], a po południu – pierwszą w Szkole Powszechnej im. Tadeusza Kościuszki[401] i zaproponował, abym przyszedł kilka razy do jego klasy pierwszej na lekcje. Okazało się, że oprócz znajomości kaligrafii byłem na jednym poziomie z pozostałymi uczniami w czytaniu i rachunkach. Pan Spiechowicz w porozumieniu z dyrektorem szkoły postanowił zapisać mnie do pierwszej klasy kilka tygodni przed końcem roku szkolnego. Po wakacjach, we wrześniu, mając sześć lat, zacząłem naukę już w drugiej klasie.

Moja rodzina była stosunkowo postępowa; nie wyróżnialiśmy się niczym z ogółu mieszkańców miasta. Moje pokolenie mówiło już wyłącznie po polsku. Ojciec znał też dobrze język żydowski – jidysz, zwany czasem niesłusznie żargonem, ale matka tylko go rozumiała. My niestety nie mieliśmy okazji nauczyć się tej tradycyjnej mowy. Natomiast raz w tygodniu przychodził nauczyciel języka hebrajskiego; najpierw uczył tylko brata, a później także mnie. W domu utrzymywano koszerną kuchnię: były osobne naczynia na potrawy mięsne, a osobne na mleczne. Matka w piątek wieczór i przed świętami zapalała świeczki, jak nakazuje tradycja.

Przestrzegając przepisów religijnych, w soboty nie uczestniczyliśmy z bratem w zajęciach szkolnych. Tego dnia więc po drodze ze szkoły przychodzili do nas moi koledzy szkolni: Tadeusz Walosik lub Andrzej Jagielski, i zaznaczali w podręcznikach, jakie zadania domowe trzeba odrobić na poniedziałek. W ten sposób miałem sposobność uzupełnienia opuszczonego materiału. Zygmunt, który planował rozpoczęcie nauki w gimnazjum pierwszego września 1939 roku, zamierzał uczęszczać do niego także w soboty, bo lekcji gimnazjalnych nie wolno było opuszczać.

W czerwcu 1939 roku ukończyłem czwartą klasę i w lipcu wyjechałem wraz z bratem i matką na letnie wakacje w domu babci Karpfowej w Jaśle. Nie wiedzieliśmy wtedy, że do naszego mieszkania w Wieliczce więcej nie wrócimy.

Józef Rozewicz (Rosenzweig) (ur. 1930 w Wieliczce) – w pierwszych dniach II wojny światowej wyjechał do Lwowa, skąd w 1940 roku został wywieziony wraz z rodziną do Maryjskiej Autonomicznej Republiki w północnej Rosji. W 1944 roku powrócił do Polski, gdzie ukończył studia na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, a następnie został pracownikiem naukowym tejże uczelni – najpierw w stopniu doktora, następnie docenta habilitowanego nauk technicznych. W 1968 roku wyjechał do Izraela, a stamtąd do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka obecnie.

[400] Zwana „wydziałówką".

[401] Zwana „bednarką".

DOM NA UL. KILIŃSKIEGO

Alfreda Friedman-Künstler

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu telefonicznego przeprowadzonego z Alfredą Friedman-Künstler w kwietniu 2012 roku przez Annę Krzeczkowską.

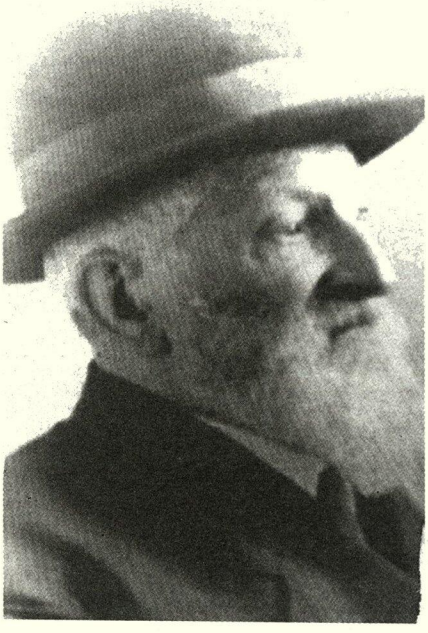
Odkąd pamiętam, mieszkaliśmy na Kilińskiego 5. Zresztą na Kilińskiego mieszkała cała najbliższa rodzina: pod jednym numerem brat mojego ojca Salomon Friedman, pod drugim – rodzina Rozewiczów. Na Kilińskiego była także „frydmanówka", w której mieszkały trzy siostry mojego ojca. W naszym domu na piętrze mieszkali też Lichtowie z moim kuzynem Romkiem.

Urodziłam się w Wieliczce 13 stycznia 1931 roku. Mój ojciec nazywał się Markus Friedman, zdrobniale mówiono na niego Motek. Moją mamą była Bronisława z domu Licht. Mieszkały z nami także dzieci z pierwszego małżeństwa taty ze starszą siostrą mojej mamy – Eleonora i Eliasz Hirsz. Przed wojną brat dojeżdżał do Krakowa, do gimnazjum hebrajskiego, siostra uczyła się w gimnazjum w Wieliczce, a ja w szkole na Zadorach.

Dom na Kilińskiego pamiętam dobrze. W kuchni był wielki piec kaflowy i duży stół otoczony taboretami. Dalej były jadalnia i gabinet mojego ojca. Salon miał bardzo piękne okno, znajdowały się tam różnego rodzaju rośliny, duże, skórzane fotele, stół, który miał taką grubą, kwadratową nogę – gdy byliśmy dziećmi, to bawiliśmy się, chowając się w tej nodze. Zwykle nie wolno nam było kręcić się po salonie, ponieważ



Markus (Motek) Friedman, lata trzydzieste XX wieku



Mojżesz Licht, lata trzydzieste XX wieku

mieliśmy swoje pokoje. Łazienka miała piec na drewno, które przywożono z tartaku w dużym worku. Ja miałam łóżko w sypialni mamy. Siostra i brat mieli osobne pokoje. Zawsze na święto Pesach zmieniało się wszystko: mieliśmy strych, gdzie przechowywane były świąteczne rzeczy; żeby dostać się do niego, trzeba było przysunąć schody. Przed Pesach to, co było na strychu, znosiło się na dół, a te codzienne rzeczy chowano. Mieliśmy też wielką piwnicę, gdzie był węgiel.

Przed domem rosły bez i jaśmin, a wokół rozciągał się ogród. Pamiętam, że zawsze pięknie pachniało. Przed domem także, z drugiej strony, był ogródek, w którym rosły agrest i porzeczki. Z tyłu była altana. Mieliśmy także kurnik i hodowaliśmy gołębie.

Na wakacje zimą jeździliśmy do Zakopanego, a latem do Rabki. Obok „frydmanówki" była taka górka, z której jako dzieci zjeżdżaliśmy na nartach. Na sanki i narty chodziliśmy też w okolice garbarni.

Moja matka była niezwykłym człowiekiem. Piękna, bardzo wysoka blondynka, przy tym bardzo energiczna. Wyprzedzała swój czas. Przed wojną, zanim wyszła za mąż, studiowała języki niemiecki i angielski na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, co wówczas w wypadku dziewczyn zdarzało się niezwykle rzadko. Dzięki temu mogliśmy się utrzymać po śmierci ojca; dawała lekcje i przygotowywała dziewczyny do matury. W tamtym trudnym czasie pomagała nam także rodzina. Tato zmarł na atak serca w 1934 roku. Mama opowiadała, że pewnego ranka wstał, doszedł do łazienki, zaczął się golić, powiedział, że źle się czuje i upadł. To był koniec.

Mama była wielką syjonistką. Przed wojną mieliśmy wszystkie papiery, żeby wyjechać do Palestyny: brat, mama, siostra i ja. Izrael jeszcze wtedy nie istniał. Lena nie chciała wyjechać. Mówiła do mamy: „Słuchaj, daj mi jeszcze kilka miesięcy, ja zrobię maturę i wyjedziemy". Mama się zgodziła, a w międzyczasie wybuchła wojna. Lena jej nie przeżyła. Chciała zostać i została.

Dziadek ze strony mamy nazywał się Mojżesz Licht i mieszkał w Rynku Dolnym. Miał trzy żony, moja matka była córką najmłodszej z nich, Frymety. Oprócz mojej mamy dziadkowie mieli jeszcze ośmioro dzieci. Najstarszy był Siolek, potem był Dawid, następnie Eliasz (Olek) i Henek, Józek i trzy córki: Balka, Giza, Lajcia, która wyszła za rabina we Frankfurcie. Dawid i Henek mieszkali w Krakowie, w Wieliczce zostało troje



Romek Licht (Leaton) w wieku około siedmiu lat, około 1935 roku

z rodzeństwa – wśród nich Eliasz, ojciec Romka Leatona. W Wieliczce mieszkała także Balka, jedna z sióstr mamy. Reszta rodzeństwa mieszkała to tu, to tam. To była postępowa rodzina, mówiliśmy po polsku. Jedynie dziadek Licht miał brodę i był raczej konserwatywny. Nasz dom był koszerny, obchodziliśmy wszystkie święta, rodzina zawsze wtedy spotykała się w domu dziadka Lichta. Do dziadka na Rynek Dolny mogłam chodzić sama, tak samo do kuzynostwa, ponieważ mieszkaliśmy przecież na jednej ulicy. Goniliśmy od jednego domu do drugiego, z ogrodu do ogrodu.

Dziadek miał skład nawozów rolnych i ziarna. W tym samym budynku, gdzie dom. To była wielka hala. I tam stały worki tych nawozów. Lubiłam ich zapach i przychodziłam tam bardzo często.

Przed wojną stosunki między Polakami i Żydami były bardzo złe. Pamiętam taki jeden róg Rynku Górnego, prowadzący z Kilińskiego do dziadka Lichta, który lepiej było omijać. Stali tam chłopcy i rzucali w żydowskie dzieci kamieniami. Ale moją najlepszą koleżanką przez lata była Polka, Marysia Dolewka. Byłyśmy nierozłączne.



Rodzina Horowitzów, od lewej: Alfred, Maria (z domu Grünwald), Irena, Olga, Maurycy (Mojżesz), około 1920 roku

RODZINA HOROWITZÓW

Alfred Borowicz

Mam kilka wspomnień z dzieciństwa. Byłem zaledwie kilkuletnim chłopcem, kiedy odwiedziła nas ta zabawnie wyglądająca osoba, może sięgałaby mi teraz do pasa, może była trochę wyższa. Miała na sobie wielki kapelusz, którego nie mogłem utrzymać w obu rękach. Cała zgraja dzieciaków towarzyszyła jej w drodze ze stacji, bo przedstawiała rzadki widok. Gdy dotarła do nas, tak szybko, jak tylko otworzyła drzwi, powiedziała: „Marynia, pokaż no mi swoje dzieci". Uciekłem do ogrodu, wdrapałem się na jabłoń, żeby się ukryć, ale zaraz mnie z niej ściągnięto. Matka ustawiła nas w rzędzie i zaczęło się przepytywanie. Okazało się, że była to guwernantka, która pracowała w domu rodziców mojej matki i znała moją matkę, gdy ta była małą dziewczynką. Nie mam pojęcia, jak znalazła nas w Wieliczce, ale przyjechała w odwiedziny. To jest moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa.

Tak naprawdę nie byłem w tamtym okresie zainteresowany sprawami domowymi, bardziej ciągnęło mnie do ogrodu. Mieliśmy wielki ogród, rosło w nim mnóstwo owoców, stały ule. Dzieci miały tam swoje obowiązki, jak okopywanie ścieżek, wyrywanie chwastów i tym podobne. I byliśmy naprawdę zajęci. Poza tym lubiliśmy te prace. W domu często

Wspomnienia Alfreda Borowicza z: www.centropa.org – *Jewish Witness to a European Century – An Interactive Database of Jewish Memory*. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

widywało się dalszych członków rodziny, dom był duży, więc mieli gdzie się zatrzymać na noc.

Dziadkowie nigdy nas nie odwiedzili; to zawsze my jeździliśmy do nich z wizytą. Zarówno rodzice mamy, jak i ojca mieszkali w Krakowie. Pierwsi mieszkali na ulicy Zyblikiewicza pod numerem dziewiątym, drudzy na Stradomiu. Ojciec był starszy od matki o dziesięć lat, a i tak był najmłodszy w rodzinie, więc jego rodzice byli dużo starsi od rodziców matki.

Dziadkowie ze strony ojca nazywali się Horowitz. Dziadek miał na imię Hersz, a babcia Lieba Jecheta, z domu Gronner. Mieszkała z nimi siostra ojca, Regina, która nigdy nie wyszła za mąż. Kiedy odwiedzaliśmy dziadków, babcia, która wtedy była już bardzo stara, siadała przy oknie w czymś w rodzaju podnoszonego fotela, w bluzce z żabotem, zawsze ubrana w ten sam sposób. Tylko głaskała nas po głowach, spoglądała na nas i niewiele się odzywała. Dziadek natomiast chodził i wypytywał nas o wszystko.

Babcia zajmowała się domem. W tamtych czasach kobiety nie pracowały. To było prawie sto lat temu, początek wieku XIX. Horowitzowie byli prawdopodobnie religijni, ale do końca nie jestem pewien.

Pamiętam, jak po zakończeniu I wojny światowej przyjechał z Ameryki pewien człowiek. Nie wiem, jak się nazywał. W drodze ze stacji do naszego domu towarzyszyła mu cała zgraja. Był młody, miał na sobie biały garnitur, a że nikt wtedy w Europie nie ubierał się na biało, wzbudzał niemałą sensację. Okazało się, że był on synem właściciela fabryki, który wyemigrował do Ameryki przed wojną. Mój ojciec pracował dla niego jako bibliotekarz.

Dziadkowie ze strony matki nazywali się Karol (Kopel) Grünwald i Elżbieta (Elke) z domu Schwarzwald. Mój dziadek był majstrem budowlanym, dobrze znanym w Krakowie. Na jego temat krążyło dużo anegdot, bo był dowcipny i zabawny, a jako majster zbudował wiele domów. Moja babcia nigdy nie robiła niczego innego oprócz zajmowania się domem. Zresztą kiedy ma się ośmioro dzieci, ciężko znaleźć czas na pracę zarobkową. Rodzice mojej mamy nie byli bardzo religijni.



Budowa kolektora kanalizacyjnego w Wieliczce. Maurycy Horowitz (w środku w krawacie), dalej Franciszek Widomski i Tadeusz Bierczyński, 1938 rok

Mój ojciec nazywał się Mojżesz (Maurycy) Horowitz i z zawodu był adwokatem. Ukończył Uniwersytet Jagielloński i przez całe swoje życie, odkąd tutaj osiadł w 1904 i poślubił moją matkę (24 grudnia 1904 roku), pracował jako prawnik, prowadząc prywatną praktykę. Poza prawem miał jeszcze kilka zainteresowań, np. uwielbiał pracować w ogrodzie. Do grabienia natomiast najmował ludzi. Był też ktoś w rodzaju ogrodnika – były górnik, który mieszkał w domku stojącym w ogrodzie.

Mój ojciec został wybrany zastępcą burmistrza Wieliczki. Burmistrz był z politycznej nominacji, natomiast jego zastępcę wybierała rada miejska. Ojciec brał czynny udział w radzie przez wiele lat. Zarządzał infrastrukturą miejską: chodnikami, kanalizacją, wodociągami, systemem zasilania i tak dalej. Wieliczka miała to wszystko wcześniej niż Kraków. Mój ojciec pełnił różne ważne funkcje w mieście. Także pośród Żydów. Na przykład przez wiele lat prowadził fundusz zdrowotny. Przed wojną każde miasto miało własny fundusz zdrowia, a razem tworzyły coś w rodzaju systemu. W Wieliczce były dwa, jeden przeznaczony dla górników, drugi dla wszystkich prywatnych i publicznych przedsiębiorstw, które realizowały ubezpieczenia zdrowotne. Mój ojciec pełnił funkcję przewodniczącego jednego z nich przez piętnaście lat.

Ojciec nie był członkiem PPS przed wojną. Sympatyzował z nimi, jednak nigdy się do nich nie przyłączył. Niemniej jednak członkowie PPS poważali mojego ojca i w wyborach (na zastępcę burmistrza) zawsze wygrywał ich głosami. Po wojnie przyłączył się do nich natychmiast, a w nagrodę został przeniesiony do PPR.

Mój ojciec nie był religijny, ale chodził do synagogi w każdą rocznicę śmierci swojego ojca. Ja nigdy nie bywałem w synagodze; poszedłem tam tylko raz, jako niepraktykujący – do świątyni Tempel w Krakowie, synagogi zbudowanej przez bodajże B'nai B'rith[402]. Mój ojciec był bardzo przywiązany do żydowskości. Potrafił czytać po hebrajsku. Pochowaliśmy go na cmentarzu żydowskim w Krakowie, ponieważ taka była jego wola. Wszyscy członkowie naszej rodziny byli Żydami. W Wieliczce mieszkali także przechrzty, Molknerowie. Molkner ożenił się z katoliczką, ale regularnie spotykał się ze swoimi krewnymi. Byli w mieście także tacy, którzy woleli udawać, że nigdy nie byli Żydami. Takich ignorowaliśmy.

Moja matka, Maria Horowitz z domu Grünwald, pochodziła z Krakowa. Mówiła płynnie po niemiecku i francusku. Skończyła szkołę z internatem. Ojciec mówił tylko po niemiecku i po polsku. Moja mama nie była religijna. Jestem pewien, że nie umiała mówić po hebrajsku. Jej głównym zajęciem było prowadzenie domu, rozwijanie zajęć kulturalnych, zabawianie gości i granie w karty.

Opiekowała się także biednymi kobietami. To były kobiety, które znała, jedna z nich nazywała się Escia (zdrobnienie od Estera), druga Ablowa, były też inne. Przychodziły do mojej matki z różnymi sprawami. Pomagała im, dawała lub kupowała od nich rzeczy. Escia przyniosła kiedyś dobrej jakości ryby, a moja matka powiedziała: „Dam ci za nie dobrą cenę". Prawdopodobnie zapłaciła kobiecie więcej, niż tamta oczekiwała.

Nasz dom był stary, mieścił się przy Rynku Górnym, zaraz przy gimnazjum, do którego chodziłem. Był przestronny, dwa pokoje miały ściany grube na

[402] B'nai B'rith (Synowie Przymierza) – organizacja powstała w 1843 roku w Nowym Jorku, angażująca się w działalność mającą na celu wspieranie społeczności żydowskiej, zarówno w Palestynie, jak i na całym świecie.



Przed wielickim magistratem (trzeci od lewej w pierwszym rzędzie i dwaj na prawo od niego) stoją: wiceburmistrz Maurycy Horowitz, burmistrz Józef Jagielski, profesor Tomasz Żywiec, około 1938 roku



Na odwrocie zdjęcia znajduje się adnotacja ołówkiem wykonana przez Stanisława Kasprzyka, przedwojennego właściciela sklepu w Wieliczce „Wimmerowie", prawdopodobnie lata trzydzieste XX wieku

metr i sklepione sufity. Stoi do tej pory. Mieliśmy siedem pokoi, dwie łazienki, kuchnię, oczywiście spiżarnię, strych, piwnicę i całą resztę.

Mieliśmy także sąsiadów, Wimmerów, bardzo religijnych, którzy mieszkali w domu obok i na Sukkot budowali szałas na podwórzu[403]. Mieli córki, które wyszły za mąż, jedna po drugiej i za każdym razem odbywały się długie narady z moją matką dotyczące wesela i przyszłego zięcia.

Większość Żydów w Wieliczce stanowili kupcy, więksi lub mniejsi, ale byli także reprezentanci innych zawodów. Między innymi młody adwokat, bliski znajomy mojego ojca, doktor Rosenzweig, którego ojciec wżenił się w rodzinę Friedmanów. Wspominam jego nazwisko, ponieważ jego brat był znakomitym inżynierem ze stopniem naukowym zdobytym na Politechnice we Lwowie. Był utalentowanym specjalistą, wykładał na uniwersytecie. Zmarł podczas wojny. W Wieliczce istniało też sporo żydowskich sklepów. Na Rynku Górnym były sklepy z artykułami piśmiennymi, w tym jeden żydowski, prowadzony przez Golda, Melzer miał pasmanterię, Goldstein sprzedawał środki chemiczne, farby i wapno. Kogo jeszcze pamiętam? Był też hydraulik Lefeholz, zegarmistrz Königsberger i piekarz Händler.

Wieliczka liczyła w tym czasie około dziesięciu tysięcy mieszkańców i wielu z nich, może jakieś trzy tysiące, to byli Żydzi. W soboty nosili dekoracyjne kołpaki, długie płaszcze z sukna, i wyróżniali się z tłumu. Na pewno w Wieliczce była synagoga, była tam także żydowska dzielnica, Klasno. Tam mieszkała

[403] Ten szałas to sukka, mająca przypominać Żydom, w jakich warunkach musieli mieszkać podczas wędrówki z Egiptu do Kanaanu. Stąd nazwa samego święta – Sukkot (inaczej Święto Szałasów, Święto Namiotów lub Kuczki), które rozpoczyna się piętnastego dnia miesiąca tiszri.



Awers koperty firmowej Fabrycznego składu farb, pokostu, lakierów, materiałów budowlanych, smarowidła, olejów maszynowych i wapna skalistego należącego do Efraima Goldsteina, prawdopodobnie lata trzydzieste XX wieku

większość Żydów. Gdyby policzyć całe Klasno, to wyszłoby, że Żydów było więcej niż te wspomniane trzy tysiące. To mogła być nawet połowa populacji miasta. Mój ojciec na pewno znał osobiście co najmniej połowę wszystkich Żydów w Wieliczce.

Szabat nie był w Wieliczce obchodzony w żaden specjalny sposób, ale sklepy były zamknięte, Żydzi prawdopodobnie chodzili do synagogi. My nie obchodziliśmy wszystkich żydowskich świąt, ale zawsze była maca na święto Pesach, Dzień Sądu i Nowy Rok – to były bardzo ważne dni. Mimo że nie robiliśmy z tej okazji niczego specjalnego, to znaliśmy tradycję i staraliśmy się nikogo nie urazić. Na Dzień Sądu udawaliśmy i staraliśmy się nie jeść zbyt ostentacyjnie.

W święta często jeździliśmy do Krakowa, aby przypadkiem kogoś nie urazić. Często obserwowaliśmy także katolickie święta i to, że mieli choinkę w Wigilię. Ale dla nas to nie było święto religijne, myśleliśmy o tym raczej jak o uroczystej kolacji.

Mój ojciec był członkiem B'nai B'rith przez cały czas, ale nie mam pojęcia, co należało do jego obowiązków. Była to legalna organizacja, oficjalnie zarejestrowana, zajmująca się działalnością charytatywną. Dzięki niej zbudowano szpital żydowski, najlepszy w mieście. Wiem także, że była to organizacja dla zamożnych ludzi; składki członkowskie były wysokie, a mój ojciec pożyczał pieniądze, żeby uregulować te opłaty. Kiedy organizowano bal dobroczynny, wszyscy członkowie musieli być obecni, a każdy z nich musiał wpłacić zwykle znaczną sumę pieniędzy na jakiś cel. Mówili na przykład: „Budujemy szpital i potrzebujemy kilka milionów, każdy więc musi złożyć dotację w wysokości stu tysięcy". W Wieliczce tylko mój ojciec należał do B'nai B'rith.

Jego brat Zygmunt mieszkał w Krakowie i zasiadał w radzie tej organizacji. Najpierw mieszkał w Skawinie. Zajmował się budową linii kolejowej, stacji i podobnymi rzeczami. Jego żona była Żydówką z Wiednia, z domu Sokal. Ciocia miała na imię Aurelia, Rela. Musiała prowadzić cały dom, ponieważ Zygmunt był chory na serce i szybko przeszedł na emeryturę, przestał pracować i mógł jedynie bardzo powoli się poruszać. Mieli córkę i syna. Córka miała na imię Jadwiga, Heda. Wyszła za mąż za człowieka o nazwisku Bereś z Krakowa. Synowi dali na imię Ludwik.

Zygmunt zmarł podczas wojny, ale z przyczyn naturalnych; Aurelia zmarła dużo wcześniej. Ludwik też zmarł podczas wojny; pracował w Gdyni dla przedsiębiorstwa Hartwiga. Heda się uratowała, po 1968 roku wyemigrowała do Izraela, a jej syn, Jurek – do Kanady.

Ciocia Regina, kolejna z sióstr mojego ojca, mieszkała z dziadkami. Była bardzo oddana rodzinie, wszystkim usługiwała. Nie wyszła za mąż, ponieważ opiekowała się swoimi rodzicami. Po ich śmierci zamieszkała z ciocią Amalią.

Amalia mieszkała w Niemczech, w Eisenach, gdzie poślubiła niejakiego Seelenfreunda. Był on kupcem i miał duży sklep. Najstarszy z ich synów, Bruno, pisał listy do mojej siostry, gdy mieszkała w Genewie, a on sam mieszkał w Ameryce Południowej. Ożenił się w Polsce, chociaż nie potrafił powiedzieć po polsku ani jednego słowa. Poślubił dziewczynę o imieniu Stella, kuzynkę Unglerów, i wrócił z nią do Ameryki, gdzie doczekali się syna. Amalia oprócz niego urodziła jeszcze dwie córki, jedna z nich miała na imię Róża i miała dwie śliczne córeczki i męża o nazwisku Silberstein. Był Niemcem i służył w niemieckiej armii, a kiedy do władzy doszedł Hitler, powiedział nam: „Nic nam nie mogą zrobić. Odznaczono mnie najwyższymi wojskowymi odznaczeniami". Nikt z nich nie przetrwał. Wszyscy zostali zabici w Eisenach, ale nie znam żadnych szczegółów.

Najstarszą siostrą ojca była ciocia Róża, mogła być nawet osiem lat starsza od niego. Poślubiła niejakiego Schefera. Był on kupcem, ale nie pracował w Polsce, głównie w Chinach, Szanghaju, Hongkongu. Wydaje mi się, że zrobił tam fortunę. Kupił sporo mebli, chińskiej porcelany i porozdawał rodzinie; w domu w Wieliczce mieliśmy piękną chińską porcelanę i dywany. Miał on także nieprawdopodobną kolekcję znaczków pocztowych, na którą wydał olbrzymie pieniądze. Później podarował ją Ludkowi, synowi Zygmunta, jako najstarszemu wnukowi.

Ciocia Róża miała jedną córkę, Małgorzatę albo Gretę, która wyszła za architekta z Krakowa, Ferdynanda Lieblinga. On dużo budował w Krakowie – budynki żydowskiego szpitala i Poczty Głównej oraz wiele innych. Ciocia Róża nie przeżyła wojny. Została zastrzelona w łóżku, w swoim mieszkaniu. Inni członkowie tej rodziny także zginęli. To była niezwykle kulturalna rodzina. Mówili wieloma językami, nauczyli mnie hiszpańskiego i angielskiego. Subskrybowali różne czasopisma z całej Europy.

Ja urodziłem się w Wieliczce 2 sierpnia 1909 roku. Kiedy byłem dzieckiem, Wieliczka była dużym miastem. Do Krakowa jechało się powozem, co było drogie i zajmowało dużo czasu, lub pociągiem. Trzeba było dojść do stacji kolejowej, która znajdowała się około dwóch kilometrów od domu, wsiąść do pociągu, wysiąść w Bieżanowie i przesiąść się do pociągu ze Lwowa do Rzeszowa.

Miałem dwie siostry: Olga była starsza o cztery lata, a Irena – o dwa lata młodsza. Olga przyszła na świat 29 września 1905 roku, a Irena – 25 marca 1911. Wszyscy urodziliśmy się w Wieliczce.

Mieliśmy pokojówki, zwykle dwie. Jedna z nich miała na imię Kasia, pamiętam ją z dzieciństwa. Potem zaczęła dla nas pracować jej siostra, Anielcia Puterówna. Obie były traktowane dobrze, raczej jak członkowie rodziny niż jak służące.

Moja szkoła znajdowała się obok naszego domu, było to męskie gimnazjum na Rynku Górnym. Wychowawcą mojej klasy był Stefan Chmiel, który uczył geografii i historii. Nauczycielem biologii był Marian Loch. Później dołączył Tomasz Żywiec, nauczyciel łaciny, wspaniały, wzbudzający sympatię człowiek o wysokiej kulturze, wybrany na wiceburmistrza. Kolejny był Stanisław Klimczyk, nauczyciel literatury polskiej, z długimi wąsami, dalej Kaszycki – nauczyciel chemii oraz Pichór – nauczyciel fizyki, bardzo wymagający. Był jeszcze Kryński, znakomity nauczyciel matematyki, bardzo dociekliwy i stanowczy, ale bardzo lubiany przez uczniów. Nauczycielem języka francuskiego był natomiast Jurczyński, człowiek bardzo nieporadny, który nosił kapelusz tyłem do przodu.

Co do religii, to w szkole było nieźle, ponieważ z powodu małej liczby Żydów nie było dla nich osobnych zajęć z religii. Nie opłacało się to po prostu i dyrektor stwierdził, że ci Żydzi, którzy chcą się uczyć religii, mogą to równie dobrze robić w Krakowie. I jako że nie miałem ani czasu, ani ochoty, żeby jeździć do Krakowa, powiedziałem, że nie będę się uczył religii w ogóle. Dyrektor stwierdził, że nie mogę sam zdecydować o tym i że mój ojciec musi wyrazić na to zgodę. Ojciec przyszedł do szkoły i oczywiście potwierdził, że się zgadza. Kiedy nadchodził czas na lekcje religii rzymskokatolickiej, po prostu wychodziłem z klasy. Wszystko było w porządku.

Ale na początku ósmej klasy przyszedł do mnie ksiądz i powiedział, że w Polsce nie ma szkół bezwyznaniowych i ja także nie mogę być bez wyznania, skoro chodzę do gimnazjum, a także, że nie będę mógł zdawać egzaminów do liceum, ponieważ nie będę miał stopnia z religii. Dyrektor razem z radą szkolną postanowili, że podejdę do egzaminu z religii, ale problemem było to, że szkoła nie miała nauczyciela judaizmu. Dyrektor, po dyskusji z moim ojcem, wybrał pana Szapire, który był urzędnikiem kahału odpowiedzialnym za księgi metrykalne. Rada się zgodziła i Szapire miał zostać moim egzaminatorem.

Wszystko było w porządku, jedyny problem stanowił fakt, że tak naprawdę ja nic nie umiałem. Poszedłem do Szapire, a on powiedział: „Musisz się nauczyć całego kursu gimnazjalnego". A ja nawet niczego nie ruszyłem. Przed egzaminami poszedłem do niego jeszcze raz i powiedziałem: „Panie profesorze, ja bardzo mało umiem, proszę mi powiedzieć, z czego prawdopodobnie będę pytany". W końcu zadał mi jakieś trzy tematy, których naprawdę dobrze się nauczyłem.

W szkole miałem wielu kolegów. Przyjaźniłem się z Jankiem Muchą, razem chodziliśmy do szkoły powszechnej i do gimnazjum. Jego ojciec był szefem policji miejskiej. Ale po jego śmierci Janek już jako młody chłopak musiał pracować, aby pomóc matce. Byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi, moja żona go poznała, razem skończyliśmy szkołę. Następnym kolegą z klasy był Edek Fryt, dobry uczeń, zwłaszcza z języka polskiego, razem pisaliśmy wypracowania za słabszych uczniów. Przyjaźniłem się też z Zygmuntem Majorem, Tadkiem Ziarką i Władkiem Wojtowiczem.

W moim gimnazjum nie było zbyt wielu żydowskich uczniów. Był Julek Hirsch, syn weterynarza z Wieliczki. Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale lubiliśmy się. Był też Baruch Frenkel, nazywany Bubkiem. Nie był on normalnym uczniem, ponieważ jego

ojciec był bardzo religijny i nie pozwalał mu chodzić do szkoły w sobotę. Więc Bubek chodził do szkoły od poniedziałku do piątku i co roku musiał zdawać jeszcze dodatkowy egzamin ze wszystkich przedmiotów. Ale ukończył szkołę ze znakomitymi ocenami.

Co robiliśmy w wolnym czasie? Czy gdzieś chodziliśmy? Oczywiście! Zwykle do parku albo na boisko. Znajdowało się ono poza miastem i bywaliśmy tam często. Chciałem zostać harcerzem, ale mnie nie przyjęto. Nie przyjmowali Żydów. Zamiast tego zacząłem chodzić po górach. Miałem przyjaciela w Wieliczce, Tadeusza Pelca, syna wielickiego aptekarza, który później sam został farmaceutą. Każdego roku jeździliśmy razem wspinać się w Tatrach. Moi rodzice nie lubili tego i martwili się o mnie. Nie mieli nic przeciwko, abym jechał do Zakopanego, ale nie lubili, kiedy się wspinałem. Starali się mnie kontrolować, ograniczając mi fundusze, ale my przez cały rok odkładaliśmy jedzenie, które potem zabieraliśmy na te wycieczki.

Alfred Borowicz (właśc. Horowitz, ur. 2 sierpnia 1909 roku w Wieliczce – zm. 2006 w Warszawie) – studiował na Politechnice w Brnie, później we Lwowie; studia ukończył z tytułem inżyniera elektryka. W czasie wojny pracował we lwowskiej fabryce Halpernów, następnie jako tłumacz w obozie pracy w Skolem. Po powrocie do Warszawy w 1941 roku zmienił nazwisko na Borowicz i zaczął pracę w fabryce części zamiennych dla lotnictwa w Wilanowie, następnie zaciągnął się do Armii Krajowej. Po wojnie pracował między innymi w fabryce maszyn wiertniczych w Gliniku Mariampolskim, przy odbudowie elektrowni w Jaworznie, oraz jako *attaché* handlowy przy ambasadzie polskiej w Berlinie.



Rynek Dolny przy Kinoteatrze „Uciecha”,
około 1939 roku

MOJE WSPOMNIENIE O HOROWITZACH

Władysława Drożdż

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu z Władysławą Drożdż przeprowadzonego 4 czerwca 2012 roku przez Annę Krzeczkowską.

Moimi rodzicami byli Tadeusz i Eleonora Drożdżowie. Tata urodził się w Wieliczce, mama – w Dobczycach. Mieszkaliśmy na ulicy Reymonta w Wieliczce. Mieszkanie wynajęli nam państwo Horowitzowie w zamian za pielęgnowanie ich ogrodu. Zajmował się tym mój tata. W ogrodzie była aleja czerwonych porzeczek, maliny, agrest i duży orzech, pod którym w każdą letnią sobotę siadywała cała rodzina Horowitzów.

Państwo mieli syna, Fredka, który był wtedy kawalerem, i dwie córki, obie wyszły za mąż. Pierwsza, Olga, mieszkała z mężem w Genewie. Prowadzili fabrykę zegarków i mieli dwoje dzieci – Werę i André. Gdy przyjeżdżali na wakacje do Wieliczki, zawsze zatrudniali guwernantki. Pierwszą była chyba Stefania Grzywaczówna, później Wanda Nowakowska i Bronia Decowa. Z dziećmi często bawiłam się w ogrodzie – przed wybuchem wojny miałam dziewięć, może dziesięć lat. Druga córka Horowitzów, Irena, miała córeczkę Zosię. Pamiętam, że miała pod kolanem znamię. Woziłam ją po ogrodzie, ona zawsze leżała w wózku, na brzuchu. Potem pani Irena z rodziną wyprowadzili się do Warszawy. Podobno po stracie męża, który na wieść o swojej chorobie skoczył z balkonu, pani Irena umarła z rozpaczy, a Zosię wychowywała niania. Tatuś nawet gdy nie był w pracy, musiał być w pogotowiu, na wypadek gdyby trzeba było

iść po lód – nie było przecież lodówek; to znów kucharka czegoś potrzebowała. Horowitzowie zawsze mieli kucharkę: najpierw panią Władzię, potem pannnę Knapikównę, która wyszła za mąż za pana Domina, inkasenta od prądu, później gotowała pani Decowa. Kucharki i nianie mieszkały na miejscu.

Do kuchni prowadziły dwa wejścia: od ogrodu lub od ulicy. Od tej drugiej strony, czyli od rynku, wchodziło się także na tarasik, potem na schody, a stamtąd były oddzielne wejścia do pokoju Fredka oraz do przedpokoju i kancelarii pana Horowitza (pan Maurycy był doktorem praw, ale też dzierżawił kino w Wieliczce). To było bardzo duże pomieszczenie. W rogu stał fortepian, była kanapa, stół i dwa fotele, wiklinowy kosz na śmieci, z którego wyciągałam różne niepotrzebne papierki do zabawy, a na podłodze leżał gruby dywan. Za kancelarią była sypialnia państwa z oknami na północ i na wschód.

Pan Horowitz miał do tatusia takie zaufanie, że posyłał go po czynsz do urzędu. Gdy on lub jego zięciowie mieli jakieś niepotrzebne ubrania, to dawali tatusiowi. Tatuś kochał koszule i do wypadku był bardzo eleganckim mężczyzną. Po wypadku – już nie mieszkaliśmy wtedy u Horowitzów – pan Maurycy specjalnie dzwonił do szpitala na Prądniku.

WIMMEROWIE RYNEK GÓRNY 15

Jack Wimmer

Wspomnienia spisane na podstawie rozmowy telefonicznej i korespondencji Jacka Wimmera z Urszulą Żyznowską, maj 2012 roku.

Moi dziadkowie, Gitla i Salomon Wimmerowie, mieszkali w dwupiętrowej kamienicy przy Rynku Górnym 15, której byli właścicielami. Dziadek, z zawodu architekt, sam zaprojektował i wybudował nasz dom, podobnie jak budynek straży ogniowej, sukiennic oraz synagogi Dorszej Tow przy ulicy Górsko. Mój ojciec Nuchem urodził się w 1888 roku jako drugi syn dziadków. Miał pięcioro rodzeństwa, starszego brata Mosesa i młodszych: Bronię, Peslę, Gershona i Jakuba. Z mamą, Salą Palek, ożenił się około 1921 roku. Przyjechała do Wieliczki ze Lwowa, jej ojciec, Kawe Palek, był kupcem zboża. Mama urodziła się w 1900 roku i miała dwie młodsze siostry, Genię i Esterę. Mój tata Nuchem dzierżawił od magistratu wszystkie place w Wieliczce i z tego się utrzymywał, a mama prowadziła dom.

Ja przyszedłem na świat 12 sierpnia 1923 roku jako najstarsze dziecko. Miałem dwóch braci i siostrę, nazywali się: Heniek, Salomon i Sabina. Mieszkaliśmy w kamienicy przy Górnym Rynku, mieliśmy piękny dom, ładnie umeblowany, prowadziliśmy koszerną kuchnię. Rozmawialiśmy zarówno po polsku, jak i w jidysz. Najczęściej modliliśmy się w bożnicy Dorszej Tow, ale bywaliśmy również w Dużej Synagodze na Klaśnie. Ja i moje rodzeństwo uczyliśmy się w szkole powszechnej w Wieliczce,



Puste miejsce po synagodze Dorszej Tow przy ulicy Górsko, fronty dwóch widocznych od tyłu budynków znajdują się przy Rynku Górnym, lata sześćdziesiąte XX wieku

z braćmi pobieraliśmy również nauki w chederze. Później odbywałem praktyki i pracowałem u doktora Maksymiliana Schlanga[404], dentysty. Nasza rodzina miała poglądy syjonistyczne, rozważaliśmy wyjazd do Palestyny. Braliśmy pod uwagę również Amerykę. Ale nie zdążyliśmy wyemigrować. Babcia Gitla i jedna z ciotek zmarły jeszcze przed wojną i zostały pochowane na cmentarzu żydowskim na Klaśnie.

Joachim (obecnie Jack) Wimmer (ur. w 1923 roku w Wieliczce) – ocalał z Zagłady. W 1946 roku ożenił się z Salą Dreksler, pochodzącą z Dąbrowy Górniczej, koleżanką z obozu koncentracyjnego w Reichenbach. Po wojnie rozpoczął praktykę dentystyczną w Monachium w Niemczech, gdzie ukończył studia na akademii medycznej. 26 lutego 1951 roku przeprowadził się do USA do Nowego Jorku, gdzie kontynuował pracę po nostryfikacji dyplomu w Ambasadzie Amerykańskiej w Niemczech, dokąd przeprowadził się po wojnie. Uznawany za jednego z pionierów w dziedzinie nowoczesnej implantologii dentystycznej. Założyciel i prezes jednej z najstarszych kompanii zajmujących się implantami, Park Dental Research. Obecnie pozostaje tam na stanowisku doradczym. Jego syn, Howard Wimmer, został również doktorem stomatologii, a córka Betty Schloss – adwokatem. Ma sześcioro wnucząt i jedenaścioro prawnucząt.

[404] Według metryki urodzin USC w Wieliczce – Meilech Schlang, zob. przyp. 59.



Północno-wschodnia pierzeja Rynku Górnego. Pierwszy po prawej dom rodziny Wimmerów, lata trzydzieste XX wieku



Rodzina Seidenfrauów w ogrodzie na tyłach domu w Wieliczce, około 1930 roku

O WIELICKICH SEIDENFRAUACH

Uri Shmueli

Zdjęcie, do którego ten opis się odnosi, zostało zrobione przez zakład Władysława Gargula albo przez niego samego. Na złote wesele mojego dziadka Dawida i babci Gizeli (Gitl) Seidenfrauów zjechały się wszystkie dzieci i wnuki. Ja już byłem na świecie, ponieważ kuzynka Helusia, siedząca na kolanach cioci Sali, była w moim wieku, a więc musiało to być około 1930 roku. Nie wiem, dlaczego zostawili mnie w domu. Powyższe rodzinne zdjęcie dostałem od Sabiny Zimmels, wraz z innymi zdjęciami, które moja mama (kuzynka Sabiny) przesłała jej przed wojną, po moim przyjeździe do Palestyny w 1947 roku.

Mogę wszystkich przedstawić, bo odwiedzaliśmy się nawzajem do wybuchu wojny w roku 1939. Stoją od lewej: (1) tata, Mosze Szmulewicz, syn Kalmana, urodzony w 1896 roku w Krynkach koło Białegostoku, (2) mama, Nina Szmulewicz (z domu Seidenfrau), urodzona w 1887 roku w Lednicy Górnej, (3) Rumek Seidenfrau, brat mamy – wtedy jeszcze kawaler, (4) Chaja Seidenfrau (z domu Englender), żona Józefa, brata mamy, (5) Józef Seidenfrau, brat mamy, (6) Bronia Seidenfrau (z domu Pipes), żona Izaaka, brata mamy, (7) Izaak Seidenfrau, brat mamy, (8) Jakub (Kuba) Seidenfrau, brat mamy – wtedy jeszcze kawaler. Siedzą od prawej: (1) Majer Lifschitz, mąż Sali, siostry mamy,

Tekst częściowo pochodzi z: U. Shmueli, *My Memoirs*, Israel 2010 (niepublikowany maszynopis). Tłumaczenie autora.

(2) Sala Lifschitz (z domu Seidenfrau), siostra mamy, (3) Dawid Seidenfrau, mój dziadek, (4) Gizela (Gitl) Seidenfrau (z domu Plachte), moja babcia, (5) Dawid Horowitz, mąż Blumy, siostry mamy, (6) Bluma Horowitz (z domu Seidenfrau), siostra mamy. Cztery dziewczynki siedzą na dywanie: te „dorosłe", pierwsza z lewej i pierwsza z prawej strony, to córki Józefa i Chai Seidenfrau. Wiem, że jedna miała na imię Zitta, a druga – Rozsi (węgierskie imiona). A te dwie dziewczynki w środku to córki Izaaka i Broni Seidenfrauów. Ta starsza to Helusia, moja ulubiona kuzynka, a ta młodsza to Musia – wielki łobuz.

Tata, mama i ja mieszkaliśmy wtedy w Krakowie, Chaja i Józef z rodziną – w Oradea Mare (w Rumunii), Bronia i Izaak z córkami – we Lwowie, Majer i Sala z Helusią – w Rzeszowie, a dziadkowie oraz Dawid i Bluma – w Wieliczce. Dziadkowie oraz Bluma z jej mężem Dawidem mieszkali przy ulicy Słowackiego 15. Nie wiem, gdzie wtedy mieszkali Rumek i Kuba Seidenfrau.

Ród Seidenfrauów w następnych latach (aż do 1939) się powiększył. Kuba Seidenfrau ożenił się z Hanią (z domu Silberman) i urodził im się synek Rafuś. Przed II wojną i w jej trakcie do 27 sierpnia 1942 roku rodzina Jakuba mieszkała w domu z ogrodem przy ulicy Słowackiego 21. Rumek Seidenfrau pobrał się z Basią (z domu Kling) i mieli czworo dzieci. Nigdy ich nie spotkałem, bo mieszkali w Brodach, a to było wtedy daleko. Sala Lifschitz urodziła synka Henia, który był o kilka lat młodszy od Helusi.

Dziadek prowadził sklep i sprzedawał napoje alkoholowe (likiery, wódkę itd.). Sklep był na ulicy Kościelnej (dziś Sikorskiego) i został przejęty przez wujka Jakuba.

Dziadek i babcia zmarli kilka lat przed wybuchem wojny.

Rodzina na zdjęciu jest dość różnorodna. Dziadek, Izaak i Józef byli bardzo pobożni, co widać nie tylko po ubraniu i brodach lub przystrzyżonych bródkach, ale też po tym, że babcia, Bronia i Chaja noszą peruki! Z drugiej strony Kuba i tata – ich rodziny miały mało wspólnego z religią i można ich było widzieć w bożnicy w święto Nowego Roku, w Sądny Dzień i w inne ważne święta. Myślę, że to samo można by powiedzieć o Lifschitzach i Horowitzach, ale nie jestem pewny. Tylko tata i mama byli zdeklarowanymi syjonistami, a inni się temu sprzeciwiali albo się tego bali. Niemniej jednak u nas i u wszystkich wujków i ciotek była koszerna kuchnia – nie zawsze z przekonania, ale po to, żeby się każdy członek rodziny mógł u każdego ugościć – rodzina była ponad obyczajami i poglądami, nie tak jak to nierzadko jest dziś. Na przykład, mimo że u nas kuchnia była koszerna *sensu stricto*, gdy mamy jedynaczek (czyli ja) nie chciał niczego jeść, mama przynosiła mu z miasta bułeczkę z szynką, którą musiał jeść z papierka! Były też różnice statusu materialnego. Izaak i Bronia byli dobrze sytuowani, a Bluma i Dawid o wiele gorzej. Mimo to wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich. I tak tata i Jakub uciekli na początku wojny do Lwowa i zamieszkali tam u Izaaka, a mama i ja opuściliśmy Kraków pod koniec 1940 roku i zamieszkaliśmy u Hani, żony Jakuba w Wieliczce. Nie czułem przez przeszło półtora roku, że komuś przeszkadzam! Była to ładna rodzina i niemało było takich. Dodam, że mówiłem z rodzicami przeważnie po hebrajsku, a z resztą rodziny po polsku. Wszyscy dorośli znali jidysz, a u rodziców był on zarezerwowany dla tematów, które mnie nie dotyczyły.

Wracając do zdjęcia, wliczając mnie i innych nieobecnych, w rodzinie mamy było w 1939 roku dwadzieścia siedem osób. Nie wymienię tu, gdzie kto

zginął, ale powiem, że tylko jedna z córek Józefa i Chai oraz ja przeżyliśmy Holokaust.

Mama, jej dwie siostry i czterej bracia urodzili się prawdopodobnie w Lednicy Górnej, w domu zwanym wtedy Podoleniec. W latach trzydziestych XX wieku w Wieliczce pozostali tylko dziadkowie, Bluma i Dawid Horowitz oraz Jakub i Hania Seidenfrauowie z Rafusiem. Wieliczka była jednak punktem zbornym wszystkich wyżej wymienionych Seidenfrauów aż do wybuchu wojny w 1939 roku[405].

Uri Shmueli (właśc. Uri Szmulewicz, ur. 13 maja 1928 roku w Krakowie) – podczas II wojny światowej jako czternastoletni chłopiec trafił do obozu w Płaszowie, a następnie do Mauthausen i Linz III w Austrii. Po wyzwoleniu obozu wyjechał do Włoch, gdzie spędził dwa lata, tam także eksternistycznie zdał egzamin maturalny. Stamtąd przedostał się do Palestyny. Początkowo pracował jako szlifierz soczewek optycznych, następnie podjął studia na kierunku fizyka w Instytucie Technologii w Hajfie. Po zdobyciu stopnia doktora rozpoczął pracę na Wydziale Chemii Uniwersytetu w Tel Awiwie. Obecnie jest emerytowanym profesorem tego uniwersytetu.

[405] O losach członków rodziny Szmulewiczów w czasie wojny można przeczytać na s. 289–294.



Rodzeństwo Kleinbergerów: Zygmunt, Nathan, Bernard i Sala z matką Marią (po prawej) i nianią Zosią, początek lat trzydziestych XX wieku

MOJA RODZINA W WIELICZCE

Nathan Kleinberger

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Nathanem Kleinbergerem w Tel Awiwie 12 i 17 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Jestem synem Abrahama i Marii. Mój dziadek ze strony ojca nazywał się Szmuel Kleinberger. Pochodził z małej wioski o nazwie Targowisko, niedaleko Bochni. Najbliższa stacja kolejowa, na której zatrzymywał się pociąg, to był Kłaj. Pamiętam z dzieciństwa, że co roku w rocznicę śmierci dziadka cała nasza rodzina jechała z Wieliczki – najpierw pociągiem z Krakowa do Kłaja, a następnie furmanką do Targowiska. Był tam murowany dom, w tym samym budynku mieścił się sklep ogólnotowarowy, który po śmierci dziadka prowadził jego syn, Israel Kleinberger. W sumie było u nich sześcioro dzieci, oprócz mego ojca Abrahama, który był najstarszy, i wspomnianego już wujka Israela, trzeciego z kolei, byli jeszcze kolejno: ciocia Hela (po mężu Łapa), ciocia Fela, wujek Izaak i najmłodsza ciocia Rebeka.

Dziadek ze strony mamy Marii nazywał się Józef Einhorn i pochodził z Limanowej. Do Wieliczki przybył po ślubie z babcią Rozalią, z domu Weinberger, wieliczanki urodzonej około 1862 roku. Dziadek miał brata w Limanowej, nie poznałem go osobiście ani nie byłem nigdy w Limanowej, ale jego córka odwiedzała nas czasami w Wieliczce.

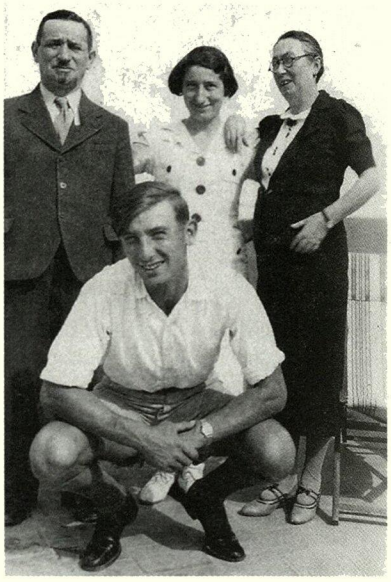
W tamtym czasie nie bardzo starano się o wykształcenie córek, bardziej dbano o synów. Moja mamusia miała brata Eliasza, który uczył się

grać na skrzypcach i po ukończeniu szkoły został ponoć nawet wysłany na dodatkowe lekcje muzyki. Mamusię zostawiono trochę na boku, ale ponieważ była zdolna, sama nauczyła się grać na fortepianie. W sąsiedztwie był dom, w którym mieściła się kasa chorych. Stał tam fortepian. Mamusia wchodziła tam przez okno, sama nauczyła się czytać nuty i grać. Była też samoukiem z francuskiego.

Eliasz Einhorn, urodzony w 1896 roku, opuścił Wieliczkę około 1920 roku, żeniąc się z kobietą o nazwisku Horowitz, pochodzącą z Nowego Sącza, gdzie oboje zamieszkali po ślubie. Urodziło się im dwóch synów (starszy miał na imię Henryk) i jedna córka Sala. Byli bardzo zamożni, wujek był inżynierem, mieli w swoim mieście prywatny bank i młyn. Co roku przy okazji świąt odwiedzali w Wieliczce dziadków i nas.

Bardzo lubiłem wujka Eliasza, miał taką szlachetną twarz. Do I wojny światowej grał na skrzypcach, ale po walkach w austriackiej armii na froncie zachodnim wrócił prawie głuchy i zaprzestał gry. Lubił szachy, grywaliśmy razem; interesował się, co czytam, czego się uczę, czułem w nim męskie wsparcie, zwłaszcza po śmierci ojca. Około 1937 albo 1938 roku wykupił ubezpieczenie na życie w towarzystwie Assicurazioni Generali i wybrał się w tak zwane *tour du monde*, był między innymi w Palestynie. Miał poglądy rewizjonistyczne, myślał o wyjeździe do Palestyny na stałe, wrócił bardzo wzruszony z tej wyprawy. Mówiło się w rodzinie, że nawet kupił ziemię w Galilei. Ale wtenczas było głośno o okręcie pełnym Żydów, który kręcił się po morzu, szukał wejścia do jakiegokolwiek portu i w żadnym kraju nie został przyjęty. Ludzie obawiali się wyjazdu z Polski, nie byli pewni, jak taka wyprawa może się skończyć.

W naszej rodzinie nie rozmawiano realnie o wyjeździe do Palestyny, wcześniej trzeba by przemyśleć, co tam na miejscu ze sobą zrobić. Nie znając kraju, języka, trzeba by było zacząć wszystko od nowa. To nie było łatwe przedsięwzięcie. Rodzice raczej nie byli gotowi na zorganizowanie takiego wyjazdu i rozpoczęcie nowego etapu w życiu. Ale naprzeciwko naszego szynku, na rogu Dolnego Rynku i ulicy Limanowskiego, był duży sklep spożywczy Moszego Klinghofera, którego syn Jozue[406] wyjechał do Palestyny, a potem około 1935 roku zabrał starszych już wtedy rodziców. Pamiętam, jak ich żegnaliśmy jako sąsiadów, było głoś-

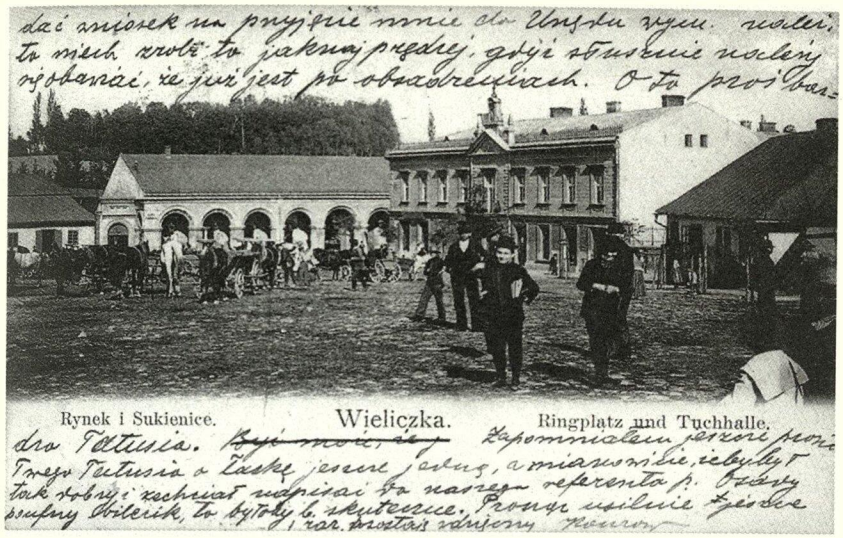


Od lewej: Mosze, Cyla, Sara i Jehoszua Klinghoferowie, Palestyna, lata trzydzieste XX wieku



Po prawej Irka Rakower, córka Berty Klinghofer-Rakower, córki Moszego i Sary Klinghoferów, Wieliczka, lata trzydzieste XX wieku

[406] Jehoszua Ofer. Zob. tekst Leny Küchler, s. 231–236.



Rynek Dolny na pocztówce z około 1912 roku

no o tym w Wieliczce. Po ich wyjeździe sklep przez jakiś czas prowadziła córka Berta z mężem, nazywali się Rakower.

Dziadek, Józef Einhorn, miał dwa domy. Jeden parterowy przy ulicy Limanowskiego 2, gdzie były sklepy: z żelazem Kligiera, bławatny Aberbacha, potem szynk najpierw prowadzony przez dziadka, potem przez ojca, zakład szewski Piątka i sklep z nabiałem. Drugi przy ulicy Narutowicza 8[407], wtenczas tak się nazywała ulica, która prowadziła do klasztoru, gdy się szło od strony budynku szkoły powszechnej.

Moi rodzice pobrali się w 1921 roku w Wieliczce. W 1922 roku urodził się mój najstarszy brat, Zygmunt, potem siostra Sala w 1923, a w 1928 roku – ja i po mnie jeszcze w 1930 brat Bernard.

Ja przyszedłem na świat w jednym z mieszkań znajdujących się na tyle sukiennic, wynajmowanym od państwa Miczyńskich, w tak zwanym centrum Dolnego Rynku, na linii A–B, ale szybko przenieśliśmy się do dziadka na Narutowicza 8. Stała tam drewniana chałupa z dachem pokrytym papą, wokół której roztaczał się duży ogród i sad z drzewami owocowymi. Obok nas pod numerem szóstym stał budynek, który miał dwa piętra – wtedy mówiono, że to kamienica – należał do hrabiny Otowskiej. Mieszkanie u niej wynajmował między innymi nasz nauczyciel Wiśniewski. Z tyłu kamienicy również był duży ogród, jak u nas, pracował w nim ojciec mego kolegi ze szkoły Czesia Surówki. Naszymi sąsiadami po drugiej stronie pod Narutowicza 10 byli Kowalscy, pan Kowalski był urzędnikiem w PKP. W drugiej połowie lat trzydziestych, po tym jak dziadek przekazał szynk ojcu, zamieszkaliśmy w jednym z dwóch mieszkań w domu przy Limanowskiego 2 – drugie wynajmowała rodzina Bochnerów, a dziadek z babcią zostali na Narutowicza 8.

W naszych domach rozmawiano po polsku, już dziadek Józef mówił do mojej mamy po polsku, podobnie moi rodzice między sobą. Dziadek i potem ojciec prowadzili szynk, a gośćmi byli sami Polacy,

[407] Obecnie ul. Brata Alojzego Kosiby.

w związku z czym używano głównie języka polskiego. Jak byliśmy całkiem mali, rodzice przechodzili na jidysz najwyżej w sytuacjach, kiedy nie chcieli, żebyśmy rozumieli, co mówią.

Ojciec z mamą początkowo prowadzili sklep z galanterią w sukiennicach przy Dolnym Rynku, ale okazał się niezyskowny i zamienili go na cukiernię, ale i ten interes nie szedł im zbytnio, więc go sprzedali. W tamtym czasie mieściły się tam między innymi: zakład pogrzebowy Fryta, galanteria Nusbauma, szklarz Atterman, sklep spożywczy Fassa. Kiedy powodziło nam się lepiej, to mamusia miała pomoc w domu, ale były też ciężkie czasy i wtedy przychodziła tylko kobieta do prania, która pomagała jej też gotować. Gdy przeprowadziliśmy się do dziadków na Narutowicza 8, był tam mały sklepik spożywczy. Ojciec, ponieważ wychowywał się na wsi, potrafił prowadzić ogród, sadził ziemniaki, hodował jarzyny, w sadzie rosły różne drzewa owocowe: grusze, jabłonie (malinówki, papierówki), wiele gatunków, wszystko to mieliśmy swoje, nie trzeba było kupować, a część można też było sprzedać. Potem dostaliśmy szynk od dziadka, prowadził go ojciec, a miał bardzo ładne kaligraficzne pismo i przychodzili do niego sołtysi z okolicznych wiosek, żeby im pisał różne pisma, na przykład do starosty albo do oddziałów rządowych, łącznie z formułowaniem treści. Przez to w szynku było więcej klientów, którzy przy okazji zawsze zamawiali coś do wypicia. Ojciec nie brał pieniędzy za pisanie, to był dodatek.

W Wieliczce było takie wielkie zdarzenie, dwa–trzy lata przed wybuchem wojny, naprzeciwko naszego szynku. W budynku, gdzie mieścił się sklep spożywczy Moszego Klinghofera, na pierwszym piętrze mieszkała pani Reichenthal. Miała ona córkę Balkę, która, jak mi się zdaje, studiowała na UJ. Zakochał się w niej student o nazwisku Waserhart z Lednicy, ale ona z kolei była zakochana w innym. Chłopak bardzo cierpiał z tego powodu, pewnego wieczoru przyszedł pod jej okno, stojąc przed mieszkaniem od strony Dolnego Rynku, zawołał: „Balka, Balka", i gdy ona wyjrzała, strzelił sobie w głowę. Myśmy jako dzieci kręcili się wokół całego zamieszania, gdy wołano na ratunek, potem przyjechała karetka, to było wielkie poruszenie w takim małym miasteczku jak Wieliczka. Pochowano go na cmentarzu na Klaśnie.

Mamusia też była bardzo zaradna i miała duże poczucie humoru. Mieliśmy w domu fortepian, na którym grała, później grała na nim także moja siostra Sala, kiedy uczyła się w konserwatorium w Krakowie. W zimie, kiedy były długie wieczory, siadaliśmy wszyscy, mamusia grała i śpiewaliśmy razem. Pracowała w budynku gminy żydowskiej i z własnej inicjatywy przygotowywała co roku przedstawienia z dziećmi na święto, które przeważnie przypada w podobnym czasie co katolickie Boże Narodzenie i nazywa się Chanuka. Mamusia pisała wszystkie dialogi do przedstawień, robiła próby z dziećmi i akompaniowała. Pamiętam, że kilka miesięcy przed takim przedstawieniem jechałem z nią do Krakowa na ulicę Szpitalną, gdzie sprzedawano różne książki, między innymi stare w antykwariatach. Ona wyszukiwała sobie na miejscu różne stare dowcipy i uaktualniała je na potrzeby tych przedstawień. Była bardzo aktywna społecznie. Należała do organizacji kobiet syjonistycznych o nazwie WIZO.

Pamiętam takie zdarzenie, kiedy około 1938 roku Żydzi zostali wyrzuceni z Niemiec i część z nich przyjechała do Polski, w tym niewielka grupa do Wieliczki. Początkowo zamieszkali w budynku gminy żydowskiej na ul. Seraf, gdzie pracowała mama. W ten sposób poznałem jedną rodzinę spośród nich, o na-

zwisku Rozner, która potem przeniosła się do mieszkania na piętrze w domku kowala przy ul. Narutowicza, obok klasztoru. Było to starsze małżeństwo, on w Niemczech piastował chyba wysokie stanowisko w banku. A ponieważ dowiedzieli się, że gram w szachy, to przychodziłem tam przez pewien czas i grałem ze starszym panem. On mówił po niemiecku, niektóre słowa brzmiały podobnie jak w jidysz, więc mogłem cokolwiek zrozumieć. Starsza pani zawsze stawiała przede mną talerzyk z cukierkami. Lubiłem do nich chodzić.

Jeśli chodzi o moje rodzeństwo, najbliżej trzymałem się z bratem Zygmuntem. Był ładnym chłopakiem, bardzo zdrowym, wysokim, podobnie jak ojciec. Miałem z nim niezwykłe stosunki. Przenosiłem mu dyskretnie listy do jego dziewczyny Muszki Schenker i odbierałem od niej listy dla niego. Kiedy on się uczył łaciny, to ja trzymałem słownik, mówiłem słowa po polsku, a on odpowiadał po łacinie i sprawdzałem, czy poprawnie odpowiedział. W ten sposób i ja nauczyłem się łaciny, kiedy byłem bardzo młody. Podobnie było z językiem niemieckim. Natomiast nie mówiliśmy dobrze w jidysz, Zygmunt rozumiał go i był w stanie się komunikować, ale nie znał tego języka tak, jak należy.

Chciał zdawać do gimnazjum, ale w końcu postanowił się uczyć w Krakowie w żydowskiej średniej szkole handlowej na Stradomiu 10, do której uczęszczał aż do wybuchu II wojny światowej. W tym czasie mieszkał u babci na Narutowicza 8, ale przychodził do nas, razem jedliśmy. Do szkoły dojeżdżał codziennie koleją, razem z Iźkiem Birnbaumem[408], i nie było dnia bez bitki z Polakami w pociągu. Nie wiem, o czym myślał na później, czy chciał być urzędnikiem, czy może kupcem, nie rozmawiało się o tym w domu. Wydaje mi się, że szukał wyższego wykształcenia, bo jego kuzyn z Nowego Sącza studiował na uniwersytecie w Wilnie – chyba nie został przyjęty w Krakowie na Uniwersytet Jagielloński w związku z ograniczeniami dla studentów żydowskich, *numerus clausus* i *numerus nullus*. W Wieliczce kilka miesięcy przed wybuchem wojny polscy studenci z Uniwersytetu Jagiellońskiego stali przed sklepami żydowskimi i nie pozwalali Polakom do nich wchodzić. Na domach były napisy „Żydzi do Palestyny".

Ja do szkoły poszedłem w 1935 roku – do „bednarki" w Wieliczce. W zasadzie były dwie szkoły przy jednym boisku, po jednej stronie, jak się wchodziło, była „bednarka", a po drugiej „wydziałówka". Różnica między uczniami była widoczna w stroju, a w zasadzie w tasiemkach na czapkach: „bednarka" miała czerwono-niebieskie, a „wydziałówka" – zielono-żółte. Ale uczniowie nawzajem się nie znali. Nasza klasa liczyła około trzydzieścioro dzieci. Pamiętam czterech stałych żydowskich kolegów, nazywali się: Roman Licht, Staszek Ofen, Idek Goldstein i Szmuel Küchler. I było też dwóch, którzy przychodzili tylko czasami, jeden z nich nazywał się Weislun, był dość religijny. Widocznie rodzice nie zawsze go posyłali, uczył się w domu, bywało, że przerwa w szkole trwała nawet tydzień lub dwa. Może polscy uczniowie mu przeszkadzali albo dostawał jakieś bicie po drodze, to nie przychodził przez jakiś czas i uczył się w domu, ale zdawał z klasy do klasy. Z polskich uczniów pamiętam nazwiska Sikorka i Kubała, ich ojcowie byli policjantami, Tyras, Czesiek Surówka – on był moim sąsiadem na ulicy Narutowicza. Relacje w klasie pomiędzy Polakami a nami były takie, że oni nam nie przeszkadzali i my im też nie. Po lek-

[408] Zob. s. 147–148.

cjach albo jak się kończył rok szkolny, polscy uczniowie czuli się pewniejsi i zdarzały się kłótnie, napady, kopnięcia, pchanie. Ja na przykład musiałem planować drogę, jeśli chciałem odwiedzić babcię i dziadka, czyli przejść z naszego domu na Limanowskiego 2 do nich na Narutowicza 8. Najkrótsza trasa prowadziła przez boisko szkoły, ale tam często grali w piłkę polscy chłopcy. Zatem przechodzenie tamtędy było niemądre. Szedłem prosto wzdłuż linii A–B Dolnego Rynku, aż do magistratu, skręcałem w prawo, a za przejściem kolejowym w lewo i szedłem aleją wzdłuż torów. Ogród dziadka dochodził do tej alei i potem trzeba było się wspiąć przez ogrodzenie i pod górę do domu. To też było trochę niebezpieczne, ale jednak pewniejsze. W szkole natomiast panowała wielka dyscyplina. Dyrektorem był Guzik, a nasz nauczyciel nazywał się Wiśniewski, uczył wszystkich przedmiotów, był bardzo porządny, nie było ani śladu antysemityzmu z jego strony. Rysunki mieliśmy z inną nauczycielką. Była też godzina religii, przychodził wtedy ksiądz i Polacy zostawali, a myśmy wychodzili w tym czasie na lekcję z nauczycielem żydowskim. Z początku uczył nas Szapire, a później Korn. Ja też nie chodziłem w sobotę do szkoły, wtedy mój polski kolega Tyras przychodził do mnie i przekazywał mi, co jest zadane. Choć nie wszystkie żydowskie dzieci tak robiły, na przykład Staszek Ofen chodził w soboty. Było też dużo młodych Żydów, którzy w ogóle nie chodzili do szkoły i otrzymywali prywatną edukację w domu, a Talmud studiowali w chederze.

Moi rodzice również posłali mnie do chederu na ulicy Zielonej[409], jak się skręcało z Dolnego Rynku na ulicę Limanowskiego, która prowadziła do straży ogniowej[410], to wcześniej pierwsza w lewo nazywała się Zielona. Na tej ulicy był dom, który nazywano czerwonym – może jakiejś partii socjalistycznej albo jakichś robotników – i tam mieścił się cheder. Ale nie podobało mi się, przestałem chodzić po trzech dniach i wtedy rodzice postarali się o rabbiego, żeby przychodził do nas do domu i dawał mi prywatne lekcje. On czytał ze mną Pismo i tłumaczył z hebrajskiego na żydowski. Nauczyłem się liter hebrajskich i mogłem czytać słowa, ale ich nie rozumiałem.

Ja nie byłem zbyt religijny, ale dziadek i ojciec chodzili w sobotę do bożnicy, więc i ja szedłem razem z nimi. W zasadzie i ojciec nie był pobożny, ale było przyjęte, że jeśli dziadek chodził, to i zięć z nim szedł. Podobnie było z pobożnością mojej mamusi, choć w piątek wieczorem zawsze zapalała świece, a w domu były koszerne naczynia, osobno na mleko i na mięso, żeby każdy Żyd mógł wejść i się nie bać. Modlić się chodziliśmy na Górny Rynek, bożnica była w jednym z pokoi domu Joachimsmana. Wejście do budynku, który stał na rogu z ulicą Seraf, znajdowało się od strony Górnego Rynku. Było tam jedno piętro i schody z drewna (te same schody były w 1996 roku, kiedy odwiedziłem Wieliczkę jedyny raz po wojnie).

Trzeba było wejść po schodach i po lewej stronie mieściła się bożnica, a obok był mały ganek. Naprzeciwko bożnicy mieszkała Miszka Küchler, a z drugiej strony tego pokoju-bożnicy familia Schtil. Kobiety modliły się osobno – trzeba było wyjść na ganek, a potem był jeszcze jeden malutki pokój przeznaczony dla nich. Modlitwy w sobotę zaczynały się o dziewiątej rano i trwały do jedenastej, dwunastej. Modliliśmy się w języku hebrajskim, ale z takim innym akcentem. Mało kto rozumiał, co było mówione. W święta oj-

[409] Obecnie ul. Szpunara.

[410] Na rogu ul. Limanowskiego i Batorego.

ciec modlił się z książki, gdzie na jednej stronie był tekst po hebrajsku, a na drugiej było tłumaczenie w języku niemieckim, czasami mówił mi, co jest napisane.

W czasie wojny wszystkie synagogi były zamknięte, zbierano się zatem w prywatnych mieszkaniach. Żydowska religia zezwala na odprawianie modlitwy, gdy zbierze się minjan. Natomiast przed wojną w ważne święta szliśmy do Klasna, do starej, Dużej Synagogi.

W maju 1939 roku wracając w jedną z sobót z bożnicy, już po zjedzeniu po drodze zgodnie ze zwyczajem kawałka ciasta i wypiciu kieliszka wódki, ojciec nagle zasłabł i upadł. Pobiegłem szybko po lekarza, najpierw po doktora Kunickiego na ul. Mickiewicza – nie zastałem go, potem po doktora Hirscha z ul. Słowackiego, ale było już za późno. Jak wróciłem, ojciec nie żył.

W soboty u Żydów nie grzebie się ludzi ani nic się nie robi ze zmarłym. Przynieśliśmy go do domu i dopiero w niedzielę bracia taty i inni mężczyźni, spełniając micwę[411], przenieśli go do małego murowanego domku przy drodze na cmentarz na Klaśnie. Był tam jeden pokój, w którym myto ciało i przebierano, robiono zaprawy, owijano w białe płótno, a w drugim miał swój warsztat krawiec Dawidowicz. Czekaliśmy też na przyjazd rodziny. Siostry taty, najstarsza i najmłodsza, jechały z Krakowa, kolejna z Podłęża koło Niepołomic, jeden brat przyjechał z Targowiska i drugi z Sosnowca.

Pogrzeb odbył się około południa, blisko obiadu. W kondukcie szła rodzina ze strony mamusi i ze strony ojca oraz mieszkańcy Wieliczki, dość dużo ludzi. Ten dzień był dla mnie bardzo trudny. Wszystko było takie nagłe.

Zaczęły się nasze ciężkie czasy. Mamusia przejęła pracę w szynku, ale to już nie szło tak dobrze jak za życia ojca, ze względu na to, że wielu ludzi wcześniej przychodziło po wspomniane pisma. Bardzo się pogorszyło, zbliżała się też wojna, to było trzy miesiące przed jej wybuchem.

Mogę powiedzieć, że dla mnie od maja 1939 roku zaczęła się, jedno po drugim, cała seria nieszczęść.

---

[411] Dobry uczynek.



Wojciech Klein z babcią Walerią Klein w przydomowym ogrodzie na ul. Żwirki i Wigury, około 1936 roku

ŻYDZI WIELICCY, KTÓRYCH ZAPAMIĘTAŁEM

Wojciech Klein

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadów przeprowadzonych z Wojciechem Kleinem w Krakowie i Wieliczce w maju i czerwcu 2012 roku przez Urszulę Żyznowską.

Moi dziadkowie, Wilhelm i Waleria Kleinowie, mieszkali w Wieliczce w dwupiętrowej kamienicy przy Narutowicza 6[412], z dawnych czasów zwanej „Kleinówką". Mieli mieszkanie na pierwszym piętrze. Kiedy odwiedziłem to miejsce po raz pierwszy, babcia mieszkała już sama, dziadek nie żył, z opowieści wiem, że był związany z koleją. Około 1935 roku, pod koniec kryzysu ekonomicznego, zamieszkaliśmy na pewien czas – ja, matka Wanda z domu Mehoffer i ojciec Kazimierz Klein – u babki. Było to po tym, jak musieliśmy się przenieść z Okocimia – gdzie dotąd mieszkaliśmy i gdzie ja się urodziłem – ponieważ ojciec w swej pracy w tamtejszym browarze nie mógł się porozumieć z jego właścicielem, synem barona Götza[413]. Ponownie, tym razem na dłużej, zamieszkałem w Wieliczce z babką w 1936 roku, po śmierci mojej matki, która po ciężkiej chorobie i operacji w nowo powstałym szpitalu Narutowicza w Krakowie zmarła w Śremie, dokąd przeprowadziliśmy się, kiedy ojciec

[412] Obecnie ul. Brata Alojzego Kosiby 5. O tym budynku wspomina także Nathan Kleinberger, zob. s. 215.

[413] Baron Jan Götz-Okocimski był właścicielem browaru do 1931 roku, później zarząd przejął jego syn Antoni.

dostał tam posadę w urzędzie skarbowym. W tym czasie babka zamieszkała w domu[414] swojej córki Ireny i zięcia doktora Jana Boguckiego na uliczce Żwirki i Wigury, w pobliżu „Kleinówki".

Na ulicy Narutowicza stał jeden żydowski dom, pod numerem 8[415] – był niski, parterowy, zbudowany mniej więcej w środku długiej działki dochodzącej aż do torów kolejowych, odsunięty parę metrów od chodnika, z ogródkiem z przodu na około trzy–cztery metry od ulicy. Miał dach pokryty papą, podobnie jak szereg kolejnych domów na tej ulicy. Pośrodku domu było wejście do sklepiku z produktami spożywczymi, choć dokładnie nie wiem, ponieważ nie kupowaliśmy tam. Sprzedawała w nim starsza, tęgawa pani Einhorn, która nosiła rudą perukę. Z dzieciństwa pamiętam, że czasem przekręcała się jej na różne strony. Między chodnikiem a ogródkiem stał niewysoki płot z okrągłych szczebli, obok rosła ogromna lipa, a dookoła wysokie żółte kwiatki jak kuleczki. Kiedy nie było ruchu w sklepie, starsza pani stawała przy płocie i wyglądała na ulicę z rękoma opartymi o sztachety. Podczas wojny w ich sklepiku zamieszkał szewc z żoną, młodzi ludzie.

W następnym domu pod dziesiątką mieszkała pani Kowalska. Jej mąż, starszy pan, pracował na stacji Wieliczka jako kasjer towarowy, natomiast ona z córką były specjalistkami od szycia koszul, między innymi mój ojciec i wujek Bogucki zamawiali u nich. Nosiło się też do nich do prania kołnierzyki, bo kiedyś były dopinane do koszul, a one je odpowiednio prały i krochmaliły, żeby były sztywne. Wujek Bogucki miał specjalne, ładnie ozdobione skórzane pudełko, gdzie przechowywał dwa czy trzy takie kołnierzyki. Pracował w banku na Wielopolu w Krakowie. W kolejnej chałupie mieszkał szewc Szymski, a w następnej, naprzeciwko naszej uliczki Żwirki i Wigury, krawiec Kot. Za nim jeszcze jedna pani, która zginęła podczas wojny po bombardowaniu, i dalej był już mur klasztorny, a za nim ogrody reformatów[416].

Chodząc na spacery, mijałem na obrzeżach Wieliczki karczmy żydowskie: jedna, zwana „Na Wygodzie"[417], była zlokalizowana na krańcu Zadorów, prowadził ją Redlich, druga, „Pod kijem", stała przy drodze na Niepołomice, kolejna, po przeciwnej stronie Wieliczki, o nazwie „Kozi Rożek" – przy tak zwanym Kozim Rożku, przy skrzyżowaniu dróg na Chorągwicę, Sierczę i do Koźmic i Pawlikowic.

Jeśli chodzi o sklepy i usługi żydowskie w Wieliczce, to pamiętam dobrze te zlokalizowane naprzeciwko magistratu, idąc ulicą od skrzyżowania z Mickiewicza w stronę Dolnego Rynku. Na rogu był parterowy warsztat, gdzie naprawiano rowery, w następnym niskim budynku zakład fryzjerski, który prowadził Żyd Weinberger, bardzo wesoły, zawsze uśmiechnięty człowiek. Chodziłem do niego z wujkiem Janem Boguckim, fryzjer jego golił, a mnie strzygł. Któregoś razu wujek siedział na fotelu i przyszedł jakiś klient, z rozmowy wynikało, że dobry znajomy. Po czym usiadł na fotelu obok, a Weinberger woła: „Rózia! Mydlaj tego pana". Do dziś pamiętam to „mydlanie". W kolejnym drewnianym domu była cukiernia, a następnie w piętrowej, murowanej kamienicy mieścił się hotel, o którym mówiono „hotel pod pluskwą", ale raczej nie był prowadzony przez

414 Teraz, po rozbudowie, mieści się tam Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna.

415 Dom przy Narutowicza 8 należał do Józefa Einhorna, dziadka Nathana Kleinbergera, zob. s. 215.

416 Kościół i klasztor oo. Reformatów w Wieliczce.

417 Budynek stoi do dziś, obecnie na ul. Wygoda.

Żyda. Na dole mogła się mieścić restauracja, choć nie jestem pewien. Potem w budynku, gdzie przechodziło się przez długą sień i w środku było podwórze, przyjmował dentysta-Żyd o nazwisku Weinberger, syn wspomnianego fryzjera. W ostatniej kamienicy z tego rzędu, na rogu, znajdował się sklep, w którym za czasów okupacji volksdeutsch Józefowicz prowadził hurtownię tytoniu, nazywała się Tabakverlak. Dalej w lewo odchodziła uliczka prowadząca do torów, za którymi kiedyś płynęła, częściowo pod ziemią, rzeczka Serafa. Tędy, przez bramki po obu stronach linii kolejowej, przechodziło się do szkoły powszechnej „wydziałówki". Za wspomnianą uliczką, jako druga z kolei, znajdowała się knajpa piwna, której właścicielką była pani Wąsowicz. Jej córka wyszła za mąż za Jarosza, który następnie przejął interes po teściowej, a oprócz tego był taksówkarzem, miał mercedesa. Potem pamiętam niski budynek, gdzie nasza gosposia kupowała na Wielki Piątek od Żyda solone śledzie, sprzedawane w całości razem z głową, mleczkiem i ikrą, następnie w specjalny sposób przyrządzane i zjadane z pieczonymi ziemniakami. Dalej była stacja Wieliczka Rynek, a przy niej na rogu od strony ulicy półokrągły kiosk, trafika, gdzie sprzedawane były papierosy. Prowadził go pan Kopera, z jego synem chodziłem do szkoły.

Przy Dolnym Rynku po drugiej stronie stacji, za szybem Regis, obok ulicy Kościelnej, *vis-à-vis* dzwonnicy przy kościele św. Klemensa, w parterowym, dość długim budynku mieściły się jatki. Budynek miał małe okienka po obu stronach z klapami obitymi blachą, z których bezpośrednio kupowało się mięso, bez wchodzenia do środka. Za jatkami w rogu Rynku była restauracja pana Śmigielskiego, Polaka, a dalej, jeśli iść narożną uliczką w dół w stronę Zielonej, mieściła się wytwórnia zeszytów i bloków



Wojciech Klein, Zofia Mehoffer, Maria Mehoffer, Wanda Klein (Mehoffer), mama Wojciecha Kleina, najprawdopodobniej w ogrodzie Einhornów – sąsiadów spod Narutowicza 8 w Wieliczce, około 1935 roku

Żyda Schnura, którą po wojnie upaństwowiono, po czym on z żoną prowadził sklep na Rynku Górnym na rogu z ulicą Zamkową. W tym samym budynku przed wojną wchodziło się po schodkach do sklepu bławatnego z belami przeróżnych materiałów, prowadzonego przez Żyda Brucha. Około 1937, 1938 roku – a babka miała już wtedy ponad osiemdziesiąt lat, nosiła długą sukienkę do kostek, była siwiuteńka, na głowie zawiązywała sobie koronkę przywiezioną z Hiszpanii, chodziła z laseczką ze srebrną rączką – wybraliśmy się z nią z domu na Żwirki i Wigury do wspomnianego sklepu bławatnego. Miałem iść do pierwszej komunii i babka chciała kupić materiał na moje ubranie. Weszliśmy, przywitał nas od progu starszy Żyd w chałacie i z pejsami, wskazał na stojący obok fotel: „Pani dobrodziejka, proszę spocząć". To był bogaty człowiek, wokół kręciło się kilku pomocników w okrągłych czapeczkach. Usadził babkę na fotelu i zaczęło się wybieranie materiału. Musiał być granatowy, babka miała trochę niemieckie przekonania, że białe to niepraktyczne, że rękawy muszą być zawinięte, nogawki też. Pomocnicy ganiali po schodkach z drążkami w rękach, wyciągali coraz to nowsze kupony, babka przebierała: ten nie, ten nie, tamten też nie, a starszy Żyd przez cały czas ją przekonywał. Natomiast finał był taki, że babka na nic się nie zdecydowała. On ją przepraszał, że jest taki słaby kupiec, jego ojciec to był prawdziwy kupiec. Wyszliśmy, chwilę trwało, zanim wróciliśmy do domu, a tu przed furtką stoją dwaj młodzi Żydzi ze szpulami materiału. „Pani dobrodziejka, pani dobrodziejka, proszę wybrać". Obok nas mieszkał wspomniany krawiec Kot, przyszedł, uciął, ile potrzeba materiału, a chłopcy poszli z powrotem.

Do szkoły w Wieliczce, do „wydziałówki", zacząłem już chodzić podczas pierwszego pobytu u babki w 1935 roku. Moją wychowawczynią była pani Kolbowa. Uczyłem się w jednej klasie z Andrzejem Jagielskim, Zbyszkiem Hanulą, Zdziskiem Jaroszem, było też z nami około ośmiu żydowskich chłopców. Dobrze z nimi żyliśmy, nie biliśmy ich ani jakoś bardzo nie dręczyliśmy, z tym że oni byli bardzo grzeczni. Raczej nie grali z nami na co dzień w piłkę, zośkę albo palanta. Chodzili ubrani w okrągłe czapeczki, mieli pejsy, w szkole zakładali je za uszy, nosili czarne chałaty do kolan, w pasie tałesy z frędzlami[418], obcisłe spodnie dwie trzecie długości zapinane z boku na guziczki, podobne do dzisiejszych rybaczek, oraz białe skarpety i buty jakby czółenka w lecie, a w zimie takie powyżej kostki, niesznurowane, z wszytymi gumami z boku, dzięki którym można było wsunąć nogę do środka. Jeden z żydowskich kolegów zaprosił mnie do domu, częstował, pokazywał pudełka[419] i książkę do modlitwy. Ponieważ po hebrajsku pisało się odwrotnie, od prawej do lewej, to i książkę inaczej się otwierało. Podczas święta Sukkot budowali na podwórkach odkryte szałasy z materiałem rozciągniętym na słupkach po bokach, bez dachu, na które

[418] Nie tałes (*talit*) modlitewny, lecz codzienny tzw. mały tałes – *talit katan*, czyli rodzaj kamizelki zszytej z dwóch kawałków białej tkaniny, zakładanej przez głowę i wiązanej z boków, często z poprzecznym pasem w kolorze niebieskim, na której krańcach przymocowane są nitki *cicit*, czyli frędzle.

[419] Filakteria (hebr. *tefilin*), czyli dwie niewielkie, otwierane szkatułki skórzane lub metalowe o kształcie sześcianu, w których umieszcza się zwitki pergaminu z wypisanymi ręcznie cytatami z Wj i Pwt. Do ich podstawy przymocowane są dwa rzemyki, za pomocą których dorośli mężczyźni podczas porannej modlitwy w dni powszednie mają obowiązek przymocowywać je do czoła i lewego przedramienia.

mówili kuczki i w których się modlili. Jeśli w tym czasie bawiliśmy się obok, to pilnowaliśmy, żeby znajomym Żydom nie kopnąć na przykład piłki. Choć byli też i tacy chłopcy, którzy na złość wrzucali im wtedy koty, myszy, kamienie. Na Narutowicza pamiętam takie namioty w ogrodzie między dwupiętrową kamienicą[420], na rogu z Mickiewicza, a kuźnią – niskim budynkiem stojącym prostopadle do ulicy, tuż za „kleinówką", idąc w stronę „wydziałówki".

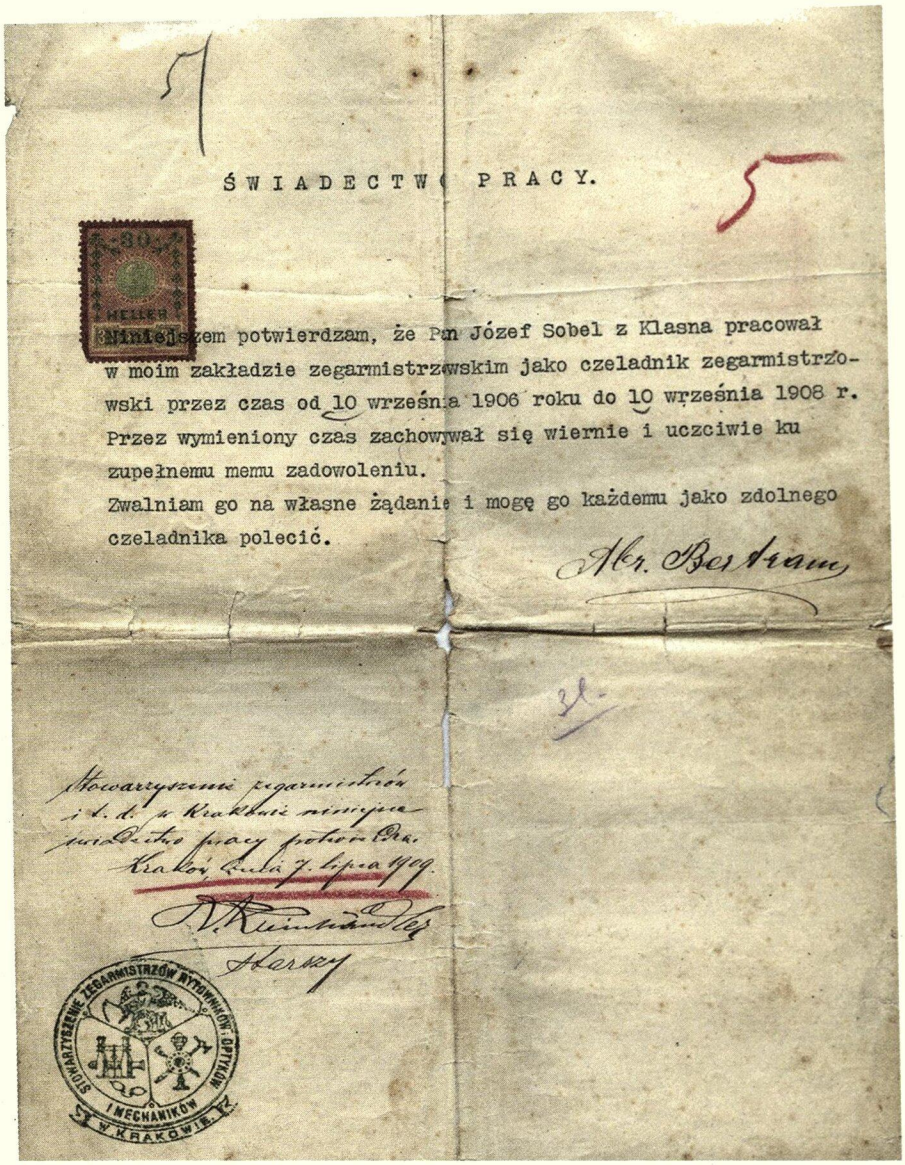
Przypominam sobie też wierszyk zasłyszany od Żydów. Staliśmy z chłopakami i rozmawialiśmy o sukcesach popularnego, bardzo mocnego zapaśnika Władysława Cyganiewicza, który wszystkich rozkładał. W pewnym momencie któryś z Żydów się odezwał i wydeklamował: „Pan Rachtan, pan Rachtan, u niego taka siła, że on jednego razu rozbije słup żelazu". Mowa była o zapaśniku, ale żydowskim, bardzo silnym, który też wygrywał zawody.

Po wojnie z kolei, na początku lat sześćdziesiątych, chodziłem z moim małym synem na zakupy na Górny Rynek i pamiętam, że wstępowaliśmy do sklepu na linii A–B, który prowadziła bardzo sympatyczna Żydówka o nazwisku Sobel[421], gdzie kupowałem Krzyśkowi bułkę. W sprzedaży była kawa z paczek, również taka bezkofeinowa w hermetycznie zamkniętych puszkach, rodzynki, kakao, tzw. szwarc, mydło i powidło. Jednego razu pani Sobel mnie zagadnęła : „Pan Klein? Cały tatysz. No ale gdzie mnie do takiego pana. Cały tatysz". Mój ojciec jeszcze żył, zapytałem go, co miał wspólnego z tą kobietą, okazało się, że prowadziła przed wojną sklep w kamienicy, która stała pomiędzy dawnymi magazynami spółdzielni „Socha" a schodkami przed przejazdem kolejowym na Mickiewicza, gdzie była budka tego, co zamykał szlaban. Sklep był na dole razem z herbaciarnią i kawiarnią, ciotka i babka jak były ze mną na spacerze, to mi u niej kupowały ciasteczka pieczone na papierze, nazywały się makagigi. Na zapleczu tej kamienicy był Bratniak, gdzie spotykali się studenci, a ta Żydówka Sobel robiła im kawę, herbatę, może też wódkę czasami kombinowała, stąd znała ich wszystkich. Kiedy zmarła, brakowało jej ludziom w Wieliczce.

Wojciech Klein (ur. 16 stycznia 1923 roku w Okocimiu) – podczas okupacji zdobył zawód ślusarza u michalitów w Pawlikowicach, a po wyzwoleniu zdał tak zwaną małą maturę w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych oraz ukończył Szkołę Przemysłową w Krakowie. Pracował w Krakowskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych, później w Zjednoczeniu Budownictwa Wojskowego, a od 1960 roku do emerytury był przez trzydzieści dwa lata zatrudniony w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym Hydropol.

[420] Mickiewicza 16, mieszkała tam Maria Perlberger.

[421] Celina Sobel, jej historia znajduje się na s. 505–515.



ŚWIADECTW[illegible] PRACY.

Niniejszem potwierdzam, że Pan Józef Sobel z Klasna pracował w moim zakładzie zegarmistrzowskim jako czeladnik zegarmistrzowski przez czas od 10 września 1906 roku do 10 września 1908 r. Przez wymieniony czas zachowywał się wiernie i uczciwie ku zupełnemu memu zadowoleniu.
Zwalniam go na własne żądanie i mogę go każdemu jako zdolnego czeladnika polecić.

Stowarzyszenie zegarmistrzów i d. d. w Krakowie niniejszem świadectwo pracy potwierdza.
Kraków, dnia 7. lipca 1909.

STOWARZYSZENIE ZEGARMISTRZÓW WYTWÓRNIKÓW OPTYKÓW I MECHANIKÓW W KRAKOWIE

Referencje czeladnicze Józefa Sobla, 1908 rok

TYPOWE RODZINY W MIASTECZKU

Tsipora Kleinman

DZIEJE RODZINY SOBLÓW

Była to jedna ze starych rodzin budowniczych Klasna. Dziadek Pinkas był zięciem Jakuba Awersmana, jednego z założycieli naszej społeczności. Rabin Pinkas przyjął matkę swojej synowej do wielkiego domu, który znajdował się na terenie należącym do synagogi. Był to budynek jedyny w swoim rodzaju, z drewnianą werandą od przodu i głęboką piwnicą pod domem, z tyłu. Rabin Pinkas zapisał dom w spadku swojemu synowi, Kalmanowi Soblowi, który zajmował się wytwarzaniem obręczy. Był on mądrym człowiekiem, bardzo pracowitym i aktywnym, który znalazł zbyt dla swoich towarów na odległych rynkach. W tamtych czasach do pakowania towarów takich jak słód, masło czy sardynki używano beczułek wzmacnianych obręczami. Dostarczał on swoje obręcze do wielkich zakładów w Polsce, a także eksportował je do Holandii. Tam owijano nimi beczki z masłem. Gdy Kalman się zestarzał, jego jedyny syn, Jakub Sobel, dołączył do przedsiębiorstwa. Poszedł w ślady ojca i rozwinął nową gałąź – wytwarzanie zabezpieczeń z łoziny. Kupił duże tereny wzdłuż Wisły, gdzie rosły wierzby wodne. Gdy wierzby dochodziły do wysokości metra, chłopi odcinali gałęzie, obdzierali korę i przesyłali su-

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 59–61. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

rowy materiał do domu Sobla. Tam pleciono z niego zabezpieczenia. Gdy wierzba wyginała się i osiągała wysokość trzech metrów, odcinano gałązki, korowano je i wytwarzano z nich maty.

Jakub Sobel miał pięciu synów i córkę. Pierworodny, Rafał, poświęcił się nauce w szkole midraszowej, a wieczorem uczył się prowadzenia księgowości; w wolnych chwilach pomagał ojcu w jego firmie. Zaginął podczas wysiedlania Żydów z Wieliczki. Drugi syn, Pinkas, pracował wraz z ojcem, przeżył i mieszka do dzisiaj w Belgii. Trzeci syn, Dow, oddał się pracy na rzecz urzeczywistnienia idei syjonistycznych i pod tym względem należał w Klaśnie do pionierów. Opuścił stateczny dom i przystąpił do szkolenia działaczy Izraelskiej Agencji Wykupu Ziemi[422]. Gdy oczekiwał na świadectwo ukończenia szkolenia, wybuchła wojna i dostał powołanie do wojska polskiego. Trafił do niewoli i z niej powrócił. W 1942 roku, w czasie likwidacji społeczności żydowskiej Wieliczki, został złapany przez nazistów, trafił do obozu i tam zaginął. Jego córka (Hela) uciekała na aryjskich papierach, lecz w pociągu rozpoznała ją jakaś kobieta i wydała policji. Gdy matka się o tym dowiedziała, dołączyła do niej i obie przekazano gestapo. Jej brat, Nachman, zdołał wyjechać z Polski w marcu 1939 roku i nielegalnie próbował dostać się do Palestyny. Dotarł tam po wielu perypetiach, założył rodzinę i żyje w Izraelu jako gorliwy, skromny, cichy i religijny Żyd. Ojciec, Jakub, wraz z najmłodszym synem, Chaimem, zaginęli w czasie wysiedlenia z Wieliczki w 1942 roku.

Muszę też wspomnieć o tym, że do 1942 roku nadal żył dziadek Kalman. W czasie likwidacji Klasna liczni mieszkańcy chcieli mu pomóc ukryć się w piwnicy pod jego domem. Jednak odmówił ukrywania się, pozostał w swoim pokoju. Niemcy pojmali go i rozstrzelali na terenie synagogi. Jego szwagierka, Lea, znajdował się w tym czasie w piwnicy i słyszała krzyki Kalmana. Dostała ataku serca i zmarła na miejscu. Błogosławiona niech będzie ich pamięć.

POSTACI

Przypominam sobie niektóre spośród wspaniałych postaci zamieszkujących Klasno.

Rabin Menachem (Mendele) Waldman: niski, biała gęsta broda do piersi, świetliste oczy i promienna twarz. Na jego widok na ulicy zatrzymywali się wszyscy przechodnie – bez wyjątku – Żydzi i goje. Kroczył miarowo, mówił cicho, roztaczał wokół siebie atmosferę spokoju. Człowiek skromny, prosty i delikatny, nieustannie zajęty działalnością charytatywną i niesieniem pokrzepienia każdemu potrzebującemu.

Pamiętam również Szurlę Aszkenazy – kobietę sprawiedliwą, aktywną i obdarzoną szeregiem zdolności pedagogicznych. Każdego szabatu zbierała uczennice i uczyła je *Pirkej Awot* lub *Barchej Nafszi*. W lecie spotkania odbywały się w lesie, zimą zaś w jej domu. Nauka opierała się na przypowieściach i wykładzie etyki. Omawiane zagadnienia pozostawiały trwały ślad w uczestniczkach i z każdym kolejnym szabatem grupa rosła.

Któż spośród nas nie pamięta babci Zulfy, która spacerowała w jedwabnej chuście na ogolonej głowie, niosąc ze sobą Księgę Psalmów lub *Modlitewnik*? W latach 1930–1936 prowadziła zakłady produkujące piwo i wodę sodową i zmagała się z nieżydowskimi pijakami odwiedzającymi jej wyszynk.

[422] Mowa o Keren Kajemet le-Israel, zob. przyp. 290.

Inna sprawiedliwa, a zarazem skromna i pracowita kobieta, Riesela Farber[423], która corocznie organizowała uroczystości związane ze świętem 3 Maja. W obchodach brał udział burmistrz Wieliczki, komisarz policji i kantor, Baruch Mordechaj Spielman, śpiewający pieśń *W Jego dniu i za dni naszych ocalone zostanie pokolenie Judy* na melodię polskiego hymnu. W tym czasie Maks Farber, wnuczek Nabaja, wywieszał polską flagę na dachu synagogi.

W moim sercu pozostało wspomnienie moich kochanych rodziców, rodziny Geminderów, której oddaniu swoje wychowanie zawdzięcza pięciu pilnych synów, pracujących i uczących się, i trzy pełne skromności córki. Nauczyli nas wartości przykazania „I będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego" oraz wersetu „Poważał będziesz oblicze starca". Stworzyli dom otwarty dla wszystkich potrzebujących, skromnie i po kryjomu wyświadczając sprawiedliwość i łaskę. Błogosławiona niech będzie ich pamięć.

Ta lista mogłaby być o wiele dłuższa. Poprzestańmy jednak na tych wyjątkowych przykładach, które charakteryzują naszą drogą społeczność, która istniała i już jej nie ma.

[423] Poświęcono jej także tekst autorstwa Gizy Frenkel, s. 237–238.



Zdjęcie ślubne Sary Perlberger i Moszego Klinghofera, Wieliczka 1902 rok. Stoją u góry od lewej: Dorek Perlberger, syn Zygmunta; Zygmunt Perlberger, brat Sary; NN; dwaj bracia Sary, Perlbergerowie, w przypuszczalnej kolejności: Salomon i Jozua (dziadek Marii Perlberger-Shmuel); Juda Perlberger, ojciec Sary; Mosze Klinghofer (pan młody); Mendel Unger; Shulim Sztern; Jozef Schenker; Oskar Schenker, syn Jozefa. Siedzą od lewej: Hanna Perlberger, żona Zygmunta z córką Zosią; kolejne dwie kobiety i cztery dziewczęta to zapewne żony Salomona i Jozuy Perlbergerów oraz pozostałe córki rodzeństwa Sary; Rozalia Perlberger, matka Sary; Sara Perlberger-Klinghofer (panna młoda); Peppi Unger, siostra Sary, z synem Samuelem; Raisa Sztern, siostra Sary, z synem Romkiem; Amalia Schenker, siostra Sary, z najstarszym synem Alfredem

MOSZE KLINGHOFER BŁOGOSŁAWIONEJ PAMIĘCI

Lena Küchler

Minął już rok od śmierci Moszego Klinghofera, jednego z najważniejszych obywateli naszego miasteczka Wieliczki, który zmarł w podeszłym wieku tu, w Izraelu. Przybył on ze wschodniej Galicji jako uczony w Talmudzie, obeznany z ruchem haskala, lecz wiedza ta nie stanowiła dla niego głównego zajęcia; zwrócił się ku dużym interesom, gdy ożenił się z córką jednej z wielce poważanych rodzin. Po upływie niedługiego czasu bardzo dobrze mu się wiodło i stał się jednym z liderów gminy żydowskiej, tak w magistracie miasta Wieliczki, jak i w komitecie kahału, i osobą znaną też między Polakami w mieście.

Dom nieboszczyka, duży i obszerny, znajdował się w dolnej części miasta [przy Rynku Dolnym – przyp. tłum.], a w nim duży, dwupiętrowy sklep spożywczy pełen wszystkiego dobrego; w sklepie ruch wielki spowodowany liczbą klientów, a właściciel dyryguje wszystkim. Czasem byliśmy świadkami zdarzenia, które się często powtarzało: nagle, niespodziewanie Mosze opuszczał sklep i wychodził, żeby się zająć sprawami publicznymi lub pomóc jakiemuś biednemu kupcowi, który był w tarapatach. A tarapaty miały różne oblicza: jeden był ukarany, bo zamknął sklep po wyznaczonej godzinie, na innego nałożyli duży podatek, który mógł zniszczyć jego egzystencję, a w innym wypadku miejscowe władze

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 151–154. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.



Mosze i Sara Klinghoferowie, Palestyna, lata trzydzieste XX wieku

nie udzieliły Żydowi pozwolenia, o które prosił, ażeby mógł utrzymać swoją rodzinę, i tak dalej. Te opresje były zjawiskiem codziennym, dotknięci udawali się zrozpaczeni do sklepu Moszego, a ten im zaraz pomagał, walczył za nich odważnie i uparcie, i w większości wypadków wyciągał ich z tych tarapatów.

I tak jak bronił Żydów naszego miasteczka przed władzami, pomagał im w trudnościach pieniężnych. Kupcy nieraz potrzebowali pożyczki, aby nie stracić siły kredytu, a nieboszczyk im nie odmawiał i pożyczał bez ustalenia warunków co do terminu zwrotu, bo bardzo kochał swój naród i był mu oddany. Oczywiście, jego ręka była otwarta dla biedaków i szczodrze rozdzielał jałmużnę.

Nic dziwnego więc, że [żydowscy – przyp. tłum.] obywatele miasta widzieli w nim ich prawdziwego przedstawiciela w magistracie, w komitecie kahału, w zjednoczeniu kupców itd. Pokrótce, był on działaczem społecznym w dobrym tego słowa znaczeniu.

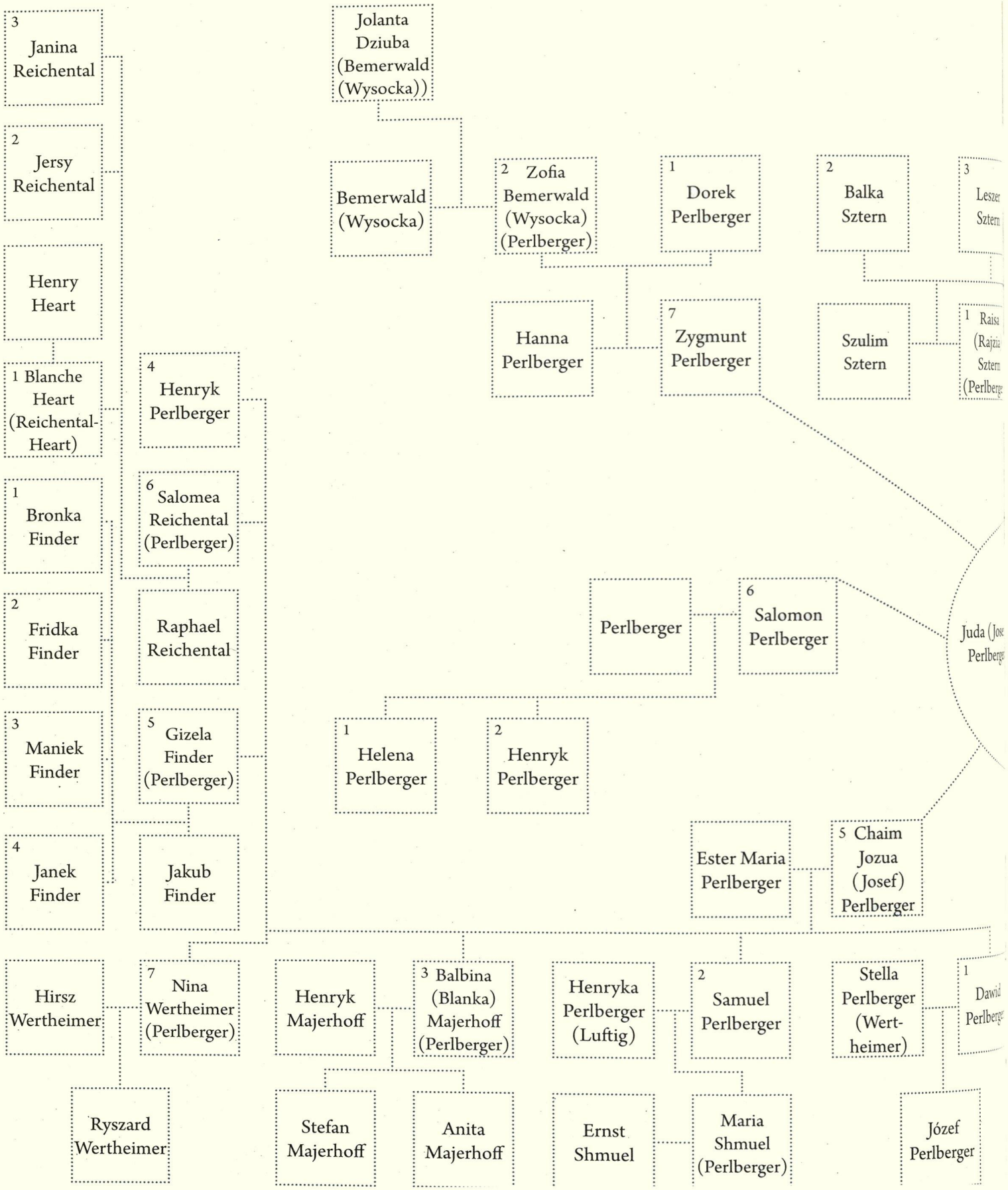
Jednak zmarły troszczył się nie tylko o codzienne sprawy. Widział opresje swojego narodu. Widział cierpienie narodu Izraela w diasporze, zdanego na łaskę narodów nienawidzących Żydów przez wiele pokoleń. Świadomość tego stanu rzeczy poprowadziła go już w młodości do idei syjonizmu. Z biegiem czasu stał się Mosze czynnym liderem syjonistycznym, rekrutował ludzi do tej idei i wspierał finansowo fundusze syjonistyczne.

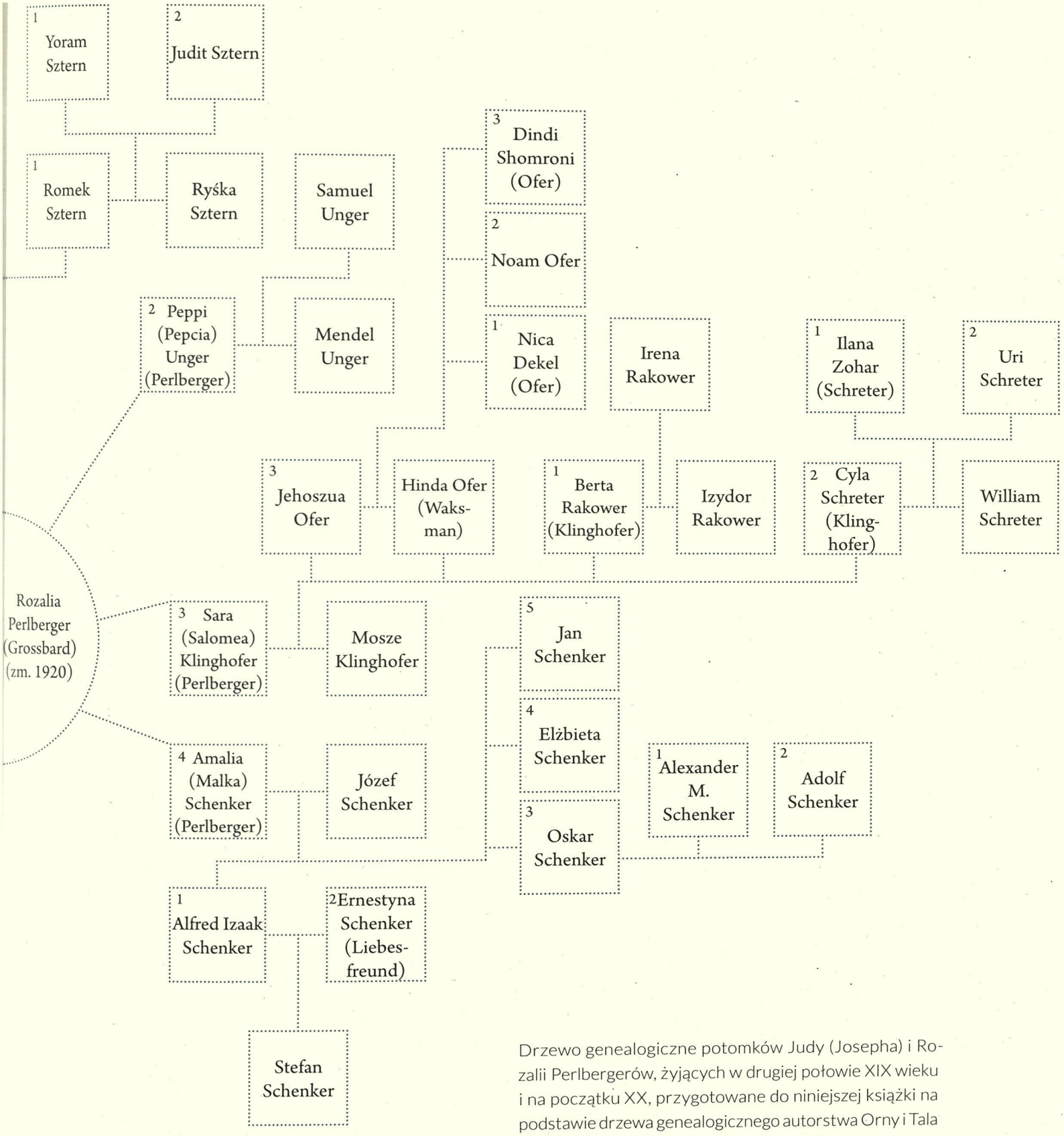
Jak wiadomo, wychowanie zaczyna się w domu i Mosze dobrze o tym wiedział. Nie wystarczyły mu posiedzenia, zbieranie pieniędzy na fundusze i organizacja kursów języka hebrajskiego. Przede wszystkim dbał o wychowanie dzieci (syna i dwóch córek) w duchu syjonizmu. Efekty nie kazały na siebie długo czekać: jedna córka, Cyla Schreter, wyemigrowała do Palestyny w 1932 roku, mimo że dobrobyt w domu i stanowisko ojca w społeczeństwie pozwoliłyby jej się dobrze urządzić w Polsce i zbudować tam przyszłość. Wolała życie wolne od diaspory, twórczą, rolniczą pracę i uczestnictwo w budowie kraju. Do dziś [do 1964 – przyp. tłum.] prowadzi wspaniałą farmę w Yokneam. Jej brat, Jehoszua [Ofer – przyp. tłum.], poszedł tą samą drogą i przybył do kraju rok po jej przyjeździe. On też ma wspaniałe gospodarstwo w Kfar Bilu.

Szczytem działalności syjonistycznej Moszego była jego emigracja do Palestyny. Około dwa lata po wyjeździe syna postanowił Mosze Klinghofer błp. zrealizować marzenie swojego życia i wyemigrować wraz z żoną do Palestyny. Była to niespodzianka dla wszystkich Żydów z miasta. Rzadko się bowiem zdarzało, że człowiek niemłody, bogaty opuszczał dom, majątek i pozycję społeczną, żeby wyemigrować do dalekiej Palestyny i zacząć tam nowe życie; życie w budującym się kraju, bez specjalnej wygody, do której był przyzwyczajony. Był to naprawdę odważny krok i bez wątpienia najważniejszy syjonistyczny projekt w życiu zmarłego.



Rodzina Sary i Moszego Klinghoferów, Wieliczka, 1915 rok. (1) Jehoszua (Jozua) Klinghofer (syn Moszego i Sary), (2) Cyla (Cesia) Klinghofer (córka Moszego i Sary), (3) Berta Klinghofer (córka Moszego i Sary), (4) Sara Klinghofer (z domu Perlberger), (5) Mosze Klinghofer, (6) Rozalia Perlberger, matka Sary Klinghofer, (7) Juda Perlberger, ojciec Sary Klinghofer


3 Janina Reichental
Jolanta Dziuba (Bemerwald (Wysocka))
2 Jersy Reichental
Bemerwald (Wysocka)
2 Zofia Bemerwald (Wysocka) (Perlberger)
1 Dorek Perlberger
2 Balka Sztern
3 Leszer Sztern
Henry Heart
Hanna Perlberger
7 Zygmunt Perlberger
Szulim Sztern
1 Raisa (Rajzia Sztern (Perlberg
1 Blanche Heart (Reichental-Heart)
4 Henryk Perlberger
1 Bronka Finder
6 Salomea Reichental (Perlberger)
Perlberger
6 Salomon Perlberger
Juda (Jose Perlberg
2 Fridka Finder
Raphael Reichental
3 Maniek Finder
5 Gizela Finder (Perlberger)
1 Helena Perlberger
2 Henryk Perlberger
Ester Maria Perlberger
5 Chaim Jozua (Josef) Perlberger
4 Janek Finder
Jakub Finder
Hirsz Wertheimer
7 Nina Wertheimer (Perlberger)
Henryk Majerhoff
3 Balbina (Blanka) Majerhoff (Perlberger)
Henryka Perlberger (Luftig)
2 Samuel Perlberger
Stella Perlberger (Wert-heimer)
1 Dawid Perlberg
Ryszard Wertheimer
Stefan Majerhoff
Anita Majerhoff
Ernst Shmuel
Maria Shmuel (Perlberger)
Józef Perlberger



Drzewo genealogiczne potomków Judy (Josepha) i Rozalii Perlbergerów, żyjących w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX, przygotowane do niniejszej książki na podstawie drzewa genealogicznego autorstwa Orny i Tala Azarów, córki i zięcia Marii Perlberger-Shmuel, 2012 rok

Dobrze obeznany z żydowskim światem, znał język hebrajski, był syjonistą przez całe życie, a jako człowiekowi majętnemu względnie łatwo było mu się zaaklimatyzować i prędko przyzwyczaił się do tutejszego trybu życia.

Lecz człowiek tak czynny jak Mosze nie spocznie na laurach i nie będzie żył przeszłością. Był on praktycznym człowiekiem czynu i tu też znalazł podatny grunt dla swojej działalności. Jego kontakt z wieliczanami się nie urwał, ale obrał inny kierunek. Tradycja talmudyczna mówi, że bolesne jest otrzymanie trzech rzeczy, a jedna z nich to kraj Izraela. Wśród nowych imigrantów byli też Żydzi z Wieliczki, którzy przybyli do miasta czy do kolonii [osiedla rolniczego – przyp. tłum.], chcąc się zakorzenić w nowej ojczyźnie. Mosze założył kasę pomocy, która mogłaby wspierać przyjaciół pożyczkami bez procentu i umożliwiałaby ich spłacanie w ratach, aż się urządzą i staną na własnych nogach. Dzięki jego nadzwyczajnej pilności kasa ta pomagała ludziom, którym była potrzebna.

Inna, też ważna, działalność to odbywające się co roku wieczory pamięci błogosławionych Wieliczki, poświęcone ofiarom Holokaustu. Naprawdę odbywają się do dziś[424] i stały się tradycją synów naszego miasta.

Gdy Mosze już się postarzał, miało miejsce bardzo ważne wydarzenie w życiu narodu Izraela. Mosze Klinghofer błp. dożył realizacji idei syjonizmu, powstania państwa Izrael, o którym się marzyło przez dwa tysiące lat. Ostatnie lata jego życia zasmucił straszny Holokaust, który zgładził jedną trzecią naszego narodu, w tym jego córkę i jej rodzinę (dom doktora Rakowera). Ta utrata dzieci kroczyła za nim jak cień do jego ostatniego dnia.

Mosze Klinghofer zmarł w Yokneamie i został tam pochowany 9 marca 1963 roku.

Niech pamięć jego będzie błogosławiona!

Lena Küchler (ur. w Wieliczce) – przetrwała wojnę dzięki fałszywym dokumentom. Po wojnie zaangażowana w pomoc żydowskim sierotom z sierocińca w Krakowie; pomogła grupie żydowskich dzieci przedostać się z Polski do Palestyny.

[424] Tj. do 1964 roku.

Z MOICH WSPOMNIEŃ O WIELICZCE. RIESELA FARBER

Giza Frenkel

Pamiętam ją jako dojrzałą kobietę z brązowym, atłasowym kapelusikiem na głowie i wiecznym przyjemnym i uprzejmym uśmiechem na twarzy. Nie ma wątpliwości, że kiedyś była bardzo piękna. Jej dzieci już się pobrały i żadne z nich nie mieszkało w Wieliczce. Miała kilku synów, wszyscy szanowani obywatele, i jedną córkę, która wyszła za mąż za syna jej kuzyna, inżyniera naftowego, z którym przeniosła się do Fetesti w Rumunii. Córka miała w zwyczaju przyjeżdżać czasami do matki i również ona zaskarbiła sobie życzliwość mieszkańców Wieliczki. Wydaje się, że dzieci dbały o to, aby nie nękały jej problemy finansowe i mogła żyć tak, jak chciała.

Mieszkała w skromnym mieszkaniu na granicy między Wieliczką i Klasnem i znała każdą żydowską rodzinę, w szczególności zaś te, które miały ciężkie życie i cierpiały biedę. Wiedziała, kto ma sześcioro, ośmioro czy jedenaścioro dzieci, a do tego ojca czy matkę staruszków. Wiedziała, kogo nie stać na zakup butów dla dziecka czy płaszczyka na zimę, kogo zmogła obłożna choroba i potrzebuje lekarza i lekarstw. Wiedziała też, jak w wypadku szewca Mojżesza, który zawsze siedział przy swoim warsztacie i zajmował się naprawami, w czyim domu brakowało chleba. Dobrze rozumiała, że krawiec Samuel nie jest w stanie tygodniową pracą

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 54–56. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

zarobić na kolację szabatową dla swojej wielodzietnej rodziny. Dobrze znała wszystkie problemy tych ludzi. Pojawiała się u nich zawsze w stosownym czasie i wiedziała, kiedy i jak pomóc. Warto dodać, że przez pewien okres skutecznie pomagała jej młoda dziewczyna, Sala Seidenfrau, która potrafiła opatrywać rany, zmieniać bandaże i wyjaśniać, jak i kiedy należy podawać lekarstwa. Riesela Farber posyłała ją z taką misją do „swoich" chorych na Klaśnie i w Wieliczce. Z biegiem czasu Sala wyszła za mąż, przeniosła się do Rzeszowa i urodziło się jej dwoje dzieci. Wraz z rodziną zaginęła w czasie Szoach.

Riesela Farber znała dobrze również tych nielicznych, którzy dumnie i za każdą cenę starali się ukryć swój niedostatek. Także w takich sytuacjach potrafiła pomóc ze szczególną delikatnością, zachowując całkowitą dyskrecję.

Pamiętam jej wizyty u mojej babci Racheli Friedman. Czasami obie kobiety zamykały się w pokoju i prowadziły długie rozmowy. Nieraz dziwiło mnie, jakie też mogą mieć tajemnice. Dopiero z biegiem czasu zrozumiałam, że rozmawiają o sekretnej pomocy.

Jak zdołała sama nieść jarzmo tych wszystkich problemów? Jak to czyniła? Riesela Farber odwiedzała prawie każdy dom żydowski i była gościem pożądanym i poważanym; miała wielu przyjaciół, szczególnie pośród kobiet. Wiedziała, kto może okazać wsparcie i w jakim stopniu, kto ma gorące serce i otwartą dłoń, komu zaś jest trudno. Nieraz przekonała kogoś do wypełnienia przykazania o konieczności niesienia pomocy bliźniemu.

Zasadniczo w żydowskich miasteczkach zawsze panowało zrozumienie dla pomagania innym i Riesela Farber za każdym razem potrafiła osiągnąć to, co zamierzyła. Zgodnie z tradycją w stosownych terminach (święto Purim, dni przed Jom Kippur, wieczór paschalny itp.) odbywały się miejskie zbiórki pieniężne przeznaczone na różne cele. Ci, których stać było na datek i mieli po temu dobrą wolę, pomagali z własnej inicjatywy, nie z uwagi na rozgłos, słowa pochwały czy podzięki, lecz motywowani głębokim poczuciem moralnego obowiązku pomocy tylko ze względu na przykazanie. Także w takich wypadkach Riesela często występowała w roli doradczyni.

Mój dziadek miał w zwyczaju rozdawanie potrzebującym węgla przed świętem Nowego Roku i ziemniaków przed Pesach. Kilka dni przed świętami artykuły te rozdzielano w firmie dziadka zgodnie ze spisem, który sporządzano według wskazówek Rieseli Farber. Lepiej niż ktokolwiek wiedziała, kto ma dużą rodzinę i czego mu brakuje. Wszystko urządzano po kryjomu, bez jakiegokolwiek rozgłosu.

Riesela Farber uczestniczyła także w uroczystościach i zabawach urządzanych w miasteczku. Była biegła w zwyczajach i potrafiła objaśnić ich znaczenie, znała znakomicie *Wyjdźcie i patrzcie* i inne książki przeznaczone dla kobiet. Podczas święta wykupu syna pierworodnego, które odbywało się u mnie, powiedziała mi, że bardzo się cieszy z tej okoliczności, ponieważ uczestnictwo w tym święcie jest jak wypełnienie wielu przykazań.

Zmarła we wczesnych latach trzydziestych. Zdarzyło mi się wówczas przypadkowo być w Wieliczce w czasie jej pogrzebu. Mówiono o niej, że jest kobietą cadykiem.

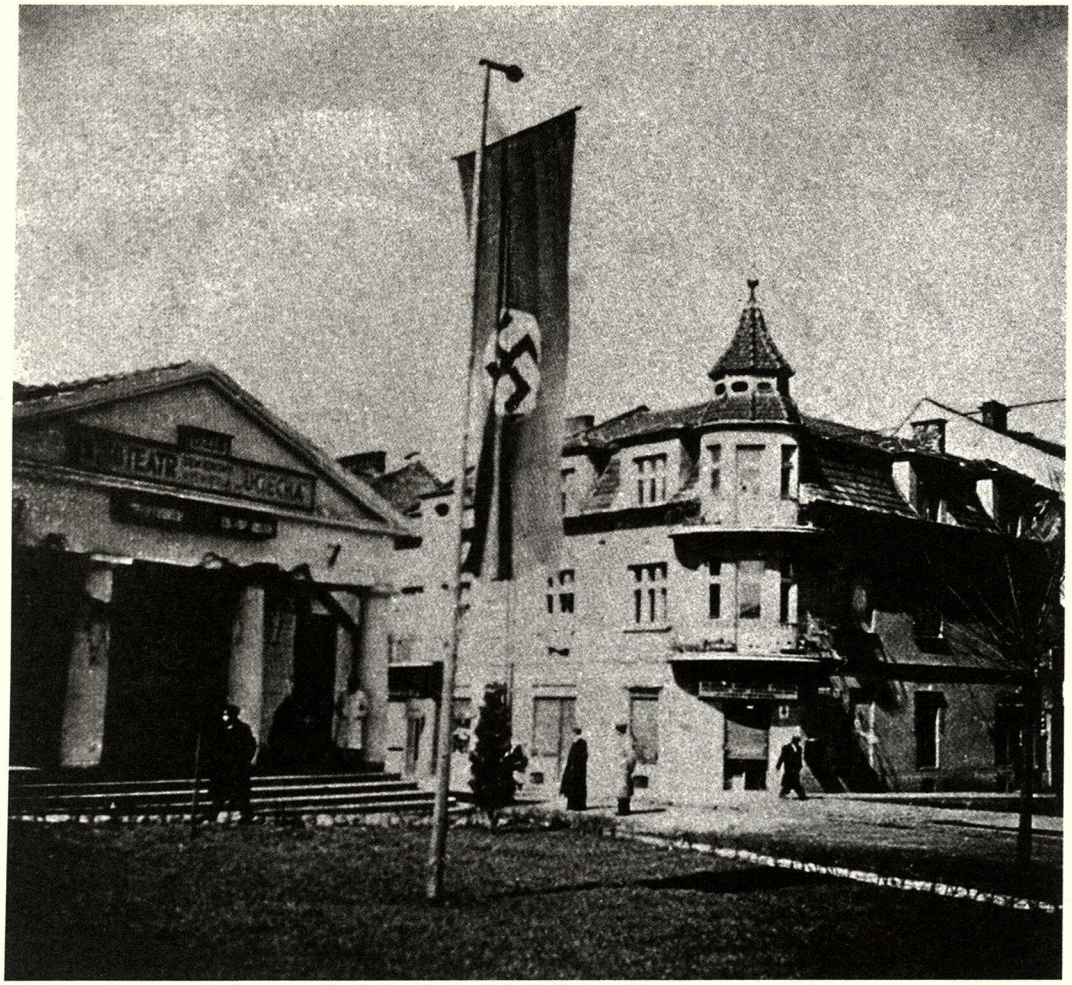
Gdy patrzę wstecz, z perspektywy czasu myślę, że to, co czyniła Riesela Farber w naszym mieście, było swoistą socjalną pracą organiczną, bez wsparcia urzędu czy biurokratycznego systemu, jaki mamy obecnie. Działała z gorącego, żydowskiego serca, korzystając z wielkiego talentu, tylko ze względu na wypełnianie przykazania, w zgodzie z tradycją i sposobem życia właściwymi żydowskim miasteczkom w Polsce. Te miasteczka istniały, zniknęły i już się nie pojawią.



Widok centrum Wieliczki od strony torów kolejowych
przed stacją Wieliczka Rynek

ZAGŁADA

Michał Zellner
Józef Prokop
Lena Küchler
Syda Srebro
Jakub Tiles
Alfreda Friedman-Künstler
Maria Perlberger-Shmuel
Uri Shmueli
Hirsz Grossbard
Menasze Hollander
Maria Bill-Bajorkowa
Mieczysław Skulimowski
Julian Fleiszer
Josef Herzog
Jack Wimmer
Daniel Schloss
Nathan Kleinberger
Izaak Birnbaum
Janina Sejdak
Alfred Lax
Zygmunt Gelband
Henryk Vogler
Natan Gross
Henryk Schönker
Janina Ekier
Nathan Gutman
Zelig Goldstein
Jan Jabłoński
Wojciech Klein



Rynek Dolny w Wieliczce podczas okupacji. Po lewej budynek kinoteatru „Uciecha”

OPIS ZBRODNI NIEMIECKICH W WIELICZCE W OKRESIE OD 6 WRZEŚNIA 1939 DO KOŃCA 1942 ROKU

Michał Zellner

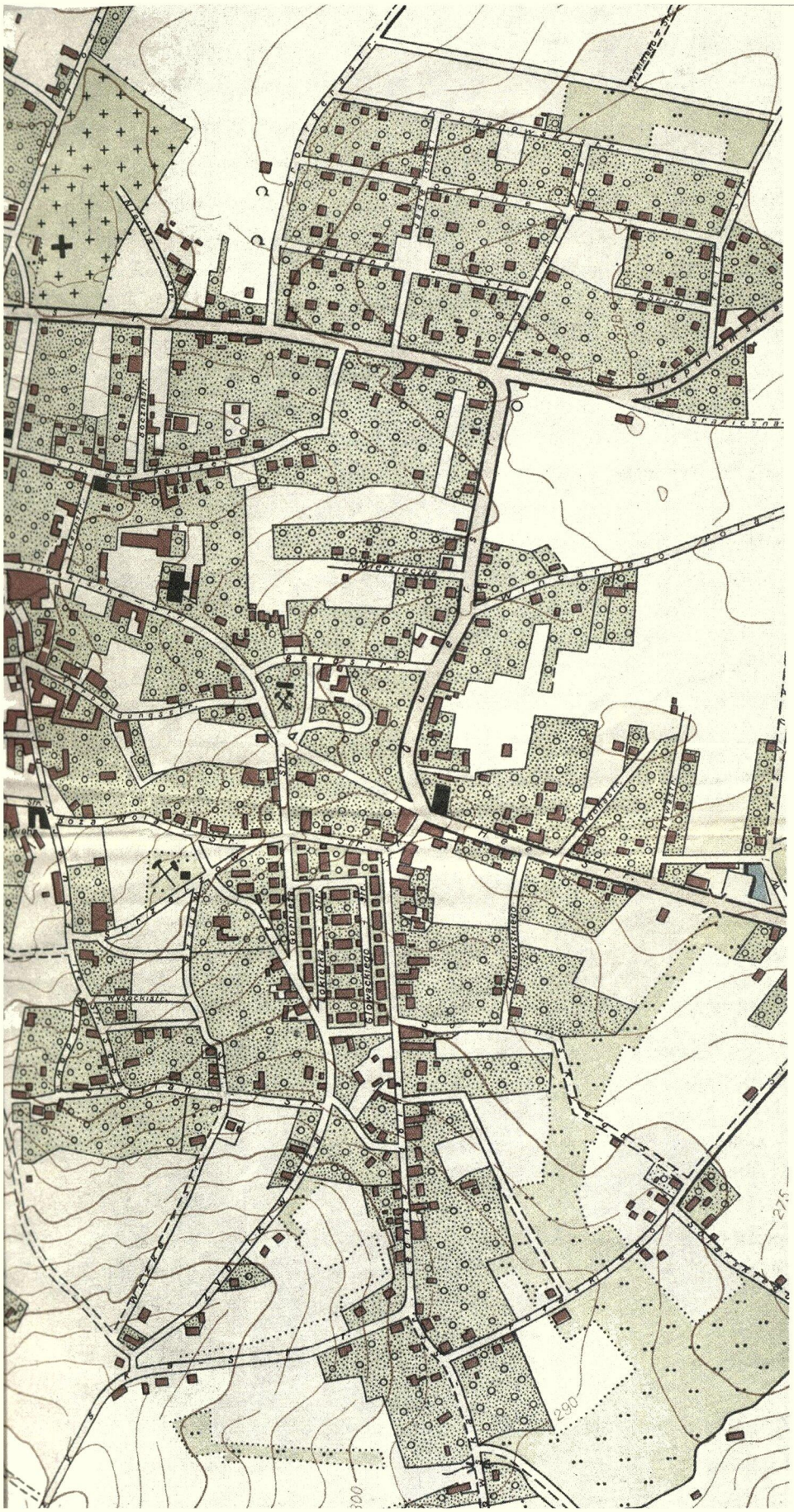
Niniejszy dokument stanowi część *Ankiety dotyczącej przebiegu działań wojennych oraz okupacji niemieckiej* sporządzonej przez Michała Zellnera w 1945 roku z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 36–43.

Prześladowania i mordy na ludności żydowskiej dokonywane przez Niemców datują się od chwili wkroczenia armii niemieckiej do naszego miasta na początku września. Gdy Niemcy weszli na Rynek Górny, ich pierwsze pytanie brzmiało: „Gdzie są Żydzi?". Natychmiast zebrali garstkę pozostałych Żydów (reszta uciekła w dniu wybuchu wojny), którzy pod groźbą rozstrzelania musieli zamiatać Rynek rękami i zbierać koński nawóz do kieszeni – to było powitanie.

12 września przyjechała do Wieliczki grupa niemieckich żołnierzy w czarnych mundurach z trupimi czaszkami, Totenkopftruppe, która zażądała w magistracie listy Żydów zamieszkujących miasto. Ich przewodnikiem był volksdeutsch i szpieg niemiecki, który jeszcze przed wojną piastował urząd posłańca w magistracie, Mazurowski[425]. Szukano tylko żydowskich mężczyzn, przetrząśnięto wszystkie żydowskie mieszkania, wyłowiono trzydziestu dwóch Żydów. Ustawiono ich na Rynku Górnym

[425] Paweł Mazurowski, prawdopodobnie na usługach wywiadu niemieckiego, po wybuchu wojny pełnił funkcję tłumacza przy komisarzu niemieckim, faktycznie – jako zaznajomiony ze stosunkami panującymi w mieście – był inspiratorem wielu niemieckich poczynań.


Kloster
Schule
Schule
Schloß
Kirche
Sparkasse
Oberer Ring
Schule
Gymnasium



Fragment mapy Wieliczki z niemieckimi nazwami ulic, 1944 rok

w jednym rzędzie, kazano trzymać ręce założone za głową. Przyjechały ciężarówki i zabrały skazańców za miasto, do wsi Pawlikowice. Kazano im wysiadać z auta po ośmiu i grupami ich zastrzelono[426]. Zostawiono ich na miejscu[427]. W ten sam dzień Totenkopftruppe wyruszyła do Limanowej, gdzie dokonała podobnej zbrodni. Niektóre ciała były zmasakrowane, z czego wynikało, że niektórzy bronili się przed śmiercią. Ponieważ mężczyzn żydowskich nie było, pochówkiem ciał na cmentarzu żydowskim zajęły się kobiety. Do dziś groby tych trzydziestu dwóch mężczyzn są na kirkucie w oddzielnym miejscu.

Mężczyźni żydowscy, którzy uciekli z początkiem wojny, obawiali się wrócić do Wieliczki. W tym czasie przybył do Wieliczki burmistrz niemiecki Frenzel[428], który w pierwszym dniu swojego urzędowania też pytał, gdzie są Żydzi. Wezwał do siebie kobiety żydowskie, kazał im utworzyć gminę żydowską[429] i nałożył na nie kontrybucję w wysokości ośmiu tysięcy złotych. Żydówki borykały się z wielkimi trudnościami, by zdobyć tak dużą jak na ówczesne czasy sumę. Wreszcie udało im się tę kwotę zebrać i złożyć w terminie.

Po trzech miesiącach Żydzi stopniowo wracali do Wieliczki, jednak obawiali się współpracować w gminie z kobietami. Także wykorzystywano ich do wszelkich czarnych robót bez wynagrodzenia. Nastąpił okres plądrowania domów żydowskich. Żołnierze z Reichabwehry pojedynczo chodzili po domach żydowskich i rabowali je. Żandarmeria niemiecka, która przybyła do Wieliczki, zażądała od gminy żydowskiej dostarczenia bielizny pościelowej, naczyń kuchennych, srebrnej zastawy stołowej i umywalni. Kobiety żydowskie, którym powierzono wykonanie tego rozkazu, wywiązały się w określonym terminie, sądząc, że w ten sposób złagodzą swe udręki. Pomyliły się – wymagania Niemców były coraz większe i wprost nie do wykonania. Wtedy burmistrz Frenzel sam zajechał ciężarówkami i z pomocą Mazurowskiego wypróżnił lepsze mieszkania żydowskie z całego dobytku, przy czym przyznał, że najlepsze rzeczy wysyła do Niemiec dla siebie[430].

W 1940 roku na pozór nastąpił zwrot ku lepszemu. Na miejsce burmistrza Frenzla przybył oficer SS, inteligentniejszy od swego poprzednika, niejaki Rosik[431], który pochodził z Drezna[432]. Po zaznajomieniu się z warunkami i stosunkami żydowskimi w Wieliczce przyrzekł, oczywiście za brylanty i kosztowności, że Żydom nie stanie się nic złego. Nie mógł

[426] Według świadectwa Leny Küchler jeden z trzydziestu dwóch Żydów przeżył, zob. s. 258–259.

[427] Zob. opis tego zdarzenia w: W. Żyznowski, *Wieliczanie...*, *op. cit.*, s. 160–162 oraz J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 226–227.

[428] Właśc. Frensel (imię niezidentyfikowane). Zastępcą Frensla został członek Zarządu Miejskiego sprzed wybuchu wojny, Piotr Dudek.

[429] W tym znaczeniu: Radę Żydowską, tak zwany Judenrat – organ administracji społeczności żydowskiej w okresie II wojny światowej. Siedziba władz gminy żydowskiej w Wieliczce mieściła się przy ul. Seraf.

[430] O rekwirowaniu dobytku mieszkańców Wieliczki zob. także: s. 263.

[431] Właśc. Rossig. Po odwołaniu go ze stanowiska w 1943 roku jego obowiązki przejął Franciszek Malec.

[432] Informacje dotyczące roku przybycia Rossiga do Wieliczki różnią się. Na przykład Anna Czyżewska w zeznaniach przed Sądem Grodzkim w Wieliczce z 19 marca 1946 roku jako okres pełnienia przez Rossiga funkcji komisarza Wieliczki podaje lata 1942–1943 (Instytut Pamięci Narodowej [dalej: IPN], sygn. GK 164/4648).

jednak, czy też nie chciał, ignorować rozporządzeń Kreishauptmanna krakowskiego, dotyczących ruchów i swobody ludności żydowskiej w Wieliczce. Zakazano Żydom chodzić niektórymi ulicami. Sonderdienst, który przybył do Wieliczki i który składał się z volksdeutschów, wydał nakaz kłaniania się każdemu Niemcowi; jego członkowie bili i katowali Żydów, jeżeli przez przeoczenie któryś nie kłaniał się lub nie nosił opaski z gwiazdą Dawida według przepisu[433].

Pod koniec 1940 roku przybyło do Wieliczki kilka tysięcy Żydów wysiedlonych z Krakowa i okolic. Warunki życia Żydów z każdym dniem się pogarszały. Żydów w liczbie czterech tysięcy zaangażowano do najcięższych robót, do budowania autostrady Wieliczka – Bochnia. Głód, nędza i rozpacz mas żydowskich dawały się bardzo we znaki, ponieważ otrzymywali oni tylko przydział chleba i nic więcej. Wiele ofiar kosztowały Żydów próby opuszczenia Wieliczki bez przepustek.

Burmistrz Rosik, który za wszystkie swoje czynności kazał sobie płacić w kosztownościach, w 1942 roku wysunął projekt założenia warsztatów miejskich, Städtische Werkstätte. Warsztaty te zostały błyskawicznie urządzone przez żydowskich inżynierów i zatrudniły około siedmiuset robotników i robotnic żydowskich.

Żydzi garnęli się do tej pracy, sądząc, że w ten sposób uratują się od niechybnej śmierci, która chwilami zaglądała im w oczy. Stosunki coraz bardziej się pogarszały. Za byle wykroczenie członkowie Sonderdienstu, a także SS, która przyjeżdżała na gościnne występy, bili, katowali i zabijali.

Czarne chmury pokazały się w lipcu 1942 roku. W Wieliczce było wówczas osiem tysięcy Żydów. W tym miesiącu nałożono na Radę Żydowską, na czele której stał doktor Steinberg, kontrybucję w wysokości pięciuset tysięcy złotych[434], która pod groźbą kary śmierci miała być złożona w ciągu czternastu dni. Rozpacz ogarnęła całą społeczność żydowską. Wiedziano bowiem z doświadczenia innych miast, że kontrybucja jest pierwszym krokiem do wysyłki Żydów w nieznane, Żydzi słusznie uważali ją za „koszty podróży" lub „gwoździe do trumny". Z nieopisanym trudem udało się zebrać wśród zamożniejszych Żydów żądaną kwotę i złożyć ją w wyznaczonym terminie, czyli 1 sierpnia 1942 roku.

W tym też dniu Rada Żydowska została zawiadomiona, że wszyscy Żydzi zamieszkali w Dobczycach, Gdowie, Niepołomicach, Bieżanowie i okolicznych wsiach mają na rozporządzenie Kreishauptmanna doktora Hellera opuścić dotychczasowe miejsce zamieszkania i przybyć do Wieliczki, ale nie później niż 20 sierpnia. Przy czym zezwolono im zabrać cały ruchomy majątek pod pozorem, że w Wieliczce zostanie

[433] S. Gawęda pisze (*Okupacja niemiecka i ruch oporu w rejonie Wieliczki*, [w:] *Wieliczka: dzieje miasta...*, *op. cit.*, s. 251), że opaski z gwiazdą Dawida żydowska ludność Wieliczki nosiła już w październiku 1939 roku, jednak nie podaje źródła tej informacji. Natomiast oficjalne rozporządzenie Hansa Franka o obowiązku noszenia opasek przez Żydów w Generalnym Gubernatorstwie zostało ogłoszone 23 listopada 1939, a weszło w życie z dniem 1 grudnia.

[434] Informacje na temat wysokości kontrybucji różnią się. S. Gawęda przytacza na przykład kwotę dwóch milionów, następnie zredukowaną do miliona. Zob. S. Gawęda, *Wieliczka pod okupacją niemiecką*, [w:] *Wieliczka: dzieje miasta...*, *op. cit.*, s. 257. Informację zbieżną z tymi danymi przytacza Maria Bill-Bajorkowa, zob. s. 314. Zob. także inne teksty w niniejszej książce.



SS-Hauptsturmführer Wilhelm Kunde

utworzone getto żydowskie. Burmistrz Rosik zapytany przez czołowe osobistości Rady Żydowskiej, czy naprawdę zamiarem Kreishauptmanna jest utworzenie getta, potwierdził to, przyrzekając pomóc w tej kwestii, za co miał zostać sowicie wynagrodzony.

15 sierpnia Rada Żydowska dostała od przybyłego do Wieliczki dygnitarza gestapo nazwiskiem Kunde[435] ustny rozkaz założenia w ciągu ośmiu dni do godziny dwunastej w południe szpitala dla dwustu pięćdziesięciu chorych, z kompletnym urządzeniem sanitarnym. Puszczono w ruch wszelkie możliwe aparaty. By uzyskać miejsce na szpital, Rada Żydowska musiała z pomocą policji żydowskiej wyrzucić na bruk kilkanaście rodzin. Ogromnym wysiłkiem całego społeczeństwa żydowskiego urządzono placówkę na sto trzydzieści łóżek. Nastąpiło chwilowe odprężenie, gdyż znowu łudzono się nadzieją, że wysiedlenie nie nastąpi, skoro szpital jest potrzebny.

Tymczasem okazał się on jedynie zasadzką, mającą uśpić czujność i skoncentrować chorych Żydów w jednym miejscu, by ich wykończyć. Nadszedł dzień 23 sierpnia. Żandarmeria niemiecka w imieniu gestapo telefonicznie wydała Radzie Żydowskiej rozporządzenie traktujące Żydów jako wyjętych spod prawa, a podlegających wyłącznie rozkazom gestapo. 25 sierpnia Wieliczka została otoczona policją granatową w liczbie kilkuset ludzi, Sonderdienstem i SS, aby nikt nie mógł się wydostać z miasta. Kilka osób próbujących opuścić to piekło zostało zastrzelonych.

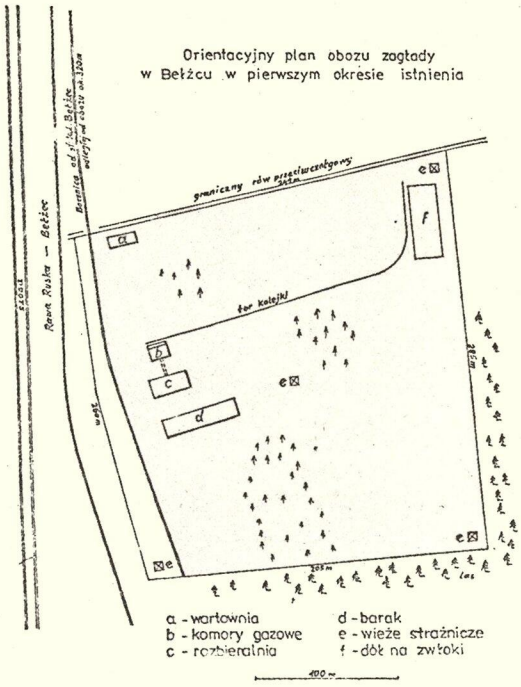
26 sierpnia było już wiadomo, że pociągi czekające na stacji w Wieliczce, nazywane przez Niemców *Judenzug*, przeznaczone są do wywiezienia Żydów w nieznane. Rozpacz i panika wśród Żydów były nie do opisania. Nie istniała żadna droga ratunku. Niemcy wykorzystali i ten straszny moment zamieszania. O drugiej po południu powtórnie nałożyli na Żydów kontrybucję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy złotych, która miała na celu nie tylko wyłudzenie tej kwoty, ale przede wszystkim wywołanie rozgoryczenia i jeszcze większego napięcia. Żandarmeria niemiecka jeszcze przed wieczorem tego samego dnia telefo-

[435] Wilhelm (Willy) Kunde – funkcjonariusz gestapo, kierownik Referatu Żydowskiego w Komendanturze Policji Bezpieczeństwa. Jego bliskim współpracownikiem był Herman Hubert Heinrich, również referent do spraw żydowskich w gestapo krakowskim.

nicznie zażądała od Rady Żydowskiej natychmiastowego dostarczenia dziesięciu kilogramów kawy, dwóch kilogramów herbaty i różnych innych luksusowych artykułów spożywczych[436]. Rada borykała się z ogromnymi trudnościami, ale wywiązała się z tego zadania, gdyż obawiała się natychmiastowego rozstrzelania. O godzinie siódmej wieczorem, gdy rezygnacja Żydów osiągała punkt kulminacyjny, gestapo krakowskie wydało Radzie Żydowskiej polecenie, by wszyscy Żydzi, około ośmiu tysięcy[437], stawiło się nazajutrz, tj. 27 sierpnia, na placu koło dworca kolejowego. Za niestawienie się lub spóźnienie groziła kara śmierci.

W tragicznym dla Żydów wielickich dniu 27 sierpnia 1942 roku od godziny piątej rano Żydzi, otoczeni ze wszystkich stron różnoraką policją, gromadzili się na oznaczonym miejscu. Spóźnionych i ukrywających się rozstrzeliwano na miejscu. Było ich około pięciuset.

Z bagażem ręcznym i gotówką nie większą niż dwadzieścia złotych czekali zrezygnowani i nieszczęśliwi na dalsze rozporządzenia. Na placu zbiórki odbyła się selekcja. Starszych, ułomnych i chorowitych wywieziono ciężarówkami do lasów niepołomickich i tam rozebranych do naga parami rozstrzeliwano. Groby zostały już uprzednio przygotowane przez Baudienst. Ubrania ofiar przywieziono do Wieliczki i złożono w budynku szkoły powiatowej. Następnie wybrano siedmiuset mężczyzn i wysłano ich do pracy przymusowej do Stalowej Woli i Płaszowa. Resztę ludności w liczbie około pięciu tysięcy[438] załadowano do wagonów po sto pięćdziesiąt osób. Wielu z tych

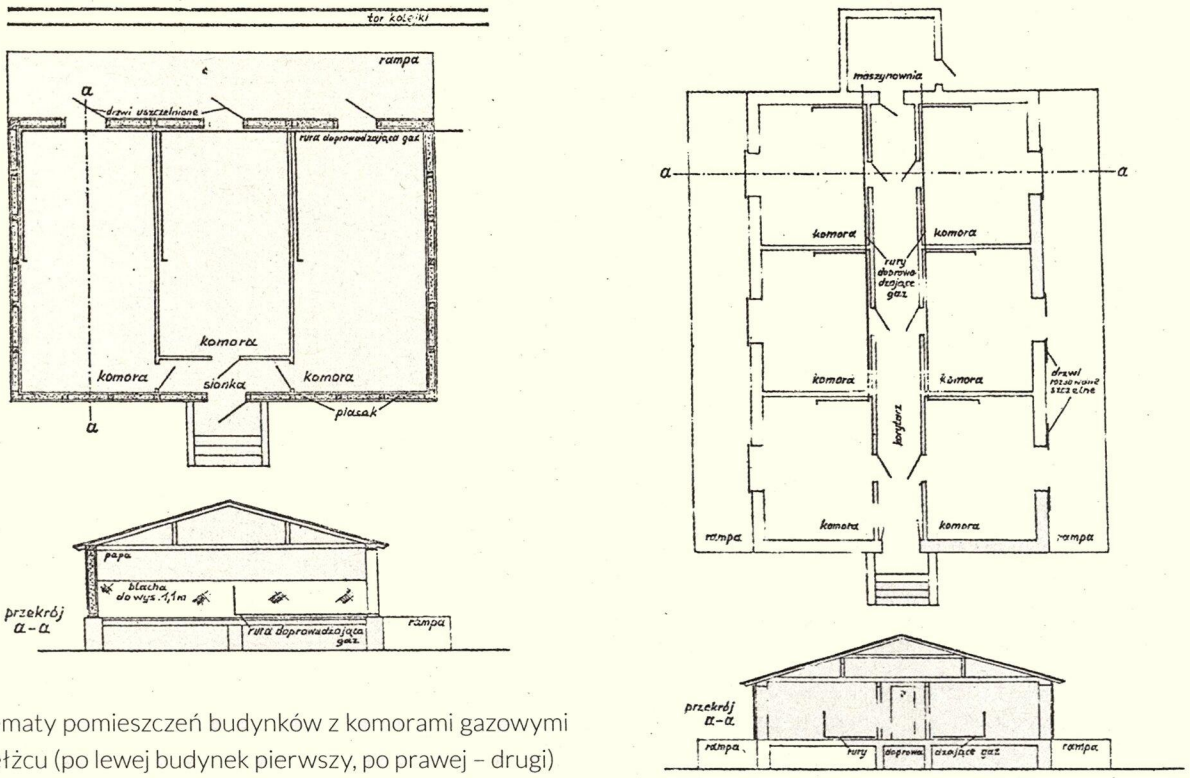


Orientacyjny plan obozu zagłady w Bełżcu w pierwszym okresie istnienia

[436] Zob. s. 304.

[437] Zob. s. 271, 324, 336.

[438] Zob. s. 293, 324–325, 336–337.



Schematy pomieszczeń budynków z komorami gazowymi w Bełżcu (po lewej budynek pierwszy, po prawej – drugi)

nieszczęśliwców zginęło już w drodze na skutek uduszenia i pragnienia, gdyż eskortujący esesmani nie zezwolili podawać im ani kropli wody.

Transport ten został wysłany do Bełżca i tam ci, którzy się w nim znaleźli, zginęli w komorach gazowych.

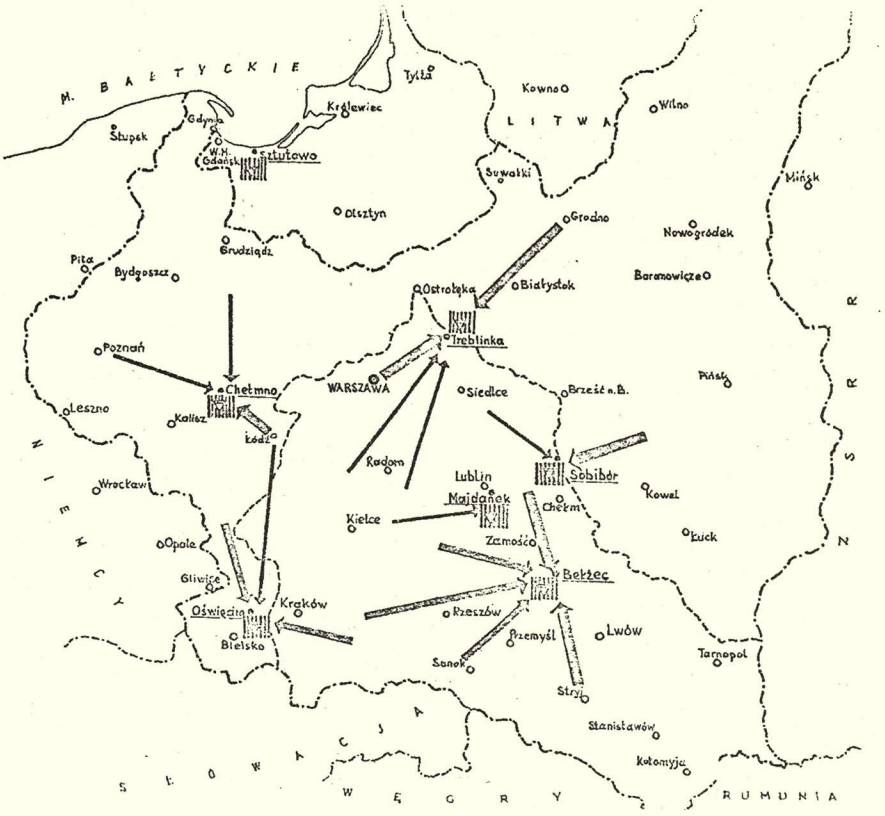
Jeden jedyny uratowany z Bełżca Rudolf Reder był naocznym świadkiem zagazowania Żydów wieluckich. Wzmianka o tym znajduje się w wydanej przez Żydowską Komisję Historyczną w Krakowie książce pod tytułem *Bełżec*[439].

Przez szereg następnych miesięcy wyłapywano w Wieliczce i okolicach setki ukrywających się Żydów. Rozstrzelano ich na miejscu lub odwożono na cmentarz żydowski i tam uśmiercano[440].

Masowe groby na cmentarzu wielickim świadczą o licznych i bestialskich mordach na niewinnych ludziach. Michał Halków, były dozorca cmentarza żydowskiego, obecnie zamieszkały w Wieliczce, może potwierdzić popełnione przez barbarzyńców niemieckich zbrodnie, gdyż on sam na rozkaz żandar-

[439] R. Reder, *Bełżec*, Kraków 1999.

[440] Zob. także relację na ten temat w: J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza…*, *op. cit.*, s. 227–231.



Przyporządkowanie poszczególnych terytoriów Polski obozom zagłady

merii niemieckiej ofiary te pochował. Liczba zabitych i pogrzebanych między 27 sierpnia a końcem grudnia 1942 roku wyniosła ponad tysiąc osób, wśród nich także niemowlęta.

W lasach niepołomickich znajdują się masowe groby siedmiuset wielickich Żydów[441].

Podpisany był świadkiem zbrodni niemieckich do dnia 27 sierpnia 1942 roku, tj. do czasu tak zwanego wysiedlenia.

Wieliczka, dnia 5 sierpnia 1945 roku.

Michał Zellner (ur. 6 kwietnia 1898 roku w Limanowej, zm. 13 lipca 1959 roku w Wieliczce) – właściciel sklepu żelaznego w Wieliczce, adwokat z powołania. Wraz z żoną Bertą Zellner przeżył okupację w ukryciu, przenosząc się z miejsca na miejsce, dzięki pomocy służącej, Marii Paszkot.

[441] Zob. s. 271, 310, 324, 336.



Jeden z pierwszych aktów terroru wobec ludności żydowskiej po wkroczeniu Niemców do Wieliczki: Żydzi przed rozstrzelaniem zmuszeni do sprzątania płyty Rynku Górnego, 12 września 1939 roku

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA JÓZEFA PROKOPA

Dnia 25 lutego 1949 roku Sąd Grodzki w Wieliczce w osobie sędziego dr. M. Rosponda z udziałem protokolanta Wł. Pituły na wniosek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce stosownie do art. 4 dekretu z dnia 10 listopada 1945 roku (DzU RP Nr. 51, poz. 293) oraz na zasadzie art. 254 k.p.k. przesłuchał w charakterze świadka w trybie art. 107, 109, 113, 115 tegoż kodeksu osobę niżej wymienioną, która po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie o znaczeniu przysięgi i po zaprzysiężeniu w formie przewidzianej w art. 111 k.p.k. zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko: Józef Prokop
Zawód: były dyrektor gimnazjum
Miejsce zamieszkania: Wieliczka
[...]

Protokół przesłuchania Józefa Prokopa w sprawie egzekucji trzydziestu dwóch Żydów we wrześniu 1939 roku. IPN, sygn. GK 162/620.

Przed wkroczeniem wojska niemieckiego do Wieliczki we wrześniu 1939 roku z pozostałych mieszkańców miasta wyłonił się komitet dla uporządkowania ulic i placów ze zwłok ludzkich i zwierzęcych, aby uniemożliwić z powodu rozkładu tych zwłok rozprzestrzenienia się jakiejś

choroby zakaźnej. Później ludność zaczęła powracać do Wieliczki, zebrała się większa liczba w magistracie i wybrała mnie tymczasowym burmistrzem miasta. Po wkroczeniu wojsk niemieckich w dniu 6 września 1939 roku przez Wieliczkę przechodziły różne jednostki wojskowe. Również znalazł się jakiś oddział, który na czapkach miał trupią główkę, i wraz z byłym pracownikiem Zarządu Miejskiego Pawłem Mazurowskim wyciągał z domów ludność żydowską, przeważnie starsze osoby, i używał jej do różnych robót na ulicy, przy tem szykanując i maltretując. W jakiś czas potem zostałem wezwany przez Mazurowskiego do magistratu, do pułkownika niemieckiego, który oświadczył mi po niemiecku, bym ogłosił, że każdy, kto dopuści się kradzieży, mordu, rabunku, będzie bezwarunkowo, bezzwłocznie i bez sądu rozstrzelany. Nie wiedząc, jak zorganizować administrację Zarządu Miejskiego, udałem się po informacje do Krakowa. Gdy wróciłem i stawiłem się w budynku magistratu, około siedemnastej przyszła z płaczem nieznana mi Żydóweczka, żaląc się, że jej ojca i brata zamordowano, a oprócz nich jeszcze trzydziestu Żydów. Na obecnego przy mnie Pawła Mazurowskiego wskazała jako na tego, który pomagał oddziałowi niemieckiemu przy wyszukiwaniu Żydów w domach. A przedtem jeszcze zauważyłem na biurku w mojej kancelarii w magistracie kartkę zapisaną ołówkiem z nazwiskami Żydów i datami ich urodzeń, nazwiskami rodziców. Oprócz tych nazwisk na końcu było po polsku napisane słowo „zakopać". Na tę kartkę zwrócił mi uwagę Mazurowski, że zostawiły ją władze niemieckie mnie do wykonania, przy czym



Żydzi przed rozstrzelaniem zmuszeni do zamiatania Rynku Górnego, 12 września 1939 roku



zaznaczył, że nazwiska osób dotyczą Żydów pomordowanych w Taszycach[442], zabranych z Wieliczki i wywiezionych tam autem ciężarowym. Wymieniona Żydóweczka objaśniła mi, że była świadkiem z ukrycia, jak rozstrzeliwano Żydów w Taszycach, a między innymi jej ojca, brata, a może i szwagra. Jednemu z nich jakiś Niemiec poprzetrącał ręce przed rozstrzelaniem. Wymieniona Żydóweczka prosiła mnie, bym zezwolił jej i rodzinom pomordowanych Żydów pochować zwłoki na cmentarzu żydowskim. Prośbie tej zadośćuczyniłem, zaznaczając, że powinni to uczynić na własny koszt, bo gmina nie dysponuje żadnym funduszem. Na drugi dzień doniesiono mi, że zwłoki pomordowanych trzydziestu dwóch Żydów zostały pochowane na cmentarzu żydowskim. Nic mi nie wiadomo, by przed rozstrzelaniem wymienionych Żydów odbył się sąd, jak również nikt mnie nie poinformował, co było powodem tej akcji rozstrzeliwania; ani też nikt nie komunikował ludności i rodzinom pomordowanych ofiar o ich śmierci. Co się z tym wykazem pomordowanych osób stało, tego sobie dziś nie przypominam, gdyż zostawiłem go w kancelarii sekretarza magistratu miasta. Kartkę tę mógł później zniszczyć Mazurowski lub zabrać ze sobą, gdyż później w magistracie był ważną figurą i Reichsdeutschem, a w roku 1945 uciekł w niewiadomym kierunku. Jaki oddział rozstrzelał wymienionych Żydów, tego sam nie widziałem, z opowiadań wiadomo mi, że byli to Niemcy w czarnych mundurach z trupimi główkami na czapkach. Poza wymienionymi trzydziestoma dwoma Żydami w tym czasie nikogo więcej z ludności cywilnej nie rozstrzelano. Pod koniec września 1939 roku przybył do Wieliczki komisarz niemiecki, który objął administrację miasta i sam mianował burmistrza polskiego w osobie Piotra Dudka, który objął urzędowanie. Poza tym nic mi nie wiadomo w tej sprawie.

[442] Taszyce to przysiółek w Pawlikowicach.

WIELICZKA – MIASTO BEZ MĘŻCZYZN (OD 1 WRZEŚNIA DO KOŃCA LISTOPADA 1939)

Lena Küchler

1 września 1939 roku, wraz z wybuchem wojny, ja i mój mąż uciekliśmy z Bielska (na Śląsku) do domu rodziców w Wieliczce. Łudziliśmy się jeszcze, że Hitler chce sobie tylko przywrócić Gdańsk i Śląsk i dalej nie pójdzie. Przez całą noc z 1 na 2 września siedzieliśmy w piwnicy, którą mój mąż wraz z innymi lokatorami zamienili w schron. Rano padały bomby i słyszeliśmy, że Niemcy bardzo prędko poruszają się naprzód i zajmują kolejne obszary Polski, a nikt ich nie zatrzymuje. Było zrozumiałe, że powinniśmy uciekać na wschód, i to jak najprędzej. Wszyscy gorliwie się spakowaliśmy i wyruszyliśmy w drogę, mimo wątpliwości, czy idąc pieszo, zdołamy uciec od niemieckich tanków. Moi bracia (było ich czterech) też się spakowali i wyszli w drogę. Mały plecak i lekkie buty – to było wszystko, co mieli na sobie. Musieli zniknąć, ponieważ dwaj byli podejrzani o komunizm, a dwaj pod obserwacją policji. Moje dwie siostry, Fela i Ester, też postanowiły uciec. Gnębiło nas bardzo pytanie: co będzie z tatą? Był wdowcem – mama zmarła pięć miesięcy przed wybuchem wojny – cierpiał na chroniczne zapalenie stawów i miał bardzo słabe nogi i serce. Ja i mąż postanowiliśmy zabrać tatę z nami. I tu zaczyna się bolesna wędrówka. Z początku jedziemy na wozie zaprzęgniętym w konia. Niemcy bombardują uciekinierów, co chwilę wybucha

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 94–97. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.

bomba, pożary, krzyki ludzi, ranni i zabici, upadające konie, trupy ludzi i zwierząt po drodze. Ludzie kryją się w rowach, opuszczają drogę i idą przez pola. Nasz woźnica nie chce dalej jechać, i to za żadne pieniądze, które mu proponujemy. Nie mając innego wyjścia, idziemy pieszo, pozbywamy się walizek. Co chwilę tata się zatrzymuje, ciężko oddycha i kładzie rękę na sercu. Nie może iść dalej. Dochodzimy do jakiejś opuszczonej drogi między skałami – tu, pamiętam, zatrzymaliśmy się. Tata odmawia ranną modlitwę, je śniadanie (szliśmy przez całą noc), siada na kamieniu i patrzy na nas. Czuję, co nam chce powiedzieć. Widzę, że już nie ma siły, i serce mi się kurczy. „Córko – mówi do mnie – nie mogę dalej iść. Niech będzie, co będzie, wracamy do domu". Radzę się z mężem. On ma surowe oblicze i postanawia: „Ja tu nie będę czekać, aż mnie Niemcy złapią – mówi. – Uciekam dalej na wschód; postanów sama, z kim idziesz, ze mną czy z tatą". Jestem oszołomiona, rozdarta. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Nie jestem w stanie myśleć. Ból we mnie wali jak młotem, przenika do serca. Patrzę na nieszczęśliwe oczy taty, jego zapadłą twarz i drżące nogi. Zaczynam płakać.

Ostatnim wysiłkiem docieramy do jakiegoś miasteczka nad Wisłą (zdaje mi się, że nazywa się Solec) i zatrzymujemy się w nim. Wielu Żydów stąd nie uciekło. Tata idzie do bożnicy, spotyka się z Żydami i nastrój mu się poprawia. Odpoczywamy w jakimś żydowskim domu. Mój mąż, według swojej decyzji, wstaje nad ranem, on nie wierzy Niemcom, życie mu jest droższe niż wszystko... A ja płaczę przez całą noc i się waham. Mąż radzi mi zostawić tatę u żydowskiej rodziny w miasteczku i iść z nim. Jeżeli z nim nie pójdę – mówi – wybieram śmierć. Nad ranem wstają dwaj mężczyźni i patrzą na mnie. Widzę w oczach taty dwie wielkie łzy i spojrzenie małego, bezsilnego dziecka. Przymykam oczy, podchodzę do taty, obejmuję go i płaczę. Nie chcę otworzyć oczu, dopóki mój mąż sobie nie pójdzie, i tak się pożegnaliśmy.

Przeróżnymi drogami docieraliśmy z powrotem do Wieliczki. Już jesteśmy w Krakowie, na placu pełnym furmanek na końcu ul. Krakowskiej. Tata siedzi na wozie z sianem, a ja się na niego wspinam, żeby jechać do Wieliczki (Żydom już nie wolno było jeździć pociągiem!). Nagle podchodzi do nas nieznajoma staruszka i przerażona krzyczy: „Nie jedźcie do Wieliczki! Stało się tam coś strasznego". Chciałam ją zapytać o szczegóły, ale ona zniknęła i nikt nie mógł mi nic wytłumaczyć... Pomogłam ojcu zejść z furmanki i poszliśmy na poszukiwanie w Krakowie miejsca dla niego. Znalazłam miejsce u żydowskiej rodziny na ul. Starowiślnej, na piątym piętrze. Myślałam w duszy: może gestapowcy będą zbyt leniwi, żeby się wdrapywać na piąte piętro; wygodniej jest brać Żydów do „pracy" (z której się nie wracało) z niskich pięter. Nie pamiętam, gdzie wtedy mieszkałam w Krakowie, ale pamiętam, że żyłam w wielkim napięciu, chciałam wiedzieć, co się stało w Wieliczce, co się dzieje z moimi braćmi i siostrami, z naszą starą służącą Zosią i jak wyglądają mieszkanie i sklep. Zostało nam coś? Pojechałam do Wieliczki. I tu usłyszałam, że 12 września 1939 roku zjawiło się w Wieliczce komando gestapowców (w czarnych mundurach z trupią czaszką na kołnierzu) i wraz z polskim przewodnikiem chodzili od domu (żydowskiego) do domu i wyciągali żydowskich mężczyzn. Byli między nimi Żydzi, którzy wrócili z wędrówki i moczyli sobie spuchnięte nogi w wodzie. Tak zebrali Żydów, wywieźli ich za miasto do Rożnowej[443]. Jeden z nich, młody chłopak, którego nazwiska zapomniałam, wyskoczył z cięża-

[443] Właśc. Pawlikowic.

rówki i uciekł[444] – żyje dziś w Izraelu[445]. W tym dniu zamordowali wszystkich trzydziestu jeden mężczyzn. Był to pierwszy pogrom w Polsce podczas II wojny światowej. Kobiety musiały pochować zmarłych i pomodlić się ku ich pamięci. Jedna kobieta musiała wykopać trzy groby dla resztek jej bliskich. Wtedy uciekli wszyscy mężczyźni i Wieliczka stała się miastem bez mężczyzn.

Wojsko niemieckie opuściło Wieliczkę i zamiast niego przyszły inne oddziały. Szukali żydowskich mężczyzn do pracy, a gdy nie znaleźli nikogo, zapytali nas, kobiety: „Gdzie są wasi mężczyźni?". Bałyśmy się powiedzieć prawdę. W końcu przyjechał do Wieliczki komendant wojskowy, który też posłał swoich ludzi, żeby szukali Żydów. Znaleźli pięciu ukrytych mężczyzn, większość z nich inwalidów z rodziny Geminder. Posadzili ich w więzieniu w magistracie i nikt nie wiedział, co mają zamiar z nimi zrobić. W nocy więźniowie wyłamali drewniane drzwi i uciekli. Nazajutrz komendant kazał delegacji kobiet stawić się u niego. Ani jedna kobieta nie odważyła się do niego iść. W końcu ja się zgodziłam i poszłam. Komendant powiedział, że daje nam trzy dni na znalezienie i zwrócenie więźniów, a jeżeli do tego czasu ich nie oddamy, zamorduje całą żydowską ludność Wieliczki, w tym kobiety i dzieci: „Podzielicie los mężczyzn!" – powiedział. Skończył i kazał mi się znów stawić po trzech dniach. Wróciłam do domu, mieszkałam tam z naszą służącą i moją siostrą Felą (bracia i Ester nie wrócili do domu, a tata był w Krakowie). Zebrałam, ile mogłam, kilka kobiet i opowiedziałam im o groźbach niemieckiego komendanta. Bardzo się przestraszyły i płakały... Nie chciałam tego. Uspokoiłam je i powiedziałam: „Mamy trzy dni, poczekamy i zobaczymy, może ktoś z tych uciekinierów się zjawi...". Prawdę mówiąc, nie wierzyłam, oni są na pewno w drodze do Bugu i uciekną do wschodniej Polski, która jest zajęta przez Sowietów. Nikt nie będzie gotów wrócić na pewną śmierć. [Powiedziałam kobietom: – przyp. tłum.] „Jeżeli nie wrócą w wieczór tego pożądanego dnia, radzę wam spakować manatki i uciec z Wieliczki – wszystko zostawić". Oczywiście mężczyźni nie wrócili i o trzeciej nad ranem grupa kobiet uciekła z Wieliczki do Krakowa. Każda niosła paczki z tym, co najdroższe, wszystkie płakały. Pamiętam naszą sąsiadkę, panią Schtil, szła w pierwszym rzędzie z torbą na plecach, a w niej miała sobotnie świeczniki, które chciała uratować od zagłady, tak jak nasi praojcowie po zburzeniu Jerozolimy, i pytała mnie: „Powiedz, co z nami będzie? Co będzie?". A ja nie miałam odpowiedzi.

Kobiety opuściły Wieliczkę, a ja musiałam zostać, by stawić się przed komendantem (jak mi rozkazał) i powiedzieć mu, że uciekinierzy się nie znaleźli. Moja siostra, Fela, próbowała mnie przekonać, żebym do niego nie szła. Nie wiem, nie mogę samej sobie do dziś wytłumaczyć, dlaczego się uparłam. Zostałam sama w mieście i poszłam. Żadne argumenty mojej siostry nie pomogły. W końcu dała mi plecak, koc i duży bochenek chleba, mówiąc: „Jeżeli się nad tobą zlitują i cię od razu nie zabiją, tylko zaaresztują, żebyś przynajmniej miała co jeść".

Pamiętam, jak siedziałam (z plecakiem) w wielkiej poczekalni w magistracie, czekając na przesłuchanie przez komendanta. Podałam nazwisko zaraz przy wejściu. Teraz musiałam czekać, aż pójdą wszyscy klienci. Jeden po drugim wchodzili do pokoju komendanta i wychodzili z niego. Zostało ich już mało. Mnie jeszcze nie wołali. Siedziałam w kąciku,

[444] Inne relacje tego nie potwierdzają, zob. s. 246.

[445] Tj. w 1980 roku lub wcześniej.

żeby na mnie nie zwracano uwagi. W pewnej chwili, gdy pokój zaczął się opróżniać, pomyślałam sobie: „Dlaczego ja tu właściwie czekam? Czy chcę wpaść w ich ręce? Swoje zrobiłam, stawiłam się, zapisano moje nazwisko i dotrzymałam przyrzeczenia. Teraz już jest dwunasta w południe i jeszcze mnie nie wołali. Jeśli tak, zmywam się stąd. Nie trzeba się drażnić ze śmiercią". Bardzo, bardzo ostrożnie, przechodząc przez ciemny korytarz, wyszłam i też uciekłam do Krakowa.

Nie pamiętam, jak przeszły dni i tygodnie, po tym jak kobiety uciekły z Wieliczki. Nie miały gdzie mieszkać i co jeść, ale z troski o swoje mieszkania i sklepy w Wieliczce pomału zaczęły wracać do miasta, i ja też wróciłam. Ale bez mężczyzn.

Sprawa ucieczki więźniów została zapomniana. Zaczęły przychodzić wiadomości, że uciekinierzy są już w bezpiecznym miejscu za Bugiem, po rosyjskiej stronie. W międzyczasie niemieckie władze wydały zarządzenia skierowane do Żydów. Ponieważ Żydzi [mężczyźni – przyp. tłum.] jeszcze nie wrócili do miasta, zażądano, żeby delegacja kobiet znów stawiła się przed władzami. Kobiety zwróciły się do mnie, a ja im powiedziałam: „Nie jestem delegacją, potrzebna jest przynajmniej jeszcze jedna kobieta". Ale żadna nie chciała ze mną iść. W końcu zwróciłam się do rówieśnicy, koleżanki ze szkoły, Balki Licht, i zapytałam, czy jest gotowa ze mną iść. Zgodziła się; pomyślałam w duszy – to bardzo dobre wrażenie, które ona robi, może pomóc sprawie żydowskiej. Pamiętam przyjęcie u niemieckiego oficera, który był zarządcą miasta, i jego szyderczy uśmiech, gdy nam powiedział: „To bardzo interesujące, że ani jednego Żyda nie ma w mieście. Będziemy musieli założyć gminę żydowską składającą się wyłącznie z kobiet. To się spodoba w Berlinie".

Jakiś czas po tej wizycie dowiedziałam się, że mój mąż jest we Lwowie po rosyjskiej stronie i prosi, żebym się do niego przyłączyła, to znaczy, że muszę przejść przez Bug. W mieście panował względny spokój. Żydowskie sklepy zaczęły się otwierać. Tata wrócił do domu, był bardzo osłabiony, moja siostra Fela i służąca bardzo troskliwie się nim opiekowały. Pomyślałam, że znów nie jestem potrzebna rodzinie i mojemu miastu. Pewnej nocy w listopadzie 1939 przeszłam granicę przez Bug i przyłączyłam się do męża i braci, którzy byli we Lwowie.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA MICHAŁA ZELLNERA

Protokół przesłuchania świadka Michała Zellnera w sprawie działalności żandarmów Wagnera i Krewera oraz burmistrza niemieckiego Rossiga. IPN, sygn. GK 164/ 4658.

Dnia 12 marca 1946 w Wieliczce Sąd Grodzki w osobie sędziego dr. M. Rosponda przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko: Michał Zellner
Imiona rodziców: Lazar i Hadasa
Miejsce zamieszkania: Wieliczka
Zajęcie: urzędnik prywatny
[...]

Z czasów okupacji niemieckiej znany mi był na terenie miasta Wieliczki wachmistrz żandarmerii niemieckiej w Wieliczce Wilhelm Wagner[446], liczący lat około czterdziestu, wzrostu średniego, ciemny blondyn czesany na jeża, średniej tuszy, bez zarostu na twarzy, bez znaków szczególnych. W stosunku do ludności żydowskiej okazał się sadystą i sam

[446] Wilhelm Wagner (1908–1946) – zbrodniarz hitlerowski, członek załogi obozu koncentracyjnego Dachau i Hauptscharführer.

osobiście zastrzelił przed ewakuacją, w czasie ewakuacji i po ewakuacji łącznie paręset Żydów, strzelał do ofiar z bliska z rewolweru.

Nadto był również na posterunku żandarmerii niemieckiej Krewer. Pochodził z Sarbrecken (Zagłębie Saary). Wilhelm Wagner pochodził z Sudetów z Czechosłowacji. Żandarm Krewer był tuszy silnej, średniego wzrostu, brunet golony, bez znaków szczególnych. Krewer nie umiał po polsku, natomiast Wagner mówił po czesku, a nawet i po polsku zaczynał mówić. Żandarm Krewer również był sadystą w stosunku do ludności żydowskiej i ma na sumieniu kilkaset ofiar. Zabijał swoje ofiary z rewolweru. Morderstw tych dokonywał w latach 1941 i 1942.

Stwierdzam, iż w Wieliczce pełnił funkcję komisarza miasta Niemiec Rossig pochodzący z Drezna, przed wojną z zawodu nauczyciel, w wieku około czterdziestu kilku lat, żonaty, mający jedno dziecko ułomne, wzrostu średniego, blondyn, twarz golona, zewnętrznie zdradzający nerwowość, szczupły, bez szczególnych dalszych znaków, oficer SA, kierownik partii politycznej NSDAP[447] na okręg Wieliczki – w czasie swego urzędowania wykorzystywał cieleśnie młode Żydówki, przyrzekając im, że będzie starał się je ochronić przed wywiezieniem, następnie ograbił ludność żydowską ze złota, biżuterii, materiałów, mebli, biblioteki, rzeczy milionowej wartości, przyrzekając stale Żydom, że im się nic nie stanie, że się utrzymają przy życiu i że mogą żyć w Wieliczce bezpiecznie i nawet polecił założyć warsztaty krawieckie, mechaniczne i papiernicze, które pracowały, zatrudniając paręset ludzi i następnie, podczas ewakuacji ludności żydowskiej kpił, że się ich wywozi na *Himmelkomando*. Wiadomo mi, że ludność polską bił po twarzy w czasie swojego urzędowania, kopał, wyrzucał z biura. Komisarz Rossig miał przed wojną posiadłość ziemską koło Drezna i jak się dowiedziałem, w ostatnich czasach przebywa w Szwajcarii.

---

[447] S. Gawęda (*Wieliczka pod okupacją niemiecką*, *op. cit.*, s. 253) podaje, że miał stopień Standartenführera.

ZEZNANIE DOTYCZĄCE ZAGARNIĘCIA MIENIA ŻYDOWSKIEGO PRZEZ NIEMCA NAZWISKIEM HAUPTMAN BRANDT

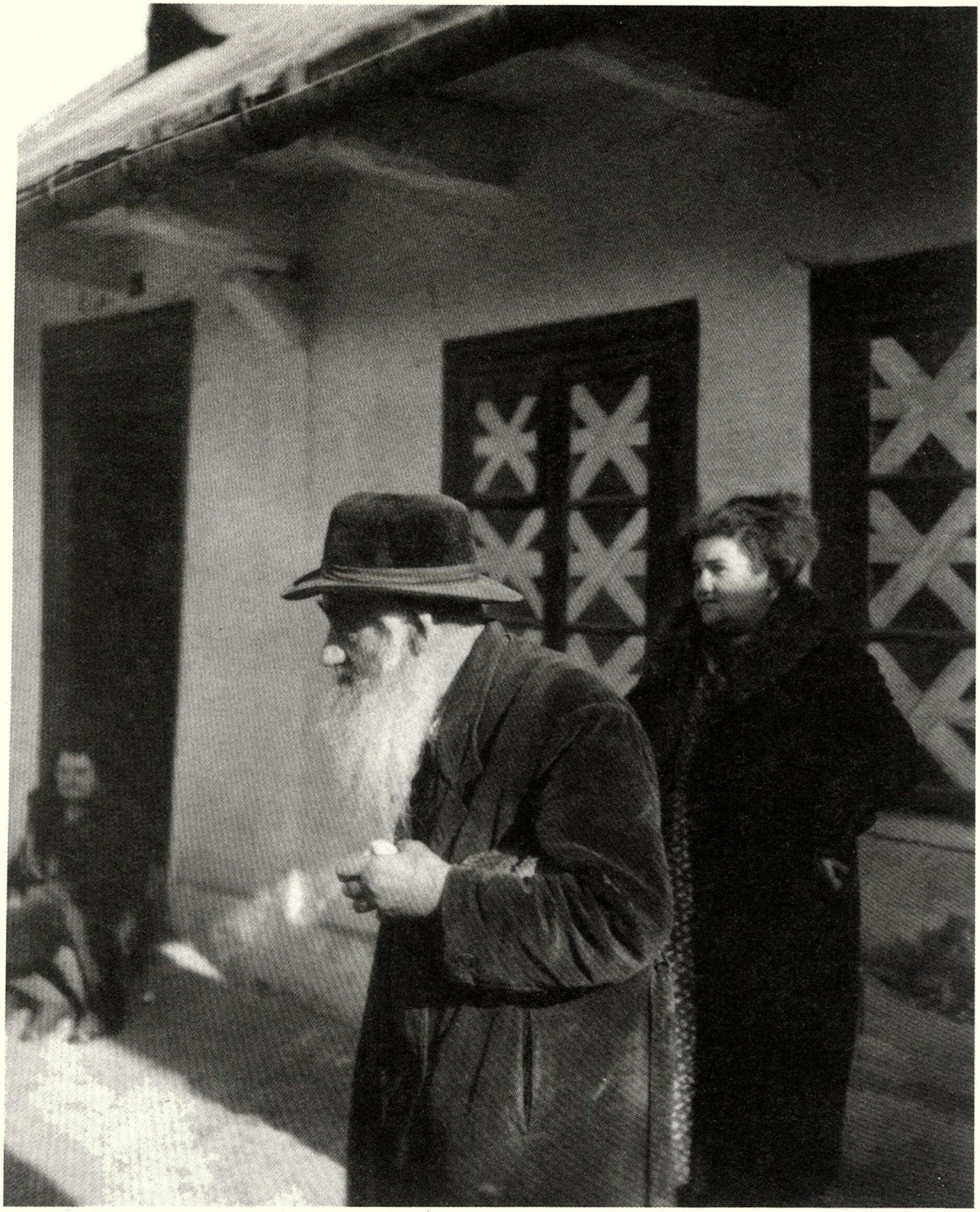
Michał Zellner

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/2393. Protokół zeznania złożonego przed Wojewódzką Żydowską Komisją Historyczną Krakowie, dnia 7 lutego 1947 roku. Odbierający zeznanie: mgr Maria Holender. Zeznający: Michał Zellner, ur. 6 kwietnia 1896 roku w Limanowej, zamieszkały przed wojną i obecnie: Wieliczka. Dopisek na karcie tytułowej protokołu (dot. HB): „Rysopis: wysoki wzrost, tęgi, ciemny blondyn (dokładnie nie pamięta)".

Hauptman Brandt przyjechał w zimowych miesiącach 1941 roku do Wieliczki z kilkoma esesmanami po meble żydowskie. Był także u mnie w moim prywatnym mieszkaniu. Zajechał autem ciężarowym, zatrzymał się przed moim domem, wszedł do mieszkania i wybrał sobie najlepsze meble z czterech pokoi. W jednej rupieciarni było łóżko, które siostra moja, mgr Pola Rothblum, uratowała z jej mieszkania w Krakowie. Prosiłem go przynajmniej, żeby łóżko to zostawił, bo to jest cały dobytek mojej siostry. Wówczas sięgnął po rewolwer ze słowami: „Wenn du nicht verschwindelt, arschief ich dich wie einen Hund"[448]. Po zabraniu mebli, które Żydzi musieli ładować na ciężarówkę, Brandt rozkazał jednemu esesmanowi sporządzenie spisu zebranych sprzętów i dywanów. Po przeczytaniu tego spisu w mojej obecności, zwróciłem uwagę, że nie wszystko zostało wyszczególnione. Na to esesman odpowiedział: „Soi nicht redsalig sondem unterschreiben sufort"[449]. Mimo że się upomniałem o poświadczenie zabranych mebli, nie otrzymałem tegoż.

[448] Właśc. *Wenn du nich verschwinde, erschieb ich dich wie einen Hund* (niem. „Jeśli nie znikniesz, zastrzelę cię jak psa").

[449] Właśc. *Sei nicht redselig, sondem unterschreibe sofort* (niem. „Nie gadaj, tylko podpisz").



Żyd wielicki, około 1939–1941 roku

O ZGROZIE I OKROPNOŚCIACH, KTÓRYCH DOPUŚCILI SIĘ NAZIŚCI

Syda Srebro

PIERWSZE OFIARY W WIELICZCE

Przypominam sobie pierwsze dni, gdy naziści opanowali nasze miasteczko. Pierwszy straszny i wstrząsający czyn to mord na trzydziestu dwóch świętych naszego miasta. Stało się to 12 września 1939, dwa dni przed Nowym Rokiem 5700. W tym dniu naziści wyciągnęli mężczyzn z domów na środek Górnego Rynku. Najpierw znęcali się nad nimi: obcięli im brody, kazali obwinąć się tałesami, klękać, modlić się, śpiewać i tańczyć, a podczas tego wszystkiego chłostali ich do krwi – by usłyszeć krzyki męczenników i dla przyjemności polskich widzów tego przedstawienia.

Stałam wtedy ukryta w mieszkaniu za oknem, zawstydzona, drżąca ze strachu i bezsilna, nie mogłam pomóc. Do dziś, wiele lat po tym okropnym widowisku, słyszę jęki i westchnienia tych nieszczęśliwych. W końcu „przedstawienie" się skończyło. Widziałam, jak naziści ładowali tych bitych, rannych i poniżonych na ciężarówkę i odwieźli ich do przedmieścia Taszyce. Po krótkim czasie było słychać strzały. Przyszli Polacy i zawiadomili, że trzeba zebrać zabitych i ich pochować. Wyszły kobiety w żałobie, załadowały swoich drogich na wóz zaprzęgnięty w konia i pochowały ich we wspólnym grobie na cmentarzu w Klaśnie. Tak

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 117–120. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.

nazistowski zwierz zaczął swoje panowanie w naszym miasteczku.

ŻYCIE ŻYDÓW WIELICKICH W LATACH 1939–1942

Od września 1939 do sierpnia 1942 – to znaczy całe trzy lata – Wieliczka była pod władzą nazistów. Z początku można było jeszcze jakoś żyć, żydowskie sklepy były otwarte, żydowskie dzieci chodziły do szkoły itd. Niemiecka okupacja wyrażała się przeważnie w żądaniach, skierowanych do gminy żydowskiej, dostarczania robotników w pożądanej liczbie. Często Niemcy łapali na ulicy mężczyzn i posyłali ich do ciężkiej pracy, a kobiety do zamiatania ulic. Ci pracownicy bardzo cierpieli: codziennie wracali bici i poniżeni, złamani na ciele i duchu.

Życie było trudne, ale jakoś można było wytrzymać. Jednak pomału pojawiały się nowe ograniczenia, jedno za drugim, czyniąc życie Żydów nie do zniesienia.

Na przykład rozkaz oddania władzom wszystkich wartościowych przedmiotów, zamknięcie wszystkich żydowskich sklepów, zabronienie żydowskim dzieciom uczęszczania do szkół i surowy nakaz noszenia opasek rozpoznawczych. Niewypełnienie rozkazu miało być karane śmiercią.

Z dnia na dzień było coraz ciężej, a najtrudniejszy był brak źródeł dochodu. Z narażeniem życia Żydzi szukali możliwości utrzymania. Moi rodzice postanowili piec chleb i go sprzedawać, a było to surowo wzbronione. Mąkę kupowali u Polaków za przedmioty i kosztowności, które, ryzykując życie, zdołali ukryć. Niebezpieczną częścią pracy było przenoszenie ciasta z domu do piekarni i chleba z piekarni do domu. Robiły to zazwyczaj dzieci. Pamiętam, że raz esesmani złapali mnie z ciastem i zaprowadzili na policję. Starałam się iść takimi drogami, żeby widzieli mnie Żydzi i powiedzieli rodzicom. Rodzice się dowiedzieli, poszli do komitetu gminy żydowskiej, zapłacili dużą sumę i zwolniono mnie w ten sam wieczór. Rodzice dalej piekli, a ja dalej sprzedawałam, ponieważ usta chciały jeść, a nie ma mocniejszej siły niż głód. Rodzina Gerstnerów, która mieszkała w jednym z mieszkań w naszym domu, też zajmowała się pieczeniem chleba, tak że z punktu widzenia nazistów cały nasz dom był „trefny". Oprócz dwóch piekarni w naszym domu istniały też dwie nielegalne szkoły. Jedną z nich prowadziła F. Küchler i była jej oddana całym sercem. Podzieliła dzieci według wieku i uczyła każdą grupę osobno. Ja natomiast prowadziłam coś podobnego do warsztatu krawieckiego. W tej pracy było niemało strachu. Raz pojawiła się u mnie Polka z niemieckim policjantem i przyniosła materiał na suknię. Mocno przestraszona zgodziłam się przyjąć tę pracę. Ona zapłaciła dobrą cenę, a ja śpieszyłam się, żeby prędko ukończyć szycie. Każda jej wizyta była znakiem alarmowym dla wszystkich mieszkańców domu, żeby się ukryć, schować wszystkie „zabronione" towary, gdyż ich odkrycie mogło pociągnąć za sobą karę śmierci dla wszystkich obecnych. W naszym domu był też ręczny młyn do mąki. Do tego wszystkiego mieliśmy na naszym podwórzu niebezpiecznego polskiego dozorcę, który był gotów wydać nas w każdej chwili. Musieliśmy go bardzo dobrze utrzymywać, żeby mu zatkać usta.

JAK OCALAŁAM Z HOLOKAUSTU

Całkowita zagłada wielickich Żydów została przez nazistów bardzo dokładnie zaplanowana. Założyli

w mieście warsztaty, mające zmylić ludność żydowską. Wśród „szczęśliwców", którzy zostali przyjęci do pracy, była też moja siostra Estera z mężem. W tym czasie Niemcy zebrali wszystkich Żydów z okolicy i skoncentrowali ich w Wieliczce i na Klaśnie. Tak zebrali około dwunastu tysięcy Żydów[450], aby ich zgładzić.

Moi rodzice mieli dobrego przyjaciela, polskiego inżyniera w kopalni soli w Wieliczce. On i jego rodzina zostali Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Wówczas celem ich życia było uratowanie możliwie największej liczby Żydów, oni też zaadoptowali córkę mojej siostry Estery; niestety – ani Estera, ani jej córka nie przeżyły Holokaustu. Pewnego dnia naziści zawiadomili pracowników warsztatów, że zostaną przeniesieni do większych warsztatów w Bochni i mogą zabrać z sobą swoje rodziny. Moja siostra im wierzyła, zabrała ze sobą córeczkę i poszły razem nie tylko do Bochni, lecz i na zagładę.

W dniu całkowitego wysiedlenia sprawiedliwy inżynier schował mnie, rodziców i jeszcze innych Żydów w starym magazynie soli. Po trzech dniach skończyła się cierpliwość tych, którzy byli z nami, i oni wyszli ze schowka. Po krótkim czasie usłyszeliśmy strzały i bardzo się przestraszyliśmy. Kilka dni później inżynier powiedział nam, że miasto się uspokoiło i że esesmani opuścili Wieliczkę. Zbliżała się najtrudniejsza chwila – chwila pożegnania. Postanowiliśmy wyjść ze schowka i dostać się do krakowskiego getta. Rodzice przekonali mnie, żebym poszła sama, a oni pójdą osobno. W owych czasach Polacy szli pieszo do Krakowa, a ja, z moim aryjskim wyglądem (byłam blondynką, miałam jasną twarz i dobrą polszczyznę), mogłam się przyłączyć do wszystkich. Rodzice natomiast szli przez wioski i nieznajome ścieżki. Oczywiście zdjęłam niebiesko-białą opaskę i szłam z jeszcze jedną parą drogą, na której było dużo ludzi i nikt na mnie nie zwracał uwagi. Niemniej jednak waliło mi serce, ponieważ na drodze było niemało Niemców i dlatego szliśmy, prawie biegnąc.

W końcu dostaliśmy się do wejścia do getta. Było bardzo trudno wejść, ale pomimo trudności się udało. Życie tam było bardzo ciężkie: przymusowe prace, głód, złe warunki mieszkalne, a przede wszystkim „akcje" – częściowa zagłada Żydów krakowskiego getta – które się powtarzały. Każda z nich znaczyła śmierć wielu tysięcy i getto się zmniejszało. W jednej z tych „akcji" straciłam tatę błogosławionej pamięci. Z mamą błogosławionej pamięci pracowałam w różnych miejscach przy ciężkich przymusowych pracach. Po wielu obozach dostałyśmy się razem do Oświęcimia, a tam nas rozdzielił przeklęty Mengele, i to na zawsze.

[450] Zob. s. 249, 308, 316, 324, 336.



Zabudowania Zamku Żupnego w okresie wojennym. Napis na ścianie głosi: „Praca daje chleb, praca daje radość"

ŚWIADECTWO HISTORYCZNE

Jakub Tiles

Urodziłem się 15 listopada 1899 roku w Wieliczce. W tym miasteczku żyło przed II wojną światową około tysiąca siedmiuset Żydów[451]. Wraz z wybuchem wojny Niemcy zaczęli wypędzać licznych Żydów z okolicy i gromadzić ich w naszej miejscowości. Niebawem populacja żydowska zaczęła gwałtownie wzrastać, aby na koniec osiągnąć liczbę dwunastu tysięcy osób[452]. Na początku wojny mieszkałem w Wieliczce wraz z żoną, dwiema córkami i synem.

28 sierpnia 1939 roku zostałem powołany do służby w polskim wojsku i miałem obowiązek stawienia się w ciągu dwóch godzin w 20. Pułku Piechoty. Tak też uczyniłem. Zaraz po zaciągu wraz z wojskiem udałem się do Sandomierza. 18 września 1939 roku, gdy stacjonowaliśmy w tym mieście, zostaliśmy zaatakowani przez wojska nazistowskie i ponieśliśmy porażkę. Ze strachu przed dostaniem się do niemieckiej niewoli zdjąłem

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 98–102. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

[451] Według S. Gawędy w momencie wybuchu II wojny światowej liczba Żydów w Wieliczce wynosiła cztery tysiące (co stanowiło połowę ludności miasta). Zob. S. Gawęda, *Wieliczka pod okupacją niemiecką*, *op. cit.*, s. 257.

[452] Według innych źródeł około ośmiu, jedenastu lub trzynastu tysięcy. Zob. s. 249, 308, 316, 324, 336.

mundur, który zamieniłem na ubranie cywilne, i tak udało mi się przemknąć i powrócić pieszo do mojej rodziny. Nieraz natknąłem się na straże niemieckie, które sprawdzały, czy jestem Żydem, i groziły mi śmiercią. Raz nawet, w czasie takiej kontroli, byłem pewien, że nadszedł mój kres. Wtedy jednak z daleka zauważyłem grupę żydowskich uchodźców, ubranych w tradycyjne stroje. Zbliżyli się i wielka chwała im za to, gdyż uratowali mnie. Dołączyłem do nich i kontynuowałem moją drogę do domu.

To był dzień przed świętem Rosz Haszana 5700 roku kalendarza żydowskiego. Znajdowałem się około trzech kilometrów od mojego domu. Przypadkowo spotkałem znajomego Polaka, który przestrzegł mnie, abym nie wchodził do Wieliczki, gdyż naziści rozstrzeliwują tam Żydów. Posłuchałem jego słów i skierowałem się do Krakowa. Tam przez dwa dni ukrywałem się w polskim domu. Trzeciego dnia doniesiono na mnie i znalazłem się w rękach gestapo. Straszliwie mnie pobili i przekazali w ręce polskiej policji. Po długim przesłuchaniu wypuszczono mnie i znów byłem w drodze do domu. Dotarłem tam w wieczór święta Jom Kippur, lecz w domu nie było żywego ducha. Wszyscy ze strachu pouciekali. Wrócili dopiero po święcie Sukkot i tymczasowo rodzina była ponownie razem. Ten stan rzeczy trwał do grudnia 1939 roku. Pod koniec tego miesiąca ukazało się rozporządzenie nakazujące Żydom nosić hańbiącą naszywkę w postaci białej taśmy o szerokości dziesięciu centymetrów z niebieską gwiazdą Dawida[453]. Osobę, która naruszyłaby to rozporządzenie, czekała jedna kara – kara śmierci.

Raz po raz wydawano nowe zarządzenia. 1 stycznia 1940 roku dowódca niemieckiej komendantury mianował Bronisławę Friedman[454] przewodniczącą Rady Żydowskiej i pozostawił jej wolną rękę w wyborze pozostałych członków. Rada spełniała funkcje pośredniczące pomiędzy Żydami i władzami niemieckimi. Jej zadaniem było wynajdywanie dla władz kontyngentów robotników do różnych robót: naprawiania dróg, budowy baraków, pracy w wodociągach, kanalizacji itp. W czasie katorżniczej pracy naziści bili i torturowali Żydów, co sprawiało, że każdego wieczoru coraz więcej spośród nich powracało poranionych i połamanych. Mnie szczęście sprzyjało i zdołałem ukryć się przez kilka dni w jednej z wiosek u polskiego znajomego. Jednak szóstego dnia dowiedziałem się, że na moje miejsce zaciągnięto do prac przy brukowaniu dróg moją żonę. Nie miałem innego wyboru, jak tylko stawić się do pracy. Zostałem ukarany dwudziestoma pięcioma batami, moja żona zaś dziesięcioma, po czym została zwolniona. Na tym się jednak nie skończyło, gdyż zatrudnili mnie do najcięższych robót pod specjalnym nadzorem. Tak przepracowałem trzy miesiące. 25 listopada 1940 roku naziści zatrzymali mnie wraz z grupą dwustu osób i przetransportowali do Pustkowa[455] w pobliżu Dębicy do najcięższej pracy przy budowie koszar. Po dziesięciu dniach katorżniczej pracy w zamian za znaczną kwotę otrzymałem pomoc od miejscowej Rady Żydowskiej. Udało mi się potajemnie przemknąć i zbiec. Ryzykowałem życie, jadąc pociągiem bez odpowiedniego zezwolenia, ale cały i zdrowy powróciłem do domu. Teraz jednak stanąłem wobec trudnego dylematu, gdyż pozosta-

[453] Zob. przyp. 433.

[454] Matka Alfredy Friedman-Künstler, której wspomnienia zamieszczono na s. 275.

[455] Pustków – niemiecki obóz pracy przymusowej na Podkarpaciu.


Der Jude (Żyd)
Name:
Nazwisko: Schreiber
Vorname:
Imię: Izaak
Geburtstag, Monat, Jahr:
Data urodzenia: 30.12.1916
Wohnhaft in:
Zamieszkały: Wieliczka
Kreis:
Powiat: Krakau
ist zur Zwangsarbeit
do robót przymusowych
Siegel des Bürgermeisters
Arbeitsamt Krakau
Nebenstelle Wieliczka
erfasst am:
przeznaczony dnia: 5.1.1942
Amtl. Kontrollvermerke:
Urzędowe uwagi kontrolne:
G 07686

Skierowanie do robót przymusowych dla Izaaka Schreibera, 5 stycznia 1942 roku

jąc w domu, stwarzałem wielkie zagrożenie dla mojej rodziny. Tak w poczuciu stałego zagrożenia życia tułałem się przez pięć miesięcy.

Wyraźna zmiana na lepsze nastąpiła w sierpniu 1941 roku. Z inicjatywy Rady Żydowskiej w Wieliczce komendant niemiecki, esesman Resig[456], zgodził się na wybudowanie szwalni, stolarni, ślusarni i innych zakładów rzemieślniczych. Przy tych pracach zatrudniono około tysiąca pięciuset mężczyzn i kobiet. Zostałem mianowany na stanowisko kierownika technicznego wszystkich tych warsztatów. Dodatkowo prowadziłem sekcję papierniczą. Rada Żydowska płaciła nam złotówkę za godzinę roboczą. Pieniądze pochodziły z podatku ściąganego od wszystkich Żydów w mieście. Rada miała w zwyczaju przekazywanie stosownego haraczu kierownikowi Urzędu Pracy, Pochlutce, oraz komendantowi miasta, Resigowi, aby nie dręczyli Żydów. W Wieliczce nie było żydowskiego getta. Ruch w miasteczku był wolny i można nawet było znaleźć takich ludzi, którzy zajmowali się małym handlem. Jedynym ograniczeniem był sztywny zakaz opuszczania domu w czwartek, dzień targowy, do godziny jedenastej przed południem. Ten znośny stan utrzymywał się aż do pamiętnego gorzkiego dnia 28 sierpnia 1942 roku[457].

W tym dniu nadszedł straszny koniec dla wszystkich Żydów z Wieliczki. Z rozkazu gestapo wydano rozporządzenie o uczynieniu miasta wolnym od Żydów – *Judenfrei*[458]. W tym dniu, o godzinie siódmej rano, rozkazano wszystkim, wraz z kobietami i dziećmi, aby stawili się w określonym miejscu poza miastem, przy tartaku. Tego dnia wszyscy, dwanaście tysięcy osób[459], przybyli o określonej godzinie. Początkowo ustawiono ich w kolumnach, po tysiąc osób w każdej[460]. O tej samej godzinie przybyła specjalna grupa niemiecka i od razu przystąpiła do dzieła, dzieła zbiorowego mordu. Najpierw oddzielono wszystkich starców i słabowitych, około dwóch tysięcy osób[461] (pośród nich byli także moi rodzice). Natychmiast załadowano ich na ciężarówki i wywie-

456 Właśc. Rossig.

457 W relacjach i wspomnieniach pojawiają się dwie daty dzienne wysiedlenia: 27 lub 28 sierpnia. Historycy jednak skłaniają się ku pierwszej.

458 Termin używany zamiennie z *Judenrein*.

459 W relacjach i wspomnieniach pojawiają się różne liczby zgromadzonych osób: około siedmiu, ośmiu lub dziesięciu tysięcy, zob. s. 249, 324, 336.

460 Właśc. po sto osób w każdej kolumnie.

461 Inne źródła mówią o siedmiuset, tysiącu lub tysiącu dwustu osobach, zob. s. 251, 310, 324, 336.

ziono do puszczy w Niepołomicach. Tam wykopano uprzednio wielki rów, po czym rozstrzelano wszystkich, co do jednego. Nieszczęśnicy wpadali prosto do wielkiej mogiły. Nad tym monstrualnym grobem braci stoi dzisiaj nagrobek poświęcony ich pamięci.

Spośród pozostałych dziesięciu tysięcy oddzielono sześćset[462] osób, które uznano za zdrowe, silne i zdatne do pracy (również ja znalazłem się między nimi, może dlatego, że udało mi się przefarbować włosy na czarno...). Musieli oni zostać i przyglądać się okrucieństwu i katuszom zadawanym tysiącom pozostałych. Tych nieszczęśników załadowano na wagony, po sto pięćdziesiąt osób do każdego, i ściśnięto jak ryby w konserwie. Panował straszny upał, koszmarne pragnienie i duchota nie do zniesienia. Zakazane było podanie komukolwiek choćby kropli wody. To jednak nie wystarczyło: naziści najpierw rozsypali w wagonach wapno, aby przyśpieszyć spalanie się ofiar w drodze. Wraz z zamknięciem wagonów na uszczelnione zasuwane drzwi prawie całkowicie ustał dopływ świeżego powietrza. Upał wzmagał się, co zwiększało pragnienie i odwodnienie. Ofiary leżały poukładane w sterty, jedna na drugiej, bez możliwości ruchu i zaczerpnięcia oddechu. W miejscu, gdzie stały lub leżały, załatwiały swoje potrzeby fizjologiczne; panował duszący smród. Wszystko to przyśpieszało ich koniec. W tak niegodziwy, morderczy sposób hitlerowcy przewieźli ofiary do obozu śmierci w Bełżcu. Także moje dwie córki znalazły się w takich wagonach. Jeszcze przed przybyciem na miejsce swojego przeznaczenia wielu, bardzo wielu, zmarło.

Nas, sześciuset wybranych, odesłano do miasta i umieszczono w barakach. Nie były to dni odpoczynku, lecz trwogi przed tym, co miało nastąpić. Niemieccy mordercy we współpracy z Polakami rzucili się na miasto w poszukiwaniu ukrywających się Żydów. Koszmar spotykał tych, których odnaleziono; rozstrzeliwano ich na miejscu. Długo docierały do nas odgłosy strzałów i doskonale wiedzieliśmy, co one oznaczają. Każdego dnia wyprowadzali nas z baraków. Czterysta osób przesłano do Stalowej Woli, do pracy w fabryce; dwieście pozostałych do Płaszowa, do pracy w fabryce kabli.

Ja sam uciekłem z obozu w Płaszowie do miejscowości Bogucice i ukrywałem się tam przez pięć dni u pewnego znajomego Polaka. Szóstego dnia do mojej kryjówki podjechał samochód z czterema Niemcami. Po wejściu na dach szybko mnie znaleźli i zrzucili na dół na ulicę. Ciężko się pokaleczyłem. Naziści postawili mnie pod ścianą i zapytali, czy mają mnie zastrzelić. Odpowiedziałem im: „Wiedzcie, że jestem znakomitym mechanikiem samochodowym i bardzo wam się przydam". Wsadzili mnie do swojego samochodu i przekazali policji, aby zdecydowała o moim losie. Na koniec odesłali mnie z powrotem do pracy w Płaszowie. 15 września 1942 roku zacząłem pracę, naprawdę ciężką. Kierownik uczynił mnie odpowiedzialnym za wszystko, co dzieje się w fabryce. Przykładowo, gdyby wykryto, że jakiś robotnik pali papierosa, ja miałem przypłacić to życiem. W tym czasie mieszkaliśmy w getcie Kraków-Podgórze. Było tam czterdzieści tysięcy Żydów. Codziennie wychodziliśmy do pracy w Płaszowie. W porównaniu z niewolniczą pracą żywność dostarczana przez Radę Żydowską była bardzo nędzna. Cierpieliśmy straszny głód, zimno i brud. Ten przerażający stan trwał do marca 1943 roku. Wówczas zapadła decyzja o całkowitej likwidacji Żydów

[462] W relacjach i wspomnieniach pojawiają się różne liczby wyselekcjonowanych osób: sześćset lub siedemset, zob. s. 249, 324.

z krakowskiego getta. Starców, ludzi słabych i chorych zgromadzono na Placu Zgody i tam wszystkich rozstrzelano. Pozostałe osoby przetransportowano do Podgórza w pobliże nowego cmentarza, do koszar, które właśnie zbudowano. W tym czasie praca przymusowa w Płaszowie stała się całkowicie nie do wytrzymania. Komendant obozu, Gett[463], codziennie nadzorował pracę w obozie w towarzystwie swojego psa łowczego. Miał w zwyczaju przechadzać się między rzędami robotników i szczuć na nich psa wedle swojego kaprysu. Z wielkim okrucieństwem pies rzucał się na swoją zdobycz, rwąc kawałki żywego mięsa z ciał torturowanych. Zazwyczaj komendant kończył atak psa, mordując ofiarę strzałem z pistoletu. Takie były warunki, w których przyszło nam żyć i pracować do 10 października 1944 roku. Żydów ubywało z dnia na dzień. Część umierała z głodu, zimna, chorób zakaźnych, część z powodu ran. Gdy zaś znaleźli się Żydzi, którzy pomimo tych nieludzkich warunków mieli moc i siłę, aby przetrwać, wtedy przychodził komendant-zbrodniarz i własnoręcznie kończył ich żywot.

Te masowe mordy trwały do czasu, aż 19 października 1944 roku rozeszła się plotka o zbliżaniu się Rosjan do Krakowa. Wtedy przewieziono nas zapieczętowanymi wagonami do niemieckiego miasta Schachwitz[464], w pobliżu Drezna, gdzie kazano nam pracować w fabryce czołgów. Ta praca była najstraszniejszą torturą. Dzień pracy trwał dwanaście godzin. Dostaliśmy najmniejsze porcje żywieniowe: trzysta pięćdziesiąt gramów chleba dziennie i trochę zupy z trawy. Byliśmy skrajnie wyczerpani, a na dodatek nadzy i bosi. Nie mieliśmy bielizny, odzieży ani butów. Z tysiąca ludzi, którzy przybyli do Schachwitz 10 października 1944 roku, po około pół roku, 27 kwietnia 1945, przy życiu pozostało tylko dwustu. Tych dwieście osób załadowano na ciężarówki i zawieziono do obozu zagłady w Terezinie. Do tego centrum likwidacji przywożono wszystkich niegdyś zdrowych robotników, którzy pracowali w licznych fabrykach lub w budownictwie, po tym, jak przez lata odebrano im siły katorżniczą pracą.

W Terezinie już nie pracowaliśmy. Upchali nas w barakach do granic możliwości. Znajdowało się tam około trzydziestu pięciu tysięcy mężczyzn i kobiet w stanie krańcowego wyczerpania; w stanie kompletnej apatii oczekiwali na śmierć jak na zbawiciela. Ten stan zawieszenia między życiem i śmiercią trwał do 8 maja 1945 roku; tego dnia nadeszło wyzwolenie. Ostatniego wieczoru (7 maja 1945) przewieziono mnie do pomieszczenia, gdzie składowano zwłoki; uznano mnie za trupa. Zrządzeniem losu pozostałem jednak przy życiu. W dzień po wyzwoleniu, gdy wielu ludzi opuściło swoje kryjówki, moja żona, o której myślałem jak o zmarłej, spotkała znajomego, który powiedział jej, że też tam jestem. Natychmiast zaczęła mnie gwałtownie poszukiwać i w końcu znalazła mnie konającego pośród martwych. Resztką sił wywlekła mnie na zewnątrz, zaczęła mnie myć, czyścić i czynić wszystko, co w jej mocy, aby przywrócić mnie do życia. Położono mnie na łóżku i otrzymałem opiekę medyczną. 6 sierpnia 1945 przewieziono mnie do Krakowa, gdzie przez kilka miesięcy przebywałem w szpitalu. W końcu powróciły mi siły i znów mogłem stać na własnych nogach. Tak mnie, mojej żonie i mojemu synowi udało się uniknąć śmierci.

[463] Właśc. Amon Leopold Göth (ur. 11 grudnia 1908 roku w Wiedniu, zm. 13 września 1946 roku w Krakowie) – jeden z największych zbrodniarzy wojennych, komendant obozu koncentracyjnego w Płaszowie oraz likwidator gett w Tarnowie i Krakowie.

[464] Właśc. Zschachwitz.



Alfreda Friedman z matką, Bronisławą Friedman, przed domem przy ul. Kilińskiego 5, 1945 rok

PAMIĘTAM TEN PLAC

Alfreda Friedman-Künstler

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu telefonicznego przeprowadzonego z Alfredą Friedman-Künstler w marcu i kwietniu 2012 roku przez Annę Krzeczkowską.

Po wybuchu wojny wszyscy zaczęli uciekać z miasta, ale wkrótce powrócili. Mój brat także próbował uciec, dostał się do rodziny, do Lwowa, ale wrócił tuż przed wkroczeniem Rosjan.

Niemcy we wrześniu 1939 roku zebrali Żydów na wielickim Rynku i wszystkich później rozstrzelali. Któryś z chłopaków z rodziny Waldmanów schował się w piecu i nie zabili go tego dnia.

Następne dwa lata upłynęły bardzo spokojnie. Mieszkaliśmy w Wieliczce aż do wysiedlenia, cała rodzina. Moja matka pracowała w Judenracie. Była bardzo odważną kobietą, starała się o przepustki dla ludzi, żeby mogli pojechać do Krakowa albo dostać pracę. Zajmowała się wszystkimi problemami żydowskimi w Wieliczce. Gdy zaczęły się pogłoski o wysiedleniu, wysłała mojego brata Eliasza do obozu w Płaszowie – nie chciała, aby był w mieście podczas wysiedlenia. Wiedziała, że jak będzie w obozie, będzie pracował, to ma szansę. Pracował w „kablu"[465]. Potem przesyłali go z jednego obozu do drugiego, aż doczekał wyzwolenia w lagrze Theresienstadt. Moja siostra w czasie wysiedlenia była ukryta w drukarni Jantona w Wieliczce.

[465] Fabryka kabli Kabelwerk Krakau w Płaszowie, przed wojną Krakowska Fabryka Kabli.

Pamiętam ten plac[466], staliśmy tam wszyscy. Panowała cisza. Umieraliśmy ze strachu. Gdy tylko ktoś się ruszył, to był skończony. Dentysta Weinberger przyszedł pijany, upił się ze strachu, i go zastrzelili. Jeszcze dzisiaj widzę, jak się zatacza, a gestapowiec od razu wyciąga pistolet i strzela. Każdy miał nadzieję, że może zabiorą do pracy, do obozu, ale zasadniczo wiedzieliśmy, co się dzieje. Przeczuwaliśmy, że zagłada będzie kompletna.

Starszych, tak jak mojego dziadka, hitlerowcy zabrali zaraz na rozstrzelanie. Widziałam, jak go prowadzili. My jeszcze staliśmy w rzędzie i czekaliśmy. Babcię, dziadka i resztę rodziny wyprowadzili z placu i rozstrzelali w puszczy w Niepołomicach.

Wyciągnięto nas, gdy już staliśmy odliczeni. Wydaje mi się, że Herman Schnur, mój wujek, przywiózł taką przepustkę na kilkanaście osób. Mama miała zaznaczone na tej przepustce, że może zabrać troje dzieci, ale ponieważ Eliasz był już w obozie, to ona wzięła swoją bratanicę, Alę Lichtównę, która stała obok nas, i ją wyprowadziła. Zaprowadzono nas do budynku gminy żydowskiej. Tam siedzieliśmy może kilka godzin, zupełnie nie wiedząc, co się z nami stanie. Moja mama w tym czasie została aresztowana. Niemiecki burmistrz Wieliczki powiedział jej: „Słuchaj, ty zostaniesz w więzieniu, a potem ja ciebie osobiście zastrzelę i ci przyniosę różę na grób". Taki był serdeczny dla niej. Potem jednak wypuszczono ją i przyprowadzono do nas. Cała nasza grupa została odwieziona do krakowskiego getta. Ala przeżyła wojnę dzięki temu, że moja mama wyciągnęła ją w ostatniej chwili.

Po wysiedleniu byliśmy wszyscy razem w getcie krakowskim, z mamą.

Uciekłam stamtąd, ponieważ Niemcy zabijali wszystkie dzieci. A miałam wtedy jedenaście lat. Był taki dzień, gdy zrobili czystkę, jednak moja mama zdołała mnie wysłać wcześniej do Warszawy. Nie można było wychodzić z getta, ale ja wyszłam. Pod bramą czekała na mnie córka znajomych, Polka – nie pamiętam, jak się nazywała. Uciekłam razem z nią. Potem pojechałam już sama pociągiem do Warszawy. I tam też już na mnie czekali. Moja mama przedostała się do Warszawy razem ze swoją siostrą i z wujkiem Schnurem. We troje mieszkali w całkiem innej dzielnicy, też na polskich papierach. Ja miałam dużo papierów i dużo nazwisk. Z początku miałam nazwisko francuskie, ponieważ mam bardzo żydowski wygląd. Nazywałam się Marie Poison.

Nie pamiętam dokładnie, jak długo siostra ukrywała się u Jantonów. Prosto stamtąd przyjechała do mnie, do Warszawy. Możliwe, że pomógł jej w tym wujek Herman Schnur, on był bardzo sprytny i umiał o siebie zadbać. Przekupić tego, załatwić tamto. Wujek Antek, jak go nazywaliśmy, był w kontakcie ze wszystkimi, wiedział, gdzie ja jestem i gdzie jest mama. Mama także ukrywała się w Warszawie ze swoją siostrą Balką. Pamiętam, że wujek od czasu do czasu przychodził mnie zobaczyć. Byłam schowana u rodziny poety, Stefana Flukowskiego, który został zabrany do obozu w Warszawie. Ale przyjęła mnie jego żona[467]. Udawała, że jestem jej kuzynką.

[466] Łąka bogucicka, gdzie 27 sierpnia 1942 roku nakazano zebrać się wszystkim Żydom przebywającym w Wieliczce.

[467] Maria Flukowska, która ukrywała w sumie dwunastu dorosłych Żydów i sześć dziewczynek; pośmiertnie została odznaczona medalem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

Przechowywała jeszcze dwoje żydowskich dzieci. Byliśmy tam we troje aż do powstania na Mokotowie[468].

Zostałam łączniczką. Gdy wybuchło powstanie, wszyscy walczyli, przynosili nam do piwnicy rannych. Nie było leków. Musiałam biegać między piwnicami okolicznych domów, po ogrodach, po leki, po opatrunki, przenosić wiadomości. Chłopcy chodzili po dachach. Tam, gdzie byłam, wszyscy byli zaangażowani w walkę z Niemcami, to było takie gniazdo. Każdy miał swoje zadania. Mokotów był sercem powstania. Gdy Warszawa została zrównana z ziemią, Niemcy powiedzieli, że więcej nie będą strzelać i że można wyjść z piwnic. Ludzie powoli zaczęli wychodzić, my z siostrą też wyszłyśmy z wiaderkiem po wodę. A oni jeszcze wystrzelili po raz ostatni i Lena została zabita na miejscu. Zostałam sama z tym wiaderkiem koło studni.

Po powstaniu wszystkich zabierali do obozu w Pruszkowie. Ja szłam z kolegą i koleżanką, którzy też byli w harcerstwie. Miałam wtedy jakieś trzynaście lat. Cała nasza grupa była w tym wieku. Wszyscy bez rodziców. W drodze do tego obozu pomyślałam, że jak się tam dostanę, to będzie mój koniec – cała reszta to były polskie dzieci. Nikt nie wiedział, że jestem Żydówką. Więc mówię do tego mojego przyjaciela: „Słuchaj, ja się urywam, nie idę do Pruszkowa. Chowam się w pierwszej bramie, gdzie mi się uda. Idziesz ze mną?". On powiedział, że nie, że woli pójść do Pruszkowa. Ale jedna z dziewczynek ze mną uciekła. We dwie schowałyśmy się w bramie dużego domu, szybko pobiegłyśmy na najwyższe piętro i przeczekałyśmy tam. Nikt nas nie szukał. O ludziach, którzy poszli do Pruszkowa, więcej nie słyszałam. A my we dwie wyszłyśmy z tego domu i jakoś dostałyśmy się do Grodziska Mazowieckiego, gdzie był sierociniec. Tam przebywały wszystkie dzieci, które pojechały na kolonię letnią z Warszawy i gdy wybuchło powstanie, ich rodzicie nie mogli po nie przyjechać, więc zostały tam niczym w sierocińcu. Dostałyśmy nowe dokumenty. Ja nazywałam się wtedy Alina Boguszewska. Nikt nie wiedział, że jestem Żydówką. Może jedynie profesorka, która dała mi polskie papiery. Ale nie mówiło się na ten temat. Zostałyśmy tam aż do końca wojny. Dzięki temu, że odbywały się tam normalne lekcje, po wojnie mogłam od razu wrócić do mojej szkoły, do gimnazjum w Wieliczce.

[468] Mokotów był jednym z głównych obszarów walk toczących się podczas powstania warszawskiego.



Maria z rodzicami: Henryką i Samuelem Perlbergerami na molo w Sopocie, 1938 rok

W CHOWANEGO ZE ŚMIERCIĄ

Maria Perlberger-Shmuel

Wszystko było gotowe – przybory szkolne, teczka i fartuch uczniowski, nowy i sztywny. Ale pierwszego września wszystkie te rzeczy zostały nagle zapomniane. Wojna! Słowo dziwne, groźne, ale jakby w szatański jakiś sposób – fascynujące. W domu wszyscy zajęci byli zaklejaniem szyb, ale mnie najbardziej interesowały latarki z przyćmionym szkiełkiem (można było zmieniać kolory na żółty, zielony i niebieski), słowem – cała zabawa! Szłam ulicą z tatusiem Samuelem Perlbergerem – nagle usłyszeliśmy przytłumione detonacje, jakby ktoś otwierał, jedną po drugiej, butelki wody sodowej. To walka powietrzna. Kilka samolotów krąży – i nic. Tylko małe, białe dymki dookoła. Nagle jeden zrobił kozła i, podobny do upolowanego ptaka, zaczął świdrować w dół. Tylko jego ogon dymił i tak spadł, ciągnąc za sobą pióropusz czarnego dymu. Dwa inne odleciały w sielskim spokoju. Były to samoloty niemieckie. W pierwszym dniu wojny samoloty niemieckie nad naszym miastem.

Nie wiem i nie pamiętam, jak się to wszystko dalej odbyło. Jakieś rozmowy, narady, uciekać, nie uciekać i nagle my też, jak i inni, znaleźliśmy się na drodze. Pierwszym etapem była chałupa chłopska. Było tam pełno takich jak my, uciekinierów. Czy byliśmy tam tydzień czy tylko jeden dzień – nie wiem. Mamusia, Henryka z domu Luftig, postanowiła wrócić

Tekst oparty na artykule z: „Więź" 1988, nr 7–8, s. 185–193.



Maria Perlberger z ojcem Samuelem przed budynkiem Spółdzielni „Socha", lata trzydzieste XX wieku

ze mną do miasta – mężczyźni (między nimi tatuś) ruszyli w dalszą drogę, na ucieczkę. Drogi były pełne. Wozy, toboły, konie i tłumy, tłumy ludzi, którzy szli, parli każdy w odmiennym kierunku, byle tylko iść, uciekać. Nagle na niebie pojawił się samolot, zniżył lot i po prostu zaczął bić w tę ludzką masę z karabinu maszynowego. Nieopodal żołnierz w brudnym, pomiętym mundurze zaczął strzelać (ze zwykłego karabinu!) do samolotu. Ludzie zaczęli krzyczeć, że wszystkich naraża, więc przestał. Mamusia wciągnęła mnie do rowu i tak leżałyśmy tam skurczone. A samolot odleciał tak nagle, jak nagle się zjawił.

Pod wieczór byłyśmy z powrotem w domu na ul. Mickiewicza 16. Okazało się, że szyby, mimo że były zaklejone, pękły od wybuchu dwóch bomb, które padły koło nasypu kolejowego i zostawiły tam olbrzymie leje. (Na tym miały się skończyć operacje wojenne w naszym mieście). Kamienica była prawie pusta, prawie wszyscy byli na ucieczce, poszłyśmy więc na razie do cioci Salomei Perlberger, siostry tatusia.

Byłyśmy tam kilka dni, naraz ciszę, do której się już ucho przyzwyczaiło, przerwał ostry terkot motorów – to pierwsze patrole niemieckie na motocyklach. Potem nadjechały auta. Długie, długie kolumny aut. Przez uchylone story patrzyłyśmy na jednostki, przejeżdżające w porządku wzorowym, iście niemieckim. Zimne, kamienne twarze pod hełmami... Zakwaterowali się we wszystkich budynkach szkolnych. A miasto było nadal ciche. Nagle – co za wieści. Chodzili po domach, zabierali mężczyzn, zabrali około trzydziestu, wywieźli za miasto – i rozstrzelali. Mówiono, że mieli listę nazwisk, ale było faktem, że wszystkie ofiary to Żydzi. „Może chcieli ostrzec, że nie ma z nimi żartów!" – urywki rozmów, nieprzeznaczonych moim uszom, dobrze wryły się w pamięć...

Wróciłyśmy do naszego mieszkania. W tym czasie nowe władze wydały rozkaz, żeby oddać wszystkie radioaparaty, broń itp. (kara za nieoddanie tych rzeczy była groźna). Mamusia jednak postanowiła radia nie oddać. Schowała je (jakże naiwnie!) za szafę. Termin już dawno upłynął. Pewnego dnia ktoś zadzwonił. Byli to żołnierze niemieccy. „Pani nie oddała radia" – powiedzieli po niemiecku. Bez słowa mamusia wyjęła radio zza szafy (w ich obecności!) i oddała je im. Nie krzyczeli, powiedzieli nawet „dziękuję" – i poszli.

Naraz zrobiło się w domu jakoś tajemniczo. Nie wolno mi było wchodzić do sypialni, potem mamusia odesłała mnie do cioci. W końcu tajemnica się wydała. Tatuś wrócił z ucieczki, ale nie wolno było, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Czasy były niepewne. Tatuś postanowił więc na razie opuścić miasto, gdzie wszyscy go znali, i zamieszkać u siostry Blanki Majerhoff w Krakowie. Mamusia wynajęła chłopską furmankę, tatusia przykryto słomą i tak przewieziono go do Krakowa.

Kilka dni później powiedziała mi mamusia, że i ja pojadę do Krakowa, do babci Anny Luftig. I mnie też zawieziono furmanką, pociągami nie wolno już było Żydom jeździć. Mamusia wróciła do domu, a ja zostałam u babci, pierwszy raz sama, bez rodziców...

Liczyłam wtedy dni do soboty. Bo w sobotę przyjeżdżała mamusia – naturalnie wozem chłopskim. Widywałam się także, ale rzadko, z tatusiem. Już wtedy wiedziano, że bezpieczniej jest nie spacerować za dużo. Po kilku tygodniach wróciłam do domu.

Poszłam do naszej miejscowej szkoły. Polska nazywała się już wtedy Generalnym Gubernatorstwem, szkoły były pod kontrolą władz niemieckich. Było nas w klasie tylko dwie lub trzy Żydówki. Pewnego dnia zapowiedziała nam nauczycielka, że odprowadzi nas (tj. Żydówki) osobiście do domów. Reszta klasy „pękała" z zazdrości: „A to się te Żydówki dorobiły łaski pani nauczycielki!". Poszłyśmy do nas. Nauczycielka długo rozmawiała z mamusią w salonie. Po jej odejściu mamusia powiedziała, że szkoły zostaną prawdopodobnie zamknięte na czas zimy, bo przecież jest wojna i nie ma opału. Właśnie tak samo było podczas I wojny, kiedy mamusia sama jeszcze była uczennicą. Przez następne dni przychodziły dziewczynki ze szkoły i podawały, czego się uczyły w owym dniu. „Jak to, one się uczą, kiedy szkoły są zamknięte?". I wtedy dopiero dowiedziałam się prawdy: szkoły nie zostały zamknięte, tylko Żydom nie wolno było się więcej uczyć...

Tymczasem życie szło nowym trybem. Była godzina policyjna (inna dla Żydów, inna dla Polaków). Rozdzielono też pierwsze kartki żywnościowe. Jeden po drugim sklepy otwierały się znowu. Tatuś wrócił z Krakowa, więc i nasz sklep na ul. Kościelnej, trafika tytoniowa, na którą koncesję dostał jako zasłużony piłsudczyk, został otwarty, ale w innym miejscu i pod nowym szyldem. Zorganizowały się też komplety szkolne dla dzieci żydowskich – naturalnie tajne. Przemykaliśmy się tam, upewniwszy się przedtem, czy nikogo podejrzanego nie ma w pobliżu. Te komplety rosły jak grzyby po deszczu i nie było chyba ani jednego żydowskiego dziecka, które by się nie uczyło. Ja jednak długo na komplety nie chodziłam. Mamusia posłała mnie na prywatne lekcje do mojej dawnej nauczycielki, pani Zapiórowej, która w tym czasie opuściła pracę w szkole. W owym czasie zaczęłam też chodzić do... kościoła. Zawsze były u nas służące-katoliczki. Nic więc dziwnego, że kiedy nauczyłam się jako tako mówić – już paplałam pacierze, a na Boże Narodzenie było u nas co roku ślicznie przystrojone drzewko. Kościół mi się podobał. Półmrok, kwia-

ty, kolory i złoto, zapach kadzidła, świece palące się przed ołtarzem, obrazy świętych – mistyczny urok.

Była u nas wtedy jeszcze służąca, katoliczka – Józia Ziobrowska. Ta Józia często zabierała mnie do kościoła, a nawet kupiła mi różaniec i książeczkę do nabożeństwa. Ona to opowiedziała mi, że każdy chrześcijanin może ochrzcić tego, który bardzo tego pragnie. A że ja właśnie tego pragnęłam, przekonałam ją, żeby mnie ochrzciła w kościele. Pokropiła mnie więc wodą święconą i od tej chwili uważałam się już za prawdziwą katoliczkę.

Pewnego razu natknęłam się na grupę dzieci, które jak zwykle zaczęły mnie przezywać: „Żydówa, Żydówa!". Odpowiedziałam, że ja już nie jestem Żydówa, bo się przechrzciłam, ale żeby nie mówiły tego moim rodzicom. Od tej chwili nie miałam spokoju. Jedna z dziewczynek ciągle chodziła za mną i żądała, żebym jej dawała lalki, książki, zabawki – „Bo jak nie, to powiem twojej mamie, że już jesteś katoliczka!".

W tym czasie Niemcy zarekwirowali nam jeden pokój na kwaterę dla jakiegoś oficera. Okazało się, że to człowiek stosunkowo spokojny, prowadził długie rozmowy z tatusiem. Raz powiedział, że wszystkich Żydów wywiozą na Madagaskar. Potem przenieśli go gdzie indziej, a nam więcej nikogo nie przydzielili.

Upływały dni, tygodnie i miesiące. Chodziły słuchy, że Niemcy zrobią w Krakowie getto, w którym zamkną wszystkich Żydów. Do naszego miasta zjechało się w tym okresie wielu Żydów z Krakowa i okolicy, aby uniknąć zamknięcia w getcie. Wszyscy ci nowi przybysze starali się jako tako urządzić i wszędzie było ich pełno.

I nagle – cała rodzina mamusi, dziadkowie Anna i Pesach Luftigowie, jej dwie siostry z rodzinami – wszyscy zjechali się do nas. Oddaliśmy im większą część mieszkania, niektóre nasze meble przeniesiono na strych. Mieszkanie z obszernego stało się ciasne. Atmosfera zrobiła się zatruta. Nie były to otwarte niesnaski, ale jeden patrzył krzywo na drugiego. Był już rok 1941. Niemcy wydali wówczas rozkaz, że wszyscy Żydzi od lat dwunastu muszą nosić opaskę z gwiazdą Dawida[469]. A że mnie ten rozkaz jeszcze nie dotyczył – chodziłam sobie dalej swobodnie po mieście. Miałam wtedy tylko jedną troskę – żeby się w domu nie wydało, że chodzę do kościoła. Kiedyś tatuś zapytał: „Marysiu, a co to za historia z tym kościołem?", ale na tym się skończyło.

Jednym z naszych sąsiadów był niejaki pan Grzywacz. Duża, biała tablica głosiła: „Mierniczy przysięgły Feliks Grzywacz". Nie wiedziałam wtedy, co to znaczy „mierniczy przysięgły", ale te słowa brzmiały ważnie i imponująco. Właścicielką budynku była nasza ciocia, Gienia Hirsch. I ona nie wróciła z ucieczki, a jej mieszkanie dostał w przydziale niejaki pan Siemaszko – ten znów rodem ze Lwowa. Mieszkała z nim także jego matka – staruszka. Była to – znana w przedwojennej Polsce aktorka – Wanda Siemaszkowa. (O tym wszystkim wiedziałam naturalnie z rozmów dorosłych). Ni stąd, ni zowąd pan „mierniczy przysięgły" ogłosił się volksdeutschem. Ciągle kręcili się tam Niemcy, państwo Grzywacz stale urządzali hałaśliwe przyjęcia, a w końcu zakwaterował się u nich jakiś oficer. Ten nienawidził Żydów nie tylko w teorii i w myśl propagandy – gdy widział Żyda, po prostu „wychodził z siebie", pienił się, krzyczał, wył i przeklinał. Przejście przez klatkę schodową stało się wówczas prawdziwym problemem. Trzeba było

[469] Rozporządzenie dla Generalnego Gubernatorstwa nakazujące noszenie opasek obowiązywało od 1 grudnia 1939 (zob. przyp. 433) i dotyczyło dzieci powyżej dziesiątego roku życia.



Maria Perlberger z psem Tropem, zdjęcie wykonane w atelier fotograficznym Władysława Gargula, 1942 rok

przekradać się cicho, badać teren i dopiero, kiedy udało się wyjść z bramy lub wdrapać na schody bez spotkania z bestią, można było odetchnąć aż do następnego razu.

W tym czasie wymykałam się, jak mogłam spod opieki dorosłych. Dorośli nosili opaskę, widzialne piętno żydostwa, a ja – po prostu wstydziłam się. I tak dosięgały mnie krzyki uliczników: „Judy do budy!". Kiedy indziej dzieci z sąsiedniego domu zapytały: „Marysiu, to wyście Pana Jezusa zabili?". Zaprzeczyłam, ale nie wiedziałam wcale, kto zabił Pana Jezusa.

W tym okresie znalazłam prawdziwą przyjaciółkę. Była to Wanda Duszczyńska, której matka Zofia była znajomą moich rodziców. Wanda była warszawianką, a w Wieliczce mieszkała z matką i babcią od niedawna. Jej Ojciec był w Warszawie. Wanda mieszkała na Zadorach, w małym domku z ogrodem, który był doskonałym terenem zabaw. Kiedy nadeszła zima, Niemcy wydali rozkaz, że wszyscy Żydzi mają oddać futra, wszystkie futra, jakie mają. My oddaliśmy tylko futrzane kołnierze, wszystkie inne futra zostały oddane na „przechowanie" do pani doktorowej K. z naszej kamienicy. Wtedy też wyszedł rozkaz, że Żydzi mają usunąć śnieg z głównej szosy... Wszyscy chwycili za łopaty, nawet tacy, którzy w życiu nie pracowali fizycznie. Nam, dzieciom, wydawało się, że to zabawa, i chociaż dzieci ten rozkaz nie dotyczył – było ich tam pełno...

Nadeszła wiosna. Znowu bawiłyśmy się z Wandą w ogrodzie. Miałam wtedy około dziewięciu lat, Wanda była o rok starsza. Interesowałyśmy się wtedy bardzo „dorosłymi" i zakazanymi sprawami, tj. jak dzieci przychodzą na świat. Teorie, jakie wtedy stworzyłyśmy, były rzeczywiście oryginalne! W końcu nie rozwiązałyśmy zagadki. Temat się wyczerpał i znudził. Wróciłyśmy do lalek. Były to nie byle jakie lalki – wycięte z żurnali, o różnych fantastycznych i niemożliwych imionach, ale możliwości zabawy były też nieograniczone! Te wszystkie inne „prawdziwe" lalki zostawały w domu, zapomniane... Jednak kiedy skończyłam dziewięć lat (były to moje ostatnie urodziny w domu), ucieszyłam się bardzo podarunkiem od rodziców. Była to lalka. Śliczna, przedwojenna lalka. Miała blond włosy, niebieską sukienkę, zamykała oczy i mówiła „mama"! Była tak piękna, że po prostu szkoda mi ją było wyjąć z pudełka. Nigdy też już więcej nie zdążyłam się nią bawić. Została tak przywiązana do dna pudełka. Wtedy też odkryłam świat książek. Towarzyszyłam *Ani z Zie-*

lonego Wzgórza, byłam sprzedawana i ścigana razem z czarnymi niewolnikami z *Chaty Wuja Toma* i wędrowałam od Apeninów do Andów wraz z małym Włochem, bohaterem jednego z opowiadań z książki *Serce*.

Przyszło lato 1942 roku, a z nim wakacje. Pani Zapiórowa (moja nauczycielka) zdała mamusi sprawę z moich postępów w nauce, powiedziała nawet, że stoję na wyższym poziomie niż inne dzieci w moim wieku... (Nie powiedziała tego naturalnie w mojej obecności, ale już wtedy miałam bardzo sprawne uszy...). Wtedy mniej więcej zaczęły krążyć pogłoski o szykującej się jakoby akcji na Żydów. Gdy przybrały na sile, postanowiono zrobić skrytkę dla naszej rodziny (ze strony tatusia). Budynek sądowy należał do Perlbergerów. Jedno jego skrzydło było od początku wojny puste. Mieszkała tam teraz z dziećmi, Anitą i Stefanem, jedna z sióstr tatusia, Blanka Majerhoff, która przyjechała tu z Krakowa, aby uniknąć zamknięcia w getcie. Część jej mebli ustawiono w jednej z pustych sal budynku. Tę właśnie salę postanowiono teraz zamienić na skrytkę. Wysokie drzwi miały być zasunięte z zewnątrz olbrzymim kredensem. Woźny sądowy, który mieszkał na dole, miał starać się o pożywienie dla wszystkich ukrytych. Zebraliśmy się tam wszyscy, zasunięto drzwi... Było to okropne. Zdawało się nam, że brakuje powietrza, że pokój jest przepełniony, chociaż wcale nie było nas tak dużo, tylko te zasunięte drzwi wzmogły uczucie ścisku i strachu, strachu dorosłych, który udzielił się i nam, dzieciom. Wszyscy mówili, mówili, a ja słuchałam, nie rozumiejąc. Mówili coś o możliwości strzelania, podpalenia budynku – strach stanął mi w gardle i dławił. Mężczyźni zaczęli się ćwiczyć w skakaniu z okna, które wychodziło na sad owocowy – dawniej przychodziłam się tu bawić. Po kilku próbach doszli do wniosku, że w razie obstawienia budynku nie zda się to na nic. Tam za oknem świeciło słońce, brzęczały pszczoły, a tu taki okropny strach.

Pod wieczór przyszedł woźny i powiedział, że musimy to miejsce natychmiast opuścić, w przeciwnym razie wyda nas Niemcom. Rozeszliśmy się wszyscy do domów. Mamusia chciała mnie jakoś zabezpieczyć, poszłyśmy do cioci Niny Wertheimer, jednej z sióstr tatusia. Tu panowała czarna rozpacz. Nie zważali na mnie i mówili to, czego uszy moje nie powinny były słyszeć – o przygotowanej truciźnie, o tym, że są gotowi ją zażyć. Syn tej cioci, Rysiek, miał już dwadzieścia lat, więc było możliwe, że go wezmą do robót (czy już wtedy wiedzieli, jaki los czeka tych, których nie biorą do robót?). Mamusia błagała go, aby wziął mnie ze sobą, jako swoją córkę. (Dzieci tych pracujących dostawały na początku „karty życia"). Nikt już wtedy nie myślał logicznie, bo Rysiek, jeżeli nawet mógł mieć dzieci, to w każdym razie nie dziewięcioletnią córkę! Ale i ten plan wydawał się niepewny, wróciłyśmy więc do domu. Ulice wyglądały tak zwyczajnie, codziennie, pogoda była piękna, a tu u nas w piersiach uczucie niemocy, rozpaczy i strachu. Odtąd zaczęto mówić, że lepiej będzie oddać mnie do Polaków „na przechowanie" (tak jak nasze futra?).

Wieliczka była miastem gminnym. Na kilka dni przed „akcją" zjechali się tu (według rozkazu Niemców) wszyscy Żydzi z pobliskich miejscowości. Nie było chwili do stracenia. „Po co się masz z nami wałęsać do obozu pracy? Na pewno będą tam okropne warunki". Postanowiono, że pójdę do pani Duszczyńskiej, a ona wywiezie mnie z Wieliczki do innego miasta. Mamusia spakowała małą walizkę, wzięła mnie za rękę i poszłyśmy. Szłyśmy, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. „Dzień dobry, a gdzie to pani tak idzie z tą walizką?" – była to jakaś znajoma. Stanęła przed nami, uśmiechając się złośliwie. Mamusia

zbyła ją jakąś odpowiedzią i poszłyśmy dalej. I nagle – znalazłam się sama u pani Duszczyńskiej. To jest – nie po raz pierwszy byłam tam sama, zawsze przecież przychodziłam bawić się z Wandą. Tym razem jednak było inaczej. Tym razem zabroniono mi wychodzić do ogrodu, aby Boże broń, nikt nie zauważył, że tu jestem. Tej nocy nie mogłam zmrużyć oka. Postanowiłam, że rano, nim wszyscy się zbudzą, ucieknę i wrócę do domu. I tak zrobiłam. Światło. Otworzyłam okno (mieszkanie było parterowe) – i już byłam na ulicy. Miasto jeszcze spało, ulice były puste, ciche. Nic nie zapowiadało kataklizmu, jaki miał się rozpętać. Nie szłam, tylko biegłam, już z daleka widziałam nasz dom. Jakże zwyczajnie, codziennie i szaro wyglądał. Ale nie – jedno z okien naszego mieszkania otwarte – w nim jakaś sylwetka – mamusia! Zamachałam ręką z daleka i nim jeszcze mogła usłyszeć moje wołanie, już zeszła, aby mi otworzyć bramę. „Dlaczego, dlaczego wróciłaś?" – zapytała. „Nie mogłam tam być sama, nie chcę się z wami rozstawać, nie zostawiajcie mnie więcej!". „Dobrze, zostaniesz już z nami, co będzie, to będzie".

Był to ostatni dzień przed wyznaczoną akcją. Duże, rozlepione po całym mieście plakaty głosiły, że wszyscy Żydzi mają się stawić w punkcie zbornym o oznaczonej godzinie. Kto zostanie w mieszkaniu – będzie rozstrzelany. Kto w jakikolwiek sposób pomoże Żydowi – będzie rozstrzelany. Mamusia przygotowała dla całej rodziny małe woreczki na szyję, w które włożyła trochę pieniędzy. Jedna z cioć i jej córka miały aryjskie papiery. Przez cały czas wojny chodziły i jeździły wszędzie swobodnie, teraz nagle postanowiły tych papierów nie wykorzystać. Wszyscy byli ogarnięci rozpaczą i rezygnacją.

Szarzało już, kiedy nagle ktoś zadzwonił. Była to pani Duszczyńska. Przyszła zobaczyć, czy rzeczywiście wróciłam do domu. „Dlaczegoś to zrobiła?". I ona też, pomyślałam, czy nikt nie rozumie, że ja chcę zostać z rodzicami? Nagle rodzice znowu zaczęli ją błagać, aby mnie wzięła. Ona się wahała – kara śmierci groziła każdemu, kto pomoże Żydowi. „Widzisz, czemu uciekłaś, teraz jest o wiele trudniej i niebezpieczniej". Niemcy wzmocnili patrole i obstawili centrum miasta. Tam skoncentrowali wszystkich Żydów z innych ulic. Moi rodzice postanowili jednak pozostać do końca w naszym mieszkaniu. Tatuś załamał się zupełnie i zaczął głośno szlochać. Już nic nie mówił, tylko płakał. Mamusia jeszcze przekonywała, błagała.

I wtedy, nieoczekiwanie, pani Duszczyńska zgodziła się. Ale trzeba było działać szybko. Wyjść ze mną było zanadto ryzykowne. „Idź na ul. Legionów, czekaj w bramie domu, gdzie mieszka dentysta Chrzanowski, aż przyjdę po ciebie". Wszystko stało się tak szybko. Nie wiem, kiedy znalazłam się na schodach. Mamusia przechylona przez poręcz powtarzała: „No idź już, idź!". A ja odwróciłam się jeszcze i krzyknęłam (szeptem): „Pa mamo, uciekajcie!". „Tak, tak, uciekniemy, no idź już, idź!". I to było wszystko. Z domu wyszłam, nikt mnie nie zauważył. Ulice puste, nigdzie żywej duszy. I wtedy zaczęłam biec – nie wiedziałam, że zaczynam nową grę, grę w chowanego ze śmiercią.

Było już ciemno. Doszłam do oznaczonej, dobrze mi znanej bramy (dawniej mieszkała tu ciocia Salomea). Klatka schodowa była nieoświetlona. Serce mi się tłukło ze strachu, aby tylko nikt z lokatorów nie przyszedł, aby mnie tylko nikt nie zobaczył! Ściskałam w ręce nocnik, opakowany w gazetę (to było wszystko, co zabrałam z domu). Nagle nadeszła pani Duszczyńska i zapytała szeptem: „Jesteś? To chodź". Przeszłyśmy pustymi ulicami bez przeszkód do jej domu.

Postanowiono nie zwlekać i już nazajutrz z samego rana zawieźć mnie do Krakowa. Nie mogłam zasnąć. Dookoła cicho, ale od czasu do czasu słychać było pojedyncze strzały – jeden, drugi, znowu cisza. Tylko psy szczekały, taki zwyczajny psi koncert. „Co się tam dzieje?" – myślałam. „Dlaczego te strzały?". Serce waliło mi jak młotem. W końcu zmęczenie mnie zmogło i zasnęłam. Wcześnie rano zbudziła mnie pani Duszczyńska: „Moja matka zabierze cię do Krakowa. Przebierzemy cię za Wandę. Ona zostanie w domu, ale gdyby ktoś z sąsiadów was zobaczył, pomyśli, że to właśnie ona jedzie z babcią do Krakowa".

Byłyśmy prawie tego samego wzrostu, tylko moje warkocze były dłuższe, ale miałyśmy taki sam kasztanowaty kolor włosów. Przykrócono mi więc warkocze, ubrano płaszczyk Wandy i jej kapelusik. (Dobrze, że zachodził mi na oczy i zasłaniał prawie pół twarzy!) Trzeba się było spieszyć. Miałyśmy jechać pierwszym pociągiem do Krakowa. Babcia Wandy wzięła mnie za rękę i ruszyłyśmy w drogę.

Do stacji było daleko. Ulice były jeszcze puste. Nagle, na drugiej ulicy, za rogiem zobaczyłam masę ludzką, tłum tak gęsty, że prawie zdawał się nie poruszać. Było w tym coś niesamowitego, nie dochodził stamtąd żaden głos, a jednak gdy przyjrzałam się dokładniej, zobaczyłam, że ten tłum się porusza, idzie w jakimś kierunku. Można było nawet rozróżnić ludzkie sylwetki: kobiety, dzieci, mężczyzn, ich tobołki, walizki. Nie zrozumiałam, co to jest, więc zapytałam o to babcię Wandy. „To Żydzi, nie patrz w tamtą stronę". A więc to Żydzi i nie wolno mi patrzeć w tamtym kierunku. Posłusznie odwróciłam wzrok i już więcej „tam" nie patrzyłam, chociaż ulice biegły równolegle.

Tymczasem zbliżałyśmy się do stacji, ruch był coraz większy, ludzie spieszyli ze wszystkich stron do pociągu, do pracy, był to przecież zwykły dzień tygodnia. „Ich" pędzono w kierunku dworca towarowego, ulice przybrały inny kierunek, więc nic nie można było dojrzeć. („Oni" – to byli od dzisiaj Żydzi, a „my" – no to my – Polacy, chrześcijanie). Nie myślałam nawet, że i moi rodzice mogą być między nimi – mamusia obiecała przecież, że oboje uciekną.

Babcia Wandy kupiła bilety, weszłyśmy do przedziału. Na szczęście nie było tam nikogo, kto by mnie znał. Pociąg ruszył. Przeżegnałam się znakiem krzyża. To, co w domu robiłam po kryjomu, stało się teraz koniecznością. Babcia Wandy popełniła błąd, pytając: „Umiesz się przeżegnać? Przeżegnaj się!". Dobrze, że nikt tego nie usłyszał.

Poszłyśmy do znajomej pani Duszczyńskiej, która była wdową i mieszkała sama. Mieszkanie było przeładowane pluszowymi meblami, wszędzie pełno najróżniejszych bibelotów, ciężkie firanki i draperie, obrazy i obrazeczki. Powietrze było przesycone ciężkim, słodkawym zapachem. Babcia Wandy opowiedziała, że jestem córką ich sąsiadów w Wieliczce, że moja mamusia jest ciężko chora i dlatego trzeba mnie oddalić na kilka dni z domu. Moja nowa opiekunka słuchała z uwagą i spojrzała na mnie ze współczuciem. Przyniosła od razu dużą szklankę mleka i kazała je wypić, „bo mleko takie zdrowe dla dzieci". Byłam zadowolona, że nie zadaje żadnych pytań, bo bym chyba nie umiała na nie odpowiedzieć. Babcia Wandy musiała wracać. Chciałam, żeby została jak najdłużej, była mi wtedy kimś bliskim, kimś, kto znał moich rodziców, kimś, kto wiedział, kim rzeczywiście jestem – słowem była kimś, kto łączył mnie jeszcze z domem. Ale w końcu poszła. I wtedy zostałam sama. Sama. Wszystko było obce, zgrzyt przejeżdżających tramwajów, zgiełk uliczny.

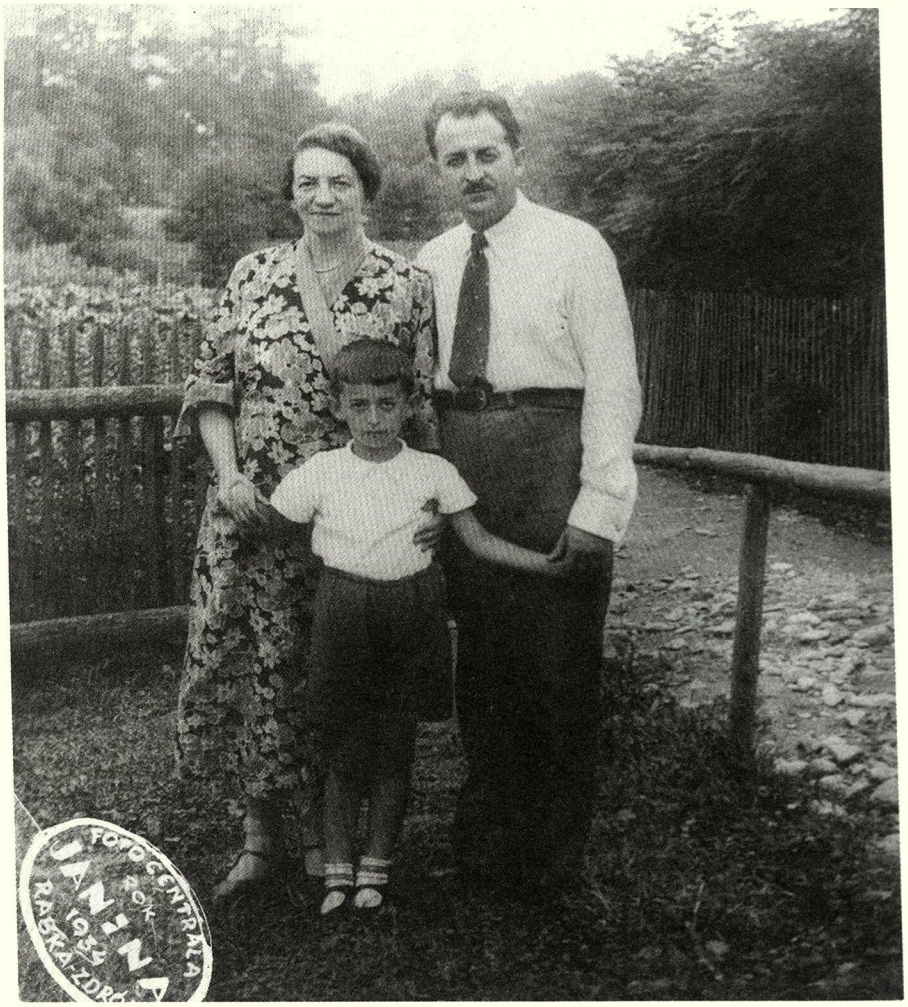
Nadszedł wieczór, pora udania się na spoczynek. Po zgaszeniu światła uprzytomniłam sobie, że i cienie

na ścianach są obce, nieprzyjemne. Meble skrzypiały wrogo, a zegar tykał głośno, za głośno. Na dobitkę coś zaczęło mnie gryźć. Zaświeciłam światło i w tej samej chwili wydał się sekret pluszowych, wyścielanych mebli i kotar! Łóżko było pełne pluskiew. Nie wiem, jak przetrwałam do rana.

Tego dnia zjawiła się pani Duszczyńska. Wyszłyśmy na miasto. Gdy znalazłyśmy się w końcu same, zapytałam, czy mamusia uciekła. „Tak, tak – zapewniła mnie pani Duszczyńska – ale teraz nie może się z tobą spotkać". Weszłyśmy do kościoła. Pani Duszczyńska pertraktowała z księdzem w sprawie możliwości zdobycia dla mnie metryki, a ja modliłam się gorąco i szczerze. Byłam pewna, że to właśnie wiara w Pana Jezusa mnie uratowała.

Odtąd pani Duszczyńska przyjeżdżała codziennie – wszystkie jej starania były naturalnie połączone z dużym ryzykiem. Wychodziłam też na miasto z moją nową opiekunką, która przekonana, że mieszka u niej prawdziwa aryjska dziewczynka, nie przypuszczała nawet, że wychodzi na spacer z cieniem śmierci.

Maria Perlberger-Shmuel (ur. 25 kwietnia 1933 roku w Wieliczce) – podczas okupacji ukrywała się w Krakowie i Warszawie, posługując się fałszywymi dokumentami. W 1946 roku wyjechała do Belgii, a stamtąd w 1948 do Izraela, gdzie w latach 1951–1953 odbyła obowiązkowe szkolenie wojskowe, a następnie skończyła szkołę pielęgniarską. Jej wspomnienia zostały opublikowane w „Więzi" i *Ustnej harmonijce*. Przetłumaczyła z jęz. hebrajskiego pamiętnik I. Sternberga *Pod przybraną tożsamością*.



Uri Szmulewicz z rodzicami: Niną i Moszem w Rabce, 1934 rok

SEIN KAMPF ALBO EWOLUCJA HOLOKAUSTU

Uri Shmueli

1 września 1939 roku doskonale uzbrojone wojsko niemieckie napadło na Polskę. Był to pierwszy etap realizacji programu Hitlera *Mein Kampf*. Byliśmy zszokowani i przestraszeni, ale prawie instynktownie postanowiliśmy uciekać na wschód. Mama, Nina Szmulewicz, i ja dotarliśmy z Krakowa do samej Wieliczki, ale tata, Mosze Szmulewicz, i Jakub Seidenfrau, brat mamy mieszkający w Wieliczce, pożegnali się z nami i po kilku dniach przybyli do Izaaka Seidenfraua do Lwowa, który w tym czasie zaczął być okupowany przez armię sowiecką. Powodem tego rozstania było mniemanie, że Niemcy niczego złego nie zrobią kobietom i dzieciom, ale żydowscy mężczyźni są zagrożeni. Wprawdzie podstawą tego były odległe już przeżycia z czasów I wojny światowej, niemniej jednak było to logiczne założenie. Dzień albo dwa po naszym przybyciu do Wieliczki na początku września 1939 roku było tam już pełno Niemców. Po kilku dniach hitlerowcy postanowili się „przedstawić". Ich pierwszym projektem było aresztowanie wszystkich żydowskich mężczyzn, których mogli znaleźć. Większość była w drodze, jednak z pomocą volksdeutscha znaleziono trzydziestu dwóch Żydów i, jak dobrze pamiętam, zawieziono ich na cmentarz w Grabówkach i za-

Tekst pochodzi z: U. Shmueli, *My memoirs*, Israel 2010 (niepublikowany maszynopis). Tłumaczenie autora.

mordowano[470]. Niemcy powtórzyli to morderstwo w kilku innych miasteczkach, zawiadamiając w ten sposób wszystkich, że trzeba się ich bać. Wprawdzie wyglądało to dość spontanicznie, ale jestem pewny, że te zbrodnie były skrupulatnie zaplanowane. Po tych wydarzeniach Niemcy starali się zachowywać „po ludzku", zwłaszcza gdy chodziło o miejscowe problemy administracyjne: musieli się przecież nauczyć, jak się z nimi obchodzić!

Mieszkaliśmy jakiś czas w Wieliczce na ul. Słowackiego 21, w domu wujka Jakuba Seidenfraua, z jego żoną Hanią i synkiem Rafusiem. Gdy się trochę uspokoiło, pożegnaliśmy się z Hanią, Rafusiem, ciocią Blumą (siostrą mamy) i jej mężem Dawidem Horowitzem, wynajęliśmy wóz i wróciliśmy do naszego mieszkania w Krakowie na ul. Kołłątaja 12. Żydowskie szkoły były zamknięte, a do polskich Żydom nie wolno było chodzić. Następnie właściciele żydowskich sklepów stali się sprzedawcami, a właścicielami zostali niemieccy cywile, tak zwani Treuhänderzy. Zazwyczaj Treuhänder nie miał pojęcia o pracy i musiał się ładnie odnosić do sprzedawcy (prawowitego posiadacza), aż się czegoś nauczył. Od końca października 1939 roku wszyscy Żydzi, którzy mieli więcej niż dziesięć lat, musieli nosić białe opaski szerokości dziesięciu centymetrów z niebieską gwiazdą Dawida na środku[471]. A więc Niemcy zrobili ze wszystkich Żydów syjonistów! Było dużo innych ograniczeń, np. surowy zakaz mieszkania w pewnych częściach Krakowa i poruszania się po nich, a wszystko było wyraźnie ogłaszane po niemiecku i po polsku; zdawało się, że Niemcy nie tylko zdobywają, ale też panują.

Mama i kilku profesorów hebrajskiego gimnazjum koedukacyjnego w Krakowie zorganizowali prywatne lekcje i uczyłem się na nich nie mniej (a może nawet więcej), niż bym się uczył w szkole. W każdym razie byłem bardzo zajęty, a jako że miałem jedenaście lat, jeszcze nie brano mnie do przymusowej pracy.

Pod koniec 1939 roku nadeszły wiadomości od taty. Mieszkał we Lwowie u wujka Izaaka Seidenfraua (brata mamy) i zmienił zawód: z profesora literatury hebrajskiej w hebrajskim gimnazjum stał się nauczycielem sowieckiego jidysz w szkole zawodowej. To musiało być niełatwe, ale jego znajomość zwykłego jidysz była tak dobra, że opanował to sowieckie bez trudu. W każdym razie pracował i nie był kandydatem do wysyłki na Syberię, która była prawdopodobna, ponieważ tata nie był obywatelem Lwowa.

Większa część roku 1940 była niezła. Prywatne lekcje były tak intensywne, że szkoły mi prawie nie brakowało. Spotykałem wielu kolegów z klasy i poznawaliśmy Kraków. A robiło się to tak: zdejmowaliśmy opaski i udawaliśmy się na długie spacery do tych części Krakowa, które były dla Żydów surowo zabronione, czyli oszukiwaliśmy Niemców. Może to było głupie, ale byliśmy pewni siebie i nikomu nie przychodziło na myśl, że jesteśmy Żydami, mimo „niedobrego" wyglądu (zwłaszcza mojego). Podczas tych spacerów widzieliśmy wielu niemieckich żołnierzy i oficerów. Ciekawie było się przekonać, że nie wszyscy mają jasne włosy i niebieskie oczy; spotkaliśmy niemało brunetów z ciemnymi oczami i orlimi nosami, wyglądających jak Żydzi. Powiedziano nam później, że to prawdopodobnie Austriacy.

Niemcy byli zajęci wydawaniem obwieszczeń i konfiskatą żydowskiego mienia. Ale najbardziej nam przeszkadzało postanowienie gubernatora Hansa Franka, by uczynić Kraków *Judenrein* („odżydzo-

[470] Inne relacje podają, że Żydów rozstrzelano w Pawlikowicach, zob. s. 256 i 258.

[471] Zob. przyp. 433 oraz 469.

nym"). Planowano wtedy żydowskie getto w Podgórzu i zaznaczono wyraźnie, że będzie ono przeznaczone dla Żydów, których praca jest niezbędna do wojennego wysiłku Trzeciej Rzeszy. Mama nie pracowała w przemyśle, ja byłem za młody, żeby coś „ważnego" robić, a to wszystko znaczyło, że musimy opuścić Kraków i nasze mieszkanie. Spakowaliśmy kilka walizek, zamówiliśmy wóz i przeprowadziliśmy się znów do Wieliczki, miasta mamy, do domu wujka Jakuba, gdzie zamieszkaliśmy z Hanią i Rafusiem.

Powinniśmy już byli wiedzieć, dokąd to wszystko zmierza: Niemcy mordują Żydów, przywłaszczają sobie ich mienie, poniżają ich, a w końcu wynajdują to ważne słowo *Judenrein*. Na razie działają tylko w Krakowie, stolicy Guberni. Jednak czy nie byłoby logiczne przypuszczać, że chcieliby widzieć swe całe „cesarstwo" wolne od Żydów? Przecież to była teza Hitlera i gdyby jej nie lekceważyć, trzeba by było uciekać, i to już! Ale nazistowskie kanalie starały się zachowywać pozory normalnego życia. To oraz nieuzasadniony optymizm ludzi, ślepa wiara w to, że „Niemcy muszą tę wojnę przegrać, i to niedługo", i niechęć do rozstania się z mieszkaniem i źródłem jakiegokolwiek dochodu spowodowały, że prawie wszyscy wybrali pozostanie w tym raju głupców.

Życie z Hanią i Rafusiem było bardzo przyjemne. Dom wujka Jakuba był wygodny, miał piękny ogród, a w nim kwiaty, jagody i jarzyny. Obecności Niemców nie czuliśmy, bo zarekwirowali magazyn i gabinet Jakuba, a siedział tam przeważnie Polak, który był przedstawicielem jakiejś polsko-niemieckiej firmy. Czuliśmy się jak w domu i nikomu nie wpadło do głowy uciekać. Odbywało się dużo prywatnych lekcji. Już w wieku trzynastu lat (lub wcześniej) interesowała mnie bardzo geometria, a to dzięki dwóm świetnym książkom Szczepana Jeleńskiego: *Lilavati*



Trzy wieliczanki z rodziny Seidenfrauów: Sabina (po mężu Zimmels), Nina (po mężu Szmulewicz) i Hela (po mężu Jedlin). Sabina i Hela były córkami Kalmana i Reginy Seidenfrauów, Nina – córką Dawida, brata Kalmana, 1934 rok

i *Śladami Pitagorasa*. Na trzynaste urodziny dostałem od mamy zawodowy zbiór instrumentów kreślarskich i zajmowałem się różnymi konstrukcjami. Udało mi się po jakimś czasie pożyczyć od starszego brata kolegi, Iźka Eislanda, polskie tłumaczenie książki Egmonta Colerusa *Od tabliczki do różniczki*. Przeczytałem ją od deski do deski i tak, mając czternaście lat, miałem już pojęcie o rachunku różniczkowym i całkowym. Przyniosło mi to wielkie zadowolenie i ogromną korzyść, gdy się przygotowywałem do egzaminów maturalnych w 1947 roku.

Żydowski trzynastolatek odbywa religijną ceremonię, bar micwę, w bożnicy, jeśli takowa istnieje. Żydowska wiara pozwala na odprawianie modlitwy w obecności przynajmniej dziesięciu mężczyzn, mających co najmniej trzynaście lat. Taka grupa nazywa się minjan. U sąsiadów na ul. Słowackiego 19, u państwa Attermanów, był taki minjan i zgodzili się, żebym u nich święcił moją bar micwę. Oprócz krótkiej modlitwy czyta się rozdział z Biblii, przeważnie z ksiąg proroków, z pewną określoną intonacją. Naturalnie, mama mnie do tego przedstawienia dobrze przygotowała. W wyznaczoną sobotę przyszedłem do minjanu i oni zaprosili mnie do Tory w określonej części tygodniowego rozdziału. Odmówiłem modlitwę prawidłowo i dobrym hebrajskim oraz przeczytałem mój rozdział, też po hebrajsku, tak jak się mówi. Gdy skończyłem, podszedł do mnie jeden z Attermanów i rzekł: „Dlaczego się tak śmiesznie modlisz?". Odpowiedziałem: „Nie ma w tym nic śmiesznego. My tak mówimy w domu". A on: „To wy używacie ten święty hebrajski język w życiu codziennym? To grzech!". Parę miesięcy po tej rozmowie stałem się prawdziwym grzesznikiem.

Jesienią 1941 roku, kilka miesięcy po ataku Niemców na Sowietów i zdobyciu Lwowa, tata i Jakub wrócili do Wieliczki. Bardzo się radowaliśmy tym zjednoczeniem rodzin i wydawało się, że jakaś równowaga, mimo niemieckiej okupacji Wieliczki, została osiągnięta. Były oczywiście zwyczajne ograniczenia. Nie było szkół dla Żydów, nie było bożnic, obowiązywał surowy zakaz używania pociągu i przymusowe noszenie opasek. Nie było wolno odwiedzać kopalni soli. Pożywienie było uboższe niż w latach przedwojennych. Jednak gdy się człowiek przyzwyczaił do tych ograniczeń, nie znał prawdziwego głodu i nie był maltretowany, wydawało się, że to wszystko jest tymczasowe i „wojna się przecież niedługo skończy". Słyszałem i czytałem w opublikowanych zeznaniach wielickich Żydów, że ta względna równowaga została osiągnięta przez przekupienie burmistrza Wieliczki i jego popleczników. Była oczywiście przymusowa praca, z powodu której ludzie cierpieli, ale ja byłem jeszcze na to za młody.

Z początkiem 1942 roku, gdy niemało wielickich Żydów żyło „jak u Pana Boga za piecem", odbyła się konferencja w willi Wannsee koło Berlina[472], a jej tematem było ostateczne rozwiązanie praktycznych problemów dotyczących kwestii żydowskiej, to jest Zagłady. Oczywiście, nikt u nas o tym nie wiedział.

472 20 stycznia 1942 roku. Spotkanie podsekretarzy stanu III Rzeszy w ministerstwach: Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych i Sprawiedliwości, do Spraw Ziem Wschodnich oraz przedstawicieli: pełnomocnika do spraw planu czteroletniego i GG, kancelarii NSDAP, kancelarii Rzeszy, centralnych urzędów SS oraz policji bezpieczeństwa w GG w celu ustalenia zasad czynnej współpracy wszystkich ministerstw i służb państwowych przy realizacji ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Konferencję wypełniły między innymi dyskusje poświęcone zagadnieniom metod zabijania Żydów i czasu, etapów oraz miejsca akcji.

Nawet gdy słyszeliśmy, że na początku czerwca 1942 roku w krakowskim getcie było wysiedlenie, nie podejrzewaliśmy, czym to pachnie. W połowie sierpnia 1942 roku Niemcy rozkazali wszystkim Żydom z Dobczyc, Gdowa, Niepołomic i innych miejscowości przenieść się do Wieliczki i zabrać ze sobą, co tylko mogą. Mówiło się o planach utworzenia getta w Wieliczce, ale o niczym więcej. „Troskliwe" władze założyły szpital w Wieliczce, żebyśmy niczego nie podejrzewali. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, 26 sierpnia pojawiło się obwieszczenie o wysiedleniu wszystkich Żydów z Wieliczki i rozkaz stawienia się w punkcie zbornym nazajutrz rano. Kto się nie stawi nad ranem 27 sierpnia, zostanie rozstrzelany. Ludność polska została zawiadomiona, że przechowanie Żyda jest przestępstwem, za które grozi kara śmierci. To już było za dużo, nawet dla urodzonych optymistów. Wieliczka była otoczona niemiecką i polską (granatową) policją i nie można było nigdzie uciec.

27 sierpnia program *Mein Kampf* został efektywnie zrealizowany w odniesieniu do żydowskich mieszkańców Wieliczki i okolicy. Przyszliśmy na wielką łąkę za stacją towarową Wieliczka, gdzie oczekiwali nas esesmani, strażnicy ukraińscy i granatowa polska policja. Siedzieliśmy na łące, zebrani w grupach, między którymi spacerowali nasi władcy. Nie pamiętam szczegółów selekcji, ale utkwiły w mojej pamięci dwa wydarzenia. Nieopodal naszej rodziny siedzieli lekarz o nazwisku Hirsch i jego żona. Gdy esesman, który wybierał ludzi do pracy (tak zwany selektor), zbliżył się do nas, jego pierwszym kandydatem był Hirsch. Ten ostatni odpowiedział, że pójdzie, ale tylko razem z żoną. Na to powiedział selektor, że on wybiera tylko mężczyzn. Hirsch został z żoną... Drugie wydarzenie dotyczy taty i mnie. Selektor wybrał tatę, a tata wziął mnie za rękę. Wahałem się trochę, ale mama powiedziała po hebrajsku: „Idź z tatą". Poszedłem i żyję – dzięki moim rodzicom. W rezultacie tej okropnej selekcji wybrano kilkuset mężczyzn, w tym tatę i mnie, do pracy w niemieckim przemyśle wojennym (większość z nich zginęła w różnych obozach koncentracyjnych), starzy i słabi zostali natychmiast rozstrzelani w Puszczy Niepołomickiej, a reszta, licząca od ośmiu do dziesięciu tysięcy osób[473], została wepchnięta do bydlęcych wagonów i zawieziona, jak się później okazało, do Bełżca, na natychmiastową śmierć w komorach gazowych. Wysłano tam też mamę i jej siostrę Blumę z mężem, Dawidem Horowitzem. Muszę jednak zaznaczyć, że powyższe liczby Żydów deportowanych z Wieliczki do Bełżca to granice szacunków. Dolna granica, tj. osiem tysięcy osób, zgadza się z oceną badacza Holokaustu Martina Gilberta, przedstawioną w jego książce *The Dent Atlas of the Holocaust.*

Nie pamiętam, czy nas, wybranych do pracy, przywieziono czy poprowadzono do dużego baraku na Zadorach. W tym baraku czekaliśmy na „klientów". Tata i ja byliśmy tam dzień albo dwa, a potem wywieziono nas w pierwszej setce pracowników do obozu pracy Julag 1 w Płaszowie. Z tego obozu chodziliśmy do fabryki kabli (wtedy Kabelwerk Krakau), która nas „kupiła". Pracowaliśmy tam przy obsłudze pras hydraulicznych w oddziale wyrobów bakelitowych. Praca była ciężka, droga do obozu długa, warunki – jak to w obozie. Dyrekcja fabryki postanowiła poprawić naszą wydajność przez przeniesienie nas do krakowskiego getta. Przetransportowano nas tam po kilku tygodniach i stamtąd chodziliśmy do pracy. Słyszeliśmy, że Jakub i Hania Seidenfrauowie byli w więzieniu policji, odwiedziliśmy ich. Wiedzieli-

[473] Zob. s. 249, 324–325, 336–337.

śmy, że Jakub i Hania przygotowali sobie schowek pod podłogą gabinetu Jakuba, że posłali Rafusia do Izaaka do Lwowa i że nie poszli z nami na wysiedlenie 27 sierpnia 1942. W więzieniu policji opowiedzieli nam, że udało im się zostać w kryjówce w Wieliczce przez kilka tygodni. Pewnej nocy, gdy Jakub wyszedł ze schowka, żeby przynieść coś do jedzenia, złapał go „przyjazny" niebieski policjant. Nie zastrzelił jego ani żony, jak wielu innych, ale posłał ich do krakowskiego getta, a tam zajęła się nimi żydowska policja getta. Był to odroczony wyrok śmierci, ponieważ więźniowie siedzieli tam aż do następnego wysiedlenia. Jakub i Hania zostali wywiezieni do Bełżca 28 października 1942 roku, z drugim wysiedleniem z krakowskiego getta, a więzienie policji zostało puste i oczekiwało na nowych „przestępców". Muszę przyznać, że przy wysiedleniu z Wieliczki i przy drugim wysiedleniu z krakowskiego getta nie wiedziałem nic konkretnego o komorach gazowych i nie zdawałem sobie sprawy, że celem tych deportacji było natychmiastowe uśmiercenie wszystkich przesiedlanych. Dopiero w zimie roku 1944, gdy do Linz III przybyli więźniowie z Oświęcimia, dowiedziałem się od nich, jak naprawdę wyglądał ten „przemysł śmierci". Mama Nina, ciotka Bluma i wujek Jakub to ostatni Seidenfrauowie z Wieliczki. Śmierć dosięgnęła także ich rodzeństwo pochodzące z Wieliczki, w Rzeszowie, Lwowie, Brodach i Oradea Mare, oraz ich rodziny. Tylko jedna córka Józefa Seidenfraua, brata mamy z Oradea Mare, po przejściu przez Oświęcim i inne obozy, a także ja po przejściu przez Plaszow, Mauthausen i Linz III, przeżyliśmy Holokaust.

Tata zginął w obozie koncentracyjnym Gusen II w Austrii, w styczniu 1945 roku. Jego i moje dzieje są streszczone w moich wspomnieniach (niepublikowane, ale dostępne w internecie[474]).

Mówiliśmy dużo o Wieliczce, ale ewolucja Holokaustu miała miejsce we wszystkich miejscowościach w Polsce, w których mieszkali Żydzi, a jej koniec był zawsze ten sam.

---

[474] Zob. www.scribd.com/doc/33774479/My-Memoirs.

PROTOKÓŁ ZEZNANIA DOTYCZĄCEGO PRACY W WIELICKIM JUDENRACIE

Hirsz Grossbard

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/2052. Protokół zeznania złożonego przed Wojewódzką Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie 10 grudnia 1946 roku dotyczącego pracy w wielickim Judenracie.

Trzy dni przed wojną czując zawieruchę, wyjechałem z żoną, siostrą, ojcem i córką siostry z dzieckiem do Otwocka, by nie być zbyt blisko granicy. Byliśmy tam kilka dni i wędrowaliśmy potem końmi do Lubartowa, stamtąd do Łącznej, gdzie spotkaliśmy się z rządem polskim, który uciekał z Lublina. Zajechaliśmy do Włodawy nad Bugiem i tam zostaliśmy. Gdy Niemcy wkroczyli, wróciliśmy do Lublina, a po czterech tygodniach próbowaliśmy dostać się do Krakowa przez Puławy. Tam nad Wisłą zaszli nam drogę Niemcy, wzięli nas z auta, zrewidowali, zabrali mi dziewięćdziesiąt cztery tysiące złotych, musiałem podpisać deklarację, że ofiaruję tę kwotę na Winterhilfswerk[475]. Uczyniłem to zagrożony rewolwerami. Tuż za nami jechał autobus z doktorem Judą Zimmermanem z Krakowa, doktorem Schmelkesem, rabinem z Krakowa, z synową z domu Nattel z Łodzi. Tamtych tak samo obrabowali i zawrócili nas do Lublina, mówiąc: „Juden in Krakau nich erwunscht"[476]. Byliśmy jeszcze kilka dni w Lublinie, po czym przyjechał po nas autem

[475] Winterhilfswerk – Niemiecka Pomoc Zimowa.

[476] Właśc. *Juden in Krakau [sind] nicht erwünscht* – niem. „Żydzi nie są pożądani w Krakowie".

38

N o t a t k a.

SPRAWOZDANIE Z WYJAZDU DO W I E L I C Z K I dn.2o.lutego 1942.

Dnia 19.lutego 1942. w towarzystwie Dra H i l f s t e i n a udałem się do wieliczki furmanką i po przybyciu na miejsce zwiedziłem koło godz. 1o.3o tamtejszą Dożywialnię Dzieci. Ponieważ pora była dość spóźniona, zastałem tylko kilkanaście uczestników. Przyjął nas członek Delegatury, p. Heller, który się głównie tą Dożywialnią zajmuje. Ztamtąd udałem się do Dożywialni Dzieci. Dyżurowała p. Anna Schönfeldowa i zapodała ilość dzieci, korzystających ze śniadań na cca 17o. Ztamtąd udałem się do:

A m b u l a t o r i u m; wzorowo urządzonego w parterze budynku Rady Żydowskiej. Kierownikiem jest p. Dr. Reiner. Aż do jego przybycia przyjęli nas sekretarz Mgr. Osterman i pielęgniarka p. Glücksmanowa. Ambulatorium czynne jest codziennie przedpołudniem, za wyjątkiem poniedziałków i czwartków; wówczas przyjmuje chorych dopiero od 11.3o do 13, gdyż od rana do godz. 11. jako w dnie targowe, Żydom na ulicy nie wolno bez specjalnych zezwoleń wychodzić. Ambulatorium ma oddział: ginekologiczny, okulistyczny, dla dzieci i ogólny. Ze względu na pobyt okulisty Dra Rosenhaucha i pediatry Dra Merza, korzysta też z współpracy znanych krakowskich specjalistów. Prócz tego współpracują: Dr. Bauminger, pani Dr. Friedhofer-Altstätterowa, pani Dr. Jurkiewiczowa. Ztamtąd udałem się do:

K u c h n i l u d o w e j, znajdującej się w tym samym budynku. Jest to tzw. "kuchnia A". Oprowadzała nas tam p. Drowa Rakowerowa, która zapodała, że obiadów wydaje się obecnie dziennie około 6bo - 7oo, przeciętnie w styczniu wydano przeszło 7oo. Obiad kosztuje 2o groszy, składa się z jednego dania, mianowicie zupy z makaronem albo z fasolą. W dniu w którym byliśmy, stwierdzono wedle księgi magazynowej, że na 6bo obiadów wydano:

35 kg.	kartofli
2o "	fasoli
1o "	owsianki
1o "	mąki
1o "	jarzyn
1 "	oliwy
86 kg.	

co wypada na 1 porcję ok. 13 dk. Porcje wydawane są w łyżkach 1/2 litrowych, przeważnie do domu. Wedle udzielonych nam informacyj,

60% opłaca pełną należytość 2o groszy
2o% " zniżoną cenę 1o "
2o% otrzymuje obiady bezpłatnie.

Dochód brutto wynosił według stanu kasy z 3o.stycznia za 6o4 p ł a t n y c h obiadów - zł. 1o4, a to:

437	obiadów było po 2o groszy	....	tzn. cca 62%	ogólnej kw.
167	" " " 1o "	....	" " 24%	" "
82	" " bezpłatnych	....	" " 14%	" "

38

Spisy potraw kuchni ludowej "A" i "B" tudzież ilość wydanych surowców, zobacz załącznik A. i B.

Zasadniczo kuchnie obie, zarówno "A" i "B" stoją każdemu otworem, na podstawie legitymacyj, które każdy za zgłoszeniem się otrzymać może. Legitymacje służą jedynie do kontroli, izby jedna i ta sama osoba wzgl. rodzina nie korzystała równocześnie z obydwu kuchni, albo kilkakrotnie w ciągu dnia z tej samej kuchni. Ztamtąd udałem się

do K u c h n i "B" gdzie wydawano ~~po zł. 1.50~~ około 3oo obiadów. Spis potraw zobacz według listy "B". Usługa była bardzo sprawna. W kuchni pracuje żona zastępcy przewodniczącego Rady Żydowskiej, p. Grossbardowa z całym szeregiem honorowych współpracowniczek. Kuchnia ta jest o charakterze obywatelskim, skupia przeważnie uchodźców, których nie stać na prowadzenie własnego gospodarstwa w domu. Deficyty kuchni pokrywa Rada Żydowska, która na ten cel według sprawozdania dokłada miesięcznie ..... zł. Księgi kasowe są prowadzone przejrzyście, a da się z nich także stan prowiantu w każdej chwili dokładnie sprawdzić, jakoteż wiele przydzielono do zużycia na dany dzień.

Po zwiedzeniu tej kuchni p. Dr. Hilfstein powrócił do Krakowa, ja zostałem jeszcze we Wieliczce celem odbycia narad z członkami Delegatury. Stwierdziłem, co mi zresztą poprzednio już było wiadomem, istnienie tarć między p. Friedmanową a obecnym składem Rady Żydowskiej i członkami Delegatury. Rada Żydowska pracuje tam z Delegaturą bardzo lojalnie. Obecny prezes Rady Żydowskiej jest równocześnie członkiem Delegatury. Pan Heller wprawdzie do Rady Żydowskiej nie należy, atoli przez swego szwagra, p. Grossbarda, wiceprezesa Rady Żydowskiej, utrzymuje lojalny kontakt z Radą Żydowską i cała współpraca - za wyjątkiem z panią Fr. - jest tam harmonijna. Niestety tej ostatniej we Wieliczce nie zastałem, dlatego jakieś wspólne rozmowy na ten temat niebyły możliwe.

Po południu udałem się na zwiedzenie w towarzystwie p.Grossbarda, Hellera i Dra Steinberga na zwiedzenie łaźni, której remont według zapodania członków Rady Żydowskiej wynosi 6o.ooo zł. Do tego przyczyniło się Prezydium Z.S.S. kwotą zł. 2ooo.- Pierwotny kosztorys musiał być znacznie przekroczony, gdyż ze starego zniszczonego budynku mykwy trzeba było utworzyć łaźnię, odpowiadającą wymogom nowoczesnej hygieny. Są tam prysznice, wanny, łaźnia parowa, basen na mykwę dla kobiet i mężczyzn. Braknie tylko dezynfektora dla zawszonych osób i ich odzieży. P. Grossbard przywiązuje jednak wielką wagę do urządzenia tego dezynfektora, a w trakcie naszej rozmowy w Radzie Żydowskiej w obecności p. Dra Hilfsteina jeszcze przedpołudniem, przyrzekł tenże subwencję Z.S.S. na ten cel, po przedłożeniu odpowiedniego kosztorysu.

Następnie odbyłem z p. Hellerem, Drem Steinbergiem oraz p. Gellesem konferencję co do urządzenia kursu przewarstwowienia rękodzielniczego, przedewszystkim w dziedzinie ślusarstwa i elektrotechniki. Biuro Rady Żydowskiej ma na podstawie swoich aktów podać branżowy spis wszystkich we Wieliczce osiadłych rzemieślników.

40

Nazajutrz udałem się w towarzystwie p. Hellera do Dożywialni, aby być świadkiem wydawania śniadań dla dzieci. Przesunęło się około 190 dzieci, naogół lepiej wyglądających niż dzieci w Świetlicy krakowskiej. Otrzymały śniadanie, składające się z kromki chleba z marmeladą /marmelada pochodziła z naszego przydziału/ i szklanki ciepłej owsianki /owsianka pochodziła z przydziałów Starostwa./
Ze wzorowo prowadzonych kartotek wynika, że mniejwięcej połowa dzieci pochodzi z Wieliczki a połowa są to dzieci uchodźców z Krakowa i przesiedleńców z innych miejscowości. Kartoteka ta obejmuje ogółem 233 dzieci, mniejwięcej równą ilość chłopców co dziewcząt. Między tymi dziećmi jest kilkanaście półi pełnych sierot /łącznie 19/. Zaleciliśmy aby specjalny Patronat miał nadzór nad tymi dziećmi i również kontrolę osobistą, raz albo też 2 razy w miesiącu wglądał w stosunki domowe rodzin, u których te sieroty wzgl. półsieroty są umieszczone i w ten sposób zamanifestował zainteresowanie dla traktowania tych dzieci u rodzin, które je do siebie przygarnęły. Wyjdzie to niechybnie na dobro dzieci. To moje zalecenie znalazło pełne zrozumienie. Zarówno p. Heller jak i Dr. Steinberg przyrzekli, że nad urzeczywistnieniem tego zalecenia czuwać będą.

Równocześnie widziałem, jak przygotowywano już w kuchni B. obiad na piątek i sobotę. Obiady sobotnie, jakkolwiek są jakościowo nieco obfitsze jak codziennie, nie kosztują więcej jak w dnie powszednie, a to ani w kuchni "A" ani też "B". Dlatego też liczba sobotnich obiadów jest zwykle o jakie 10% większa.

Następnie jeszcze w Radzie Żydowskiej odbyłem rozmowę z członkami tejże i naszej Delegatury co do objęcia agend opieki społecznej przez Delegaturę Z.S.S. , które powinno pokolei i systematycznie nastąpić, zgodnie z zaleceniem Władz. We Wieliczce pójdzie ta sprawa gładko, gdyż jak już przedstawiliśmy, - istnieje wielkie poczucie społecznej odpowiedzialności zarówno u przewodniczącego jak i czynnych członków Rady i niema jakichś małomiejskich ambicyj, paraliżujących wzajemną czynność i harmonijną współpracę Rady Żydowskiej i Delegatury Z.S.S.

W piątek popołudniu dnia 20.lutego 1942. wróciłem do Krakowa.-

Kraków, dnia 22. lutego 1942.

«« s. 296–298 oraz 300–301: sprawozdanie z działalności kuchni dla najuboższych prowadzonej przez wielicki Judenrat

siostrzeniec, dr Natan Stern, lekarz z Krakowa, i pojechaliśmy przez Annapel[477] do Krakowa.

Pod koniec października wróciliśmy do Krakowa. Wróciliśmy do naszego mieszkania, a w listopadzie podczas rewizji pozabierali mi srebra z domu i na tym chwilowo się skończyło.

Gdy utworzono getto w Krakowie, pojechałem z żoną, ojcem i siostrą do Wieliczki. Syn mój trzy dni przed wojną wyjechał przez Węgry i Jugosławię do Genewy, gdzie studiował. W Wieliczce był duży napływ Żydów z Krakowa, tak że z trzystu pięćdziesięciu rodzin żydowskich ich liczba wzrosła do sześciu tysięcy dusz. Getta nie było. Razem z dr. Ludwikiem Sternbergiem zorganizowaliśmy kuchnię dla stanu średniego. Po krótkim czasie objęliśmy Judenrat[478] – on jako prezes, ja jako wiceprezes. Postawiliśmy za warunek możność dobrania sobie współpracowników. Pracowali z nami dr Zygmunt Landau[479], adwokat z Krakowa, dr Izydor Rakower z Wieliczki, dr Munzen z Bielska. Znacznie później zorganizowaliśmy z polecenia władz Ordnungstdienst, którego szefem był dr Liebeskind, adwokat. Czuwaliśmy nad tym, by członkom OD Żydzi nie rzucali się w oczy i nie kręcili się po ulicy. Poza tym nie mieli prawa stosować jakichkolwiek represji w stosunku do ludności żydowskiej. Ani jednego Żyda nie zastrzelono podczas naszego urzędowania. Pracowaliśmy społecznie i celem naszym było pomagać Żydom i byliśmy do ostatniej chwili na posterunku.

10 maja 1942 roku zjawił się u mnie Szymon Spitz z Krakowa, będący na usługach gestapo, i zażądał wydania mu pięćdziesięciu Żydów do Oświęcimia. Powiedziałem mu, że dysponuję tylko własnym życiem i nie mam prawa dysponować życiem bliźnich, że to jest sprawa należąca do policji. Zawołałem sekretarza dr. Munzena, dałem mu karteczkę pożegnalną do żony i portfel z dokumentami i chciałem pójść ze Spitzem. Wściekły Spitz odszedł i zagroził, że już się o to postara, by wysłano mnie do Oświęcimia. Nikt wtedy nie poszedł i jakoś ucichło. Dziesięć, dwanaście dni później Spitz wrócił, kazał dać sobie kartotekę i szukał. Udało mi się, że go upiłem i wydobyłem z niego, że szuka sędziego Hofmanna. Ostrzegłem go jeszcze w porę, tak że zdołał uciec.

20 sierpnia 1942 roku w czwartek starosta grodzki niemiecki wezwał nas i oświadczył, że 22 sierpnia zostanie przesiedlonych z Niepołomic i okolicy trzy tysiące sześciuset Żydów i przyrzekł, że dostarczy dla nich środki żywnościowe, a od nas żądał, by ich gdzieś ulokować. Kazał nam też zaraz w sobotę przyjechać do Krakowa po *Bezugschein*[480], który rzeczywiście otrzymaliśmy. Oświadczył, że ma zamiar znacznie rozszerzyć dzielnicę żydowską. Nie uwierzyłem w dobrą wolę Niemców i po powrocie radziłem ludziom, by się ratowali, jak kto chce, bo przeczuwałem coś złego.

22 sierpnia, w sobotę, przyjechało rzeczywiście około trzech i pół tysiąca Żydów z okolicy z dobytkiem. Ulokowaliśmy ich u nas. Kuchnie były czynne bez przerwy, a w środę rano przyjechali Kunde, Hen-

[477] Właśc. Annopol.

[478] Judenrat został powołany 28 listopada 1939 roku.

[479] Więcej o doktorze Landau na s. 314–334.

[480] Właśc. *Bezugsschein* – karta przydziałowa.

Spis obiadów w Kuchni Ludowej "A " w Wieliczce

w czasie od 1 do 8 lutego 1942

/ Obliczono na 100 porcji/

41

Niedziela:	Zupa makaronowa z fasolą	5 kg makaronu 3 kg fasoli 2 kg. owsianki 1 kg mąki 2 kg jarzyny 0.20 kg oliwy
Poniedziałek,	karpele z owsianką chleb	50 kg karpeli 3 kg owsianki 2 kg mąki 0.20 kg oliwy 10 kg chleba
Wtorek:	kapusniak z ziemniakami	10 kg kapusty 30 kg ziemniaków 2 kg owsianki 2 kg mąki 0.20 kg oliwy
Sroda:	Zupa makaronowa z ziemniakami	5 kg makaronu 25 kg ziemniaków 2 kg mąki 3 kg jarzyny 0.20 oliwy
Czwartek,	Zupa pencakowa z owsianką chleb	4 kg pencaku 3 kg owsianki 2 kg mąki 2 kg jarzyny 0.20 kg oliwy
Piątek:	Kartoflanka z owsianką	40 kg ziemniaków 3 kg owsianki 2 kg mąki 2 kg jarzyny 0.20 kg oliwy
Sobota:	Zupa pencakowa bułki i chleb	5 kg pencaku 2 kg mąki 2 kg jarzyny 0.20 kg oliwy 650 bułek a 6 dkg chleb ze zbiórki

42 119

Spis obiadów w Kuchni Ludowej "B" w Wieliczce

za czas od 1 do 8 lutego 1942

obliczono na 1oo porcji

Niedziela:	Zupa pencakowa ziemniaki ze sosem płuckowy	4 kg pencaku 6o kg ziemniaków
Poniedziałke"	Zupa jarzynowa z makaronem ziemniaki , buraczki	3 kg makaronu 2 kg owsianki 50 kg ziemniaków 15 kg buraków
Wtorek:	Zupa fasolowa z ciastem ziemniaki z kapustą	2 kg fasoli 3 kg makaronu 50 kg ziemniaków 1o kg kapusty kiszonej
Środa	Zupa kartoflana makaron ze sosem	3o kg ziemniaków 1 kg mąki 1 kg owsianki 12 kg makaronu
Czwartek	Zupa makaronowa ziemniaki , karpiele	3 kg makaronu 3o kg ziemniaków 3o kag karpieli 2 kg owsianki
Piątek	Krupnik makaron z kaupstą	3 kg pencaku 2 kg owsianki 6 kg makaronu 6 kg kapusty
Sobota	Barszcz z ziemniakami czulent marchewka	1o kg buraków 150kg ziemniaków 8 kg pencaku 4 kg fasoli 15 kg marchewki

Miejscowosc: Wieliczka Powiat: Kraków Okręg : Kraków

Stacja Kolejowa: Wieliczka Poczta Wieliczka Adres : Seraf 11

4

105

Weszło, dnia 5/III 42

Zakończono, dn.

S p r a w o z d a n i e

za czas od 1.do 28.lutego 1942.-

.....

1/Ilosc Zydów przed wojną: 1.500 Obecnie: około 4.800

Ilość kupców " " 100 " " 80

ilość rzemieślników 30 " " 50

2/ Liczba ubiegających się o pomoc: 650 osób, liczba korzystających z pomocy pieniężnej: 650 osob

3/ Jaka instytucja zajmuje się opieką społeczną: Rada Zydowska w Wieliczce oraz Dekegatura Zydowskiej Samopomocy Społecznej w Wieliczce.-

4/ Kto udzielił subwencji pieniężnej i w jakiejwysokosci: W miesiącu sprawozdawczym nie otrzymalismy żadnej subwencji

5/ Wjakiej formie udzielono pomocy podpopiecznym: We formie pieniężnej , obiadów w Kuchniach, sniadan w Dozywialni dla dzieci.-

6/ Czy istnieje Szpital, Ambulatorium: Istnieje Ambulatorium
Kto zarządza Ambulatorium: Gmina Zydowska Ilosc przyjętych chorych w miesiące sprawozdawczym: 2ol.

7/ Kto zaumuje się opieką nad dieckiem: Rada Zydowska w ramach ogólnej opieki społecznej, oraz Delegatura Zydowskiej Samopmocy Społecznej w KrakWieliczce.-
Opieką nad emerytami i inwalidami: Rada Zydowska w ramach ogólnej opieki społecznej.-

8/ Ilość Zydów zatrudnionych w obozach pracy: około 20.-
Ilość Zydow zatrudnionych w Gminie: około 100 do 200 dziennie przy pracach katastrofalnych.

9/ Jakie kwoty wydatkowano na ten cel: Tygodniowe wsparcia dla rodzin robothików.-

10/Ilość rzemieslników prowadządych swoje warsztaty pracy: około 50

11/ Jakie zawody przeważają: krawcy

12/ Ile jest czynnych przedsiębiorstw żydowskich: 6.

13/ Wpływy na opiekę społeczną: 8.212 , wydatki: 11.833.77
Z jakich zródeł pokrywano wydatki: Z podatków, opłat cmentarnych, adminsitracyjnych oraz darów.-

14/ Jakie srądki żywnosciowe otrzymują Zydzi: 70 dkg chleba tygodniowo na osobę, 10 dkg cukru, 10 dkg marmelady w miesiącu sprawozdawczym.

ŻYDOWSKA SAMOPOMOC SPOŁECZNA
DELEGATURA w WIELICZCE

JUDENRAT WIELICZKA

JÜDISCHE SOZIALE SELBSTHILFE
DELEGATUR IN WIELICZKA
FERNRUF 38

ŻYDOWSKA SAMOPOMOC SPOŁECZNA
DELEGATURA W WIELICZCE
TELEFON 38

23 81

Betrifft
Dotyczy

Wieliczka, Seraf 11 **am dnia** 19 kwietnia 1942

Weszło, dnia 22/IV 42
Załatwiono, dn.

P.T. K. O. P.

ŻYDOWSKA SAMOPOMOC SPOŁECZNA
Żydowski Komitet Opiekuńczy Pow.

K r a k ó w, Józefińska 18.

Niniejszym zawiadamiamy uprzejmie, iż w naszej Delegaturze zatrudniamy następujących:

1/ Apte Henryk Dr., ur. 13.7.1888 w Krakowie zam. w Wieliczce ul. Św. Sebastjana 15.
Dział: referat pracy rolnej.

2/ Aptowicz Szymon inż. ur. 10.4.1900 w Ihrownicy pow. Tarnopol zam. w Wieliczce ul. Krótka 2. Dział: kuchnia

3/ Grossbart Rifka, ur. 15.9.1893 w Kischinowie zam. w Wieliczce ul. Legjonów 18.
Dział: kierowniczka kuchni

4/ Heller Matylda, ur. 20.4.1903 w Wieliczce zam. w Wieliczce ul. Słowackiego 5
Dział: dożywialnia dzieci

5/ Perlberger Dawid, ur. 9.1.1912 w Wieliczce zam. w Wieliczce ul. P.O.W. 12
Dział: kuchnia

6/ Perlberger Emanuel, ur. 28.2.1918 w Wieliczce zam. w Wieliczce ul. Klaśnieńska 5
Dział: Dożywialnia Dzieci

7/ Przeworska Dorota Mgr. ur. 1.9.1909 w Wiedniu zam. w Wieliczce ul. Górniczna 5
Dział: Dożywialni Dzieci

8/ Scheller Erwin ur. 1.4.1921 w Krakowie zam. w Wieliczce ul. Brodzińskiego 11
Dział: Kuchnia

9/ Schönfeld Anna ur. 4.4.1902 w Wieliczce zam. w Wieliczce ul. Aywasa 15
Dział: Dożywialni Dzieci

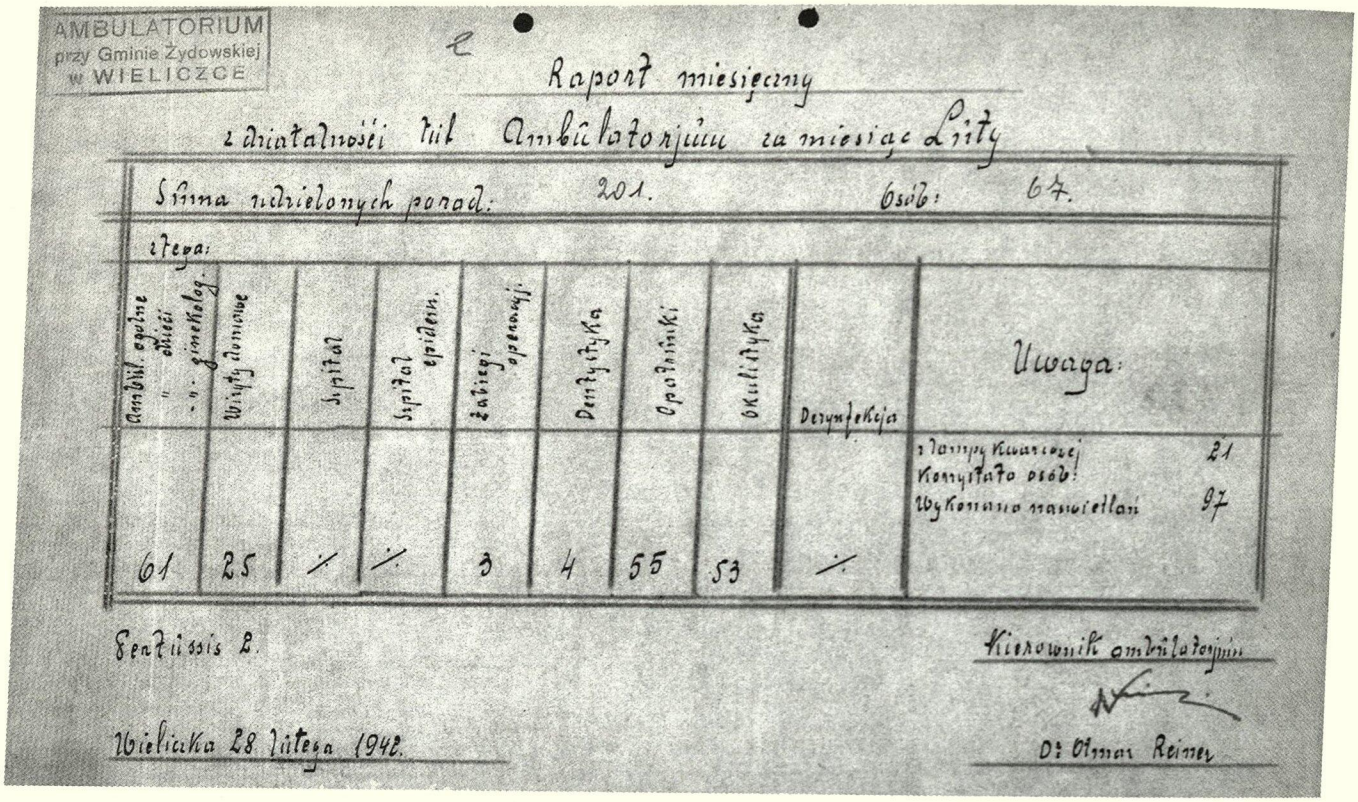
10/ Schreiber Bernard r. Benjamin Mgr. ur. 2.2.1912 w Tarnobrzegu zam. w Wieliczce ul. Klaśnieńska 3. Dział: sekretarz

11/ Szmulewicz Mowsze. ur. 25.3.1895, Krinki o/Grodna zam. w Wieliczce Słowackiego 21
Dział: Dożywialnia Dzieci

W załączeniu przesyłamy po 2 fotografie każdego z wymienionych i prosimy uprzejmie o wydanie dla nich odpowiednich legitymacji.
Nadmieniamy, że odnośne podanie do tut. Urzędu Pracy swego czasu wnieśliśmy i przydział pracy dla wszystkich wyżej wymienionych już nastąpił. Zostali oni już również zgłoszeni do Ubezpieczalni Społ.

Z poważaniem

ŻYDOWSKA SAMOPOMOC SPOŁECZNA
DELEGATURA w WIELICZCE



AMBULATORIUM
przy Gminie Żydowskiej
w WIELICZCE

Raport miesięczny
z działalności Ambulatorjum za miesiąc Luty

Suma udzielonych porad: 201. Osób: 67.

Z tego:

Ambul. ogólne	" - ginekolog.	Wizyty domowe	Szpital	Szpital epidem.	Zakłady opiekuńcze	Dentystyka	Opatrunki	Okulistyka	Dezynfekcja	Uwaga:
										z tamtego kwartału 21 Kontrolowano osób: 97 Wykonano nasmarowań
61	25	/	/	3	4	55	53	/		

Sanitätsrat Dr.

Kierownik ambulatorjum

Wieliczka 28 lutego 1942.

Dr Otmar Reiner

≈ Sprawozdanie z działalności ambulatorium wielickiego, 28 lutego 1942 roku

«« s. 302: sprawozdanie z działalności Judenratu wielickiego, 1942 rok
s. 303: spis osób zatrudnionych w wielickim Judenracie, 1942 rok

rich, Becher. Wezwali nas trzech i dali nam imienną listę stu dwudziestu ośmiu osób, które pracowały w miejskich zakładach w Wieliczce (Stattische Werkstutten[481]) i które mają być przeniesione do Bochni. Kazali nam wyszukać kenkarty rodzin tych ludzi do ostemplowania, w celu umożliwienia im przejazdu do Bochni. Miało to być do rana przedłożone. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że ma być wysiedlenie, tym bardziej że zjechało wtedy dużo polskiej policji granatowej. Sam przebieg wysiedleń, które odbywały się przedtem gdzie indziej, był dla nas niejasny. Pytałem raz Stadkomissara[482] Hermana Rossiga, przyzwoitego człowieka, co się dzieje z tymi wysiedlonymi, a on odpowiedział, że jadą na Ukrainę do robót. Nazajutrz rano w środę zanieśliśmy ponad pięćset legitymacji, dołączyliśmy jeszcze kogo się dało do tych rodzin i dostaliśmy je ostemplowane z powrotem, by je dać ludziom. Ponadto zażądali sto pięćdziesiąt tysięcy złotych i trzy kilogramy kawy[483].

[481] Właśc. Städtische Werkstätte.

[482] Właśc. Stadtkommissara.

[483] Zob. s. 248–249, 314.

Wieczorem o ósmej zanieśliśmy to do magistratu we trójkę i dostaliśmy rozkaz, że wszyscy Żydzi bez wyjątku mają się zgłosić o piątej rano na placu koło dworca kolejowego w celu przesiedlenia. W magistracie przypadkiem widziałem plakaty[484] z tym rozporządzeniem i równocześnie zrządzenie zabraniające Polakom ukrywania Żydów[485]. Widziałem też kilkaset flaszek wódki i dziesiątki tysięcy papierosów. Dostałem na miejscu w magistracie ataku serca, ratowali mnie, a komisarz Rossig podszedł do mnie, gdy leżałem w jego biurze, podał mi wodę i powiedział: „Ich kann Ihnen nichts helfen, ich bin gegen die SS so klein"[486] i wskazał nisko przy ziemi. Gdy mnie odratowano, wróciłem do Judenratu i powiedziałem kolegom, że odchodzę, pożegnałem się ze wszystkimi i koledzy mieli zawiadomić ludność żydowską.

Ukryłem się w garbarni z żoną i siostrą, gdzie było ukrytych pięćdziesiąt osiem osób. Z tych żyją obecnie zaledwie trzy, cztery osoby – Matylda Heller z domu Perlberger z Wieliczki z córeczką, Izaak Birnbaum[487] i ja.

Siedzieliśmy pod ziemią w piwnicy, nad którą była szopa z kozą. Wysiedlenie odbyło się w czwartek rano 28 sierpnia[488]. Siedząc w ukryciu, byliśmy izolowani od świata i nie wiedzieliśmy, co się dzieje w mieście. W piątek wieczorem o zmierzchu umarła nagle ukrywająca się z nami czterdziestoletnia Schenkerowa z domu Rothblum, synowa Dawida Schenkera z Krakowa. Mąż jej umarł w Wieliczce kilka tygodni wcześniej. Zakopaliśmy ją rękoma w piwnicy, w której się ukrywaliśmy. Po kilku dniach wychodziliśmy stamtąd pojedynczo i poszliśmy bez opasek do Krakowa, a tam przedostaliśmy się do getta.

---

[484] Zob. ilustracja na s. 346.

[485] Zob. ilustracja na s. 314–315.

[486] Niem. „Nie mogę Panu pomóc, przeciw SS jestem taki mały".

[487] Wspomnienia Izaaka Birnbauma, s. 359.

[488] Wysiedlenie odbyło się 27 sierpnia 1942 roku, zob. przyp. 457.



Jedna z ofiar Zagłady: Chana Gross (z domu Perlberger), urodziła się w 1897 roku w Wieliczce, tam też zginęła rozstrzelana przez Niemców wraz ze swoją matką w grudniu 1942 roku. Sama była matką dwóch chłopców

WYSIEDLENIE ŻYDÓW Z WIELICZKI

Menasze Hollander

Wieliczka była pierwszym miastem w dystrykcie krakowskim, w którym przeprowadzono kompletne wysiedlenie Żydów, tak zwane *Judenrein*. Już po wysiedleniu częściowym z getta krakowskiego w czerwcu 1942 roku groźba ciążyła nad wszystkimi skupieniami żydowskimi jak miecz Damoklesa. Nikt jednak nie przypuszczał, że może dojść do kompletnej zagłady. Brano za wzór getto krakowskie i inne miejscowości, gdzie wysiedlenia objęły przede wszystkim starców, których praca nie służyła bezpośrednio machinie wojennej.

Społeczności żydowskie wszystkich miast i miasteczek zajęły się gorączkowo pracą dla przemysłu wojennego, by uchronić jak najwięcej ludzi przed wysiedleniem. Rozpoczęło się organizowanie wzorowych warsztatów pracy, obejmujących wszystkie rzemiosła. Inwestowano w kapitały i maszyny. Powstawały imponujące placówki przemysłowe, które z miejsca przystąpiły do twórczej pracy. Między innymi w Wieliczce powstały olbrzymie warsztaty. Każdy starał się o tak zwany *einsatz*[489], który miał go chronić od wysiedlenia – śmierci. Oddawano ostatnie grosze za placówkę pracy, za świadomość, że jest się produktywnym

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 59–63.

[489] *Einsatz* – angaż do prac przymusowych podczas okupacji.

elementem. Jeszcze kilka dni przed wysiedleniem z Wieliczki za życzliwą poradą władz niemieckich stworzono szpital żydowski. Zatrudniono w nim pewną liczbę lekarzy żydowskich i pielęgniarek. Były to, zdawało się, wymarzone *einsatze*, a ponadto miał to być przytułek i schron dla chorych i starców. Płacono duże sumy za taki *einsatz*, względnie za przyjęcie do szpitala, które przecież miało chronić przed wysiedleniem.

W lipcu 1942 roku gestapo nałożyło na społeczeństwo żydowskie w Wieliczce kontrybucję w wysokości stu tysięcy złotych, która po kilku dniach została podwyższona do pięciuset tysięcy złotych[490]. Wiedziano, że to w związku z mającym nastąpić wkrótce wysiedleniem. Taki zwyczaj. Żydzi musieli zapłacić z góry za tak zwane przesiedlenie na nową placówkę pracy, którą, jak się okazało, były piece gazowe i krematoria w Bełżcu i Treblince. Perfidia, jakiej świat nie widział. Suma została w całości zapłacona. Społeczeństwo żydowskie, oddając swoje ostatnie pieniądze, odetchnęło z ulgą. Istniała nadzieja, że dzięki temu wysiedlenie będzie łagodniejsze.

W Wieliczce skoncentrowano Żydów z okolicznych miasteczek i wsi. Zezwolono na przeniesienie całego dobytku i polecono tamtejszej Radzie Żydowskiej ulokować przybyszów w mieszkaniach Żydów wielickich. Skupienie Żydów wynosiło wówczas trzynaście tysięcy dusz[491].

Nagle 27 sierpnia 1942 roku w południe ukazały się na mieście ogłoszenia, które wzywały wszystkich Żydów wielickich do stawienia się nazajutrz, to jest 28 sierpnia, do godziny siódmej rano na łące koło dworca kolejowego[492]. Ogłoszenie dotyczyło wszystkich Żydów, bez względu na wiek, płeć i zajęcie. Wyjątek stanowili tylko ci, którzy na swych legitymacjach mieli pieczątki gestapo, i ich rodziny. Takich szczęśliwców było stu osiemdziesięciu[493]. Uznano ich za fachowców i odesłano do warsztatów bocheńskich.

Ludność ogarnęła okropna panika. Wszystkie *einsatze*, funkcje gminne i stanowiska okazały się fikcją. Kompletne wysiedlenie, którego nikt nie przewidywał, stało się faktem. Groźba strasznej śmierci zawisła nad społecznością. Znikąd ratunku. Ucieczka niemożliwa. Miasto od siedmiu dni otoczone było żandarmerią i policją polską, która skrupulatnie służyła swoim mocodawcom.

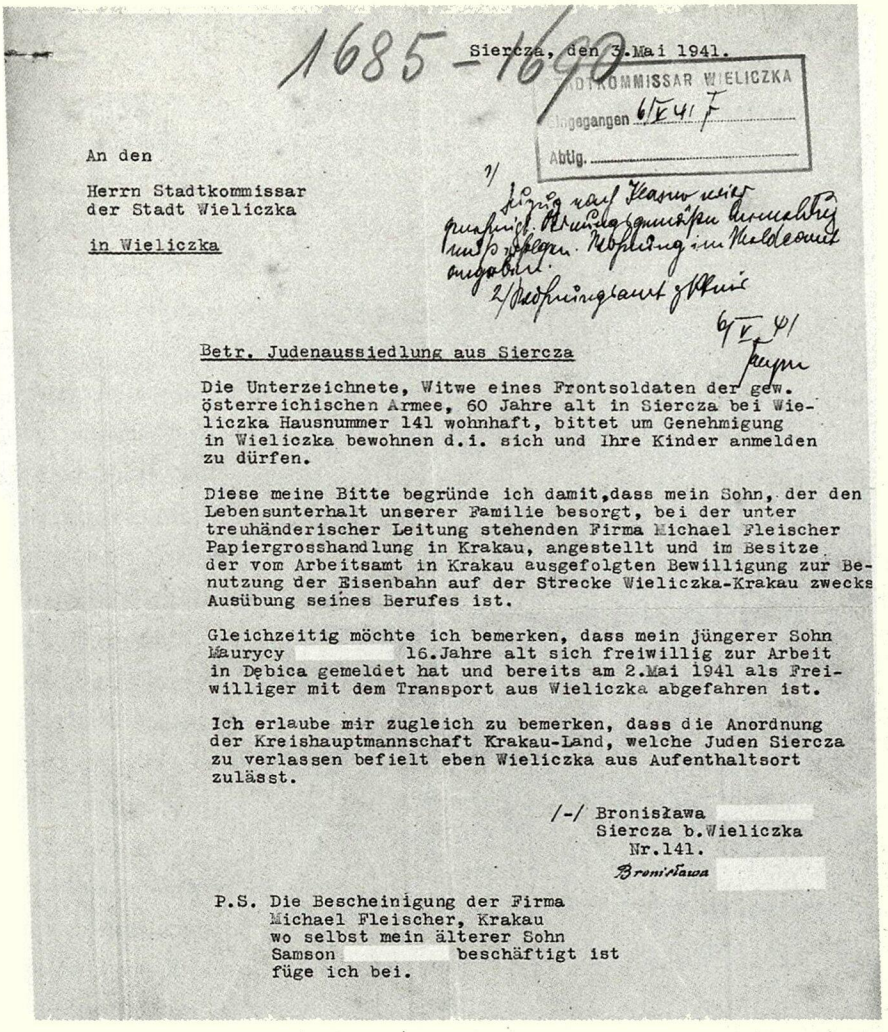
28 sierpnia 1942 roku o siódmej rano rozpoczęła się akcja wysiedlenia. Na łące obok dworca zebrały się tysiące nieszczęśliwych Żydów. Tysiące ludzi młodych i zdrowych, tysiące dzieci i starców. Masa przeznaczona na zagazowanie. Żadnych lamentów ani krzyków. Nikt nie błaga, nikt nie prosi. Masa milczy. Desperacko idzie ku swemu strasznemu przeznaczeniu. Żywi nie tracą nadziei, to może jednak transport do pracy. Masa się tłoczy, matki kurczowo trzymają swoje dzieci. Jakiś straszny wyraz i złe przeczucie malują się na twarzach wszystkich. Plac jest otoczony żandarmerią polską i oddziałem SS. Wokoło masy ludzkiej ustawione są karabiny maszynowe. Kierownikami wysiedlenia są esesmani Kunde, Heinrich i inni, którzy leniwie, zadowoleni z siebie, poruszają się wokół nieszczęśliwców. Butni i pewni siebie, naród panów, pełniący swą misję dziejową... Rozpoczyna się segregacja. Ustawieni setkami – męż-

[490] Zob. przyp. 434.

[491] Według innych źródeł około ośmiu, jedenastu lub dwunastu tysięcy, zob. s. 249, 269, 316, 324.

[492] Zob. przyp. 457.

[493] Zob. s. 321.



1685 – 1690

Siercza, den 3.Mai 1941.

STADTKOMMISSAR WIELICZKA
Eingegangen 6/V 41
Abtlg.

An den

Herrn Stadtkommissar
der Stadt Wieliczka

in Wieliczka

Betr. Judenaussiedlung aus Siercza

Die Unterzeichnete, Witwe eines Frontsoldaten der gew. österreichischen Armee, 60 Jahre alt in Siercza bei Wieliczka Hausnummer 141 wohnhaft, bittet um Genehmigung in Wieliczka bewohnen d.i. sich und Ihre Kinder anmelden zu dürfen.

Diese meine Bitte begründe ich damit, dass mein Sohn, der den Lebensunterhalt unserer Familie besorgt, bei der unter treuhänderischer Leitung stehenden Firma Michael Fleischer Papiergrosshandlung in Krakau, angestellt und im Besitze der vom Arbeitsamt in Krakau ausgefolgten Bewilligung zur Benutzung der Eisenbahn auf der Strecke Wieliczka-Krakau zwecks Ausübung seines Berufes ist.

Gleichzeitig möchte ich bemerken, dass mein jüngerer Sohn Maurycy [redacted] 16.Jahre alt sich freiwillig zur Arbeit in Dębica gemeldet hat und bereits am 2.Mai 1941 als Freiwilliger mit dem Transport aus Wieliczka abgefahren ist.

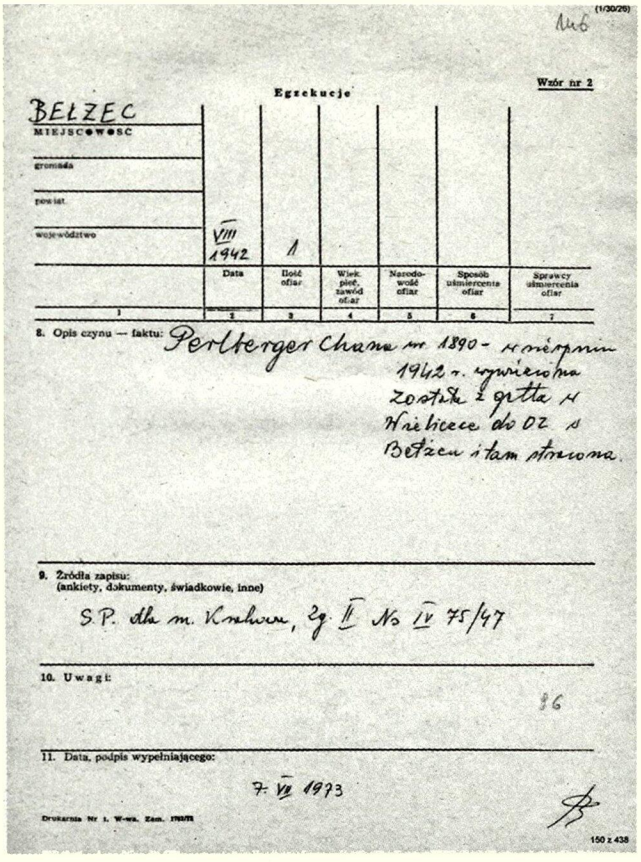
Ich erlaube mir zugleich zu bemerken, dass die Anordnung der Kreishauptmannschaft Krakau-Land, welche Juden Siercza zu verlassen befielt eben Wieliczka aus Aufenthaltsort zulässt.

/-/ Bronisława [redacted]
Siercza b.Wieliczka
Nr.141.

P.S. Die Bescheinigung der Firma
Michael Fleischer, Krakau
wo selbst mein älterer Sohn
Samson [redacted] beschäftigt ist
füge ich bei.

Podanie o zgodę na zamieszkanie w Wieliczce, 1941 rok:
Niżej podpisana wdowa po żołnierzu frontowym [niezrozumiały skrót] austriackiej armii, lat sześćdziesiąt, zamieszkała w Sierczy, numer domu 141, prosi o pozwolenie na to, by mogła zamieszkać w Wieliczce, to jest zameldować się u swoich dzieci.
Uzasadniam tę moją prośbę tym, że mój syn, który troszczy się o utrzymanie naszej rodziny, jest zatrudniony w kierowanej powierniczo firmie Michael Fleischer Handel Hurtowy Papierem w Krakowie oraz jest w posiadaniu wydanego przez Urząd Pracy w Krakowie zezwolenia na użytkowanie kolei żelaznej na trasie Wieliczka – Kraków w celu wykonywania swego zawodu.
Równocześnie chciałabym zaznaczyć, że mój młodszy syn Maurycy [...], lat 16, dobrowolnie zameldował się do pracy w Dębicy i już 2 maja 1941 roku odjechał jako ochotnik z transportem z Wieliczki.
Pozwalam sobie zarazem zaznaczyć, że rozporządzenie Starostwa Powiatu Kraków, które nakazuje Żydom opuścić Sierczę, właśnie dopuszcza Wieliczkę jako miejsce pobytu.

Bronisława [...]
Siercza k. Wieliczki
Nr. 141



(1/30/26)

Egzekucje

Wzór nr 2

BEŁZEC
MIEJSCOWOŚĆ

gromada

powiat

województwo

	Data	Ilość ofiar	Wiek, płeć, zawód ofiar	Narodowość ofiar	Sposób uśmiercenia ofiar	Sprawcy uśmiercenia ofiar
	VIII 1942	1				
1	2	3	4	5	6	7

8. Opis czynu — faktu: Perlberger Chana ur. 1890 - w sierpniu 1942 r. wywieziona została z getta w Wieliczce do OZ w Bełżcu i tam stracona.

9. Źródła zapisu:
(ankiety, dokumenty, świadkowie, inne)
S.P. dla m. Krakowa, Zg. II Ns IV 75/47

10. Uwagi:
86

11. Data, podpis wypełniającego:
7. VII 1973

Drukarnia Nr 1. W-wa. Zam. 1969/71

150 x 438

Informacja o wywiezieniu do Bełżca Chany Perlberger, 7 lipca 1973 roku

czyźni osobno i kobiety osobno. Dzieci zostawiono przy matkach. Żegnają się na zawsze żony z mężami, matki z synami, siostry z braćmi. Słychać płacz cichy, westchnienia i słowa pocieszenia, może Bóg da, że się jeszcze zobaczymy... Nawoływania, bicie, kopanie i wyzwiska esesmanów przerywają pożegnanie. Im jest spieszno. Wszystko musi pójść z niemiecką dokładnością. Wszyscy muszą siedzieć setkami. Tak zawsze pewniej. Dokonano selekcji. Młodych mężczyzn do pracy, starców i niezdolnych załadowano na auta ciężarowe. Załadowano jak rupiecie. Rzucano jednych na drugich, mimo krzyku z powodu łamanych kości. Na oczach zebranej masy ludzkiej zabrano matki i ojców na rozstrzelanie w Puszczy Niepołomickiej. Około tysiąca[494] osób tam wywieziono i w tym dniu rozstrzelano . Reszta, cała wielotysięczna masa, zagnana została do wagonów, które poszły do Bełżca na śmierć przez zagazowanie.

W tym samym czasie odbywała się likwidacja szpitala. Miał być azylem dla chorych i personelu lekarskiego, a stał się ich masowym grobem. Grupa esesmanów i policji polskiej wpadła do szpitala i ładując wszystkich na auta ciężarowe, jednocześnie strzelała do wszystkich znajdujących się tam chorych. Przeraźliwym krzykom mordowanych, bezbronnych starców i chorych towarzyszyły wystrzały karabinów i rewolwerów.

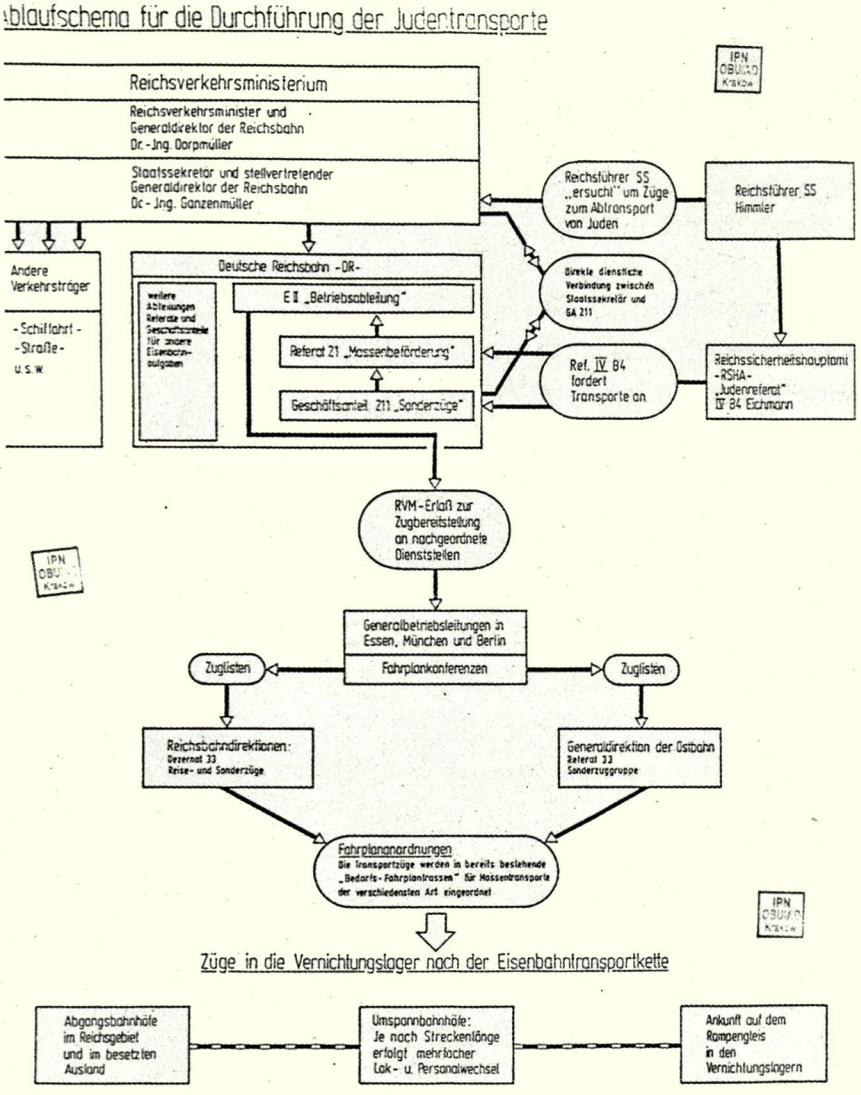
W tym samym czasie na ulicach i w mieszkaniach trwało polowanie na ukrywających się Żydów. Słychać bezustanną strzelaninę. Na ulicach leżą trupy, wynosi się je z mieszkań i bunkrów. Śmieciarki magistrackie zajeżdżają bezustannie. Rzuca się na nie sztywne, jeszcze ciepłe ciała młodych kobiet, męż-

[494] Inne źródła mówią o siedmiuset, tysiącu dwustu lub dwóch tysiącach, zob. s. 251, 271, 324.

czyzn i dzieci. Na cmentarzu wre praca. Zapełniają się masowe groby – męczennikami.

Przed gminą żydowską pozostała grupa stu osiemdziesięciu mężczyzn z rodzinami, przeznaczonych do pracy w Bochni, łącznie dwieście osiemdziesiąt osób. Ci uważali się za najszczęśliwszych. Uszli wysiedleniu i oczekiwali aut, które miały ich przewieźć do Bochni. Ale i oni nie uniknęli losu swych braci.

W godzinach popołudniowych tego samego dnia nadeszło zarządzenie, że na skutek żydowskiego sabotażu (w warsztatach bocheńskich wybuchł pożar) grupa ta zamiast do Bochni ma zostać dołączona do transportu ze Skawiny. Wśród bezustannego bicia kolbami karabinowymi tych dwustu osiemdziesięciu Żydów zostało zagnanych na plac przed szkołą. Stąd autami ciężarowymi pod eskortą polskiej policji zostali przewiezieni do Skawiny i dołączeni do Żydów przeznaczonych na zagazowanie w Bełżcu. Z całego transportu skawińskiego uratowali się tylko trzej Żydzi. Byli to dwaj bracia Rajzmanowie z Krakowa – Arie i Zeew, i ja, który uciekłem w ostatniej chwili z trzyletnim dzieckiem, dzięki pomocy z zewnątrz.



Schemat postępowania przy przeprowadzaniu transportów Żydów do obozów zagłady

URYWEK Z PAMIĘTNIKA

Maria Bill-Bajorkowa

20 SIERPNIA 1942 (CZWARTEK)

Widzę wielu ludzi idących szybko polami do Niepołomic. Z dala od szosy, którą patrolują żandarmi, policja i jakieś nieznane mi, podejrzane osoby. Ludzie chcą ich ominąć. Ścieżkami i miedzami kierują się na południe, w stronę Myślenic.

To ci, którzy uciekają przed wysiedleniem i kierują się na Węgry. W Niepołomicach ogłoszono Żydom, że w ciągu trzech dni, to znaczy do soboty w południe, wszyscy mają przenieść się do Wieliczki i tam zarejestrować, pod karą śmierci za niestawienie się.

Jadą więc wozy konne z Żydami, całe rodziny z dziećmi na betach pościelowych. Rynek zapełnia się nimi, schodzą z wozów i idą do kahału, tam się meldują. W kahale zapisują ich i przydzielają im kwatery.

Na Rynku Górnym widzę siedzących na wozach starych Żydów, którym łzy leją się po twarzach. Ci nie schodzą z wozów, wszystko im jedno, wiedzą, że śmierć ich nie ominie. Straszny widok, tych płaczących starych ludzi.

Ma ich przybyć do Wieliczki sześć tysięcy. Mówią mi, że do tysiąca ich zbiegło i nie zgłoszą się wcale. U nas w Wieliczce jest od pięciu ty-

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 63–81.

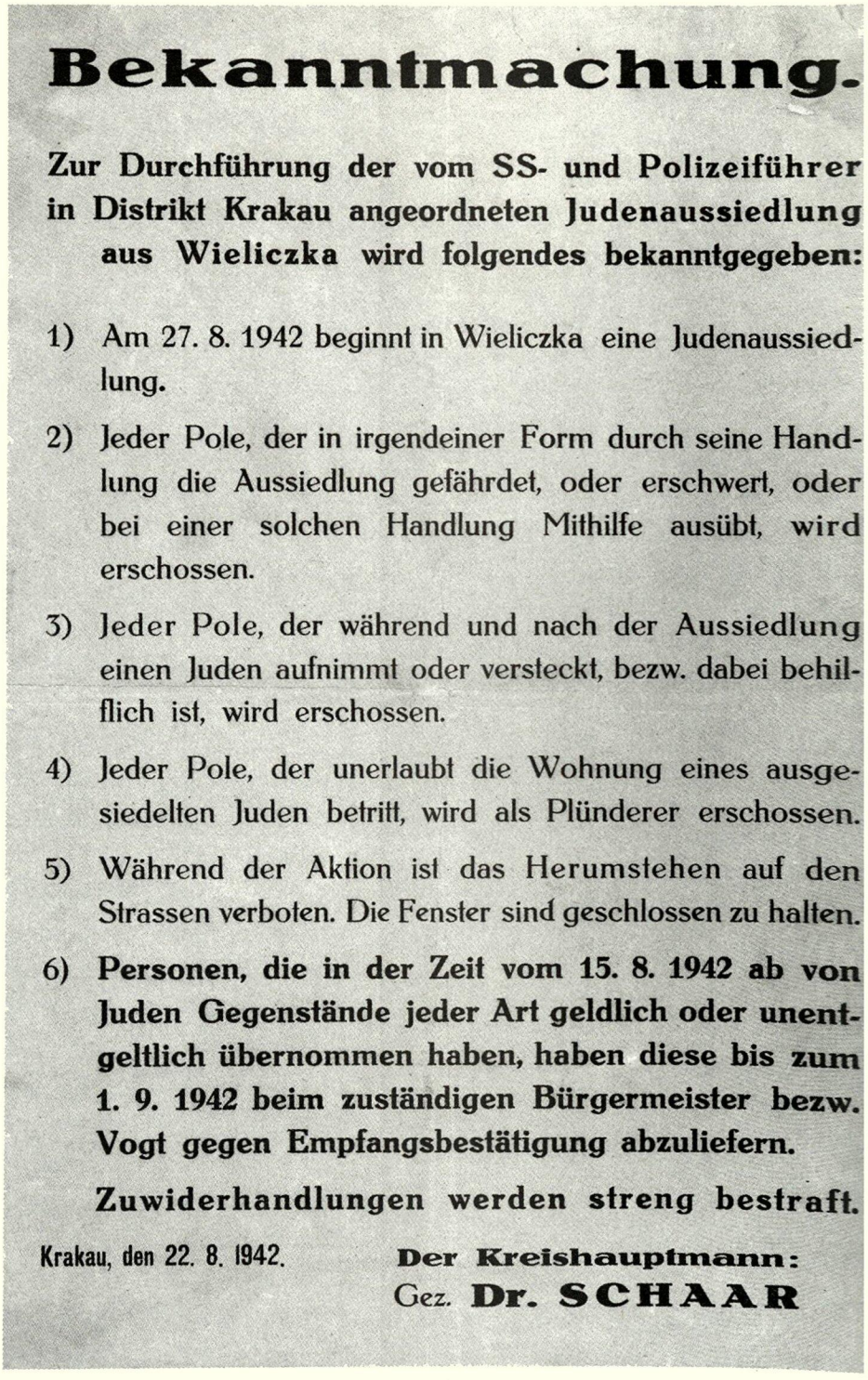
sięcy czterystu do sześciu tysięcy Żydów. Z Niepołomic ma przybyć sześć tysięcy, gdzie ci ludzie się pomieszczą?

Dwa miesiące temu Niemcy nałożyli na tutejszych Żydów kontrybucję, w sumie dwa miliony złotych. Żydzi targowali się, robili rekursa, aby zmniejszono tę sumę, przeciągali jej płatność, znowu prosili, byle tylko odwlec zapłatę, ale Niemcy nie chcą już zwlekać. Żydzi muszą im dać milion złotych[495].

21 SIERPNIA 1942 (PIĄTEK)

Coraz więcej Żydów przybywa do Wieliczki z Niepołomic. Szukają mieszkań, o które bardzo trudno. Kahał nie może sobie z nimi dać rady. Na peryferiach miasta nie wolno przyjmować Żydów na mieszkania. Mimo tego wielu z nich zakwaterowano na Lekarce, dzielnicy, w której mieszkamy.

Na Nowym Świecie stoi barak przygotowany dla kilkudziesięciu ludzi. Wsadzono tam siedmiuset Żydów, ścisk nie do opisania, o odpoczynku nie ma mowy. Trudno nawet stać, siedzieć nie ma gdzie, a pieca do gotowania nie ma wcale.



Bekanntmachung.

Zur Durchführung der vom SS- und Polizeiführer in Distrikt Krakau angeordneten Judenaussiedlung aus Wieliczka wird folgendes bekanntgegeben:

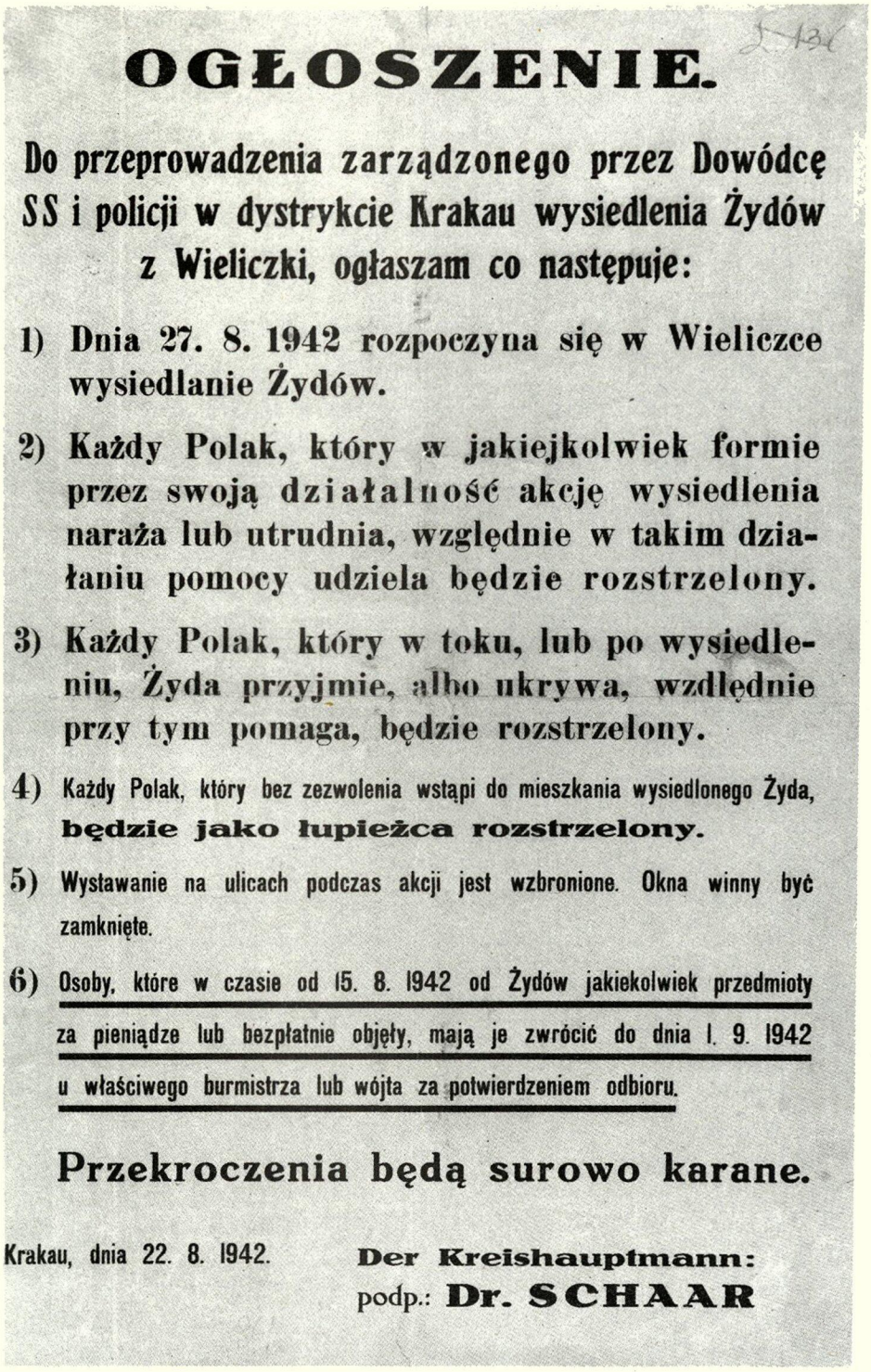
1) Am 27. 8. 1942 beginnt in Wieliczka eine Judenaussiedlung.
2) Jeder Pole, der in irgendeiner Form durch seine Handlung die Aussiedlung gefährdet, oder erschwert, oder bei einer solchen Handlung Mithilfe ausübt, wird erschossen.
3) Jeder Pole, der während und nach der Aussiedlung einen Juden aufnimmt oder versteckt, bezw. dabei behilflich ist, wird erschossen.
4) Jeder Pole, der unerlaubt die Wohnung eines ausgesiedelten Juden betritt, wird als Plünderer erschossen.
5) Während der Aktion ist das Herumstehen auf den Strassen verboten. Die Fenster sind geschlossen zu halten.
6) **Personen, die in der Zeit vom 15. 8. 1942 ab von Juden Gegenstände jeder Art geldlich oder unentgeltlich übernommen haben, haben diese bis zum 1. 9. 1942 beim zuständigen Bürgermeister bezw. Vogt gegen Empfangsbestätigung abzuliefern.**

Zuwiderhandlungen werden streng bestraft.

Krakau, den 22. 8. 1942.

Der Kreishauptmann:
Gez. **Dr. SCHAAR**

[495] Zob. s. 308 oraz przyp. 434.



OGŁOSZENIE.

Do przeprowadzenia zarządzonego przez Dowódcę SS i policji w dystrykcie Krakau wysiedlenia Żydów z Wieliczki, ogłaszam co następuje:

1) **Dnia 27. 8. 1942 rozpoczyna się w Wieliczce wysiedlanie Żydów.**

2) **Każdy Polak, który w jakiejkolwiek formie przez swoją działalność akcję wysiedlenia naraża lub utrudnia, względnie w takim działaniu pomocy udziela będzie rozstrzelony.**

3) **Każdy Polak, który w toku, lub po wysiedleniu, Żyda przyjmie, albo ukrywa, wzdlędnie przy tym pomaga, będzie rozstrzelony.**

4) Każdy Polak, który bez zezwolenia wstąpi do mieszkania wysiedlonego Żyda, **będzie jako łupieżca rozstrzelony.**

5) Wystawanie na ulicach podczas akcji jest wzbronione. Okna winny być zamknięte.

6) Osoby, które w czasie od 15. 8. 1942 od Żydów jakiekolwiek przedmioty za pieniądze lub bezpłatnie objęły, mają je zwrócić do dnia 1. 9. 1942 u właściwego burmistrza lub wójta za potwierdzeniem odbioru.

Przekroczenia będą surowo karane.

Krakau, dnia 22. 8. 1942.

Der Kreishauptmann:
podp.: **Dr. SCHAAR**

Odezwa do Polaków zakazująca ukrywania Żydów podczas wysiedlenia, 22 sierpnia 1942 roku

Ludzie więc uciekają z baraku, proszą po domach o jakikolwiek kąt, niektóre rodziny przyjmują po dwadzieścia, trzydzieści osób do siebie.

22 SIERPNIA 1942 (SOBOTA)

Dziś sobota. Wszędzie pełno wałęsających się Żydów, całe procesje. Tutejsi Żydzi wiedzą, że to ich koniec, więc kto może, ucieka w stronę Myślenic, Mszany Dolnej. Górami, lasami, polami, próbują przedostać się na Węgry, ale tylko ludzie bogaci mogą to zrobić. Biedacy czekają na wypełnienie się losu.

Dr Landau mówił mi, że rabini mieli przemawiać do Żydów, nakłaniając ich, aby nie sprzeciwiali się woli Niemców i aby wykonywali wszystko, co Niemcy rozkażą. Swoją mowę zakończyli słowami: „Niech się los spełnia, niech się potwór nażre!".

Rezultat tych apeli jest taki, że Żydzi wcale nie myślą o samoobronie, zrezygnowani mówią „niech się los spełnia..." i czekają.

Kilkudziesięciu, kwiat inteligencji, naprawia trotuary. Walą ciężkimi kilofami, pot leje im się z czół, gorąc nie do wytrzymania, a oni pracują.

Pięćdziesiąt Żydówek z inteligencji zamiata ulice, kilka pięknych Żydóweczek codziennie przychodzi sprzątać żandarmerię. Przed kilkoma dniami odbyła się rejestracja Żydów w Wieliczce. Rejestracje odbywają się często, wybierają rzekomo do roboty. Do najcięższych robót biorą ludzi z uniwersyteckim wykształceniem.

Niemcy ogłosili, że ukrywanie, pomoc Żydom w ucieczkce lub jakakolwiek inna będą karane śmiercią. Takie ogłoszenia rozwieszono również w Niepołomicach, Dobczycach, Gdowie, skąd Żydzi musieli udać się do Wieliczki.

23 SIERPNIA 1942 (NIEDZIELA)

Koncentracja Żydów w Wieliczce. Jest ich tu jedenaście tysięcy[496]. Każdego Żyda spotkanego poza obrębem miasta mają zastrzelić.

Nocowała u nas pani Lidia Ziemels i rano wraz z dr. Landauem wybrali się do Krakowa. Wędrowali polnymi drogami, nie szosą, bez dokumentów osobistych.

Posterunki policyjne ustawiono na wszystkich drogach prowadzących do Wieliczki. Objeżdża te posterunki żandarmeria wozem konnym, bo samochód im się zepsuł i stoi obok naszego ogrodu na podworcu. Tak ma być przez sześć dni; co Niemcy zrobią w tym czasie, nikomu nie wiadomo.

Kobiety żydowskie błagają ludzi, żeby przenocować ich dzieci. Wiedzą, że dzieci do lat piętnastu są zabijane, tak samo mordują ludzi starych, tych spalają elektryką i ślad po nich ginie.

Policja polska patrzy przez palce, jak całe rodziny Żydów wychodzą poza obręb miasta, by uciec z tego piekła, które przygotowują Niemcy. Żydzi chodzą jak obłąkani. Zbliża się dla nich sąd ostateczny. Głodni, niewypoczęci, przepracowani, znękani... Chodzą jak lunatycy lub pijani.

Patrzę na to, zdaje mi się, że to sen.

To ma być kultura XX wieku?

Przyszedł do nas pan Blühbaum, niegdyś milioner i właściciel magazynu perskich dywanów. Co on ma robić? Jak się ukryć? Gdyby Niemcy otwarli szpital, który jest gotowy od kilku tygodni, to on umieści tam swoją żonę, zabezpieczając ją przed wywozem i śmiercią, ale co ma zrobić z sobą i synami?

„Przekleństwo wisi nad Żydami – mówi nam. – Przekleństwo! My, Żydzi, jesteśmy znaczeni, wszędzie nas wykryją, rytuał obrzezania nas wygubi!".

Kobiety ukryją się prędzej. Patrzę przez okno, żandarm prowadzi kobietę, ubraną po wiejsku, w białej chusteczce na głowie.

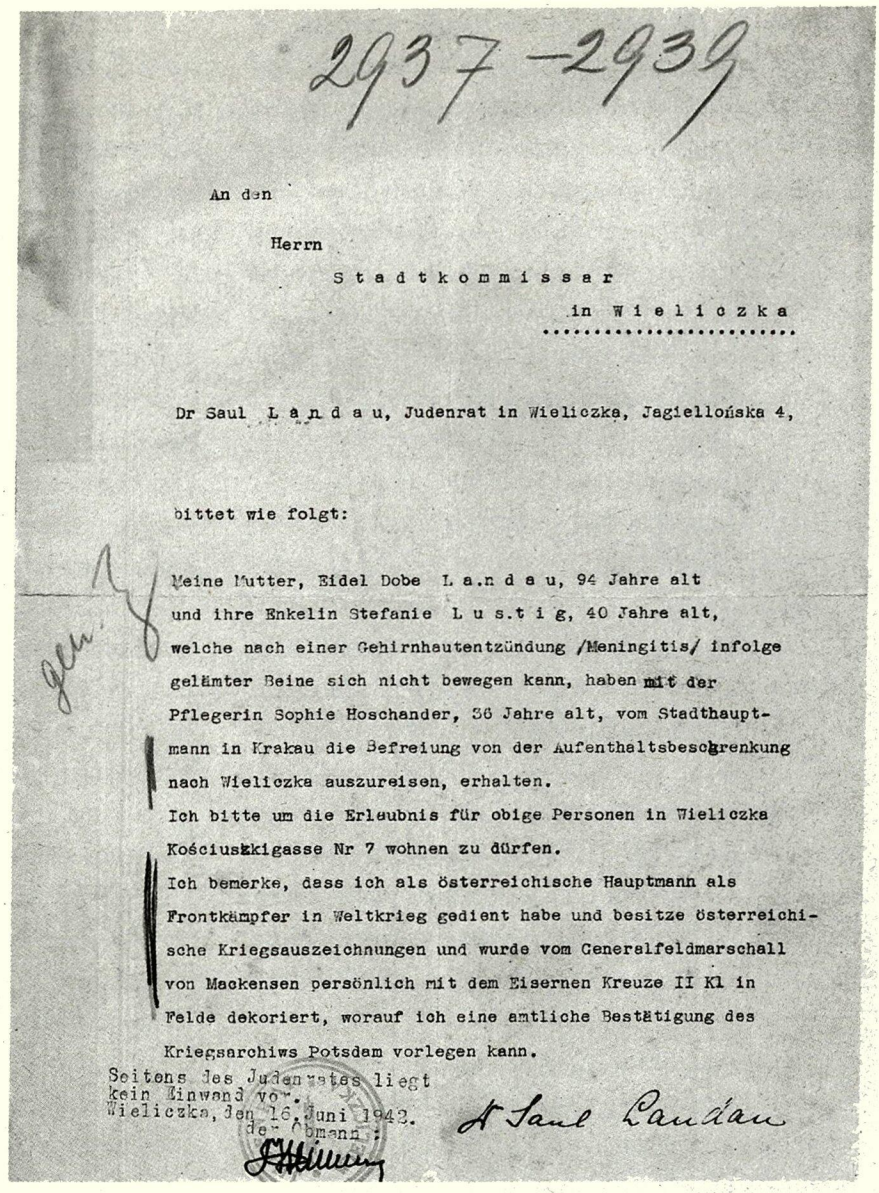
Weszli do budynku żandarmerii. Za kwadrans wyszedł z nią z powrotem. Odprowadził ją do aresztu gminy. Ta kobieta to spóźniona ofiara z Niepołomic.

Mój sąsiad Durak opowiadał mi, że dziś rano widział na drodze z Niepołomic trzy wozy pełne trupów Żydów.

24 SIERPNIA 1942 (PONIEDZIAŁEK)

Wczoraj po południu dostałam wiadomość od dr. Landaua i pani Lidii Ziemels, że szczęśliwie dotarli do Krakowa. Dokumenty osobiste im odesłałam. Żona, córka i zięć doktora w bezpiecznym miejscu.

[496] Zob. s. 249, 267, 308, 324.



2937-2939

An den

Herrn

S t a d t k o m m i s s a r

in W i e l i c z k a

.....

Dr Saul L a n d a u, Judenrat in Wieliczka, Jagiellońska 4,

bittet wie folgt:

Meine Mutter, Eidel Dobe L a n d a u, 94 Jahre alt
und ihre Enkelin Stefanie L u s t i g, 40 Jahre alt,
welche nach einer Gehirnhautentzündung /Meningitis/ infolge
gelähmter Beine sich nicht bewegen kann, haben mit der
Pflegerin Sophie Hoschander, 36 Jahre alt, vom Stadthaupt-
mann in Krakau die Befreiung von der Aufenthaltsbeschränkung
nach Wieliczka auszureisen, erhalten.
Ich bitte um die Erlaubnis für obige Personen in Wieliczka
Kościuszkigasse Nr 7 wohnen zu dürfen.
Ich bemerke, dass ich als österreichische Hauptmann als
Frontkämpfer in Weltkrieg gedient habe und besitze österreichi-
sche Kriegsauszeichnungen und wurde vom Generalfeldmarschall
von Mackensen persönlich mit dem Eisernen Kreuze II Kl in
Felde dekoriert, worauf ich eine amtliche Bestätigung des
Kriegsarchiws Potsdam vorlegen kann.

Seitens des Judenrates liegt
kein Einwand vor.
Wieliczka, den 16. Juni 1942.
der Obmann:

Dr Saul Landau

Prośba o udzielenie zgody na zamieszkanie w Wieliczce, 16 czerwca 1942 roku.

Zwracam się z następującą prośbą: Moja matka, Eidel Dobe Landau, lat dziewięćdziesiąt cztery, jej wnuczka, Stefania Lustig, lat czterdzieści, która po zapaleniu opon mózgowych (meningitis) nie może się poruszać ze względu na bezwładną nogę, oraz pielęgniarka Zofia Hoschander, lat trzydzieści sześć, otrzymały od komendanta miasta w Krakowie zwolnienie z ograniczenia pobytu w celu wyjazdu do Wieliczki. Proszę o zgodę na to, by wyżej wspomniane osoby mogły zamieszkać w Wieliczce przy ul. Kościuszki 7. Zaznaczam, że służyłem jako kombatant podczas wojny światowej w randze austriackiego kapitana, posiadam austriackie wyróżnienia wojenne oraz zostałem udekorowany Żelaznym Krzyżem II klasy osobiście przez feldmarszałka von Mackensena, na co mogę przedłożyć urzędowe potwierdzenie Archiwum Wojennego w Postdamie. Saul Landau

Dostałam serdeczny list od doktora z prośbą, by pójść do jego dziewięćdziesięcioczteroletniej matki, która mieszka na drugim końcu miasta, pomóc jej w zamianie pieniędzy i zaopiekować się nią.

Niemcy obiecują otwarcie szpitala żydowskiego, więc prosił, żeby ją tam oddać. Rzeczywiście, szpital został otwarty i przyjmuje chorych. Jednymi z pierwszych pacjentek były matka doktora Landaua i jej sparaliżowana wnuczka Stefania Lustig.

Pielęgniarek Niemcy nie chcieli przyjąć pod żadnym warunkiem. Mają swoją listę lekarzy i personelu. Trzyma ją gestapo i nie przewiduje w niej żadnych zmian. Chorzy zgłaszają się tłumnie, każdy wpłaca po tysiąc złotych.

Wszyscy mają jakieś fundusze osobiste, klejnoty, są zadowoleni, że ich pozostawiają w szpitalu. Ten jest w budynku chederu i domu dla bezdomnych na ul. Szpunara, urządzono go nowocześnie i umeblowano.

Kilka miesięcy Żydzi remontowali budynki, meblowali je, urządzali, a otwarcia szpitala nie mogli się doczekać... Dwa miesiące temu niemiecka komisja orzekła, że szpital jest przygotowany do przyjmowania chorych, ale go nie otwierano. Aż tu nagle, dziś go otwierają, by przyjmować chorych.

Ścisk wielki, chorzy zgłaszają się tłumnie, bo liczba miejsc jest ograniczona do stu.

Każdy chce być wcześniej przyjęty, by mieć pewność, że się tam dostał. Jest wielu symulantów. Lista lekarzy i pielęgniarek jest w porządku, wszyscy są na miejscu, a oto najbardziej chodziło SS.

Żydzi zapłakani, ogłupiali, przelęknięci. Od rana docierają kiepskie wiadomości. W nocy schwytano wielu uciekających, wielu zastrzelono i ciała przywieziono z okolic Wieliczki na wozach.

Z Bochni wysiedlono sześć tysięcy Żydów, wywożąc ich pociągiem w nieznane[497]. W Niepołomicach Niemcy zrobili obławę w puszczy i wystrzelali wielu ukrywających się tam Żydów. Przedwczoraj w sobotę zaczęli egzekucje w Bochni, dziś tam kończą, więc, zdaje się, jutro przyjdą do nas.

Żydzi wiedzą o tym i są jak obłąkani. W przeciwieństwie do poprzednich dni nie pokazują się na ulicach, płaczą, nie jedzą. Nie ma nikogo, żeby ich zorganizował na bój, żeby ich pocieszył, a ta mała garstka esesmanów, która ma za zadanie mordowanie Żydów, powinna zginąć.

Na domiar złego ludzie wyciągają różne błędy Żydów po to, aby osłabić w sobie żal i litość nad nimi.

W mieście spokój, Żydzi z uniwersyteckim wykształceniem naprawiają trotuary na Dolnym Rynku, bijąc kilofami. Gorąc wielki.

Wieczorem, gdy zapadł zmrok, usłyszeliśmy w pobliżu strzał, po chwili ul. Grottgera biegł zdenerwowany żandarm Krewer. Byliśmy przekonani, że kogoś zastrzelił. Z powodu godziny policyjnej nie mogliśmy tego zbadać. Zaraz rano dowiemy się, co się wydarzyło.

25 SIERPNIA 1942 (WTOREK)

Na ul. Grottgera, poniżej naszych ogrodów, zastrzelony został dr Manne. Krewer zabił go wczoraj wie-

[497] Niemcy przeprowadzili w getcie bocheńskim trzy akcje eksterminacyjne (koniec sierpnia 1942, listopad 1942 oraz początek września 1943), w których zamordowali około czternastu tysięcy Żydów. 22 sierpnia 1942 roku zgromadzili około trzech tysięcy osób, które 25 sierpnia w wagonach towarowych zostały wywiezione do obozu zagłady w Bełżcu.

czorem. Zatelefonował o tym do kahału, żeby Żydzi przysłali kogoś do grzebania zwłok.

Nocą wykopali dół – poszłam patrzeć – tam, gdzie są ślady krwi. Sąsiedzi mówią mi, że oprócz doktora została zastrzelona kobieta, która uciekając, zawiesiła się na parkanie państwa Dynowskich i tak zginęła, widzę dużo krwi w tym miejscu.

Zostali pogrzebani obok drogi, ale sąsiedzi twierdzą, że pochowano tam nie dwie, ale cztery osoby. Jest pełnia, noce są jasne i wszystko widać przez okno.

Rozeszła się pogłoska, którą rozpuścili żandarmi w restauracji Erny Kaczorowej, że podczas rewizji u doktora Mannego znaleziono sowiecki paszport z informacją, że był przewodniczącym partii komunistycznej w Wieliczce. W magazynie mebli w Krakowie znaleziono listę członków partii komunistycznej, składającą się z dwudziestu czterech osób.

Wśród nich miało znajdować się nazwisko Schreiberowej, mieszkającej w willi pana Korpala, przy ul. Grottgera. Niemcy wszystkich tych ludzi muszą wyłapać, wszystkich przychylnych komunistom wystrzelają, a każda rosyjska książka lub podręcznik naukowy będą świadczyć o przychylności dla Sowietów, bez względu na to, gdzie będą się znajdować.

Strach padł na ludzi, u Żydów wielki ruch, kto może, pakuje najpotrzebniejsze rzeczy osobiste do plecaków, waliz i worków. Ludzie są bardzo wyczerpani, jeszcze nic nie wiadomo, ale przygotowują się na najgorsze.

Żydowski Ordnungsdienst w ruchu, biegają na wszystkie strony, rozpowiadają, że w Bochni zostają warsztaty, w których Żydzi pracują dla Wehrmachtu.

Członkowie Judenratu dalej pełnią swoje funkcje. Wysiedlono tylko sześć tysięcy Żydów, wywożąc ich w kilkudziesięciu wagonach towarowych, napchanych jak śledzie w beczce.

Wagony wysypano wapnem, dziesięć centymetrów wapna na podłogach szczelnie zaplombowanych wagonów, może i z Wieliczki wszystkich nie wysiedlą. Wielu łudzi się, że może zostaną. Z Niepołomic Żydzi przywieźli wagon włóczki, z której mają w wielickich warsztatach, w których pracują żydowskie kobiety i dziewczęta, wyrabiać dla wojska potrzebne Niemcom mundury.

Szwalnia jest wzorowa, kobiety pracują wydajnie i porządnie, może więc je zostawią? Nikt tego nie wie.

Koło żydowskiej gminy wielki ruch, na ulicach wszędzie stoją członkowie straży porządkowej, młodzi Żydzi w okrągłych czapkach z pomarańczowymi otokami. Miny mają wyzywające, napisy na rękawach. Zachowują się jak oficerowie, kiedy na to patrzę, robi mi się przykro, dlaczego nie mogą się zorganizować, by rzucić się na swoich oprawców? Dlaczego nie myślą o czynnej obronie?

Tu przypomina mi się mowa rabina do współwyznawców: „Niech się los spełni...".

Dr Z. Süsser mówi do mnie tak: „Przetrzymać choćby tylko dwa tygodnie, a może stanie się cud?". Jest taka przepowiednia! On chce się ukryć i czekać na cud. Twarze kobiet zapłakane, tragiczne, zrozpaczone.

Mnie samej chce się płakać, krzyczałabym do samego nieba, przeklinałabym Anglię i Amerykę, dlaczego nie potrafią zrobić porządku z Niemcami? Dlaczego i na co czekają, aż tyle narodu wyginie? Dlaczego nie zapobiegną tym strasznym mordom, niedającym się opisać żadnym piórem?

Ludzie oczekują cudu, a giną w męczarniach. Dr Landau mówił mi o oficerze, który przybędzie do żandarmów i wtedy coś się zacznie. Patrzę przez okno, rzeczywiście przyjechał oficer. Żandarm Wagner czyni honory pana domu. Wprowadził oficera do

mieszkania, jakiś czas tam przebywał, zapewne instruował żandarmów. Potem wyprowadza go, oficer taki typowy Niemiec, czerwonawy blondyn. Przypatruję mu się dobrze, chcę go utrwalić w mej pamięci. Opowiada Wagnerowi coś zabawnego, obaj się śmieją.

Wagner aż się skręca ze śmiechu, często dociera do mnie słowo „Bochnia", a więc śmieją się z Żydów bocheńskich. Oficer jeszcze długo opowiada coś Wagnerowi, który słuchając, śmieje się dalej, daje wskazówki, wymachując rękami, poklepuje go po ramieniu i żegna się z nim, podając rękę.

Teraz wiem, Wagner, najmłodszy z żandarmów, będzie kierował tu akcją wysiedlenia. Niebawem zajechały dwa duże auta pełne żołnierzy, kilku zostało w żandarmerii, inni rozeszli się po mieście. Ci, którzy zostali, to typowe „mordy" morderców, skąd oni takich wzięli? Dziś kilka razy był w żandarmerii prezes gminy żydowskiej Gelles.

26 SIERPNIA 1942 (ŚRODA)

Nocą nie spałam, śliczna, jasna, ciepła noc, pełnia. Tylko nie można spać, jeść, pracować. Człowiek jak lunatyk we śnie lub jak pijany. Jestem u pana Janka, który mieszka u pana Kozy, przy ul. Grottgera. Słyszymy jakieś głosy, przekleństwa, wyzwiska. Trochę dalej, naprzeciw domów państwa Zdziarskich i Golików, ludzie kopią dół.

Po chwili ci ludzie wracają w stronę wylotu ul. Reytana i zaczynają ciągnąć trupy, jest między nimi kobieta w białej chusteczce na głowie. Czy to nie ta sama, którą w niedzielę żandarm prowadził do aresztu? Kto jej tam dawał jeść? Skąd się tu wzięła?

Męczennica. Ktoś krzyczy, żeby pogłębić dół. Czworo ludzi ciągnie trupy, jeden człowiek został przy dole. Jacyś ludzie są jeszcze przy ulicach Jordana i Grottgera.

Złożyli trupy do dołu, wtem rozległy się strzały i pięć osób wpadło do dołu. Widzimy znów kobietę w białej chusteczce na głowie, od wylotu ulicy ciągnie ciało. Jakiś człowiek popędza ją i klnie na nią wszelkimi możliwymi wyzwiskami.

Kobieta jęczy, ciągnie ciało, przewraca się, wstaje, znów ciągnie i jęczy, stęka, szlocha, ciągnie dalej, poganiana. Ledwie dociągnęła do dołu... Strasznie krzyknęła...

Ten krzyk słyszeli ludzie w obrębie paruset metrów, krzyk trwogi, krzyk, który wszędzie dotarł, straszliwy krzyk, a potem strzał.

Kobieta wpadła do dołu. Rano był tylko ślad, ziemia była poruszona, skopana, ale tak zrównana, jakby nic tam w niej nie było. Ofiary i świadkowie zakopani w jednym dole. Rozkopcie go! Tam jest jedenaście zamordowanych osób.

Jestem załamana, nie mogę pojąć, czy żyję, czy śnię!

Te przekleństwa, krzyki, strzały słyszeli i widzieli też sąsiedzi, ale siedzą cicho, mówią, że spali, boją się, przecież świadkowie giną tak samo jak ofiary.

O dziewiątej rano rozeszła się pogłoska, że wszyscy Żydzi z Lekarki i innych przedmieść miasta mają się zgromadzić na Rynku Górnym. Gmina żydowska przydzieliła kwatery po domach w tej części miasta. Do godziny szesnastej wszyscy muszą, pod karą śmierci, opuścić swoje mieszkania i zameldować się w przydzielonych kwaterach.

Nie wiedzą, co mogą ze sobą zabrać, łzy leją się im po twarzach. Dzieci płaczą, sądny dzień. Pakują się, idą lub jadą z tobołami i walizkami. Patrzę przez okno, cóż to? To te same auta, które trzy miesiące temu przywiozły worki z jakąś zawartością na żan-

darmerię. I ci sami junacy. Te same worki wynoszą z garażu i ładują na samochody.

Sądziłam, że w workach był cement, i martwiłam się, że żandarmi będą przerabiać budynek moich znajomych, w którym mają kancelarię i mieszkania. Dziś te worki zabierają z powrotem. Gdzie z nimi jadą? W stronę Niepołomic.

Wiozą wapno, ale po co i na co? W południe rozeszła się piorunująca pogłoska. Nie będzie w Wieliczce sklepów, warsztatów, szpitala ani Judenratu, żaden Żyd tu nie zostanie. Warsztaty ze stu dwudziestoma ośmioma robotnikami[498] zostaną przeniesione do Bochni. Wszyscy pozostali Żydzi *raus* z Wieliczki.

Zapanowała rozpacz, rozpacz, jakiej świat nie widział. Szpital otwarto przedwczoraj, dziś w południe już go zamknięto. Przyjęto stu trzynastu pacjentów, zatrudniono pokaźną liczbę lekarzy i pielęgniarek. O dziesiątej rano przynieśli na łóżku starą Blühbaumową, przedwojenną milionerkę, a za dwie godziny szpital zamknięto. Przed budynek zajechały dwa ciężarowe auta, na które żołnierze kazali wejść tym stu trzynastu chorym. Zdrowsi weszli wcześniej. Chorym trudniej było się wspinać. Jedni pomagali drugim i jakoś pomieścili się wszyscy na tych dwóch autach.

Ktoś puścił pogłoskę, że chorzy jadą do szpitala krakowskiego getta, wielu z nich ucieszyła ta wiadomość. Pierwsze auto ruszyło i pojechało w stronę Niepołomic do puszczy.

Na drugim aucie chorzy czekali dwie godziny. „Na co czekamy?" – zadawano pytania. Kierowcy w aucie nie było, pojechał pierwszym samochodem. Auto, które przyjechało, było próżne. Kierowca podjechał bliżej auta, na którym stali chorzy, i kazał wszystkim chorym przesiąść się na auto puste. Chorzy i sparaliżowani nie mogli temu podołać. Każdemu ciężko było się ruszyć, a cóż dopiero skakać. Wtedy żołnierze weszli na auto i biorąc chorych za nogi i ręce lub głowy, rozhuśtywali ich w powietrzu i wrzucali do drugiego auta na „kupę".

Powstał krzyk, pisk, wrzask. Z całą tą „kupą" poskręcanych i duszących się wzajemnie ciał Niemcy wyjechali szybko do Puszczy Niepołomickiej.

Lekarze i sanitariuszki sprzeciwili się takiemu traktowaniu chorych. Zorganizowano się w sali kahału, żeby na posiedzeniu zaprotestować.

Gestapowiec sprawdził listę lekarzy i sanitariuszek, czy wszyscy są obecni. Nie wszyscy byli, więc rozesłał żydowskich gońców, aby wszyscy przybyli na spotkanie. Mój lekarz, dr Landau, miał córkę sanitariuszkę, która była nieobecna. Młody goniec Wimmer przyjechał po nią do nas na rowerze. „Jest zebranie w Judenracie – mówił. – Helena Kahn musi tam iść". „U nas jej nie ma – odpowiedziałam – jest na mieście".

Pojechał, ale za kilka minut wrócił znowu, mówiąc, że pani Helena musi z nim iść, ponieważ on bez niej nie może wrócić, że się boi, bo SS wydało mu rozkaz doprowadzenia jej i musi to zrobić. „Nie ma jej – mówię – szukajcie na mieście".

Cztery razy przyjeżdżał po nią na rowerze, bał się bardzo wrócić bez niej, byłam jednak nieubłagana. (Helena Kahn była wtedy w Krakowie, u mojej córki).

Zebranie protestacyjne lekarzy i sanitariuszek odbyło się o siedemnastej. Budynek był otoczony gestapowcami. Przyjechało czarne kryte auto. Żołnierze utworzyli szpaler od drzwi wejściowych budynku do drzwi samochodu.

Lekarze i sanitariuszki wchodzili bladzi jak trupy do auta, znali to auto, wszyscy znali to auto policyjne. Napełnione ludźmi, ruszyło w stronę Puszczy Niepołomickiej.

[498] Zob. s. 308.

Lekarze i sanitariuszki podzielili los chorych.

Wieczorem lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, że chorych nie rozstrzeliwano, tylko żywcem zakopano w dołach przygotowanych w puszczy.

Tylko lekarzom i sanitariuszkom strzelano w kark nad dołami, w które wpadali. Wieczorem auto przywiozło pod szkołę męską obuwie i odzież pomordowanych.

Samochody przyjechały pod kahał na ul. Seraf i ogłoszono, że ci, którzy chcą pracować, mogą wsiadać, zostaną wywiezieni do fabryk.

Szybko powsiadały młode, piękne Żydówki, jeszcze wcześniej rano odjechało kilka aut pełnych młodych ludzi. Dzisiejszą noc mieli Żydzi mieć wolną. Mogą chodzić i robić, co tylko chcą.

Dano mi znać z magistratu, że po domach na Lekarce będą chodzili żandarmi i szukali ukrywających się; żeby się na to przygotować i uprzedzić innych. Strach padł na ludzi, wszyscy wiedzą, że nikt w tym względzie nie jest całkiem bez winy. Zaczęli o szesnastej. Groźni żandarmi w hełmach i z karabinami, a polski policjant, wysoki, jakiś obcy, był z nimi jako tłumacz i ich pomocnik.

Przyszli do naszego domu: „Czy tu mieszkają Żydzi?". Pokazałam im pokój. „Byli sublokatorami – odpowiedziałam. – Meble są moje, również pościel i wszystko, co się tutaj znajduje". „Będzie pani zastrzelona, jeżeli ruszy pani coś z ich rzeczy!". „Nic należącego do nich tu nie ma – powiedziałam. – Zabrali ze sobą wszystko i wyszli rano, jak mieli nakazane". Drżę ze strachu, żeby ktoś się nie wygadał, że opuścili mieszkanie przed kilkoma dniami, wtedy dostałabym kulę w głowę.

Chcieli zaplombować pokój, ale powiedziałam, że Żydzi mieszkali razem ze mną, więc pokój musi być wolny, dla nas.

O dwudziestej drugiej znów przyszli do naszego domu ludzie, rzekomo z magistratu, aby zaplombować pokój, w którym mieszkali doktorstwo Landauowie. Właściwie szukali doktora i zaglądali wszędzie, sądząc, że go złapią. Landauowie mieli przydzieloną kwaterę na Rynku Górnym, ponieważ tam ich nie znaleziono, powinni być w dotychczasowym miejscu zamieszkania, albo zbiegli.

Położyłam się na kanapce przy oknie, obok którego były drzwi do domu. Struta tymi najściami sądziłam, że już dadzą spokój, ale o dwudziestej trzeciej ktoś szarpie furtkę przemocą, klnie, przeskakuje przez sztachety i otwiera furtkę.

Tłuką we drzwi kolbami karabinów. Serce mi bije, szybko wychodzę otworzyć: „Tu mieszka dr Landau?". „Tam mieszkał, ale przed południem wyszedł z rodziną, jak nakazano. Zabrał swoje rzeczy i poszedł" – mówię. „Nie ma go na kwaterze dla niego przeznaczonej" – mówią. „To może jest u któregoś z przyjaciół, od nas poszedł" – odpowiedziałam. Dwóch żandarmów w hełmach i z karabinami i policjant, wysoki, nietutejszy, wchodzą do mieszkania. Policjant potrząsa karabinem i groźnie na mnie patrzy. „Gdzie są ich rzeczy?" – pyta. „Zabrali wszystko" – odpowiadam.

Rozpoczęli przeszukania, spostrzegłam, że szukali doktora. Przekopali pokój, w którym mieszkali Landauowie, i przyszli do naszych pokoi. Na stole leżała walizeczka, obok pieca stał pakunek.

Żandarm wziął te rzeczy do ręki i oddał policjantowi. W drugim pokoju, po oglądnięciu wszystkich kątów, otwarli dużą szafę, w której spodziewali się znaleźć doktora. Przerzucili ubrania wiszące w szafie i wybrali dwa palta, dwie suknie, ubrania męskie i inne rzeczy.

Zaprotestowałam przeciwko temu. Powiedzieli mi, że są to rzeczy doktora, który rano musi do nich

przyjść. Jeżeli to nie są jego rzeczy i on to potwierdzi, to mi je wszystkie zwrócą. Poszli potem na strych, nie poszłam za nimi, ale słyszałam, jak tam chodzili, usuwali coś, kręcili się.

Wyszli z pakunkami, które przenieśli na żandarmerię, usytuowaną w sąsiedztwie. W nocy słyszałam strzały, a nawet dwa razy turkot karabinów maszynowych.

Wiem, że każdy strzał to śmierć. Zgnębiona, struta, otumaniona, czekałam rana, które zadecyduje o życiu kilku tysięcy ludzi.

Jakże gorzko żyć na świecie w XX wieku, wieku kultury, który zamienił się w piekło mąk i grozy!

27 SIERPNIA 1942 (CZWARTEK)

Żydom rozkazano, pod karą śmierci, do siódmej rano zgrupować się koło dworca kolejowego. Żydowska Straż Porządkowa ciężko pracuje. Wszystkich Żydów kieruje na łąki bogucickie, obok toru kolejowego, leżące na zachód, za dworcem i tartakiem.

Od piątej rano ciągną całe masy ludzi z dziećmi, tłumokami, walizami. Pochód rozpoczęła wysoka kobieta w białej chusteczce na głowie. Za nią szły kobiety, dzieci, wyrostki, mężczyźni.

Początkowo szli tłumnie razem, później coraz rzadziej. Do siódmej z minutami ciągle napływały masy ludzi, kierowane w stronę łąk. Tam na torach stoi pociąg z pięćdziesięcioma wagonami.

Punktualnie o siódmej czterdzieści pięć z restauracji Erny Kaczorowej, znajdującej się naprzeciwko magistratu, wybiegli pijani żołnierze, żandarmi i policja. Wcześniej oficer wygłosił na odprawie przemówienie, przypomniał, co i kiedy Żydzi uczynili złego, po czym popijano alkohol.

Rozbiegli się na wszystkie strony, strzelali do każdego napotkanego Żyda. Nie było w Wieliczce ulicy, na której nie leżałby trup. Najwięcej było ich na ul. Kilińskiego, obok willi Friedmanów.

Na ul. Sienkiewicza leżały trzy trupy: Weiheimmera, Zimlera ojca i syna, ten trzeci z zakrwawioną piersią. Dziś jest czwartek, dzień, w którym wielu rolników przybywa do miasta, dzień targowy. Ludzie zaczęli uciekać, gdy kule leciały na wszystkie strony. Dwie wiejskie kobiety zostały postrzelone, zastrzelono młodego człowieka z sąsiedniej wsi Koźmice, nazywał się Janus.

Żandarmi wchodzili do mieszkań żydowskich, przeglądając je, czy ktoś się w nich nie ukrył. Jeśli zastali kogoś, od razu strzelali, tak zamordowali mnóstwo kobiet.

Wtedy weszli do mieszkania Melzerowej, ta powiedziała do nich: „Chcę umrzeć we własnym łóżku" – zastrzelili ją natychmiast. Podobnie zastrzelono starą Boruchową, doktorkę mieszkającą u Wasserbergów, i wiele, wiele innych kobiet. One nie miały złudzeń i nie usiłowały się ukrywać! Po co mają szukać śmierci, niech sama do nich przyjdzie!

Starzy Wimmerowie też wybrali taką śmierć. O dziewiątej Niemcy zamknęli Rynek, ponieważ leżało tam wiele trupów, najwięcej koło willi Friedmanów. Dużo ich też leżało pod kościółkiem św. Sebastiana i na Baranie[499]. Trupy, wszędzie trupy. Gorąco wielkie. Żandarmi strzelają do Żydów.

Jest wielu policjantów granatowych, chłopy jak dęby, ale to nie Polacy, tylko mówią po polsku. Powiedziano mi, że to hitlerowcy, Niemcy, którzy ukończyli czteroletnią szkołę z językiem polskim jako wykła-

[499] Wzgórze tradycyjnie zwane „Pod Baranem", z którego rozciąga się widok na Kraków i Wieliczkę.

dowym. Zorganizowano ją, by wychować kadrę niemiecką do zarządzania terenami polskimi. Przybyło ich dwa tysiące.

Część przyjechała do Wieliczki na wysiedlenie Żydów, w mundurach polskich granatowych policjantów, jutro będą cywilami, udającymi polskich patriotów, aby wyłapać niebezpiecznych uczestników ruchu oporu.

„Polscy policjanci", gdy tego potrzeba, są kolejarzami, inżynierami, agronomami, robotnikami do wszystkiego, a w ogóle są wszędzie i wszystkim się interesują.

Policja wkrótce po strzelaninie na ulicach przeszła na dworzec kolejowy pilnować zgromadzonych tam Żydów. Otoczono pełne ludzi łąki bogucickie, dookoła stoją domki Bogucic. Drzwi i okna nakazano pozamykać. Mieszkańcom nie pozwolono patrzeć przez okna, strzelano do próbujących spoglądać. Robi się coraz goręcej.

Gestapowcy policzyli ludność żydowską: siedem tysięcy zgromadzonych[500], a powinno być dziewięć tysięcy. Gdzież więc podziały się dwa tysiące? Wszystkich Żydów w Wieliczce, łącznie z Żydami z Niepołomic, było jedenaście tysięcy.

Niemcy wściekli, rozpoczęli bić obecnych kolbami karabinów i gumami. Piękna szesnastoletnia Edda rzuciła się z pięściami na bijącego żołnierza, zaczęła go okładać ze wszystkich sił. Żydówki zaczęły krzyczeć, że zwariowała, w tym momencie stanął przy niej akademik Weinberger i pomógł jej bić Niemca. Niemcy skierowali karabiny w ich stronę, dziewczyna i Weinberger zostali przeszyci kilkunastoma kulami. Ich ciała leżały na słońcu, krew z nich ciekła, a zielone muchy obsiadły rany.

Na dworcu kolejowym był z rodziną ogólnie szanowany były dyrektor Krakowskiej Fabryki Kabli inż. Ungier. Nie śpieszył się iść na łąki. Żołnierz postrzelił go w brzuch, Ungier długo się męczył, nie dobito go, śmiano się i drwiono z jego bólu.

Zaczęto sortować ludzi, wybrano sześciuset[501] młodych, zdrowych Żydów i oddzielono ich od reszty, przeznaczając do roboty.

Wyprowadzono ich do baraków znajdujących się na Zadorach, przy szkole żeńskiej. Zapowiedziano, że gdyby którykolwiek z nich zechciał zbiec, to pozostali zostaną rozstrzelani.

Wybrano następnie starych, których skierowano do stojących w pobliżu, w pogotowiu, czterech dużych samochodów. Wyznaczano ludzi palcami: ten, ten, ta, *komm, komm, Herr*! Starzy szli do samochodów. Wielu z nich miało rude włosy, ponieważ wiedzieli, że siwi są od razu rozstrzeliwani, więc farbowali włosy.

Na samochody ładowano po sto osób, wszyscy stali zbici jak śledzie w beczce, gdy ktoś się wychylił z samochodu, dostawał kolbą lub gumą. Cztery samochody ruszyły w stronę Puszczy Niepołomickiej, popołudniową porą trzy razy po cztery auta przejechały szosą obok naszej Lekarki w stronę puszczy.

Widzieliśmy oboje Sternlichtów przejeżdżających obok ich własnego domu, kiwali do nas rękami i głowami. Widzieliśmy Wojnowskiego, Kleina i wielu innych naszych znajomych, w sumie wywieziono i rozstrzelano tysiąc dwieście osób[502]. Obok naszego domu widziałam starą Żydówkę, przed żandarmerią stał żandarm w spodniach i koszuli, poszedł za nią.

[500] Zob. s. 249, 271, 293, 336.

[501] W innych relacjach podano liczbę siedmiuset osób, zob. s. 249.

[502] Relacje podają różne liczby ofiar – od siedmiuset do dwóch tysięcy osób. Zob. s. 251, 271, 310, 336.

Spytała go, czy nie widział jej córki, która tu, w którymś domu, zostawiła dziecko. Żandarm kazał jej usiąść na trawniku i wypytywał o szczegóły, potem podszedł do niej bliżej i strzelił jej w kark. Powrócił na żandarmerię, ciało Żydówki leżało na słońcu. Niebawem na pobliskim cmentarzu została zastrzelona piękna młoda kobieta i jej córka.

Ludzie mdleją, na łąkach wielki gorąc, nigdzie nie ma wody, nie można się ukryć przed skwarem. Dzieci płaczą, żołnierze biją ludzi i strzelają. Cały dzień w słońcu bez jedzenia, picia i cienia.

O szesnastej zaczynają pakować ludzi do wagonów, przeciętnie po stu. Wszystkie walizy, pakunki i tłumoki zabierają, rzekomo do osobnego wagonu. Gdy już wszystkie wagony zostały załadowane, zamknięto je szczelnie. Były kryte, z małymi okienkami, odrutowane, na posadzkach wysypane wapno.

Stojący jeden obok drugiego ludzie zaczęli błagać o wodę i o wpuszczenie powietrza, gdyż prawie się dusili. Pociąg ruszył w drogę o piątej po południu. Na wagonach były wypisane litery „B", co według kolejarzy znaczyło, że ten transport przeznaczony jest do Bełżca, tam jest fabryka mydła, do którego produkcji używa się tłuszczu z trupów żydowskich.

Transport ten miał jechać przez pięć dni i rzeczywiście, ujechawszy kilkanaście kilometrów, stanął w Podłężu na torze bocznym, jak mówili kolejarze.

Wieczorem Niemcy przywieźli samochodami z Puszczy Niepołomickiej obuwie, ubrania, bieliznę i rzeczy, które zmagazynowali w szkole męskiej w Wieliczce, na pierwszym piętrze.

28 SIERPNIA 1942 (PIĄTEK)

Szybko rozeszła się pogłoska o rzezi w puszczy. Doły były tam już wcześniej przygotowane, a kopali je Żydzi, których do tej pracy wybrano wczoraj. Trawniki poukładane w kwadraty odkładano tak, żeby je można było ułożyć na wierzch.

Żydzi przywiezieni samochodami musieli składać pieniądze do walizy. Złoto i biżuterię do drugiej. Musieli się rozebrać, buty złożyć na jedną kupę, a odzież na drugą.

Wczoraj widziałam auto z obuwiem, gdy przywieziono je do szkoły.

Ludzie siadali nad dołami ze spuszczonymi nogami, każdy dostawał strzał w kark i spadał w dół. Niemcy posypali zamordowanych wapnem, zasypali ziemią, zasadzili młode drzewka, a trawnik ułożyli tak, żeby nie było śladu zbrodni. Ludzie mówią uporczywie tak: „Ale przecież tam jest leśniczy i on może powiedzieć, czy tak było".

Od samego rana ruch na żandarmerii. Cała grupa żandarmów maszeruje do miasta. Przy magistracie zatrzymują się na chwilę. Dwóch weszło do domu Weibluma, inni czekali. Wtem ze środka wybiegło kilkunastu Żydów i pędziło co sił w nogach, we wszystkie strony. Rozpoczęła się strzelanina i bieganina żandarmów, ale Żydzi zmieszali się z ludźmi zmierzającymi na jarmark do Krakowa i zniknęli.

Wagner i inni żandarmi, czerwoni z gniewu, zawrócili i weszli do magistratu. Telefonicznie zwołali sołtysów z pobliskich wsi i ostrzegli przed ukrywaniem zbiegów. Pozostali żandarmi w magistracie krzyczą, żądają od komisarza miasta, aby ukarać śmiercią zakładników[503] z tych wsi, gdzie zostaną znalezione dzieci żydowskie i dorośli Żydzi.

Zakładnicy pod karą śmierci mają odstawić do aresztu ukrywających się Żydów. Wagner czerwony z gniewu tak krzyczy, że słychać go daleko.

---

[503] Zakładnikami nazywano Polaków pełniących służbę porządkową.

Na zakładników padł strach, każdy chce żyć. W Sieprawiu żandarmi zastrzelili policjanta Jamroza za pomaganie Żydom w ucieczkach. Tak zrobią wszystkim, którzy będą ukrywać Żydów!

Żandarmi poszli na Górny Rynek, na róg ul. Kościelnej i Rynku. Udali się do budynku, gdzie był sklep Goldsteina z farbami, kazali rozbić mur na strychu, znaleźli tam czternaście osób, zamurowanych i zaprowiantowanych we wszystko.

Ci, którzy się tam ukryli, musieli zejść do sieni, wszystkich zastrzelono. Później po ich ciała zajechał wóz konny. Do sieni tego budynku prowadzi kilka wysokich schodów. Ciągnięto po nich za nogi ociekające krwią trupy, a głowy zamordowanych tłukły się o kamienie. Potem brano za głowy ciała zastrzelonych i z okrzykiem „Hop! Siup!" rzucano na wóz. Wóz z czternastoma ciałami odjechał na cmentarz żydowski.

29 SIERPNIA 1942 (SOBOTA)

Zakładnicy pod karą śmierci mają odstawić ukrywających się Żydów. W Sierczy ukrywali się bracia Geminderowie. Zakładnicy zażądali, aby opuścili wieś. Bracia rzucili się na nich z toporami i poranili ich. Odwieziono ich do szpitala. Jednego brata zabito, drugiego oddano żandarmom, na trzeciego szykuje się obława w lasach koźmickich. Tam ukrywa się wielu Żydów.

Wczoraj wieczorem dr Z. Süsser przechodził obok żandarmerii i naszego domu, dziś rano dowiedziałam się, że został zastrzelony obok cmentarza. Tam Żydzi ciągle kopią zapasowe groby. Zabierają trupy na wozy i wiozą do tych dołów.

Nie wolno już strzelać do Żydów na ulicach. Niemcy biorą wszystkich złapanych do aresztu, a gdy doły są wykopane, wtedy wyprowadzają ich na żydowski cmentarz i rozstrzeliwują[504]. Ujęto Burnową z małym dzieckiem, młodą, piękną córkę Ejzena, która spytała policjanta, dokąd ma iść. Na cmentarz – padła odpowiedź. I poszła. Jej rodzice dziś wyszli z piwnicy, gdzie się ukrywali, i poszli do aresztu. Jutro ich zastrzelą, bo dziś nie mają czasu zająć się ich grzebaniem. Oto otwarto żydowski dom stojący koło młyna, naprzeciw cegielni Friedmana, wszyscy Żydzi, ilu ich przedtem tam mieszkało, wisieli!

Żydzi wiedzieli, że wcześniej czy później muszą umrzeć. Rytuał obrzezania ich nie ukryje. Göring[505] zapowiedział, że jeśli 1 stycznia 1943 roku zobaczy jakiegoś Żyda, to osobiście mu się ukłoni.

30 SIERPNIA 1942 (NIEDZIELA)

Patrzę przez okno mojego pokoju. Od szosy skręca w naszą stronę grupa ludzi. Pięcioro dzieci od trzech do dziewięciu lat, dwie młode kobiety i dwóch mężczyzn za nimi. Jeden mężczyzna utyka. Kobiety jasne blondyny z gołymi głowami, lekko ubrane, obojętne na wszystko. Dzieci bose w koszulinach, obok matek, szlochające. Idzie ta grupa ludzi wprost na żandarmerię.

Słońce ślicznie świeci, ale tak jakoś zimno, obojętnie, dziwnie, jakby nie dla nas świeciło. Jego promienie nie dają radości, tylko smutek, smutek wszędzie.

---

[504] Zob. J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 228–231.

[505] Hermann Göring (1893–1946) – nazista, jedna z głównych postaci hitlerowskiej III Rzeszy, dowódca Luftwaffe.

Dla kogo to słońce świeci? Komu sprawia radość? Komu potrzebne?

Po kwadransie grupa wyszła z żandarmerii, zaprowadzili ich do aresztu, byli z Sułkowa.

Gorzkie, słone łzy zasłoniły im słońce, niebo, cały świat!

„Czarna otchłań wszędzie, znikąd ratunku!".

31 SIERPNIA 1942 (PONIEDZIAŁEK)

Wczoraj stu Żydów z baraków wywieziono na roboty, pozostało jeszcze pięciuset, kwiat inteligencji. Ci, którzy należeli do Straży Porządkowej, są jeszcze w barakach. Od środy do poniedziałku nie dostali krzty jedzenia.

Ludność zanosi swoim znajomym, co może, ale co to wszystko znaczy podzielone między kilkuset młodych ludzi. Kubek Frenkel płakał przede mną: „Nie wiemy, co się z nami stanie. Trzymają nas tutaj bez pożywienia i codziennie musimy kopać doły na cmentarzu, żaden z nas nie może uciec, bo pozostałych by wystrzelali".

Dentysta Schlang pytał, co się dzieje z jego piękną żoną i synem. „Nie wiem" – mówię. Był ogromnie smutny. Wyrafinowani niemieccy zbrodniarze przedłużali ludziom życie o głodzie i chłodzie. Wieczorem wywieźli ich w nieznane, do robót w fabrykach.

Na podworcu żandarmerii od kilku dni stoi auto osobowe, zwrócone w stronę naszego ogrodu, pełnego krzewów i drzew. Przypatruję się z boku i widzę w aucie ludzką głowę, której oczy wpatrują się w ogród. Zrozumiałam, ale w naszym ogrodzie nie było ludzi.

Dziś przyszedł do nas „podróżny", chłop jak dąb, czerwony, rosły. Zamiast wyjść, którędy wszedł, rzekomo zmylił drogę i wszedł do ogrodu. Idąc, zaglądał przez okno do piwnicy. Tak wchodził do każdego domu.

Na ul. Sienkiewicza wykrył w piwnicy żydowską rodzinę, którą zabrali żandarmi, a właściciel domu miał dochodzenie. Nieznany podróżny, który wyłapywał ukrywających się Żydów, to jeden z uczniów tej specjalnej szkoły, zorganizowanej do zarządzania okupowanymi ziemiami.

Oni są wszędzie i wiedzą wszystko!

Nowi żandarmi o zbrodniczych instynktach i strasznych mordach polują na ludzi. Robią obławy we wsiach, szukają Żydów. Ilu ich dziś nałapali?

Przed mieszkania bogatych Żydów zajeżdżają samochody-platformy. Żandarmi łapią ludzi, odbierają dowody osobiste (kenkarty) i każą ładować na auta meble i wszystkie rzeczy, w które mieszkania były wyposażone.

Auta z najpiękniejszymi meblami jadą na krakowski dworzec. Niemcy magazynują je też w samym Krakowie, po to, by je później wywieźć, tak będzie przez kilka miesięcy.

Na cmentarzu żydowskim ciągle strzelają ludzi. Teraz rozstrzeliwuje ich policjant Gromala. Żandarm Wagner tego dogląda. Wielu ludzi ujrzawszy to wszystko, rozchorowało się na serce i nerwy. Koszmarny czas, piekło na ziemi. Najwięksi zbrodniarze świata, wariaci, rządzą na naszych terenach.

Anglia nie przychodzi z obiecaną pomocą. Żandarm Wagner awansował i pracuje w Krakowie. Tam w getcie nadal uprawia swój proceder. Został zastępcą komisarza Ulricha, starosty żywnościowego, na którego był zamach. Ulrich został ranny.

Za ten zamach pod oknami jego mieszkania przy ul. Sienkiewicza w Wieliczce zostało rozstrzelanych dziesięciu młodych ludzi. Ulrich jeździł autem i gdy

zobaczył, że ktoś niesie żywność, kazał szoferowi się zatrzymać, zabierał napotkanym wszystko, nawet owoce.

Strzelał do ludzi, jeżeli nosili mięso. Po zamachu jego funkcję objął Wagner, który dla niepoznaki przebierał się w ubrania cywilne. Wagner jeździł od Krakowa do Dobczyc, a biada temu, kogo spotkał. Zabierał mu wszelką żywność, zsyłał na śmierć i do obozu koncentracyjnego, i tak w kółko. Wagner posługiwał się językiem polskim.

19 STYCZNIA 1945 ROKU

Żandarmi wyjechali z Wieliczki do Bielska. Prawdopodobnie wszyscy żyją i udają tam Polaków. Żądamy sprowadzenia na sąd do Wieliczki Wagnera, Krewera, starosty Ulricha, Mazurowskiego i policjanta Gromali.

Znają ich wszyscy.

ZAGŁADA SZPITALA ŻYDOWSKIEGO W WIELICZCE W 1942 ROKU

Mieczysław Skulimowski

Nieznana szerszemu ogółowi masowa zagłada chorych, lekarzy i pielęgniarek w szpitalu żydowskim w Wieliczce 26 sierpnia 1942 roku należy do najciemniejszych kart okresu okupacji hitlerowskiej w Polsce. Jakkolwiek masowe mordy popełniane przez hitlerowców na chorych nie były wówczas wcale rzadkością, to sam fakt zorganizowania szpitala tylko dlatego, aby tam ściągnąć jak największą liczbę chorych i lekarzy i aby ich następnie podstępnie zgładzić, stanowi już szczytową formę nowoczesnego zwyrodnienia i zdziczenia ludzi w wieku, który rości sobie pretensje do wyżyn cywilizacji i humanizmu.

Odtworzenie choćby tylko w przybliżeniu chwil, które przeżywali chorzy i załoga szpitala w upalny sierpniowy dzień przed przeszło dwudziestu laty, w przeddzień tak zwanego całkowitego wysiedlenia Żydów z Wieliczki, nie jest obecnie – jak by się mogło wydawać – proste. Mała liczba naocznych świadków krwawych wydarzeń, brak jakichkolwiek dokumentów, zniekształcenie przeżyć świadków chwilowością obserwacji w atmosferze grozy i terroru oraz duży dystans czasowy nakazują zachować ostrożność przy pierwszej próbie odtworzenia i oceny tych tragicznych momentów. Powyższy opis trzeba traktować jako tymczasowy i niepełny. Dalsze badania historyczne w przyszłości niewątpliwie dopełnią obraz tej zbrodni.

Tekst pochodzi z: „Przegląd Lekarski" 1966, nr 1, s. 101–105.

Niniejsza relacja opiera się na fragmencie dziennika z lat okupacji zmarłej przed kilku laty w Wieliczce znanej działaczki socjalistycznej Marii Bill-Bajorkowej (1883–1962), obejmującego okres od 20 do 31 sierpnia 1942 roku i zatytułowanego przez autorkę *Wysiedlenie Żydów w Wieliczce*[506]. Autorka dziennika, silnie zaangażowana w akcję pomocy Żydom, wiele danych czerpała także bezpośrednio od swego lokatora, dr. Zygmunta Landaua, wiceprzewodniczącego wielickiej gminy żydowskiej, oraz od swego przyjaciela doktora Blühbauma. Chociaż zachowany fragment dziennika jest najobszerniejszą dotąd relacją o okolicznościach i przebiegu zagłady szpitala, to jednak w świetle przeprowadzonych badań nie wszystkie zawarte w nim fakty wydają się jasne i pewne.

Znacznie mniejszą wartość z uwagi na skromniejszy zasób szczegółów ma wykorzystany tu także dokument *Opis zbrodni niemieckich wobec ludności żydowskiej w Wieliczce w okresie od 6 września 1939 roku do końca 1942 roku* sporządzony 5 sierpnia 1946 roku przez Żyda wielickiego Michała Zellnera (1889–1959), który przetrwał w ukryciu akcję eksterminacyjną hitlerowców[507].

Dla uzupełnienia wymienionych źródeł pisanych zebrałem, oprócz własnych wspomnień, relacje od zamieszkałego w Wieliczce naocznego świadka likwidacji szpitala, Józefa Samogyja, obecnie pracownika Spółdzielni Inwalidów „Promień" (w okresie okupacji mieszkał w najbliższym sąsiedztwie szpitala), oraz od ocalałej pielęgniarki szpitala, Cecylii Sobel[508], lat pięćdziesiąt pięć, również zamieszkałej w Wieliczce. Ponadto wykorzystałem informacje uzyskane od lekarzy wielickich: dr med. Marii Wiązownickiej, dr. med. Mariana Twardosza i znanego działacza społecznego Jana Grzywacza, obecnie pielęgniarza Sanatorium Alergologicznego „Kinga" w Wieliczce.

Żałować należy, że nie dysponujemy żadną relacją przekazaną nam przez osobę najbardziej autorytatywną w tej sprawie, to znaczy lekarza z załogi szpitala. Niestety, jak należy sądzić, nie uratował się żaden z lekarzy pracujących w wielickim „szpitalu śmierci", tak że nadzieja na wierne i pełne odtworzenie bliższych okoliczności towarzyszących zagładzie jest już obecnie bardzo mała.

Na wieść o planach zamknięcia krakowskich Żydów w getcie część z nich podjęła starania (poparte odpowiednią daniną) u generalnego gubernatora Franka. Około pięciu tysięcy Żydów otrzymało zezwolenie na zamieszkanie w Wieliczce. Ponad wyznaczony kontyngent przybyło jeszcze czterysta osób. Pod koniec 1941 roku ogólna liczba napływowej ludności żydowskiej w Wieliczce znacznie wzrosła i wynosiła około ośmiu tysięcy. Warto zaznaczyć, że do tego miasta przybyła w większości inteligencja żydowska, a w szczególności wielu było wybitnych adwokatów i lekarzy. Osiedlenie się tak wielkiej liczby Żydów właśnie w Wieliczce prawdopodobnie wiązało się z nadzieją na przeżycie dzięki podziemnemu labiryntowi kopalni wielickiej, pobliskim górom i lasom, wyjazdowi za któregoś Polaka na roboty do Niemiec czy też wreszcie ucieczce na Węgry.

W sierpniu 1942 roku rozpoczęły się w Generalnej Guberni intensywne przygotowania hitlerowców do eksterminacji ludności żydowskiej. W wyniku zarządzeń policyjnych po 20 sierpnia nastąpiła w Wieliczce koncentracja Żydów z pobliskich miasteczek i wsi, tak

[506] Obszerne fragmenty pamiętnika zostały zamieszczone na s. 313–328.

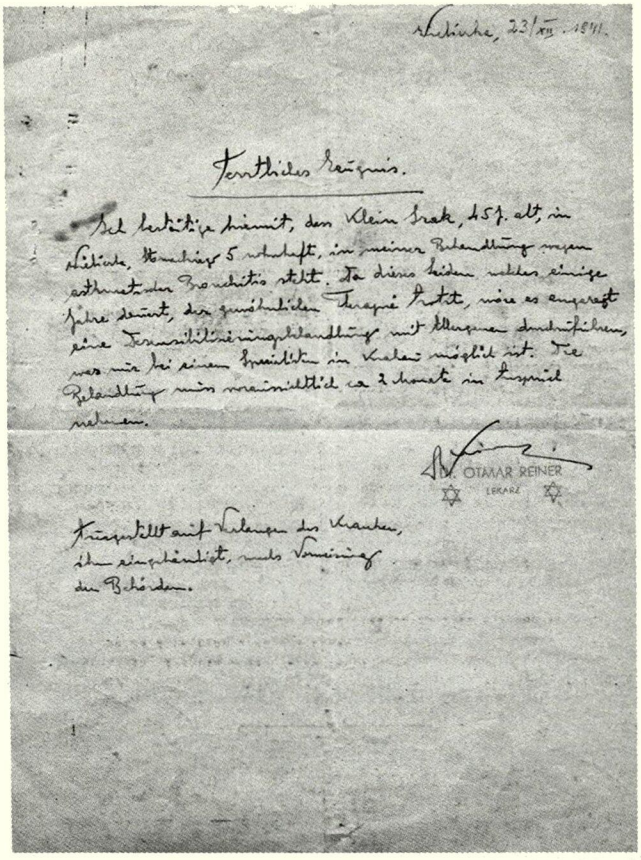
[507] Dokument w niniejszej książce na s. 243.

[508] O Cecylii Sobel można przeczytać na s. 505–515.

że ich liczba wzrosła do około jedenastu tysięcy[509]. 15 sierpnia tego roku wielicka Rada Żydowska otrzymała rozkaz ustny od przybyłego z Krakowa referenta do spraw żydowskich, gestapowca Kundego, późniejszego oprawcy chorych, lekarzy i personelu szpitala żydowskiego w getcie krakowskim, zorganizowania w ciągu ośmiu dni komfortowego szpitala na dwieście pięćdziesiąt łóżek[510].

Społeczeństwo żydowskie z wielką skwapliwością przystąpiło do wykonania tego polecenia. W utworzeniu szpitala upatrywano bowiem powszechnie szansy na stabilizację ówczesnej bardzo niepewnej sytuacji Żydów, a nawet poczytywano je za widomy znak bezpieczeństwa, zwłaszcza że uzyskanie zezwolenia poprzedziły bardzo gorliwe starania ze strony Rady Żydowskiej i złożona wcześniej obfita danina z kosztowności dla żydowskiego komisarza w Wieliczce, Rossiga z Drezna. Niewykluczone, że projekt utworzenia szpitala był świadomą i przemyślaną próbą samoobrony, przedsięwziętą przez przebywających w Wieliczce wielu wybitnych lekarzy żydowskich z pobliskiego Krakowa.

Na szpital wybrano zabudowania chederu i żydowskiego domu ubogich, położone przy ul. Szpunara. Do opróżnienia budynków została użyta znajdująca się w dyspozycji kahału policja żydowska, która wobec ogromnego przeludnienia miasta wyrzuciła ich mieszkańców dosłownie na bruk. Bardzo szybko został przeprowadzony konieczny remont zabudowań, a pomieszczenia dużym nakładem sił i środków społeczeństwa żydowskiego zostały urządzone i wyposażone zgodnie z ówczesnymi wymogami lecznictwa szpitalnego.


Wielicka, 23/XII. 1941.

Zeugnis.

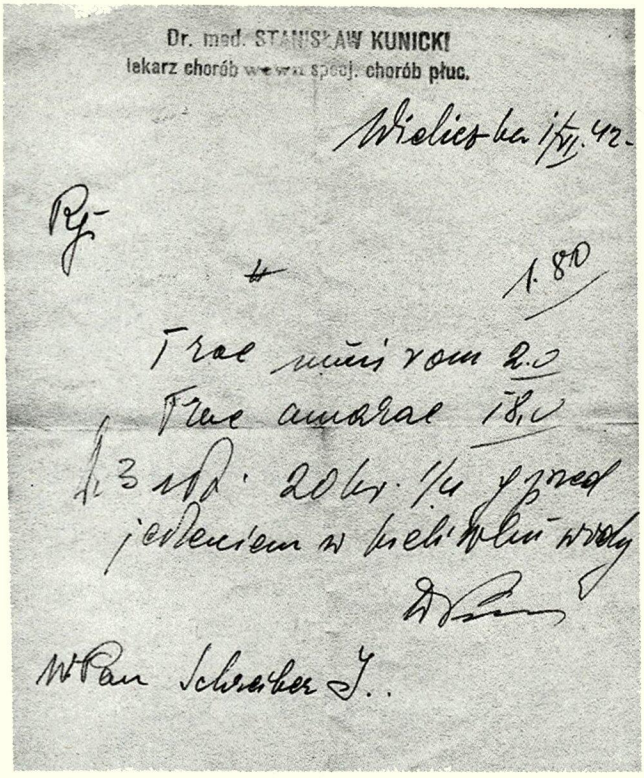
OTMAR REINER
LEKARZ

Zaświadczenie pochodzące z żydowskiego ambulatorium, wydane przez Otmara Reinera 23 grudnia 1941 roku. Dokument został odkryty przypadkowo na odwrocie ogłoszenia o wydawaniu kart żywnościowych z 1946 roku, które wydrukowano na niezapisanym rewersie zaświadczenia

Teraz tylko niecierpliwie oczekiwano na zezwolenie otwarcia szpitala i przyjmowania chorych. Zaczęły się bowiem szerzyć pogłoski, że dzieci do lat dziesięciu i starcy są mordowani, a dorośli wywożeni w nieznane, gdzie ginie po nich wszelki ślad. Wielu więc, nawet zdrowych, liczyło na przyjęcie do szpitala w charakterze pacjentów lub personelu pomocniczego, uznawano bowiem za pewne, że szpital będzie upragnioną oazą spokoju i bezpieczeństwa. W przeświadczeniu tym

[509] Zob. s. 249, 267, 308, 316.

[510] Organizację szpitala inaczej przedstawia Maria Bill-Bajorkowa, zob. s. 318.


Dr. med. STANISŁAW KUNICKI
lekarz chorób [illegible] spec. chorób płuc.

Wynik badania płuc Izaaka Schreibera, Wieliczka, 1942 rok

utwierdzało wielu jeszcze i to, że według ogólnoludzkiego prawa zwyczajowego i pisanego szpitale jako instytucje o charakterze humanitarnym i charytatywnym były w czasie wojny zawsze chronione, a nawet otaczane opieką przez wszystkie cywilizowane narody.

Tymczasem wskutek apelów nadawanych przez polskie tajne radiostacje wielu bogatych i postępowych Żydów zaczęło masowo uciekać na większe obszary leśne położone na południe od Wieliczki. Wielu z nich przypłaciło te próby życiem. Biedni w większości z pokorą oczekiwali spełnienia się wyznaczonego im losu, zgodnie zresztą z poleceniami mającymi płynąć z miejscowego rabinatu. Z biednych też głównie składał się przyszły stan chorych.

Po orzeczeniu przez komisję niemiecką z Krakowa z referentem do spraw żydowskich Heinrichem na czele, że szpital spełnia podstawowe wymagania sanitarne, został on otwarty 24 sierpnia w godzinach południowych. Każdy z przyjętych chorych wpłacał pewną sumę pieniężną oraz mógł posiadać fundusz osobisty wraz z podręcznym majątkiem, który stanowił zazwyczaj mniejszy lub większy zasób kosztowności. Ogółem przyjęto do szpitala stu trzynastu chorych.

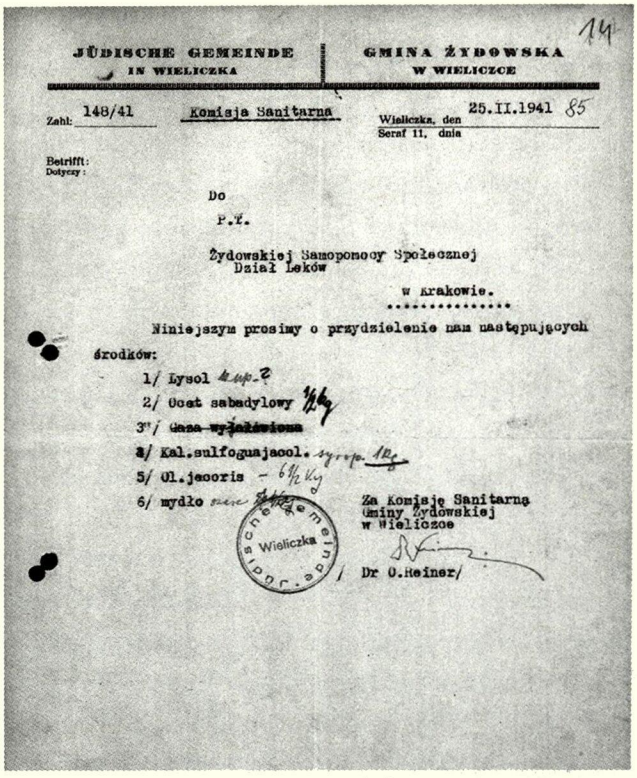
25 sierpnia do żandarmerii niemieckiej, położonej w willowej dzielnicy miasta, Lekarce, zajechały dwa wypełnione gestapowcami autobusy. Mówili oni biegle po polsku i, by zatrzeć ślady oraz wprowadzić w błąd ewentualnych świadków, byli przebrani w mundury Wehrmachtu i tak zwanej polskiej policji granatowej. Była to ekspedycja pacyfikacyjna, złożona ze specjalnie przeszkolonych esesmanów. Żandarmeria niemiecka spełniała jedynie funkcję pomocniczą, z tym że „gospodarzem" całej akcji został komendant posterunku wielickiego, Wagner.

Nazajutrz, to jest 26 sierpnia, rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość, że nie będzie w Wieliczce ani getta, ani szpitala, a także zorganizowanych przez społeczeństwo żydowskie warsztatów pracujących na potrzeby armii niemieckiej, i że wszyscy Żydzi mają zostać wysiedleni z Wieliczki. Jeszcze o dziesiątej przed południem tego dnia przyjmowano dodatkowo chorych do szpitala, a o dwunastej, po niespełna trzech dniach funkcjonowania, szpital został zamknięty. Żandarmeria niemiecka powiadomiła telefonicznie Radę Żydowską, że od tej chwili wszystkich Żydów traktuje się jako wyjętych spod prawa i podlegających wyłącznie rozkazom gestapo.

W samo południe przed szpital zajechały dwa duże otwarte samochody ciężarowe z kilkunastoosobową podpitą załogą, złożoną z członków Baudienstu.

Po zamknięciu ulicy przez kordon esesmanów z ekspedycji nakazano chorym wejść do samochodów, co niektórzy wykonali z wielkim trudem. Dla uśpienia czujności chorych hitlerowcy rozpuścili pogłoskę, że wszyscy zostaną przeniesieni do szpitala w getcie krakowskim. Niektórzy ucieszyli się nawet tą wiadomością. Jedna z dwóch załadowanych chorymi ciężarówek odjechała, ale zamiast drogą na zachód, do Krakowa, pojechała w przeciwnym kierunku, do Niepołomic. Drugi samochód, napełniony chorymi, oczekiwał tymczasem przed zabudowaniami szpitala. Chorzy wystawieni na bezpośrednie działanie promieni słonecznych w upalny i parny dzień oczekiwali około dwóch godzin na powrót próżnego już samochodu. Esesmani nakazali wówczas przenieść się szybko na przybyły właśnie samochód. Gdy osłabieni chorzy nie mogli temu podołać, esesmani brutalnie przerzucali ich do podstawionej ciężarówki. Przeładowany stłoczonymi i duszącymi się chorymi samochód odjechał szybko, również w stronę Niepołomic.

Oburzeni takim traktowaniem chorych lekarze i pielęgniarki szpitala zebrali się po południu tego samego dnia w sali kahału przy ul. Seraf 11 i wyrazili ostry protest. Wkrótce jednak budynek został otoczony przez gestapowców. Po sprawdzeniu przez esesmanów listy lekarzy i sanitariuszek okazało się, że nie było wszystkich. Rozesłano wtedy gońców żydowskich do domów z wezwaniem, aby pod karą śmierci nieobecni natychmiast stawili się w siedzibie kahału. Niektórzy się nie zgłosili. Zaraz też podjechało przed budynek kryte auto policyjne i wszyscy uczestnicy zebrania protestacyjnego również zostali wywiezieni w kierunku Niepołomic. Wieczorem wstrząsnęła miastem przekazywana w wielkiej tajemnicy wiadomość, wprost niewiarygodna, że wszyscy chorzy, a następnie lekarze i pielęgniarki zostali



JÜDISCHE GEMEINDE
IN WIELICZKA

GMINA ŻYDOWSKA
W WIELICZCE

14

Zahl: 148/41 Komisja Sanitarna Wieliczka, den 25.II.1941 85
Seraf 11. dnia

Betrifft:
Dotyczy:

Do
P.T.
Żydowskiej Samopomocy Społecznej
Dział Leków
w Krakowie.

Niniejszym prosimy o przydzielenie nam następujących środków:

1/ Lysol kup.
2/ Ocet sabadylowy
3"/ ~~Gaza wyjałowiona~~
4/ Kal.sulfoguajacol. syrop. 10
5/ Ol.jecoris - 6½ kg
6/ mydło

Za Komisję Sanitarną
Gminy Żydowskiej
w Wieliczce

Judische Gemeinde Wieliczka

/ Dr O.Heiner/

Korespondencja pomiędzy delegaturą ŻSS w Wieliczce a prezydium ŻSS w Krakowie z prośbą o zaopatrzenie dla ambulatorium wielickiego, 1941 rok

wymordowani w Puszczy Niepołomickiej strzałem w kark i pochowani w masowych grobach przygotowanych już wcześniej przez Baudienst.

Nazajutrz, w dzień tak zwanego wysiedlenia Żydów z Wieliczki, to jest 27 sierpnia, w tym samym miejscu zamordowano kilkaset osób. Miejsce to nosi nazwę Kozia Górka. Ogółem zastrzelono tu przeszło siedmiuset Żydów[511] przywiezionych z Wieliczki, a pochodzących z Krakowa, Wieliczki, Dobczyc, Gdowa, Mogiły i Niepołomic.

[511] Zob. s. 251, 271, 310, 324, 336.

Z tej liczby ustalono nazwiska osiemdziesięciu sześciu ofiar. Na szczególną trudność, ze względu na brak jakichkolwiek dokumentów, napotyka ułożenie choćby prowizorycznego wykazu zamordowanych lekarzy i pielęgniarek.

Przeprowadzone badania pozwoliły tylko na niezadowalające stwierdzenie, że niektórzy znani z nazwiska lekarze żydowscy przebywali wówczas w Wieliczce, być może więc byli wówczas w szpitalu. To, że od chwili likwidacji szpitala ślad po nich zaginął, może przemawiać za tym, że zostali zamordowani w Puszczy Niepołomickiej.

I tak do ofiar eksterminacji hitlerowskiej należą prawdopodobnie następujący lekarze przebywający wówczas w Wieliczce: dr Otmar Reiner (ur. w 1895 roku, dyplom w 1921 roku, internista z Krakowa, żydowski lekarz dziecięcy w Wieliczce), dr Amalia z Rubinsteinów Jurkiewiczowa (ur. w 1892 roku, dyplom w 1916 roku, z Krakowa), dr Maurycy Steinberg (ur. w 1897 roku, dyplom w 1926 roku, lekarz ogólny z Krakowa) lub dr Leon Steinberg (ur. w 1902 roku, dyplom w 1927 roku, ginekolog-położnik z Krakowa), dr Leon Hirsch (ur. w 1899 roku, dyplom w 1925 roku, dermatolog z Krakowa), dr Mendel Fischer (ur. w 1894 roku, dyplom w 1925 roku, lekarz ogólny z Nowego Żmigrodu, powiat Jasło), dr Mojżesz Maurycy Süsser (ur. w 1892 roku, dyplom w 1925 roku, internista z Krakowa), dr Chaim Hillstein (ur. w 1876 roku, dyplom w 1904 roku, internista z Krakowa), dr Dawid Gottlieb (ur. w 1893 roku, dyplom w 1921 roku, internista z Krakowa) lub dr Izydor Gottlieb (ur. w 1905 roku, dyplom w 1931 roku, lekarz ogólny z Krakowa), dr Ida Strauchen (ginekolog), dr Fajgle Weinberger[512] (lekarz dentysta z Wieliczki).

Powyższa lista nie jest pełna, nie obejmuje też zupełnie personelu pielęgniarskiego. Niewątpliwie dalsze badania nad tą jedną z najbardziej ponurych kart okupacji hitlerowskiej w Wieliczce przyniosą pełniejsze oświetlenie okoliczności zagłady szpitala zorganizowanego jedynie po to, aby łatwiej zwabić chorych i lekarzy w celu bestialskiego ich wymordowania.

Mieczysław Skulimowski (1930–1982) – lekarz górniczy w kopalni soli w Wieliczce. Przeprowadził szereg eksperymentów klinicznych związanych z działaniem atmosfery podziemnych komór solnych na pacjentów z chorobami układu oddechowego. Był założycielem mikroklimatycznego sanatorium podziemnego w wielickiej kopalni oraz Towarzystwa Naukowego Klimatoterapii Podziemnej.

[512] Z innych relacji wynika, że dr Fajgle Weinberger został zastrzelony na łące bogucickiej, zob. s. 276, 324.

JAK TRAFIŁEM DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO DLA ŻYDÓW, TAK ZWANEGO VERNICHTUNGSLAGRU W ROZWADOWIE

Julian Fleiszer

W ramach ogólnego tępienia narodu żydowskiego, zapoczątkowanego w połowie 1941 roku, przyszła kolej także i na tę miejscowość, w której zamieszkiwałem, a wyglądało to tak. Do Judenratu w Niepołomicach pod Krakowem nadszedł rozkaz majora Kundta[513] z Krakowa (zastępcy głównego mordercy Żydów Hansa Francka[514]), że wszyscy Żydzi bez różnicy wieku i płci mają się zgłosić najpóźniej do 22 sierpnia 1942 roku do Wieliczki. W tym celu pozostawiono niepołomickiemu Judenratowi do dyspozycji kilkaset furmanek, finansując je z otrzymanego funduszu zwanego kontrybucją, złożonego przez tamtejszych Żydów na żądanie władz hitlerowskich, a który sięgał siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy złotych.

Tak też z iście niemiecką punktualnością wczesnym rankiem w sobotę 22 sierpnia 1942 roku ruszył z Niepołomic do Wieliczki potężny i pamiętny dla mnie po wsze czasy kondukt pogrzebowy, różniący się tym od prawdziwego konduktu, że nie grano marsza żałobnego i że trupy wiezione pośrednio na bełżeckie cmentarzysko były jeszcze żywe.

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/159.

[513] Właśc. Wilhelma Kundego.

[514] Właśc. Franka.

Jednocześnie z konduktem niepołomickim nadciągała do Wieliczki z różnych sąsiednich wsi i miasteczek niezliczona ilość takich przyszłych trupów, co przyczyniło się do powstania w Wieliczce niesamowitego przeludnienia, tak że znaczna część tej zmaltretowanej prześladowaniami i podróżą grupy Żydów biwakowała pod gołym niebem bez względu na warunki atmosferyczne. Ten błogi stan trwał jakieś pięć dni, gdyż po tym terminie rozesłał wielicki Judenrat z rozkazu władz hitlerowskich obwieszczenia, którymi wzywano wszystkich Żydów do udania się 28 sierpnia 1942 roku[515] punktualnie na godzinę szóstą rano[516] na plac tartaczny w Wieliczce, zaznaczając przy tym, że zabrać należy jedzenia i pieniędzy na cztery dni. Z braku innego wyjścia udali się wszyscy jak jeden mąż na miejsce przeznaczenia, gdzie byli już oczekiwani przez osławione trupy SS i SD.

Dygnitarze ci przygotowywali się do owej uroczystości zalewaniem się przeróżnymi napojami, a kiedy „delikwentów" nagromadziła się spora liczba, przystąpiono do porządkowania grup po sto osób, co też umożliwiło obliczenie zebranych tam Żydów na około dziesięć tysięcy głów[517]. Spóźnionych na zbiórkę i starszych począwszy od pięćdziesięciu pięciu lat zatrzymano pod pobliskim parkanem i niebawem ładowano ich na czekające tam samochody ciężarowe. Ładowanie wyglądało tak, że na rozkaz hitlerowskich zbirów junacy (Baudienst) łapali ludzi za nogi i głowy i wrzucali to ludzkie ścierwo na auta, tak jak się rzuca drzewem albo nawet błotem. Wśród lamentu i rozpaczliwego krzyku jechało auto za autem (naliczyłem około siedmiuset osób[518]) w kierunku na Puszczę Niepołomicką, gdzie owi junacy kopali groby masowe.

Następnie, a była to mniej więcej dwunasta w południe, zabrali się do obecnych przeszło dziewięciu tysięcy Żydów i poczęli ich segregować, przy czym jakiś wysoki oficer (przynajmniej metr dziewięćdziesiąt) magiczną laseczką wskazywał i wywoływał pewne osoby, pokazując im opodal miejsce zbiórki. Wybierał przeważnie ludzi młodszych i zdrowych i ludność żydowska zorientowała się w zamiarach bandytów. Rozpoczęła się masowa „nielegalna" przeprawa mężczyzn chcących pracować, czyli żyć, ale gdy zebrała się grupa około sześciuset osób[519], zabawa została zakończona i życie reszty zostało niniejszym przypieczętowane.

Po upływie kilkudziesięciu minut „szczęśliwcy" wybrani do pracy zrozumieli, że ich żony, dzieci, rodzice i rodzeństwo zostali skazani na stracenie jako ludzie niepotrzebni, zaczęli błagać esesmanów o zezwolenie na pożegnanie się ze swymi rodzinami, co też niektórzy „nawet" uwzględnili. Tego, co się tam w czasie rozstawania i pożegnania działo, żaden geniusz pióra nie jest w stanie wyrazić w słowach i muszę to pozostawić wyobraźni każdego z czytelników.

W odległości około trzystu metrów stał na torze kolejowym pociąg bydlęcy złożony z siedemdziesięciu wagonów[520] szczelnie zamkniętych i zakratowanych drutem kolczastym oraz deskami. O trzynastej[521] padł

[515] Zob. przyp. 457.

[516] W innych relacjach: szósta trzydzieści lub siódma.

[517] Zob. s. 249, 271, 324.

[518] Zob. s. 251, 271, 310, 324.

[519] Zob. s. 249, 272, 324.

[520] Maria Bill-Bajorkowa pisze o pięćdziesięciu wagonach, zob. s. 323. Natomiast Julian Sokołowski podaje liczbę sześćdziesięciu pięciu wagonów, zob. R. Kuwałek, *Obóz zagłady...*, *op. cit.*, s. 170, przyp. 17.

[521] W relacjach innych osób podawane są różne godziny, zob. s. 325.

rozkaz powstania z miejsc dla siedzących na trawie ośmiu tysięcy pięciuset istnień ludzkich[522] i pomaszerowania w kierunku pobliskiego pociągu zwierzęcego. Nasza grupa w spazmatycznym łkaniu żegnała wymachiwaniem rąk i chusteczek swe rodziny idące na stracenie, a ojcowie wykrzykiwali ze łzami w oczach takie przestrogi, jak: „Pamiętajcie o Bogu!", „Bądźcie dobrej myśli!" i podobne.

W kilka chwil później, wśród dantejskich scen, wtłaczano ludzką gawiedź do wagonów bez względu na łączność rodzinną, wiek i płeć, mniej więcej sto dziesięć osób do jednego bydlęcego wagonu, który następnie został hermetycznie zamknięty. Tak więc bez wody i powietrza, stłoczeni i zgmatwani pojechali w bezpowrotną, męczeńską, ostatnią podróż do Bełżca.

Nasza zaś grupa „szczęśliwców" pozbawionych wszystkiego, co w świecie najdroższe być może, została zaprowadzona do jakiejś wielkiej szopy garażowej w Wieliczce, gdzie pod silną eskortą przebyła dalsze trzy dni. W tym czasie wyciągano na ochotnika po kilku z nas do grzebania wykrytych Żydów w Wieliczce, którzy licząc na jakieś cuda, poukrywali się po norach. Zdradzeni przez antysemitów zostawali wyprowadzeni na cmentarz, gdzie rozstrzeliwała ich policja polska będąca na usługach niemieckich. Przyczyniało się to do rozdzierających scen wśród naszych kolegów, gdyż grabarze rozpoznawali rozstrzelanych członków rodzin niektórych osób znajdujących się między nami.

To wszystko jednak należy do drobnostek w porównaniu z tym, co się dopiero zaczęło z chwilą, gdy zjawił się w szopie jakiś germański fagas w randze przynajmniej pułkownika i oświadczył nam, że wyjeżdżamy do Rozwadowa do fabryki zbrojeniowej, gdzie nie będziemy Żydami, lecz robotnikami. 30 sierpnia 1942 roku wybrańcy losu opuścili ową szopę, aby udać się na dworzec kolejowy i w sposób nieco łagodniejszy, bo tylko w dziewięćdziesiąt osób w takim samym wagonie, pojechać do upragnionego miasta Rozwadowa, gdzie obiecano nas przechrzcić z Żydów na robotników. Podróż naszą zaliczam do najczarniejszych chwil mego życia i tylko jednego pragnę, aby ci, którzy doprowadzili świat do takiego zezwierzęcenia i kompletnego zmierzchu cywilizacji, sami przebyli taką podróż trwającą przynajmniej czterdzieści osiem godzin i jeśli wyjdą z tego żywo, podaruję im resztę życia jako bohaterom, względnie wisielcom, którzy urwali się ze stryczka.

---

[522] Zob. s. 249, 293, 324–325.

Witnesses: Nazi murdered rabbi over Yom Kippur

Tuesday, October 22, 1991 The Jerusalem Post

STUTTGART (AP) – Testimony read in court Monday accused Josef Schwammberger, a former Nazi labor camp commander, of cold-blooded murder of a rabbi who refused to work on Yom Kippur.

Schwammberger, 79, a former SS lieutenant, served as commander of Nazi labor camps in Poland between 1942 and 1944 and is charged in the deaths of more than 3,000 Jewish inmates.

His trial, likely one of the last major Nazi cases to be heard in Germany, began June 26 in Stuttgart Regional Court and resumed Monday after a four-week break.

The court heard sworn statements from two witnesses who said that Schwammberger personally shot and killed a rabbi, identified only by the name of Fraenkel, who refused to work on Yom Kippur in 1942.

Previous witnesses have also testified that Schwammberger personally killed the rabbi in the Rozwadow forced labor camp.

The Austrian-born Schwammberger admits he commanded the camps at Rozwadow, Mielec and Przemysl, near Krakow, but has denied personally killing anyone.

The statements heard Monday came from witnesses Maximilian Roessler, 84, of Frankfurt, Germany, and Joachim Wimmer, 67, of New York.

Roessler was too ill to testify in person, while Wimmer refused to travel to Stuttgart, court officials said. Wimmer gave his sworn statement before court officials at the German Consulate in New York in July.

Roessler's statement quoted Schwammberger as telling the rabbi, "Let's see which is stronger, your God or my pistol," before shooting the man.

Wimmer's statement said Schwammberger made the rabbi step out during the evening roll call and then shot him in "cold blood."

"This murder of the rabbi will remain in my memory forever," said the statement from Wimmer, who lost his entire family in the Holocaust.

After World War II, Schwammberger fled to Argentina, became an Argentinian citizen and lived there under his own name until he was arrested in 1987. After a legal struggle, he was extradited to Germany last year to stand trial.

ŚMIERĆ RABINA FRENKLA Z WIELICZKI KOŁO KRAKOWA

Josef Herzog

Między miastami Rozwadów i Stalowa Wola znajduje się mały lasek, wokół którego jest tylko piasek i panuje całkowita cisza. Takich zagajników w Polsce nie brakuje i nie byłoby potrzeby wspominania właśnie o tym miejscu, gdyby nie było ono związane z tragedią kilkuset Żydów, ofiar nazistów. Muszę jednak zaznaczyć, że nie zamierzam opowiadać o wszystkich tragediach, które spadły na Żydów w tym obozie zagłady. Moją intencją jest opowiedzenie o śmierci rabina z Wieliczki. Powinienem również podkreślić, że nie mam na myśli lagru, który później istniał w Stalowej Woli. Moja historia dotyczy tego właśnie małego obozu, do którego w czasie ostatecznej likwidacji Żydów z Wieliczki i okolic w sierpniu 1942 roku przywieziono około tysiąca pięciuset Żydów[523]. Tylko nieliczni spośród nich zdołali przeżyć.

Osobiście nie znałem rabina Frenkla. Piszę o jego śmierci, ponieważ byłem naocznym świadkiem tego wydarzenia. Rabin świętej pamięci był strasznie długo torturowany i na końcu znalazł swoją śmierć dzięki temu, że prawa jego religii były dlań bardziej święte niż własne życie. Może

«« Artykuł na temat procesu byłego oficera SS Josefa Schwammbergera pochodzący z izraelskiego dziennika „The Jerusalem Post" 1991, 22 października

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 113–116.

[523] Według relacji Jacka Wimmera w obozie w Rozwadowie było około tysiąca dwustu więźniów, zob. s. 341.

znajdą się tacy ludzie, którzy zechcą wiedzieć o dniu śmierci sprawiedliwego rabina i wspomnieć jego imię w czasie odmawiania kadiszu. Z tego właśnie powodu spisuję te wspomnienia. Widziałem wiele ofiar, które padły z okrutnych rąk Niemców, jednak obraz ostatniej chwili życia rabina mam zawsze przed oczami i jego głos echem dźwięczy w moich uszach.

Wspomniałem już, że obóz znajdował się w zagajniku między Rozwadowem i Stalową Wolą. Składał się z dwóch baraków[524], kilku drzew i piasku dookoła, gdzie nikt nie mieszkał. W odległości kilku metrów od nas znajdowały się jakieś groby z małymi drewnianymi krzyżami. Na początku 5703 (1942) roku, jak zwykle, powróciliśmy wieczorem z pracy do obozu. Byliśmy zmęczeni i wyczerpani ciężką pracą oraz razami, którymi nas raczono. Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze wejść do baraku, a już usłyszeliśmy rozkaz Niemców do wyjścia na apel. Ustawiliśmy się wszyscy z drżącym sercem, ponieważ wiedzieliśmy, że każdy taki apel oznacza nowe ofiary. Nagle na placu pojawił się komendant ze swoimi pomocnikami i śmiejąc się, krzyknął: „Herr Rabiner Frenkel – austreten!"[525]. Z jednego rzędu wyszedł Żyd, którego do tej pory nie miałem okazji poznać, a zbrodniarz zaczął wrzeszczeć: „Rabin Frenkel nie chce pracować; jest sabotażystą w naszym zakładzie. Nie chce też jeść naszej zupy; nie smakuje mu" (okazało się, że rabin Frenkel nie jadł w obozie niczego poza chlebem). „Z powodu szkodnictwa w pracy rabin Frenkel otrzyma pięćdziesiąt uderzeń w tyłek". Natychmiast przyniesiono niski stół, położono na nim rabina i dwóch Ukraińców z dwóch stron złapało za skórzane pasy zakończone żelaznymi sprzączkami i zaczęło nimi bić rabina. Po kilku uderzeniach stracił przytomność. Krew trysnęła z jego ciała niczym z fontanny. Przyniesiono wodę i wylano na niego. Widziałem, jak nieprzytomnego zawleczono go do baraku.

Następnego dnia rabin poprosił, by pozostawiono go w obozie, ponieważ nie jest w stanie się poruszyć. Niemcy nie zgodzili się jednak i dwaj Żydzi zostali zmuszeni do zaciągnięcia rabina do pracy. W czasie drogi nadal go bili kolbami i kopali. Rabin błagał ich, aby go zastrzelili, lecz cały czas padała ta sama odpowiedź: „Nie, musisz pracować!". Tak rzeczy się miały przez dziesięć strasznych dni.

W święto Jom Kippur jak zwykle wróciliśmy z pracy. Niemcy nie pozwolili nam wejść do baraków i komendant ponownie krzyknął: „Rabin Frenkel, wystąpić z szeregu". Wiedzieliśmy, że oto dalszy ciąg tragedii, która zaczęła się w Rosz Haszana. Zbrodniarz nakazał przynieść talerz zupy i rozkazał rabinowi, by ją jadł. Rabin odmówił. Niemiec oszalał z wściekłości i wrzasnął, że skoro rabin nie chce jeść, to umrze. Powoli wyciągnął pistolet i zbliżył lufę do głowy rabina. Ciszę, która zapanowała, przerwał głos wykrzykującego słowa modlitwy: „Słuchaj, Izraelu...!". Potem dał się słyszeć odgłos wystrzału. Rabin padł martwy. Z dala od swojego miasta, w zapomnianym przez Boga zagajniku. Popełnił trzy wykroczenia: urodził się Żydem, był rabinem, nie chciał skalać się zbrukanym pokarmem. Z ciała rabina nic nie pozostało, ale moc człowieka świętego, który zdołał w swojej ostatniej chwili odmówić Niemcowi i nie bał się go, na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

---

[524] Według relacji Nathana Kleinbergera obóz składał się z pięciu baraków, zob. s. 351.

[525] Niem. „Rabin Frenkel – wystąpić!".

JOM KIPPUR 1942, PIERWSZA OFIARA

Jack Wimmer

W Jom Kippur, zaraz po zakończeniu postu, nasz rabbi z Wieliczki został zastrzelony przez esesmanów w obozie Rozwadów, w pobliżu Stalowej Woli.

Rabbi pracował przez całe święto Jom Kippur, jednocześnie dochowując postu. Razem z dziesięcioma innymi wieliczanami rozładowywali wagon złomu. W południe zjawił się Sturmbannführer i wskazał naszą grupę. Szukał rabbiego. Podszedł i zażądał, abyśmy wieczorem, po powrocie do obozu, dostarczyli mu listę osób, które tego dnia pracowały razem z nami.

Ja pracowałem w obozie w Stalowej Woli. Kiedy wróciłem do Rozwadowa, dałem rabbiemu pomidora, wiedziałem, że cały dzień pościł. To miał być jego ostatni posiłek. Po powrocie do obozu na placu apelowym zapytałem Jonasa, co się dzieje. Zażądał ode mnie listy ludzi, którzy pracowali z rabbim Frenklem. Odmówiłem.

Potem Strurmbannführer wywołał nazwisko „Frenkel"; wystąpił Dawid Frenkel. Esesman powiedział: „Nie, nie ty. Rabbi Frenkel" i dodał po niemiecku, że rabbi, niech błogosławiona będzie jego pamięć, sabotował pracę i zostanie rozstrzelany. Jego słowa zostały przetłumaczone na polski. Po tym, w obecności tysiąca dwustu osób, rabbi Frenkel został

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 44–45.

zastrzelony. Zatrzęsła się ziemia i my wszyscy razem z nią. Wrzucono jego ciało na taczkę, żeby je później pogrzebać.

To było pierwsze rozstrzelanie. Później, w ciągu dziesięciu tygodni, z tysiąca dwustu osób pozostało zaledwie trzysta dwadzieścia. Obóz w Rozwadowie został zlikwidowany i przeniesiony do Stalowej Woli, gdzie trzymano nas aż do jesieni 1944 roku. Potem przeniesiono nas do Płaszowa, stamtąd do Gross-Rosen i dalej do Reichenbach. W 1945 roku wyzwolili nas Rosjanie.

Trzej wujkowie Jacka Wimmera: Moses Wimmer, Jakub Wimmer i Bernard Wiśnicki we wrześniu 1939 roku, po akcji na Górnym Rynku, zostali rozstrzelani przez Niemców. Również i on znalazł się w gronie złapanych wtedy mężczyzn, ale jakimś cudem mamie udało się wyciągnąć go stamtąd. Reszta jego rodziny została wywieziona 27 sierpnia 1942 roku do Bełżca. On jeden, po dwukrotnej selekcji, został wyznaczony do pracy przymusowej. Spędził cztery dni w barakach na Zadorach, kiedy to był zmuszony do grzebania na cmentarzu pomordowanych Żydów z Wieliczki, tych, którzy nie stawili się na stacji towarowej w wyznaczonym dniu. Stamtąd trafił do obozu w Rozwadowie.

PRZESŁUCHANIE W ROZPRAWIE PRZECIWKO JOSEFOWI SCHWAMMBERGEROWI

Daniel Schloss

Mój dziadek, Jack Wimmer[526], jest energiczną osobą, ożywia każde pomieszczenie, gdy tylko przekroczy jego próg. Nawet jeśli opowiada o okropnościach, które go spotkały podczas II wojny światowej, o niewyobrażalnych cierpieniach fizycznych i psychicznych, niemal zawsze jest opanowany i pewny siebie. Potrafi przekuć piekący ból w działanie, mające sprawić, aby koszmarne obrazy wyryte w jego pamięci nie odeszły wraz z nim. Dotąd miałem wrażenie, że nie mówi o wszystkim, że niektóre historie są nadal zbyt bolesne. Jednak zawsze odpowiadał na każde pytanie o wojnę zadane mu przez dzieci i wnuki; aż do momentu, w którym nie wiadomo już było, o co zapytać.

Kiedy kilka lat temu w prasie pojawiły się nagłówki zapowiadające proces Josefa Schwammbergera[527], byłego oficera SS, który zbiegł do Argentyny, nie miałem pojęcia, że mój dziadek miał z nim jakikolwiek

Tekst pochodzi z niepublikowanego maszynopisu Daniela Schlossa, Nowy Jork 1991. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

[526] Do końca wojny używał imienia Joachim (Romek).

[527] Josef Schwammberger (ur. 14 lutego 1912 w Brixen w Tyrolu, zm. 3 grudnia 2004 roku w Stuttgarcie) – zbrodniarz wojenny znany ze szczególnego okrucieństwa, komendant obozów w Rozwadowie, Przemyślu i Mielcu. Po wojnie schronił się w Argentynie, gdzie rozpoczął pracę dla koncernu nafto-



Jack Wimmer z wnukiem, Danielem Schlossem

związek. Aż w kwietniu 1990 roku powiedział, że widział, jak na oczach tysiąca dwustu innych więźniów Schwammberger morduje rabina z Wieliczki w czasie święta Jom Kippur w 1942 roku. Podczas wizyty w niemieckim konsulacie w Nowym Jorku 21 października 1991 roku dziadek złożył zeznanie na specjalnym posiedzeniu sądu w procesie tego zbrodniarza wojennego. Ze Stuttgartu przyleciało kilku sędziów i adwokat Schwammbergera, aby przesłuchać dziadka.

Swoją opowieść zaczął od pojawienia się w Wieliczce nazistów, którzy rozstrzelali w pobliskim lesie trzydziestu dwóch ludzi [w tym trzech jego wujków – przyp. red.]. Następnie opowiadał o selekcji przed wysiedleniem, podczas której Niemcy oddzielili go od rodziców, braci i siostry. Chciał do nich pobiec, ale został pobity i zagnany z powrotem na miejsce. Nigdy więcej ich nie zobaczył. Dziadek zaczął odsłaniać swoje niezagojone rany, jednak wtedy zapytano go o spotkanie ze Schwammbergerem.

Koło południa w Jom Kippur do jego grupy w obozie pracy w Rozwadowie podszedł oficer SS i zażądał listy członków. Jako że dziadek mówił po niemiecku, został wyznaczony do spisania nazwisk. Uświadomił sobie jednak, że skoro Schwammberger zainteresował się akurat jego grupą, w której był rabin, to znaczy, że ktoś na rabbiego doniósł. Wtedy zdecydował, że nie wyjawi nazwisk. W rozmowie ze współwięźniem powiedział: „Straciłem rodzinę. Nie mam już nikogo, o kogo mógłbym się martwić. Nie zrobię tego". Niestety odwaga dziadka nie uratowała rabina.

Podczas wieczornego apelu Schwammberger rozkazał: „Frenkel, wystąp!". W obozie było jeszcze dwóch mężczyzn noszących to samo nazwisko, wystąpili obaj, ale esesman rozkazał im wrócić do szeregu i krzyknął: „Rabin Frenkel, wystąp!". Gdy tylko rabbi to zrobił, Schwammberger oskarżył go o sabotaż, zastrzelił i rozkazał wywieźć jego ciało na taczce.

Do tego momentu kilkukrotnie próbowano przerwać dziadkowi, jednak on nalegał na kontynuowanie zeznań, aż łzy napłynęły mu do oczu. Kiedy na chwilkę zrobił przerwę, konsul i sędziowie zaczęli dopytywać o szczegóły tamtych wydarzeń: jaki pistolet miał Schwammberger – mausera czy dwudziestkę dwójkę? Dziadek odpowiedział, że wie

wego La Plata. W 1987 roku został wydany władzom niemieckim. Skazany na dożywotnie więzienie, zmarł w więziennym szpitalu.

tylko, iż był to pistolet. Naciskali dalej: Gdzie dokładnie trafiła rabina kula? Czy apel był na placu? Zadawali szczegółowe pytania. W zeznaniach znalazło się takie zdanie, *de facto* poskładane z kilku gniewnych odpowiedzi dziadka: „Nie byłem świadkiem innych zbrodni, które Schwammberger popełnił osobiście". Zastanawiam się, czy niedorzeczne pytania, które doprowadziły do tego pseudooświadczenia, miały na celu udowodnienie, że po zabiciu rabina w oskarżonym zaszła radykalna zmiana? Dziadek oświadczył, że zarzut sabotażu postawiony rabinowi był niepotwierdzony, że zabity nie wyróżniał się spośród innych więźniów i ani Schwammberger, ani inni naziści nie zwracali uwagi na to, czy ktokolwiek pościł w Jom Kippur, dopóki wykonywał swoją pracę, czego rabin Frenkel dopełnił.

Po rozpoznaniu Schwammbergera na kilku zdjęciach dziadek podpisał zeznania. Sędziowie rozmawiali z nim jeszcze po niemiecku i uderzyło ich, że Schwammberger wybrał swoją ofiarę ze względu na to, że była ona religijnym przywódcą wspólnoty.

Kiedy wyszliśmy, dziadek odwrócił się do mnie, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Zapamiętaj to. Zapisz".

Daniel Schloss – adwokat specjalizujący się w sprawach z zakresu ochrony własności intelektualnej, praw autorskich i majątkowych, rejestracji znaków towarowych i dziedzin pokrewnych. Autor publikacji *Keywords and Their Use in Commerce* (2009), *Special Problems in Registration of Nontraditional Trademarks* (1999) oraz *Marks of Distinction: Rethinking Secondary Meaning Standards After Qualitex v. Jacobson* (1996). Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

Do wszystkich Żydów!

1) W Wieliczce rozpoczyna się dzisiaj wysiedlanie Żydów.
2) Wysiedleniu nie podlegają Żydzi z żonami i dziećmi, których paszporty żydowskie, względnie zaświadczenia pracy zostały skontrolowane i ostemplowane.
3) Szpital żydowski istnieć będzie nadal. Chorzy znajdujący się w szpitalu nie będą przesiedleniem objęci. Przyjmowanie dalszych chorych nie jest dozwolone.
4) Każdy żydowski przesiedleniec może zabrać ze sobą 10 kg bagażu (łącznie z gotówką, przedmiotami wartościowemi i żywnością na 4 — 5 dni.
5) Punktem zbornym transportu jest rynek górny Rada żydowska i Członkowie żydowskiej straży porządkowej dołożą starań, by wszyscy żydowscy mieszkańcy miasta dnia 27. 8. 1942. o godzinie 7 rano byli gotowi do wymarszu. Nie odnosi się to do żydowskich mieszkańców, których paszporty żydowskie, względnie zaświadczenia pracy zostały przez policję bezpieczeństwa skontrolowane i ostemplowane.
6) Każdy Żyd, który przedsięweźmie działanie zmierzające przeciwko zarządzeniom przesiedleńczym będzie rozstrzelony.
7) Każda żydowska osoba, która udzieli pomocy przy działaniach zmierzających do obejścia zarządzeń przesiedleńczych będzie rozstrzelona.
8) Każdy Żyd, który usiłuje jakiekolwiek przedmioty (przedmioty wartościowe, meble, odzież i t. p.) Żydom lub Polakom sprzedać będzie rozstrzelony.

Krakau, dnia 26. 8. 1942

Dowódca SS i Policji
w dystrykcie Krakau.

NIE POTRAFIŁEM CIESZYĆ SIĘ Z WYZWOLENIA

Nathan Kleinberger

«« Niemieckie zarządzenie dotyczące wysiedlenia Żydów z Wieliczki, 26 sierpnia 1942 roku

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Nathanem Kleinbergerem w Tel Awiwie 12 i 17 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Ostatni miesiąc przed wybuchem wojny spędziłem z polskimi harcerzami, Żydami z Krakowa, na obozie w Zawoi. Mama specjalnie mnie wysłała, ponieważ było to niedługo po śmierci ojca. Chciała, żebym odreagował wśród dzieci i może trochę zapomniał. Brat Zygmunt przyjechał mnie odwiedzić. Chodziliśmy w mundurach harcerskich, jedynymi Polakami-katolikami byli harcmistrz i harcmistrzyni. Na obozie nie mówiliśmy wprost o wojnie, ale czuło się, że nadchodzi, w Zawoi stacjonował oddział żołnierzy. Kiedy wracaliśmy pociągiem do Krakowa, wszędzie było już dużo wojska.

Od 1 września nie poszedłem do szkoły, Żydom nie było wolno. Zygmunt miał siedemnaście lat, a ponieważ mówiono, że młodzi Żydzi są w największym niebezpieczeństwie, uciekł na wschód. My z mamą około 3–4 września schroniliśmy się w Krakowie u rodziny i kiedy Niemcy na Rynku w Wieliczce złapali trzydziestu dwóch Żydów, a potem ich rozstrzelali, nie było nas w domu. Niemcy nie potrafili dokładnie rozpoznać, kto był Żydem, a kto Polakiem. Natomiast każdy Polak rozpoznawał Żyda po pierwszych trzech wypowiedzianych słowach. Obok stacji kolejowej Wieliczka Rynek był wtedy kiosk z gazetami, tabaką, papierosami, który należał do Kopery. Prowadził go za zasługi, po tym jak został ranny pod-



Maria Kleinberger z córeczką Salą, około 1924 roku

czas I wojny światowej i stracił rękę. Jego syn był volksdeutschem i podczas tej wrześniowej akcji prowadził Niemców do żydowskich domów[528], a oni zaganiali znalezionych mężczyzn na Górny Rynek, upokarzali ich, a potem wywieźli na zabicie. Wszyscy pozostali w mieście Żydzi z początku byli przerażeni, ale powoli sytuacja stawała się znośna.

Pod koniec września stwierdziliśmy, że nasze domy zostały puste, a ciężko było siedzieć na głowie rodzinie w Krakowie, więc przyjechaliśmy z powrotem do Wieliczki. Zygmunt wrócił dopiero po roku, w tym samym czasie co inni młodzi Żydzi, którzy uciekli i dotarli aż na rosyjską stronę. Tęsknił za rodziną, chciał być razem z nami.

Między 1939 a 1940 rokiem zaczęto w Wieliczce brać Żydów do przymusowej pracy, głównie do odgarniania śniegu z dróg, nosiliśmy już też opaski z gwiazdą Dawida.

Dla nas, dzieci żydowskich, poruszanie się po ulicach było utrudnione.

Nie zapomnę też, gdy podczas wojny szedłem raz z Urim Szmulewiczem przez miasto i spotkaliśmy na ulicy jego rodziców, a oni w całym tym piekle zaczęli rozmawiać z nim po hebrajsku. Dla mnie to było niesłychane.

W 1940 roku, gdy rozpoczęła się deportacja Żydów z Krakowa, zaczęli się oni przenosić do Wieliczki. Żyło się trochę inaczej, w naszym domu na ul. Limanowskiego 2 pomieszczenia po szynku zamieniliśmy na mieszkania i wynajmowaliśmy przyjezdnym, żyliśmy z opłat lokatorów. Sami przeszliśmy już wcześniej do dziadków. W ich małym domku, oprócz naszego, były jeszcze dwa mieszkania – w jednym żył nieżonaty górnik z matką, a drugie wynajęli Żydzi. Natomiast w sklepiku był warsztat szewski.

Cały czas czuliśmy się mniej lub bardziej zagrożeni, były akcje, podczas których łapano ludzi i zamykano w budynku powyżej Dolnego Rynku, w sali, gdzie miała swoje próby orkiestra górnicza. Każdy, komu pozwalano zostać w swoim domu, był zadowolony.

Przez rok chodziłem do tajnej szkoły zorganizowanej przez nauczycielkę Idzię Kornfeld, która przyjechała do Wieliczki z rodziną chyba z Bielska. Mieszkali na Górnym Rynku w domu Joachimsmana. W ich

[528] Michał Zellner podaje, że volksdeutschem, który pomagał Niemcom w poszukiwaniach Żydów, był Paweł Mazurowski, zob. s. 243.

mieszkaniu jeden pokój został przeznaczony na klasę, siedzieliśmy przeważnie wokół stołu i uczyliśmy się około godziny dziennie. Razem ze mną na lekcje uczęszczał wtedy Roman Licht[529], Goldstein, Natek Gutman[530] z Katowic.

Mamusia starała się o wyżywienie dla całej rodziny, robiła, co mogła, znała kobiety z pobliskich wsi, które przywoziły masło w garnuszkach, potem ona jeździła do Krakowa i sprzedawała je Żydom, którzy mieli pieniądze. Jednak z czasem stało się to dość niebezpieczne. Zazwyczaj jeździła furmanką i gdyby ją złapali z tym masłem, to byłoby niedobrze. Sprzedaliśmy fortepian, na którym mama grała jeszcze na początku wojny, ale z czasem dużo, dużo mniej. Nie było innej rady. Pamiętam jego kolor, piękny orzechowy, gdy go wynieśli z pokoju, nagle zrobiło się bardzo pusto, ktoś z Wieliczki go kupił. Zaczęliśmy wyprzedawać wszystko, co było. Wtedy ratowała nas też pomoc brata mamy, Eliasza z Nowego Sącza. Kiedy było już bardzo źle i nie mieliśmy pieniędzy na chleb, dziadek sprzedał pół domu na Narutowicza 8 kobiecie o nazwisku Bru. Ona mieszkała na ul. Pocztowej, kilka domów za budynkiem poczty, miała też stodołę i dwie krowy. Po podpisaniu dokumentów dała nam pieniądze za nasze pół domu, wymierzone i opisane przez mierniczego Grzywacza z Wieliczki. Oprócz tego co dzień przynosiła nam mleko.

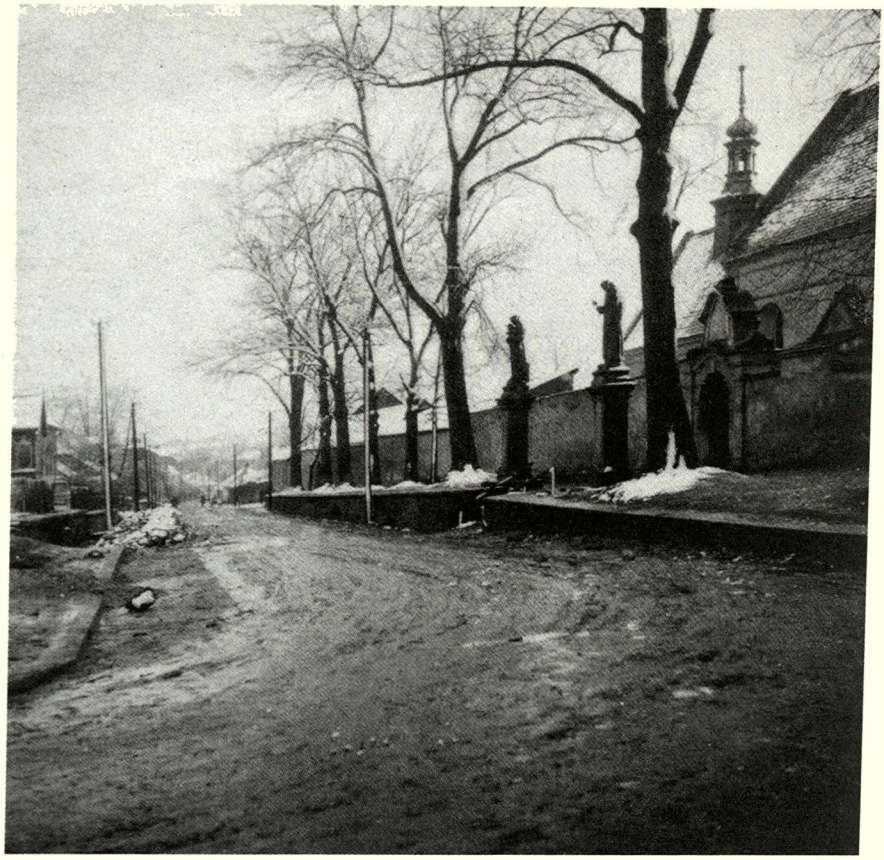
Do 1942 roku do Wieliczki zjechało z Krakowa i okolic tyle ludności żydowskiej, że było jej może dwa razy więcej niż polskiej. Kto miał jakieś pieniądze i mógł sobie pozwolić, żeby wynająć pokój albo mieszkanie, to wychodził z getta i jechał do naszego miasta.

Kiedy zbliżał się sierpień 1942 roku i krążyły wieści o wysiedleniach z krakowskiego getta, słyszeliśmy, że niektórzy Żydzi szukają schronienia wśród Polaków, ale trzeba było mieć ludzi na tyle znajomych, żeby poprosić ich o wzięcie na siebie tak wielkiego ryzyka. A myśmy nawet nie mieli środków, pieniędzy, żeby można było rozważać złożenie komuś takiej propozycji. Ucieczka do lasu w naszym wypadku – czwórka dzieci, matka, stary dziadek i chora babcia – była niemożliwa. Gdyby chociaż dało się żyć jak bezdomni, chodzić po świecie, szukać jedzenia po śmietnikach lub jeść, co w polu rośnie, ale to nie było możliwe. Byliśmy siedmioosobową rodziną, to nie to samo co jeden człowiek, który spróbuje uciec i albo mu się uda, albo nie. Trzeba też pamiętać, że nikt nie wiedział, kiedy to się skończy, był czterdziesty drugi rok! Niemcy jeszcze wtedy pokazywali filmy z rodzaju *Drang nach Osten*. Gdyby ktoś na przykład powiedział, że za dwa tygodnie będzie po wszystkim, to może by się coś robiło, nawet zakopałoby się pod ziemię, ale nikt nie wiedział. Polaków, którzy pomogli Żydom się uratować, powinno się nosić na rękach, to było coś bardzo niebezpiecznego. Ale większość Polaków nie wzruszyła się faktem, że Niemcy wyrzucają i mordują Żydów.

Wieczór 26 sierpnia 1942 roku zaczął się ogłoszeniami na mieście, że nazajutrz o siódmej rano musimy się zebrać wokół Górnego Rynku i być gotowi do wymarszu. Rozwieszono duże plakaty mówiące, że każdy ma mieć paczkę, która nie waży więcej niż pięć kilo, a kto się nie stawi, zostanie rozstrzelany. Osobno były ogłoszenia dla Polaków, że kto pomoże w jakikolwiek sposób Żydom, zostanie ukarany śmiercią. Wieczorem po całej Wieliczce chodził człowiek z bębnem i nawoływał, żeby ludzie wyszli z domów czytać te ogłoszenia. Miasto było zamknięte, dookoła

[529] Obecnie Roman Leaton.

[530] Wspomnienia Nathana Gutmana, zob. s. 443.



Widok na ul. Narutowicza (obecnie ul. Brata Alojzego Kosiby), przy której do sierpnia 1942 roku mieszkał Nathan Kleinberger z rodziną

rozstawiona policja polska, Niemcy, SS, wszystko, co chciałeś, nie można było się ruszyć. Już wcześniej podejrzewaliśmy, że zbliża się coś strasznego, ale w tym momencie zrozumieliśmy dokładnie, że nasz los się rozstrzygnął i czeka nas najgorsze. Były też inne opowiastki, że Żydzi pojadą na wschód, do obozów pracy, dużo ludzi w to wierzyło, ale my w naszym domu nie. Tej nocy z 26 na 27 prawie nie spaliśmy, przygotowywaliśmy te paczki, zastanawialiśmy się, co wziąć, co zostawić, czy można spróbować jeszcze kupić jakiś prowiant na drogę, wydać ostatnie grosze. Mamusia wzięła pieniądze i zostawiła u Polaków, u rodziny B. Panowało wielkie napięcie, w nocy usnąłem może na jakąś godzinę, w każdym razie nad ranem obudzili mnie z informacją, że trzeba już iść. Babcia została w domu, błagała nas, żeby jej nie brać, była bardzo schorowana, ciężko było jej się podnieść, nie mogła za bardzo chodzić, miała osiemdziesiąt lat. W takiej sytuacji nie mieliśmy wyjścia, pożegnaliśmy się z nią i wyszliśmy z domu: dziadek, mama, Zygmunt, Sala, Beniek i ja. Powiedzieliśmy sobie, że kto z nas zostanie przy życiu, ma dotrzeć do pani B. w Wieliczce, tam się spotkamy. Wiedzieliśmy też, że dziadek zakopał w komorze w domu na Narutowicza małą ogniotrwałą kasetę, ale nie wiem, czy tam była zostawiona część pieniędzy czy coś innego. Poszliśmy prosto do stacji towarowej na łąki bogucickie. Każdy trzymał się jeden drugiego, szliśmy prawie w milczeniu.

Widzieliśmy bardzo wielu ludzi idących w tę samą stronę. Gdy doszliśmy do tego pola, wiedzieliśmy, że z tego zgromadzenia nikt albo mało kto ujdzie z życiem. Strażnicy posadzili wszystkich w szeregach. Siedzieliśmy twarzą w stronę Krakowa, stacja towarowa była po lewej stronie, ale stąd, gdzie usiedliśmy, nie było widać wagonów pociągu. Myślę, że stały około półtora kilometra od nas. Nagle przyjechały ciężarówki, ludzi starych i chorych dosłownie wrzucano na nie i odjechały. W tym dniu było bardzo gorąco, nikt nie starał się o wodę, o nic. Wszystko wskazywało na to, że to jest koniec.

Po jakimś czasie przeszli dwaj Sturmbannführerowie lub Scharführerowie, wskazali palcem na mego starszego brata Zygmunta, kazali wstać i iść. On się podniósł, mamusia mnie pchnęła za nim, nic nie powiedziała, tylko pchnęła, wiedziała, co robi. Ja prawie automatycznie wstałem, zrobiłem dwa–trzy kroki, obejrzałem się na mamusię, brata, siostrę, dziadka i poszedłem za nim i za niemieckimi oficerami SS, nie wiem, czy oni mnie nie zauważyli, czy nie zwracali uwagi, przeszliśmy przez tory na drugą stronę. Wszędzie dookoła na całym placu stało kilkuset strażników: niemieccy żołnierze z karabinami maszynowymi, granatowa policja, Łotysze, Ukraińcy. Posadzili nas na wzniesieniu, to była taka bardzo mała górka, w osobnym miejscu, daleko od rodziny, może nawet kilometr dalej, teraz stację mieliśmy po prawej stronie i stąd było widać pociąg, ale tylko dwa–trzy ostatnie wagony, może zasłaniały jakieś drzewa albo krzaki, nie pamiętam. Gdy uzbierali na tej górce grupę około sześciuset[531] mężczyzn, zaczęli resztę ludzi gonić do wagonów. Chciałem się pożegnać z mamą, z siostrą i z bratem, ale już nie mogłem przejść. Patrzyłem cały czas w ich kierunku, chciałem ich widzieć i chciałem, żeby oni mnie też widzieli, ale z daleka obraz był niewyraźny. To było coś strasznego, płacz, krzyki, i trwało to kilka godzin.

Nas zabrali tego samego dnia ciężarówkami i wpuścili do dużego baraku na Zadorach, nie było tam podłogi, żadnego stołu ani krzesła, dosłownie nic. Pamiętam stamtąd Uriego Szmulewicza i jego ojca. Na drugi dzień rano wzięto około pięćdziesięciu osób, między innymi mego brata Zygmunta, i kazano im kopać groby na cmentarzu żydowskim w Wieliczce dla pomordowanych; to byli ci, którzy zostali w domach albo próbowali się ukryć. Tych, którzy kopali, nie było cały dzień, wracali tylko na noc, Zygmunt jak przyszedł pierwszego dnia, powiedział, że widział babcię rozstrzelaną. Starał się też dowiedzieć, czy pociąg ze stacji towarowej odjechał, ale ktoś mu powiedział, że jeszcze nie, podobno dwa dni tak stał. W kolejnym dniu wzięli Uriego z ojcem i część innych do fabryki kabli do Krakowa, myśmy zostali w baraku w sumie cztery dni, potem zabrali około czterystu osób, w tym nas, do obozu pracy do Stalowej Woli.

Pojechaliśmy pociągiem do Rozwadowa, a jak wyszliśmy z wagonów, napadli nas Ukraińcy i gonili, lecieliśmy ze stacji, a oni na nas krzyczeli: „Dawaj! bystro! dawaj!" i bili nas kolbami z każdej strony. Tak dotarliśmy do naszego nowego lagru, był straszny – coś takiego tylko Dante mógłby przedstawić. Na miejscu zastaliśmy małą grupę więźniów, wyglądali koszmarnie, widocznie mieli za zadanie postawić te pięć baraków[532] dla nas, w każdym miało być po sto osób, wszystkie nowe. Zorientowaliśmy się, że wkrótce i my będziemy tak wyglądać.

[531] Zob. przyp. 462.

[532] Zob. s. 340.

Na miejscu strażnicy zabrali nam pieniądze. W barakach były dwupiętrowe łóżka, a raczej prycze z papierowymi siennikami, wypchanymi trocinami i więcej nic. Nazajutrz rano dali nam kawę, której ja, który nie byłem specjalnie wypieszczony i wiedziałem, co to znaczy iść spać głodnym, nie mogłem wypić ani połknąć, była bez żadnego smaku, nie podobna ani do kawy, ani do cykorii, nawet kolor nie był podobny. Dostaliśmy też chleb, którego żaden piekarz nie zgodziłby się wyjąć z pieca. Po śniadaniu wzięli nas do huty, pracowaliśmy bardzo ciężko przy różnych walcach, piecach. Wracaliśmy wycieńczeni, a po drodze Ukraińcy znów gonili nas z okrzykami: „Dawaj! Dawaj! Bystro, bystro!", po pracy zmuszali nas, żeby biec. Był tam z nami rabin Frenkel z Wieliczki, dentysta Schlang, który miał gabinet na Dolnym Rynku, brat Cesi Lax, bardzo dużo wieliczan i ludzi z Krakowa, którzy podczas wojny byli w naszym mieście.

W tym czasie wypadł dzień, w który przypadało ważne święto żydowskie Jom Kippur, związane z postem. Musieliśmy iść do pracy. Esesmani wiedzieli, że Frenkel jest rabinem, zawołali go i kazali się modlić do Boga, żeby go wyratował, potem jeden wyjął rewolwer i strzelił mu w głowę.

Powiedziałem Zygmuntowi, że ja tu długo nie wytrzymam, on sam też to czuł i postanowił, że uciekniemy. Razem z nami przyjechał jego kolega, Mietek Sielberg, z którym byli jeszcze ojciec i młodszy brat. Tenże Mietek miał kuzyna Żyda z węgierskim obywatelstwem w Prokocimiu i Zygmunt wymyślił, że jeśli on zgodzi się uciec z nami, to będziemy mieli gdzie pójść. Zaproponował mu ucieczkę, tamten poszedł się poradzić do ojca, ale ostatecznie musiał sam zdecydować i przyłączył się do nas. W obozie byliśmy w sumie cztery dni.

Pięćdziesiąt metrów od nas znajdował się cmentarz dla Rozwadowa. Zygmunt znalazł miejsce w narożniku ogrodzenia obozu, gdzie trawa była dość wysoka, jak ktoś się czołgał, nie było go widać, i gdzie o czwartej nad ranem, jak nas budzili, było jeszcze ciemno. Tego dnia pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy, to poszliśmy po ciemku do tego kąta, Zygmunt przytrzymał podniesione druty, ja przeszedłem pierwszy, potem Mietek i on. Przeczołgaliśmy się do cmentarza i schowaliśmy się między grobami. Zaczekaliśmy, aż więźniowie pójdą do pracy, słyszeliśmy z daleka Ukraińców wołających „Dawaj, dawaj!", aż w końcu krzyki ucichły i zrobił się spokój. Zaczęliśmy iść w kierunku miasteczka, kiedy napotkaliśmy pierwszy domek, zapukaliśmy do drzwi, otworzyła nam kobieta. Zygmunt zapytał, czy chciałaby kupić jego marynarkę, mieliśmy jeszcze ubrania z domu. Odpowiedziała, że jest zainteresowana, otworzyła nam drzwi, wpuściła do środka, w domu był też jej mąż, prawdopodobnie musieli wiedzieć, że uciekliśmy z obozu. Zapłaciła nam kilkaset złotych za tę marynarkę, spytaliśmy, czy jest gotowa zrobić śniadanie za pieniądze, zgodziła się. Tak smacznego śniadania nie jadłem do dzisiaj. Humor nam się trochę poprawił. Zapytaliśmy też, czy kupiłaby nam bilety do Krakowa, bo na stacji kręciło się sporo policjantów, żołnierzy, woleliśmy nie rzucać się nikomu w oczy. Ona powiedziała, ile będą mniej więcej kosztować, daliśmy jej pieniądze i pojechała je kupić. Strasznie się baliśmy, czy przypadkiem nie wróci z policjantem, jej mąż został z nami w domu, ale ona po prostu przywiozła bilety i tyle. Z wrażenia nawet nie zapytaliśmy, jak się nazywa. Poszliśmy w kierunku stacji, czekaliśmy w ukryciu, aż nadjedzie nasz pociąg i weszliśmy do wagonu w ostatnim momencie, jak już prawie miał ruszać. Wcześniej umówiliśmy się, że nie będziemy

siedzieć razem, tylko każdy osobno, tak, żeby widzieć jeden drugiego, ale ze sobą nie rozmawiać. W razie, gdyby ktoś z nas został zaczepiony, żaden miał nie zdradzić spojrzeniami innych. Ja usiadłem w kąciku, Mietek Sielberg stał twarzą do mnie, a Zygmunt trochę dalej. Pociąg był dość pełny, w pewnym momencie ktoś powiedział do Mietka: „Co pan się tak pcha, jak Żyd?". Ten pytający na szczęście nie widział jego twarzy, która zrobiła się biała jak kreda, ale jakoś dojechaliśmy pod Kraków. Nie chcieliśmy wysiadać na głównej stacji, żeby się nie spotkać z policjantami, na nasze szczęście semafor przed Krakowem był czerwony, pociąg się zatrzymał i wyszliśmy. Znaleźliśmy kuzyna Mietka w Prokocimiu, on nas bardzo ładnie przyjął. Przespaliśmy się u niego, ale rano powiedział, że bardzo mu przykro, ale tylko Mietek może zostać dłużej ze względu na ryzyko. Pożegnaliśmy się i to na długo, bo ponownie spotkałem go dopiero po wojnie w Izraelu, ostatecznie osiadł w Australii.

Pierwszym miejscem, które nam przyszło do głowy, była Wieliczka i pani B., chcieliśmy się jak najszybciej dowiedzieć, czy może ktoś z naszej rodziny zgłosił się do niej wcześniej, myśleliśmy, że może chociaż najmłodszemu bratu udało się wyskoczyć z pociągu, ale niestety. Chcieliśmy też poprosić ją o pieniądze, które zostawiła mama, ponieważ nie mieliśmy co jeść. Na miejsce doszliśmy wieczorem, pani B. nas przyjęła, dała coś zjeść, ale kiedy zażądaliśmy pieniędzy, odpowiedziała, że potrzebny jest podpis matki i odmówiła. Dostaliśmy pół chleba i mieliśmy więcej nie przychodzić, gdyż ona bardzo ryzykuje. Zdecydowaliśmy się wracać do Krakowa, szliśmy polami, niedaleko od szosy. Ni stąd, ni zowąd natknęliśmy się na grupę Żydów prowadzoną przez policjanta żydowskiego, dołączyliśmy się do nich i dotarliśmy do obozu w Prokocimiu. To był początek września 1942 roku. Mieszkaliśmy w barakach, spaliśmy na pryczach, pilnowali nas z reguły tylko policjanci żydowscy, którzy normalnie nie robili nam nic złego, chyba że przychodził jakiś Niemiec, wtedy chcieli pokazać, jacy są dla nas ostrzy, i mogli kogoś zbić. Chodziliśmy z nimi do pracy do Bieżanowa. Ja pracowałem jako hamowniczy przy kolejce wąskotorowej, która woziła ziemię. Bagiel ładował ją na specjalne wagony, które można było wywracać, następnie jechaliśmy w wyznaczone miejsce, gdzie czekali robotnicy do rozładunku, chyba budowano jakieś lotnisko. Ja stałem cały dzień przy hamulcu ręcznym kolejki, ona jechała z góry na dół i trzeba było go zaciągać, żeby kolejka się zatrzymała. Dla mnie to była bardzo ciężka praca, zwłaszcza jak zbliżała się zima, nieraz całymi dniami padał deszcz, było mokro, zimno.

Kiedy byłem w Bieżanowie, pomyślałem, że spróbuję jeszcze raz, bez Zygmunta, pójść do pani B. do Wieliczki po nasze pieniądze. Szedłem akurat, gdy była straszna ulewa, cieszyłem się, że nie było ludzi, czułem się wolny jak ptak, ale doszedłem cały przemoczony, do ostatniej nitki. Było już ciemno, prawie noc, postanowiłem wejść do naszego mieszkania na Narutowicza z nadzieją, że znajdę jakieś ręczniki czy prześcieradło i trochę się wysuszę. Wszystkie okna były połamane, szyby porozbijane, na podłodze pełno szkła, wszystko potargane, nie było nawet czym się wytrzeć. Zdjąłem ubrania do przesuszenia i spędziłem tam noc. Następnego dnia rano, a była to niedziela, nasz dzień wolny od pracy, wyjrzawszy przez okno, zobaczyłem ładnie ubranych ludzi idących modlić się do klasztoru, całe korowody. Przesiedziałem w zniszczonym domu cały dzień, w międzyczasie wysuszyłem się i pod wieczór poszedłem do pani B. Bardzo się przestraszyła, że znowu przyszedłem, powtórzyła swoje życzenie, że nie chce, żebyśmy więcej przychodzili. Odpowiedzia-

łem, że jesteśmy głodni i potrzebujemy naszych pieniędzy, ale znów zażądała podpisu matki. Dostałem pół chleba i miałem sobie iść. Było ciemno, nie chciałem już wracać na noc do naszego mieszkania, zobaczyłem w pobliżu duży kosz na ziemniaki, kucnąłem, nakryłem się tym koszem i tak spędziłem noc, słysząc co godzinę dzwonki zegara kościelnego. Gdy tylko wzeszło słońce, wróciłem do obozu z połową chleba.

Na szczęście nasza ciotka Rebeka z Sosnowca, siostra ojca, która zamieszkała tam z mężem i doglądała fabryczki swego brata, wujka Izaaka, inżyniera prowadzącego warsztat, gdzie wyrabiano z metalu szabaśniki[533], w jakiś sposób nas odnalazła i przysłała nam walizkę z różnymi ubraniami, a ubrania były wtedy bardzo poszukiwane. Sprzedawaliśmy je, a za zdobyte pieniądze mogliśmy kupować obiady w domu niedaleko naszej pracy w Bieżanowie, u rodziny Mrozów. Mężczyzna był kolejarzem, jego żona gotowała i sprzedawała obiady za pieniądze, mieli dwoje małych dzieci. Chodziliśmy do nich, czasami nawet nie wracaliśmy do baraków w Prokocimiu, tylko spaliśmy u nich na strychu. Żyło się nie tak strasznie. Ale gdy jesień się skończyła i przyszła zima, spadł śnieg, a nasza walizka była już pusta, zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej, nie mieliśmy pieniędzy na jedzenie, zaczął się 1943 rok.

Postanowiliśmy, że pojedziemy do getta do Bochni, bo dowiedzieliśmy się, że mieszkają tam jeszcze bracia i siostra ojca: wujek Israel Kleinberger z Targowiska z żoną i dwoma synami, wujek Izaak, ciocia Hela z dwiema córkami oraz babcia. A także, co było bardzo ważne dla Zygmunta, była tam jego sympatia Muszka Schenker. Wiedzieliśmy, że raz w tygodniu z Bochni do Bieżanowa przyjeżdżała furmanka – w zimie sanie – która przywoziła jakieś paczki. Pewnego wieczoru, gdy furman, Polak, zapakował ostatnią paczkę i wyszedł, wślizgnęliśmy się z Zygmuntem do tych sań, bo była zima, przykryliśmy się brezentem i odjechaliśmy z nim do Bochni. Podczas drogi Zygmunt odkrył się, miał nożyk w ręce i powiedział mu, że jedziemy z nim i żeby wiedział, że jeśli nas nie zawiezie do getta do Bochni, to nie zostanie przy życiu, i tak dotarliśmy. Myśleliśmy, że jak dostaniemy się do getta, skończy się nasza udręka, że trochę poprawi się nasze życie. I rzeczywiście znaleźliśmy tam ciepłe łóżka, nie musieliśmy pracować. Był podział na getto A, w którym przebywali ci, co mieli miejsca pracy, i getto B z ludźmi, którzy nie pracowali, ale wszyscy wiedzieli, że w razie planowanej wywózki po nich pierwszych przyjadą. My trafiliśmy do getta B, gdzie przebywała nasza babcia Kleinberger i reszta rodziny; babcia gotowała z tego, co udało się przynieść z pracy wujkowi Izaakowi, i tak żyliśmy. W każdym bądź razie dla mnie to był odpoczynek, nie musiałem stać mokry na zimnie i pracować. W sumie byliśmy w Bochni kilka miesięcy, dotarliśmy w zimie, jak był śnieg, a już po świętach Pesach w kwietniu zabrali nas do kacetu, obozu koncentracyjnego Plaszow, na Jerozolimską w Krakowie. Znienacka zajechały trzy–cztery ciężarówki do getta B, załadowali je do pełna ludźmi, kto im wszedł pod rękę, złapali między innymi mnie z bratem i wujka Izaaka. Eskortowali nas żołnierze z karabinami. Wiedzieliśmy, że do dobrego miejsca nas nie zabierają.

Naszym komendantem był zbrodniarz Amon Göth. Po przyjeździe umieścili nas wszystkich razem w jednym baraku, tak zwanym bocheńskim. W obozie były różne warsztaty, ja dostałem się do metalowego, był też tapicerski i inne. Raz podczas pracy odwiedził nas Göth, przeszedł pomiędzy nami ubrany

[533] Reg. piekarnik.

w biały mundur, nagle wyciągnął rewolwer i strzelił jednemu więźniowi w głowę, ale kula przeszła na wylot i chłopak został przy życiu, z tego, co wiem, przetrwał wojnę. Widocznie nie została naruszona żadna istotna część. Wujek Izaak po tygodniu pobytu w obozie uciekł, nie wiem, jak on to zrobił, ale udało mu się. Wówczas wzięto trzydziestu mężczyzn z naszego baraku, między innymi mnie, i zamknięto nas w więzieniu w samym obozie. Chodziły słuchy, że z tego więzienia nikt nie wychodził żywy, że wszyscy kończyli na Hujowej Górce[534]. Mój brat Zygmunt biegał i szukał kogoś, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, dotarł do pana Laxa, który był w obozie z synem Ryśkiem. On znał wyższej rangi policjanta, wtedy ważną osobę w kacecie, jakiegoś kolegę Cesi Lax, i udało się załatwić, że tamten przyszedł i powiedział, że jestem potrzebny, w ostatniej chwili mnie zwolnili, zaraz po tym straż ukraińska poprowadziła pozostałych więźniów na górę na rozstrzelanie. Mieliśmy nadzieję, że Izaak zostanie przy życiu, po tym, jak udało mu się uciec, ale ślad po nim zaginął.

Z rodziny, która została w getcie w Bochni, przeżyły tylko córki cioci Heli, zabrane do obozów pracy, potem do Oświęcimia i ostatecznie wyzwolone w Bergen-Belsen, natomiast wszystkich pozostałych wywieziono do Bełżca. Przeżyła też siostra ojca, ciotka Rebeka, ta, która przysłała nam do Bieżanowa walizkę z ubraniami, spotkała się z córkami Heli w jednym z obozów, one troszczyły się o nią i została przy życiu, ale z nimi spotkałem się dopiero po wojnie, w Izraelu.

W obozie w Płaszowie byliśmy w sumie około pięciu–sześciu miesięcy do końca 1943 roku.

Następnie wzięto nas do obozu pracy w Częstochowie nad Wartą, do fabryki amunicji. Na powitanie przemówił do nas niemiecki naczelnik i oznajmił, że nie jesteśmy w obozie koncentracyjnym, tylko w obozie pracy i mamy pracować, to dostaniemy lepsze warunki. Był tam żydowski Lageräl tester (starszy obozowy) z Niemiec o nazwisku Joles, mówił po niemiecku, przyjechał do fabryki też z Płaszowa razem z synem, młodszym ode mnie o rok. Miał dobre układy z pewnym Niemcem, z którego pomocą udało mu się sprowadzić do Częstochowy swoją żonę z innego obozu, dostał dwa pokoje w fabryce dla siebie i rodziny. My z bratem mieszkaliśmy w obozie, zdarzało się, że grywałem z kolegami w szachy i ten Żyd dowiedział się o tym. Pewnego dnia kazał mi przyjść do nich do mieszkania i grać z ich synem. Tamten chłopiec był ładnie ubrany, czysty, a ja brudny, w podartym ubraniu, więc nie cieszył się moim przyjściem, ale jego matka postawiła szachy na stole, żebyśmy grali. Miałem dylemat, jak prowadzić grę, czy wygrać, czy przegrać, od początku widziałem, że jestem dużo lepszy. Myślałem sobie, że jak dam mu wygrać, to on nie będzie zainteresowany kolejną grą, a jeśli wygram, to być może zechce rewanżu. Postanowiłem wygrać, po czym chłopiec wstał i odszedł, jego matce zrobiło się nieprzyjemnie. Odprowadzono mnie z powrotem i więcej tam nie chodziłem. W obozie w Częstochowie nad Wartą byliśmy ponad rok, prawie do końca 1944 roku, aż do zimy, kiedy zaczęli się zbliżać Rosjanie.

Wtedy przyjechali Niemcy, załadowali nas do pociągu i przewieźli do Buchenwaldu na około trzy

[534] Hujowa Górka (in. Chujowa Górka, Hujarowa Górka, Kozia Górka) – miejsce na terenie KL Plaszow, w którym dokonywano egzekucji więźniów, głównie Żydów. Nazwa miejsca nawiązuje do nazwiska Unterscharführera Alberta Hujara, który kierował egzekucjami.

tygodnie – była zima. Stamtąd wysłano nas dalej do małego obozu o nazwie Flossenbürg we Freibergu[535], gdzie wyrabiano pancerfausty. W Buchenwaldzie zamiast pasiaków dostałem ubranie, jakby żakiet malowany w pasy, w dość dobrym stanie z pozostawionym czerwonym trójkątem z literą F. Było to oznaką francuskiego więźnia politycznego. Zajmowałem się czyszczeniem różnych sprzętów na polu. Wtedy pilnowali nas już nie młodzi Ukraińcy, tylko starsi Niemcy, wydawało mi się też, że byli wśród nich Węgrzy, patrzyli ze zdumieniem na mój strój. Brat Zygmunt był ze mną cały czas – wcześniej wiele razy uratował mnie od śmierci – aż do feralnego 17 marca 1945 roku w obozie we Freibergu. Na jednym z apeli napadł na niego niemiecki Lagerältester, około trzydziestopięcioletni sadysta. Zaczął go strasznie bić, kopać, aż Zygmunta zabrano z apelu. Ja musiałem pójść do pracy, ale po powrocie do obozu od razu pobiegłem zobaczyć brata, pytałem, gdzie jest, doszedłem do jego pryczy, ale go nie było. Nikogo nie było przy tym, gdy przynieśli go z placu apelowego – zostało półtora miesiąca do wyzwolenia. To była najcięższa chwila mojego życia. Nie wiedziałem, co się dzieje, cały czas byliśmy razem, a tu nagle nie miałem do kogo słowa powiedzieć. Bardzo mocno przeżyłem śmierć brata.

To był już czas powolnej ewakuacji Niemców, słyszeliśmy bombardowanie Drezna, zaraz potem zabrano nas przez Czechosłowację, gdzie życzliwa ludność przychodziła z chlebem i rzucała go nam przez okna do wagonu, do Mauthausen w Austrii. Postanowiliśmy z dwoma kolegami, że uciekniemy z wagonu w Czechosłowacji, zrobiliśmy między sobą „en-den-dino"[536], kto pierwszy wyskoczy. Następnie zdjęliśmy druty z okienka i jeden kolega z Warszawy wyskoczył, ale dwie minuty po tym usłyszeliśmy strzał, otworzono drzwi wagonu i wrzucono go nieżywego do nas.

Gdy zostałem wyzwolony, nie wiedziałem, czy mam się cieszyć. Cóż z tego, że przeżyłem, skoro nikt mi nie został.

---

[535] We Freibergu znajdował się podobóz KL Flossenbürg.

[536] Wyliczanka.

PRZEŻYŁEM W UKRYCIU

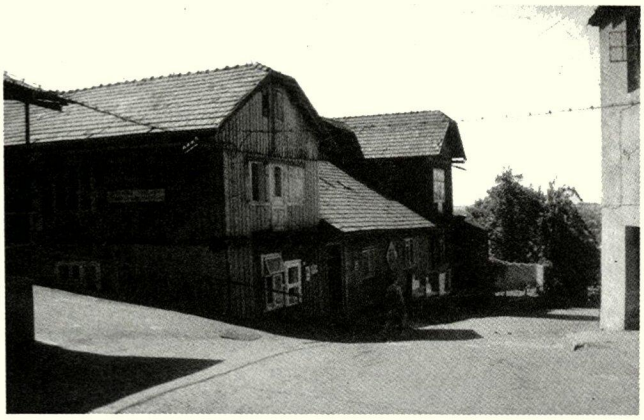
Izaak Birnbaum

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Izaakiem i Zofią Birnbaumami w Hajfie 14 i 16 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Gdy wybuchła wojna, każdy, kto mógł, kto miał konia i wóz, pakował się i uciekał z Wieliczki na wschód, nie tylko Żydzi, Polacy też. My jechaliśmy trzema wozami, w trzy pary koni, wszyscy razem z rodziną mojej mamy, dotarliśmy aż nad San. Moja ciotka Czesława Perlberger, która była lekarzem, przedostała się razem z synkiem Ryszardem i babką Teresą Perlberger, swoją teściową, do Lwowa, zaczęła tam pracować i zmobilizowano ją do Wojska Polskiego, a następnie we troje zostali wysłani z oddziałem wojskowym do Rosji. Niemcy posuwali się bardzo szybko na wschód, kiedy już byli dużo dalej od nas – ponieważ Rosjanie uciekali przed nimi – zdecydowaliśmy się pod koniec września lub na początku października wracać do Wieliczki.

Po powrocie dowiedzieliśmy się o łapance Żydów na Rynku. Wśród tych, których Niemcy zabrali do obozu, był mój kolega Maks Farber, ostatecznie przeżył on wojnę w lagrach, był długo w Pustkowiu.

Nasza garbarnia prawie nie była zamknięta, przydzielili nam komisarza niemieckiego, nazywał się Rudolf Pospiszyl, Czech, mieszkał w Krakowie na Podgórzu. Był mniej więcej w wieku mego ojca, około czterdziestki, mówił bardzo dobrze po polsku, rozmawiał też po niemiecku



Były dom rodzinny Birnbaumów przy ul. Garbarskiej, lata osiemdziesiąte XX wieku

i oczywiście po czesku. Nie wiem, czy był posłany do Wieliczki, czy może sam się starał, żeby zostać dyrektorem, w każdym razie było mu u nas bardzo dobrze. Ojciec wprowadził go w pracę zakładu na początku wojny, jeszcze w 1939 roku, ale w zasadzie nadal sam wszystkim kierował. Niemcy zostawili nam auto ciężarowe, zdaje się tylko mercedesa zarekwirowało wojsko niemieckie. Ja też pracowałem w garbarni przez cały czas, zanim mieszkaliśmy w Wieliczce, prowadziłem dział, do którego przywożono surowe skóry. Po obróbce przekazywałem je dalej, aż wychodziły skóry gotowe. Cały proces trwał parę tygodni. W zasadzie orientowałem się w pracy na każdym etapie takiej obróbki. Przywożono skóry w różnym stanie, jedne wysuszone, inne wczoraj zdjęte z krowy, przygotowywaliśmy je, potem wieszaliśmy w dużych basenach z wapnem, żeby włosy z nich opadły. Były kupowane od rzeźników, nie za pośrednictwem władz, więc część sprzedawaliśmy na czarnym rynku, a skóry były drogie. Czasami w garbarni było dwadzieścia tysięcy skór. Dostawałem pensję, miałem pieniądze, ojciec też miał, nie znałem ich wartości, nigdy mi nie brakowało, nie głodowałem. Potem w ukryciu również nie głodowałem, ani w obozie w Bieżanowie – obok miejsca, gdzie pracowaliśmy, był dom rodziny Brusów i chodziło się do pani Bruski na obiady, pamiętam ryż ze śmietaną i z cukrem.

W Wieliczce do 1942 roku mogłem się poruszać w opasce, nie ściągałem jej, nie wolno było, natomiast do Krakowa praktycznie nie jeździłem, trzeba było mieć przepustkę.

Niemcy na samym początku wojny zamknęli wszystkie bożnice i chajdery[537]. Ludzie modlili się po domach; w mieście słyszałem, że u Attermanów była oficjalna bożnica na około dwadzieścia osób i u Grossów za sukiennicami.

Hitlerowcy założyli Judenrat, został wybrany przewodniczący, chodził do Niemców i oni wydawali mu polecenia, co Żydzi mają robić: na przykład jutro ma się stawić sześćdziesiąt osób do odgarniania śniegu, a pojutrze do czego innego. Udzielało się tam kilku Żydów, mieli biuro, dostawali instrukcje. Każdy wiedział, że oni muszą wykonywać, co Niemcy im każą. Urzędnicy byli niemieccy i polscy, a na ich usługach granatowi policjanci – wszyscy brali łapówki, wszyscy, a Żydzi musieli dawać. Na policji, na przykład, pewnie nie mogli wyżyć z tego, co dostawali, a może i mogli, ale brali – za wszystko: jeśli jutro trzeba było podstawić sześćdziesiąt osób do odgarnięcia śniegu, to jeden drugiemu, kto miał, dawał, żeby go nie posyłać do tej pracy, łapownictwo kwitło. Żydzi próbowali przekupywać władze niemieckie, żeby panował względny spokój. Do nas przychodził oficer niemiecki, który pracował w Wieliczce na policji, wtedy mój ojciec wypraszał mnie z pokoju, żebym nie widział, a Niemiec odchodził zawsze za-

[537] Zob. przyp. 321.

dowolony. Jak mówił, że następnego dnia wyjeżdża na urlop do domu, to dostawał paczki z żywnością od nas. Różni Niemcy przychodzili, nie naraz, każdy osobno, z żandarmerii niemieckiej na Zadorach, i dostawali paczki. W Polsce było co jeść, nie dla wszystkich, bo była bieda, ale był i dobrobyt. Ogólnie moja rodzina dużo dawała, bo przede wszystkim przychodzili do tych, o których wiedzieli, że mają, a w grę wchodziły duże pieniądze. Przychodzili też Polacy z podziemia. Był w Wieliczce wielki działacz socjalistyczny Jedynak[538]. Wiem, że ojciec jemu też zanosił pieniądze. Mnie zawsze wypraszano z pokoju, miałem siedemnaście lat.

Na Klaśnie w miarę dobrze się żyło, ci, którzy tu mieszkali, przeważnie zostali. Przed wywózką w Wieliczce przybyło dużo Żydów z Myślenic, Gdowa, Dobczyc, z całej okolicy, do każdego domu dokwaterowały się jakieś rodziny, do nas nie, bo mieszkaliśmy przy samej garbarni, gdzie był komisarz niemiecki, nie mogliśmy nikogo przyjąć. Codziennie widziałem jakieś nowe twarze i dowiadywałem się, że mieszkają obok.

Kiedy przyszedł sierpień 1942 roku i wszyscy wyczuwali zagrożenie, okazało się, że żadna kryjówka nie była pewna. Wydawało się, że najbezpieczniej będzie dogadać się z jakimś Niemcem, a oni prawie zawsze brali, ponieważ ich nie podejrzewano. Nieraz zdarzało się, że Niemiec pomógł.

Przed 27 sierpnia mieliśmy przygotowaną kryjówkę w garbarni pod podłogą, trzeba było podnieść kilka desek, żeby wejść, było nas więcej niż piętnaście osób – rodzice, siostry, wujkowie z rodzinami, ci, którzy mieszkali w Wieliczce, nie wszyscy. Zaufani robotnicy wykopali dużą jamę, na pewno był wśród nich Tomasz Zasadny. Jego żona też nam bardzo pomagała. Warunki były bardzo złe, ciasno, leżeliśmy na nierównej, spadzistej ziemi. Wiedzieliśmy, że długo tak się nie da. Pospiszyl wiedział, że jesteśmy schowani, dobrze żył z moim ojcem, zarabiał u nas dużo pieniędzy, był zadowolony, to nam pomagał. Ale nie mogliśmy długo siedzieć pod garbarnią, ludzie pracowali na górze osiem godzin dziennie, nie wiedząc, że leżymy pod deskami. My wszystko słyszeliśmy, siedzieliśmy cicho, nie wolno było rozmawiać, żeby nikt nie usłyszał, na szczęście na górze pracowały maszyny, to nie było bardzo słychać, ale i tak byliśmy w wielkim strachu. Po akcji w Wieliczce na dworcu towarowym Niemcy nie przyszli do garbarni sprawdzać, czy jacyś Żydzi się nie ukrywają, ze względu na komisarza. Siedzieliśmy w ukryciu około tygodnia, potem, gdy się dowiedzieliśmy, że wszyscy zostali wywiezieni albo pomordowani, zdecydowaliśmy się pojechać do getta krakowskiego.

[538] Józef Jedynak ps. „Dziadek" – działacz społeczny, przewodniczący wielickiego koła PPS, aktywny uczestnik prac Centralnego Związku Górników. Podczas II wojny światowej należał do Rady Pomocy Żydom. Został ujęty m.in. w książce Danuty Dobrowolskiej *Górnicy salinarni Wieliczki w latach 1880–1939. Studium historyczno-socjologiczne załogi robotniczej* (1965). Jego imieniem nazwano jedną z ulic w Wieliczce. Zob. J. Aleksandrowicz, *Kartki z dziennika doktora Twardego*, Kraków 1983, s. 65: „Jedną z najpiękniejszych postaci, jakie zdarzyło mi się spotkać w latach okupacji, był Józef Jedynak. Wysoki, barczysty, miał twarz i głowę rzymskiego senatora [...]. Symbol patriotyzmu, prawości, dobroci i niezwykłej, bo rozważnej odwagi"; s. 230: „Wielu młodych Żydów, którzy uratowali się z wielickiego pogromu i pracowali w kopalni soli, wspomina serdecznie sylwetkę wysokiego starszego człowieka, poruszającego się ciężko o lasce, który przechadzał się wzdłuż toru, by wykorzystując moment nieuwagi dozorcy, wrzucać do wagoników pieniądze".

Polacy powiedzieli, że Żydów, którzy wsiedli do pociągu, zabrano na śmierć, a na afiszach było napisane, że pojadą do pracy na wschód. Ale nikt nie wierzył, że wszystkich mogą wykończyć, mieliśmy nadzieję, że Niemcy ostatecznie muszą przegrać wojnę, że nie zdążą wszystkich zlikwidować. Nikt nie wiedział, jak naprawdę wyglądają obozy zagłady, myśleliśmy, że część ludzi wywożą do pracy, na wschód na roboty.

Nasz pracownik Frankowski przygotował furmanki i po kolei przewiózł nas wszystkich na wozie pod bramę getta. Tam stał policjant żydowski i Niemiec, nie pamiętam, jak się przedostaliśmy za ogrodzenie. Była z nami też ciotka Fryda z Austrii, która już w 1938 roku uciekła z dziećmi do Wieliczki i mieszkała u nas. Jej mąż został w Wiedniu i stamtąd udało mu się przedostać do Ameryki. Obowiązywała taka ustawa podczas wojny, że Niemcy pozwalali obywatelom amerykańskim wyjechać z getta. Ciotka dostała odpowiednie papiery dla siebie i dla dzieci i wyjechała z getta do Ameryki, gdzie się uratowała. Myśleliśmy, że w getcie będzie dobrze, byliśmy ogrodzeni, zaczęliśmy pracować dla Niemców. Ojciec wyrobił sobie kontakty, dowiedział się, że w Krakowie nie jest zbyt bezpiecznie, że może w Bochni byłoby pewniej, i wyjechaliśmy całą rodziną. Pomógł nam Niemiec, który nie był w wojsku, tylko tam pracował, miał ciężarówkę. W każdym razie, jakby nas złapali, to zabiliby też jego, narażał się.

Nie pamiętam, jak, ale z jakiegoś powodu wróciłem z powrotem do obozu do Bieżanowa, a po pewnym czasie przyszedł po mnie Polak Rudolf Przetaczek i powiedział: „Chodź ze mną, u mnie przeżyjesz wojnę", i chciał, żebym poszedł do niego do domu. Pracowaliśmy z kolegą Zygmuntem Waldmanem przy zakładaniu torów kolejowych. Przetaczek nas znalazł, dowiedzieliśmy się od niego, że dzień wcześniej Niemcy wywieźli transporty Żydów z getta z Bochni. Tak jak stałem, zadecydowałem, że pójdę do Przetaczka, nie wiedziałem, czy ktoś z moich przeżył. Nie znałem go, zapytałem, skąd on mnie zna, okazało się, że jego brat był naszym pracownikiem. Kolega dziwił się: „Idziesz do Polaka? Ja może tu przeżyję". Nie powiem, że to było mądre, bo postanowiłem iść do człowieka, którego nie znałem, i wtedy nie miałem co mu dać w zamian. Słyszało się, że byli tacy Polacy, co brali Żydów, jeśli ci coś mieli, to im zabierali i wydawali Niemcom. Nieprzyjemnie mi o tym mówić, ale były takie przypadki. Przetaczek chciał zabrać także mojego kolegę, ale ten nie zgodził się pójść, rozstaliśmy się, on nie przeżył, ja przeżyłem.

Nigdy nie pomyślałem, że Niemcy zabiją wszystkich Żydów, wierzyłem, że ktoś się uratuje, dzisiaj likwidowali coś tu, jutro tam. Przede wszystkim nie można było uwierzyć, że da się wszystkich zlikwidować, zawsze ktoś zostanie. Moja córka raz mnie zapytała, jak się uratowałem. Nie potrafiłem jej odpowiedzieć, nie rozumiałem, jak to się stało, że rozstałem się z rodzicami, siostrami, ciotkami, wujkami i przeżyłem. Jak Niemcy zaczęli się cofać z Rosji, wtedy już było inne nastawienie, ludzie myśleli inaczej, i Żydzi, i Polacy, w obozie widzieliśmy jeńców rosyjskich przywiezionych do pracy, opowiadali nam o froncie.

Uciekłem z Przetaczkiem, po drodze powiedział: „Nie boję się, że cię Niemiec pozna, boję się, że cię Polak pozna". Polacy poznawali nas po oczach, zawsze zdawało mi się, że wiedzą, kim jestem. Zdjąłem opaskę, a gdy przechodziliśmy obok Polaka, Rudolf zwrócił się do mnie: „Staszek, pójdziemy tędy!", żeby tamten słyszał zwyczajną rozmowę ze Staszkiem, a nie podejrzewał, że prowadzi się Żyda. Szliśmy w dzień, w sumie łatwo było uciec, doszliśmy do jego

domu w Lednicy Górnej. Mieszkał z żoną i dwójką dzieci u teściów, nazywali się Ziarko. Wchodziło się do nich, była długa sień i jedna izba, gdzie mieszkali rodzice jego żony Zofii, a w drugiej izbie mieszkali Przetaczkowie z dwojgiem dzieci w jednym pokoju. Okazało się, że będą ukrywać ze mną jeszcze dwoje młodych, Żydówkę Frydę Katz i jej kolegę Alstera. Ona była ładna. Przetaczek wziął ją, ponieważ jej ojciec kupował u niego sól, ale postawiła mu warunek, że pójdzie do niego pod warunkiem, że zabierze też jej znajomego, którego poznała w obozie. Na początku mieszkaliśmy wspólnie z Przetaczkami, siedem osób w jednym pokoju, dopóki nie został wykopany bunkier. Parę dni siedzieliśmy w stodole obok domu na sianie. Bunkier był zrobiony specjalnie dla nas, wchodziło się ze stajni, wyjmowało cztery–sześć cegieł i tak się człowiek zsuwał do niego. Z kryjówki była wyprowadzona rura, miała może trzy centymetry średnicy, patrzyliśmy przez nią na słońce. Siedzieliśmy półtora roku bez światła dziennego, osiemnaście miesięcy. Ale jak się ma dwadzieścia lat, to można wytrzymać.

Teść Przetaczka nie zauważył, że zięć coś kopie, był stary, dużo nie chodził, choć mieszkał w tym samym domu. Nas też nie widział, gdy byliśmy w domu. Babka uważała, żeby nie wychodził z pokoju, mógłby się bać, żona nie powiedziała mężowi. Dzieci Rudolfa wiedziały, choć to było niebezpieczne, ponieważ mogły się w szkole wygadać. Córka Janka miała wtedy jedenaście lat, syn Józek – piętnaście, ja – dwadzieścia jeden.

Nie bałem się poprosić Przetaczka, żeby poszedł do Anieli Zasadnej do nas do domu i powiedział, że się u niego ukrywam. Czasami przychodziła, za pierwszym razem przyniosła ciasto, ale swojemu mężowi nie powiedziała. Nikt we wsi o nas nie wiedział, najbliższy sąsiad mieszkał ze sto metrów dalej. Do ogrodu wychodziliśmy późnym wieczorem, Przetaczkowie mieli duży sad, drzewa owocowe, mogliśmy jeść, co chcieliśmy, rwać owoce, tylko żeby nie rzucać pestek, ze śliwek na przykład, dlatego nie jedliśmy śliwek. Rudolf nie pytał o pieniądze, nic nie żądał, a ja mu najpierw nic nie dałem, bo nic nie miałem.

W bunkrze było nisko, nie można było stanąć, tylko klęknąć, co najwyżej dało się schylić, to wszystko, jeszcze dało się usiąść na pudle z marmolady, czyli na naszej ubikacji. Rura, która wychodziła ze środka, na zewnątrz była zasłonięta liśćmi albo trawą, żeby nie było jej widać. W zimie na przykład dookoła niej topił się śnieg, bo wychodziło ciepło i para, trzeba było czymś przysłaniać. Przetaczek codziennie przynosił nam gazetę „Kurier Krakowski", choć sam nie umiał za bardzo czytać, wtedy były inne czasy. Dzięki temu wiedzieliśmy, co się dzieje, gdzie jest front, że Niemcy się cofają, że Rosjanie z dnia na dzień zbliżają się coraz bardziej. Wokół Wieliczki nigdy nie było żadnych walk. Leżeliśmy całymi dniami, dużo rozmawialiśmy, po polsku, kłóciliśmy się też, nie można było leżeć półtora roku, nie kłócąc się. Moi współlokatorzy kłócili się też trochę między sobą, ale wyglądało na to, że się pobiorą. Nasze pudło z marmolady, tę ubikację, zawsze pomału wynosiliśmy tą samą dziurą, przez którą wysuwaliśmy się na brzuchu, koło krowy, czasami się trochę rozlało. W zimie zamiast do ogrodu szliśmy trochę do stodoły, żeby nie zostawiać śladów na śniegu i nie pomoczyć się, albo do Przetaczków do mieszkania. Nie było nam nigdy zimno, byliśmy pod ziemią, koło krów, żadne z nas nie rozchorowało się przez półtora roku. Czuliśmy się dobrze, jakoś radziliśmy sobie też z tym, że Fryda była dziewczyną, a my chłopakami. Jedzenie przynosiła nam przeważnie

pani Przetaczkowa, nie pamiętam drugiej takiej dobrej kobiety, albo dzieci. Mężowi zdarzało się czasami przez dwa dni nie być w domu, gdy odchodził z kolegami pić w piątek, to wracał w niedzielę ze śpiewem, na pół kilometra było słychać. Ale zawsze wiedział, co mówi i co robi, nawet gdy był pijany, nikogo się nie bał, a jego bali się wszyscy. Handlował solą, a sól była monopolem, nieduża bryłka ważyła kilogram, który kosztował dwadzieścia groszy, a to było dużo na tamte czasy.

Józef Jedynak, działacz podziemia, członek PPS-u, bardzo pomagał, jeśli wiedział, że jakiś Polak przechowuje Żyda, dawał mu środki na utrzymanie, bo podziemie miało pieniądze. Mieszkał z rodziną w Domu Śląskim[539], takim długim przy drodze do Krakowa, przed wojną organizował strajki w kopalni, był wszędzie, gdzie trzeba było strajkować. Wszyscy wiedzieli o jego działalności, ja dowiedziałem się o nim w ukryciu, bo Przetaczek dostawał od niego pieniądze.

Przetaczkowie przynosili nam jedzenie przez półtora roku, trzy razy dziennie, to, co sami jedli, dostawaliśmy ciepłe, ale nie zawsze, bo i oni nie zawsze mieli. Rano się jadło chleb, czasami było masło, nikt nie liczył na specjalne jedzenie, cokolwiek się zjadło, to było dobrze.

Myliśmy się raz na trzy tygodnie u nich w izbie, ze stodoły wchodziło się tam schodami na piętro, była duża miska, w której myła się cała rodzina, ojciec, matka, syn, córka i my, w tej samej misce, tylko każdy zmieniał wodę po sobie, przynosiliśmy ją nosidłami w wiadrach z małego źródełka, pięćdziesiąt metrów pod górę od domu. Potem tę samą miskę się myło i robiło się w niej pięć chlebów, dużych jak pół stołu, które piekło się w dużym piecu w kuchni.

Często siedzieliśmy u nich w mieszkaniu wieczorami, jadaliśmy tam kolację, wszyscy byli bardzo uprzejmi, nigdy nie mówili, że się boją, my też się nie baliśmy, ale bardzo się pilnowaliśmy. Któregoś razu Zofia Przetaczkowa powiedziała mi, że u sąsiadów w czwartym domu od nich ukrywa się jeden, nazywa się Misiołek, i że to jest Żyd. „Skąd pani wie?", zapytałem. „Po oczach poznałam". On nie był z Wieliczki, rzeczywiście się tam ukrywał, przeżył wojnę, spotkałem go później.

Gdybym wiedział wtedy w obozie w Bieżanowie, że idę do Przetaczka na półtora roku, to nie wiem, czy bym poszedł ani czy on by mnie wziął na utrzymanie. Zawsze się myślało, że jak Niemcy zaczęli się cofać, to lada dzień się to skończy, kto tego nie przeżywał, nie zrozumie.

Gdy wreszcie 21 stycznia 1945 roku do Wieliczki weszli Rosjanie, to Przetaczek nie dał nam od razu wyjść, powiedział: „Zaczekajcie dzień, bo front się może cofnąć". Odczekaliśmy jeszcze dwa dni i wyszliśmy, było zimno, leżał śnieg. Pierwsze, co mi powiedział, gdy wyszedłem, to żebym nikomu nie mówił, że mnie uratował. Pożegnaliśmy się i pognałem do nas do domu. Tam mieszkała cały czas Aniela Zasadna z mężem, ale przecież dom miał dwanaście pokoi,

[539] Zob. wspomnienie Marii Pajor w: J. Duda, *145 spotkanie z cyklu „Wieliczka – Wieliczanie"*,„Biblioteczka Wielicka" 2009, z. 90, s. 23: „Z lat okupacji pamiętam, że w Domu Śląskim wynajmowały mieszkania bogate rodziny żydowskie wyrzucone przez Niemców ze swoich domów. U Bani mieszkały dziewczynki Rita i Giza, a u Fitowskich Pani Wasermanowa z córką. Bardzo się bały, że stąd zostaną zabrane siłą i tak się stało. Pewnego razu na podwórko przyjechali Niemcy. Nakazali wszystkim Żydom zebrać się, stąd ich zabrano w nieznane".



Od lewej siedzą: Zelig Goldstein, Mordechaj Koper, przyjaciel Izaaka Birnbauma ze szkoły garbarskiej w Radomiu, NN, Izaak Birnbaum, Kleinman (imię nieznane), około 1945 roku

nie było problemu, mnie wystarczył jeden pokój, ona gotowała jedzenie, jadłem to samo co oni i mieszkałem z nimi. Meble zostały, co najwyżej ubrania wszystkie były rozebrane, widziałem tego w moim płaszczu, tamtego w płaszczu ojca, ale nikomu nie zwracałem uwagi, wtedy już miałem pieniądze, mogłem sobie kupić. Najbliżsi znajomi i sąsiedzi cieszyli się, że wróciłem. W garbarni pracowali sami Polacy, prawie wszyscy ci sami, co przed moją ucieczką, trochę nowych doszło. Do końca wojny był tu niemiecki komisarz, volksdeutsch Pospiszyl. Gdy się dowiedział, że wróciłem, był wtedy jeszcze w Krakowie, potem wyjechał do Czechosłowacji, posłał mi przez jednego Polaka, naszego pracownika, dość dużą sumę. Dałem część Przetaczkowi, w takiej sytuacji nie liczyłem się z pieniędzmi, poza tym w garbarni były skóry, miałem co sprzedawać.

Byłem chyba pierwszym Żydem w Wieliczce, który wrócił po wojnie, a po paru dniach byliśmy w piątkę, wtedy jeden Polak mi powiedział: „Ja już wszystkich Żydów z Wieliczki widziałem", co nie było trudne. Z dwustu czterdziestu rodzin pojawiło się nas pięciu. Dwie kobiety i trzech mężczyzn.

Całą moją najbliższą rodzinę Niemcy wywieźli z getta w Bochni do Bełżca i tam wykończyli. Babkę z dziadkiem od strony ojca wywieźli z Krakowa. Babka Teresa Perlberger umarła w Rosji podczas wysiedlenia, natomiast ciotka Czesława przyjechała razem z synem Ryśkiem do Krakowa do swego domu, zaraz gdy front się zbliżył, po wyzwoleniu, zaś jej mąż, Aleksander Perlberger, brat mojej mamy, dotarł z armią Andersa do Palestyny.

Aniela Zasadna wiedząc, że się ukrywam, schowała nasz album rodzinny ze zdjęciami, czekał na mnie po powrocie.

ŻYDZI W LEDNICY GÓRNEJ

Janina Sejdak

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Janiną Sejdak w Krakowie w kwietniu 2012 roku przez Urszulę Żyznowską.

Po sierpniu 1942 roku Iziek Birnbaum miał być przechowywany ze swoim ojcem u pewnego mężczyzny w Wieliczce. Mój tata, Rudolf Przetaczek, był pośrednikiem między nimi w działalności podziemnej. Dla Iźka wszystko było już załatwione, Niemcy w Bieżanowie dostali łapówkę, żeby mógł wyjść z obozu. Jego ojciec przebywał w getcie w Bochni, dokąd mój tata jeździł wielokrotnie, by umówić się na wyciągnięcie go stamtąd. Jednak w tym czasie sprawy się skomplikowały – mężczyzna z Wieliczki umarł nagle. Nie było wyjścia, trzeba było wziąć Iźka do naszego domu. Hirsz Birnbaum[540] dobrze żył z Niemcami w Bochni, miał z nimi układy, powiedział mojemu ojcu: „Panie Rudku, jak trzeba będzie uciekać, to ja dam znać, bo mi powiedzą". Wierzył, że jego kontakty zadziałają, jednak tydzień po tej rozmowie, po tym jak jego znajomy Niemiec został przeniesiony w inne miejsce, został zlikwidowany. Nie udało nam się dowiedzieć, co się z nim stało.

Mieszkaliśmy w Lednicy Górnej razem z dziadkami, tata Rudolf, mama Zofia, mój brat Józek i ja. O zamiarze ukrycia Iźka powiedzieli-

[540] Ojciec Izaaka (Iźka) Birnbauma.

śmy tylko babci Józefie, dziadek Piotr Ziarko nic nie wiedział, zresztą nie o tym jednym.

Ojciec urodził się w 1905 roku w czeskiej Orawie, z matki Czeszki i ojca Polaka, w Wieliczce ukończył cztery klasy szkoły powszechnej, do której uczęszczał po przeprowadzce z rodzicami do Mietniowa. Podczas wojny należał do partyzantki, jego dowódcą był prof. Aleksandrowicz[541] – pewnego wieczora przyszedł do nas do Lednicy, ale częściej przebywał u Polonki, w tej samej wsi, ale bliżej Rożnowej. Polonka, podobnie jak my, ukrywał Żydów. Na naszym strychu od czasu do czasu przechowywaliśmy nawet po piętnastu partyzantów. Druga kryjówka była w stodole w sianie.

W obozie pracy w Bieżanowie tata miał przyjaciela, Mariana Warkowskiego, Żyda z Wieliczki, który pracował tam jako mechanik, naprawiał agregaty, był w dobrych układach z Niemcami, mógł w miarę swobodnie się przemieszczać. Ojciec często go odwiedzał, pracowali razem. Jak trzeba było coś załatwić, kupował prezenty Niemcom. Ja albo brat jeździliśmy do Bieżanowa na rowerze i dowoziliśmy różne rzeczy, np. dość często dostarczałam ciastka kremówki, kupowane w prywatnym domu na przedmieściu Wieliczki. Marian częstował nimi Niemców, bardzo im smakowały. Potem razem z bratem uciekł z obozu, ale nie wiem, gdzie się ukryli; obaj przeżyli, ożenili się z Polkami i tu mieszkali do końca.

Kolejnym znajomym Żydem z Wieliczki był Bolek Müller, ojciec wyrobił mu kenkartę, pamiętam tylko nowe imię, Jan. Za okupacji przychodził czasami do nas do domu i przechowywał się przez noc na strychu albo w stodole. Ukrywał się w okolicznych lasach gdzieś za Krakowem, miał bardzo ładną siostrę Rózię, ale Polacy ją wydali i została zastrzelona przez Niemców. Jego rodzice zostawili futra, pieniądze i wiele rzeczy u pewnej kobiety w Lednicy, z którą znała się matka Bolka, kupowali od niej śmietanę, mleko, jajka. Gdy Müller potrzebował, żeby coś mu dała, prowadziłam go w nocy do tej babki, a byłam wtedy dziewięcioletnią dziewczynką. On dla niepoznaki niósł paczusię, widły, a szliśmy przez pola. Byłam tam z nim dwa razy, nie wchodziłam do środka, czekałam w umówionym miejscu. Ojciec nie chciał, żeby tamci widzieli, kto go prowadzi, mówił mi: „Ty nie wchodź, umów się z Jasiem, gdzie masz stać". Po okupacji żadnych poważniejszych rzeczy nie odzyskał, wyjechał do Niemiec.

Znaliśmy też Jana Jackowskiego, Żyda, który pomagał nam w działalności podziemnej. Dotarł w Krakowie do najważniejszego Niemca, Hansa Franka, był blisko niego, nikt nie wiedział o jego żydowskim pochodzeniu. Miał kochankę Niemkę. Przyjeżdżał do nas, raz przywiózł mi piękną książkę, bajki Andersena, podpisaną przez wujka Jasia i ciocię, tę Niemkę. Po wojnie wyjechał do Izraela. Należał do grupy kierowanej przez Józefa Jedynaka[542] z Wieliczki, któ-

[541] Julian Aleksandrowicz (1908–1988), pseud. „Doktor Twardy" – lekarz internista, profesor medycyny, a także humanista i społecznik. Podczas II wojny światowej walczył w kampanii wrześniowej. Przez trzy lata był więziony w getcie krakowskim, z którego uciekł i został aktywnym członkiem Armii Krajowej, odznaczony później Virtuti Militari.

[542] Zob. wspomnienie Marii Pajor (J. Duda, *145 spotkanie...*, *op. cit.*): „Józef Jedynak w latach wojny w lasku za Parkiem Mickiewicza w Wieliczce, w miejscu gdzie w 1980 r. powstało Osiedle Szymanowskiego, organizował partyzantkę, tu ukrywał dokumenty, broń. Tu m.in. spotykał się z działaczem społecznym Stefanem Hartabusem z Krzyszkowic i innymi".

rego cała rodzina była zaangażowana w działalność podziemną, robili cuda, to byli przewspaniali ludzie. Organizowali napady na niemieckie transporty; kiedy Niemcy chcieli zrobić nalot na partyzantów, to chłopaki z tej grupy podczas postojów okradali ich samochody z amunicji; pomagali Żydom. Mój ojciec też z nimi współpracował, Jedynaka znał już wcześniej, ponieważ należał do PPS. Podczas wojny wysyłał mojego brata, Józka, żeby przenosił w metalowej bańce ulotki i roznosił po mieście – raz go złapali i zamknęli, ale Jedynakowi udało się załatwić zwolnienie Józka. Ja też bywałam u Jedynaka w domu, nazywaliśmy go dziadkiem; znałam jego córki: Józię, po mężu Panuszka, i jej siostrę, moją nauczycielkę ze szkoły. Czasami, gdy dłużej u nich zabawiłam, Józia nie chciała puścić mnie do domu: „Nie będziesz szła na noc, nie wiadomo, co po drodze może się zdarzyć", wtedy spałam z nimi.

Cała nasza rodzina była czynnie zaangażowana w podziemiu. Siostra mamy, Aniela Ziarko, prawie cały czas żyła w lesie, w partyzantce. Kiedy ukrywała się w Żelisławicach, między innymi ze swoim narzeczonym, ktoś ich zdradził. Próbowali się schować, ona położyła się w burakach, jej chłopak w ziemniakach, jakiś Niemiec w ostatniej chwili, już wsiadając do samochodu, zobaczył, że ziemniaki się ruszają, rzucił granat i chłopaka rozerwało na kawałki, leży na cmentarzu w Wieliczce. Grupę ojca – była ich cała paczka, z nazwiska pamiętam tylko Skowrona – stale gdzieś przerzucano, do Kamieńca, w drodze na Warszawę, do Skarżyska-Kamiennej, w lasy kieleckie, a stamtąd partyzanci przyjeżdżali pod Kraków. Jeden z nich był Rosjaninem, przechowywał się u nas na strychu z żoną i dzieckiem, nie wiedział, że w domu są Żydzi. Znał bardzo dobrze niemiecki, okradał Niemców z broni, ale zginął w lesie.

Iziek Birnbaum na początku mieszkał w naszej piwnicy pod drewnianą częścią domu, w dzień ojciec zamykał go na skobel, nosiliśmy mu tylko jeść. Druga połowa domu była murowana, niewykończona jeszcze, mieliśmy pod nią stajnię, dziadek trzymał tam krowę i kozę. Z tej strony był ogród i dużo drzew. Ojciec nocami wykopał pod stajnią schron, wyniósł ziemię, wejście zrobił od strony zwierząt. Do Iźka niezadługo dołączyli jeszcze Fryda Katz, na kenkarcie Zosia, i Dzidek Alster. Ona chodziła z moją ciocią Nelą Ziarko do szkoły w Wieliczce, trochę się przyjaźniły przed wojną, Alster pochodził z Sanoka, był jej narzeczonym. Zamieszkali w troje w schronie, do którego powietrze doprowadzały dwie rurki zakryte gałęziami. Ojciec znosił im przeróżne gatunki, np. z lipy, żeby im pachniało. My mieszkaliśmy nad nimi na górze, w razie czego wszystko mogliśmy widzieć z okna, bo rurki wychodziły przy tej samej ścianie. Oni siedzieli w ukryciu całymi dniami. Dwa razy spałam z nimi, było fajnie, zmieściłam się swobodnie, Iziek zawsze mówił: „Ty szatanico, gdzie ciebie nie było!". Wieczorami wychodzili, myli się, przychodzili do nas, ja chodziłam z nimi na spacery, przeważnie z Zosią Katzówną, dookoła rosły krzaki, las, przychodziły sarenki, było źródełko, tośmy sobie nogi moczyły w zimnej wodzie, nie bałam się, było bardzo dobrze. Oni dotleniali się prawie pół nocy, dlatego ja potem chodziłam do szkoły niewyspana, ale nic sobie z tego nie robiłam. Nazywali mnie szatanem, byłam bardzo odważna. Iziek był przewspaniały, gdy szłam na spotkanie z koleżankami, pożyczał mi swój zegarek i mówił: „Ty szatanico, tylko mi nie zgub!". Dużo żartowaliśmy, powiedział, że po wojnie dostanę od niego zegarek, i dotrzymał słowa.

Wydawało się, że okupacja niedługo się skończy, jednak trwała jeszcze chyba osiemnaście miesięcy.



Zofia Przetaczek, około 1948 roku

Mama chodziła po wsi, sprzedawała sól za miarkę ziemniaków, które nosiła na plecach, żeby było co dać zjeść wszystkim. Pod koniec wojny jeździła z ciotką Nelą po wsiach za Gdowem, nosiły sól, raz chodziły już cały dzień, zbliżał się wieczór, a one nic nie kupiły, nareszcie jakaś kobiecina poczęstowała je mlekiem. Kiedy od niej wychodziły, syn właścicieli powiedział do mamy, że gdyby dała mu swój pierścionek, to on przyjedzie w czwartek do Wieliczki na jarmark i przywiezie jej ziemniaków i worek zboża. To był pierścionek zaręczynowy z brylantem i z szafirami dookoła – zdjęła go i dała mu, co miała zrobić. Potem nie była pewna, czy mężczyzna przywiezie jedzenie, denerwowała się w czwartek od rana, czekała z młodszą siostrą w Wieliczce, ale przyjechał, przywiózł worek ziemniaków i z pół metra pszenicy. Mieliśmy żarna, mama z tej mąki piekła placki i robiła żur, miała też kury, nagotowała jajek do żuru i było syte jedzenie. Cały czas chodziła po wsiach, czasami kupowała ser, jedliśmy tak samo jak ci, których ukrywaliśmy. Ale czasami nie było co jeść. Raz, około 18 stycznia 1944 roku, Jan Jackowski załatwił nam sporo jedzenia, mama miała przyjechać wozem do Krakowa, wydano jej zezwolenie na przejazd. Wynajęła kogoś i przyjechali w wyznaczone miejsce, Jackowski poszedł z mamą, zapakowali jej dwa worki zboża, dostała przepustkę, jakby Niemcy się czepiali. Mieliśmy wtedy co jeść na dwa miesiące. Świąt w czasie wojny prawie się nie czuło, była straszna bieda. Mama piekła coś podobnego do placka, dawała trochę sody oczyszczonej, sztuczne żółtka jajek, mąkę z żarna. Mama i babcia w ogóle bardzo dobrze gotowały, zawsze piekły jakieś drożdżowe placki, babcia siała w ogrodzie trochę maku na święta, sadziła ziemniaki, kapustę, zawsze dbała, żeby było coś swojego, ale w czasie wojny nie zawsze było z czego gotować.

Nie baliśmy się, że któryś z sąsiadów się domyśli, że ukrywamy Żydów, albo coś zobaczy, ponieważ nasz dom miał naprawdę świetną lokalizację, nikt nie mieszkał bliżej niż sto metrów od nas, a w tych dwóch najbliższych domach żyli samotni, starzy ludzie. Poza tym dookoła rozciągał się duży ogród, trzy morgi dość gęsto zarośnięte drzewami. Nikt nie miał prawa nic zobaczyć, w najgorszym wypadku można było schować się za drzewo.

Raz tylko bardzo się przestraszyłam. Byliśmy z bratem sami w domu, mama poszła po coś na wieś, ojca nie było. Od czasu do czasu przyjeżdżali do wsi Niemcy i pytali o tatę, ale sołtys zawsze dawał nam wcześniej



Stoją od lewej: kuzynki Janiny Przetaczek, Rysiek Perlberger, Zofia Przetaczek, Wiktor Panuszka, Hela Birnbaum, Janina Przetaczek, Jan Jackowski, Rudolf Przetaczek, Izaak Birnbaum, Wanda Jedynak, Lednica Górna, 1945 rok

znać, wysyłał ich okrężną drogą, ponieważ dojazd był z dwóch stron, a swego syna przysyłał z kartką. Ale raz pojawili się dwaj Niemcy bez zapowiedzi, jechali sobie bryczką po drodze koło nas. Mieli psa, który im się zerwał, wpadł do naszego domu i zaczął strasznie szczekać i drapać w drzwiczki prowadzące do stajni, a dalej do schronu. Brat uciekł tyłem w krzaki, a ja zaczęłam płakać i odganiać tego psa kijem od szczotki. Niemcy usłyszeli, że się drę, wołali z drogi psa, ale musieli przyjść i chwycić go za obrożę, dopiero wtedy ustąpił. Pogłaskali mnie po głowie i odjechali. To było jedyne tego typu zdarzenie, poza tym mieliśmy spokój.

Ja sporo rzeczy wiedziałam. Gdyby przyszli Niemcy, uderzyli mnie ze trzy razy, to pewnie wszystko bym powiedziała, byłam dzieckiem.

Powoli zbliżało się wyzwolenie. Pamiętam, że raz wszyscy siedzieliśmy całą noc w piwnicy, a tamta trójka w schronie, ponieważ gdy Niemcy uciekali, było straszne bombardowanie. Pod koniec stycznia 1945 roku skończyła się dla nas wojna, ale jeszcze długo spotykaliśmy się z Iźkiem, Zosią i Dzidkiem. Alsterowie się pobrali i po dwóch latach wyjechali do Belgii do wujka, który miał szlifiernię kamieni. Izaak ze szczęścia kupił dziadkowi Ziarce cielaka, mamie sprezentował piękną torebkę z jasnej cielęcej skóry i zaprosił ją kilka razy do Noworola[543], a ja dostałam skórzane buty narciarskie. Bardzo się zżyliśmy przez te półtora roku i dopóki mogliśmy, spotykaliśmy się po wojnie i wspieraliśmy się nawzajem. Na początku wszędzie panowała wielka bieda, ludzie nie mieli już co jeść. Do tego stopnia, że po okupacji ojciec nie mógł znaleźć pracy, a mama sprzedała nawet tapczan z domu, ponieważ się komuś podobał. Ale wszyscy przeżyliśmy wojnę.

Janina Sejdak (z domu Przetaczek, ur. w 1932 roku w Lednicy Górnej) – córka Józefa Przetaczka (ur. w 1905 roku, zm. w 1984 roku) i Zofii Przetaczek (ur. w 1913 roku, zm. w 2005 roku), odznaczonych medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata około 1980 roku, który odebrał brat Józef Przetaczek (1928–2010).

[543] Kawiarnia Noworolski w Krakowie w Sukiennicach na Rynku Głównym.

WOJNA: OBÓZ, UKRYCIE, PODRÓŻ

Larry Zellner

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu telefonicznego przeprowadzonego z Larrym Zellnerem w kwietniu 2012 roku przez Urszulę Żyznowską. Red. Anna Krzeczkowska.

Tuż po wybuchu wojny próbowaliśmy się przedostać na wschód, ale po kilku dniach zawróciliśmy, ponieważ widzieliśmy, że to nie ma sensu. Dziadek zmarł po drodze, w Rozwadowie. W tym czasie w Wieliczce rozstrzelano trzydziestu dwóch Żydów. Mój młodszy brat uciekł do Rosji, gdzie w 1941 roku został wcielony do wojska i niedługo potem zginął. Dowiedziałem się o tym dużo później, od ludzi, którzy go znali jeszcze z Wieliczki.

Z początku mieliśmy nadzieję, że jakoś to wszystko przetrzymamy. Było źle, ale dało się żyć. Dopiero w 1941 roku zaczęły się te okropne historie.

Przychodził do nas Niemiec, który był wysokim urzędnikiem miejskim, urządzał awantury. Kiedyś uderzył mojego tatusia w twarz. Ja zostałem zabrany na przymusowe roboty, zresztą jak wszyscy – do odgarniania śniegu, wyładunku węgla. Pilnował nas Sonderdienst, czasami niemieccy żołnierze albo polscy policjanci. Wtedy nie można było już chodzić do synagogi, więc modliliśmy się w domu, najmłodszy brat też w domu miał bar micwę.

W 1942 roku wystarałem się o aryjskie papiery. Wtedy już się domyślaliśmy, co się stanie. Przed 27 sierpnia Niemcy przysłali do Wielicz-

ki grupę Żydów z Niepołomic, spośród nich kilka kuzynek zamieszkało u nas, w sumie z pięciu dwie przeżyły wojnę. W piwnicy naszego domu Jan Nowak, robotnik, który pracował dla nas może piętnaście lat, wybudował kryjówkę; nie pamiętam dokładnie, czy był z Sierczy czy z Bogucic, ale to był bardzo zaufany człowiek. Z początku ukrywaliśmy się z rodziną siostry mojego dziadka – z jej mężem i córką. Nie trwało to długo, pięć, może sześć dni. Dowiedzieliśmy się, że akcja ma na celu zupełne *Judenrein* – Niemcy wszystkich wywieźli, nie było sensu dalej się ukrywać. Liczyliśmy na to, że zostanie jeszcze garstka Żydów, że będziemy mogli się stamtąd wydostać, że będziemy mogli jeszcze jakoś żyć. Nowak dostarczał nam w nocy jedzenie. Mieliśmy tam nawet ubikację. Nasz kuzyn miał fabrykę kleju gdzieś w Podgórzu, do której był przydzielony niemiecki zarządca. W nocy przysłał po nas ciężarówkę, żeby nas zabrała do krakowskiego getta. Musieliśmy wyjść z kryjówki, po kolei. Opuściłem ją jako ostatni. Przekradaliśmy się przez ogrody, żeby dostać się do szosy, niedaleko kopalni soli, z którą graniczyła nasza posiadłość. To był rozległy teren. Niestety zauważył mnie niejaki Okoński[544], który znał mnie jeszcze ze szkoły. Powiedział: „Jak mi nie dasz pieniędzy, to cię wydam!". Miałem w kieszeni marynarki pięćdziesiąt czy sto złotych, które mu dałem i pobiegłem dalej. Prosiłem kierowcę, żeby szybko odjechał, bo bałem się, że Okoński mnie jednak wyda. Położyliśmy się na podłodze samochodu, żeby nie było nas widać. Ciężarówka najpierw zawiozła nas do fabryki, gdzie spędziliśmy jeden dzień, a następnego przedostaliśmy się do getta. Mój kuzyn i cała jego rodzina zginęli w czasie wojny. Gdy wróciłem do Polski po wojnie, szukałem Okońskiego w Wieliczce, ale nie znalazłem.

W getcie dostaliśmy jeden pokoik, warunki były okropne. Wkrótce nastąpiło wysiedlenie z getta. Mnie i tatusia wyselekcjonowano do pracy w Płaszowie, tatuś był bardzo zdrowym, silnym człowiekiem. Miał wtedy może pięćdziesiąt lat. Mamę z bratem i siostrą oddzielili na „wysiedlenie". Wtedy było dla nas zupełnie jasne, że oni idą na śmierć, do gazu. I wtedy tatuś powiedział: „Ja nie puszczę mamy samej z dziećmi". Został z nimi i wszystkich wywieziono do Bełżca.

Trafiłem do Płaszowa, a wraz ze mną kilkoro kuzynów. Pracowałem tam przy torach kolejowych, mieszkałem w baraku. W maju 1943 roku zachorowałem na tyfus i dostałem bardzo wysokiej gorączki, ponad czterdzieści dwa stopnie. Z jednego baraku zrobiono szpital, w którym były trzy piętra łóżek. Nie było lekarza, tylko jakiś medyk, który podawał wszystkim aspirynę. Sześćset osób chorowało na tyfus, większość umarła. Ja jakoś z tego wyszedłem. Leżałem na pryczy na trzecim piętrze i pewnego dnia zobaczyłem przez okno, że przyszedł Obersturmführer Müller[545], miał ze sobą kilka wilczurów. Wyciągnął z izolatki czterech ludzi i zastrzelił ich na miejscu. Pomimo wysokiej gorączki byłem przytomny. Uciekłem z baraku i schowałem się w latrynie. Siedziałem tam przez kilka godzin.

[544] W lutym 1946 roku odbył się w Krakowie proces Franciszka Okońskiego, oskarżonego o zbrodnię przeciwko ludzkości, to znaczy pomoc Niemcom w zatrzymaniu dwóch Żydówek, N. Schenkerowej i W. Perlbergerowej. Proces zakończył się wyrokiem uniewinniającym z zaznaczeniem odrębnego stanowiska jednego z sędziów.

[545] Franz Josef Müller – komendant kilku niemieckich obozów pracy, w tym obozu Plaszow.

Chciałem się skontaktować z moimi kuzynami, ale oni byli w nowym baraku. Nie byli chorzy, ale wiedzieli, że mam tyfus, więc nie chcieli mnie wpuścić, chociaż prosiłem, żeby pozwolili mi przenocować. Bali się, że ich zarażę. Nie mogłem ich winić. Późno w nocy wróciłem do szpitala, na swoje łóżko.

Spędziłem jeszcze kilka dni w obozie i w sierpniu uciekłem do Wieliczki. Nie miałem semickiego wyglądu, przypominałem raczej Aryjczyka: wysoki, z blond włosami. Przygotowałem się do ucieczki: zdobyłem buty z cholewami, miałem dobrą marynarkę, wyglądałem jak oficer. W obozie nie chodziliśmy w pasiakach, każdy mógł nosić, co miał.

Obóz był strzeżony, wokół były wieże strażnicze z Ukraińcami w czarnych mundurach i oni też patrolowali teren dookoła. To wszystko było położone na pagórku. Gdy skoczyłem, to się potoczyłem w dół. Nie zależało mi: jeśli strażnik mnie zastrzeli, to zastrzeli. Ale dotarłem do szosy, wyprostowałem się natychmiast, jak gdyby nigdy nic, otrzepałem się, poszedłem dalej. Kręciłem się po Krakowie cały dzień, a do Wieliczki dotarłem w nocy. Wiedziałem, gdzie ukrywa się mój kolega, Jurek Blatt. Przeszło dwie godziny zajęło mi dotarcie na miejsce. Zjawiłem się u niego około dziesiątej wieczorem. To był mały budynek w drodze na Lekarkę. Zapukałem w okno, bardzo lekko, nie chciałem robić hałasu: „Jurek, otwórz, tu Janek" (w Płaszowie dostałem aryjskie papiery na nazwisko Jan Kuliński). Po jakimś czasie otworzył okno i mnie wpuścił. Miał tam taką małą kanapkę. Ja byłem zawszawiony, nie chciałem go zarazić. Jurek miał romans z dziewczyną, nazywała się Zosia Guzik, bardzo zacna kobieta. Zosia przyszła rano, dała mu śniadanie. Jak mnie zobaczyła, powiedziała: „Ja się boję, panie Janku, przecież nas wszystkich zabiją". Nie dziwiłem się, że się bała. Błagałem ją dosłownie na klęczkach, żeby pozwoliła mi zostać: „Pani Zosiu, ja jeszcze zabiorę Jurka i będzie pani wolna". Miałem trochę biżuterii od rodziców, którą sukcesywnie sprzedawałem, więc mogłem jej zapłacić. Kiedyś w nocy poszedłem do pana Pamuły, naszego dawnego sąsiada, po chleb. Strasznie się bał. Gdy tylko mnie zobaczył, to zadrżał: „Lajzek, Lajzek, odejdź już od nas". Ale chleb mi dał.

Po kilku miesiącach wyszliśmy z kryjówki. Razem z Jurkiem mieliśmy zorganizowany przerzut na Węgry. Z nami uciekało jeszcze ośmioro ludzi – jakaś rodzina z Krakowa. Jurek nie miał grosza przy duszy, więc zapłaciłem za przeszmuglowanie nas obu. Szmuglerzy pracowali chyba dla podziemia. Pojechaliśmy pociągiem do Nowego Targu. To był koniec grudnia 1943 roku. Śniegi były wielkie, potwornie ciężko było się tam dostać. Ukrywaliśmy się w stodole gdzieś przy granicy, przykrywaliśmy się słomą, żeby nas nikt nie zauważył. Później przedostaliśmy się do Preszowa, na Słowację. Tam zaopiekowała się nami grupa Żydów. Byłem zdumiony tym, że oni żyli zupełnie normalnie. Nikt ich nie zabijał. I oni nas przyjęli, dali nam jeść, ugościli w swoich domach. To był raj na ziemi. Stamtąd dotarliśmy do Budapesztu, gdzie poznaliśmy bardzo dużo Żydów. Znajdowała się tam placówka z ramienia Rządu Polskiego na uchodźstwie. Zgłosiliśmy się tam obaj. Powiedzieliśmy, że jesteśmy Polakami, uciekliśmy z Polski, powiedziałem też, że pracowałem dla Polski podziemnej, opowiadałem różne historie. Nie chciałem się przyznać, że jestem Żydem. Ale nie uwierzyli mi: odsyłali od jednego urzędnika do drugiego. Słyszałem od nich: „Pewnie pan uciekł z jakiegoś obozu". Jeden z urzędników wreszcie powiedział: „Będzie tu proboszcz, przychodzi raz w tygodniu, w środy, niech on z panem rozmawia, niech on pana przesłucha". Przyszedłem

na spotkanie z proboszczem, na dzień dobry przeżegnałem się. Miałem przy sobie duży krzyż i znałem katechizm, studiowałem go dokładnie, kiedy ukrywałem się w Wieliczce. On zaczął zadawać pytania. Ja odpowiadałem cytatami z katechizmu. To trwało z półtorej godziny. W końcu powiedziałem: „Widzę, że proboszcz ma wątpliwości co do mojego stanu. Jedynie jak ściągnę spodnie, to rozwieję wątpliwości". Odpowiedział, żebym tego nie robił. I tak zakończyła się sprawa mojego pochodzenia.

Wysłano mnie wraz z grupą kilkuset polskich oficerów, którzy dotarli z początkiem wojny na Węgry, do miasteczka Tab nad Balatonem, koło Siófok. Piękne miejsce. Polacy żyli tam jak u Pana Boga za piecem. Mieli świetlicę, własny kościół z proboszczem i coniedzielną mszą, chodzili do knajpy. Dostawali sporą sumę. Pracując, nie zarabiało się więcej. I ja też tak żyłem do chwili, kiedy Niemcy przyszli w czerwcu 1944 i musiałem uciekać. Przedostałem się do Bukaresztu. Pracowałem tam jako skarbnik, wydawałem zapomogi dla uchodźców. W mieście Żydzi żyli jeszcze zupełnie spokojnie, wywózki organizowano w innych częściach kraju. Stamtąd, po oswobodzeniu Bukaresztu przez Rosjan w październiku 1944 roku, wraz z grupą ludzi w moim wieku dostałem się do Palestyny.

NIESAMOWITA WOJNA ADAMA OKI

Alfred Lax

Był listopad lub grudzień 1941 roku, we Lwowie panowało wtedy przeraźliwe zimno. Nie miałem gdzie spać i nawet nie pamiętam, w jaki sposób udało mi się przetrwać. W tym czasie zmarł ojciec mojego przyjaciela Nolka, poszliśmy na jego pogrzeb. To był bardzo smutny moment – ciemne zimowe niebo, przeszywające zimno i śnieg. Cóż można powiedzieć w takich okolicznościach. Jestem z natury pogodną osobą i nawet w najgorszych momentach wierzę, że wydarzy się coś, co odwróci bieg zdarzeń.

I tak też się stało. Od wujka z Wieliczki otrzymałem wielką paczkę z jedzeniem i ubraniami. Pomiędzy innymi rzeczami znajdował się także bochenek chleba, który natychmiast zjadłem w całości. W załączonym liście było napisane, że u nich wszystko w porządku i że powinienem spróbować się do nich przedostać. Ale jak Żyd miał przebyć tak długą drogę, skoro nie wolno mu było przejść z jednej ulicy na drugą? Pewnego dnia spotkałem na ulicy kolegę z uniwersytetu, Polaka Mariana Cząstkiewicza, który pracował na kolei. Opowiedziałem mu o swoich przeżyciach, a on zaoferował mi pomoc. Załatwił mi papiery zaświadczające, że jestem Polakiem zatrudnionym na kolei i że właśnie dostałem przeniesienie do Krakowa. Moje ostatnie dni we Lwowie spędziłem

Tekst pochodzi z: A. Lax, *Incredible War of Adam Oko* (niepublikowany maszynopis). Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

w mieszkaniu Mariana; kiedy w końcu wyruszyliśmy, byłem bardzo zdenerwowany, ponieważ wszystkie stacje były kontrolowane przez esesmanów i policję szukającą zbiegłych Żydów. Był styczeń 1942 roku. Podróż pociągiem, która normalnie trwała około sześciu godzin, tym razem zajęła dwa dni. Wysiedliśmy w Krakowie-Płaszowie, stację wcześniej niż Kraków Główny, której chcieliśmy uniknąć. Z Płaszowa szliśmy około dwunastu kilometrów w gęstym śniegu do Wieliczki. Moje niespodziewane przybycie wzbudziło wielkie poruszenie wśród członków rodziny. Zanim w ogóle dopuszczono mnie do głosu, kazano mi się rozebrać i wyrzucono wszystkie moje ubrania. Potem mogłem nacieszyć się luksusem gorącej kąpieli, pierwszej od co najmniej trzech miesięcy. W końcu, po obiedzie, opowiedziałem swoją historię. Tak długo, jak będę żył, będę pamiętał poczucie szczęścia, którego zaznałem, znalazłszy się w Wieliczce po mojej nędznej lwowskiej egzystencji. Rozmawialiśmy do późna w nocy i zgodziliśmy się co do tego, że przynajmniej moi rodzice, Leon i Salomea, są względnie bezpieczni w głębi Związku Radzieckiego. Marian spędził z nami noc, rano zaś wyszedł i już więcej nie dane nam było się spotkać. Wspomniał mi kiedyś, że ma brata – oficera w polskiej armii. Później, gdy przybyłem z polską armią do Włoch, słyszałem, że był tam również porucznik Cząstkiewicz, ale nie miałem okazji go spotkać i opowiedzieć o wszystkim, co zrobił dla mnie Marian.

Nie spodziewałem się, że życie w Wieliczce mogło się toczyć tak spokojnie. Słyszałem, że kiedy w 1939 roku przyszli Niemcy, schwytali i rozstrzelali trzydziestu dwóch Żydów. Później wszystko się uspokoiło i Wieliczka stała się swojego rodzaju otwartym gettem – nie dlatego, że Żydzi byli oddzieleni od Polaków, ale dlatego, że bez specjalnej przepustki nie mogli opuszczać miasta. Ludność żydowska miała nadal swoją radę i policję, która wykonywała niemieckie rozkazy.

Każdy Żyd musiał nosić na ramieniu opaskę z gwiazdą Dawida; złapanie bez niej groziło śmiercią. Taka sama kara obowiązywała w wypadku innych wykroczeń.

Większość wielickich Żydów była w dobrej sytuacji finansowej. Nawet najbiedniejsi zwykle mieli domy lub chociażby chałupy. Ale do miasta przybyło kilka tysięcy uchodźców, którym trzeba było zapewnić dach nad głową i wyżywienie. Jednak z tego, co wiem, nikt wtedy w Wieliczce nie głodował. Mój wujek[546] prowadził sklep dziadka, do którego okoliczni chłopi przynosili zamiast pieniędzy towary na wymianę. Duży ogród za domem był źródłem świeżych warzyw i owoców, co pozwalało nam przetrwać w całkiem niezłych warunkach. Ja dostałem pracę w firmie konstrukcyjnej w Krakowie, która zajmowała się wykonywaniem zleceń dla wojska, dzięki czemu miałem przepustkę pozwalającą na swobodne poruszanie się między Krakowem a Wieliczką. Dom, w którym mieszkaliśmy, był duży, ale oprócz wujka, cioci i kuzynki Cesi[547] zakwaterowane były tam także dwie siostry wujka, ich synowie, dwie starsze panie, które uciekły z Krakowa, i przede wszystkim pokojówka mojego wujostwa, Marysia[548], która była z nimi już

[546] Michał Zellner, znany wielicki adwokat, autor dokumentu *Opis zbrodni niemieckich wobec ludności żydowskiej w Wieliczce*, zob. s. 243. O losach Michała Zellnera i jego rodziny można przeczytać na s. 383–395.

[547] Celinia Tadanier, z domu Lax. Więcej o niej na s. 521–526.

[548] Maria Paszkot (ur. 8 stycznia 1902 w Brzezowej, gm. Łapanów, zm. 19 grudnia 1977 roku w Wieliczce), wspomina o niej m.in. Michał Zellner, zob. s. 383.



Alfred Lax (ukrywający się pod pseudonimem Adam Oko) stoi ósmy od lewej strony wraz z żołnierzami niemieckimi NSKK we Włoszech, 1944 rok

tak długo, że uważana była za członka rodziny. W rzeczywistości była kimś znacznie ważniejszym; później uratowała cioci i wujkowi życie.

Poza Krakowem mieliśmy niewielkie kontakty z innymi gminami żydowskimi i nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w największym getcie żydowskim w Warszawie. Wieczorami mężczyźni zbierali się w naszym domu, żeby grać w karty i rozmawiać o polityce. Jako że byłem młody i głupi, to wkrótce znalazłem sobie inne zajęcie. Naszymi sąsiadami była para volksdeutschów. Mężczyzna był lekarzem i zarazem alkoholikiem. Ojciec kobiety zarządzał lokalną fabryką alkoholu, więc lekarz i jego teść większość czasu spędzali na próbowaniu fabrycznych wyrobów. Kobieta, która twierdziła, że jest przyjaciółką mojej ciotki, spędzała dużo czasu w naszym domu. Wkrótce znalazłem sposób, aby ulżyć nudzie młodej mężatki. Dodatkową korzyścią była możliwość słuchania radia. Jako że Żydzi nie mogli posiadać takich urządzeń, stałem się roznosicielem najświeższych wiadomości. Niestety nie były dobre. Niemcy przedostali się w głąb Rosji, U-Booty zatapiały statki wielkotonażowe i wyglądało na to, że wojna szybko się nie skończy. Przed wojną mój ojciec był przedstawicielem handlowym fabryki wyrobów żelaznych w Bielsku-Białej, która była własnością Niemca, jego dobrego przyjaciela. Napisałem do niego, a po kilku dniach otrzymałem list zawierający kilkaset marek owiniętych w kartkę papieru z inicjałami. Bał się cokolwiek napisać.

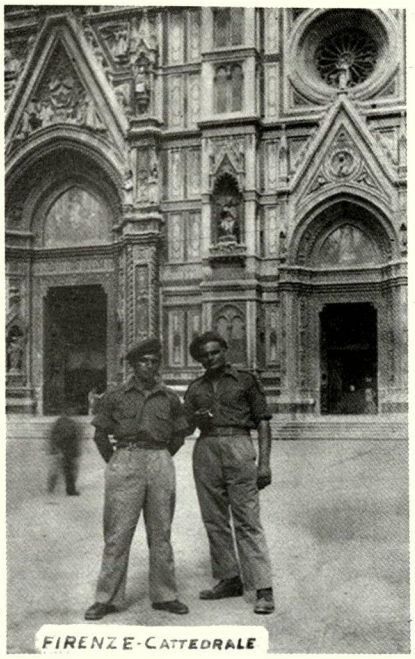
Nadeszła wiosna 1942 roku. Pracowaliśmy w ogrodzie, wożąc gnój, sadząc warzywa. Żywiłem cichą nadzieję, że przeżyjemy na tyle długo, aby móc cieszyć się owocami swojej pracy. Latem dotarły do nas przerażające wieści o całkowitej likwidacji małych gmin żydowskich – częściowo przenoszonych do krakowskiego getta, częściowo do dużego obozu w Płaszowie, niektórzy z nas usłyszeli, że zostaniemy przesiedleni gdzieś na wschód. Na tym etapie nie bar-

dzo wiedzieliśmy, co oznacza to „przesiedlenie". Prowadziliśmy długie dyskusje, padały słowa: „Przecież wszystkich nas zabić nie mogą", plotki o alianckich lądowaniach, zwycięstwach Rosjan i próbach zamachu na życie Hitlera. Rozmiar złudzeń każdego człowieka w takich warunkach jest nieograniczony. Ale cóż innego można było zrobić. Panowało powszechne poczucie bezradności. Świat o nas zupełnie zapomniał. Nie żywiłem żadnych złudzeń co do naszej przyszłości.

Nawet nieświadomy istnienia komór gazowych nie byłem przygotowany na powolną agonię w obozie koncentracyjnym i wolałbym raczej szybką śmierć. Oczywiście tutejsza ludność, przez dwa lata przyzwyczajona do podobnych warunków, łatwiej godziła się z sytuacją; większość z nich nadal wierzyła, że jakimś cudem przetrwają. W sierpniu 1942 roku jednak przyszła nasza kolej. Okryta złą sławą SS Sicherheitsdienst z Krakowa pod dowództwem oficerów SS Kundego i Heinricha przybyła do Wieliczki, aby zlikwidować naszą gminę. Wszystkie przepustki zostały zawieszone i nikt, pod groźbą kary śmierci, nie mógł opuszczać miasta. Kiedy teraz o tym myślę, chce mi się śmiać. Jaka kara śmierci, jeśli my już byliśmy martwi, tylko jeszcze o tym nie wiedzieliśmy? Litwini i Ukraińcy w czarnych uniformach patrolowali ulice, popychając po drodze, kogo się tylko dało. Ludność żydowska dostała nakaz stawienia się na stacji kolejowej 27 sierpnia, jedynie z podręcznym bagażem. Jedynym wyjątkiem była żydowska policja, która miała pomagać w pilnowaniu ludzi i potem w przetransportowaniu ich do różnych obozów pracy. Wszyscy krążyli wokół bezcelowo, drzwi domów były pootwierane, wszędzie widać było walające się walizki i tobołki. Bezwzględna rzeczywistość uświadomiła ludziom, że to koniec, dla wielu z nich – dosłowny i ostateczny.

Właśnie wtedy, w tym miejscu, podjąłem decyzję o opuszczeniu miasta; mój pobyt tutaj w żaden sposób nie mógł pomóc moim bliskim. Założyłem najlepszy garnitur, zdjąłem żydowską opaskę z ramienia i zdokumentami, które wcześniej zabrałem z biura, pod pachą pomaszerowałem przez miasto na Rynek. Tam znajdował się przystanek autobusu, który zabierał pracowników kopalni i innych Niemców.

Wsiadłem do autobusu pełnego Niemców i niemiecki kierowca dał mi poduszkę, abym mógł usiąść w przejściu. Zapłaciłem za bilet i autobus ruszył. Mimo że policji i esesmanów było wszędzie pełno, nikt nie robił sobie kłopotu, próbując zatrzymać niemiecki autobus. Minęło



Florencja, Alfred Lax z kolegą Szulmińskim podczas wycieczki po mieście



Loreto, Alfred Lax (oznaczony X) podczas zwiedzania miasta

pół godziny, kiedy znalazłem się przed dworcem kolejowym w Krakowie.

Wysiadłem i zacząłem iść, sam nie bardzo wiedząc, dokąd. Miałem przy sobie bardzo mało pieniędzy i żadnych dokumentów. W mieście, w którym się urodziłem i przeżyłem osiemnaście lat, nie miałem kogo prosić o pomoc. Byłem zdany na siebie. Otaczali mnie ludzie ubrani w letnie stroje, cieszący się słonecznym dniem, a pośród nich byłem ja – uciekinier od śmierci. Nikt nie zwracał na mnie większej uwagi, nie wyglądam bowiem na Żyda, nawet wręcz przeciwnie. Kiedy tak się przechadzałem, pogrążony w myślach, ktoś zawołał mnie po imieniu i zobaczyłem dwie dziewczyny z mojego liceum. Co za niespodzianka! Opowiedziałem im moją historię, a one zaprowadziły mnie do sklepu z artykułami elektrycznymi, gdzie pracował kolega z mojej dawnej klasy, Artur Rabner; był tam zatrudniony jako elektryk. Artur przeżył wojnę i mieszka teraz w Brazylii, podobnie jak te dwie dziewczyny, które spotkałem w Izraelu w 1968 roku.

Ale powróćmy do mojej historii. Noc spędziłem w sklepie. Następnego dnia poszedłem do biura, do pracy, jakby nic się nie stało. Mój szef, Niemiec, i pozostali pracownicy nie wiedzieli, co się stało w Wieliczce, więc przynajmniej miałem gdzie się podziać w godzinach pracy. Ale noc stanowiła kolejny problem. Mój szef miał młodą, polską pokojówkę, z którą się przyjaźniłem. Dzięki niej mogłem spędzić kilka nocy w piwnicy biura, śpiąc na stosach rysunków i mając myszy za jedyne towarzystwo.

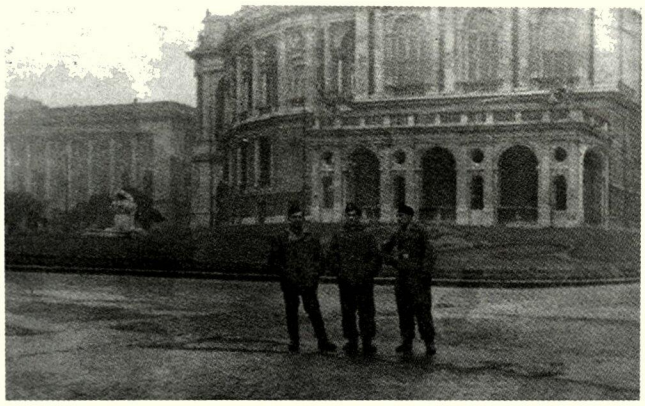
Później zamieszkałem u kobiety, która wynajmowała pokoje na krótki termin. Kiedy tam wszedłem, przy stole siedział znany żydowski przestępca, rozebrany do pasa, z wielkim złotym krzyżem zwisającym z szyi. Znałem go z moich nieczęstych wizyt w synagodze, której on także był członkiem. Popatrzyliśmy na siebie, nie mówiąc ani słowa. Jak tylko nasza gospodyni wyszła, zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że miejsce to nie jest zbyt bezpieczne, bo czasem zagląda tu policja. Opowiedziałem mu swoją historię, a on wyjawił mi, że razem z polskimi znajomymi jest uwikłany w handel fałszywymi dokumentami, tak zwanymi kenkartami. Wyglądało na to, że w kręgu, w którym się obracał, nie istniała dyskryminacja ze względu na pochodzenie – wręcz przeciwnie – nawet pewnego rodzaju solidarność zawodowa. Zaoferował się zaopatrzyć mnie w kenkartę za trzy tysiące złotych. Z braku pieniędzy musiałem jednak odmówić.

Następnego dnia udałem się do biura, gdzie już czekała na mnie Marysia, nasza pokojówka z Wieliczki. Opowiedziała mi o tym, jak wszyscy zostali zabrani przez Niemców, a starsi oraz ci, którzy próbowali się ukrywać, zostali zastrzeleni na miejscu. Przewidując taki bieg wydarzeń, mój wujek przygotował skrytkę pod dachem, gdzie ukryli się on, jego żona, kuzynka Cesia i dwie starsze panie, które z nimi mieszkały. Siostry mojego wujka wraz ze swoimi synami wyjechały wcześniej do Krakowa i w ten sposób się uratowały. Wujek Olek i jego syn Romek[549] byli już w obozie w Płaszowie i tylko Romek przeżył. Ciotka Dziunia została zabrana razem z innymi Żydami do obozu koncentracyjnego w Bełżcu. Wujek Oscar, jego żona i syn Ryszard byli w krakowskim getcie, później w obozie w Płaszowie, gdzie wujek zginął, ale ciotka z Ryszardem przeżyli[550]. Rodzina ze strony mojej matki, która znalazła się w getcie w Krakowie, zginęła.

---

[549] Roman Licht (Leaton).

[550] Zob. także relację o losach rodziny Laxów: W. Żyznowski, *Wieliczanie...*, *op. cit.*, s. 140–142.



Alfred Lax w Odessie, 1943 rok

Lato było bardzo ciepłe i ukrywanie się w schowku tuż pod dachem było ciężkim doświadczeniem. Marysia narażała się na ogromne ryzyko, przynosząc tam wodę i jedzenie. Jednak, aby wydostać się z kryjówki, wujek i reszta rodziny potrzebowali fałszywych dokumentów. Opowiedziałem Marysi o moim nowym znajomym, a ona powiedziała, że pieniądze mogą się znaleźć. Po rozmowie ze znajomym i dwóch dniach czekania dokumenty były gotowe. Dzięki temu wujek i reszta osób ukrywających się mogli wyjść z ukrycia. Po raz kolejny zobaczyłem ich dopiero w lutym 1944 roku. W międzyczasie prowadziłem trochę cygański tryb życia – spałem codziennie w innym miejscu i przychodziłem do pracy, jakby nic się nie stało. Ciężko uwierzyć, że ludzie wiedzieli tak mało lub może nie chcieli wiedzieć o wszystkim, co się działo. Po pracy spędzałem dużo czasu w kinie, ciemność dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Moim głównym zmartwieniem było to, że nie miałem dokumentów. Ale któregoś dnia otrzymałem nieoczekiwaną pomoc. Kreślarz, Polak, który ze mną pracował, zaoferował mi kenkartę kogoś w podobnym wieku do mojego. Podmieniliśmy zdjęcie, poprawiliśmy pieczęć i tak stałem się Adamem Oką.

Przedostałem się na wschód, w okolice Dniepropietrowska, gdzie razem z moimi przyjaciółmi pracowaliśmy dla Organizacji Todt[551]. Dzięki podrobionym dokumentom dotarliśmy do Krakowa, gdzie udało mi się ustalić, co się stało z moją rodziną. Następnie wyjechałem z powrotem do Symferopola. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że znalazłem zatrudnienie w warsztatach należących do

[551] Organizacja Todt – paramilitarna organizacja mająca za zadanie budowę obiektów wojskowych.

Luftwaffe. Razem z oddziałem NSKK[552] przedostałem się do Odessy, gdzie komendant zdecydował, że powinienem zgłosić się do kwatery głównej w Berlinie, aby zalegalizować swój status członka NSKK, co też udało mi się zrobić. Stamtąd zamierzałem się przedostać przez Polskę i Bułgarię do Turcji, ale w drodze zostałem aresztowany za dezercję z niemieckiej armii i zamknięty w więzieniu. Po procesie zostałem odesłany do jednostki NSKK w Bovezzo, gdzie doczekałem wyzwolenia, przyłączywszy się uprzednio do włoskich partyzantów.

Alfred Lax (właśc. Laks, ur. w Krakowie) – w 1937 roku rozpoczął studia we Florencji. Po wybuchu wojny wyjechał do Lwowa, tam studiował na politechnice. W 1941 roku przedostał się z powrotem do Wieliczki, a stamtąd – uniknąwszy wielickiego Holokaustu – do Krakowa, gdzie zdobył fałszywe dokumenty na nazwisko Adam Oko i ponownie wyjechał na Wschód. W czasie wojny dzięki fałszywym dokumentom został członkiem NSKK Luftwaffe. W 1944 roku postanowił zdezerterować, co po wędrówce przez m.in. Bułgarię i Turcję doprowadziło go w czerwcu 1944 roku do wiedeńskiego więzienia, skąd wyrokiem sądu został odesłany do jednostki NSKK we Włoszech. Pod koniec wojny przyłączył się do włoskich partyzantów. W 1950 roku wyemigrował do Australii, gdzie mieszka do dziś.

[552] NSKK – Narodowo-Socjalistyczny Korpus Motorowy, organizacja paramilitarna podlegająca NSDAP.



Zellnerowie w swoim domu w Wieliczce: Berta (siedzi z lewej strony), Michał (stoi pierwszy z prawej), za Bertą stoi Maria Paszkot, służąca, początek lat pięćdziesiątych XX wieku

ZEZNANIE ZŁOŻONE W WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI HISTORYCZNEJ

Michał Zellner

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/2362. Z karty tytułowej: Protokół zeznania złożonego przed Wojewódzką Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie, dnia 7 lutego 1947 roku. Odbierająca zeznanie: mgr Maria Holender. Zeznający: Michał Zellner, ur. 6 kwietnia 1898 roku w Limanowej. Zamieszkały obecnie i przed wojną: Wieliczka, Kilińskiego. Papiery aryjskie (w ukryciu).

26 sierpnia 1942 roku, dzień przed akcją wysiedlenia w Wieliczce, o dziesiątej wieczorem za namową żony zdecydowałem się ukryć na strychu w swoim własnym domu w Wieliczce. Służąca wyjechała do Krakowa wystarać się dla nas o papiery aryjskie na nazwisko Franciszek i Maria Rzadkowscy. Po pięciu dniach ukrywania się, o czwartej nad ranem poszedłem z żoną pieszo do Krakowa, w celu wyszukania sobie jakiegoś lokum po aryjskiej stronie, do getta absolutnie nie chciałem pójść. Niestety w Krakowie nie miałem żadnych znajomości i mieszkania nie znalazłem. Kupiłem bilety i bez żadnego określonego z góry celu wsiadłem do pociągu. W drodze toczyła się wśród podróżujących Polaków rozmowa na temat Żydów. Mówiono o wysiedleniu w Skawinie, a jedna kobieta z przejęciem opowiadała o jednej Żydówce, która błagała, by Polacy zaopiekowali się jej jedynym dzieckiem. To była śliczna dziewczynka, ośmioletnia, i kobiecie bardzo było żal dziecka, ale co można było zrobić, nikt go nie chciał przyjąć i poszło z transportem. Inni znowu mówili, że grubych, tłustych Żydów Niemcy biorą na mydło. Jedni twierdzili, że dobrze się Żydom dzieje, inni natomiast litowali się, mówiąc, że to, co Niemcy robią z Żydami, przekracza wszelkie granice człowieczeństwa. Pytam pasażerów, gdzie w tych okolicach najbliżej można znaleźć wy-

poczynek. Gdy pociąg stanął na stacji Stronie, jeden z pasażerów powiedział mi, że tu będzie najprzyjemniej, bo jest dużo letników. Wysiedliśmy w Stroniu, po kilku godzinach znaleźliśmy wreszcie pokój u jednej wiejskiej rodziny, gdzie było nam dobrze. Spędziliśmy czas na wolnym powietrzu, opalaliśmy się, siedzieliśmy w lesie i zupełnie swobodnie się poruszaliśmy. Pewnego dnia gospodyni oświadczyła nam, że sołtys przechodząc, zauważył nas i zwrócił jej uwagę, że należy być ostrożnym przy przyjmowaniu obcych ludzi, ponieważ wielu Żydów kręci się po wsi. Należy więc nowych lokatorów natychmiast meldować w Stryszowie w gminie zbiorowej. Nazajutrz też zameldowaliśmy się w Stryszowie. W pierwszej chwili byłem w wielkim strachu, ponieważ zauważyłem, że urzędnik bardzo podejrzliwie spoglądał na moją kenkartę. W końcu dostaliśmy odcinki zameldowania i zdawało nam się, że najgorsze minęło i sprawa pójdzie dalej normalnym trybem. Jednak już po kilku dniach usłyszałem za ścianą cichą rozmowę gospodyni z dziećmi. I jakiś niezawodny instynkt podpowiedział mi, że mowa jest o nas. Okazało się, że się nie pomyliłem. Po chwili córka gospodyni zapukała do drzwi, oświadczając, że sołtys ponownie zwrócił uwagę jej matce, że policja granatowa chodzi po domach i dokładnie bada kenkarty, bo okazało się, że Żydzi fałszują kenkarty i udają aryjczyków. Pokazałem im metrykę chrztu i oświadczyłem kategorycznie, że nie mają powodów do obaw, ponieważ jesteśmy aryjczykami z krwi i kości. W niedzielę, aby to udowodnić, poszliśmy do kościoła. Po dziesięciu dniach pobytu dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście granatowa policja bada po domach kenkarty, a ponieważ nasze były dość nieudolnie wykonane, postanowiliśmy stamtąd uciec. Nie wiedzieliśmy jednak dokąd. Wróciliśmy wieczorem do Krakowa. Na dworcu kolejowym zastanawialiśmy się, jaki obrać kierunek. Po długich debatach doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie nam pojechać do Warszawy. I tak też zrobiliśmy (11 września 1942).

Podróż przeszła nam spokojnie. Znowu pytaliśmy pasażerów, gdzie można najlepiej wypocząć w spokoju, ponieważ w Krakowie jest za dużo Niemców i chcielibyśmy przynajmniej na cztery tygodnie pozbyć się niemiłego widoku. Poradzili nam Otwock lub Jabłonnę. Ale byłem na tyle ostrożny, że zapytałem kolejnego, która z tych dwóch miejscowości będzie mi bardziej odpowiadała. Dowiedziałem się, że w Otwocku jest dużo Niemców. Wobec tego zdecydowałem się na Jabłonnę. Tam było bardzo trudno o mieszkanie, a żona padała wprost ze znużenia. Już całkiem zrezygnowani i psychicznie załamani weszliśmy do małego domku, gdzie nas serdecznie przyjęto i ugoszczono. Gospodyni nie mogła nas na stałe przyjąć, ale oświadczyła, że jej córka mieszka w Nowym Dworze, we wsi oddalonej o cztery kilometry od Jabłonny, i że ona prawdopodobnie wynajmie nam pokój. I rzeczywiście tak się stało. Zaszliśmy piechotą do Nowego Dworu i zostaliśmy przyjęci. Gospodarz Surdykowski, bardzo uprzejmy człowiek, w miarę możności uprzyjemniał nam pobyt. My pomagaliśmy mu w robotach polnych, a on odwzajemniał się grzecznością i serdecznością. Znowu było wszystko w porządku i zdawało się, że wszystko będzie dobrze. Po sześciu dniach gospodarz zaprosił mnie poufnie do osobnego pokoju i zapytał, czy przypadkowo nie jesteśmy Żydami. Oświadczył, że osobiście nie ma nic przeciwko temu i byśmy u niego zamieszkali, nawet gdybyśmy rzeczywiście byli Żydami, najgorsze jednak, że sąsiedzi zanadto się nami interesują – nie tyle ze złej woli, ile z głupoty. I ten sąsiad, który zwrócił mu na nas uwagę, sam trzyma Żydówkę jako służącą

i nikt przez niego się o tym nie dowie. Przypuszcza więc, że nikt nie będzie nam szkodził. Prosił tylko, bym się przyznał do prawdziwego pochodzenia, i zapewniał mnie, że z jego strony krzywda mnie nie spotka. Ja jednak nie miałem odwagi się przyznać. Oświadczyłem mu jednak, że skoro sąsiedzi robią taką opinię, nie chcę go narażać na rewizję (produkował bowiem zakazane przez Niemców środki żywnościowe) i natychmiast opuszczę jego mieszkanie.

Znowu wróciliśmy do Krakowa. Spotkaliśmy się z panią Goldheimer, żoną adwokata, mieszkającą w Krakowie na papierach aryjskich, która zaproponowała nam wspólne mieszkanie pod jednym dachem. Po naszym przybyciu właściciel, Władysław Klimek, przyjął nas bardzo serdecznie, mimo że wiedział o wszystkim. Szczególnie jego żona okazała nam wiele serca, robiła dla nas zakupy, gotowała i w wielu wypadkach szła nam na rękę. Doktor Goldheimer poruszał się po mieście. Gdy wracał do domu, opowiadał, że niektórzy znajomi Polacy zapraszali go do swoich prywatnych mieszkań, a nawet jeden granatowy policjant zwrócił mu uwagę, że niepotrzebnie pokazuje się w mieście, ponieważ może łatwo wpaść. Po tym ostrzeżeniu był już przezorniejszy, wychodził tylko wieczorami, ale jego żony żadna siła nie mogła zatrzymać w domu i często przebywała nawet w kawiarni.

Ja z żoną siedzieliśmy w ukryciu i nie wychodziliśmy wcale.

Po czterech miesiącach (4 grudnia 1942 roku) zgłosił się dozorca domu i oświadczył gospodarzowi, że lokatorzy tego domu żalą się przed nim, że u państwa Klimków ukrywają się Żydzi, obserwowali ich prawie codziennie wychodzących na miasto, proszą go więc o zbadanie tej sprawy i załatwienie jej. Wobec tego Klimkowie prosili nas, byśmy opuścili ich mieszkanie. I znowu znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Na domiar złego o czwartej po południu zgłosił się do nas dwunastoletni chłopiec pochodzenia aryjskiego z listem do pana Kowalskiego (Goldheimera). List zawierał pogróżki wydania nas w razie niewypłacenia dziesięciu tysięcy złotych w ciągu dwóch godzin człowiekowi określonemu w ten sposób, że pod Sukiennicami będzie trzymał w ręku list. W liście były dokładnie wymienione nasze prawdziwe nazwiska i ostrzegano nas, że każda próba ucieczki zawiedzie, ponieważ od rana jesteśmy obserwowani. List ten wywarł na nas straszne wrażenie, nie straciliśmy jednak nadziei i już po dziesięciu minutach zdecydowaliśmy się zaryzykować i opuścić dom. Wychodziliśmy z założenia, że i tak nie mamy nic do stracenia.

Zrozpaczeni Goldheimerowie zostali na miejscu, my zaś wyszliśmy na dworzec i niezauważeni przez nikogo szczęśliwie złapaliśmy pociąg do Warszawy. W drodze w pociągu przeżyliśmy jeszcze jedną pamiętną przygodę. W Miechowie wsiadło kilkudziesięciu esesmanów i granatowa policja, w celu wykonania rewizji osobistych i pakunków. Przy tej okazji bili, kopali i wymyślali, ile popadło. Zabrali Polakom pakunki, a następnie wyrzucali ich z wagonu. Powstał chaos i zamieszanie. Słychać było płacz dzieci i rozpaczliwe krzyki kobiet. Niektórzy prosili o oddanie im teczek osobistych, które im skonfiskowano. Wreszcie do naszego przedziału wszedł esesman i z krzykiem: „Auswaise"[553] rozpoczął swoje urzędowanie. Siedziałem tuż przy drzwiach, byłem więc pierwszą ofiarą. Opanowałem się i tylko dzięki przy-

[553] Właśc. *Ausweis* – w gwarze z czasów okupacji niemieckiej zaświadczenie (np. z miejsca pracy), mogące dać pewne szanse zwolnienia z robót przymusowych, wywózki, łapanki itp.

tomności umysłu uniknąłem katastrofy. Zachowałem się tak pewnie, że esesman nawet nie przeglądał naszych kenkart, takie miał do nas zaufanie. Wszystkie zrabowane pasażerom rzeczy zostały wyładowane w Radomiu, gdzie policja specjalna odebrała je. To były stosy materiałów, żywności, tytoniu, teczki, walizki. Połów na święta udał się Niemcom znakomicie, w pracy nie ustawała granatowa policja, która uczciwie pomagała w rabowaniu i biciu.

Z Warszawy zajechaliśmy znowu do państwa Surdykowskich w Nowym Dworze, gdzie zostaliśmy przyjęci. Zgodzili się na to, byśmy u nich zamieszkali, ale w ukryciu. Po dwóch dniach wieczorem sąsiad, który przypadkiem ich odwiedził, zauważył mnie przez uchylone drzwi pokoju. Po jego odejściu Surdykowski oświadczył nam, że jest wykluczone, byśmy mogli u niego dalej pozostać, ponieważ dzień przed tym rozstrzelano w Nowym Dworze całą rodzinę żydowską wydaną przez jakiegoś Polaka, a właściciel tylko cudem uniknął śmierci, tłumacząc się, że mieli aryjskie papiery, wobec czego nie wiedział o ich pochodzeniu.

Żona Surdykowskiego widząc nasze okropne położenie, współczując nam bardzo, starała się w miarę możności nam pomóc. I wówczas zaproponowała nam objęcie mieszkania jej szwagra Waszkiewicza, nauczyciela w Warszawie. Chwilowo mieszkał on w Nowym Dworze i jego mieszkanie przy ul. Wileńskiej w Warszawie mogło być do naszej dyspozycji, pod warunkiem, że nikt z sąsiadów nie będzie wiedział o naszym istnieniu. Musieliśmy więc zachowywać się tak spokojnie, by nie powstało żadne podejrzenie. Waszkiewicz codziennie rano zaopatrywał nas w różne prowianty, my wcale nie wychodziliśmy. W tym czasie przez naszego łącznika z Krakowa (była służąca) dowiedzieliśmy się, że poprzedni gospodarz, pan Klimek, zaprasza nas do siebie, pod warunkiem, że Goldheimerowie się o tym nie dowiedzą (zanadto swobodnie się zachowywali i w ten sposób narazili ich na niebezpieczeństwo).

Zdecydowaliśmy się wrócić do Krakowa. Dowiedzieliśmy się, że Goldheimerowie zostali wykryci w mieszkaniu pani Łukaszewiczowej przy ul. Karmelickiej. Przebieg był taki, że o północy przed dom zajechało auto, gestapowiec mówiący poprawnie po polsku w asyście dwóch esesmanów wylegitymował ich i sprawdziwszy kenkarty, stwierdził, że są fałszywe. Ze słowami: „Jude... auf" ściągnięto ich z łóżek i załadowano do auta. Po kilku dniach oddano ich do azylu w getcie, gdzie ich rozstrzelano. Dziwnym trafem tej samej nocy nocowała w tym mieszkaniu Pola Rothblumowa, moja siostra, która przyjechała ze Lwowa, nie mogąc się tam utrzymać. Pomimo pierwszorzędnego wyglądu aryjskiego przeszła we Lwowie istną gehennę prześladowania przez Ukraińców. Jeden z gestapowców wylegitymował moją siostrę, pytając, co tu robi, czy zna Goldheimerów i czyje jest to dziecko śpiące na ziemi na materacach. Zaprowadził ją – była tylko w nocnej koszuli – do przyległej kuchni, badał jej papiery i pytał, dlaczego wyjechała ze Lwowa. Oświadczyła mu, że tam jako służąca zarabiała mało, a w Warszawie prawdopodobnie płacą więcej, więc ma zamiar tam wyjechać. W Krakowie zatrzymała się tylko chwilowo, żeby wypocząć. Dziecko miało inne nazwisko (Stanisław Zięba), przygarnęła je od obcych ludzi, ponieważ jego rodzice zginęli podczas bombardowania we Lwowie. Tak spokojnie i stanowczo się zachowała, że gestapowiec uwierzył i pozwolił jej zabrać rzeczy, natomiast rzeczy Goldheimerów zamknął w osobnym pokoju. Pech chciał, że zapomniała jednej walizki i jednego buciczka dziecka. Ponieważ w następnym dniu mieli przyjść gestapowcy po rzeczy Goldheimerów, chciała

uniknąć spotykania z nimi – już o piątej rano uciekła z dzieckiem w jednym bucie, drugą nogę owinęła szmatami. Był silny mróz, ludzie w tramwaju zwracali uwagę na dziecko, które miało zły wygląd, a brak buta również mógł zdradzić. Na szczęście nic złego się nie wydarzyło. Zrozpaczona, udała się do znajomej Polki z firmy krawieckiej. Elwira bardzo pomagała Żydom (miała męża Żyda) i dzięki jej interwencji moja siostra otrzymała posadę służącej u oficera SA. Dziecko jednak musiała oddać drugiej siostrze w opiekę. Często przychodziła do mnie, żaląc się na ciężką pracę ponad siły. Pewnego dnia żona oficera zastała ją płaczącą. Zdziwiło ją to bardzo i częściowo naprowadziło na ślad. Oświadczyła Elwirze, że jej zdaniem nie jest to zwyczajna służąca, ale osoba inteligentna, władająca doskonale językiem niemieckim, a więc przypuszczalnie nie-Polka. Elwira wyznała prawdę, błagając przy tym, by jej nawet przed mężem nie zdradziła, ponieważ jest to osoba zacna. Siostra moja pracowała tam w dalszym ciągu, po pewnym czasie jednak, gdy oficer SA dowiedział się od żony o wszystkim, jej położenie stało się nie do zniesienia. Od tej chwili oficer wymagał od niej nieludzkiej pracy, przekraczającej wszelkie możliwości. Upadała ze znużenia, ale wytrwała i pracowała dalej, byle tylko żyć dla dziecka. W końcu zabronił jej korzystać z jego żywności, pracowała całkiem za darmo. Codziennie zdawała dokładne sprawozdania z kosztów związanych z prowadzeniem gospodarstwa. Zagroził jej, że jeśli cośkolwiek ruszy, skieruje ją tam, dokąd należy.

Oficer często wyjeżdżał i przywoził ze sobą po każdej takiej wyprawie obfite łupy. Szafy waliły się pod ciężarem garderoby, materiałów, bielizny i kosztowności. Za każdym razem nowe dywany zdobiły jego wytworne pięciopokojowe mieszkanie. Ponieważ dziecko nie mogło pozostać w pierwotnym miejscu, moja siostra w porozumieniu z żoną oficera, która była dla niej przychylniejsza, postanowiła sprowadzić dziecko do ich domu. Postanowiły, że Niemiec się o tym nie dowie, ponieważ często był w rozjazdach i łatwo to było przeprowadzić. Chłopczyk, już wówczas dziesięcioletni, miał być ukryty w niszy zasłoniętej dywanem i tam miał pozostawać przez cały czas. Szczególnie cicho musiał się zachowywać podczas pobytu oficera lub gości w domu. Ten plan niestety się nie powiódł. Po dwóch tygodniach podczas przeprowadzania w swoim mieszkaniu kontroli, czy wszystko w porządku, Niemiec zastał chłopca ukrytego pod zasłoną w niszy. Wówczas jego żona poczęła go błagać, aby zostawił dziecko ich służącej w spokoju i nie robił mu krzywdy. Lecz on nie dał się ubłagać. Zagroził, że jeśli w ciągu dwóch godzin nie usuną dziecka z jego mieszkania, zrzuci je sam z drugiego piętra. Siostra natychmiast zabrała dziecko i umieściła je w pierwotnym miejscu. Załamana fizycznie i psychicznie nie mogła już dalej pracować i żyć na tych warunkach. Była bliska samobójstwa. Jedynie dzięki dziecku walczyła dalej. Pewnego razu zetknęła się całkiem przypadkowo z przewodnikiem, który przeprowadzał Żydów na Słowację, gdzie wszystko już było zorganizowane do dalszego transportu do Budapesztu. Postanowiła przedostać się z dzieckiem i drugą siostrą za granicę przez Biały Dunajec. Popełniła jednak błąd, ponieważ zdradziła ten plan swojej chlebodawczyni Niemce, a ta z kolei powiedziała mężowi. Niemiec nie zgodził się i zabrał jej kenkartę. Moja siostra, zrozpaczona i nieprzytomna ze strachu, wyrwała mu kenkartę z ręki. Zdawała sobie bowiem sprawę, że bez niej nie da rady w drodze i cały plan ucieczki zostanie zniweczony, a termin wyjazdu był wyznaczony na następny dzień. Niemiec zagroził jej zastrzeleniem w wypadku niezwrócenia mu kenkar-

ty. Wówczas zmuszona była wykonać jego polecenie. Błagała jednak jego żonę, by wpłynęła na męża, tłumaczyła, że cierpi przez swoją własną naiwność, mogła przecież nie zdradzać swojego zamiaru. Chciała tylko być w porządku ze sobą i rozejść się z nimi, jak być powinno. Elwira interweniowała w tej sprawie i to poskutkowało, pod warunkiem, że Elwira dostarczy na miejsce mojej siostry jakąś inną służącą. Koniecznie Żydówkę, bo Żydówki są pracowite i uczciwe, a Polki kradną – tak twierdził Niemiec. Zwrócono siostrze kenkartę i nazajutrz wyjechała w kierunku Budapesztu. Obecnie jest w Paryżu.

Ja sam, jak już wspominałem, byłem w tym czasie wraz z żoną w Krakowie u państwa Klimków, którzy nas serdecznie przyjęli. Jednak po dwunastu dniach rozpoczęły się obławy nocne na Polaków mieszkających w naszym obwodzie. Postanowiliśmy pojechać na wieś, do znajomego chłopa, bardzo uczciwego. Zwróciliśmy się do niego za pośrednictwem łącznika (nasza służąca) z prośbą o zabranie nas do siebie, do powiatu bocheńskiego. W pierwszych dniach czuliśmy się doskonale. I mimo że nasze mieszkanie (ciemna komora z małym okienkiem) było fatalne, nie mieliśmy innych życzeń nad to, by móc tam nadal pozostać. Ponieważ komora graniczyła z mieszkaniem gospodarzy, było dokładnie słychać rozmowy, jakie się tam toczyły, byliśmy mimowolnymi świadkami dyskusji sąsiadów o Żydach. Sto razy dziennie zamieraliśmy ze strachu, słuchając ich opowiadań o męczarniach żydowskich. Po kilku dniach naszego pobytu pewna kobieta przyszła do gospodarzy i podniesionym głosem oznajmiła, że w tej chwili granatowi policjanci Domarecki i Nowicki zastrzelili dwóch młodych chłopców żydowskich Keplerów, których nakryli przez zdradę sąsiada we wsi Wola. Chłopcy błagali policjantów o darowanie im życia, starając się przemówić do ich sumienia, powołując się na starą znajomość sprzed wojny, ponieważ żyli w tym samym miasteczku Łapanów. Pieniędzy nie mieli i chłop, u którego się ukrywali, utrzymywał ich za darmo, ponieważ przed wojną był w stosunkach handlowych z ich rodzicami i doznał wiele dobrego z ich strony. Na pozór wydawało się, że policjanci zgodzili się na to. Pozwolili im uciec, lecz podczas ucieczki poczęli za nimi strzelać, kładąc ich trupem na miejscu. Po godzinie ich ciała leżały w lesie nagie, ponieważ miejscowi chłopi odarli ich ze wszystkiego. O takich przyjemnych wiadomościach słyszeliśmy co kilka dni. Doszedłem do przekonania, że przetrwanie na wsi będzie niemożliwe, ponieważ przemądrzali chłopi chcąc przymilić się gestapo, wydawali swoich sąsiadów i donosili o najmniejszych przewinieniach przy zabijaniu świń lub bydła bez zezwolenia władz, co powodowało różne rewizje po chałupach, a w związku z tym zwiększało niebezpieczeństwo.

Nie widziałem jednak wyjścia z tej sytuacji, coraz częstsze rewizje na drogach nie pozwalały zmienić miejsca zamieszkania.

Nasz gospodarz był bardzo biedny. Obiecałem mu pomoc materialną w utrzymaniu jego gospodarstwa, pod warunkiem, że będzie to pomoc stopniowa, aby sąsiadom nie wydawało się to podejrzane. Gdy kupiłem mu parę nowych butów gumowych (chodził dotychczas boso), w całej wsi mówiono o tym nagłym wzbogaceniu się. Stopniowo ubrałem gospodarzy, by to nie zwróciło uwagi. Mimo to na posterunek policji polskiej wpłynęło na nich doniesienie, że żyją z żydowskich rzeczy. Pewnego dnia przybiegła pewna kobieta, ostrzegając gospodarzy przed rewizją. Gdy to usłyszałem, byłem zrozpaczony. Po odejściu tej kobiety gospodarz radził nam ze względu na nasze własne dobro natychmiast opuścić chałupę.

Uciekliśmy do lasu niezauważeni przez nikogo i tam przesiedzieliśmy parę godzin na siarczystym mrozie. Wieczorem z trudem odnaleźliśmy naszą chałupę, ale ku naszemu wielkiemu zmartwieniu dowiedzieliśmy się, że rewizji nie było. Odtąd żyliśmy w ciągłym strachu i niepewności. Po kilku dniach historia się powtórzyła. Znowu uciekliśmy do lasu i po paru godzinach przyszedł po nas gospodarz, który umieścił nas w innej chałupie. Podał nas za Żydów wychrzczonych, którzy przyjechali z Krakowa w celu ukrycia się na kilka dni. Tam siedzieliśmy za dnia w stajence, a w nocy spaliśmy na posłanej otomance. W stajni leżeliśmy po prostu w gnoju, a zimno było nie do zniesienia. Poprzedni gospodarze przychodzili codziennie, przynosili nam jedzenie i informowali nas o stanie rzeczy. Mimo że rewizja jeszcze ciągle się nie odbyła, zdecydowaliśmy się powrócić. Aby zabezpieczyć nas przed zaskoczeniem ze strony policji, gospodarz wybudował w naszej komorze skrytkę. Był to dół mający dwa metry długości, sześćdziesiąt centymetrów szerokości, przykryty deskami, zamaskowany ziemią. Otwór, którym wchodziliśmy, był kwadratem (sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów), tak że musieliśmy często leżeć, ponieważ stać było niemożliwością. Ciemno, brak powietrza. Na szczęście wchodziliśmy tam tylko w chwili grożącego niebezpieczeństwa i wracaliśmy z powrotem do naszej komory, na tak zwane światło dzienne.

Ostatecznie sprawa została załatwiona w ten sposób, że przekupiono granatową policję. Zdawało się odtąd, że będziemy mieli trochę spokoju. Ale wiadomości za naszą ścianą stawały się coraz okropniejsze. Obok naszej wsi mieszkała młoda Żydówka na papierach aryjskich. Chodziła do księdza, do spowiedzi, ale ludność wiejska mimo to domyślała się wiele. Z naszej komory usłyszałem opowiadanie pewnej wiejskiej kobiety, że młoda osoba mieszkająca u Kowalczyka jest Żydówką, chociaż tak ładnie w kościele śpiewa. Mówią, że jej gospodarz ma z nią bliższe stosunki, żona jego z tego powodu interweniowała na posterunku w Łapanowie, by ją zabrali. Policjanci Domarecki i Nowicki skontrolowali jej papiery i uznali za prawdziwe. Wtedy gospodyni wyrzuciła ją z mieszkania. Mówiono, że chłopcy ze wsi pod groźbą wydania zaciągnęli ją do stodoły, wykorzystując w ten sposób jej położenie. Pewnego dnia gestapo bocheńskie przyjechało do Łapanowa na szeroko zakrojoną akcję wywózki do Niemiec i przy tej okazji granatowa policja zwróciła się do nich o zbadanie sprawy owej Żydówki. Gestapo z granatową policją udali się na wskazane miejsce. Na powitanie zbili dziewczynę do nieprzytomności, chcąc w ten sposób zmusić ją do przyznania się. Nie przyznała się. W końcu zabrano ją do Bochni. Podczas przeprowadzania rewizji osobistej znaleziono u niej listy męża, który przebywał w Tarnowie, również na aryjskich papierach. Gestapo bocheńskie telegrafowało w jej imieniu do męża, aby w ważnej sprawie przyjechał do Bochni na wyznaczone miejsce. Ten zaś, myśląc, że chodzi o lepszą posadę, zabrał również swojego przyjaciela. Przyjechali do Bochni i wszyscy troje zostali zastrzeleni. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się zza ściany naszej komory. I jeszcze wiele smutnych faktów dotarło do nas.

Pewien Żyd, rolnik, posiadający kilka mórg pola obok Łapanowa, był w przyjacielskich stosunkach ze swoim sąsiadem, chłopem. Po wysiedleniu Żydów z Łapanowa i okolic ukrywał się u niego z żoną i córką. Mieszkali w bunkrze wybudowanym pod stajnią, do którego wejście prowadziło ze stajni i zamykane było podściółką dla bydła. Chłop ów miał jednak sąsiada, z którym nie utrzymywał przyjaznych sto-

sunków. Po pewnym czasie sąsiad dowiedział się, że chłop ukrywa Żyda, a chcąc mu zaszkodzić, doniósł o tym na gestapo bocheńskie. Gestapowcy zajechali przed dom chłopa, który kategorycznie zaprzeczył, jakoby kogoś ukrywał. Po bezowocnej rewizji pobili chłopa do krwi, ale ten uparcie zaprzeczał. W końcu gestapowcy z trudem znaleźli kryjówkę, wyciągnęli ukrytych z bunkra, zawieźli do Bochni, gdzie wszyscy zostali rozstrzelani.

Inny wypadek: Żyd z Tarnowa wędrował po wsiach, szukając przytułku. Chodził od chałupy do chałupy, żebrząc o kawałek chleba. Wedle podań sąsiadów chłopi pomagali mu w miarę możliwości, jednak nikt nie miał odwagi go przenocować. Nieszczęśliwym trafem natknął się na sołtysa ze wsi Bochnia. Ten nakazał żonie nakarmić go, w międzyczasie udał się na posterunek granatowej policji w Łapanowie i doniósł o wędrującym Żydzie, którego z miejsca aresztowano. Sołtys był zdziwiony faktem, że nie zastrzelono Żyda na miejscu. Jak się później dowiedzieli, był taki specjalny nakaz – by gestapo mogło ograbić Żyda z majątku, osadzono go w celi w Łapanowie, a następnie zabrano do Bochni. Przesłuchując go, wymuszono na nim przyznanie się do posiadania brylantu, który ukrył w celi więziennej w Łapanowie. Gestapowcy wrócili z nim na wskazane miejsce, Żyd wygrzebał ukryty brylant, następnie wywleczono go na podwórze posterunku, gdzie gestapowcy oddali do niego parę strzałów i odjechali w przekonaniu, że został zabity. Było to wieczorem w porze zimowej, ranny Żyd w ciemnościach przeczołgał się pod drzewo, gdzie legł znużony, nie mogąc iść dalej. Po dwóch godzinach zjawili się policjanci granatowi Domarecki i Nowicki, by sprzątnąć trupa. Szukali go, aż wreszcie go znaleźli pod drzewem. Oddali do niego parę strzałów, dobijając go na miejscu. O tym wszystkim opowiadali z przejęciem sąsiedzi, krytykowali sołtysa za jego niecny postępek. Byli wśród mieszkańców tacy, którzy głęboko przeżywali tragedię Żydów, ale byli niestety i tacy, którzy w swojej ciemnocie i nieuświadomieniu, zatruci jadem nienawiści hitlerowskiej, przyznawali rację gnębicielom. Jedno zdanie utkwiło mi szczególnie w pamięci: „Gdyby Niemcy w ten sposób nie postępowali z Żydami, niewątpliwie Żydzi uczyniliby to samo z nami".

Ten sąd o Żydach był na pewno spowodowany lekturą propagandowego kalendarza z ilustracjami wydanego przez Niemców. Zawierał on oszczerstwa najordynarniejsze o mordach rytualnych dokonywanych przez Żydów, o ich zachłanności i chęci panowania nad światem, opisywał, jak Żydzi w Anglii i w Ameryce spowodowali wojnę światową, a Żyd Roosvelt[554] z rodziny Rosenfeld jest wykonawcą ich woli. Kaganowicz[555] i Ilja Erenburg[556] jak wszyscy Żydzi chcą zbolszewizować cały świat, a żydowski minister finansowy USA finansuje tę świętą wojnę przeciw chrześcijaństwu. Te bzdury i kłamstwa trafiały do ciemnych umysłów chłopów, wywołując u nich nieuzasadnioną nienawiść do Żydów.

Pewnego dnia przyszła jakaś wiejska dziewczyna i opowiedziała moim sąsiadom o strasznym wypadku, który miał miejsce we wsi Trzciana. Rodzina żydowska składająca się z pięciu osób mieszkała w getcie w Bochni. Pewien Niemiec zobowiązał się za pięć

[554] Mowa o Franklinie D. Roosevelcie, prezydencie amerykańskim, i teoriach na temat jego ukrytych żydowskich korzeni.

[555] Łazar Kaganowicz (1893–1991) – radziecki działacz komunistyczny, pochodził z rodziny żydowskiej.

[556] Ilja Erenburg (1891–1967) – radziecki pisarz i publicysta, pochodził z zasymilowanej rodziny żydowskiej.

tysięcy odstawić ich autem do granicy słowackiej. Ujechał z nimi kilka kilometrów i zatrzymał się we wsi Trzciana, podając, że wskutek defektu w aucie muszą wysiąść. Następnie zawrócił auto i zostawił ich na szosie, a sam wrócił do Bochni. Żydzi pozostawieni na pastwę losu, zrozpaczeni prosili okolicznych chłopów, by zechcieli, oczywiście za sowitym wynagrodzeniem, odwieźć ich z powrotem. Ci się bali. Wreszcie zgłosił się leśniczy z propozycją, że znajdzie furmankę, a Żydzi do tego czasu mieli przeczekać u niego w domu. Biedni ludzie uczynili, jak im nakazał. Tymczasem leśniczy zawiadomił posterunek policji granatowej, a ta zawiadomiła gestapo w Bochni i po godzinie cała rodzina została na miejscu zlikwidowana. Dziewczyna opowiadała ze wzruszeniem o straszliwych scenach, jakie się wówczas rozegrały, a których świadkiem była osobiście. Dzieci, szlochając, błagały o litość. Gestapowcom nie wystarczył obfity łup w postaci zebranych kosztowności. Rozebranych do naga Żydów zastrzelili na placu obok szopy.

Nasze życie u gospodarzy, którzy byli z gruntu szlachetnymi ludźmi, było jednym wielkim pasmem cierpień, z dnia na dzień coraz bardziej nie do zniesienia. Składał się na to cały szereg przyczyn od nich niezależnych. Przede wszystkim szalony strach przed karą śmierci grożącą za ukrywanie Żydów, strach przed sąsiadami, aby się nie dowiedzieli. W każdą sobotę odbywały się zebrania u sołtysa, których jednym z głównych tematów były zarządzenia zabraniające przyjmowania do wsi obcych ludzi ze względu na to, że wielu Żydów ukrywa się na fałszywych dokumentach. Po każdym takim zebraniu drżeliśmy ze strachu. Zagrożono bowiem zbiorową odpowiedzialnością całej ludności za jednego wyłamującego się z zarządzenia. Po każdym zebraniu gospodarz opowiadał nam w naszej komorze o nowościach dnia i stale zwracaliśmy mu uwagę, że jesteśmy gotowi w każdej chwili opuścić jego mieszkanie, jeśli by sobie tego życzył. Widzieliśmy jego wielkie przygnębienie i stwierdziliśmy, że ku naszemu zmartwieniu z każdym dniem wzrastały jego obawy. Ale mimo to nie chciał nas zostawić na lodzie, gdyż wiedział, że innego wyjścia nie mamy. Gdy się nieco uspokajał, dodawał nam otuchy, twierdząc, że jeśli już tyle wycierpiał, nie zrezygnuje ze swego celu uratowania nas i wierzy, że z Boską pomocą mu się to uda.

W tym czasie moja żona zachorowała na czerwonkę i sytuacja stała się znowu katastrofalna, gdyż w żadnym wypadku nie można było zawołać lekarza. Leczyliśmy ją domowymi lekami i tylko cudem wyrwaliśmy ją ze szponów śmierci. Nieraz zastanawiałem się nad tym, gdzie pochować żonę. Ale i to przeszło. W lecie przyjechał do naszej wsi jakiś podróżny z Krakowa. Często odwiedzał naszego gospodarza i często też byliśmy świadkami jego stosunku do Żydów. Z sadyzmem opowiadał, w jaki sposób wprowadził w błąd pewną Żydówkę wysiedloną z Krakowa do getta i spowodował, że straciła cały dobytek. Twierdził, że Żydzi nie chcą Palestyny, tylko chcą zagarnąć cały świat. Zauważyłem, że rzadko któryś z dyskutujących gości wspominał o Polakach, którzy też byli w niewoli, mieszkali pod jarzmem germańskim. Zajęci Żydami i tylko Żydami zapomnieli o patriotyzmie i własnej niedoli. Ich umysły nie były zdolne do innych myśli. Od czasu do czasu pojawiały się głosy rozsądniejsze. Pewnego dnia w celu przeszkolenia granatowej policji przyjechał do Łapanowa młody gestapowiec Beck. Jak opowiadali chłopi – przed budynkiem posterunku odbył szkolenia z sześcioma policjantami w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Nie mogli pojąć, że ci starsi polscy policjanci pozwalają sobą dyrygować takiemu młokosowi gestapowcowi. Beck z biegiem czasu stał się postrachem

całej okolicy i chłopi bali się go panicznie. Gdy zagroził, że wkrótce odbędą się po chałupach rewizje w poszukiwaniu Żydów i w związku z oszukańczymi machinacjami chłopów (np. tajny ubój, kolczykowanie bydła), postanowiłem kategorycznie opuścić dom moich dobroczyńców, ponieważ obawiałem się, by nie przeciągnąć struny. Myśl tę powziąłem po pełnym roku pobytu, czując, że w tej atmosferze ciągłego strachu życie stawało się z dnia na dzień nie do przyjęcia. Zdecydowałem się wyruszyć w niedzielę, ponieważ w tym dniu było najmniejsze niebezpieczeństwo rewizji po drodze. Mieliśmy wyjechać o piątej rano furmanką z sianem. Po ciężkich trudach udało mi się zaprowadzić żonę do furmanki, żona bowiem odwykła od chodzenia. Po sześciu godzinach zajechaliśmy szczęśliwie do Krakowa. Mieliśmy na widoku mieszkanie przy ul. Felicjanek, zamieszkane przez znajomego Żyda, Adolfa Ehrlicha, który przeniósł się tam na skutek szantażu przy ul. Ariańskiej. Właściciel mieszkania nie chciał nas jednak przyjąć, tłumacząc, że już ma dosyć i pragnie to wszystko zakończyć. Wiedziałem, że przy Ariańskiej, już po szantażu, mieszkało pięć Żydówek. Wśród nich była żona profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Sternbacha i żona aptekarza Sternbacha, które to po wysiedleniu z Krakowa mieszkały u mnie w Wieliczce blisko dwa lata. Liczyłem więc na ich pomoc w umieszczeniu tam mnie i żony. Z trudem jednak uzyskałem miejsce tylko dla siebie. Żona zaś zamieszkała w moim sąsiedztwie. W naszym mieszkaniu przy ul. Ariańskiej zajmował pokój pewien aryjczyk z żoną. Ponieważ chcieli zmienić mieszkanie, złożyli do Arbeitsamtu prośbę o przydzielenie im innego pokoju. Pewnego dnia zgłosili się dwaj Polacy, urzędnicy Arbeitsamtu, aby zbadać przyczyny zmiany mieszkania. Przy tej sposobności natknęli się na lokatorów pseudoaryjczyków. Zorientowali się, że mają do czynienia z Żydami, mimo że legitymowaliśmy się kenkartami. Urzędnicy Arbeitsamtu postawili kwestię jasno. Zażądali do godziny okupu w wysokości stu dwudziestu tysięcy złotych, w przeciwnym wypadku rozwiązaniem sprawy miała być Pomorska[557]. Gospodyni domu, od dłuższego czasu ciężko chora, interweniowała w tej sprawie, tłumacząc, że jest to suma horrendalna, której w żadnym wypadku nie można uiścić. Przemawiała przy tym do ich sumienia, starała się wytłumaczyć, że to od ich woli zależne jest życie dziesięciu osób, w tym jej rodziny. Wreszcie po długich targach dali się nakłonić na sumę trzydziestu pięciu tysięcy złotych i opuścili mieszkanie. Po tym wypadku zamieszkały tamże Adolf Ehrlich, obawiając się następnych szantaży, przeniósł się na ul. Felicjanek.

Żona odwiedzała mnie dwa razy w tygodniu. Przychodziła wieczorami, by nie być zauważona przez nikogo. Opowiadała mi, że nie ma zaufania do swoich gospodarzy, gdyż z rozmów, które toczyły się między nimi, wynikało, że nie byli przychylnie nastawieni do Żydów. Jeśli cośkolwiek robili w tym kierunku, to tylko dlatego, że widzieli w tym korzyści materialne; do takiego podejścia nie byliśmy dotychczas przyzwyczajeni, ale nie mając innego wyjścia, musieliśmy na razie w tym stanie pozostać. Za utrzymanie żony płaciłem zawsze z góry za czternaście dni. Pewnego dnia żona oświadczyła mi, że gospodyni żąda z góry za cały miesiąc. Zaniepokoiło mnie to bardzo, ale nie mając innej rady, zapłaciłem. W następnym dniu gospodyni namawiała żonę, by się starała rozerwać, polecając jej specjalnie, by wyszła do fryzjera i starała się poprawić swój wygląd

[557] Przy ul. Pomorskiej 2 w Krakowie znajdowały się cele więzienne gestapo.

zewnętrzny. Nie przeczuwając tym razem nic złego, moja żona skorzystała z rady gospodyni i wieczorem udała się do zakładu fryzjerskiego mieszczącego się w pobliżu. Gdy wróciła do domu, na progu zatrzymał ją gospodarz, kategorycznie sprzeciwiając się jej wejściu do mieszkania. Oświadczył jej, że została przez kogoś rozpoznana i niezawodnie zjawi się gestapo. Wówczas żona prosiła go, aby jej wydał trochę rzeczy osobistych, na co się nie zgodził i kazał jej się zgłosić za dwa dni. Po dwóch dniach gospodyni znowu nie wpuściła żony do mieszkania, oświadczając jej, że po przeprowadzonej przez gestapo rewizji jej rzeczy zostały zabrane, a mąż gospodyni został zaaresztowany. To wszystko nie zgadzało się z prawdą. Przede wszystkim rzeczy żony były ułożone we wspólnej szafie gospodarzy i gestapo nie mogło rozróżnić, które rzeczy były „aryjskie", a które „niearyjskie". Poza tym żona widziała przez okno z ulicy gospodarza siedzącego przy podwieczorku. I to też moja żona oświadczyła gospodyni. Ona jednak nie chciała z żoną w ogóle mówić, dając jej do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli natychmiast się usunie. W ten sposób moja żona została ogołocona ze wszystkiego, co jeszcze posiadała. W tej chwili najważniejszą kwestią było ulokowanie gdzieś żony. Tam, gdzie ja mieszkałem, było to niemożliwe. Ale nasz szlachetny gospodarz przy ul. Ariańskiej, widząc nasze straszne położenie, zgodził się ją przyjąć, pozostawiając nam sprawę rozmieszczenia się. W ten sposób nasza rodzina rozrosła się do ośmiu osób. Prowadziliśmy wspólne gospodarstwo i żyliśmy cały rok w zgodzie i spokoju. Sąsiedzi pochodzący przeważnie z inteligencji domyślali się, że w tym domu mieszkają Żydzi, jednak udawali, że nic o tym nie wiedzą. Bardzo szlachetny był nasz gospodarz, który stanowił z nami jak gdyby jedną rodzinę. W ciężkich chwilach podtrzymywał nas na duchu, a gdy zabrakło pieniędzy i chciałem zrezygnować z obiadów, nie chciał się na to zgodzić, oświadczając, żeby jemu to pozostawić. Sam był w ciężkiej sytuacji materialnej.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jesteśmy coraz bliżej wyzwolenia. Wiadomości, że front się zbliża, dodawały nam otuchy do dalszego wytrwania. Wyszło zarządzenie, że Polacy, którzy nie chcą pozostać w GG z powodu zbliżającego się frontu bolszewickiego, mają na koszt GG wyjechać specjalnymi pociągami na Węgry. To nas jeszcze bardziej utwierdziło w przekonaniu, że klęska Niemiec jest bliska. Z naszej rodziny postanowiły wyjechać dwie panie jako Aryjki. Uzyskały legitymacje od RGO[558] i udało im się przedostać na Węgry. Matka jednej z nich po odprowadzeniu ich do pociągu oświadczyła, że zauważyła wśród wyjeżdżających mnóstwo Żydów, którzy w ten sposób wymykali się Niemcom w ostatniej chwili. Mieliśmy również zamiar wydostać się za granicę, ale wskutek wyczerpania fizycznego i braku środków musieliśmy zrezygnować.

W sąsiedztwie, przy ul. Botanicznej, Polacy zastrzelili dwóch niemieckich Hilfspolizei. Rezultatem tego były ostre obławy zarządzone przez władze niemieckie, cała nasza rodzina przez dwa dni żyła w śmiertelnym strachu. Umówiliśmy się, w jaki sposób w razie nakrycia wytłumaczyć gestapowcom nasz pobyt. Chodziło nam głównie o gospodarza, bo nasza sprawa i tak byłaby przegrana, a jego życie było droższe niż nasze.

Postanowiliśmy podać, że w danym dniu przybyliśmy, w tym celu spakowaliśmy cały nasz dobytek, by

[558] RGO (Rada Główna Opiekuńcza) – polska organizacja charytatywna, niosąca pomoc ludności zamieszkującej Generalne Gubernatorstwo. Podczas wojny zastąpiła Polski Czerwony Krzyż.

łatwiej to upozorować. Niemcy byli we wszystkich sąsiednich domach, tylko nasz ominęli. Uznaliśmy się wówczas za szczęśliwców, których jakaś wyższa siła ma w opiece. I ten fakt dodał nam jeszcze więcej sił do wytrwania. Jedyną osobą pesymistycznie nastrojoną była Leontyna Sternbachowa, żona profesora UJ, która straciła męża w obozie koncentracyjnym w Dachau jeszcze na początku wojny[559]. Była obojętna wobec powtarzających się często groźnych chwil, twierdząc, że po utracie męża życie dla niej nie przedstawia już żadnej wartości. Opowiadała nam często, jakich protekcji używała w celu ratowania męża. W pierwszym rzędzie pomogła jej bezinteresownie hrabina Potocka, która osobiście pojechała do Göringa w tej sprawie. Göring oświadczył wówczas, że sprawę polskich profesorów zbada, lecz on musi zginąć jako Żyd. Sternbachowa interweniowała również u oficera gestapo mającego nadzór nad Judenratem w Krakowie, prosząc go o pomoc, oświadczyła, że jej mąż nigdy nie zajmował się polityką, lecz był znanym w Europie naukowcem. Odpowiedział, że Żydzi sami chcieli wojny, muszą więc cierpieć i nie może się spodziewać w żadnym wypadku wiadomości od męża. Otrzymała informację telegraficznie, że zmarł w obozie, ktoś przysłał nawet na jej adres skrzyneczkę z prochami zmarłego i jego kapelusz. Sternbachowa opowiadała, że ostrzegała męża przed pójściem na posiedzenie profesorów, które było zasadzką zaplanowaną przez Franka. Ale on twierdził, że musi się solidaryzować z kolegami i wraz z nimi zginął z honorem. Sternbachowa przeczuwała, że po wojnie jej życie nie będzie miało żadnej wartości. Uszła wprawdzie niemieckim katom, przeżyła wojnę, ale oswobodzenie nie zrekompensowało jej tej wielkiej straty, jaką poniosła w osobie męża. Ta zacna, dzielna i cierpiąca osoba umarła w kilka tygodni po odzyskaniu wolności.

Po udanym zamachu na wspomnianych wyżej niemieckich policjantów sprowadzono na miejsce jego dokonania czterdziestu Polaków i wszystkich publicznie zastrzelono. Zrobiło to na nas przerażające wrażenie, ponieważ z bliska słyszeliśmy salwy, a przez okno widzieliśmy rozpacz malującą się na twarzach przechodniów. Wszystkie sąsiednie ulice były w tym czasie oblężone przez niemiecką policję, wszystkich przechodniów zatrzymywano, legitymowano i rewidowano. Znów popadliśmy w depresję. Przechodziliśmy takie depresje często. Tym razem jednak była ona silniejsza, gdyż ostatnimi wypadkami przejął się tak samo nasz gospodarz pan Dobrowolski, tak że trudno go było w jakikolwiek sposób uspokoić. Całymi dniami chodził blady i przygnębiony, a jego stan psychiczny wpływał na nas ujemnie. Był bowiem zawsze pogodny i pełen nadziei, co nas podtrzymywało na duchu. Gdy wracał z biura do domu, obserwowaliśmy często, w jakim jest humorze, a gdy był inny niż zwykle, niepokoiło nas to i staraliśmy się dowiedzieć, czy nie cierpi przez nas.

Obawialiśmy się, czy nie ma nas dosyć, ale ten człowiek nigdy nam tego nie wyjawił. Na pewno nieraz o tym myślał, ale był tak wielkoduszny i tak nam współczuł, że nie chciał ze swej strony robić nam przykrości. Często, gdy był w ponurym nastroju, wychodził z domu, aby nam tego nie pokazać. Codziennie studiowaliśmy dokładnie sytuację na froncie, nerwy nasze były w napięciu, ponieważ przez cztery miesiące armia rosyjska nie posuwała się naprzód (od sierpnia 1944 do 12 stycznia 1945). Powodzenia aliantów na froncie zachodnim cieszyły nas wpraw-

[559] Mowa o Sonderaktion Krakau, niemieckiej akcji pacyfikacyjnej skierowanej przeciwko polskim uczonym przeprowadzonej 6 listopada 1939 roku.

dzie bardzo, ale wiedzieliśmy dobrze, że może nas uratować tylko armia radziecka.

W listopadzie 1944 roku doszły do nas wiadomości, że będziemy musieli jeszcze zimować z Niemcami. Wtedy załamaliśmy się, mówiąc, że do wiosny nerwy nasze na pewno nie wytrzymają. Obliczyliśmy, na ile miesięcy starczy nam utrzymania.

Po świętach Bożego Narodzenia wyszło rozporządzenie GG, że mężczyźni do lat sześćdziesięciu muszą się rejestrować w Arbeitsamcie i we wszystkich domach miasta Krakowa odbędą się ścisłe kontrole. Nie sypialiśmy po nocach, rozmyślając, gdzie i jak się ukryć. Przyszedł nowy rok 1945. Byliśmy pełni nadziei, że przyniesie nam wyzwolenie. Jakiś głos wewnętrzny nam mówił, że jeśli przetrwaliśmy sześć długich lat męki, to jeśli nam jakiś fatalny przypadek nie zaszkodzi, dożyjemy do końca wojny. Jak porażenie prądem elektrycznym podziałała na nas wiadomość z 13 stycznia 1945 roku, że poprzedniego dnia armia radziecka przeprowadziła ofensywę na froncie wschodnim. Nie wierzyliśmy, bo nieraz docierały do nas takie wiadomości, a później okazywały się nieprawdziwe. Następnego dnia jednak komunikaty niemieckie to potwierdziły. Nie da się opisać, jak dziwne wrażenie ta wiadomość na nas wywarła. Jak czytałem w prasie komunikat i tych parę słów zwiastowało mi ratunek. Przez okna widzieliśmy Niemki ładujące zrabowane rzeczy na auto, uciekające w chaosie. Żegnając się, płakały głośno i wołały: „Aufwiederseien"[560]. Polacy przechodzący ulicą przypatrywali się teraz wyniośle i dumnie, mężczyźni, którzy stosownie do rozporządzenia GG zgłosili się w Arbeitsamcie, wrócili na zarządzenie władz niemieckich.

Coraz lepsze wiadomości przychodziły z frontu i z miasta o ucieczce Niemców. Jeszcze w styczniu 1945 roku, dzień przed wkroczeniem armii rosyjskiej, wydano „Krakauer Zeitung" i czytaliśmy ostatnie wiadomości. Radość nasza nie miała granic. Błagałem wszystkich, by w dalszym ciągu starali się zachować spokój, bo te chwile są dla nas najgroźniejsze. Dochodziły nas bowiem wiadomości, że Niemcy postanowili bronić Krakowa do upadłego. O dwunastej w południe rozpoczęli wysadzanie mostów i obiektów wojskowych. Po południu Rosjanie bombardowali Kraków. Armaty artyleryjskie z frontu zbliżały się coraz bardziej, a nocą zupełnie zamilkły. Zorientowaliśmy się, że Niemcy uciekli, ale to było dla nas wprost nie do wiary. Czuliśmy się jak ludzie chromi, obudzeni z letargu, nieświadomi, co się dzieje.

18 stycznia 1945 rano o szóstej otrzymaliśmy pierwszą wiadomość o wkroczeniu Rosjan do Krakowa. Byliśmy za bardzo wyczerpani i za wiele przeżyliśmy, by móc w danej chwili odpowiednio reagować. Przez okno widziałem czołgi rosyjskie, błyskawicznie przesuwające się na zachód, zdawało mi się wówczas, że widzę to wszystko na ekranie. Starałem się oprzytomnieć, widziałem „naszą rodzinę" – osiem osób – płaczącą z radości, ale jeszcze ciągle nie mogłem tego wszystkiego pojąć. Wyszedłem na ulicę i wchłaniałem w siebie ostre zimowe powietrze, które mnie odurzało. Na jezdni przy ul. Basztowej widziałem trupy Niemców i dopiero wtedy uwierzyłem, że jestem wolnym człowiekiem, bo wszystko jest poza mną. Nasi śmiertelni wrogowie leżeli unieszkodliwieni ze związanymi rękoma, bezsilni. Zdawało się, że mieli zamiar powiedzieć: „Niestety zabrakło nam już siły do wymordowania wszystkich Żydów". W myślach odpowiadałem im: „Tak, niechaj giną".

[560] Właśc. *Auf Wiedersehen* – niem. „do widzenia".



Celina Sobel wraz z Amalią i Zygmuntem Gelbandami, około 1947 roku

ZEZNANIE ZŁOŻONE PRZED WOJEWÓDZKĄ ŻYDOWSKĄ KOMISJĄ HISTORYCZNĄ W ŁODZI 7 WRZEŚNIA 1945 ROKU

Zygmunt Gelband

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/776. Zygmunt Gelband, Gelbaus (ur. 29 czerwca 1930 roku w Chorzowie). Z karty tytułowej protokołu: „Kraków – Lwów – Wieliczka, getta. Opis tułaczki trzynastoletniego chłopca z matką i siostrą. Getto w Krakowie, krótki pobyt we Lwowie, znów Kraków i aresztowanie matki. Więzienie na Montelupich. Śmierć matki. Praca ponad siły na wsi bez zapłaty. Po wyzwoleniu – Dom Dziecka w Chorzowie, ul. Długa 38".

Tatuś dwa miesiące przed wojną wyjechał do Brazylii.

Mieszkaliśmy z mamusią i siostrą w Krakowie. Gdy wybuchła wojna, uciekliśmy furami do Lwowa. Mówili, że w Gubernatorstwie jest lepiej niż we Lwowie i mamusia z siostrą przeszmuglowały się. Ja byłem chory i zostałem u cioci. Mamusia pisała, żeby ciocia mnie przysłała. Ciocia po długich staraniach przez konsulat niemiecki we Lwowie dostała pozwolenie i pojechaliśmy legalnie do Krakowa. Razem z mamusią przeprowadziliśmy się do Wieliczki.

WIELICZKA

Było bardzo dobrze. Było dużo Żydów. Zrobiono warsztaty. Mamusia tam pracowała i dostała też taką legitymację, że pracujących nie wolno wysiedlać. Tak wtedy mówili.

W krótkim czasie przyszło wysiedlenie.

Wszyscy mówili, że nie będzie *Judenrein*, więc myśmy się schowali na poddaszu szopy. Dużo ludzi się chowało. Tymczasem Wieliczka stała się *Judenrein*. Przeżyliśmy – mamusia, siostra, ciotka, dwie kuzynki – dwa

dni w tej szopie, dłużej nie można było. Nasz dawny gospodarz podawał nam jedzenie, ale wygadał się przed właścicielem domu i ten powiedział nam, żebyśmy uciekali, bo jak nie, będzie z nami źle. Przebraliśmy się za wieśniaków i tyłem przez sady uciekliśmy. Za nami znajomi z tego domu wołali: „Żydzi uciekają!", ale myśmy sobie z tego nic nie robili[561].

Koło Bieżanowa złapali nas chłopi – zakładnicy – wyznaczeni przez sołtysa do pilnowania, aby Żydzi nie uciekali. Musieliśmy się opłacić. Pokazali nam drogę na Kraków. Ale my poszliśmy do znajomego Polaka w Bieżanowie, bo byliśmy zakurzeni, u niego się umyliśmy. Szliśmy z Bieżanowa do Wieliczki pół dnia, a droga zazwyczaj trwa pół godziny, ale tyleśmy okrążali. Ten Polak nas odprowadził do Krakowa.

ARESZTOWANIE MATKI

W Krakowie poszliśmy do kuzynki, mieszkała w mieście. Zostaliśmy u niej dzień, a mamusia i ciocia chodziły po mieście, bo chciały załatwić aryjskie papiery. Na trzeci dzień jak poszły, to już więcej nie wróciły. Potem, jak już byliśmy w getcie, przyszła kartka z Montelupich[562], żeby im przysłać rzeczy. Trzy razy je posyłaliśmy. Staraliśmy się z kuzynkami, żeby mamusię i ciocię wyciągnąć za pieniądze, ale się nie dało. Drugim transportem z Krakowa przy wysiedleniu wysłano więźniów z Montelupich. Jak mamusia nie wróciła, to na drugi dzień poszliśmy do getta. Najpierw poszliśmy do znajomej Niemki, a ona przedstawiła nas jednemu Żydowi, który zaprowadził nas do getta. W getcie byliśmy u cioci. Potem wujciu zabrał mnie do obozu w Prokocimiu.

W obozie było dość dobrze. Mnie do roboty nie chcieli zapisać. Jak kontrola niemiecka przychodziła rano, to wychodziłem do roboty ze starszymi, jak przychodzili podczas dnia – chowałem się pod łóżko. Było nas dwóch chłopców. Po miesiącu firma wujcia przeniosła się do Bieżanowa.

Na początku było bardzo dobrze. Baraki były bardzo czyste. Było ogrodzenie, ale na bramie był tylko jeden Banschultz[563] i mogłem wchodzić i wychodzić przez szpary, kiedy chciałem. Spać tam jednak nie mogłem. Wieczorem i rano Niemcy liczyli. Jak się ściemniało, wychodziłem do Wieliczki, chodziłem co dzień z inną wymówką, codziennie do innego znajomego Polaka i tak noc przespałem. O świcie wracałem do lagru.

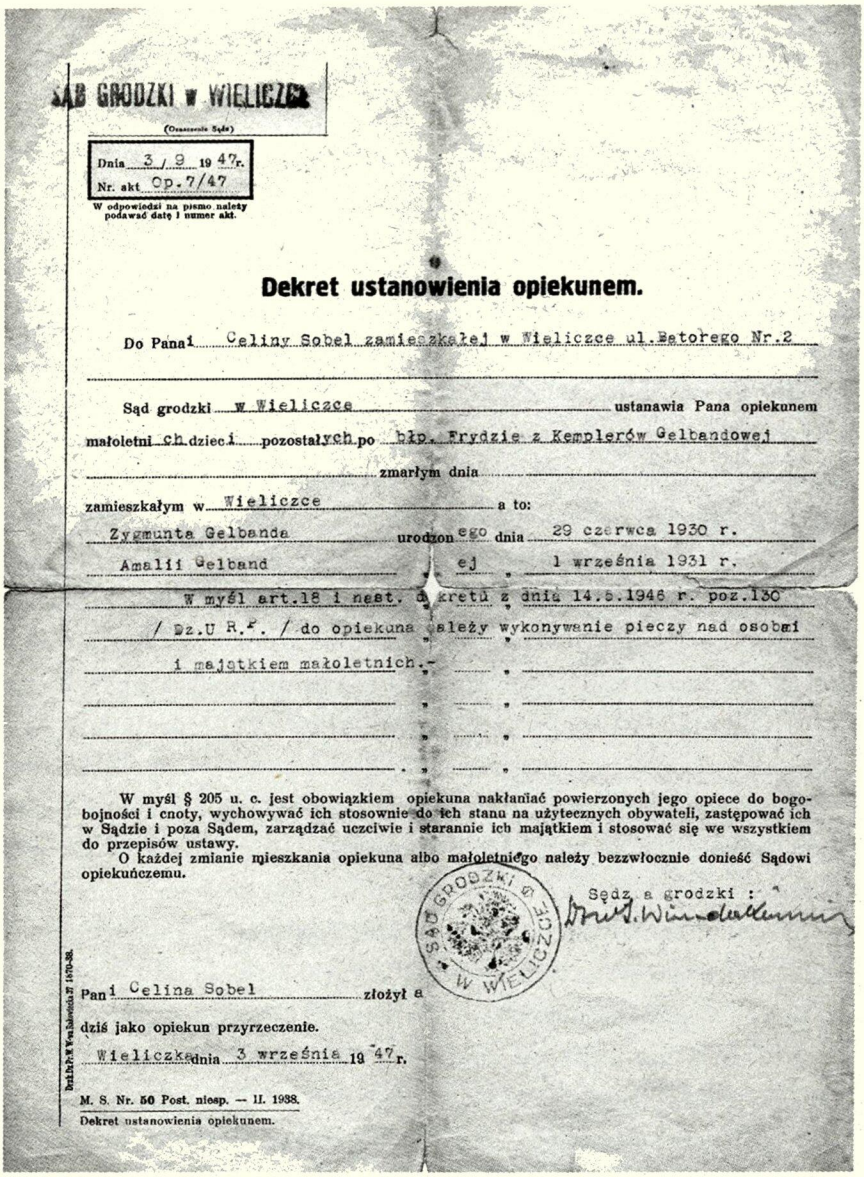
Jak przyszło wysiedlenie, moja siostra [Amalia – przyp. red.] (dwanaście lat) i duże kuzynki (piętnaście i dziesięć lat) uciekły przez druty i przyszły do Bieżanowa. Wujcio ulokował wszystkie trzy u jednej Polki i płacił za nie, tylko pierwszą noc musiały spędzić w polu, na to nie było rady. Ta Polka trzymała je miesiąc, potem starszą wujcio wziął do lagru i zapisał na pracę, a dwie młodsze ulokował w Wieliczce.

Wyszło zarządzenie Müllera z Płaszowa, że dzieciom nie wolno być w lagrze. Za dnia też pilnowano. Przychodziłem rano do wujcia do Bieżanowa i jeździłem do Krakowa. Kuzyn pracował w lagrze w Dąbiu. Skakałem do niego przez parkan. Raz przyjechałem z Krakowa do Bieżanowa i jedna Polka, która mnie znała, pani Kucharska, wzięła mnie, mieszkała przy Jagłowej. Wzięła mnie za rękę i powiedziała, że pój-

[561] O Amalii i Zygmuncie Gelbandach zob. też: J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 230–231, 366–368.

[562] Na ul. Montelupich w Krakowie mieściło się hitlerowskie więzienie policyjne.

[563] Właśc. Bahnschutz – formacja mająca za zadanie ochraniać kolej i jej szlaki.



SĄD GRODZKI w WIELICZCE
(Oznaczenie Sądu)

Dnia 3 / 9 1947 r.
Nr. akt Op. 7/47

W odpowiedzi na pismo należy podawać datę i numer akt.

Dekret ustanowienia opiekunem.

Do Pana i Celiny Sobel zamieszkałej w Wieliczce ul. Batorego Nr. 2

Sąd grodzki w Wieliczce ustanawia Pana opiekunem małoletni ch dzieci pozostałych po błp. Frydzie z Kemplerów Gelbandowej zmarłym dnia

zamieszkałym w Wieliczce a to:

Zygmunta Gelbanda urodzon ego dnia 29 czerwca 1930 r.
Amalii Gelband ej 1 września 1931 r.

W myśl art. 18 i nast. dekretu z dnia 14.6.1946 r. poz. 180 / Dz. U R. P. / do opiekuna należy wykonywanie pieczy nad osobami i majątkiem małoletnich.-

W myśl § 205 u. c. jest obowiązkiem opiekuna nakłaniać powierzonych jego opiece do bogobojności i cnoty, wychowywać ich stosownie do ich stanu na użytecznych obywateli, zastępować ich w Sądzie i poza Sądem, zarządzać uczciwie i starannie ich majątkiem i stosować się we wszystkiem do przepisów ustawy.

O każdej zmianie mieszkania opiekuna albo małoletniego należy bezzwłocznie donieść Sądowi opiekuńczemu.

SĄD GRODZKI W WIELICZCE

Sędzia grodzki :

Pani Celina Sobel złożyła a dziś jako opiekun przyrzeczenie.

Wieliczka dnia 3 września 1947 r.

M. S. Nr. 50 Post. niesp. — II. 1938.
Dekret ustanowienia opiekunem.

Dekret ustanowienia Celiny Sobel opiekunem Zygmunta i Amalii Gelbandów, 1947 rok

dzie ze mną do lagru i zaprowadziła mnie do Bachnschutzpolizei[564]. Przez okna zawołała: „Das ist ein jüdischer"[565]. Wtedy ja chciałem się wyrwać, ale ona złapała mnie za kołnierz. Spisali ze mną protokół, musiałem podać prawdę, bo ona świadczyła, że mnie zna. Zaprowadzili mnie na polską policję do Prokocimia. Dobrze, że na policję, a nie do lagru, bo w lagrze by mnie zastrzelili. Czekałem na komendanta do dziewiątej wieczór. Komendant był na pogrzebie. Zameldowano mu, że mnie przyprowadzono. Zapytał mnie, skąd jestem, powiedziałem, że z lagru z Bieżanowa. Kazał odprowadzić mnie tam. Na drugi dzień policjant odprowadził mnie do doktora Lipszyca, Lagerkapo[566] w Bieżanowie. Doktor Lipszyc tym razem mnie przyjął (na początku mówił, że jestem za mały). Od tego czasu mogłem już mieszkać w lagrze. Co doktor Lipszyc chciał, na to się Niemcy godzili, bo go lubili. Ale na końcu jak wszystkich Żydów wywieźli do Skarżyska, a Lipszyc został, bo myślał, że będzie mógł z nimi gospodarzyć, kazali mu chwytać gęsi i Oberlagerführer Ritschek kazał Ukraińcom go zastrzelić. Zakopali go na gnoju. Oberlagerführer Linner był ludzki, on by nie zastrzelił człowieka. Kühnlein w obozie w Prokocimiu codziennie strzelał do ludzi.

Byłem w lagrze od miesiąca, gdy przyszedł nowy Lagerführer Ritschek. Na początku co dzień kazał nam przywozić jedzenie, sam co dzień za tym jechał. Jednego dnia przyjechał Goth[567] i zarządził *Lagersperre*[568] na dwa dni. Nie można było nic kupić. Spodziewaliśmy się wysiedlenia, ale nic się nie stało, tylko jednego człowieka zabili. Za co, nie pamiętam.

Przy drugiej *Lagersperre* po tygodniu był taki ruch, Lipszyc gonił, zwołał wszystkich odmanów[569]. Baliśmy się, co będzie z dziećmi, bo mieli przenieść firmę, i ja zwiałem do Wieliczki. Przysłana była też moja młodsza kuzynka Judith Zierer i ona ze mną uciekła. Poszliśmy do różnych gospodarzy, ale nie chcieli nas trzymać. Na drugi dzień wróciła do lagru. Słyszałem, że ją później wywieźli na Jerozolimską[570] i tam ich wykończyli.

Ja poszedłem na służbę do Prus pod Kocmyrzów. Powiedziałem, że jestem wygnaniec z Poznania i uwierzyli mi, chociaż nie miałem żadnych papierów. Miałem bardzo ciężką robotę, pilnowałem około pięciu krów, trzech cieląt, czterech koni i piętnastu świń. Trzeba było wszystkim dawać jeść i czyścić. W zimie musiałem także młócić na maszynie i w lecie robić w polu. Miałem wtedy trzynaście lat. Jeść dawali mi dobrze. W zimie spałem w stajni końskiej na słomie, a w lecie w stodole. I tak przesiedziałem tam do końca wojny. Do kościoła nie mogłem chodzić, bo nie miałem ubrania. Musiałem uciec, bo gospodarz nie chciał mnie puścić. Wygnałem krowy, uciekłem. Poszedłem do mojej siostry, która też służyła u jednego chłopa. Powiedzieliśmy, że nasz ojciec przyjechał i że idziemy do niego. Gospodarze byli winni siostrze siedemset złotych, a mnie nie zapłacili.

---

564 Właśc. Bahnschutzpolizei, zob. przyp. 563.

565 Właśc. *Das ist ein Jude* – niem. „To jest Żyd".

566 W hitlerowskich obozach koncentracyjnych więzień pełniący funkcję dozorcy innych więźniów.

567 Właśc. Göth.

568 Zakaz opuszczania baraków.

569 Odmani lub policja żydowska – potoczne określenie Żydowskiej Służby Porządkowej (Jüdischer Ordungsdienst).

570 Prawdopodobnie mowa o terenie podgórskiego cmentarza żydowskiego w Krakowie przy ul. Jerozolimskiej 25, na którym założono obóz koncentracyjny Plaszow.

AUTOPORTRET Z PAMIĘCI

Henryk Vogler

Tekst pochodzi z: H. Vogler, *Autoportret z pamięci*, t. II, Kraków 1979, s. 159–179, 214–215.

Domek jednorodzinny w Wieliczce przy ul. Kopernika 14, w którym po utworzeniu getta w Krakowie i po śmierci męża zamieszkała Ella Freyowa, należał do rodziny Kursów. Antoni Kursa był przed wojną sędzią grodzkim w Krakowie i z tej racji zetknąłem się z nim wtedy parokrotnie. Jego żona pracowała jako nauczycielka. Mieli wtedy dwóch synów, mniej więcej w wieku piętnastu i szesnastu lat. Kursa i jego żona byli na pewno inteligentami w pierwszym pokoleniu. Rozważna powolność sędziego, jego toporne nieco ruchy, a zarazem jego godność i – jak to określił Wyspiański – wzięcie wskazywały na pochodzenie chłopskie.

Ich domek, jak zresztą i inne pobliskie, stanowił coś pośredniego między chatą wiejską a podmiejską willą. Ale bielone ściany, szeroki przedsionek, który przecinał wnętrze w poprzek od drogi głównej zwanej ulicą i do sadu na tyłach – miały w sobie więcej z podkrakowskiej wsi. Po jednej stronie owego przedsionka znajdował się obszerny pokój, chciałoby się powiedzieć – izba, umeblowany i przystrojony z uroczystą chłopską, ale i mieszczańską odświętnością. Pełnił funkcję czegoś w rodzaju salonu czy pokoju przyjęć. Z drugiej strony przedsionka wiodły drzwi do innych pokoi użytkowanych już normalnie. Jeden z nich właśnie, wraz z umeblowaniem, podnajęli Kursowie Freyowej. Był to po-

kój niezbyt szeroki, ale dość długi, z jednym oknem wychodzącym na wspomnianą ulicę. Jego urządzenie odznaczało się wygodami typowymi dla wnętrz mieszkalnych drobnej burżuazji lub średnich warstw urzędniczych.

Wspominam o tym głównie dlatego, że natychmiast po wejściu do tego pokoju po raz pierwszy owionęło mnie tchnienie czegoś, co w obiegowych zwrotach zwykło się nazywać domowym ciepłem, a co w przedwojennych czasach związane było z klimatem rodzinności. Być może sama osobowość siwej pani Freyowej, tak umiejętnie w dawnych latach pielęgnującej ową atmosferę, potrafiła również tutaj, w zredukowanych do szczątkowych wymiarach, przyczynić się do odbudowania przynajmniej jej złudzenia. Faktem jest, że od tego dnia marcowego przez kolejne pięć miesięcy (ten rozdział mego życia miał trwać do końcowych dni sierpnia 1942 roku), podczas wszystkich wypadków, które następowały, istniało tu dla mnie coś w rodzaju domu, także w znaczeniu symbolicznym.

Nie chciałbym jednak umniejszać roli, jaką w wywołaniu takiej atmosfery odegrała rodzina Kursów. Miesięczny czynsz najmu ustalony został na dość dużą sumę. Freyowa pokrywała go – podobnie jak pozostałe koszty naszego wspólnego utrzymania – z wyprzedaży kosztowności i innych walorów, które zdołała jeszcze zachować. Tak zresztą działo się w bardzo wielu innych domach w Wieliczce. Napływ rodzin uchodzących z Krakowa, aby uniknąć zamknięcia w getcie, był tak masowy, że liczba mieszkańców Wieliczki niemal się podwoiła. Temperatura, oblicze i rytm życia miasteczka uległy gwałtownemu przeobrażeniu, można by nawet powiedzieć, jakiemuś nerwowemu wykrzywieniu. Tubylcza ludność korzystała z tego finansowo.

Ale na pewno nie to tylko było przyczyną gotowości, z jaką przyjmowano obcych przybyszów i ofiarowywano im schronienie. Kryło się w tym również współczucie, instynkt wspólnoty łączącej mieszkańców jednej ziemi, przeświadczenie, że to, co dziś jest udziałem jednych, może wkrótce stać się losem drugich. A obok tego zapewne rachuba, że kataklizm, który wstrząsnął tak zasadniczo organizmem miasta, nie potrwa długo i niebawem wszystko wróci do dawnych układów. Rzeczywiście nastąpiło to po jakimś czasie, ale nie sądzę, aby spodziewano się, że stanie się to w takiej właśnie formie.

Kursowie, jak cała Wieliczka, korzystali materialnie z tej nowej sytuacji, chociaż wynajmując pokój, nie przypuszczali, że obok jednej starej lokatorki wejdzie później do ich mieszkania jeszcze czworo nowych. Tu właśnie ujawnił się charakter i postawa rodu Kursów. Być może przyczyniła się do tego znajomość pomiędzy sędzią a dawnym aplikantem adwokackim. Ale jest to raczej wątpliwe, gdyż kontakt nasz przed wojną był powierzchowny i tylko urzędowy, dystans, jaki istniał między tymi dwiema funkcjami, był znaczny. Bądź co bądź wyczuwało się w stosunku gospodarzy do wynajmujących pewną delikatność. Kursowie obchodzili się z nami z troskliwą, prawie czułą ostrożnością, niby z zabytkową, kruchą porcelaną, której w każdej chwili grozi stłuczenie. Ciekawe, że nie dawało nam to wtedy do myślenia. W każdym razie było dodatkowym współczynnikiem, który składał się na ciepłą, domową atmosferę towarzyszącą naszemu pobytowi przy ul. Kopernika 14.

Przeskok więc od warunków ostatnich miesięcy lwowskich do tego, co zastaliśmy w Wieliczce, był tak niezwykły, że przez jakiś czas trudno się było oprzeć upartemu wrażeniu, iż następuje zasadnicza zmiana. Oczywiście nie przestawało mi towarzyszyć uczucie

osamotnienia, odizolowania, wyłączenia z naturalnego rytmu spraw świata, wynikające z marginesu, na jaki zostałem zepchnięty. Ale jednak w pewnym sensie był to istotnie powrót. Znajdowałem się wśród swoich. Codziennie czekały śniadania, obiady i kolacje przyrządzane z pomocą córek złotą rączką starej Freyowej i podawane regularnie na stół przykrywany białym obrusem, w rodowym serwisie, jeszcze z czasów familijnej świetności. Siwa matrona zdawała się niewytrącona z równowagi przebiegiem wydarzeń i prowadziła gospodarstwo domowe z niezmienną rutyną i ceremonialnością, modyfikując je i upraszczając tylko w tym samym stopniu, w jakim działo się to zawsze w okresie letnich wiejskich wakacji. Zakupy, codzienna aprowizacja i inne zabiegi gospodarcze niewiele różniły się od tego rodzaju czynności przed wojną. Również i tutaj istniała pozornie tylko taka różnica, jaka istnieje w ogóle między życiem w wielkim mieście a w miasteczku czy na wsi. Tak więc pierwsze dni po przyjeździe mogły wyglądać na wypoczynek po minionych dramatycznych przejściach. Wojna oddaliła się znowu, była już teraz bardzo daleko, kiedyś przecież musi się skończyć. Czyżby miejsce, do którego dotarliśmy, i istniejące tu warunki miały wskazywać, że takie zakończenie się zbliża?

Lecz wkrótce nie było żadnych wątpliwości, jaki jest prawdziwy stan rzeczy. Obraz Wieliczki przybierał właściwie realistyczne kontury, miasto ujawniało swój charakter, inny niż ten, który miało przed wojną. Zwielokrotniona liczba mieszkańców zmieniła jego pejzaż nie tylko poprzez typowe sylwetki ortodoksyjnych Żydów, bardzo wielu w długich, czarnych chałatach, z brodami i długimi, kręcącymi się za uszy włosami. Ostatecznie ich procent był już przed wojną znaczny, stanowili zawsze charakterystyczny, malowniczy, organicznie związany z polską rzeczywistością szczegół panoramy. Zmiana polegała na tym, że podniecony, nerwowy ruch tej części ludności nadawał życiu miejskiemu gorączkowy rytm. Tym bardziej, że odbywał się jakby w kółko, w ścieśnionych, zamkniętych granicach.

Bowiem już nazajutrz po przybyciu dowiedziałem się, że i tutaj nie przestały bynajmniej działać prawa hitlerowskiej okupacji. Obowiązywał nakaz noszenia opaski z gwiazdą. Ale sprawa przede wszystkim w tym, że swobodny ruch ludzi z takim znakiem mógł odbywać się wyłącznie w sposób ściśle określony. Pewne ulice były dla mieszkańców żydowskich zamknięte, inne posiadały miejsca i przejścia specjalnie na ich użytek wydzielone. Trudno było powiedzieć, jakie były przyczyny takich zarządzeń: czy chodziło o ochronę przed Żydami szczególnie cennych punktów w mieście, czy o zredukowanie do minimum możliwości stykania się Aryjczyków z nie-Aryjczykami, czy wreszcie o zwykłe szykany. W każdym razie zarządzenie to było skrupulatnie przestrzegane i to przy pomocy żydowskiej straży porządkowej, o której jeszcze wspomnę.

Poza tym cały ruch ludności żydowskiej ograniczony został jedynie i ściśle do terytorium objętego administracyjnymi granicami miejscowości. Przedwojenne jeszcze granice Wieliczki sięgały ku okolicznym wsiom, przecinały łyse na razie zagony, biegły miedzami łąk i skrajem gęstego lasu. W praktyce były to granice niezauważalne, wykreśliła je fantazja kartografa. Pozostawały tylko abstrakcją, nikt z normalnych ludzi nie myślał nigdy, że zbliża się do nich lub je przekracza. Tak, ale ludzi z opaską nie można było uznać za w pełni normalnych. Zważali oni bardzo pilnie na miejsca, gdzie zgodnie z mapką terenu kończyła się Wieliczka. Albowiem za przekroczenie przez nich tej linii władze wyznaczyły karę śmierci.

Już po krótkim czasie zacząłem się orientować w organizacji tej władzy. Gospodarcze i towarzyskie centrum stanowił, jak we wszystkich tego rodzaju małych miejscowościach, Rynek, którego konfiguracja w terenie była dość wyjątkowa: zbudowany na pochyłości stoku, obniżał się wyraźnie od strony ul. Kopernika. W jednej z narożnych kamienic znajdowała się siedziba niemieckiej policji, Schupo czy też Sipo. W jej pobliżu widywało się też zawsze tęgich Niemców w czarno-zielonych mundurach. Mieli dobroduszne fizjonomie, zaspane, flegmatyczne ruchy i pilnowali porządku jak gdyby od niechcenia.

Opodal mieścił się posterunek polskiej policji. Ci policjanci nosili mundury granatowe, takie same jak przed wojną, i zewnętrznie różnili się od tej formacji z czasów niepodległego państwa tylko brakiem orzełka na czapkach. Ich sytuacja była dość niewyraźna, stosunek do miejscowej ludności dwuznaczny. Posiadając nadal pewne uprawnienia władz bezpieczeństwa, łącznie z noszeniem broni, i stosując w związku z tym rozmaite środki przymusu, starali się sposobem zachowania dawać niemal do zrozumienia, jakoby w istocie rzeczy byli sprzymierzeńcami. Zachowywali się trochę jak aktorzy, którzy recytują z powagą patetyczny tekst, a jednocześnie puszczają oko do widzów, chcąc w ten sposób zaznaczyć, że rolę swą odgrywają jedynie z konieczności, prywatnie zaś reprezentują zupełnie inny pogląd. Ale trupy, które padały na tej scenie, były rzeczywiste.

W bocznej, wąskiej uliczce schodzącej po wspomnianej pochyłości od Rynku w dół, a noszącej tajemniczą nazwę Seraf, ulokowana została siedziba władz gminy żydowskiej. Instytucja owa mieściła się tam już przed wojną, gdyż od wieków spory odsetek obywateli Wieliczki stanowili Żydzi. Ale z chwilą napływu fali imigrantów funkcje i zakres działania tej gminy wzrosły niepomiernie. Powstała pełna struktura i hierarchia władzy, nawet z własną służbą policyjną, o której wspominałem, noszącą nazwę Ordnungsdienst. W okolicach budynku gminy i w samym jej wnętrzu tłoczyły się zawsze tłumy. Należący do niej wierzyli, że jej urzędnicy posiadają władzę dostateczną do decydowania o ich losach. Istotnie skupiali oni w swoich rękach dość szeroki zakres uprawnień. Wiele decyzji podejmowanych było z polecenia i w porozumieniu z panującymi władzami niemieckimi, z którymi w związku z tym co ważniejsi dygnitarze gminy wchodzili w osobiste kontakty. Nie pozostawało to bez wpływu na prywatne dochody jednej i drugiej strony.

W takim systemie trójwładzy życie w Wieliczce nie odbiegało na zewnątrz swoim charakterem od przedwojennego. Dwa razy w tygodniu odbywał się na Rynku wielickim targ, na którym zaopatrywano się w najrozmaitsze produkty, zarówno miejscowe, jak i zwożone z najbliższych okolic. Liczne sklepy dostarczały mieszkańcom towarów z pomysłowością godną czasów, w których handel stanowił podstawowy element życia gospodarczego. Wynalazczość kupiecka na usługach klientów dochodziła do tego, że wymyślano nawet nowe rodzaje żydowskich opasek, trwalsze i szykowniejsze niż dotychczasowe płócienne. Zaspokajano w ten sposób nie tylko potrzeby użytkowe, ale i estetyczne.

Rozwarstwienie klasowe istniało na tym małym terenie w takich samych proporcjach, choć w mniejszej skali, jak w każdej innej społeczności z okresu kapitalizmu. Prywatne wielkie przedsiębiorstwa i zakłady przemysłowe polskich właścicieli funkcjonowały na ogół nadal bez większych przeszkód ze strony okupantów, a może nawet pod ich życzliwym protektoratem. Co ciekawsze, także zasiedziałe od pokoleń

w Wieliczce rody mieszczańskiej plutokracji żydowskiej, Friedmanów czy Frenklów, nie utraciły swej roli i znaczenia. Proletariat i drobnomieszczaństwo żydowskie wymawiały z nabożną prawie czcią imię i nazwisko Bronki Friedman[571], która, jak powiadano, pozostawała w przyjacielskiej niemal zażyłości z Kreishauptmannem, komisarzem niemieckim wyznaczonym na teren Wieliczki, i dzięki temu potrafiła w wielu groźnych sytuacjach interweniować z powodzeniem na rzecz swoich współwyznawców.

Owego komisarza, szefa cywilnej administracji hitlerowskiej dystryktu, widziałem raz tylko z daleka i nazwiska jego nie pamiętam. Mały, krągły, starannie ubrany, sprawiał sympatyczne wrażenie i słyszało się o nim wśród mieszkańców Wieliczki jako o Niemcu, który wyświadczać miał wiele dobrego szukającym pomocy przedstawicielom podbitej społeczności. Z jego inicjatywy w miasteczku zostały założone warsztaty rzemieślnicze, krawieckie, stolarskie i innych branż, w których Żydzi i Żydówki znajdowali zatrudnienie. Zaświadczenie pracy pochodzące stamtąd dawało zabezpieczenie przed ewentualnymi akcjami przymusowymi, tym bardziej że warsztaty pracowały częściowo dla potrzeb wojskowych. Toteż uzyskanie w nich pracy było szczytem marzeń ogromnej liczby przybyszów. Ale nie było to rzeczą łatwą i trzeba było w tym celu niejednokrotnie korzystać z protekcji wspomnianej pani Friedman, która mogła wiele w tym kierunku uzyskać u – oczywiście nie bezinteresownego – komisarza.

Zabiegający o takie czy inne miejsca pracy działali – pomijając konieczności zarobkowe – z przewidującej ostrożności, licząc, że odpowiedni dokument może się okazać bezcenny w przyszłości. Gdyż na razie, jak wynika z tego, co napisałem, nie widziano powodów do jakiegoś szczególniejszego niepokoju. Znów mogło się wydawać, zwłaszcza nam po okresie lwowskim, że uda się w tym zakątku przyczaić i przetrwać. Wrażenie takie umacniało się, kiedy zaczęły napływać wiadomości o akcji w krakowskim getcie. Brak było konkretnych i szczegółowych informacji, ale tu i ówdzie komuś udało się wymknąć, tam jeszcze ktoś w ostatniej chwili zdołał drżącym pismem skreślić parę słów na kartce papieru i w ten sposób można było odtworzyć sobie obraz sytuacji. Nastąpiło wysiedlenie w nieznanym kierunku przeważającej liczby mieszkańców „miasta żydowskiego". Część z nich została wytępiona na miejscu. W getcie pozostała tylko garstka.

Wielu Żydów, którzy poprzednio w krytycznym momencie schronili się na tereny pobliskich wsi i miasteczek, zostawiło w getcie krewnych i członków rodzin. Teraz więc nastał także w Wieliczce czas żałoby. Niezależnie od tego ze smutkiem mieszał się jednak pewien odcień triumfu. A więc mieli rację, nie godząc się na zamknięcie w murach i wybierając zamieszkanie na prowincji! Odgadli, że te mury to więzienie, z którego jedyna droga prowadzi na stracenie. Teraz przeprowadzony został straszliwy dowód prawdziwości ich przewidywań. Oni zaś tutaj zostali uratowani. Znów udało się w ten sposób wygrać na czasie, zbliżono się w ten sposób odrobinę w kierunku wyzwolenia, chociaż wciąż jeszcze było do niego bardzo daleko.

Każdego przedpołudnia z ogromną niecierpliwością czekałem na poranną prasę. Był to jedyny dostępny środek przekazu wobec zakazu posiadania radioodbiorników. Codziennie wyrywaliśmy sobie z Bolkiem egzemplarz „Krakauer Zeitung", gdyż każdy chciał pierwszy zaznajomić się z komunika-

[571] O Bronisławie Friedman zob. także na s. 189–191, 275–277, 529.

tem z frontów. Wojska hitlerowskie wdarły się już na Krym i atakowały Sewastopol, na innym odcinku kontynuując oblężenie Leningradu i Moskwy. Ale w podtekstach sformułowań i w niektórych dyplomatycznych zwrotach kryła się już nadzieja, której szukaliśmy tam gorączkowo, a wściekłość i oburzenie, z jakimi artykuły prasowe piętnowały działalność partyzantów radzieckich, świadczyły lepiej o rozwoju wydarzeń wojennych niż oficjalne meldunki.

Na lektury było teraz dużo czasu. Zbieg okoliczności sprawił, że mogłem im się oddać z dawną młodzieńczą zachłannością. Poszukując jakiegoś zajęcia, co nie było łatwe, choćby z tego powodu, że przybyliśmy na ten teren w czasie, kiedy miejsca mniej więcej bezpieczne były już obsadzone, udało mi się uzyskać chwilowe zatrudnienie przy porządkowaniu i katalogowaniu biblioteki w miejskim ratuszu. Był to ogromny i bogaty księgozbiór, zgromadzony tu, jak przypuszczam, w wyniku wydarzeń wojennych z kilku okolicznych punktów. Panował w nim absolutny nieład, o jakiejkolwiek systematyczności układu nie było mowy.

W takim chaosie dogrzebywałem się wielu skarbów piśmiennictwa. Znaleziska te w sposób istotny wpłynęły na moją ówczesną sytuację. Być może instynktownie zanurzałem się z powrotem w literaturę, aby w niej się ukryć. Codziennie wynosiłem ukradkiem pod marynarką po kilka książek, aby móc je w domu swobodnie czytać i studiować. Pisałem również. Była to na pewno swego rodzaju strusia polityka, ale, jak dziś sądzę, próba obrony i odcięcia się od szaleństwa rzeczywistości.

Mówiąc o tym, wybiegam już trochę naprzód, gdyż szczytowy okres mojej aktywności w tym kierunku przypadł na późną wiosnę i lato. Ale przecież ścisła chronologia nie ma w niniejszym sprawozdaniu większego znaczenia.

Obłożony książkami wychodziłem do sadu, który znajdował się na tyłach domu Kursów. Sad ów był gęsto zarośnięty drzewami owocowymi: jabłoniami, gruszami, śliwami, między nimi ciągnęły się starannie plewione grządki, na których gospodarze hodowali jarzyny. Rosły tam również ogrodowe kwiaty, a że był to czas ich kwitnienia, więc w powietrzu unosiły się odurzające zapachy, a rozmaitość barw cieszyła wzrok. Wynosiłem z domu wygodny leżak i sadowiłem się w nim, obracając go w kierunku słońca, które wznosiło się już bardzo wysoko na bezchmurnym niebie. Dookoła rozlegało się cykanie świerszczy i śpiew ptaków siadających na gałęziach. Prosto przed sobą, za płotem okalającym sad, miałem bujne krzewy, przechodzące dalej w dzikie, zawikłane gąszcze. Wracałem myślą do szczęśliwych lat dziecinnych, kiedy w sposób prawie naturalny wrastało się w przyrodę wiejską. Zachowywałem się tak, jak gdyby powrócił czas wilegiatury[572], udawałem sam przed sobą, że na drodze przed domem nic się nie dzieje, względnie, że nie mam pojęcia, co się tam dzieje.

Byłem zajęty pracą. Wśród mnóstwa książek, które przynosiłem ze sobą, znajdował się komplet dzieł Edgara Allana Poego w przekładach Leśmiana i Wyrzykowskiego. Większość z nich, zwłaszcza wszystkie opowiadania fantastyczne, znałem już dobrze od dawna. Ale teraz zapoznawałem się z całością utworów zebranych, także z poezjami, a przede wszystkim teraz dopiero zacząłem owe teksty skrupulatnie studiować, poddając je metodycznej analizie, jak nauczyłem się tego na Uniwersytecie Lwowskim. W ten

[572] Wilegiatura – przest. letnie mieszkanie, wypoczynek letni na wsi.

sposób powoli odsłaniał się przede mną mechanizm ukryty w organizmie tej zagadkowej twórczości.

[...] Była to, jak wspomniałem, forma eskapizmu lub także dowód, że jedynie sztuka, w tym wypadku literatura, daje możliwość przetworzenia klęski w zwycięstwo, tragedii w triumf. Tej wiosny i tego lata wszystko zmierzało jakby do takiego przetworzenia. Była to kontynuacja prawie narkotycznego oszołomienia, którego doznałem podczas jazdy dorożką do Wieliczki.

Niespodziewanie na tym właśnie planie nastąpiło kolejne spotkanie z Ryśkiem Aptem[573]. Młody Apte dotarł tu ze Lwowa, prawdopodobnie w podobny sposób jak ja i mniej więcej w tym samym czasie. Jego rodzice przybyli wcześniej razem z innymi wychodźcami z Krakowa, ale dzięki posiadanym środkom prowadzili dostatni tryb życia. Zamieszkawszy w obszernym domu, położonym nieco poza centrum Wieliczki, na pagórku, niemal w głębi gęstego lasu, organizowali coś w rodzaju salonu artystycznego, w którym spotykali się zgromadzeni przymusowo w Wieliczce przedstawiciele inteligencji, a mecenas Apte muzykował jak przed wojną.

Uczestniczyłem parę razy w owych zebraniach, ale raczej z grzeczności, nie chcąc odmówić zaproszeniom. Poza tym bowiem nic mnie nie łączyło

[573] Ryszarda Aptego wspomina także Natan Gross, s. 413–416, oraz koleżanka z gimnazjum hebrajskiego w Krakowie, Irena Bronner (w: *Cykady nad Wisłą i Jordanem*, Kraków 1991, s. 122–124): „Gdy przymykam oczy i pogrążając się w przeszłości, wracam do moich szkolnych czasów, to słyszę wywoływane w alfabetycznym porządku nazwiska. Niestety nie pamiętam już wszystkich – zawsze mi kilku brakuje.

Pierwszy w dzienniku naszej klasy był Ryszard Apte, *primus inter pares*. Jeśli się mówi, że wybrańcy bogów umierają młodo, to można to odnieść śmiało do Ryśka błp. Był piękny właśnie jak młody bóg – duże, głębokie, piwno-czarne oczy, kasztanowego koloru włosy, wspaniały zarys brwi, ładnie wykrojone usta, wyjątkowy wdzięk osobisty składały się na uroczą sylwetkę chłopca, za którym dosłownie oglądano się na ulicy. Był synem adwokata dr. Henryka Aptego i znanej działaczki społecznej. Ojciec jego prowadził rubrykę recenzji muzycznych w «Nowym Dzienniku».

Rysiek był naprawdę wszechstronnie uzdolniony, zarówno do humanistycznych, jak i ścisłych przedmiotów. Był dobrym sportowcem, a w międzyszkolnych zawodach strzeleckich zdobył pierwsze miejsce. Pięknie śpiewał, od wczesnego dzieciństwa grał na fortepianie – mówiono o nim, że ma słuch absolutny. Chyba nie było dziedziny, w której by się nie wybijał. Owszem, był zarozumiały, może nawet lekko cyniczny, ale cóż dziwnego w sytuacji, gdy się jest przedmiotem wzdychań kilkuset – nie przesadzam – nastolatek. Pod maską cynizmu kryła się jednak bardzo wrażliwa natura. Nie pamiętam, w którym to roku zaprowadzono naszą klasę do huty szkła na Zabłociu. Widok robotników pracujących w straszliwym upale, którzy dosłownie własnym oddechem formowali różnego kształtu butelki, podtrzymując równocześnie rękami rozgrzaną masę – wywarł na nim tak wstrząsające wrażenie, że dosłownie się rozchorował. Pierwszy raz bowiem zetknął się z nieludzkim wysiłkiem. Ja, wychowana na wsi, widziałam już ludzi, którym pot zalewał oczy, którzy słaniali się na nogach ze zmęczenia. Rysiek był długo pod wrażeniem tego, co zobaczył, napisał piękny wiersz pt. *Gromada zwariowanych Hefajstów* i nawet mi go ofiarował. Jeden z kolegów ze starszej klasy, również bardzo uzdolniony, sparafrazował na cześć Ryśka wiersz – satyrę Zuzanny Ginczanki pt. *Gwiazdy*, w której poetka wyśmiewała niezwykłą popularność, jaką zdobył w świecie generał Franco. Zapamiętałam tylko urywki tej parafrazy:



Kamienica przy ulicy Mikołajskiej 4 w Krakowie z szyldem kancelarii mecenasa Aptego, ojca Ryszarda, lata trzydzieste XX wieku

z uczestnikami tych spotkań. Podobnie było zapewne z Ryśkiem, na którego twarzy – kiedy go tam widywałem – malował się wyraz obojętności i znudzenia. Te zebrania stały się jednak właśnie okazją do naszego bliższego kontaktu.

Rysiek był wciąż tym samym ślicznym, smukłym chłopcem, o delikatnej, przezroczystej cerze i powłóczystym spojrzeniu, tyle że jakby już teraz trochę pogłębionym o odcień gorzkiej dojrzałości. Dotychczasowa wzajemna nasza wymiana spojrzeń, zapoczątkowana jeszcze przed wojną, zdawała się świadczyć o istnieniu bliżej nieokreślonego i niejasnego porozumienia, które teraz zaczynało się realizować. Rysio przychodził czasem do mnie do ogrodu na rozmowy o literaturze. Okazało się, że sam pisze. Ten czas był również dla niego okresem intensywnej twórczości. Wówczas właśnie udostępnił mi w rękopisie tomik swoich wierszy oraz nieukończoną ostatecznie powieść osnutą na tle wydarzeń lwowskich. Jej akcja rozgrywała się w środowisku muzycznym, z którym autor, w okresie radzieckim, był silnie związany.

Siedzi smutny Paderewski,
Je dyniowe białe pestki,
Gdyż przynosi mu antena,
Że dziś Rysiek gra Szopena...

Siedzi smutny Ernest Lubitsch,
Nikt już o nim nie chce mówić,
On już dzisiaj zwykłym zerem,
Dzisiaj Apte – reżyserem.

Siedzi smutny Tuwim Julek,
On już dzisiaj zwykły Srulek,
On już dzisiaj zwykły Żyd,
Bowiem... ale o tym cyt...
Dzisiaj – Rysiek lepsze wiersze pisze...

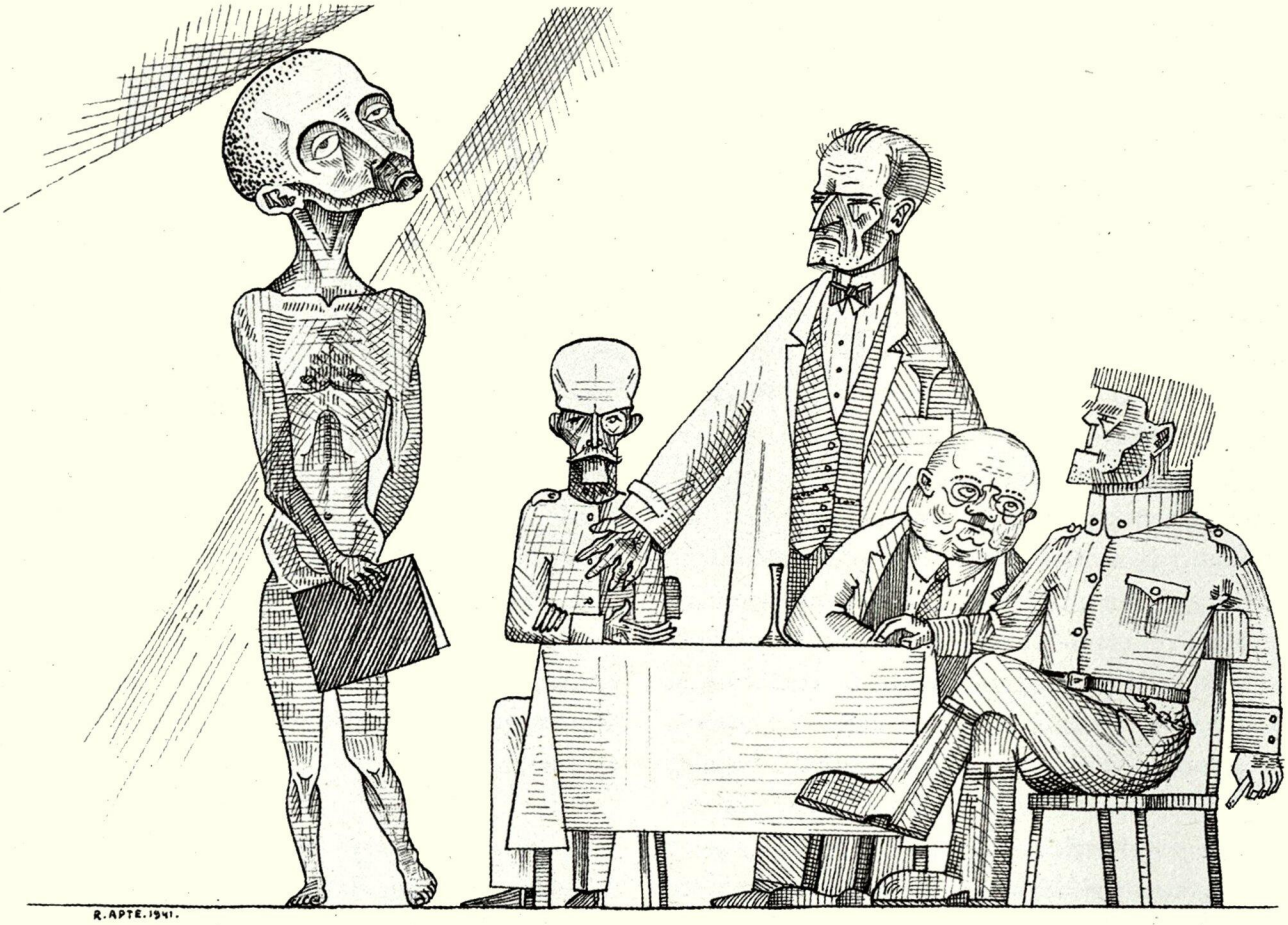
Nie mogę porównywać siebie z nim, ale kiedy w czwartej klasie zaczęliśmy trochę w kilku dziedzinach rywalizować, przyznaję, że był lojalnym konkurentem i koleżeńskim rywalem".

Poezje spisane w zeszycie równymi, wyraźnymi literami zaskakiwały powagą tonu. Miały regularną muzyczność i melancholię poezji Lechonia, w której uczuciowość kontrolowana jest ścisłym rygorem intelektualnym. Były jednak pogłębione tchnieniem śmierci unoszącej się nad tym poetyckim światem, co mogłoby zastanawiać u tak młodego człowieka. Było w tym zapewne trochę mody, która w pewnych epokach każe młodzieńcom epatować trumiennymi obrazami. Lecz tym razem sytuacja uzasadniała to w sposób szczególny.

Kilkanaście wierszy składających się na ów tomik tworzyło pewną całość. Ukazywała ona dziwną, somnambuliczną, na pół kafkowską miejscowość o trochę nierzeczywistej, groźnej, a przy tym urzekającej przyrodzie. Pamiętam dobrze jeden z tych wierszy, *Ulica Czereśniowa*, gdzie tytułowa droga wiodła wśród drzew owocowych o nieznanych kształtach nie wiadomo dokąd. Podczas dyskusji i rozmów z Ryśkiem byłem wstrzemięźliwy w ocenie tej poezji, ale nie ulegało wątpliwości: miało się do czynienia z autentyczną i czystą wrażliwością artystyczną.

Proza była trochę sztywna i brakowało jej dojrzałości, nawet takiej, jaką – w niepełnym przecież jeszcze stopniu – posiadała owa poezja. Odkrywało się w niej dalekie echa wpływów Prousta, co zresztą świadczyło dobrze o autorze. Widoczne one były choćby w intelektualnym i dialektycznym toku zdania, ale także w pewnym wątku tematycznym, jaki wydał mi się szczególnie interesujący. Powieść mówiła o młodych mężczyznach, muzykach, kompozytorach i pianistach, studiujących i działających we Lwowie lat 1939–1941, o problemie sztuki, którą reprezentowali, a która w tym czasie wpływała specyficznie na ich losy i wzajemne odniesienia. Rozpoznawałem poszczególne postacie, choć występowały pod zmyślonymi nazwiskami, wiele z nich znałem jeszcze z przedwojennego Krakowa. I tu zaskoczył mnie Proustowski „temat Charlusa", pojawiający się między męskimi bohaterami powieści. Rzucało to pewne światło na niektóre aspekty zagadnienia sztuki, dwupłciową, sfinksową naturę jej fascynacji, ale przede wszystkim ukazywało mi nagle w nowym świetle postać samego Ryśka Aptego, jego spojrzenie spod opuszczonych rzęs, spojrzenie Tadzia ze *Śmierci w Wenecji*, dreszcz, który mną wstrząsał, kiedy przeszywało mnie to spojrzenie! Rozmowy prowadzone teraz w cieniu zakwitającego ogrodu Kursów dotyczyły najbardziej tajemnych problemów sztuki i życia. Pod drzewami tego ogrodu – jak pod drzewami wiadomości dobrego i złego – odczuwaliśmy dumę. Udawało nam się unosić ponad rzeczywistość, ujarzmiać w ten sposób wrogie zło, które przestawało dla nas obowiązywać. Stawaliśmy się wolni.

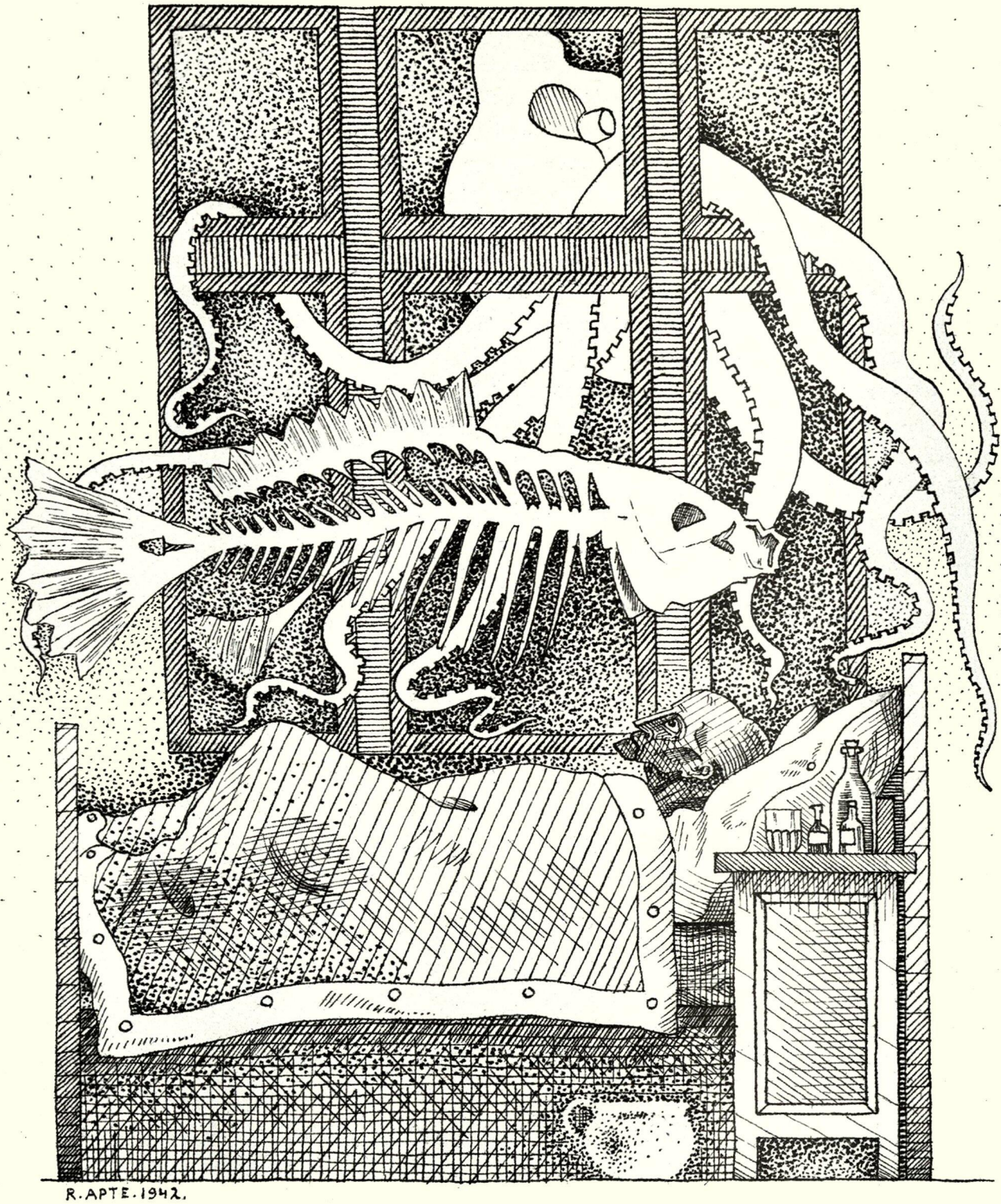
[W obozie w Stalowej Woli – przyp. red.]
Wśród tych ostatnich zapamiętałem jedną [próbę ucieczki z obozu – przyp. red.], ze zrozumiałych powodów. Była nią próba podjęta przez Ryśka Aptego. Nasze drogi skrzyżowały się znowu. Rysiek znalazł się również w transporcie z Wieliczki, choć początkowo, przy tak nieprzeliczonym tłumie zagarniętych, obcych mi przeważnie mężczyzn, rozbieganych po terenie obozu niczym czarne mrówki, nie zdołałem nawiązać z nim kontaktu. Rysiek chodził zresztą do pracy z innym komandem, kiedy wracało się, była już noc i wskutek tego wielu dawnych znajomych lub przyjaciół mogło się z sobą nigdy nie widywać, a nawet nie wiedzieć, że przebywają w jednym obozie. Tylko z Bolkiem trzymałem się wciąż razem, mieszkaliśmy na pobliskich pryczach.



Rysunek autorstwa Ryszarda Aptego z cyklu *Niepokój*
powstałego w latach 1941–1942

Mogłem jedynie przelotnie zaobserwować, że Rysiek Apte miał wtedy nieodłącznego towarzysza, rówieśnika nazwiskiem Greschler. Był to podobno jego krewny czy powinowaty. Zdaje się, że również ów Greschler miał coś wspólnego z muzyką. Znałem w Krakowie jego siostrę Lidię, która była pianistką. Być może to związało obu w obozie, a może zaistniały inne sekretne sprawy. W każdym razie pewnego ranka także ich prycze znaleziono puste. Wiadomość o tej ucieczce przyjąłem trochę z niedowierzaniem. Anheliczny, o serafinicznej sylwetce młody Apte wydawał mi się jak najdalszy od możliwości tego rodzaju ryzykownych męskich przedsięwzięć. Lecz wkrótce przekonałem się, że była to prawda. Kilka dni później na teren obozu wjechały taczki, na których leżały sztywno dwa trupy. Obu uciekinierów schwytano niedaleko w okolicy i zastrzelono na miejscu. Ostatni raz patrzyłem w przezroczystą, już prawie pożółkłą twarz, która w tak rozmaitych okolicznościach pojawiała się ze swoim zagadkowym półuśmiechem przede mną, a która miała niedługo rozsypać się na zawsze.

Henryk Vogler (ur. 6 marca 1911 roku w Krakowie, zm. 19 lutego 2005 roku w Krakowie) – polski pisarz i krytyk literacki, pierwszy redaktor naczelny Wydawnictwa Literackiego. W 1933 roku ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie w latach 1939–1941 studiował filologię polską na Uniwersytecie we Lwowie. W latach 1942–1945 był więźniem obozu w Gross-Rosen. Po wojnie był m.in. redaktorem „Gazety Krakowskiej" i „Życia Literackiego", kierownikiem literackim Teatru Starego im. H. Modrzejewskiej oraz Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.


R. APTE. 1942.

KIM PAN JEST, PANIE GRYMEK?

Natan Gross

Ulokowaliśmy się w miejscowej szkole z nadzieją, że jutro zakwaterują nas lepiej. Mimo zmęczenia wyszliśmy na miasto szukać szczęścia, znajomych, ludzkiego mieszkania.

Centrum Wieliczki roi się od przybyłych dziś i wczoraj z okolicznych miejscowości. Wszyscy tak jak my szukają możliwości ulokowania się. Wszyscy wszystkich pytają, co dalej. Optymiści – a takich nigdy nie brak w tych ciężkich czasach – wierzą, że będzie dobrze, że jakoś się ułoży. Pesymiści – tych jednak jest więcej – widzą czarno przyszłość. A właściwie nie widzą żadnej przyszłości. Wojna nie tak prędko się skończy. A jak się prędko nie skończy, to wszystkich nas wykończą. Jak długo tak można wytrzymać?

W pewnej chwili nawinął mi się Rysio Apte, kolega szkolny kilka lat młodszy ode mnie. Kiedyś pracowaliśmy trochę przy przedstawieniach szkolnych. Bodaj po trzech latach niewidzenia nie poznałem go, to on zaczepił mnie na ulicy. Wyrósł, zmężniał. W czystym granatowym owerolu wyglądał jak mechanik z francuskiego filmu. Przywitaliśmy się serdecznie i wkrótce uwikłaliśmy się w długą rozmowę, którą kontynuowaliśmy przez noc i jeszcze nazajutrz przez szereg godzin. O naszej sytuacji mówiliśmy mało.

«« Rysunek autorstwa Ryszarda Aptego z cyklu *Niepokój* powstałego w latach 1941–1942

Tekst pochodzi z: N. Gross, *Kim pan jest, panie Grymek?*, Kraków 1991, s. 217–220.

Rysunek autorstwa Ryszarda Aptego z cyklu »» *Niepokój* powstałego w latach 1941–1942

Gdy pokazał mi swoje przekłady z Kästnera[574] (dziwnym trafem i on tłumaczył Kästnera), zorientowałem się momentalnie, jak niedojrzała jest moja praca. Potem wyjął teki swoich grafik i rysunków robionych pod George'a Grosza[575]. Zdębiałem z wrażenia. Dotąd znałem Rysia jako uzdolnionego pianistę i muzyka, teraz odkryłem nowego Ryszarda Aptego! Było to wielkie przeżycie.

Wydobyłem trochę swoich papierów i tak obwąchiwaliśmy się radośnie – jak dwa pieski – poszczekując wesoło. Pokazałem Rysiowi kilka listów, m.in. od naszego ubóstwianego Juliusza Feldhorna[576], który w zamian za moje przekłady Rilkego przysłał mi całą rozprawę o technice przekładu: dezintegracji utworu i jego ponownej reintegracji. Parę godzin siedzieliśmy nad tym listem.

Znalazłem bratnią duszę, człowieka, który jak ja ubóstwiał papiery i książki, jak ja potrafił odnaleźć w nich świat inny, piękniejszy i lepszy od tego, w którym żył, potrafił uciec w ten świat, zamknąć się w nim i stawać się lepszym przez samą świadomość wyższości intelektualnej.

Rysio miał wtedy siedemnaście lat, wiedział dokładnie, co się dzieje. Miał przeczucie, że nie przetrwa wojny i jak mówił – nie zależało mu na tym. Chciał tylko uchronić od zagłady swoje prace. Wiersze w paru odpisach rozesłał do różnych znajomych, ale o rysunki, w szczególności o piękne akwarele, filigranowe miniaturki, niepokoił się bardzo. Za dwa, trzy dni na pewno nastąpi wysiedlenie... Może oddać gospodarzom na przechowanie? To poczciwi ludzie, ale za bardzo na nich liczyć nie można... Ojciec Rysia, znany adwokat krakowski, a przy tym niezły skrzypek, opiekował się z oddaniem sparaliżowaną żoną, przykutą do wózka inwalidzkiego. Los jej był przesądzony!

Przespałem u nich noc. Nazajutrz, zostawiwszy walizkę na miejscu, udałem się z Rysiem na poszukiwanie reszty rodziny.

Miasteczko wrzało. Napięcie sięgało zenitu. Zaglądnąłem do szkoły, w której wczoraj ulokowali się przesiedleńcy, ale nie zastałem nikogo z mojej rodziny. Nikt nie wiedział, co przyniesie jutro, ale jedno nie ulegało wątpliwości: wszystkie drogi odwrotu były zamknięte. Nikt nie mógł się z Wieliczki wydostać. Jerzyk pracował na lotnisku – więc na ważnej placówce – i liczyliśmy, że na tej podstawie uda się nam dostać do krakowskiego getta. Na razie jednak nie było z kim mówić. Żadnych zaświadczeń ni przepustek nie respektowano i żadnych zezwoleń nie wydawano. Niepokój narastał i gęstniał. Matka pewnie latała od urzędu do urzędu, szukając protekcji, znajomości, zrozumienia.

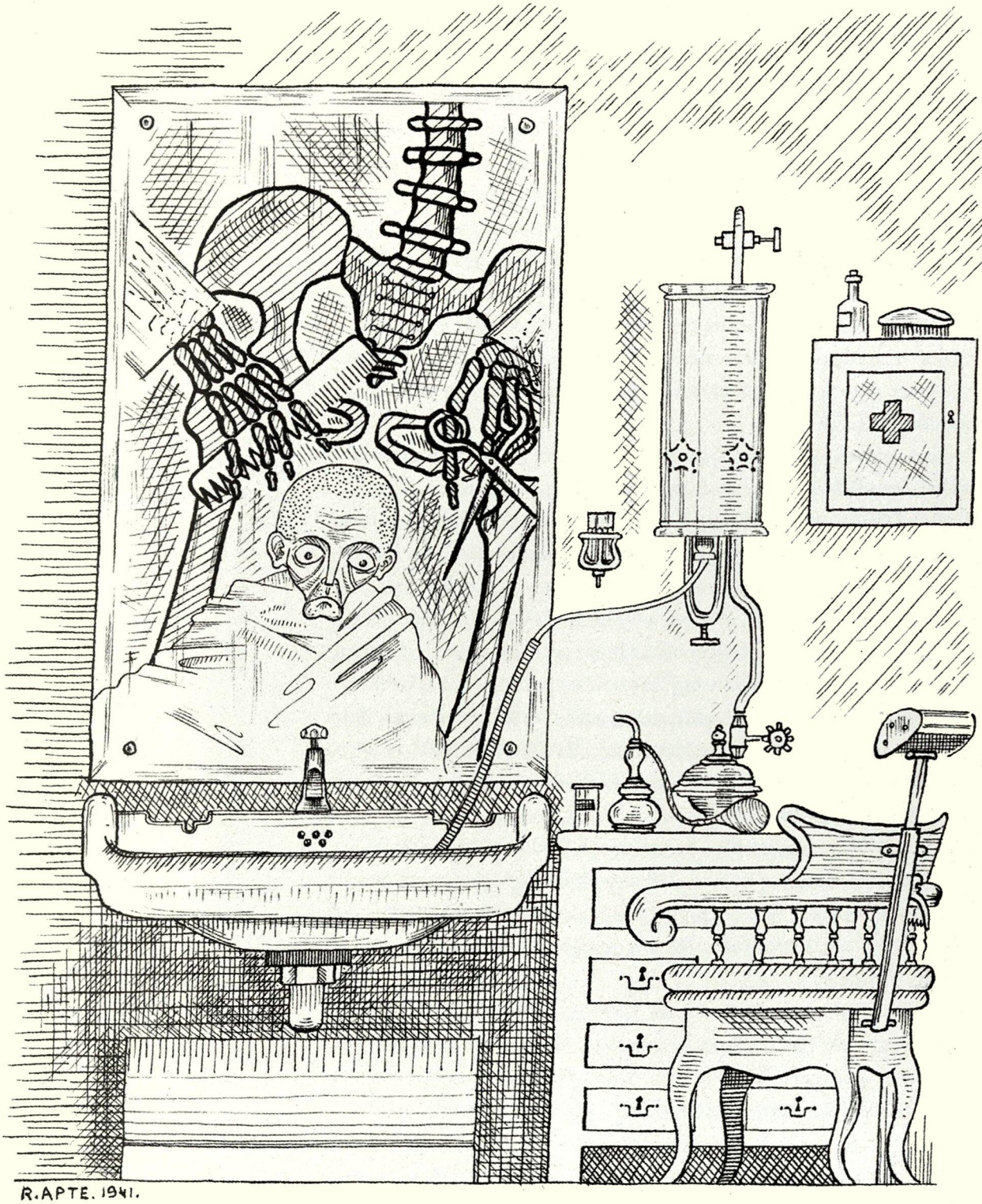
A ja? Siedziałem u Rysia z moją walizką.

Błąkaliśmy się przez jakiś czas po uliczkach Wieliczki, trochę zaniepokojeni, nie na tyle jednak, żeby nie cieszyć się sobą i nie rozkoszować złotymi potokami porannego słońca. Wtem wszczął się nagły po-

[574] Erich Kästner – niemiecki pisarz, satyryk, krytyk teatralny oraz autor książek dla dzieci.

[575] George Grosz – niemiecko-amerykański malarz i grafik, znany zwłaszcza ze swoich karykatur życia berlińskiego lat dwudziestych XX wieku.

[576] Juliusz Feldhorn – historyk literatury, poeta, pisarz, tłumacz, polonista Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego Żydowskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej i Średniej w Krakowie. Przełożył z oryginału *Pieśń nad Pieśniami*, poezje Verlaine'a, Rimbauda, Goethego.


R.APTE. 1941.

płoch. Wszyscy biegli w jednym kierunku. „Co się stało?" – zapytałem pierwszego z brzegu. „Auto z lotniska przyjechało!".

Ucieszyła mnie ta wiadomość, zwiastująca, że „coś się zaczyna ruszać", że kontakt ze światem zewnętrznym został nawiązany. Pobiegliśmy. Na aucie zobaczyłem matkę zrozpaczoną, bo nie wiedziała, gdzie mnie szukać. Jerzyk odnalazł Klarę w łaźni. Kiedy usłyszała, że przyjechało auto z lotniska, zarzuciła na mokre ciało suknię i wybiegła jak wariatka, z mokrą głową, naprzeciw ocaleniu. Wielkie ciężarowe auto było już prawie pełne. Wpuszczano zasadniczo tylko ludzi z przepustkami z lotniska. Mieliśmy jedną taką przepustkę. „Prędzej! Prędzej!". „A walizka? Muszę polecieć po walizkę! Nie ruszę się bez walizki! Zresztą i tak nie mam przepustki!" „Zwariowałeś?! Prędzej, pakuj się na auto! Ja ci przyniosę walizkę!".

Rysio rzucił się pędem do domu po moje papiery, a ja nie mogłem zebrać myśli. Modliłem się, by szofer nie zgodził się mnie zabrać... Jerzyk wyciągnął do mnie rękę, jakoś wgramoliłem się na zapchaną ciężarówkę. Szpilki już by nie wsunął. Wtem ludzie spostrzegli, że i nasz pies znalazł się wśród stłoczonej masy, i zaczęli ostro protestować. Ktoś złapał Dinę za kark i wyrzucił ją na bruk. Serce skurczyło się w piersi na widok biednego zwierzęcia stojącego naprzeciw auta z łbem podniesionym w niemym pytaniu: czy zostawicie mnie tutaj? Zaczęła się przerzucanka, wreszcie ukryłem psa. Jerzyk wskoczył i auto ruszyło. W tym momencie zjawił się Rysio z walizką. Zdążyłem tylko krzyknąć: „Rysiu! Papiery!!!".

Papiery są w dobrych rękach, pocieszyłem się w duchu. Na Rysiu mogę polegać. To, co zrobi ze swoimi, zrobi i z moimi...

Po dwóch dniach wysiedlono wszystkich Żydów z Wieliczki. Sparaliżowaną matkę Rysia zastrzelono od razu, ojca wywieziono do Bełżca, a mój przyjaciel trafił do obozu pracy w Stalowej Woli. Dwa miesiące później próbował uciec, ale został rozpoznany na stacji kolejowej i zastrzelony na miejscu.

Straciłem po raz drugi najdroższe papiery, ale nie czułem już tak wielkiego żalu jak wtedy w Czyżynach, naprawdę nie były warte przetrwania. Za to straty Rysia, przyjaciela, którego zaledwie zacząłem poznawać, nie mogę przeboleć po dzień dzisiejszy.

Natan Gross (ur. 16 listopada 1919 roku w Krakowie, zm. 5 października 2005 roku w Tel Awiwie), polsko-izraelski scenarzysta, reżyser i producent filmowy, poeta, pisarz, tłumacz i edytor, publikujący zarówno w języku polskim, jak i hebrajskim. Do wybuchu wojny studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, podczas okupacji ukrywał się na aryjskich papierach jako Franciszek Grymek w getcie krakowskim i w Warszawie. Po wojnie współpracował m.in. z Saulem Goskindem jako scenarzysta w wytwórni Kinor, w 1950 roku wyjechał do Izraela, gdzie zajmował się głównie realizacją filmów dokumentalnych.

DOTKNIĘCIE ANIOŁA

Henryk Schönker

Wieliczka jest zaledwie dwadzieścia kilometrów od Krakowa, ale jadąc tam, czułem, że opuszczamy znany nam świat i zmierzamy do czegoś zupełnie nowego. Nowe miejsce budziło we mnie niepokój, a nawet strach.

Była jesień 1940 roku. Jechaliśmy pociągiem i Luśka cały czas płakała, nie można jej było uspokoić. Pociąg wlókł się powoli przez Kraków, a ja wciąż się rozglądałem, czy nie nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Pamiętam, że gdy przejechaliśmy stację Kraków-Borek Fałęcki, tato powiedział do mamy: „To już niedaleko", a jakaś kobieta, która siedziała koło nas, odpowiedziała: „Dzięki Bogu, bo już mnie uszy bolą od tego płaczu". W przedziale siedzieli jeszcze jakiś starszy pan i dwie kobiety. Wszyscy zaczęli się śmiać, co rozśmieszyło też kobietę, która się skarżyła. Już trochę udobruchana spytała mamę: „A państwo z daleka?". „Z Krakowa" – odpowiedziała mama.

Z pewnym wahaniem i ciekawością w głosie kobieta zapytała: „Ale państwo chyba nie Żydki?".

Mama odpowiedziała jej z oburzeniem: „No wie pani, skąd takie myśli?!". „Ja bardzo przepraszam – odpowiedziała ze wstydem – nie chciałam państwa obrazić, ale teraz dużo Żydków ucieka z Krakowa".

Tekst pochodzi z: H. Schönker, *Dotknięcie anioła*, Warszawa 2006, s. 92–144.

„Pani wie, z kim pani mówi?!" – spytała ostro mama, a na Luśkę krzyknęła po niemiecku: „Bleib schon still!"[577] – i, o dziwo, Luśka zamilkła.

Kobieta miała przestraszoną twarz i już bardzo pojednawczym tonem powiedziała do moich rodziców: „Jeszcze raz bardzo przepraszam. To była po prostu pomyłka. Nie chciałam nikogo obrazić".

Inni pasażerowie milczeli, a ja otrzymałem wtedy poglądową lekcję, że w oczach pewnych ludzi wstyd jest być Żydem. Dowiedziałem się też, że jak się kogoś o to niewinnie posądzi, należy go przeprosić.

Na stacji w Wieliczce wzięliśmy fiakra i pojechaliśmy do domu wujka ojca. Nazywał się Chaim Schenker (ta cześć rodziny inaczej pisała nazwisko), był zamożnym człowiekiem, właścicielem garbarni[578]. Zarządca niemiecki, tak zwany Kommissarischer Verwalter, zostawił Chaima w garbarni, by mu pomagał, bo sam nie miał pojęcia o kierowaniu taką fabryką. Po jakimś czasie Chaimowi udało się z nim porozumieć i w dalszym ciągu faktycznie prowadził cały interes.

Chaim z żoną przyjęli nas bardzo serdecznie. Spędziliśmy u nich kilka dni. Mieszkali nadal u siebie, na pierwszym piętrze ładnego, niedużego domu. Mieli dwoje dzieci: syna Lulka, który miał wtedy ponad dwadzieścia lat, oraz córkę Muszkę, bardzo ładną brunetkę, miłą i skromną dziewczynę, mniej więcej siedemnastoletnią.

Niemców w tej okolicy prawie w ogóle nie było widać. Garbarnia Chaima mieściła się w dzielnicy Klasno, dość niedaleko od centrum. Na Klaśnie mieszkali biedni ludzie, przeważnie Żydzi.

Już następnego dnia ojciec znalazł tam zamknięty lokal, który do niedawna służył jako magazyn. Lokal ten był w środku bardzo zniszczony, ale okazało się, że ma wysokie pierwsze piętro. Ojciec z pomocą Chaima wynajął to piętro i postanowiono zrobić tam dla nas mieszkanie. Chaim przysłał robotników, którzy w ciągu kliku dni zrobili drewniane schody z boku domu i odremontowali piętro. Położono nową podłogę z desek, przeszło metr ponad powałą dolnego magazynu, aby zmniejszyć wysokość pomieszczeń. Powstał tam pokój i kuchnia. Byliśmy szczęśliwi, że możemy znów zamieszkać u siebie.

Chaim przyniósł też z garbarni skórę, aby zrobić mi nowe buty, i zapłacił za szewca. Zbliżała się bowiem zima, a ja chodziłem w podartych sandałach albo boso. Tata poszedł ze mną do szewca i poprosił go, aby zrobił buty trochę większe, by mi długo służyły. Szewc powiększył od siebie jeszcze tę rezerwę i buty wyszły o kilka numerów za duże. Były to ładne półbuty z żółto-brązowej skóry, z grubą zelówką, która się prawie nie zginała. Gdy w nich chodziłem, słychać było głośne klapanie. Inne dzieci wołały za mną: „Bocian, bocian idzie!". Nie przejmowałem się tym, bo wydawało mi się, że w ten sposób mój najlepszy przyjaciel Aleks „Bocian" z Oświęcimia przesyła mi pozdrowienia.

Wkrótce zaprzyjaźniłem się z kilkoma chłopcami żydowskimi, nieco starszymi ode mnie, i nikt już nie odważył się wołać na mnie „bocian". Szczególnie dobrze zapamiętałem trzech z nich, bo stali się moimi

---

577 Niem. „Bądź już cicho!".

578 Garbarnia na Klaśnie do końca wojny w księgach wieczystych była własnością Rubina Perlbergera, który zmarł w 1925 roku, zob. AP 27/117/273, Wykaz realności przy ul. Klaśnieńskiej; AP 29/117/321, wykaz zakładów objętych podczas bilansu sił w 1944 roku. Natomiast jej spadkobiercami czuło się kilku członków rodziny pokrewnej z Rubinem Perlbergerem, zob. s. 143–153, 357–364 niniejszej książki.

serdecznymi przyjaciółmi. Jeden z nich nazywał się Jankiel i mieszkał z rodziną koło bożnicy. Był bardzo pobożny, ale nie afiszował się z tym. Rodzice obcięli mu pejsy, aby nie zwracał uwagi; nie chodził w czarnej jarmułce, tylko w kaszkiecie. My wszyscy chodziliśmy bez nakrycia głowy.

W naszej grupie Jankiel pełnił funkcję sędziego. Gdy były jakieś spory, to on je rozstrzygał i wszyscy zgadzali się z jego wyrokiem. Uważaliśmy go za najmądrzejszego z nas. Nigdy się z nikim nie kłócił, nikogo nie chciał na siłę o czymś przekonać. Gdy ktoś nie przyjmował jego argumentów, to tylko serdecznie się uśmiechał i mówił: „Każdemu wolno mieć swoje zdanie".

Raz zapytałem go, dlaczego nie stara się bardziej przekonywać o słuszności swojego zdania. Odpowiedział mi, że gdy ktoś jest bardzo pewny swego, to nie ma sensu przekonywać i należy uszanować jego zdanie, chociaż samemu się go nie przyjmuje. „Dlaczego?" – spytałem. „Bo własne zdanie jest częścią osobowości człowieka, a każdego człowieka, jeśli tylko nie robi niczego niemoralnego, należy szanować". Jankiel miał wtedy jedenaście lub dwanaście lat.

Drugim moim serdecznym przyjacielem był Adam. Miał nie więcej niż jedenaście lat, jego ręce były już spracowane jak u dorosłego człowieka.

Wiele razy opisywał mi makabryczną scenę, jak Niemcy, zaraz po wkroczeniu do Wieliczki, zamordowali jego ojca. Adam mieszkał z ojcem i babcią w małym, wiejskim domku, który stał w polu za naszym obecnym domem. Jego ojciec był rolnikiem, a matka umarła jeszcze przed wojną. Babcia była chora i częściowo sparaliżowana, przeważnie leżała w łóżku.

Pewnego dnia przyszli Niemcy i wywlekli ojca Adama z domu. On nie chciał iść, stawiał opór. Przed domem zaczęli do niego strzelać. Adam pokazywał, co się działo z ojcem po każdym strzale; jak się przechylał na jedną, to na drugą stronę i jak długo to trwało, nim kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię. Leżąc w kałuży krwi, jeszcze próbował się podnieść i dopiero ostatnia kula w głowę go uśmierciła. Adam był bardzo dumny z ojca, że był taki silny i że tak długo Niemcy musieli strzelać, zanim go zabili.

Z Jankielem i Adamem spędzałem często całe dni. Wiele razy bywali u nas i Adam jadł ze mną obiad. Potem mama dawała mu jedzenie dla babci. Adam nie miał nic wspólnego z religią żydowską i jej obrządkami, chociaż był Żydem i za takiego też się uważał. Natomiast Jankiel jadał tylko u siebie w domu. Ciekawie było obserwować, jak obaj się tolerowali i lubili. Każdy z nich respektował zwyczaje drugiego.

Był tam też chłopak dużo starszy od nas. Miał może piętnaście lat i nazywał się Zylek. Palił dużo papierosów, ale nie miał pieniędzy, by je kupować. Chodziliśmy po ulicach i zbieraliśmy dla niego niedopałki, tak zwane kciuki. Brałem od mamy pieniądze na cukierki i kupowaliśmy za nie bibułki, z których skręcaliśmy dla Zylka papierosy. Za to on bronił nas przed innymi chłopcami. Wszyscy byli zadowoleni, ale ja, mając wtedy dziewięć lat, zacząłem już próbować palić papierosy. Rok później już regularnie paliłem, oczywiście w tajemnicy przed rodzicami.

[...]

Wieść o względnym spokoju, jaki panował w Wieliczce, szybko rozeszła się po okolicy i zaczęło napływać coraz więcej Żydów, zwłaszcza z Krakowa. Miesiąc po naszym przyjeździe przyjechała do nas siostra ojca, Liba (zwana w rodzinie Libką) Hofstetter, ze swoimi dwiema córkami, Felą i Francis. Fela miała siedemnaście lat, a Francis osiem. Obie były piękne.

Moja mama zawsze zwracała mi uwagę, jak dobrze są wychowane, i radziła, abym we wszystkich sytuacjach zachowywał się jak one.

Często do nich chodziłem. Ciocia Liba zawsze miała dla mnie jakiś przysmak. Była to wysoka, szczupła i bardzo przystojna kobieta. My mieszkaliśmy przy głównej ulicy Klasna, a one niedaleko nas, w wynajętym wiejskim domku na łące.

[...]

Pod koniec 1940 roku stało się ze mną coś zupełnie nieoczekiwanego. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Zakochałem się. Wybranką mojego serca była córka sąsiadki. Nazywała się Nina (zdrobniale Nicha) Armer i miała może piętnaście lat. Jej matka, bardzo tęga i bardzo sympatyczna kobieta, miała kilkoro dzieci i prowadziła sklep spożywczy koło naszego domu. Mieszkali nad sklepem. Jej mąż był jednym z trzydziestu dwóch Żydów, których Niemcy zastrzelili we wrześniu 1939, zaraz po wkroczeniu do Wieliczki. Nicha była najstarszym dzieckiem. Pomagała w sklepie i w domu.

Dla mnie była uosobieniem piękna, delikatności, dobroci. Czułem, że jej widok napawa mnie jakimś dotąd nieznanym uczuciem, jakąś magnetyczną energią, która przyciąga mnie do niej. Energia ta była silniejsza ode mnie i czułem się zupełnie zniewolony. Wciąż szukałem okazji, by ją zobaczyć. Największym moim marzeniem było, aby się z nią pocałować.

Pewnego razu mama poprosiła mnie, abym oddał pani Armer dwie blaszane formy do pieczenia, które od niej pożyczyła. Wziąłem te formy, zbiegłem ze schodów i wpadłem trochę zdyszany do ich sklepu. Przy ladzie stał polski policjant i rozmawiał z panią Armer, a Nicha stała z boku. Policjant miał pałkę u pasa.

Nie zwracając uwagi na to, że przerywam mu rozmowę, powiedziałem szybko do pani Armer: „Mama oddaje blachy i dziękuje", kładąc je równocześnie na ladzie. Nim jednak zdążyłem całkiem je położyć, poczułem nagle bardzo silne uderzenie w głowę. Pociemniało mi w oczach, nogi się pode mną ugięły. Resztkami świadomości mogłem jeszcze usłyszeć, jakby z oddali, hałas blach, które upadły na podłogę i... straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Gdy otworzyłem oczy, nie wiedziałem, co się ze mną stało i gdzie jestem. Nad sobą zobaczyłem twarz Nichy i – o dziwo! – jej ręka głaskała mnie po głowie. Mrugnąłem kilka razy, by sprawdzić, czy to nie sen, i zupełnie spontanicznie, bez zastanowienia powiedziałem do niej: „Pocałuj mnie". Jej twarz jeszcze bardziej zbliżyła się i jej wargi dotknęły moich warg. Poczułem jej ręce pod moją głową i wtedy... wtedy... Nicha mocno mnie pocałowała, a ja zamknąłem oczy. Wydawało mi się, że jestem w niebie, znów byłem bliski omdlenia.

Trwało dłuższą chwilę, nim przyszedłem do siebie. Nicha pomogła mi wstać i zaprowadziła mnie do naszego mieszkania. Tam opowiedziała mamie, co się stało. Okazało się, że policjant poczuł się obrażony, że wpadłem mu w słowo. Nie zastanawiając się, uderzył mnie mocno pałką w głowę. Widząc, że straciłem przytomność, powiedział do pani Armer: „Ocucić i wyrzucić" i wyszedł ze sklepu.

Mama położyła mnie do łóżka i dużym nożem kuchennym zaczęła mi naciskać na siniak. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem, bo zamiast krzyczeć z bólu, błogo się uśmiechałem. Nie mogłem jej wytłumaczyć, jaki byłem szczęśliwy.

[...]

Latem 1941 przestaliśmy się uczyć, bo nasza nauczycielka została ostrzeżona, że powinna zamknąć kursy. Byłem niezadowolony, bo bardzo je lubiłem. Dawały mi poczucie, że ja też jestem normalnym człowiekiem, tak jak polskie dzieci, które chodziły do szkoły.

[...]

Pewnego poranka usłyszałem na naszej ulicy dzwonek auta straży pożarnej. Szybko się ubrałem i poszedłem zobaczyć, co się stało. Okazało się, że paliła się jakaś szopa. Pożar został szybko ugaszony, udałem się więc z powrotem w stronę domu. Nagle przed jakimś zamkniętym sklepem zobaczyłem człowieka w nieznanym mi mundurze. Zatrzymałem się, bo chciałem się upewnić, czy nie grozi mi niebezpieczeństwo.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że człowiek ten sprawdza zamki i kłódkę wiszącą na drzwiach sklepu. Gdyby nie był w mundurze, pomyślałbym, że to złodziej. On jednak miał szeroki skórzany pas i rewolwer u boku, a przez ramię przewieszony wąski pasek, jaki nosili policjanci. Czapkę też miał podobną do policyjnej, tylko w trochę jaśniejszym kolorze. Skończył oglądać zamek i zbliżył się do mnie. „Widzę, że się mnie boisz" – powiedział z uśmiechem.

Był bardzo sympatyczny, ale mogłem się mylić, więc nic nie odpowiedziałem. Rozważałem tylko, jak mam uciekać, gdyby okazało się to konieczne. „Nie masz się czego bać, ja lubię dzieci" – dodał. „Jak Ci na imię?". „Heniek" – odpowiedziałem nieśmiało. „Znałem dużo Heńków i wszyscy byli mili. Ty też mi na takiego wyglądasz. Gdzie mieszkasz?". „Niedaleko stąd" – wskazałem palcem w kierunku naszego domu.

A potem zebrałem całą odwagę i spytałem: „Kim pan jest?".

Wskazał na blaszaną odznakę na piersiach i na czapkę. Był tam napis „Obchód", ale ja nadal nie rozumiałem. On znów się uśmiechnął. „Obchód" to jest firma, która strzeże sklepów i domów przed złodziejami. Codziennie rano i wieczorem sprawdzam, czy nie było włamania i czy sklepy są zamknięte. Czasem sprawdzam też w nocy. „A tej nocy było jakieś włamanie?". „Nie, ale jeszcze nie wszystkie sklepy sprawdziłem. Jak chcesz, to możesz iść ze mną i sprawdzimy razem". „Ale ja jestem... Żydem" – powiedziałem ze wstydem.

On znowu się do mnie uśmiechnął i tym razem jego uśmiech był jeszcze sympatyczniejszy. „Powinieneś być z tego dumny" – powiedział poważnie i jakby chcąc podkreślić swoje słowa, popatrzył mi w oczy i pokiwał głową. „Dlaczego mam być z tego dumny?" – spytałem, patrząc na niego z niedowierzaniem. „Bo dzisiaj są takie czasy, że kto cierpi, ten ma powód do dumy".

Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, ale spodobało mi się to, co powiedział. Razem przeszliśmy całe Klasno, sprawdzając sklepy. Później pożegnał się ze mną i zaproponował, bym mu towarzyszył także wieczorem. Odtąd chodziłem z nim dwa razy dziennie i pomagałem mu sprawdzać, czy sklepy są zamknięte.

Okazało się, że jest to nauczyciel gimnazjum, który stracił posadę, bo nieostrożnie powiedział na lekcji coś, czego nie wolno było powiedzieć. Odtąd nie było dla niego miejsca w szkolnictwie. Znalazł więc sobie pracę strażnika w firmie „Obchód". Podczas tego wspólnego chodzenia dawał mi regularne wykłady, codziennie na inny temat.

Mówił bardzo interesująco i, co najważniejsze, zrozumiałym dla mnie językiem. Bardzo mu zależało, abym rozumiał i często tłumaczył mi w różny sposób ten sam temat. Pozwalał mi nawet nosić czasem swój



Publiczność na przedstawieniu purimowym dla dzieci w Wieliczce. Wśród zebranych są Henryk Schönker (widoczny ponad głową najwyższej dziewczynki w drugim rzędzie) i Nina Armer (po prawej stronie tuż nad głową Henryka), marzec 1942 roku



pasek, z czego byłem bardzo dumny. Ja mówiłem do niego „panie Stanisławie", a on do mnie „Heniu". Były to najlepsze prywatne lekcje, jakie otrzymałem w życiu, i do tego jeszcze zupełnie bezpłatne.

Przyzwyczailiśmy się do siebie i czekaliśmy jeden na drugiego, codziennie rano i wieczorem, w umówionym miejscu. Moi rodzice pozwalali mi na to, bo dowiedzieli się, że pan Stanisław jest porządnym człowiekiem i że był bardzo lubianym nauczycielem.

Mój ojciec w tym czasie poznał jednego Żyda z Niemiec, z którym się zaprzyjaźnił. Był on podobno bardzo znanym aktorem w Berlinie. Niemcy wysiedlili go do Polski – lub też trafił do niej z własnej woli – i po wielu tarapatach znalazł się w Wieliczce. Nazywał się Gottowt, miał mniej więcej sześćdziesiąt lat. Człowiek ten był zupełnie bezradny. Mój ojciec zaczął się nim opiekować. Znaleźć dla niego pokój w Wieliczce było prawie niemożliwe, bo całe miasteczko zapchane było żydowskimi uchodźcami. Wieliczkę nadal jeszcze uważano za najspokojniejsze miejsce dla Żydów.

Gottowt mieszkał u nas i spał na składanym łóżku. Po jakimś czasie ojciec wpadł na pomysł, że można odnowić przybudówkę w domu, gdzie mieszkała ciocia Libka, i tam zrobić pokój dla pana Gottowta. Chaim Schenker znów przysłał robotników z garbarni i w ciągu kilku dni w przybudówce powstał duży, ładny pokój.

[...]

Biorąc pod uwagę panujące wokół warunki, mogliśmy dziękować Bogu, że nie jest nam gorzej. Tato sprzedał brylant mamy i z tego żyliśmy. W Wieliczce nie było getta i Żydzi łudzili się nadzieją, że ten względny spokój będzie trwał do końca wojny, która przecież musi się kiedyś skończyć. Jedynym, który ostrzegał, był Gottowt. Słyszałem, jak raz powiedział

do ojca, że wszyscy ludzie w Wieliczce są jak uśpieni i łudzą się, że ten spokój będzie trwał wiecznie.

[...]

Na początku lipca 1942 dziwny niepokój ogarnął wszystkich Żydów w Wieliczce. Nagle cała atmosfera miasteczka się zmieniła, wszyscy czuli, że coś wisi w powietrzu.

Instynkt samozachowawczy ostrzegał nas i napinał nasze nerwy. Udzielało się to też dzieciom – w naszych rozmowach pojawił się temat śmierci. Jankiel powiedział mi, że śnili mu się w nocy żołnierze śmierci, którzy otoczyli Wieliczkę. Byli w czarnych mundurach, a zamiast oczu mieli żarzące się węgle. Adam mówił, że gdyby Niemcy przyszli po niego, to da się zastrzelić, tak jak jego ojciec – i zaczął nam pokazywać, jak to będzie wyglądało. Pochylał się to na jedną, to na drugą stronę, wykrzykując: „Trach! Trach!", co miało oznaczać strzały. Patrząc na to, Zylek powiedział do mnie: „Widzisz Heniu, są ludzie, dla których śmierć nie jest taka straszna".

Ja nie chciałem się z tym pogodzić. W ogóle nie mogłem dopuścić do siebie takiej myśli, bo chciałem żyć. Bardzo chciałem żyć! Szukałem więc kogoś, kto by mnie pocieszył. Chciałem usłyszeć od kogoś, że jeszcze jest nadzieja i że może to najgorsze nas nie spotka. Wszystkich jednak ogarnął strach, bo właśnie wtedy, w lipcu 1942, Niemcy zażądali od Żydów olbrzymiej kontrybucji i nie było pewne, czy Judenratowi uda się zebrać żądaną kwotę.

[...]

Judenratowi w Wieliczce udało się w końcu zebrać żądaną przez Niemców kwotę i kontrybucja w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy złotych została zapłacona. Atmosfera strachu i niepokoju jednak nie minęła. Bo Niemcy zaczęli koncentrować w Wieliczce coraz więcej Żydów z okolicznych wsi i miasteczek.

Dla mojego ojca było jasne, że Żydów w Wieliczce spotka nieszczęście. Już nieraz podczas swych podróży widział, że tam, gdzie ma miejsce koncentracja Żydów, zaraz potem następuje wysiedlenie do obozów śmierci. Uciekać nie było gdzie, postanowił więc zbudować dla nas bunkier, w którym mieliśmy się schować podczas akcji. Wtedy jeszcze nie znano pojęcia *Judenrein*.

Przeważnie taka akcja trwała dzień, dwa. Pewną liczbę Żydów wysyłano, a reszta dalej żyła na swoim miejscu, aż do następnego wysiedlenia. Tak się to dotychczas odbywało w okolicznych miastach. Trzeba było przetrwać akcję, a później znowu następował jakiś czas względnego spokoju.

Ojciec postanowił zrobić bunkier w naszym mieszkaniu, pod podłogą, która była podniesiona; między nią a sufitem magazynu pod nami był duży odstęp. Znajomi polecili ojcu dobrego i zaufanego stolarza, Polaka, na którym można było polegać, że nas nie wyda. Zrobił on w podłodze klapę, którą można było otworzyć, i tak ją dopasował, że była prawie niewidoczna. Pod klapą było kilka schodków do schowka.

Ojciec zawiadomił ciocię Libę, że ma duży bunkier, i zaproponował jej, że może się tam z nami schować. Ona miała już jednak zapewniony schowek na wsi, u Polki, właścicielki domku, w którym mieszkała (albo może u jej krewnej).

Po skończeniu pracy i wysmarowaniu podłogi czerwonym pokostem klapy do naszego bunkra w ogóle nie było widać. Zakryli ją jeszcze dywanikiem, na którym postawiono stół. Ojciec był zadowolony i zapłacił stolarzowi żądaną sumę. Był to sympatyczny człowiek

i trzeba przyznać, że bardzo się starał. Po zapłacie usiedli przy stole i pili herbatę. Stolarz powiedział wtedy ojcu, że zrobił, co mógł, ale jego zdaniem taki bunkier jest bardzo niepewny, bo Niemcy mogą chodzić z psami, które natychmiast wyczują ludzi, a ponadto nie wiadomo, jak długo taka akcja może trwać i czy Klasno nie będzie jeszcze długo potem obstawione przez Niemców. „Więc co możemy zrobić?" – spytał ojciec.

Stolarz zastanowił się przez dłuższą chwilę, tak jakby rozważał różne możliwości, po czym powiedział: „Jestem gotów schować was u mnie. Mam duże gospodarstwo pod Wieliczką, bez sąsiadów. Tam będziecie o wiele bezpieczniejsi, a ja wam już powiem, kiedy można będzie wrócić do Wieliczki".

Rodzice naradzili się w sypialni i po ustaleniu zapłaty, jaką stolarz za to weźmie, zgodzili się. Postanowiono, że gdy sytuacja w Wieliczce jeszcze się pogorszy, przyjdziemy do niego. Ojciec był jednak zadowolony, że zrobił ten bunkier, bo gdyby nas coś nagle zaskoczyło, dawało nam to szansę ratunku.

Sytuacja w Wieliczce była niejasna. Z jednej strony coraz więcej Żydów napływało do miasta, co stanowiło nieodzowny znak zbliżającej się akcji, a z drugiej – Niemcy w połowie sierpnia polecili Judenratowi zorganizować w ciągu tygodnia żydowski szpital. Ojciec mój uważał, że jest to tylko próba odwrócenia uwagi i uśpienia czujności Żydów. Zawiadomił Gottowta o naszym bunkrze oraz że może go używać. Gottowt podziękował, ale powiedział, że ma inne plany. Ojciec chciał też zawiadomić Hochmana, ale ten nagle zniknął z miasta.

20 sierpnia Niemcy zaczęli masowo przesiedlać do Wieliczki Żydów z Niepołomic i Dobczyc. Dla ojca był to znak, że zaczyna się coś wielkiego i nazajutrz zawiadomił naszego znajomego stolarza, by zabrał nas do siebie.

Przyjechał późnym wieczorem furmanką. Przebraliśmy się za chłopów i ruszyliśmy z nim polnymi drogami. Luśka cały czas spała i ja też chwilami drzemałem. Pamiętam, że była jasna noc. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się koło dużej, wiejskiej szopy. Nasz znajomy pomógł nam zejść z furmanki i wszyscy weszliśmy do środka. Świeciła się jedna żarówka. Była tam obora dla kilku krów, stał też koń.

Udaliśmy się do drugiej połowy szopy, gdzie trzymano siano.

Stolarz odsunął kilka wiązek siana, podniósł jakąś klapę i zobaczyliśmy ciemny otwór. Wszedł tam pierwszy i pomógł zejść każdemu z nas.

Było tam bardzo mało miejsca, ale jakoś się usadowiliśmy. Mieliśmy małą latarkę na baterie. Stolarz powiedział, że w dzień jest trochę światła ze szpary przy ścianie. Szpary nie widać, bo jest przykryta grubym szkłem. Dostaliśmy wodę, pół bochenka chleba, kawałek masła i kilka jabłek. Stało też puste wiadro. „Kilka dni tu wytrzymacie. Ja codziennie przyniosę wam jeść. Nie macie się czego bać, tu was nikt nie znajdzie" – powiedział, chcąc podtrzymać nas na duchu. Zaznaczył też, że ściany i podłoga są wyłożone papą i deskami, aby nie było wilgotno.

W bunkrze były materace ze słomy, na których się położyliśmy. Moja mama, świecąc sobie latarką, powiedziała jakiś ustęp z psalmów i pocałowała mnie i Luśkę. Psalmy towarzyszyły jej przez całe życie i była święcie przekonana, że to pomaga we wszystkim, o co prosi.

Okazało się, że opuściliśmy Wieliczkę w ostatniej chwili. Na drugi dzień, 22 sierpnia 1942 roku nad ranem, została otoczona przez niemiecką żandarmerię i wszystkie drogi do niej były kontrolowane. Nikt już nie mógł opuścić miasta.

Nasz gospodarz przyniósł nam rano coś do jedzenia i opowiedział o tym. Byliśmy pewni, że akcja się zaczęła i za dzień, dwa będzie po wszystkim.

Okazało się, że w tym bunkrze jest bardzo mało powietrza. Stolarz wziął mnie i ojca do innego schowka, u niego w domu na strychu, tuż pod dachem. Spędziliśmy tam niesamowicie ciężki dzień, bo dachówki były rozgrzane od słońca i w schowku było gorąco jak w piecu. Po południu, gdy nasz gospodarz przyniósł nam znowu coś do jedzenia, byliśmy bliscy omdlenia. Ja ciągle zapadałem w półsen i ojciec mnie budził. Mieliśmy szczęście, że były tam butelki z wodą i cały czas piliśmy, bo inaczej nie wyszlibyśmy z tego schowka żywi.

Ojciec poprosił, by wziąć nas z powrotem tam, gdzie była mama z Luśką. Wieczorem wróciliśmy do bunkra w szopie. Gospodarz poprawił coś, aby było tam więcej powietrza.

Przeszedł następny dzień, ale z Wieliczki, z którą nasz gospodarz był w kontakcie, nie przychodziły żadne wiadomości o akcji. 24 sierpnia dowiedzieliśmy się, że otworzono tam szpital żydowski, co dawało nadzieję, że wszystko się ułoży. Ale już następnego dnia, 25 sierpnia, do Wieliczki przybyły specjalne oddziały Einsatzkommando SS – zawodowi mordercy, którzy specjalizowali się w masowych mordach. Wtedy dopiero rozpoczęła się akcja w Wieliczce.

Sen Jankiela się spełnił.

26 sierpnia wczesnym rankiem koło komendy żandarmerii niemieckiej, która mieściła się w dzielnicy zwanej Lekarką, zastrzelono jedenastu Żydów i tam też ich pochowano. W południe tego dnia Niemcy ewakuowali ponad stu chorych ze szpitala żydowskiego, który został otworzony na ich rozkaz dwa dni wcześniej – odwieźli ich autami ciężarowymi w niewiadomym kierunku.

Brutalność tej ewakuacji przeszła wszelkie możliwe do wyobrażenia granice. Chorzy zostali pobici i wrzuceni do aut, jak się wrzuca worki. Wieczorem nasz gospodarz, bardzo przestraszony, przyniósł nam wiadomość, że chorzy ci zawiezieni zostali do lasu w Niepołomicach, na wzgórze, które nazywano Kozią Górką, i tam rozstrzelani. Tam też pogrzebano ich w masowym grobie.

Lekarze tego szpitala, Żydzi, nie wiedzieli, gdzie odwieziono chorych, ale wiedzieli, jak Niemcy ich traktowali. Rozmiar tej zbrodni był tak olbrzymi i nie do pojęcia dla normalnego człowieka, że tego samego dnia po południu kilkadziesiąt osób, lekarzy i sióstr tego szpitala, urządziło w biurach Judenratu zebranie protestacyjne przeciwko nieludzkiemu traktowaniu chorych przez Niemców. Nawet wtedy jeszcze lekarze, a także cały personel szpitala, nie zdawali sobie sprawy, z kim mają do czynienia.

Dotychczasowy względny spokój w Wieliczce uśpił czujność Żydów. Koniec był jednak okrutny i nieodwracalny. Wszyscy uczestnicy tego wiecu protestacyjnego zostali jeszcze w budynku Judenratu ciężko pobici przez Niemców, a następnie załadowani na auta ciężarowe – krótko potem zastrzeleni na Koziej Górce i pogrzebani koło swoich pacjentów. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się dużo później.

Tego dnia nasz gospodarz był bardzo zmieniony; widać było, że prowadzi ze sobą wewnętrzną walkę. Oznajmił nam, że wygląda na to, iż to nie jest normalna akcja, dlatego nie może nas dłużej przechowywać, narażać siebie i swojej rodziny.

Niemcy chodzą po całej okolicy i szukają Żydów. Znaleziony Żyd zostaje natychmiast zastrzelony. Kręci się też wielu denuncjatorów, którzy wydają Żydów. Musimy go w nocy opuścić i szukać dla siebie jakiegoś

innego ratunku. Ojciec uspokoił go i dał mu pieniądze, aby nas trzymał jeszcze kilka dni.

W nocy słyszeliśmy strzały na łąkach, niektóre bardzo blisko nas. Tej nocy gospodarz przychodził jeszcze dwa razy i za każdym razem ojciec dawał mu pieniądze. On zaś przekazywał nam coraz to straszniejsze wiadomości.

Tego dnia Niemcy ogłosili, że wszyscy Żydzi w Wieliczce mają do siódmej wieczorem zgromadzić się na Rynku. Powiedziano im, że nazajutrz, czyli 27 sierpnia, o siódmej mają się zebrać na łąkach w Bogucicach. Żydzi mieli się zaopatrzyć w jedzenie na cztery dni i wolno im było zabrać ze sobą dziesięć kilogramów rzeczy na rodzinę.

Przez cały 27 sierpnia słychać było strzały. Później się dowiedzieliśmy, że na łąkach w Bogucicach zebrało się około ośmiu, dziewięciu tysięcy[579] Żydów. Niemcy zrobili na miejscu selekcję. Siedmiuset starych i ułomnych ludzi[580] odwieźli autami ciężarowymi na Kozią Górkę i tam zastrzelili. Wszyscy inni w zamkniętych wagonach towarowych odwiezieni zostali do obozu śmierci w Bełżcu.

Tego dnia Einsatzkommando SS zaczęło systematycznie przeszukiwać Wieliczkę. Chodzili z psami, odkrywali schowki i bunkry. Byli już w tym bardzo wyspecjalizowani i rzadko komu udało się uratować. Pojedynczych Żydów zabijano na miejscu. Większe grupy ludzi prowadzono na cmentarz i tam je rozstrzeliwano. Odgłosy strzałów dochodziły aż do nas, ale nie ich krzyki.

28 sierpnia był taki sam. Zabijanie Żydów trwało bez przerwy, cały dzień. Mordowano ludzi – dzieci, kobiety, kaleki, młodych i starych – tak jak się zarzyna kury. Dla Einsatzkommando SS była to po prostu praca, którą należało wykonać.

Tego dnia nasz gospodarz stał się jeszcze bardziej niespokojny i coraz bardziej nalegał, abyśmy go opuścili. Ojciec uspokajał go i prosił, by nas przetrzymał jeszcze kilka dni, bo akcja musi się przecież kiedyś skończyć. Przyrzekł mu, że zaraz po jej zakończeniu go opuścimy. Dał mu jeszcze pieniądze i gospodarz się zgodził.

Całą noc z 28 na 29 sierpnia mama trzymała mi rękę na czole, bo ciągle zrywałem się ze snu, przestraszony. Śniło mi się coś okropnego, majaczyłem. Jedynie ręka matki przywracała mi spokój. Rano obudziłem się z silnym biciem serca i w dziwnym oczekiwaniu na coś, co miało mnie spotkać. Miałem instynktowne przeczucie, że idę naprzeciwko czegoś bardzo ważnego, decydującego w moim życiu.

Nadszedł pamiętny dla mnie dzień 29 sierpnia 1942 – straszny, zdumiewający, niesamowity i niepojęty w tym, co mnie wtedy spotkało.

Wcześnie rano klapa bunkra została nagle otwarta i nad nami zobaczyliśmy starszą kobietę, która wymachiwała rękami i ze złością w głosie krzyczała: „Wynocha stąd, Żydy! Macie natychmiast się wynosić, bo jak nie, to zawołam Niemców! Szybko! Szybko! Wyłaźcie stamtąd i opuśćcie nasz dom!".

Była to matka naszego gospodarza. Rodzice moi zrozumieli, że nie ma rady, i zaczęliśmy kolejno wychodzić do góry. Ona zaś popatrzyła na nas, jakbyśmy byli diabłami, i krzyknęła: „Bezczelność, żeby narażać obcych i niewinnych ludzi!".

Odwróciła się, poszła do bramy, gdzie stanęła przy ścianie i – wskazując nam ręką na pole przed szopą – znów zaczęła krzyczeć: „Tam jest wasze miejsce, a nie tu!".

[579] Zob. przyp. 437.

[580] Zob. przyp. 441.

Wyszliśmy na pole w milczeniu. Byliśmy zaskoczeni i wylęknieni. Ojciec wziął Luśkę na ręce i zaczęliśmy iść przed siebie, a ona krzyknęła jeszcze za nami: „Nie pokazujcie się tu więcej Żydy!", i zamknęła bramę szopy.

Szliśmy przez łąkę. Trawa wydawała mi się jeszcze bardziej zielona niż zawsze. Nie mieliśmy ustalonego kierunku ani celu – po prostu szliśmy bez zastanowienia. Byle dalej od tego domu, który miał nam służyć jako schronienie, a okazał się największym niebezpieczeństwem. Po jakimś czasie zauważyliśmy w oddali krzaki i ojciec postanowił iść w ich kierunku. Nagle zobaczyliśmy, że o kilka kroków od nas coś leży w trawie. Zbliżyliśmy się, aby zobaczyć, co to jest – i mama krzyknęła z przerażenia. Zasłoniła twarz rękami i upadłaby, gdyby ojciec jej nie podtrzymał.

Przed nami leżały dwa trupy kobiet. Teraz z kolei ojciec krzyknął: „Och! To jest przecież Gizela!". Jej ciało wykrzywione było w jakimś dziwnym skurczu, była tylko w nocnej koszuli i bez butów. Widocznie obrabowano ją z odzieży. Ja też ją dobrze znałem. Była to ciotka ojca, która mieszkała w Wieliczce, bardzo sympatyczna starsza pani, Gizela Schenker. Wiedzieliśmy, że ona również miała się schować u kogoś w tej okolicy. Obok leżał trup młodej kobiety, też prawie nagi. Jej otwarte oczy patrzyły w niebo. Była to także krewna ojca i Gizeli, ale nie pamiętam już, kto dokładnie.

Nie mogliśmy tam długo stać, bo w tym miejscu byliśmy widoczni z daleka. Zbliżyliśmy się do krzaków i ojciec poszedł sprawdzić, czy jest tam jakieś miejsce, gdzie można się na razie ukryć. Krzaki okazały się niezbyt gęste i każdy, kto się do nich zbliżył, mógł nas zobaczyć. Nie było jednak innej rady i ojciec postanowił, że przeczekamy do wieczora.

Leżeliśmy w tych krzakach głodni i spragnieni może dwie godziny i Luśka zaczęła płakać, że chce jej się pić. Rodzice zaczęli się zastanawiać, czy ktoś z nas nie powinien wrócić do stolarza, by poprosić go o wodę i chleb. Odrzucili jednak tę myśl, bo było to zbyt niebezpieczne. Zamiast tego ojciec poszedł sprawdzić, co się dzieje wokół miejsca, gdzie się ukryliśmy. Niedługo potem wrócił i powiedział, że jesteśmy bardzo blisko strumyka. Poszliśmy się napić. Okazało się, że jesteśmy niedaleko polnej drogi, która wiodła w kierunku jakiejś wsi; z daleka widać było kilka wiejskich domków. Zaofiarowałem się, że pójdę tam i kupię chleb.

[...]

Nacisnąłem lekko drzwi, a one się uchyliły. Bardzo ostrożnie i powoli zacząłem je otwierać. Wsunąłem się na palcach, spodziewając się zobaczyć taki nieład, jaki panował u Francis. Ale to, co się tam ukazało, otworzyło mi usta ze zdumienia.

Najpierw zobaczyłem na nocnym stoliku przy łóżku duży krucyfiks, czarno-srebrny krzyż z Jezusem, a nad łóżkiem święty obraz. Z boku, przy oknie, odwrócony do mnie tyłem, siedział ksiądz w czarnej sutannie i czytał. „Już mu ktoś zabrał pokój" – pomyślałem i zacząłem się cicho wycofywać. Ksiądz jednak musiał słyszeć jakiś szmer, bo nagle wstał i odwrócił się do mnie. Popatrzyłem na niego i nie wierzyłem własnym oczom! To był Gottowt!

Krzyknąłem i rzuciliśmy się ku sobie. Przytuliłem się do niego i dłuższą chwilę staliśmy objęci w milczeniu. Później posadził mnie na krześle przy stole i popatrzył mi w oczy. Zobaczyłem, że płacze. Był to pierwszy i ostatni raz, gdy widziałem go tak wzruszonego. Opowiedziałem mu, co się dzieje z nami. Dał mi jeść i pić, bo nie chciałem ruszać kupionego chleba ani kiełbasy, która wystawała mi z kieszeni.

Następnie zaczął opowiadać. Postanowił się nie ukrywać, tylko przebrać się za niemieckiego księdza. Postarał się o sutannę, krucyfiks i święty obraz. Jego niemiecki dokument tożsamości, który przywiózł ze sobą jeszcze z Niemiec, został poprawiony tak, że słowo *Jude* zostało wymazane i dodano słowo *Pfarrer*, czyli ksiądz. Miał także sfałszowany dokument niemiecki, który stwierdzał, że przyjechał z polecenia niemieckich władz kościelnych z Berlina, aby ostrzec księży polskich w tej okolicy i wytłumaczyć im, że są zobowiązani do przestrzegania zarządzeń i praw niemieckich.

Gottowt powiedział, że już trzy razy byli u niego Niemcy, ale słysząc jego niemiecką mowę, wierzyli mu i tylko raz sprawdzili jego dokumenty. Za każdym razem opuszczali go, salutując. „Ten jeden raz sprawdzali tylko dlatego, że nie miałem w ręku tego niemieckiego katechizmu" – tu pokazał mi książkę, którą wcześniej czytał. „Nie masz pojęcia, jak to działa na Niemców, gdy widzą mnie z tym otwartym katechizmem i słyszą mój berliński akcent" – powiedział z zadowoleniem, tak jakby udał mu się dobry żart.

Gottowt powiedział mi, że ksiądz, od którego dostał tę sutannę, ma przyjść po niego dzisiaj wieczorem i umieścić go w jakimś klasztorze. Jeśli to się uda, Gottowt będzie prosił swojego znajomego księdza, aby zgodzili się tam ukryć i nas. Przekaże wiadomość dla nas tej pani, u której ukrywa się ciocia Liba z Felusią i Francis. Mój ojciec wie, gdzie ona mieszka. „Idź teraz szybko do twoich rodziców i powiedz im to" – zakończył Gottowt, patrząc mi w oczy.

To mnie bardzo pokrzepiło na duchu, wydawało mi się, że znalazłem ratunek dla całej rodziny. Postanowiłem dać sobie za to nagrodę i jednak zjeść mały kawałek kiełbasy, która wypychała mi kieszeń. Poczułem bowiem nagle niepohamowaną chęć skosztowania jej. Wyjąłem ją i poprosiłem Gottowta o nóż, ale nie zdążył mi go podać, bo w tym momencie dały się słyszeć na zewnątrz głośne kroki. Odwrócił się do mnie i krzyknął: „Schowaj się pod łóżko! Szybko! Szybko!".

Tak jak stałem, z kiełbasą w ręce, dałem nurka pod łóżko i w tym samym momencie Gottowt położył się na łóżku. Zdążyłem jedynie wciągnąć nogi, gdy do pokoju weszło kilku Niemców. Nie widziałem ich nóg, bo byłem odwrócony w drugą stronę. Leżałem pod łóżkiem jak martwy, ale słyszałem ich mowę.

Nagle do pokoju wpadł olbrzymi wilczur. Zrobił dwa kroki naokoło łóżka i, ku mojemu przerażeniu, zobaczyłem tuż przy mojej twarzy jego wielki łeb i obwąchujący mnie mokry nos. Zamknąłem oczy, bo byłem pewny, że to mój koniec. On jednak wyrwał mi tylko z ręki kiełbasę, przegryzł i połknął. Całe szczęście, że działo się to z drugiej strony łóżka i nikt tego nie zauważył. Pies był widocznie zadowolony, bo obwąchał mnie i liznął w twarz, po czym pobiegł na drugą stronę łóżka, gdzie stali Niemcy. Całe to wydarzenie trwało tylko kilka sekund, ale czułem, że serce przestało mi bić.

– *Wer sind Sie?*[581] – usłyszałem głos Niemca.

– Jestem niemieckim księdzem – odpowiedział Gottowt swoim berlińskim akcentem.

– Co pan tu robi?

– Mam polecenie z Berlina dla tutejszych księży, aby stosowali się do zarządzeń władz niemieckich.

– Dokumenty – rozkazał Niemiec.

Słyszałem, jak Gottowt otwiera szufladkę nocnego stolika i szpera w niej. Tu nastąpiło coś niewiarygodnego. Niemiec zaczął mówić do Gottowta

[581] Niem. „Kim pan jest?".

pomału, cedząc każde słowo, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

– Ale... ja pana... skądś... znam.

– Możliwe, że z kościoła w Berlinie – odpowiedział Gottowt zupełnie spokojnie i widocznie w tym momencie dał mu swój dokument, bo Niemiec nagle wykrzyknął ze zdumieniem w głosie:

– Gottowt!... Gottowt! – i jeszcze głośniej. – *Donnerwetter*! Gottowt!

Było jasne, że coś się stało. Nie wiedziałem tylko, czy coś dobrego, czy złego.

Ostrożnie, milimetr po milimetrze, odwróciłem głowę, bo chciałem widzieć, co się dzieje. Zobaczyłem może metr przed łóżkiem czarne, błyszczące cholewki oficerskie oraz kilka par żołnierskich butów, które stały trochę dalej. Cholewki zrobiły dwa kroki wzdłuż łóżka i dwa kroki z powrotem, a Niemiec, nie mogąc widocznie otrząsnąć się ze zdumienia, ciągle powtarzał, jakby pytał sam siebie: „Na, so was?!... so was?!"[582]. I wtedy... wtedy przyszło to druzgocące pytanie.

– *Wie geht's Gottowt, alles in Butter*[583]?

Gottowt milczał, a ja zrozumiałem, że został rozpoznany. Niemiec roześmiał się głośno i pytał dalej:

– *Was für ein Theater machen Sie hier*[584]?

W pokoju zapanowała cisza.

Po chwili oficer rozkazał oficerom wyjść i czekać na niego przed domem. Pies pozostał w pokoju i siedział na podłodze przy jego nodze.

– Nie sądziłem, że pana znów zobaczę i to w takich okolicznościach.

– Skąd pan mnie zna?

Usłyszałem, że Niemiec znów się śmieje.

– Znało pana wielu ludzi, ale ja byłem wśród tych, którzy znali pana najlepiej, bo pana podziwiałem – mówił do niego „pan", z szacunkiem.

– Pod jakim względem? – spytał spokojnie Gottowt.

Niemiec, jak gdyby z westchnieniem, odpowiedział:

– Ach, pan jeszcze pyta?

Cholewki jeszcze bardziej zbliżyły się do łóżka, a mnie wydawało się, że to one przemawiają do Gottowta.

– Dziesięć lat temu – tu podał nazwę teatru i sztuki, której nie pamiętam – siedem razy musiał pan wychodzić na scenę i się kłaniać. Chciałem być wtedy taki jak pan... by mi klaskano, by mnie podziwiano.

Gottowt milczał, a Niemiec opowiadał, że jako młody adept sztuki aktorskiej uwielbiał go, mimo że dla jego kolegów partyjnych Gottowt był wtedy tylko *Saujude*, czyli „świńskim Żydem".

– Dlaczegoś mnie podziwiał? – spytał nagle Gottowt.

Zauważyłem, że mówił do niego per „ty", tak jak nauczyciel do ucznia.

Niemiec jak gdyby nie zauważył tej zniewagi.

– Kto jeszcze potrafił tak mówić na scenie jak pan?

Tu zaczął recytować jakiś wiersz. Trwało to może minutę, a gdy przerwał, spytał:

– Co pan na to? Miałem szansę iść w pańskie ślady?

– Możliwe, że tak, ale nie w ten sposób. Twój patos jest sztuczny i nie przekazuje prawdziwej emocji. Słuchaj, jak to trzeba mówić.

Tu zaczął recytować ten sam wiersz. Gdy skończył, nastąpiła cisza. Tylko pies był bardzo niespokojny, co widziałem po ruchach jego łap. Byłem tak zesztywniały z przerażenia, że nawet zapomniałem mojej modlitwy.

---

582 Niem. „No coś takiego?!".

583 Niem. „Jak się masz Gottowt, wszystko gra?".

584 Niem. „Co to za teatr pan tutaj robi?".

Niemiec był widocznie zachwycony, bo powiedział:

– Gottowt, pan był i pozostał niedościgniony. – A po chwili: – No, ale proszę teraz iść ze mną, bo musimy sprawdzić kilka rzeczy.

– Ja nigdzie nie idę – odpowiedział Gottowt.

Cholewki stały jak gdyby niezdecydowane, co mają robić. Po chwili Niemiec chrząknął i powiedział:

– Nie rób pan głupstw, Gottowt. Musi być śledztwo, ale może będzie pan miał jakąś szansę.

– Jeśli nawet moi wielbiciele mnie opuścili, to nie może już dla mnie istnieć żadna szansa – Gottowt mówił pomału, z dużym smutkiem w głosie.

– Aktor aż do końca, co?

– Aż do końca.

Cholewki zrobiły kilka kroków i otworzyły drzwi. Widocznie dał jakiś znak psu, bo ten wybiegł z pokoju. Drzwi zostały zamknięte i cholewki znowu zbliżyły się do łóżka.

– Idziesz? – spytał Niemiec.

– Nie – odpowiedział Gottowt.

Huk wystrzału ogłuszył mnie. Poczułem ostry ból w uszach i instynktownie zatkałem je palcami. Zaraz potem nastąpiło jeszcze kilka strzałów, tak jakby cały pokój wybuchał. Każdy strzał wstrząsał moim ciałem, jakby trafiały we mnie. Wydawało mi się, że zostałem zabity. Pociemniało mi w oczach. Na pewno na jakąś chwilę straciłem ze strachu przytomność, bo nie widziałem, jak Niemiec opuścił pokój.

Pierwsze, co zobaczyłem, gdy otworzyłem oczy, to kałuża krwi pod łóżkiem. Powoli zbliżała się do mnie. Trwało to dłuższą chwilę, zanim uprzytomniłem sobie, gdzie jestem i co się stało. Bardzo powoli odzyskiwałem pamięć. Nie wiedziałem, czy mogę już wyjść spod łóżka. Nasłuchiwałem, ale czułem się jeszcze ciągle ogłuszony. Chciałem zostać tam dalej schowany, ale kałuża krwi ciągle zbliżała się do mnie, pomimo że się od niej odsuwałem.

W końcu wyczołgałem się spod łóżka i z trudem stanąłem na nogach. Nie zdążyłem się jednak całkiem wyprostować, gdy nogi się pode mną ugięły, tak jakby nie chciały mnie nieść, i usiadłem na podłodze. Dopiero teraz odważyłem się spojrzeć na łóżko, gdzie leżał Gottowt. Zobaczyłem czarna sutannę i krew... Dużo krwi... Powoli wstałem, nie patrząc w stronę Gottowta. Stojąc już, zamknąłem oczy i powoli znów odwróciłem głowę w stronę łóżka. Wiedziałem, że zobaczę coś strasznego. Bałem się, że od samego widoku może mi się coś stać. Chciałem jak najszybciej uciec z tego pokoju, ale pomyślałem, że muszę najpierw sprawdzić, bo może Gottowt jeszcze żyje i jest tylko ranny. Powoli zacząłem otwierać oczy, jakbym chciał zatrzymać czas, aby przygotować się na to, co zobaczę... Byłem zdrętwiały z przerażenia i musiałem zebrać całą siłę woli, aby je całkiem otworzyć.

Gottowt bardziej siedział, niż leżał. Miał otwarte oczy, które patrzyły w sufit, i ciemny otwór w czole. Tył jego głowy był cały we krwi. Sutanna też. Nawet ściana i święty obraz nad nim obryzgane były krwią. Najbardziej jednak przeraziły mnie usta Gottowta. Były wyraźnie wykrzywione w uśmiechu, tak jakby żył i jeszcze ciągle się śmiał. Było coś makabrycznego w tej śmiejącej się, nieżywej postaci.

Moje nogi były jak wrośnięte w podłogę. Przez chwilę nie mogłem nimi poruszać. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że bardzo go kochałem. Czułem wielką potrzebę, żeby podejść i objąć go, tak serdecznie i z miłością, jak wcześniej. Nie mogłem się jednak na to zdobyć, strach paraliżował moje ruchy, zakryłem rękami twarz. Chciało mi się płakać, ale nie byłem do tego zdolny. Wydałem tylko z siebie jakiś nieartykułowany krzyk i uciekłem z tego strasznego

go pokoju na dwór. W ogóle nie myślałem o tym, że może są tam jeszcze Niemcy.

Niemców nie było, ale po przebiegnięciu kilkunastu metrów przypomniałem sobie, że w pokoju została moja torba z chlebem, więc przemogłem się i wróciłem po nią. Wiedziałem, że za wszelką cenę muszę przynieść rodzicom ten chleb. Po to mnie przecież posłali. Porwałem chleb z pokoju, przycisnąłem do piersi i zacząłem biec, ile tylko miałem sił w nogach.

Zapomniałem o ostrożności – zamiast iść dalej przez pola, wybiegłem znowu na ulicę. Mijałem ludzi, żołnierzy niemieckich, granatowych policjantów i na nikogo nie zwracałem uwagi, tylko biegłem i biegłem... Strach wyzwolił we mnie nowe siły, których przedtem nigdy nie miałem. Byłem w szoku i nie zdawałem sobie sprawy, co się dokoła mnie dzieje. Nawet gdy biegłem, wydawało mi się, że jeszcze ciągle znajduję się w pokoju Gottowta.

Po jakimś czasie znów znalazłem się niedaleko sklepu spożywczego, w którym kupiłem chleb. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że gdyby nie kiełbasa, którą w tym sklepie dostałem w prezencie, to na pewno ten niemiecki pies by na mnie skoczył i rozerwał na strzępy albo Niemiec by mnie zastrzelił. I tak nie można było zrozumieć, dlaczego pies udobruchał się kawałkiem kiełbasy.

Minąłem sklep, przede mną było jeszcze tylko kilka zabudowań. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, może dlatego, że w ogóle nie próbowałem być niezauważony. Przechodnie widzieli we mnie pewnie polskie dziecko, które matka posłała po chleb. Zacząłem powoli przychodzić do siebie i znów odczuwać niebezpieczeństwo. „Po tych zabudowaniach już będzie łatwiej" – pomyślałem. Bardzo już chciałem być z rodzicami i Luśką.

W jednym z domów z okna na parterze wychylał się jakiś chłopak. W ogóle nie pomyślałem, że z jego strony może mi coś grozić. Zbliżając się do niego, zauważyłem tylko, że pilnie mnie obserwuje. W pewnej chwili, gdy byłem już całkiem blisko, chłopak zaczął gwałtownie wymachiwać rękami i krzyczeć w moją stronę.

– Żydek! Żydek! Ja go znam! On mieszka na Klaśnie! Łapcie go!

Wskazywał na mnie ręką i rozglądając się naokoło, krzyczał do przechodniów.

– To jest Żydek! Łapcie go! Łapcie!

Był trochę zdziwiony, że nikt mnie nie łapał, chociaż sporo ludzi było na ulicy, kilku przechodniów obejrzało się za mną, ale nikt nie reagował. Zacząłem biec jeszcze szybciej. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że nie ma go już w oknie. Chciałem zwolnić, bo zaczynało mi już brakować tchu, ale on wybiegł na ulicę i zaczął mnie gonić, ciągle krzycząc: „Żydek!, Żydek!".

Przede mną było kilka osób, ale nikt nie próbował mnie zatrzymać. Ktoś nawet uśmiechnął się do mnie.

Chłopak był dużo starszy ode mnie i dystans między nami szybko się zmniejszał. Czułem, że jest już blisko. Zobaczyłem przed sobą jakiegoś przechodnia. „Może on mnie obroni?" – pomyślałem, ale nie miałem czasu go o to prosić i tylko popatrzyłem na niego błagalnym wzrokiem. Minąłem go i nagle usłyszałem tuż za sobą krzyk chłopca.

– Puść mnie pan! Puść mnie! To jest Żydek! Muszę go złapać!

Odwróciłem się i zobaczyłem, ze przechodzień trzyma chłopca i szamoce się z nim. Musiałem się zatrzymać, bo zabrakło mi tchu.

– Ale to jest przecież Żydek! – krzyczał chłopiec.

– Dlaczego wydzierasz mordę?! Co on ci złego zrobił?! – krzyczał na niego obcy mężczyzna, nie wypuszczając go z rąk.

Och, jaki byłem mu wdzięczny!

Szamotali się ze sobą, a ja znów zacząłem biec. Postanowiłem skręcić z drogi w pola, gdzie byłem mniej widoczny. Było już chyba po południu, ale słońce jeszcze ciągle prażyło. Odetchnąłem chwilę w wysokiej trawie i zacząłem dalej posuwać się wolno naprzód, teraz już bardzo ostrożnie. Dookoła mnie były pola i kilka zabudowań. Poczułem duże zmęczenie i postanowiłem odpocząć. Bałem się też, że lada chwila mój prześladowca może się znów pokazać.

Niedaleko mnie zauważyłem dużą szopę koło jakiegoś wiejskiego domu. Jej szerokie wrota zamknięte były na kłódkę, ale koło bocznych drzwi były drewniane schody na poddasze. Na górze nie było drzwi, tylko otwór.

Cicho jak kot wspiąłem się po schodach i wsunąłem głowę do szopy. Było tam tylko dużo siana. Położyłem się na nim i po chwili poczułem się lepiej i silniej. Było mi dobrze leżeć w sianie, lubiłem jego zapach. Nie wiem, jak długo tak leżałem, pamiętam tylko, że starałem się nie zasnąć. Zacząłem się też obawiać, czy zastanę rodziców tam, gdzie ich opuściłem.

Wypocząłem nieco i miałem zamiar już zejść, gdy nagle od strony domu usłyszałem głosy po niemiecku i po polsku. Ktoś spytał po polsku:

– A więc byli tu Żydzi w nocy czy nie?

Jakaś kobieta odpowiedziała:

– My nic nie wiemy. Było coś słychać, ale nie wiemy, co to było.

Mówili jeszcze coś, ale nie zrozumiałem, co. Nagle ktoś rozkazującym tonem powiedział po niemiecku: „Otworzyć tę szopę".

Zrozumiałem, że Niemcy będą sprawdzać miejsce, w którym się ukrywałem. Zacząłem się rozpaczliwie wkopywać w siano. Byłem już całkowicie przykryty, gdy przypomniałem sobie, że zostawiłem chleb i on może mnie zdradzić. Wykopałem się z siana, wziąłem chleb i razem z nim wkopałem się z powrotem. Ktoś przyniósł klucz i usłyszałem, jak otwierają się wrota szopy. Patrzyli, co tam jest na dole, a później usłyszałem, jak ktoś powiedział po niemiecku: „Karl, idź jeszcze sprawdzić na górze".

Serce znów zaczęło mi bić jak młotem. Czułem się, jakbym był znów u kresu życia. Słyszałem wolne, ciężkie kroki na schodach, a potem nastąpiła cisza. Nagle o mało nie krzyknąłem z bólu. Ktoś stanął mi na piersiach. Mimo że byłem dość głęboko w sianie, czułem olbrzymi nacisk. Zagryzłem z całej siły zęby, aby nie wydać z siebie żadnego głosu, i zamknąłem oczy. Na szczęście Niemiec poruszył się i zrobiło mi się trochę lżej. Widocznie stał teraz na mnie jedną nogą.

Bagnetem zaczął dźgać siano. Słyszałem, jak ostrze wchodzi w nie raz po raz z mojej lewej i prawej strony. Nie myślałem o niczym, tylko czekałem na cios, który skończy moje życie. Bałem się nawet oddychać. Trwało to tylko chwilę, ale dla mnie to były wieki. Wreszcie nacisk na moich piersiach ustał i znów usłyszałem ciężkie kroki Niemca na schodach, a równocześnie jego głos: „Hier ist Niemand da".

Jego słowa: „Tutaj nikogo nie ma", brzmiały w moich uszach jak piękna melodia. Odetchnąłem z ulgą i zrozumiałem, że znów zostałem uratowany.

Odczekałem jeszcze może pół godziny i ześliznąłem się po poręczy schodów. Teraz już byłem dużo ostrożniejszy, przemykałem się po polach ukradkiem i chowałem się, gdy z daleka widziałem ludzi. Obchodziłem zabudowania i zatrzymywałem się, nasłuchu-

jąc, jakbym był gonioną zwierzyną. Znalazłem gdzieś po drodze strumyk i ugasiłem pragnienie.

Niedługo potem zbliżyłem się do miejsca, które rano opuściłem. Torbę z chlebem przyciskałem do piersi, jakby miała mi przynieść wybawienie. Wszedłem w krzaki i zacząłem szukać rodziców. Ku mojej wielkiej radości byli dalej w tym samym miejscu. Byłem oszołomiony tym, co przeżyłem, ale miałem zarazem poczucie triumfu. Zadanie wykonałem – wróciłem z chlebem i uratowałem się.

Zbliżyłem się do nich niepostrzeżenie. Luśka i tato spali, a mama znowu się modliła. Nagle podniosła oczy i widząc mnie, krzyknęła: „Heniek!". Wyciągnęła do mnie ręce, jakbym przyszedł z innego świata. Ojciec zerwał się na nogi i zawołał: „Heniek, gdzie byłeś tak długo?". I nie czekając mojej odpowiedzi, dodał: „Myśmy już byli pewni, że cię Niemcy złapali".

Chciałem im wszystko opowiedzieć, ale nie byłem w stanie. Nagle ogarnęło mnie straszne zmęczenie, tak jakby to wszystko, co przeżyłem, dopiero teraz zaczęło na mnie działać. Byłem dalej w szoku. Padłem na ziemię i mogłem tylko wypowiedzieć trzy słowa: „Gottowt... nie... żyje". Mówiąc to i leżąc już na ziemi, uprzytomniłem sobie, że jeszcze ciągle przyciskam do piersi torbę z chlebem.

Rodzice widząc mój stan, dali mi odpocząć. Później ojciec wziął mnie nad strumyk, gdzie napiłem się wody. Dopiero gdy trochę przyszedłem do siebie, zacząłem opowiadać, co przeżyłem. Słuchali w milczeniu, ale w ich oczach widziałem przerażenie. Miałem wrażenie, że nie wiedzą, co dalej robić. Ojciec powiedział mi, że było słychać strzały i bardzo się o mnie bali.

Leżeliśmy w krzakach jak zwierzęta. Nie mieliśmy żadnego planu. Dziękowaliśmy teraz Bogu, że ratujemy swoje życie z godziny na godzinę. Instynktownie czułem, że ten stan nie może trwać długo i coś się musi stać, chociaż nie wiedziałem, co to będzie. Mój spokój i wewnętrzne przekonanie, że wszystko się ułoży, dziwiło mnie samego. Nie byłem w stanie wymyślić dla nas drogi ratunku, ale czułem, że ten ratunek przyjdzie.

Moi rodzice też byli zupełnie spokojni i nie wykazywali żadnej nerwowości ani rozpaczy. Nasza sytuacja była jednak rozpaczliwa. Nie wiem... Może w swej bezradności pogodzili się już z losem? Ja zdawałem się w zupełności na rodziców, ale chciałem żyć i byłem gotów walczyć o swoje istnienie. Wiedziałem, że gdy wpadnę w ręce Niemców, to moje życie się skończy.

Doznania tego dnia i oczekiwanie na coś nowego bardzo wyostrzyły moje zmysły. Słyszałem i widziałem dokładnie na dużo większą odległość niż normalnie. Nawet węch mi się zaostrzył i złapałem się na tym, że wietrzę jak pies.

W pewnej chwili, jeszcze zanim coś słyszałem, instynkt ostrzegł mnie, ze ktoś się do nas zbliża. Po chwili usłyszałem jakieś ostrożne kroki. Ktoś odsuwał gałęzie i podchodził do nas. Ojciec i matka jeszcze nic nie słyszeli, bo były to bardzo ciche szmery.

Stłumionym głosem krzyknąłem: „Ktoś idzie!". Zupełnie bezwiednie, w okropnym strachu, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, skoczyłem w gęste krzaki koło nas. Była to tylko mała kępka i nie mogliśmy się tam ukrywać, bo trudno było w nią wejść. Teraz jak spłoszone zwierzę wdarłem się w te krzaki, raniąc ręce i nogi o pokrzywy i kolce. Nie odczuwałem nic, poza strachem.

Zatrzymałem się dopiero, gdy usłyszałem obcy głos, który widocznie skierowany był do ojca, bo ojciec mu odpowiedział. Przykucnąłem w krzakach.

Byłem jak ogłuszony i nie mogłem zrozumieć treści rozmowy, jaka tam się toczyła. Trwało to dłuższą chwilę i głosy zamilkły. Odczekałem jeszcze jakiś czas i ostrożnie zacząłem wracać do rodziców. Prosiłem Pana Boga, aby byli dalej na tym samym miejscu, gdzie ich opuściłem. Serce waliło mi jak młotem, bo bałem się, że ich zabrano. Rozsunąłem ostrożnie gałęzie i... zobaczyłem ich. Rozglądali się wokoło, szukając mnie.

Matka mnie skarciła, abym nigdy więcej tego nie robił. Mówiła, że musimy być razem i nie wolno nam się rozdzielać. Co nas spotka, to spotka nas razem. Ojciec nie był na mnie zły; pogłaskał i przyciągnął ku sobie. Widocznie byłem bardzo blady ze strachu, zauważyłem też, że trzęsą mi się ręce.

Ojciec uspokoił mnie i powiedział, że zjawił się tu nagle jakiś mężczyzna i zażądał pieniędzy. Zagroził, że jeśli ich nie otrzyma, wyda nas Niemcom, którzy za takie usługi dają nagrody. Oni płacą – jak się wyraził – „od łebka" i dlatego ojciec musi każde z nas z osobna wykupić, aby on nie był stratny. On nie ma nic przeciwko Żydom, ale musi przecież z czegoś żyć, a czasy są ciężkie. Ojciec dał mu trochę pieniędzy, a później dodał zegarek mamy. Tamten kręcił trochę nosem i powiedział, że myślał, iż dostanie więcej. W końcu jednak zadowolił się tym, co dostał, i oddalił się. Ojciec powiedział, że to nie był chłop ze wsi, tylko człowiek całkiem inteligentny, z miasta, o czym świadczyły jego ubiór i mowa.

Stało się coś dziwnego. Wypadek ten wydobył moich rodziców z apatii i bezradności. Zaczęli się zastanawiać, co mamy dalej robić. Obawiali się, że chociaż ojciec mu zapłacił, to człowiek ten może nas wydać Niemcom. Trzeba było więc jak najszybciej ukryć się gdzie indziej. Ojciec postanowił, że będziemy szli ścieżkami koło krzaków dwa, trzy kilometry, a potem znowu się ukryjemy.

Przekradaliśmy się ostrożnie wśród krzaków, a czasem wychodziliśmy na pola. Na szczęście nie widać było ludzi i po jakimś czasie znaleźliśmy się na skraju lasu. Ojciec postanowił, że na razie tu się zatrzymamy, bo w lesie mogą być Niemcy. Znów weszliśmy w krzaki i zmęczeni rzuciliśmy się na ziemię. Chleb zjedliśmy wcześniej i zaczynaliśmy być głodni.

W oddali, na polach, znów słychać było strzały. Ojciec uważał, że musimy tu przeczekać, przynajmniej do wieczora, a później postanowimy, co dalej robić. Leżeliśmy i nasłuchiwaliśmy, czy ktoś nie idzie.

Wiedzieliśmy, że nasza sytuacja jest krytyczna i logicznie rzecz biorąc, może nawet beznadziejna, ale w moich rodziców wstąpiła jakaś nowa energia i było widoczne, że postanowili walczyć o nasze życie. Ja zaś nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że może się nam coś stać. Zdawałem sobie sprawę, co nam grozi, ale przestałem się bać. Mój stosunek do niebezpieczeństwa się zmienił. Może dlatego, że byłem już bardzo zmęczony. Może zdawałem się na rodziców i wierzyłem, że jak zawsze znajdą jakąś drogę ratunku. Może było mi już wszystko jedno. Nie wiem, ale czułem, że spokój i nadzieja na ocalenie zaczynają górować nad wszystkimi innymi moimi uczuciami.

Leżeliśmy tam może godzinę, gdy nagle krzaki się rozchyliły i przed nami ukazała się jakaś dziwna postać. Był to starszy, wysoki, chudy człowiek z siwą brodą, która opadała mu na długą, białą koszulę. Miał siwe, rzadkie włosy i duże, niebieskie oczy. Wyglądał jak chłop ze wsi.

Popatrzył na nas i widać było, że od razu zrozumiał, kim jesteśmy. „Z Wieliczki?" – spytał. Nikt z nas nie odpowiedział. On zaś jeszcze raz popatrzył na każdego z nas i wypowiedział pamiętne słowa – które całe życie dźwięczały mi w uszach i nadal je słyszę: „Och, mój Boże... Wy biedni... Ja bym wam nieba

uchylił". Powiedział to z wielkim smutkiem, a jego oczy wyrażały głęboki żal i litość.

Rodzice nic nie odpowiedzieli, ale wszystkich ogarnęło zdumienie. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich słów i wyrazów współczucia. Nawet Luśka patrzyła na niego z otwartymi ustami, jakby zobaczyła jakąś zjawę.

Powiedział, że mieszka niedaleko i wydaje mi się, że wspomniał coś o leśniczówce. Spytał, czy jesteśmy głodni. Matka przytaknęła. Powiedział, że zaraz przyniesie nam coś do jedzenia i zniknął w krzakach.

Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Czy można było mu wierzyć? A może wróci z Niemcami? Może trzeba znów uciekać w inne miejsce? Rodzice naradzili się i postanowili czekać dwadzieścia, trzydzieści minut. Jeśli do tego czasu nie wróci, oddalimy się z tego miejsca.

W pewnej chwili krzaki znów się rozchyliły i on stanął przed nami. Podał nam bańkę złożoną z kilku nasadzonych jedna na drugą aluminiowych menażek. W każdej z nich było cudowne jedzenie: w jednej zupa, w drugiej kartofle z mięsem, a w trzeciej kompot z jabłek. Jaki ten kompot był smaczny! Najlepszy, jaki jadłem w życiu, na zawsze zapamiętałem jego smak.

Ten starszy człowiek stał z boku i czekał, aż skończymy jeść. Oddaliśmy mu puste menażki i nie zdążyliśmy nawet podziękować, bo zaczął mówić do nas tak, jakby czuł się odpowiedzialny za nasze życie. Powiedział, że musimy uciekać w nocy, bo tu nie ma dla nas żadnej szansy ratunku. Zaproponował, że poprowadzi nas przez las, do małej stacji kolejowej w miejscowości Węgrzce i stamtąd pierwszym pociągiem rano razem z robotnikami pojedziemy do Tarnowa, gdzie będziemy mogli wejść do getta. Stacji Węgrzce Niemcy nigdy nie kontrolują, bo nie ma tam Żydów. Umówił się z rodzicami, że przyjdzie po nas i radził, abyśmy teraz spali, bo czeka nas długa i ciężka droga.

Byliśmy syci i pokrzepieni na duchu, ale o spaniu nie było mowy. Luśka też zaczęła marudzić i trudno ją było uspokoić. W miarę upływu czasu nasze podniecenie stawało się coraz większe. Chociaż nie trzeba było długo czekać, bo zaczynało się ściemniać.

Wkrótce zapadła noc. Cały czas patrzyliśmy na to miejsce w krzakach, gdzie spodziewaliśmy się go zobaczyć. Wreszcie się zjawił. Ubrany był teraz na ciemno, a na plecach miał mały plecak. Powiedział ojcu, że ma wodę i coś słodkiego, na wypadek, gdyby zabrakło nam sił. Mieliśmy iść za nim, ale jak najciszej, bo Niemcy mogą być jeszcze w okolicy. On sam chodził jak kot – w ogóle nie było go słychać. Widać było, że dobrze zna ten las, bo prowadził nas różnymi wąskimi, ledwo widocznymi ścieżkami, niekiedy zaś po mchu i po korzeniach drzew lub po kamieniach.

Po mniej więcej dwóch godzinach takiego chodzenia byliśmy już bardzo zmęczeni i nasz przewodnik zrobił przerwę na odpoczynek. Usiedliśmy na jakimś obalonym drzewie. Dał nam najpierw wodę do picia, a później każdy z nas dostał dużą kromkę chleba, posmarowaną grubo miodem. On też jadł z nami. Powiedział, że teraz musimy być szczególnie ostrożni, bo będziemy szli ścieżkami koło drogi, którą często patrolują Niemcy.

Na jego znak podnieśliśmy się i znów zaczęliśmy iść za nim. Ojciec trzymał Luśkę na rękach i pomagał mamie, a mnie trzymał za rękę nasz przewodnik. Podtrzymywał mnie też w trudnych miejscach. Bez jego pomocy wiele razy bym upadł. Czasami, na przykład gdy trzeba było przejść po kamieniach przez jakiś strumyk, przeprowadzał najpierw mnie, a później wracał po mamę i na końcu pomagał ojcu i Lusce.

Była jasna noc, ale w lesie miejscami było prawie zupełnie ciemno. Nasze oczy jednak szybko przyzwyczaiły się do ciemności. Czasami stawaliśmy i on nasłuchiwał. Ja zaś wietrzyłem nosem jak zwierzę. Szliśmy koło szosy i za każdym razem, kiedy jechało jakieś auto, rzucaliśmy się na ziemię.

W pewnym momencie na szosie ukazały się jakieś migocące światełka i nasz przewodnik dał nam znak, abyśmy padli na ziemię. I znów mieliśmy niesamowite szczęście. Okazało się, że był to pieszy patrol niemiecki z psem; przeszli o kilka kroków od nas i niczego nie zauważyli, a pies nas nie wyczuł. Później jeszcze kilka razy szły patrole lub jechały wojskowe auta. Trwało to jakiś czas, aż znów weszliśmy w głębszy las.

Nagle złapałem się na tym, że idąc, śpię. Czułem, że nasz przewodnik mocno objął mnie ramieniem. Za każdym razem, kiedy się budziłem, zasypiałem zaraz z powrotem, ale jednak szedłem. Jego ramię nie pozwalało mi upaść. Jeszcze dwa razy robiliśmy przerwy na odpoczynek, ale było nam coraz ciężej. On był najstarszy z nas, ale nie wykazywał żadnych śladów zmęczenia. Cały czas nami kierował, pomagał nam i dodawał otuchy, a co najważniejsze – cudownie orientował się w terenie.

Do stacji kolejowej Węgrzce przybyliśmy o świcie. Wszyscy, oprócz naszego przewodnika, byliśmy u kresu sił. Był tam mały domek stacyjny. Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości od niego i przewodnik poszedł sprawdzić, czy na stacji nie ma Niemców i ile kosztują bilety do Tarnowa, bo ojciec nie był pewien, czy starczy mu pieniędzy. Leśniczy wrócił i doniósł nam, że na stacji nikogo nie ma. Okazało się, że ojca pieniądze jeszcze starczą akurat na bilety do Tarnowa, i leśniczy znów wrócił na stację, aby je kupić.

Pociąg odchodził za niecałą godzinę i on cały czas czekał z nami na stacji, tak jakby czuł się za nas odpowiedzialny. Dodawał nam otuchy i wiary w ocalenie, przestrzegał, byśmy mieli się na baczności. Ojciec i matka dziękowali mu. Mnie wydało się nagle, że to nie jest człowiek, tylko anioł i pocałowałem go w rękę, co go bardzo zawstydziło. Na stacji zebrało się kilku robotników, ale nie zwracali na nas uwagi.

Wreszcie pociąg do Tarnowa wjechał na stację i nasz przewodnik pomógł nam wejść do wagonu, po czym dał ojcu swój plecak ze słowami: „Tam jest dla was śniadanie. Jedźcie z Bogiem i oby miał was w swojej opiece". Obiema rękami rzucił nam całusa i oddalił się.

Człowieka tego już więcej nie spotkałem, nasze poszukiwania po wojnie spełzły na niczym. Nie znaliśmy jego nazwiska. Czyniliśmy wiele wysiłków, aby go odnaleźć, ale wszelki ślad po nim zaginął. Był to najszlachetniejszy człowiek, jakiego spotkałem w swoim życiu. Nie ulega żadnej wątpliwości, że tylko dzięki niemu zdołaliśmy się wtedy uratować. Z narażeniem życia, z własnej inicjatywy i zupełnie bezinteresownie wziął na siebie tak olbrzymie niebezpieczeństwo, po to, by ratować obcych ludzi. Ratował bliźnich, bo tak nakazywało mu sumienie.

Wiele razy w życiu o nim myślałem. Za każdym razem, kiedy rodziły się moje dzieci i moje wnuki, myślałem o nim, że on też ma swój udział w tych radosnych dla mnie wydarzeniach.

Przyznaję, nieraz wracało do mnie to poczucie, że to nie był człowiek, tylko anioł w ludzkiej postaci. Czasem myślałem, że może każdy potrafi być aniołem, jeżeli tylko tego chce. Pamięć o nim napawała mnie wiarą w ludzi przez całe moje życie i pamięć tę noszę zawsze w swoim sercu.

Wtedy, jadąc pociągiem do Tarnowa i z bojaźnią w sercu prosząc Boga, byśmy szczęśliwie dojechali,

jeszcze nie wiedziałem, co się stało z moimi najbliższymi i drogimi ludźmi w Wieliczce. Dowiedzieliśmy się później.

Ciocia Liba razem z Francis i Felusią zostały zastrzelone na cmentarzu w Wieliczce. Najpierw zamordowano Francis i Felusię, na oczach matki, a później ciocię Libę. Kobieta, u której były schowane, wyrzuciła je podczas akcji.

Wujek Schenker z rodziną i kilkunastoma innymi osobami byli schowani w garbarni na Klaśnie. Oddani im robotnicy zamurowali ich tam w jakimś magazynie. Po dwóch tygodniach udało im się wyjechać w nocy autem ciężarowym z Wieliczki do Bochni i tam dostali się do getta.

Nicha Armer wraz z rodziną zginęła uduszona w komorze gazowej w Bełżcu.

Jankiel z rodziną i Adaś Grossfeld z rodziną też tam zginęli.

Adama zastrzelono, tak jak jego ojca, przed domem, razem z jego sparaliżowaną babcią, którą wywleczono z łóżka.

Zylek wraz z sześciuset innymi chłopcami został wysłany do obozu w Płaszowie. Po jakimś czasie zachorował tam na jakąś zakaźną chorobę i Niemcy go zastrzelili. Taki był los ludzi, których kochałem i których bestialska siła wyrwała z życia.

Płaczę po nich do dziś.

Henryk Schönker (ur. w 1931 roku w Krakowie) – przeżył wojnę, ukrywając się wraz z rodzicami i rodzeństwem. Po wojnie powrócili do Oświęcimia, gdzie ukończył gimnazjum, następnie studiował na wydziale mechanicznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Częstochowie oraz Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W 1955 roku wyjechał do Wiednia, a stamtąd w 1961 roku do Izraela, gdzie osiadł na stałe. Tam podjął pracę w zakładach lotniczych. W 1987 przeszedł na emeryturę.

TO BYLI POLACY

Janina Ekier

Urodziłam się 4 września 1932 roku. I właśnie w dzień moich urodzin ojciec z moim starszym bratem, Ryśkiem, opuścili miasto i poszli na wschód, żeby tam przyłączyć się do armii, bo władze wystąpiły z odezwą w radio i w gazetach, żeby wszyscy mężczyźni w wieku poborowym zgłosili się do wojska, ponieważ zbliżają się Niemcy.

Ojciec przed wyjazdem powiedział do mamy: „Ty nic się nie bój, wojna szybko się skończy. Niemcy kobiecie z dwojgiem dzieci nic nie zrobią, to przecież kulturalny naród".

Tak się pożegnaliśmy.

Ja z mamą i młodszym bratem Olkiem mieszkaliśmy w Krakowie przy ul. Grzegórzeckiej 4. Mieliśmy duże, pięciopokojowe mieszkanie i Niemcy po dwóch, może trzech tygodniach wpakowali nam do mieszkania volksdeutschkę – Polkę, prostytutkę z małą dziewczynką. Zajęliśmy jeden pokój, a ta pani dostała resztę: sypialnię, bawialnię i pokój przyjęć. Mama musiała tym dwóm lokatorkom gotować, sprzątać i prać. Niemcy przychodzili, a ja sobie nie zdawałam sprawy, w jakim celu. Bawiłam się z tą małą dziewczynką w kuchni. Moja matka szalała. To trwało może dwa miesiące.

Fragmenty tekstu pochodzą z: *Ustna harmonijka...*, *op. cit.*, s. 221–237.

Na mieście łapali ludzi do robót w Niemczech. Brat stale chodził po ulicach, zdejmował opaskę, bo miał dobry wygląd, i opowiadał, co się dzieje.

Tymczasem matka złożyła podanie, żeby dostać się do getta, ale otrzymaliśmy odpowiedź odmowną, bo byliśmy elementem nieproduktywnym. Dlatego musieliśmy opuścić Kraków. Pociągiem Żydom nie wolno było jeździć, autobusem też, więc matka wynajęła brykę i z babcią, ciocią i jej mężem i dwiema córkami – wszystkimi z rodziny, którzy się nie dostali do getta – przenieśliśmy się na wieś, która nazywała się Gdów.

Wynajęliśmy mieszkanie u wdowy, Polki. Ona mieszkała na pierwszym piętrze. Na dole były trzy pokoje. Jeden dla nas, drugi dla cioci, a trzeci dla babci.

W Krakowie szalało piekło. Zostali tam bracia mojego ojca. Pewnego razu wujek napisał, że poszedł do pracy i jak wrócił, to już nie zastał żony ani dzieci. Poczta kursowała z opóźnieniem, lecz niekiedy dochodziły listy z takimi ciężkimi wieściami. A my u wdowy żyliśmy nawet całkiem na swobodzie. Właściwie ja się tam po raz pierwszy zetknęłam ze wsią. Latałam boso po łąkach, po kałużach, po deszczu – oddychałam zakazaną wolnością.

Życie toczyło się w miarę zwyczajnie. Ale stale dochodziły do nas różne wieści. A to, że ten zginął, tamten poszedł do pracy i nie wrócił, innego zastrzelili.

Tymczasem we wsi powstał Judenrat – Rada Żydowska pod kontrolą niemiecką. I głową Judenratu okazał się dobry znajomy mojej matki. Powiedział jej pewnego razu, że Niemcy kazali mu dostarczyć dziesięciu czy dwunastu mężczyzn. Ale nie wiedział, kogo ma wybrać, więc poszedł sam, świadomy, że na stracenie. Moja matka strasznie to przeżywała. Stwierdziła, że jeśli jego zabrali, to nas także zabiorą. Nie wiem, czy była wielką pesymistką, czy po prostu zdawała sobie sprawę, co nas czeka, ale zawsze widziała wszystko w czarnych kolorach. Jednak dotrwaliśmy tam jakoś do sierpnia 1942 roku. Wtedy to wyszło zarządzenie, że mamy opuścić Gdów. Wolno nam było wynająć furę, żeby załadować na nią dobytek. Mieliśmy się stawić w Wieliczce. Rano przyjechała nasza fura. Siadaliśmy na niej po kolei i wtedy do mojej mamy podeszła nasza gospodyni i powiedziała: „Pani, daj mi tę kieckę, pani już tego nie będzie potrzebować". A mama odtrąciła jej rękę i nakazała: „Ruszamy!". Nigdy tego nie zapomnę.

Po drodze mijaliśmy tysiące fur. Zawsze, kiedy o tym myślę, przypomina mi się wyjście z Egiptu.

Do Wieliczki przyjechaliśmy po południu. Przydzielono nas do mieszkania żydowskiego w Rynku. W jednym dużym pokoju w każdym kącie była rodzina. Cztery kąty – cztery rodziny. Moja mama lamentowała: „To już koniec, to koniec".

Po raz pierwszy wypuściłam się z moimi kuzyneczkami na miasto. Zobaczyłyśmy biedne żydowskie dzieci – dotąd nie widziałam takiej biedy. Te dzieci handlowały czymś, krzyczały po polsku i po żydowsku: „Mame, mame".

Matka miała przyjaciółkę, Austriaczkę, chrześcijankę, która wyszła za mąż za Żyda. Nazywała się Maus. Jej mąż i mój ojciec 4 września wyruszyli na wschód. Przed wojną żyli w długoletniej przyjaźni i Mausowa zawsze powtarzała, że w razie wysiedlenia czy likwidacji będzie gotowa wziąć mnie do siebie. Pożegnałam się z mamą i pojechałam autobusem. Weszłam na górę, na drugie piętro. Mausowa otworzyła drzwi, spojrzała na mnie przez szparę i wykrzyknęła złą polszczyzną: „Jak twoja mama szmiała przysłać cię do mnie!". I zatrzasnęła drzwi. Wróciłam do Wieliczki. Mojej mamie, jak mnie zobaczyła, zro-

biło się słabo. Miała szalone oczy. A brat powtarzał tylko bez przerwy: „Mamo, ratuj Halinkę, mamo ratuj Halinkę, ratuj ją". Wtedy mama poszła na pocztę i wysyłała telegramy do znajomych Polaków.

Kilka dni później wyszło rozporządzenie, że wszyscy Żydzi mają się stawić na dużym placu koło stacji kolejowej o ósmej rano[585]. Matka przygotowała mi plecak, brat miał walizkę, a sama niczego nie wzięła. „Nam już nic nie jest potrzebne" – orzekła.

Na placu ustawiono nas rzędami. Staliśmy tak wiele godzin w strasznym upale, bez wody, bez ubikacji, otoczeni Niemcami, polską policją i wilczurami. Gdzieś po południu mama nagle powiedziała: „Chodź szybko, oni przyjechali, oni już przyszli". Nie wiedziałam, o co jej chodzi. A tymczasem cały tłum już ruszał w stronę wagonów. Większość została wysłana do Bełżca. Stamtąd się nie wracało.

Matka kazała zostawić mi plecak, złapała mnie za rękę i zaczęłyśmy się przedzierać przez tłum. Ludzie płakali, krzyczeli i przeklinali. A matka powtarzała: „Chodź szybko, bo oni odejdą". Przedrzeć się przez ten tłum to był cud – nie wiem, jak matce się to udało, chyba zebrała jakieś nadludzkie siły.

Wreszcie dotarłyśmy na skraj, a tam stała para Polaków. Rozglądali się wokoło. I nagle mama pchnęła mnie w kierunku tych ludzi, mówiąc: „Idź z nimi!". A do nich: „Zobaczycie, będziecie mieli w niej wierną przyjaciółkę".

Nie pożegnała się, zniknęła w tłumie. A ja stałam przed tymi obcymi ludźmi milcząca i wystraszona. Byłam strasznie rozczochrana i ta pani powiedziała: „Przede wszystkim głowa do góry, tylko żydowskie dzieci chodzą z głową w dół". Przygładziła mi włosy. Wyciągnęła z torebki jakąś wąską wstążeczkę, jak od bombonierki, i zawiązała mi na głowie kokardę. Potem zdjęła z własnej szyi medalionik z Matką Boską Częstochowską i powiesiła na mojej. Obydwoje wzięli mnie za ręce i poszliśmy do autobusu.

To byli Polacy, którzy odpowiedzieli na telegram matki.

Janina Ekier (ur. 4 września 1932 roku) – okupację spędziła, ukrywając się na aryjskich papierach w polskiej rodzinie. Kilka lat po wyzwoleniu wyjechała do Izraela wraz z matką, która spędziła wojnę w obozie w Płaszowie, oraz ojcem i bratem. Pracowała w Izraelskich Liniach Lotniczych. Z „polskimi rodzicami", u których ukrywała się od 1942 roku i z którymi mieszkała także po wojnie, utrzymywała kontakt i odwiedzała ich w Polsce aż do ich śmierci.

[585] Zob. przyp. 516.



Stoją od lewej: Osi (nazwisko nieznane), Lulek Friedman, Uri Szmulewicz, Nathan Gutman; siedzą: Alisia Kleinberger, Roman Licht, Rita (nazwisko nieznane), w domu przy ul. Kilińskiego 5, 17 lutego 1942 roku

NA WYGNANIU W WIELICZCE

Nathan Gutman

Lato 1939 minęło szybko, tak jak każdego roku. Wakacje dobiegały końca i oprócz naszej corocznej pielgrzymki w góry nie wydarzyło się nic szczególnie ekscytującego. Nikt nie przejmował się zbytnio pogłoskami o nadchodzącej wojnie. Do końca wakacji pozostało jeszcze kilka dni, więc moja mama zdecydowała, że pojedziemy do jej siostry, cioci Stefy, do Krakowa. Kraków był zaledwie godzinę drogi pociągiem od naszego domu w Katowicach. Spakowaliśmy więc niewielką walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami i wyruszyliśmy.

Ciocia była zachwycona naszym przyjazdem. Mieszkała w niewielkim mieszkaniu w centrum miasta. To były piękne dni późnego lata. Sypialiśmy przy szeroko otwartych oknach, a chłodne nocne powietrze przynosiło cudowne orzeźwienie. Którejś nocy, tuż przed świtem, obudziło mnie wycie silników samolotowych. Nie był to jednostajny pomruk, ale przeciągłe wycie, towarzyszące nurkującym i wznoszącym się ponownie maszynom. Słychać było głośne, podobne do grzmotów wybuchy. Wyskoczyłem z łóżka i wyjrzałem przez okno. Były ledwie dostrzegalne, ale ja je widziałem, trzy, cztery lub pięć, dzisiaj ciężko to powiedzieć. Jeden za drugim nurkowały nad dachami ciągle śpiącego miasta, a po każdym takim manewrze następowała eksplozja i widać

Fragmenty tekstu pochodzą z: N. Gutman, *Why I Fasted on Yom Kippur* (niepublikowany maszynopis); N. Gutman, *The Execution of Capo Beim* (niepublikowany maszynopis), Simsbury 1989. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

było chmurę dymu. Po kilku minutach zaczęły wyć syreny, najpierw jedna, stopniowo coraz więcej, aż kakofonia ich głosów wypełniła powietrze. Nazistowskie Niemcy zaatakowały Polskę. Miasto obudziło się 1 września 1939 roku wraz z początkiem II wojny światowej.

Pociągi nie kursowały. Nie mogliśmy wrócić do domu. Byliśmy uwięzieni w Krakowie. Po kilku dniach przyjechał daimlerem ojciec razem z naszym szoferem Albertem. Niemcy szybko dotarli do Krakowa, od zachodu i południa. Większość żydowskiej społeczności miasta nie była w pełni świadoma, co spotkało Żydów w Niemczech, więc starała się podążyć na wschód, w stronę granicy z Rosją. My także tak zrobiliśmy. Spakowaliśmy tyle rzeczy, ile zmieściło się do pojemnego daimlera, i wyruszyliśmy w kierunku Lublina. W normalnych warunkach przejechanie dwustu pięćdziesięciu kilometrów nie zajęłoby wiele czasu, ale wyglądało na to, że na drogę wyległo całe miasto. Za naszymi plecami rozległ się dźwięk nadlatujących samolotów. Najpierw były to tylko dwie małe srebrne kropki, które szybko zbliżyły się do nas i kilkakrotnie przeleciały nad naszymi głowami. Wyglądały niewinnie, niektórzy zaczęli do nich machać. Samoloty zrobiły jeszcze kilka okrążeń nad nami, po czym zanurkowały i otworzyły ogień do niczego niepodejrzewających uchodźców. Zewsząd podniósł się do nieba krzyk rannych. Ojciec szybko wyciągnął mnie z samochodu i wepchnął do przydrożnego rowu, wskoczył na mnie, prawie miażdżąc mnie swym ciężarem. Dwa samoloty zrobiły jeszcze kilka kółek i oddaliły się w kierunku północnym. To było nasze pierwsze spotkanie z prawdziwą wojną.

Ojciec wiedział, że nie uda się umknąć przed Niemcami. Zdecydował, że wracamy do Krakowa. Porzuciliśmy daimlera, nie mogąc go wydobyć z rowu. Wzięliśmy tyle, ile daliśmy radę unieść, i podążyliśmy w stronę Krakowa na piechotę. Niektórzy z uchodźców próbowali iść dalej na wschód, ale większość zawróciła w stronę Krakowa. Szliśmy kilka dni, aż dotarliśmy do Wieliczki, znajdującej się około czternastu kilometrów na zachód od Krakowa. Ojciec znał tam pewnego rolnika, który za odpowiednią opłatą zgodził się dać nam schronienie w swoim domu. Oddał nam jeden niewielki pokój. Nie było tam bieżącej wody ani toalet. Wodę przynosiliśmy ze studni, która była na podwórzu. Wychodek był z tyłu domu. W naszym pokoju był mały żelazny piecyk, wiadro z węglem, jedno wysokie łóżko i rachityczny stolik obok niego. Wieczorem siadywaliśmy wokół lampy naftowej, zastanawiając się, kiedy skończy się wojna i co będzie dalej.

Każdego ranka mój ojciec znikał w mieście. Wracał zwykle tuż przed zmierzchem i niczym magik wyciągał spod płaszcza czasem małego kurczaka, czasem bochenek chleba lub kilka surowych ziemniaków. Nie wiedziałem, skąd te rzeczy pochodzą, ale było dla mnie oczywiste, że jeśli ktokolwiek jest w stanie przechytrzyć Niemców, to właśnie mój ojciec. Czasem wracał też z jakimś krewnym. Kiedyś przyprowadził ciocię Stefę i babcię. Stopniowo nasz mały pokój stał się zatłoczony – mieszkaliśmy tam w osiem osób: babcia ze strony mamy, ciocia Stefa, wujek Jakub, jego żona Regina i córka Tusia i nas troje.

W ciągu dnia wszyscy dorośli szli do swoich zajęć. Ja, dwunastoletni chłopiec, zostawałem z moją siedemdziesięcioletnią babcią. Była ona niską, drobną kobietą, zawsze ubraną w sięgającą kostek czarną spódnicę i błyszczącą białą bluzkę. Zawsze też miała na sobie fartuch. Była bardzo religijna. Nieustannie modliła się i nuciła wersy w języku, którego nie rozumiałem. Zapalała szabatowe świece, czyniąc każdy

piątek wyjątkowym dniem. Głęboko wierzyła, że Bóg nas uchroni od wszelkiego zła. Do końca nie porzuciła nadziei.

Zaawansowany wiek nie powstrzymywał jej przed gotowaniem, sprzątaniem i oporządzaniem nas wszystkich. Zawsze potrafiła sobie znaleźć zajęcie; nigdy nie odpoczywała. Pamiętam, że w tych dniach, gdy wszystkiego brakowało i nie można było dostać mąki, aby upiec chleb, ona robiła go z ziemniaków. Był lepki i ciężki, ale głód sprawiał, że smakował bosko.

To od niej się nauczyłem, jak rzeczy, które nawet nie wyglądały na jadalne, zamieniać w przysmaki. Jej wyobraźnia zdawała się niewyczerpana. Nauczyła mnie, jak naprawiać skarpety i łatać dziury w spodniach. Kiedy ona gotowała i sprzątała, ja przynosiłem wodę ze studni lub wykopywałem kartofle na pobliskim poletku. Ona także nauczyła mnie recytować *Słuchaj Izraelu*. W trudnych chwilach, które miały nadejść, modlitwa ta stała się moją mantrą i wielokrotnie ratowała mi życie. Babcia przekazała mi także podstawowe umiejętności niezbędne do przeżycia.

Zbliżały się moje trzynaste urodziny i jak każdy żydowski chłopiec czekałem na swoją bar micwę. Babcia wzięła na siebie obowiązek nauczenia mnie stosownych modlitw i opowiedziała mi o korzeniach naszej kultury i religii. Powtarzałem za nią modlitwy i w ten sposób je zapamiętywałem. Przygotowała mnie na przejście z dzieciństwa w dorosłość, w którą wpisywał się między innymi nakaz poszczenia w Jom Kippur. Ale nie doczekałem się bar micwy.

Każdego dnia Niemcy wydawali nowe rozporządzenia. Żydzi nie mogli robić tego czy tamtego. Musieli nosić na rękawach białe opaski z błękitną gwiazdą Dawida. Nie wolno im było chodzić po chodnikach. Ciągle pojawiały się nowe zakazy, a lista restrykcji stale się wydłużała.

Żydowskie dzieci nie mogły chodzić do szkoły. Idzia Kronfeld, Żydówka i była nauczycielka, zignorowała niemiecki zakaz i organizowała w swoim domu tajne nauczanie, ryzykując życie. Ja także uczyłem się w jej klasie.

Dotarła do nas informacja, że w Krakowie Żydzi zostali zgromadzeni na niewielkim, zrujnowanym obszarze miasta, który został ustanowiony żydowskim gettem. Wszyscy Żydzi musieli opuścić domy i tam się przenieść. Mogli zabrać tylko kilka osobistych rzeczy.

Życie w Wieliczce stało się bardzo trudne. Niemcy co kilka dni robili naloty i wywlekali wszystkich Żydów, których mogli znaleźć. Pomaganie Żydom lub ich ukrywanie stało się przestępstwem karanym śmiercią. Nasz gospodarz zaczął się panicznie bać. Nalegał, abyśmy wszyscy opuścili jego dom, ale ojciec przekonał go, aby zgodził się ukrywać przynajmniej mnie. Z moimi jasnoblond włosami i niebieskimi oczami mogłem śmiało uchodzić za nie-Żyda. Miał opowiedzieć swoim sąsiadom, że jestem jego bratankiem, który przyjechał z odległej wioski. Ojciec miał odebrać mnie po wojnie.

Cała moja rodzina wyjechała. Przez kilka tygodni mieszkałem w Wieliczce i pomagałem mojemu gospodarzowi w codziennych zajęciach. Przynosiłem wodę ze studni, wybierałem jajka spod kur, pieliłem ogródek warzywny. Jednak przez większość czasu starałem się być niewidoczny.

Któregoś dnia Niemcy chodzili po Wieliczce od drzwi do drzwi w poszukiwaniu Żydów. Gospodarz umieścił mnie w stodole i nakrył belą siana. Nie znaleźli mnie, ale już było wiadomo, że potrzebuję pewniejszej kryjówki.

W domu, tuż obok ściany, podnieśliśmy kilka belek podłogowych i wykopaliśmy w podłodze otwór

na tyle duży, abym zdołał się tam wcisnąć. Zrobiliśmy także otwór, abym mógł oddychać. Za każdym razem, kiedy Niemcy szukali Żydów, gospodarz podnosił deski, a ja wczołgiwałem się do skrytki.

Niemcy nie byli zadowoleni z faktu, że w mieście nie ma już Żydów. Zaczęli robić niespodziewane naloty dniami i nocami oraz używać psów do szukania ukrywających się. Od tamtej pory gospodarz kazał mi siedzieć w ukryciu niemal bez przerwy, ośmielając się wypuścić mnie jedynie na noc. Jednak po tym, gdy spędziłem w kryjówce trzy tygodnie, uznał, że nie może mnie dłużej ukrywać. Musiałem odejść.

Którejś spokojnej, rześkiej nocy wyciągnął mnie z ukrycia, dał bochenek chleba i adres rodziców w krakowskim getcie, nabazgrany na kawałku brązowego papieru. Pod osłoną nocy zaprowadził mnie do biegnących w pobliżu torów kolejowych i powiedział, abym szedł wzdłuż nich, aż dojdę do miasta. Miałem udawać biednego polskiego chłopca zbierającego węgiel, który spadł z transportów kolejowych. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Była to albo chciwość, albo strach. Wielu ludzi w Wieliczce pomagało Niemcom w poszukiwaniu Żydów. Gdy tylko Żydzi opuszczali jakieś mieszkanie, zaraz wprowadzali się do niego polscy sąsiedzi. Było to wręcz niewiarygodne, jak ci na pierwszy rzut oka spokojni i bogobojni ludzie szybko zmieniali się w prymitywnych informatorów i chciwych szabrowników. Naziści wspierali ten proceder, nazywając go sekwestracją. Wciąż pozostało wiele zjawisk z tamtego okresu, które wymykają się racjonalnym wyjaśnieniom.

Przejście tych czternastu kilometrów do Krakowa zajęło mi pełne pięć dni. Wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać. Każdej nocy szedłem przez kilka godzin, a za dnia chowałem się na polach. Piątego dnia przekradłem się przez krakowskie ulice do części miasta, w której znajdowało się getto, i jakimś cudem odnalazłem rodziców. Na kilka następnych miesięcy znowu byliśmy razem. W październiku 1942 roku, podczas gdy ojciec i ja byliśmy w „pracy", moja mama została wywieziona do obozu zagłady w Bełżcu. Nigdy już o niej nie usłyszeliśmy. My tymczasem zostaliśmy przeniesieni do niesławnego obozu pracy w Płaszowie, a stamtąd do Mauthausen, gdzie nas rozdzielono. Ojca wysłano do Gusen, gdzie zmarł w lutym 1945 roku, natomiast mnie do St. Valentin, a później z powrotem do Mauthausen, gdzie doczekałem końca wojny.

Polski rząd nigdy nie podjął żadnej realnej próby zrekompensowania Żydom lub ich prawowitym spadkobiercom utraty nieruchomości zajętych przez szabrowników. Przed wojną w Polsce było około trzech i pół miliona Żydów. Zostawili cały swój majątek, który przeszedł w ręce łupieżców.

Nathan Gutman (ur. 24 lipca 1927 roku w Katowicach) – w czasie wojny przebywał w getcie w Krakowie i obozach w Płaszowie, St. Valentin i Mauthausen (Austria). Po wyzwoleniu został przeszmuglowany przez Brygadę Żydowską do południowych Włoch, gdzie przyłączył się do Irgun Cwai Leumi. Do Izraela przypłynął w czerwcu 1948 roku jako członek załogi niesławnego statku Altalena. Zgłosił się na ochotnika do marynarki. Pracował jako spawacz, producent narzędzi, kierownik, a następnie właściciel warsztatu mechanicznego. Studiował fizykę i matematykę na Uniwersytecie w Bar-Ilan. W 1963 został przyjęty na studia na Wydziale Inżynierii Politechniki w Blacksburg, VA. Ukończył je w 1966. Na Rensselaer Polytechnic Institute zdobył wyższe wykształcenie na kierunku zarządzanie. Wykładał w filii tejże uczelni w Hartford. Posiada jedenaście amerykańskich i zagranicznych patentów w dziedzinie przemysłu budowlanego i sterowania silników wysokoprężnych.

O JEDNYM ZE SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA

Zelig Goldstein

Gdy wróciłem po wojnie do Wieliczki, słyszałem od znajomych Polaków – a ich świadectwo jest wiarygodne – co następuje. W kopalni soli pracował rzeźbiarz (który rzeźbił z soli posągi i inne znajdujące się tam dekoracje) Wojciech Skaliński. Podczas niemieckiej okupacji Skaliński schował w głębiach kopalni około osiemnastu Żydów i dbał o wszystko, czego potrzebowali. Pewnego dnia ktoś poskarżył się na niego i na to, co robił, przed nazistami, a ci natychmiast znaleźli całą grupę ukrywających się i zamordowali ich wraz z Wojciechem Skalińskim. Niechaj będzie jego imię zachowane między Polakami, którzy narażali swoje życie, żeby ocalić synów naszego narodu w dniach Holokaustu.

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 103. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.



Żołnierze niemieccy przed bramą wjazdową do kopalni soli
przy szybie Daniłowicza, około 1942 roku

HIMMELKOMMANDO

Jan Jabłoński

W połowie czerwca 1944 roku esesmani przywieźli mnie samochodem pod otoczoną drutem kolczastym bramę. Potem przedstawiają jakieś dokumenty, jest wartownia, druga wartownia, tam też pokazują dokumenty, prowadzą mnie jeszcze dalej i wtedy widzę napis: „szyb Daniłowicza". To Wieliczka – przywieźli mnie do kopalni soli[586].

Fragmenty tekstu opublikowanego w kwartalniku „Karta" 2011, nr 66. Wywiad z Janem Jabłońskim przeprowadziła Agnieszka Uścińska w ramach programu „Historia mówiona".

[586] Zob. komentarz Małgorzaty Międzobrodzkiej, „Karta" 66, 2011: „Na przełomie czerwca i lipca 1944 do kopalni wielickiej przeniesiono wydział blacharski zakładów lotniczych Ernst Heinkel Flugzeugwerke z Mielca, który miał tu produkować elementy poszycia nocnego myśliwca He 219 Uhu. Decyzję w tej sprawie podjęto w końcu marca, a już w kwietniu, w bezpośrednim sąsiedztwie szybu Daniłowicza, rozpoczęto budowę obozu o nazwie Abraumbetrieb Wilhelmsburg – AL Wieliczka. Obóz składał się z dziesięciu-piętnastu baraków, otoczonych podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego i wieżami strażniczymi.
Od maja 1944 był podobozem niemieckiego obozu w Płaszowie. Jego komendantem został Josef Leipold; przebywało w nim od trzech i pół do sześciu tysięcy więźniów. Początkowo byli to tylko więźniowie oddelegowani z obozu w Płaszowie. Prowadzili prace dostosowujące wyrobiska kopalni do

Zjawił się jakiś Niemiec, któremu przekazali mnie razem z dokumentami. Wziął mnie na tyły szybu Daniłowicza, a tam po lewej i po prawej stronie ciągnęły się baraki. Idziemy do baraku po prawej, gdzie znajdowały się pokoiki, w których były: łóżko polowe, koc, wiadro z wodą, miednica. Niemiec powiedział, że będę tutaj czekał, aż zostanę odpowiednio zagospodarowany na terenie kopalni. I że w kantynie po lewej stronie będę jeść śniadania, obiady i kolacje. Tutaj będę spał.

Rano wydano mi przepustkę, uprzedzając, że mogę się z nią poruszać tylko na dole, pod ziemią, natomiast na zewnątrz nie zostanę wypuszczony. Dostałem też kartki żywnościowe do kantyny i nowe, porządne ubranie robocze. Będę pracował w firmie Siemens, która prowadzi na tym terenie roboty elektryczne. Poza tym wszystko, co zobaczę czy usłyszę, podlega największej tajemnicy i jeżeli jej nie dotrzymam, grozi mi nawet najwyższa kara.

potrzeb fabryki. Przebywali w Wieliczce od jednego do kilkunastu tygodni, zastępowani byli w razie potrzeby nową ekipą. Wśród nich znaleźli się również węgierscy Żydzi. Od czerwca główną grupę więźniów specjalistów, zatrudnionych przy transporcie, instalowaniu i obsłudze maszyn, stanowili Żydzi, pracujący dotąd w likwidowanych zakładach lotniczych w Budzyniu i Mielcu. Przywiezieni tu wraz z nimi fachowcy – Polacy oraz miejscowi elektromonterzy firmy Siemens – mieszkali poza terenem kopalni. Zwracano uwagę, by pracujące pod ziemią grupy więźniów i „wolnych" pracowników nie kontaktowały się. Duża wilgotność powietrza i sól nie sprzyjały produkcji elementów metalowych, a bliskość linii frontu zadecydowała o rozpoczęciu ewakuacji fabryki już w połowie sierpnia 1944. Obóz uległ ostatecznej likwidacji i rozbiórce w ciągu dwóch tygodni września. Do końca sierpnia więźniowie Wieliczki zostali odesłani do obozów w Płaszowie, Flossenburgu, Mauthausen i innych.

Po załatwieniu tych formalności jeden z Niemców zapowiedział, że zjedziemy do kopalni. Zawsze wyobrażałem sobie, że w kopalni zjeżdża się windą, jest jakaś klatka czy kabina. Tymczasem weszliśmy na platformę lekko tylko osłoniętą z boków, polecieliśmy w dół... Na poziomie trzecim nie było żadnej bramki, która by się otworzyła przed nami – z platformy wyszliśmy wprost na chodnik. Stał tam wartownik, któremu ten Niemiec coś o mnie powiedział. Zażądał ode mnie przepustki i kiwnął ręką, że możemy iść. Przeszliśmy jakieś kilkadziesiąt metrów w kopalnianym półmroku.

Weszliśmy schodami do rzęsiście oświetlonej sali, na poziom nazywany poziomem drugim dolnym. Były w tej sali kilkumetrowej wysokości platformy, na których stali robotnicy i wykuwali w ścianach solnych otwory. Tam zostały mi wręczone narzędzia, wielki przecinak – półmetrowej długości, podobnej długości kolce stalowe, kwadratowy szablon z wykrojem i wielki młotek. Niemiec wskazał mi, że mam wziąć narzędzia, wejść na platformę i w oznaczonym miejscu na ścianie wykuć otwór zgodnie z szablonem.

Nie byłem przyzwyczajony do takiej trudnej pracy – młot był wielki i ciężki. Obok mnie stali robotnicy w starych ubraniach roboczych i mówili w języku, którego nie rozumiałem, domyślałem się, że może to być węgierski. Bardzo chciałem zrozumieć, co tu się dzieje, gdzie ja jestem, co to za ludzie. Byliśmy pilnowani przez wachmana, który spacerował na dole z automatem.

Gdy stępiły mi się narzędzia, Niemiec kazał mi iść do sali obok, gdzie stoją szlifierki i albo sam je zeszlifuję, albo będzie tam ktoś, kto to zrobi. Szedłem jakieś trzysta metrów podziemnym korytarzem, sam, nikt mnie nie pilnował. Wachmani, których spotykałem po drodze, nie zaczepiali mnie.

Naraz wszedłem do sali, która jarzyła się światłami, była oświetlona prawie jak w dzień, po przejściu ciemnym korytarzem robiło to szalone wrażenie. Stało tam kilkadziesiąt rozmaitych obrabiarek, warkot tych urządzeń, szum wentylatorów... Zobaczyłem tłum ludzi obsługujących maszyny – mężczyzn, przy niektórych stały kobiety, a przy wielu urządzeniach – dzieci, chłopcy i dziewczynki, w wieku kilku, kilkunastu lat. Część coś robiła, przerzucała, coś przeglądała. Widok niesamowity. Niektóre kobiety miały oliwiarki i z góry polewały urządzenia, bo z sufitu kapała solanka. Dzieci chodziły ze szczoteczkami i też smarowały niedostępne miejsca oliwą maszynową, żeby uchronić je przed korozją.

Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem. Myślałem, że po prostu w kopalni robi się jakieś instalacje i trafiłem na przymusowe roboty. Dokoła nas stali wachmani, esesmani, to wszystko było pilnowane, a więc to jest obóz. Po wyglądzie tych ludzi oceniałem, że to Żydzi – że jestem w obozie żydowskim.

Jakaś Żydówka obsługiwała szlifierkę, wzięła ode mnie narzędzie. Zobaczyłem, że nie daje sobie rady, sam zeszlifowałem i wróciłem do mojej sali. Tam zjawił się jeden z polskich monterów. Wtedy go spytałem: „Niech mi pan powie, co to jest, bo ja nie mam pojęcia, nie potrafię zrozumieć, gdzie się znalazłem". Odpowiedział: „To tajna fabryka części lotniczych. Do obsługi maszyn zatrudnieni są więźniowie żydowscy, Węgrzy. Przyjechali tu z całymi rodzinami".

Produkowano tu części zamienne do samolotów na froncie wschodnim, część produkcji szła do fabryk w Rzeszy. Po ewakuacji fabryki w Mielcu urządzenia przewieziono do kopalni w Wieliczce, ale wyposażono ją jeszcze w inne, nowoczesne szlifierki, tokarki, wiertarki, frezarki – bardzo precyzyjne maszyny, napędzane pneumatycznie z centralnego kompresora. Napęd pneumatyczny nie nadaje się do ciężkich maszyn, tylko do lekkich, a tu była produkcja bardzo precyzyjna, jakieś wkręty, blaszki, zaworki – maleńkie części.

Pierwsza moja sala, gdzie zacząłem kuć, nazywała się wtedy Salą Balową (teraz Warszawa). Druga, w której były poumieszczane obrabiarki, to była Komora Marii Teresy. Sąsiednie sale wokół Marii Teresy też były wykorzystane – tam gromadzono materiały, urobek. Trzecią salą, w której produkowano przede wszystkim duże elementy, płaty sterownicze, gdzie się nitowało duże płaty aluminiowe, był Humboldt – wielka, potężna sala. Humboldt był niedaleko Marii Teresy, kilka minut chodnikiem. Żeby dojść z Sali Balowej do Marii Teresy, trzeba było poświęcić dwanaście, trzynaście minut. Do Humboldta też kilkanaście minut. W Marii Teresie pracowało około setki więźniów. W Humboldcie osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt.

Po trzech dniach mieszkania na terenie szybu Daniłowicza powiadomiono mnie, że zostaję zakwaterowany poza kopalnią, teraz będę już mieszkał w pomieszczeniach budynku dawnej szkoły, która znajduje się na wzgórzach nad Wieliczką. Wydano mi nową przepustkę, która upoważniała do wyjścia z terenu szybu, jak również do swobodnego poruszania się na dole kopalni, bez żadnych ograniczeń.

W ramach prac monterskich obsługiwałem wszystko, co się działo w Sali Balowej. Tylko w dorywczych sprawach, na przykład gdy nastąpiło gdzieś zwarcie kabla czy trzeba było zmienić bezpieczniki, pomagałem w innych grupach usuwających awarie. Nigdy nie mogłem posiedzieć, porozmawiać, musiałem wracać stamtąd jak najszybciej. Kontakt z Żydami też mieliśmy bardzo mały. Jeżeli ciągnęliśmy jakiś kabel, trzeba było rąk do roboty, to przysyłano nam do pomocy Żydów. Na sali stali niemieccy wartownicy.

Praca w magazynie pozwoliła mi poznać, co się działo w kopalni zarówno ze strony Niemców, jak i więźniów. Był to magazyn części i osprzętu elektrycznego do wszelkich instalacji na terenie wyrobisk kopalnianych. Codziennie rano zjawiała się ekipa sprzątająca, złożona z więźniów żydowskich. Takich ekip było może kilka na terenie kopalni. Niemcy dbali o to, żeby był porządek. Taka ekipa przychodziła pod nadzorem albo kapo, albo wachmana SS.

Magazyn w nocy zamieniał się w skład części, które wyprodukowano w ciągu dnia. Zwożono je tu, pakowano w skrzynie i więźniowie zabierali je do windy, wysyłali na górę – pod szyb Daniłowicza podjeżdżały w nocy samochody i wywoziły je z kopalni. Po takim pakowaniu rano magazyn wyglądał niesamowicie, bo na podłodze były porozrzucane i deski, i wióry, i papiery... Ekipa żydowska chętnie i dokładnie sprzątała magazyn, bo przecież były tu również czajniczki z gorącą wodą i herbata, czego przy obrabiarkach nie mieli. Robili to z wielką ostrożnością. Jeżeli był wachman, to nie mogli się niczego napić. Jeżeli był któryś z łagodniejszych kapo, to brali tę wodę. Oczywiście zgadzałem się, żeby wypili sobie po garnuszku herbaty, a zza pazuchy wyjęli po kawałku chleba i zjedli.

O dziewiątej zjawiali się na śniadanie esesmani i inni Niemcy. Było to też dla nich jedyne miejsce, gdzie mogli w cieple zjeść i napić się herbaty. Żartowali, byli skłonni do rozmowy, może trochę mniej o froncie wschodnim, na którym przegrywali, ale dużo mówili o rodzinie, o bombardowaniach Niemiec.

Potem zaczynał się normalny czas pracy. Przychodzili więźniowie obsługujący obrabiarki, aby wymienić narzędzia, wziąć jakiś brakujący materiał. Oczywiście mój szef, magazynier, bardziej się skupiał, jak przychodzili Niemcy. Natomiast niezbyt chętnie obsługiwał więźniów i ja musiałem im wszystko załatwiać. Przychodzili z markami – to był metalowy numerek, który każdy miał przy obrabiarce. Jak pożyczali na przykład jakieś kleszcze, cęgi, to zostawiali markę i gdy przynosili je z powrotem, to zabierali numerek. Albo mieli kartę, tak zwaną akredytywkę, na której było napisane, co mam wydać. Wszyscy, którzy pojawiali się u mnie, mówili po węgiersku. Ja po węgiersku nie rozumiałem, ale niektórzy z nich znali trochę niemiecki, a byli i tacy, którzy mówili całkiem nieźle. Niektórzy też mówili po czesku. Wtedy nawiązał się kontakt między mną a więźniami. Wiedząc, że jestem Polakiem, zadawali mi czasem pytania, czy front daleko, co na Zachodzie, co z Żydami krakowskimi, czy są jeszcze jacyś Żydzi w Wieliczce... Oczywiście nie mogłem sobie pozwolić na dłuższe dyskusje, skoro w pierwszym pomieszczeniu był wachman, esesman albo kapo. Ale zdobyłem wśród nich duże zaufanie.

Z robotnikami żydowskimi przychodziło tylko trzech kapo. Jeden z nich to był Niemiec, który robił wrażenie kryminalisty, jakiś taki niezbyt przyjemny. Drugi kapo to był Żyd węgierski, bardzo łagodny, cicho mówił, znał trochę niemiecki, tak że się z nim jakoś mogłem dogadać, ale nie był chętny do rozmowy. I trzeci kapo – Żyd polski, rzeźnik, który przed wojną miał zakład w Rynku Podgórskim. Potrafił mi powiedzieć: „Wie pan co, ja jestem zadowolony, że jestem tutaj kapo. Będę żył, dzięki tym Węgrom tutaj ja wojnę przeżyję". A potem dodał: „Dzięki nim przeżyję wojnę, bo oni zapłacili za swoje życie bardzo drogo". Dowiedziałem się od niego, że Żydzi, którzy znajdują się w Wieliczce, to są jubilerzy, przemysłowcy, zegarmistrze, ludzie, którzy byli bogaci, bo biednych nie było stać, żeby opłacić swój pobyt tutaj. Za to, co zapłacili, mogli zabrać ze sobą rodzinę, żony i dzieci. Mają przyrzeczenie, że będą mogli dotrwać do końca

wojny. Jeżeli będą pracowali dobrze, wydajnie, jeżeli będą wiernie służyli III Rzeszy, to Rzesza o nich nie zapomni. Jako Żyd – powiedział – jest o tym wszystkim święcie przekonany.

Sam był dosyć ostry w stosunku do Żydów. Raz przyszedł z więźniem, który brał coś z magazynu. Kapo nalał sobie herbaty, wyjął kawałek chleba, zaczął zajadać. Ja dla tego więźnia przyniosłem z zaplecza jakieś ciężkie narzędzie i położyłem na stole. Więzień wyjął zza pazuchy garnuszek i podszedł, żeby też nalać sobie herbaty, bo byliśmy tylko we trzech. Kapo zobaczył to, chwycił narzędzie i zamierzył się na niego. Złapałem go za łokieć: „Co, u mnie w magazynie?!". Krzyknąłem, że sobie nie życzę, żeby takie rzeczy tutaj wyrabiał. Powiedziałem mu wprost, że jak tak będzie robił, to tu herbaty więcej się nie napije. Opanował się, nie uderzył tego więźnia, wypił swoją herbatę, więzień wypił swoją i wyszli z magazynu.

Nadszedł początek sierpnia. Wszystkich w kopalni zelektryzowała wieść, że Niemcy zaczęli dostawać wezwania na front – i wachmani, i pozostali pracownicy. Któregoś dnia przychodzę do pracy, a magazynier mówi: „Już jestem na froncie". Dostał powołanie, następnego dnia musi się zgłosić i wyjeżdża. I władze nie bardzo wiedzą, co zrobić z magazynem. Nie mogą dać na magazyniera innego Niemca, bo już i tak brakuje ich do nadzoru. W końcu mówią do mnie: „Teraz ty będziesz odpowiadać za cały magazyn".

Więźniów też już tak bardzo nie pilnowano. Przychodzili do mnie po materiały, narzędzia, pili herbatę, szliśmy na zaplecze i tam zaczynali mi opowiadać: tak czują, że za tydzień, za dwa będą już wolni, front zbliża się szybko. Faktycznie, było słychać działa artyleryjskie. Żydzi się cieszyli: „Dobrze zrobiliśmy, płacąc za życie. To nic, że oddaliśmy biżuterię, kosztowności, dolary (okazuje się, że zapisywali konta bankowe Niemcom). Nie żal nam, żeśmy oddali budynki, ziemię – wojna się skończy, to my to Niemcom zabierzemy". Wiara była wśród nich wielka.

Cieszyli się, że się kończy wojna, a jak przyjdą Sowieci, to przecież znajdą ich w tej kopalni, oni wyjdą, pojadą na Węgry. Radość była ogromna. I ja tę radość przeżywałem razem z nimi. Będąc świadkiem zagłady Żydów w Generalnym Gubernatorstwie, czułem, że to jakieś niesamowite objawienie – może się zdarzyć, że grupa kilkuset Żydów tę wojnę przeżyje. Wierzyłem, że Niemcy są na tyle solidni, że jeżeli wzięli ciężki okup, to odpowiednio ich potraktują.

Do magazynu przychodziła taka jedna Żydówka, śliczna dziewczyna, miała może dwanaście, trzynaście lat, mówiła ładnie po niemiecku. Pomagała mi, układała na półkach, czasem podawała więźniom jakieś narzędzie. Ja, nie mając pojęcia, jak dalej potoczą się wypadki, powiedziałem do niej: „Wiesz, zbliża się front, co ty będziesz tutaj siedziała? Wyciągnę cię z kopalni, mam znajomych w Wieliczce, oni mają duży dom, dwa tygodnie tam przeczekasz". Myślałem, że uda mi się ją zabrać, mam przepustkę, potrafię w czasie godzin pracy wyjść z kopalni innym wyjściem, szybem Regis, gdzie esesmani już nie pilnowali. Nie zastanawiałem się nad konsekwencjami – i dla niej, i dla mnie, że mogą mnie rozwalić. Ona się ucieszyła: „Porozmawiam z rodzicami i ustalimy, kiedy mnie zabierzesz".

Niedługo potem przychodzi więzień na pobranie jakiegoś narzędzia, ja mówię: „Dobrze, przyniosę", a on pyta, czy może ze mną pójść do drugiej sali. Zrozumiałem, że chce mi coś powiedzieć, ma jakąś ważną sprawę. Idziemy na zaplecze, a on się odzywa: „Pan mówił mojej córce, że chce ją zabrać. My nie będziemy córki narażali, wszyscy przeżyjemy wojnę

i proszę jej nie namawiać, bo ona opowiada, że będzie mieszkała w Wieliczce u pana znajomych. Proszę tego nie robić. Nie życzę sobie. My na pewno przeżyjemy, nie ma obaw".

Któregoś następnego dnia, idąc schodami z poziomu trzeciego na drugi, spotkałem grupę kobiet i dzieci, które szły na śniadanie. Widzę, że idzie ta dziewczyna, chyba z matką. Ta kobieta podeszła do mnie i też powiedziała mi parę ostrych słów, że nie życzy sobie, żebym jej córce mieszał w głowie. No więc już więcej nie mieszałem. Na dodatek rodzice zabronili jej pomagać mi w magazynie.

To był dziwny obóz. Nikogo też chyba tam nie zamordowano, nigdy nie widziałem, żeby kogoś bito. Niemcy głośno krzyczeli, przeklinali, ale nie bili. Mężczyźni chodzili w ubraniach roboczych, natomiast kobiety i dzieci miały takie ubrania, w jakich wyjechały z domów. Niektóre Żydówki były ubrane bardzo ładnie, w kolorowe sweterki. Czy byli głodzeni? Może do syta nie jedli, ale mieli tyle jedzenia, że nie narzekali. Gdzieś około południa cała grupa więźniów szła na śniadanie do Sali Balowej, gdzie z jednej strony na końcu był taki korytarzyk. Tam ten prowiant, który dostawali, idąc do kopalni, spożywali, ale też w tym korytarzu załatwiali wszystkie potrzeby fizjologiczne. Kiedyś próbowałem tamtędy skrócić sobie drogę, ale nie dało się... Sanitariatów w kopalni nie było.

Przebywające w obozie dzieci – małe, chore – nie zjeżdżały do kopalni, zostawały w barakach, tak samo jak chorzy więźniowie; tego zdołałem się dowiedzieć od Żydów. Nigdy w naszych rozmowach nie narzekali, że ktoś się nad nimi znęca, że są ciężkie warunki. Pytali tylko, jak daleko jest front, gdzie są Anglicy, gdzie Amerykanie, co się dzieje w Krakowie, kiedy to się skończy, jak będzie dalej. Interesowała ich wolność.

W ogóle nie rozmawiałem z Żydami o śmierci. Mieli w sobie taki entuzjazm życia! Nawet by chyba nie wypadało – przy takiej ich nadziei na przetrwanie – opowiadać o mordowaniu... W ogóle nie poruszałem tego tematu, raczej słuchałem i odpowiadałem na pytania. Jak ludzie są tacy natchnieni życiem... Jeden z Żydów powiedział mi: „Proszę pana, sam Hitler zabezpieczył nam przeżycie wojny". Trudno mi było mówić inaczej. Niemcy jedynie wprowadzili taki pruski rygor, wszystko musiało działać dokładnie. Żydzi nie mogli sami chodzić po korytarzach, nie wolno im było opuszczać stanowiska pracy. Praca w obozie była dwuzmianowa, więc prawdopodobnie pracowali po dwanaście godzin, też w nocy, bo produkcja szła dwadzieścia cztery godziny, bez przerwy. W czasie, gdy ja do kopalni wchodziłem i wychodziłem, nigdy mi się nie zdarzyło wjeżdżać albo wyjeżdżać z więźniami.

W sierpniu produkcja w kopalni szła na okrągło i tempo nie zwalniało, natomiast rygor zelżał, bo już nie było komu go utrzymywać, Niemców było coraz mniej. Front zbliżał się coraz bardziej, sądziliśmy, że to jest kwestia tygodnia, może dziesięciu dni, a Sowieci już będą. Około 14 sierpnia idę do kopalni razem z kolegami, całą grupą, dajemy przepustki. Nikt nam nic nie mówi, wszystko się odbywa przy wejściu normalnie, tak jak dotąd, zjeżdżamy na dół. Cisza. Idziemy. Zawsze na trzecim poziomie było już słychać, gdy się wychodziło z szybu, szum głównego kompresora. Teraz nic nie słychać.

W magazynie zastaję oficera SS, który był dowódcą grupy wachtowej. „Guten Morgen", „Guten Morgen" – witamy się. On mówi: „Koniec z produkcją". Ja mu na to odpowiadam: „A co się stało z Żydami, gdzie są Żydzi?". Wziął zegarek, spojrzał na niego, popatrzył na mnie, wyciągnął wskazujący palec prawej ręki, spojrzał do góry i powiedział: „Im Himmelkom-

mando" (w komando w niebie). Zrozumiałem – on wiedział, co się o tej godzinie stało z Żydami. Mówił jeszcze o ewakuacji maszyn, o urządzeniach, o tym, że odpowiadam za magazyn, nie mogę się stąd ruszyć, muszę zostać na miejscu pracy.

Za jakiś czas zjawiła się grupa Niemców z komunikatem, że fabryka części lotniczych zakończyła działalność, że to, co pozostało w magazynie i na halach produkcyjnych, będzie wywiezione na powierzchnię. Mnie czynią odpowiedzialnym za wyprowadzenie magazynu. Mam spakować wszystko w skrzynie, to ma być windą wywiezione na szyb Daniłowicza. Ja im odpowiadam, że jestem sam i tego nie zrobię. Wtedy się dowiedziałem, że została grupa kilkunastu więźniów żydowskich, którzy pomogą w pakowaniu i będą nosili te skrzynie do windy. Przyszło paru młodych więźniów, sami mężczyźni, więcej nikt nie został, nosili skrzynki do windy. Maszyn nie wywozili, były za ciężkie.

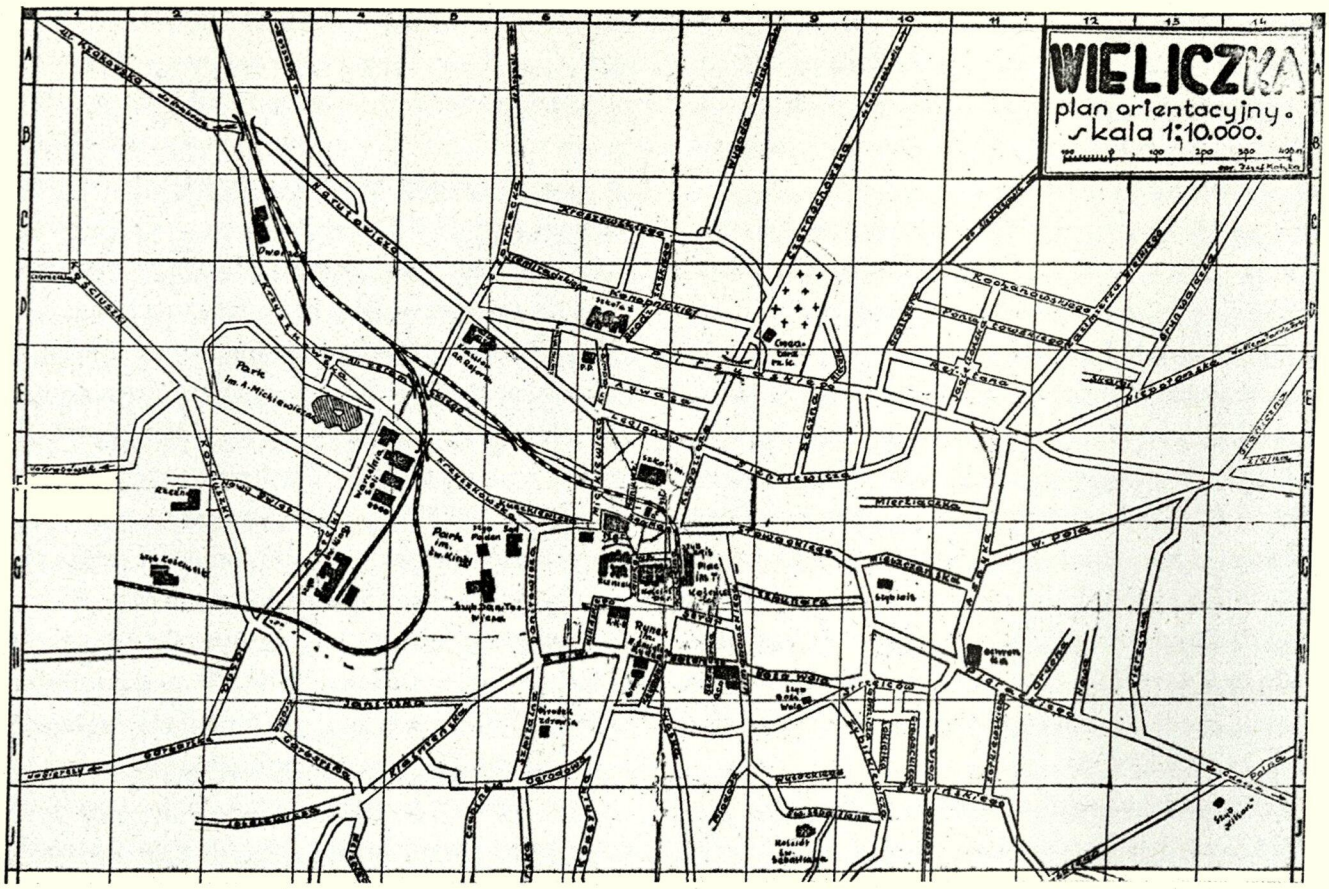
Wszystko zapakowaliśmy, skończyliśmy, a potem... moi koledzy dostali zawiadomienie, że 17 sierpnia mają nie zjeżdżać do kopalni, tylko załatwić formalności i wrócić do Krakowa. A ja nie. O, myślę sobie, widać Niemcy doszli do wniosku, że za dużo wiem, za dużo widziałem, za dużo usłyszałem – trzeba się ze mną rozprawić. Koledzy wyjechali, ja natomiast 18 sierpnia poszedłem do kopalni. Przy wejściu stali wachmani, nie żądali przepustki, pokazali mi, żebym wszedł do kopalni. Zjechałem sam, temu, który regulował windą, dałem sygnał dzwonkiem, że chcę zjechać, a on spuścił windę. Nikogo już nie było, poszedłem do magazynu. Byłem sam w wielkiej kopalni.

Usiadłem w pierwszym pomieszczeniu i nie wiedziałem, co mam robić. Będę chyba siedział tak do końca dnia, potem wyjadę na górę. Nie myślałem, żeby wyjechać wcześniej, bałem się Niemców. No, ale za jakiś czas zjawia się szef grupy Siemensa, inżynier. „Dobrze, że pan jest" – zaczyna rozmowę. Widzi, że zrobiłem sobie herbatę, on też sobie robi, pijemy. „No, musimy zakończyć całą sprawę". Jak on chce zakończyć ze mną sprawę? W końcu pytam: „Panie inżynierze, ale o co chodzi? Ja rozumiem... pan zakończy i wraca do domu... Ja też wracam?". „Nie, proszę pana, mamy jeszcze sprawę do załatwienia, to ważne".

Wypiliśmy herbatę, poszliśmy na teren produkcyjny. „Teraz musimy wszystko wyłączyć, pan się zna na tym lepiej. Musimy powyłączać zasilanie, żeby nie powstały gdzieś jakieś wybuchy, pożary". Szliśmy od tablicy do tablicy i wyłączaliśmy kolejne obwody, wykręcaliśmy bezpieczniki, żeby odłączyć całą część produkcyjną kopalni. Pompy, które odwadniały, też odłączyliśmy. Zajęło to kilka godzin. Po wszystkim wyjechaliśmy na powierzchnię. On podał mi rękę i mówi: „W Krakowie musi pan formalności załatwić, pieniądze zaległe pobrać". I podziękował.

Wyszedłem z kopalni. Nikt mnie już o przepustkę nie pytał, bo wachmanów też nie było. Panowała cisza.

Jan Jabłoński (ur. w 1927 roku w Krotoszynie) – do wybuchu II wojny światowej mieszkał w Toruniu. 17 października 1939 roku jego ojciec został aresztowany przez gestapo, po uwolnieniu w połowie grudnia cała rodzina została wysiedlona. Jabłońscy zamieszkali w Krakowie, gdzie Jan ukończył szkołę powszechną, następnie uczył się w Szkole Rzemiosł. W czerwcu 1944 niemieckie władze uzależniły uzyskanie dyplomu czeladniczego od odbycia stażu w przemyśle zbrojeniowym III Rzeszy. Trafił do kopalni soli w Wieliczce jako elektromonter.



Plan orientacyjny Wieliczki autorstwa Józefa Matyki, 1939 rok

WOJENNE MIGAWKI Z WIELICZKI

Wojciech Klein

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadów przeprowadzonych z Wojciechem Kleinem w Krakowie i Wieliczce w maju i czerwcu 2012 roku przez Urszulę Żyznowską.

Kiedy Niemcy wkroczyli do Wieliczki, mieszkałem nadal z babką i ciotką na Żwirki i Wigury. Dotarła do nas wieść, że woźny z magistratu był człowiekiem piątej kolumny, a potem pomagał przy tworzeniu Judenratu. Naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie uliczki, wybudował sobie dom fizyk, czyli lekarz powiatowy, nie pamiętam jego nazwiska. Moja ciotka Bogucka była z nim trochę zaprzyjaźniona, stąd jego wątek bywał poruszany w naszym domu. Po około roku od wybuchu wojny przeniósł się on do Krakowa, a mieszkania wynajął – doktorowi Stochowi na pierwszym piętrze, a na dole volksdeutschowi bez nogi, Józefowiczowi, który miał cztery córki i był właścicielem sklepu tytoniowego. W czasie okupacji Stoch przyjmował pacjentów w garażu, a w części domu funkcjonowało coś w rodzaju szpitala. U nas z kolei zakwaterowano policjanta austriackiego pracującego dla Niemców, dość kulturalnego człowieka, nie sprawiał nam wielkiego kłopotu. Kazał tylko zdjąć ze ściany w przedpokoju reprodukcje obrazów z patriotycznymi scenami, jak to określił, żeby nikogo nie drażnić.

Niemcy zajęli na dość długi okres budynek szkoły, „wydziałówki" i „bednarki", dokąd co jakiś czas przywożono pociągiem sanitarnym rannych. Czasowo stacjonowali tam Włosi – gwardia Mussoliniego.

Jeździli na motocyklach z dwiema kierownicami, nosili bardzo ładne, małe karabinki i czarne kapelusze z pióropuszami z czarnych kogucich piór. Z kolei tam, gdzie przed wojną mieściła się akademia górnicza[587], a za czasów okupacji była szkoła handlowa, przez pewien czas funkcjonowało sanatorium lotników niemieckich. Młodzi mężczyźni w mundurach podobali się babom, znalazły się takie, które robiły do nich umizgi. Ale prężna partyzantka dość szybko poradziła sobie z nimi, zaczęła szykanować kobiety, części z nich ogoliła głowy.

Syn starego Kopery, który prowadził trafikę przy stacji kolejowej Wieliczka Rynek, podpisał volkslistę i nagle zrobił się strasznie ważny, chodził w mundurze Hitlerjugend ze sztylecikiem i czerwoną opaską. W nazwisku zamienił sobie „o" na umlaut. Jego syn chodził ze mną do klasy, ale w czasie okupacji ojciec przeniósł go do szkoły niemieckiej, która mieściła się przy autostradzie[588], w kamienicy za kapliczką św. Barbary[589]. Uczęszczały do niej tylko dzieci Niemców i volksdeutschów, podczas gdy my po zajęciu „wydziałówki" przez nazistów kontynuowaliśmy edukację na raty, w różnych budynkach – pamiętam naukę w cechu przy ul. Sienkiewicza. Kiedy mogliśmy ponownie uczyć się w budynku szkoły, trzeba było najpierw ją uporządkować, w tym wynieść słomę, która leżała na podłodze. Ja podczas wojny przebywałem w Wieliczce z przerwami, wyjeżdżałem do ojca, stąd mam niepełny obraz tego, co się działo.

Na początku wojny tymczasową władzę nad miastem, jako zastępczy burmistrz, objął Niemiec, który wraz z żoną i córkami zamieszkał w willi w okolicy autostrady. Swoje konie trzymał na placu obok pałacu Konopków, miał prywatnego furmana.

W Judenracie natomiast pracowała przepiękna Żydówka, wysoka brunetka nieprzeciętnej urody, chodziła elegancko ubrana, nie pamiętam, czy nosiła opaskę. Jej panieńskie nazwisko było Licht[590], podobno tą swoją urodą załatwiała masę spraw.

Niemcy rozpoczęli propagandę przeciwko Żydom w zasadzie od początku 1940 roku, była wtenczas bardzo sroga zima z mnóstwem śniegu, do odgarniania którego wyznaczano ludność żydowską. Potem rozwieszono w całym mieście plakaty sugerujące, że Żydzi to brudasy roznoszący tyfus, podpalano brody mężczyznom, którzy ich nie zgolili, upokarzano męskich przechodniów, każąc ściągać spodnie na ulicy. Idea była taka, żeby u reszty społeczeństwa wywołać niechęć do Żydów.

Niemcy w niektórym sytuacjach nie mieli skrupułów; gdy natknęli się na kalekę albo kogoś ułomnego, to często likwidowali człowieka od razu. Ale pamiętam jednego takiego, charakterystyczną postać dla Wieliczki, który jakoś się uchował. Widziałem go po wojnie w tym samym miejscu, co zazwyczaj – gdy się szło Kościelną w górę od szybu Regis w stronę Rynku, prawie na zakręcie ulicy, na schodach przed sklepem naprzeciwko piekarni pani Wiązownickiej. Siedział tam, zima czy lato, potężny, cały zarośnięty, z długą brodą, mało mówił, był bezdomny. Pracował u piekarza Händlera, nosił wodę i rąbał drzewo. Krążyła o nim historia, że zmarł, po czym przygotowano go do pogrzebu, położono w kostnicy, a on ożył i w nocy, podczas gdy piekarze piekli chleby, pyszne okrągłe

[587] Obecnie budynek starostwa.

[588] Obecnie ul. Piłsudskiego.

[589] Na skrzyżowaniu obecnych ulic Piłsudskiego i Grottgera.

[590] Bronisława Licht, matka Alfredy Friedman-Künstler, zob. s. 189.

bochenki, przyszedł do piekarni, czym bardzo wszystkich wystraszył[591]. Widocznie i podczas wojny miał wiele szczęścia, że udało mu się uchronić przed Niemcami.

Od poznanego księdza Piwowarczyka słyszałem o przechowywaniu żydowskich chłopców podczas wojny w Pawlikowicach, u michalitów, którzy założyli warsztaty dla ubogich dzieci. Mieli młyn, ślusarnię, stanowiska dla kowali, tokarzy, szewców i krawców. Zebrali potrzebującą młodzież z okolicy, sieroty, podrzutki, a wśród nich również Żydów. Część dzieci przywieziono do nich ponoć ze Lwowa za pośrednictwem organizacji charytatywnej RGO[592].

Niedługo po wysiedleniu Żydów z Wieliczki Niemcy wywieźli wszystkie rzeczy, szaty modlitewne, książki, meble, stoły, łóżka z żydowskich domów i zgromadzili je na zieleńcu, koło szkoły „bednarki" i „wydziałówki", idąc od strony torów kolejowych, za boiskiem sportowym. Wtenczas to miejsce nie było ogrodzone, coś jakby park, przechodziły tamtędy dwie ścieżki na krzyż, jedna od ulicy w kierunku torów, a druga na zapleczu szkoły pod przejście na torach, które miało zaporę – obrotową bramkę. Niemcy całą stertę pożydowskich rzeczy sprzedawali po parę groszy za sztukę, część ludzi kupowała, ale większość nie chciała. To był bardzo przykry widok, wzbudzający żal i niesmak, z jaką precyzją i przemyślaną strategią wszystko zostało zaplanowane i wykonane.

---

591 Historię tę opisuje też Anna Jakimyszyn, zob. s. 74.

592 Zob. J. Piwowarczyk CSMA, *Dzieje ośrodka wychowawczego w Pawlikowicach. W stulecie michalickiej placówki*, Marki 2003.


PAMIĘCI
PONAD TYSIĄCA
ŻYDÓW
ZAMORDOWANYCH
W WIELICZCE
PRZEZ OPRAWCÓW
HITLEROWSKICH
W LATACH 1939–1942
ZAMORDOWANI ZOSTALI W INNYM
ELIASZ KICHLER
ZELLNER
ZELLNER
ZELLNER
ZELLNER
GOLDMAN
GOLDMAN

IMIONA I NAZWISKA ŻYDÓW Z WIELICZKI, KTÓRYCH ZGŁADZONO W SZOACH

Zestawienie pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 163–169, gdzie zostało poprzedzone adnotacją wydawcy: „Nie mając dostępu do oficjalnych spisów i opierając się tylko na pamięci, zdołaliśmy zebrać poniższy spis ofiar, jednak ta lista zawiera wyłącznie zestawienie imion i nazwisk przywódców rodzin. Wraz z nimi należy pamiętać o wszystkich ich krewnych wymordowanych w wielkiej zagładzie". Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.

Abramowicz Siecha, Abrasman Eliahu, After Jakub, After Jecheskiel, After Meir Szaron, Aftowic, Amsterdam Engel Wolf, Armer Akiwa, Armer Jakub, Armer Mosze, Armer Wolf, Aszkenazy Szymon, Awerbuch Piwel, Bakałarz Zeew, Balet Cwi, Barber Sandel, Baron Szmuel, Baruch Izik, Beidaff Izrael, Bejir Szmuel, Beldinger Szlomo, Bem Maks, Berendes Mendel, Berger Jochewed, Bernstein Chaim, Bernstetter Izrael, Birnbaum Cwi, Birnbaum Pejga, Blumenfeld Szmelke, Bodner Tuwja, Brand Berenrad, Brand Dawid, Bref Izaak, Breit Mutal, Brumer Ben Cijon, Buchführer Mosze, Buchner Mendel, Buchstel Szmuel, Buksbojm Mordechaj Cwi, Danzig Szlomo, Danzig Szmuel, Dawidowicz Arje, Dembizer Aleksander, Dembizer Beniamin, Deutscher, Dominitz Szlomo, Eisan Meir, Eisana Jecheskiel, Elenberg Aharon, Eluwil Amil, Esterman Cwi, Falk Josef, Farber Dawid, Farber Jakub, Farelberger Izrael, Farelberger Jehoszua, Farelberger Mosze, Farelberger Szmuel, Farellit Abraham, Federgrin Izik, Feig Cwi, Feig Jakub, Feig Mendel, Feigenbojm Chaim, Feigenbojm Jechiel, Feigenbojm Mosze, Fikelstein Zygmunt, Fiszler Josef, Flik Meir, Flumnenhefd Hirsz, Frenkel Berel-Dow, Frenkel Jecheskiel, Frenkel Pinkas-Arie, Friedenfeld Cwi, Friedman Motek, Friedman Szlomo, Frifeld Abraham, Galinman Kalman, Gerber Izaak,

Gerstner Arje-Lejb, Geminder Izaak, Geminder Szalom, Geminder Szindel, Glizman Rubin, Gold Mordechaj, Goldberger Michał, Goldberger Mosze, Goldman Eliezer, Goldman Hirsz, Goldstein Jehoszua, Goldstein Josef, Goldstein Meir, Goldstein Mosze, Gos Michael, Gross Jakub, Grosman Cwi, Grünbaum Chaim, Grubner Szlomo Wolf, Handberger Brisz, Handberger Jecheskiel, Handberger Pesaja, Handberger Szlomo Lejb, Hasenlauf Abraham, Händler Pinkas, Hejblum Abraham Mosze, Heler Abraham, Hemer Chaim, Hemer Szlomo, Henig Chaim, Herbst Ancel, Herstahl Eliezer, Herstahl Wolf, Hilfestein Mosze, Hirszfeld Szmuel, Hofrat Mendel, Holcer Mendel, Horowitz Maurycy, Jarblum Izaak, Joachimsman Efraim, Joachimsman Roman, Joachimsman Salumia, Joachimsman Szmuel, Joker Szmuel, Katz Feibisz, Kaftal Natan, Kamel, Kanar Mosze Jakub, Kasztan Mosze, Kelersbojm Lejb, Kempler Noach, Kincler, Klein Chaim, Kleinberger Samuel, Kleinman Abraham, Klinger Aharon, Königsberger Hugo, Königsberger Jecheskiel, Königsberger Mosze, Kohen Elimelek, Koren Dawid, Koren Mordechaj, Korenhus Dluma, Kornhauzer Izaak, Kornhauzer Lejb, Kornhazer Cwi, Koss Izik, Krakower Abraham, Kraus Izrael, Kraus Mosze, Kriger Charon, Kriger Szalom, Kriman Dawid, Kronfeld Andrzej, Kuloser Mordechaj, Küchler Elijahu, Landoj Lipa, Langer Dawid, Lax Izrael, Lax Meir, Lax Oskar, Lenacrer Piwel, Lenkowic Dawid, Lepelholc Chaim, Lepelholc Kiwa, Lepelholc Samuel, Lerner Izaak, Lezerkowic Abraham, Lezerkowic Dawid, Lezerkowic Henryk, Lezerkowic Jakub, Licht Jecheskiel, Licht Mosze, Licht Szaul, Linet Eliahu, Lipa Gizela, Lipa Kirsz, Lipa Wolf, Liter, Luliket Jakub, Lunberg, Malon Cwi, Malon Frel, Mana Izaak Rafael, Margolis Mosze, Meachel Jehoszua, Melcar Abraham, Melcar Izrael, Melcar, Menacek, Meler, Mendel Mosze, Mendelbojm Aszer, Mendelbojm Brisz, Mesinger Mosze, Milner Mordechaj, Mindelgrin Mendel, Mozes Mosze, Müller dr, Müller Pinkas, Müllner Josef, Nachet, Nardeman Herszel, Nawencel Baruch, Nawencel Izaak, Neuman, Neuman Szmuel, Nichtberger, Osenberg Szaul, Pamper Szmuel, Pas Herszel, Pelcar Jakub, Pelcar Meir, Piekarczyk Hirsz, Pinkosfeld, Pinter Meir, Pistol Herman, Plattner Pinkas, Pliborski Abraham, Pliborski Meir, Poremba Josef, Purszmit Robert, Rakower Izydor, Rechtman, Reifen Baruch, Reinholc Baruch, Rewer Mendel, Rewer Mosze, Reichental Rafael, Riterman Pinkas, Rosenzweig Izaak, Rosenzweig Szada, Roter

Mozes, Rotsman Szmuel, Rozensztok Sala, Rubinstein, Rusbach Haja, Salomon Aleksander, Salpeter, Saraf Lea Rachel, Sas Adela, Schenker Chaim, Sobel Dow, Sobel Jakub, Sobel Josef, Sobel Kalman, Sobel Lea, Sobel Pinkas, Spira Zygmunt, Steif Zalka, Stein Josef, Schusterman Hirsz, Schusterman Josef, Synaj Golda, Szaman Arie, Szaman Kofel, Szingel Bala, Szmeid Mordechaj, Sznicer Mosze, Schnur Chaim, Schnur Jeszijahu, Seidenfrau Dawid, Seidenfrau Jakub, Seidenfrau Kalman, Selenfreud Kalman, Szpilman Baruch, Szreiber Mordechaj, Szreiber Paulina, Szteinberger Izaak, Sztern Dawid, Szterngast, Szternlicht Josef, Sztil Szymon, Sztrojsberg Gerszon, Sztrojsberg Jehiel, Sztrojsberg Menasze, Sztubach Nachum, Tiefenbruer Meir, Tiefenbruner dr, Tiles Mosze Szymon, Tona Szymon, Tutelwojs Szmuel, Unger Dawid, Unger Izaak Mosze, Unger Lejbisz, Unterbuch Zelman, Unterman, Urbach Baruch, Waksman Jeszajahu, Waldman Jakub, Waldman Josef, Wasserberger Alijahu, Wasserlauf Josef, Weicner Dawid, Weimer Hela, Weimer Meir, Weimer Szmuel, Weinberger Anszel, Weinberger Zygmunt, Weinszreib, Weis Izik, Weis Jakub, Weisblum Baruch, Weisblum Dawid, Weisblum Izaak, Weisblum Naftali, Weksler, Wertheimer Hirsz, Westreich Aszer, Westreich Simon, Wilender Mendel, Winterholc Izrael, Winterholc Izrael, Wiśnicki Barel, Wiśnicki Jakub, Witstein Dawid, Wolf Dawid, Wolf Mendel, Wonglanik Szlomo, Zellner Jakub, Zilber, Zimerspic Dolek, Zimetbojm Szalom, Zinger, Zukerman Jehuda.

PO ZAGŁADZIE

Miriam Skóra
Lena Küchler
Syda Srebro
J. Kornhauser
I. Klein
Jehoszua Freifeld
Henryk (Chaim) Brand
Maria Perlberger-Shmuel
Salomea Genrot
Ozjasz Wolf
Fajga Birnbaum
Maria Gawęda
Anna Krzeczkowska
Alfred Lax
Alfreda Friedman-Künstler
Izaak Birnbaum
Larry Zellner
Nathan Klemberger
Uri Shmueli



Budynek przy ulicy Seraf 11, w którym w latach trzydziestych XX wieku miała siedzibę gmina żydowska, a podczas II wojny światowej Judenrat, 1961 rok

BYŁO MIASTO I PATRZCIE, JUŻ GO NIE MA

Miriam Skóra

Miasto moje, miasteczko, Wieliczko! Ze świętą trwogą, z czcią i miłością wracam do ciebie takiej, jaką byłaś niegdyś – do Wieliczki kipiącej życiem, pełnej radości i wesela. Pokochałam cię z całego serca, każdym fibrem mojej duszy. Gdy zdarzyło mi się kiedyś zostawić cię na dzień, dwa, wypełniała mnie tęsknota za tobą. W tobie po raz pierwszy zobaczyłam światło świata, po raz pierwszy zaczerpnęłam powietrza! Jakże byłaś piękna, nawet w twoim smutku! Owszem, nieraz przeżyłam w tobie smutne dni, mimo to nie odstąpiły od ciebie twój wdzięk i piękno. Tylko ku tobie kierowała się moja namiętność. Te tęsknoty wgryzały się we mnie z każdym krokiem.

Oczyma duszy widzę wieczór szabatowy. We wszystkich oknach płonęły świece. W jednej chwili każda prosta kobieta zamieniała się w żonę króla. Atmosferę wypełniało lśnienie, światło i miła woń potraw szabatowych roznosząca się po domu. Później zaś spacery, przechadzki młodzieży: radość, śmiech i wesele malowały się na wszystkich obliczach.

Jednak teraz wszystko to jest już tylko udziałem niebiańskiej Wieliczki. Ale co się dzieje z Wieliczką ziemską? Czy możemy jedynie powiedzieć to, co mówimy w sederowy wieczór, gdy otwieramy drzwi:

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 87–88. Przeł. z jęz. hebrajskiego Tomasz Sikora.



Wnętrze budynku przy ul. Seraf 11, w którym po wojnie mieściły się warsztaty Spółdzielni „Promień", 1961 rok

„Niech wyleje Pan na nich swój gniew i niech wytępi ich spod niebios Pana, gdyż radowali się po próżnicy, gdy ziemia pokryła krew swoich synów, jej budowniczych".

Bardziej niż kiedykolwiek moje oczy wypełniają się łzami, gdy wspominam ostatnią rozmowę z moim jedynym synem, który miał pięć i pół roku. Był dzieckiem bacznym i mądrym: „Popatrz, mamusiu – pokazał palcem na przebiegającego psa – temu psu jest lepiej niż nam. On nie musi szukać miejsca, gdzie mógłby się ukryć...". Ta rozmowa będzie mi towarzyszyć do grobu.

Było miasto, miasto i matka dla ludu Izraela, nazywano ją Wieliczką, i już jej nie ma.

DO DOMU, DO DOMU...

Lena Küchler

Od zdobycia Warszawy przez wojsko sowieckie minął już miesiąc... I jeszcze jeden. Pokój panował już w Polsce drugi miesiąc, a my jeszcze nie dostaliśmy żadnej wiadomości od naszych bliskich w Warszawie. Jeszcze nikt stamtąd nie wrócił i nikomu nie pozwolono się tam dostać.

[...] Nie mogłam przestać myśleć o [mojej siostrze – przyp. tłum.] Feli. Nie spałam po nocach. Myślałam o mamie, o braciach, nie wiedziałam, czy żyją. Nie widziałam ich od sześciu lat, a nie od sześciu miesięcy jak Halina. Chciałam jechać ich szukać, a tu nie wolno mi nawet o tym mówić.

„Wiesz, Lena – powiedziała raz Halina – jeżeli w ciągu przyszłego tygodnia Ludwik albo Stasia nie wrócą, zostawię ci dom i dzieci i pojadę do Warszawy ich szukać". „Halina – odpowiedziałam przytłumionym głosem – nie mogę tutaj zostać. Ja też muszę jechać". „Co ci wpadło do głowy – przerwała Halina niecierpliwie – przecież nie masz w Warszawie nikogo, a ja mam męża i siostrę". „Ja też mam męża i siostrę" – odpowiedziałam.

Nazajutrz zapowiedziałam w szkole dwutygodniową przerwę. „Dzieci – powiedziałam – będziemy mieli przerwę w lekcjach. Muszę jechać do Warszawy szukać mojej siostry".

Tekst pochodzi z: L. Küchler, *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 130–134. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.

Co było potem, to już nie jest ważne. Wszystko działo się jakby bez współudziału mojej myśli. Jak błyskawicznie przelatujące zjawiska podczas wysokiej gorączki. Przyszły dnie chodzenia i deptania w błocie z ciężkim plecakiem, długie godziny stania na rozdrożach, proszenia wojskowych szoferów, żeby mnie trochę podwieźli, leżałam na ciężarówkach po nocach wraz z dziesiątkami obcych ludzi, pilnowałam „majątku" i samej siebie. Było straszne zmęczenie, strach i zimno, ale ponad wszystkim był gorliwy pośpiech i dążenie naprzód, naprzód, żeby dotrzeć jak najprędzej do celu, żeby się czegoś dowiedzieć, za wszelką cenę dowiedzieć.

W końcu dojechałam na Pragę i przeszłam przez most łódek do Warszawy. Widziałam z mostu gruzy. Resztki zniszczonych murów i kominy wystające ze zburzonych domów. Szłam wraz z tysiącami schylonych ludzi. Szliśmy powoli, krok za krokiem, jak jedna szara masa. Wielki drewniany most stękał i trzeszczał pod każdym naszym krokiem i co chwilę trzeba było się zatrzymywać. Mętne i gniewne fale Wisły wznosiły się przed nami, a my szliśmy pomału, patrząc na Warszawę. Co ci się stało, Warszawo? Wesoła i zalotna Warszawo? Odważna i walcząca Warszawo? Jak cię męczyli, Warszawo? Twoje otwarte rany zdają się coraz bardziej krwawić w świetle wschodzącego słońca.

Weszliśmy do miasta. Wznosiły się przed nami olbrzymie resztki piętrowych domów. Nie można było między nimi przejść. Nie można było poznać żadnej ulicy, żadnego skwerku. Nie było ani jednego całego domu, wszędzie gruzy, resztki ścian, sufity wiszące na drutach. Może dalej zniszczenie nie będzie tak doszczętne, może poznam jakiegoś znajomego człowieka... Ale nikogo znajomego nie widziałam. Tylko ludzi stojących na gruzach i kopiących w nich. Czego oni tam szukają? Myślałam, co tu jeszcze można znaleźć, oprócz trupów?

Nie można było nikogo o nic spytać. Nikt nic nie wiedział. Wszyscy szukali tak jak ja, każdy chciał się pytać tak jak ja, a pytania marzły na wargach. Nagle zobaczyłam całkiem inny widok, dużą płaszczyznę, całkiem pustą, bez śladu domów, murów albo ulic. Płaskie, wyrównane pole gruzów. „Co to?"– zapytałam człowieka, który szedł obok mnie. On zatrzymał się na chwilę, popatrzył na mnie zdziwiony i powiedział: „A co to, kobieto, nie wiesz? Przecież to jest to, co kiedyś było gettem. Niemcy tu wszystko spalili i kompletnie zburzyli, żeby po Żydach nic nie zostało!". „Będzie tu można za niedługo ziemniaki posadzić" – dodała jedna kobieta. Nic nie odpowiedziałam. Ból mnie dusił. A więc w zniszczeniu i śmierci też jest różnica! Nawet śmierć nie zdołała tu zaprowadzić równości między ludźmi! Zniszczenie polskiej Warszawy inne jest niż zniszczenie żydowskiej Warszawy.

s. 471 i 472: »»

List do Zarządu Miejskiego w Wieliczce z 26 października 1942 roku: *Uprzejmie proszę o przydzielenie mi mieszkania składającego się z jednego pokoju w domu pana Stanisława [...] przy ul. Wincentego Pola l. 11. Prośbę swą motywuję następująco: Pokój ten, w którym zamieszkiwali Żydzi, zamieszkiwałem poprzednio ja. Ponieważ gospodarz mój z powodu długiej choroby pozostał w ciężkich warunkach materialnych, jak również zalegał z podatkami, których nie mógł wypłacić, aby więc sobie pomóc zmuszony był na mieszkanie wziąć Żydów. Zgodnie z gospodarzem ustąpiłem ze swego pokoju, a sam przeniosłem się do gospodarza kuchni. Ponieważ ani mnie, ani gospodarzowi mieszkanie przejściowe jest niewygodne i krępujące, przeto proszę o zwrócenie mi pokoju poprzednio przez mnie zajmowanego. Jan [...], Wieliczka, Wincentego Pola 11*

Wieliczka dnia 26. X. 1942.

43

Do

Zarządu Miejskiego

w Wieliczce.

Uprzejmie proszę o przydzielenie mi mieszkania składającego się z 1 pokoju z kuchnią w domu pana Stanisława przy ul. Wincentego Pola l. 11.

Prośbę swą motywuję następująco:

Pokój ten z którym mieszkali żydzi, zamieszkuje ten poprzednio ja. Ponieważ gospodarz mój z powodu długiej choroby pozostał z ciężkich warunkach materjalnych, jak również zalegał z podatkami których nie mógł wypłacić, aby więc sobie pomoc zmuszony był na mieszkanie wziąść żydów. Zgodnie z gospodarzem ustąpiłem ze swego pokoju a sam przeniosłem się do gospodarza kuchni. Ponieważ ani mnie, ani gospodarzowi mieszkanie przyjściowe jest niewygodne i

/.

Uprzejmie proszę o zwrócenie mi pokoju
poprzednio przez mnie zajmowanego

Jan [redacted]
Wieliczka
Wincentego Pola 11.

Polakom zostawili resztki domów i resztki ulic, a Żydom – nic. Żeby nie został po nich żaden znak, żadna pamięć... Zburzyli spalone mury, prochy zmarłych rozsiali, żeby nic, absolutnie nic nie zostało.

Nie było tu na tym wielkim cmentarzu czego szukać. Nie ma kogo i o co pytać. Nikogo nie mogłam znaleźć. Nikt nie miał stałego adresu. Każdy dokądś wyjeżdżał i nie wracał. Wszyscy jeździli, wędrowali, kogoś szukali... Zdawało się, że jakaś potężna siła wyrwała wszystkich z ich stałych siedzib, wyrzuciła wszystkich w powietrze i starają się oni teraz znaleźć nowy punkt zaczepienia. Już przeszło dziesięć dni, odkąd wyjechałam z Olchówka, a jeszcze nikogo nie znalazłam i niczego się nie dowiedziałam. Byłam bezradna, nie wiedziałam już, dokąd iść i co robić.

Nagle zdecydowałam, co robić: pojadę do ojczystego miasteczka, do Wieliczki! Wrócę do domu rodziców! Prawda, że to bardzo daleko stąd, setki kilometrów, ale nie szkodzi – wytrzymam. Wrócę do domu, w którym się urodziłam, w którym skakałam, schodziłam i wchodziłam żwawo po dwudziestu wytartych schodkach prowadzących do naszego mieszkania.

Pojechałam. Na ciężarówkach, na furmankach, na schodach pociągu towarowego. Byłam lekka jak ptaszek. Nie czułam zmęczenia, pragnienia i głodu. „Przecież jadę do domu" – terkotały podkowy koni. „Do domu, do domu" – grały koła pociągu. Tam widziałam światło dnia! Tam poznałam miłość, tam jest ten stary, piękny park, w którym siedziałam nad stawem i po raz pierwszy słyszałam od chłopca miłosne słowa. Tam była babcia i mój stuletni dziadek, rodzice i rodzina. Jeżeli ktoś z nich przeżył, znajdę go tam. Tam przyjdą, bez wątpienia.

Drżąca wyszłam z pociągu w moim miasteczku. Pomalutku szłam pod górę z Dolnego Rynku do Górnego Rynku, do narożnej kamienicy, w której mieszkaliśmy. Po obu stronach ulicy[593] były żydowskie sklepy. Pamiętałam każdy z nich, także ich właścicieli. Tu był sklep galanterii pani Laulicht. Była zawsze uprzejma i cierpliwa, gdy wybierałam błyszczące guziki do mojej sukni. A tu był męski fryzjer, zawsze pachniało stamtąd tanimi perfumami. A tu mieszkała stara Kosuwa, a na progu zawsze siedzieli jej wnukowie, brudni i biedni, podkładali nogi pod siebie jak ptaszki na lodzie. A tu sobie ogrzewał w słońcu nogi stary Beirisz i pytał przechodniów o godzinę lub prosił o papierosa. Z drugiej strony chodnika biegał zawsze tata, zbierając od sąsiadów datki, żeby wykupić czyjś weksel. A przez Rynek zawsze przechodziła mama, w bucikach na wysokich obcasach, mała i zgrabna. Sprzedawczynie bardzo ją lubiły i podziwiały. Gdy wychodziła na zakupy, każda z nich przywoływała ją do siebie. Oczywiście, mówił tata, gdy się nie targujesz, wszystkie cię chcą. Ja bym też chciał takich klientów w moim sklepie.

To wszystko było kiedyś. A teraz? Sklepy puste, wyłamane lub zamknięte. Żydów wywieźli stąd na spalenie. Nikt nie kupuje i nikt nie sprzedaje. Z okien patrzą obce twarze. Ani jedna nie jest znajoma! Na Rynku kręci się kilka wieśniaczek, które na darmo próbują sprzedać to, co przyniosły do miasta. Twarze ludzi są ponure. Patrzą podejrzliwie i nieprzyjaźnie na mój plecak, ścigają mnie wzrokiem. Czy poznali moją żydowską, przygnębioną twarz? Ocieram pot z czoła i idę pod górę na Górny Rynek. Chcę dotrzeć do tego domu. Idę ostatkiem sił, niosę ciężki plecak, ale idę.

Jestem przy bramie wejściowej. Serce mi wali jak młotem. Teraz jeszcze dwadzieścia schodków i jestem w domu. W moim domu! Moje firanki wiszą w oknach. Na pewno na ścianach jeszcze wiszą ob-

[593] Mowa o ulicy Kościelnej, obecnie Sikorskiego.

Stadtverwaltung in Wieliczka

Wieliczka, den 20.X.1942

An

Herrn [redacted] Stanisław

ôm Wieliczka

W.Pola 11

Herrn [redacted] Stanisław W.Pola 10

Die freie Wohnung in der W.Pola Nr.11

nach Juden Neiger weise ich dem Herrn [redacted]

Stanisław aus W.Pola 10 zu.

Der Mietvertrag ist bis 20.X.1942 der Stadtverwaltung Abt. Wohnungsamt vorzulegen.

Der Bürgermeister:

Wolne mieszkanie przy ul. W.Pola Nr.11

po rodzinie żydowskiej Neiger

przydzielam p. [redacted] Stanisławowi

z ul. W. Pola 10

Umowę najmu należy przedłożyć Zarządowi miejskiemu Biuro mieszkaniowe do dnia 20.X.1942

Burmistrz:

Wieliczka ,den 9.1o.1944.

Auf Anordnung des Herrn Kr eishauptmann Krakau-Land vom 2.1o.1944 Aktz.Dr.Sch/Schn.weise ich die freie Lokal im Oberring Nr.7 nach den Juden Friedmann Wolf der Frau [redacted] Halina aus Szczucin als Zeitungsverlag zu.-
Der Mietvertrag ist bis 2o.1o.1944 der Stadtverwaltung /Abt.Wohnungsamt/ vorzulegen.-
Dieser Bescheid ist entgültig.-

Der Bürgermeister:

Na zarządzenie Pana Starosty Powiatowego w Krakowie z dnia 2.1o.1944 liczba Dr.Sch/Schn.przydzielam wolny lokal sklepowy przy ul.Rynek Górny nr.7 po żydzie Friedmanie Wolfie pani [redacted] Halinie ze Szczucina w celu sprzedaży gazet.-
Umowa najmu ma być przedłożoną w Zarządzie Miejskim /Oddz.mieszkaniowy/ do dnia 2o.1o.1944.
Powyższe zarządzenie jest ostateczne i nieodwołalne.-

Burmistrz:

Zur Kenntniss:
Do wiadomości:

1.p. [redacted] Kazimierz.....
2.p. [redacted] Halina... [redacted] Halina

«« s. 474 i 475:
Przydział najmu lokalu mieszkaniowego po rodzinie żydowskiej Neigerów, 20 października 1942 roku

Przydział najmu lokalu sklepowego po Wolfie Friedmanie przy Rynku Górnym, 20 października 1944 roku

razki, które malowałam, gdy miałam czternaście lat. Ktoś na pewno wyjdzie z domu, żeby mnie przyjąć. Tak jak zawsze, gdy wracałam z dalekiej podróży. Może mama, może Fela?

Weszłam po schodach i stałam przed drzwiami wejściowymi do mieszkania. Otwarłam je i cicho weszłam do kuchni. Drzwi nawet nie skrzypiały. Wiedziałam, że się otworzą, gdy przyjdę do domu. Rozglądnęłam się dookoła. Tak, to była nasza kuchnia. Ten sam piec, a obok niego skrzynka na węgle, na której siedziała Regina i drzemała. A przy oknie duży dębowy stół, na którym mama dzieliła porcje. Jeden krok naprzód. Przez na wpół otwarte drzwi widziałam dwa pokoje. Ten pierwszy, w którym leżał chory tata, i ten drugi z moimi firankami i obrazami. Boże! Przecież nic się tu nie zmieniło, wszystko tak, jak było! Te same „wiedeńskie" meble, które tata kupił, gdy mu się jeszcze lepiej powodziło, a koło kanapy moje półki z książkami. Ta wysoka książka to na pewno podręcznik filozofii, który tak często oglądałam. Na pewno ktoś z rodziny tutaj jest.

Ale dlaczego serce mi tak mocno bije? Dlaczego nie idę dalej? Czego się boję? Cicho! Coś się rusza. Duży cień wychodzi z jakiegoś kąta i wszystko zasłania. „Czego chcesz" – wrzasnął do mnie zachrypnięty męski głos. Stałam jak wryta, nie mogłam mówić, ale przemogłam się: „To jest mój dom. Dom i mieszkanie moich rodziców. To wszystko – wskazałam ręką rzeczy dookoła – to wszystko jest moje". „Twoje?! – wrzasnął do mnie oburzony mężczyzna. – Twoje?! Ja ci zaraz pokażę, co tu jest twoje, przeklęta Żydówko! Nie dość, że żyjesz, to jeszcze się o mienie upominasz? Ja ci zaraz dam, co ci się należy!". Wielka i mocna pięść uderzyła w moją głowę. Upadłam i potoczyłam się do wyjścia. Czułam, że mocna noga kopie mnie i pcha. Stacza mnie ze wszystkich schodów. Próbowałam się czegoś przytrzymać, ale paskudne nogi nie przestały mnie pchać, plecak ciągnął, aż się stoczyłam na dół, z moich wszystkich dwudziestu schodów.

Bez ruchu, nieprzytomna i zakrwawiona leżałam na kamieniu pod schodami. Obcy ludzie stali nade mną. Obce i wrogie głosy coś mówiły. Pomału się obudziłam i otworzyłam oczy. Nie, nie! Nie chcę od nich żadnej pomocy, nie chcę od nich wody. Nie chcę niczego z rąk morderców! Wstałam sama. Otarłam krew z twarzy, stałam znów na własnych nogach. Wyprostowałam bolące plecy, założyłam plecak – i szłam. Szłam tą samą drogą, którą przyszłam. Teraz już wróciłam z „domu". Idąc, pytałam samą siebie: dlaczego dożyłam końca tej wojny? Dlaczego ją przeżyłam?

PO WOJNIE

Syda Srebro

Najstraszniejsza i najbardziej okrutna wojna w historii ludzkości skończyła się. Nieliczni, którzy ją przeżyli, czuli niby pierwotny pęd, żeby najpierw wrócić do ojczystego miasta i zobaczyć, czy ktoś został po tej strasznej zagładzie, mimo że oczekiwań nie było. I tak przybyliśmy do naszego miasta Wieliczki. Odpowiedź na pytanie, kto został, brzmiała: nikt! Ani jeden Żyd nie przeżył!

W centrum spotkaliśmy dobrze ubranych Polaków, czekających w wejściach do sklepów na klientów. Majątek, sklepy i ich zawartość były łupami Polaków, którzy niekiedy pomagali nazistom w Zagładzie. O takich mówił kiedyś prorok: „Zamordowałeś i odziedziczyłeś?". Przyjęli tych, którzy przeżyli, wrogimi spojrzeniami, ponieważ obawiali się, że może przyjść któryś z prawdziwych właścicieli zrabowanego majątku, i pytali: „Jak przeżyliście?". Niejeden z tych, którzy przeżyli, podszedł do domu, w którym się urodził, czekał i patrzył... A gdy natknął się na zimne i gniewne spojrzenie, prędko odchodził i to na zawsze.

Nie zapomnę następującej sytuacji. Weszłam do naszego domu ze znikomą nadzieją, że może stanie się jakiś cud, drzwi się otworzą i ktoś z rodziny, kto przeżył, wyjdzie nam naprzeciw. Na darmo! W jednym

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 117–120. Przeł. z jęz. hebrajskiego Uri Shmueli.

mieszkaniu spotkałam polskiego dozorcę, który przywłaszczył sobie najlepsze meble i różne przedmioty należące do Żydów z podwórza. Znalazłam tam kołyskę mojej siostrzenicy, która została zamordowana wraz ze swoimi rodzicami. Widziałam też szklaną witrynę, a w niej srebrne naczynia moich rodziców. Odważyłam się poprosić dozorcę o jeden kieliszek, na pamiątkę. Lecz on gniewnie odmówił i powiedział, że zapłacił Niemcom za wszystko. Było to wielkie kłamstwo. Dusiły mnie łzy i uciekłam stamtąd.

CZAS ZNOJU

J. Kornhauser

Urodziłem się w Wieliczce 22 maja 1924 roku jako najstarszy syn Lejbusza i Rywki (z domu Ferster). Po mnie przyszło na świat jeszcze czterech braci i dwie siostry.

Moja matka zmarła podczas porodu, wydając na świat swojego najmłodszego syna. Miałem wtedy siedem lat. Półtora roku później mój ojciec ożenił się ponownie. Prowadził sklep żelazny, który pozwalał mu na utrzymanie dużej rodziny. Swojego czasu był w Legionach Piłsudskiego, gdzie dostał medal za odwagę.

Wraz z wybuchem II wojny światowej (miałem wówczas piętnaście lat) naziści schwytali w Wieliczce trzydziestu dwóch Żydów (wśród nich mojego ojca), zagonili ich na Górny Rynek, gdzie znęcali się nad swoimi ofiarami, aby w końcu załadować je na ciężarówkę i wywieźć na obrzeża miasta w pobliże niewielkiego lasu i tam wszystkich zamordować, zostawiając niepogrzebane trupy. Pierwszy odkryłem ciała zabitych i pogrzebałem mojego ojca.

Z końcem 1939 roku wzięto mnie do obozu w Pustkowie koło Dębicy. Po kilku miesiącach ciężkiej pracy uciekłem do Wieliczki. Później wysłano mnie do Krakowa, do pracy na kolei. W dniu ostatecznej zagłady wielickich Żydów zostałem schwytany przez żydowską policję w getcie

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 57–58. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska. Imię autora nieznane.

krakowskim i razem z trzydziestoma dziewięcioma innymi mężczyznami odesłany do Wieliczki, aby tam zebrać zostawione przez Żydów kosztowności, które miały być później wysłane do Niemiec. Znaleźliśmy mnóstwo wartej fortunę biżuterii.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że kiedy wykonamy swoją pracę, nie będziemy już dłużej potrzebni i zostaniemy zgładzeni, dlatego uciekłem z powrotem do krakowskiego getta. Stamtąd zabrano mnie do obozu Julag w Płaszowie[594], gdzie zachorowałem na tyfus. Z dwóch tysięcy Żydów, którzy zapadli na tę chorobę, ocalało zaledwie ośmiuset[595]. Ja byłem jednym z nich. W 1943 roku zostałem po raz pierwszy wysłany do obozu koncentracyjnego w Płaszowie[596], znajdującego się w pobliżu cmentarza.

Rok 1944 zastał nas w Mauthausen, potem w Styrii (Austria) i w Gusen[597], gdzie 5 maja 1945 roku wyzwolili nas Amerykanie.

Teraz mieszkam razem z moją żoną w Peabody, Massachusetts, w Stanach Zjednoczonych. Mam dwóch żonatych synów i dwie wnuczki.

---

[594] Obóz pracy przymusowej Julag I (Plaszow).

[595] Zob. relację Larry'ego Zellnera, s. 372.

[596] Obóz pracy przymusowej Plaszow został latem 1943 roku przekształcony w podobóz obozu koncentracyjnego w Majdanku, natomiast 14 kwietnia 1944 stał się samodzielnym obozem koncentracyjnym.

[597] Oddalone od siebie o cztery i pół kilometra obozy Mauthausen i Gusen od 1940 roku stanowiły jeden KL.

MOJA TUŁACZKA PRZEZ ROSJĘ W CZASIE HOLOKAUSTU

I. Klein

Kiedy wybuchła II wojna światowa, miałem dwadzieścia jeden lat. Panował ogromny strach przed nazistami. Zdecydowałem się opuścić Wieliczkę.

Pożegnawszy się i otrzymawszy błogosławieństwo rodziców, spakowałem trochę jedzenia i ubrań, parę filakterii[598] i wyruszyłem w drogę, oczywiście pieszo. Praktycznie nie istniały wówczas inne sposoby podróżowania. Po kilku dniach błądzenia okazało się, że Niemcy są na tyle blisko, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Zdecydowałem się wrócić do domu. Kiedy dotarłem do Wieliczki, pomyślałem, że bezpieczniej będzie zatrzymać się w pierwszym napotkanym po drodze żydowskim domu. Był to dom Meira Chaima Eisena w Lednicy. Właśnie zachodziło słońce. W domu Meira ukrywało się kilku Żydów, pośród nich Cwi Freidenfeld i jego syn Meir błogosławionej pamięci, który później zginął w wojnie wyzwoleńczej w Gusz Ecjon[599].

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 45–53. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska. Imię autora nieznane.

[598] Zob. przyp. 419.

[599] Gusz Ecjon – osiedla żydowskie położone w górach Judei, około piętnastu kilometrów na południowy zachód od Jerozolimy; zaatakowane i zrównane

Nie wróciłem do domu od razu. Noc spędziłem u Eisena. Panował przygnębiający nastrój. Siedzieliśmy i recytowaliśmy psalmy. Następnego dnia usłyszeliśmy głośne dobijanie się do bramy. Jedna z córek Eisena poszła sprawdzić, kto to, natychmiast przybiegła w panice i wyszeptała: „Niemcy! Gestapo, ukryjcie się!". Zamiast pobiec do ogródka, przeskoczyć przez płot i uciec przez pola, w panice wbiegłem na schody prowadzące na drugie piętro. Dom Eisena był pusty. Razem z innym chłopcem, synem Bezalela, biegaliśmy od pokoju do pokoju. W końcu wspięliśmy się na strych i wciągnęliśmy za sobą drabinę. Położyliśmy się na podłodze, w najciemniejszym kącie. Wkrótce na schodach dało się słyszeć ciężkie kroki Niemców i ich głosy, gdy wypytywali córki Eisena, gdzie są właściciele domu. Najpierw pomyśleliśmy, że przyszli po nas, uciekinierów. Okazało się jednak, że szukali rodziny gospodarza, która przekazała dużą sumę pieniędzy polskiemu rządowi na walkę z Niemcami (Niemcy znaleźli listę darczyńców). Po drobiazgowym przeszukaniu domu Niemcy skierowali się w stronę strychu. „Co tam jest?" – zapytał jeden z nazistów, podczas gdy drugi zmierzał w naszą stronę. My, ciągle pod wpływem wczorajszych strasznych opowieści, leżeliśmy z zamkniętymi oczami, drżąc, a jedyna myśl, która przelatywała przez głowę, to: „Została nam jeszcze minuta życia, no może pięć minut". Co Żyd mógł zrobić w takiej sytuacji? Ja płakałem, modląc się: „O, usłysz Izraelu... Jesteśmy grzesznikami, byliśmy niewierni...". Jednakże Niemcom nie chciało się brudzić kurzem z dachu i tylko ogarnęli strych przelotnym spojrzeniem. Szczęśliwie nie spostrzegli nas. Tak więc leżeliśmy pogrążeni w smutnych myślach i obezwładniającym strachu do wieczora. Dopiero wtedy udało nam się przezwyciężyć lęk, zdjąć buty, żeby nikt nas nie usłyszał, opuścić drabinę i zejść na dół.

Następnego dnia rano udało mi się wrócić do domu. Jednak pozostanie tam nie było bezpieczne. Naprzeciwko mieściła się fabryka artykułów piśmiennych Goldów. Za ich przyzwoleniem ukryłem się tam na kilka dni, w tym podczas święta Rosz Haszana. Potem dołączyłem do ojca w Krakowie. W przeddzień Jom Kippur szedłem ulicą, kiedy zobaczyłem dwóch przeklętych nazistów trzymających starszego Żyda na ulicy rabbiego Meiselsa. Zmusili go, aby stanął pod ścianą, zdarli z niego tałes, który powiesili na lufie karabinu i podpalili. Jeden z Niemców nożyczkami obciął Żydowi brodę i pejsy razem z uchem. Blady i drżący staruszek stał pod ścianą, kiedy krew z ucha sączyła się na jego ubranie, ku radości obserwujących scenę Polaków. Pobiegłem do domu mojej ciotki na Starowiślną, gdzie mieszkaliśmy w tamtym czasie razem z ojcem błogosławionej pamięci. Stanowczo zażądałem, aby ojciec ściął brodę. Zgodził się, a ja ogoliłem go na kilka godzin przed *Kol nidre*[600]. Następnego dnia, w Jom Kippur, w domu mojej ciotki zebrali się ludzie na modlitwy. W trakcie modłów zauważyliśmy, że do ogródka przed domem wchodzą Niemcy. Zebrani szybko ściągnęli chusty[601] i poczęli uciekać. W mieszkaniu zostaliśmy tylko ja i ojciec ze stertą modlitewnych szali. Szczęśliwie jednak Niemcy nie weszli do naszego mieszkania.

Zdecydowałem się na ucieczkę. Udałem się do Przemyśla, przekroczyłem San, granicę między Niem-

z ziemią w 1948 roku podczas wojny izraelsko-arabskiej; odbudowane po wojnie sześciodniowej w 1967 roku.

[600] Modlitwa napisana w jęz. aramejskim poprzedzająca modły wieczorne w przededniu święta Jom Kippur.

[601] Modlitewna chusta (szal) – tałes (*talit*).

cami i Rosją[602]. Przybyłem do Lwowa, gdzie spotkałem przyjaciół i zacząłem się rozglądać za możliwością przedostania się do Palestyny. Istniało ich kilka: przez Wilno, przez Rumunię i przez Japonię. Chciałem zawiadomić o moich planach rodziców. Nie mając dostępu do telefonu czy możliwości wysłania wiadomości pocztą, postanowiłem powrócić do domu i osobiście przedstawić rodzicom plany. Razem z moim przyjacielem Jakobem Lernerem przedostaliśmy się z powrotem do Przemyśla, gdzie zamierzaliśmy przekroczyć San w znanym nam miejscu. Niestety zostaliśmy zatrzymani przez Rosjan, odseparowani od siebie i osadzeni w więzieniu. Areszt zupełnie zmienił moje plany. Po kilku tygodniach, pod koniec grudnia 1939 roku, Rosjanie przenieśli więźniów – zarówno Żydów, jak i Polaków – do rosyjskiego więzienia w Czernihowie. Cele były przepełnione, w każdej trzymano dwudziestu pięciu więźniów. Jako pobożny Żyd i wychowanek Haszomer Hadati włożyłem wiele wysiłku w to, aby pamiętać o przestrzeganiu dni świątecznych. Bez żydowskiego kalendarza nie było wiadomo, kiedy przypadały święta. Wśród więźniów było jeszcze dwóch bogobojnych Żydów i razem udało nam się opracować kalendarz świąt. Teraz już wiedzieliśmy, kiedy wypada Pesach, Rosz Haszana i Jom Kippur.

Posiłki więzienne były nie tylko skąpe, ale także jednostajne: każdego dnia porcja chleba, rano filiżanka herbaty z małą łyżeczką cukru, na obiad łyżka zupy, a wieczorem łyżka zupy i herbata. My trzej przez cały miesiąc poprzedzający Pesach zbieraliśmy cukier ze śniadania. Kiedy nadeszło święto, mieliśmy uzbierane kilkaset gram. W noc sederową, kiedy wszyscy spali, usiedliśmy razem, cukier wsypaliśmy do pudełka po zapałkach i pobłogosławiliśmy święto. Wyrecytowaliśmy fragmenty hagady – prosto z serca – najlepiej, jak zapamiętaliśmy. Wiele z nich miało dla nas nie tylko historyczną wartość, ale także znaczenie dla naszej obecnej sytuacji. Te części odmówiliśmy z oddaniem: „Dzisiaj obchodzimy święto tutaj, ale mamy nadzieję, że w przyszłym roku będziemy świętować na ziemi Izraela... Będziemy wolnymi ludźmi na ziemi Izraela...". Polizaliśmy cukier i złożyliśmy przysięgę, że kiedy nadejdzie Bóg, by nas uratować, i kiedy znowu będziemy wolni, na naszych stołach w pesachową noc położymy pudełko po zapałkach wypełnione cukrem, na pamiątkę cierpienia przebytego w więzieniu. Ja robię tak do dzisiaj.

W czerwcu 1940 roku zostałem wezwany do biura więzienia, gdzie poinformowano mnie, że w Moskwie odbył się mój proces i że zostałem skazany na pięć lat ciężkich robót na Syberii. Po pewnym czasie wyruszyłem w drogę razem z dziesięcioma tysiącami innych więźniów. Wieziono nas na północ pociągami, ciężarówkami, statkami przez dwa miesiące. Dotarliśmy do miejsca, gdzie kończyły się wszystkie drogi, a po tygodniu znaleźliśmy się na zalesionym obszarze, gdzie skończyła się również linia kolejowa. Nie było żadnych dróg, po których jakikolwiek pojazd mógłby się przemieszczać. Szliśmy więc na piechotę całymi dniami, ciągnąc ze sobą narzędzia i inne rzeczy. Nasza grupa liczyła pięciuset mężczyzn. Wreszcie dotarliśmy do drzewa ze znakiem „Obóz 45". Było to 1 września 1940 roku.

Panowały tam nieludzkie warunki. Do 1 listopada 1940 roku, w zaledwie dwa miesiące po naszym przyjeździe, trzystu spośród pięciuset więźniów zmar-

[602] Zgodnie z tajnym protokołem dodatkowym paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku strefa wpływów ZSRR i Niemiec miała przebiegać według granicy wyznaczonej rzekami Wisła, Narew i San.

ło. Spaliśmy na dworze, nie mając żadnej ochrony przed deszczem. Pracowaliśmy od rana do wieczora w deszczu i śniegu. Panował straszny głód. Pełzały po nas wszy, wysysając krew. I tak mijały dni robocze i świąteczne. Pamiętam jeden dzień, Jom Kippur, kiedy ucztowałem. Postanowiłem wtedy nie iść do pracy. Próbowałem ukryć się za stosem drewna przed świtem, ale okazało się, że ktoś już tam jest. Poprosiłem go, aby się przesunął, ale ten nie zareagował. Chciałem go popchnąć, gdy zauważyłem, że był martwy. Wyciągnąłem się za nim i czekałem, aż wszyscy udadzą się do roboty. Niestety wykrył mnie strażnik z psem, który chciał rozszarpać mnie na kawałki. Oprócz mnie na ten pomysł wpadło jeszcze dwóch mądrali. Strażnicy, szczując nas psami, zmusili nas, abyśmy pobiegli do pracy. Pracowałem i modliłem się jednocześnie; łzy spływały mi po policzkach. Tak minął Jom Kippur w 1940 roku w wiecznie zielonych subarktycznych lasach północnej Syberii.

Kiedyś poraził mnie przeszywający ból pleców, gorączka reumatyczna. Nie byłem w stanie pracować, jednak doktor odmówił zwolnienia mnie. Niestety nie miałem wysokiej temperatury, nie byłem także spuchnięty z głodu (tylko w tych dwóch przypadkach można było zostać zwolnionym od pracy). Nie mając innego wyboru, poszedłem do pracy. Stałem niczym marmurowy posąg, nie mogąc wykonać skłonu, w strugach deszczu. Nasz strażnik, młody żołnierz, podszedł do mnie i zapytał o powód mojego próżniactwa. Odpowiedziałem, że jestem chory i ledwie stoję. Pomyślałem, że to właściwy moment, aby go zagadnąć. „Jak to możliwe – zapytałem go – że nikt nie pomoże choremu człowiekowi, że zmusza się go do pracy w strugach deszczu, kiedy jest przemoczony, głodny, chory, cierpiący z zimna i upokorzenia? Co to za życie – mówiłem dalej – lepiej jest już umrzeć, niż tak żyć". Strażnik wysłuchał mnie i powiedział: „Jeśli faktycznie masz tak dość swojego życia, to chyba mogę ci ulżyć. Jeśli będziesz próbował uciec z obozu, mam prawo cię zastrzelić". Jak tylko wypowiedział te słowa, ja, nie zastanawiając się ani chwili, jakby odruchowo odwróciłem się i zacząłem iść. Dobrze pamiętam ten brzemienny w skutki moment, przed sobą nie widziałem nic, wszystko było przymglone, tylko w uszach słyszałem dziwny szum. Szedłem i szedłem. Moje myśli były sparaliżowane. Zamknąłem oczy. Usłyszałem krzyk: „Stać!". Mglistość przede mną zgęstniała jeszcze bardziej, ale moje stopy szły do przodu. Potem usłyszałem kolejny krzyk: „Stać!". Słyszałem odgłos pospiesznych kroków zbliżających się coraz bardziej, przede mną pojawił się strażnik z wycelowanym we mnie karabinem, nakazując mi zawrócić. Zaprosił mnie do swojego ogniska, żebym się trochę ogrzał i wysuszył. Potem powiedział do mnie uprzejmie: „Racja, warunki tutaj są bardzo ciężkie, ale trzeba mieć nadzieję, że to się odmieni, jesteś jeszcze młody – mówił dalej – bez wiary jesteś stracony, współczuję ci, ale nie ma innego wyjścia – trzeba wytrzymać". Podczas tej rozmowy ulewa zmieniła się w mżawkę. Moje podarte buty bez skarpetek były pełne błota i przemoczone od środka. Cały byłem mokry, ale część mojego ubrania już zdążyła wyschnąć od ogniska i zaczęła parować. Kiedy pod wieczór wróciliśmy do obozu, strażnik przyniósł mi pół bochenka chleba okraszonego słowami otuchy. Później powtórzyło się to jeszcze kilka razy.

Po kilku miesiącach do naszego obozu przyjechała komisja na kontrolę. Kiedy inspektorzy zobaczyli nieludzkie warunki, w których żyliśmy, nakazali zlikwidowanie obozu, dowódcę postawili przed sądem, a nas poprzenosili do szpitali i innych, porządniejszych obozów. Ja zostałem przeniesiony do obozu

dla inwalidów. Ku swojej wielkiej radości spotkałem tam mojego krajana Mendla Grossa.

Na kilka dni przed świętem Pesach w 1941 roku Mendel Gross wyznał mi w zaufaniu, że ma jakieś osiemset gramów mąki, ale nie ma jak upiec z niej macy. Zapytał mnie, czy nie mógłbym czegoś poradzić. Obiecałem spróbować. W przeddzień Pesach poszedłem do pracy przy cięciu drewna, a tam zamieniłem się z kimś na robotę przy paleniu gałęzi. Przygotowałem sobie dwie puszki; do jednej włożyłem śnieg i rozpuściłem na ogniu. W drugiej puszce rozmieszałem mąkę z wodą, zagniotłem to na ciasto i następnie nadałem kształt macy. Potem włożyłem to do ognia. Po kilku minutach odwróciłem i wkrótce miałem gotową macę, chociaż bardzo grubą. Przez cały czas waliło mi serce i bałem się schwytania na gorącym uczynku. Moi przyjaciele oczywiście mieli wyglądać, czy nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Drugą macę upiekłem w taki sam sposób. Obie schowałem pod płaszczem. W obozie czekał już na mnie Mendel Gross. Spojrzał mi w oczy, a ja dałem mu znak, że się udało. Chciałem oddać mu obydwie mace, lecz on zapytał, czy nie mógłbym ich przetrzymać przez święto Pesach, jeśli podzielimy je po równo. Odpowiedziałem, że nie jestem pewien. W końcu uzgodniliśmy, że on dostanie półtorej macy, a ja wytrzymałem z połówką przez trzy dni, dzieląc się jej częścią z przyjacielem, który spał obok mnie. Tak przetrwałem kolejny Pesach w wiecznie zielonych lasach subarktycznej północnej Syberii, ciężko pracując przy wycince drzew, często o pustym żołądku.

Po święcie Mendel Gross został przeniesiony do więzienia, żeby odbyć karę; nigdy nie powrócił. Ja pozostałem w obozie jeszcze przez następnych kilka miesięcy. Olbrzymie wrażenie zrobiły na mnie lipcowo-sierpniowe noce, które były tak jasne jak dni. Można było czytać zarówno za dnia, jak i w nocy bez sztucznego światła. Z drugiej strony świt w zimie nadchodził późno, bo około dziewiątej–dziesiątej rano, a o trzeciej po południu znowu powracała ciemność. Wtedy noc trwała osiemnaście–dziewiętnaście godzin.

1 września 1941 roku czekała nas niespodzianka. Kiedy wracaliśmy z pracy i docieraliśmy już do bram obozu, odczytano nam na głos listę polskich i żydowskich więźniów. Ku naszemu niedowierzaniu okazało się, że zostaliśmy uwolnieni na mocy polsko-rosyjskiego porozumienia, które było skutkiem niemieckiej napaści na Rosję.

Po trudnej i długiej tułaczce przedostałem się z północnego krańca Rosji na jej południowy koniec – do miasta Buchara w Uzbekistanie. Mieszkałem tam do 1946 roku. Spotkałem wielu Żydów z Polski, w tym nawet niektórych z Wieliczki. Części z nich nigdy nie udało się powrócić; zmarli z powodu chorób. Z początkiem 1946 roku otrzymałem kartkę pocztową od pana Zellnera z Wieliczki, zajmującego się w tamtym czasie sprawami wielickich Żydów, w której informował mnie, że moi ukochani rodzice i cała moja rodzina 27 sierpnia 1942 roku zostali wywiezieni do obozu zagłady w Bełżcu, gdzie zostali zagazowani i zakopani. Cała moja rodzina, jedenaście osób.

Jestem jedynym ocalałym z mojej rodziny.



Wśród ocalałych, którzy po wyzwoleniu wrócili tymczasowo do Wieliczki – oprócz Szymona Schnura (u góry po lewej stronie), który mieszkał w mieście do końca życia – byli (od Schnura w prawo): Zilber Menasze, Izaak Birnbaum i Henryk Königsberger, 1945 rok

Z POLSKI DO IZRAELA PRZEZ ROSJĘ

Jehoszua Freifeld

Przebywałem pod rządami nazistów zaledwie przez sześć tygodni; krótko, ale wystarczająco, żeby przejrzeć Niemców i wiedzieć, czego można się po nich spodziewać.

W tym czasie skrzyknęła się grupa młodych ludzi, którzy mieli zamiar uciekać na wschód, do Lwowa, wówczas znajdującego się pod okupacją rosyjską. Rosjanie nas zesłali, podobnie jak wielu innych, w rejon Archangielska w pobliżu rzeki Dwiny, niedaleko miasta Kotłas.

Zostaliśmy tam przywiezieni, aby wycinać drzewa w tym zalesionym regionie. Wylesianie było bardzo trudne z powodu ciężkich warunków klimatycznych panujących przez większą część roku. Latem upał był nie do zniesienia, muchy i komary nękały spocone ciała. Musieliśmy pracować z opaskami na oczach, aby móc się ochronić. Zimy były bardzo surowe. Temperatura spadała zwykle do minus czterdziestu pięciu stopni. Musieliśmy codziennie przejść w tę i z powrotem dwanaście kilometrów z miejsca, gdzie mieszkaliśmy, do lasu, wyczerpani i zmęczeni.

W obwodzie archangielskim żyli zesłańcy z Białorusi, przywiezieni tam kilka lat wcześniej po tym, jak skonfiskowano ich mienie po za-

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 53–57. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

rządzonych przez Stalina czystkach. Oni także byli zatrudnieni przy wycince drzew, przetrwali tylko nieliczni. Teraz ich zadaniem było sprawowanie nadzoru nad nami. Pomimo że sami wycierpieli wiele, nie sprawiło to, że traktowali nas lepiej.

Jak już wspomniałem, nasz obóz był obozem pracy. Opuszczanie go było surowo zabronione, poza tym nawet nie było dokąd uciekać. Bezkresne nieużytki rozciągały się dookoła aż po horyzont, do tego klimat nie do zniesienia.

Przetrwałem w tym strasznym miejscu około roku. Kto wie, czy starczyłoby mi sił, aby trwać w tym dalej, gdyby nie zdarzenie, które zmieniło nasze życie na lepsze. W 1941 roku naziści zaatakowali Rosję. Skutkiem nowej wojny pomiędzy Niemcami a Rosją było podpisanie układu pomiędzy generałem Sikorskim reprezentującym Polskę a ambasadorem Związku Radzieckiego Majskim, na mocy którego wszyscy polscy więźniowie przebywający w Rosji zostali zwolnieni, a następnie wcieleni do polskiej armii. Po tym, jak mnie zwerbowano, wraz z Armią Andersa dotarliśmy w 1944 roku na Środkowy Wschód. Najpierw dotarliśmy do Gazy na południu, stamtąd na rok przeniesiono nas do obozu treningowego w Iraku. Dopiero po tym wróciliśmy do *Erec Israel*. W przeddzień święta Rosz Haszana 1943 roku mieliśmy właśnie wyruszać do Włoch i dołączyć do polskich żołnierzy pod Monte Cassino, kiedy ja i mój przyjaciel stwierdziliśmy, że czas już zakończyć to wszystko. Kiedy mielibyśmy się zatroszczyć o swój dom, jeśli nie właśnie teraz? Jak ustaliliśmy, tak i zrobiliśmy; zdjęliśmy nasze polskie mundury i przyłączyliśmy się do kibucu. Rozpoczęliśmy nowe życie w Palestynie. Ożeniłem się i wychowałem dzieci. Obecnie mieszkam w Herclijja i jestem szczęśliwym ojcem zamężnej córki i syna, który studiuje.

Opisałem moje trudne doświadczenia po tym, gdy opuściłem dom na początku Holokaustu. Od tamtej pory minęły dziesięciolecia. Jestem pewien, że inni wycierpieli więcej niż ja, jednak nie potrafię zapomnieć tamtych przeżyć. Byłem osiemnastoletnim chłopcem, niedoświadczonym i całym sercem związanym z domem mojego ojca, dobrym i ciepłym. Należałem do ruchu syjonistycznego Akiwa, dzięki któremu uzyskałem wykształcenie. Wspominam tamte szczęśliwe dni z rozrzewnieniem. Ruchowi przewodził Jehoszua Ofer[603], a moją instruktorką była Tsipora Kleinman. Ruch rozwijał takie aktywności, jak: wycieczki, nauczanie hebrajskiego, uroczystości szabatowe, wykłady i tańce.

Zostałem oderwany od swoich korzeni i wbrew swojej woli wrzucony w odległe środowisko, okrutne i wrogie, w świat wyzuty z jakichkolwiek ludzkich uczuć, pozbawiony praworządności i współczucia, bez rodzicielskiego ciepła, pochmurny i ponury, świat bez świąt i wakacji. To były najtrudniejsze dni, pozbawione nadziei na wyzwolenie się z tych mąk.

Pocieszaliśmy się wtedy, mając nadzieję na rychłe zakończenie wojny i na to, że wszystko powróci na swoje miejsce. To złudzenie rozwiało się szybko, zamiast niego dotarła do nas gorzka prawda o tym, że wymordowano miliony naszych braci, wśród nich moich rodziców i ukochane siostry. Ciężko znaleźć ukojenie po czymś takim. Jeśli istnieje jakiekolwiek pocieszenie, to chyba w tym, że założyłem dom w Izraelu i dochowałem się potomstwa, które będzie kontynuowało narodowy łańcuch tradycji dla lepszej przyszłości.

[603] Zob. tekst Jehoszuy Ofera na s. 115–122, 127–129.

MOJA DROGA DO IZRAELA

Henryk (Chaim) Brand

Wychowałem się, jak większość moich rówieśników, w organizacji syjonistycznej. Jednak w dość młodym wieku związałem się z organizacjami lewicowymi i doszedłem do wniosku, że kwestię żydowską rozwiązać może tylko ustrój socjalistyczny.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 udałem się na wschód i znalazłem się we Lwowie. Większość młodzieży żydowskiej pracowała wówczas w instytucjach sowieckich. Uczestniczyłem w odbudowie zniszczonego Lwowa, lecz we włączeniu się w nurt życia Rosji przeszkadzała mi świadomość pełnego znaczenia paktu Ribbentrop–Mołotow.

Jak grom z jasnego nieba spadły na nas pogłoski o odsyłaniu Żydów przez władze sowieckie z powrotem do Polski. Ponieważ jako żydowski uciekinier straciłem pracę, wyjechałem na Ural do pracy w fabryce metalurgicznej. Poza jednym Ukraińcem i Polakiem w dwóch transportach byli tylko Żydzi z różnych stron Polski.

Pracowałem na maszynie, na której nie zechciał pracować żaden Rosjanin: praca była ciężka i mało płatna. Początkowo, nie znając języka, nie skarżyłem się. Gdy w końcu dałem wyraz swemu niezadowoleniu, okazało się, że „lepiej nie odpłacać niewdzięcznością za gościnność" i że jest to też niebezpieczne. Nazywano nas początkowo „Białorusinami",

Tekst pochodzi z: *The Jewish Community...*, *op. cit.*, s. 88–91.

ale po pewnym czasie „onieśmielenie" minęło i rozpoczęły się uwagi rozpoczynające się od słów *jewriej*[604] i *Żid*.

Wynagrodzenie za ciężką pracę było bezwartościowe; oba miejscowe sklepy nie miały zresztą żadnych towarów. W stołówce fabrycznej dawano coś, co nazywano, nie wiadomo dlaczego, zupą, i chyba tylko młodość i nadzieja na bliski kres wojny dodawały mi siły.

Wielu z nas, uchodźców, wyjechało legalnie lub nielegalnie w głąb Rosji i w chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej pozostała nas zaledwie garstka. Do wybuchu wojny pracowaliśmy co prawda siedem godzin dziennie, lecz dzień wolny od pracy wypadał każdemu w innym dniu tygodnia i trudno było nawet pomyśleć o wspólnym spędzaniu czasu. Z wybuchem wojny dzień pracy wydłużono do dwunastu godzin; do Żydów zaczęto odnosić się nieufnie.

Pracowałem bardzo ciężko i zostałem nawet „przodownikiem pracy", lecz mimo to stanąłem dwa razy przed sądem, oskarżony o brak dyscypliny. Mieszkałem w nieopalanym pokoju przy temperaturach minus czterdzieści pięć stopni; w ramach kary zmniejszono mi porcję chleba o dwieście gram i potrącono dwadzieścia pięć procent pensji przez pięć miesięcy. Pomimo to nadal byłem „przodownikiem", a nawet zostałem kierownikiem działu. Po trzech miesiącach okazało się, że zdaniem NKWD Żyd nie powinien być odpowiedzialny za dział produkcji zbrojeniowej. Wróciłem więc do mniejszych porcji chleba i dawnej pracy, przy której pozostałem do chwili powrotu do Polski w kwietniu 1946 roku.

Wydawało mi się, że po tragedii narodowej, jaka nas spotkała, będę pełnoprawnym obywatelem nowej Polski. Przyjąłem odpowiedzialne stanowiska i zostałem członkiem partii. Rozczarowanie nie dało na siebie długo czekać, lecz nie można już było zrezygnować z pracy bez narażania całej rodziny na represje ze strony władz.

Po dojściu Gomułki do władzy odważyłem się w końcu zrezygnować z państwowej pracy i wystąpić z partii. Czyniłem starania o wyjazd. Lecz mimo kilkukrotnych podań stale spotykałem się z odmową. Rozpocząłem pracę w organizacjach żydowskich i po dwunastoletnich staraniach w 1968 roku otrzymałem w końcu zezwolenie na wyjazd do Izraela.

---

[604] Ros. „żyd".

WSPOMNIENIE O ZYGMUNCIE ROZEWICZU

Zygmunt Rozewicz[605] urodził się w Wieliczce 17 marca 1927 roku. Tam też ukończył szkołę powszechną i zdał egzamin do gimnazjum.

1 września 1939 roku – wskutek wybuchu wojny – wyjechał do Lwowa i tam kontynuował naukę w gimnazjum.

W czerwcu 1940 roku został deportowany w głąb Rosji, do tzw. specposiołka[606] w Maryjskiej ASRR. Po porozumieniu ZSRR z generałem Władysławem Sikorskim we wrześniu 1941 roku i ogłoszeniu amnestii został wraz z rodziną zwolniony z zesłania. Zamieszkał na wsi w tej samej republice. Początkowo pracował, potem uczęszczał do szkoły średniej.

Do kraju wrócił w 1944 roku i kontynuował naukę w Gimnazjum i Liceum im. Hetmana Zamojskiego w Lublinie, gdzie w 1946 roku zdał egzamin maturalny. W tym samym roku wstąpił na Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Studia ukończył w 1951 roku, uzyskując tytuł inżyniera elektryka – magistra nauk technicznych.

Tekst pochodzi z: „Biuletyn Naukowo-Techniczny Zakładów Pomiarowo-Badawczych Energetyki Energopomiar" 2006, nr 1, s. 39–41.

[605] O inż. Izaaku Rosenzweigu – wujku Józefa i Zygmunta Rozewiczów zob. s. 185.

[606] Specposiołki („specjalne osiedla") – osady na Syberii przeznaczone do zasiedlania przez zesłańców, pozostające pod bezpośrednim zarządem NKWD.

Po uzyskaniu absolutorium na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej z polecenia profesora Lucjana Nehrebeckiego podjął pracę w Energopomiarze. Tu po zdaniu egzaminu dyplomowego pracował jako inżynier pomiarowiec. Początek lat pięćdziesiątych to okres odbudowy polskiej energetyki, która została zniszczona podczas wojny. Zygmunt Rozewicz znalazł więc szerokie pole do wykazania swoich zdolności technicznych i organizacyjnych, prowadząc prace przy budowie Elektrowni Jaworzno II, Elektrowni Miechowice, Elektrociepłowni Żerań czy Elektrociepłowni Huty im. Lenina. Zdobywając szybko doświadczenie zawodowe, równie szybko awansował w hierarchii służbowej – od stanowiska inżyniera pomiarowca, poprzez Kierownika Sekcji Odbiorów Elektrycznych, aż do Kierownika Zakładu Elektrycznego. Rozwinął ten zakład do wyspecjalizowanej jednostki zatrudniającej ponad dwustu siedemdziesięciu pięciu pracowników.

Równocześnie prowadził szereg prac naukowych i badawczych, ściśle współpracując z Politechniką Śląską, Instytutem Energetyki, Instytutem Automatyki Systemów Energetycznych, co zaowocowało uzyskaniem w 1974 roku tytułu doktora nauk technicznych, a następnie docenta.

W stanie wojennym, na początku 1982 roku, został zwolniony z pracy w Energopomiarze i podjął pracę w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Gospodarki Energetycznej jako docent – kierownik pracowni. W 1990 roku powrócił do pracy w Energopomiarze, gdyż w wyniku konkursu objął stanowisko Dyrektora Naczelnego, a po przekształceniu firmy w spółkę z o.o. w 1991 roku – stanowisko Prezesa Zarządu – Dyrektora Naczelnego, które zajmował do czerwca 1999 roku.

W 1953 roku wstąpił do koła Stowarzyszenia Elektryków Polskich przy Energopomiarze. W latach sześćdziesiątych pełnił funkcję wiceprezesa, a następnie prezesa Oddziałowego Kolegium Sekcji Energetycznej w Gliwicach. Był także członkiem stowarzyszeń: Akademii Inżynierskiej w Polsce, Polskiego Towarzystwa Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej, International Association for Energy Economic, Zarządu Izby Gospodarczej Energetyki i Ochrony Środowiska.

Był autorem lub współautorem ponad stu publikacji w czasopismach naukowych, technicznych i ekonomicznych, a także zbiorowych publikacji książkowych.

Za swoją działalność zawodową i społeczną został odznaczony wieloma odznaczeniami: Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi.

Od 1946 roku mieszkał w Bytomiu, był żonaty, miał dwóch synów. Dr inż. Zygmunt Rozewicz zmarł po ciężkiej chorobie 2 grudnia 2005 roku. Został pochowany na cmentarzu w Bytomiu.

ICH MIŁOŚĆ MNIE ODNALAZŁA

Maria Perlberger-Shmuel

We wrześniu 1942 roku, po zdobyciu dla mnie aryjskich papierów na nazwisko Maria Teresa Nowakowska, pojechałam z panią Duszczyńską z Krakowa na Pragę do Warszawy, do rodziny koleżanki pani K. Następnie zaopiekowała się mną Irena Chmura współpracująca z Żegotą[607]. Zamieszkałam z jej matką i córką Wandą w domu na Kole[608].

***

[...] Pod[609] koniec 1944 roku pani Chmurowa postanowiła pojechać z Wandą i z babcią do swojej rodziny. Mnie jednak nie mogły ze sobą

Fragmenty tekstu pochodzą z: „Więź", *op. cit.*, s. 185–224 oraz *Ustna harmonijka...*, *op. cit.*, s. 113–132.

[607] Rada Pomocy Żydom przy Delegacie Rządu RP na Kraj (kryptonim Żegota) – polska organizacja podziemna działająca w latach 1942–1945, jako organ polskiego rządu na uchodźstwie, której zadaniem było organizowanie pomocy dla Żydów w gettach oraz poza nimi: dostarczała uzbrojenia powstańcom żydowskim, załatwiała kryjówki dla Żydów z getta po aryjskiej stronie *etc.*

[608] Pominięto fragment opowiadający o warszawskich losach Marii Perlberger w latach 1942–1944, zob. niniejszy tekst w: „Więź" 1988, nr 7–8, s. 193–224.

[609] Tekst pochodzi z: „Więź", *op. cit.*, s. 185–224.



Dom przy ul. Mickiewicza 16, w którym do 1942 roku mieszkała Maria Perlberger, lata sześćdziesiąte XX wieku

zabrać. Postanowiono więc, że po drodze zatrzymamy się w Krakowie, pani Chmurowa pojedzie do Wieliczki i nawiąże nowy kontakt z panią K. z naszej kamienicy przy ul. Mickiewicza 16 (kontakt się urwał w chwili wybuchu powstania warszawskiego). Przed wyjazdem obcięto mi warkocze, nie było przecież warunków, aby je pielęgnować.

Podróż była ciężka. Pociągi osobowe nie kursowały już regularnie – pierwszeństwo miały transporty wojsk niemieckich. Musiałyśmy się przesiadać niezliczoną ilość razy. Czasem odpychano nas od wagonów. Tak ciągnęła się ta jazda chyba ze dwie doby. Jednak nie chciałam, aby dobiegła końca. Myśl o rozstaniu z panią Chmurową bolała. Łzy nabiegały do oczu. Wanda przemawiała do mego harcerskiego hartu i honoru. Ale co mi tam honor i hart harcerski! Popłakiwałam więc od czasu do czasu. Dojechałyśmy do Krakowa. Pani Chmurowa pojechała od razu do Wieliczki, podczas gdy my czekałyśmy w poczekalni dworcowej, pełnej podróżnych. Po kilku godzinach pani Chmurowa wróciła. Pani K. obiecała, że nazajutrz przyjedzie do Krakowa, aby się mną zająć, tymczasem przesłała mi karteczkę z jakimś adresem. Tam właśnie miałam na nią czekać. Była już godzina policyjna, nie wolno więc było wyjść na miasto. Pociąg pani Chmurowej odchodził za godzinę – miałam więc czekać sama do rana tu, w poczekalni. Pragnęłam, aby zdarzyło się coś, co opóźni odjazd tego pociągu, ale właśnie ten zajechał punktualnie. Szybkie pożegnanie i już weszły do przedziału. Wanda stanęła w oknie. Łzy znowu zaczęły mnie dławić… „No, Marysiu, trzymaj się!" – były to ostatnie słowa Wandy i pociąg ruszył.

***

Zostałam[610] na stacji sama z tą kartką. Musiałam czekać do rana, ponieważ obowiązywała jeszcze godzina policyjna. Nagle zdybał mnie jakiś Ukrainiec w służbie niemieckiej. I pyta: „A ty dziewczynko skąd? A ty dziewczynko dokąd? Kto ty jesteś? Skąd ty jesteś? Gdzie się uczyłaś?" – wszystko chciał wiedzieć.

Czułam, że to się nie skończy dobrze. Miałam wtedy jedenaście i pół roku, duża nie byłam. Ale wiedziałam, że już po mnie, z jego łap się nie

[610] Tekst pochodzi z: *Ustna harmonijka…*, *op. cit.*, s. 113–132.

wydostanę. Krążył wokół mnie jak sęp. Potem przyprowadził jeszcze jakiegoś kolegę i zaproponowali, że pójdziemy na herbatę. Pewnie chcieli mnie zgwałcić. Uciekłam do ubikacji dla kobiet. Myślałam, że tam już nie wejdzie. Ale wszedł. Pamiętam jego wzrok: podpity, zły, okropny, przenikliwy. „O, nawet tu pan za mną trafił" – powiedziałam z duszą na ramieniu. Nic nie odpowiedział, tylko trzymał rękę na klamce i stał w rozkroku. Szybko się schyliłam i śmignęłam mu pod tą ręką. Uciekłam do przystacyjnego bunkra. Nikogo nie było, tylko strasznie śmierdziało ludzkimi ekskrementami. Kiedy wyszłam po kilku godzinach, ciągle mi się zdawało, że on za mną idzie. Ale nie.

Dotarłam pod adres z karteczki. Właścicielka mieszkania nie kryła zdumienia. „Tutaj ma przyjść po mnie pani K." – powiedziałam. To była żona tego lekarza, który wziął pieniądze moich rodziców i za mnie płacił. Kiedy pani K. mnie zabrała, od razu wpadła w lament, że nie ma ze mną co zrobić. „Jak ci nie znajdę miejsca, to cię oddam na gestapo" – pogroziła. Nic nie odpowiedziałam. W końcu znalazła mi jedno miejsce, a potem drugie. Wojna zbliżała się do końca, to był październik albo listopad. Ostatnie schronienie przypadło mi u pewnej bardzo pobożnej wdowy. Zawsze chętnie chodziłam do kościoła, do dzisiaj znam na pamięć wszystkie modlitwy, też po łacinie, ale ta pani była dewotką, ciągle tylko naganiała mnie do modlitwy i do czytania żywotów świętych albo historii o Żydach, którzy oszukiwali, i o Żydach, którzy zdradzali, choć wiedziała, że jestem Żydówką.

Pewnego dnia kazano nam zejść do schronu, słyszeliśmy detonacje. To Rosjanie wchodzili do miasta. W schronie ktoś powiedział: „Teraz znowu zobaczymy Żydów, tych pejsaczy". Pomyślałam, że jak rodzice wrócą, to ja ich przekonam, żeby już nigdy nie byli Żydami. Nie chciałam identyfikować się z kimś, o kim mówiło się z pogardą.

Weszli Rosjanie. Na ulice wyległy tłumy. Nie wiem, dlaczego i po co. Szłam z tą panią pobożną, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Patrzę, a to mój kuzyn, Henek Lindenberg z Krakowa. Starszy ode mnie, dużo starszy. Jakoś przeżył. Tak bardzo się ucieszył, że mnie widzi. Od razu chciał adres. Ja byłam już nauczona, że nie wolno dawać adresu. I nie dałam. „Kto to jest?" – zapytała pani pobożna, kiedy poszedł. „I czego chciał?". „A, on mi tylko dał adres i powiedział, gdzie mieszka z jeszcze jednym kuzynem. Chce, żebym do niego przyszła". „Możesz iść, ale muszę cię uprzedzić i ostrzec, Żydzi wolą otruć dziecko, które przeszło na wiarę chrześcijańską, niż pozwolić mu żyć jako katolikowi. Najczęściej podają takiemu herbatkę z trucizną".

Nie miała wtedy jeszcze dwunastu lat, pomyślałam o moich rodzicach i poszłam. Dzwonię do drzwi. Kuzyn taki zadowolony, szczęśliwy. Mówi: „Marysiu, jak dobrze, że jesteś, chodź, dam ci herbaty". Jak usłyszałam słowo „herbata", to już mnie nie było. On nie rozumiał, dlaczego. Wołał: „Zostaw przynajmniej adres! Poczekaj!". Szukaj wiatru w polu – biegłam, co sił.

To był styczeń 1945 roku. Pani K. już za mnie nie płaciła. Trafiłam do jakiegoś przytułku i ktoś chciał mnie adoptować. Nie uczynili tego prawnie, ale zabrali ze sobą do Łodzi. Taka para. Po prostu szukali służącej. To ja postanowiłam, że wracam do Warszawy. I pojechałam. Patrzę, a Warszawy nie ma. Nie mogłam niczego poznać. Ludzie wydeptali ścieżki przez gruzy i tak się poruszali. Ale Koło zostało nietknięte. Kiedy dochodziłam do domu, w którym żyłam po wyjeździe z Krakowa w 1942 roku pod



Maria Perlberger-Shmuel podczas rozmowy z Urszulą i Wiesławem Żyznowskimi, Hajfa, 14 marca 2012 roku

przybraną tożsamością, spotkałam naszą sąsiadkę, panią Kamińską. „Pani Chmurowa jeszcze nie wróciła, możesz u mnie nocować" – zaprosiła. „Chętnie cię przyjmę, ale możesz wrócić do Żydów".

Wtedy już wiedziałam, że ona znała prawdę cały czas.

Postanowiłam załatwić sobie miejsce w klasztorze. W klasztorach mieli internaty na poziomie. Nie wiedziałam tylko, że opieka społeczna, do której poszłam z prośbą o skierowanie, nie dysponuje takimi internatami. W końcu dostałam adres zgromadzenia urszulanek szarych koło Piaseczna. Byłam tam niedługo, do Bożego Narodzenia 1945 roku. Do szkoły trzeba było chodzić piechotą, a ja miałam tylko drewniaki i żadnego ciepłego ubrania. Klasztor żył z datków, panowała straszna bieda. Na Boże Narodzenie w szkole urządzili przyjęcie dla dzieci. „Kto nie ma domu, proszę podnieść palec" – ogłosili. Dawali paczuszki z jedzeniem. Ja się wstydziłam, ale podniosłam rękę. Zjadłam wszystko po drodze do klasztoru. A tam czekała Wanda Chmurówna. „Słuchaj – powiedziała – to nie jest miejsce dla ciebie. Ja ci załatwiłam coś innego".

Zawiozła mnie do innego domu dziecka, już nie klasztornego, tylko świeckiego, dla rodzin wojskowych. To naprawdę był porządny dom. Ale ja wciąż opowiadałam inne historie swojego życia, nie przyznawałam się, że jestem Żydówką. Bałam się. Wiedziałam przecież, że nic dobrego nie wyszło z tego żydostwa, wolałam pozostać Polką. A pani kierowniczka domu dziecka podpytywała ciągle: „Ty nie Żydówka?". „Nie, ja nie Żydówka" – odpierałam.

Później ów dom dziecka przeniósł się na Śląsk, do Opola. I tam pewnego dnia dotarła do mnie pocztówka od jednej z moich ciotek. Nie znałam jej, ponieważ to była siostra dziadka. Napisała: „Marysiu, jestem twoją ciocią i chcę cię jeszcze zobaczyć". I podpisała się nazwiskiem Schenker. Kiedy wszyscy siedzieli

przy stole, kierowniczka zapytała dobitnie: „Marysiu, a co to za twoja ciocia ta Schenker?".

Zapewniłam, że to jakaś pomyłka, że nie o mnie chodzi. Ale kierowniczka uznała, że powinnam jechać do Krakowa i wyjaśnić całą sytuację. Pojechałam. Odnalazłam ciocię. „Marysiu, świetnie, że przyszłaś" – ucieszyła się. A ja na to, że wracam tam, skąd przyjechałam. Wtedy ona powiedziała: „Możesz wrócić, możesz być katoliczką, możesz być wszystkim, czym chcesz. Ale ja muszę stąd wyjechać" – miała już wyrobione papiery zezwalające na wyjazd.

Ale u cioci była jakaś pani, która wtrąciła nagle: „Skoro ona nie chce nic wiedzieć o rodzinie – wskazała na mnie – to rodzina nic nie będzie chciała wiedzieć o niej".

To słowo „rodzina" podziałało. Tak długo nie miałam już rodziny. Dlatego choć ciocia wyjechała, ja zostałam, w domu dziecka z żydowskimi dziećmi. Patrzyłam na nie z góry, ponieważ przeszkadzało mi, że są takie żydowskie, mają kręcone włosy i jak mi się zdawało – semickie głowy.

Potem wujek Henryk Luftig, brat mamy, który mieszkał w Belgii, usłyszał, że się znalazłam, i przysłał kogoś, kto mnie zabrał do Belgii. A potem ten wujek bardzo nieładnie się ze mną obszedł. Po miesiącu, dwóch oddał mnie do domu dziecka. A ja tak chciałam mieć normalny dom. Potem podpisał za mnie zgodę na wyjazd do Izraela. Nikt mnie nie zapytał, co wybieram. Ja nie przyjechałam tutaj. Mnie tu posłali. Minęło tyle lat, już się przyzwyczaiłam, mam tu dzieci i wnuki i obchodzi mnie, co się dzieje w kraju, ale ta świadomość, że zdecydowano wtedy za mnie, towarzyszy całemu mojemu życiu.

U wujka mieszkałam też jakiś czas, kiedy przyjechał z rodziną do Izraela, ale źle się u nich czułam. Bezustannie mieli pretensje i krytykowali mnie. Nie pytali, co się ze mną działo w Polsce. Moja kuzynka, a ich córka użalała się nad sobą, że musiała spać na stole z braku miejsca. Ale miała rodziców! Nie było żadnego porównania między tym, co przeżyli oni, z dala od obozów koncentracyjnych, i my. Nikt nie porównywał, ponieważ oni nie pytali.

EPILOG

W 1990 roku po raz pierwszy po wojnie przyjechałam do Polski. Szukałam córki pani Duszczyńskiej, też Wandy (wiedziałam, że jej matka już nie żyje), mojej szkolnej koleżanki. Byłam w Wieliczce, w Krakowie, wszędzie, gdzie tylko mogłam – nikt nic nie słyszał. Jakieś dwa lata później dostałam od niej list. Spotkała kogoś, kto wiedział o moich poszukiwaniach. Ktoś inny podał jej mój adres. Napisała i nawiązałyśmy kontakt.

W 1997 roku znów pojechałam do Polski. Spotkałyśmy się. To właśnie wtedy dowiedziałam się wielu rzeczy. Między innymi o tym znajomym lekarzu, który wziął tylko pieniądze, a miał też wziąć i mnie. I o niemieckim wojskowym płaszczu, którym zostałam przykryta, żeby nie przeszkadzać zalotom Niemca. „Ja bym chciała, żeby moja mama miała pośmiertnie medal Sprawiedliwej" – powiedziała Wanda. Postarałam się o takie odznaczenie. Zostało przyznane.

Pani Chmurowa umarła, ale jej córka była u mnie dwukrotnie. Cały czas utrzymywałam z nią kontakt. To od Wandy Chmurówny dowiedziałam się z kolei, że akcję uratowania mi życia zorganizowała Żegota. Potem okazało się, że także moja kuzynka ocalała dzięki tej organizacji. Kuzynkę ulokowano u Polaków za pośrednictwem Zofii Kossak-Szczuckiej. Wanda odebrała medal Sprawiedliwej także w imieniu matki.

Bardzo wzruszająca ceremonia odbyła się w Jerozolimie. Posadzili drzewko. Wanda, kiedyś taka promienna, taka idealistka, była już wtedy chora. Przez tę chorobę trudno się z nią teraz porozumieć. Żal.

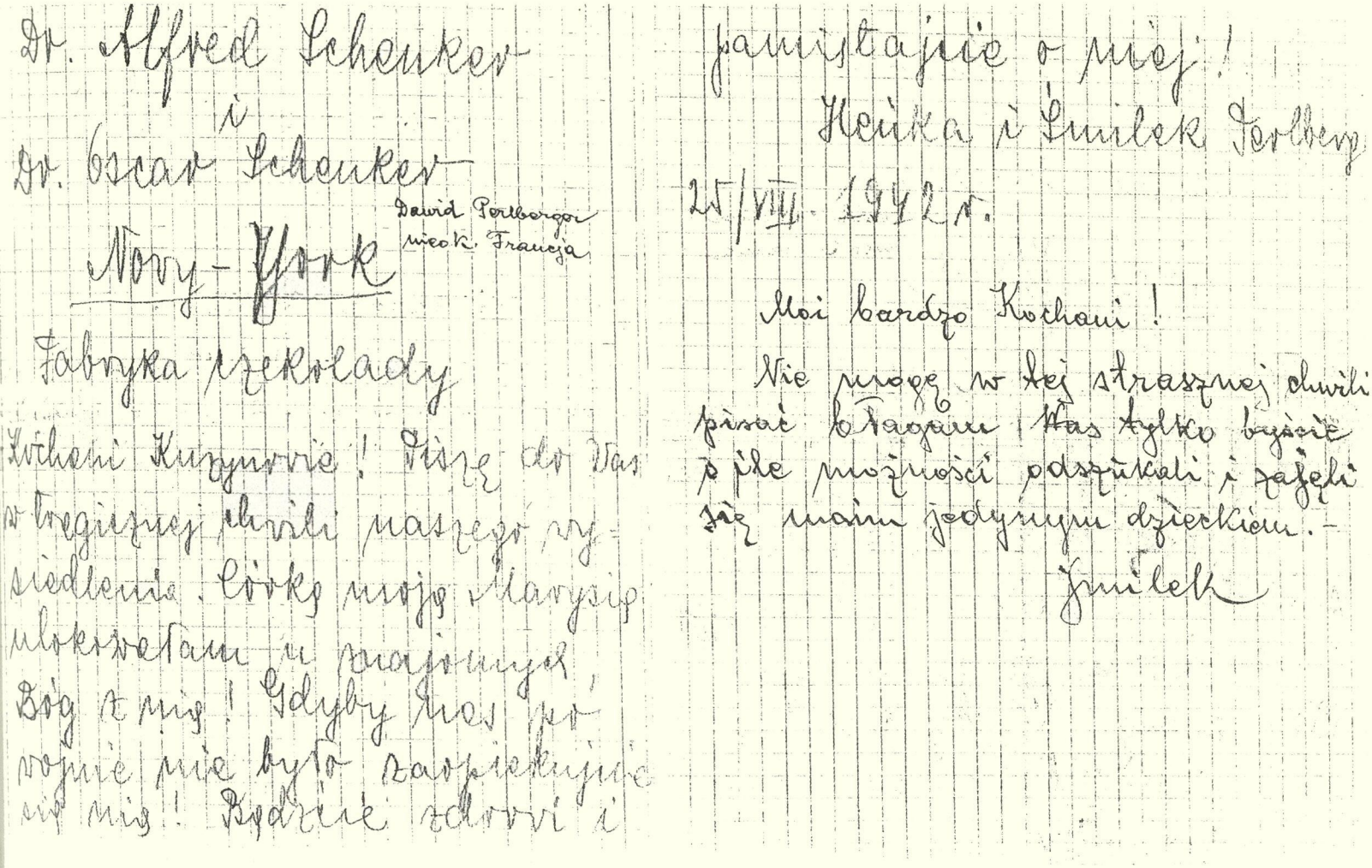
O rodzicach już nigdy nie usłyszałam. Cały transport z Wieliczki, który widziałam, kiedy pani Duszczyńska prowadziła mnie na dworzec, poszedł do obozu zagłady. Do Bełżca. Stamtąd nikt nie wyszedł żywy.

Pewnego dnia 1985 roku otrzymałam list: „Kochana Pani Mario, jestem czasowo w USA i piszę do Pani ten list, ponieważ mam ważną misję do spełnienia, przekazaną moim Rodzicom w Polsce przez pani Mamusię i Ojca, w czasach okupacji w 1942 roku. Oto list, który załączam, oddaję go Pani. Pani Tatuś znał dobrze moich rodziców w Wieliczce, gdzie wówczas przebywaliśmy podczas okupacji niemieckiej, i czasem przychodził z Panią na ulicę Limanowskiego, gdzie mieszkaliśmy w czasie wojny. Ja, wówczas kilkuletnia dziewczynka, bawiłam się z Panią w ogrodzie. Nasi ojcowie wyprawiali nas z domu, gdyż nie chciano, aby dzieci słuchały o pewnych rzeczach. Mój ojciec (nieżyjący już od dwudziestu pięciu lat) pracował w tajnym nauczaniu jako profesor gimnazjalny i miał ścisłe kontakty z AK, z którą współpracował. Sądzę, że i Pani Tatuś również, gdyż spotykali się często i zapewne łączyły Ich tego rodzaju sprawy.

Pewnego wieczoru Pani Tatuś przyszedł sam do nas (pamiętam, gdyż był to deszczowy wieczór i przyszedł do nas z parasolem, co utkwiło w mojej pamięci), oparł głowę na rączce parasola i mówił coś do mego Ojca, po czym zaczął głośno płakać. Ojciec kazał mi wyjść natychmiast z pokoju. Byłam bardzo przerażona, gdyż nigdy nie widziałam czegoś podobnego i jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się działo wtedy w Wieliczce. Był to bowiem ostatni wieczór przed ewakuacją rodzin żydowskich z Wieliczki.

Na drugi dzień rozpętało się istne piekło, wywieziono wszystkie rodziny, pozabijano osoby ukrywające się w domach, spakowano i splądrowano domy żydowskie. Byliśmy przerażeni, rozpacz była wielka. Wieliczka, w której było wiele rodzin żydowskich, prawie opustoszała. Po jakimś czasie zobaczyłam w domu list Pani Ojca pozostawiony u nas w ten pamiętny wieczór. Pytałam, co się stało z państwem Perlbergerami, i co z Marysią, ale Tato nie wiedział. Sądziliśmy, że wszyscy zginęli! Wspominaliśmy Was czasem. List był stale w naszym domu. Po zakończeniu wojny, za czasów Stalina, nie było szans znalezienia adresatów tego listu, stosunki z tak zwanym Zachodem były dla szarych ludzi niedozwolone. Lata mijały, nie wiedzieliśmy, gdzie szukać adresatów – bez adresu! Zmarł mój ojciec, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat (w 1959 roku), ja wyszłam za mąż i przeniosłam się do Gdyni. Mama pozostała w Wieliczce, później przeniosła się również do Gdyni i nadal żyje, mimo że ciężko schorowana i w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Tak znów minęło wiele lat.

W 1981 roku przyjechałam do USA na ślub w rodzinie koleżanki w Bostonie, ale stan wojenny zatrzymał mnie w USA przez dziesięć miesięcy, w czasie których musiałam podjąć jakąś pracę, aby nie być ciężarem dla przyjaciół. Los zetknął mnie w Nowym Jorku z panem Oskarem Schenkerem, którego żona po przebytej chorobie potrzebowała chwilowej pomocy w domu. Moja znajoma Polka z nowego Jorku przedstawiła mnie panom Aleksandrowi i Oskarowi Schenkerom i gdy pani wróciła ze szpitala, pomagałam trochę w rodzinie państwa. Oczywiście, ponieważ pan Oskar znał Kraków i Wieliczkę, zgadaliśmy się na temat wojny i różnych znajomych osób – padło


Dr. Alfred Schenker
i
Dr. Oscar Schenker
Nowy-York
Fabryka Zekraday
Dawid Perlberger
nieok. Francja
pamiętajcie o mnie!
Heńka i Emilek Perlberg
25/VII. 1942 r.
Moi bardzo Kochani!
Nie mogę w tej strasznej chwili
pisać obszerniej. Was tylko bądźcie
o pile możności podziękali i zajęli
się naszym jedynym dzieckiem. –
Emilek
Kochani Kuzynowie! Piszę do Was
w tragicznej chwili naszego wy-
siedlenia. Córkę moją Hanusię
ulokowałam u znajomych.
Bóg z wami! Gdyby Was po-
wojnie nie było zawiadomijcie
się mną! Bądźcie zdrowi i

List Samuela i Henryki Perlbergerów do krewnych w USA

też nazwisko państwa Perlbergerów. Opowiedziałam całą historię, ale nie kojarzyłam sobie zupełnie nazwiska pana Oskara Schenkera z adresatem listu, o którym opowiadałam! Sama moja opowieść wydawać by się mogła nawet nieprawdziwa! Powróciłam do Polski i poprosiłam mamę o list – wyszperała mi go gdzieś w papierach rodzinnych – jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam, że był to list do Pana Oskara Schenkera i jego brata! Czekać musiałam jednak na stosowną chwilę. Znów po dwóch latach losy rzuciły mnie do USA, na Alaskę. Przywiozłam ze sobą list, przekazałam kserokopię Panom Aleksandrowi i Oskarowi Schenkerom. Również i ich zdziwienie było ogromne, byliśmy wszyscy wzruszeni (rozmawialiśmy niestety telefonicznie!).

Po otrzymaniu listu od Pana Aleksandra, a w nim adresu do Pani, od razu piszę ten list, gdyż pragnę jak najprędzej wejść z Panią w kontakt i doręczyć ten dokument rodzinny z 1942 roku. W 1981 roku ktoś z Pani rodziny w Nowym Jorku podobno pisał do Pani o nim – było to w czasie, kiedy nie mogłam wrócić do Polski i przebywałam w Nowym Jorku – ale jakoś nie nawiązałam z Panią kontaktu, a Pani

nie przypominała mnie sobie z Wieliczki – nic dziwnego, ja wówczas w 1939 roku miałam dziewięć lat, a Pani na pewno mniej – o ile pamiętam. Natomiast pamiętają Panią inne moje koleżanki, jak Marysia Stałowczykówna i Marysia Baburkówna (mieli wytwórnię win i soków koło Warzelni Soli w Wieliczce).

Droga Pani Mario, proszę wybaczyć nieforemne i pospiesznie sklecone zdania, ale to po prostu z pośpiechu. Jeśli Pani zechciałaby do mnie napisać lub coś więcej się dowiedzieć, załączam poniżej adres. Pragnę również prosić Panią o powiadomienie mnie, czy list Pani Rodziców z 1942 roku dotarł do Pani rąk. Jest to dla mnie ważna misja rodzinna do spełnienia i moja mama, oddając mi list, prosiła o doręczenie i potwierdzenie doręczenia. Pan Oskar i Pan Aleksander zdecydowali, że powinien się znaleźć w Pani rękach, więc spełniam ich życzenie, jako Pani rodziny. Łączę dla Pani dużo serdeczności i oczekuję wiadomości. Wiesława Wajdowa"[611].

Moi rodzice w wyżej opisanym liście pisali do braci Schenkerów (Nowy Jork, Fabryka Czekolady): „Kochani Kuzynowie! Piszę do Was w tragicznej chwili naszego wysiedlenia. Córkę moją Marysię ulokowałam u znajomych. Bóg z nią! Gdyby nas po wojnie nie było, zaopiekujcie się nią! Bądźcie zdrowi i pamiętajcie o niej! Heńka i Śmilek Perlberger

25 sierpnia 1942 rok.

Moi bardzo Kochani! Nie mogę w tej strasznej chwili pisać. Błagam Was tylko, byście, o ile możności, odszukali i zajęli się moim jedynym dzieckiem. Śmilek".

W taki oto sposób, tyle lat po wojnie, ich miłość znów mnie odnalazła.

Ktoś umarł
Rodzina rozpacza i płacze,
Modlitwy, przemowy
I gotowy dół grobowy...
A ja zazdroszczę
Zazdroszczę tego, że ten człowiek umarł
Po prostu – umarł –
Nie poniewierali nim
Nie wepchnęli go siłą do
bydlęcych wagonów
Koła się nie kręciły i nie stukały
w bezdennej rozpaczy,
Nie dusił go strach potworny
Jeszcze zanim udusił go gaz spalinowy
Tu – rodzina po nim płacze
A ja – zazdroszczę im tej rozpaczy...

Maria Perlberger-Shmuel

[611] Wiesława Wajdowa (z domu Hanula). Jej ojciec, Franciszek Hanula, podczas II wojny światowej był zaangażowany w Wieliczce w tajne nauczanie oraz podziemną organizację AK.

WSPOMNIENIA

Salomea Gemrot

Kiedy kupiliśmy dom [w Wieliczce; całe drugie piętro – przyp. tłum.], poprzedni właściciel szybko się wyprowadził, a ja natychmiast wprowadziłam się na jego miejsce. Wcześniej mieszkaliśmy w mieszkaniach dla pracowników kolei w Tarnowie, ale musieliśmy się wyprowadzić, ponieważ mój mąż został przeniesiony do pracy w Krakowie. Władze później gnębiły mnie pod pozorem nieposiadania przydziału[612]. Powstały biura kwaterunkowe, które zajmowały się przydzielaniem niezniszczonych mieszkań. Niektóre rodziny, które dysponowały większą przestrzenią niż ta wyznaczona przez biuro kwaterunkowe, musiały się zgodzić na przyjęcie w swoim mieszkaniu lokatorów. Jeden z urzędników wezwał mnie i powiedział, że muszę opuścić mieszkanie, gdyż było ono zarezerwowane dla kogoś innego. Dla kogoś ważnego. To było tuż przed świętami wielkanocnymi, myślę, że w 1949 roku. Tak, ich święta zaczynają się w Wielki Piątek i właśnie w ten Wielki Piątek zostałam wezwana tam i powiedzieli mi, że po świętach muszę opuścić apartament dla jakiegoś ich koleżki. I oczywiście zaczęłam rozmawiać z tym urzędnikiem, ale rozzłościł mnie, krzycząc: „Możesz kupić całą ulicę, jeśli

Tekst pochodzi z: http://www.centropa.org – *Jewish Witness to a European Century – An Interactive Database of Jewish Memory* oraz Archiwum Muzeum Historii Żydów Polskich. Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

612 Po wojnie brakowało mieszkań ze względu na zniszczenia, stąd przydziały.

chcesz, ale jeśli chcesz gdzieś mieszkać, potrzebujesz mojej zgody" i tak dalej. Dał mi do zrozumienia, że przyjmie łapówkę. Zrozumiałam natychmiast. Tak mnie rozwścieczył, że powiedziałam: „Wiem, czego chcesz, powiedz tylko ile, i chcę... chcę dostać na to rachunek". Zrobiłam, co mogłam, aby go rozzłościć. Pomyślałam, że i tak nie mam nic do stracenia. Spojrzał na mnie, jakbym była z innej planety. Powiedział, żebym się wynosiła, zanim się naprawdę rozzłości.

Już w domu myślałam, co mam zrobić. Wtedy jeszcze nie miałam innych dzieci, tylko Alę, więc pomyślałam: „Co ja zrobię z chorym dzieckiem? Dokąd pójdę? Nie mam nawet gdzie iść". Później przypomniałam sobie o przyjaciółce z Rzeszowa, Żydówce, którą znałam od dzieciństwa, byłyśmy sobie bliskie. Nazywała się Milka Garfunkel. Wyszła za mąż w Krakowie, za jakiegoś drukarza z dobrymi kwalifikacjami. Miał na imię Izio, przetrwał wojnę w Rosji, stamtąd dostał się do Warszawy, gdzie zaoferowano mu dobrą pracę w wydawnictwie. A ponieważ był miłym i dobrym człowiekiem, nawiązał tam sporo znajomości. Żyd nie utrzymywałby głupich znajomości, tak to działało. Oni oboje byli bardzo zasymilowani i mieli znajomości w Ministerstwie Sprawiedliwości. A my utrzymywałyśmy z Milką kontakt. Pomyślałam więc, że do niej napiszę, może będzie mogła mi jakoś pomóc. Mój mąż także nie wiedział, co zrobić w takiej sytuacji. Ale ja myślałam: „Co będzie, jeśli ja napiszę do niej i w tym czasie oni mnie eksmitują? Nie mam tyle czasu". Musiałam złapać wieczorny pociąg do Warszawy w ten Wielki Piątek. Dziecko zostawiłam z babcią. Następnego dnia rano spotkałam się z Milką. Spojrzała na mnie i zapytała: „Dobry Boże, co ci się stało?". Kiedy skończyłam opowiadać, Izio powiedział: „Co możemy zrobić? Odwiedzę tego mojego znajomego, który jest dyrektorem departamentu, i zapytam go o radę". Izio poszedł do niego i usłyszał: „Nie ma problemu". Znajomy z ministerstwa wystawił zaświadczenie ze swoim podpisem stwierdzające, że byłam nietykalna. Wzięłam więc ze sobą zaświadczenie, aby pokazać je tym mądralom z urzędu w dniu, w którym miałam się wyprowadzić. Powinniście zobaczyć twarz tego człowieka, który próbował być taki mądry, kiedy zażyczyłam sobie rachunku za łapówkę, pewnie wtedy pomyślał sobie, że jestem wariatką. Dopiero wtedy zostawili mnie w spokoju. Ależ ja miałam nerwy! Ale później znaleźli się tacy, co mówili z podziwem: „Czyś ty zwariowała? Jak mogłaś nalegać na rachunek za łapówkę? Nie myślisz jak osoba przy zdrowych zmysłach".

Już nie pamiętam kto, ale po wojnie ktoś z rodziny mojego męża zainteresował się moim pochodzeniem. Zadenuncjowali mnie na milicję, pod pretekstem, że mam fałszywe dokumenty. Nie miałam wtedy żadnych dokumentów za wyjątkiem niemieckiej kenkarty, wypisanej na nazwisko, którego używałam podczas wojny. Przyszli milicjanci, wszyscy w mundurach! Zabrali mi tę kenkartę, podarli i rzucili na ziemię. Kazali mi się zgłosić na posterunek milicji w Krakowie jako podejrzanej. Poszłam tam z ciężkim sercem, nawet Niemcy nigdy nie potraktowali mnie w taki sposób. To było jakieś ważne biuro. Kilkoro ludzi siedziało za biurkami, a ja byłam przesłuchiwana przez jakiegoś młodego półgłówka. Zaczęli się przyglądać kenkarcie, bo wcześniej pozbierali ją, poskładali wszystkie kawałki i posklejali je. A według niej byłam o siedem lat młodsza niż w rzeczywistości. Tak, urodziłam się w 1909, a w dokumencie miałam wpisane 1916 rok. Jakaś kobieta spojrzała na mnie ze złością i powiedziała: „Jesteś bezczelną Żydówką, żeby tak się odmłodzić". To było śmieszne. Spojrzałam na nią i pomyślałam: „Dlaczego jesteś taka zła?",

ale powiedziałam: „Jak myślisz, dlaczego nikt wcześniej nie miał co do tego wątpliwości? Jesteś pierwsza. I jak śmiesz tak do mnie mówić? I dlaczego? W jakich czasach żyjemy?". Moja przyjaciółka, Marysia, właściwie przyjaciółka całej rodziny, katoliczka, była tam ze mną. Ona naprawdę się wystraszyła i zapytała, co ja robię. Ale oni i tak nic mi nie zrobili za to, bo ta kobieta nie miała prawa się tak do mnie zwracać. Tak, to są interesujące wspomnienia. Mój mąż czasem próbował mnie powstrzymywać i mówił: „Wiesz, zachowujesz się jak pijana". To właśnie wtedy zmusili mnie do wyrobienia nowego dowodu tożsamości, właściwego. Musiałam pojechać do Rzeszowa, odnaleźć swój akt urodzenia, ale nie spacerowałam po mieście, nie miałam czasu, żeby cokolwiek zwiedzić. Poszłam tylko do gminy żydowskiej, wzięłam od nich swój dokument i wróciłam. Nie mogłam nawet chodzić po tamtych ulicach, bo zbyt dobrze pamiętałam, jak niegdyś wyglądały.



Fałszywy dowód tożsamości Salomei Gemrot

Nie pamiętam dokładnie, kiedy wydarzyły się tamte historie z domem i kenkartą, ale to musiało być już w czasach PRL-u, w rozkwicie PRL-u. Miewałam jakieś problemy, ale nie przejmowałam się tym zanadto. Później niestety przyszło mi się zaznajomić z polskim społeczeństwem bardzo dobrze... Właściwie z faszyzmem, stuprocentowym. To był najgorszy rodzaj antysemityzmu, czasem delikatniejszy – ale i to już było wystarczająco dużo. Okrutny, bezwzględnie okrutny. Broniłam się, jak umiałam, ale w takiej społeczności nie mogłam wyjawić, kim naprawdę jestem, prawda? Ale zawsze pytałam: „Co z waszym przykazaniem o miłowaniu bliźniego? Kim jest wasz bliźni?". Chciałam nimi trochę wstrząsnąć.

Dlatego też nigdy nie rozmawiałam o moim życiu z obcymi. Nie chciałam tego robić, ponieważ w tamtych czasach ludzie szpiegowali i donosili na siebie nawzajem. Tak. Także dlatego moje dzieci chodziły na lekcje religii katolickiej. Nie chciałam, żeby były inne. Kiedyś odwiedził mnie w pewnej sprawie dzieci ksiądz. Była jakaś zbiórka pieniędzy na Kościół. Pamiętam, jak na mnie spojrzał i powiedział: „Dlaczego nigdy nie widziałem cię w kościele?". „Widocznie nie jestem wystarczająco atrakcyjna, żeby mnie zauważyć". Zarumienił się, przeprosił i wyszedł.

Nigdy nie byłam w zażyłych stosunkach z ludźmi z Wieliczki. Miałam jedną sąsiadkę, która chciała utrzymywać ze mną kontakt – i jej się to udawało, ponieważ pomogłam jej, kiedy jej córka chciała chodzić na

lekcje baletu, uszyłam dla niej sukienki. Miałam też drugą sąsiadkę, która mnie uwielbiała, ale już nie przychodzi. Pewnie się boi, że dałabym jej coś do roboty. Cóż, ludzie są różni. A inni... Są dyskretni, ale jakoś dowiedzieli się, kim jestem. Ludzie są pomocni, nieprawdaż? Byli na przykład bardzo zainteresowani moim aktem urodzenia i małżeństwem. Tak, społeczność miasteczka jest podzielona, ale są tutaj także antysemici, ludzie nietolerancyjni, pozbawieni politycznej klasy i orientacji. Są tacy jak wszyscy inni i dlatego wygrywają wybory. Znam ich.

Mój mąż pracował jako muzyk w orkiestrze, ale doszedł do wniosku, że nie zdoła utrzymać rodziny z samego muzykowania. Więc ja zajęłam się szyciem. Dwie, trzy noce z rzędu spędzałam, szyjąc. Czasem wyłączali prąd (za PRL były restrykcje w dostawach energii), więc szyłam przy świetle lampy naftowej. Krawiectwo, jeśli się chce je wykonywać dobrze, zabiera wiele wysiłku. W Gliwicach był instytut, w którym można było wyuczyć się zawodu i mój mąż wyuczył się dwóch: ślusarstwa i spawalnictwa. W obu miał znakomite wyniki. Dostał pracę w hucie im. Lenina i odtąd mieliśmy trochę więcej pieniędzy. Wtedy mąż kazał mi zrezygnować z szycia: „Jeśli wrócę do domu, a tu dalej będą te wieszaki, to nie wiem, co zrobię". Ale zawsze wisiały w domu dwa lub trzy z ubraniami czekającymi do przymiarki. Ja byłam dobrze przygotowana do tej pracy, moi klienci byli zawsze zadowoleni, a ubrania starannie wykończone.

Nigdy nie pojechałam do Izraela, ale żałuję tego. Tak, to największy błąd, jaki kiedykolwiek w życiu popełniłam.

Salomea Gemrot – przeżyła wojnę w getcie w Rzeszowie, następnie ukrywając się w Staroniwie, Skołyszynie i Niepołomicach. Po wojnie zamieszkała wraz z mężem i dziećmi w Wieliczce.

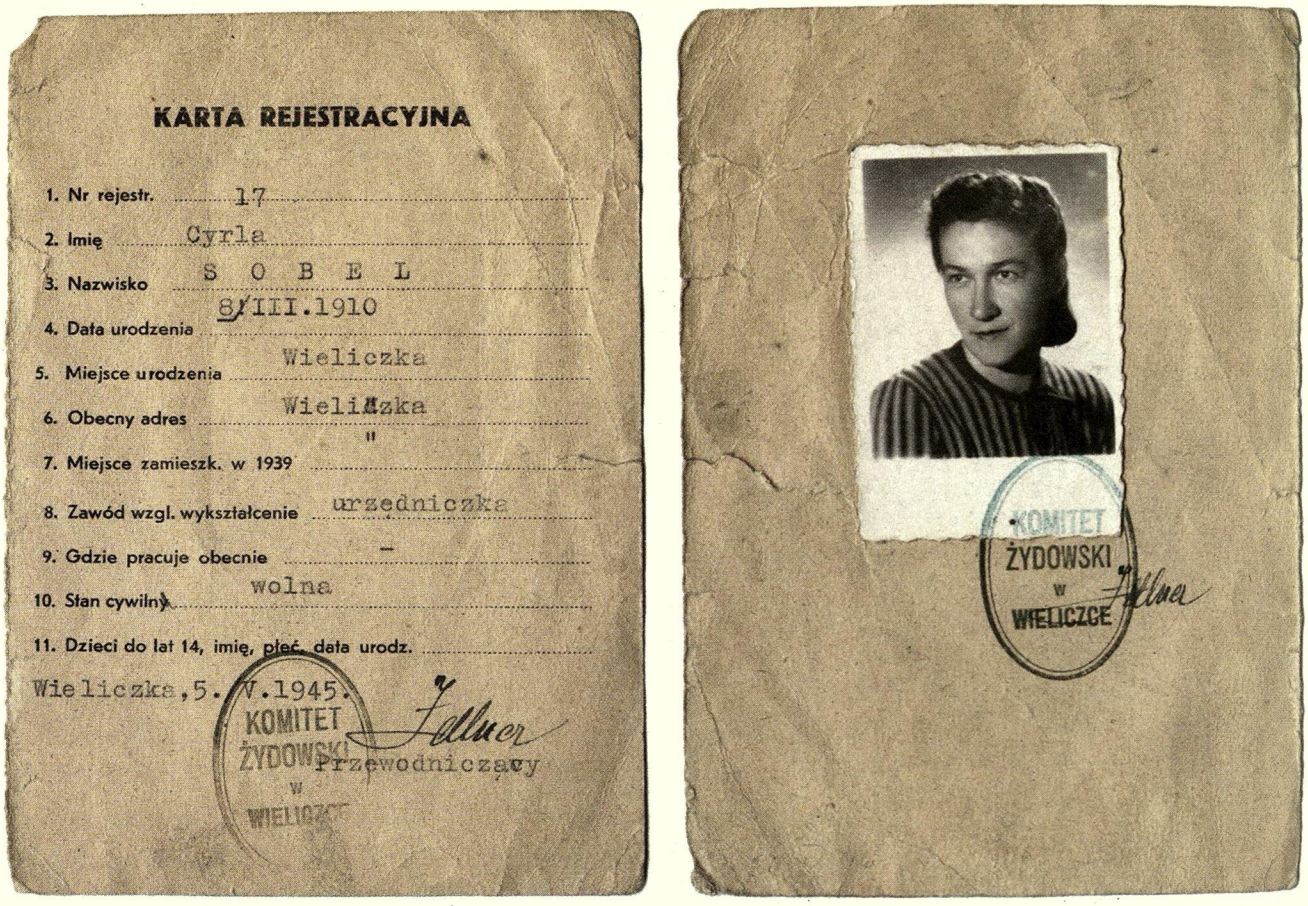
W SPRAWIE CELINY SOBEL

Ozjasz Wolf

Do 1941 roku, do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, byłem we Lwowie, po czym wróciłem do Wieliczki, gdzie przebywałem aż do wysiedlenia. Od czasu do czasu Niemcy zabierali mnie do pracy, żyłem wraz z rodzicami z wysprzedaży naszych rzeczy. Spotykałem Celinę Sobel, którą znałem sprzed wojny, kiedy jeszcze pracowała jako urzędniczka w Krakowie i dojeżdżała z Wieliczki, gdzie mieszkała z matką. Podczas wysiedlenia byłem przez osiem dni ukryty na strychu, potem poszedłem dobrowolnie do obozu w Bieżanowie, bo nie miałem innych możliwości, i tam zostałem skoszarowany. W niedzielę wyjeżdżałem do getta do Krakowa i tam spotkałem Celinę Sobel w 1942 roku, już po październikowym wysiedleniu[613]. Opowiedziała mi wtedy, że matka jej umarła w bunkrze podczas wysiedlenia w Wieliczce, ona zaś dostała się do Krakowa, gdzie pracuje w Bauhofie, razem ze swymi dwoma kuzynami i ich ojcem Jakubem Soblem z Wieliczki. Widywałem ją aż do likwidacji getta w marcu 1943 roku, kiedy to zostałem wywieziony

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/3251, Protokół zeznania złożonego w Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie 5 czerwca 1947 roku. Odbierający zeznanie: dr Laura Einchornowa; składający zeznanie: Ozjasz Wolf, ur. w Wieliczce 17 sierpnia 1913 roku; zawód: kupiec.

613 Od 30 maja 1942 Niemcy systematyczne wywozili Żydów z krakowskiego getta. 27 października wysiedlono pięć tysięcy osób, a następnego dnia do obozu przejściowego w Płaszowie deportowano sześć tysięcy.



KARTA REJESTRACYJNA

1. Nr rejestr. 17
2. Imię Cyrla
3. Nazwisko S O B E L
4. Data urodzenia 8/III.1910
5. Miejsce urodzenia Wieliczka
6. Obecny adres Wieliczka
7. Miejsce zamieszk. w 1939 "
8. Zawód wzgl. wykształcenie urzędniczka
9. Gdzie pracuje obecnie –
10. Stan cywilny wolna
11. Dzieci do lat 14, imię, płeć, data urodz.

Wieliczka, 5. V. 1945.

KOMITET ŻYDOWSKI w WIELICZCE

Przewodniczący

KOMITET ŻYDOWSKI w WIELICZCE

Żydowski dokument tożsamości używany w czasie okupacji, tak zwana karta rejestracyjna, Celiny (Cyrli) Sobel

do Płaszowa, a stamtąd do Skarżyska. Straciłem wtedy Celinę Sobel z oczu i dopiero kiedy wróciłem z obozu w Częstochowie 10 listopada 1945 roku, spotkałem ją w Wieliczce. Opowiadała mi, że żyła jako służąca na papierach aryjskich w Warszawie i w ten sposób się uratowała.

W SPRAWIE CELINY SOBEL

Fajga Birnbaum

Przed wojną mieszkałam w Wieliczce w sąsiedztwie Celiny Sobel i znałam ją bardzo dobrze. Przeżyłam też okres wysiedlenia w Wieliczce i widywałam Soblównę codziennie. Pomagała siostrze w sklepie w Wieliczce, kiedy ją usunięto z posady w Krakowie, gdzie pracowała jako urzędniczka w firmie Ringelguen i Kandu, hurtowni bławatnej. Prócz tego trudniła się pokątnym handlem, bo musiała pomagać chorej matce. Była zaś niezwykle czułą córką. Podczas wysiedlenia w Wieliczce w sierpniu 1942 roku ukryłam się w bunkrze na strychu, tak że kto dobrze nie znał tego domu, nie mógł tego ukrycia znaleźć. Na ten strych nie było bowiem wejścia. Wchodziło się tam z sąsiedniego parterowego domku, na którego dachu stała kuczka, z której można się było dostać na nasz strych. Tam przeżyłam tydzień, po czym poszłam dobrowolnie do Prokocimia do obozu, bo nie miałam gdzie się ukryć. Tam pewnego razu przyszła Celina Sobel, chciała bowiem zostać, ale sytuacja kobiet była coraz gorsza, więc poszła i podobno zgłosiła się do Bauhofu, gdzie ich podczas likwidacji tego obozu zastrzelono na rozkaz Götha. Słyszałam wtedy, że Soblównie udało się uciec. Ujrzałam ją dopiero po okupacji w lutym 1945 roku po moim powrocie z obozu w Częstochowie. Nigdy przez całą okupację nie słyszałam nic ujemnego o niej.

Zeznania ocalałych Żydów, ŻIH, sygn. 301/3255, Protokół zeznania złożonego przez Fajgę Birnbaum z domu Wolf, ur. 14 lutego 1912 roku w Chrzanowie (przed wojną buchalterka w Wieliczce, Klaśnieńska 36), w Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej 6 czerwca 1947 roku.

Napis na nagrobku Celiny Sobel: *Tu pochowana Szanowna Pani, córka ważnej rodziny, Szanowna Pani Cirel córka Szaula (Saula), szlachetnego, pobożnego człowieka z miasta Klasno. Zmarła 18 elul [25 sierpnia – przyp. red.] 1975 roku. Niech jej dusza będzie związana w węzeł życia*

OSTATNI ŻYDZI WIELICCY PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Maria Gawęda

Po katastrofie II wojny światowej i eksodusie powojennym mała stabilizacja lat pięćdziesiątych zastała w Wieliczce już tylko troje Żydów. Byli to Szymon i Pola Schnurowie oraz Cecylia Sobel. Szymon Schnur był potomkiem dużej i zamożnej rodziny żydowskiej osiadłej w Wieliczce na początku wieku. Byli dość blisko spokrewnieni ze słynnym cadykiem z Bobowej, rabbim Szlomą Halbersztamem, co stawiało ich wysoko w hierarchii społeczności żydowskiej w Polsce. Szymon uratował się od wywózki do Bełżca dzięki selekcji; jako młodego mężczyznę skierowano go do obozu pracy w Płaszowie. Pod koniec wojny cały obóz ewakuowano na zachód do Buchenwaldu, który później wyzwolili Amerykanie. Półżywy Schnur znalazł się w szpitalu wojskowym, a po podleczeniu udał się do Wieliczki, aby spotkać się z krewnymi. Nie zastał nikogo. Jego żona Pola Wechselberg pochodziła z Drohobycza. Część okupacji przeżyła w lwowskim getcie, a po ucieczce ukrywała się w tym mieście aż do przybycia wojsk sowieckich. Oboje niewysocy; Pola w czasach, gdy ją zapamiętałam, nosiła jeszcze ślady dawnej urody. Poznali się na zgrupowaniu uchodźców do Izraela, wzięli ślub żydowski (potem się okazało, że nieważny!) i po załatwieniu swoich spraw w Polsce mieli zamiar, jak i inni Żydzi, wyjechać. Sprawy się przeciągały, urodziła się córka, a potem

granica dla emigrujących Żydów została zamknięta. Do końca żyli wprawdzie myślą o wyjeździe, ale z biegiem lat stawał się on coraz mniej realny ze względu na prowadzone interesy i postępujący wiek. Tutaj, w coraz silniejszym i coraz bardziej bezwzględnym komunizmie, stworzyli sobie swój świat, dość daleki od tego, co się działo dookoła. Pan Schnur przejął po rodzicach dom z obszernym mieszkaniem (kiedyś żyła tam liczna rodzina) przy ul. Zielonej (dziś Szpunara), fabrykę przy ul. Limanowskiego i zabytkowy dom w Górnym Rynku. Fabryką papierniczą Schnurów państwo „ludowe" szybko się zainteresowało, tworząc tam spółdzielnię „Promień". Duży, piękny sklep w Rynku Górnym pod numerem 7 przekazano księgarni „Dom Książki", drugi, mniejszy, pozostawiono w ręku właściciela. Miał porządne drewniane okiennice i drewnianą podłogę. W sklepie były przedwojenne meble, pomalowane na kolor ciemnobrązowy, a w kącie stał duży, zielony piec kaflowy, w którym zimą paliła przychodząca rano sprzątaczka. Sklep był z branży papierniczo-biurowej, ale że pan Schnur był też introligatorem, przy wejściu stała wielka prasa introligatorska. U Schnura można było kupić różne artykuły biurowe, jednak chlubą sklepu były bezdrzewne zeszyty, produkowane przez jakąś prywatną fabryczkę. Zeszyty miały śnieżnobiałe, gładkie kartki i tę zaletę, że „nie zalewały", to znaczy kreska rysowana stalówką była cienka i prosta, a nie rozlewała się na boki, jak to zdarzało się z kajetami drzewnymi, produkowanymi w państwowych zakładach. Były cztery rodzaje zeszytów: gładkie, w kratkę, z wąskimi liniami dla pierwszoklasistów i z szerokimi liniami dla bardziej wprawnych w pisaniu. Przychodziła po nie cała Wieliczka. Widzę pana Schnura, jak zdejmuje zeszyt z półki, otwiera i gładząc ręką kartki, pokazuje, jakie są piękne. Z tą samą kupiecką grzecznością traktował małego chłopca z pierwszej klasy i dorosłego mężczyznę, każdy dla niego był tak samo ważnym klientem. Specjalnością sklepu Schnura były też papiery do oprawy zeszytów i książek, bardzo mocne, tak zwane introligatorskie. Miały różne kolory i wytłaczany, wypukły wzorek na prawej stronie. Czy dziś ktoś jeszcze oprawia książki?

Jednak dopiero w okresie adwentu i świąt Bożego Narodzenia sklep pana Schnura stawał się naprawdę cudownym miejscem. Pojawiały się w nim wtedy artykuły niezbędne do budowy szopek, klejenia zabawek i łańcuchów na choinkę, owijania cukierków, akcesoria dla kolędników. W dość mrocznym sklepie (nie było jeszcze świetlówek, a wnętrze oświetlały jedynie żarówki) połyskiwały arkusze kolorowego, błyszczącego papieru, różnokolorowe staniole i celofany, bibułka gładka i gofrowana, papier-cegła, papier-dachówka, cienkie tekturki (bristole), główki aniołków i mikołajów z glansowanego papieru, gwiazdy i gwiazdki, pozłacane rózgi, anielskie włosy, maski diabła, wilka, niedźwiedzia i inne, konieczne do właściwego uczczenia świąt akcesoria. Były też zimne ognie, papierowe szopki, które się wycinało z arkusza i sklejało, kartki świąteczne. Przybiegałam tam jako mała dziewczynka i z zachwytem oglądałam te cudowne rzeczy, wybierając to, co mi było potrzebne do przygotowań świątecznych. Trzeba dodać, że w mizerii kulejącego handlu socjalistycznego trudno było zaleźć w sklepach cokolwiek innego niż podstawowe produkty, niezbędne w codziennym życiu. Gdy byłam trochę starsza, pan Schnur i jego sklep nieodparcie kojarzył mi się z Żydem z jasełek, który na wieść, że Trzej Królowie przybyli do Dzieciątka z darami, mówi: „Wiem ja o tym, wiem ja o tym / U mnie także byli. / Złoto, mirrę i kadzidło / U mnie zakupili".



Pola Schnur przed sklepem z materiałami papierniczymi i zabawkami, który po wojnie prowadziła razem z mężem Szymonem przy Rynku Górnym 7

Państwo Schnurowie wiedzieli, jak mi się podobały te świąteczne ozdoby i, znacznie później, po likwidacji sklepu dostałam od nich w prezencie papierową torbę z przedwojennymi aniołkami różnych wielkości. Byłam zachwycona! W karnawale można było u nich nabyć kotyliony, maski karnawałowe, konfetti i serpentyny. Potem pojawiły się zabawki i, nowość na rynku, pocztówki dźwiękowe. W sklepie, w mycce na głowie, urzędował pan Schnur. Codziennie rano przed ósmą przechodził koło naszego domu w drodze do sklepu, a za nim, tym samym tempem, dreptał czarny pies Sambuś, który towarzyszył panu w pracy. Sambuś, podobny do szpica, czasem wysypiał się na zapleczu, ale najczęściej leżał na schodkach przed sklepem. Pan Schnur o pierwszej zamykał sklep na pół godziny i odgrzewał sobie obiad przyniesiony z domu; o Sambusiu też nie zapominał.

Pani Pola zajmowała się zaopatrzeniem sklepu. Jako osoba wymowna i łatwo nawiązująca kontakty nie miała kłopotu z dostawcami i wszystko, co można było sprowadzić do sklepu, sprowadzała. Oprócz tego zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem jedynej córki Anusi[614]. Sporo energii pochłaniały jej utarczki z urzędnikami skarbowymi, szukającymi jakiegokolwiek pretekstu do obciążenia sklepu zwiększonym podatkiem. W pewnym okresie dom Schnurów był stale przygotowany na rewizję, a wyjazdy do urzędu skarbowego były na porządku dziennym. W czasach bezwzględnego niszczenia każdej wysepki prywatnego handlu walka o utrzymanie sklepu była prawdziwym wyzwaniem, któremu Schnurowie musieli stawić czoła.

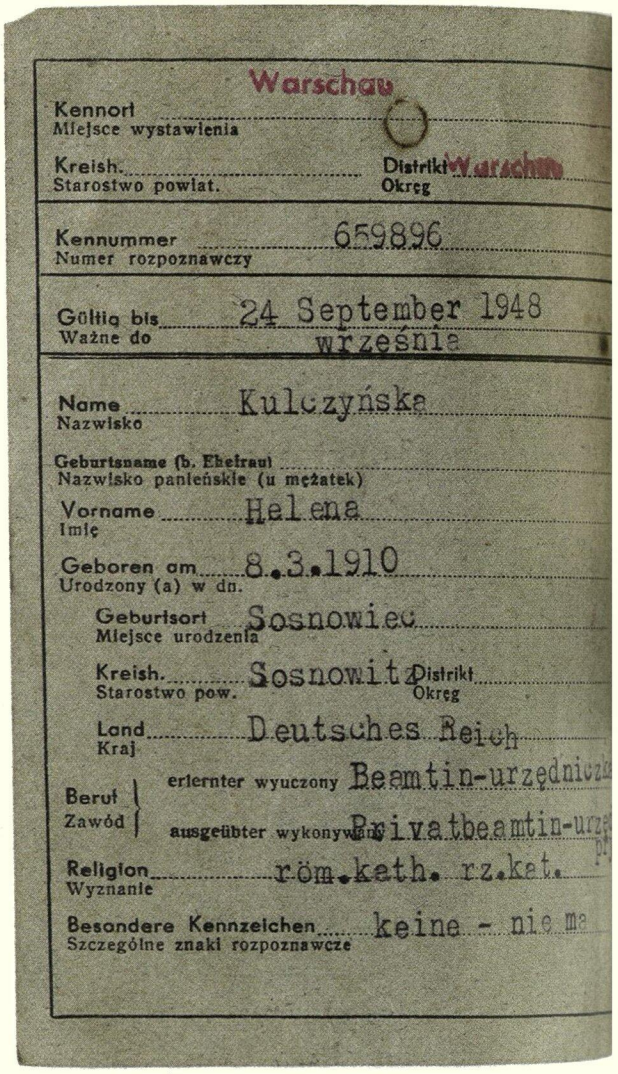
[614] Anna Sznur-Oganesov (Schnur); obecnie mieszka i pracuje w Bostonie w USA.

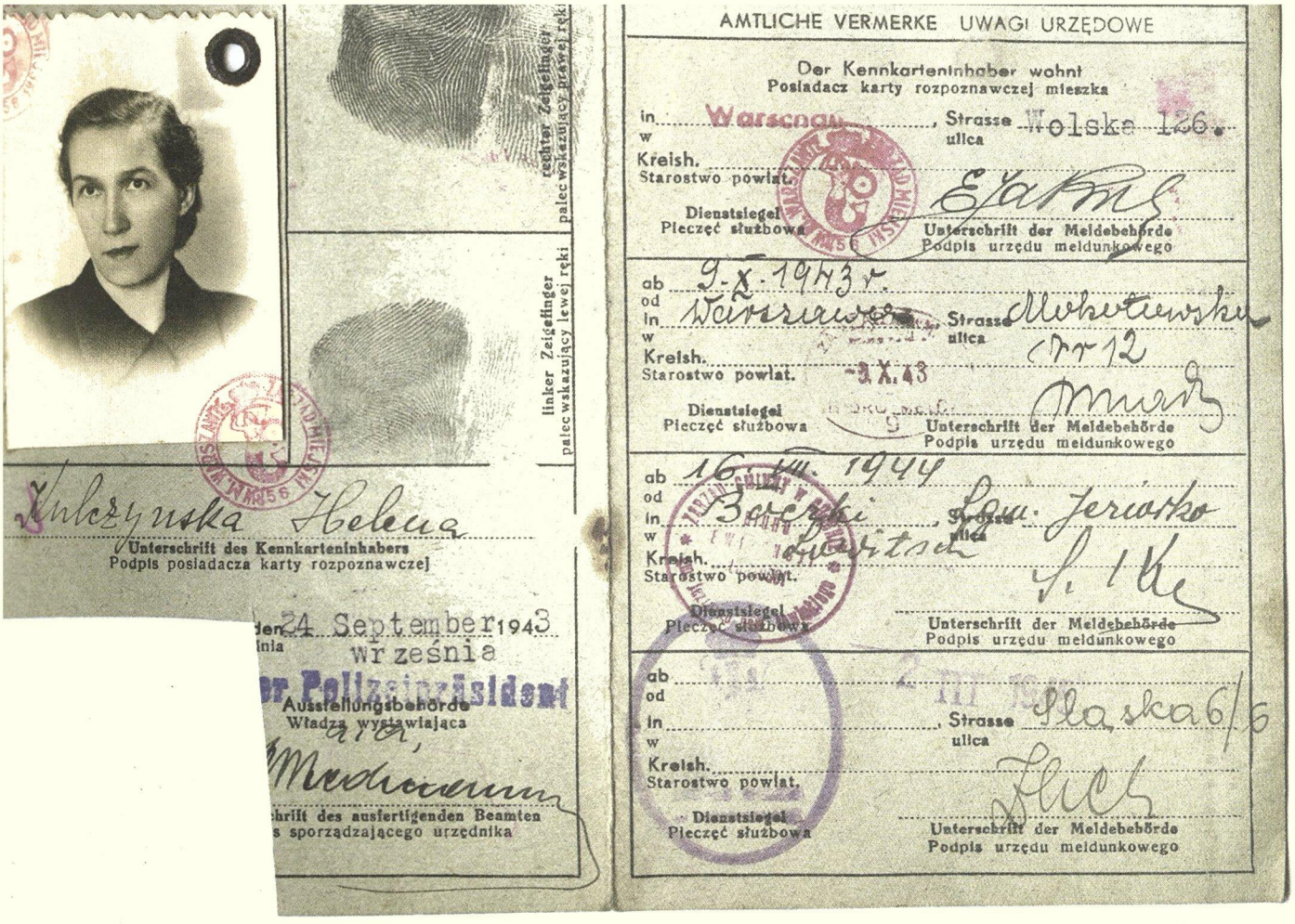
Rodzina rozsiana za granicą czasem przysyłała Schnurom paczki, aby wspomóc uboższych krewnych. Pamiętam niezniszczalny sweter z australijskiej wełny, który nie kosmacił się i nie filcował. Nosiłam go przez wiele lat. Aby nie płacić ogromnego cła, przysłano go w kawałkach, które dopiero w Polsce zszyto.

Pan Szymon należał do synagogi ortodoksów, a pani Pola do „postępowców", czyli synagogi reformowanej. Z tego powodu czasem dochodziło do sprzeczek, razem jednak zgodnie jeździli w żydowskie święta do synagogi Tempel na ulicy Miodowej w Krakowie. Synagoga była daleko, więc gdy pani Schnurowa czuła pilną potrzebę rozmowy z Bogiem, stawała dyskretnie w przedsionku naszego kościoła parafialnego i zanosiła stamtąd swoje prośby. Modlimy się w końcu do tego samego Boga – zwykła była się tłumaczyć. Schnurowie świętowali również w domu, aby nauczyć córkę tradycji żydowskiej. Z katolikami żyli w zgodzie i wzajemnym poszanowaniu własnej tożsamości.

Schnurowie byli dobrymi znajomymi naszej rodziny. Czasem przysłuchiwałam się, o czym rozmawiali z moimi rodzicami. Kiedyś Schnurowa opowiadała o jakimś spotkaniu (mówiła, jak wielu Żydów, bardzo poprawną polszczyzną). Powiedziała: „Oglądałam tam nasze znaki narodowe". Uderzyło mnie to. „To Żydzi są narodem?" – pomyślałam. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Podobno Żydzi w przyjaźni są bardzo lojalni. Potwierdzam to. Schnurowie składali nam życzenia z okazji wszystkich świąt, a na Wielkanoc dostawaliśmy paczkę koszernej macy, którą otrzymywali z Wiednia na każde święta Paschy. Pamiętali o imieninach i innych, nadzwyczajnych okazjach. Zachowała się kartka świąteczna, na której z okazji Boże-


Warschau
Kennort
Miejsce wystawienia
Kreish.
Starostwo powiat.
Distrikt Warschau
Okręg
Kennummer 659896
Numer rozpoznawczy
Gültig bis 24 September 1948
Ważne do września
Name Kulczyńska
Nazwisko
Geburtsname (b. Ehefrau)
Nazwisko panieńskie (u mężatek)
Vorname Helena
Imię
Geboren am 8.3.1910
Urodzony (a) w dn.
Geburtsort Sosnowiec
Miejsce urodzenia
Kreish. Sosnowitz
Starostwo pow.
Distrikt
Okręg
Land Deutsches Reich
Kraj
Beruf / Zawód
erlernter wyuczony Beamtin-urzędnicz
ausgeübter wykonywany Privatbeamtin-urz
Religion röm.keth. rz.kat.
Wyznanie
Besondere Kennzeichen keine - nie ma
Szczególne znaki rozpoznawcze



Kenkarta Celiny Sobel wystawiona na fałszywe nazwisko Heleny Kulczyńskiej

go Narodzenia 1980 roku napisano między innymi: „Życzymy Wam wiele, wiele zdrowia, serdeczności, spełnienia wszelkich marzeń i pragnień, spokoju i zadowolenia w życiu osobistym, wiele pociechy z ukochanych dzieci. Przyjmijcie od nas te wszystkie najlepsze życzenia. Na zawsze bardzo wdzięczni i zobowiązani....". Trudno o więcej życzliwości.

Kiedyś Schnurowa przyszła z życzeniami dość późno w Wielką Sobotę, gdy siadaliśmy do świątecznej kolacji po Rezurekcji. Mama bez wahania zaprosiła ją do stołu. Po posiłku pani Pola powiedziała bardzo wzruszona: „Dziękuję wam, żeście mnie zaprosili na tę paschalną wieczerzę". Nic wtedy nie wiedziałam o antysemityzmie. Dowiedziałam się dopiero po 1989 roku, gdy zaczęto mówić, że wszyscy Polacy to antysemici.

Którejś niedzieli pani Schnurowa poprosiła mnie, żebym poszła z nią na cmentarz żydowski na Grabówkach, gdzie pochowani są przodkowie rodziny Schnurów. Chyba sama bała się tam iść. Pięknie położony na wzgórzach otaczających miasto był w tym czasie już zupełną ruiną, ale w czerwcowym słońcu wyglądał niezwykle i tajemniczo. Schnurowa odwiedziła kilka grobów (zgodnie z żydowską tradycją zmarli nie byli pochowani wspólnie, lecz pojedynczo), położyła kwiatki. Na każdym grobie ułożyła spory kamień. Cały czas przy tym rozmawiała z umarłymi, dzieląc się z nimi wiadomościami o bieżących sprawach rodzinnych i prosząc o pomoc w rozwiązaniu trudnych problemów. Słuchałam tego ze zdziwieniem; taki stosunek do zmarłych to było dla mnie coś nowego.

Inne wspomnienie wiąże się ze ślubem mojej siostry Kasi. Kilka dni wcześniej pani Schnurowa zjawiła się u nas w domu z torebką mąki i jajkami. Oświadczyła, że musi zrobić makaron weselny i w ten sposób wnieść swój wkład w tę uroczystość. Zrobiła złoty makaron na samych żółtkach, pokrajała i wysuszyła, i rzeczywiście został podany do rosołu w dzień wesela. Na jednym ze ślubnych zdjęć widać panią Schnurową w kościele, bardzo przejętą, siedzącą w pierwszej ławce przed ołtarzem. Jej córka gnała wtedy co sił z własnego ślubu w Mińsku na Białorusi, aby zdążyć na ślub mojej siostry, z którą się przyjaźniła. Gdy miała kilkanaście lat, pani Schnurowa zaczęła zbierać dla niej wyprawę. Zdobywała różne przedmioty przydatne w gospodarstwie domowym i cieszyła się, że Ania będzie mieć piękny posag. Ironia losu sprawiła, że po nagłej śmierci rodziców Ania przyjechała do Polski z zaledwie kilkudniową wizą i w ciągu dwu dni sprzedała za bezcen całe wiano, bo nie mogła go ani zabrać, ani zostawić.

Około roku 1980 Schnurowie zamknęli sklep i przeszli na emeryturę. Zniknął wówczas ostatni sklep żydowski w Wieliczce. Zmarli w 1983 roku, w tym samym dniu, niemal jednocześnie. Byli tak do siebie przywiązani, że nie potrafili żyć osobno. Są pochowani na cmentarzu żydowskim przy ulicy Miodowej w Krakowie.

Panią Sobel znałam znacznie słabiej. Była to duża kobieta, o szpakowatych włosach zaczesanych do tyłu, melancholijnym uśmiechu i powolnych ruchach. W przeciwieństwie do elokwentnej Schnurowej była raczej milcząca i, poza grupką znajomych, mało w sklepie rozmawiała. Z niewiadomych mi przyczyn została w Polsce sama; nie wiem, czy miała jakąś rodzinę. W czasie wojny przeżyła tragedię likwidacji żydowskiego szpitala w Wieliczce, w którym była pielęgniarką. Prowadziła mały sklepik spożywczy w Rynku pod numerem 9[615]. Ubrana w granatowy chałat z satyny handlowała trochę nabiałem,

[615] Zob. wspomnienia Wojciecha Kleina, s. 225.

trochę warzywami i owocami, jakimiś przetworami i czasami delikatesami z zagranicznych paczek. Wśród wieliczan znana była jako Ceśka. Mieszkała u Ścigalskich w kamienicy przy Rynku. Pod koniec życia chodziła z laską. Zmarła na początku lat siedemdziesiątych i również jest pochowana w Krakowie.

Żydzi zapamiętani przeze mnie byli inni niż my, mieli inną religię, tradycję, mentalność, zwyczaje. Ale byli częścią wielickiego społeczeństwa, traktowani na ogół z sympatią, zaciekawieniem, uznaniem. Byli elementem różnorodności, która jest zawsze ciekawsza, bogatsza i bardziej inspirująca niż monotonna jednolitość. A dla mnie są wspomnieniem z krainy cudownego dzieciństwa, która już nie istnieje.

Maria Gawęda (ur. 1 kwietnia 1949 roku w Krakowie) – doktor nauk chemicznych i doktor habilitowany nauk rolniczych, nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Rolniczym. Pochodzi z rodziny od pokoleń związanej z Wieliczką. Dziadek Franciszek Wiązownicki, mistrz piekarski. był starszym Cechu Wielkiego w Wieliczce w okresie międzywojennym. Helena Wiązownicka, matka Marii, była doktorem chemii i asystentem na Uniwersytecie Jagiellońskim; po wojnie nauczycielem w wielickim liceum oraz pracownikiem krakowskiego Instytutu Zootechniki. W czasie wojny była więźniem politycznym Auschwitz-Birkenau od 1942 do 1945 roku. Ojciec Marii – Stanisław Gawęda – ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był członkiem Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, przewodniczącym Powiatowej Komisji Egzaminacyjnej dla szkolnictwa średniego przeprowadzającej tajne matury. W okresie powojennym pracował jako profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współautor monografii *Wieliczka. Dzieje miasta (do 1980 roku).*

Dr. med. Univ. Emil Küchler
prakt. Arzt

Dr. med. Univ. Emil Küchler · Stollbergstr. 11 · 8000 München 22

Stollbergstraße 11
Fernsprecher 220721
8000 München 22, den

Oświadczenie (1) 27.5.2001.

Ja niżej podpisany Dr. Emil Küchler urodzony dnia 26.11.1928 w Wieliczce zamieszkały teraz w Monachium ul. St. Veit Strasse 12 B, oświadczam z godnie z prawdą że Pani Anna Fitzke po mężu Jaczoł urodzona w Jabłonce 7.7.1907 zamieszkała do śmierci w Wieliczce przy ulicy Sienkiewicza 33, przechowała zupełnie bezinteresownie mnie i moją rodzinę (Ojca, Matkę, Siostrę) w swoim domu w Wieliczce przy ulicy Sienkiewicza 33 przez okres kilkunastu dni w miesiącu sierpniu ubiegłym okresie eksterminacji Żydów w Wieliczce w roku 1942. Wykazała Tym wielką odwagę będąc narażona za każdej chwili na represje lub nawet śmierć.

Dr. med. Univ. Emil Küchler
Praktischer Arzt
St.-Veitstr. 12 B, 81673 München

Dr. med. Univ. Emil Küchler
prakt. Arzt

Dr. med. Univ. Emil Küchler · Stollbergstr. 11 · 8000 München 22

Stollbergstraße 11
Fernsprecher 220721
8000 München 22, den

(2)

Czym Ten zawarzył na narazie dalszych losach i dzięki Temu przeżyliśmy wojnę, oświadczam To na podstawie mojej pełnej wiedzy i świadomie i stwierdzam własnoręcznym podpisem a w razie potrzeby jestem gotowy złożyć powyższe zeznanie pod przysięgą.

Dr. med. Univ. Emil Küchler
Praktischer Arzt
St.-Veitstr. 12 B, 81673 München

Küchler

Personalausweis Bundesrepublik Deutschland
8010805607

GMINA WYZNANIOWA ŻYDOWSKA W KRAKOWIE

GMINA WYZNANIOWA ŻYDOWSKA w
PRZEWODNICZĄC
Tadeusz Jakubowicz

Oświadczenie dr. Emila Küchlera o ukrywaniu rodziny Küchlerów w sierpniu 1942 roku przez Annę Fitzke (Gaczoł), 27 maja 2001 roku

SPRAWIEDLIWA WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA – ANNA GACZOŁ

14 lutego 2003 roku w Centrum Kultury Żydowskiej przy ul. Meiselsa w Krakowie ówczesny ambasador Izraela w Polsce Szewach Weiss wręczył medale i dyplomy dla Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. To najwyższe izraelskie odznaczenie cywilne nadawane nie-Żydom zostało ustanowione w 1963 roku i jest przyznawane przez Radę ds. Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata przy Instytucie Pamięci Narodowej Jad Waszem. Na medalach widnieje pochodzący z Talmudu napis: „Kto ratuje jedno życie, jakby świat cały ratował". Wśród osób uhonorowanych tego dnia tytułem Sprawiedliwych znalazła się także – odznaczona pośmiertnie – wieliczanka, Anna Gaczoł[616]. W jej imieniu medal i dyplom odebrał syn Andrzej.

Anna Gaczoł urodziła się w 1907 roku w Gdowie, zmarła w roku 1982. Jej rodzice, Maria z Gorgoniów i Jan Fitzke, mieli jeszcze czworo dzieci. Młodszy brat Anny, Jan Fitzke – archeolog i prehistoryk, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektor Muzeum Wołyńskiego w Łucku na Wołyniu – zginął w Katyniu. Anna ukończyła Prywatne Gimnazjum Żeń-

Tekst powstał na podstawie o artykułów prasowych: *Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata*, „Dziennik Polski" 2003, 25 marca, s. 11; *Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata*, Biuletyn Informacyjny UMiG Wieliczka 2003, nr 2, s. 20. Red. Anna Krzeczkowska.

[616] Annie Gaczoł zostały poświęcony też tekst: *Anna Fitzke* [w:] W. Żyznowski, *Wieliczanie...*, *op. cit.*, s. 180–181.



Andrzej Gaczoł odbiera medal i dyplom Sprawiedliwej wśród Narodów Świata dla swojej mamy Anny Gaczoł z rąk ambasadora Izraela w Polsce Szewacha Weissa. Pierwsza z prawej konsul generalna USA Siria Lopez. Centrum Kultury Żydowskiej im. I. Meiselsa w Krakowie, 14 lutego 2003 roku

skie im. Marii Konopnickiej w Wieliczce oraz Wyższy Naukowy Kurs Spółdzielczy przy Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1935 roku wraz z macochą Bronisławą przeniosła się do Wieliczki, gdzie zamieszkały przy ul. Sienkiewicza 33. Tam też w sierpniu 1942 roku podczas eksterminacji i wysiedlenia Żydów do Bełżca ukrywała żydowskie małżeństwo Küchlerów: Szymona i Helenę z dziećmi Salomeą i Emilem[617].

Po wojnie Emil Küchler napisał: „Ja, niżej podpisany dr Emil Küchler, urodzony 26 listopada 1928 roku w Wieliczce, zamieszkały teraz w Monachium [...] oświadczam zgodnie z prawdą, że pani Anna Fitzke, po mężu Gaczoł [...] przechowała zupełnie bezinteresownie mnie i moją rodzinę (Ojca, Matkę, Siostrę) w swoim domu w Wieliczce przy ul. Sienkiewicza 33 przez okres kilkunastu dni w najniebezpieczniejszym okresie eksterminacji Żydów w Wieliczce w roku 1942. Wykazała tym wielką odwagę, będąc narażona w każdej chwili na represje lub nawet śmierć. Czyn ten zaważył na naszych dalszych losach i dzięki temu przeżyliśmy wojnę. To na podstawie najlepszej wiedzy i sumienia stwierdzam własnoręcznym podpisem, a w razie potrzeby jestem gotowy złożyć powyższe zeznanie pod przysięgą"[618].

Po II wojnie światowej, w latach 1945–1948 oraz 1956–1967, Anna Gaczoł pracowała w Urzędzie Miejskim w Wieliczce w dziale księgowości i podatków. Odznaczała się wielką pracowitością i życzliwością. Służyła pomocą petentom borykającym się z trudnościami wynikającymi z przepisów ówczesnego systemu podatkowego. Z oddaniem utrzymywała rodzinę.

[617] Emil Küchler (ur. 26 listopada 1928 roku w Wieliczce) – doktor nauk medycznych, pracował jako lekarz w Wiedniu i Monachium, gdzie mieszka do dziś.

[618] Fragment oświadczenia Emila Küchlera z 27 maja 2001 roku złożonego w Jad Waszem na potrzeby procedury przyznania Annie Gaczoł odznaczenia Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.



Emil Küchler z żoną i Andrzejem Gaczołem, Monachium, 27 maja 2001

Zmarła w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Po jej śmierci w liście do Kazimiery Miczyńskiej[619], u której wcześniej w 1942 roku ukrywali się Küchlerowie, Salomea Nessel, siostra Emila, napisała: „Żałuję bardzo panią Fitzke-Gaczołową. To był bardzo szlachetny człowiek. Świeć Panie nad jej duszą. Rodziny nasze znały się z dawien dawna".

---

[619] Küchlerowie wnioskowali także o medal Sprawiedliwej wśród Narodów Świata dla Kazimiery Miczyńskiej (otrzymała go w 1995 roku), u której w domu i przydomowej szopie na skrzyżowaniu ulic 3 Maja (obecnie Powstania Warszawskiego) i Goliana ukrywali się, dopóki ktoś nie doniósł o tym żandarmerii. Po przeszukaniu zmuszeni byli przenieść się na ul. Sienkiewicza, gdzie przygarnęła ich Anna Gaczoł. Zob. W. Żyznowski, *Wieliczanie…*, *op. cit.*, s. 76–77.



Przed domem na ul. Kilińskiego 11/13. Na pierwszym planie rodzeństwo: Henryk Marceli Lax i Celina Lax, okres przedwojenny

OPOWIEŚĆ CELINY

Anna Krzeczkowska

Pogrzeb Celiny Tadanier[620] z domu Lax odbył się 8 lipca 2011 roku na cmentarzu żydowskim przy ul. Miodowej w Krakowie, dokładnie trzy lata i dwa dni po jej pierwszym spotkaniu z naszym wydawnictwem. Co straciliśmy, poznając Celinę tak późno? A może pytanie powinno brzmieć: co zyskaliśmy, poznając ją mimo wszystko na czas? Zdążyliśmy się bowiem dowiedzieć czegoś ważnego o jednej z żydowskich rodzin zamieszkujących przed wojną dom przy ul. Kilińskiego 11/13, nieopodal wielickiego Górnego Rynku. Była to rodzina, która wryła się w pamięć współczesnych wieliczan, nawet tych, którym nie było dane bezpośrednio się z nią zetknąć.

W trakcie poszukiwań zdjęć i historii do książki *Wieliczanie na opisanych fotografiach* w 2008 roku Wiesław Żyznowski i Henryk Ostrowski rozmawiając z Anną Oganesov[621], pochodzącą z wielickiej rodziny Schnurów, usłyszeli również o Celinie, jedynej żyjącej wieliczance żydowskiego pochodzenia, mieszkającej w Krakowie.

---

620 Celinie Tadanier został poświęcony tekst w: W. Żyznowski, *Wieliczanie...*, *op. cit.*, s. 82.

621 Zob. przyp. 614.



Celina Lax, lata trzydzieste XX wieku

Podczas pierwszego spotkania Celina mówiła spokojnym, stonowanym głosem, w którym czasem pobrzmiewała niepewność („Ech, ja już nie mam pamięci do dat", „Ja wam tego nie powiem, bo nie pamiętam"), czasem inteligentna ironia („Dobrze, że przyszliście we dwóch, jeden umie czytać, drugi pisać"). W jednym z kawiarnianych ogródków na krakowskim Kazimierzu, patrząc na stare rodzinne zdjęcia, przywoływała z zakamarków pamięci wspomnienia. Dobrze pamiętała imiona, zdrobnienia, cechy charakteru Laxów[622] z fotografii. Pamiętała, który mężczyzna w rodzinie był kobieciarzem, który był przystojny, kto kogo lubił i za co, kto się z kim kłócił. Gorzej z datami i miejscami. Słuchającemu nie było łatwo nie pogubić się wśród rodziny Laxów, do której wżenili się inni Laxowie. Religia żydowska zezwalała na małżeństwa kuzynów, stąd początkowa konfuzja. Celina opowiadała otwarcie i szczerze, upiększała tylko z sentymentalizmu, ale i to nie raziło. Snuła opowieść o swoim dzieciństwie, o domu, w którym mówiono tylko po polsku, o ukochanym bracie Henryku Marcelim, który uwielbiał fotografować, matce Laurze, która popełniła samobójstwo, i ojcu Adolfie, który ponownie się ożenił, o wujostwie Bercie i Michale Zellnerach, z którymi zamieszkała po śmierci mamy, i małym kuzynie Romku Lichcie[623], którym lubiła się opiekować.

Urodzona 20 listopada 1918 roku Celina opiekowała się młodszym o dziesięć lat Romkiem do 27 sierpnia 1942 roku, kiedy jako czternastoletni chłopak, podając się za starszego o dwa lata, został wywieziony wraz ze swoim ojcem, Eliaszem zwanym Olkiem, do obozu w Płaszowie, natomiast jego mama Golda Licht (z domu Lax) i ojciec Celiny trafili do Bełżca, skąd nie wrócili. Brata Henryka Marcelego hitlerowcy zabrali do obozu w Dębicy, napisał do siostry list z prośbą o „chleb i cukierki". Uciekł stamtąd, jednak nie doczekawszy pomocy od nikogo, skrajnie wyczerpany, postanowił wrócić. Rankiem podczas apelu został zabity strzałem w usta. Celina wraz z Zellnerami przeżyła Zagładę w ukryciu, na aryjskich papierach: najpierw w Krakowie, później, gdy zaczęło być niebezpiecznie – w okolicach Warszawy,

[622] Rodzinie Laxów został poświęcony tekst w: W. Żyznowski, *Wieliczanie...*, *op. cit.*, s. 140–142.

[623] Więcej o Romku Lichcie (Romanie Leatonie) we wspomnieniach Alfredy Friedman-Künstler i Alfreda Laxa na s. 527–532.

Na tarasie domu przy ul. Kilińskiego 11/13 stoją Berta Zellner, Bogumiła Dobrowolska i Celina Lax, przed 1942 rokiem



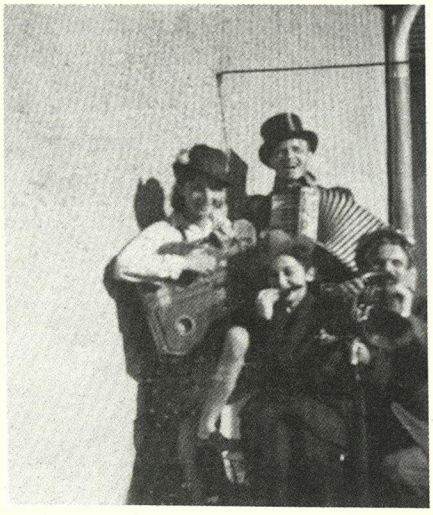
i ostatecznie z powrotem w Małopolsce, dzięki pomocy służącej, Marysi Paszkot, która wyszukiwała dla nich kryjówki. Obydwaj Lichtowie pracowali do sierpnia 1944 roku w fabryce kabli w Płaszowie, gdzie raz w tygodniu odwiedzała ich niania i mamka Romka z Wieliczki, Katarzyna Grzyb – przychodziła pod ogrodzenie, czasem przynosząc kromkę chleba, a czasem po prostu wsparcie, dobre słowo. Z Płaszowa zostali przewiezieni do Mauthausen, tam 12 grudnia 1944 roku ojciec zmarł na zapalenie płuc, a Romana wysłano dalej do Ebensee, gdzie doczekał wyzwolenia przez Amerykanów w ostatnim dniu wojny. Rekonwalescencję przechodził we Włoszech. Jak później wspominał, „wplątał się tam w 2. Polski Korpus" i wraz z nim znalazł się w Anglii[624]. Dzięki Polakom ukończył wydział chemii, następnie studia podyplomowe w Insead we Francji i to dało mu „paszport na życie". Ostatecznie osiadł w Anglii, gdzie zmienił nazwisko na Leaton, zajmował ważne stanowiska, między innymi pracował dla firmy Foster and Wheeler, został ojcem Cary. Po latach ciągle miał żal do Zellnerów, że nie uprzedzili jego mamy o swoich planach ukrycia się.

Celinie pozostało zbiorowe zdjęcie rodzinne, które jest jednocześnie zapisem życia i śmierci Laxów. Patrząc na nie, z nieśmiertelną figlarnością powiedziała: „Najlepiej podoba mi się ten płot, co jest z tyłu naszego ogrodu. Koło tego płotu jako dzieci budowaliśmy sobie okręt. Płot był z tyłu ulicy Kilińskiego". Ożyły w niej wspomnienia dzieciństwa, nawet jeśli

[624] Zob. także wspomnienia Alfreda Laxa, s. 527.



Celina Lax ze swoim kuzynem Romkiem Lichtem na podwórku domu przy ul. Kilińskiego 11/13, początek lat trzydziestych XX wieku



Celina Lax (po lewej) podczas święta Purim w Wieliczce, koniec lat trzydziestych XX wieku

zatrzymała je w swojej głowie i nie podzieliła się nimi z nami. Po ponad siedemdziesięciu latach dostrzegliśmy w niej ślad małej dziewczynki, którą była u progu lat trzydziestych, kiedy zrobiono to zdjęcie[625], i podobną do dziecięcej – tylko smutną, bo zwiastującą koniec – kruchość i bezbronność.

Album pełen przed- i tuż powojennych fotografii, który nam pożyczyła, dopowiedział to, czego Celina już nie pamiętała. Nawet jeśli nie rozpoznaliśmy większości osób ze zdjęć, to mieliśmy okazję zobaczyć szczęśliwą, wielopokoleniową, liczną rodzinę: a to na schodach przed domem, a to w domu, zamrożone w fotografii uśmiechy zmarłych, fałdy sukienek, szorstkość materiału prążkowanych garniturów, purimowy harmider, dźwięki gramofonu... Zatrzymaliśmy się, żeby przyjrzeć się czterem niewielkim stykówkom. Na tarasie domu Laxów przy Kilińskiego 11/13 utrwalone jego mieszkanki i koleżanka, najwidoczniej wtedy odwiedzająca Wieliczkę, w towarzystwie zakwaterowanych u nich niemieckich oficerów, wśród których według Romana Leatona był też hrabia von Falkenhausen. Można zauważyć, że szczególną atencją jednego z nich cieszyła się właśnie śliczna Bogumiła Dobrowolska zwana Bosią, przyjaciółka Celiny, z którą utrzymywały kontakty jeszcze jakiś czas po wojnie. „Nic dziwnego – skomentowała Celina – ona była taka sympatyczna dziewczyna, to wszyscy się w niej kochali". Przy okazji nawiązała do zasłyszanych słów oficera: „«Ja nie wiem, dlaczego nasi ludzie tak źle mówią o Żydach, a przecież wy jesteście tacy pracowici». A u nas każda pani coś robiła, swetry na drutach, albo na szydełku...". U Dobrowolskich, na Ariańskiej 5 w Krakowie, rok po zrobieniu tych zdjęć, może trochę dłużej, Cesia się ukrywała. Wojnę przeżyła dzięki pomocy dobrych ludzi.

Celina, mimo swojej przedwojennej elokwencji, pozostała dla nas zagadkowa, można powiedzieć – tajemnicza. Środek jej życia nigdy nie został przez nas zapełniony informacjami. W *Wieliczanach* znalazły się eseistyczne impresje na temat jej dzieciństwa i wczesnej młodości w Wieliczce. Kiedy jeszcze była możliwość dowiedzenia się, jakie były jej powojenne losy – nie wypytywaliśmy, ani ona sama nie opowiadała. Po jej śmierci kuzyn, Roman Leaton, uzupełniał puste miejsca na po-

[625] Zob. s. 78.



Pogrzeb Celiny Tadanier, 8 lipca 2011 roku

trzeby niniejszej książki tak, jak pozwalała mu na to pamięć: a więc Celina po wojnie wróciła z Zellnerami do Wieliczki, mieszkała z nimi w odzyskanym z trudem domu przy Kilińskiego 11/13, a oni traktowali ją jak córkę. Nie wyjechali z Polski, chociaż mieli możliwość, gdyż Celina nie dostała paszportu, a oni nie wyobrażali sobie, że mogliby się z nią rozstać. Gdy wuj i ciotka zmarli, zamieszkała w Krakowie, pracowała jako urzędniczka, bodajże księgowa. Zawsze elegancka, krótkie, rude włosy układała wokół twarzy, tak jak w latach młodości, wydatny nos nadawał charakteru zmieniającym się rysom. Powściągliwa, kulturalna, spokojna, nie trzpiotka, raczej poważna pani.

Latem 2009 roku rozmawiałam z Celiną przez telefon. Wtedy, pomimo że dopiero wróciła z sanatorium, nie była w najlepszej kondycji. Bezbronna wobec własnej bezlitośnie pustej pamięci rozmawiała ze mną jak ze starą przyjaciółką z młodości: „Tak, tak, kochana *c'est la vie*, jak kiedyś mawiałyśmy, pamiętasz?". I jeszcze kilka słów po francusku, których nie zrozumiałam. To była nasza ostatnia rozmowa. O śmierci Celiny dowiedzieliśmy się od pana Romana, który nie mógł przyjechać z Anglii na pogrzeb ze względu na zły stan zdrowia.

Dzień, w którym odbył się pogrzeb, był słoneczny, ciepły, nie miał w sobie pogrzebowej powagi, osten-

tacyjnego smutku, nie było widać zapłakanych oczu żałobników. Może dlatego, że przybyli jedynie – jak podpisano na klepsydrze – przyjaciele, a nie rodzina, z której zostali już tylko pojedynczy członkowie rozsiani po świecie. Mężczyźni obowiązkowo w nakryciach głowy. Dało się zauważyć ciało okryte szczelnie białym całunem, gdy ktoś uchylił wieko trumny. Trzej rabini odmówili modlitwy, trumnę wyniesiono z domu przedpogrzebowego, za nią podążył niewielki kondukt żałobny. Po złożeniu ciała do grobu, grabarze kilka razy przerywali zasypywanie, aby dać czas na modlitwę *El male rachamim*: „Boże pełen miłosierdzia, który mieszkasz na wysokościach, znajdź właściwy odpoczynek pod skrzydłami Twojej Obecności...". Upał sprawił, że naprawdę potrzebowali tych krótkich przerw. Odmówiono kadisz za Błogosławionej Pamięci Celinę Tadanier. Cesię.

Nie zdążyliśmy poznać Celiny tak dobrze, jak byśmy chcieli. Ale zdążyliśmy napisać o niej kilka tekstów – wspomnień, aby ocalić jej rodzinę ze zdjęć, aby wracać do niej samej i jej zabawnych powiedzonek w rozmowach, powoływać się na jej słowa lub jej osobę, zachować fragmenty losów wielickich Laxów dla grupy szerszej niż bliższa i dalsza rodzina – dla wszystkich zainteresowanych losami ludzi, na których swoje piętno odcisnęła Zagłada.

JAK NAJDALEJ OD EUROPY

Alfred Lax

Spróbuję pisać po polsku. Proszę mi wybaczyć błędy, ale od wielu lat nie mówię w tym języku, a ci, z którymi kiedyś rozmawiałem, zmarli.

Kilka dni po zakończeniu wojny stałem na placu przed kościołem w Bovezzo, gdzie zajechał jeep z żołnierzami w mundurach armii angielskiej. Gdy się zbliżyłem, zobaczyłem, że na ramionach mieli napisane: *Poland*. Powiedzieli, że należą do 2. Korpusu Armii Andersa, który jest częścią 8. Armii Brytyjskiej. Żyjąc w tej wsi, w ogóle nie wiedziałem, co się dzieje. Powiedzieli mi, że szukają Polaków, którzy się ukrywali podczas wojny we Włoszech, żeby się nimi zaopiekować. Było kilku, którzy zostali jako robotnicy wywiezieni przez Niemców. Zarejestrowano nas i po paru dniach przyjechała ciężarówka i zabrała nas do Imoli, miasteczka na południe od Bolonii. Tam zostaliśmy przesłuchani przez wywiad wojskowy. Opowiedziałem wszystkie moje awantury. Dostałem angielski mundur, książeczkę żołdową i stałem się żołnierzem 2. Korpusu. Widocznie takie było moje przeznaczenie – być żołnierzem. Potem przydzielono mnie do 22. Kompani Zaopatrzenia Artylerii 2. Korpusu. Mieliśmy czterysta ciężarówek i dwa warsztaty. Ponieważ znałem angielski, zostałem przydzielony jako magazynier do warsztatu, który stacjonował koło Ancony, ważnego portu na Adriatyku. Taką samą robotę, o ironio, miałem

w Luftwaffe Werkstattzug w Symferopolu i Odessie[626]. W 1946 roku wydano rozkaz, że wszyscy, którzy przerwali studia przez wojnę, mogą się zarejestrować, aby je dokończyć. Ja nie miałem żadnych trudności, bo wszystkie moje papiery były na uniwersytecie we Florencji i mogłem udowodnić, kim jestem. Kilka tygodni później wszystkich studentów wysłali do Rzymu, gdzie otwarto Ośrodek Akademicki 2. Korpusu. To była mieszanina żołnierzy, podoficerów, oficerów, studentów prawa, medycyny, inżynierii. Zostaliśmy przyjęci na uniwersytet w Rzymie na odpowiedni rok. Ja miałem szczęście, bo Politechnika Lwowska została przeniesiona do Wrocławia. Cesia[627] dostała świadectwa moich egzaminów ze Lwowa. Z tymi dokumentami zostałem przyjęty na trzeci rok. Zostały mi tylko dwa lata do ukończenia. Armia angielska i korpus powróciły do Anglii w połowie 1947 roku, a mnie zdemobilizowano, więc zostałem w Italii. Podczas pobytu w wojsku – nie pamiętam, w jaki sposób – odnalazłem Romka. Zorganizowałem jego wyjazd z wojskiem do Anglii, gdzie miałem kuzynów, którzy się nim zajęli. Byłem w kontakcie z Zellnerami i przez nich odnalazłem mamusię, która wróciła z Uralu, dokąd zostali wywiezieni z tatą przez Rosjan w 1941 roku. Ojciec umarł w Rosji na serce. Ona dostała się do Salzburga, skąd ją przywiozłem do Włoch. Skończyłem studia w 1949 roku. W Rzymie poznałem moją przyszłą żonę, Włoszkę. Życie było piękne, *dolce vita*, ale bezrobocie duże. Mogłem dostać posadę rządową, ale musiałem uzyskać podpis ministra spraw wewnętrznych. Moja narzeczona pracowała tam jako sekretarka i znała wszystkich, ale gdy poszła do ministra po podpis, powiedział, że nie może, bo jest zbyt wielu bezrobotnych włoskich inżynierów. Mimo tego, że kochałem życie w Rzymie, nie widziałem tam przyszłości i zdecydowałem się wyemigrować do Australii.

Przyjechałem do Australii w lipcu 1950 roku. Dlaczego? Bo po tych moich awanturach chciałem odjechać jak najdalej od Europy. Miałem dyplom inżyniera i szybko znalazłem pracę w ministerstwie infrastruktury w sekcji budowy dróg i lotnisk. Moim zadaniem było nadzorowanie budowy i utrzymania małych lotnisk. Ponieważ odległości tam są wielkie, miałem mały samolot, żeby móc się przemieszczać. Po sześciu latach zaprzyjaźniłem się z jednym z naszych kontrahentów, który zaproponował mi pracę za lepsze wynagrodzenie. Pracowałem dla niego trzy lata, później otworzyłem małą firmę budowy dróg, którą sprzedałem w 1988 roku, mając sześćdziesiąt dziewięć lat.

W 1968 roku pojechałem z wizytą do Izraela. Mieszkało tam wielu moich kolegów ze szkoły. Byłem pod wrażeniem tego, co Żydom udało się zrobić w tak krótkim czasie. Ale ja już byłem zakorzeniony w Australii i nie chciałem na nowo emigrować.

W 1978 roku pojechałem do Krakowa. Dla mnie to była bardzo wzruszająca podróż. Przypomniało mi się całe moje dzieciństwo. Moja ulica Starowiślna 45, róg Berka Joselewicza, Planty Dietlowskie, Główny i Mały Rynek. Na końcu Berka Joselewicza był nasyp kolejowy, a za nim boisko Olszy, gdzie chodziliśmy kopać szmaciankę, linia A–B, park Jordana, deptak, Błonia, Wawel. Na Szerokiej była nasza bożnica – Poppera. Mój dziadek miał pergamin, w którym król Władysław IV Waza dał Żydom tę ziemię na budowę. Cesia jeszcze żyła i była taka szczęśliwa, że przyjechaliśmy. Chciało mi się płakać. Naturalnie byliśmy w Wieliczce. Chciałem pokazać mojej żonie kopalnię, dom dziadka, Górny i Dolny Rynek, gdzie stał jego sklep. To była bardzo emocjonalna podróż.

---

626 Zob. wojenne losy Alfreda Laxa, s. 375–381.

627 Celina Tadanier, kuzynka autora, zob. s. 521–526.

MIĘDZY TEL AWIWEM A ANTWERPIĄ

Alfreda Friedman-Künstler

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadów telefonicznych przeprowadzonych z Alfredą Friedman-Künstler w marcu i kwietniu 2012 roku przez Annę Krzeczkowską.

Nasz sierociniec wyswobodzili Rosjanie. Rodzice z Warszawy, którzy zostali przy życiu, zaczęli powoli przyjeżdżać po dzieci. Wiedziałam, że po mnie nikt nie przyjedzie. Ale siostry z pobliskiego klasztoru powiedziały, że znają rodziny, które chcą adoptować pozostałe dzieci. Posłano mnie do szewca w Grodzisku Mazowieckim. Szewc z żoną mieli już dwóch synów, ale chcieli zaadoptować córkę. Nie pamiętam, jak się nazywali, byłam u nich bardzo krótko. Gdy przyszło do podpisania dokumentów adopcyjnych, poprosiłam szewca, żeby pozwolił mi pojechać do Wieliczki, przekonać się, czy żyje ktokolwiek z mojej rodziny. Nie miałam pojęcia, czy Żydzi jeszcze istnieją. On nie wiedział, że jestem Żydówką, myślał, że jestem polską sierotą. Obiecałam, że jeśli się okaże, że nikt z moich bliskich nie przeżył, to wrócę. Zgodził się. Zarezerwował mi miejsce w pociągu, takiej towarówce. Dał mi bochenek chleba na drogę. I pojechałam do Wieliczki.

Gdy wysiadłam na stacji w Wieliczce, nie wiedziałam, dokąd pójść, więc skierowałam się do Jantonów, a tam mnie zapytali, czy byłam już w domu. „Co to znaczy w domu? W jakim domu?". „No, wszyscy mieszkają u Schnura, bo Rosjanie są u was, na Kilińskiego". Poszłam więc do drukarni. Otworzyłam drzwi, a tam moja mama siedziała przy stole z moją



Legitymacja szkolna Alfredy Friedman, 1945 rok

kuzynką, piły sobie popołudniową herbatę. Ciotka Balka była wtedy w Warszawie i szukała mnie, ale nie mogła natrafić na żaden ślad. Zrozumiałe, w tamtym czasie nikt nie mógł znaleźć śladu swoich bliskich.

Dostałam bardzo wysokiej gorączki, byłam chora przez kilka dni, ale jakoś doszłam do siebie. Później udało nam się przynajmniej częściowo wrócić do domu na Kilińskiego. Dostałyśmy kuchnię i jeden pokój, chociaż nadal byli tam Rosjanie. Zaczęli powoli wracać ci, którzy zostali przy życiu: Izio Birnbaum, rodzina Perlbergerów z Klasna, wróciła też Mila Perlberger, która potem wyszła za mąż za znanego kompozytora Romana Haubenstocka. Z obozu przyjechał kuzyn Romka, Ryszard Lax. Po wojnie do Wieliczki wróciło kilka rodzin. Po kilku miesiącach przyjechał do domu także mój brat, Eliasz.

Kiedy po wojnie wróciłam do szkoły, do Gimnazjum Handlowego im. Królowej Jadwigi[628], byłam

[628] Gimnazjum na Zadorach.

tam jedyną Żydówką. Inny żydowski chłopak chodził do gimnazjum na Rynku. Reszta Żydów to byli starsi. W szkole siedziałam obok Marysi, mojej przyjaciółki sprzed wojny, aż do samej matury. Czułam, że wróciłam do grona moich przyjaciół. Po ostatnich egzaminach odbyła się potańcówka. Byłam tam z koleżankami i kolegami. I wszyscy tańczyli. A mnie nikt nie zaprosił do tańca. Widocznie się krępowali, ponieważ atmosfera była bardzo antysemicka. Nagle podszedł jeden z moich profesorów, a może to był nawet sam dyrektor szkoły, i poprosił mnie do tańca. To było bardzo wzruszające. Po tym zabawa się rozkręciła, tańczyłam i wszyscy się znakomicie bawili.

Byłam bardzo dobrą uczennicą ze wszystkich przedmiotów, ale matematyka to był mój słaby punkt. Zawsze miałam z niej lufę. Przepuszczali mnie z klasy do klasy, ponieważ wszystkie inne przedmioty zaliczałam na poziomie. Moim profesorem matematyki był syn rzeźnika z Wieliczki, Bombała. I gdy przyszło do matury, on mnie zawołał do tablicy, napisał tam jakieś zadanie. Stanęłam sobie tak przed tą tablicą, z kredą w ręce, i nie miałam zielonego pojęcia, co z tym zrobić. On tak stał obok mnie, popatrzył, wyjął mi z ręki kredę i sam sobie wszystko napisał. I dostałam świadectwo maturalne. To była mała matura. Do liceum już nie poszłam, bo wyjechałam.

Po wojnie nie było w Wieliczce żadnych instytucji żydowskich. Wydaje mi się, że wszystkie zostały przeniesione do Krakowa. Jak ktoś chciał iść do synagogi, to jechał właśnie tam.

Mój brat wraz z Armią Andersa wyjechał do Anglii w 1946 roku. Później, ze swoją przyszłą żoną, przeniósł się do Australii. Pobrali się w 1955 roku.

W 1945 roku przyjechał do Wieliczki pewien rabin z Londynu i powiedział, że może zabrać ze sobą żydowskie dzieci z Polski. Moja mama mówi: „Słuchaj, my mamy rodzinę w Londynie. Tutaj nie widzę dla ciebie żadnej przyszłości. Pojedź z tym rabinem". I tak zrobiłam.

Żydowskie dzieci naprawdę nie miały przyszłości w Polsce. Atmosfera była bardzo nieprzyjemna. Ja jeszcze nosiłam pierścionek Armii Krajowej i obracałam się w gronie polskim. Ale dzieci żydowskie, które przebywały wśród Żydów, nigdzie nie były mile widziane. Wyjechałam z Polski w 1945 roku.

Razem z Romkiem Lichtem zamieszkałam u naszej rodziny w Londynie, a dokładnie u Kirszbaumów – najstarszego syna siostry mojej mamy, tej, która wyjechała do Frankfurtu. To była dość konserwatywna rodzina. Mieliśmy wybór: albo kontynuować studia, korzystać z ich mieszkania i pozwalać, aby nas utrzymywali, albo szybko nauczyć się języka i się usamodzielnić. Romek zdecydował się zostać u nich. Ja chyba po mamie odziedziczyłam zamiłowanie do niezależności. Postanowiłam, że nauczę się języka i pójdę na swoje, jak tylko będę w stanie się utrzymać. Dzisiaj angielskim władam na równi z polskim. Tylko że angielskiego używam znacznie częściej niż polszczyzny, ponieważ po polsku nie mam z kim rozmawiać.

Skończyłam kurs angielskiego i zaczęłam pracować. Zaraz potem wynajęłam osobny pokój. Ciągle obracałam się w gronie żydowskim, ale angielskim. Najpierw dostałam posadę u krawcowej. Później skończyłam kurs kroju i szycia i zostałam projektantką w fabryce swetrów na Dean Street w Londynie. Robiłyśmy tam bardzo piękne swetry. Czasami je prezentowałam kupcom. Gdy powstał nowy model, zakładałam go na siebie, wchodziłam do biura, pokazywałam kupcom i z nimi rozmawiałam. Mama odwiedziła mnie w Londynie, ale nie chciała zostać, nie podobało jej się tam. Wróciła do Polski i stamtąd pojechała do Izraela.

Gdy w 1951 roku pojechałam z wizytą do Hajfy, do mojej mamy, już wtedy mieszkali tam także ciocia Balka z wujkiem Antkiem – wyjechali z Polski w 1946, może 1947 roku.

W Izraelu miałam zostać tak długo, na ile pozwalał bilet, wydaje mi się, że na miesiąc. Po przyjeździe zastanawiałam się, kto tu jeszcze jest ze znajomych z Krakowa i z Wieliczki. Znalazłam kilkoro, ale też między innymi spotkałam mojego przyszłego męża, Leona Künstlera, którego poznałam jako mała dziewczynka już wcześniej w Krakowie. Wzięliśmy błyskawiczny ślub w Hajfie. Musiałam wrócić do pracy, ale zamiast płynąć okrętem, poleciałam do Anglii samolotem, żeby zyskać kilka dni z mężem. Przez pewien czas byłam w Londynie, a mąż w Izraelu. Zaczęłam się starać o sprowadzenie go do Anglii, ale o to było wtedy bardzo trudno, a ja nie chciałam wyjechać na stałe do Izraela. Miałam bardzo dobrą posadę w Anglii, mieszkałam tam już pięć lat i czułam się tam jak w domu. W międzyczasie dostaliśmy możliwość wyjazdu do Francji. Zamieszkaliśmy w Paryżu. Ze względu na to, że bardzo ciężko było się tam utrzymać, po roku przenieśliśmy się do Izraela. Mieszkaliśmy w Tel Awiwie przez trzydzieści dwa lata. Mąż pracował w przemyśle diamentowym. Jego ojciec zajmował się tym samym w Belgii. Ale Izrael to bardzo trudny kraj do życia. Tam ciągle panuje wojna. Każdego dnia są ofiary. Gdy włącza się rano radio, to nigdy nie wiadomo, co się usłyszy. Taka wojna nerwów. Dobrze nam się powodziło, jednak mąż był cały czas w wojsku, w rezerwie. Córka i syn także odbyli służbę wojskową. Wszyscy. Gdy trzeba było iść na front, to się szło na front. Mąż ciągle podróżował między Antwerpią a Tel Awiwem, więc zdecydowaliśmy się przeprowadzić do Belgii w 1984 roku, gdzie mieszkamy do tej pory. Nasza córka, Jenny, już wtedy mieszkała w Kanadzie, natomiast syn Lior pojechał z nami. Wrócił jeszcze na trzy lata do Izraela, do wojska. Obecnie także mieszka w Antwerpii.

NIE DAŁO SIĘ ZOSTAĆ W POLSCE

Izaak Birnbaum

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Izaakiem i Zofią Birnbaumami w Hajfie 14 i 16 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Tuż po wyzwoleniu było nas w Wieliczce pięcioro Żydów: Bronka Friedman, jej siostra Balka Licht, Michał Zellner, jeden bardzo pobożny – nazywał się Aszkenazy i ja. Spośród wymienionych tylko ja pochodziłem z Klasna. Później byłem świadkiem, gdy Szymon Schnur po powrocie z obozu spotkał w Wieliczce swojego brata Hermana, widziałem, jak się obejmowali na powitanie, jak się cieszyli, całowali. Ale szybko się rozstali, Szymon został w Wieliczce, a Herman ożenił się z Balką Licht i wyjechali razem do Izraela, gdzie mieszkali do końca życia. Znacznie później wróciła część Żydów, którzy uciekli na początku wojny do Rosji, na przykład Küchler i Brandys, akurat ci już przed wojną należeli do partii komunistycznej. Blisko z nimi trzymał się Polak, Władysław Bochenek. Na wschodzie przeżył też mój kuzyn, Rysiek Perlberger, ale on mieszkał w Krakowie.

Ja wróciłem do garbarni i prowadziłem ją do 1946 roku, kiedy została upaństwowiona. Najpierw starałem się o przepisanie jej na siebie, ponieważ dotąd była na nazwisko dziadka, potem o reprywatyzację, ale bezskutecznie. Po 1945 roku w zakładzie nadal pracowało ponad stu ludzi, funkcjonował pełną parą, sprzedawaliśmy skóry dla wojska. W pewnym momencie przyszedł komisarz, działacz PPR-u, wspomniany już Wła-



Stoją od lewej: Jan Jackowski, Janina Przetaczek, Izaak Birnbaum, Rudolf Przetaczek, Dzidek Alster, siedzi Wiktor Panuszka, Lednica Górna, 1945 rok

dysław Bochenek z Wieliczki, i został dyrektorem. Znałem go, mieszkał niedaleko nas, był starszy ode mnie o dwa, trzy lata. Wiedziałem, że nie mam czego dalej szukać w garbarni, wszystkie przedsiębiorstwa, w których pracowało ponad trzydzieści osób, upaństwowiono. Jednak nie dostałem żadnego dokumentu potwierdzającego przejęcie mienia przez państwo.

Jeszcze przez kilka miesięcy pracowałem w zakładzie jako majster, prowadziłem dział wyrobu skór, byłem nawet w dobrych stosunkach z nowym dyrektorem, ale później zdecydowałem się wyjechać. Miałem wujka i kilka osób z rodziny w Palestynie, a w Wieliczce żadnych krewnych, tylko w Krakowie ciotkę Czesławę z synem, więc nic mnie w Polsce nie trzymało.

Po wyzwoleniu spotykałem się z Przetaczkami, najweselej wspominam imieniny Zofii w Lednicy Górnej w 1945 roku, zebraliśmy się wszyscy u nich w domu, razem z Frydą i Dzidkiem Alsterem, Jedynakami, kuzynką Helą Birnbaum. Było bardzo wesoło, Panuszka grał na harmonii, śpiewaliśmy i cieszyliśmy się wolnością. Z Rudkiem, Zosią i ich dziećmi, Janką i Józkiem, utrzymywałem ścisły kontakt, po wyjeździe z Polski odwiedziłem ich z rodziną czterokrotnie. Pani Przetaczkowa – nie znałem drugiej tak dobrej kobiety jak ona – żyła do 2005 roku. Jej mąż zmarł dużo wcześniej. Po staraniach dzieci Alsterów, Georgetty i Henryka, na początku lat osiemdziesiątych przyznano Zofii i Rudolfowi medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Mnie się udało, po załatwieniu formalności, przepisać na nich dom po wujku Markusie Perlbergerze na Klaśnieńskiej 25. Przeprowadzili się do niego i przez wiele lat mieszkali na pierwszym piętrze, a dół wynajmowali, po czym po kilku latach dom został sprzedany. Obecnie żyje już tylko córka Przetaczków, Janina Sejdak, jesteśmy w stałym kontakcie.

W drugiej połowie 1946 roku zdecydowałem się na wyjazd z Wieliczki. Spakowałem się, zabrałem zdjęcia i drobne pamiątki po rodzinie, a resztę rzeczy z domu zostawiłem Anieli i Tomaszowi Zasadnym, którzy tam mieszkali od połowy wojny. Pojechałem

pociągiem do ciotki do Francji. Czesława Perlberger również postanowiła przedostać się do męża do Tel Awiwu, tylko nieco później. Opuściłem Polskę na stałe. We Francji byłem kilka miesięcy, zgłosiłem się do punktu zbornego dla uratowanych Żydów polskich, zdecydowanych na nielegalną przeprawę do Palestyny w ramach alii bet[629]. Wśród nich poznałem moją przyszłą żonę Zofię Distenfeld, pochodzącą ze Lwowa. Nasz okręt o nazwie La Negew, wynajęty, jak inne tego typu, przez żydowskich dobroczyńców z Ameryki, był bardzo stary, baliśmy się nim płynąć w siedemset osób. Na pewnym etapie podróży zepsuł się silnik i włoscy marynarze musieli rozciągnąć żagle. Na pokładzie przebywali prawie sami młodzi ludzie, przeważnie chłopcy w wieku około siedemnastu, osiemnastu lat, uratowani z obozów, samotni – pojedynczy członkowie rodzin. Spaliśmy na pryczach, wiele osób cierpiało na chorobę morską. Ja trzymałem się razem z Zosią i jej koleżanką. Po trzech tygodniach na wodach Morza Śródziemnego z kapitanem doświadczonym w omijaniu brytyjskich statków zostaliśmy złapani przez Anglików przed Hajfą i skierowani na Cypr, gdzie znajdowały się angielskie obozy. Byliśmy na wyspie przez rok, od stycznia 1947 do stycznia 1948 roku, zesłano tam tysiące ludzi. Anglicy co miesiąc zwalniali około siedmiuset osób i wpuszczali je do Palestyny, obowiązywała kolejność przybycia. Od razu policzyliśmy sobie, że według tej reguły musimy przeczekać na Cyprze cały rok. Mieliśmy dostęp do morza, opalaliśmy się, ja czasami wypływałem tak daleko, że żołnierze na łódce zawracali mnie do brzegu. Anglicy nas żywili,



Od lewej: Dzidek Alster, Zofia Przetaczek, Jan Jackowski, Lednica Górna, 1945 rok

codziennie przywozili jedzenie. Byliśmy ogrodzeni drutami, w dzień otwierano przejścia. Mieszkaliśmy w dużych namiotach ośmio-, dziesięcioosobowych. Nie mieliśmy żadnego konkretnego zajęcia, jedynie Zosia, która w Polsce ukończyła rok medycyny, pracowała jako sanitariuszka – opatrywała rany lub robiła drobne zabiegi przez trzy godziny dziennie. Palestyńscy instruktorzy uczyli nas języka hebrajskiego i przygotowywali na wjazd do kraju.

W tym czasie wzięliśmy ślub, mówiono, że jeśli przyjeżdża się do Palestyny jako para, to jest szansa na otrzymanie mieszkania lub choćby jakiegoś pokoju. Dotarliśmy tam w styczniu 1948 roku, jeszcze za rządów Anglików, dostaliśmy certyfikaty uprawniające do przebywania w nowym państwie, a polskie paszporty zwróciliśmy. Przez pierwsze dziewięć miesięcy mieszkaliśmy u ciotki mojej żony, w jednym pomieszczeniu z jej mężem i dwojgiem dzieci, bez kuchni, a potem otrzymaliśmy pokój w dużym mieszkaniu opuszczonym przez Arabów. Po niecałych trzech miesiącach od przyjazdu, w marcu 1948

[629] Alija bet – nielegalna imigracja do Palestyny ocalałych z Holokaustu Żydów, w ramach szóstej i siódmej fali napływu osadników (1940–1948).



Pochodzący z Wieliczki przyjaciele Izaaka Birnbauma podczas ślubu jego córki Pniny Birnbaum. Od lewej: Mosze Plattner z żoną – przybyli do Palestyny jeszcze przed wojną, Zelig Goldstein, Maks Farber (jego żona siedzi dalej w ciemnych okularach), Chaim Brand, ostatni – Jehoszua Wolf, Izrael, 1970 rok

roku, zostałem zmobilizowany na półtora roku do wojska żydowskiego i brałem udział w walkach[630]. Już po pięciu dniach w jednostce, kiedy dopiero zacząłem posługiwać się karabinem, wysłano mnie na front przeciwko Arabom, do Latrun koło Jerozolimy, a razem ze mną samych nowych przyjezdnych. Pamiętam, jak leżeliśmy przerażeni w okopach, próbowaliśmy się bronić, wielu żołnierzy – chłopców którzy przeżyli obozy niemieckie, ginęło w pierwszym dniu swojej walki, nikt z nich nie miał rodziny, nawet nie wiedziało się, kto umiera. Na nasze nieszczęście w większości prawie w ogóle nie mówiliśmy po hebrajsku, a tym językiem posługiwali się dowódcy. Kontaktowaliśmy się między sobą po żydowsku, niejednokrotnie po wydaniu rozkazu pytaliśmy jeden drugiego, co mamy robić. Poza tym, ja nie umiałem strzelać, dostałem karabin i kule, ale nie wiedziałem, gdzie strzelam, nieraz zamykałem oczy ze strachu. Arabowie byli jeszcze gorszymi żołnierzami od nas. Ogłoszenie niepodległości Izraela[631] zastało mnie koło Jerozolimy, w czasie najcięższych walk, gdy zginęło wielu nowo przybyłych z Polski i innych krajów Europy. Potem zostałem przeniesiony do obrony twierdzy Masada[632] na pustyni Negew. Z frontu nie docierały żadne listy, udawało się od czasu do czasu przyjechać na urlop na dwa, trzy dni.

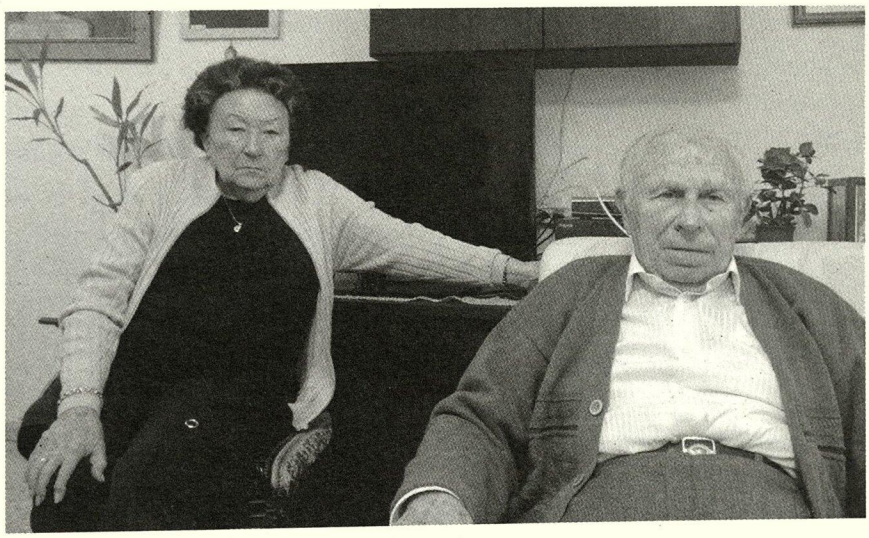
Ciotka, u której mieszkała żona, postarała się dla niej o pracę w spółdzielni, Zosia przynajmniej miała zajęcie. Szef załatwił jej tymczasowe zwolnienie

630 Mowa o I wojnie izraelsko-arabskiej z lat 1948–1949, nazywanej przez Izraelczyków wojną o niepodległość.

631 Proklamacja niepodległości Izraela miała miejsce 14 maja 1948 o szesnastej w Domu Dizengoffa (Sala Niepodległości) w Tel Awiwie. W następstwie podpisania Deklaracji Niepodległości powstało żydowskie państwo Izrael utworzone na podstawie Rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ nr 181 z 29 listopada 1947 roku. Powstało ono na części terytorium byłego brytyjskiego Mandatu Palestyny.

632 Masada – nazwa starożytnej twierdzy żydowskiej położonej na szczycie samotnego płaskowyżu na wschodnim skraju Pustyni Judejskiej nad Morzem Martwym w Izraelu.

z wojska. W Hajfie też trwały ostre walki. W kwietniu 1948 roku, akurat w święto Pesach, duża część wojska skupiła się na podwórzu domu, w którym mieszkała ciotka z rodziną. Niemal osobiście przeżyli uwolnienie Hajfy, a potem proklamowanie państwa. Następnie przez półtora roku Zosia pracowała w banku polskim PKO. Dostaliśmy własny pokój bez kuchni i bez wody, w dużym domu z pięcioma pomieszczeniami i olbrzymim holem, razem z dwiema innymi rodzinami. Na początku żona żyła tam sama, ja byłem na wojnie. Po powrocie z wojska pracowałem przez krótki czas w garbarni, dość daleko za Hajfą, ale została zamknięta, ponieważ zaczęto sprowadzać skóry z zagranicy. Potem dostałem pracę w elektrowni, bardzo dobrze płatną. Ale wujek, brat mojej matki, który prowadził duży warsztat mechaniczny, namówił mnie, żebym przyjechał do niego do Tel Awiwu i nauczył się nowego zawodu. Posłuchałem go i to był niestety błąd, bo potem miałem duże problemy ze znalezieniem pracy. Dodatkowo zawód ślusarza jest bardzo ciężki, wykonywałem go w trudnych warunkach. Po przepracowaniu kilku lat otrzymałem od znajomej propozycję prowadzenia wspólnie sklepu z metalami w Hajfie. Ten biznes też był niełatwy i w końcu, mając pięćdziesiąt siedem lat, dostałem pierwszego ataku serca, po którym nadal pracowałem, ale trzy lata później nastąpił drugi atak, potem trzeci, więc sprzedałem sklep i przestałem pracować zawodowo. Niemcy wypłacili mi trochę odszkodowań za pobyt w obozach. Żona przez trzydzieści lat wykonywała pracę biurową. W międzyczasie przyjechała do nas matka Zosi, Ida Distenfeld. Była lekarzem, do późnego wieku przyjmowała pacjentów, nam też pomagała. Jej mąż, Izaak, zawodowy oficer Wojska Polskiego w randze kapitana, po przejściu na przymusową emeryturę na początku lat trzydziestych został powołany do służby czynnej 28 sierpnia 1939 roku, a następnie dostał się do niewoli rosyjskiej, wywieziono go do obozu do Starobielska i zamordowano w Katyniu. Natomiast matka z Zosią przeżyły w Rosji, zostały zesłane do Kazachstanu, skąd przedostały się do tworzonego przez Wandę Wasilewską komunistycznego Wojska Polskiego, z nim dotarły do Polski, a ostatecznie do Gdańska w połowie 1945 roku.



Zofia i Izaak Birnbaumowie podczas rozmowy z Urszulą i Wiesławem Żyznowskimi, Hajfa, 14 marca 2012 roku

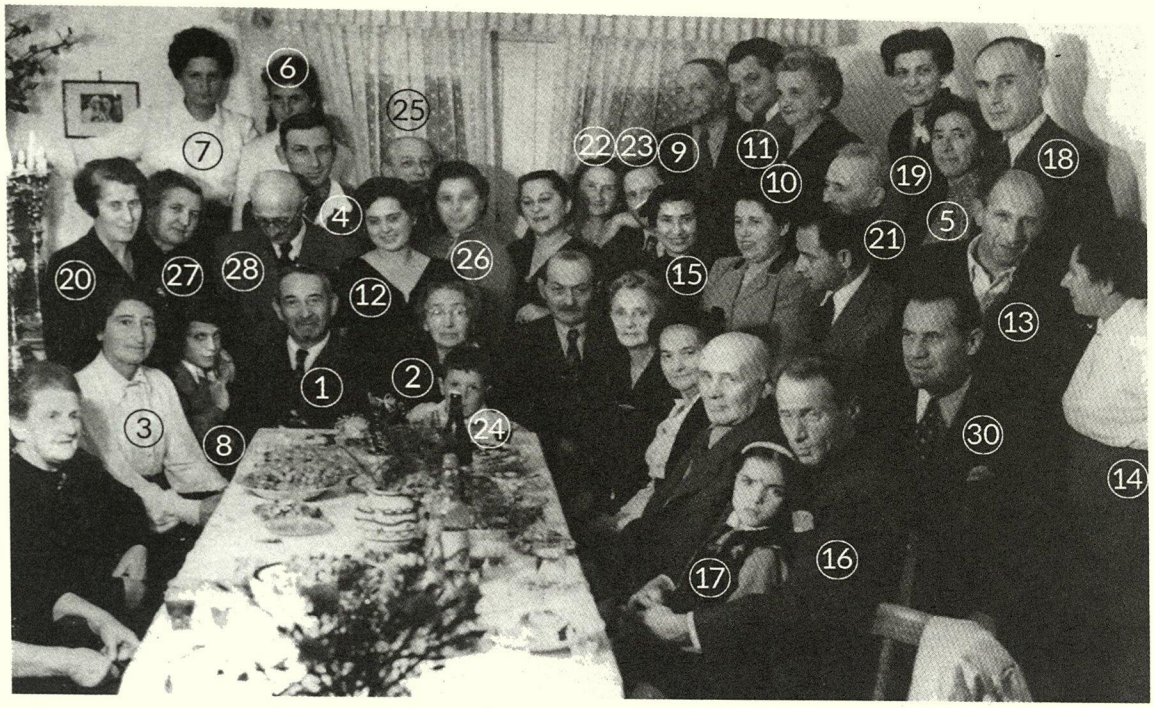
Zosi i mnie urodziły się dwie córki: Pnina i o dziesięć lat młodsza Ruth. Starsza niestety zachorowała na raka i zmarła, osierocając dwoje dzieci – jesteśmy z nimi w ścisłym kontakcie, mamy już nawet jednego prawnuka. Młodsza ma dwóch synów i córkę. W domu rozmawialiśmy i rozmawiamy między sobą po polsku, a z dziećmi też po hebrajsku. Gdy Ruth, która została nauczycielką, przyjechała pierwszy raz do Polski, ludzie ją pytali: „Kiedy pani wyjechała z kraju?", na co ona odpowiadała: „Wczoraj pierwszy raz przyjechałam". Podczas pobytów w Wieliczce odwiedzałem wszystkie znajome miejsca, byłem na cmentarzu żydowskim na Klaśnie, odnalazłem grób mego dziadka Rubina. W latach dziewięćdziesiątych, podczas moich dwóch ostatnich wizyt, pani Przetaczkowa odradzała mi jednak chodzenie na kirkut ze względów emocjonalnych, ponoć został w dużej mierze zdewastowany. Po wojennych przeżyciach praktycznie straciłem wiarę, wielokrotnie zadawałem sobie, podobnie jak inni, pytanie: „Jeśli istnieje Bóg, jak się to wszystko mogło stać?".

Podsumowując, nie było łatwo, Izrael dopiero co powstawał, przeżyliśmy w międzyczasie pięć wojen, przy czym w trzech pierwszych byłem zmobilizowany. W tak zwanej wojnie synajskiej w 1956 roku walczyłem na froncie, a w dwóch następnych pracowałem w warsztacie dla wojska. Ale jakoś dawaliśmy sobie radę.

Od 1950 roku brałem udział w nabożeństwach ku pamięci pomordowanych Żydów z Wieliczki. Organizował je w Tel Awiwie, w wynajmowanych pomieszczeniach, Jehoszua Ofer. Odbywały się każdego roku 27 sierpnia, mniej więcej do lat siedemdziesiątych. W początkowym okresie przyjeżdżało na nie około stu osób, w tym pięć z Wieliczki, kilka z Rosji i pozostałe z Izraela. Ja byłem za każdym razem. Spotykałem na nich między innymi panią Küchlerową[633], która napisała książkę *Sto moich dzieci*, z jej bratem Motkiem uczyłem się w jednej klasie; Lewiego Frenkla, czynnego rewizjonistę; mojego kolegę Maksa Farbera i wielu innych. W kolejnych latach pojawiało się coraz mniej osób, aż w końcu została nas garstka i spotkania przestały mieć sens. Dzisiaj pozostałem z tego grona już tylko ja, przynajmniej spośród moich kolegów.

---

[633] Lena Küchler-Silberman – autorka książki *My Hundred Children*, New York 1987. Teksty jej autorstwa w niniejszej książce na s. 231–236, 257–260, 469–476.



Spotkanie zorganizowane w Tel Awiwie przez Jehoszuę Ofera w 1953 roku. (1) Mosze Klinghofer, (2) Sara Klinghofer (Perlberger), (3) Cyla Schreter (Klinghofer), (4) Jehoszua Ofer, (5) Hinda Ofer, żona Jehoszuy, (6) Nica Ofer (po mężu Dekel), córka Jehoszuy i Hindy, (7) Ilana Schreter (po mężu Zohar), córka Cyli i Williego Schreterów, (8) Judit Sztern, córka Ryśki i Romka Szternów, krewna ze strony Sary Perlberger, (9) Dawid Klinghofer, brat Moszego, (10) Regina Klinghofer, żona Dawida, (11) Osi Klinghofer, syn Dawida i Reginy, (12) Maria Perlberger (Shmuel), krewna Sary Perlberger, (13) Dawid Klinghofer, krewny rodziny, (14) Roza Klinghofer, żona Dawida, (15) Cesia Fiszler, krewna ze strony Sary Perlberger, (16) Fiszler, mąż Cesi, (17) Idit Fiszler, córka Cesi, (18) Romek Sztern, syn siostry Sary Perlberger, (19) Ryśka Sztern, żona Romka Szterna, (20) Balka Szternbach, siostra Romka, (21) Szternbach, mąż Balki, (22 i 23) rodzina Kossów (?), (24) Uri Schreter, syn Cyli i Williego, (25) Samuel Unger, syn siostry Sary Perlberger, (26) Cyla Unger, żona Samuela Ungera, (27) Fini Unger, żona brata Samuela Ungera, (28) Unger, brat Samuela Ungera



Założyciele New Cracow Friendship Society, Inc. Pierwszy
z lewej siedzi Larry Zellner

WYBRAŁEM AMERYKĘ

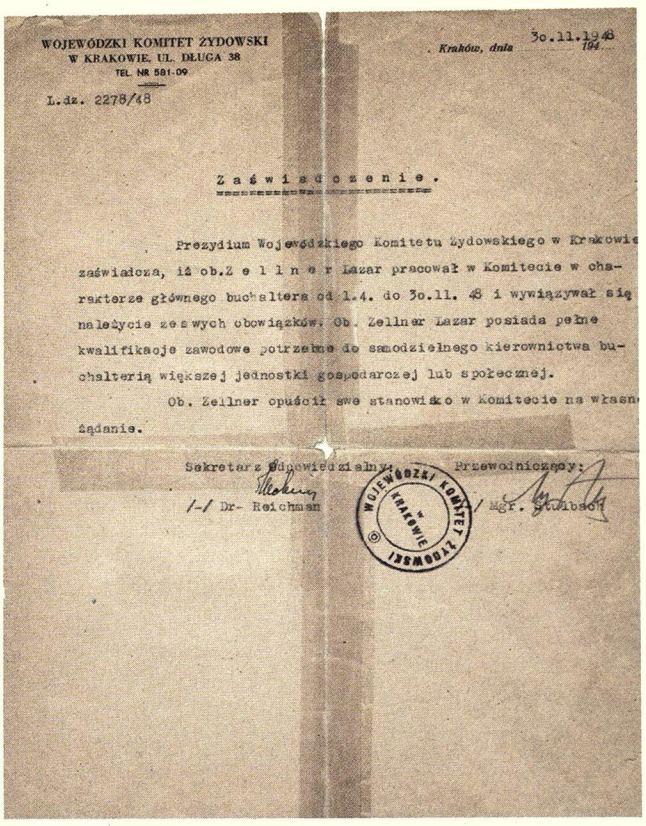
Larry Zellner

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu telefonicznego przeprowadzonego z Larrym Zellnerem w kwietniu 2012 roku przez Urszulę Żyznowską. Red. Anna Krzeczkowska.

Do Palestyny przyjechałem w październiku 1944 roku, legalnie – dzięki certyfikatowi z Agencji Żydowskiej. Najpierw przepłynąłem statkiem przez Morze Czarne do Istambułu, a stamtąd pojechałem pociągiem do Syrii, do Aleppo. Tam przejęli nas Anglicy: w porcie czekały ciężarówki, które zabrały nas do Hajfy. W końcu znalazłem się w Tel Awiwie, gdzie zamieszkałem. Wielu spośród nowych uchodźców zostało zwerbowanych do wojska; trwały przygotowania do założenia państwa żydowskiego.

W maju 1947 roku wróciłem z Palestyny do Polski. Skłonił mnie do tego listownie mój wujek, Michał Zellner, chcąc, żebym uregulował sprawy majątkowe. Przyjechałem wraz z polskimi repatriantami z Izraela. Podróż była długa i skomplikowana. Kilka tygodni spędziliśmy w Port Saidzie w Egipcie, gdzie było bardzo gorąco. Stamtąd statkiem dotarliśmy do Wenecji, a następnie specjalnie przygotowanymi pociągami – do Polski.

Wróciłem razem z dwójką moich wspaniałych kolegów, Schreiberem i Mundkiem Jakubowiczem. Z jednym z nich byłem w lagrze. Bardzo inteligentni młodzieńcy: magister praw na Uniwersytecie Jagiellońskim i absolwent Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Schreiber pochodził z Rożnowej.



WOJEWÓDZKI KOMITET ŻYDOWSKI
W KRAKOWIE. UL. DŁUGA 38
TEL. NR 581-09

Kraków, dnia 30.11.1948 194...

L.dz. 2278/48

Zaświadczenie.

Prezydium Wojewódzkiego Komitetu Żydowskiego w Krakowie zaświadcza, iż ob. Zellner Lazar pracował w Komitecie w charakterze głównego buchaltera od 1.4. do 30.11. 48 i wywiązywał się należycie ze swych obowiązków. Ob. Zellner Lazar posiada pełne kwalifikacje zawodowe potrzebne do samodzielnego kierownictwa buchalterią większej jednostki gospodarczej lub społecznej.

Ob. Zellner opuścił swe stanowisko w Komitecie na własne żądanie.

Sekretarz odpowiedzialny: /-/ Dr. Reichman

Przewodniczący: /-/ Mgr. Stulbach

WOJEWÓDZKI KOMITET ŻYDOWSKI W KRAKOWIE

Referencje dla Lazara (Larry'ego) Zellnera wystawione przez Wojewódzki Komitet Żydowski w Krakowie, 30 listopada 1948 roku

W Wieliczce zastałem kilka rodzin żydowskich: niektórzy powrócili z lagrów, niektórzy z Rosji. Byli Sobel, Teitelbaum i jeszcze kilka osób. Przeżyli też bracia Izrael i Liber Kamer, którzy wyjechali do USA. Bardzo się ucieszyłem ze spotkania z wujkiem Michałem, jego rodziną oraz kuzynką Cesią. Jednak Żydzi nie zostali w Wieliczce długo – wkrótce przenieśli się do Krakowa albo wyjechali z Polski – ponieważ nie było tam dla nich żadnych perspektyw.

Nie miałem problemu z odzyskaniem moich nieruchomości. Wynająłem adwokata, pana Krausa, który przed wojną był naszym sąsiadem i mieszkał naprzeciwko domu przy Klaśnieńskiej 1. Miał dwie piękne córki. To była bardzo porządna i dobrze wykształcona rodzina. Jego syn przed wojną także został adwokatem. Kraus przeżył wojnę w Rosji, ale cała jego rodzina zginęła. Odzyskanie majątku nie trwało długo, Kraus wszystkim się zajął. Dzięki temu, że przywiozłem trochę dolarów z Izraela, mogłem zapłacić podatki, opłaty, jakieś zaległości, wynagrodzenie dla adwokata, ale później zostałem bez grosza. Nie miałem wtedy żadnego dochodu. Wszystkie mieszkania w obu należących do mnie budynkach były zajęte, mieszkali w nich Polacy. Czynsze z nich zbierał specjalny urząd, który zajmował się pożydowskim mieniem. Nie chciałem wysiedlać lokatorów, nawet gdy już odzyskałem swoje nieruchomości, nie zajmowałem się ich administrowaniem. Później posłałem pełnomocnictwo wujkowi Michałowi. W latach dziewięćdziesiątych sprzedałem budynki przy Klaśnieńskiej polskiej rodzinie z Chicago.

Przebywałem w Polsce od maja 1947 roku do końca 1948 roku. Zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński. Dostałem też posadę w Wojewódzkim Komitecie Żydowskim w Krakowie[634]. Komitet pomagał Żydom, którzy wracali z rosyjskich obozów, przyznając im miesięczne zapomogi. Zostałem głównym buchalterem. Kilka miesięcy po otrzymaniu tej posady zwrócił się do mnie Aleksander Małecki. Nosił co prawda polskie nazwisko, ale mam wrażenie, że był Żydem. Miał on biuro biegłego księgowego. Długo dla niego

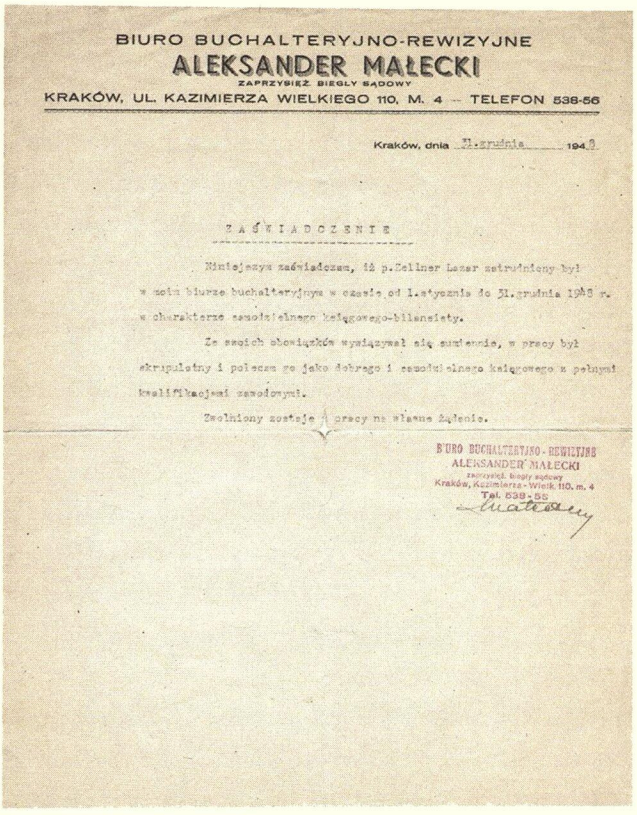
634 Wojewódzki Komitet Żydów w Krakowie przy ul. Długiej 38, kierowany początkowo przez L. Kupfenberga, a następnie przez Edwarda Stulbacha, starał się koordynować działania dotyczące społeczności Żydów krakowskich.

pracowałem i bardzo dobrze zarabiałem. Zajmowałem się trzynastoma małymi firmami. Prowadziłem im księgi rachunkowe, obliczałem podatki, pracowałem siedem dni w tygodniu. Jednocześnie pracowałem dla Komitetu Żydowskiego, co prawda chciałem zrezygnować, ale oni nie chcieli mnie puścić, mówili: „Słuchaj, my nie mamy nikogo na twoje miejsce, nie poradzimy sobie bez ciebie". Nawet zrobili dla mnie wyjątek – mogłem pracować tylko pół dnia, ale pobierałem całą pensję. Gdy wyjeżdżałem z Polski pod koniec 1948 roku, poprosiłem Małeckiego o referencje – nie wiedziałem, dokąd trafię i czy nie będę potrzebował takich dokumentów. Wystawił mi, zresztą bardzo pochlebne.

W 1948 roku poznałem moją przyszłą żonę Annę Tauber, w tym samym roku, 7 listopada, pobraliśmy się. Anna urodziła się w Krakowie. Wojnę przeżyła cała jej rodzina.

Byłem bardzo zadowolony z życia w Polsce: miałem dobrą posadę, czułem się tu bardzo dobrze – nie odczuwałem otwartego antysemityzmu, ale moi teściowie, którzy mieszkali we Wrocławiu, powtarzali, że nie ma tu dla nas przyszłości. Wyjechaliśmy zaraz po ślubie. Ja miałem polski paszport wydany przez rząd w Londynie i mogłem wrócić, miałem też wizę powrotną do Palestyny. Z Polską wiązało się tyle okropnych wspomnień, o tym, co straciliśmy, że nie chcieliśmy tu dłużej być.

Moi koledzy nie mieli pracy i oni też zamierzali wyjechać. Chcieliśmy udać się razem do Francji. Mundek Jakubowicz, który pochodził ze Lwowa, pięknie mówił po francusku. Nawet uczył nas tego języka. Ale gdy wszyscy się pożenili, każdy wyjechał w innym kierunku. Mundek został w Polsce, ożenił się i miał córkę. Drugi kolega, Schreiber, wyjechał do Francji, a wcześniej także ożenił się w Polsce. Utrzymywaliśmy kontakty, jednak z czasem wszystko się zmieniło. Mundek Jakubowicz zmarł w Polsce. Schreibera odwiedziłem w Paryżu, ugościł mnie pięknie, później napisałem do niego kilkakrotnie, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Był o dwa lata starszy ode mnie, teraz miałby dziewięćdziesiąt cztery lata.



BIURO BUCHALTERYJNO-REWIZYJNE
ALEKSANDER MAŁECKI
ZAPRZYSIĘŻ. BIEGŁY SĄDOWY
KRAKÓW, UL. KAZIMIERZA WIELKIEGO 110, M. 4 — TELEFON 538-56

Kraków, dnia 31. grudnia 1948

ZAŚWIADCZENIE

Niniejszym zaświadczam, iż p. Zellner Lazar zatrudniony był w moim biurze buchalteryjnym w czasie od 1. stycznia do 31. grudnia 1948 r. w charakterze samodzielnego księgowego-bilansisty.

Ze swoich obowiązków wywiązywał się sumiennie, w pracy był skrupulatny i polecam go jako dobrego i samodzielnego księgowego z pełnymi kwalifikacjami zawodowymi.

Zwolniony zostaje z pracy na własne żądanie.

BIURO BUCHALTERYJNO-REWIZYJNE
ALEKSANDER MAŁECKI
zaprzysięg. biegły sądowy
Kraków, Kazimierza-Wielk. 110, m. 4
Tel. 538-56

Referencje dla Lazara (Larry'ego) Zellnera wydane przez Biuro buchalteryjno-rewizyjne Aleksandra Małeckiego, Kraków 31 grudnia 1948 roku. Kopia świadectwa została wystawiona na nazwisko „Kuliński", którym Lazar (Larry) Zellner posługiwał się w czasie wojny

Pociągiem z Krakowa pojechaliśmy wraz z żoną do Wiednia. Mieszkaliśmy tam do 1950 roku. We wrześniu przenieśliśmy się do Stanów, gdy tylko do-

staliśmy wizę – miałem tam kuzyna, który mi w tym pomógł. Jesteśmy tutaj już sześćdziesiąt dwa lata. Mieszkaliśmy w Nowym Jorku – najpierw przez dwadzieścia osiem lat we własnym domu w Jamaica Estates, a następne przez trzydzieści trzy, aż do dziś, w North Shore Towers. Zapisałem się do college'u, zrobiłem dyplom z administracji przedsiębiorstw. Przez trzydzieści osiem lat pracowałem początkowo jako skarbnik, główny księgowy, a następnie jako biegły rewident księgowy w znanej firmie importującej alkohole ze wszystkich stron świata Renfield Importers Ltd. na Park Avenue.

W tym czasie lubiłem odwiedzać Izrael, gdzie miałem wielu kolegów, mówiłem płynnie po hebrajsku. Dopóki moi teściowie żyli, jeździliśmy tam przynajmniej raz do roku, ale zmarli jakieś piętnaście lat temu.

Obecnie jestem przewodniczącym organizacji dla uchodźców, którzy pozostali przy życiu, New Cracow Friendship Society, Inc.[635], brałem udział w jej tworzeniu, przez wiele lat sprawowałem funkcję skarbnika. Tworzyli ją ludzie, którzy przeżyli obozy albo uratowali się w Rosji. Ale z Wieliczki nie ma nikogo.

Dla Żydów Stany Zjednoczone są drugim po Izraelu miejscem na ziemi, gdzie dobrze się żyje, gdzie nie odczuwam antysemityzmu. Nie jestem ortodoksyjnym Żydem, raczej tradycyjnym. Chodzę do synagogi w każdą sobotę, przestrzegam świąt. Mam dwóch synów: Jacka i Jamesa. Jack jest doktorem chiropraktyki, mieszka w Boulder, w Kolorado, tysiąc pięćset mil od nas, James jest chirurgiem okulistą, mieszka w Nowym Jorku. Jack ma dwie córki, a James – dwóch synów. Doczekaliśmy się szczęśliwie jednego prawnuka.

---

[635] New Cracow Friendship Society, Inc. – organizacja zrzeszająca ocalałych z Holokaustu, osoby pochodzące głównie z Krakowa i okolic, ale też z innych części Polski. Została założona w 1965 roku w Nowym Jorku.

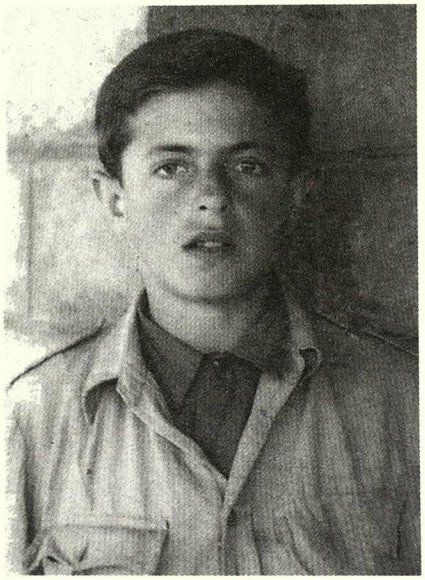
W MOIM KRAJU, IZRAELU

Nathan Kleinberger

Wspomnienia spisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego z Helą i Nathanem Kleinbergerami w Tel Awiwie 12 i 17 marca 2012 roku przez Urszulę i Wiesława Żyznowskich. Red. Urszula Żyznowska.

Obóz w Mauthausen został wyzwolony 6 maja 1945 roku jako ostatni. Do lagru weszli żołnierze amerykańscy i otworzyli bramy, dając nam do zrozumienia, że jesteśmy wolni. To była wielka radość dla wszystkich, którzy jeszcze mieli siły się cieszyć. Ale ja czułem nie tyle radość, co smutek, jakby ktoś mnie ściskał za gardło. Miałem mieszane uczucia. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, dokąd iść. Przede wszystkim zaczęliśmy się starać z kolegami o jakieś jedzenie. Wyszliśmy z obozu, zeszliśmy do miasteczka Mauthausen, prosiliśmy ludzi o jajka, mleko, chleb, też o ubranie, dawali nam. Ale Amerykanie szybko rozstawili austriacką policję, żeby nas pilnowała, wtenczas nie można już było chodzić po domach i prosić o pomoc. Dwa kilometry dalej stacjonowali Rosjanie, ponoć po przejściu do ich strefy można było robić, co się chciało. Ale wtedy taka odległość to była dla nas długa droga, byliśmy wycieńczeni, więc kręciliśmy się w amerykańskim rewirze.

Zacząłem się zastanawiać, co będzie dalej. Postanowiłem nie wracać do Polski. W Wieliczce nie przyjaźniłem się z żadnym Polakiem, ich stosunek do Żydów był może i poprawny, ale stanowiliśmy mniejszość i nie byliśmy mile widziani. Dodatkowo nie został mi z najbliższej rodziny nikt, kogo chciałbym szybko zobaczyć. Praktycznie już w 1942 roku,



Nathan Kleinberger, Hajfa, listopad 1945 roku

po wysiedleniu, miałem stuprocentową pewność, że moja mama, siostra, brat Benek, dziadek i babcia nie żyją, Polacy nam to dokładnie wytłumaczyli. Czułem, że Żydzi muszą żyć w jakimś swoim kraju, gdzie będą prawowitymi obywatelami.

Będąc nadal w Mauthausen, jakieś dwa, trzy tygodnie po wyzwoleniu zobaczyliśmy z kolegą z Warszawy zajeżdżającą na nasz teren ciężarówkę, z której kabiny wyszło dwóch żołnierzy z biało-niebieską gwiazdą Dawida na pagonach. W środku siedzieli młodzi chłopcy, tacy jak my. Podeszliśmy do nich i zapytaliśmy, dokąd jadą, odpowiedzieli, że do Palestyny. Tak jak staliśmy, weszliśmy do ciężarówki i pojechaliśmy razem z nimi przez teren Burzano do Treviso w północnej Italii, a potem cały czas na południe, aż do Santa Maria di Bagni[636] – jednej z małych wsi, gdzie zorganizowano obóz dla młodzieży żydowskiej ocalałej po wojnie. Zadbano tam o nas, zapewniono nam wyżywienie i mieszkanie. Było nas około pięciuset, sześciuset osób, z tego, co pamiętam, wszyscy z niemieckich obozów. Podzielono nas na siedem grup, w tym jedną żeńską. Większą część młodzieży stanowili Żydzi polscy, a także węgierscy i w niewielkiej liczbie greccy. Zorganizowano nam edukację po cztery godziny dziennie, między innymi uczyliśmy się hebrajskiego, jednak nauka polegała nie tyle na siedzeniu w klasie, co raczej na luźnych rozmowach, opowiadaniach i krótkich wykładach. Prowadzili je nauczyciele i żołnierze brygady, czyli ochotnicy mniej więcej w wieku dwudziestu dwóch, dwudziestu czterech lat. Ja spędziłem w di Bagni pięć miesięcy, do początku listopada 1945 roku.

Kiedy udało się uzyskać zgodę Brytyjczyków, pojechaliśmy do portu Bari i stamtąd kanadyjskim okrętem Princess Kathleen, który podczas

636 Santa Maria di Bagni – obóz we Włoszech dla osób przemieszczonych po II wojnie światowej z terenu III Rzeszy i państw przez nią podbitych. Naczelne Dowództwo Sił Sprzymierzonych wprowadziło podział na kilka kategorii: ewakuowani, uchodźcy wojenni i polityczni, więźniowie polityczni, pracownicy przymusowi i ochotniczy, pracownicy Organizacji Todt, osoby wydalone z innych krajów, osoby internowane, jeńcy wojenni, bezpaństwowcy. Od 1 października 1945 odpowiedzialność za nich przejęła od władz wojskowych UNRRA, mająca zająć się opieką nad nimi, zapewnić im mieszkania, pożywienie, bezpieczeństwo, a także przyuczyć do zawodu i przetransportować. Od lipca 1947 aż do ich zamknięcia obozami dipisów zajmowała się International Refugee Organisation.

wojny służył do przewozu żołnierzy na frontach, popłynęliśmy do Hajfy w Palestynie. Na miejscu brytyjski urzędnik do spraw zdrowia wysłał nas na około trzy dni na kwarantannę, gdzie zostaliśmy przebadani. Otrzymałem certyfikat upoważniający do pobytu, ze zdjęciem zrobionym na miejscu i z pieczątką portu Hajfa. Miałem, dopiero co ukończone w październiku, szesnaście lat. Kiedy zebrała się wystarczająco duża grupa, zabrano nas do kibucu o nazwie Giwat Haszelosza[637], bardzo blisko miasta Petach Tikwa, gdzie spędziłem dwa lata z młodzieżą w podobnym wieku i z nauczycielami, pół dnia pracując, a drugie pół się ucząc.

Po przyjeździe do Palestyny odwiedziłem w Jerozolimie naszych sąsiadów z Wieliczki, Klinghoferów, spałem u nich jedną noc, byli ciekawi, kto przeżył wojnę, kto został w Polsce. Dzieliła nas duża różnica wieku, stąd nasza znajomość nie zacieśniła się.

W międzyczasie, w kwietniu albo maju 1946 roku, do naszej grupy w kibucu dołączyła Hela Wolf[638], która później została moją żoną. Przeżyła wojnę, jako jedyna ze swojej rodziny z Oświęcimia, w obozach pracy, skąd po wyzwoleniu trafiła do Szwecji, a następnie została odesłana do Palestyny. Po dwóch latach w Giwat Haszelosza połączyliśmy się z grupą tamtejszej młodzieży i myśleliśmy o założeniu nowego kibucu. Była jesień 1947 roku, w Palestynie zaczęły się potyczki arabsko-izraelskie i przygotowania militarne. We wrześniu cała nasza grupa, chłopcy i dziewczęta, z własnej inicjatywy wstąpiła do Palmachu[639]. Była to organizacja wojskowa, w której na zmianę miesiąc pracowaliśmy w kibucu, a miesiąc szkoliliśmy się, w ten sposób mogliśmy się utrzymywać. 29 listopada 1947 roku, w dniu przyjęcia przez Zgromadzenie Ogólne ONZ rezolucji[640] o utworzeniu w Palestynie państwa arabskiego i żydowskiego, byłem przypadkowo w Tel Awiwie, w mieście panowała wielka radość, ludność żydowska wypełniła ulice, tańczyła, było bardzo wesoło.

Arabowie praktycznie od razu rozpoczęli serię ataków, ostrzeliwali żydowskie auta jadące na lotniska, zaczęły się trudności w dotarciu do Jerozolimy. Braliśmy udział w konwojach, ze schowanymi rewolwerami, żeby ubezpieczać transporty. To trwało około dwóch miesięcy, do momentu, gdy Arabowie zbombardowali most i droga do miasta została odcięta. Przedostaliśmy się do Jerozolimy i strzegliśmy innego ważnego odcinka – przepompowni wody dla miasta. Tam, 14 maja 1948 roku, usłyszeliśmy w radio o proklamowaniu niepodległości Izraela, ale tym razem nie byliśmy już pod tak wielkim wrażeniem, z racji naszego nienajlepszego położenia. Arabowie wypowiedzieli Żydom oficjalną wojnę, dzień i noc

637 Giwat Haszelosza – kibuc położony w samorządzie regionu Drom Haszaron w Dystrykcie Centralnym w Izraelu.

638 Hela Wolf (ur. w 1929 roku w Oświęcimiu) – obecnie Kleinberger, kobieta Palmachu, jej zasługi opisano w: H. Yablonka, *Holocaust Survivors in the Israeli Army during the 1948 War: Documents and Memory*, „Israel Affairs", vol. 12, no. 3, s. 462–483.

639 Palmach – elitarny związek taktyczny, siły specjalne paramilitarnej organizacji Hagana podczas palestyńskiej wojny domowej i wojny o niepodległość.

640 Rezolucja nr 181. Była to decyzja w sprawie podziału Palestyny. Zgodnie z nią państwo żydowskie miało liczyć 14 257 kilometrów kwadratowych powierzchni, a państwo arabskie 11 664 kilometrów kwadratowych. Jednak państwo żydowskie miało składać się z trzech kawałków, o trudnych do obrony granicach. Poza jego obszarem miało się znaleźć ważne miejsce dla judaizmu – Jerozolima.

przez kilkanaście dni braliśmy udział w walkach w Jerozolimie, potem przeprowadzaliśmy atak na klasztor w okolicy kibuca Ramat Rachel[641]. Moim zadaniem było zakładanie ręcznie wykonywanych min, które niestety nie zawsze były prawidłowo zmontowane. Druga albo trzecia wybuchła, było to w pierwszej połowie czerwca 1948 roku.

Koledzy przenieśli mnie rannego do klasztoru, a następnie do szpitala w Jerozolimie, to trwało około dwóch godzin. Cały czas słyszałem ich głosy, aż do szpitala, gdzie straciłem świadomość, którą na zmianę odzyskiwałem i traciłem przez pierwsze dni. Kiedy po dłuższym braku przytomności przebudziłem się, Hela była już przy mnie, zawiadomiona przez moich kolegów i zwolniona z jednostki, żeby się mną opiekować. Miałem zabandażowaną głowę i oczy, nie wiedziałem, co mi się tak naprawdę stało. Kiedy leżałem w łóżku, czułem ręce, nogi wypróbowałem, wiedziałem, że są w porządku, dlatego myślałem, że tylko oczy są poważniej ranne. Po zdjęciu bandaży zobaczyłem przede wszystkim siedzącą przy mnie cały czas Helę i to, że nie mam obydwu rąk do łokci. Bardzo się zdziwiłem, bo byłem pewny, że je czuję, do dziś wydaje mi się, że czuję palce, których nie mam, widocznie zachowały się nerwy odpowiedzialne za te funkcje. Wyszedłem do toalety, gdzie było lustro – nie poznałem się w nim. Odkryłem, że straciłem też jedno oko. Bardzo trudno było oswoić się z nową sytuacją. Przewieziono mnie do innego szpitala, gdzie przebywali kolejni dwaj mężczyźni, którzy stracili ręce w ten sam sposób, a ponieważ lekarze nie wiedzieli, co z nami zrobić – posłali nas do Stanów Zjednoczonych, gdzie znaleźliśmy się pod auspicjami Hadassah[642], syjonistycznej organizacji kobiet w Ameryce. Tam też nie bardzo wiedziano, jak nam pomóc, ale po roku, w 1949, zrobiono mi operację i dostałem sztuczne ręce. W tym samym czasie pobraliśmy się z Helą, ślubu udzielił nam rabin David de Sola Pool[643] w Portuguese Synagogue[644] w Nowym Jorku, mieliśmy piękne, uroczyste wesele. Po czym wróciliśmy z żoną do Izraela. Mechanizm protez rąk okazał się bardzo delikatny, po dość krótkim czasie zepsuł się i nikt nie wiedział, jak go naprawić.

Posłano mnie jeszcze raz do Ameryki, spotkałem się wtedy z amerykańskim weteranem, który nakręcił film *The best years of our lives*[645], opowiadający o okaleczonym żołnierzu amerykańskim i o tym, jak sobie radzi ze swym kalectwem. Poznałem go, a przede wszystkim zobaczyłem jego protezy rąk, ze zwykłym mechanizmem, bez udziwnień. Poprosiłem o zrobienie mi takich samych i do dziś mam te moje haki zamiast dłoni. Mogę nimi pisać, jeść, posługiwać się przy codziennych niezbędnych czynnościach. Po powrocie do Izraela dostałem rentę, ale rząd nie miał pieniędzy, dlatego otrzymana kwota nie wystarczała na skromne życie. Hela pracowała, umożliwiając mi

641 Ramat Rachel – kibuc położony w samorządzie regionu Mateh Yehuda, w Dystrykcie Jerozolimy, w Izraelu.

642 Hadassah (the Women's Zionist Organization of America) – syjonistyczna organizacja kobiet w Ameryce, założona w 1912 roku przez Henriettę Szold. Jedna z największych tego typu, zrzesza około trzystu tysięcy osób, w większości kobiet.

643 David de Sola Pool (1885–1970) – amerykański rabin i pisarz.

644 Congregation Shearith Israel, często nazywana The Spanish and Portuguese Synagogue – synagoga w Nowym Jorku położona przy Central Park West na 70th Street, założona w 1654 roku jako pierwsza żydowska kongregacja w Stanach Zjednoczonych.

645 *Najlepsze lata naszego życia* (1946), reż. William Wyler.



Rodzina Kleinbergerów. Stoją z tyłu od lewej: Ron Attar, Natan Kleinberger, Hela Kleinberger, Hamutal Attar, Miriam Kleinberger-Attar, Rami Ben--Nathan, Merav Ben-Nathan; z przodu od lewej: Ofer Attar, Noa Ben-Nathan, Yotam Ben-Nathan, Uri Ben-Nathan, Izrael, 2008 rok

dalszą edukację, w tym czasie urodził się nam syn Rami. Miałem momenty zwątpienia, ale trzeba było mieć coś mocnego, na czym można byłoby się oprzeć, żona bardzo mnie wspierała. Skończyłem prawo z wyróżnieniem, dostałem się na staż do biura prokuratora okręgowego, gdzie następnie przyjęto mnie do pracy. Ucieszyłem się bardzo. Przez kolejne dziesięć lat zdobywałem tam doświadczenie, zostałem zastępcą prokuratora, po czym zaproponowano mi stanowisko sędziego sądu pierwszej instancji. Oczywiście byłem nie tylko zainteresowany, ale wręcz bardzo uradowany z takiej oferty. To było pod koniec 1970 roku, otrzymałem zaproszenie od Ministra Sprawiedliwości na wręczenie nominacji i od tego czasu pracowałem jako sędzia, najpierw pierwszej instancji, z czasem drugiej, a następnie jako wiceprezes i prezes sądu okręgowego w Hajfie, łącznie do 1999 roku. Byłem zadowolony z mojej pracy, również pod względem materialnym. Żona pomagała mi, dbając o dom i dzieci, syna Ramiego i córkę Miriam, oni również zostali prawnikami, a konkretnie adwokatami.

Wszyscy z naszej grupy około trzydziestu polskich chłopców, którzy trzymali się razem w początkowych latach po wojnie, ożenili się, założyli rodziny, zdobyli zawody i prowadzili porządne życie, nikt nie miał żadnych problemów z prawem. Będąc sędzią, miałem do czynienia raczej z młodzieżą, która przyjechała z Afryki, z Maroka, z nieletnimi, którzy wpisywali w swoich życiorysach trudne dzieciństwo. Po moich doświadczeniach wojennych było to dla mnie określenie względne. Jeśli zdarzało mi się wydawać wyroki w sprawach z powództwa polskich Żydów, dotyczyły zazwyczaj sporów o czynsze, pieniądze, spółki itp.

Po wojnie przyjechała do Izraela ciotka Rebeka, siostra ojca, z córkami ciotki Heli. Były jedynymi z naszej rodziny, które przeżyły, cieszyłem się, że mam kogoś bliskiego. Od ciotki Rebeki dostałem dwa zdjęcia mojej mamy i rodzeństwa, jakimś cudem udało się je przechować. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych na listach ubezpieczyciela Assicurazioni Ge-

nerali[646] pojawiło się nazwisko wujka Eliasza Einhorna[647] z Nowego Sącza, brata mamy, byłem ciekaw, czy ktoś z potomków wpisał się, czy ktoś z nich przeżył. Wpisałem się, przebadano mnie na lewo i prawo, w końcu okazało się, że jestem jedynym spadkobiercą. Dostałem potwierdzenie, że nikt z jego rodziny nie został przy życiu.

Wiem, że co roku 27 sierpnia w Tel Awiwie, przez około dwadzieścia lat po wojnie, odbywały się wieczory upamiętniające pomordowanych Żydów wielickich, organizowane przez Jehoszuę Ofera, ale ja nie brałem w nich udziału. Oprócz tego, że też pochodziłem z Wieliczki, nie miałem za wiele wspólnego z tą grupą ludzi. Raczej od początku blisko trzymałem się z chłopcami w moim wieku, z którymi razem się uczyliśmy, walczyliśmy, przeszliśmy przez obozy. Praktycznie zaraz po wojnie przestałem używać języka polskiego, nie tęskniłem za Polską. Będąc młodym chłopcem, czułem, że Żydzi potrzebują mieć swój kraj, w Wieliczce należałem do prawicowego Bejtaru[648]. W Izraelu z czasem zmieniłem moje patrzenie na świat, stałem się bardziej socjalistą niż prawicowcem. Podczas mojego drugiego pobytu w Ameryce w 1952 roku odczuwałem antysemityzm podobny jak w Polsce, w tamtych czasach nawet niektórzy ludzie uciekali ze Stanów do Izraela. W 1995 roku, jedyny raz po wojnie, odwiedziłem z żoną, synem, kuzynką i jej mężem Wieliczkę, ale to była bardzo przykra podróż, po nieco ponad pięćdziesięciu latach od opuszczenia tego miasta nie było tam najmniejszego śladu po naszych domach, nikt nie pamiętał mojego dziadka, z miejsca, gdzie mieściła się bożnica u Joachimsmana, przegoniono nas z krzykiem. Uważam, że dla Żydów po prostu nie ma innego lepszego miejsca na świecie niż Izrael, jesteśmy z nim powiązani historycznie, stąd wywodzą się nasze korzenie. Może nie jestem zbyt optymistycznie nastawiony do przyszłości naszego państwa, zrobiliśmy dużo błędów, nie pochwalam niektórych politycznych posunięć rządu, nie wiem, jak się skończą nasze zatargi z ludnością arabską, ale my musimy tutaj zostać. Jak dotąd najlepiej czuję się w Izraelu.

---

646 Na przełomie wieków wiele europejskich firm ubezpieczeniowych zgadzało się na wniosek amerykańskich organizacji żydowskich wypłacać odszkodowania rodzinom ofiar Holokaustu. Assicurazioni Generali była jedną z nich.

647 O Eliaszu Einhornie więcej na s. 214.

648 Zob. przyp. 284.

POWRÓT

Uri Shmueli

WYZWOLENIE OBOZU KONCENTRACYJNEGO LINZ III

Obóz koncentracyjny Linz III, jeden z największych podobozów KL Mauthausen, w powszechnym mniemaniu został wyzwolony przez armię amerykańską. Jestem byłym więźniem tego obozu i podczas wyzwolenia nie widziałem ani jednego Amerykanina. Jednak to, co opisuję poniżej, dotyczy właśnie tego dnia, dnia, który uznaję także za dzień moich narodzin. 4 maja 1945 roku komendant obozu Schoepperle poinformował nas, że nazajutrz zarówno więźniowie, jak i strażnicy muszą opuścić obóz, aby ochronić się przed zbliżającą się amerykańską artylerią[649]. A więc wojna ma się ku końcowi! Do tej znakomitej wiadomości komendant dołączył następną: każdy więzień otrzyma bochenek chleba i konserwę mięsną. Jak się później okazało, był to niebezpieczny podarunek, zwłaszcza dla muzułmanów[650] i prawie-muzułmanów. Ja należałem do tej drugiej kategorii.

Tekst pochodzi z: *My Memoires, op. cit.* Przeł. z jęz. angielskiego Anna Krzeczkowska.

[649] Uri Shmueli przebywał w obozach pracy i obozach koncentracyjnych od 30 sierpnia 1942 do 5 maja 1945 roku.

[650] Muzułmanin – wycieńczony fizycznie i załamany psychicznie więzień obozu koncentracyjnego.



Julek Gruenberg, Roman Licht, Alfred Lax i Uri Szmulewicz w Santa Maria di Bagni, 1946 rok. Alfred pełnił wówczas służbę w 2. Korpusie Armii Andersa

Następnego dnia więźniowie (z wyjątkiem pacjentów obozowego szpitala) i strażnicy opuścili obóz, udając się w kierunku Dunaju. Kiedy kilkuset maszerujących przekroczyło most, kolumna nagle się zatrzymała. Jako że byłem wśród tych kilku pierwszych setek (ustawionych w dwadzieścia rzędów po pięć osób), mogłem zobaczyć, jak Schoepperle rozmawia z jakimś cywilem. Później dowiedziałem się, że był to Gauleiter[651] prowincji Oberdonau (ze stolicą w Linzu). Cokolwiek było przedmiotem ich rozmowy, spowodowało zmianę kierunku marszu z prawa na lewo. Powiedziano nam później, że właśnie ta zmiana uratowała nam życie, bo nasi „obrońcy" zamierzali się nas pozbyć.

Wzgórza wzdłuż Dunaju są dość niskie, pokryte krzewami i drzewami, znajduje się tam także sporo głębokich jaskiń, noszących nazwę Merzenkeller, w których Austriacy zwykli przechowywać wino jabłkowe zwane Most. Komendant kazał nam się w nich schować, mówiąc, że w ten sposób ochronimy się przed amerykańską artylerią. W tym momencie grupa więźniów zablokowała wejście do jaskini. Byli to Hiszpanie, którzy dobrze pamiętali wojnę domową. Oświadczyli, że wejdą tam tylko razem z esesmanami, podejrzewali bowiem, że jaskinia może być zaminowana. Niemcy zgodzili się. Spędziliśmy trochę czasu w grocie. Jednak gdy tylko nad miastem Linz zaczęły się pokazywać białe flagi, Schoepperle po raz ostatni kazał nam uformować szeregi i oświadczył, że zabierze nas do Amerykanów.

Droga powrotna wydawała się krótsza. Zauważyłem, że pilnowali nas głównie starsi esesmani, z rezerwy. Jeden z tych „dziadków" zapytał, ile mam lat. Odpowiedziałem, że siedemnaście. „A co zamierzasz robić po wojnie?". „Chyba nie wrócę do Krakowa. Nie mam tam już nikogo. Raczej spróbuję wyjechać do Palestyny", odpowiedziałem. Chyba spodobała mu się moja odpowiedź.

Po kilku kilometrach zobaczyliśmy elektrownię Herman Göring Werke. Byliśmy blisko obozu i być może – wolności! Ale zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Nagle z elektrowni wybiegł mężczyzna w czarnym uniformie Bahnschutza z karabinem maszynowym w ręce, wycelował

[651] Gauleiter – niem. naczelnik okręgu, przywódca NSDAP w danym okręgu partyjnym.

w esesmana, który szedł na czele, i krzyknął: „Waffen abgeben!"[652]. Nasi nadzorcy spoglądali na siebie zdziwieni, z czego skorzystał Bahnschutz i wystrzelił serię z karabinu, prawdopodobnie trafiając w niektórych esesmanów. Kiedy pozostali usłyszeli strzały (niczego nie widzieli, ponieważ kolumna była zbyt długa), natychmiast rzucili broń. Radzieccy jeńcy z naszego obozu – których było wielu i to dobrze wyszkolonych w walce – podnieśli broń i po krótkiej chwili wszyscy esesmani stali z rękami założonymi za głową, w rzędach, otoczeni strażnikami w „piżamach". Nigdy nie zapomnę tego widoku! Tak więc gdy ktoś mnie pyta, kto wyzwolił obóz, odpowiadam zazwyczaj, że Amerykanie – inaczej musiałbym opowiedzieć całą historię. Pomimo że Amerykanów faktycznie nie było na miejscu, wszyscy wiedzieli, że się zbliżają.

Kim był ten Bahnschutz? Był to młody chłopak, Ormianin o imieniu Borys, który dostał się do obozu razem z innymi więźniami wojennymi. Tam awansował do rangi kapo i wypełniał obowiązki, których od niego oczekiwano. Uciekł z obozu jakieś dwa tygodnie przed wyzwoleniem i powrócił jako Bahnschutz. Prawdopodobnie wszyscy więźniowie wybaczyli Borysowi jego wcześniejsze zajęcie. A co nowi strażnicy zrobili esesmanom? Nic szczególnego. Zmusili ich do stania przez całą noc na placu apelowym, więc być może niektórzy z nich się przeziębili, a rano zabrano ich do najbliżej stacjonujących wojsk amerykańskich. Mówiono, że Amerykanie najpierw rozbroili strażników, a potem zajęli się przyprowadzonymi jeńcami. A kto się zajął nami, byłymi więźniami? Każdy musiał zatroszczyć się o siebie. Dopiero po kilku tygodniach założono obóz przejściowy, ale ten okres był ciężki dla niektórych i śmiertelny dla innych.

OD WYZWOLENIA LINZ III DO OPUSZCZENIA AUSTRII

Po tym pełnym wrażeń dniu udałem się do swojego bloku, aby odpocząć. Jak już wspomniałem, kiedy opuszczaliśmy obóz, każdy z nas dostał chleb i konserwę. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jednak zdecydowałem się uszczknąć trochę jedzenia. Byłem bardzo zmęczony i szybko zasnąłem, nawet nie zdążyłem pomyśleć o tym, co działo się na zewnątrz. Następnego ranka obudziłem się w na wpół pustym baraku, ponieważ wielu więźniów zdążyło już opuścić obóz. Także i ja podążyłem w stronę bramy.

Szedłem w stronę centrum Kleinmünchen[653]. Pancerne samochody armii amerykańskiej jechały tą samą drogą, tylko o wiele szybciej niż ja. Nagle poczułem ostry ból w żołądku i musiałem usiąść na chodniku. Krzyknąłem: „Pomóżcie mi, proszę!", ale Amerykanie spoglądali na mnie obojętnie. Teraz wiem, że zapewne widzieli wielu więźniów w kiepskim stanie i jeden z wielu siedzących na poboczu i proszący o pomoc nie był dla nich wystarczającym powodem do zatrzymania konwoju, nawet gdyby umierał na ich oczach. Po jakimś czasie ból zelżał i mogłem wznowić swój marsz w stronę centrum Linzu. Kiedy dotarłem w okolice dworca kolejowego w Kleinmünchen, zobaczyłem amerykańskiego żołnierza trzymającego na kolanach śliczną, młodą Austriaczkę. Przyznaję, że byłem zszokowany takim widokiem (był 6 maja 1945 roku). Po jakiejś godzinie

[652] Niem. „złożyć broń!".

[653] Kleimünchen to dzielnica Linzu.

doszedłem, a wraz ze mną jeszcze kilku byłych więźniów, do dużego placu, przy którym znajdował się otwarty magazyn, do którego widocznie wcześniej się włamano, a w nim robocze ciuchy. Zapewne były one przeznaczone dla robotników w obozach cywilnych. Nie zastanawiając się długo, pozbyliśmy się pasiaków i drewniaków i przyoblekliśmy się w porządniejsze ubrania. Naszym kolejnym problemem był brak miejsca, w którym moglibyśmy się zatrzymać do czasu, aż ktoś się nami zajmie. Zmieniwszy ubranie, wyglądaliśmy już prawie jak ludzie, ale ciągle jeszcze dwie rzeczy świadczyły, że niewątpliwie jesteśmy byłymi więźniami: byliśmy nieprawdopodobnie chudzi, a dodatkowo każdy z nas miał na głowie wygoloną według obozowego zwyczaju „promenadę dla wszy" – pięciocentymetrową ścieżkę przez środek głowy.

Nie chcieliśmy wracać do naszego obozu, więc zatrzymaliśmy się na trochę w obozie dla polskich robotników. Spotkałem tam kilku Polaków, których poznałem wcześniej w Linz III, a od jednego z nich, sekretarza bloku nr 8,w którym spędziłem ostatnie kilka miesięcy, dostałem nieoczekiwaną propozycję. Jako że planował wyjechać do Anglii, poprosił mnie, abym pouczył go języka angielskiego. Powiedział, że jakoś mi się odwdzięczy. Rzeczywiście, z tego, co pamiętam, swoje obowiązki obozowe wykonywał w ludzki sposób, więc gdybym nie miał innych planów, zgodziłbym się. Jednak chciałem się wydostać z Austrii tak szybko, jak to tylko możliwe, i wyjechać do Palestyny. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób. Poza tym nie podobał mi się pomysł pozostawania w obozie dla Polaków, ponieważ nastawienie większości z nich, nawet do poprawnie mówiących po polsku Żydów, było mało przyjazne. Po kilku dniach, wraz z dwójką moich żydowskich przyjaciół: Niuśkiem Erbem i Vikim Neugebauerem oraz polskim przyjacielem Marianem Skuzą, wyszliśmy z obozu i udaliśmy się na poszukiwanie lepszej przyszłości.

Przekroczyliśmy Dunaj i znaleźliśmy się na przedmieściu Hart, gdzie znajdował się główny obóz amerykańskiej armii, tam też zdecydowaliśmy się szukać szczęścia. Przy wejściu strażnik zapytał nas, czego chcemy. Odpowiedziałem płynnie po angielsku, a on zaprowadził nas do sierżanta na dalsze przesłuchania. Sierżant cierpliwie mnie wysłuchał, a następnie wręczył mi odręczną notatkę: „Do burmistrza Leonding: proszę zapewnić tym ludziom miejsce do spania oraz żywność". Burmistrz wydawał się trochę przestraszony, gdy przekazałem mu rozkaz sierżanta. Wręczył nam kupony na żywność i polecił udać się pod wskazany adres przy głównej ulicy wioski. Właścicielka domu, starsza pani, umieściła nas w pokoju z podwójnym łóżkiem i sofą i pozwoliła korzystać z łazienki.

Po kilku dniach, zadowoleni z siebie, wyszliśmy na spacer główną ulicą Leonding, które było bardzo cichym, niemal sielskim miejscem. Ujrzeliśmy kościół i nieduży cmentarz. Na niektórych nagrobkach oprócz rodzinnej historii były także fotografie. Na jednym z nich znajdował się napis: „Alois und Klara Hitler". Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Adolf Hitler spędził dzieciństwo w Leonding, Alois i Klara byli jego rodzicami i prawdopodobnie nasza gospodyni znała ich osobiście.

Kiedy już nabraliśmy trochę sił i byliśmy w stanie przejść dłuższy dystans, wybraliśmy się do obozu Mauthausen, aby poszukać informacji o naszych bliskich i przyjaciołach, którzy przyjechali razem z nami z Płaszowa 10 sierpnia 1944 roku i zostali rozesłani do innych podobozów, których – teraz wiem – było w sumie czterdzieści dziewięć. KL znajdował się w sporej odległości od stacji kolejowej. Przy bramie

powitał nas amerykański strażnik, który oznajmił, że nie możemy wejść na teren obozu. Udaliśmy się w kierunku niesławnych „schodów śmierci"[654], liczących sto osiemdziesiąt sześć stopni, i tym razem nie dźwigając granitowych kamieni – weszliśmy do obozu bocznym wejściem. Stamtąd była już prosta droga do sekretariatu, gdzie wszystkie dokumenty były starannie skatalogowane. Wtedy dowiedziałem się, że mój ojciec zmarł w podobozie Gusen II 22 stycznia 1945 roku na niewydolność serca. Jednak rzeczywista przyczyna jego śmierci była prawdopodobnie inna. Przychodzi mi na myśl kilka możliwych powodów: z rąk kapo lub blokowego, w małej komorze gazowej w Mauthausen lub w większej komorze gazowej pałacu Hartheim, siedziby eutanazji.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że w Salzburgu jest komisja zajmująca się rejestracją osób chętnych do wyjazdu do Palestyny. Nasz trójka (za wyjątkiem Mariana, który chciał wrócić do domu lub wyjechać do Anglii) zdecydowała się tam pojechać. Pociąg docierał jedynie do Wels, później pozostał nam autostop. Wycieczka zabrała sporo czasu, ale udało nam się znaleźć komisję i zarejestrować, lecz na podróż powrotną było już zbyt późno.

Cóż można było robić w tym sławnym, obcym mieście, w którym nie mieliśmy się gdzie podziać? Oczywiście poszliśmy do Amerykanów. Jak zwykle byli bardzo grzeczni, kazali nam opróżnić kieszenie i udostępnili nam areszt na noc. Skierowali nas do celi, w której siedzieli również esesmani i inni nazistowscy więźniowie. Nasi współlokatorzy, gdy nas zobaczyli, zapytali, kim jesteśmy, a kiedy usłyszeli, że Żydami, jeden z nich powiedział: „Wiem, dlaczego my tu jesteśmy, ale nie rozumiem, dlaczego was wsadzili razem z nami". Nic szczególnego tej nocy się nie wydarzyło i nazajutrz zostaliśmy zwolnieni i mogliśmy wrócić tam, skąd przyszliśmy.

Kilka tygodni później w Hart, miejscu zajmowanym wcześniej przez Amerykanów, został zorganizowany obóz dla byłych więźniów żydowskich. Otrzymał wsparcie Jointu i stał się podstawą dalszej emigracji. Zdecydowaliśmy się tam przenieść i poczekać, aż nadarzy się możliwość wyjazdu do Palestyny. Jakiś czas potem w Hart pojawili się żołnierze z Brygady Żydowskiej Armii Brytyjskiej i poszukiwali młodych ludzi chętnych, by wyjechać do *Erec Israel*. Nasza trójka oczywiście się zgłosiła i razem z całą grupą zostaliśmy nielegalnie przewiezieni do miejsca stacjonowania Brygady Żydowskiej, do Tarvisio we Włoszech. Nie pamiętam dokładnej daty opuszczenia Austrii, ale musiało to być w okolicach sierpnia 1945 roku. Moja kolejna wizyta w Austrii miała miejsce dopiero w maju 2006 roku, kiedy przyjechałem na obchody sześćdziesiątej pierwszej rocznicy wyzwolenia Linz III i Gusen II.

Dla wielu ludzi decyzja, dokąd udać się po wojnie, była najważniejsza. Naturalnym rozwiązaniem dla wielu polskich Żydów był powrót do kraju i sprawdzenie, czy ktoś z najbliższych przeżył. Ci, którzy wrócili, zostali potraktowani jako niechciani goście. Zrobiłbym pewnie to samo, gdyby nie rozmowy z innymi więźniami, którzy zostali przeniesieni z obozu w Oświęcimiu przez Mauthausen do Linz III. Wtedy już rozumiałem, że każda akcja deportacyjna prowadziła prosto do komór gazowych. Zrozumiałem także, że prawdopodobnie jestem jedynym ocalałym z rodziny mamy; byłem bliski prawdy – tylko ja i córka jej brata Józefa, którą spotkałem dopiero w latach pięćdziesiątych, przeżyliśmy Holokaust.

[654] Po „schodach śmierci" więźniowie nosili głazy z kamieniołomów, w których pracowali, do obozu.

Pojechałbym do Palestyny tak czy owak, a podróż przez Włochy wydawała się rozsądniejsza niż przez Polskę. Oczywiście istniały inne możliwości, na przykład odszukanie innych krewnych w Stanach Zjednoczonych lub wyjazd do innego kraju. O wszystkim tym słyszałem w obozie dla uchodźców w Hart, zanim opuściłem Austrię.

PIERWSZY OKRES WE WŁOSZECH

Obóz wojskowy Brygady Żydowskiej gościł nas przez kilka dni. Poczułem się tam jak w domu, mogłem rozmawiać z żołnierzami po hebrajsku. Spotkałem też kilku uczniów z gimnazjum hebrajskiego w Krakowie, którzy pamiętali, że uczył ich mój ojciec. Brygada zorganizowała spory konwój złożony z ciężarówek i przewiozła nas przez całe Włochy z Tarvisio do Bari. Tam zarejestrowaliśmy się jako uchodźcy w UNRRA i konwój pojechał dalej, do małego miasteczka położonego w zatoce Taranto, Santa Maria di Bagni. Ten prawie całkowicie wyludniony letni włoski kurort został przekształcony w obóz wysiedleńczy i szybko zapełnił się uchodźcami. Młodzi, którzy przybyli z Tarvisio, zostali podzieleni na osiem grup: jedna dla dziewcząt i siedem dla chłopców, w każdej około trzydziestu pięciu osób. Każda grupa miała osobny dom, opiekuna i instruktora, który był jednocześnie żydowskim żołnierzem z Palestyny służącym w brytyjskiej armii. Instruktorzy ci byli przeważnie powiązani z jednostką nr 544, stacjonującą w Neapolu. Tych osiem grup określano mianem „wioska młodych", ich celem było przygotowanie nas do życia w Palestynie. W krótkim czasie założono także szkołę, w której głównym przedmiotem został język hebrajski wykładany na kilku poziomach. Dwóch z naszej trójki, w tym ja, biegle władało hebrajskim, więc byliśmy zwolnieni z zajęć szkolnych, ale w zamian musieliśmy pracować w biurze wioski, razem z jej dyrektorem, Avnerem Shkurnikiem.

Życie tam było dość komfortowe. Jak już wspomniałem, każda grupa miała swój dom, ale mieszkaliśmy po pięciu lub sześciu w pokoju, spaliśmy więc na składanych łóżkach. Karmiono nas też całkiem dobrze, nikt nie chodził głodny, ale było to proste jedzenie. Dużo czasu spędzaliśmy na plaży, często pływając w zwykle spokojnej zatoce Santa Maria. Można było usłyszeć między nami kilka języków: jidysz, polski, węgierski, rumuński. Jednak z czasem dominujący stał się hebrajski. Było tam kilku kolegów pochodzących z Litwy, którzy mówili znakomicie w jidysz. Ja nie mówiłem w jidysz wcale, ale wkrótce odkryłem, że oni także władają hebrajskim, ponieważ chodzili do hebrajskich szkół w kraju, z którego pochodzili (po tym, co usłyszałem o ich losach, nie mogłem mówić o Litwie jako o „ich kraju"). Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i nawet podłapałem od nich trochę jidysz (był pomocny, kiedy musiałem się porozumieć z kolegami z Rumunii i Węgier). Większość z nich mieszka teraz w Izraelu i nadal utrzymujemy kontakt.

Jakieś dwa miesiące później dowiedzieliśmy się, że rząd Jej Królewskiej Mości wydał certyfikaty umożliwiające podróż wszystkich członków wioski młodych do Palestyny. Znakomite wieści! Siedem grup otrzymało certyfikaty, natomiast ósma, w której byłem i ja, musiała zostać we Włoszech. Być może nie wystarczyło ich dla wszystkich (mało prawdopodobne) lub też kierownictwo zdecydowało o pozostawieniu jednej grupy jako zarodka nowej wioski (bardziej prawdopodobne). Jakikolwiek powód by to był, w tamtym momencie nie miał znaczenia, gdyż rozczarowanie mojej grupy było wielkie. Wówczas

odnowiłem kontakt z moimi krewnymi w Palestynie, w Stanach Zjednoczonych, w Argentynie i Francji. Ciotka z Ameryki przysłała mi zaproszenie, na podstawie którego mogłem zacząć się starać o amerykańską wizę emigracyjną. Mój wujek z Argentyny namawiał mnie, abym przyjechał do Buenos Aires i zamieszkał u niego. Kuzynka mojego ojca zaproponowała przyjazd i pomoc w osiedleniu się w Paryżu. Odmówiłem wszystkim grzecznie, dziękując za zaproszenia, jednocześnie informując o zamiarze wyjazdu do Palestyny i wyrażając nadzieję, że stanie się ona domem dla wszystkich Żydów. Zrozumieli moje nastawienie, ponieważ wiedzieli, że ich brat (kuzyn), a mój ojciec wychował mnie w duchu syjonistycznym.

Tymczasem powstała nowa wioska młodych i miała taki sam charakter, jak poprzednia. Znowu założono osiem grup, znowu były lekcje hebrajskiego na różnych poziomach i praca w biurze. Zima w tej części świata jest raczej łagodna, ale wciąż było zbyt zimno, aby pływać. Nie dyskutowano więcej o certyfikatach, natomiast zaczęto mówić o drogach nielegalnego przedostania się do Palestyny. Zauważyłem też inne podejście do organizacji wioski. Kierownikiem był wciąż żydowski żołnierz z Palestyny należący do brytyjskiej armii, ale nadzorującymi poszczególne grupy byli uchodźcy, którzy powinni być właściwie zorientowani politycznie i na których można było polegać. Stopniowo wysłannicy poszczególnych partii politycznych (żydowskich, palestyńskich) przenosili swoją działalność do wioski młodych. Rozpoczęły się antagonizmy między partiami i wioska straciła swoją rację bytu. Późną wiosną 1946 roku przestała istnieć, a jej członkowie podzielili się między różne partie. Jako że nie byłem zwolennikiem lewicowej Haszomer Hacair, która gloryfikowała reżim Stalina (słyszałem o tym wystarczająco dużo od moich rosyjskich towarzyszy w obozie Linz III), i pomyślałem, że socjalistyczne partie syjonistyczne nie mówią zbyt jasno o swoich celach, związałem się z Bejtarem i nieformalnie z tajną, nawet we Włoszech, organizacją Irgun Cwai Leumi[655]. Dostrzegałem konieczność powstania państwa żydowskiego, byłem przekonany, że musi to nastąpić w Palestynie, oraz wiedziałem, że Brytyjczycy nie sprzyjają temu pomysłowi. Jednak trzeba walczyć o tę sprawę – nawet jeśli ma to być tylko symboliczna walka. Spędziłem kilka miesięcy w kibucach Bejtaru w południowych Włoszech, aż do końca 1946 roku, kiedy to nadarzyła się sposobność wyjazdu do Rzymu. Tutaj zaczyna się druga część moich wspomnień.

DRUGI OKRES WE WŁOSZECH I ALIJA

Moje polityczne przekonania się nie zmieniły, jednak przybrały inny kierunek. Dowiedziałem się, że istnieje możliwość eksternistycznego ukończenia liceum i zdania matury w Rzymie.

Pisemnie należało zdać tylko dwa egzaminy: z języka włoskiego i historii sztuki. Reszta miała być ustna. Taki program skierowany był głównie do Włochów, którzy nie mogli ukończyć nauki w liceum ze względu na wybuch II wojny światowej, oraz do niewielkiej liczby uchodźców. Ja zacząłem realizować program klasyczny. Było to niezwykle trudne, ponieważ musiałem dać sobie radę z trzema językami: klasyczną greką, łaciną i włoskim. Greka była dla

655 Irgun Cwai Leumi (Narodowa Organizacja Zbrojna), inaczej Ecel – żydowska nielegalna, podziemna organizacja zbrojna działająca w Brytyjskim Mandacie Palestyny.

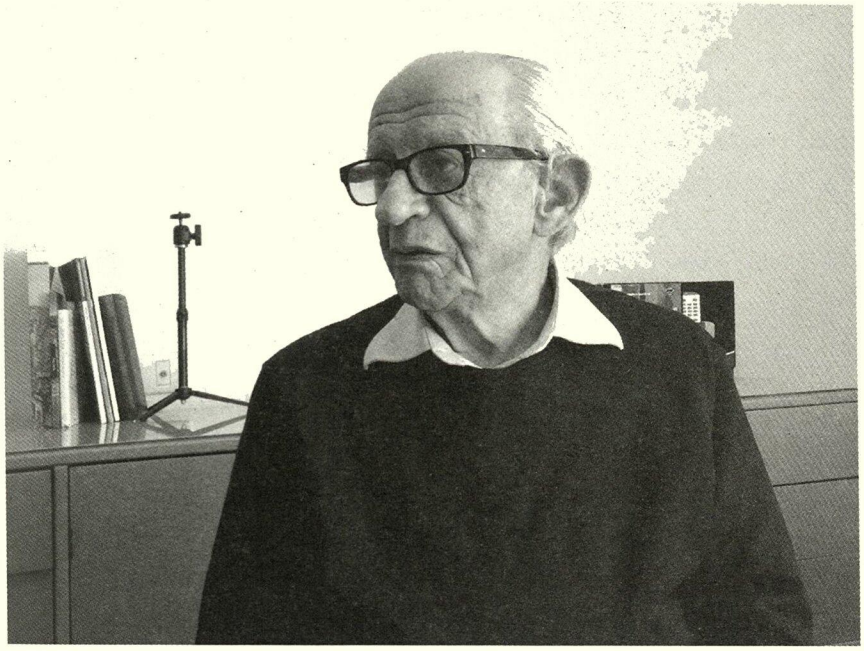
mnie zupełną nowością, podobnie włoski, ponieważ w południowych Włoszech używano niezrozumiałego dla mnie dialektu, natomiast podstawy łaciny, które opanowałem podczas okupacji w Wieliczce, nie wystarczały. Po dwóch tygodniach zamieniłem więc program klasyczny na naukowy, gdzie wymagano „jedynie" znajomości łaciny i oczywiście włoskiego. Inne przedmioty, takie jak matematykę, fizykę, chemię i historię filozofii musiałem zaliczyć po włosku. Wszystko to wydawało się z początku niemożliwe, ale postanowiłem ciężko pracować, żeby zaspokoić swoje ambicje. Później okazało się, że dobrze postąpiłem, ponieważ po przybyciu do Palestyny byłem zdany tylko na siebie i żaden z moich nielicznych krewnych nie byłby w stanie pomóc mi w ukończeniu edukacji na takim poziomie. W Rzymie niektóre zajęcia były finansowane przez Joint: kurs literatury włoskiej, rachunku różniczkowego i jeszcze kilka innych. Kurs włoskiego był bardzo dobry, ale rachunku różniczkowego wydał mi się powierzchowny. Tak naprawdę rachunek różniczkowy poznałem jeszcze w Wieliczce. Teraz doprawdy nie wiem, skąd wziąłem czas na to, aby nauczyć się, czego ode mnie wymagano, i jednocześnie spędzać czas z moją dziewczyną, Lilką, i kolegami, a także aby w letniej sesji w 1947 roku zdać eksternistycznie wszystkie wymagane egzaminy. Większości moich kolegów udało się to dopiero na jesieni tego roku.

Tych kilka miesięcy po egzaminach było bardzo relaksujących i odprężających. Spędziłem sporo czasu z Lilką i z przyjaciółmi z Irgunu. Poznaliśmy lepiej piękne miasto Rzym, a wycieczkę do Neapolu pamiętam do tej pory, byłem też pod wielkim wrażeniem Pompei i Herkulanum. Zacząłem zarabiać udzielaniem korepetycji i mogliśmy razem z moim przyjacielem Bennym wynająć pokój od włoskiej rodziny w dzielnicy zwanej Monte Sacro. Zdecydowałem się kontynuować edukację i zapisałem się na pierwszy roku studiów inżynieryjnych na Uniwersytecie Rzymskim. Jednak w październiku skontaktował się ze mną przedstawiciel Hagany w Rzymie (wiedział o moich związkach z Irgunem) z propozycją, której nie mogłem odrzucić: miałem przejść kurs geografii Hajfy i zostać wysłany do Palestyny z fałszywą przepustką – jako powracający do kraju. Moja znajomość hebrajskiego była bardziej niż wystarczająca. Zapomniałem o studiowaniu, przyjąłem propozycję wyjazdu i przeniosłem się w okolice Genui na kurs geografii, po którym zostałem wysłany na pasażerskim statku Pace do Hajfy. Okręt przebył tę drogę w trzy dni. Podróż była bardzo komfortowa, niemniej jednak była to nielegalna alija. Na początku listopada 1947 roku znalazłem się w Palestynie, która wkrótce przekształciła się w Izrael, gdzie mieszkam do tej pory.

KRÓTKI EPILOG

Po przyjeździe do Hajfy przez kilka dni musiałem się ukrywać w hotelu w centrum, dopóki nie otrzymałem dowodu tożsamości. Gdy otrzymałem zarówno dowód, jak i skromny fundusz, kupiłem bilet na autobus do Tel Awiwu, gdzie zameldowałem się w hotelu Hess, nieopodal ulicy Allenby. Mój wujek Katri mieszkał w wiosce młodych Ben Szemen[656], gdzie pracował jako nauczyciel. Powiadomiłem go, że szczęśliwie dotarłem, a on zaprosił mnie do Ben Szemen. Spotkanie z Katrim, jego żoną Chaną i synkiem Kalmim, który był jeszcze w kołysce, było dla

656 Zarówno Ben Szemen, jak i Kfar Vitkin to moszawy, czyli spółdzielnie rolnicze tworzone przez syjonistów napływających do Palestyny podczas alii.



Uri Shmueli podczas rozmowy z Urszulą i Wiesławem Żyznowskimi, Tel Awiw, 17 marca 2012 roku

mnie jak powrót do domu. Zostałem z nimi przez kilka tygodni. Jako że już wcześniej pracowałem w biurze w wiosce młodych, tutaj mogłem wykonywać tę samą pracę, tyle że w prawdziwej wiosce! Wkrótce, po ataku Arabów na autobus wiozący podróżnych do Ben Szemen, zdecydowano o przeniesieniu jej w rejon Kfar Vitkin i założeniu tam Ben Szemen B. Wtedy też zdecydowałem się pożegnać się z Katrim i Chaną i rozpocząć samodzielne życie w Tel Awiwie. Razem z dwoma kolegami z Santa Maria wynajęliśmy pokój w sąsiedztwie starej centrali autobusowej. Rozpocząłem pracę jako sprzedawca w sklepie z produktami olejnymi w Petach Tikwa. Posadę tę dostałem dzięki Meirowi Zimmelsowi, mężowi kuzynki mojej mamy, Sabiny. Jej siostra, Hela Jedlin, przekazywała mi przez kilka miesięcy fundusze, za które byłem jej bardzo wdzięczny. Jednak szczerze nie cierpiałem swojej pracy, więc z radością przyjąłem propozycję stażu w fabryce soczewek optycznych w Ramat Gan. Później wynająłem tam z przyjacielem pokój. Niestety uznano mnie za niezdolnego do służby wojskowej i nie mogłem wziąć udziału w wojnie o niepodległość Izraela.

Byłem rozczarowany stosunkiem tubylców do nowych imigrantów. Mimo bardzo dobrej znajomości hebrajskiego czułem się obco i nie miałem izraelskich przyjaciół. Odwiedzałem wprawdzie (nie za często) Katriego i Chanę oraz kuzynki mamy, to byli mili ludzie, lecz krąg moich przyjaciół był mniej więcej taki sam, jak we Włoszech, przynajmniej w pierwszych latach. Jakiś czas po przyjeździe Lilki do Izraela w 1949 roku nasze drogi się rozeszły. Później poznałem Miriam Ajzenfeld, która została moją drogą przyjaciółką, a w 1954 roku żoną. Podczas tych lat pracowałem w fabryce soczewek optycznych, Miriam również pracowała, tyle że w biurze. Jakiś czas później zasugerowała, abym podjął studia, a ona pracowała i utrzymywała nas oboje. Czułem, że wiem

wystarczająco dużo o soczewkach optycznych i w dodatku zawsze chciałem studiować. Moja włoska matura i wyniki na egzaminach wstępnych pozwoliły mi na podjęcie nauki. Jesienią 1956 roku zapisałem się na pierwszy rok na wydziale fizyki w Technionie. Od matury jednak minęło dziewięć lat – w tym czasie zdążyłem się nauczyć, jak robić soczewki, natomiast zapomniałem sporo teorii. Miałem nadzieję, że w uzupełnieniu braków pomoże mi mąż jednej z kuzynek mojej mamy, który był znanym w Tel Awiwie nauczycielem matematyki i fizyki. Nie pamiętam już jego słów, ale uważał on, że rozpoczęcie studiów będzie dla mnie stratą czasu. Odwiedziłem go ponownie po obronie doktoratu! Wtedy byłem na niego wściekły, ale poniekąd rozumiem jego punkt widzenia: ocalały z Holokaustu dwudziestoośmiolatek, dziewięć lat po maturze nie miał zbyt wielkich szans na ukończenie studiów.

Pierwszy rok to był prawdziwy zimny prysznic. Oblałem kilka egzaminów w pierwszej sesji, natomiast zdałem je jesienią. Od tamtej pory przez kolejne lata było coraz łatwiej. W 1957 roku przenieśliśmy się z Ramat Gan do Hajfy, gdzie mieszkaliśmy do końca moich studiów na Technionie. Do 1961 roku zrobiłem licencjat (podczas którego poznałem bliżej dziedzinę krystalografii i to zainteresowanie okazało się trwałe) i magisterium z fizyki. Gdy rozpocząłem studia doktoranckie w Instytucie Weizmanna, przenieśliśmy się do Rechowot, gdzie w 1962 roku urodził się nasz syn Rami. 15 czerwca 1966 roku rozpocząłem pracę na Wydziale Chemii Uniwersytetu w Tel Awiwie. Po roku pracy na uniwersytecie i około miesiącu od wojny sześciodniowej urodziła się nasza córka Yaeli. Na początku 1968 roku przeprowadziliśmy się do Ramat Awiw, bliżej Uniwersytetu, z niewielkimi przerwami mieszkam tu do dziś. Praca naukowa była dla mnie bardzo satysfakcjonująca. Zaczęły się ukazywać moje publikacje i wysiłek, który włożyłem w kształcenie, zaczął przynosić rezultaty. W 1984 roku zostałem mianowany profesorem zwyczajnym chemii. Po przejściu na emeryturę w 1996 roku nadal nauczałem na kursach dla absolwentów, redagowałem drugie i trzecie wydania tomu B Międzynarodowych tablic krystalograficznych, wydałem książkę *Teorie i techniki określenia struktury kryształu* (Oxford University Press 2007) i kontynuuję moją pracę naukową.

Moja żona Miriam zmarła 22 grudnia 1997 roku po długiej chorobie, z którą dzielnie walczyła. Później spotykałem się z dziećmi, wnukami, przyjaciółmi, kontynuowałem nauczanie. Po pewnym czasie spotkałem Magdę Leuchter, którą poznałem w Rzymie w 1947 roku i którą czasem, jeszcze wraz z Miriam, spotykaliśmy z różnych okazji. Magda także była wdową. Od tamtej pory jesteśmy razem: dwoje staruszków z dwoma mieszkaniami, dwoma samochodami, dwoma prawami jazdy, ale zawsze razem w jednym z tych mieszkań. Często spotykamy się z Ramim, jego żoną Roni i dziećmi: Gal, Benem i Nirem, z Yaeli i jej mężem Omrim oraz ich dziećmi: Noą, Michaelem i Tamar. Utrzymujemy także kontakt z synami Magdy: Alonem i jego żoną Susie oraz dziećmi Shahafem, Liorem i Aviv; syn Magdy Yoram mieszka w Kanadzie z córkami Roni i Iris, dlatego spotykamy się rzadziej, ale rozmawiamy równie często.

Chciałem opisać swój powrót do normalnego życia i mam nadzieję, że – mimo iż wiele wątków zostało opisanych bardzo skrótowo – udało mi się ten cel osiągnąć.



Kirkut na Grabówkach, 2010 rok

INSKRYPCJE NAGROBNE NA CMENTARZU ŻYDOWSKIM

Leszek Hońdo

Na granicy wsi Siercza z Grabówkami i Wieliczką, na zboczu wzgórza, w obrębie działu należącego pierwotnie do dworu w Sierczy, znajduje się cmentarz żydowski. Przed wojną obejmował powierzchnię około 1,92 ha, obecnie jest to około 1,7 ha. Nieogrodzony teren porośnięty jest lasem. Trudno stwierdzić, gdzie cmentarz się kończy. W kilku miejscach widać ślady dzikich wysypisk śmieci. Gęste zarośla utrudniają dostęp do nagrobków.

Cmentarz został założony prawdopodobnie w XVIII wieku. Jednak odczytanie nielicznych inskrypcji tego nie potwierdziło. Zachowało się jedynie kilkadziesiąt nagrobków z granitu, piaskowca i wapienia, przy czym tylko kilka przetrwało w całości. Z kolei nawet te kompletne mają w większości prawie nieczytelne inskrypcje. Na terenie cmentarza widoczne są pozostałości kilkudziesięciu nagrobków w postaci fragmentów steli, cokołów, bloków kamiennych będących podporami stojących płyt czy też rozrzuconych elementów.

Na zbiorowej mogile znajduje się napis: „Pamięci ponad tysiąca Żydów polskich zamordowanych w Wieliczce przez oprawców hitlerowskich w latach 1939–1942".

Zob. L. Hońdo, *Inskrypcje nagrobne na cmentarzu żydowskim*, [w:] J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza...*, *op. cit.*, s. 369–382; http://www.kirkuty.xip.pl/wieliczka.htm, dostęp: 9 czerwca 2011; http://www.master7.rowerpower.org/ciekawe-miejsca/46-cmentarze/124-wieliczka-kirkut-zydowski-jewish-cemetery.html, dostęp: 9 czerwca 2011.

Nekropolia ta służyła również społeczności żydowskiej z oddalonego o dziesięć kilometrów Podgórza. Ostatni pogrzeb miał miejsce w 1942 roku.

Po raz pierwszy na opłakany stan cmentarza zwrócił uwagę Adam Aptowicz z Towarzystwa Przyjaźni Izrael – Polska. W 2005 roku zwrócił się do starosty wielickiego i burmistrza Wieliczki z prośbą, z apelem, aby podjęto działania w celu niedopuszczenia do kompletnej dewastacji kirkutu.

W czerwcu 2006 roku do Wieliczki przyjechała grupa stu pięćdziesięciu przedstawicieli różnych formacji wojskowych z Wyższej Szkoły Oficerskiej w Tel Awiwie. Wraz z generałem Avim Ashkenazim i generałem Dworem Haridem uporządkowali oni obszar cmentarza. W październiku tego samego roku grupa uczniów z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie powołała do życia „artystyczna grupę porządkową". W ramach akcji „Życie jako inspiracja działań artystycznych" oczyścili pomnik ofiar Holokaustu, odmalowali wykutą na nim inskrypcję, a ponadto oczyścili teren wokół pomnika.

5 listopada 2009 roku młodzież z wielickiego liceum wraz z grupą młodzieży z Niemiec, Portugalii i Litwy posprzątała cmentarz i zamontowała tablicę informacyjną.

Obok pomnika postawiono granitową tablicę pamiątkową ufundowaną przez rodzinę Aptowiczów z informacją w języku polskim, hebrajskim i angielskim następującej treści:

„Tutaj spoczęli w sierpniu 1942 roku Amalia Wilner Aptowicz po trzech latach cierpienia pod okupacją niemiecką, Aharon Jicchak Aptowicz zamordowany przez Niemców wraz z wieloma innymi z Wieliczki i okolicy.

Nigdy nie zapomnimy.

W imieniu Ich synów bł. p. Nachuma Ryszarda i bł. p. Szymona

Wnuki, prawnuki i przyszłe pokolenia.

Pamiętaj, co uczynił Amalek (a więc) *gdy Pan Bóg twój da ci... wygładzisz pamięć Amaleka spod nieba* (Ks. Powt. Prawa 25, 17–19)".

Od 2007 roku cmentarz znajduje się pod zarządem Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Krakowie. Na przełomie października i listopada 2010 roku metalowe ogrodzenie wokół pomnika zostało zniszczone przez wandali: zniknęły stalowe rury łączące betonowe słupy. Być może rok 2012 przyniesie trwałe, korzystne zmiany.



Prof. Uri Shmueli podczas wizyty na kirkucie, maj 2011 roku

s. 566–572: Szesnaście macew z cmentarza żydowskiego »» na Grabówkach z czytelnymi inskrypcjami nagrobnymi, 2012 rok

1. ESTERA MIRIAM, CÓRKA MOSZEGO (ZM. W 1822 ROKU)

1. ...[657]
2. [...] ט׳ לחודש
3. אייר תקפ״ב
3. נאספה אסתר מרים
3. בת משה
4. לפ״ק
5. תנצב״ה



1. ...
2. [...] 9 miesiąca ijar 582[658]
3. została włączona (zmarła) Estera Miriam, córka Moszego.
4. Według małej rachuby.
5. Niech jej dusza będzie związana w węzeł życia!

2. FRAGMENT NAGROBKA RIWKI, CÓRKI JEHUDY (ZM. W 1836 R.)

1. ...
2. ידיה ש(לחה)
3. לאביונים
4. מ׳ רבקה בת ר׳
5. יהודא ז״ל י״נ
6. בש״ט כ׳ סיון
7. ש׳ תקצ״ו לפ״ק





1. ...
2. I swoje ręce kierowała
3. do biednych.
4. Pani Riwka, córka pana
5. Jehudy, błogosławionej pamięci! Odeszła jej dusza
6. w dobrej sławie 20 siwan
7. roku 596[659] według małej rachuby.

3. SIMCHA (ZM. W 1836 ROKU)

1. עינו יזלו דמעה מאין
2. הפוגות על שבר
3. אמנו [...]
4. [...] האשה
5. החשובה והצנועה
6. מ׳ שמחה בת המנוח
7. מ׳ [...] ז״ל נפטרה
8. בש״ט ה׳ תשרי ש׳
9. תקצ״ז לפ״ק תנצב״ה

1. Nasze oczy zaleją się łzami, nie ma
2. ulgi z powodu nieszczęścia.
3. Nasza matka [...]
4. [...] Niewiasta

[657] W górnej części widoczne są pojedyncze słowa, w tym akrostych „Estera".

[658] 30 kwietnia 1822 roku.

[659] 5 czerwca 1836 roku.

5. poważana i cnotliwa,
6. pani Simcha, córka zmarłego
7. pana [...], błogosławionej pamięci! Zmarła
8. w dobrej sławie 5 tiszri roku
9. 597[660] według małej rachuby.



2. [...] יקר רוח ולב [...]
3. ידיו פתח לכל [...]
4. שלש (לת יוחסין [...]
5. [...]
6. וברה כקש "ת מה "ו [...]ק
7. ז "ל בהרהני המולג [...]
8. צבי הירש נ"י שנפטר ב [...]
9. בשם טוב בליל ב'
ונקבר (בי)ום
10. ג' ז' אדר תר"ד לפ"ק
תנצב"ה

4. FRAGMENT NAGROBKA OSOBY, KTÓRA ZMARŁA W 1839 ROKU

1. Lament i płacz z powodu śmierci tego młodzieńca
2. [...] drogiej duszy i serca [...]
3. Swoje dłonie otwierał do każdego [...]
4. Genealogii (wybitnej) [...]
5. [...]
6. i wybrany. Jego imię zaszczytne, święte, wspaniałe [...]
7. błogosławionej pamięci! Syn wybitnego uczonego [...]
8. Cwi Hirsza, niech jego światło świeci nadal! Który zmarł [...]
9. w dobrej sławie w nocy dnia 2 i został pochowany
10. 3 dnia 7 adar 604[662] według małej rachuby. Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia!



1. ...
2. ט"ז אלול
3. ש' תקצ"ט
4. לפ"ק
5. תנצב"ה

1. ...
2. 16 elul
3. roku 599[661]
4. według małej rachuby.
5. Niech jego (jej) dusza będzie związana w węzeł życia!

5. NAGROBEK [...], SYNA CWI HIRSZA (ZM. W 1844 ROKU)

1. נהי ובכי על פטירת
הצעיר.

[660] 16 września 1836 roku.
[661] 26 sierpnia 1839 roku.
[662] 27 lutego 1844 roku.

6. NAGROBEK MEIRA JOSEFA (ZM. W 1846 ROKU)



1. ...
2. בתומו וט [...]
3. ספדו הוריו [...]
4. כ "ד שבט תר "ו לפ "ק
5. מ ' מאיר יוסף זקה "ה
6. תנצב "ה

1. ...
2. W swojej nieskazitelności [...]
3. Zapłaczą jego rodzice [...]
4. 24 szwat 606[663] według małej rachuby.
5. Pan Meir Josef, niech pamięć świętego (męczennika) będzie dla życia przyszłego świata!
6. Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia!



7. NAGROBEK MAŁŻONKÓW, KTÓRZY ZMARLI W 1867 ROKU



1. שנת תרכ "ז לפ "ק
2. תנצב "ה

Po prawej stronie:

3. י "ט מרחשון
4. פ "נ
5. איש
6. ישיש אשר חי ע "ד שנים
7. ...

Po lewej stronie:

8. י "ט טבת
9. פ "ט
10. אישתו
11. ...

1. Rok 627 według małej rachuby.
2. Niech ich dusze będą związane w węzeł życia!

Po prawej stronie:

3. 19 marcheszwan[664]
4. tu został pochowany
5. mąż,
6. starzec, który żył 74 lata.
7. ...

Po lewej stronie:

8. 19 tewet[665]
9. tu pochowana
10. jego żona
11. ...

8. FRAGMENT NAGROBKA Z DATĄ (MIESIĄC I ROK: 1868)

1. ...
2. לחודש כסליו תרכ"ט לפ"ק
3. תנצב "ה

[663] 20 lutego 1846 roku.

[664] 28 października 1866 roku.

[665] 27 grudnia 1866 roku.

1. ...
2. miesiąca kislew 629 według małej rachuby
3. Niech jego (jej) dusza będzie związana w węzeł życia!

9. CHANA, CÓRKA MOSZEGO (ZM. W 1872 R.)

1. חמקה ועברה אשת
החיל טוב פועלת
2. נקטפה בדמי ימיה נעימה
החבצלת
3. הה בשנות כ "ה נאספה
לעמיה
4. בעת האביב חטפה
האכזרי מיודעי' בניה
5. תמה וזכר זאת האשה
חנ "ה
6. מתבל נלקחה ביום נכראה
ואיננה הלכה
7. שבה תחת כנפי אל נשמתה
הטהורה
8. הוא יום ט"ו תשרי תרל"ג
ויום הנורא
9. אשר [...] הובלה לקבורה

1.Odeszła i przeniosła się kobieta dzielna, czyniąca dobro[666].
2. Została zabrana w kwiecie wieku, kochana róża.
3. Och biada! W wieku 25 lat została złączona ze swym ludem.
4. W czasie wiosny została uprowadzona od znających jej dzieci.
5. Sprawiedliwość i czystość były tej niewiasty Chany[667].
6. Ze świata została zabrana w dniu klęski, ale nie odeszła.
7. Została uprowadzona jej czysta dusza pod skrzydła Boga.
8. To było dnia 15 tiszri 633[668], a dnia strachu
9. [...] została przeniesiona do swego grobu.





10. JECHIEL ICHEL, SYN ICCHAKA (ZM. W 1879 ROKU)

1. יושר צדק ואמת יודעיו
יעידו
2. חונה פה אך גופו [...]
3. יד [...] הוד תפארת
4. אל דרכי מישרים רגליו
ממחרת
5. לעוף על בין בעדן [...]
6. אל תתני פוגת בהגה
וקינים
7. יחד עוברים יביעו שבחו
ומעלתו

666 Akrostych: Chana, córka Moszego.

667 Pod imienia Chana ukryte trzy powinności kobiety: oddzielania ciasta, czystości i zapalania światła.

668 17 października 1872 roku.

8. כל אורחותיו [...]
9. מ' יחיאל איכל בן מ'
יצחק ז"ל בחר
למנוחתו
10. עולמים בר"ח סיון
תרל"ט לפ"ק תנצב"ה

1. Prawość, sprawiedliwość i prawda, które go znały, będą za nim świadczyć.
2. Spoczęło tutaj jednak jego ciało. [...]
3. [...] majestat i chwała.
4. Na drogach prawości były jego kroki. Nazajutrz
5. wzleciał ponad [...]
6. Nie daje sobie wytchnienia w mówieniu a żałobnicy
7. razem z przechodzącymi będą przekazywać o jego chwale i jego czci.
8. Wszyscy jego przyjaciele [...]
9. Pan Jechiel Ichel, syn pana Icchaka, błogosławionej pamięci! Wybrany do miejsca swego spoczynku
10. na wieki w nowym miesiącu siwan 639[669] według małej rachuby. Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia!





11. NAGROBEK [...], SYNA ZEWA (ZM. W 1882 ROKU)

1. פ"נ
2. איש אשר הלך [...]
3. בדרך הישר ופזר [...]
4. [...]
5. [...] ט'

6. חשון ש' תרמ"ג [...]
7. זאב ז"ל [...]

1. Tu został pochowany
2. mąż, który postępował [...]
3. drogą prawości. Hojnie [...]
4. [...]
5. [...] 9
6. cheszwan roku 643[670] [...]
7. Zew, błogosławionej pamięci! [...]

12. MENACHEM (ZM. W 1904 ROKU)

1. ...
2. קול נהי [...]
3. מיודעיו ואוהביו [...]
4. נלקח תפארתם בט[...]
5. חי [...]

[669] 30 października 1879 roku.

[670] 22 października 1882 roku.

6. משפטו כאור יצא
[...] לפני המלך
7. נפטר בש"ט ביום
שבת קודש
8. י"ב תמוז תרס"ד

1. ...
2. Głos lamentu [...][671]
3. Jego znajomi i kochani [...]
4. Została zabrana ich chwała [...]
5. Żył [...]
6. Jego prawo wzeszło jak światłość [...] przed Króla.
7. Zmarł w dobrej sławie w święty szabat
8. 12 tamuz 664[672].

13. ABRAHAM MEIR FALEK, SYN EFRAIMA (ZM. W 1921 ROKU)



1. פ"נ
2. איש זקן תם וישר [...]
3. מו"ה
4. אברהם מאיר
5. פאללעק
6. בן מו"ה אפרים ע"ה
7. י"נ ה' אדר ראשון תרפ"א
8. אבן פנה בראש קבר
9. בחר אמת נאמן ונבר
10. רצוי לכל אהוב לרוב
11. השכל לדל פעל טוב
12. מרום עלה רוחו לשוב
13. את קברו יעזב בכשרות
14. ירום ראשו מטל אורות
15. תנצב"ה

1. Tu został pochowany
2. mąż stary, zacny i prawy [...]
3. Nasz nauczyciel, pan i mistrz
4. Abraham Meir
5. Falek,
6. syn naszego nauczyciela, pana i mistrza Efraima, pokój niech będzie z nim!
7. Odeszła jego dusza 5 adar pierwszego 681[673].
8. Kamień węgielny przy głowie grobu[674].
9. Wybierał prawdę, wierność i uczciwość.
10. Pożądany przez wszystkich, kochany przez wielu.
11. Z rozwagą czynił dobro dla biednego.
12. Do nieba wzniosła się jego dusza do powrotu.
13. Swój grób opuściła w szczęściu.

[671] Imię w postaci akrostychu może być imieniem ojca.

[672] 25 czerwca 1904 roku.

[673] 13 lutego 1921 roku.

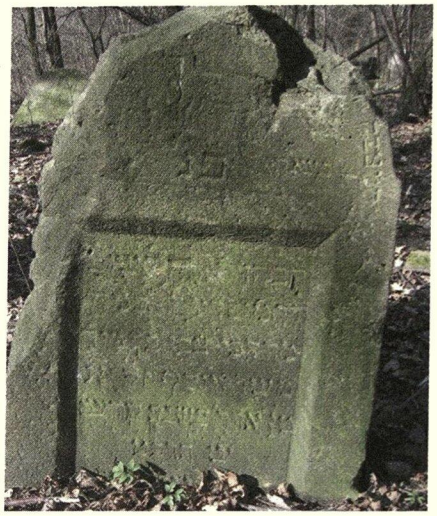
[674] Powiększone litery trzech wyrazów w każdym wersecie (8–14) dają: Abraham Meir Falek, syn Efraima.

14. Niech będzie wyniesiona jego głowa z rosy światłości!
15. Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia!

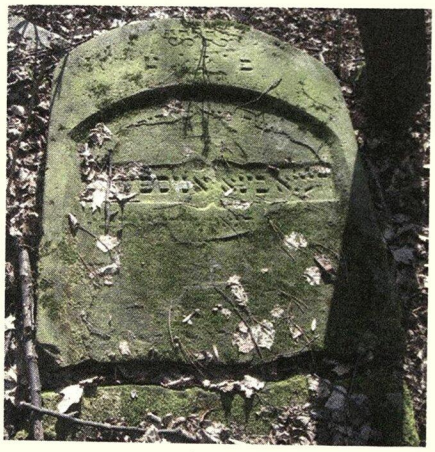
14. MORDECHAJ CWI, SYN MOSZEGO JOSEFA (ZM. 1869 ROKU)

1. המצבה ה [...]
2. פ "נ
3. הבחור החשוב
4. תמים [...] כמר
5. מרדכי צבי בן מו "ה
6. משה יוסף ז "ל י "נ
7. ט "ז אדר בשבת קודש
8. ש' תרכ"ט

1. Nagrobek ten [...]
2. Tu został pochowany
3. Młodzieniec poważany
4. I zacny. Pan
5. Mordechaj Cwi, syn naszego nauczyciela, pana
6. Moszego Josefa, błogosławionej pamięci! Odeszła jego dusza
7. 16 adar w święty szabat
8. roku 629[675].







15. CHAWA, CÓRKA ISRAELA MENDELSOHNA, ŻONA MEIRA

1. פ"ט
2. האשה התמימה הגבירה
3. מרת חוה בת ר' ישראל
4. מענדלזאהן ואשת ר' מאיר
5. [...]
6. [...] חית תמוז שנת
7. תקצ"ה לפ"ק תנצב"ה

1. Tu pochowana
2. Niewiasta zacna i można.
3. Pani Chawa, córka pana Israela
4. Mendelsohna i żona pana Meira.
5. [...]
6. [...] ósmego tamuz roku
7. 595[676] według małej rachuby.

16. HENA BINA ANUSFELD

1. פ "ט
2. האשה הצנועה היקרה
3. (מרת)
4. הענא בינא אנוספעלד
5. [...]

1. Tu pochowana
2. Niewiasta cnotliwa i droga.
3. (Pani)
4. Hena Bina Anusfeld.
5. ...

675 27 lutego 1869 roku.

676 5 lipca 1835 roku.

BIBLIOGRAFIA

M. J. Adamczyk, *Edukacja a przeobrażenia społeczności żydowskiej w Monarchii Habsburskiej 1774–1914*, Wrocław 1998.

J. Aleksandrowicz, *Kartki z dziennika doktora Twardego*, Kraków 1983.

Alfred Borowicz (hasło), http://www.centropa.org – *Jewish Witness to a European Century – An Interactive Database of Jewish Memory* [dostęp: 9 grudnia 2011].

Antysemityzm nasz powszechny. Wywiad Teresy Torańskiej z Hanną Świdą-Ziembą [w:] „Gazeta Wyborcza" (wydanie internetowe) 2009, 3 marca, http://wyborcza.pl/1,76842,6337913,Antysemityzm_nasz_powszechny.html [dostęp: 3 lipca 2012].

Atlas historii Żydów polskich, red. W. Sienkiewicz, Warszawa 2010.

M. Bałaban, *Historia Żydów w Krakowie i na Kazimierzu 1304–1868*, t. I–II, Kraków 1931–1936.

Zeszyty z serii „Biblioteczka Wielicka", red. J. Duda.

I. Bronner, *Cykady nad Wisłą i Jordanem*, Kraków 1991.

A. Chwalba, *Historia Polski 1795–1918*, Kraków 2001.

S. Dubnow, *Weltgeschichte des Jüdischen Volkes*, Berlin 1925–1929.

A. Eisenbach, *Emancypacja Żydów na ziemiach polskich 1785–1870 na tle europejskim*, Warszawa 1988.

Encyclopaedia Judaica, t. XX–XXI, Detroit 2007.

Z. Frankel, *Mama*, [w:] *Siberian Diary. An autobiography*, http://www.zygmuntfrankel.com, [dostęp: 5 czerwca 2012].

T. Gąsowski, *Między gettem a światem. Dylematy ideowe Żydów galicyjskich na przełomie XIX i XX wieku*, Kraków 1997.

M. Gilbert, *The Routledge Atlas of the Holocaust*, London–New York 2002.

N. Gutman, *The Execution of Capo Beim*, Simsbury 1989 (niepublikowany maszynopis).

N. Gutman, *Why I Fasted on Yom Kippur* (niepublikowany maszynopis).

N. Gross, *Kim pan jest, panie Grymek?*, Kraków 1991.

Grynberg: Żyję dla przeszłości, wywiad Donaty Subbotko z Henrykiem Grynbergiem [w:] „Duży Format" (dodatek „Gazety Wyborczej") 2011, 13 października.

„Ilustrowany Kurier Codzienny" 1923, 2 lutego.

J. Jabłoński, *Himmelkomando*, „Karta" 2011, nr 66.

E. Janicka, *Festung Warschau. Raport z oblężonego miasta*, Warszawa 2012.

Janina Ekier, [w:] *Ustna harmonijka. Relacje Żydów, których uratowali od Zagłady Polacy*, red. E. Isakiewicz, Warszawa 2000.

Józefa Czecha kalendarz krakowski, rok: 1908, 1909, 1910, 1911, 1913.

N. Kameraz-Kos, *Święta i obyczaje żydowskie*, Warszawa 1997.

G. Kołacz, *Czasami trudno się bronić. Uwarunkowania postaw Żydów podczas okupacji hitlerowskiej w Polsce*, Warszawa 2008.

M. Korzec, *W gminie Gdów*, Krosno 2003.

M. Kowalski, P. Głuchowski, *Apte. Niedokończona powieść*, Kraków 2010.

M. J. Kulczykowski, *Żydzi – studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego w Drugiej Rzeczypospolitej (1918–1939)*, Kraków 2004.

J. Kurski, *Kadysz dla Intruza*, [w:] „Gazeta Wyborcza" (wydanie internetowe) 2011, 22 grudnia, http://wyborcza.pl/1,76842,10857745,Kadysz_dla_Intruza.html, [dostęp: 3 lipca 2012].

J. Kutrzeba, *Friedmanowie (1810–1939)*, Kraków–Tel Awiw 2009 (niepublikowany maszynopis).

R. Kuwałek, *Obóz zagłady w Bełżcu*, Lublin 2010.

L. Küchler-Silberman, *My Hundred Children. The Courageous Story of the Woman Who led A Small Army of Jewish Children from Poland to Israel*, New York 1987.

A. Lax, *The Incredible War of Adam Oko* (niepublikowany maszynopis).

Maria Perlberger-Szmuel, [w:] *Ustna harmonijka*, *op. cit.*

J. Michalewicz, *Żydowskie okręgi metrykalne i żydowskie gminy wyznaniowe w Galicji doby autonomicznej*, Kraków 1995.

A. Michnik, *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*, Kraków 2010.

„Nowy Dziennik" 1928, 4 lipca.

V. Ozminkowski, M. A. Olczak, *Pan Doktor i Bóg. Marek Edelman: bohaterski, genialny, nieznośny*, Warszawa 2012.

K. Pająk, *Wieliczka, stare miasto górnicze*, Kraków 1968.

I. Pawłowska, *Społeczeństwo Wieliczki w czasie drugiej wojny światowej*, [w:] „Studia i Materiały do Dziejów Żup Solnych w Polsce", t. XXI, Wieliczka 2001.

M. Perlberger-Shmuel, *W chowanego ze śmiercią*, „Więź" 1988, nr 7–8.

J. Piotrowicz, B. Krasnowolski, *Siercza, dach Wieliczki. Monografia wsi*, Siercza 2005.

L. Poliakov, *Historii antysemityzmu*, t. I, Kraków 2008.

Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie, red. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, t. I–II, Warszawa 2003.

J. Przymanowski, *Studzianki*, Warszawa 1966.

R. Reder, *Bełżec*, Kraków 1999.

J. Rozewicz, *Wszystko zależy od przypadku*, Lublin 2009.

Rozwadów Memorial Book, http://www.jewishgen.org/yizkor/rozwadow/rozwadow.html [dostęp: 5 czerwca 2012].

Salomea Gemrot (hasło), http://www.centropa.org – *Jewish Witness to a European Century – An Interactive Database of Jewish Memory* [dostęp: 15 listopada 2011].

K. Samsonowska, *Wyznaniowe gminy żydowskie i ich społeczność w województwie krakowskim (1918–1939)*, Kraków 2005.

H. Schönker, *Dotknięcie anioła*, Warszawa 2006.

U. Shmueli, *My Memoires*, Israel 2010 (niepublikowany maszynopis).

Skorowidz przemysłowo-handlowy Królestwa Galicyi, Lwów 1912.

M. Skulimowski, *Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942*, „Przegląd Lekarski" 1966, nr 1, s. 101–105.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, t. IV, Warszawa 1883.

N. Solomon, *Judaizm*, przeł. J. Mytkowska, Warszawa 1997.

M. Sosenko, P. Kurowski, *Wieliczka na dawnych widokówkach*, Kraków 1999.

Z. Spaczyński, *Elementy genezy i topografia obozu w Bełżcu* (niepublikowany maszynopis).

Spis organizacji gospodarczych 1939. Opracowany na podstawie materiałów ankietowych zebranych przez Izby Przemysłowo-Handlowe, red. S. Wysocki, Warszawa 1939.

Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata, „Biuletyn Informacyjny UMiG Wieliczka" 2003, nr 2.

Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata, „Dziennik Polski" 2003, 25 marca.

J. Stryjkowski, *Austeria*, Warszawa 1993.

L. Syrkiewicz, *Rozwój społeczno-gospodarczy miasta Wieliczki w latach 1918–1939*, Kraków 2005.

E. Szrojt, *Obóz zagłady w Bełżcu*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce", t. III, 1947.

The Jewish Community of Wieliczka. A Memorial Book, ed. M. Shmuel, Tel Awiw 1980.

A. Unterman, *Encyklopedia legend i tradycji żydowskich*, Warszawa 1998.

Urzędowy spis abonentów państwowej sieci telefonicznej okręgu krakowskiej i katowickiej dyrekcyj poczt i telegrafów oraz sieci zagłębia dąbrowskiego polskiej akcyjnej spółki telefonicznej i abonentów miast niemieckich Bytomia, Gliwic i Zabrza według stanu z dnia 1 stycznia 1930 r.

H. Vogler, *Autoportret z pamięci*, t. I–III, Kraków 1978, 1979, 1981.

M. Weber, *„Obiektywność" poznania w naukach społecznych*, przeł. M. Skwieciński, [w:] *Problemy socjologii wiedzy*, red. A. Chmielecki, Warszawa 1985.

Wieliczka. Dzieje miasta (do 1980 roku), red. S. Gawęda, A. Jodłowski, J. Piotrowicz, Kraków 1990.

Wieliczka (hasło) [w:] *Księga adresowa Polski (wraz z W. M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*, Warszawa 1929.

K. Wyka, *Życie na niby*, Kraków 2010.

H. Yablonka, *Holocaust Survivors in the Israeli Army during the 1948 War: Documents and Memory*, „Israel Affairs", vol. 12, no. 3.

F. Zacny, *Żydzi w dziejach miasta i saliny wielickiej (do 1914 roku)*, [w:] „Studia i Materiały do Dziejów Żup Solnych w Polsce", t. XX, Wieliczka 1997.

M. Zellner, *Ankieta dotycząca przebiegu działań wojennych oraz okupacji niemieckiej* (niepublikowany maszynopis).

Zygmunt Rozewicz, „Biuletyn Naukowo-Techniczny Zakładów Pomiarowo-Badawczych Energetyki Energopomiar" 2006, nr 1.

W. Żyznowski, *Wieliczanie na opisanych fotografiach*, Siercza 2009.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

(wyklejka) Rysunek opracowany przez Marię Gromek i Urszulę Żyznowską w oparciu o Plan orientacyjny Wieliczki z 1939 roku ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 42 Fotografia ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 46–47 Fotografia ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 48 Pamiątka ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 52 Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 55 Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego .

s. 56 Fotografia ze zbiorów Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie.

s. 59 Fotografia ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 64 Fotografia ze zbiorów Marii Łuszczkiewicz.

s. 65 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 75 Fotografia ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 76 Fotografia ze zbiorów Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie.

s. 77 Fotografia ze zbiorów Alfreda Laxa.

s. 78 Fotografia ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 80 Dokument ze zbiorów Marii Perlberger-Shmuel.

s. 84 Fotografia ze zbiorów Barbary Sosin.

s. 90 Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 91 Pamiątka ze zbiorów Anny Oganesov.

s. 91 Fotografia ze zbiorów Anny Oganesov.

s. 92 Fotografia ze zbiorów Fundacji Shalom w Warszawie.

s. 96 Dokument ze zbiorów Archiwum Państwowego w Krakowie.

s. 98 Fotografia ze zbiorów Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie.

s. 100 Dokument ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 103 Fotografie ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 104 Fragment strony tytułowej czasopisma „Ha-Magid" z zasobów portalu Wikipedia na licencji GNU Free Documentation.

s. 107 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 114 Dokument ze zbiorów Nicy Dekel.

s. 118–119 Fotografia ze zbiorów Marii Perlberger-Shmuel.

s. 128, 129 Dokumenty ze zbiorów Nicy Dekel.

s. 130 Fotografia ze zbiorów Marii Łuszczkiewicz.

s. 134–135 Pamiątka ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 136 Fotografia ze zbiorów Marii Łuszczkiewicz.

s. 142, 144, 146, 147, 148 Fotografie ze zbiorów Izaaka Birnbauma.

s. 149 Dokument ze zbiorów Izaaka Birnbauma.

s. 151, 154, 157 Fotografie ze zbiorów Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie.

s. 158, 160 Fotografie ze zbiorów Larry'ego Zellnera.

s. 161 Dokument ze zbiorów Larry'ego Zellnera.

s. 163 Fotografia ze zbiorów Larry'ego Zellnera.

s. 164 Dokument ze zbiorów Archiwum Państwowego w Krakowie.

s. 171, 176 Fotografie ze zbiorów Tovy Aran-Friedman.

s. 180, 182, 185 Fotografie ze zbiorów Józefa Rozewicza.

s. 186 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 190 Fotografie ze zbiorów Alfredy Friedman-Künstler.

s. 191 Fotografia ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 192 Fotografia z zasobów portalu Centropa.

s. 194 Fotografia ze zbiorów Krzysztofa Widomskiego.

s. 196 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 197 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Kasprzyka.

s. 198 Pamiątka ze zbiorów prywatnych.

s. 202 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 206 Fotografia ze zbiorów Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie.

s. 207 Fotografia ze zbiorów Marii Gawędy.

s. 208 Fotografia ze zbiorów Uriego Shmueli.

s. 212 Fotografia ze zbiorów Nathana Kleinbergera.

s. 214 Fotografie ze zbiorów Nicy Dekel.

s. 215 Pocztówka ze zbiorów Marka Sosenki.

s. 220, 223 Fotografie ze zbiorów Wojciecha Kleina.

s. 226 Dokument ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 230, 232, 233 Fotografie ze zbiorów Nicy Dekel.

s. 234–235 Schemat opracowany przez Karolinę Wałaszek i Urszulę Żyznowską na podstawie drzewa genealogicznego ze zbiorów Orny i Tala Azarów.

s. 239, 242 Fotografie ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 244–245 Mapa ze zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu.

s. 248 Fotografia ze zbiorów Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie.

s. 249, 250, 251 Schematy opracowane przez Eugeniusza Szrojtę, ze zbiorów Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie.

s. 252, 254–255, 264 Fotografie ze zbiorów Tomasza Wiśniewskiego, Agencja Forum w Warszawie.

s. 268 Fotografia ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 271 Dokument ze zbiorów Neila Kaplana.

s. 274 Fotografia ze zbiorów Alfredy Friedman-Künstler.

s. 278, 280 Fotografie ze zbiorów Marii Perlberger-Shmuel.

s. 283 Fotografia z zasobów portalu Wirtualny Sztetl.

s. 288, 291 Fotografie ze zbiorów Uriego Shmueli.

s. 296–298, 300–301, 302, 303, 304 Dokumenty ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 306 Fotografia ze zbiorów Fundacji Shalom w Warszawie.

s. 309 Dokument ze zbiorów Archiwum Państwowego w Krakowie.

s. 310, 312 Dokumenty ze zbiorów Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie.

s. 314–315 Afisz ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 317 Dokument ze zbiorów Archiwum Państwowego w Krakowie.

s. 331 Dokument ze zbiorów Andrzeja Kasprzyka.

s. 332 Dokument ze zbiorów Neila Kaplana.

s. 333 Dokument ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 338 Wycinek prasowy ze zbiorów Jacka Wimmera.

s. 344 Fotografia ze zbiorów Jacka Wimmera.

s. 346 Afisz ze zbiorów Justyny Kutrzeby.

s. 348 Fotografia ze zbiorów Nathana Kleinbergera.

s. 350 Fotografia ze zbiorów Marii Łuszczkiewicz.

s. 358, 363, 368 Fotografie ze zbiorów Izaaka Birnbauma.

s. 369 Fotografia ze zbiorów Janiny Sejdak.

s. 377, 378, 380 Fotografie ze zbiorów Alfreda Laxa.

s. 382 Fotografia ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 396 Fotografia ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 399 Dokument ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 408 Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 410, 412, 415 Rysunki ze zbiorów Gerarda Piaseckiego.

s. 422–423 Fotografia ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 442 Fotografia ze zbiorów Nathana Gutmana.

s. 448 Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

s. 456 Plan miasta ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 460 Fotografia ze zbiorów Leszka Hońdy.

s. 466, 468 Fotografie ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

s. 471–472, 474, 475 Dokumenty ze zbiorów Archiwum Państwowego w Krakowie.

s. 486 Fotografia ze zbiorów Izaaka Birnbauma.

s. 494 Fotografia z zasobów portalu Wirtualny Sztetl.

s. 496 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 499 List ze zbiorów Marii Perlberger-Shmuel.

s. 503 Dokument z zasobów portalu Centropa i Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie.

s. 506, 508 Dokumenty ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 511 Fotografia ze zbiorów Marii Gawędy.

s. 512–513 Dokument ze zbiorów Zofii Starmy.

s. 516 Dokument ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 518, 519 Fotografie ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

s. 520, 522, 523, 524 Fotografie ze zbiorów Celiny Tadanier.

s. 525 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 530 Dokument ze zbiorów Alfredy Friedman-Künstler.

s. 534, 535 Fotografie ze zbiorów Janiny Sejdak.

s. 536 Fotografia ze zbiorów Izaaka Birnbauma.

s. 537 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 539 Fotografia ze zbiorów Nicy Dekel.

s. 540 Fotografia ze zbiorów Larry'ego Zellnera.

s. 542, 543 Dokumenty ze zbiorów Larry'ego Zellnera.

s. 546, 549 Fotografie ze zbiorów Nathana Kleinbergera.

s. 552 Fotografia ze zbiorów Alfreda Laxa.

s. 559 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 562 Fotografia ze zbiorów Jakuba Wierzchowskiego.

s. 565 Fotografia ze zbiorów Wiesława Żyznowskiego.

s. 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572 Fotografie ze zbiorów Leszka Hońdy.

(wyklejka) Rysunek opracowany przez Marię Gromek i Urszulę Żyznowską w oparciu o Plan orientacyjny Wieliczki z 1939 roku ze zbiorów Andrzeja Gaczoła.

INDEKS

Aberbach F. 53, 82, 215
Ablowa 195
Abrachamowicz I. 83
Abramowicz Siecha 461
Abrasman Eliahu 461
Adamczyk Mieczyław Jerzy 57, 574
After Jakub 461
After Jecheskiel 461
After Meir Szaron 461
Aftowic 461
Aisen Meir Chaim (Eisen Meir) 53, 481, 482
Albińska M. 82
Aleksandrowicz Julian (pseud. Twardy) 359, 366, 574
Allenby Edmund 122
Alster Dzidek 30, 361, 367, 370, 534, 535
Alster Fryda (z domu Katz) 30, 361, 367, 370, 534
Alster Georgetta 534
Alster Henryk 534
Amsterdam Engel Wolf 461
Anders Władysław 152, 364, 488, 527, 531, 552
Andersen Hans Christian 366
Anker E. 83
Antos Hanna 32
Anusfeld Hena Bina 572
Apte Henryk 407, 408
Apte Ryszard 13, 31, 32, 407, 408, 409, 410, 411, 413, 414, 416, 574
Aptowicz (rodzina) 121, 564
Aptowicz Adam 564
Aptowicz Aharon Jicchak 564
Aptowicz Amalia (z domu Wilner) 564
Aptowicz Nachum Ryszard 564
Aptowicz Szymon 564
Aran-Friedman Tova 29, 577
Arlozorow Chaim 124
Armer (rodzina) 72, 152
Armer (żona Armera Wolfa) 420
Armer Akiwa 461
Armer Jakub 461
Armer K. 82
Armer L. 82
Armer Mosze 461
Armer Nina (Nicha) 420, 422, 438
Armer Wolf 156, 461
Asz Szalom 76
Aszkenazi Avi 564
Aszkenazy 533
Aszkenazy Szurla 228
Attar Hamutal 549
Attar Ofer 549
Attar Ron 26, 549
Atterman (rodzina) 292, 358
Atterman (szklarz) 53, 216
Atterman (szynk) 53, 83
Atterman Hirsz 51
Atterman I. 83
Awerbuch Piwel 461
Awersman Abraham 108
Awersman Jakub 227
Aywas Franciszek 81
Azar Orna (z domu Shmuel) 27, 235, 578
Azar Tal 27, 235, 578
Baburkówna Maria 500
Bader Jan 124
Bakałarz Zeew 461
Balet Cwi 461
Balewska Renata 32
Bałaban Majer 88, 574
Bania (rodzina) 362
Baran (rodzina) 147, 148
Baraniecki R. 74, 82
Barber Sandel 461
Bargreta 106
Barnaś J. 82
Baron M. 82
Baron Szmuel 461
Baruch Izik 461
Baruch Sz. 82
Batko 148
Batory Stefan 86
Bąbała (nauczyciel) 531
Bąbała K. 83
Bąbała S. 83
Becher 304
Beck 391
Beczkowska Irena (z domu Horowitz) 73, 192, 199, 203
Beczkowska Zofia 203
Beidaff (rodzina) 163, 178
Beidaff Izrael Dawid (Srulek) 51, 59, 119, 174, 177, 178, 461
Beidaff Lieba (Polda) (z domu Friedman) 171, 172, 174, 178
Beirisz 473
Bejir Szmuel 461
Beldinger Szlomo 461
Bem Maks 461
Bem Maria 177
Bemerwald (Wysocka) Zofia (z domu Perlberger) 230, 234
Ben-Nathan Merav 549
Ben-Nathan Noa 549
Ben-Nathan Rami 26, 549
Ben-Nathan Uri 549
Ben-Nathan Yotam 549
Berber Rejzla 68
Berendes Mendel 461
Bereś Jadwiga (Heda) (z domu Horowitz) 199
Bereś Jerzy 199

Berger Jochewed 461
Bernstein Chaim 461
Bernstein Mojżesz 72
Bernstein S. 82
Bernstetter Izrael 461
Bezalel 482
Bialik Chaim Nachman 119, 122
Bienenstock (rodzina) 72
Bierczyński Tadeusz 82, 194
Bill-Bajorkowa Maria 23, 35, 241, 247, 313, 330, 331, 336
Birnbaum (rodzina) 11, 27, 28, 35, 146, 147, 358
Birnbaum Cwi 461
Birnbaum Fajga (z domu Wolf) 507
Birnbaum Giza 144
Birnbaum Hela 369, 534
Birnbaum Hirsz 50, 143, 365
Birnbaum Izaak (Iziek, Izio) 11, 16, 23, 26, 27, 30, 41, 50, 75, 101, 142, 143, 144, 148, 149, 155, 217, 241, 305, 357, 358, 363, 365, 367, 369, 370, 486, 530, 533, 534, 536, 537, 577, 578, 579
Birnbaum Józef 143
Birnbaum Paulina (z domu Perlberger) 143, 144
Birnbaum Pejga 461
Birnbaum Pinkas 143
Birnbaum Pnina 536, 538
Birnbaum Rita 144
Birnbaum Rózia 143
Birnbaum Zofia (z domu Distenfeld) 11, 26, 27, 143, 357, 533, 535, 536, 537, 538
Birnbojm Dawid Halewi 108
Bittmar F. 83
Blaser Fiszel 66
Blatt Jerzy 373
Blau Berl 54
Blaugrund Menasze Chaskiel 56
Blicher H. 83
Bloch Józef Samuel 115
Blumenfeld Szmelke 51, 156, 461
Blühbaum 330
Blühbaumowa 321
Bochenek P. 83
Bochenek Władysław 533, 534
Bochner (rodzina) 215
Bochner Mendel 56
Bodenstein Markus Dawid 15
Bodner Tuwja 461
Bogucka Irena (z domu Klein) 222, 457
Bogucki Jan 222
Bols 101
Bonaparte Napoleon 165
Borcuchowa 323
Borenstein Zalman 86
Borowicz Alfred (Fredek) 41, 73, 192, 193, 201, 203, 204, 574
Borzymińska Zofia 167, 575
Brand (Chaim) Henryk 489, 536
Brand Berenrad 461
Brand Dawid 461
Brandt 263
Brandys (rodzina) 156, 533
Brandys Golda (z domu Grunspan) 71
Brandys Joel Dawid 71
Brandys Mendel Mordke 71
Braun 82
Bref Izaak 461
Breit Andy (Izaak) 174
Breit Blanka (z domu Kaftal) 174
Breit Blima (Berta, Bluma) (z domu Friedman) 171, 172, 173, 174, 177, 178, 184
Breit Genne 174
Breit Izaak 173
Breit Mutal 461
Breit Olek (Joel) 173, 177, 178, 184
Brenner B. 82
Brenner Izrael 66
Brenner Jakub Lejb 56
Broniowski K. 83
Bronner Irena 32, 407, 574
Bru 349
Bruch (rodzina) 162
Bruch P. 53, 82, 224
Bruch Pinek 162
Brumer Ben Cijon 461
Brus (rodzina) 358
Brzoza Czesław 173
Buchführer Mosze 461
Buchner Mendel 461
Buchsbaum H. 83
Buchstel Szmuel 461
Buksbojm Mordechaj Cwi 461
Burnowa 326
Cepak T. 82
Chabior-Opidowicz Agata 32
Chmiel Stefan 200
Chmielecki Andrzej 575
Chmura Irena (Chmurowa) 493, 494, 496, 497
Chmura Wanda (Chmurówna) 493, 494, 496, 497
Cholewina 70
Chopin Fryderyk (Szopen) 408
Chrzanowski 285
Chwalba Andrzej 165, 574
Cimlam Pinkas 106
Colerus Egmont 292
Colosetti S. 83
Colosetti St. 82
Cyganiewicz Władysław 225
Cząstkiewicz 376
Cząstkiewicz Marian 375, 376
Czech Józef 54, 79, 574
Dam Jakub 124, 126

Danielak 111
Dante Alighieri 351
Danzig S. 82
Danzig Szlomo 461
Danzig Szmuel 461
Dawidowicz 219
Dawidowicz Arje 461
Dawidowicz Eisig 73, 102
Dec Bronisława 203, 204
Dekel Nica (z domu Ofer) 29, 122, 235, 539, 577, 578, 579
Dembitzer A. 82
Dembitzer Aleksander 59, 461
Dembitzer Izrael 63
Dembizer Beniamin 461
Dembizer S. 83
Deutscher 461
Dębowska A. 82
Dietze I. 83
Dimta 106
Distenfeld Ida 537
Distenfeld Izaak 537
Dobrowolska Bogumiła (Bosia) 523, 524
Dobrowolska Danuta 359
Dobrowolski 394
Dobrzańska M. 83
Dolewka Maria 191, 531
Domarecki 388, 389, 390
Domin 204
Dominitz Salomon (Szlomo) 50, 83, 461
Dreyfus Albert 57
Drożdż Eleonora 54, 64, 203
Drożdż Tadeusz 203
Drożdż Władysława 30, 41, 203
Dubnow Simon 88, 574
Duda Jadwiga 31, 574
Dunikowski Leon 82
Durak 316
Durek M. 82
Duszczyńska Wanda 283, 285, 286, 497, 498
Duszczyńska Zofia 283, 284, 285, 286, 287, 493, 497, 498
Dwor Harid 564
Dyds Windham 122
Dygdoń 82
Dymek Dorota 30
Dymek Piotr 30
Dynowski (rodzina) 319
Dyrkacz 147
Dziuba Jolanta (z domu Bemerwald (Wysocka)) 234
Ebersman (rodzina) 53, 72, 150
Ebersman Abraham 101, 102
Ebersman E. 83
Ebersman Jakub 58, 101, 102
Ebersman S. 82
Edelman Marek 21, 575
Ehrenhalt Dawid 67
Ehrenpreis (rodzina) 172
Ehrlich Adolf 392
Einchornowa Laura 505
Einhorn (rodzina) 223
Einhorn Eliasz 213, 214, 349, 550
Einhorn Henryk 214
Einhorn Józef 83, 213, 215, 222
Einhorn Rozalia (z domu Weinberger) 213
Einhorn Sala 214
Eisan Meir 83, 461
Eisana Jecheskiel 461
Eisen Meir zob. Aisen Meir Chaim
Eisen R. 82
Eisenbach Artur 165, 574
Eisland Iziek 292
Ejzen 326
Ekier Janina 27, 241, 439, 441, 574
Elenberg Aharon 461
Eluwil Amil 461
Engel E. 82
Englender Jehiel 123, 124
Epstein Leopold 79
Erb Niusiek 554
Erenburg Ilja 390
Esterman Cwi 461
Falberger Szymon 108
Falek Abraham Meir 571
Falek Efraim 571
Falk Josef 461
Falkenhausen 524
Fallek Leon 82
Farber Dawid 461
Farber Jakub 461
Farber Maks 142, 229, 357, 536, 538
Farber Riesela 229, 237, 238
Farelberger Izrael 461
Farelberger Jehoszua 461
Farelberger Mosze 461
Farelberger Szmuel 461
Farellit Abraham 461
Farlewarger Hirsz 108
Fass Ch. 83, 216
Federgrin Izik 461
Federman Mendel 66
Feig Cwi 461
Feig Jakub 461
Feig Mendel 461
Feigenbaum Chiel 53
Feigenbaum M. 82
Feigenbojm Chaim 461
Feigenbojm Jechiel 461
Feigenbojm Mosze 461
Feiwebs P. 82
Feldblum 137
Feldhorn Juliusz 414
Feldman (adwokat) 157
Feldman 116
Ferlberger Cwi 106

Fihauser 169
Fikelstein Zygmunt 461
Finder Bronka 234
Finder Fridka 234
Finder Gizela (z domu Perlberger) 234
Finder Jakub 234
Finder Janek 234
Finder Maniek 234
Fisch R. 83
Fiszler 539
Fiszler Cesia 539
Fiszler Idit 539
Fiszler Josef 461
Fitowski (rodzina) 362
Fitzke (rodzina) 135
Fitzke Bronisława 518
Fitzke Jan (syn) 517
Fitzke Jan 517
Fitzke Maria (z domu Gorgoń) 517
Flachs 53
Flachs W. 83
Flak J. 83
Fleischer Michael 309
Fleiszer Julian 241, 335
Flik Meir 461
Flukowska Maria 276
Flukowski Stefan 276
Flumnenhefd Hirsz 461
Folk (rodzina) 46
Forssander Krystyna 31
Förster S. 82
Franciszek Józef I 110, 183
Franco Francisco 407
Frank Hans 247, 290, 330, 335, 366, 394
Frankel Simon 168
Frankel Zygmunt 170
Frankowski 146, 147, 360
Freidenfeld Cwi (ojciec) 461, 481
Freifeld Jehoszua 487
Frenkel (rodzina) 60, 61, 62, 87, 123, 405
Frenkel B. 82
Frenkel Baruch (Bubek) 200, 201
Frenkel Berel-Dow 461
Frenkel Berl 59
Frenkel Chaskiel 62
Frenkel Chaskiel Szaja 60, 61, 62, 87
Frenkel Dawid 61, 341
Frenkel Drezel 61
Frenkel Frymet 61
Frenkel Giza (z domu Rosenzweig) 41, 175, 185, 187, 229, 237
Frenkel Ittel (z domu Halbersztam) 61
Frenkel Izaak 60
Frenkel Jachmed 61
Frenkel Jakub 60
Frenkel Jecheskiel 461
Frenkel Jecheskiel Szraga 87, 108
Frenkel Kubek 327
Frenkel Leon 175, 185
Frenkel Lewi 14, 21, 41, 124, 125, 538
Frenkel M. 60
Frenkel Ozjasz Feiwel (Szyja) 60
Frenkel Pinkas Löbl (Lejb) 61, 62, 71, 73, 87, 150, 339, 340, 341, 344, 345, 352
Frenkel Pinkas-Arie 461
Frenkel Ruchla (z domu Parnes) 62
Frenkel Samuel 86
Frenkel Samuel Szmelke 87
Frenkel Sara 61
Frenkel Schmelke (syn Pinkasa) 62
Frenkel Schmelke 60, 61, 71, 73, 102, 172
Frenkel Simon 168
Frenkel Stella (Stelka) 185, 187
Frenkel Szymon 60
Frenkel Szymon Alter 60
Frenkel Szymon z Pogórza 60
Frenkel Taube Ruchel 61
Frenkel Zygmunt (Bobek) 185, 187
Frensel (Frenzel) 246
Freyowa 401
Friedberg Gwido 54, 55, 71, 79, 82
Friedberg Halina 71
Friedenfeld Meir 132, 481
Friedland Michael 560
Friedland Noa 560
Friedland Omri 560
Friedland Tamar 560
Friedlich (rodzina) 72
Friedman (rodzina) 29, 30, 49, 50, 51, 87, 119, 145, 163, 165, 171, 172, 175, 176, 177, 178, 182, 184, 186, 197, 323, 405, 574
Friedman Abraham 167, 168, 172, 181
Friedman Alfreda (Figa) zob. Friedman-Künstler Alfreda (Figa)
Friedman Arie 87, 167, 170, 172, 173
Friedman Bluma (Berta) zob. Breit Bluma (Berta)
Friedman Bronisława (z domu Licht) 119, 174, 177, 186, 187, 189, 270, 274, 405, 458, 533
Friedman Eleonora (Lena) 174, 177, 186, 187, 189, 190, 277
Friedman Eliasz Cwi 97
Friedman Eliasz Hirsz (Elek, syn Markusa Motka) 174, 182, 186, 187, 189, 275, 276, 530
Friedman Eliasz Hirsz (Elek, syn Salomona) 175, 186
Friedman Eliasz Hirsz 54, 58, 79, 82, 83, 123, 164, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 175, 181, 182, 183, 326
Friedman Estera Lea (z domu Rapaport) 172
Friedman Eva (z domu Gross) 174
Friedman Frieda Gittel (Giza) (z domu Licht) 174, 177, 190

Friedman Hirsz 82, 165, 166, 167
Friedman Izrael Szymon (Lulek) 175, 185, 186, 187, 442
Friedman Małka (z domu Guttman) 167, 172
Friedman Markus (Motek) 170, 171, 172, 174, 177, 186, 189, 190, 461
Friedman Rachela (z domu Hirschfeld) 168, 169, 172, 175, 182, 238
Friedman Salomon (Szlamek, Szlomo) 171, 172, 175, 186, 187, 189, 461
Friedman Scheldon 174
Friedman Syma Elka (z domu Backenroth) 175, 185, 186
Friedman Wolf 171, 172, 173, 476
Friedman-Künstler Alfreda (Figa) (pseud. Poison Marie, Boguszewska Alina) 28, 41, 174, 186, 187, 189, 241, 271, 274, 275, 276, 458, 522, 529, 530, 577, 578, 579
Frifeld Abraham 461
Frister 123
Fryt Edek 200
Fryt Franciszek 83, 216
Fryze Stanisław 185
Gaczoł Andrzej 30, 517, 518, 519, 577, 578, 579
Gaczoł Anna (z domu Fitzke) 516, 517, 518, 519
Gafni Miriam (z domu Sztrojsberg) 41, 139, 140
Gafni Sara (z domu Sztrojsberg) 41, 139
Galicer Naftali Hirsch 63
Galinman Kalman 461
Gamoń A. 83
Gamoń K. 83
Garfunkel Milka 502
Gargul Władysław 59, 82, 209
Garycki Kazimierz 55, 67
Gasiński B. 83
Gasiński Kasp. 83
Gawęda Helena (z domu Wiązownicka) 515
Gawęda Katarzyna 514
Gawęda Maria 27, 30, 509, 515, 578, 579
Gawęda Stanisław 44, 247, 262, 269, 515, 576
Gazek J. 83
Gąsowski Tomasz 166, 574
Gelband Amalia 31, 396, 398, 399
Gelband Zygmunt 31, 241, 396, 397, 398, 399
Gelles 320
Geminder (rodzina) 150, 152, 155, 229, 259, 326
Geminder Izaak 462
Geminder J. 83
Geminder Szalom 462
Geminder Szindel 462
Gemrot Alicja 502
Gemrot Salomea 501, 503, 504, 575
Gerber Izaak 461–462
Gerstner (rodzina) 266
Gerstner Arje-Lejb 462
Gilbert Martin 39, 293, 574
Gilzel 123
Ginczanka Zuzanna 407
Giza 82
Gleitman F. 83
Gleitzman Rubin 96
Glizman Rubin 462
Głuchowski Piotr 13, 574
Gniadek 155
Goethe Johan Wolfgang 92, 414
Golczyk J. 81
Gold (rodzina) 46, 197, 482
Gold A. 83
Gold Markus 51, 53, 59, 83, 197
Gold Mordechaj 462
Goldberger A. 83, 155
Goldberger Emil 155
Goldberger Michał 462
Goldberger Mosze 462
Goldheimer (rodzina) 385, 386
Goldlust Eliezer 83, 462
Goldman Golda (z domu Perlberger) 160
Goldman Hirsz 82, 83,157, 160, 462
Goldschmied Baruch 71
Goldschmied Hinda (z domu Arjan) 71
Goldschmied Sara Lea 71
Goldsmidt B. 82
Goldstein (rodzina) 46, 156, 349
Goldstein Efraim 15, 82, 156, 197, 198, 326
Goldstein Idek 217, 349
Goldstein Jehoszua 82, 462
Goldstein Josef 462
Goldstein Meir 462
Goldstein Mosze 462
Goldstein Zelig 241, 349, 363, 447, 536
Górak 82
Gos Michael 462
Goskind Saul 416
Göth (Gett) Amon 273, 354, 400, 507
Gottfreund 124
Gottlieb Dawid 334
Gottowt 423, 425, 428, 429, 430, 431, 434
Götz-Okocimski Antoni 221
Götz-Okocimski Jan 221
Grądzki Jan 32
Greenbaum 167
Greschler 409, 411
Gromada 327, 328
Gromek Maria 30, 577, 579

Grosman Cwi 462
Gross (rodzina) 358
Gross Chana (z domu Perlberger) 306, 310
Gross Feliks 174
Gross Jakub 462
Gross Mendel 485
Gross Naftali 83, 97
Gross Prywa (z domu Beidaff) 174
Grossman Meir 116, 124
Grossman S. 83
Grosz George 414
Grubecki B. 83
Grubecki S. 83
Grubner Szlomo Wolf 462
Gruenberg Julian (Julek) 552
Grünbaum Chaim 462
Grünbaum F. 82
Grünwald Elżbieta (Elke) (z domu Schwarzwald) 194
Grünwald Karol (Kopel) 194
Grynberg Henryk 12, 574
Grzebielucha J. 82
Grzegorczyk A. 83
Grzyb Katarzyna 523
Grzywacz Feliks 282, 349
Grzywacz Jan 330
Grzywacz Stefania 203
Grzywacz Władysław 74, 78
Gutman 124
Gutman Nathan 28, 32, 241, 349, 442, 443, 446, 574, 579
Guttman Rachela 168, 172
Guttman Salomon 168, 172
Guzik 153
Guzik Jan 147, 218
Guzik Janina 69
Guzik Zofia 373
Halbersztam (rodzina) 60, 87
Halbersztam Chaim Baruch 62, 167
Halbersztam Jecheskiel 167, 169, 170
Halbersztam Naftali 61
Halbersztam Rachela 61
Halbersztam Szlomo 509
Halko Michał „Harkuz" (Halków) 67, 250
Hampal J. 83
Handberger Brisz 462
Handberger Jecheskiel 462
Handberger Pesaja 462
Handberger Szlomo Lejb 462
Handwerk Chaim 150
Handwerk Dawid 152
Hanula Franciszek 500
Hanula Zbigniew 224
Hartabus Stefan 366
Hasenlauf Abraham 462
Händler 124, 126
Händler Pinkas 53, 74, 83, 124, 126, 197, 458, 462
Haubenstock Roman 530
Heart Blanche (z domu Reichental) 234
Heart Henry 234
Heiman A. I. 105, 106
Heine Heinrich 92
Heinrich Herman Hubert 39, 248, 304, 308, 332, 378
Hejblum Abraham Mosze 462
Heler Abraham 462
Heller Matylda (z domu Perlberger) 144, 305
Hemer Chaim 462
Hemer Szlomo 462
Hendier Chaim 59
Henig Chaim 462
Herbst Ancel 462
Herbst Sz. 82
Herstahl (rodzina) 72, 152
Herstahl Eliezer 462
Herstahl Wolf 102, 154, 156, 162, 462
Herzl 92, 97, 110
Hilfestein Mosze 462
Hiller Matylda 57
Hinder 53
Hipschfeld Samuel 73
Hirsch (rodzina) 72, 115
Hirsch A. 116
Hirsch Adolf 59, 76, 82, 83, 97, 115, 293
Hirsch de Maurice 57
Hirsch Gienia 282
Hirsch Herman 54, 81, 82, 219
Hirsch Julek 200
Hirsch Salomon 66
Hirschfeld (rodzina) 169
Hirschfeld Eliasz 174
Hirschfeld Estera (z domu Friedman) 171, 172, 173, 174
Hirschfeld Felicja 174
Hirschfeld Markus 168, 172
Hirschfeld Prywa (z domu Rakower) 168
Hirschfeld Rachela Tila 174
Hirschfeld Samuel 173, 174, 175
Hirszfeld Szmuel 462
Hitler Adolf 199, 257, 289, 291, 378, 454, 554
Hitler Alois 554
Hitler Klara 554
Hoffman Bruno 51
Hoffman Ruth (z domu Birnbaum) 27, 538
Hofmann 299
Hofrat Mendel 462
Hofsteter Romek 137
Hofstetter Fela (Felusia) 419, 429, 438
Hofstetter Francis 419, 428, 429, 438
Hofstetter Liba (Libka) 419, 420, 423, 424, 429, 438

Hofsztandter 116
Holcer Henoch 41, 123, 124
Holcer Mendel 462
Holender Maria 263, 383
Hollander Menasze 241, 307
Homberg Naftali Herz 88
Homer 13
Hońdo Leszek 30, 68, 563, 579
Hönig (rodzina) 53
Hönig (z domu Perlberger) 160
Horman Jonasz 67
Horobik Maria 55, 66, 74
Horowitz (rodzina spokrewniona z Seidenfrauami) 210
Horowitz (rodzina) 30, 32, 162, 192, 193, 194, 203, 204
Horowitz Alfred zob. Borowicz Alfred
Horowitz Aurelia (Rela) (z domu Sokal) 199
Horowitz Bluma (z domu Seidenfrau) 210, 211, 290, 293, 294
Horowitz Dawid 210, 211, 290, 293
Horowitz Hersz 194
Horowitz Irena zob. Beczkowska Irena
Horowitz Jadwiga zob. Bereś Jadwiga
Horowitz Lieba Jecheta (z domu Gronner) 194
Horowitz Ludwik 199
Horowitz Maria (Mirl) (z domu Grünwald) 73, 192, 193, 195
Horowitz Mojżesz (Maurycy) 54, 64, 73, 79, 82, 119, 121, 157, 170, 192, 194, 195, 196, 204, 462
Horowitz Olga zob. Pamm Olga
Horowitz R. 82
Horowitz Regina 194, 199
Horowitz Róża zob. Schefer Róża
Horowitz z Nowego Sącza 214
Horowitz Zygmunt 199
Hujar Albert 355
Huppert (rodzina) 69
Huppert Chawa (z domu Laksberger) 69
Huppert Eliazar 69
Huppert Leisor 69
Huppert Samuel Löbl 69
Idzi (legat papieski) 181
Isakiewicz Elżbieta 27, 439, 574, 575
Isbih Yocheved 31
Iskra 155
Jabłońska Wł. 82
Jabłoński (rodzina) 455
Jabłoński Jan 30, 32, 241, 449, 455, 574
Jackowski Jan 534, 535
Jagielski Andrzej 180, 188, 224
Jagielski Jan 31
Jagielski Józef 196
Jagła 163
Jakimyszyn Anna 22, 24, 25, 30, 35, 41, 43, 79, 87, 101, 102
Jakubowicz Mundek 541, 543
Jakubowicz Tadeusz 31
Janaer Abraham 106
Janicka Elżbieta 19, 574
Janiszewska Aleksandra 32
Janton (rodzina) 275, 529
Janus 323
Januszkiewicz S 83
Jarblum Izaak 462
Jarosz 223
Jarosz W. 83
Jarosz Zdzisiek 224
Jarzębiński E. 83
Jasiński P. 82
Jecheskiel z Sieniawy (rabin) 87
Jedlin Hela (z domu Seidenfrau) 291, 559
Jedynak (rodzina) 534
Jedynak Józef (pseud. Dziadek) 359, 362, 366, 367
Jedynak Józefa zob. Panuszka Józefa
Jedynak Wanda 369
Jeleński Szczepan 291
Jędrzejczyk 146, 147, 148
Joachimsman (rodzina) 72, 150, 219, 348, 550
Joachimsman Efroim (Efraim) 79, 462
Joachimsman Roman 83, 462
Joachimsman Salumia 462
Joachimsman Sara 15
Joachimsman Szmuel 462
Jodłowski Antoni 44, 86, 181, 576
Joker Szmuel 462
Joles 355
Jordan A. 83
Josefsthal Izrael 51
Józef II 88
Józefowicz 223, 457
Jurczyński 200
Kaczor Stanisław 51, 55, 77, 78
Kaczorowa Erna 319, 323
Kaftal Natan 462
Kaganowicz Łazar 390
Kahn Helena (z domu Landau) 321
Kamel 462
Kamer Izrael 542
Kamer Liber 542
Kamer S 82
Kameraz-Kos Ninel 63, 75, 574
Kamińska 496
Kampel R. 83
Kanar Mosze Jakub 462
Kaplan Neil 29, 578
Kaplan Zeew 123
Kara 178
Karaś J. 82
Karpfowa 188

Karzlich 74
Kasprzycka 155
Kasprzyk Andrzej 31, 578, 579
Kasprzyk Stanisław 15, 31, 49, 54, 197
Kaszowska Stefania 54
Kasztan Mosze 462
Kaszycki 200
Katz 15
Katz Feibisz 462
Katz Fryda (Zosia) zob. Alster Fryda
Kästner Erich 414
Kelersbojm Lejb 462
Kelner 133
Kempler 155
Kempler Noach 462
Kepler (rodzina) 388
Kincler 462
Kirszbaum (rodzina) 531
Klapa W. 82
Klein 324
Klein Chaim 462
Klein I. 481
Klein Jakub 133
Klein Kazimierz 221
Klein Krzysztof 225
Klein Waleria 220, 221
Klein Wanda (z domu Mehoffer) 221, 223
Klein Wiktoria 220
Klein Wilhelm 221
Klein Wojciech 24, 30, 41, 220, 221, 223, 225, 241, 457, 515, 578
Kleinberger (rodzina) 26, 147, 354
Kleinberger Abraham 213
Kleinberger Alisia 442, 571
Kleinberger Bernard (Benek) 212, 215, 350, 546
Kleinberger Fela 213
Kleinberger Hela (z domu Wolf) 26, 354, 545, 547, 548, 549
Kleinberger Hela zob. Łapa Hela
Kleinberger Helena 354
Kleinberger Israel 213, 354
Kleinberger Izaak 213, 354, 355
Kleinberger Maria (z domu Einhorn) 147, 212, 348, 350
Kleinberger Nathan 22, 25, 26, 41, 212, 213, 221, 222, 241, 340, 347, 348, 350, 545, 546, 549, 578, 579
Kleinberger Rebeka 213, 354, 355, 549
Kleinberger Sala 212, 215, 216, 348, 350
Kleinberger Szmuel (Samuel) 213, 462
Kleinberger Zygmunt 147, 148, 212, 215, 217, 347, 348, 350, 351,352, 353, 354, 355, 356
Kleinberger-Attar Miriam 26, 549
Kleinman 363
Kleinman Abraham 462
Kleinman Mosze 92
Kleinman Tsipora (z domu Geminder) 11, 41, 62, 65, 99, 102, 131, 227, 488
Kligier 215
Klimczyk Stanisław 200
Klimek (rodzina) 385, 388
Klimek Władysław 385, 386
Kling Barbara zob. Seidenfrau Barbara
Klinger Aharon 462
Klinghofer (rodzina) 29, 53, 72, 547
Klinghofer Berta zob. Rakower Berta
Klinghofer Cyla zob. Schreter Cyla
Klinghofer Dawid (brat Moszego) 539
Klinghofer Dawid (kuzyn Moszego) 539
Klinghofer Jozue (Jehoszua) zob. Ofer Jehoszua
Klinghofer Mosze (Mojżesz, Maurycy) 25, 27, 29, 53, 59, 68, 82, 83, 119, 138, 214, 216, 226, 230, 231, 232, 233, 235, 236, 539
Klinghofer Osi 539
Klinghofer Regina 539
Klinghofer Roza 539
Klinghofer Sara (Salomea) (z domu Perlberger) 214, 230, 232, 233, 235, 539
Knapikówna 204
Kohen Elimelek 462
Kolbowa 224
Kołacz Grzegorz 32, 574
Koper Mordechaj 363
Kopera 223, 347, 458
Kordula W. 83
Koren Dawid 462
Koren Mordechaj 462
Korenhus Dluma 462
Korn 218
Korn Dawid 51, 82
Kornhauser (rodzina) 157
Kornhauser Izaak 82, 462
Kornhauser J. 465, 479
Kornhauser Jakub Dawid 70
Kornhauser L. 82, 83
Kornhauser Lejbusz (Lejb) 462, 479
Kornhauser Leon 82, 83
Kornhauser Rywka (z domu Ferster) 479
Kornhauser Z. 83
Kornhazer Cwi 462
Korpak 146
Korpak A. 83
Korpal 319
Korzec Magdalena 169, 574
Koss (rodzina) 539
Koss A. 82
Koss Eisig 15

Koss Izik 462
Kossak Juliusz 183
Kossak-Szczucka Zofia 497
Kosuwa 473
Kot M. 82, 222, 224
Kowalczyk 389
Kowalska 222
Kowalski (rodzina) 215
Kowalski Marcin 13, 574
Koza 320
Kozik Kazimierz 31
Kozioł Artur 31
Königsberger (rodzina) 16, 197
Königsberger Ch. 83
Königsberger Chaskiel 57
Königsberger Edward 54, 57
Königsberger Henryk 16, 486
Königsberger Herman 16, 54
Königsberger Hugo 76, 462
Königsberger Jecheskiel 462
Königsberger Leon 54
Königsberger M. 83
Königsberger Maurycy 16
Königsberger Mosze 462
Königsberger Róża (z domu Ehrlich) 57
Königsberger Samuel Schabse 54
Krakower Abraham 462
Krasnowolski Bogusław 55, 61, 64, 68, 86, 87, 167, 246, 250, 326, 398, 563, 575
Kraus 124
Kraus 124, 126
Kraus adwokat 542
Kraus Izaak 54
Kraus Izrael 462
Kraus J. 83
Kraus Mosze 83, 462
Kraus S. 83
Krauze 82
Krauze Józef 16
Krewer 261, 262, 318, 328
Kriger Charon 462
Kriger Szalom 462
Kriman Dawid 462
Kriman Izaak 67
Kriman Wolf 67
Kronfeld 101
Kronfeld Andrzej 462
Kronfeld Ida 15, 445
Kronfeld Sara Adela 15
Krupnik Baruch 88
Kryński 200
Krzanowski Wł. 82
Krzeczkowska Anna 29, 36, 85, 115, 159, 189, 193, 203, 275, 343, 371, 375, 443, 479, 481, 487, 501, 517, 521, 529, 541, 551
Krzemień F. 83
Kubała 217
Kucharska 398
Kulczykowski Mariusz 57, 574
Kuloser Mordechaj 462
Kummer E. 82, 83
Kunde Wilhelm (Willy) 39, 248, 299, 308, 331, 335, 378
Kupfenberg L. 542
Kupler 123
Kurek Józefa 67
Kurowski Piotr 24, 575
Kursa (rodzina) 401, 402, 406
Kursa Antoni 401
Kurski Jarosław 19, 20, 574
Kurz Meilech 62
Kutrzeba Justyna 29, 30, 35, 41, 50, 97, 165, 186, 574, 578
Kuwałek Robert 39, 574
Kuzaj 156
Küchler (rodzina) 53, 135, 516, 519
Küchler Eliasz 15
Küchler Elijahu 462
Küchler Emil 516, 518, 519
Küchler Ester 257, 259
Küchler F. 266
Küchler Fela 469, 476
Küchler Helena 518
Küchler Lena zob. Küchler-Silberman Lena
Küchler Markus (Motek) 147, 538
Küchler Miszka 218
Küchler Salomea zob. Nessel Salomea
Küchler Szmuel (Szymon) 217, 518
Küchler-Silberman Lena 41, 138, 214, 231, 236, 241, 246, 257, 469, 538, 575
Künstler Jenny 532
Künstler Leon 532
Künstler Lior 532
Kwalwasser 156
Kwarciakówna 147
Kwerko M. 82
Labin (rodzina) 143
Lajzer (rodzina) 69
Laksberger Chawa zob. Huppert Chawa
Landau (rodzina) 322
Landau Eidel Dobe 317
Landau Zygmunt 299, 315, 316, 317, 318, 319, 321, 322, 330
Landoj Lipa 462
Langer Dawid 462
Lanzerer Sussel 70
Lapid Iris 560
Lapid Roni 560
Lapid Yoram 560
Lasatowicz B. 83
Lasotowicz A. 83
Laulicht (rodzina) 72, 473
Laulicht J. 82
Lauzarer F. 83

Lawiczer S. 82
Lax (rodzina) 35, 46, 72, 78, 379, 522, 523, 524, 526
Lax Adolf 78, 522
Lax Albina (Bisia) (z domu Seidenbeutel) 78
Lax Alfred (Oko Adam) 28, 77, 241, 375, 377, 378, 380, 381, 522, 523, 527, 528, 552, 575, 577, 578, 579
Lax Celina zob. Tadanier Celina
Lax Golda (Dziuńka) zob. Licht Golda (Dziuńka)
Lax Henryk Marceli 78, 520, 522
Lax Izrael 42, 53, 77, 83, 87, 462
Lax Laura 522
Lax Majer (Meir) 79, 462
Lax Oskar 77, 78, 119, 335, 355, 379, 462
Lax Ryszard 78, 355, 379, 530
Lazar Menahem 92
Leaton Roman (Licht) 27, 78, 119, 187, 189, 191, 217, 349, 379, 442, 522, 523, 524, 525, 528, 530, 531, 552
Lechoń Jan 408
Lefeholz 197
Leichtal 87
Leipold Josef 449
Leitner J. 83
Lenacrer Piwel 462
Lenkowic Dawid 462
Lepelholc Chaim 462
Lepelholc Kiwa 462
Lepelholc Samuel 462
Lephelholtz 91
Lerner Izaak 462
Lerner Jakub 483
Leserkiewicz R. 82
Lesiak-Przybył Bożena 32
Leśmian Bolesław 406
Leuchter Alon 560
Leuchter Aviv 560
Leuchter Lior 560
Leuchter Magda (z domu Blatt) 26, 560
Leuchter Shahaf 560
Leuchter Susie 560
Lewin (rodzina) 173
Lewin Aaron 173
Lewin Doba (z domu Friedman) 171, 172, 173
Lewin Markus 173
Lewin Natan 173
Lewin Szmuel 173
Lewinberger 138
Lewko 86
Lezerkowic Abraham 462
Lezerkowic Dawid 462
Lezerkowic Henryk 462
Lezerkowic Jakub 462
Licht (rodzina) 35, 171, 189
Licht 115
Licht Ala 276
Licht Balka zob.Schnur Balka
Licht Bronisława zob. Friedman Bronisława
Licht Dawid 119, 190
Licht Eliasz (Olek) 78, 83, 119, 187, 190, 191, 355, 379, 522, 523
Licht Frymeta 190
Licht Golda (Dziuńka) (z domu Lax) 78, 119, 379, 522
Licht Henek 190
Licht Jecheskiel 462
Licht Józek 190
Licht Lajcia 190
Licht Mojżesz (Mosze) 53, 83, 190, 191, 462
Licht Roman zob. Leaton Roman
Licht Siolek 190
Licht Szaul 462
Liebersbach A. 83
Liebling Ferdynand 199
Liebling Małgorzata (Greta) (z domu Schefer) 199
Lifschitz (rodzina) 210
Lifschitz Helusia 210
Lifschitz Henryk 210
Lifschitz Majer 209, 210
Lifschitz Sala (z domu Seidenfrau) 209, 210, 237
Liket Józef 126
Lindenberg Henryk 495
Linet Eliahu 462
Linzer Witte 72
Lipa Gizela 462
Lipa Kirsz 462
Lipa Wolf 462
Lipszyc 400
Liter 462
Litwiński J. 82
Loch Marian 200
Lonberg Mojżesz 124
Lopez Siria 518
Lophelholtz 91
Löffelholz Ch. 82
Löffelholz D. 83
Löffelholz Samuel 101
Lubitsch Ernst 408
Lubomirski (rodzina) 44, 86
Luftig (rodzina) 282
Luftig Anna 281, 282
Luftig Henryk 497
Luftig Pesach 282
Luliket Jakub 462
Lunberg 462
Luria Salomon 172
Lusgarten (rodzina) 138
Lusgarten Moniek 138
Lusgarten Srulek 138

Lustig Stefania 317, 318
Łapa Hela (z domu Kleinberger) 213, 354, 355, 549
Łapo W. 83
Łukaszewicz 386
Łuszczkiewicz Maria 31, 577, 578
Łuszczkiewicz Mich. 82
Machaczka W. 83
Maisels Dow Ber 86
Majerhoff Anita 234, 284
Majerhoff Blanka 234, 281, 284
Majerhoff Henryk 234
Majerhoff Stefan 234, 284
Major Zygmunt 200
Majski 488
Majtyka Marian 15
Malec Franciszek 246
Małecki Aleksander 542, 543
Małeta Alicja 25, 32
Malinowski K. 83
Malon Cwi 462
Malon Frel 462
Mana Izaak Rafael 462
Mandel Berisch 67, 97
Mandel Jakub 66, 82
Manne 318, 319
Manne J. 83
Manne P. 82
Marecki Piotr 32
Margolis Mosze 462
Marguiles Aron 53
Margulies Mojżesz 59
Markowski 156
Matyka Józef 55, 456
Maus 440
Mazurkiewicz A. 82
Mazurowski Paweł 243, 246, 254, 256, 328, 348
Meachel Jehoszua 462
Mehl S. 83
Mehl Szymon 51
Mehoffer Maria 223
Mehoffer Zofia 223
Melcar 462
Melcar Abraham 462
Melcar Izrael 462
Meler 462
Melzer 197
Melzer N. 82
Melzerowa 323
Menacek 462
Mendel Mosze 462
Mendelbojm Aszer 462
Mendelbojm Brisz 462
Mendelsohn Chawa 572
Mendelsohn Israel 572
Mendelssohn Mojżesz 88
Mes Iro 62, 102
Mesinger Mosze 462
Michalewicz Jerzy 45, 61, 67, 575
Michnik Adam 18, 19, 33, 575
Miczyńska Kazimiera 519
Miczyński (rodzina) 215
Miczyński Z. 82
Międzobrodzka Małgorzata 449
Milner Mordechaj 462
Mindelgrin Mendel 462
Miziołek 362
Młynek Ludwik 138
Molkner (rodzina) 195
Molkner 54
Molkner Wł. 82
Mosze Izrael 97
Mozes Mosze 462
Mróz (rodzina) 354
Mucha Jan 200
Munzen 299
Mülendorf I. F. 86
Müller 398
Müller Bolek (Jan) 366
Müller dr 462
Müller E. 83
Müller Josef Franz 372, 462
Müller L. 83
Müller Pinkus 51, 83, 169, 462
Müller Rózia 366
Müngelgrün M. 83
Mydlarczyk 156
Mydlarczyk M. 82
Mytkowska Joanna 73, 575
Nachet 462
Nardeman Herszel 462
Nattel 295
Nawencel Baruch 462
Nawencel Izaak 462
Nawrot 157
Nehbenzahl Baruch 59, 66
Nehrebecki Lucjan 492
Neiger (rodzina) 476
Neiger K. 82
Nes Meir Baal 117
Nessel Salomea (z domu Küchler) 518, 519
Neugebauer Viki 554
Neuman 462
Neuman Szmuel 462
Nichtberger 462
Nichthauser Mojżesz 72
Nodzyńska Maryanna 15
Nodzyński Piotr 15
Nordau Max 92
Nowak Jan 372
Nowak Józef 46, 76, 77
Nowakowska Wanda 203
Nowicki 388, 389, 390
Nusbaum 53
Ofen Stanisław (Staszek) 217, 218
Ofer Dindi zob. Shomroni Dindi
Ofer Hinda (z domu Waksman) 122, 235, 539

Ofer Jehoszua (Jozue) 12, 41, 76, 77, 114, 115, 122, 127, 128, 129, 138, 214, 232, 233, 235, 488, 538, 539, 550
Ofer Nica zob. Dekel Nica
Ofer Noam 122, 235
Oganesov Anna zob. Sznur-Oganesov Anna
Oko Adam zob. Lax Alfred
Okoński Franciszek 372
Okulski A. 83
Olczak Magdalena 21, 575
Olszewski Władysław 81
Orbach R. 82
Ornat Wojciech 29
Osenberg Szaul 462
Ostrowski Henryk 57, 521
Otowska 215
Ozga J. 82
Ozminkowski Violetta 21, 575
Pachoński Tad. 82
Paciorkowski L. 82
Pacuro H. 82
Paderewski Ignacy 408
Pająk Kazimierz 44, 86, 575
Pajor Maria 362
Palek Estera 205
Palek Genia 205
Palek Kawe 205
Paliborski Izaak 66
Palmowska R. 83
Palmowska R. 83
Pałczyński 74
Pamm André 203
Pamm Olga (z domu Horowitz) 192, 199, 203
Pamm Wera 203
Pamper Szmuel 462
Pamuła 162
Panuszka Józefa (z domu Jedynak) 367
Panuszka Wiktor 369, 534
Panzer N. 82
Parnes Chaim 62
Parnes Helena (z domu Halbersztam) 62
Pas Herszel 462
Paszkot Maria 47, 251, 276, 376, 379, 380, 382, 523
Pawlik Henryk 76
Pawlik W. 82
Pawłowska Iwona 575
Pelc Tadeusz 200
Pelcar Jakub 462
Pelcar Meir 462
Pelz J. 82
Perbroth Abraham 51
Perlberger (rodzina garbarzy) 27, 29, 35, 51, 123, 133,146, 147, 156, 162, 171
Perlberger (rodzina z Klaśnieńskiej 28) 50, 143,156
Perlberger (rodzina z pl. T. Kościuszki) 27, 29, 72, 171, 284
Perlberger Aleksander 144, 153, 364
Perlberger Chaim Szymon 101
Perlberger Cwi 106
Perlberger Czesława 153, 357, 364, 534, 535
Perlberger Dorek 230, 234
Perlberger Ester Maria 234
Perlberger Hanna (Hania) 230, 234
Perlberger Helena (córka Salomona) 234
Perlberger Helena 144
Perlberger Henryk (syn Salomona) 234
Perlberger Henryk 234
Perlberger Henryka (Heńka) (z domu Luftig) 234, 278, 279, 499, 500
Perlberger Hercel 143, 144
Perlberger Israel 101
Perlberger Józef 234
Perlberger Jozua (Chaim Jozua, Chaim Szymon, Josef) 51, 79, 80, 230, 234
Perlberger Juda 230, 233, 234
Perlberger Julek 162
Perlberger Maria zob. Perlberger-Shmuel Maria
Perlberger Markus (syn Rubina) 144, 146
Perlberger Markus 50, 83, 143, 144, 146, 156, 534
Perlberger Mila 530
Perlberger Mojżesz (Mosze Josef) 101, 143
Perlberger Moniek 162
Perlberger Norbert 153
Perlberger Paulina zob. Birnbaum Paulina
Perlberger Peppi zob. Unger Peppi
Perlberger Raisa zob. Sztern Raisa
Perlberger Regina 144
Perlberger Rozalia 230, 233, 235
Perlberger Rubin 50, 101, 143, 144, 145, 156, 418, 538
Perlberger Ryszard 357, 364, 369, 533
Perlberger Salomea 280, 285
Perlberger Salomon 230, 234
Perlberger Samuel (Śmilek) 15, 51, 82, 126, 234, 278, 279, 280, 499, 500
Perlberger Sara zob. Klinghofer Sara
Perlberger Stella (z domu Wertheimer) 234
Perlberger Teresa (z domu Labin) 143, 145, 357, 364
Perlberger W. 372
Perlberger Zygmunt 230, 234
Perlberger-Shmuel Maria 27, 225, 234, 235, 241, 278, 279, 280, 283, 287, 493, 494, 496, 498, 500, 539, 575, 577, 578, 579

Perlbrberger Dawid 234
Perlman (rodzina) 72
Perlman Abraham Anschel 66
Perlman Tema 70
Perlroth A. 82
Piasecki Gerard 31, 579
Piątek 215
Pichór Adam 200
Piechociński W. 83
Piekarczyk 156
Piekarczyk Hirsz 462
Pierowski F. 83
Pietras Adam 31
Pikul Aldona 31
Piłsudski Józef 163
Pinier M. 83
Pinkosfeld 462
Pinter Chaim 66
Pinter Meir 462
Piotrowicz Józef 43, 44, 55, 61, 64, 67, 68, 86, 87, 167, 246, 250, 326, 398, 563, 575
Piotrowski Andrzej 20
Pistol Herman 462
Pistol W. 83
Pituła Wł. 253
Piwowarczyk Jan 459
Platner (rodzina) 123
Plattner Mosze 536
Plattner Pinkas 82, 462
Pliborski Abraham 462
Pliborski Mojżesz 66, 462
Pochlutka 271
Podobiński 73
Poe Edgar Allan 406
Polak Abraham Meir 68
Polak Eraim 68
Połeć Sabina 46
Polec W. 83
Poliakov Leon 33, 575
Polonka 366
Porąbka Maria 31
Poremba Josef 462
Pospiszyl Rudolf 357, 359, 364
Potaczek 106
Prokop Józef 241, 253
Propst Rudolf 73
Propst Wilhelm 73
Proust Marcel 409
Przetaczek (rodzina) 361, 362
Przetaczek Franciszek 146
Przetaczek Janina zob. Sejdak Janina
Przetaczek Józef 361, 365, 367, 534
Przetaczek Rudolf 360, 361, 362, 364, 365, 369, 370, 534
Przetaczek Zofia (z domu Ziarko) 361, 362, 365, 368, 369, 370, 534, 535, 538
Przymanowski Jerzy 20, 575
Purszmit Robert 462
Puterówna Aniela 200
Puzyna Jan Maurycy Paweł 112
Raber 156
Raber M. 82
Raber Mojżesz 51, 82, 156
Rabner Artur 379
Rachtan 225
Radoszek Krzysztof 30
Rahmaner Alfred 68
Rajzman Arie 311
Rajzman Zeew 311
Rakower (rodzina)
Rakower Berta (z domu Klinghofer) 214, 233, 235
Rakower D. 82, 83
Rakower Ester 15
Rakower Irena 214, 235
Rakower Izydor 235, 299, 462
Rakower L. 82
Rakower Salomon 66
Ramer (rodzina) 72
Ramer Alfred 54, 82
Rapaport Cerka (Cecylia) (z domu Margulies) 59, 172
Rapaport Majer 172
Raszi 55, 172
Rechtman 462
Redlich 224
Reich L. 83
Reichental (rodzina) 123, 216
Reichental Janina 119, 234
Reichental Jersy 234
Reichental Raphael 234, 462
Reichental Salomea (z domu Perlberger) 234
Reichenthal Balka 216
Reichenthal Rafał 51
Reicher Ch. 83
Reifen Baruch 462
Reiner Otmar 331, 334
Reinholc Baruch 462
Reszka Agnieszka 31
Rewer Mendel 462
Rewer Mosze 432
Rilke Rainer Maria 414
Rimbaud Arthur 414
Riterman Pinkas 462
Ritschek 400
Rojek Justyna 30
Roosevelt Franklin Delano 390
Rosenberg Cerka (z domu Perlberger) 160, 162
Rosenberg Löbl 62, 83, 168
Rosenfeld (rodzina) 390
Rosenwasser Abraham Natan 56
Rosenzweig (rodzina) 35, 171, 175, 189
Rosenzweig Abraham 170
Rosenzweig Abraham Marek (Romek) zob. Rozewicz Romek

Rosenzweig Izaak 28, 174, 175, 185, 462, 491
Rosenzweig Józef zob. Rozewicz Józef
Rosenzweig Ruta 185
Rosenzweig Ryfka Chaja (z domu Singer) 172
Rosenzweig Salomon 54, 79, 172
Rosenzweig Sara Salomea (z domu Friedman) 171, 172, 174, 178, 182, 185
Rosenzweig Sydonia 185, 462
Rosenzweig Zygmunt (Sussman, Zusman) 51, 110, 112, 172, 182, 183, 185
Rosenzweig Zygmunt (syn Abrahama Marka) zob. Rozewicz Zygmunt
Rosenzweig Zygmunt (syn Zygmunta) 175
Rospond M. 253, 261
Rossbach Chaja (Ehaja, Helcia) (z domu Friedman) 171, 172, 173, 177, 178, 184, 463
Rossbach Fela 184
Rossbach Markus 173
Rossig (Rosik, Resig) Herman 246, 247, 248, 261, 262, 271, 304, 305, 331
Roter Mozes 462–463
Rothblum Pola 47, 263, 386
Rothenberg Majer Szulem 56
Rotsman Szmuel 463
Rozensztok Sala 463
Rozewicz (rodzina) 189
Rozewicz Józef 28, 41, 172, 175, 180, 181, 182, 188, 491, 575, 577
Rozewicz Romek (Abraham Marek) 175, 197
Rozewicz Zygmunt 28, 182, 183, 187, 188, 491, 492, 576
Rozner (rodzina)
Róg (rodzina) 160
Róg Bolesław 144
Rubin Wolf 15
Rubinstein 463
Rusecka Anna 53, 78
Rusecka Urszula 31
Rusecki W. 83
Rybowicz 82
Rychel A. 83
Rynduch Zygmunt 148
Salomon Abraham (Zylek) 137
Salomon Aleksander 137, 463
Salomon Felicja (z domu Königsberger) 137
Salomon Heniek 41, 137
Salomon Moniek 41, 137
Salpeter 116, 463
Salpeter 137
Samogyj Józef 330
Samohyr Alojzy 145
Samsonowska Krystyna 45, 58, 59, 60, 76, 174, 575
Sapinski Teodor 82, 83
Saraf Lea Rachel 463
Sas Adela 463
Schabse 54
Scharf 83
Schefer Róża (z domu Horowitz) 199
Schenker (rodzina powiązana z Perlbergerami garbarzami) 35
Schenker Adolf 235
Schenker Aleksander M. 235, 498, 499, 500
Schenker Alfred (Alfred Izaak) 230, 235, 500
Schenker Amalia (Malka) (z domu Perlberger) 230, 235, 496, 497
Schenker Chaim 50, 144, 418, 423, 438, 463
Schenker Dawid 305
Schenker Elżbieta 235
Schenker Ernestyna (z domu Liebesfreund) 235
Schenker Felicja (z domu Perlberger) 144
Schenker Gizela 428
Schenker J. 83
Schenker Jan 235
Schenker Jozef (Józef) 230, 235
Schenker Julek 162
Schenker Muszka 217, 354, 418
Schenker Oskar 230, 235, 498, 499, 500
Schenker Stefan 235
Schenkerowa (z domu Rothblum) 305
Schenkerowa N. 372
Scheuring 162
Schiller Leon 92
Schimscheiner Zygmunt 66
Schinagel A. 82
Schinagel Aleksander (Szynagel) 58, 183
Schinagel Altek (Szynagel) 183
Schinagel Chana Sara (Szynaglowa) (z domu Rosenzweig) 58, 183
Schinagel M. 87
Schinagel rodzina 77, 121
Schinagiel Jakub 51, 54, 58
Schinagiel Nolek 77
Schlang Meilech (Maksymilian) 54, 206, 327, 352,
Schloss Betty (z domu Wimmer) 206
Schloss Daniel 29, 241, 343, 344, 345
Schmeidler Hendel 70
Schmelkes 295
Schmidler Lotar 124
Schmiedt Markus 67
Schneider Ch. 82
Schnur Anna zob. Sznur-Oganesov Anna
Schnur Aron 51

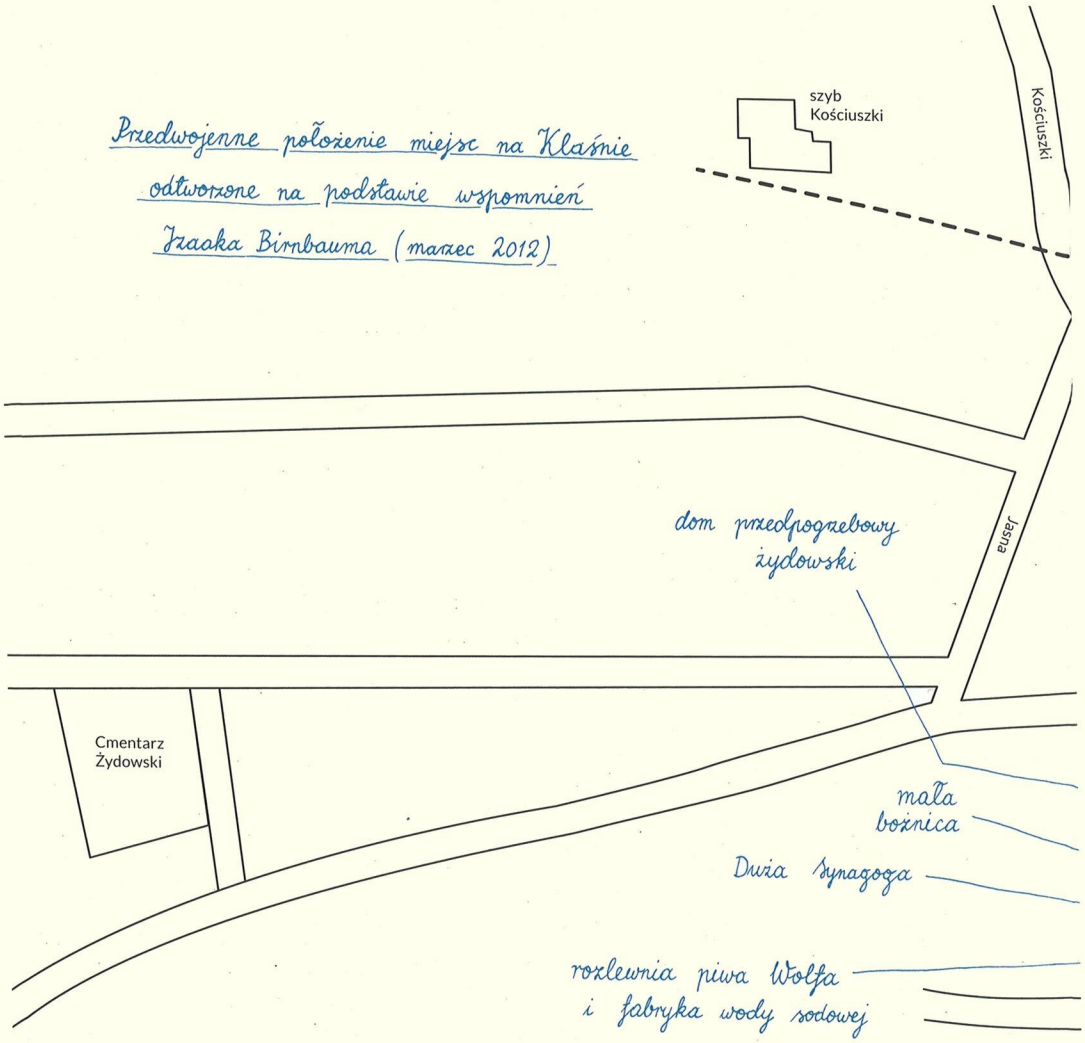
Schnur Balka (z domu Licht) 119, 190, 191, 260, 276, 530, 532, 533
Schnur Chaim 91, 463
Schnur Herman (Cwi, Antek) 76, 119, 126, 276, 532, 533
Schnur Jeszijahu 463
Schnur Pola (Sznur) (z domu Wechselberg) 24, 27, 509, 511, 512, 514
Schnur rodzina 30, 91, 224, 510, 514, 521
Schnur Szymon (Sznur) 24, 27, 224, 142, 509, 510, 511, 512, 514, 529, 533
Schoepperle 551, 552
Schönker Henryk 29, 32, 241, 417, 421, 422, 423, 424, 434, 438, 575
Schönker J. 83
Schönker Luśka 417, 418, 425, 426, 428, 432, 434, 436
Schörmau F. 82
Schreiber 541, 543
Schreiber Izaak 29, 271, 332
Schreiberowa 319
Schreter Cyla (z domu Klinghofer) 214, 232, 233, 235, 539
Schreter Ilana zob. Zohar Ilana
Schreter Uri 235, 539
Schreter William (Willi) 235, 539
Schtil 218, 259
Schusterman (rodzina) 72, 218
Schusterman Hirsz. 83, 463
Schusterman Josef 82, 83, 463
Schwammberger Josef 29, 339, 343, 344, 345
Schwarzbard 116
Schwarzbrat 137
Seelenfreund Amalia (z domu Horowitz) 199
Seelenfreund Bruno 199
Seelenfreund Stella 199
Segner Rozalia Karolina 72
Seidenfrau (rodzina) 208, 210, 291
Seidenfrau Barbara (Basia) (z domu Kling) 210
Seidenfrau Bronia (z domu Pipes) 209, 210
Seidenfrau Chaja (z domu Englender) 209, 210, 211
Seidenfrau Dawid 51, 83, 209, 210, 291, 463
Seidenfrau Gizela (Gitl) (z domu Plachte) 209, 210
Seidenfrau Hania (z domu Silberman) 210, 211, 290, 291, 293, 294
Seidenfrau Helusia 210
Seidenfrau Izaak 209, 210, 289, 290, 294
Seidenfrau Jakub (Kuba) 83, 119, 209, 210, 211, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 463
Seidenfrau Józef 209, 210, 211, 294, 555
Seidenfrau Kalman 95, 113, 463
Seidenfrau Musia 210
Seidenfrau Nina zob. Szmulewicz Nina
Seidenfrau Rafuś 210, 211, 290, 291, 294
Seidenfrau Regina 291
Seidenfrau Rozsi 210
Seidenfrau Rumek 209, 210
Seidenfrau Sala 238
Seidenfrau Zitta 210
Sejdak Janina (z domu Przetaczek) 30, 241, 361, 365, 369, 370, 534, 578, 579
Selenfrud Kalman 463
Sendur Jan 82
Serotta Edward 31
Sforim Mendele Moichr 95
Shilo Naama 32
Shkurnik Avner 556
Shmuel Ernst 234
Shmuel Maria zob. Perlberger-Shmuel Maria
Shmuel Meir 12, 575
Shmueli Ben 560
Shmueli Gal 560
Shmueli Miriam (z domu Ajzenfeld) 559, 560
Shmueli Nir 560
Shmueli Rami 560
Shmueli Roni 560
Shmueli Uri (Szmulewicz Uri) 13, 23, 25, 26, 28, 35, 39, 41, 99, 119, 209, 211, 231, 241, 257, 265, 288, 289, 348, 351, 442, 447, 469, 477, 551, 552, 559, 575, 578, 579
Shmueli-Friedland Yaeli 560
Shomroni Dindi (z domu Ofer) 122, 235
Sielberg Mietek 352, 353
Siemaszko 282
Siemaszko Wanda 282
Sienkiewicz Witold 574
Sikora 148
Sikora F. 83
Sikora Tomasz 23, 30, 35, 105, 125, 127, 131, 139, 227, 237, 269, 461, 467
Sikorka 217
Sikorski Władysław 488
Silberstein Róża (z domu Seelenfreund) 199
Singel Jakow 110
Singer Isaac Bashevis 27
Skaliński Wojciech 447
Skóra Miriam 12, 467
Skorut Paweł 32
Skowron 367

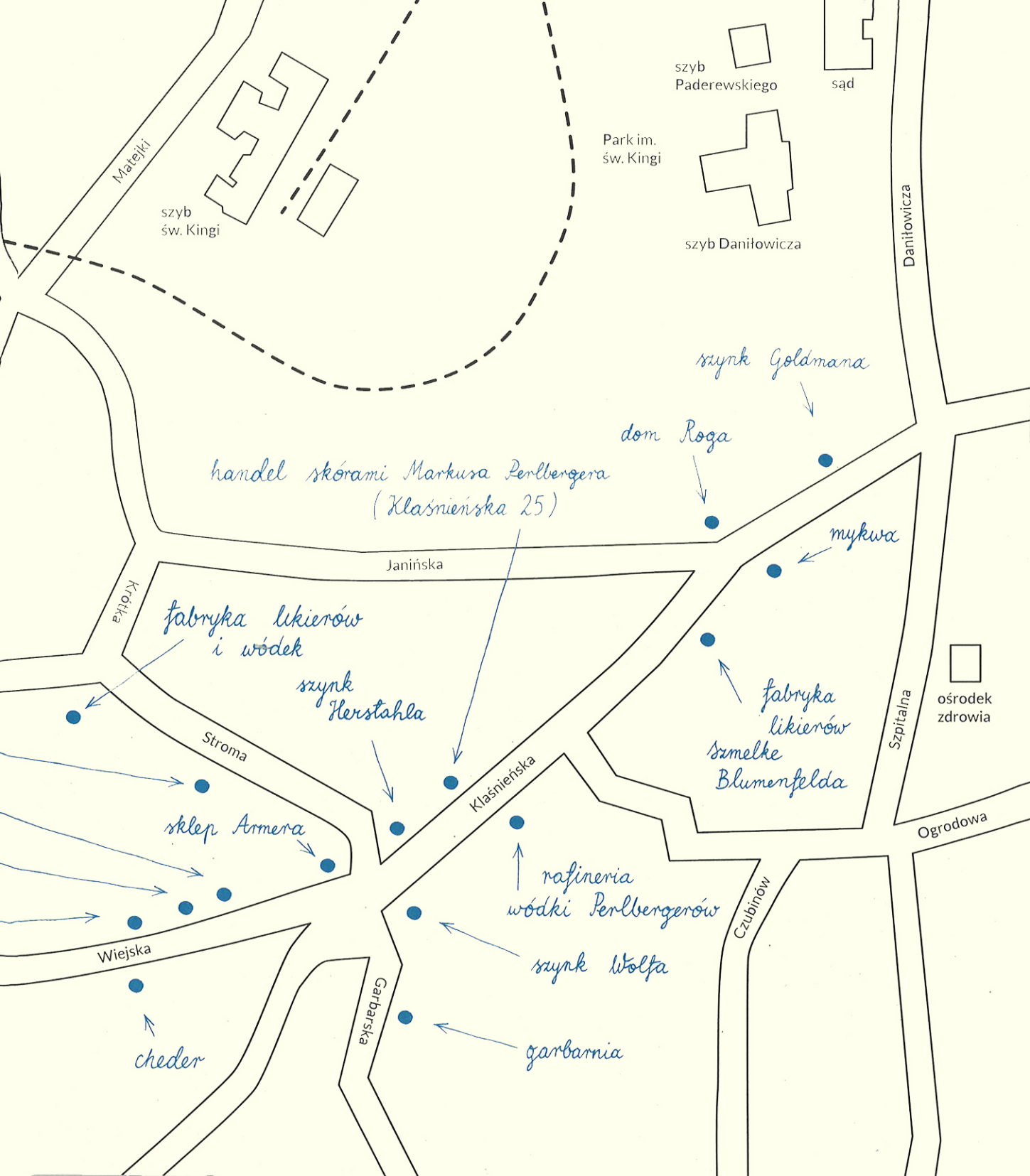
Skulimowski Mieczysław 241, 329, 334, 575
Skuza Marian 554, 555
Skwieciński M. 575
Smrokowska 147
Smuts Jan Christiaan 122
Sobel (z Klasna) 145, 147, 152, 155, 162, 227, 542
Sobel Celina (Cirel, Cecylia, Cyrla, Ceśka) 31, 48, 225, 330, 396, 399, 505, 506, 507, 509, 513, 514, 515
Sobel Chaim 228
Sobel Dow 228, 463
Sobel Hela 228
Sobel J. 83
Sobel Jakub 227, 228, 463, 505
Sobel Josef (Józef) 226, 463
Sobel Kalman 227, 228, 463
Sobel Lea 463
Sobel Nachman 133, 228
Sobel Pinkas (syn Rafała) 228, 463
Sobel Rafał 228
Sobel Róża 101
Sobel Saul (Szaul) 51, 508
Sola Pool Dawid de 548
Solomon (rodzina) 126
Solomon Norman 73, 575
Sosenko Marek 24, 31, 575, 578
Sosin Barbara 577
Sowa Andrzej 173
Spaczyński Z. 575
Spiechowicz Stanisław 180, 188
Spielman Baruch Markus 63, 66
Spielman Baruch Mordechaj 229
Spira A. 83
Spira Brucha (z domu Friedman) 167
Spira Ch. 83
Spira Gitl (Gittel) 58, 71
Spira Helena Mindel 71
Spira Henryk Heinrich 58,71
Spira Izrael 58, 170
Spira Mechel 167
Spira Salomon 173
Spira Zygmunt 463
Spitz Szymon 299
Spitzel Jakub 54, 79
Srebro Estera 267
Srebro Syda, 241, 265, 477
Stalin Józef 19
Stałowczyk Maria 500
Stanek Szczepan 30
Starma Zofia 31, 577, 578, 579
Stawiłowski 109, 111, 112
Stehlik Z. 82
Steif Zalka 463
Stein Josef 463
Steinberg Leon 334
Steinberg Maurycy 334
Steiner 73
Stern Natan 299
Sternbach 392
Sternbach Leontyna 392, 394
Sternberg Izaak 27, 287
Sternberg Ludwik 247, 299
Sternlicht (rodzina) 124, 324
Stiel J. 83
Stiet Izrael Szymon 15
Stoch 457
Strauchen Ida 334
Stroka Rom. 74, 82
Stryjkowski Julian 12, 575
Stryjkowski Krzysztof 32
Stryszowska M. 82
Strzelecki K. 83
Strzerbiński 110, 112
Stulbach Edward 542
Subbotko Donata 12, 574
Surdykowski (rodzina) 386
Surdykowski 384, 386
Surówka Czesław (Czesio) 215, 217
Süsser 319, 326
Süsser Mojżesz Maurycy 334
Synaj Golda 463
Syrkiewicz Liliana 50, 53, 57, 575
Szafira Aszer 126
Szaman Arie 463
Szaman Kofel 463
Szapire Irena 58, 78
Szapire Szulim 54, 57, 58, 77, 200, 218
Szczepaniak Agnieszka 31
Szczęsnowicz S. 83
Szeifmann 124
Szenirer Sara 173
Szingel Bala zob. Szynagiel Bala
Szmeid Mordechaj 463
Szmelces Fryda (z domu Perlberger) 144, 148, 153, 360
Szmulewicz (rodzina) 211
Szmulewicz Berek 86
Szmulewicz Chana 558, 559
Szmulewicz Kalman 209
Szmulewicz Kalmi 558
Szmulewicz Katri 558, 559
Szmulewicz Mosze 116, 119, 209, 288, 289
Szmulewicz Nina (z domu Seidenfrau) 13, 119, 209, 288, 289, 291, 294
Szmulewicz Uri zob. Shmueli Uri
Sznicer Mosze 463
Sznur-Oganesov Anna 511, 514, 521, 577
Szold Henrietta 548
Szpilman Baruch 463
Szponder 109, 111, 112
Szpringer Helena (Hela) 54, 126
Szraga Jecheskiel 87
Szreiber Mordechaj 463
Szreiber Paulina 463
Szrojt Eugeniusz 575, 575
Szteil Lea 126
Szteinberger Izaak 463
Sztern Balka 235

Sztern Dawid 463
Sztern Judit 235, 539
Sztern Leszer 235
Sztern Raisa (Rajzla) (z domu Perlberger) 230, 235
Sztern Roman (Romek) 230, 235, 539
Sztern Ryszarda (Ryśka) 235, 539
Sztern Szulim 230, 235
Sztern Yoram 235
Szternbach 539
Szternbach Balka 539
Szternberg 124
Szterngast 463
Szternlicht Josef 463
Sztil Szymon 463
Sztrojsberg (rodzina) 139, 152, 156
Sztrojsberg Gerszon 139, 463
Sztrojsberg Jehiel 463
Sztrojsberg Menasze 140, 141, 463
Sztrojsberg Schulem (Szalom) 63, 139
Sztubach Nachum 463
Szulmiński 378
Szumiec Joanna 30
Szwenk Irena 53, 54
Szymoniak Stanisław 67
Szymska Eleonora 50, 64
Szymski J. 83, 222
Szynagiel Altek zob. Schinagel Altek
Szynagiel Bala 463
Ścigalski (rodzina) 515
Ścigalski J. 83
Ścigalski Kazimierz 31
Śmigielski (rodzina) 53, 223
Śmigielski Mieczysław 53, 54, 77
Śpiewak Paweł 31
Świda-Zięba Hanna 20, 574
Taborska K. 82
Tadanier Celina (Cesia) (z domu Lax) 28, 47, 57, 78, 352, 355, 376, 379, 520–526, 528, 542, 577, 578, 579
Tarnowski 110
Teitelbaum 53
Teitelbaum 542
Tencer Gołda 32
Terlo 116, 117
Thon Ozjasz 138
Tiefenbruer Meir 463
Tiefenbruner 463
Tiefenbruner Alfred Pinkas 58
Tiefenbruner Marjem (z domu Perlberger) 58
Tiefenbruner Salomon 58
Tiefenbruner Sara (z domu Scharf) 58
Tiles Jakub 241, 269
Tiles Mosze Szymon 463
Timberg 82
Tisch 101
Tona Szymon 463
Torańska Teresa 20, 574
Tune Szymon (Simcha) 54, 74, 82, 463
Tutelwojs Szmuel 463
Tuwim Julian 408
Twardosz Marian 330
Tylek Józef 55
Tyras 217, 218
Ulrich 327, 328
Unger (brat Samuela) 539
Unger 82
Unger Cyla 539
Unger Dawid 463
Unger Fini 539
Unger Izaak Mosze 463
Unger Lejbisz 463
Unger Leopold 19
Unger Mendel 230, 235
Unger Peppi (z domu Perlberger) 230, 235
Unger Samuel 230, 235, 539
Ungier 324
Ungler (rodzina) 199
Unterbuch Zelman 463
Unterman 463
Unterman Alan 49, 63, 66, 67, 68, 69, 75, 575
Urbach Baruch 463
Uryć
Uścińska Agnieszka 32, 449
Uterbuch F 83
Vander Meir 87
Verlaine Paul 414
Vogler Henryk 32, 241, 401, 411, 576
Vogler Jerzyk 414, 416
Vogler Klara 416
Wachsberger Hirsch 56
Wachsmann F. 82
Wagner Wilhelm 261, 262, 319, 320, 325, 327, 328, 332
Wahl Saul 86
Wajdowa Wiesława (z domu Hanula) 500
Waksman Jeszajahu 463
Waldman J. 83
Waldman Jakub 463
Waldman Josef 463
Waldman Menachem (Mendel) 62, 67, 102, 228
Waldman Zygmunt 147, 360
Waldmann M. 83
Walkman J. 83
Walosik Tadeusz 180, 188
Wałaszek Karolina 29, 37, 578
Wanat Izabela 32
Warkowski Marian 366
Warman 146
Wars Henryk 184
Waserhart 216
Waserlau 146, 147, 463
Wasilewska Wanda 537
Wassenberg Salomon Dawid 170
Wasserberg (rodzina) 323

Wasserberger 77
Wasserberger Alijahu 463
Wasserberger Dobe 65
Wasserberger Estera Braindl 65
Wasserberger Feigel 65
Wasserberger Gabriel 65, 82, 103
Wasserberger Gittel 65
Wasserberger Rebeka (z domu Kraus) 65
Wasserberger Salomon 65
Wasserlauf Josef zob. Waserlau
Wassermann (rodzina) 362
Waszkiewicz 386
Waza Władysław 528
Wąsowicz 223
Weber Max 20, 576
Weicner Dawid 463
Weiheimer 323
Weimer Hela 463
Weimer Meir 463
Weimer Szmuel 463
Weinberg 169
Weinberg Izrael Alter 170
Weinberg Szlomo 167
Weinberger Anszel 82, 157, 222, 463
Weinberger C. 83
Weinberger Eliasz 54, 71
Weinberger Fajgla (z domu Krauz) 15, 54, 153, 334
Weinberger Feiwel 54, 79, 82, 153, 157, 223, 276
Weinberger Marceli Ryszard 71
Weinberger Paulina 70
Weinberger Zygmunt 463
Weinert T. 70, 82
Weinszreib 463
Weintraub (rodzina) 72
Weis Izik 463
Weis Jakub 463
Weisblum Baruch 463
Weisblum Dawid 463
Weisblum Izaak 463
Weisblum Naftali 463
Weislun 217
Weiss Józef 70
Weiss Markus 57, 70, 168
Weiss Szewach 517, 518
Weissblum N. 82
Weitschner (rodzina) 72
Weitschner Józef 53
Weksler 463
Wertheim 123
Wertheimer 53, 147
Wertheimer Hirsz 234, 463
Wertheimer Nina (z domu Perlberger) 234, 284
Wertheimer Ryszard 119, 147, 234, 284
Wertheimer Stella zob. Perlberger Stella
Westreich Simon (Szymon) 62, 67, 463
Węgielnik Salomon 51, 83
Wiązownicka 458
Wiązownicka Maria 330
Wiązownicki Franciszek 83, 515
Widomski Franciszek 66, 83, 194
Widomski Krzysztof 31, 578
Wielki Kazimierz 86
Wierzchowski Jakub 31, 579
Wilder (rodzina) 123
Wilder Hela 124
Wilder Mordechaj 126
Wilder Motak 124
Wilender Mendel 463
Wimer (rodzina) 72, 142
Wimer G. 83
Wimer R. 83
Wimmer (rodzina) 77, 197, 205, 321, 323
Wimmer A. 83
Wimmer Bronia 205
Wimmer Gershon 205
Wimmer Gitla 205, 206
Wimmer Heniek 205
Wimmer Howard 206
Wimmer Jack (Joachim, Romek) 28, 41, 205, 206, 241, 339, 341, 342, 343, 344, 578
Wimmer Jakub 205, 342
Wimmer M. 82, 83
Wimmer Moses 205, 342
Wimmer Nuchem 205
Wimmer Pesla 205
Wimmer S. 83
Wimmer Sabina 205
Wimmer Sala (z domu Dreksler) 206
Wimmer Sala (z domu Palek) 205
Wimmer Salomon (syn Nuchema) 205
Wimmer Salomon 205
Windak 147, 155
Windycki 112
Wingate Orde Charles 122
Winter Emanuel 170
Winterholc Izrael 463
Wiśnicki Barel zob. Wiśnicki Bernard
Wiśnicki Bernard 83, 342, 463
Wiśnicki Jakub 463
Wiśniewski 215, 218
Wiśniewski Tomasz 32, 578
Witkowski Wł. 82
Witstein Dawid 463
Wojnarowska Maria 70
Wojnowski 324
Wojtaszek 74, 82
Wojtowicz Władysław (Władek) 200
Wojtyga Katarzyna 30
Wolf (rodzina) 15, 150, 162
Wolf Ch. 83
Wolf Dawid 463
Wolf E. 83, 133, 156
Wolf Idek 162

Wolf Jehoszua 536
Wolf Mendel 463
Wolf Ozjasz 505
Wolf Zelig 101
Wołkowski 53
Wonglanik Szlomo 463
Woroń Władysław 49, 67
Wroński Tomasz 32
Wróblewski 74
Wulkan Ida (Judyta) (z domu Rosenzweig) 175, 184, 185
Wulkan Samuel (Samek) 184, 185
Wulkan Seweryn 185
Wulkan Zygmunt (Zyguś) 184, 185
Wyka Kazimierz 17, 19, 576
Wyler William 548
Wymiatałek Aniela 15
Wymiatałek J. 82
Wyporek W. 82
Wyrzykowski Karol 406
Wysocki Stefan 51, 575
Wyspiański Stanisław 401
Yablonka Hanna 547, 576
Yahrblum Mosze 12, 41, 46, 57, 62, 85, 86, 167, 170
Zacna M. 83
Zacny Franciszek 43, 44, 45, 86, 576
Załęska M. 82
Zamojski 112
Zapiórowa 281, 284
Zasadna Aniela 54, 145, 361, 362, 534
Zasadny Tomasz 145, 146, 147, 359, 534
Zbitkower Samuel 86
Zdziarski (rodzina) 320
Zellner (rodzina) 47, 522, 523, 524, 528
Zellner Anna (z domu Tauber) 543
Zellner Aron 159
Zellner Berta (pseud. Rzadkowska Maria) 47, 78, 119, 251, 382, 383, 522, 523
Zellner Hadasa 261
Zellner Jack 544
Zellner Jakub 83, 157, 158, 159, 160, 163, 463
Zellner James 29, 544
Zellner Johanan 159
Zellner Józef (syn Johanana) 159
Zellner Józef 158, 160
Zellner Julius (Julek) 160
Zellner Larry (Lazar) (pseud. Kuliński Jan) 29, 31, 41, 74, 158, 159, 160, 161, 261, 371, 373, 541, 542, 543, 577, 579
Zellner Lazar 159, 261
Zellner Leon 376
Zellner Lipa 159
Zellner Mala (z domu Selenfreund) 159
Zellner Mala 158, 160
Zellner Michał (pseud. Rzadkowski Franciszek) 78, 132, 159, 241, 243, 251, 261, 263, 330, 348, 376, 382, 383, 485, 522, 533, 541, 542, 576
Zellner Mojżesz 147, 160, 163
Zellner Mordechaj 159
Zellner Salomea 376
Zellner Teofila (z domu Goldman) 158, 160
Zellner Wiliam 160
Ziarko (rodzina) 361
Ziarko Aniela 367, 368
Ziarko Józefa 366
Ziarko Piotr 366, 370
Ziarko Tadeusz, 200
Ziembiński 74
Ziemels Lidia 316
Zierer Judith 400
Zięba Stanisław 386
Zilber 463
Zilber Menasze 486
Zimetbaum Salomon Lejb 67
Zimler (rodzina) 323
Zimmels Meir 559
Zimmels Pinkas 79
Zimmels Sabina (z domu Seidenfrau) 209, 291, 559
Zimmer 83
Zimmerman Juda 295
Zimmerspitz Ch. 83
Zimmetbaum Salomon 15
Zinger 463
Ziobrowska Józia 282
Zohar Ilana (z domu Schreter) 29, 235, 539
Zollman A. 83
Zulfa 228
Zylek 419, 424, 438
Żabotyński Włodzimierz (Wladimir, Zeew) 21, 116, 120, 125, 126
Żebrowski Rafał 167, 575
Żelazko Marianna 70
Żołnierczyk 146, 147
Żywiec Tomasz 196, 200
Żyznowska Urszula 30, 33, 143, 155, 159, 205, 213, 221, 347, 357, 365, 371, 457, 496, 533, 537, 541, 545, 559, 577, 578, 579
Żyznowski Marian 30
Żyznowski Wiesław 20, 24, 33, 39, 50, 57, 77, 143, 155, 213, 246, 347, 357, 379, 496, 519, 521, 522, 533, 537, 545, 559, 576, 577, 579


Przedwojenne położenie miejsc na Klaśnie
odtworzone na podstawie wspomnień
Izaaka Birnbauma (marzec 2012)
szyb
Kościuszki
Kościuszki
auser
dom przedpogrzebowy
żydowski
Cmentarz
Żydowski
mała
bożnica
Duża synagoga
rozlewnia piwa Wolfa
i fabryka wody sodowej


Matejki
szyb
św. Kingi
szyb
Paderewskiego
sąd
Park im.
św. Kingi
szyb Daniłowicza
Daniłowicza
szynk Goldmana
dom Roga
handel skórami Markusa Perlbergera
(Klaśnieńska 25)
mykwa
Janińska
Krótka
fabryka likierów
i wódek
szynk
Herstahla
fabryka
likierów
Szmelke
Blumenfelda
Szpitalna
ośrodek
zdrowia
Stroma
Klaśnieńska
Ogrodowa
sklep Armera
rafineria
wódki Perlbergerów
Czubińów
Wiejska
szynk Wolfa
Garbarska
cheder
garbarnia

ISBN 978-83-922716-5-9



ŻYZNOWSKI